

NEW YORK TIMES  
BESTSELLING AUTHOR

FOREWORD

# PRZEPOWIEDNIA

P.C. CAST

NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

POWISŁE

# PRZEPOWIEDNIA

P.C. CAST

# Cast P. C.

*Partholon 01*

# Przepowiednia

*Przeniesie się do mitycznego Partholonu...*

*Elphame od zawsze czuła się inna. Namaszczona przez największą boginię, otoczona jest przez swój*

*lud czcią i szacunkiem. Wyjątkowość jest jednak dla dziewczyny nieznośnym ciężarem. Samotna, pozbawiona przyjaciół oraz namacalnego wsparcia bogów i duchów boi się, że nigdy nie pozna smaku prawdziwej miłości...*

*Wewnętrzny impuls pcha Elphame w kierunku ruin zamku MacCallan. Decyzja o odbudowie tej twierdzy całkowicie odmienia jej losy. Zyskuje cel w życiu, wiernych przyjaciół oraz zdolność kontaktu ze światem nadprzyrodzonym. Na jej drodze staje również tajemniczy Lochlan, z którym*

*połączy ją o wiele więcej niż tylko namiętność.*

*Wielka miłość tych dwojga zostanie wystawiona na ciężką próbę. Nad ruinami zamku MacCallan*

*unosi się bowiem ponadstuletnia krwawa przepowiednia...*

## PROLOG

Ten dzień zaczął się zwodniczo normalnie.

O świcie poranne ofiarowanie się Eponie było wyjątkowo poruszające. Etain, już całkowicie wypełniona Boginią, żar Jej obecności nosiła w sobie przez cały ranek. A kiedy ranek minął, dostała pozwolenie - chociaż raz! - na zajęcie się tylko sobą i została chwilowo zwolniona z obowiązków

Wcielenia Bogini.

Bóle porodowe poprzedziło niejasne uczucie niepokoju. Nie mogła znaleźć sobie wygodnego miejsca

na szeszlunku zasłanym poduszkami. Pełną zapału służącą, która przyszła sprawdzić, czy nie dolać gorącej wody, potraktowała niemiło, okazując niecierpliwość, co nigdy dotąd jej się nie zdarzało. I

nawet perspektywa długiego

moczenia się w basenie napełnionym wodą ze źródeł mineralnych wcale nie wydawała jej się pociągająca.

Miała nadzieję, że przechadzka po wspinałym ogrodzie pełnym kwiatów wpłynie pozytywnie na coś,

co jej zdaniem było spowodowane drobną nieprawidłowością w trawieniu truskawek, które spożyła na

lunch. Wydawało się, że spacer rzeczywiście okazał się pomocny - do chwili, gdy zatrzymała się, by powąchać przepiękny purpurowy kwiat. Wtedy odeszły wody płodowe, zalewając oblamowane jedwabiem pantofelki Wcielenia Bogini.

Czyli koniec z normalnością.

- Czy to zawsze tak jest?!

Kolejna fala bólu przepływała przez jej ciało. Etain, z wykrzywioną twarzą, zgięta wpół oparła się całym ciałem o kobietę, która prowadziła ją pod rękę.

- Ciii... Etain - uspokajała ją Fiona swoim łagodnym, melodyjnym głosem. - Lepiej nic nie mów, moja

droga, tylko skup się na oddychaniu.

Etain szarpnęła głową, co miało być kiwnięciem na znak zgody, a było tylko tego gwałtowną imitacją i skupiła się na oddychaniu, starając się zapanować nad swoim oddechem. Przestać sapać, dyszeć, zgrać swój oddech ze spokojnym, głębokim oddychaniem Fiony. Skurcz osiągnął swoje maksimum i odszedł.

Zapanował popłoch. Stado służących po przebraniu Wcielenia Bogini rozbiegło się, by powiadomić Mądre Kobiety z wiosek, znajdujących się najbliżej Świątyni Epony. A Etain objęła Fionę mocno wpół i czerpiąc siłę z jej krzepkiego ciała kontynuowała przechadzkę po ogrodzie świątyni. Fiona, przyjaciółka i doradczyni Pierwszej Wybranej, zapewniała, że chodzenie podczas porodu jest bardzo pomocne.

Dzień konsekwentnie mijał, wizerunek Etain jako oazy

spokoju zdecydowanie tracił na wyrazistości, ale resztki porannego oddania się Eponie działały uspokajająco - jak zawsze Wybrana Epony snuła znajomą nić łączącą ją z Boginią, co dodawało sił i wlewało w duszę spokój.

Fiona uśmiechnęła się zachęcająco, obie kobiety odwróciły się i ruszyły w drogę powrotną ku wielkim

oknom, otwartym teraz, z powiewającymi cieniutkimi zasłonami z gazy w kolorze ciekłego złota. Te okna, z szybkami oprawionymi w ołów, służyły również jako drzwi z sypialni Etain do jej prywatnego ogrodu.

Etain szła, oddychając głęboko, by uspokoić swoje rozszalałe serce i zebrać siły na spotkanie z nieuniknionym kolejnym skurczem.

- Myślę, że to jest właśnie najtrudniejsze.

Jak zwykle w obecności Fiony swoją myśl wypowiedziała na głos.

- Ale co? - spytała Fiona.

- Fakt, że to, co się teraz dzieje, jest nieuniknione, całkowicie niezależne od mojej woli. Nie mogę tego zatrzymać, a tak naprawdę to mam wielką ochotę powiedzieć, że wszystko jest bardzo interesujące,

wolałabym jednak zrobić sobie przerwę. Wykąpać się, zjeść coś pysznego i przespać dobrze całą noc.

A jutro od samego rana mogłybyśmy znów się za to zabrać.

Uprzejme zainteresowanie Fiony zmieniło się w głośny śmiech.

- Byłoby bardzo przyjemnie!

- Przyjemnie... - Etain zrobiła efektowny grymas, zupełnie jak nie Bogini. - Gdzie tam! Byłoby cudownie!

Wciągnęła mocno w płuca odurzający zapach bzów w pełnym rozkwicie, rosnących wzdłuż ścieżki.

Kiedy ścieżka skręcała w lewo, bzy ustępowały obfitości fioletowych róż, oblepiających dom. Nad

ich

pysznymi

kwiatami powiewały cieniutkie zasłony wymykające się z otwartych okien, falowały i trzepotały jak skrzydła gigantycznych motyli.

Przystanąły przed domem, kilka kroków przed sypialnią - od pokoleń miejsca snu Umiłowanej Epony - kiedy w ich uszach zadźwięczało coś urzekającego, przywiewanego przez wiatr. Śpiew kobiet, sławiących Boginię.

***- Jesteśmy strumieniem wody, Przyływem i odpływem,***

***Co niesie poznanie Całej prawdy...***

Słowa, wyśpiewane słodkimi głosami i jednostajny rytm melodii miały moc hipnozy. Kołły zszarpane nerwy Wybranej Epony, wzywały ją do siebie. Etain czuła, jak pieśń wnika w jej nabrzmiałe, obolałe

ciało, jak cała się odpręża.

***- Jesteśmy dźwiękiem, jaki wydaje Korzeń Bogini,***

***Gdy rośnie w nieskończoność, Silny poznaniem...***

Słodki śpiew popychał Etain do przodu. Szybkim krokiem weszła do swojej sypialni, teraz pełnej roz-

śpiewanych Mądrych Kobiet z wiosek. Na jej widok zaczęły śpiewać coraz szybciej i płaszać, obracając się dookoła. Wydawało się, że fruwały po pokoju, fruwały i fruwały, zamykając Etain i Fionę w środku radosnego kręgu.

***- Jesteśmy duszą kobiety, Cudownym darem. Bogatym, pełnym mądrości. Sławiąc, unośmy się!***

Przy słowach „unośmy się” wyciągnęły w górę ręce, ku sklepienemu sufitowi i obracały się, nucąc już tylko

melodię. Wszystkie ubrane w lekkie, połyskujące jedwabie, które unosiły się wokół nich jak jesienne liście na wietrze. Wszystkie uśmiechnięte radośnie, jakby uczestniczyły w wydarzeniu zakrawającym na cud do takiego stopnia, że niemożliwe było przeżywanie tego głęboko w sobie. Tryskały

szczęściem.

Fiona pomogła swojej pani usiąść z powrotem na wymoszczonym poduszkami szezlongu. Obie nie odrywały oczu od pływających kobiet, obie widziały skrzącą się poświatę wokół każdej tancerki.

- Magia... - szepnęła Etain.

- Naturalnie - odparła Fiona jasnym, rzeczowym głosem. - Spodziewałaś się czegoś pomniejszego, teraz, kiedy rodzi Bogini?

- Oczywiście, że nie.

Choć szczerze mówiąc, moc Bogini, której Wybraną Etain była od prawie dziesięciu lat, do dziś często wzbudzała w niej lęk.

Pieśń ucichła, krąg tancerek rozproszył się, kilka z nich podeszło do Etain z uśmiechem i życzliwym słowem.

- Epona obdarzyła cię szczodrą, Pierwsza Wybrana.

- To wielki dzień dla Bogini, Umiłowana Epony. Teraz, kiedy nie stanowiły już urzekającej całości, straciły trochę ze swojej magii. Wróciły do swej prawdziwej postaci. Zwyczajne istoty ludzkie płci żeńskiej, które pomagają w przyjściu na świat upragnionego dziecka. Różniły się między sobą wiekiem i urodą, wszystkie jednak miały przed sobą ten jeden cel.

W brzuchu Etain zaczął formować się nowy skurcz. Czują, jak cała się napręża, ból nasila się i drżącą falą opanowuje całe ciało. Falą, w której Etain tonie.

Jedna z kobiet, bardzo młoda, położyła ręce na ramionach Etain.

- To nie bitwa, którą musisz wygrać, Bogini - szepnęła cichutko wprost do ucha rodzącej. - Nie walcz

z tym, pomyśl lepiej o wietrze.

Potem odezwała się następna:

- Niech cię wypełni! I jeszcze jedna:

- A ty leć, Bogini! Leć razem z nim!



- I oddychaj razem ze mną!

To Fiona. Jej twarz, zawsze dodająca otuchy, znów pojawiła się nad Etain, którą kolejny skurcz wciągał w swój wir. Zgodnie z poleceniem wyężyła wszystkie siły, żeby spowolnić swój oddech. Po

całej serii chwil, które zdawały się nie mieć końca, ból na jakiś czas znikł. Czoło Etain zostało przetarte chłodną, wilgotną ściereczką, do spieczonych warg Fiona podsunęła puchar z krystaliczną wodą o temperaturze lodu.

- Pozwól, że sprawdzę, jak to wszystko się posuwa. Etain otworzyła oczy, napotykając spokojny, akwama-

rynowy wzrok Uzdrowicielki, krzepkiej blondynki w średnim wieku, roztaczającej wokół siebie aurę osoby, która swoją profesję zna doskonale i wykonuje ją bardzo dobrze. Pierwsza Wybrana skinęła głową i posłusznie podciągnęła nogi. Miała na sobie tylko bawełnianą koszulę, cieniutką, jakby utkaną z chmur.

Uzdrowicielka podsunęła koszulę wyżej, do nieistniejącej teraz talii Etain. Jej biegłe ręce rozpoczęły badanie. Robiła to bardzo delikatnie, a jednocześnie bardzo dogłębnie.

- Wszystko idzie dobrze, Umiłowana Bogini. Uśmiechając się pokrzepiająco, poklepała Etain po udzie i ściągnęła w dół koszulę.

- Jak długo jeszcze? - spytała Etain znużonym głosem. - Ile godzin?

- Tylko Bogini może ci to powiedzieć. Ja mogę tylko sądzić, że już niebawem będziesz mogła powitać

swoją córkę.

Etain uśmiechnęła się i skinęła głową. Uzdrowicielka podeszła do grupki kobiet i głosem jedwabnym,

a jednocześnie twardym jak stal, zaczęła wydawać polecenia.

Nad Etain nachyliła się Fiona, żeby odgarnąć włosy ze spoconego czoła przyjaciółki.

- On chyba nie zdąży, prawda? - Głos Etain, wbrew jej woli, drżał.

Głos Fiony natomiast był bardzo stanowczy.

- Oczywiście, że zdąży.

- Och! A ja sama nalegałam, żeby wyjechał! Fiona bezskutecznie starała się powstrzymać śmiech.

- Chyba tak! Chwileczkę, niech pomyślę... coś sobie przypominam... Już wiem! Milady powiedziała, że jeśli on nie przestanie plątać się pod nogami i pytać co chwilę, jak się milady czuje, to milady obedrze go ze skóry.

Fiona potrafiła znakomicie naśladować głos swojej pani. Kilka kobiet, stojących najbliżej, zaśmiało się. A Etain jęknęła.

- Jestem głupia! Bo tylko głupia kobieta odpędza męża właśnie wtedy, kiedy w każdej chwili może zacząć rodzić!

- Midhir zdąży, na pewno... - Fiona przysiadła przy Etain i lekko ścisnęła jej dłoń. - Niemożliwe, żeby nie był przy narodzinach swojej córki. Moira na pewno go odnajdzie i szybko go tu sprowadzi.

Rozum podpowiadał Etain, że tak właśnie będzie. Moira, Pierwsza Łowczyni Partholonu, wytropi i odnajdzie jej męża, którego ona, Etain, wczoraj osobiście po prostu wygoniła. Na całą noc, kazała mu

jechać z kilkoma towarzyszami na polowanie. Etain aż skręcało, kiedy

przypomniała sobie swój rozdrażniony głos, przypomniała sobie też, jak na koniec dodała, że mogą sobie polować i przez noc i przez cały następny dzień. Bo teraz jej serce, jak zresztą i całe ciało, zajęte rodzeniem, dawało wyraźne sygnały, że dziecko już za chwilę pojawi się na świecie. Niezależnie od

tego, czy ojciec będzie przy tym obecny, czy nie.

W oczach Etain zakręciły się łzy.

- Tak bardzo go teraz potrzebuję, Fiono, tak bardzo...

Fiona nie zdążyła niczego powiedzieć, ponieważ zaczynał się następny skurcz. Wyjątkowo bolesny, Etain czuła, że robi jej się słabo. Przerazona, chwyciła się kurczowo ręki Fiony.

- Boli mnie! Okropnie!

Natychmiast została otulona płaszczem łagodnych, dodających otuchy głosów kobiet. Kilka z nich zaczęło nucić pieśń narodzin, kilka z nich przemówiło do Pierwszej Wybranej radosnym głosem, dostosowując się do rytmu melodii.

- Jesteśmy przy tobie, milady!
- Znakomicie dajesz sobie radę!
- Oddychaj razem z Fiona, Pierwsza Wybrana!
- Odpręż się, Bogini. Pamiętaj, że z każdym bólem twoja córka jest bliżej tego świata.
- Nie możemy się doczekać, kiedy ją powitamy, milady!

Ich głosy kołysały Etain, a jednocześnie były kotwicą, trzymającą jej zdolność koncentracji na uwięzi.

Dzięki temu była w stanie skupić się i pracować nad swoim oddechem, dostosowując go do spokojnego, miarowego oddychania Fiony. Była w stanie też uśmiechnąć się do otaczających ją kobiet.

Kobiety roześmiały się, tak radośnie, tak zaraźliwie, że

Etain, przyciskając rękę do swojego twardego teraz brzucha, musiała pójść za ich przykładem. Też zaśmiała się, potem zamknęła oczy, pragnąc, by jej ciało choć trochę się odprężyło. Pragnąc też czegoś więcej.

Och, Epono, proszę, proszę, spraw, żeby pojawił tu się w porę...

- Cierpliwości, Umiłowana - odezwał się nagle w jej mózgu znajomy głos. - Przecież Szaman nie przeoczy narodzin swojej córki.

Kąciki ust Etain leciutko opadły, kiedy usłyszała łagodne upomnienie.

- Dziękuję, Epono - szepnęła i podniesiona na duchu obietnicą Bogini, poczuła nagły przypływ energii. - Fiono! Pochodźmy trochę!

Fiona zmarszczyła czoło.

- Jesteś pewna, Etain?

- Oczywiście! Sama mówiłaś, że jak się chodzi, dziecko urodzi się szybciej!

Podawała obie ręce przyjaciółce i przy jej pomocy wstała z szezlonga.

- A wy, moje drogie, kiedy będę starała się przyspieszyć nadejście mojej córki, śpiewajcie mi. Bardzo proszę!

Kobiety radośnie zaklaskały, kilka z nich rozpoczęło rytualne płasy.

Etain wzięła Fionę pod rękę i obie, minawszy obłoki prawie przezroczystych zasłon, wyszły na dwór.

Etain zrobiła głęboki wdech.

- I to jest właśnie to, czego będzie mi brakować, kiedy nie będę już w ciąży - oznajmiła, a widząc pytanie w oczach Fiony, wyjaśniła dokładniej. - Od samego początku ciąży mój zmysł powonienia niebywale się wyostrzył.

Nachyliła się nad krzakiem róży. Delikatnie musnęła palcami aksamitne płatki i poszła dalej.

- Dziwne, pra... - Dalsze słowa przeszły w osobliwy pomruk. Nowy skurcz dawał znać o sobie. Etain,

ciężko dysząc, oparła się całym ciałem o Fionę.

- Spokojnie, Etain. Pamiętaj, nie walcz z tym - powiedziała Fiona wprost do jej ucha. - Może już wrócimy?

Etain pokręciła przecząco głową.

- Nie, nie! Na dworze łatwiej mi oddychać. Skurcz minął. Etain wyprostowała się i otarła rękawem pot z czoła.

- Chcę być tutaj, gdzie wiatr. Niesie ze sobą ich pieśń. Jakby cały świat był pod wpływem magii narodzin tego dziecka.

Oczy Fiony nagle zalśniły od łez.

- Bo to i prawda, milady - szepnęła, ostrożnie obejmując swoją panią. - Bo to i prawda!

Poszły dalej przez ogród. Etain starała się nie myśleć o bólu, skupiając się teraz na łaskawości Bogini, której była Wybranką. Bogini Epony. Ludność Partholonu czciła wielu bogów i bogiń, ale Epona w

ich sercach zajmowała szczególne miejsce.

Bo to Epona zawsze tchnie życie w poranne niebo, to Jej twarz odbija się w księżycu w pełni. Jest Boginią Wojowników, Boginią Konia, a jednocześnie Boginią Żniw. Cały Partholon zawsze będzie czcił ją też jako swoją opiekunkę. Bo to Wybranka Epony razem ze swoim mężem Szamanem odparła atak okrutnych demonów Fomorian i uratowała Partholon przed zniewoleniem. Od tamtej wojny minęło prawie stulecie, Fomorianie zajmowali już bardzo niewiele miejsca w umysłach i sercach Partholończyków, którzy jednak nigdy nie zapomnieli i nie zapomną o łaskawości i szczodrości Epony.

A Umiłowana Epony zawsze będzie otoczona najgłębszą czcią.

Teraz Umiłowaną przez Boginię, Pierwszą Wybraną Epony była ona, Etain. Przypomniała sobie o tym w chwili, gdy ciężko dysząc, starała się jakoś przebrnąć przez kolejny skurcz. Przypomniała sobie także, że z tej właśnie przyczyny jej pierwszym dzieckiem będzie dziewczynka i dziewczynka ta, jak

jej matka, będzie naznaczona przez Boginię. Będzie wnuczką legendarnej Rhiannon, pogromczyni Fomorian. Będzie Wybraną Epony, jak jej matka. Ta myśl była tak ekscytująca, że cały poród wydał się Etain już nie taki trudny. Od tej chwili zdecydowanie łatwiej jej było znieść trudy porodu. Kolejny skurcz rozproszył myśli Etain. Skurcz całkiem inny niż dotychczas, towarzyszyło mu uczucie, jakby w środku wszystko zapłonęło i koniecznie trzeba przeć. Koniecznie. Tak bardzo, że Etain aż krzyknęła.

Fiona pomogła jej usiąść na ziemi.

- Muszę przeć - wydyszała Etain.

- Nie! Nie! Zaczekaj!

Fiona szybko odwróciła się w stronę okien sypialni.

- Chodźcie tu! Prędko! Bogini was potrzebuje!

Etain nie potrafiłaby powiedzieć, czy ktokolwiek usłyszał Fionę, ponieważ cała jej uwaga skupiona

była teraz na tym, co działo się w niej, w środku. Potrzeba parcia była niezwykle silna, taka pierwotna.

Udawało jej się jednak ją zwalczyć, bo lęk o dziecko był silniejszy.

A potem, przez skorupę jej skupienia przebił się odgłos, który sprawił, że serce Etain z wielkiej radości zabiło szybciej. Usłyszała stukot kopyt, uderzających mocno o ziemię ścieżki. Zza zakrętu wybiegł centaur i przykląkł przy Wybranej.

- Kochanie, wszystko będzie dobrze. Obejmij mnie teraz mocno za szyję.

Miała wrażenie, że niski, dźwięczny głos męża odpędza ból. Skurcz mijał, po krótkiej chwili przeszedł.

Etain bez słowa zarzuciła ręce na twarde jak granit mężowskie ramiona, które podniosły ją z ziemi bez najmniejszego wysiłku. Centaur zrobił kilka długich kroków i już widać było okna sypialni. Zaledwie

po kilku sekundach ostrożnie układał żonę na szezlongu. Trzymała się męża kurczowo, ale niepotrzebnie. On wcale nie miał zamiaru wypuścić ją ze swoich ramion.

- Jestem taka szczęśliwa, że tu jesteś - powiedziała, z trudem łapiąc powietrze.

Uśmiechnął się, odgarniając przepocone loki z twarzy żony.

- Jestem tam, gdzie powinienem być.

- Tak się bałam, że nie zdążysz. Nie wierzyłam, że Moira zdąży cię odnaleźć.

- To nie Moira - powiedział i musnął wargami jej usta. - Zrobiła to twoja Bogini.

Och, dziękuję Ci, Epono, dziękuję, że sprowadziłaś go tu w porę. Dziękuję, że dałaś mi go za męża...

Patrzyła przez łzy, jak jej przystojny mąż centaur poprawia poduszki, na których miała się oprzeć. Po pięciu latach małżeństwa jego siła i żywotność nadal ją zachwycaly. Jego niezwykła postać centaura.

Oczywiście, jako Najwyższy Szaman posiadał zdolność przemiany swej postaci, dzięki czemu mogli współżyć ze sobą jak małżonkowie. Ale Etain kochała go całkowicie, pod każdą postacią i nie przestawała upajać się faktem, że dzięki Bogini ktoś tak cudowny został jej mężem.

Niestety, nie zdążyła mu powiedzieć po raz kolejny, że

go kocha, ponieważ poczuła nowy skurcz. Jej jęk wezwał Uzdrowicielkę.

- Milordzie, pomóż mi ułożyć ją w pozycji do rodzenia. Trzeba ją unieść do góry.

Zrobił dokładnie to, co powiedziała Uzdrowicielka. Stał za plecami żony, wziął ją pod pachy i podciągnął w górę, żeby mogła oprzeć się o niego mocno plecami. Fiona ustawiła się po prawej stronie Etain i wzięła ją za rękę, z drugiej strony stanęła jedna z kobiet z wioski i też wzięła Etain za rękę.

Etain spojrzała na Uzdrowicielkę, która przykucnęła między jej nogami. Wtedy dotarło do niej, raczej mgliście, że jest naga.

Uzdrowicielka ostrożnie sprawdziła położenie płodu.

- Jesteś w pełni gotowa - oznajmiła. - Przy następnym skurczu przyj.

Tylko przec, nic więcej. A więc parła, a pod jej zaciśniętymi z całej siły powiekami trwała eksplozja najwspanialszych barw. Zobaczyła wielkie plamy złota i czerwieni, do uszu natomiast docierały jakieś

dziwne gardłowe dźwięki, niepodobne do dźwięków wydawanych przez człowieka. Raczej zwierzęcia. Po chwili jednak uzmysłowiła sobie, że te dźwięki wydaje ona sama.

Na jedną chwilę zabrakło jej tchu, a zaraz potem jej umysł zarejestrował ciche nucenie, docierające do niej jak przez mgłę. Nie widziała tych kobiet, ale słyszała. Śpiewana przez nie pieśń narodzin wnikała w nią, wypełniała ją całą i znów była w stanie zaczerpnąć powietrza.

- Jeszcze raz, Bogini, jeszcze raz - zachęcała Uzdrowicielka. - Widzę już główkę twojej córki!

W chwili, gdy nowy ból rozdzierał ciało Etain, usłyszała cichy szept Midhira. Modlił się, na pewno, w tym

swoim starym języku, który dla Etain był zawsze magiczny. Jego modlitwa dziwnie współbrzmiała z pieśnią narodzin. Midhir szeptał, a Etain, opanowana nowym skurczem, rozrywającym ją na pół, miała tylko przec. Bała się panicznie, ale siłę czerpała z zewnątrz, z magicznego kręgu narodzin.

Magia wsparła jej siłę woli. Skupiła się, zaczęła przec, po chwili poczuła, że uwalnia z siebie ciepłą wilgoć. Z jej ciała wyslizgnęła się jej córka. I nagle czas jakby teraz przyspieszył. Wszystko działało się tak szybko. Etain bardzo chciała chociaż raz zerknąć na swoją córkę, udało jej się jednak tylko dostrzec, jak Uzdrowicielka zawija mokre ciało w fałdy swojej spódnicy.

Kiedy stara kobieta przecinała pępowinę, trzęsły jej się ręce.

Cisza.

Midhir i Fiona podprowadzili Etain z powrotem do szezlonga.

- Dlaczego ona nie płacze?! - krzyknęła z rozpaczą Etain.

Midhir przymrużył oczy i wyraźnie zaniepokojony odwrócił się do Uzdrowicielki, która nadal siedziała skulona na podłodze nad małym tłumoczkiem.

A zaraz potem rozległ się mocny krzyk noworodka. Najśłodszy. Etain poczuła, że strach znika. Ale tylko na krótką chwilę, bo kiedy spojrzała na Uzdrowicielkę, zauważyła, że stara kobieta wyraźnie zbladła. Była czymś bardzo poruszona.

Mądre Kobiety też, bo radosna pieśń powitalna nagle ucichła.

- Midhir?

Niby pytanie, a zabrzmiało jak szloch. Centaur z prędkością, jakiej człowiek nigdy nie osiągnie, dopadł do głośno płaczącego tłumoczka. Uzdrowicielka podniosła głowę. W jej oczach była niepewność, więcej - przerażenie. Midhir ukląkł, odkrył dziecko i zamarł.

Jego potężne ciało zasłaniało noworodka. Etain nie mogła więc zobaczyć dziecka. Coraz bardziej wystraszona, starała się pokonać osłabienie, usiąść i wreszcie cokolwiek zobaczyć.

- Co tam jest? - krzyknęła rozpaczliwie. Zauważyła, jak potężnym ciałem Midhira wstrząsnął dreszcz, zaraz potem nachylił się, podniósł oseska z podłogi i odwrócił się do żony. Jego oczy błyszczały.

- Nasza córka, kochanie - powiedział głosem nabrzmiałym od wzruszenia. - Maleńka bogini!

Podszedł do Etain i ostrożnie wręczył jej teraz cichy, ale wierzgający tobolek. Wybrana Epony po raz

pierwszy spojrzała na swoje dziecko.

Pierwsza myśl, jaka przemknęła jej przez głowę, wcale nie był to szok czy zaskoczenie. Pomyślała po



prostu, że nigdy jeszcze w życiu nie widziała czegoś tak pięknego, tak nieskończenie pięknego jak jej pokryta jeszcze mazią płodową córeczka. Główka w kasztanowatych kosmyczkach, skóra jasna, ale śniada, coś pośredniego między brązem a złocistością. Jakby ktoś zmieszał kolory skóry ojca i matki. Połączana skóra dziecka kończyła się w talii. Od tego miejsca ciało pokryte było cienką warstwą włosów w kolorze tym samym, co włosy na głowie. Na kasztanowatym tle widać było białe cętki, jak u nowonarodzonego jelonka. Dziecko popiskiwało i wierzgało nóżkami, na końcu których nie było stóp, tylko małe, lśniące kopytka. Jeszcze wilgotne.

Usteczka też prześliczne. Teraz otworzyły się i wydobył się z nich pełen oburzenia krzyk.

- Ciii... mój skarbie - przemówiła słodko Etain,

całując małą twarzyczkę, zachwycająco, cudownie mięciutką. Była teraz cała miłością, miłością do swojego dziecka. - Jestem przy tobie. Nic złego się nie dzieje.

Wydawało się, że na dźwięk głosu matki oczy dziecka rozszerzyły się. Krzyk od razu ucichł.

- Elphame.

Niski głos Midhira załamywał się ze wzruszenia. Ukląkł, jedną ręką objął żonę, żeby mogła się na nim

wygodnie oprzeć, drugą ręką delikatnie dotknął dziecka.

- Elphame... - powtórzył, a cudowny głos nadawał temu słowu magiczny wymiar. Jakby wprowadzał do ich grona Królową Wrózek.

Etain spojrzała na niego przez łzy. Elphame... To imię gdzieś już słyszała. Ale gdzie? Może w jakimś śnie?

- Co to znaczy... Elphame?

Ciepłe wargi Midhira musnęły czoło żony, potem czółko córeczki.

- To bardzo stare imię, tak nazywają szamani Boginię, kiedy jest panną, kiedy wypełniona jest magią młodości, kiedy cud życia zaczyna się na nowo.

- Elphame... - powtórzyła cichutko Etain, naprowadzając głodne usteczka dziecka na swoją obolałą

pierś. - Mój skarb, mój największy skarb.

- Tak, Umiłowana - przemknął przez jej umysł głos Bogini. - Szaman dobrze wybrał imię. Powinna nazywać się Elphame. Ogłoś całemu Partholonowi, że twoja nowo narodzona córka nazywa się Elphame i też jest moją Umiłowaną.

Etain uśmiechnęła się promiennie. Podniosła głowę i głosem niezwykle silnym, bo spotęgowanym przez moc Epony wypowiedziała radosne słowa:

- Raduj się, Partholonie! Narodziny naszego dziecka to dar godzien Bogini! - Jej wzrok przemknął po twarzach

otaczających ich kobiet, stojących nieruchomo i spoczął na zalanej łzami twarzy ojca dziecka. - Jej imię jest Elphame! Jest prawdziwą boginią, małą, przepiękną, jest wyjątkowa!

Kiedy Wcielenie Bogini wygłosiło swoje oświadczenie, w powietrzu dookoła dał się wyczuć jakiś ruch, gwałtowny, jakby trzasnęła błyskawica. Zaraz potem powiał wiatr i odsunął na bok cieniutkie złociste zasłony, wpuszczając do pokoju świeże, pachnące i ciepłe powietrze - i nagle wszyscy zostali otuleni cieniutką chmurą z delikatnych skrzydeł. Setki barwnych lśniących motyli, trzepocząc, unosiło się wokół nich, nad nimi i wachlowało ich, zachwycając swoją magią.

- Dziękuję, Epono! - zawołała Etain, zachwycona tym przejawem radości i zadowolenia Bogini.

Kobiety zaczęły nucić i obracać się dookoła, najpierw powoli, potem coraz szybciej, rozpoczynając radosny obrzęd powitania nowo narodzonego dziecka w Partholonie.

Etain wypoczywała w ramionach męża, tulącego do twardej, mocnej piersi całą swoją rodzinę.

- Magia młodości. Cud nowego życia... - szepnęła, wpatrzona w córeczkę. Nie chciała przeoczyć ani jednego oddechu małości, ani jednego ruchu. Jednocześnie palce matki pieszczotliwie przesuwają się po małej postaci. Dotknęły niezwykle nóżek, poznały dokładnie kształt małych kopytek.

Dziewczynka-satyr? Nie, niemożliwe, nie ma w niej nic z kozy. Jest zbyt delikatna, zbyt pięknie ukształtowana, nie ma w niej nic na podobieństwo bożka Pana. Po prostu jest cudownym połączeniem człowieka, centaury i bogini.

Znów fala zachwytu przepłynęła przez Etan, z gardła wydobył się perlisty śmiech.

Midhir w odpowiedzi delikatnie uścisnął jej ramię.

- Dla mnie ona jest też czymś cudownym.

Etain pokiwała głową, zgadzając się z nim całkowicie i śmiejąc się jeszcze głośniejszym, pogłaskała jedno z maleńkich kopytek Elphame.

- Tak, dla mnie też. Ale teraz śmieję się, bo coś sobie przypominałam. Czasami, kiedy kopała mnie bardzo mocno, żartowałam sobie, że moje dziecko chyba już tam, w moim brzuchu, ma na nóżkach buciki. A teraz wiem już, dlaczego mnie tak bolało.

Znów zaśmiała się, Midhir zawtórował. Oboje upajali się magią ich nowo narodzonej córki.

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Siła. Nic nie smakuje jak ona, nawet najlepsza czekolada w całym Partholonie. Nawet piękno idealnego wschodu słońca. Nawet... Nie, to nie, przecież o tym nie miała żadnego pojęcia... Elphame potrzęsnęła głową, zmuszając swoje myśli, by pobiegły innym torem. Przecież biegła. Silny, porywisty wiatr szarpał ją za włosy, długie kosmyki opadały na twarz. Żałowała, że nie związała włosów w kitkę. Zwykle tak robiła, ale dziś chciała, żeby były rozpuszczone, chciała poczuć ich ciężar. A poza tym, co tu ukrywać, lubiła, kiedy powiewały jak płomienisty ogon meteora.

Mniejsza koncentracja, krok mniej pewny. Dlatego

kazała swoim myślom przestać błądzić. Żeby osiągnąć odpowiednią prędkość, trzeba się skupić. Poza

tym, chociaż na polu, po którym biegła, dołów, kamieni i przeszkód innego rodzaju było bardzo niewiele, i tak trzeba uważać. Bardzo łatwo złamać nogę, wystarczy jeden nieostrożny krok. Przez całe swoje życie Elphame wierzyła przede wszystkim w rozsądek, unikając jak ognia wszystkiego, co głupie i lekkomyślne. Zwyczajni ludzie mogą pozwolić sobie na codzienne, zwyczajne błędy, na odrobinę szaleństwa. Ale nie Elphame, ktoś, na kogo wystarczyło spojrzeć, by wiedzieć, że została naznaczona przez Boginię i dlatego zawsze trzymano ją z daleka od wszystkiego, co uważane było za

codzienne i zwyczajne.

Elphame pogłębiła oddech i zmusiła górną połowę ciała do odprężenia. Napięcie tylko w dolnych partiach, tak ma być, powtórzyła sobie w duchu. Cała reszta rozluźniona, niech robotę wykonuje najsilniejsza część twego ciała.

Kiedy zebrała się w sobie i wyprysnęła do przodu, jej zęby błysnęły w uśmiechu dzikim, prawie bezlitosnym. Uwielbiała, kiedy sploty mięśni w nogach odpowiadały na jej wyzwanie, kiedy ręce pompowały powietrze bez żadnego wysiłku, kiedy kopyta wgrzyzały się w miękki zielony dywan młodego pola.

Była szybsza niż człowiek. O wiele szybsza.

Wymagała od siebie więcej niż zrobiłby to zwyczajny człowiek, a jej ciało spełniało jej żądania z siłą większą niż siła człowieka. Na długich dystansach może i nie była tak szybka jak centaur, ale w sprincie bardzo niewielu centaurom udawało się ją prześcignąć, co jej brat wręcz z lubością podkreślał

na każdym kroku. Poza tym wiedziała, że jeszcze trochę ciężkiej pracy i nikt nie będzie w stanie jej pokonać. Ta myśl była prawie tak samo satysfakcjonująca jak wiatr na jej twarzy.

Kiedy poczuła w mięśniach żar, zignorowała to, wiedząc doskonale, że musi po prostu przebrnąć przez moment zmęczenia mięśni. Zaczęła jednak biec teraz pod kątem, zataczając koło, żeby wrócić do miejsca, skąd wystartowała.

Ale nie na zawsze, na pewno nie na zawsze. Taką złożyła sobie w duchu obietnicę i przyspieszyła kroku.

- Bogini... - szepnęła niemal z czią Etain, obserwując swoją córkę. - Jaka ona piękna! Czy ja kiedykolwiek do tego przywyknę?

W jej głowie zamigotało, jak zwykle, kiedy przemykał przez nią głos Epony:

- Ona jest kimś wyjątkowym, Umiłowana.

W środku kępy drzew, rosnących na końcu pola, ściągnęła wodze. Siwa klacz zatrzymała się,

wykręciła łeb i postawiła uszy. Taki koński sposób zadawania pytań jeźdźcowi. A Etain wiedziała, że

jej klacz, końskie wcielenie Bogini Epony, istotnie ją pyta i należy się wytłumaczyć.

- Ja po prostu chcę sobie na nią popatrzeć. Czworonoga Bogini parsknęła.

- Wcale jej nie szpieguję! - zaprotestowała oburzona Etain. - Jestem jej matką! Mam prawo się przyglądać, jak moja córka biega!

Klacz rzuciła łbem, na znak, że wcale nie jest tego taka pewna.

- A właśnie, że mam! - oświadczyła Etain i szarpnęła za wodze. - A ty okazuj mi więcej szacunku, bo następnym razem zostaniesz w świątyni!

Klacz skomentowała to kolejnym parsknięciem, Etain nie kontynuowała już dialogu, poprzestając na kąśliwej uwadze na temat gderliwych starych stworzeń. Naturalnie, zrobiła to cichusieńko, żeby klacz nie dosłyszała, a potem osłoniła ręką oczy przed słońcem i dalej patrzyła na córkę.

Elphame rozwinęła ogromną prędkość, tak ogromną, że dolne partie jej ciała zamazywały się przed oczyma matki. Lekko pochylona biegła wyjątkowo zręcznie, z ogromnym wdziękiem. Wydawało się, że frunie nad bujnymi młodymi zielonymi pędami pszenicy, budząc, jak zawsze, zachwyt matki.

- Cudowne połączenie człowieka z centaurem - szepnęła Etain do klaczy, która znów nadstawiła uszu.

- O, Bogini, jesteś nieskończenie mądra...

Elphame zakończyła bieg po wyimaginowanym okręgu i zaczęła kierować się ku zagajnikowi, gdzie czekała jej matka. Biegła tam w purpurowym blasku zachodzącego słońca, jej piękne ciemnokasztanowe włosy przybrały teraz barwę ognia.

- Prosty włos na pewno nie odziedziczyła po mnie - powiedziała Etain do klaczy, zaczesując sobie za ucho jeden z niesfornych loków. Klacz zastrzygła lewym uchem, Etain dokończyła: -

Owszem, te czerwone refleksy ma po mnie. Ale jeśli chodzi o włosy, to tylko to.

Po matce Elphame odziedziczyła także kształt oczu i ich wielkość - były ogromne i okrągłe - oraz wysoko osadzone kości policzkowe. Ale kolor oczu, ciemnobrązowych, prawie czarnych, miała po ojcu. Natomiast cała reszta była absolutnie jedyna w swoim rodzaju. Pod względem budowy może i nie była tak do końca unikatem, ale uroda tego ciała była niezwykła. Coś tak pięknego mogło być tylko dziełem samej Bogini,

Elphame zwolniła krok, kierując się dokładnie ku miejscu, gdzie czekała matka.

- Pokażemy się jej - zdecydowała Etain, informując o tym klacz. - Bo jeszcze gotowa pomyśleć, że schowałyśmy się tutaj, żeby ją podglądać.

Kiedy klacz wysuwała się spośród drzew, Elphame, jak zwykle czujna, natychmiast spojrzała w stronę

zagajnika. Na widok matki rozpromieniła się.

- Mamo! - zawołała, machając do niej na powitanie. - Może dołączycie do mnie? Pobiegnę jeszcze kawałek, powolutku, żeby ochłonać!

- Oczywiście, kochanie! - odkrzyknęła matka. - Ale proszę, naprawdę zwolnij. Wiesz, że klacz posunęła się już w latach...

Nie dokończyła, bo rzekomo niedołączna z powodu starości klacz z miejsca ruszyła żwawym galopem i zrównała się z Elphame.

Elphame wybuchnęła śmiechem.

- Och, Mamo! Wy obie nigdy nie będziecie stare!

- Ona się tylko tak przed tobą popisuje - oświadczyła Etain, jednocześnie czule wicherząc jedwabistą grzywę klaczy.

- Tylko ona? - spytała Elphame, spoglądając znacząco na błyszczącą biżuterię matki i na jej strój do konnej jazdy, z cieniutkiej jasnej skóry i uwodzicielsko obcisły, podkreślający tym nadal idealną figurę.

- El, wiesz przecież, że noszenie tych klejnotów ma dla mnie wymiar duchowy - powiedziała matka

głosem Umiłowanej.

Córka skrzywiła się.

- Wiem, wiem, Mamo.

Klacz parsknęła, zdecydowanie sarkastycznie, w rezultacie i matka i córka, podążając przed siebie, zanosili się od śmiechu.

- Gdzie ja zostawiłam moje ubranie? - mruzczała kilka

chwil później Elphame, rozglądając się po zagajniku. - Może tam? Nie. Chyba położyłam je na tamtym pniu.

Etain patrzyła, jak jej córka w poszukiwaniu swojego ubrania przechodzi przez pień przewalonego drzewa. Teraz Elphame miała na sobie tylko skórzany top bez rękawów, przylegający ściśle do jej pełnych piersi. Biodra przepasane były płóciennym pasem, zasłaniającym umięśnione pośladki. Na biodrach pas podsuwał się w górę, z przodu opadał, przechodząc w trójkąt. Etain sama wymyśliła ten strój niekrępujący ruchów, co pomagało Elphame rozwijać szybkość przekraczającą możliwości człowieka, a jednocześnie zakrywało to, co nie powinno być wystawiane na pokaz. Bo Elphame, oprócz błyszczącej sierści od pasa w dół i kopyt, zbudowana była jak wszystkie kobiety. Ten strój nakładany był tylko do biegania, choć kobiety w Partholonie z reguły ubierały się skąpo, z dumą pokazując swoje wdzięki. Etain podczas obrzędów odsłaniała piersi, by podkreślić miłość Epony do kobiecych kształtów. Elphame jednak na co dzień spowijała się w długie, powiewające szaty, pomna,

że widok nóg zakończonych kopytami dla przeciętnego śmiertelnika jest szokującym widokiem.

Nienawidziła tych przerażonych spojrzeń ludzi na widok Wybranej w sposób tak oczywisty dotkniętej

przez Boginię. Dlatego swoje długie, owiewające ją szaty zamieniała na skąpy strój tylko wtedy, gdy biegała, a biegała zwykle sama, z dala od świątyni.

- O! Już znalazłam! - zawołała Elphame zza przewalonego pnia. Nachyliła się i podniosła z ziemi

cienkie płótno, farbowane na piękny szmaragdowy kolor i zaczęła owijać nim swoją szczupłą talię.

Oddychała już normalnie, cienka warstwa potu na pokrytych delikatnym puszkciem ramionach znikła.

Była przepięknie zbudowana. Gładka, lśniąca, wysportowana. W jej wyrzeźbionym perfekcyjnie ciele

nie było nic męskiego, surowego. Brązowa skóra lśniła jak jedwab, sama prosiła się, żeby jej dotknąć.

A kiedy jej się dotknęło, człowiek zdawał sobie sprawę, ile siły kryje się w mięśniach obciągniętych żywym jedwabiem.

Niewielu ludzi ośmieliło się dotknąć młodej bogini.

Była wysoka, prawie metr osiemdziesiąt, wyższa od matki o kilka centymetrów. Dojrzewała wcześniej, jej postać i ruchy były wtedy trochę niezręczne, harmonia jednak powróciła, kiedy przeistoczyła się w kobietę. Od pasa w dół była perfekcyjnym połączeniem człowieka i centaury.

Piękna i ponętna jak kobieta, silna i zręczna jak centaur.

Etain uśmiechnęła się do córki, którą od chwili narodzin darzyła najgorętszą, matczyną miłością.

- Wcale nie musisz tego nosić, El.

Była pewna, że tylko tak sobie pomyślała. Ale nie, bo córka poderwała głowę.

- Muszę - powiedziała krótko, głosem, podobnie jak u matki, stwardniałym od tłumionych emocji. -

Co innego ty, co innego ja. Oni patrzą na mnie inaczej niż na ciebie.

- Jak patrzą? A może ktoś powiedział ci coś przykrego? Powiedz, kto, a odczuje on na własnej skórze gniew bogini!

Oczy Etain ciskały zielone błyskawice, a głos Elphame, kiedy odpowiadała matce, był idealnie bezbarwny. Bez śladu emocji.

- Oni nie muszą mi niczego mówić, Mamo.

- Skarbie mój... - Gniew znikł z oczu matki, była tam tylko czułość. - Wiesz, że wszyscy bardzo cię kochają. Wszyscy...



- Nie! - Elphame podniosła rękę, dając znak matce,

żeby jej nie przerywała. - Oni kochają ciebie, Mamo, a mnie darzą tylko czią. To nie to samo.

- Jesteś pierworodną Umiłowanej Epony, El. Jesteś wyjątkowo obdarowana przez Eponę, to normalne, że oddają ci cześć...

Klacz, wyczuwając wzburzenie Elphame, trąciła aksamitnymi chrapami jej nagie ramię. El pogłaskała

konia po lśniącej szyi i spojrzała znów na matkę.

- Jestem inna, Mamo. Niezależnie od tego, jakbyś nie pragnęła dopasować mnie do tutejszej rzeczywistości, niczego to nie zmieni. Zawsze będę inna, dlatego muszę stąd odejść.

Serce matki ścisnęło się z bólu, ale zmusiła siebie do milczenia, pozwalając córce mówić dalej.

- Jestem traktowana jak ktoś obcy, ktoś nie stąd. Co wcale nie znaczy, że ludzie źle mnie traktują, nie

- dodała szybko, przytulając się policzkiem do srebrzystego czoła klaczy. - Ale stronią ode mnie,

jakby bali się, że kiedy podejda, dotkną mnie, rozpadnę się na tysiąc kawałków. Jestem dla nich

posągiem, który jakimś cudownym sposobem ożył. A posągów się nie kocha, prawda, Mamo? Tylko

ustawia się w zaszczytnym miejscu i dba się o nie. Ale się nie kocha.

- Ale ja kocham ciebie - powiedziała Etain zdławionym głosem.

- Mamo! Przecież wiem! - Elphame poderwała głowę i przechwyciła spojrzenie matki. - Ty mnie

kochasz i tata, i Cuchulainn, i Finegas, i Arianrhod. Musicie mnie kochać... - po twarzy Elphame

przemknął uśmiech - bo jesteśmy jedną rodziną. Ale nawet nasi strażnicy, którzy ciebie czczą,

uwielbiają i bez wahania oddaliby życie za każdego z nas, mnie uważają za coś absolutnie nietykalnego.

Klacz zrobiła krok do przodu, El oparła się o jej bok. Etain najchętniej objęłaby teraz córkę, ale

wiedziała, że to bezcelowe. El natychmiast by zeszywniała i burknęła, że już od dawna nie jest

dzieckiem. Dlatego pogłaskała ją tylko po lśniących, jedwabistych włosach, pragnąc najgoręcej, żeby

Epona poprzez jej ręce zesłała El ukojenie.

- Chciałaś ze mną porozmawiać, Mamo, czy tak? - spytała cicho El. - Dlatego tu na mnie czekałaś?

- Tak - odparła szczerze matka. - Chciałam jeszcze raz spróbować wyperswadować ci ten pomysł z wyjazdem. El, kochanie, dlaczego nie zostaniesz tutaj, żeby kiedyś zająć moje miejsce?

Córka natychmiast odsunęła się od konia, wyprostowała i zaczęła energicznie potrząsać głową. Ale Etain z uporem mówiła dalej:

- Rządzę od dawna, to był czas obfitujący w wielkie wydarzenia. Jestem gotowa się wycofać.

- Nie! - zaprotestowała stanowczym głosem Elphame, która na samą myśl o tym, że miałyby zająć miejsce matki, wpadała w panikę. - Wcale nie jesteś gotowa, Mamo! Spójrz na siebie! Wyglądasz na osobę o wiele młodszą, o dziesięć, dwadzieścia lat! Kochasz wszystkie obrzędy związane z Eponą, a ludzie chcą, żebyś to ty je odprawiała. Nie wolno ci też zapominać o tym, co najważniejsze. Świat duchów jest przede mną zamknięty. Nigdy nie słyszałam głosu Epony, nigdy nie poczułam jej dotknięcia, nigdy nie poczułam żadnej magii!

- Ale Epona często rozmawia ze mną o tobie - powiedziała cicho Etain, głaszcząc córkę po policzku.  
-

Jeszcze zanim się urodziłaś, już troszczyła się o ciebie.

- Wiem, że Bogini mnie kocha, ale ja nie jestem jej Pierwszą Wybraną.

- Jeszcze nie - powiedziała matka.

Elphame nie odezwała się, tylko oparła o ciepłą, tak doskonale znajomą szyję kłaczy.

- Elphame, ja nadal tak do końca nie rozumiem, dlaczego musisz stąd odejść.

- Mamo! - Elphame odwróciła się, żeby spojrzeć matce prosto w twarz. - Mówisz tak, jakbym wybierała się na drugi koniec świata!

Rozzłościła się. I tak bardzo przypominała wtedy swego ojca...

Po twarzy Etain przemknął uśmiech, ale uśmiech bardzo gorzki. Była bardzo oddana swoim dzieciom od chwili, gdy pojawiły się na świecie. Wszystkie już dorosły, charaktery miały ukształtowane - a matce tak trudno było wypuścić je spod swoich skrzydeł. Wolałyby mieć je zawsze przy sobie. Ich

obecność dawała tyle radości, dostarczała tylu powodów do dumy...

- Mamo! Posłuchaj... - El mówiła teraz powoli, bardzo wyraźnie, pragnąc, by do matki dotarło każde słowo. - Nie wiem, Mamo, dlaczego tak bardzo przeżywasz mój wyjazd. Przecież nie po raz pierwszy

będę poza domem. Kiedy uczyłam się w Świątyni Muzy, wcale nie rozpaczałaś.

- Ale to było coś całkiem innego. Nie wyobrażałam sobie, żebyś nie pobierała nauk w Świątyni Muzy,

gdzie wykształciły się wszystkie najwybitniejsze kobiety z Partholonu. Teraz uczy się tam nasza

Arianrhod... - Etain uśmiechnęła się z wielką satysfakcją. - Obie moje córki są wyjątkowe i to też między innymi powód, dlaczego chcę je mieć blisko siebie.

- Gdybym wyszła za mąż, i tak musiałabym zamieszkać w domu męża.

W głosie El nie słychać już było rozdrażnienia, tylko znużenie.

- Mówisz to takim tonem, jakbyś nigdy nie miała wyjść za mąż, El. A przecież jesteś jeszcze bardzo młoda. Masz przed sobą wiele, wiele lat życia.

- Mamo! Proszę, nie kłóćmy się wciąż o to samo. Dobrze wiesz, że nikt się ze mną nie ożeni. Bo nie ma nikogo takiego jak ja i nikt nie ma ochoty być z boginią aż tak blisko!

- Twój ojciec mnie poślubił. Uśmiech El był bardzo smutny.

- Ale ty jesteś człowiekiem, Mamo. Od stóp do głów. A poza tym Wielki Szaman centaurów zawsze jest towarzyszem życia Umiłowanej Epony. Tata został stworzony po to, by ciebie kochać, dla niego to normalne. A jeśli chodzi o mnie... Jest oczywiste, że zostałam naznaczona przez Boginię, nie jestem jednak jej Wybraną. Epona wcale nie skłania żadnego szamana centaury, by został moim towarzyszem

życia. Sądzę zresztą, że żaden mężczyzna, żaden centaur nie został stworzony, by mnie pokochać, tak jak Tata kocha ciebie.

- Och, mój Jelonku! - Głos Etain załamał się, kiedy pod wpływem wzruszenia bezwiednie użyła tego

pieszczotliwego przydomka z dzieciństwa. - Nie wierzę! Epona nie jest okrutna. Na pewno ktoś jest ci

przeznaczony, tylko jeszcze cię nie odnalazł.

- Może. I może właśnie dlatego powinnam stąd wyjechać i poszukać go gdzie indziej.

- Ale dlaczego właśnie tam? Wcale mi się nie podoba, że jedziesz właśnie tam.

- Dlaczego, mamó? W końcu to tak samo dobre miejsce, jak każde inne. Stary zamek, który popadł w ruinę i najwyższy czas go odbudować. Pamiętasz, jak na dobranoc opowiadałaś mi różne stare historie? Mówiłaś, że to miejsce kiedyś było bardzo piękne.

- Tak. Dopóki nie zakradło się tam zło i miejsce to nie stało się miejscem rzezi.

- Ponad sto lat temu. Zło już odeszło, a zmarli mnie nie skrzywdzą.

- A ja wcale nie jestem tego taka pewna!

- Mamó... - El wzięła matkę za rękę. - MacCallan jest moim przodkiem. Dlaczego jego duch miałby wyrządzić mi krzywdę?

- Podczas rzezi w zamku MacCallana zginęło wielu ludzi. Nie tylko Przywódca Klanu, także wielu dzielnych, szlachetnych wojowników, którzy oddali za niego swoje życie. Dobrze wiesz, co mówią ludzie o tym zamku. To przeklęte miejsce. Od prawie stu lat nikt nie ośmielił się wejść na tamtejszą ziemię, a co dopiero zamieszkać w zamku!

- Ale ty, Mamó, odkąd sięgnę pamięcią, zawsze czuwałaś nad świątynią MacCallana i jej wiecznym ogniem! Pamięć o MacCallanie jest przez nas pielęgnowana, mimo że jego klan już nie istnieje.

Dlaczego więc jesteś tak zaskoczona, że chcę odbudować jego zamek? Przecież, pomijając wszystko, w moich żyłach płynie też jego krew!

Etain nie odpowiedziała od razu. Przez krótką chwilę rozważała możliwość okłamania córki. Mogła przecież powiedzieć, że sama Bogini przekazała jej, że zamek jest przeklęty. Mogła, ale kłamstwo nie

wchodziło w grę. Matka i córka bardzo się kochały i bezgranicznie ufały sobie nawzajem. A tego

Etain nie zamierzała ani psuć, ani wykorzystywać w jakiś sposób. Poza tym nigdy by nie potrafiła skłamać na temat tego, co przekazuje jej Epona.

- Nie wierzę, El, że duch MacCallana mógłby cię skrzywdzić, ale jest całkiem prawdopodobne, że w starym zamku mieszkają inne, niespokojne duchy. Co do klątwy, to przyznaję, że to tylko bajka, jaką opowiada się, żeby

nastraszyć niegrzeczne dzieci. Aleja i tak nie mam żadnej gwarancji, że będziesz tam bezpieczna.

Poza tym, El, ja kompletnie nie rozumiem, dlaczego chcesz jechać tam już teraz, razem z robotnikami, którzy będą odbudowywać te ruiny. Nie możesz poczekać, aż zamek zostanie odbudowany, a przynajmniej do chwili, kiedy roboty będą już na ukończeniu?

Elphame westchnęła sobie w duchu. Cała Mama! Wybrana Epony przywykła do życia w luksusie, otoczona liczną służbą. Nie była w stanie zrozumieć, dlaczego jej córka nie boi się pobrudzić sobie rąk i żyć przez jakiś czas w prymitywnych warunkach.

- Chcę być tam od samego początku, Mamo, chcę, by na moich oczach i przy moim udziale przywrócono zamkowi MacCallana dawny blask. Chcę faktycznie odbudować go sama i zostać panią tego zamku i tej ziemi. Bo chcę mieć coś swojego, rozumiesz? Jeśli nie mogę mieć męża ani swoich własnych dzieci, to niech mam chociaż swoje królestwo. Mamo, proszę, zrozum to i daj mi swoje błogosławieństwo!

W oczach El było teraz błaganie.

- Ja po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa, mój kochany Jelonku.

- A to właśnie uczyni mnie szczęśliwą. Naprawdę wiem, co robię, Mamo. Proszę, zaufaj mi.

W głowie Etain zamigotało, głos Bogini zadźwięczał w uszach.

- Musisz jej na to pozwolić, Umiłowana. Zaufaj jej, niech sama idzie ku swemu przeznaczeniu. Zaufaj też mi, Umiłowana. Będę nad nią czuwać.

Etain zamknęła oczy. Głos Bogini był taki łagodny, ale serce i tak bolało, jakby ktoś wbił w nie ostrze noża. Przez długą jeszcze chwilę zrozpaczona matka biła się ze

swoimi myślami, z poczuciem straty. Potem nabrała głęboko powietrza, otworzyła oczy i otarła ręką policzki, nagle mokre.

- Ufam ci, El. Masz moje błogosławieństwo. Zawsze je będziesz mieć.

Twarz Elphame natychmiast przeszła metamorfozę. Znikł smutek, niestety goszczący tam zbyt często.

Rozpromieniona Elphame wyglądała bardzo młodo, tak młodo, że matkę znów zakłulo w sercu.

- Dziękuję, Mamo. Jestem przekonana, że takie jest moje przeznaczenie. A ty po prostu poczekaj cierpliwie. Pewnego dnia zobaczysz na własne oczy, jak zamek MacCallana znowu zatętni życiem!

Rozradowana Elphame uścisnęła z całej siły srebrzystą szyję klaczy.

- Wracajmy! Muszę skończyć się pakować. Wyjeżdżam przecież jutro, skoro świt.

Elphame, z łatwością dorównując kroku klaczy, cały czas mówiła z wielkim ożywieniem. Matka tylko

potakiwała głową, nie była jednak w stanie skupić się na tym, co mówiła córka. Bo już czuła ciężar rozłąki, już w jej duszy nagle powstawała czarna dziura. Złowroga i choć ten wiosenny wieczór był bardzo ciepły, Etain czuła, jak od karku w dół przebiega po jej grzbiecie lodowaty dreszcz.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

- Cu, czy mógłbyś mi przypomnieć, dlaczego ja właściwie się zgodziłam, żebyś jechał ze mną?

Elphame, zerkając na brata, konsekwentnie przyspieszała kroku, starając się zrobić to jak najbardziej dyskretnie. A musiała to zrobić, Cu bowiem śpiewał. Darł się na całe gardło, aktualnie wykonywał

pięćsetną chyba zwrotkę sprośnej marszowej piosenki. Te niekończące się pienia wbijały się Elphame

w prawą skroń, opanowując już i tak obolałą głowę. W rezultacie prawie już żałowała, że to za jej namową ona i brat podróżują osobno, odłączeni od reszty ludzi, podążających do zamku MacCallana.

Wielki izabelowaty wałach, na którym jechał Cu, odruchowo przyspieszył, by zrównać się z sunącą długimi krokami Elphame. Śpiew nagle umilkł i do uszu Elphame dotarł teraz głośny, serdeczny śmiech brata.

- Jadę jako twój obrońca, siostró moja!

Elphame prychnęła, dokładnie w taki sposób, jaki nie przystoi damie.

- Mój obrońca?! Daruj sobie. Jedziesz, bo chcesz trochę odpocząć od ugania się za dziewczynami ze świątyni. Zawsze sobie jakąś upatrzysz, i tu, i tam.

- Fantazjujesz, siostrze moja! Stanowczo za dużo czasu spędzasz nad książkami z biblioteki matki. Bo przede wszystkim to ja nie uganiam się za dziewczętami...

- ... tylko za kobietami. Wiem, wiem. Zaraz też mi przypomnisz, że nie musisz się za nimi uganiać...

- Bo to prawda.

- Niech będzie. W każdym razie ja spodziewałam się, że zostaniesz w domu, pragnąc powitać... -

Elphame odchrząknęła i odrzuciła włosy w tył, znakomicie naśladowując ruchy i głos matki - piękną córkę pana na zamku Woulff, która zatrzyma się w Świątyni Epony w drodze do Świątyni Muzy, gdzie zamierza pobierać nauki.

Cuchulainn zacisnął mocno usta i Elphame na moment pożałowała, że zaczęła z nim się drażnić. Ale brat, człowiek wyjątkowo pogodny, wzruszył tylko ramionami i uśmiechnął się.

- Ona nazywa się Beatrice, siostrze moja. Czy potrafisz wyobrazić sobie kogoś, kto ma na imię Beatrice, a nie ma wysokiego czoła i królewskiej postawy?

- Na pewno jest bardzo ładna.

- Ładna? Przede wszystkim szeroka w biodrach, zdolna urodzić gromadę dzieci!

- A więc o to chodzi...

Brat i siostra wymienili znaczące spojrzenia.

- Będę szczęśliwa, kiedy Arianrhod i Finegas osiągną odpowiedni wiek i Mama wreszcie zacznie ich swatać

- oznajmiła El, a Cuchulainn westchnął.

- Tego lata naszym bliźniakom stuknie osiemnastka, czyli Matka zacznie szaleć dopiero za trzy lata.

- Ale zacznie! Biedne dzieciaki. - El zerknęła na Cu.

- Wiesz, zaczynam żałować, że kiedy byliśmy dziećmi, nieraz dawaliśmy im porządnie w kość.

Cuchulainn zaśmiał się.

- A tak! Bo w rezultacie wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Matka żadnemu z nas nie popuści!

Elphame uśmiechnęła się tylko i ponownie przyspieszyła kroku, wysuwając się przed brata. Z konieczności, bo ścieżka w tym miejscu była bardzo wąska. Szła i rozmyślała o tym, o czym sobie przed chwilą pogadali. O tym, że jej sytuacja jest jednak niestety inna niż reszty rodzeństwa, Cuchulainna i bliźniaków. Oni byli ludźmi. Tylko ludźmi. Atrakcyjnymi, utalentowanymi istotami rodzaju wyłącznie ludzkiego.

Ona, Elphame i młodszy o półtora roku Cuchulainn byli do siebie bardzo podobni, można było nawet wziąć ich za bliźniaków. Elphame uśmiechnęła się niewesoło. Bliźniaków - ale tylko od pasa w górę.

Cuchulainn, tak jak El, miał wysoko osadzone kości policzkowe, rysy twarzy mieli podobne, ale u Elphame rzeźbione delikatnie, a u Cuchulainna twarde, męskie. Jej broda - po matce - uniesiona była zawsze buntowniczo, co po niej, starszej siostrze, wziął Cuchulainn. Jego broda też miała tendencję do unoszenia się, nadając twarzy uparty i dumny wyraz. Dodatkowo ozdobiona była uroczym dołkiem.

Brat i siostra różnili się kolorytem. Oczy siostry były

prawie czarne, włosy ciemnokasztanowe. A oczy brata miały kolor niezwykły, coś pośredniego między niebieskim i zielonym. Gęste włosy koloru słomy były bardzo niepokorne, dlatego Cu strzygł się na krótko i zaczesywał włosy gładko w tył. Co bardzo się nie podobało matce, która nie rozumiała, dlaczego Cu nie zapuszcza włosów, jak każdy porządny wojownik.

Ale Cuchulainn, syn Midhira, Wielkiego Szamana i Wodza Wojowników Centaurów, nic sobie z tego nie robił. Wcale nie musiał wyglądać jak „porządny wojownik”, on po prostu nim był. Nosił imię jednego ze starożytnych bohaterów Partholonu i niezależnie od długości włosów wyglądał i postępował bardzo adekwatnie do tego imienia. Wysoki, dobrze zbudowany, zwyciężał w turniejach i

był najlepszym szermierzem ze wszystkich ludzi w Partholonie. Nikt też ze zwykłych ludzi nie był w



stanie pokonać go w łucznictwie. Elphame nieraz słyszała, jak dziewczęta, wzdychając do niego, szeptały między sobą, że Cuchulainn absolutnie musi być wcieleniem tamtego Cuchulainna ze starożytności.

Cu nigdy nie brakowało towarzystwa kobiet. Po prostu nie znalazł sobie jeszcze towarzyszki życia.

Ładnie wykrojone usta Elphame drgnęły od powstrzymanego śmiechu.

- Chociaż stara się, jak może - mruknęła zjadliwie. A potem posmutniała. Bo z nią, oczywiście, było całkiem inaczej. Cu, bardzo wyrobiony, zawsze czarujący wobec płci przeciwnej, miał wielkie doświadczenie, a Elphame żadnego. Nie poznała nawet jeszcze smaku pierwszego pocałunku.

Arianrhod i Finegas, zwani przez starsze rodzeństwo Małymi Uczonymi, nie mieli żadnych problemów ze znalezieniem partnerów do księżycowych obrzędów. Nie

byli tak wysportowani, jak Cu i Elphame, ale niewątpliwie wyrastali na inteligentnych, pewnych siebie ludzi. Podobni byli do siebie jak dwie krople wody, różniła ich tylko płeć. Bardzo urodziwi.

Arianrhod była w tym samym stopniu ładna, co Finegas przystojny.

Ścieżka, wiodąca przez stary las, skręcała w prawo. Zrobiła się szersza i Cuchulainn, pogoniwszy swego wałacha, znów zrównał się z siostrą.

- Ona przypomina mi naszą Mamę - powiedziała nagle El.

- Kto? - spytał wyraźnie zaskoczony Cu.

El spojrzała na niego z niesmakiem. Była przeświadczona, że brat odgaduje jej myśli. Kiedy mu się to

nie udawało, zawsze było to dla niej przykrą niespodzianką.

- Jak to, kto? Arianrhod! Dlatego chłopcy już wypatrują za nią oczy, a ona ma ich za nic. Tak przynajmniej było dotychczas, ale może coś się zmieniło podczas pierwszego jej semestru w Świątyni Muzy.

Koło turkusowych oczu brata pojawiły się zmarszczki. Uśmiechnął się.

- Arianrhod i tak zawsze będzie chodziła z głową w chmurach.

- Astronomia i astrologia są nierozzerwalnie związane z bóstwami losu, mojrami. Dlatego dogłębne przestudiowanie tych dziedzin nauki jest bardzo rozsądne - wygłosiła El, znakomicie naśladowując głos młodszej siostry.

Cu zaśmiał się.

- Nasza Mała Uczona! Dla niej ważne są tylko książki, ale może właśnie ta jej obojętność będzie prowokować chłopaków i nie dadzą jej spokoju. Bo Fin jest już na jak najlepszej drodze. Dziewczęta wzdychają do niego, choć wąż dopiero zaczyna mu się sypać.

- Arianrhod, choć niby taka obojętna i niedostępna, na pewno podoba się wszystkim... - powiedziała cicho Elphame, powiedziała to tak, że brat natychmiast spojrzał na nią baczniej.

- El? Czy z tobą wszystko w porządku?

- Oczywiście - odparła, unikając jego wzroku.

- Tam, dokąd jedziemy, będzie całkiem inaczej, Jelonku.

- Wiem.

Spojrzała gdzieś w dal, ponad jego ramieniem, potem szybko w bok. Brat nie powinien zobaczyć, jak podejrzenie lśniące są teraz jej oczy.

- Nie, nie wiesz, El. Bo mi chodzi o coś bardzo konkretnego.

Powiedział to z taką powagą, że Elphame natychmiast zwolniła kroku.

- W zamku MacCallana znajdziesz to, czego pragniesz, El. Miałem Przeczucie.

Słowa brata, tak bardzo przecież istotne, zawisły w pachnącym wiosennym powietrzu. Wiedziała dokładnie, o co mu chodzi. Ona była pierwородną córką Wcielenia Bogini, dlatego została naznaczona przez Eponę. Cuchulainn natomiast był pierwородnym synem Szamana, dlatego już od najmłodszych lat po prostu pewne rzeczy wiedział. Kiedy był dzieckiem, wyjaśnił siostrze, że to jest tak, jakby słyszał słowa ukryte w wietrze. Czasami ten wiatr podpowiadał mu, gdzie znaleźć jakąś

zagubioną rzecz, czasami mówił, kiedy w Świątyni pojawi się gość. Czasami był posłańcem bardzo złych wiadomości. Przepowiadał śmierć ukochanego dziecka albo złamanie przysięgi krwi.

Ta nadnaturalna umiejętność przerażała młodego Cuchulainna. Nie był to wróg, którego mógł pokonać siłą swoich mięśni lub dzięki bystrości umysłu wyprowadzić w pole. Było to coś nieuchwytnego, coś, co sprawiało, że

czuł się odmieńcem. Dawało mu władzę, o którą wcale nie prosił i wcale nie pragnął jej wykorzystać.

Starsza siostra rozumiała go aż za dobrze.

Dlatego za każdym razem, kiedy miał Przeczucie, dotyczące czegoś albo kogoś, przychodził z tym do Elphame. Siostra wiedziała, że się boi. Nigdy tego nie lekceważyła - przeciwnie, okazywała mu współczucie i stała się jego najbardziej zaufaną powierniczką. Mimo że jej stosunek do świata duchów

był całkiem inny, w końcu ona sama była fizyczną manifestacją magii Bogini. Nie mogła pojąć, dlaczego brat odrzuca tak wspaniały dar, dany mu przez świat duchów - ona byłaby szczęśliwa, gdyby

posiadała choć małą cząstkę mocy, jaką posiadała jej matka i dysponowała nią bez trudu. Ale uznawała,

że brat ma prawo do własnego wyboru i wspierała go swoją spokojną, trzeźwą postawą. Kiedy Cuchulainn podrośł, nauczył się tłumić w sobie swoje psychiczne możliwości, nie pozwolić, by nim zawładnęły.

Teraz Elphame wpatrywała się w brata z wielką uwagą. Zaintrygowana. Cuchulainn nigdy dotąd jej nie skłamał. I nigdy dotąd Przeczucie go nie myliło.

- Przyrzekasz mi to? - spytała prawie szeptem, aż zarumieniona z przejęcia.

Cu skinął energicznie głową.

- Tak.

A Elphame poczuła, jak rozpiera ją radość.

- Wiedziałałam! Wiedziałałam, że zamek MacCallana trzeba odbudować!

Wykrzyczała to z wielkim entuzjazmem, a potem nagle spojrzała na niego całkiem inaczej. Jak starsza siostra, z góry i wcale nie ciepłutko. Przypomniała sobie bowiem, ile musiała się naprosić, żeby matka pozwoliła jej tam

pojechać. - Cu, mam nadzieję, że nie mówiłeś Mamie o swoim Przeczuciu?

- Matce? Oczywiście, że nie. Gdybym jej powiedział, że w zamku MacCallana spotkasz się ze swoim przeznaczeniem, nic nie byłoby w stanie jej powstrzymać. Pojechałaby razem z nami.

- Racja. Ale powiedz mi, dlaczego mi mówisz o tym dopiero teraz?!

- Bo... bo to Przeczucie jest takie niejasne - powiedział Cu po chwili zastanowienia, a zauważywszy na twarzy siostry rozczarowanie, dodał szybko: - Ale to wcale nie znaczy, że jest bezpodstawne. Ja po

prostu wiem, że w zamku MacCallana spotkasz się ze swoim przeznaczeniem, że chodzi o twojego męża. Ale kiedy próbuję skoncentrować się na szczegółach dotyczących tego mężczyzny, wszystko jest zamglone, bardzo niewyraźne. Może... - Cuchulainn uśmiechnął się. - Może dlatego, że jesteś moją siostrą i trochę niezręcznie mi wnikać w twoje sprawy sercowe.

- Rozumiem. Mnie również. Kiedy dziewczęta zaczynają pisać na twój temat, zatykam rękami uszy i po prostu uciekam.

- Ba!

Cu, wyrzuciwszy z siebie ulubiony przerywnik, roześmiał się. Był bardzo zadowolony, że siostra o nic

więcej się nie dopytuje. Zanim zdecydował się powiedzieć jej o swoim Przeczuciu, stoczył ze sobą prawdziwą walkę. Elphame żyła w przeświadczeniu, że nigdy nie będzie miała męża i bardzo nad tym

boleła. Dla Cu nie było to tajemnicą, tym bardziej więc chciał powiedzieć jej o swoim Przeczuciu, ale jednocześnie wahał się. Wiedział już na pewno, że El w zamku MacCallana spotka swego przyszłego

męża, na pewno męża, bo to będzie coś więcej

niż tylko zwyczajne zakochanie się. Rzecz jednak w tym, że wcale nie była to słodka wizja miłości,

podobna do tych, jakie trafiały mu się przedtem. Kiedy na przykład przyłapał przyjaciela z młodą kobietą w objęciach i miał Przeczucie, że ta para jest sobie przeznaczona.

Siostra też jawiła mu się w ramionach mężczyzny, ale twarz tego mężczyzny mu umknęła. Na początku skupił się całkowicie na Elphame. Czułość i szczęście malujące się na jej zwykle surowej twarzy były dla niego ogromnym zaskoczeniem. Potem skupił się na mężczyźnie i wtedy nagle przed oczami pojawiło się oślepiające szkarłatne światło. Jakby kochankowie, Elphame i ten mężczyzna, skąpani byli we krwi. A potem, tak samo nagle, zrobiło się mroczno, jakby para kochanków owinięta została aksamitną draperią. Mężczyzna znikł, zostawiając Elphame samą.

Jakże to typowe dla świata duchów! Coś mu podsunąć, na chwilę, a potem zostawić go z pytaniami bez odpowiedzi, z uczuciem niepokoju. Zawsze przeklinał tę ulotną moc, tak inną od ciężaru miecza czy jasno wytyczonego celu dla strzały z łuku.

Cuchulainn przełknął, czując nagle w gardle suchość. Był zadowolony, że Elphame znów wysunęła się do przodu. Siostra znała go aż za dobrze, od razu zorientowałyby się po jego minie, że to Przeczucie tak do końca wcale nie było dobre. Że on jest przerażony tą dziwną, naznaczoną czerwienią wizją.

Zgiął prawą rękę. Jakby chwycił za swój miecz. Czuł jego ciężar w dłoni, unoszącej się w górę do zadania śmiertelnego ciosu.

Tak. Mąż nie mąż, nieważne, kto. Cuchulainn jest gotów bronić siostry przed wszystkim i przed wszystkimi, którzy mogą uczynić jej krzywdę.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

- Nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy razem z innymi zostać w Loth Tor - narzekał Cuchulainn, dorzucając do ogniska grubą gałąź.

- A ja sądziłam, że wojownicy są do tego stopnia gruboskórni, że bez słowa skargi kładą się spać nawet na ostach - odparła żartobliwie Elphame i rzuciła mu bukłak.

- Napij się! Wina mamy w bród, Mama pakowała je osobiście.

- Wojownicy ponad wszystko lubią miękkie łóżka

- burknął Cu, ale złapał bukłak i pociągnął z niego porządny łyk. - Miłość naszej Matki do dobrych

win jest dla naszej wyprawy prawdziwym błogosławieństwem. Ale wino, nawet najlepsze, nie zastąpi

wygodnego łóżka.

Ani wesołej chętniej wdówki, dodał w duchu.

- Cu, jesteś po prostu zły, bo tamta jasnowłosa grubaska na pewno proponowała ci coś więcej niż tylko skosztowanie jej wyśmienitego gulaszu!

- Dziwisz się?! Bycie młodą wdową to wielki ciężar, zwłaszcza jeśli dźwiga się go w pojedynkę!

El zaśmiała się.

- Nie w pojedynkę, kiedy ty pojawiaasz się na horyzoncie! Och, Cu, proszę, przestań się wreszcie

złościć. Jesteśmy tu sami, bo chcę spokojnie sobie popatrzeć na słońce wschodzące nad moim

zamkiem. Nie uśmiecha mi się robić tego wśród tłumu mężczyzn i centaurów, którzy będą gapić się

nie na słońce, lecz na mnie i rozprawiać o demonach, czyhających za każdym krzaczkiem. Cuchulainn w odpowiedzi tylko chrząknął. Pociągnął

sobie jeszcze jeden solidny łyk, rzucił z powrotem bukłak siostrze i zajął się poprawianiem ogniska.

Przestał narzekać. W końcu wiedział bardzo dobrze, że siostra woli trzymać się na uboczu i rozumiał,

dłaczego. El, naznaczona przez Boginię, od urodzenia otoczona była czcią. Była przecież kimś

niezwykłym, nigdy dotąd kogoś takiego nie stworzono. Wzbudzała w ludziach lęk, zwłaszcza w tych,

którzy nie przywykli do jej widoku. Większość robotników, którzy mieli pracować przy odbudowie

zamku, pochodziła z wiosek w pobliżu Świątyni Epony i, jak wszyscy ludzie z tamtych stron, odnosili

się do El z wielkim szacunkiem, woleli jednak trzymać się od niej z daleka. Natomiast ludzie z

dalszych okolic, jakich napotykali po drodze podczas ich pięciodniowej podróży ze świątyni do

zamku MacCallana, na widok jego siostry rzucali robotę, biegli do drogi

i kłaniali się nisko „młodej bogini Elphame”. Kłaniali się tak nisko, że praktycznie ich głowy

chowały się w wysokiej trawie na łąkach, ciągnących się wzdłuż drogi.

Kiedy zbliżali się do celu podróży, zaczęli dołączać do nich nowi ludzie i centaury, pragnący wykorzystać możliwości, jakie stwarzała odbudowa zamku. Ich reakcja na widok Elphame była zawsze taka sama. Przede wszystkim lęk, dlatego Cuchulainn w sumie się nie dziwił, kiedy Elphame nalegała, by ona i brat nie jechali gościńcem, lecz wąską, krętą ścieżką przez las. Szansa, że natkną się na kogoś, kto gorliwie okazywać będzie Elphame cześć, jednocześnie spoglądając na nią z przerażeniem, była tu naprawdę znikoma.

Brat i siostra nie zatrzymywali się na noc, tak jak reszta ludzi, w którejś z okolicznych sennych wiosek, porzucanych wśród pastwisk i winnic. Rozkładali się obozem pod usianym gwiazdami niebem. Do reszty podróżników dołączyli dopiero w wiosce Loth Tor, na wspólny wieczorny posiłek w gospodzie „Pod kłaczą”, jedynej gospodzie w wiosce. Przez gospodę przewijali się chyba wszyscy ludzie z okolicy, każdy składał przed Elphame uniżony ukłon, kilka osób spytało nieśmiało, czy może

jej dotknąć. Nie brakowało takich, co z otwartymi ustami stali i gapili się na Elphame. A ona każdemu z nich z godnością i wdziękiem skinęła głową, temu, kto chciał, pozwalała się dotknąć, jednym

słowem czyniła zadość ich pragnieniu okazania jej czci. Tylko jeden Cuchulainn, wyczuwając w niej ogromne napięcie, zdawał sobie sprawę, ile ją to kosztuje.

Kiedy posiłek dobiegł końca, El oznajmiła, że ma wielką potrzebę spędzenia również tej nocy pod gwiazdami. Chce być sama, tylko z bratem i Eponą. Cu domyślał się, że specjalnie wspomniała o Bogini, by ludzie z wioski nie poszli za nią, gapiąc się na nią nieustannie. Dlatego bez słowa osiodłał swego zmęczonego wałacha i zmusił go do galopu. Dogonił Elphame, która pierwsza wyszła z wioski i tym sposobem znaleźli się tutaj, pod rozgwieżdżonym niebem, przy trzaskającym wesoło ognisku.

- Dobrze jednak, że pobyłaś trochę w wiosce, wśród ludzi, El - powiedział po chwili Cu.

Elphame, wydawszy najpierw z siebie głębokie westchnienie, na moment przytknęła bukłak z wyjątkowo dobrym winem do ust.

- Myślisz, że z czasem do tego przywyknę? - spytała, podając bukłak bratu. - Bo mnie wydaje się to niemożliwe. Tak samo zaczynam mieć trudności z... - Elphame uniosła znacząco brwi - z

uwierzeniem, że właśnie tutaj mam spotkać się ze swoim przeznaczeniem. A ty wierzysz w to?

- Życie bardzo często nas zaskakuje - powiedział Cu sentencjonalnie, z nadzieją, że nie będą mówić na temat jego wizji. - Weź na przykład nas. Jesteśmy rodzeństwem. Ja jestem człowiekiem, a ty w połowie koniem.

- Nie koniem, a centaurem - mruknęła Elphame, robiąc zboląłą minę.

- Dobrze, centaurem. A teraz proponuję, żebyś zamknęła już oczy. Śpij, Elphame, musisz nabrać sił przed jutrzejszym dniem. Ja będę czuwał przy ognisku.

I nad tobą, dodał w duchu. Elphame, z dala od wioski, od namolnych ludzi, na pewno już się odprężyła. Ale on nie. Był spięty. Instynkt wojownika nakazywał teraz wzmożoną czujność, poza tym po głowie nieustannie chodziła mu kwestia tamtej wizji. Dlaczego była mroczna, niewyraźna, skąd ta krew?

Kątem oka widział, jak Elphame ułożyła się na boku w swoim śpiworze i zamknęła oczy. Po chwili usłyszał jej ciche słowa:

- Nie oszukasz mnie, Cu. Czuję, że tu chodzi nie tylko

o te twoje deklaracje typu: wojownik zawsze broni swojej siostry.

- A teraz mówisz zupełnie jak nasza Matka - burknął Cu, dodając znacznie już ciszej. - Najwyższy czas, żebyś zaczęła zdawać sobie z tego sprawę.

Kąciki ust El drgnęły, a więc usłyszała, oczywiście,

i uśmiechnęła się, bardzo tak jakoś łagodnie. Po chwili Cu usłyszał głęboki, miarowy oddech.

Elphame zasnęła.

Miała sen. Śniło jej się, że przyszedł do niej jej ukochany, przyszedł wśród gęstej, ciemnej mgły. Mgła jak gigantyczne skrzydła, które wyrosły z czerni nocy, spowiła El, a on jej dotykał. Ona drżała, ale nie ze strachu. Z własnej woli poddawała się tej mgłę, pozwalała spijać z siebie miłość, kiedy nagle ona i on ulecieli przez aksamitną czerń nieba o północy i umościли sobie łożę wśród gwiazd.



- Ja wiedziałam, że tu będzie przepięknie! Wiedziałam! Och, Cu, spójrz na mój zamek!

Stali na skraju sosnowego lasu, przed płaskowyżem nad brzegiem morza, gdzie zbudowano zamek MacCal-lana. Cierpki zapach sosen mieszał się z zapachem słonej wody morskiej, wydawało się, że dzięki tym zapachom wszystko tutaj wydaje się wspanialsze. Zielony las - bujniejszy, błękitne i białe fale uderzające o podnóża na-brzeżnych skał - bardziej krystaliczne, pełne swoistej elegancji. A sam zamek na brzegu ogromnego klifa - bardziej okazały.

Elphame wpatrywała się w swój nowy dom zachłannie, pozwalając oczom napawać się do woli cudem

pierwszego spojrzenia. Zamek, otoczony wałem dereni i dzikich wiśni w pełnym rozkwicie, wystających z gęszcza zarośli i kęp krzaków jeżyn, wyglądał jak zamek z bajki.

Jakby tu właśnie, w jego murach od stuleci spała jakaś bajkowa postać, czekając na pocałunek, dowód

prawdziwej miłości, bo tylko taki mógł ją obudzić.

Trochę jak ja... - pomyślała Elphame, zaskoczona, że pozwala sobie na odrobinę romantyzmu, co w jej

przypadku było wielką rzadkością. Ale widok był przepiękny, a przedtem brat powiedział jej o swoim

Przecuciu. To wszystko razem nastrajało ją romantycznie. Z czym, jak stwierdziła ze zdumieniem, było jej bardzo dobrze. Z tym romantycznym nastrojem - czyżby tego właśnie brakowało jej od lat?

Tego ekscytującego czekania, drżącego, kiedy braknie tchu? Czekania na tego kogoś, kto przekręci tkwiący w niej klucz i otworzy coś magicznego?

Słońce było coraz wyżej, nad koronami drzew. Barwy wczesnego poranka, delikatny róż i krem, zaczęły przechodzić w złoto słońca i błękit jasnego wiosennego dnia. Elphame, zapatrzona na otaczające ją piękno, nagle poczuła, że jej serce bije szybciej, że rodzi się w nim nadzieja. Wielka nadzieja. Jakby początek nowego dnia obiecywał coś nowego także w jej życiu, życiu Elphame.

Wielokrotnie słyszała, jak jej matka modliła się do Epony. Teraz jedna z tych modlitw ożyła w jej pamięci. Zaczęła ją odmawiać, na głos, ale cicho, bardzo ostrożnym szeptem.

- Wielka Bogini Epono, moja Bogini,

stoję tu, u początku nowego dnia,

dnia wypełnionego Twoją magią.

Stoję w progu, przed Twoim welonem tajemnic

i proszę Ciebie o błogosławieństwo.

Pozwól pracować ku Twojej chwale

i ku chwale mego ducha.

Kiedy siostra odmawiała modlitwę, Cuchulainn stał nieruchomo i milczał. Z szacunku dla Epony, a

także ze

zdumienia, nigdy dotąd przecież nie słyszał, żeby jego siostra prosiła Eponę o błogosławieństwo.

Więcej - zawsze odnosił wrażenie, że Elphame wręcz unika jakiegokolwiek wzmianki o Bogini, która

dotknęła ją w sposób tak oczywisty. A teraz modliła się do niej. Bardzo cicho, ledwo ją słyszał, a

powietrze dookoła już było rozedrgane. Magia działała, jak zawsze, kiedy ich Matka odprawiała

obrzędy ku czci Epony.

Gdyby El spojrzała teraz na brata, zobaczyłaby w jego rozszerzonych oczach szok. Ale ona ani razu

nawet nie spojrzała w jego stronę, zauroczona pięknnością tego poranka, także uczuciem, które

zaczynało w niej dojrzewać. Raczej poczuciem. Poczuciem przynależności do tego właśnie miejsca.

Słońce przesunęło się nieco wyżej, odrywając się od wysokich sosen, jego promienie oblały ściany

zamku złocistym światłem.

- Cu, czy ty to widzisz? Zamek wygląda tak, jakby stanął w płomieniach.

- Zamek? Raczej to, co z niego pozostało.

Jeszcze nie otrząsnął się ze zdumienia, dlatego odpowiedział burkliwie, choć wcale tego nie chciał.

Trochę tym speszony odchrząknął i zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć skruszałą budowlę, która

przypominała mu sędziwą bestię, bez sił, przykucniętą na brzegu klifu.

- Kompletna ruina - mruknął. - Przed nami mnóstwo roboty. Ale nie trać nadziei, El!

El po siostrzanemu klepnęła go po ramieniu.

- Przestań bawić się w Mamę. Lepiej pospieszmy się. Chciałabym już tam być!

Wyrwała do przodu. Cuchulainn trącił piętą wałacha i podążył za siostrą. Dotrzeć do murów

zamkowych wcale nie było łatwo. Zanim odnaleźli drogę, prowadzącą do

zamku, musieli długo przedzierać się przez wysokie chaszczce. Drogą podążało się już o wiele łatwiej,

ale Cuchulainn i tak kłął na chwasty i na gałęzie drzew, smagające go po twarzy.

- Nie marudź! - skarciła go w końcu El, odrzucając w tył swoje piękne, ciemnokasztanowe włosy. -

Nie widzisz, że te drzewa są wyjątkowo piękne? Jakbyśmy szli przez las z różowych chmur!

- Chmury zwykle mają to do siebie, że nie są obrośnięte jeżynami!

- A co masz przeciwko jeżynom? Wystarczy je trochę przyciąć i ładnie się rozrosną. A kiedy przyjdzie

lato, będziemy się delektować plackiem z jeżynami!

- O ile uda się odbudować zamkowe kuchnie - mruknął Cu, nadal pełen wątpliwości.

- Odbudujemy. Moja w tym głowa - oznajmiła El-phame.

Cuchulainn pomyślał, że determinacja jego siostry jest chyba mocniejsza niż zamkowe mury, do

których El-phame zdążyła się już bardzo przywiązać.

- Poza tym dobrze wiesz, że ja zawsze bardzo lubiłam las. Tutejsze sosny są wyjątkowo dorodne, a te

kwitnące na różowo drzewa to po prostu bajka.

Bajka... Cu potrząsnął bezradnie głową.

- Może i bajka, ale chyba nie zamierzasz tego tak zostawić, El? Uczyłaś się przecież historii, prawda?

Czy wszystko wywietrzało ci z głowy? MacCallan dopuścił, żeby jego zamek obrósł drzewami i to był

zasadniczy błąd. Dzięki temu Fomorianie niezauważeni przez nikogo podeszli pod same mury. Zrobili

w nich wyłom, wdarli się do środka i zaczęła się rzeź.

Elphame już otwierała usta, żeby powiedzieć, że teraz wojny nie ma, że od stu dwudziestu pięciu lat w Partho-

lonie nie widziano ani jednego Fomorianana i nikt nie będzie robić w tych murach wyłomu. Czy jednak były to przekonywujące argumenty? Wtedy też Partholon nie prowadził z nikim wojny. Był czas pokoju, jak teraz. Fomorianie najechali na zamek MacCallana z nienacka. Zdobyli zamek, wyrznęli wszystkich, ale potem zostali rozgromieni. Niedobitki wygnano z Partholonu, na Pustkowiec za Górą mi Trier. Gdyby El pojechała stąd dalej, na północny wschód, w stronę gór, wiedziała, że napotka tam

Warownię, wielki ponury zamek obronny, strzegący wstępu do Partholonu, zwany też Zamkiem Strażników.

Z drugiej jednak strony sto dwadzieścia pięć lat to długi czas. Bez wojen, bo oprócz sporów między poszczególnymi klanami i sporadycznymi najazdami barbarzyńców z morza, Milezjan, Partholon żył w pokoju i dobrobycie. I nic nie wskazywało na to, żeby miało to się zmienić.

Elphame znów spojrzała na brata, gotowa mu przypomnieć powyższe fakty. Zauważyła, że Cu ma minę bardzo poważną. Czyli dla niego te piękne drzewa to naprawdę wielki problem.

- Chodzi ci o Milezjan, Cu?

Cu nieznacznie wzruszył ramionami.

- Człowiek nie jest pewien dnia i nocy, prawda? A zamek stoi na brzegu morza! Jeśli chcesz wykazać się jako mądry przywódca, powinnaś postarać się, żeby zamek MacCallana był zamkiem obronnym.

Mówił, a jednocześnie jego niespokojny wzrok przemykał dookoła. Jakby Cu liczył się z tym, że w każdej chwili zza kwitnących drzew może wyskoczyć horda barbarzyńców i poderżnąć im gardła.

Elphame poczuła się trochę nieswojo. Bo coś jednak zburzyło spokój jej zwykle tak opanowanego brata.

Czyżby Przeczucie, o którym jej powiedział? Czyżby było to prawdziwe Przeczucie, połączone z

wizją i wyraźnym ostrzeżeniem? Cu w tej materii miał niewiele doświadczenia. Niemniej jednak miał

Przecucie, coś go bardzo zaniepokoiło i na pewno nie miał zamiaru tego lekceważyć. Bo Cu, mimo że zwykle unikał świata duchów i nienawidził wykorzystywania swoich sił psychicznych - czuł przed nimi respekt. Tak samo zresztą jak Elphame.

Skinęła głową.

- Masz rację, Cu. Trzeba zrobić tu porządek. Większość drzew i zarośla należy wyciąć. Dziękuję, że zwróciłeś mi na to uwagę. Mam nadzieję, że podczas odbudowy zamku będziesz służył mi radą i pomocą, razem dopilnujemy, żeby zamek MacCallana istotnie stał się zamkiem obronnym... - El mimo woli spojrzała z żalem na kwitnące drzewa. - Cu, czy mimo wszystko nie można trochę tych drzew zostawić? Oczywiście, nie będę nalegać, ale...

Cu uśmiechnął się. Nie sądził, że Elphame podda się tak szybko.

- Jeden zagajnik czy dwa w odpowiedniej odległości od zamkowych murów nie będzie tragedią. A jeżyny możesz zostawić. W końcu ich kolce to też obrona przed wrogiem.

- Cudownie! Czyli jednak będziemy się zajadać plackami z jeżynami!

Elphame rozpromieniła się, zachwycona też, że Cuchu-lainnowi, zwykle tak pogodnemu, wreszcie wrócił dobry humor. Pomyślała też, że jego rozdrażnienie przed chwilą można bardzo łatwo wytłumaczyć. Cu, jak zawsze, wobec swej siostry jest nadopiekuńczy. I dmucha na zimne.

Droga szerokim łukiem skręcała w lewo, a za zakrętem,

w odległości kilkunastu metrów, widać było zamkową bramę. Pustą. Wielkie żelazne drzwi, które, jak

głosiła legenda, zawsze były szeroko otwarte dla gości, rozpadły się, przeżarte rdzą. Ich smętne resztki walały się między chwastami i dzikim winem. Pozostały tylko powyginane odrzwia. W rezultacie

wejście do zamku wyglądało jak gigantyczna paszcza, pozbawiona przednich zębów.

Same mury, o dziwo, zachowały się w dobrym stanie. Przynajmniej tu, koło bramy, wyglądały na

mocne, nienaruszone. Kamienne balustrady skruszały, podjazdu po prostu nie było, drewniany dach także w wielu miejscach znikł. Ale sam szkielet budowli, dumny i mocny, przetrwał.

- Wygląda lepiej niż myślałem - stwierdził Cu.

- A widzisz! - Elphame z największym trudem opanowywała podniecenie. - Ten zamek jest niezwykły, jest wspaniały!

- El! Owszem, jest w lepszym stanie niż się spodziewałem, niemniej jednak to ruina!

Jej optymizm irytował go, była to przecież raczej dziwna reakcja na widok zrujnowanej budowli.

Dziwna, a poza tym w przypadku Elphame bardzo nietypowa. Zawsze powściągliwa i rozsądna, nigdy

dotąd nie wykazywała aż tak wielkiego entuzjazmu. Miał zamiar powiedzieć jej teraz na ten temat

kilka słów, ale nie zdążył, bo El nagle położyła dłoń na jego ramieniu i spytała, zniżając głos.

- Cu? Wyczuwasz to?

Znów go zaskoczyła. El, mimo że w sposób tak oczywisty została naznaczona przez Boginię, nie porozumiewała się z Nią ani ze światem duchów. Oprócz swego niezwykłego ciała nie miała w sobie

żadnej siły, która wiązałaby ją ze światem duchów.

- O co chodzi, El?

Elphame, nie odrywając oczu od zamku, milczała. Jej ręka, spoczywająca na ramieniu brata, zadrżała,

zaraz potem całym ciałem dziewczyny wstrząsnął dreszcz. Koń Cu nagle znieruchomiał. Łagodny wiatr ucichł, ucichły nawet ptaki.

- On wzywa mnie do siebie - powiedziała głosem, który zabrzmiał inaczej niż zwykle. Jakby El była o

wiele, wiele młodsza. - Wzywa mnie, ale nie słowami. Ja to Wyczuwam, Cu. - Oderwała wzrok od zamku i spojrzała na brata bardzo uważnie. - Podobnie jak wtedy, kiedy Mama miała odprawić obrzęd

księżycowy w innej świątyni. Pamiętasz? Nigdy przedtem nie rozstawała się z nami na tak długo. A

wtedy nie było jej przez pięć dni. Kiedy wracała do domu, Wyczuliśmy, że już nadchodzi i wołając „Mamo, mamo!” wybiegliśmy jej na spotkanie. A ona przecież nawet nie doszła jeszcze do schodów świątyni. Potem wycalowała nas, wyściskała i śmiała się przez łzy. Pamiętasz?

Cu pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Pamiętam, pamiętam.

Spojrzenie Elphame znów powędrowało ku zamkowi.

- Ja to po prostu Wyczuwam... - szepnęła. - On czekał na mnie, czekał, kiedy przyjadę do niego. Do swojego domu.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę już wszystko! Elphame, otrząsając się z resztek euforii, zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie.

- Ale nie beze mnie! - zawołał Cu, zeskakując z konia. - Zaczekaj !

Zarzucił wodze na gałąź najbliższego drzewa i pobiegł do siostry. Biegł, zakłócając ciszę poranka szczękaniem nagiego miecza, wygrywającego jedyną w swoim rodzaju złowieszczą melodię.

Elphame przystanęła, a kiedy brat dobiegł do niej, spojrzała na miecz bardzo nieprzychylnie.

- Naprawdę jest ci potrzebny?

- Lepiej przesadzić z przezornością niż dać się ponieść beztrosce. To byłoby głupie.

- Ho, ho! - El, wzięwszy się pod boki, spojrzała na niego z wysoka. - A co? Uważasz może, że jestem głupia?

- A skąd! - Cu uśmiechnął się, zadowolony, że siostra zaczynała wreszcie reagować jak dobrze mu znana El. - Chcę ci tylko przekazać, że ja też nie mam zamiaru być głupcem.

El zmarszczyła nos, odwróciła się i ruszyła prawie biegiem ku zamkowej bramie.

- Ale ty jesteś uparta jak osioł! - zawołał za nią Cu, demonstrując bardzo szeroki uśmiech, kiedy spojrzała na niego przez ramię. - Ale to właśnie między innymi bardzo mi się w tobie podoba.

- Przestań gadać, Cu i chodź tu do mnie! Przecież trzeba mnie bronić. Może gdzieś za drzewem czai się wściekła wiewiórka. Rzuci się na mnie i pokąsa. Tak się boję, tak okropnie...

Jęczała, narzekała, udając płochliwe dziewczę, a jednocześnie jej umięśnione nogi coraz bardziej przyspieszały. Zadyszany Cu dogonił ją dopiero po dłuższej chwili, mamrocząc pod nosem, że El nie ma w sobie nic z centaura. Raczej z klaczy, bardzo złośliwej i wcale nie takiej bezradnej. Dopadł do niej, kiedy stała już niedaleko zamkowej bramy, przed chaszczami, zarastającymi drogę do zionącego pustką otworu, jaki został po drzwiach. Najpierw więc musieli zabrać się za wyrywanie zielska, żeby

zrobić ścieżkę. A potem pierwsza El przekroczyła zamkową bramę bez drzwi i znalazła się za zewnętrznym grubym murem zamkowym. Brat podążał za nią, rozglądając się dookoła. Od razu zauważył resztki ganku dla straży zamkowej, który musiał ciągnąć się wzdłuż całego muru. Zauważył i zasępił się. Jak to mogło się stać, że MacCallan nie postawił wtedy tu strażników...

- Spójrz, Cu. Jestem pewna, że tu kiedyś były piękne, drewniane drzwi - odezwała się El przyciszonym głosem, jakby weszła nie do zamku, a do świątyni.

Stała przy odrzwiach w wewnętrznym murze zamkowym, już nie tak masywnym jak zewnętrzny. Pierwsza przeszła na drugą stronę, Cu za nią i znaleźli się bez wątpienia na dawnym dziedzińcu zamkowym. Teraz zawałonym gruzem i ziemią, gdzieniegdzie jednak prześwitywał bruk, przez dziesiątki lat gładzony stopami klanu MacCallanów. Wokół dziedzińca stały wielkie, ozdobione płaskorzeźbami kamienne kolumny, wznosząc się ku czemuś, co kiedyś było sklepieniem sufitem. Teraz widać tam było błękit nieba. Masywne kolumny nadal nosiły ślady pożaru, który oznaczał śmierć tego zamku.

- Cu... - El uniosła twarz i spojrzała bratu prosto w oczy. - Czy my znajdziemy tu szczątki wojowników?

- Nie sądzę. Czas zrobił swoje. Czego nie strawiły płomienie, wydane było na pastwę żywiołów - odparł, jednocześnie odruchowo spoglądając podejrzliwie na zwały ziemi i zeschniętych liści.



- Ale jeśli natrafimy na nie, pochowamy je z należytym szacunkiem. Zasłużyli sobie na to.

- Oczywiście. El, czy ty Wyczuwasz ich obecność?

- Wojowników?

- Tak.

El przekrzywiła głowę i znieruchomiała, wyraźnie zasłuchana w szum wiatru.

- Chwileczkę... Nie jestem pewna.

Wolnym krokiem podeszła do stojącej w centralnym miejscu osmalonej kolumny, tak szerokiej, że gdyby ona

i Cu objęli ją z dwóch stron rękoma, ich palce by się nie zetknęły. Teraz z bliska widziała dokładnie zawity ornament wyrzeźbiony dookoła kolumny - węzły, połączone ze sobą, układające się w piękny

wzór, wśród nich kwiaty, postacie ptaków i wspinającej się klaczy. Mimo warstwy brudu, oblepiającej

kolumnę, widać było, że jest to dzieło mistrza.

- Jesteś piękna... - szepnęła Elphame do kolumny. I nagle krzyknęła, czując, jak przez jej ciało coś przemyka. Jakiś dziwny szum. Jakby... odpowiedź.

- El! Co się stało?!

Cu, ściskając w silnych rękach swój miecz, jednym susem dopadł do niej.

El uśmiechnęła się do niego.

- Na pewno nic złego, Cu! - powiedziała, zwracając oczy z powrotem ku kolumnie. - Ja po prostu chyba coś Wyczuwam. W tym kamieniu.

Po dłuższej chwili zorientowała się, że istotnie, ten dziwny szum wydobywa się z kolumny.

Zaintrygowana tym, przyłożyła obie szczupłe dłonie do zimnej, zniszczonej upływem czasu

kamiennej powierzchni kolumny. W chwili, gdy jej dłonie zetknęły się z kamieniem, miała wrażenie, że kamień drgnął.

Zaintrygowana jeszcze bardziej, ostrożnie pogłaskała chropowatą powierzchnię i wtedy stało się coś

zduńmiewającego. Najpierw zaczęła mięknąć, El miała wrażenie, że dotyka już nie kamienia, a gliny.  
A

potem raptem jej dłonie, nadal przyłożone do kolumny, zaczęły migotać, zamigotało też miejsce na kolumnie pod jej dłońmi. Dziwny blask przemknął po jej rękach, potem po całym ciele, niosąc ze sobą

ciepło. Cudowne ciepło, jakby zanurzyła się teraz w jeziorze najgorętszych uczuć albo objęły ją kochające ramiona matki.

Jej ręce drżały, ale nie ze strachu, tylko z emocji. Bo to wszystko było takie piękne!

- Och, Cu! Tak! Ja ich Wyczuwam!

- To, co wyczuwasz, Bogini, to nie wojownicy - usłyszała nagle z tyłu za sobą niski męski głos.

Odwróciła się szybko i zobaczyła przede wszystkim Cu z mieczem uniesionym w górę, gotowego siekać w obronie siostry. Natychmiast jednak spostrzegł, że intruzem jest ktoś bardzo dobrze mu znany.

- Danann! - zawołał, ręką drżącą od niewykorzystanej adrenaliny chowając miecz do pochwy. - Mistrz

Kamieniarz! Miło przekonać się naocznie, że nie zasnąłeś jeszcze snem wiecznym!

Stary centaur nie zaszczycił go nawet spojrzeniem. Jego wzrok utkwiony był w Elphame, Elphame też nie odrywała od niego oczu.

- Nie Wyczuwam wojowników? - spytała. - W takim razie co ja Wyczuwam?

Kiedy rozległ się głos Dananna, czuła, że jej łączność z kolumną nagle została przerwana, nadal jednak w dłoniach czuła delikatne mrowienie. Teraz z niecierpliwością czekała na odpowiedź

Dananna, osoby bezcennej, cały bowiem Partholon wiedział, że stary centaur otrzymał od Epony wyjątkowy dar. Niezwykłą więź z ziemią. Danann porozumiewał się z duchami natury, które przemawiały do niego za pośrednictwem kamienia. I z tego to właśnie powodu Elphame poprosiła go, by uczestniczył w odbudowie zamku MacCallana, mimo że sędziwy Danann nad wznoszenie murów przedkładał już drzemkę na słońcu. Nadal jednak był najbardziej cenionym kamieniarzem w całym

Partholonie. Porozumiewał się przecież z duchami kamienia i dlatego tak jak nikt potrafił dobrać kamień do danej budowli. El była pewna, że

jeśli odbudową zamku pokieruje Danann, zamek będzie stał nienaruszony jeszcze przez wiele stuleci.

Centaur podszedł do Elphame zwawym krokiem, nie pasującym zupełnie do jego wieku.

- To wielka centralna kolumna zamku MacCallana

- wyjaśnił, uśmiechając się do Elphame. - Kiedyś w niej skupiała się siła tego zamku. Ty Wyczuwasz teraz ducha tej kolumny, serce zamku, a nie duchy zmarłych wojowników.

Podniósł rękę i ostrożnie przyłożył dłoń do kamiennej kolumny.

- Dotknij jej jeszcze raz, Bogini. Nie lękaj się.

- Ależ ja się nie boję - powiedziała szybko Elphame i bez ociągania przyłożyła swoją młodą, gładką dłoń obok pomarszczonej dłoni starca. Danann zamknął oczy, skupił się. Po kilku minutach kamienna

powierzchnia pod dłonią Elphame zamigotała, wokół Elphame i Dananna pojawiła się drżąca

poświata. I znów przez Elphame przepłynęła świadomość, że ona Wyczuwa. Była na to

przygotowana. Skupiła się i starała się oddać słowem emocje, jakie teraz Wyczuwała. A więc radość,

na pewno. Tak, to było uczucie ogromnej radości. Wielkiego szczęścia. Pokój

- świadomość, że nie ma wojny. W tym momencie Elphame miała ochotę głośno się roześmiać.

A potem - koniec czekania. Te dwa słowa przemknęły przez jej umysł i poświata znikła.

- Wiedziałem! - zawołał triumfalnie stary centaur, zwracając swe niebieskie oczy ku drżącej z

przejęcia Elphame. - Kiedy wszedłem w te mury, od razu to Wyczułem. Jesteś, Bogini, dostrojona do serca tego zamku. Te kamienie witają cię bardzo serdecznie. Radują się, że przybyła ich pani. -

Uśmiechnął się do Elphame, bardzo ciepło. - Tak jak twoja przodkini, Rhiannon, masz zdolność słyszenia duchów ziemi.

- Ja?! Och! A przedtem nie miałam! Dopiero teraz, kiedy tu przyjechałam! - wykrzyknęła Elphame, nie posiadając się z radości. Jej marzenie spełniło się. Wreszcie obdarowana została czymś więcej

niż tylko niezwykłą budową ciała.

Pod wpływem impulsu przykryła swoją dłonią dłoń Dananna, nadal przyłożoną do kolumny i lekko ją uścisnęła. Z wielkiej wdzięczności, że jest teraz tutaj, razem z nią. Prawie natychmiast jednak pożałowała, że uległa impulsowi. Ona nigdy nikogo nie dotykała, tylko członków rodziny. Po pewnym bardzo przykrym doświadczeniu, jeszcze z dzieciństwa, kiedy to przybył do nich w odwiedziny przywódca jednego z okolicznych klanów. Przyjechał razem z córeczką. Dorośli pochłonięci byli rozmową, mała Elphame, trochę znudzona, stuknęła palcem w ramię córki gościa.

Chciała zaproponować jej, żeby umknęły stąd i poszły się bawić. Tymczasem dziewczynka zaczęła piszczeć, krzyczeć rozpaczliwie, że dotknęła ją bogini i ona na pewno zaraz umrze. Wszyscy zaczęli ją uspokajać, tłumaczyć, że na pewno tak się nie stanie, ale dziecko wpadło w histerię. W rezultacie przywódca klanu bardzo pospiesznie opuszczał wraz z dzieckiem ich dom, rzucając na Elphame trwożliwe spojrzenia. Mimo że Etain zapewniała go gorąco, że Epona na pewno nie pragnie życia jego

dziecka.

Duchy ziemi przemówiły do niej, kamienie powitały ją z radością - ale śmiertelnicy nie lubią, kiedy dotyka ich żywa bogini.

Elphame, krzyknąwszy cicho, chciała szybko cofnąć swoją rękę, uprzedzając Dananna. Była przecież pewna, że jej dotyk go wystraszył, a już na pewno nie był mu miły.

Ale Danann, nadal się uśmiechając, przytrzymał jej dłoń w swoich dłoniach.

- Duchy kamienia mówią mi, że ty należysz do tego miejsca, Bogini.

Elphame aż zarumieniła się z zadowolenia.

- Zawsze, odkąd sięgnę pamięcią, chciałam przywrócić życie zamkowi MacCallana, Danannie.

Zawsze! I jestem ci ogromnie wdzięczna, Danannie, że zechciałeś się do nas przyłączyć. Twoja obecność tutaj znaczy dla mnie bardzo wiele.

- Dla mnie to wielki zaszczyt móc służyć tobie, Bogini - powiedział, ściskając jej dłoń. Po prostu.

Wcale nie patrzył na nią spłoszonym wzrokiem, wcale nie kłaniał jej się w pas. Traktował ją, jakby była zwyczajnym przywódcą klanu, który poprosił go o pomoc. Co dla Elphame było powodem ogromnego zaskoczenia. Pragnąc to ukryć, odwróciła się szybko do brata.

- Cu, nie uwierzysz, ale ja potrafię Wyczuwać duchy tych kamieni!

- Oczywiście, że wierzę.

Uśmiechał się do siostry, bardzo zadowolony, że widzi ją tak ożywioną i uszczęśliwioną.  
Zadowolony

do takiego stopnia, że już zapomniał, jak wstrząsającym przeżyciem był dla niego widok siostry otulonej magiczną poświatą, sączącą się z kamienia.

Poza tym - co tam on. Jakież to musiało być przeżycie dla samej Elphame! On, Cuchulainn, wojownik,

stawiał sprawę jasno. Wolał nie mieć do czynienia z czymś, czego nie można pokonać mieczem. A w przypadku Elphame sprawa była bardziej skomplikowana. Elphame nigdy nie lubiła rozwódzić się nad światem magii i duchów, który, jak twierdziła, jest przed nią zamknięty. A dziś nagle się okazało, że wcale tak nie jest. Ten świat stoi przed nią otworem i, co więcej, Elphame w tym właśnie świecie,

świecie magii i duchów, wcale nie czuje się nieswojo. Cu

wiedział, że siostra zawsze gorąco pragnęła kontaktu duchowego z Boginią, która w sposób tak oczywisty wpłynęła na budowę jej ciała. Elphame była pierworodną córką Wybranej Epony, a Epona,

choć nie było to regułą, bardzo często wzywała najstarszą córkę starzejącej się Wybranej, by zastąpiła swoją matkę w roli duchowej przywódczyni Partholonu. Całkiem możliwe więc, że chociaż Elphame

nie komunikuje się z Eponą, Bogini sprawuje nad nią pieczę, czekając na dzień, kiedy Elphame zajmie

miejsce matki...

Taki jest porządek tego świata, pomyślał Cu na koniec sentencjonalnie i postanowił skończyć z rozważaniami. Tym bardziej że wypadało przywitać się ze starym centaurem.

Podszedł więc do Dananna i mocno uściśnął jego dłoń.

- Myślę, że jestem lepszy w słuchaniu duchów niż w zaskakiwaniu wojownika, pilnującego swojej siostry - powiedział żartobliwie Danann.

- Ja bym opowiedział się za zaskakiwaniem - stwierdził Cu. Nie wypadło to zbyt pogodnie, dlatego Elphame, szturchając brata łokciem, wtrąciła z uśmiechem:

- Cu od wczoraj jest bardzo spięty, Danannie. Po prostu nie zwracaj na niego uwagi.

Cuchulainn nie zareagował na zaczepki siostry.

- Danannie, przyjechałeś tu sam?

Stary Mistrz Kamieniarz pokręcił przecząco głową i wskazał na zarośniętą chaszczami bramę wejściową do zamku.

- Nie. Dołączyłem do waszych ludzi, kiedy wyjechali z Loth Tor. Są już tutaj, woleli jednak poczekać przed murami zamku. Jakoś nie kwapią się z wejściem do środka. No cóż... - Danann wzruszył lekko ramionami i uśmiechnął się. - Młodych bardzo łatwo wystraszyć czymś odrobinę bardziej straszniejszym od bajek na dobranoc i ciemności.

- Nie tylko bardzo młodych - powiedziała, spoglądając na brata jak starsza siostra, czyli z przyganą. - A skoro wszyscy już tutaj są i zamiast wziąć się do roboty, stoją przed bramą, trzeba do nich iść.

Danann skłonił się przed nią, z wielkim wdziękiem, zginając jedną z zakończonych srebrzystym kopytem nóg, drugą zręcznie odsuwając na bok. A potem podał jej ramię.

- Czy pozwolisz, Bogini, że będę ci towarzyszyć w drodze do owych młodych ludzi, którym trzeba wydać dyspozycje i pogonić do roboty, zanim bez reszty pogrążą się w lenistwie?

Elphame zawahała się. Czyżby naprawdę po raz drugi tego dnia miała dotknąć kogoś, kto nie należy do jej rodziny? Speszona, spojrzała na zgięte ramię centaura, potem zerknęła na brata. Cuchulainn mrugnął do niej i skinął głową. Zrób to, Elphame.

A więc dobrze. Najpierw jednak zrobiła jeden głęboki wdech i jej dłoń spoczęła na przedramieniu

starego Mistrza Kamieniarza. Jej palce drżały, owszem. Ale naprawdę bardzo nieznacznie.

Jak zwyczajny człowiek, pomyślała i na jej twarzy rozkwitł uśmiech. Nie mogła go powstrzymać.

Elphame i Danann poszli przodem, Cu za nimi. Przeszli przez straszące pustką odrzwia zamkowej bramy i tam, po drugiej stronie muru, czekała gromada ludzi. Głównie młodych, jak wspomniał Danann. Większość z nich byli to młodszy synowie, bez prawa dziedziczenia ojcowizny. Młodzi zapaleńcy, którzy sami musieli znaleźć dla siebie miejsce na świecie i dlatego pragnęli wykorzystać możliwość, jaką dawała odbudowa zamku MacCallana.

Poza tym do zamku przyciągała też osoba Elphame,

młodej bogini. Cały Partholon wiedział, że została dana mu przez Eponę jako szczególny dar, choć nikt do końca nie rozumiał, dlaczego. Ale Epona często postępowała w sposób niewytłumaczalny.

Była łaskawą Boginią, rzadko wtrącała się do codziennego życia swoich ludzi. Zamiast tego wybierała

jedną z kobiet, z którą łączyła ją szczególna więź i za jej pośrednictwem, swojej Pierwszej Wybranej, kierowała ludźmi.

Partholonem rządziła matka Elphame, jako Wcielenie Bogini, a sama Elphame w sposób oczywisty

została naznaczona przez bóstwo Partholonu. Ten fakt był przedmiotem spekulacji już od chwili

narodzin Elphame, budził też lęk. Epona nazaczyła Elphame, a teraz Elphame zamierzała

odbudować zamek MacCallana. Uczestniczenie w tym przedsięwzięciu ludzie odczuwali jako za-

szczyt, poza tym mogło przynieść im szczęście. Była to więc bardzo kusząca perspektywa, jej

atrakcyjności nie pomniejszały nawet pogłoski o tym, że nad zamkiem ciąży klątwa. Młodymi ludźmi,

którzy dołączyli do Elphame, najprawdopodobniej rządziły takie właśnie pobudki, miny jednak na

pewno im zrzędy, kiedy stanęli twarzą w twarz ze skruszałymi murami zrujnowanego wojną zamku.

Na widok Elphame mężczyźni i centaury, czekający za bramą, natychmiast ucichli. Większość z nich

widziała już kiedyś Elphame, niektórzy wielokrotnie i byli do widoku młodej bogini przyzwyczajeni,

niemniej jednak jej pojawienie się poruszało wszystkich. A tego ranka Elphame wyglądała

wyjątkowo. Twarz była promienna, cała postać zdawała się jaśnieć. Niejeden mężczyzna czy centaur stwierdził teraz w duchu, że jest to istota wspaniała, imponująca. A kiedy pełne, zmysłowe wargi Elphame rozciągnęły się w promiennym uśmiechu, krew w żyłach wielu zgromadzonych istot płci męskiej popłynęła zdecydowanie szybciej. Ale tylko na moment, natychmiast bowiem przypomnieli sobie, że ziemskim istotom nie wolno pożądać bogini, która zstąpiła na ziemię. Bez względu na to, jak by nie była ponętna.

Elphame wyprostowała się, ogarnęła wzrokiem wszystkich zgromadzonych i przemówiła. Jasnym, dźwięcznym głosem.

- Od kwiatów na gałęziach drzew począwszy, po śpiew ptaków i szum wiatru, po kolumny zamkowe, wszystko wita nas tutaj z otwartymi rękami. Każdy kamień w zamku MacCallana czyni to z największą radością. Zamku, który już niebawem przestanie być ruiną! - Smukłe ręce Elphame uniosły się wysoko ponad jej głową. - Radujcie się! - zawołała. - Tu będzie nasz nowy dom!

Czuła ciepło, przepływające przez ramiona, podobnie jak wtedy, kiedy nawiązała więź z kamienną kolumną. Ciepło, przechodzące w żar, wspaniały żar, ogarniający całe ciało.

Wszyscy zareagowali tak samo - może nie tyle na jej słowa czy pomysł odbudowy zamku, co na nią samą. Na ich wspaniałą boginię. Wszyscy jak jeden mąż wydali radosny okrzyk, który odbił się szerokim echem wśród starych murów. Okrzyk radości, okrzyk życia.

Lochlan, ukryty wśród drzew, obserwował całą tę scenę. Patrzył na mężczyzn i centaurów, młodych i dumnych, wyczuwał ich uniesienie, kiedy odpowiadali na wezwanie bogini.

Elphame. Rozpoznał ją od razu. Nie mogło być inaczej, wiedział przecież, że tu ją zastanie. Ale i tak jej widok wstrząsnął nim. Co innego sny, co innego zobaczyć kogoś

na własne oczy. Był porażony jej widokiem. Bo dopiero teraz uświadomił sobie, jak jest piękna.

Jej ciało! Emanowało namiętnością i siłą, siłą nie z tego świata. Ciało tak ponętne... Lochlan czuł już, jak budzi się w nim pożądanie. Krew w żyłach przyspiesza, potężne skrzydła zaczynają drżeć. Dlatego

szybko zmusił się do spojrzenia w bok, żeby nie patrzeć na Elphame, bo wtedy być może uda mu się



zapanować nad podnieceniem.

W skroniach odezwał się znajomy ból, promieniujący na całe ciało. Rozchodził się po nim, przenoszony przez gorącą pulsującą krew. Całe ciało przeciwstawiało się jego pragnieniu opanowania

żądzy, ale Lochlan jak zwykle uruchomił w sobie całe zasoby swego człowieczeństwa, by pokonać mroczne impulsy. Po chwili krew w żyłach zwolniła, skrzydła zadrżały jeszcze raz i posłusznie złoży-

ły się na jego plecach.

Ból trwał, jak niespokojny duch tłukł się po jego głowie, ale Lochlan nie zwracał na niego uwagi.

Najważniejsze, że po raz kolejny udało mu się zapanować nad tym, co w nim złe i mógł ponownie skierować wzrok na Elphame. Spojrzał na nią dokładnie w chwili, gdy unosiła ręce wysoko ponad głową, a grupa mężczyzn i centaurów radosnym okrzykiem odpowiedziała na jej wezwanie. Lochlan uśmiechnął się, odsłaniając długie, groźnie wyglądające kły. On też bardzo chętnie wydałby z siebie taki pełen entuzjazmu okrzyk.

Całe szczęście, że jest tu sam, bez swoich ludzi, swoich towarzyszy niedoli. Niczego by nie pojęli, ale wystarczyło, żeby teraz o nich pomyślał i jak zawsze ogarnęła go rozpacz. Czuł ich obecność wręcz

namacalnie, czuł ich potrzeby, ich ból, ich wiarę w niego...

Nie, teraz nie wolno o nich myśleć. Nie wolno - a poza tym wcale tego nie chciał. Zaprzętać głowy teraz kimś

innym niż Elphame. Kiedy wszystko w nim, co było ludzkie, pełne honoru i prawdy, namawiało go, by biegł teraz do niej i wyznał, że odkąd sięga pamięcią to ona wypełnia wszystkie jego sny. I serce.

Nabrał głęboko powietrza i potarł dłonią twarz. Oczywiście, że teraz tego nie może zrobić. Podejść do niej, tak otwarcie, na oczach tylu ludzi. Przecież oni będą widzieć w nim tylko Fomoriana. Rzucą się

na niego, a on nie da rady pokonać ich wszystkich. Nie da rady nawet zbliżyć się do niej, nie dopuszczą go. I zabiją. Bo sama desperacja to nie wszystko.

Nagle w uszach zadźwięczał cichy głos ukochanej matki:

- Pamiętaj o swojej obietnicy, synu. Pamiętaj o Przepowiedni. Twoim przeznaczeniem jest znaleźć sposób, jak uzdrowić twoich pobratymców i poprowadzić ich z powrotem do Partholonu. Tylko ty możesz spełnić Proroctwo Epony. I musisz to zrobić.

Nie wolno mu być teraz egoistą. Musi myśleć o innych, musi uśmierzyć ich ból, nawet za cenę...

Zmusił oczy, by odwróciły się od Elphame i walcząc z rozdzierającym serce poczuciem straty, znikł bezszelestnie w głębi lasu.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

- Czy ty specjalnie próbujesz zepsuć mi całą zabawę? Skazać na życie w celibacie?

Cuchulainn wcale nie krył swego niezadowolenia, Elphame przeciwnie, w nastroju jak najlepszym, obdarzyła brata promiennym uśmiechem.

- Nie sądzę, Cu, że twoje intensywne życie miłosne rzeczywiście tak bardzo ucierpi, jeśli to ja porozmawiam z kobietami, chętnymi do podjęcia pracy w zamku. A ty będziesz nadzorować pracę płci męskiej na dworze!

- Chodź ze mną, chłopcze - powiedział dobrodusznie Danann, kładąc dłoń na ramieniu Cu. - Chcę przyrzeć się tym młodzikom i wybrać kilku, którzy nadawać się będą

na kamieniarzy. Resztę weźmiesz ze sobą i będziecie mogli, jak zarządziła twoja siostra, przystąpić do wielkiego sprzątnania.

- Ba! - prychnął po swojemu Cu, ale poszedł z centaurem i po chwili El usłyszała donośny głos brata, nawołującego mężczyzn i centaurów, czekających przed bramą, żeby wchodzili do środka. A tam miało się odbyć najpierw wielkie sprzątnanie. Co do tego Cu, Danann i Elphame byli jednomyślni. Po powitaniu przybyłych, zrobili szybki obchód po zamku i doszli do zgodnego wniosku, że zanim cokolwiek zacznie się naprawiać czy budować, najpierw trzeba uprzątnąć to, co nagromadziło się tutaj przez minione stulecie.

Elphame, wzięwszy się pod boki, rozejrzała się dookoła. Była sama, mogła pozwolić sobie na całkowitą swobodę myśli. A więc - wygląda to koszmarnie. Fakt, że ściany nośne stały, że zachowała się cała konstrukcja budowli, ale wszystko poza tym popadło w ruinę. Czego podczas pożaru zamku nie strawił ogień, niszczało wraz z upływem czasu.

Czuła, że ręce jej opadają. Nie spodziewała się, że zadanie, jakie sama przed sobą postawiła, będzie tak ciężkie, tak trudne. Cały teren zamku, otoczony grubymi murami, był bardzo rozległy. Ilu ludzi tu kiedyś mieszkało? Co najmniej tylu, ilu w chwili obecnej mieszka w sennej wiosce Loth Tor.

Czy ona, Elphame, będzie w stanie sprostać swemu zadaniu? Odbudować ten zamek?

Czując coraz większe przygnębienie, odruchowo spojrzała na centralną kolumnę ze śladami ognia sprzed stu lat. Bezwiednie potarła ręce, przypominając sobie przedziwne ciepło, ten żar, który czuła w sobie, gdy porozumiewała się z kamieniem. Magia... Nigdy dotąd czegoś takiego nie przeżywała, nawet w najmniejszym stopniu. Dopiero dziś. Dziś ma namacalne dowody, że potrafi porozumiewać się z duchami kamienia. Co to tak naprawdę oznacza?

- Rządzą od dawna, to był czas obfitujący w wielkie wydarzenia. Jestem gotowa się wycofać...

Głos matki ożył w pamięci Elphame, serce zatrzepotało z niepokoju. Och, nie! Ona absolutnie nie może zająć miejsca matki. Bez względu na to, czy faktycznie potrafi porozumieć się z duchami kamienia, czy nie, nie jest kimś, kto by potrafił kierować całym Partholonem. Po prostu nie jest swoją matką. Jej matka jest Wybraną Epony, Elphame nie.

Teraz jest przytłoczona ogromem swego zadania.

Tragedia? Nie. Elphame spojrzała na osmalone, kruszejące ściany i potrząsnęła sobą w duchu.

Porządnie. Zadanie ciężkie, owszem, ale przecież wcale się nie spodziewała, że będzie inaczej, że wszystko pójdzie jak z płatka. Teraz więc nie pozostaje jej nic innego, jak zakasać rękawy i brać się do roboty. Z głową, czyli panować nad wszystkim.

Przecież to twój zamek, Elphame. Twój nowy dom.

- Elphame! - zagrział znów Cuchulainn. - Chodź! Przyszły kobiety!

- Świetnie. I od tego zaczynamy - szepnęła Elphame. Absolutnie nie czuła się na siłach kierować

całym

Partholonem, poza tym wcale tego nie pragnęła, ale na pewno ma dość siły w sobie, żeby przywrócić do życia zamek MacCallana.

Uśmiechnęła się na pożegnanie do tej najważniejszej, centralnej kolumny i szybkim krokiem podążyła ku zamkowej bramie.

Kobiety stały zbite w stadko kilka kroków od pustych drzwi. Nie widziały nadchodzącej Elphame, mogła więc

swobodnie im się przyjrzeć. Wszystkie były młode, trochę zalęknione. I w sumie było ich niewiele, zaledwie kilkanaście, czyli trzy razy mniej niż mężczyzn i centaurów. Nie było też wśród nich ani jednej kobiety centaury, czym Elphame była trochę rozczarowana. Ale wiedziała, że trzeba się zadowolić tym, co jest. Poza tym może to i dobrze, że kobiet jest niewiele. Będzie możliwość poznać się lepiej, będzie miało się z kim pogawędzić.

o nawiązaniu przyjaźni nawet nie śmiała marzyć. Tego sobie w ogóle nie wyobrażała, ale może przynajmniej ta grupka kobiet nauczy się traktować ją jako przywódczynię klanu, może nawet wielką kapłankę, a nie kogoś, kogo należy czcić, czyli boginię, nietykalną i nieśmiertelną.

Kiedy Elphame wyłoniła się z pustych drzwi, kobiety, wyraźnie spłoszone, szybko dygnęły przed nią, co druga pochyliła głowę. Elphame odchrząknęła i przywołując na twarz swój najbardziej serdeczny uśmiech, przemówiła do nich:

- Witajcie! Jestem bardzo zadowolona, że tak wiele kobiet zainteresowanych jest odbudową zamku MacCallana i uczynienia go swoim domem. Mężczyźni... - Elphame wskazała ręką na mężczyzn, którzy w tym czasie zdążyli już podzielić się na grupki i przystąpili do sprzątnięcia - wykonają większość ciężkich prac, co nie znaczy, że nasza praca będzie mniej ważna. A ja potrzebuję kucharek i kogoś, kto potrafi tkąć i wyszywać. Chciałabym bardzo... - Elphame nie zdawała sobie sprawy, że jej uśmiech, dotychczas serdeczny, teraz stał się uśmiechem rozmarzonym - by do zamku MacCallana powróciło życie, żeby było tu pięknie. Chciałabym, żeby ściany zamku ozdobione były tak pięknymi

gobelinami, że nawet moja matka, która żyje otoczona naprawdę pięknymi przedmiotami, poczuła ukłucie zazdrości!

Kilka kobiet uśmiechnęło się nieśmiało, Elphame, zachęcona tą reakcją, mówiła dalej mocnym, pewnym głosem:

- Potrzebne mi są też kobiety do codziennych prac, po prostu do dbania o zamek... - jej wzrok przemknął po chwastach zarastających wejście do zamku - który, jak widzimy, wymaga szczególnej opieki...

Jedna z kobiet zachichotała, natychmiast jednak, bardzo speszona, zasłoniła ręką usta i mocno się zarumieniła.

Elphame przechwyciła jej wzrok.

- Proszę, nie bójcie się śmiać. Zdaję sobie sprawę, że wszystko tutaj wcale nie wygląda zabawnie, ale wiercie mi, tak będzie tylko do czasu. Dzięki nam. Dlatego każdy kamień tutaj śpiewa z radości, zachwycony naszym przybyciem.

Dziewczyna odsłoniła usta i uśmiechnęła się nieśmiało do bogini.

- Jak ci na imię? - spytała Elphame.

- Me.. Meara - wyjąkała dziewczyna.

- Meara - powtórzyła Elphame. - Mearo, powiedz mi, proszę, jaki rodzaj pracy ci najbardziej odpowiada?

- Ja... ja... - zaczęła dziewczyna bardzo niepewnym głosem, ale dokończyła już jednym tchem: -

Potrafię utrzymać w domu porządek.

- Znakomicie. Bo to oznacza, że znalazłaś się w odpowiednim miejscu. Tu będziesz miała zawsze pełne ręce roboty. - Spojrzenie Elphame przemknęło po twarzach pozostałych dziewcząt. - Te spośród

was, które są dobre w sprzątaniu i czyszczeniu, niech zgłoszą się do Meary. - Elphame spojrzała z powrotem na Mearę, która aż pęczniała z dumy, że została wyróżniona. - Mearo, pod koniec dnia

podasz mi, proszę, imiona swoich

współpracownic. A teraz... - Elphame ponownie przemówiła głośniejszym głosem. - Kto zajmie się gotowaniem?

Cztery młode kobiety, zbite w stadko, po chwili wahania podniosły ręce, a po jeszcze jednej chwili jedna z nich, o pięknych płomienistych włosach i zielonych oczach, wysunęła się o krok do przodu.

- Słyszałyśmy, że potrzebni są tu ludzie do pracy, dlatego przyjechałyśmy. Przedtem byłyśmy w zamku McNamary. Tamtejsza kucharka... - Dziewczyna zamilkła na moment i spojrzała na swoje towarzyszki, jakby szukając u nich poparcia. Wszystkie kiwnęły zachęcająco głowami, rudowłosa mówiła więc dalej, z miętym zachodnim akcentem: - Tamtejsza kucharka jest wiecznie niezadowolona. Ciągłe gdera i gdera, i nie lubi młodych dziewczyn w swojej kuchni, zwłaszcza takich, co mają nowe pomysły.

- Rozumiem - powiedziała Elphame. - A ja zapewniam was, że nie mam nic przeciwko młodym dziewczynom w kuchni, zwłaszcza takim, co mają głowy pełne pomysłów. Nie sądzę też, że bym była gderliwa, chociaż Cuchulainn prawdopodobnie byłby innego zdania.

Kiedy wspomniała o swoim przystojnym bracie, wszystkie dziewczęta zachichotały.

- A która z was jest najlepszą kucharką?

Trzy pary oczu natychmiast zwróciły się ku rudowłosej dziewczynie, która przemawiała w ich imieniu.

- Wszystkie gotujemy dobrze, choć nie ukrywam, że mi chyba wychodzi najlepiej. Nazywam się Wynne. A to są — Wynne po kolei wskazała ręką każdą ze swoich towarzyszek - Ada, Colleen i Ula.

- Dziękuję. Wynne, miło mi przekazać tobie, że od tej chwili w naszej kuchni rządzisz ty. Pierwszym twoim zadaniem będzie rozejrzenie się po zamkowej kuchni.

Zorientuj się, co należy tam ponaprawiać, trzeba sprawić się z tym jak najszybciej. Mamy przecież tu mnóstwo ludzi do wykarmienia.

- Tak, Bogini - powiedziała Wynne i dygnęła. Bogini. Elphame czuła, jak jej twarz tężeje, zanosilo się przecież na to, że żadna z tych kobiet nigdy nie dostrzeże w niej po prostu Elphame, młodej

kobiety,

która uwielbia biegać, żartować ze swoimi najbliższymi i moczyć się godzinami w basenie swojej matki. Zawsze będzie dla nich boginią.

Nie, tak nie będzie. Elphame szybko podjęła w duchu decyzję.

- Moje drogie! - odezwała się dźwięcznym głosem i dziewczęta, już paplające między sobą, natychmiast zamilkły. - Chciałam prosić was, żebyście zrobiły mi pewną uprzejmość. Będziemy pracować ze sobą, ramię w ramię, dlatego wolałabym, żebyście nie tytułowały mnie „boginią”.

Proszę, zwracajcie się do mnie po imieniu...

Wyraz twarzy wszystkich dziewcząt był jednakowy. Szok.

Elphame westchnęła.

- No dobrze. Nie chcecie mi mówić po imieniu, to zwracajcie się do mnie „milady”. Jak chcecie zresztą, byle tylko nie „bogini” - powiedziała, trochę już mniej pewnym głosem, ponieważ żadna z dziewcząt się nie odezwała. - No dobrze, jakoś to się ułoży... Co jeszcze? Aha! Czy któraś z was potrafi tkąć i wyszywać?

Kilka rąk uniosło się w górę. Elphame przechwyciła spojrzenie pulchnej, rumianej blondynki.

- Jak ci na imię? - spytała.

- Caitlin.

- Caitlin. Potrafisz tkąć czy wyszywać?

- I to, i to, Bogi... milady.

- Świetnie. Mam kilka pomysłów odnośnie nowych gobelinów. Chciałabym, aby w każdej dużej zamkowej sali wisiał inny gobelin, przedstawiający inną scenę. W wielkiej sali zamkowej powiesimy

gobelin przedstawiający po prostu zamek MacCallana. Chcę, żeby gobeliny te świadczyły, że zamek ożył, powrócił do dawnej świetności.

Caitlin, zanim odezwała się, dla dodania sobie animuszu zamrugała kilkakrotnie oczami.

- Ale, Bogini, to znaczy milady, skąd mamy wiedzieć, jak pokazać zamek na gobelinie? Przecież teraz daleko mu do świetności.

- Masz rację. A więc trzeba znaleźć kogoś, kto potrafi rysować i potrafi sobie wyobrazić... - Głos Elphame zamierał, wzrok utkwiała w ruinach.

- Ja narysuję, milady - rozległ się czyjś cichy głos. Elphame szybko spojrzała na kobiety, ale nie potrafiła

wyłowić spośród nich tej, która odezwała się przed chwilą.

- Kto to powiedział? - spytała.

- Ja. Nazywam się Brenna - poinformował cichy głos i tym razem Elphame zorientowała się, że jego właścicielka stoi gdzieś na szarym końcu.

- Brenno, pokaż się, proszę - powiedziała trochę już zniecierpliwionym głosem. - Chcę cię zobaczyć.

Dziewczęta rozstąpiły się i do Elphame podeszła niewysoka, drobna dziewczyna z pochyloną głową.

Długie ciemne włosy opadały na jej twarz. Elphame zauważyła, że pozostałe dziewczęta nagle spojrzwały w bok, jakby widok tej dziewczyny wprawiał je w zakłopotanie.

Zrozumiała, dlaczego, kiedy dziewczyna podniosła głowę i pokazała swoją twarz. Wtedy Elphame szybko nakazała swojej twarzy pozostać nieruchomą. Kompletnie pozbawioną wyrazu.

Brenna była młoda, twarz miała bardzo ładną. A dokładnie jej połowę, z lewej strony. Druga połowa twarzy, zeszpecona bliznami po oparzeniu, wyglądała strasznie. Blizna zaczynała się już na szyi, po czym wkraczała na twarz, zajmując całą prawą stronę. Gruba lśniąca blizna, różowa z białymi przebarwieniami, świadczącymi, że było to oparzenie najcięższe. Prawy kącik ust, zagubiony w tej bliznie, nie istniał, co było tym bardziej przykre, że wargi z lewej strony, nietknięte, były pełne, pięknie wykrojone. Podobnie było z brązowymi oczami o sarnim spojrzeniu. Prawe oko nietknięte, natomiast zewnętrzny kącik oka lewego pochłonęła blizna i oko w tym miejscu opadało.

Brenna stała nieruchomo, pozwalając Elphame przyjrzeć jej się dokładnie. Kiedy Elphame spojrzała



jej prosto w oczy, spokojnie wytrzymała jej wzrok.

- Potrafię narysować zamek - oświadczyła głosem już o wiele pewniejszym.

- Jesteś artystką, Brenno?

- Nie. Po prostu posiadam niewielką umiejętność rysowania z natury, także tego, co sobie wyobrazę.

Brenna uśmiechnęła się. Krzywo, ten uśmiech Elphame oceniła w duchu jako kompletnie

rozbrajający. - Sądzę, że potrafię narysować to, co milady sobie wyobrazi. O ile milady potrafi mi opisać to słowami.

El skwapliwie pokiwała głową, a Brenna dokończyła swoją wypowiedź:

- Chcę jednak, żeby milady wiedziała, że nie jestem artystką. Jestem Uzdrawicielką.

Czyli dla Elphame już drugi powód do radości.

- Wspaniale, Brenno. Jesteś tu osobą nadzwyczaj pożądaną. Jak wiadomo przy takiej pracy, jak odbudowa zamku, nie obejdzie się bez niefortunnych wydarzeń,

kiedy to interwencja Uzdrawicielki będzie niezbędna. Mój brat, na przykład, niby taki wielki wojownik, bardzo łatwo się kaleczy. Jak dziecko!

Wydawało jej się, że po oszpeconej twarzy Brenny przemknął cień. Ale odpowiedź padła od razu, jasnym, dźwięcznym głosem.

- Oczywiście, milady. Cieszę się, że będę tam, gdzie jestem potrzebna.

- Elphame!

Do damskiego grona wtargnęło nagle męskie tornado. W osobie wspomnianego brata. Cuchulainn mocnym krokiem przeszedł obok stadka młodych kobiet, mierząc je wszystkie błyszczącym wzrokiem i kłaniając się co ładniejszym.

- Elphame, wyobraź sobie, że wozy z prowiantem i narzędziami utknęły w miejscu, które kiedyś podobno było gościńcem wiodącym do zamku! Jest kompletnie zarośnięty. Wysłałem już tam centaurów, mają powyrywać, co trzeba i zrobić porządną drogę dojazdową do zamku. Kiedy wozy

już

podjadą, rozstawimy namioty. Myślę, że najlepiej przed murami. Dopóki to monstrum nie będzie znów nadawać się do zamieszkania.

Elphame znacząco uniosła brwi i skrzyżowała ramiona na piersi.

Cuchulainn wybuchnął śmiechem.

- W porządku! Wybacz, że twój ukochany pałac nazwałem monstrum!

- Nie pałac, tylko zamek - poprawiła go siostra lodowatym głosem.

- Niech będzie. Zamek. Z tym że ten twój zamek nie nadaje się na mieszkanie ani dla człowieka, ani dla zwierzęcia. O pięknych damach nie wspominając... - Cuchulainn mrugnął wesoło do rumianej Caitlin, której

policzki natychmiast przybrały barwę malwy. - A co do namiotów... Moim zdaniem najlepiej je rozstawić na łąkach za zamkowymi murami po stronie południowej. Łąki ciągną się aż do nabrzeżnych skał. Urządzenie obozowiska zajmie nam kilka dni, przez ten czas przytulą nas mieszkańcy Loth Tor. Czy milady ta koncepcja odpowiada?

- Odpowiada, odpowiada... - mruknęła Elphame, która za to błaznowanie najchętniej dałaby bratu po uszach. Zadowolili się jednak bardzo oszczędnym kuksańcem w bok. - A mnie potrzeba kilku mężczyzn do pomocy w kuchni. Z kuchnią trzeba zrobić jak najszybciej porządek. Wszystkich nas czeka bardzo ciężka praca, nie możemy jeść tylko suszonego mięsa i sucharów.

Kiedy szturchnęła brata, on złapał się za bok, udając, że go okropnie zabolalo. Był zachwycony, że siostra jest aż tak rozluźniona w obecności tylu obcych osób. Na takie głupie żarty Elphame pozwalała sobie tylko wobec swego rodzeństwa, i to wtedy, kiedy nikt inny ich nie widział. Czyli wszystko

wskazywało na to, że perspektywa odbudowy rozwalającego się zamku wpływa na nią bardzo korzystnie.

- Nie jestem tym zachwycony, bo tracę kilka par rąk. Ale jak trzeba, to trzeba. Oddam kilku mężczyznom

do twojej dyspozycji, raczej do dyspozycji twojej kucharki... - Uśmiechnął się łobuzersko. - Znakiem tego musisz poznać mnie ze swoją kucharką!

Elphame, oczywiście, najpierw zrobiła odpowiednio zbolałą minę, po czym uczyniła zadość jego prośbie.

- Wynne, ten naprzykrzający się młody człowiek to mój brat, Cuchulainn. Cuchulainnie, poznaj proszę Wynne, która rządzi w naszej kuchni.

Cuchulainn złożył nonszalancki ukłon.

- Miło mi ciebie poznać, Wynne o płomienistych włosach.

- Mnie również bardzo miło, milordzie - odparła Wynne, spoglądając na niego bardzo, bardzo przychylnie.

- A więc poznałeś już ją, Cu - powiedziała Elphame trochę zniecierpliwionym głosem. - Teraz idź już.

Wyznacz kilku mężczyzn do dyspozycji Wynne i przyslij ich do zamku.

Siostra popchnęła lekko brata w stronę, skąd przyszedł. Brat, zanim się oddalił, złożył wszystkim damom elegancki ukłon.

- Miłe panie... Do zobaczenia!

Wszystkie „miłe panie” dygnęły i rzuciły za nim słowo pożegnania.

- Mój brat to łobuz.

Elphame była pewna, że stwierdziła to w duchu bezgłośnie, dopóki nie odezwała się Wynne, wpatrzona w barczyste plecy oddalającego się Cu.

- Może i łobuz, ale jest diabelnie przystojny! - wypaliła i zbladła, przerażona, że pozwoliła sobie na zbyt wielką poufałość. Dygnęła szybko, zaczęła coś tam mamrotać, ale Elphame machnęła

lekceważąco ręką na znak, że nie ma za co przepraszać i zakończyła wątek, starając się być dowcipna.

- Zachowaj w pamięci przede wszystkim to „diabelnie”, a zachowasz serce w całości!

Była niezadowolona. Czy one nigdy w jej obecności nie poczują się swobodnie? Zawsze będą

traktowały ją jak jakąś świętość, wokół której chodzi się na palcach? Przecież starała się ze wszystkich sił zachowywać jak najbardziej „normalnie”, nie zadzierała nosa, nawet drażniła się z bratem w ich obecności.

Ale nie trzeba tracić nadziei. Z czasem przekonają się,

że ona w gruncie rzeczy jest taka sama jak wszyscy. W końcu to dopiero pierwszy dzień, trzeba być cierpliwym. Przez tyle lat traktowano ją w taki, a nie inny sposób i nie da się tego zmienić za jednym zamachem, jednego poranka.

Starając się nie poddawać przygnębieniu, zwróciła się

ponownie do kobiet:

- A więc zabieramy się do roboty. Wiem już, że każda z was posiada szczególne umiejętności i bardzo

to sobie cenię.

Uśmiechnęła się, szczególnie ciepło do tych, których imiona już poznała. Brenny nie zauważyła, czyli dziewczyna musiała znów schować się za plecami swoich towarzyszek.

- Na początek wszystkie będziemy rywalizować z Mearą. Zanim będziecie miały okazję wykazać się swoimi umiejętnościami, najpierw musimy posprzątać. Zaczynamy od wejścia do naszego nowego domu - oznajmiła Elphame i nie czekając na odpowiedź, podeszła do chaszczki przed pustymi odrzwiami zamkowej bramy. Nachyliła się i chwyciła za długi, pokryty rdzą żelazny pręt, jedną ze smętnych resztek zamkowej bramy. Zaparła się nogami i pociągnęła z całej siły. Gruby pręt stawiał opór, po chwili jednak powoli i z ogromną niechęcią wysunął się spośród zbitych w kłęb pnączy dzikiego wina.

Elphame spojrzała na swoje współtowarzyszki. Okazało się, że wcale nie poszły za jej przykładem. Zbiły się znów w stadko i popatrywały lękliwie to na mroczną czeluść wśród kamieni, widoczną za bramą, to na Elphame. Prawdopodobnie w tamtej dziurze jawiło im się jakieś widmo, natychmiast więc przypomniały im się wszystkie mroczne opowieści o kłątwie, jaka ciąży na zamku MacCallana.

W tym momencie niewątpliwie

Elphame powinna powiedzieć im kilka pogróżających słów, niestety, ona w dodawaniu otuchy i w ogóle w przemawianiu do tłumu była kiepska. Fakt, że jej poranna przemowa do mężczyzn i centaurów porwała słuchaczy zakrawał na cud. Była w tym kiepska, nie to, co jej matka, prawdziwa mistrzyni w płomiennych przemówieniach.

Trzeba jednak jakoś dodać tym młodym kobietom odwagi. Ich zalęknione spojrzenia kierowane były bez przerwy na Elphame, czyli niewątpliwie spodziewały się, że kto jak kto, ale ona zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Co, oczywiście, było całkowicie bezpodstawne. Pomyślała jednak, że ma w ręku pewien argument. Bardzo mocny argument.

- Bierzmy się do pracy, moje drogie. Oczyszcmy wejście do naszego nowego wspólnego domu, zamku MacCallana. Zróbmy to my, kobiety, bo przecież to kobieta jest zawsze strażniczką domowego ogniska, niezależnie od tego, czy jest to wiejska chata, zamek czy świątynia. To kobieta zawsze tchnie życie w rodzinę, tak jak nasza Bogini Epona daje życie światu każdego poranka. I teraz my, kobiety, wyrwiemy zielsko sprzed bramy, by przez tę bramę weszło do zamku nowe życie. Do zamku, z którego uczynimy nasz nowy dom.

Kiedy skończyła, usłyszała głębokie, gremialne westchnienie, niewątpliwie ulgi.

Pierwsza Meara wysunęła się do przodu, chwyciła za gruby konar i dorzuciła go do żelaznego pręta, wyciągniętego z chaszczki przez Elphame.

- Teraz przynajmniej możemy mieć całkowitą pewność, że na coś tu się przydamy - powiedziała z satysfakcją i uśmiechnęła się szeroko.

Reszta kobiet też się uśmiechnęła.

- A tak, masz rację - przytaknęła Wynne i z zapalem

zaczęła wyrywać chwasty, zarastające bramę. Jej trzy pomocnice dołączyły do niej, zaraz potem wszystkie pozostałe kobiety zabrały się do roboty, pogadując sobie przy tym i żartując, przede

wszystkim oczywiście z mężczyzn, którym trzeba oczyścić drogę, bo inaczej do domu nie trafią. Tak

to już z mężczyznami jest.

Elphame stanęła z boku, popatrując na krzątające się kobiety. Już teraz było widać, że te kobiety żadnej pracy się nie boją. Nie bały się pobrudzić rąk, żadna nie jęczała, że może zrobić już krótką przerwę.

Co powiedziała przed chwilą Meara? „Teraz przynajmniej możemy mieć całkowitą pewność, że na coś tu się przydamy”. Tak powiedziała, a to pozwala przypuszczać, że tam, skąd przyszły, nie były już potrzebne. Przybyły tu w poszukiwaniu swego nowego miejsca na ziemi, miejsca, gdzie będą potrzebne.

Takie miejsce już znalazły, powiedziała sobie w duchu El. Wszystkie te młode kobiety zostaną na zawsze w zamku MacCallana. Tu będzie ich dom, tu zawsze będą potrzebne i docenione.

Kiedy czyniła sobie w duchu tę obietnicę, nagle wiatr przywiał do jej uszu czyjeś słowa, ciche słowa, czyjś szept:

- Znakomicie dałaś sobie radę, Umiłowana.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

- Ojej, jak tu ciemno! Boję się!

Cichy głos Caitlin odbił się echem od wewnętrznych murów zamku. Grupa kobiet po przekroczeniu pustej bramy zamkowej, która po uprzątnięciu przypominała otwartą paszczę jakiegoś gigantycznego zwierzęcia, pozbawioną przednich zębów, uczyniła zaledwie jeden krok i zatrzymała się. Przez cały ranek kobiety pracowicie zbierały to, co nagromadziło się przez stulecie i układały na stos. W międzyczasie, podczas krótkiej przerwy między pieleniem a dźwiganiem zjadły lunch, pochłaniając z wilczym apetytem twarde suchary, ser i suszone mięso. Elphame doskonale mogła wyobrazić sobie swoją matkę,

która na widok takiego posiłku wzdrygnęłaby się z odrazą. Jak można jeść coś tak prostego i w tak barbarzyński sposób!

Można. Elphame delectowała się każdym kęsem.

Pierwszy etap prac został zakończony, przyszła pora na następny. Teraz należało wkroczyć do zamku i rozpocząć prace zakrojone na o wiele większą skalę, w celu przekształcenia starej ruiny w schludny dom.

Przedtem jednak Elphame ponownie musiała wlać w swoje podopieczne trochę entuzjazmu.

- Wcale nie jest tu tak ciemno - powiedziała i zdecydowanym krokiem podeszła do wielkiej dziury w wewnętrznym murze, gdzie kiedyś były drzwi, którymi wchodziło się do zamku. Przez pusty otwór widać było majaczący w mroku główny dziedziniec i potężną kamienną kolumnę.

- Tylko tak się wydaje, bo wszystko jest osmalone po pożarze, poza tym pokryte brudem całego stulecia - dodała, uśmiechając się zachęcająco, przede wszystkim do lękliwej Caitlin. - Jak się to wszystko doszoruje, będzie o wiele jaśniej.

Niestety, ani Caitlin, ani pozostałe kobiety nie sprawiały wrażenia przekonanych. Przeciwnie, było jasne, że najchętniej znalazłyby się z powrotem za zamkowym murem.

- A co do klątwy...

W tym momencie, wiadomo, wszystkie kobiety znieruchomiały, wlepiając oczy w Elphame.

Wydawało się, że nawet kamienie całe zamieniają się w słuch.

- ...to nieprawda. Nie ma żadnej klątwy - ciągnęła Elphame pewnym, dźwięcznym głosem. -

Wcielenie Bogini Epony zapewniało mnie o tym osobiście, poza tym podpowiada mi to moja intuicja.

Nie ma żadnej klątwy,

a to miejsce, choć w strasznym stanie, nadal jest piękne. Trzeba tylko umieć to dostrzec, a nie wierzyć głupim bajkom, którymi straszy się niesforne dzieci. Nie pozwólcie, żeby zachwiały waszym zaufaniem do nowego domu.

I do mnie, dodała w duchu. Bardzo nie chciała, żeby jej ludzie wylęknieni skradali się po zamku i podskakiwali ze strachu z powodu wymaganych demonów.

- Ja nigdy się nie bałam żadnych bajek, milady. Elphame od razu rozpoznała ten głos, jeszcze zanim

Brenna wysunęła się ze swego miejsca za plecami swoich towarzyszek i podeszła do niej. Głowę miała pochyloną, szpecące blizny ukryte za welonem włosów. Ale oczy były odsłonięte, bystry wzrok utkwiony w Elphame.

- Uważam jednak, że niektóre fantastyczne opowieści i wytwory wyobraźni mają większą moc niż rzeczywistość. Dlatego, kierując się rozsądkiem, powinno się odpędzać od siebie duchy nierealności, zanim przytłoczą to, co jest prawdą.

Elphame bardzo się podobał sposób mówienia Brenny. Spokojny, wyważony, pewny siebie.

- Co proponujesz, Brenno?

- Obrzęd oczyszczenia. Bardzo prosty, ale dzięki niemu pozbędziemy się negatywnej energii, a dobra energia otoczy opieką nowych mieszkańców zamku.

Pozostałe kobiety wpatrywały się w Brennę z wielką ciekawością i z wyraźną ulgą.

- Dobrze - powiedziała Elphame. - Powiedz, co jest potrzebne do takiego obrzędu.

- Niewiele. Jak powiedziałam, to bardzo prosty obrzęd. Potrzebujemy tylko bazylii i duże naczynia na wodę.

- Poszukam bazylii - zaofiarowała się Wynne. - Może rośnie gdzieś zdziczała w tutejszym ogrodzie.

- Całkiem możliwe - przyznała Brenna. - Zioła są

niezwykle wytrzymałe. Jeśli uda ci się tu odszukać ogród ziołowy kucharek sprzed stu lat, jest nadzieja, że znajdziesz tam bazylię.

- Ja zawsze odnajdę ogród kucharki - oświadczyła Wynne. Jej głos, zwykle bardzo miękki, melodyjny,

tym razem zabrzmiał nieco ostrzej.

- A ja poszukam czegoś na wodę - oświadczyła Meara. - W zamku mieszkało kiedyś mnóstwo ludzi, na pewno gdzieś tu walają się jakieś naczynia czy kubełki.

- Świetnie to wymyśliłyście, Wynne i Mearo - pochwaliła Elphame i energicznym głosem wydała



polecenia reszcie kobiet: - Podzielcie się. Połowa z was pójdzie z Wynne szukać bazylii, a reszta z Maerą na poszukiwanie naczyń na wodę. Kiedy wrócicie, będziemy mogły zacząć obrzęd.

Nie spodziewała się, że kobiety podejną do tego tak entuzjastycznie. A one tymczasem pręźnie jak wojownicy w spódnicach błyskawicznie podzieliły się na dwie grupy i ruszyły do boju. Wkroczyły do

zamku, wcale nie wylężnione i drżące, lecz z głośnym śmiechem, pokrzykując między sobą. Może i miały w tym swój cel, pragnąc głośnym zachowaniem odpędzić to, co ewentualnie czaiło się w ciemnych zakamarkach.

- Strach można pokonać zdrowym rozsądkiem i wykonywaniem prostych czynności, codziennych czynności - powiedziała cicho Brenna, która została razem z Elphame.

- Masz rację - odparła z uśmiechem Elphame. - Bardzo mądrze wymyśliłaś ten obrzęd oczyszczenia, Brenno. Niemożliwe przecież, żeby człowiek bał się miejsca, z którym wiąże nadzieje na przyszłość. Ja już po prostu gotowa byłam na nie nawrzeszczyć, co byłoby bez sensu. Twoja metoda jest o wiele lepsza.

- Nie wiem, czy lepsza, ale na pewno, jak powiedziałam, bardzo nieskomplikowana i przemawiająca do wszystkich - odparła skromnie Brenna, jednocześnie lekko skłoniła głowę, dziękując Elphame za pochwałę.

- Brenno, czy ty jesteś szamanką? - spytała z ciekawością Elphame.

Na twarzy Brenny pojawił się rozbrajająco krzywy uśmiech.

- Milady mi pochlebia. Nie, nie jestem szamanką. Nie potrafię, jak szaman, uleczyć duszy, chociaż lecząc ciało, muszę posiadać pewną wiedzę o Świecie Duchów.

Elphame uśmiechała się coraz szerzej.

- Mówisz podobnie jak mój ojciec, choć on ujmuje to na odwrót. Nie potrafi leczyć ciała, ale musi znać się na ciele, żeby uleczyć duszę.

- Midhir jest Wielkim Szamanem. Spotkałam go tylko raz, był wobec mnie bardzo życzliwy i

uprzejmy. Nigdy tego nie zapomnę.

- Nie wiedziałam, że... - Elphame w ostatniej chwili ugryzła się w język. O mały włos, a

powiedziała, że nie wiedziała, że jej ojciec zajmował się kimś, kto ma tak straszliwe blizny. Czyli zachowała się jak osoba wyjątkowo gruboskórna.

Odchrząknęła.

- Nie wiedziałam, że znasz mojego ojca.

- Nie znam go, milady. Jak powiedziałam, kiedyś spotkałam go tylko raz.

Elphame, nadal bardzo niezadowolona z siebie, pokiwała głową i szybko zadała pytanie z innej beczki.

- Skąd jesteś, Brenno?

- Dotychczas mieszkałam w Zamku Strażników.

- W Warowni? Cieszę się, że zdecydowałaś się do nas dołączyć. Mam nadzieję, że w Warowni nie odczują zbyt boleśnie twojej nieobecności.

Brenna spojrzała w bok, Elphame zdążyła jednak zauważyć w jej oczach o różnym kształcie ból.

- Po prostu nadeszła pora wyjechać stamtąd, zacząć nowe życie - powiedziała cicho Brenna.

- Rozumiem - odparła krótko Elphame. Rozumie... Nie, ktoś o tak pięknej twarzy jak Elphame chyba nie potrafi tego zrozumieć. Brenna otwierała już usta, żeby powiedzieć o tym Elphame, ale nie odezwała się. Nie dlatego, że ona, Uzdrowicielka, bała się kobiety posiadającej władzę. Milczała, bo

w międzyczasie jej spojrzenie przemknęło po całej Elphame i zauważyło coś, co było bardzo istotne.

Elphame ubrana była zwyczajnie, jak wszystkie kobiety w Partholonie. Tors owinięty białym płótnem, spiętym na ramionach broszami. Ręce odsłonięte, tak było wygodniej przy pracy. Spódnica ułożona w równe fałdy, jak kilty noszone przez mężczyzn. Krótka. A dalej, zamiast kolan,

kształtnych, kobiecych łydek i stóp w skórzanych trzewikach, Brenna zobaczyła dwie przednie nogi konia. Smukłe, umięśnione, z pęciami, pokryte krótką lśniąca sierścią o tym samym kolorze co włosy

Elphame - ciemny kasztan. Nogi zakończone były czarnymi jak heban, lśnącymi kopytami. Elphame nie była człowiekiem, ale niewątpliwie nie była też kobietą centaurem. Była czymś, co różniło ją od całego Partholonu.

Spojrzenie Brenny przemknęło z powrotem w górę, żeby napotkać wzrok Elphame.

- Myślę, że milady rzeczywiście mnie rozumie - powiedziała cicho Brenna.

Dwie młode kobiety, tak różne od innych kobiet, wymieniły ostrożne, nieśmiałe uśmiechy.

Kobiety wróciły o wiele szybciej niż spodziewała się

Elphame. Tym, które poszły za Mearą, udało się znaleźć brudny, wyszczerbiony gliniany garnek oraz osmalony kubek, który jakimś cudem przetrwał pożar.

- Trzeba to porządnie wyszorować - oświadczyła Meara, dodając nieco ciszej: - Jak i cały ten zamek.

Urobimy się po łokcie...

Elphame udało się powstrzymać uśmiech. Wyznaczenie Meary na przywódczynię grupy sprzątającej było niewątpliwie strzałem w dziesiątkę. A że gdera? Nie szkodzi. Lepsze to niż miałyby przemykać lękliwie, przerażona rzekomą klątwą rzuconą na zamek.

- Niedaleko stąd jest strumyk. Wypływa z lasu, płynie po klifie i wpada do morza - odezwała się jedna z kobiet.

- Ty jesteś Arlene, prawda? - spytała ją Elphame. Młoda kobieta uśmiechnęła się nieśmiało i skinęła głową.

- Tak, milady. Jestem z Loth Tor, dobrze znam tę okolicę.

- Świetnie. W takim razie zaprowadź, proszę, Mearę nad strumień. Mearo, weź ze sobą do pomocy tyle dziewcząt, ile ci potrzeba.

Meara chrząknęła, wyraźnie zadowolona, że znowu może się trochę porządzić. Dobrała sobie kilka dziewcząt i cała grupa podążyła nad strumyk.

- A ja znalazłam mnóstwo bazylii! - oświadczyła z triumfem Wynne. Rozchyliła fałdy swej spódnicy i

na ziemię sfrunęło kilka delikatnych listków, rozsiewając wokół siebie charakterystyczny zapach, który wszystkim kojarzył się ze smakowitymi sosami, podawanymi podczas radosnych, niekończących się uczt.

Elphame, nagle bardzo głodna, zrobiła głęboki wdech, jakby chciała powietrzem zapełnić pusty żołądek. Zauważyła, że kilka kobiet zrobiło dokładnie to samo.

Uśmiechnęła się. Wszyscy myślą o jedzeniu, czyli musi zbliżać się pora obiadu.

- Znalazłam kuchnię - oznajmiła Wynne. - Tragedia. Elphame czuła, jak serce jej na moment stanęło.

- Aż tak źle? Da się coś tam naprawić, czy trzeba będzie całkowicie odbudować?

- Och, nie. Fundamenty są w porządku, dużo sprzętów ocalało. Ale i tak jest bardzo dużo do zrobienia.

Słowa Wynne, w sumie optymistyczne, z niewiadomego powodu wzruszyły Elphame. Łzy napłynęły jej do oczu, szybko więc zamrugała powiekami, bojąc się, że kobiety mogą jej reakcję zrozumieć opacznie. Odczekała chwilę. Odezwała się dopiero wtedy, kiedy była już pewna, że głos jej nie zadrży.

- Myślę, że ta sytuacja będzie się teraz często powtarzać. Najpierw przerażenie, a potem okaże się, że w wielu miejscach w zamku fundamenty są w porządku i zachowało się wiele sprzętów.

Kobiety pokiwały głowami potakująco i w oczach Elphame, nie wiadomo dlaczego, znów zakręciły się łzy.

- El! - zagrzmiął Cuchulainn. - Podesłać wam już tych mężczyzn?

Tym razem Elphame była bardzo zadowolona z hałaśliwej ingerencji brata. Szybko otarła oczy wierzchem dłoni, ale brat, zbliżając się do nich wielkimi krokami, i tak łez siostry by nie zauważył, zajęty był bowiem rozdawaniem na prawo i lewo swoich lśniących bielą zębów uśmiechów.

- Kiedy powiedziałem mężczyznom, że piękne damy potrzebują ich pomocy, zgłosiło się mnóstwo ochotników - oznajmił, mrugając wesoło do Wynne, która natychmiast zaczęła nerwowo otrzępywać spódnice, wytrząsając z niej resztę listków bazylii.

Cuchulainn był po prostu niepoprawny.

- Dobrze, dobrze, Cuchulainnie - odezwała się szybko Elphame. - Powiadomimy cię, kiedy potrzebna będzie ich pomoc. Najpierw chcemy zrobić obrzęd oczyszczenia.

- Obrzęd oczyszczenia? - spytał brat.

Elphame uśmiechnęła się w duchu. Wystarczyło wspomnieć o magii, a brat natychmiast odwrócił wzrok od ponętnej Wynne i cały zamienił się w słuch.

- Tak, Cu. Obrzęd oczyszczenia. Nasza nowa Uzdrowicielka doszła do wniosku, że zanim zaczniesz pracę w zamku, dobrze byłoby odprawić obrzęd oczyszczenia połączony z prośbą o opiekę. Zgadzą się z nią całkowicie. To prosty obrzęd. Nie bój się, nikt nie będzie rzucał uroku ani wzywał duchów.

Chciałabym, Cu, żebyś poznał naszą nową Uzdrowicielkę. Brenno...

Rozejrzała się. Po Brennie ani śladu, a jeszcze przed sekundą stała tuż obok. Ale z tyłu, za kobietami mignęły czarne włosy. Brenna jak zwykle chowała się za plecami innych. Elphame miała ochotę jęknąć z rozpacz. Jeśli Brenna ma być ich Uzdrowicielką, nie wolno jej uciekać, kiedy pojawia się jakiś mężczyzna. Bala się, że Cuchulainn zachnie się na jej widok, wyda okrzyk przerażenia.

Nagle przypomniała sobie wyraz oczu Brenny, kiedy mówiła jej, że przyszła pora zacząć nowe życie.

Widniał w nich wielki smutek, być może więc istotnie chodziło o reakcję ludzi na jej widok. Była przekonana, że w młodym człowieku, zwłaszcza tak przystojnym, pewnym siebie jak Cuchulainn, na pewno wzbudzi odrazę.

Ale Brenna nie знаła Cuchulainna tak dobrze jak jego siostra, która wiedziała, że Cuchulainn, niepoprawny uwodziciel, jest jednocześnie bardzo dobrym człowiekiem. Ma miękkie serce i nigdy by

świadomie nie skrzywdził żadnej kobiety.

- Brenno! - zawołała. - Proszę, podejść. Chciałabym, żebyś poznała mojego brata.

Uzdrowicielka z wyraźnym ociąganiem wysunęła się spoza pleców swoich towarzyszek. Podchodziła z głową pochyloną, dopiero, kiedy zatrzymała się przed Elphame, westchnęła i podniosła głowę.

Elphame zerknęła na brata. W jego twarzy nie drgnął żaden mięsień.

- Cuchulainnie, to jest Brenna, nasza nowa Uzdrawicielka.

Cuchulainn uklonił się.

- Miło mi poznać ciebie, Brenno.

Elphame uśmiechnęła się ciepło do Brenny, która teraz wydawała się być kompletnie pochłonięta odglądaniem swoich stóp.

- Pomyślałam, że was sobie przedstawię. Oczywiście, Brenna została uprzedzona, że pod pewnymi względami mój brat jest beznadziejnym przypadkiem. Cu, jak już ci mówiłam, to Brenna podsunęła pomysł odprawienia obrzędu oczyszczenia. My wszystkie uważamy, że to świetny pomysł.

Kobiety zaczęły kiwać głowami, potakiwać, a Elphame zauważyła, że Cu nie odrywa oczu od Brenny.

Nagle spytał:

- Czy ty jesteś szamanką, Brenno?

Brenna z wielkim ociąganiem zwróciła twarz w stronę młodego, przystojnego wojownika.

- Nie, Cuchulainnie, nie jestem - odparła, prawie szeptem. - Ale posiadam pewną wiedzę o Świecie Duchów. Znane mi są obrzędy, dzięki którym możemy uzyskać ich błogosławieństwo.

- To dobrze. Jestem zdania, że odwołanie się do Świata Duchów jest bardzo rozsądne, na pewno pomoże to w odbudowie zamku MacCallana - powiedział Cuchu-

lainn bardzo stanowczym głosem, a Elphame, zaskoczona, aż zamrugła powiekami. Co on mówi, ten Cu? Przecież jak ognia unika jakiegokolwiek wzmianki o Świecie Duchów! A teraz...

- Cu, czy ty się dobrze czujesz?

W tym momencie w pustych odrzwiach zamkowej bramy ukazała się Meara, a za nią kilka dziewcząt.

Wpadły do środka, wszystkie przemoczone, ale dumne. W obu wyszorowanych na błysk naczyniach niosły wodę. Na widok Cuchulainna najpierw stanęły jak wryte, potem każda z nich szybko dygnęła, po czym wszystkie zaczęły chichotać, bo przy okazji rozlały wodę.

Cu uśmiechnął się do dziewcząt.

- Jak mam nie czuć się dobrze, kiedy widzę tyle ślicznych twarzy?

Czyli Cu z powrotem był już sobą. Elphame potrząsnęła tylko bezradnie głową, postanawiając jednocześnie w duchu, że podpyta się go później, skąd u niego to nagłe pragnienie wsparcia ze strony Świata Duchów.

- Idź już, Cu - powiedziała. - Chcemy zacząć obrzęd. Cu nie opierał się. Poszedł sobie, a Elphame zwróciła

się teraz do Brenny.

- Przystępujemy do obrzędu. Co mamy zrobić?

- Trzeba zgnieść listki bazylii i wrzucić do wody - odparła Brenna. Żadnym nieśmiałym szeptem, jak podczas wymiany zdań z Cuchulainnem, tylko jasnym, pewnym siebie głosem Uzdrawicielki,

wzbudzającej respekt. - Każda z nas weźmie kilka listków, zgniecie i wrzuci do wody, a milady, kiedy

będzie to robiła, niech pomyśli o wszystkich wspaniałych rzeczach, jakie sobie wymyśliła w związku z tym zamkiem.

Brenna skinęła na Mearę, stojącą najbliżej naczyń z wodą. Meara, widać, że bardzo przejęta, wzięła gałązeczkę i zanurzyła ją w chłodnej wodzie. Nie wyjmując rąk z wody, oberwała parę żółtawych listków, zgmiotła je w dłoni, potem ostrożnie zamieszała w wodzie.

- Dobrze - powiedziała Brenna.

Pozostałe kobiety skwapliwie poszły za przykładem Meary. Wkrótce woda w obu naczyniach, garnku i kubelku, zrobiła się zielonkawa od listków, a dookoła naczyń utworzył się wianuszek uśmiechniętych kobiet, z rękoma po łokcie w chłodnej, pachnącej wodzie.

- Teraz zamknijcie oczy - powiedziała Brenna - i przywołajcie w pamięci wszystkie wasze marzenia, związane z nowym domem. Wszystkie wasze nadzieje i pragnienia związane z waszą przyszłością.

Pomyślcie, czego pragniecie, za czym tęsknicie.

Wszystkie dziewczęta zamknęły oczy, Elphame widziała, jak każda z nich pogrąża się we własnych

myślach, widziała, jak ich usta składają się do uśmiechu.

- Milady i ja powinniśmy do nich dołączyć - powiedziała Brenna.

Elphame skinęła głową. Obie wzięły po gałązeczce bazylii. Elphame podeszła do glinianego garnka, wokół którego tłoczył się wianuszek kobiet i wcisnęła się między Mearę i Caitlin, tak pogrążonych w swoich myślach, że chyba tego wcale nie zauważyły. W każdym razie żadna z nich nie krzyknęła, wystraszona, że dotknęła ją bogini. Czyli jest cudownie, pomyślała Elphame. Cudownie jest być po prostu taką jak wszyscy, nawet jeśli tylko przez chwilę.

Zamknęła oczy, skupiła się i nagle... nagle coś usłyszała. Wyraźnie. Do jej uszu zaczęły docierać milczące pragnienia otaczających ją kobiet. Zanurzały się w wodzie i płynęły ku Elphame.

Proszę, daj temu domowi szczęście i spokój... Daj mi

poznać radość z posiadania dobrego męża... Niczego tak nie pragnę jak mieć dzieci... Proszę, żebym

już nigdy nie była głodna... Bardzo chcę czuć się bezpieczna, nie bać się niczego... Chcę, żeby ludzie akceptowali mnie taką, jaka jestem...

Te prośby przepływały przez Elphame, a Elphame, wzruszona, tuliła je do serca. Potem dodała własne

pragnienie. Prawie nieświadoma, że tym razem robi odstępstwo od swoich zwykłych pragnień.

Zawsze marzyła, by być zwyczajnym człowiekiem, móc naprawdę żyć blisko innych ludzi. Teraz, po raz pierwszy, jej życzenie nie dotyczyło tylko jej osoby.

Proszę, niech wszyscy, którzy wejdą do zamku MacCallana, znajdą tu bezpieczną przystań i pomogą mi być mądrą, wyrozumiałą przywódczynią.

- Obrzęd musi być zakończony przez ciebie, Bogini - powiedziała Brenna.

Jej spokojny, pewny siebie głos wyrwał grupkę kobiet z zamyślenia, wstrzymał strumień pragnień i myśli, które chłonęła Elphame. Wszystkie otworzyły oczy, mrugały powiekami, oszołomione, jakby przerwano im piękny sen. Potem wszystkie wstały, otarły pocętkowane na zielono dłonie o spódnicę i spojrzwały wyczekująco na Elphame.



Elphame zadrżała, nagle czując lęk. Nie spodziewała się tego, była pewna, że wszystkim, od początku

do końca, pokieruje Brenna. Ona, El, nigdy dotąd nie uczestniczyła w żadnych magicznych obrzędach, a kiedy pobierała nauki w Świątyni Muzy, unikała zajęć, podczas których wykładano o zaklęciach, czarach, o wzywaniu bóstw. Wiedziała, że było to powodem do plotek. Dziwiono się, dlaczego Elphame to robi, albo też znajdowano na to wytłumaczenie. Elphame posiada taką moc, że nie musi

się niczego uczyć od zwyczajnych śmiertelników, by porozumiewać się ze Światem Duchów.

Panowało przecież ogólne przeświadczenie, że Elphame pójdzie w ślady matki. Będzie Wybraną Epony i tak jak jej matka, a przedtem prababka, zostanie duchową przywódczynią Partholonu.

A prawda wyglądała inaczej. Elphame, choć gorąco tego pragnęła, nigdy nie poczuła magii, nigdy nie nawiązała porozumienia z duchami, z bogami, zwłaszcza z Epo-ną. Dlatego uważała, że studiowanie magii w jej przypadku jest bezcelowe. W niej, w Elphame, nie było nic magicznego oprócz odmienności fizycznej.

Nie było do chwili przyjazdu do zamku MacCallana, gdzie powitały ją duchy kamienia. Tu wszystko było inaczej. Zamek MacCallana dla nich wszystkich był początkiem nowego życia. Co wcale jednak nie oznaczało, że El będzie zmuszona pójść w ślady matki. Oznaczało to, że w końcu znalazła swoje miejsce na ziemi. Jest tu, gdzie powinna być. Jak cudownie, że można w końcu pozbyć się wszystkich wątpliwości, dręczących od lat.

- Brenno, co mam zrobić?

- Najpierw wyniesiemy naczynia do bramy. Uporano się z tym błyskawicznie. Brenna ustawiła garnek i kubek w pustych odrzwiach, na ziemi oczyszczonej z chwastów i rupieci, po czym poprosiła Elphame, by stanęła między naczyniami. Pozostałe kobiety stanęły przed bramą.

- A teraz wezwij po kolei wszystkie cztery żywioły - powietrze, ogień, wodę i ziemię. Trzeba prysnąć

wodą z listeczkami bazylii po kolei na wszystkie cztery strony świata, prosząc żywioły, by oczyściły zamek i wzięły go pod swoją obronę. Nie ma na to żadnych określonych słów, mówi się to, co dyktuje serce. A my będziemy podążać za tobą, Bogini.

Brenna odwróciła się plecami do Elphame, zwracając się twarzą ku wschodowi i skinęła na pozostałe

kobiety, by zrobiły to samo.

Wschód. Umysł Elphame pracował gorączkowo. Wschód to początek wszystkich czarów, tam zaczyna się magiczny krąg. Do wschodu przypisany jest żywioł powietrze. O tym wiedziało już każde dziecko w Partholonie.

Nagle uświadomiła sobie, że zamek MacCallana zwrócony jest frontem na wschód. Z wrażenia aż musiała zrobić głęboki wdech. Przecież to musi być dobry znak!

Zamknęła oczy, skupiła się i po chwili z głębi jej serca popłynęła żarliwa modlitwa do Bogini.

- Epono, proszę, wysłuchaj mnie. Nie śmiem prosić, byś mówiła do mnie tak jak do mojej matki. Nie ludzę się, że kiedykolwiek to się stanie. Proszę cię tylko o to, byś pomogła mi nie rozczarować tych kobiet. Pomogła uczcić duchy, których obecność zaczęłam wyczuwać dziś rano. Proszę, podsuń mi właściwe słowa, gdy będę prosić o błogosławieństwo i opiekę nad naszym nowym domem.

Skończyła. I pełna determinacji, przysięgając sobie w duchu, że zrobi to jak najlepiej, otworzyła oczy.

Nachyliła się i nabrała pierwszą garść wody z zielonymi listeczkami.

Spojrzała na wschód i uniosła ręce. Po palcach spłynęła woda koloru trawy.

- Wzywam ciebie, Siło Powietrza, na świadka tego obrzędu. Jesteś żywiołem, z którym stykamy się zaraz po naszych narodzinach, kiedy robimy nasz pierwszy wdech. Proszę cię, byś wypełniła sobą zamek MacCallana, który ma się odrodzić i wygnała z niego wszystkie złe moce. Technij w jego mury pokój i weź go pod swoją opiekę.

Nagły powiew wiatru rozwichrzył włosy Elphame. Dmuchał w opadające na ziemię kropelki wody,

które zatańczyły w powietrzu, dając Elphame jasno do zrozumienia, że jej słowa zostały wysłuchane.

Prośba zostanie spełniona.

Elphame posłała w odpowiedzi uśmiech. Było w nim i zdumienie, ale przede wszystkim radość.

Wiatr ucichł. Elphame znów zrobiła głęboki wdech i zwróciła się twarzą na południe - kierunek żywiołu ognia. Wszystkie kobiety obróciły się w tę samą stronę. A Elphame, nabrawszy pełne garści wody, uniosła ręce przed sobą.

- Wzywam ciebie, Siło Ognia, na świadka tego obrzędu. Ty dajesz nam ciepło, światło i energię.

Twoja siła oczyściła już zamek MacCallana. Proszę, abyś nadal czuwała nad nim, naszym nowym domem i nad nami, jego mieszkańcami.

Kiedy mówiła, czuła na twarzy ciepłe promienie słońca, przenikające do jej ciała, docierające w głąb jej duszy.

Teraz wszystkie kobiety obróciły się znów w prawo, na zachód. Elphame po raz trzeci nabrała pełne garści wody.

- Wzywam cię, Siło Wody, na świadka tego obrzędu. Jesteś w nas, w naszym ciele, jako jego nieodłączna część. Jesteś w naszych łzach, w mleku matki, w naszej krwi. Proszę, zmyj z zamku MacCallana ból przeszłości. Miej nad nim pieczę w dniu dzisiejszym, radosnym, pilnuj go, kiedy stoi na brzegu tuż przed tobą, przed bezmiarem wód morza.

Fale, uderzające o nabrzeżne skały, nagle zaczęły uderzać coraz mocniej. Ten odgłos nasilał się, osiągnął siłę grzmotu i odbił się głośnie echem wśród zamkowych murów.

Kiedy przycichł, Elphame, zamykając magiczny krąg,

obróciła się znów w prawo, teraz ku północy, związanej z żywiołem ziemi.

- Wzywam ciebie, Siło Ziemi, na świadka tego obrzędu. Dzięki tobie stoimy pewnie, ty dajesz nam schronienie. Twego ducha wyczuwamy w każdym kamieniu tego zamku. Proszę ciebie, byś użyła swojej wielkiej mocy do wypędzenia stąd złej energii, proszę, byś chroniła zamek MacCallana siłą

nowego, które rodzi się i rośnie karmione mądrością, gromadzoną przez stulecia.

Trawa pod ich stopami nagle zaszeleściła, jakby przemknęła po niej gigantyczna ręka i zapachniało całą szczodrością natury.

A potem wiedziona impulsem Elphame jeszcze raz nabrała w obie dłonie zielonkawej wody i wyrzucając wodę wysoko w powietrze, zawołała jasnym, dźwięcznym głosem:

- Wzywam ciebie, Epono, na świadka tego obrzędu i proszę, byś pobłogosławiła zamek MacCallana, nasz nowy dom i wzięła go pod swoją obronę!

Kropelki wody rozprysły się wokół głowy Elphame jak ciekłe gwiazdki. Kobiety wydały radosny okrzyk.

- Chodźcie! - zawołała Brenna, podbiegając do jednego z naczyń z wodą z bazylią. Zanurzyła w nim ręce i racząc swoje towarzyszki swoim krzywym uśmiechem, zawołała: - Oczyszcmy nasz nowy dom!

Nabrała wody, deszcz zielonkawych kropel spadł na stare mury. Pozostałe kobiety z piskiem i śmiechem poszły za jej przykładem, zmywając garściami pachnącej bazylią wody resztki swego lęku.

Ukryty w małym zagajniku niedaleko zamkowej bramy Cuchulainn przypatrywał się kobietom. Był bardzo poruszony tym, co teraz zobaczył. Trudno mu było

uwierzyć, że to jego siostra wypowiadała podniosłe słowa, na które uzyskiwała tak oczywistą odpowiedź od poszczególnych żywiołów. Ale trudno było nie uwierzyć, skoro widziało się to na własne oczy. Patrzył i słuchał zafascynowany, a jednocześnie drzemiąca w nim siła magiczna, którą tłumiał w sobie, wyzwoliła się w nim pod wpływem magicznego obrzędu, niewątpliwie zainspirowanego przez Eponę. Czuł się też oczyszczony, czuł, jak wokół zamku MacCallana rosła nowe niewidzialne mury obronne i otaczają go magicznym kręgiem.

Poczuł jeszcze coś, coś trudnego do sprecyzowania. Może były to resztki gniewu Epony na Fomorian, którzy sto lat temu najechali na Partholon, zaczynając wojnę tu, w tym miejscu, od rzezi Klanu MacCallana. Ten czyn wzbudził straszny gniew Bogini. Jej Wybrana wówczas zwołała wszystkich

Partolończyków. Mężczyźni i centaury ramię w ramię ruszyli do boju i pokonali hordy demonów. Czy to dlatego Epona pobłogosławiła obrzęd, odprawiany przez jego siostrę? Jest przychylna odbudowie tego zamku? Czy wszystko może być takie proste?

Nie. Wiedział, że za tym kryje się coś więcej, coś, co było też obecne podczas obrzędu odprawianego

przez jego siostrę. Cuchulainn nie był jednak w stanie dojść, co dokładnie. Było to zbyt ulotne, zbyt niejasne, a jednocześnie o czymś przypominało. O Przeczuciu, jakie miał podczas wizji dotyczącej przyszłego towarzysza życia Elphame.

To coś było bardzo mroczne. Czekają. Czekają właśnie tutaj.

Ale tutaj był również Cuchulainn, gotów bronić swojej siostry przed każdym złem. Nawet jeśli zło wyrządzi jej ten, którego przeznaczeniem jest kochać ją. Kochać Elphame.

Kiedy Cuchulainn odwracał się od kobiet i od zamku, jego twarz była posepna, dłoń oparta na rękojeści miecza. Bystre, czujne spojrzenie wojownika przesuwano się po otaczającym go lesie, szukając źródła tego zła. Szukając tego, który jego siostrze może złamać serce.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

One wszystkie pachną teraz jak ogród z bazylią po wiosennym deszczu. Tak, na pewno tak. Elphame uśmiechnęła się i zaczesując wilgotne pasmo włosów za ucho, wyjęła z włosów jeszcze jeden, zabłąkany listeczek bazylii. Jakaż to była podniosła chwila, jaki wspaniały obrzęd, dzięki któremu i uczestniczące w nim kobiety, i zamek zostały oczyszczone.

Spojrzała w niebo. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Niestety. Elphame stłumiła w sobie pełne rozpaczy westchnienie. Byłaby szczęśliwa, gdyby można było teraz rozpaść w zamkowych paleniskach, zapalić pochodnie i każdy mógłby dalej oddawać się swojemu zajęciu. Teraz jeszcze nie. Kiedy zamek spowije mrok, koniec z robotą. Elphame zastanowiła się przez moment. Tak,

teraz najważniejszym zadaniem są zamkowe kuchnie. Te pomieszczenia należy jak najprędzej doprowadzić do stanu używalności.

Kuchnie? Chyba nie, bo jednocześnie w głowie pojawiła się zniecierpliwiona myśl o czymś innym. Uprzątnijcie główny dziedziniec, to przecież serce zamku. Pozwólcie, żeby znowu zaczęło bić.

Czy to moja własna myśl? - spytała siebie zaskoczona Elphame. Poza tym, czy to tylko myśl? Nie, to nie jest właściwe słowo. To coś więcej. Pragnienie i przeświadczenie, że to właśnie jest sprawą nadrzędną.

- Milady? Co teraz mamy robić?

Elphame, wyrwana nagle z głębokiego zamyślenia, spojrzała na Brennę półprzytomnie, a zaraz potem się uśmiechnęła, z zadowoleniem, bo Uzdrowicielka wreszcie przestała nazywać ją boginią. Skinęła na resztę kobiet. Kiedy zgromadziły się wokół niej, wyłowiła wzrokiem Wynne,

- Wynne, najpierw trzeba doprowadzić do porządku kuchnie. Odbudowywanie domu wzmaga apetyt.

Uśmiech Wynne był promiennym wyrazem aprobaty,

- Wiem dokładnie, gdzie one są.

Elphame oczywiście też wiedziała, gdzie znajdują się zamkowe kuchnie. Nie napomknęła jednak o tym ani słowem, nie chcąc psuć Wynne przyjemności poprowadzenia wszystkich do miejsca, które będzie jej domeną.

- A więc prowadź, Wynne - powiedziała z uśmiechem i Wynne pierwsza weszła do zamku, za nią pozostałe kobiety, o dziwo, bez żadnego ociągania, bez nerwowego śmiechu czy popiskiwania ze strachu. Było tak, jakby z całego zamku nagle wymiotło pajęczyny przeszłości.

Teraz, by w tym miejscu narodziła się przyszłość, potrzebna była tylko praca rąk.

Cuchulainn na pewno nazwałby ją teraz głupią idealistką. Nieważne. Była tak szczęśliwa, jej serce z nadmiaru radości po prostu podskakiwało, jeszcze chwila i wyskoczy z piersi.

Kiedy kobiety weszły na główny dziedziniec zamku, radosny gwar nagle ucichł. Wszystkie utkwiły wzrok w kolumnie Klanu MacCallana, trwającej w milczeniu na środku dziedzińca. Ogromna, wznosiła się wysoko ponad ich głowami, budząc lęk. Ale nie w Elphame, która szybko podeszła do

kolumny i natychmiast poczuła w dłoniach magiczne ciepło, wysłane przez duchy kamienia. Tym razem nie położyła rąk na granitowej powierzchni, lecz odwróciła się twarzą do kobiet.

- To centralna kolumna zamku MacCallana - wyjaśniła im. - Nie zapominajmy, że kiedyś ten zamek należał do znamienitego Klanu MacCallana. Wśród członków tego klanu byli nie tylko wojownicy, także poeci i artyści, malarze i rzeźbiarze. W żyłach wielu Wybranych płynie krew MacCallanów.

Szanowali piękno i prawdę, dlatego, gdy ich pomordowano, Epona wpadła w wielki gniew. Spójrzcie

na tę kolumnę. Kiedy przyjrzyjecie jej się dokładnie, zauważycie pod warstwą brudu piękne płaskorzeź-

by przedstawiające symbole, ważne dla MacCallanów. Stworzenia i rośliny z otaczających zamek lasów, także herb klanu - wspinającą się klacz. Wszystkie te płaskorzeźby tworzą piękny ornament wokół kolumny.

Kilka kobiet pokiwało głowami i podeszło bliżej, z wielką ciekawością wpatrując się w potężną kolumnę.

- Po oczyszczeniu kolumna odzyska dawną świetność - zapewniła je Elphame. - Jak zresztą i cały dziedziniec. Spójrzcie na posadzkę.

Kobiety natychmiast skierowały wzrok w dół. A El-phame, nie bacząc na to, że ukazanie niezwykłych części jej ciała może wzbudzić sensację, grzebnęła kopytem, wzbudzając mały tuman kurzu.

- Widzicie? Piękny marmur - powiedziała, uśmiechając się z satysfakcją. - Kiedy usunie się stąd brud, ta posadzka zajaśnieje takim samym perłowym blaskiem jak posadzka w Świątyni Epony.

Coraz bardziej podekscytowane kobiety nachyliły się, by dokładniej obejrzeć ukryty pod warstwą brudu skarb.

Serce zamku... Te słowa wciąż dźwięczały w uszach Elphame. Reakcja kobiet świadczyła, że one również poruszone są tym, co teraz oglądają. Dlatego ten zamek musi ożyć, ożyć jak najszybciej. Taką

przysięgę złożyła sobie teraz Elphame. Sobie i zniszczonej przez upływ czasu kolumnie.

- Wynne! - zawołała. - Prowadź nas teraz do kuchni! Zarumieniona z zadowolenia Wynne - była przecież

teraz bardzo ważną osobą - poprowadziła ich przez dziedziniec do ostrołukowych odrzwi, pustych teraz, bez drzwi, przez które wchodziło się do wielkiej sali zamkowej. Tu nad głową nie było powały

z belek, tylko z szarego kamienia, tego samego, co zamkowe mury. Dlatego zachowała się w stanie nienaruszonym, natomiast osmalone ściany przedstawiały sobą bardzo smutny widok. Tak samo całe stopy zwęglonego drewna. Tyle pozostało z drewnianych stołów, kiedyś ustawionych w rzędach naprzeciwko ogromnej, nadpalonej framugi, w której był cały rząd okien. Za tymi stołami biesiadowa-

no, popatrując przez te okna na pozostałą część zamku. Tu także, w tej sali, sprawowano sądy.

Tylko zgliszcza i potrzaskane kamienie. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Bystry wzrok Elphame od razu wy-

śledził, że i tu, tak jak na dziedzińcu, wiele fragmentów sali zachowało się nietkniętych. Błysk w oku u wielu kobiet świadczył, że myślą one podobnie.

W tej budowlu, tak strasznie zmaltretowanej, drzemają wielkie możliwości.

- Z wielkiej sali zamkowej są dwa wejścia do kuchni...

- Energiczny głos Wynne świadczył, że aż pali się, żeby przejść do spraw dla niej zasadniczych. - O, tam! I tam!

- Wynne wskazała na małe drzwi w ostrołukowych odrzwiach na dwóch krańcach przeciwległej

ściany. - Tymi drzwiami wchodzi się do korytarza, który prowadzi do kuchni. - Wynne spojrzała na swoje pomocnice: - Dziewczęta, trzeba będzie ustalić, którymi drzwiami będziemy wchodzić, którymi

wychodzić, żeby uniknąć kolizji.

Trzy pomocnice pokiwały ze zrozumieniem głowami, a Elphame omal nie krzyknęła z radości. A więc to prawda! Drobnymi krokami zaczynają już zmieniać ruinę w zamek tętniący życiem!



Ponieważ kuchnie praktycznie były przedłużeniem wielkiej sali zanikowej, kamienny dach też był tu nienaruszony, ale same kuchnie przedstawiały sobą widok żałosny. Słysząc było świergot ptaków, także cichy szelest przemykających się zwierzątek. Elphame podejrzewała, że w dwóch wielkich paleniskach rezydują całe plemiona tych stworzonek. Pod jedną ścianą stały ceglane piece kuchenne. Kiedy Wynne zajrzała do jednego z nich, z pieca wyskoczyła wystraszona wiewiórka i rzuciła się do ucieczki. Wynne na jej widok wydała przeraźliwy pisk i wybuchnęła śmiechem.

- Biedaczka! Na pewno pomyślała, że jestem wielką, mokrą bazylią! - zawołała, a reszta kobiet śmiała

się razem z nią.

Pod jedną z ocalałych ścian był ogromny zlew, obok

zardzewiała pompa, czyli kiedyś do kuchni pompowano świeżą wodę. Za pompą stały przepastne kamienne szafy kuchenne. Na środku kuchni stał ogromny stół do pracy z marmurowym blatem, teraz zasłany liśćmi i ptasimi odchodami.

- I co będzie dziś na obiad, siostrzyczko? Elphame, słysząc nagle głos brata tuż przy uchu, aż podskoczyła.

- Uwważaj, Cu! Jak będziesz mnie tak straszył, dostaniesz w tyłek!

- To twarda sztuka, Bogini. Chyba nawet nie poczuje! - rzucił żartobliwie jeden z mężczyzn, stojących za Cuchulainnem.

- No proszę! W tak krótkim czasie już się na tobie poznali!

Cu uśmiechnął się i podniósł obie ręce na znak, że się poddaje.

- Nie złość się, siostrzyczko. Przychodzimy w zamiarach pokojowych!

- Mam nadzieję, że przede wszystkim przyszlście do pracy! - rzuciła ostrym głosem Elphame, jeszcze

nie do końca rozpozognona.

- A to też. Czekamy na twoje rozkazy, pani! - odciął się Cu, składając przed nią przesadnie uniżony ukłon.

- Nie na moje! W tym miejscu rozkazy wydaje kto inny. Nasza kucharka, Wynne!

Cuchulainn zrobił szybko zręczny w tył zwrot i skłonił się równie nisko przed hożą Wynne. Elphame zauważyła, że kilku z pozostałych mężczyzn popatrywało na rudowłosą dziewczynę z wyraźną przyjemnością. Jediną oznaką, że Wynne jest z tego zadowolona, był lekki rumieniec, który teraz zabarwił jej ładne, okrągłe policzki.

Bo poza tym Wynne stanęła przede wszystkim na wysokości zadania. Wyprostowała się, oparła ręce na swoich kształtnych biodrach, po czym głosem donośnym przystąpiła do wydawania komend:

- Zaczynicie od czyszczenia palenisk, potem pieców kuchennych. Kilku z was pójdzie na dach. Trzeba upewnić się, czy kominy są drożne i umocnić obłuzowane kamienie. Poza tym pompa. Ma działać bez zarzutu. Ale przede wszystkim trzeba naznosić wiader, mydła i szmat i przystępujemy do generalnych porządków.

W kuchni zakotłowało się, wszyscy ochoczo rzucili się w wir pracy. Elphame, żeby nie zawadzać, szybko usunęła się na bok.

- Dzięki centaurom droga już przejezdna - poinformował Cu, podchodząc do siostry. - Wozy już przyjechały. Całe szczęście, szkoda by było, gdybym musiał rozczarować twoją ładniutką kuchareczkę, mówiąc jej, że wozy utknęły w lesie.

- Moja kuchareczka może i jest ładna, ale uważaj. Ma ostry język!

- Jak każda rudowłosa dziewczyna - stwierdził Cu tonem znawcy. - Dlatego są takie pociągające.

- Och, nie zaczynaj znowu, Cu. - jęknęła Elphame i złapała go za rękę. - Lepiej chodź ze mną. Musisz mi w czymś pomóc.

- A dokąd to chcesz mnie zaprowadzić, siostró moja?

- Na główny dziedziniec. Nie wiem, ale coś mi mówi, że ten dziedziniec trzeba jak najszybciej doprowadzić do porządku.

Kiedy dochodzili do drzwi, Elphame zorientowała się, że w ogromnej kuchni nagle zapadła cisza.

Przystanęła i spojrzała przez ramię. Wszyscy stali nieruchomo. Wpatrzeni w nią.

Niestety.

- Róbcie dalej, co kazała Wynne - powiedziała szybko. - Ja razem z bratem zabieramy się za sprzątanie głównego dziedzińca.

Zrobiła krok i znów się zatrzymała, słysząc głos Brenny.

- Milady, czy mogę iść z wami?

Elpahame zauważyła, że kiedy Uzdrowicielka wyszła z ciemnego kąta na samym końcu kuchni, kilku mężczyzn skrzywiło się odruchowo i spojrzało w bok.

- Oczywiście, że tak, Brenno - powiedziała szybko. - Bardzo proszę.

- Koniecznie! - dodał wesoło Cu. - Moja siostra obwieściła już przecież całemu światu, że mam wyjątk-

kową skłonność do obrażeń cielesnych, wymagających pomocy ze strony biegłej Uzdrowicielki.

Elphame, zachwycona, rzuciła bratu wyjątkowo ciepłutkie spojrzenie. Wspaniale, że to powiedział, dając wszystkim do zrozumienia, że zeszpecona bliznami dziewczyna to ktoś, kogo i Cu, i jego siostra bardzo sobie cenią i poważają.

Brenna nie powiedziała nic, tylko pochyliła głowę, kryjąc prawie całą twarz za włosami i szybkim krokiem podążyła za rodzeństwem.

- Trzeba zrobić coś z tymi oknami - powiedział Cu, kiedy przechodzili przez wielką salę zamkową. -

Elphame, trzeba wymierzyć tę framugę. A może chcesz po prostu tę ścianę całą zamurować?

- Och, nie. Przecież stąd widać dziedziniec. Bardzo mi się to podoba.

Przeszli na dziedziniec. Elphame przystanęła i spojrzała w górę, gdzie spalony dach zastąpiło przedwieczne niebo, zegnające wspaniałą błękit, przechodzący w po-

marańczowy i w fiolet. Widok przepiękny, a jednocześnie bolesny kontrast z tym, co widać było w dole. Kompletną ruinę. Marmurową posadzkę przykrytą grubą warstwą ziemi, konarami i przegniłymi

belkami sufitu. Na samym środku dziedzińca utworzyła się z tego prawdziwa góra.

Na środku dziedzińca, tam, dokąd wciąż powracało spojrzenie Elphame. Pamięć ożyła, na razie podsunęła tylko przeświadczenie, że tam, na środku coś jest, coś bardzo ważnego...

- Cu, Brenno! Najpierw spróbujmy uprzątnąć środek dziedzińca - powiedziała i nie czekając na odpowiedź, szybko podeszła do owej góry na środku. Chwyciła za grubą belkę, pociągnęła, podniosła

i nagle zobaczyła fragment jakiegoś murka. Szybko odsunęła na bok jeszcze kilka belek, konarów i po chwili dotarło do niej, że ów murek okala olbrzymi basen, teraz zawalony kamieniami, gałęziami, wszystkim, czym można było zawalić basen przez ponad sto lat.

- Widzicie?! Wiedziałam od razu, że znajdziemy tu coś ciekawego! - zwołała, zachwycona, nie przerywając roboty.

Cu i Brenna dołączyli do niej i niebawem spośród kamieni i przegniłego drewna wyłoniło się coś niezmiernie interesującego. Posąg, przedstawiający młodą dziewczynę naturalnej wielkości, ustawiony na samym środku basenu. Dziewczyna w uniesionych rękach trzymała dzban. Przechylony, jakby komuś nalewała wina.

- Przecież to fontanna! - zawołała Brenna.

- Oczywiście. Tylko zaraz... chwileczkę...

Cu szybko podeszedł do posągu, przez chwilę wpatrywał się w niego uważnie, a potem nagle zaczął gorączkowo brzegiem swego kiltu ścierać brud z twarzy rzeźby.

Ścierał i ścierał, póki nie ukazała się twarz. Twarz z lśniącego marmuru, białego jak mleko. Cu znieruchomiał.

- Elphame! Ona... ona wygląda tak jak ty!

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Elphame wpatrywała się w rzeźbę. Rzeźbę, która istotnie była bardzo podobna do niej. Te same rysy twarzy. Wysoko osadzone kości policzkowe, pełne wargi, cienkie łuki brwi.

- To Rhiannon - powiedziała nagle Brenna. - Widziałam kiedyś tę fontannę, dawno temu, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Rhiannon była jedynym dzieckiem Przywódcy Klanu MacCallanów. Mieszkała tu, w tym zamku, póki nie została Wcieleniem Bogini Epony. Ona jest...

- Moją przodkinią - dokończyła za nią Elphame.

- Była także wielkim wojownikiem - powiedział Cu,

nie odrywając oczu od białej marmurowej twarzy. - Pod jej przywództwem Fomorianie zostali pokonani i wygnani z Partholonu.

- Nie zapominajmy jednak, że trochę pomógł jej w tym mąż, centaur. Wielki Szaman ClanFintan.

Zaskoczona Elphame rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu właścicielki mocnego, dźwięcznego głosu, który przemknął przez dziedziniec. A kiedy zobaczyła dużą, mocną postać, wyłaniającą się z mrocznego miejsca za ogromną centralną kolumną, nie mogła powstrzymać cichego okrzyku. Jej oczom bowiem ukazała się kobieta centaur. Niewątpliwie Łowczyni, skoro potrafiła wejść tu tak bezszelestnie, że nawet wyjątkowo czujny Cuchulainn niczego nie zauważył.

Zaskoczenie Elphame szybko przerodziło się w ogromne zadowolenie. Wreszcie dołączył do nich ktoś, kogo jej bardzo brakowało. Kobieta centaur, Łowczyni!

- Masz rację, Łowczyni. Słusznie mnie poprawiłaś - powiedziała uprzejmie. - Mój ojciec na pewno zrobiłby to samo, co ClanFintan.

- Nie zamierzałam cię poprawiać, Bogini. Chciałam tylko o tym przypomnieć.

Łowczyni podeszła bliżej, wysuwając się całkowicie z mroku. Elphame była porażona jej urodą.

Piękne były obie części jej ciała, i ta ludzka i ta, która była ciałem konia. Konia o wspaniałej budowie, maści kasztanowej, wyjątkowo jasnej. W świetle dnia prawie srebrzysta sierść przypominała Elphame

umaszczenie Wybranej Klaczy Epony. Nawet kopyta były niezwykle - białe jak śnieg. Druga część ciała Łowczyni, ta ludzka, też była urzekająca. Długie, gęste włosy, idealnie tego samego koloru co umaszczenie, spływały po plecach jak srebrzysta peleryna. Skóra na całym ciele alabastrowa.

Łowczyni ubrana

była w tradycyjny strój centaurów, skórzaną kamizelkę, od połowy w górę niezapinaną, pozwalającą dojrzeć ładne, pełne piersi.

Twarz o klasycznych rysach, przepiękne oczy koloru lawendy.

Kobieta centaur zatrzymała się przed Elphame i złożyła przed nią niski, bardzo wdzięczny ukłon.

- Przybyłam tu, Bogini Elphame, żeby służyć tobie i zamkowi MacCallana. Jestem Łowczynią.

Nazywam się Brighid Dhianna.

- Ze Stada Dhianna... - wtrącił Cuchulainn i wyraźnie spochmurniał.

- Tak. Pochodzę ze Stada Dhianna, ale myślę zupełnie inaczej niż oni.

Elphame doskonale wiedziała, co chce przekazać Brighid. Wśród centaurów pojawiła się sekta, zdobywająca coraz większą rzeszę zwolenników. Członkowie sekty otwarcie głosili pogardę dla rodzaju ludzkiego. Wyznawcy tej ideologii rzadko opuszczali Równiny Centaurów, gardzili ludźmi, gardzili też centaurami, decydującymi się bytować przy wspólnotach ludzkich, gdzie nierzadko traktowano ich jak coś niewiele lepszego od zwierząt domowych. Elphame nieraz słyszała dyskusje rodziców na temat tej rozprzestrzeniającej się ideologii separatystycznej, której gorliwą wyznawczynią była Wielka Sza-manka, a jednocześnie przywódczyni Stada Dhianna.

- Brighid Dhianno - przemówiła Elphame głosem pełnym powagi - jeśli szukasz dla siebie miejsca, gdzie będziesz mogła zacząć wszystko od nowa, takie miejsce znalazłaś. Witamy cię serdecznie w zamku MacCallana, gdzie wspólnymi siłami budujemy nowe życie.

Spojrzenie lawendowych oczu Łowczyni było bardzo twarde.

- Tak, Bogini. Szukam miejsca, gdzie będę mogła zacząć wszystko od nowa.

- Takie miejsce, jak powiedziałam, już znalazłaś. A nasze nowe, wspólne życie zaczniemy od tego, że

będziemy mówić sobie po imieniu. Nazywam się El-phame. Ten groźnie wyglądający wojownik to mój brat, Cuchulainn... - Cuchulainn uklonił się, ale nadal wiało od niego chłodem - a to nasza Uzdrowicielka, Brenna.

Elphame z przyjemnością zauważyła, że Łowczyni na widok strasznych blizn Brenny nawet nie drgnęła.

- A teraz, Łowczyni, bierzemy się do roboty. Robi się późno, a chcemy, zanim zrobi się całkiem ciemno, uprzątnąć fontannę - powiedziała Elphame i odwróciwszy się z powrotem do stosu przegniłych belek, kamieni i gałęzi, pierwsza zabrała się do roboty, ignorując podejrzliwe spojrzenia, jakimi częstowali się nawzajem jej brat i Łowczyni.

- Na dziś wystarczy, El! Dość! Jutro też jest dzień! - wykrzykiwał Cuchulainn, zrozpaczony niewyczerpaną energią swojej siostry. - W kuchni nie ma już nikogo, nawet tego tyrana w spódnicy, twojej kucharki i jej harpii. Wszyscy są już w drodze do Loth Tor, gdzie czeka ich gorący posiłek i wygodne, miękkie łóżko.

Razem z Łowczynią zaciągnął kolejną porcję gruzu na coraz większą górę poza murami zamkowymi i wrócił na dziedziniec. Pewien, że El i Brenna zbierają już kubły, szykując się do odejścia. Ale jego uparta jak osioł siostra dalej zajęta była zbieraniem śmieci, teraz na samym końcu basenu.

Na jego krzyki zareagowała bardzo spokojnie. Spojrzała w górę, gdzie między resztkami dachu widać

było niebo, malowane teraz przez odchodzące słońce na kolor malwy i spytała:

- To dlaczego tu jeszcze jesteś, Cu? Zabieraj ten ostatni ładunek i jedź już. Ja też zaraz stąd wychodzę.

- Nie ruszę się stąd bez ciebie, Elphame. Oprócz nas nie ma tu już nikogo, a dla mnie to nie do pomyślenia, żebyś przez las szła sama.

- Och, daj spokój! Przecież między zamkiem a Loth Tor bez przerwy ktoś się kręci. Jestem pewna, że w pobliżu nie ma już nawet ani jednej wiewiórki. Taki tu rejwach, że wszystkie ptaki i zwierzęta pouciekały.

- Poza tym nie będzie szła sama. Ja wracam razem z nią - odezwała się Łowczyni.

- Tak samo ja - dodała Brenna. Elphame znacząco uniosła brwi.

- No i co? Zadowolony?

- Powiedzmy. Ale pamiętaj, jeśli nie zjawisz się w gospodzie, kiedy zaczną podawać do stołu, wrócę tu po ciebie. A teraz...

Cuchulainn rozpiął klamerkę przy cienkim pasku okalającym jego talię. Do paska przymocowana była mała pochwa, w pochwie - o czym Elphame wiedziała doskonale - schowany był jeden z bardzo niebezpiecznych sztyletów Cu.

- Weź to - powiedział, rzucając jej pasek z pochwą. - Nie masz przecież przy sobie żadnej broni, chociaż powtarzam ci bez przerwy, że to błąd!

Odwrócił się i mamrocząc pod nosem coś bardzo niepochlebnego o upartych kobietach, ruszył do wyjścia.

- Ej, panie bracie! - zawołała za nim Elphame. - Ty lepiej martw się o siebie! Jeśli Wynne dowie się, że nazwałeś ją tyranem, a jej pomocnice harpiami, marny twój los! Bardzo marny!

Cu, oczywiście, nie odwrócił się. Sadził przed siebie długimi krokami, a Elphame, spoglądając na swoje towarzyszki, ulżyła sobie:

- Najgorsze, co może być, to młodszy brat, który nie daje ci spokoju. Jest nadopiekuńczy i do wszystkiego się wtrąca!

- On po prostu cię kocha - powiedziała Brenna.

- Ale jest denerwujący! - wtrąciła Łowczyni.

- A pewnie! - przytaknęła skwapliwie Elphame. - Okropnie denerwujący. Jeszcze nie wiecie, na co go

stać! Jeśli nie zjawię się w porę w gospodzie, będzie leciał tu przez las, z wyciągniętym mieczem. Jak wariat, siejąc popłoch wśród biednych ptaszków i leśnych zwierzątek!

Brenna zaśmiała się, ślicznym, perlistym śmiechem. Elphame i Brighid zawtórowały i wszystkie trzy, roześmiane, wzięły się znowu do roboty. Elphame była szczęśliwa, że na dziedzińcu zamkowym,



przedstawiającym sobą tak ponury widok, słyhać tak wesołe dźwięki. Nie musiała wcale przykładać dłoni do centralnej kolumny, by wyczuć, że atmosfera w zamku ulega zasadniczej zmianie. W miejscu o tak pięknej, bogatej historii, gdzie pielęgnowano zawsze największe wartości. Opustoszałym od ponad stu lat. A teraz, w ciągu jednego zaledwie dnia tyle tu się zmieniło! Elphame, prawie w euforii, czuła się cudownie, czuła się jak nowo narodzona. Miała wrażenie, jakby z każdym oddechem

wlewała w siebie jeszcze więcej nadziei na przyszłość.

- Na dzisiaj wystarczy! - oznajmiła, ocierając ręce o spódnice. - Ależ jestem brudna! I głodna, ale przede wszystkim marzy mi się teraz gorąca kąpiel.

Brenna, ścierając coś z ramienia, pokiwała skwapliwie głową, dając do zrozumienia, że jej marzenia są bardzo podobne. Łowczyni natomiast, już nie taka srebrzysta

i lśniąca, zabierając się za usuwanie z dziedzińca ostatniej tego dnia partii gruzu, stwierdziła melancholijnie:

- Wy na pewno weźmiecie kąpiel, ale ja nie mam o czym marzyć. W całym Loth Tor na pewno nie znajdziesz pokoju kąpielowego, który pomieściłby centaura.

Elphame i Brenna rzuciły się jej do pomocy.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam - wyznała po chwili niewysoka, szczuplutka Brenna, teraz bardzo zadyszana, ponieważ starała się dotrzymać kroku swoim o tyle silniejszym towarzyszkom. - To okropne, kiedy człowiek nie ma gdzie się wykąpać.

- Okropne, jeśli jesteś nie tylko centaurem, ale i kobietą - powiedziała z uśmiechem Brighid. - Bo dla centaurów rodzaju męskiego nie byłoby to problemem.

- Wiadomo, chłopaki - powiedziała Elphame, w tym momencie przytaczając słowa swojej matki, kiedy Cuchulainn i Finegas opierali się przed kąpielą. - Nieważne, czy centaur, czy człowiek. Chłopak to chłopak. Potrafią być straszni!

Wszystkie trzy jak na komendę zmarszczyły nosy, niby z największą odrazą, po czym wybuchnęły śmiechem.

- Spójrzcie! Usypaliśmy już prawdziwy kopiec! - zawołała Elphame, kiedy dorzuciły do śmieci ostatnią porcję. - Co tam kopiec! Prawdziwą górę! Jesteśmy bardzo dzielne, ale na dziś naprawdę już koniec. Ruszamy do Loth Tor!

Wyszły na drogę i ruszyły przed siebie dziarskim krokiem. Elphame nagle zatrzymała się i klepnęła się ręką po czole.

- Och, zostawiłam w zamku sztylet! Jeśli pojawię się w gospodzie bez sztyletu, Cu nie da mi spokoju! Poczekajcie tu na mnie, zaraz wracam.

Odwróciła się i jak strzała pomknęła z powrotem do zamkowej bramy. Wpadła na dziedziniec i rozejrzała się bezradnie dookoła. Gdzie go mogła położyć? W którym miejscu szukać? Przecież to może trwać w nieskończoność. W tym mroku każda kupka zeschniętych liści czy ziemi może wydawać się pochwą ze sztyletem.

- Głupia, głupia, głupia... - mamrotała pod nosem ze złością. - Trzeba było mieć go przy sobie, a nie rzucać byle gdzie!

- Czy tego szukasz, dziewczyno?

Elphame poczuła, jak wstrząsa nią lodowaty dreszcz. Ten ktoś musiał stać tuż za nią. A jego głos, głos męski, był bardzo dziwny. Jakby zanim dotarł do jej uszu musiał przepłynąć przez basen napełniony wodą.

Zdjęta strachem, odwróciła się. Bardzo powoli, jak naj ostrożniej.

Siedział na brzegu basenu z fontanną. Mimo mroku, widziała go bardzo dobrze, ponieważ cała jego postać jaśniała łagodnym światłem, podobnie jak perły w blasku świec. Jaśniejąca postać była zmaterializowana tylko częściowo. Była przezroczysta, Elphame widziała przez nią ruiny, które były dokładnie za plecami niezwyklej istoty.

- Och...

Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech do chwili, gdy raptem nabrała powietrza, bardzo głęboko, bardzo szybko i nagle ożyła. Zaczęła dygotać jak w febrze, tylko jej nogi pozostały

nieruchome. Ciężkie teraz jak ołów nie chciały ruszyć się z miejsca, by ponieść ją jak najdalej od tego miejsca. Natychmiast.

Duch podniósł jedną ze swoich mocnych dłoni o sękatych palcach.

- Nie bój się, Elphame! Nic złego ci nie zrobię!

Głos był dziwny, jakby wydobywał się ze studni, ale spojrzenie tak łagodne, że Elphame przestała myśleć

o ucieczce. Stała w miejscu. Duch uśmiechnął się.

- Spójrz tam! - powiedział i wskazał głową na coś, co nieopodal zwisało z murka okalającego basen.  
-

Czy tego szukasz?

Elphame udało się pokonać sztywność karku i skinąć głową, potem zrobić jeden ostrożny krok i chwycić pasek z pochwą. Udało jej się nawet wykrztusić:

- Dziękuję... dziękuję. Duch skłonił głowę.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Jego łagodne spojrzenie przeniosło się z twarzy Elphame na rzeźbę dziewczyny, ustawioną na środku basenu.

- Cieszę się, że wreszcie tu przyjechałaś. Nawet zmarłemu niełatwo czekać w nieskończoność.

- Wiesz, kto ja jestem? - Głos Elphame stanowczo odmawiał posłuszeństwa. To, co wyszło teraz z jej

ust, było ledwo dosłyszalnym szeptem.

- Tak, dziewczyno. Wiem, kim jesteś. I wiem też, że jesteś piękna i odważna - odparł, nie odrywając oczu od dziewczyny z marmuru. - Spójrz na nią! Jesteście podobne jak dwie krople wody! Bardzo słusznie wybrano ciebie.

- Ale po co? W jakim celu? I kim ty jesteś? Umysł Elphame zaczynał budzić się z odrętwienia i podsuwać pytania. Udało jej się też odzyskać głos.

- Zdaj się na swoje serce, dziewczyno. I intuicję. One ci powiedzą, kim jestem.

Elphame już bez żadnego skrępowania wlepiła oczy w jaśniejącą, półprzezroczystą zjawę. Ducha mężczyzny niemłodego, który wiek średni miał już za sobą. Mężczyzny o mocnej budowie, ubranego w płócienną koszulę

i kilt. Żywe kolory tartanu na półprzezroczystym ciele były doskonale widoczne i doskonale znane.

Szafirowy i oliwkowy. W taką kratę ubierała się matka zawsze, kiedy jechała na zachód. Elphame też miała taki pled i kilt, i miała do tego prawo. W jej żyłach płynęła przecież krew MacCallanów.

- Ty... ty jesteś MacCallan, Przywódca Klanu. Jego uśmiech poszerzył się.

- Kiedyś byłem Przywódcą Klanu, dziewczyno! Teraz jesteś nim ty!

Nawet mrugnął do niej, ale zaraz potem uśmiech znikł z jego twarzy. Wstał i skłonił się, uderzająco zręcznie i wytwornie, podobnie jak Cuchulainn.

- Nie mogę tu dłużej zostać. Nadchodzą twoje towarzyszki. Spotkamy się jeszcze, dziewczyno, innym razem... do zobaczenia...

Duch znikł, zmieniając się w rzadką mgiełkę, która zawisała wokół fontanny. A Elphame usłyszała pełen niepokoju głos Brenny:

- Milady! Wszystko dobrze?!

- Oczywiście! - zawołała Elphame, szybko ocierając drżącą ręką twarz. Przed swoim wyjazdem powiedziała matce, że nie wierzy, by jakkolwiek duch, przebywający w zamku MacCallana, chciał ją

skrzywdzić. Co wcale nie znaczy, że zakładała, że będzie miała z nimi do czynienia.

- Bo i kto by się spodziewał, że spotkam się z MacCallanem osobiście - dodała prawie bezgłośnie.

- Co mówisz, Elphame?!

To Brighid. Elphame usłyszała przytłumiony odgłos kopyt, uderzających o posadzkę pokrytą ziemią i liśćmi. Kiedy w mroku zamajaczyła srebrzysta Łowczyni, przez moment była pewna, że widzi nową zjawę.

- Na Boginię! Jak tu ciemno! - zawołała Brighid.

- Nic dziwnego, że tak długo szukałaś. Bo znalazłaś, czy tak?!

Tuż przy Łowczyni widać było niedużą ciemną postać Brenny.

- Och, żeby już jak najszybciej ponaprawiali te uchwyty na pochodnie!

Elphame uśmiechnęła się i zmusiła, żeby jej głos zabrzmiał jak najbardziej normalnie.

- Masz rację, Brenno. Oby jak najszybciej. Wcale mi nie było miło, kiedy szukałam tego sztyletu. Ale na szczęście znalazłam. Możemy ruszać do Loth Tor, na gorący posiłek, którego smak czujemy już w ustach.

I nie oglądając się na fontannę, otuloną mgłą, pierwsza wybiegła z pogrążającego się w ciemnościach zamku.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

W gasnącym świetle dnia zanikały ostre kontury, obraz świata łagodniał. Wyglądał teraz jak akwarelka, owiewana chłodnym wiatrem przesyconym słodkim zapachem kwitnących drzew.

Elphame, podążająca niedawno uprzątniętą drogą przez las, powoli zaczynała się odprężyć. Teraz, z dala od zamku, w towarzystwie Brenny i Brighid rozmawiających ze sobą bardzo miło o tym, co wydarzyło się tego dnia, trudno jej było uwierzyć, że dosłownie przed chwilą rozmawiała z duchem Przywódcy Klanu, zmarłym ponad sto lat temu. Uwierzyć było trudno, choć samego tego faktu nie podawała w wątpliwość. Rzecz w tym, że w jej życiu od wielu, wielu lat nie wydarzyło się jeszcze nic, co choć w minimalnym stopniu byłoby związane z magią. Świat duchów był przed nią zamknięty. A dziś wszystko się zmieniło. Rano przemówiły do niej duchy kamienia, pod wieczór przemówił do niej duch zmarłego człowieka. Wszystko to wydarzyło się w ciągu jednego dnia. Elphame podejrzewała, że jej umysł najprawdopodobniej jest wstrząśnięty tym do takiego stopnia, że nawet nie

stać go na typową reakcję po takich przeżyciach. Teoretycznie powinna trwać tam, jak sparaliżowana i coś bredzić. A ona idzie sobie, uśmiecha się i gawędzi ze swoimi towarzyszками.

W ostatniej chwili stłumiła w sobie histeryczny śmiech. Z tym bredzeniem może trochę przesadziła,

może przetrwałaby to wszystko na milcząco...

Nagle usłyszała swoje imię. Nie miała pojęcia, o co chodzi, ale kiedy usłyszała pełne entuzjazmu potakiwania Brenny, odruchowo ją poparła.

- Cudownie! To znakomity pomysł!

- Jesteś pewna, Elphame? - spytała Brighid.

- Oczywiście, że jest! - wtrąciła ze swoim uroczym krzywym uśmiechem Brenna. - Sama mówiłaś, że pokój kąpielowy jest dla ciebie za mały, a w tym jeziorku na pewno się zmieścisz. To już niedaleko.

Popatrzcie!

Spojrzenie Elphame podążyło za palcem Brenny. Brenna wskazała na miejsce, gdzie poziom gruntu z jednej strony drogi stopniowo się obniżał, w konsekwencji czego strumień, płynący obok drogi - często nawet ją przecinając - musiał również stopniowo obniżać swoje koryto. Trzykrotnie zmieniał się w mały wodospad, po trzecim wodospadzie, na samym dole utworzyło się małe jeziorko, z którego

znowy wypływał strumyk i wijąc się między drzewami, znikał w głębi lasu.

Elphame spojrzała na Brennę, starając się nie dać

poznać po sobie, że ponownie doznaje wstrząsu. Brenna chce, żeby tu się wykąpały? W tym jeziorku?

Wszystkie trzy? Elphame nigdy dotąd nie kąpała się przy świadkach. Nawet w świątyni, kiedy korzystała z pokoju kąpielowego, kazała wszystkim służącym wyjść. A teraz miałaby się kąpać przy dwóch obcych w końcu osobach?

Chwileczkę. Przecież żyte ze sobą kobiety tak robią. Wcale nie wstydzą się swojej nagości.

To normalne. A skoro tak...

- Myślę, że to dobry pomysł - powiedziała, bojąc się jednak, że zmieni zdanie, szybko zeszła ze ścieżki i klucząc między gałkami i drzewami, zaczęła schodzić w dół, do jeziora. Słyszała, jak Brenna i

Brighid ruszyły za nią. Ona schodziła dalej, powtarzając sobie w duchu, że robi to. Jeśli chce, żeby inni traktowali ją normalnie, powinna sama zachowywać się normalnie. A normalne kobiety, jak już

wspomniano, kąpią się razem bez żadnego skrępowania. Widziała to, kiedy jako małe dziecko czasami zawędrowała do pokoju kąpielowego matki, zwykle zatłoczonego. Kapłanki, odwiedzające

świątynię, przyjaciółki i znajome bardzo chętnie towarzyszyły Umiłowanej Bogini Epony w kąpielu w

wodzie ze źródeł mineralnych. Wstydlivość, u Elphame reguła, dla reszty Partholonu wcale nie była regułą.

Przystanąła na brzegu jeziora, czekając aż dołączą do niej Brenna i Brighid. Okazało się, że jezioro jest o wiele większe niż myślała i jest tu bardzo pięknie. I radośnie. Takie radosne dźwięki wydawały z siebie trzy wodospady, kiedy srebrzysta woda opadała na wygładzone wodą kamienie.

- Chyba jest wystarczająco głębokie - orzekła Brenna.

- I zimne - dodała Brighid.

- Nie szkodzi - oświadczyła Brenna, rozpinając

skromną broszkę, która przytrzymała jej suknię na prawym ramieniu. - Odświeżymy się po długiej pracy.

Szybko zdjęła górę sukni i zaczęła rozwiązywać węzły z boku, przytrzymując spódnicę, jak kilt owiniętą wokół bioder.

Elphame nie była w stanie oderwać oczu od odsłoniętego szczupłego ciała Brenny. Lewa strona pokryta była nieskazitelnie gładką skórą, a prawa... Straszliwe blizny, które szpeciły jej twarz nie kończyły się na szyi. Wędrowały dalej, na ramię i górną część piersi. W szarości zmierzchu Brenna wyglądała jak śliczna, delikatna figurka z wosku, która częściowo stopniała.

Brenna powoli podniosła głowę i spojrzała na Boginię, potem na Łowczynię, obie wpatrujące się w

nią w milczeniu. Drgnęła. Po jej twarzy przemknął cień, kiedy uświadomiła sobie, że na moment zapomniała o swoich bliznach. A te blizny przecież są.

Spojrzała szybko w bok, udając, że ma mały problem z rozwiązywaniem węzełków. Z nadzieją, że nikt nie zauważył jej łez.

- Przepraszam - powiedziała cicho Elphame. - Wcale nie chciałam się na ciebie gapić. Jakoś tak... wyszło.

Brenna, nadal nie patrząc na nią, odparła zdławionym głosem.

- Milady nie musi przepraszać. Wszyscy się na mnie gapią.

Elphame, zrobiwszy najpierw głęboki wdech, rozpięła broszę przy swojej sukni. Szybko odwinęła materiał, zakrywający tors i po prostu puściła, żeby opadł na ziemię. Potem odwinęła z bioder spódnicę, na koniec zdjęła płócienny pas z trójkątem z przodu, osłaniającym intymne części jej ciała.

I znieruchomiała. Kompletnie naga. Teraz Brenna

i Brighid mogły przyrzeć się każdemu kawałeczkowi jej niezwykłego ciała.

- Rozumiem, co czujesz, Brenno - powiedziała cicho. - Dlatego cię przeprosiłam.

Brenna podniosła na nią oczy, w których było zdumienie. I głowy już nie opuściła. Po raz pierwszy w życiu Uzdrawicielka nie mogła się powstrzymać przed wpatrywaniem się w drugiego człowieka. W tym przypadku człowieka tylko do połowy. Bardzo urodziwego, każda kobieta mogła pozazdrościć Elphame pięknej twarzy i pięknych kształtów. Ale od pasa w dół było już inaczej. Z rozłożystych bioder Elphame wyrastały dwie przednie nogi konia, a biodra i nogi porośnięte były lśniąca kasztanową sierścią. Najbardziej intymne części ciała ukształtowane były jak u kobiety, włosy na łonie tworzyły ciemnokasztanowy trójkąt.

Nagle obie podskoczyły, słysząc jakieś dziwne odgłosy. To Brighid. Stała na brzegu jeziora i uderzała kopytem w stosik kamieni, które zaczynały się pieniść.

- Kamień mydlany - wyjaśniła. - Pomyślałam sobie, że kiedy wy tak siebie pozeracie wzrokiem, ja



zrobię coś pożytecznego.

Nachyliła się i zgmiotła w palcach kilka granulek.

- Gotowe - oznajmiła. Zdjęła swoją kamizelkę i położyła na suchym kamieniu.

- A dlaczego ty na nas się nie gapisz? - spytała Brenna.

- Dlatego, że od małego słyszałam, że wszyscy ludzie są dziwni i dziwacznie zbudowani. Dlatego nic mnie już u was nie zadziwi - odparła Łowczyni, uśmiechając się szeroko i wskoczyła do wody.

- Na pewno nie był to komplement - stwierdziła Brenna, odprowadzając Łowczynię wzrokiem. - Ale w sumie... było to pozytywne.

- Racja - przytaknęła Elphame. - A więc jak? Kończymy z tym gapieniem się jedna na drugą?

- Tak. Chociaż... okropnie mi się chce dotknąć twojego futra. O ile nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie!

Elphame podniosła jedną nogę i wyciągnęła do Brenny.

- Bardzo proszę. Z tym, że ja uważam, że to nie futro, a sierść.

Brenna ostrożnie powiodła palcem od kolana Elphame do pęciny, potem dotknęła lśniącej powierzchni kopyta.

- Jaka ta sierść mięciutka - powiedziała z zachwytem, a potem nagle obudziła się w niej Uzdrowicielka i nastąpiła cała seria konkretnych pytań. - Powiedz, czy łatwo się kaleczysz, czy twoja skóra na nogach jest grubsza, mocniejsza niż u człowieka? Jak reagujesz na trujące rośliny, takie jak bluszcz trujący albo dąb?

- Hej, milady! - zawołała Brighid, już na środku jeziora. - Gdyby zjawił się tu twój brat i zobaczył nas wszystkie trzy na golasa, co najmniej dwie z nas poczułyby się jednak głupio!

Brenna zbladła i spojrzała trwożliwie przez ramię, w stronę drogi.

- Rzeczywiście. To byłoby okropne!

- Bez obaw, nie przyjdzie - powiedziała uśmiechem Elphame. - Ale może chodźmy już do wody, potem mnie popytasz, o co chcesz.

- Przynieście tu trochę tego kamienia! - zawołała Brighid.

Brenna szybko uklękała i nabrała pełne garści szorstkiego mydlanego kamienia. Wstała i wskoczyła do wody, nawet zręcznie, ale poślizgnęła się na śliskich kamieniach przy brzegu i piszcząc przeraźliwie, usiadła gwałtownie w zimnej wodzie.

Elphame, nadal na brzegu, ostrożnie zanurzyła w wodzie czubek kopyta.

- Nadal uważasz, że to dobry pomysł? - spytała słodkim głosem.

Brenna, szcękając zębami, bohatercko pokiwała głową.

- Oczywiście! Po chwili człowiek się przyzwyczaja.

- Nie martw się, Elphame! Sierść ochroni cię przed zimnem! - wydarła się znowu Brighid, po czym kąciki jej ust zadrżały od powstrzymanego śmiechu. - Przynajmniej w połowie...

- Ach ty! - wrzasnęła Elphame. Zachwycona. Było tak przyjemnie! Żartowały sobie, docinały, jakby znały się od lat. Po prostu były już przyjaciółkami!

- Uwaga! Idę do was! - zwołała, ale do wody nie weszła. Dalej stała na brzegu, bo nagle poczuła się nieswojo. Dokładniej - poczuła na sobie czyjś wzrok. W jej przypadku, niestety, zdarzało się to bardzo często.

Ale tutaj? Kto?

Nachyliła się i udając, że coś tam przekłada w stosiku swoich ubrań, przemknęła byстрыm spojrzeniem

po otaczającym ją lesie. Niczego podejrzanego nie zauważyła. Drzewa jak drzewa, wyglądało na to, że wśród ich gałęzi nie kryje się nikt bardziej groźny od świergoczących ptaków.

Ale i tak czuła na sobie czyjś wzrok.

Czyli wyobraźnia płata jej figle, w sumie nic dziwnego, zważywszy, co przeżyła w ciągu tego jednego

dnia.

Odwróciła się z powrotem do jeziora. Uzdrowicielka, choć jej wargi były już sine, z zapalem wcierała kamień mydlany we włosy.

Elphame, wyrzucając z pamięci wytwór zbyt wybujałej wyobraźni, nabrała garść mydlanego

kamienia i weszła do prawie lodowatej wody.

Kiedy Elphame zdjęła ubranie, Lochłan, ukryty za grubym pniem, wiedział, że powinien natychmiast się wycofać, a przynajmniej spojrzeć w bok. Było to jednak ponad jego siły. Patrzył jak zahipnotyzowany. Upajał się jej nagością. W swoich snach czasami jej dotykał, całował w usta. Te momenty były jednak bardzo krótkie, ulotne. A on tak bardzo pragnął czegoś więcej...

A teraz... teraz to nie był sen. Widział ją, widział ją nagą, z tak bliska. Jego skrzydła drżały z narastającego pożądania. Było mu zimno, za chwilę gorąco. Przyglądanie się jej było udręką. Udręką bardzo słodką.

Kiedy odwróciła się od jeziora i zaczęła wpatrywać się w las, znieruchomiał, wtapiając się w cień między drzewami. Serce waliło jak młot. Elphame wyczuwała jego obecność. Jej umysł jeszcze tego nie ogarnął, dusza jednak już rozpoznała, że on jest tutaj.

Potem zanurzyła się w wodzie. Las rozbrzmiał jej śmiechem, a przecież w jego snach nigdy nie śmiała

się na głos. Uśmiechała się tylko czasami, zwykle do swego brata wojownika albo do rodziców. Teraz

jej nieoczekiwany głośny śmiech był dla niego zbawieniem. Poruszył go, zachwycił, dzięki czemu zapomniał o żądzy. Chociaż wcale nie zaczął pragnąć jej mniej.

Jego wargi drżały, miał wielką ochotę też się roześmiać. Elphame powinna śmiać się jak najczęściej.

Tak bardzo chciał widzieć ją szczęśliwą. On mógłby uczynić ją szczęśliwą. Gdyby tylko udało się znaleźć jakiś sposób, żeby...

Przepowiednia. Prześladowała go, dręczyła. Przepowiednia, którą miał spełnić on, Lochłan, a potem dalej z tym żyć. Jak?!

Jeśli nie spełni Przepowiedni, jego ludzie będą skazani na życie w bólu, męce i szaleństwie. Nie!

Nawet nie chciał

myśleć o tym, co się stanie, jeśli mu się nie powiedzie. Wiara matki w Eponę była tak głęboka. Do dziś miał przed oczami jej uduchowioną twarz, kiedy odprawiała święte obrzędy, kiedy uczyła syna,

jak

żyć w wierze. Jej wiara była niezachwiana, dzięki temu przeżyła brutalny gwałt, dzięki temu ledwo żywa, tuż po porodzie, zebrała pozostałe kobiety, żeby wspólnie stworzyć dom dla nowo narodzonych

dzieci - hybryd. Te kobiety, uprowadzone przez demony, czyli najeźdźców, Fomorian, miały posłużyć jako inkubatory, ponieważ Fomorianki z niewyjaśnionych powodów nagle stały się bezpłodne. A kobiety rodzaju ludzkiego można było zapłodnić i zagwarantować sobie nowe pokolenie Fomorian.

Te kobiety miały nie przeżyć porodu, ale stał się cud. Matka Lochlana oraz kilkanaście innych kobiet przeżyły. Bogini ich nie opuściła. Ileż to razy Lochlan słyszał z ust matki te słowa? Chyba tyle samo, ile razy słyszał z jej ust Przepowiednię.

Matka... Nagle poczuł przyływ nowych sił. Trudno. Przywiodły go tu sny o Elphame, jest tutaj i będzie musiał jakoś przejść przez labirynt komplikacji, związanych z Elphame. Zamknął oczy i oparł się całym ciałem o gruby pień. On i Elphame... W gruncie rzeczy bardzo podobni. Oboje stanowili połączenie dwóch ras.

Kobięcy śmiech, dobiegający z nad jeziora, chłodny wiatr, przesycony zapachami, budziły w nim wspomnienia. Przed oczyma pojawił się obraz matki, nachylonej nad strumieniem, w którym prała ich

bardzo skromne ubrania. Zawsze pracowała tak ciężko i za grosze, a Lochlan zachował w pamięci przede wszystkim jej pogodną twarz, jej słodki śmiech.

- Jesteś całym moim szczęściem - powtarzała mu nieustannie. - I to ty pewnego dnia poprowadzisz takich

jak ty z powrotem do Partholonu. Znajdziecie swoje szczęście, uwolnicie się od bólu, od szaleństwa.

Matka była po prostu idealistką. Wierzyła głęboko, że Bogini wysłucha jej modlitw, że jej syn spełni Przepowiednię. Lochlan bardzo szybko przestał przekonywać ją, że wcale tak nie musi być. Bo ona chciała wierzyć, że to, co w nich ludzkie, jest silniejsze niż mroczne impulsy we krwi odziedziczonej po Fomorianach. Wierzyła, że dobro pokona zło, pokona szaleństwo.

- We mnie na pewno tak - szepnął. Chciał to usłyszeć, wtedy brzmiało to bardziej przekonująco. -

Jestem bardziej człowiekiem niż demonem. Mój ojciec posiadał moją matkę siłą, zapłodnił ją, ale jego

rasa, rasa demonów, została pokonana przez wojska Partholonu. Podobnie jak miłość mojej matki pokonała ból i okropności podczas moich narodzin.

Zdawał sobie sprawę, jak nierozsądne jest teraz rozpamiętywanie przeszłości, a zwłaszcza myślenie o

tych, co zostali na Pustkowiu. Powinien panować nad swoimi myślami - skupić się całkowicie na zadaniu, które teraz go czeka. Bo już w głowie odzywał się znajomy, świdrujący ból. Ostrzeżenie. Jak

zwykle powiedział sobie, że to nic, że wytrzyma. Ten ból przecież to jego stary przyjaciel, nie wolno dopuścić, by odszedł. Oznaczałoby to, że czarna krew ojca w końcu zwyciężyła.

Otworzył oczy i przykucnął, by móc znowu obserwować Elphame. Trzy młode kobiety, żartując i poszturchując się, wyszły z wody i dygocząc z zimna pobiegły do swoich ubrań.

Elphame była znów tak blisko. Lochlan czuł, jak krew w jego żyłach przyspiesza. Usta poruszyły się w bezgłośnej modlitwie. Proszę, Epono, pomóż mi znaleźć drogę, bym mógł spełnić Przepowiednię, nie wyrządzając El-

phame krzywdy. Modlił się żarliwie do Bogini, do swojej matki, modlił się z poczuciem winy, świadomy, że to, o co prosi, stałoby się czyimś kosztem. Ale znów doleciał do jego uszu śmiech Elphame, znów musiał walczyć ze sprzecznościami w swoim sercu.

Swoją modlitwę zakończył słowami:

- Daj mi szansę zdobycia jej.

Gdyby mógł porozmawiać z Elphame. W cztery oczy. W końcu nie jest to takie niemożliwe. W swoich snach widywał często, jak Elphame biega. Zawsze biega sama. A on jest cierpliwy. Czekał na

nią ponad sto lat, może poczekać jeszcze te parę dni.

**ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Cuchulainn właśnie siodłał swego wałacha, żeby jechać po Elphame, kiedy przed gospodą „Pod

klaczą" pojawiła się cała trójka. Oczywiście, że miał zamiar od razu powiedzieć siostrze parę słów do słuchu, przede wszystkim, co on myśli o lekceważeniu pewnych zasad. Ale natychmiast wywietrzało

mu to z głowy, kiedy spojrzął na roześmiane, rozgadane młode kobiety. Trzy, a jedną nich była jego siostra, zwykle stroniąca od ludzi. Teraz wyglądała na szczęśliwą!

Była to pierwsza niespodzianka. Druga to widok małej, pokrytej bliznami Uzdrowicielki na grzbiecie Łowczyni. Jechała na kobiecie centaurze! Centaury, oczywiście,

woziły czasami ludzi, ale bardzo rzadko, tylko w wyjątkowych sytuacjach. Szlachetna rasa centaurów nie została przecież stworzona do dźwigania ciężarów. A tymczasem Łowczyni wdzięcznie

przykłusowała przed gospodę, dźwigając na swym lśniącym grzbiecie istotę rodzaju ludzkiego, bardzo niewielką i wyraźnie spłoszoną. Cuchulainn był pewien, że gdyby zobaczyły to wojownicze

centaury ze Stada Dhianna, z którego pochodziła Brighid, dostałyby zbiorowej apopleksji.

Jemu, oczywiście, zachciało się śmiać. Pomyślał też, czy on przypadkiem nie pomylił się co do Łowczyni, czy nie przesadza z tą swoją czujnością.

- El!

Pomachał ręką, Elphame też pomachała i skinęła na swoje przyjaciółki, żeby szły za nią.

- Przepraszam, Cu - powiedziała lekko zadyszczanym głosem, podchodząc do brata. - Zamierzałyśmy pojawić się tu o wiele wcześniej, ale po drodze natrafiłyśmy na cudowne jezioro... no i... sam rozumiesz.

Wzruszyła lekko ramionami i wycisnęła jeszcze troszkę wody ze swoich mokrych włosów. A

Cuchulainn na moment zaniemówił z wrażenia. Jego siostra kąpała się razem z innymi kobietami?!

Spojrzał na Łowczynię, spojrzął na Uzdrowicielkę. Obie mokre. Mokre wszystkie trzy i wszystkie trzy bardzo z siebie zadowolone.

- To moja wina - oznajmia Łowczyni, spoglądając prowokująco na Cuchulainna. - Byłam pewna, że

pokoje kąpielowe w Loth Tor są za małe, żeby pomieścić centaura, dlatego...

- Dlatego to ja zaproponowałam kąpiel w jeziorku

- przerwała jej Brenna cichym, nieśmiałym głosem.

- Elphame przez cały czas nas popędzała.

- Rozumiem... - mruknął Cuchulainn, drapiąc się po

brodzie. I rzeczywiście zrozumiał. Dziewczyny stanęły za Elphame murem, niech Epona im pobłogosławi.

Na twarzy Cu pojawił się uśmiech. Uśmiech Cuchulainna, zniewalający.

- Znakiem tego powinienem częściej penetrować okoliczne jeziora.

Za co siostra oczywiście od razu go obsztorcowała.

- Och, Cu! Jesteś okropny!

- Przecież na ciebie bym się nie gapił, dziewczyno!

- odciął się, znakomicie naśladowując miejscową wymowę.

Elphame była pewna, że w tym momencie zbladła. Cu powiedział to z takim samym zaśpiewem jak MacCallan, identycznie, i w pamięci Elphame natychmiast ożyło wspomnienie o spotkaniu ze zjawą, duchem ich przodka. O spotkaniu tym powinna powiedzieć bratu, a ona jeszcze tego nie zrobiła...

- Gdzie będziemy jeść, Cu? - spytała szybko.

- Na dworze. Wynieśli stoły, stoją za gospodą. - Cu, uśmiechając się pod nosem, spojrzał na

Łowczynię.

- W środku nie wszyscy mogliby się pomieścić... Brigid sarknęła gniewnie, Brenna zakaszłała, wyraźnie tłumiąc śmiech.

- Dziewczęta, idźcie już i siadajcie do stołu - powiedziała Elphame. - Przyjdę za chwilę, chcę zamienić z bratem kilka słów.

- Dobrze. Zajmiemy ci miejsce - oznajmiła Brigid, po czym, zrobiwszy króciutką, ale bardzo wymowną przerwę, dodała nieco chłodniej: - I dla twojego brata.

- To może ja już zsiądę.

Brenna zaczęła ostrożnie przekładać prawą nogę przez grzbiet Łowczyni. Było jasne, że mała Uzdrowicielka nie jest doświadczonym jeźdźcem. Na pewno upadłaby na ziemię, gdyby nie czyjeś silne ramię. Odwróciła głowę,

pewna, że pomoc zawdzięcza Elphame. I spojrzała prosto w szmaragdowe oczy Cuchulainna.

- Czy pozwoli pani sobie pomóc?

- Ja... ja... - wyjąkała speszona i zamilkła. W pierwszym odruchu chciała przede wszystkim odwrócić twarz, by szpecące blizny były niewidoczne. Ale zaraz potem pomyślała, że nie będzie chować twarzy. Przez cały dzień pracowała razem z Cuchulainnem, miał okazję obejrzeć jej twarz bardzo dokładnie. Po co więc teraz te ceregiele?

- Dziękuję, będę bardzo wdzięczna - odparła, równie uprzejmie i gładko, choć nie przyszło jej to łatwo.

Silne ręce Cuchulainna wzięły Brennę pod boki i uniosły. Była taka lekka, miał wrażenie, że kości tej drobnej istoty wypełnione są powietrzem. Jej mokre włosy pachniały deszczem i mokrą trawą.

Postawił ją ostrożnie na ziemi i skłonił się, jak to on, bardzo wytwornie, ale Brenna nie patrzyła na niego. Od razu razem z Łowczynią ruszyły na tyły gospody, Cuchulainn usłyszał jeszcze tylko

słodki głos Brenny:

- Przepraszam, Brighid. Na pewno było ci niewygodnie. Wiem, że jestem bardzo kiepskim jeźdźcem...

- A ty, co tak się gapisz? - spytała kochana siostra, waląc go po ramieniu.

Cu, nadal pełen zdumienia, potrząsnął bezradnie głową i wypowiedział pierwszą racjonalną myśl, jak

przyszła mu do głowy:

- Centaur Dhianna z jeźdźcem na grzbiecie? Człowiekiem? Kobieta?

Elphame uniosła znacząco brwi.

- A tak!



- A czy przypadkiem jacyś Fomorianie nie deptali wam po piętach?

- Nie zauważyłam. Zawsze jednak możesz tam wrócić

i sprawdzić. Nie martw się, zajmę ci miejsce przy stole - odparła Elphame niewinnym głosem, a widząc głupią minę brata, zaśmiała się. - Cu, po prostu dzięki temu dotarliśmy tu o wiele szybciej.

Brenna jest taka mała, nie była w stanie dotrzymać nam kroku. A spieszyliśmy się, skoro, jak wiadomo, trafił mi się nadzwyczaj denerwujący młodszy brat, który pilnuje mnie jak niańka. Dlatego Brighid zaproponowała, że podwiezie Brennę. Na pewno było jej tam wygodniej, niż gdybym niosła ją na barana.

- Dziwne. Bo, jak wiadomo, centaur Dhianna zdecydowanie woli, żeby rodzaj ludzki chodził o własnych siłach, po ziemi.

A on znów to samo. Elphame czuła, jak narasta w niej gniew.

- Gdyby Brighid była typowym centaurem Dhianna, nie byłoby jej wśród nas, nie sądzisz? Nie uprzedzaj się do niej. Daj jej szansę. Ona jest moją przyjaciółką.

Moją przyjaciółką! Cuchulainn nigdy w życiu jeszcze nie słyszał tych słów z ust swojej siostry. To, że w końcu usłyszał, zakrawało na cud i jego nieufność wobec Brighid nagle wydała mu się absolutnie

nie na miejscu. A on sam ograniczony i małostkowy.

- Przepraszam, El - powiedział miękko, obejmując ją ramieniem.

- To co? Dasz jej szansę? - spytała z nadzieją w głosie.

- Oczywiście. Może niepotrzebnie jej się czepiam, ale to dlatego, że miałem wtedy to Przeczucie, którego, szczerze mówiąc, tak do końca nie rozumiem. Dlatego dmucham na zimne. Poza tym te zmiany, jakie zachodzą w tobie, trochę zbijają mnie z tropu.

- Zmiany? We mnie? O czym ty mówisz?

- Przede wszystkim o tym, że obrałaś dobrą drogę, El. Ty należysz do zamku MacCallana, każdy

kamień tutaj

ciesz się swoją obecnością. A ty rozkwitasz. Śmiejesz się w obecności innych ludzi, nie tylko w gronie najbliższych. Nawiązałaś przyjaźń.

Ciemne oczy El rozbliły.

- Tak. Mam przyjaciółki - oświadczyła, niemal uroczyście.

- A ja... rzeczywiście, chyba trochę przesadzam z tą troską o ciebie - przyznał Cu. - Ale za dużo nasłuchiwałem się w dzieciństwie różnych historii o duchach i o miejscach przeklętych, nawiedzanych przez duchy pomordowanych.

Opowieści o duchach, jakie serwuje się dzieciom? Elphame wpatrywała się w brata, w jego pogodną,

otwartą twarz. Wyraz tej twarzy przekazywał jeszcze bardziej dobitnie niż słowa to, co Cu chciał jej powiedzieć. On naprawdę uważał, że zamek MacCallana to miejsce, gdzie Elphame powinna być. W zamku nawiedzonym przez ducha... Elphame przekonała się przecież o tym naocznie. Co będzie, jeśli ona teraz powie mu, że istotnie spotkała się z duchem jednego z zamordowanych MacCallanów, duchem samego Przywódcy Klanu? Co będzie? Nietrudno zgadnąć. Cu nie ufał światu duchów, unikał go jak ognia. Zawsze tak było, mimo że sam został obdarzony mocą nadnaturalną. Jeśli El opowie mu o wizycie ducha, Cu niewątpliwie stanie się jeszcze bardziej opiekuńczy. Będzie chodził za nią jak cień.

A poza tym ona nie rozumiała, dlaczego MacCallan ukazał się właśnie jej. Niewątpliwie był jej przychylny. Był wyjątkowo życzliwy i uprzejmy, jak za życia, takim przecież zachował się w pamięci ludzi. Nazwał ją Przywódczynią Klanu MacCallanów. Co jednak naprawdę znaczyła ta wizyta? Nie wiadomo. W każdym razie Elphame zdecydowała, że jeszcze nie opowie o niej bratu.

Na pewno nie dziś. Odczeka, aż bardziej tu się zdomowią, może też w międzyczasie dowie się, dlaczego duch ukazał się właśnie jej. Może zresztą duch więcej już jej się nie ukáže, dlatego lepiej odczekać, zamiast niepotrzebnie niepokoić brata.

- El! - Cu szturchnął ją lekko w bok. - Czy ty mnie słuchasz? Obiecuję, że popuszczę ci cugli.

- Słyszałam, słyszałam. Zaniemówiłam z wrażenia, bo tak otwarcie przyznałeś się do swoich błędów.

Moje szczęście nie miałyby granic, gdybyś jeszcze do tego przestał uganiać się kobietami, ustatkował się, został ojcem gromadki dzieci...

- El! Jakbym słyszał naszą Matkę!

- O, nie! Nie strasz mnie! - El uśmiechnęła się. - Chodźmy już jeść.

- W towarzystwie twoich przyjaciółek?

- A tak! W towarzystwie moich przyjaciółek!

- Tu gwiazdy świecą zdecydowanie mocniej niż nad Świątynią Epony - stwierdziła Elphame.

- Racja - przytaknął Cu. - A to dlatego, że Loth Tor nie jest tak oświetlone, jak świątynia i miasto.

- Szkoda, że nie widzieliście gwiazd nad Równiną Centaurów - wtrąciła Brighid. - Czasami świecą bardziej niż ogień.

- Nigdy nie byłam na Równinie Centaurów - odezwała się Brenna sennym głosem. - Na pewno jest tam bardzo pięknie...

- Tak. Musisz kiedyś tam przyjechać. Wielkie otwarte przestrzenie, można biec i biec, całymi dniami.

W oczach Cu zapaliły się złośliwe iskierki. Otwierał już usta, ale Elphame szybko pokręciła głową, nakazując mu milczenie. I westchnęła. Dlaczego ta biedna Łowczym

tak go irytuje? Wystarczy, że powie słowo, a on już się jeży. Co innego Brenna, wobec niej jest zawsze bardzo uprzejmy. Chyba ją polubił...

Ułożyła się wygodniej w swoim śpiworze, rozłożonym między dwoma konarami starego dębu i

wpatrując się w usiane gwiazdami niebo, słuchała, jak Brighid opowiada Brennie o Równinie

Centaurów. Byli w Loth Tor, ona i Cu nocowali na polance pod starymi dębami, które zdołały się

oprzeć inwazji sosen. Trochę oddaleni od reszty ludzi, ale w Loth Tor. Tego wieczoru Elphame jakoś nie czuła potrzeby całkowitego odseparowania się od pozostałych osób, jak poprzedniej nocy.

Wspólny wieczorny posiłek był bardzo przyjemny, między innymi dlatego, że Brenna i Brighid

wybrały dla nich miejsca wokół jednego z ognisk, które rozpalono za gospodą. Większość centaurów,

mężczyzn i kobiet, zasiadła za długimi drewnianymi stołami, rozmawiali, śmiali się i zawierali znajomości. Kiedy pojawiła się Elphame z bratem, mężczyźni i centaury wstali i wszyscy skłonili się przed boginią. Elphame stężała, jak zawsze, gdy okazywano jej cześć. Ale na szczęście zaraz potem wydarzyło się coś bardzo miłego. Wynne na widok Elphame po prostu zaczęła do niej machać i zawołała: - Witaj, Elphame!

Elphame poczuła się tak, jakby ktoś posmarował jej serce masłem, tym bardziej że kilka osób, za przykładem Wynne, też zwróciło się do niej po imieniu. Ta miła atmosfera utrzymała się do końca wspólnego posiłku. Żaden wieśniak nie klękał przed boginią, nie prosił jej o błogosławieństwo. Poza tym, szczerze mówiąc, największą uwagę zwracała na siebie Brighid. Mnóstwo centaurów nagle zapragnęło porozmawiać z Cuchulainnem, tylko dlatego, że chcieli, by przedstawił ich Łowczyńni. Elphame z wielkim zainteresowaniem obserwowała rozwój wydarzeń. Oni pchali się do Brighid, a ona zachowywała się jak wzór kobiecej powściągliwości. Była uprzejma dla każdego z potencjalnych zalotników, nie okazując jednak najmniejszego zainteresowania. Oni natomiast byli nią wyraźnie zauroczeni. Nie tylko oni, Elphame zauważyła, że również wielu mężczyzn popatrywało na urodziwą Łowczynię. Cu, kiedy przedstawił już Brighid kilku centaurów, półgębkiem poinformował El, że ta Brighid to Lodowata Księżniczka. Elphame odmruknęła wówczas, że takie właśnie kobiety mają największe wzięcie.

A teraz, kiedy leżała już w swoim śpiworze, Cu, siedzący koło ogniska, znów odezwał się półgębkiem:

- El, co ty masz taki głupi uśmiech na twarzy...

- Wcale nie głupi. To uśmiech zadowolenia.

- Niech będzie. Ale lepiej już się nie uśmiechaj, tylko śpij. Twoje przyjaciółki wreszcie przestały gadać.

Elphame spojrzała na dwie ciemne postacie swoich przyjaciółek, już milczące i nieruchome. Na pewno zasnęły. Poczuła, jak jej powieki też robią się bardzo ciężkie.

- A ty nie idziesz spać, Cu? - spytała sennym głosem.

- Za chwilę, siostró moja!

Dorzucił do ognia i usiadł pod drzewem, opierając się plecami o pień. Widział, jak powieki siostry opadły, usłyszał głęboki, miarowy oddech. Zasnęła. Cu spojrzał na jej przyjaciółki. Obie chyba też już spały snem sprawiedliwych. Mała Uzdrowicielka na boku, plecami do Cu. Tego wieczoru Cu zadbał,

żeby Uzdrowicielka nie była narażona na spojrzenia ciekawskich ani na żadne pytania. Po prostu posadził ją koło siebie. Ta delikatna, tak skrzywdzona przez los dziewczyna zaczynała w nim

budzić instynkt opiekuńczy. Dziwne, ale wytłumaczył to sobie bardzo logicznie. Brenna jest dla jego siostry ważną osobą, nic dziwnego, że Cu też się o nią troszczy. Tym bardziej, że jest wojownikiem, a wojownik każdego potrzebującego otacza opieką.

A ten potrzebujący, dokładniej ta potrzebująca dodatkowo bardzo ładnie pachnie. Przypomnił sobie ten świeży zapach trawy i deszczu, jaki poczuł, kiedy pomagał Brennie zsiąść z grzbietu kobiety centaury i przez krótką chwilę trzymał ją w ramionach.

Nagle drgnął, kiedy kątem oka zobaczył szeroko otwarte oczy Łowczyni. O spojrzeniu znaczącym, tak znaczącym, że Cu wojownik zarumienił się.

- Stanę pierwsza na warcie - powiedziała. - Obudzę cię, kiedy księżyc będzie w połowie drogi po niebie.

Nie czekając na jego odpowiedź, wstała i znikła między drzewami, srebrzysta, jak nimfa leśna.

Cuchulainn słyszał przytłumiony przez mech odgłos jej kroków, kiedy zaczęła powoli obchodzić kołem ich obozowisko.

- Głupia Księżniczka Lodowata - wymamrotał Cu pod nosem. - Niech sobie pilnuje! Chce mi się przypodobać, a ja i tak się nie złamię.

Ułożył się na swoim posłaniu na ziemi, starając się, żeby było chociaż w miarę wygodnie. Nic z tych

rzeczy, nie ma to jednak jak wygodne łóżko! Zamknął oczy, pomyślał sobie o łóżku, o tym, że Łowczyni jest okropnie irytująca, a przed nimi tyle jeszcze roboty. Myślał o wszystkim i o niczym, byle tylko nie myśleć o eterycznej Uzdrowicielce z zeszpeconą twarzą, dziewczynie o łagodnym, melodyjnym głosie, pachnącej jak deszcz i młoda trawa...

Sen objął Elphame czule, jak kochający rodzic, przenosząc ją w inny świat, świat marzeń sennych. Śniło jej się, że biegnie przez las, wśród starych dębów. Jednakowych, wszystkie wyglądały dokładnie jak stary dąb, pod którym ułożyła się do snu. Była noc, na niebie księżyc, jaśniejący jak pochodnia zrobiona ze śniegu i ognia. W lesie z tego snu ziemia między drzewami była nadzwyczaj gładka, nie było żadnych dołków, żadnych wystających korzeni, o które mogła zahaczyć kopytem. Biegła, oddychając głęboko, miarowo, wyrzucając przed siebie swoje

długie, umięśnione nogi. Coraz szybciej, tak szybko, że wiatr smagał ją po twarzy, a mijane drzewa zlewały się ze sobą.

Uwielbiała biegać. Ten sen przypominał, że już od dawna nie oddawała się temu zajęciu - od dnia wyjazdu ze Świątyni Epony. Tyle czasu minęło, a ty nic? - karmiła ją podświadomość. Choć ona przecież teraz biegła. We śnie.

Biegła w górę, po leśnym zboczu. Nagle drzewa rozstały się i znalazła się na polance, spowitej w mgłę. Ciężko dysząc, przystanęła, wśród tej gęstej, szarej mgły. Odruchowo dmuchnęła na nią i nagle w szarości pojawiły się czerwone cętki.

Ten kolor wzywał ją.

Czerwone cętki fruwały, wirowały, układając się we wzór przypominający Elphame jeden z labiryntów z krzewów ostrokrzewu koło Świątyni Epony. Uśmiechnęła się do siebie. Że też to właśnie

musiało jej się przypomnieć... Rozłożyła szeroko ręce, rozpostarła palce i zaczęła powoli obracać się w kółko. A szara mgła w czerwone cętki pieściła jej ciało.

Teraz nagie.

- Elphame...

Głos nieznanego mężczyzny. Unosił się wokół niej, szybując w szarej mgle.

- Chodź do mnie, Elphame...

Dźwięk tego głosu, obcego przecież, zamiast wzbudzać lęk, poruszył coś w niej, w środku. Nagle zrobiło jej się ciepło, za chwilę gorąco. Czowała, jak wilgoć szkarłatnej mgły głaszcząc ją i wnika w nią, budząc odczucia, które jak dotąd mogła sobie tylko wyobrazić.

Mgła gęstniała, im bardziej gęstniała, tym gorętsze było pragnienie Elphame.

- Tak... tak... - szeptał kusząco męski głos - pozwól mi kochać ciebie...

Coś zaczęło owijać się wokół niej, jak cieniutka pajęczyna. W miejscu, gdzie dotknęła, ciało Elphame

ożywało... Ale nie, to nie była pajęczyna, tylko skrzydła. Była otulona skrzydłami.

- On ma skrzydła! - powiedziała na głos, otwierając oczy. Obudzona własnym głosem.

W ciemnym lesie koło zamku MacCallana Lochlan usiadł nagle, wyrwany ze snu i natychmiast zdał sobie sprawę, że jego ciało płonie. Z pożądania. Po tym śnie, kiedy śnił, że jest z Elphame. Śnie, w którym Elphame po raz pierwszy wyczuwała jego obecność.

Wyskoczył z jaskini, swojej kryjówki, i rozłożywszy drżące skrzydła, rozpoczął długą, mozolną wspinaczkę po skalistym zboczu. Żeby ochłonać, stłumić w sobie to gorące pożądanie.

Jego umysł też płonął. Świdrujący ból rozsadzał czaszkę, ale on konsekwentnie piął się w górę, póki pot nie zaczął zalewać mu oczu i nie zabrakło mu tchu.

Żył tak długo. Sto dwadzieścia pięć lat. Przeklęta długowieczność odziedziczona po ojcu Fomorianie.

I nie wiadomo, jak długo jeszcze będzie bić jego serce, jak długo czarna krew ojca będzie krążyć w jego ciele, rozsiewając szaleństwo. Jak długo jeszcze będzie z nim walczyć...

Podдай się, syczał ból. Przestań walczyć, pozwól, by ogarnęło cię szaleństwo, a będziesz upajał się siłą, jaka tobie jest dana.

Lochlan zacisnął zęby. Ból ustąpi, jeśli podda się mrocznemu dziedzictwu. Nic już w nim nie będzie

Z

istoty ludzkiej, stanie się wyłącznie przedstawicielem rasy swego ojca. Czymś nie lepszym od wściekłej bestii albo demona. Oba określenia były trafne.

A on chciał być czymś więcej. Chciał tego i dla siebie, i dla swoich ludzi.

Elphame...

Jej imię było jak balsam na jego duszę...

Spotkali się we śnie - był tego pewien. Elphame słyszała jego głos, czuła, jak otula ją skrzydłami, jak ją pieści. Rozpoznała go. Nie do końca, ale jedną rzecz już wiedziała. Słyszał przecież, jak

powiedziała:

- On ma skrzydła!

Jej głos nadal dźwięczał w uszach. Budził radość i nadzieję. Sprawiał, że ból stawał się łatwiejszy do zniesienia.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Okruchy tego snu towarzyszyły jej przez cały ranek, a nawet jeszcze po południu Elphame

przylapywała się na tym, że nagle, tracąc poczucie rzeczywistości, zaczynała wpatrywać się w dal. I

przypominać sobie pieszczoty zabarwionej szkarłatem mgły. Śniła na jawie, na ziemię sprowadzał ją

zwykle głos któregoś z robotników. Jak teraz, kiedy nagle do jej uszu dotarły czyjeś słowa:

- Moim zdaniem tak to właśnie wygląda, milady.

- Przepraszam, myślami byłam gdzie indziej. A więc, czy da się to naprawić? - spytała, zła na siebie, że znów miała głowę w chmurach. Choć przecież był to tylko sen, czy nie głupio tak tym się

przejmować?

- Jak powiedziałem, milady, roboty będzie sporo, ale myślę, że spróbować warto.

Miody, barczysty mężczyzna o dużych spracowanych rękach i ogorzałej twarzy nie odrywał swoich brązowych oczu od fontanny.

- Najpierw trzeba odetkać główną studnię w zamku, już zajęliśmy się tym. Kiedy ją odetkamy, woda popłynie i do kuchni, i do fontanny. Chyba, że rury są nie w porządku, trzeba będzie je sprawdzić.



- Dobrze. Dziękuję.

Mężczyzna skłonił się i odszedł, a Elphame spojrzała na rzeźbę pięknej młodej dziewczyny, tak do niej podobnej. Basen został już oczyszczony, pozostało tylko doprowadzenie do porządku rzeźby, co wzięła na siebie Elphame. Danann zalecił użyć piasku, wody z mydłem i szczotki ryżowej, czyli tę samą metodę, jaką stosowało kilka kobiet, które stały na szczycie naprędcie wzniesionego rusztowania

i czyściły kolumny wokół dziedzińca. Pracowały z zapalem, jednocześnie usta im się nie zamykały. Z dachu dobiegał łomot, jako że rozpoczęto już jego naprawę. Jednym słowem, zamkowy dziedziniec tętnił życiem.

- Mam na twoim punkcie prawdziwą obsesję - szepnęła cicho Elphame do jasnej, kremowej twarzy z marmuru, z której usunięto już brud. - Może z tego powodu zaniedbuję coś innego, bardzo istotnego, ale trudno. Nie wiem, dlaczego, ale ty jesteś dla mnie najważniejsza...

- Bardzo dobrze, że milady rozmawia z kamieniem. Elphame drgnęła. Nie słyszała, kiedy Danann podszedł

do niej, zrobił to bezszelestnie jak Łowczyni. Elphame nie potrafiła ocenić, które z nich jest w tym lepsze, wiadomo było tylko, że pod tym względem oboje jednakowo działają jej na nerwy.

Dotknęła lekko marmurowego policzka rzeźby i zwróciła się twarzą do starego centaura.

- Do niej wcale nie jest trudno przemawiać. Wygląda przecież jak żywa. W tej fontannie w ogóle coś jest, jak i w całym dziedzińcu. Coś, co musi być bardzo ważne dla mnie. Zdaję sobie sprawę, że powinnam zająć się jeszcze czymś innym, ale ciągnie mnie tutaj, do serca tego zamku. Czuję, że nie zaznam spokoju, dopóki tutaj właśnie nie powróci życie.

- Serce... powróci życie... - powtórzył z wolna stary Danann. - Ciekawe. Kiedy mówi się o budowie nowego domu czy odbudowie starego, raczej nie używa się słów, które zwykle stosuje się w odniesieniu do istot żywych, oddychających. Czy milady może mi zdradzić, dlaczego to robi?

Spojrzenie Elphame powróciło do twarzy jej przodkini.

- To proste. Dla mnie ten zamek to też istota żywa, a nie stos kamieni i przegniłych desek.

Pomyślała, że może warto temu staremu centaurowi opowiedzieć o spotkaniu z duchem MacCallana.

Powstrzymała się jednak, przez lojalność wobec brata. On bezwzględnie powinien być pierwszą osobą, która się o tym dowie.

- Rozumiem, Bogini. Jesteś związana z tym zamkiem.

- Tak. Dla mnie to coś nowego. Nigdy dotąd nie czułam się tak związana z jakimś miejscem.

- To dlatego, Bogini, że zanim tu przybyłaś, byłaś zbyt zajęta swoim młodym życiem, by poczuć magię, która cię otacza.

- Czyli jestem głupia? Płytką?

Wypadło to trochę szorstko. Stary Danann uśmiechnął się.

- Wcale nie, Bogini. Większość ludzi w Partholonie

żyje dniem dzisiejszym, a ty nie. Nie należysz do tej większości. Jesteś inna.

Bogini... Elphame nie znosiła, kiedy ktoś tak się do niej zwracał. Ale w ustach Mistrza Kamieniarza

nie drażniło, nie brzmiało jak tytuł, raczej jak wyraz wielkiego oddania. Co powiedzieć teraz staremu człowiekowi? Z tym miała nie lada kłopot. Od dawien dawna Elphame miała dwa najgorętsze

pragnienia. Być podobną do pozostałych ludzi w Partholonie, jednocześnie jednak obdarzoną jakimś

rodzajem magii. Niestety, po tym, co powiedział Danann, nasuwał się tylko jeden wniosek. Jedno wy-

klucza drugie.

Elphame westchnęła.

- Trudno to zrozumieć.

- Tak. Tym, którzy zetknęli się już ze światem, często trudno to pojąć - powiedział Danann, po czym zamilkł i zaczął z wielką uwagą przyglądać się częściowo już odnowionej rzeźbie.

- Ale ja chciałabym wiedzieć więcej - powiedziała Elphame, bojąc się, że stary centaur nie zamierza już powiedzieć niczego więcej. - Nauczysz mnie, Danannie?

- Nauczyć? - Danann spojrział na nią. - A w Świątyni Muzy nie nauczyli cię, jak otworzyć się na duchy

ziemi?

- Nie.

- Ale ja nie jestem nauczycielem ani szamanem. Nie potrafię uczyć, posiadam tylko dar słyszenia duchów ziemi, szczególnie tych, które mieszkają w kamieniu.

Na twarzy Elphame już było widać rozczarowanie, choć centaur jeszcze nie skończył.

- Nie potrafię instruować, mogę tylko posłużyć jako przewodnik.

- Och, Danannie... - Rozpromieniona Elphame odruchowo wzięła w dłonie obie sękatę, spracowane ręce

Dananna i mocno je ścisnęła. - Dziękuję, bardzo ci dziękuję.

- Trudno odmówić tak zachwycającej uczennicy! - powiedział Danann szarmancko. - A więc... może zrobisz sobie przerwę w pracy. Przejdziemy się trochę. Moje stare kości sztywnieją, kiedy za długo stoję w jednym miejscu.

- Naturalnie! A dokąd pójdziemy?

- Tego jeszcze nie wiem. Pozwól, Bogini, żeby duchy cię poprowadziły. Pójdziemy za nimi.

Elphame na moment sposepniała. Mają ją poprowadzić duchy? Czy to w ogóle możliwe? Chyba tak, bo Mistrz Kamieniarz patrzył na nią spokojnym, jasnym wzrokiem, jakby nie miał najmniejszych wątpliwości, że duchy zawołają Elphame po imieniu i podpowiedzą jej, w którą stronę ma iść. Skoro tak, nie ma co się wahać. Elphame skupiła się więc na otaczających ją kamieniach. I nic. Owszem, czuła w sobie błogi spokój i zadowolenie, ale tak było od pierwszej chwili jej pobytu na zamku MacCallana. Teraz jednak nie usłyszała żadnego głosu, wzywającego do udania się w tę czy tamtą stronę.

- Ja nie potrafię...

- Bo za bardzo się starasz, Bogini - stwierdził Danann spokojnym głosem. - Nic na siłę. Po prostu

otwórz się na głos duchów i idź. One cię poprowadzą, ale tylko wtedy, gdy nie będziesz natarczywa i nie będziesz próbowała niczego na nich wymusić.

- Mam się otworzyć? - spytała Elphame. Czuła się teraz jak skończony głupek, na szczęście stary centaur nie okazał zniecierpliwienia, tylko przekazał następną instrukcję.

- Trzy razy głęboki wdech i przestań myśleć.

Elphame, wyjątkowo chętna uczennica, zrobiła trzykrotnie głęboki, oczyszczający wdech i postarała się o pustkę w swojej głowie. Kazała tylko swoim nogom iść

i razem z centaurem wyszła z dziedzińca. Najpierw skierowała swoje kroki do zamkowych kuchni, ale

kiedy dotarła do korytarza przy wielkiej sali zamkowej, coś jej podpowiedziało, że powinna teraz skrócić w prawo, oddalać się od tych rejonów zamku, gdzie są ludzie, gdzie słyhać krzątanie i gwar.

Z tyłu, tuż za sobą usłyszała cichy głos Dananna:

- Pamiętaj, że cały świat dookoła nas ma duszę. Wszystko, od kamieni w murach twego zamku począwszy po wody morza, które jest od nas tak daleko. Cała ziemia ma duszę i wszystko na niej.

Dusza to życie, to nabieranie powietrza. A często czekanie na kogoś, kto potrafi uspokoić twój umysł do takiego stopnia, że usłyszysz w nim wiele, wiele głosów.

Elphame szła tam, dokąd prowadziła ją jakaś wewnętrzna, milcząca siła. Wyszła z wielkiej sali zamkowej przez gotyckie odrzwia na wewnętrzny dziedziniec, o wiele mniejszy od głównego dziedzińca, na którym stała fontanna. Przystanąła i rozejrzała się z ciekawością dookoła. Nie przypominała sobie, żeby byli tu podczas krótkiego obchodu po zamku tuż po przyjeździe. Na tym dziedzińcu też w górze widać było niebo, ale nie dlatego, że dach spłonął. Ten dziedziniec nie był zadaszony, nie miał też posadzki, tylko dywan ze zdiczalej trawy, wysokiej prawie do kolan. Było tu kilka wejść, między innymi strome kamienne schody, prowadzące na górę, gdzie, jak zdołała dostrzec z dołu, był wielki pokój z niskim sufitem, z którego zapewne kiedyś wychodziło się na dach zamku i

ganek dla straży na zamkowych murach - zanim pożar nie zniszczył zamku. Teraz była to jedna wielka ruina. Elphame domyślała się, że w tej sali kwaterowali wojownicy. Ci, którzy tu mieszkali, bronili zamku i tu zakończyli życie...

Coś przyciągało wzrok Elphame do kamiennych schodów. Nogi same ją poniosły w tamtą stronę. Czyżby wzywały ją duchy kamienia, z którego zbudowane są te schody? Może i tak. Szła, trawa cicho szeleściła pod jej kopytami.

Na kilka kroków przed schodami przystanęła, czując, jak nagle ogarnia ją wielki smutek. Tak wielki, przytłaczający, że w jej oczach zakręciły się łzy. Na szczęście był z nią Danann, jego obecność była jej teraz ogromnie potrzebna.

- Oddychaj, Elphame - powiedział półgłosem, pojawiając się u jej boku. - Świat natury to świat żywy,

świat mocy, przekazu, porad i mądrości. Wcale nie chce cię skrzywdzić, lecz próbuje z tobą porozmawiać. Uspokój swój umysł i słuchaj.

Elphame po raz kolejny nabrała głęboko powietrza, kiedy robiła wydech, niepokój znikł. Wyteżyła słuch.

- Chodźcie tu, tchórze przeklęte!

Ten głos rozpoznała od razu, słyszała go przecież poprzedniego dnia, wieczorem. Teraz też usłyszała, to był ten krzyk. Mały dziedziniec zakołysał się, nagle przed jej oczami zrobiło się bardzo jasno, jakby ktoś nagle zapalił pochodnię. I w tej jasności zaczęły przesuwać się obrazy przeszłości.

Przed kamiennymi schodami stał MacCallan, otoczony przez ludzi. Nie, nie ludzi, lecz przerażające uskrzydłone istoty. Krew tryskała z otwartych ran na ramionach MacCallana, na jego rękach, ale ręce te nadal dzierżyły miecz. Obracały nim, wymachiwały na wszystkie strony. U jego stóp leżało dwóch napastników, bez głów. Ofiary jego siły. Uskrzydleni napastnicy, wydając groźne dźwięki, otaczali go, zachowując bezpieczną odległość. Stali tam, gdzie jego miecz nie mógł ich dosięgnąć.

- Chodźcie tu, tchórze przeklęte!

Po raz drugi wykrzyczał swoje wyzwanie. A uskrzydłonych napastników wokół niego było coraz

więcej, już dwudziestu, stali z rozłożonymi skrzydłami, ich zakrwawione usta wykrzywione były w szyderczym uśmiechu.

Elphame słyszała swój przyspieszony, głośny oddech, słyszała, jak jej serce zaczyna bić jak oszalałe. Napastnicy zacieśniali krąg, zbliżając się nieuchronnie do MacCal-lana. Ale on był nieugięty, nieulękły. Jego ruchy były pewne, spokojne. Miecz przeciął powietrze jeszcze trzykrotnie, trzech napastników, jeden pod drugim, upadło na ziemię. Ale dłużej nie udało ich się powstrzymać. Dopadli go. Dopadły go ich kły. Zaczął walczyć pięściami, ociekającymi krwią. Tyle krwi...

Nawet kiedy padł na kolana, nie wydał z siebie ani jednego krzyku. Nadal walczył zaciekle, ale Elphame nie była już w stanie dalej patrzeć. Zdawała sobie sprawę, że to zwidy przeszłości. Krwawej,

okrutnej, ale przeszłości. Ta przeszłość jednak przed jej oczami wydawała się taka rzeczywista.

Przecież wczoraj wieczorem rozmawiała z MacCallanem, zapamiętała jego lekko zachrypnięty, miły głos, jego ciepłe spojrzenie...

Kiedy padał na kolana, ona, łkając, zakryła twarz rękami i też padła na kolana.

W chwili, gdy jej kolana dotknęły zielonej trawy, odgłosy walki ucichły. Usłyszała cichy głos Dananna, który przywracał ją rzeczywistości.

- Nie bez powodu byłaś świadkiem wydarzeń z przeszłości, Bogini. Zachowaj spokój, słuchaj dalej.

Nie pozwól, żeby duchy przemawiały nadaremnie.

Elphame, próbując uspokoić swoje rozdygotane ciało, opuściła ręce, odsłaniając twarz. Otworzyła oczy. Wiosenny dzień był taki piękny. Działaczynie zalany słońcem,

żadnych duchów przeszłości, walczących do ostatniej kropli krwi. Otarła ręką oczy, starając się zebrać myśli. Ale przed oczami nadal miała obraz szlachetnego Przywódcy Klanu. Tylko to, żadnej

racjonalnej myśli czy wniosku. Może więc niepotrzebnie widziała jego śmierć? Niepotrzebnie, bo jest

głupia, niedoświadczona i nie potrafi zrozumieć przesłania świata duchów.

Zawstydzona, zagryzła wargi i opuściła głowę. Wśród trawy i chwastów coś błysnęło w słońcu. Co

to

jest? Elphame, wstrzymując oddech, nachyliła się i odszukała w trawie niewielki, metalowy przedmiot. Okrągłą broszę, zaśnieżoną, oblepioną ziemią, ale i tak nic nie zdołało zatrzeć piękna wizerunku wspinającej się klaczy na srebrnym polu.

- Brosza MacCallana - powiedział Danann, pochylając się, żeby przyjrzeć się znalezisku z bliska. -

Dlatego duchy przyprowadziły cię tutaj. Chciały, żebyś to znalazła. Strzeż tej broszy jak największego skarbu. Sam Mac-Callan ci ją podarował.

Palce Elphame ostrożnie musnęły srebrny krążek, w uszach zadźwięczały słowa MacCallana.

- Kiedyś byłem Przywódcą Klanu, dziewczyno. Teraz jesteś nim ty!

Wyglądało na to, że duch MacCallana naprawdę witają tu z radością, wyczuwała to w ciepłe srebrnej

broszy, którą bezwiednie wciąż obracała w palcach, kiedy razem z Danannem wracali na główny dziedziniec. Danann się nie spieszył, szedł powoli, Elphame dostosowała do niego swój krok. Stary centaur wyraźnie chciał, żeby otrząsnęła się po mocnych przeżyciach. Odezwał się dopiero tuż przed wejściem na tętniący życiem dziedziniec.

- Na pewno nie było to dla ciebie łatwe przeżycie, Bogini.

Elphame spojrzała na broszę. Nie, nie było łatwe. Ona nadal nie mogła dojść do siebie.

- Dlatego teraz - ciągnął centaur - musisz się wzmocnić. Zjeść coś, napić się. Odwiedziłaś świat duchów, teraz musisz mocno odczuć, że wróciłaś do siebie, do świata żywych, a najlepszym sposobem jest napełnienie żołądka.

- Dobrze... Ale to było straszne... - szepnęła Elphame zdławionym głosem. - Widziałam, jak umiera.

- To było ponad sto lat temu. Postaraj się zapomnieć, co było straszne i ciesz się darem, jaki otrzymałaś.

Elphame jednak zdecydowanie wolałaby zostać obdarowana bez oglądania, jak Przywódca Klanu MacCallanów zostaje zamordowany przez demony. Stary centaur, jakby odgadując jej myśli,

uśmiechnął się i poklepał ją po ramieniu.

- Nie bez powodu widziałaś jego śmierć. Po jakimś czasie to zrozumiesz, teraz ciesz się darem. A ja już się pożegnam. Przywieziono kamienie, muszę dopilnować wyładunku.

- Dziękuję, Danannie, że zechciałeś mnie tylu nowych rzeczy nauczyć.

- Nie nauczyłem, tylko pokierowałem tobą, Bogini. A na koniec dam ci jeszcze jedną radę. Dziś wieczorem koniecznie zrób coś, co sprawi ci wielką przyjemność. Ci, którzy słuchają duchów, zbyt często zapominają o swoim własnym życiu. Pamiętaj, że wszędzie są duchy, w ziemi i na ziemi, ale to

wcale nie znaczy, że ziemia jest jednym wielkim grobowcem. Ciesz się pełnią życia, Bogini, a nie obrazami śmierci.

Stary centaur skłonił się i odszedł.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- To znaczy, gdzie ją znalazłaś? - dopytywał się Cuchulainn, oglądając z wielkim zaciekawieniem broszę z wizerunkiem wspinającej się klaczy, herbem Klanu MacCallanów.

- Przed kamiennymi schodami, które moim zdaniem prowadzą do dawnej kwatery wojowników.

O swojej wizji, która doprowadziła ją do broszy, El nie powiedziała bratu. Dlaczego? Tego właściwie

sama nie wiedziała, choć na pewno jednym z powodów był fakt, że patrzenie na śmierć przywódcy

Klanu MacCallanów było dla niej wyjątkowo mocnym, bardzo osobistym przeżyciem. Czymś, co związało ją bardzo mocno z przeszłością

tego zamku. Poza tym, choć swego brata darzyła wielką siostrzaną miłością i była wobec niego bardzo

lojalna - tak samo jak on wobec niej - różniła się od niego bardzo, chociażby właśnie w kwestii

duchów. Elphame szanowała przeszłość, w końcu nawiązała kontakt ze światem duchów, a

Cuchulainn, wojownik, wcale o tym nie marzył. Zył tu i teraz. Do wszystkiego, czego nie rozumiał,

czego nie mógł pokonać pięściami i orężem, podchodził bardzo nieufnie. Gdyby El powiedziała mu o



swojej wizji, zaczęłyby wszystko analizować, dokładnie, aż do znudzenia, albo w ogóle uznałyby to za niemożliwe. Wcale nie miała ochoty tego wszystkiego wysłuchiwać, przynajmniej teraz, kiedy ona tak do końca jeszcze się z tego nie otrząsnęła. W rezultacie Cuchulainn jeszcze nie wiedział ani o wizji, ani o spotkaniu siostry z duchem MacCallana.

- Popatrz, Cu, jak tu już się zmieniło. Wspaniale, prawda? - spytała, pragnąc odwrócić uwagę brata od broszy. Chociaż jej słowa zachwyty były absolutnie szczerze.

O zmierzchu ona i Cu spotkali się, żeby razem sprawdzić, jak postępuje robota. El była bardzo zadowolona, kiedy przekonała się, że tereny na południe od zamku zostały już prawie całkowicie uprzątnięte. Cuchulainn zapewnił ją, że następnego dnia wieczorem mogą już tam rozłożyć się obozem, a nie koczować w Loth Tor.

Wielkie kolumny, otaczające główny dziedziniec, zostały już do połowy oczyszczone. Górna połowa, pokryta zawilym ornamentem, odzyskała już kremowy kolor i stanowiła wielki kontrast z dolną połową, jeszcze nie oczyszczoną. Szczególne zainteresowanie starymi kolumnami wykazywała Brenna, to ona nadzorowała kobiety, które je czyściły. Elphame i Cuchulainn nie mogli się nachwalić wykonanej roboty, a mała Uzdrowicielka promieniała z zadowolenia.

Teraz rodzeństwo stało w korytarzu, tuż przed wejściem do kuchni, która w ciągu tych dwóch dni zmieniła się nie do poznania.

- O, jak to miło, że milady zajrzała do nas! - Wynne podeszła do Elphame i dygnęła, zerkając jednocześnie na przystojnego brata bogini. - Ciebie też miło powitać, wojowniku!

Cu, wiadomo, od razu przeszedł metamorfozę. Troskliwy brat znikł, pojawił się uwodziciel.

- Spotkanie tak pięknej damy jest zawsze ogromną przyjemnością, Wynne... - zaczął, ale Elphame, z obawy, że flirt się przeciągnie, bez żadnych ceregieli przerwała bratu:

- Nie do wiary, ile zrobiono w tak krótkim czasie. To zupełnie inna kuchnia!

Wielkie paleniska i piece kuchenne, po usunięciu dzikich lokatorów, wyszorowano, skruszałe kamienie zastąpiono nowymi. Teraz kobiety szorowały z zapalem ściany w szafach i szafkach,

imponującej wielkości stół na środku i kamienną posadzkę.

- Wynne! Mamy już wodę! - zawołała jedna z pomocnic i natychmiast przystąpiła do demonstracji.

Zaczęła pompować z zapalem, a wszyscy patrzyli jak zafascynowani, kiedy do marmurowego zlewu najpierw leci woda mętna, stopniowo jaśnieje i wreszcie popłynęła struga klarownej, czyściutkiej wody.

- Milady! Jutro wieczorem będzie prawdziwa ucza, a wszystko, co podamy na stół, będzie przyrządzone tutaj, w kuchniach zamku MacCallana! - oznajmiła z dumą Wynne.

- Cudownie, Wynne. Jestem bardzo szczęśliwa.

Ładniutka kucharka uśmiechnęła się z zadowoleniem, dygnęła i wróciła do swoich obowiązków. A rodzeństwo opuściło kuchnię i skierowało się ku frontowi zamku.

- Wygląda na to, że nasza Łowczyni zaczęła zarabiać na swoje utrzymanie! - rzucił zjadliwie Cu. Czyli niestety, Brighid nadal nie była jego ulubienicą.

- Owszem - przytaknęła Elphame. - Powiedziała, że nie możemy ludzi z Loth Tor pozbawiać wszystkich ich zapasów i dziś po południu wyruszyła na polowanie.

Cuchulainn tylko chrząknął.

- Cu, dlaczego ty nadal nie możesz przekonać się do Brighid? Dla mnie jest to bardzo dziwne, przecież przepadasz za pięknymi istotami płci żeńskiej! A ona jest taka piękna.

- Owszem, niebrzydka. Wie o tym i dlatego jest taka zuchwała! Poza tym ja nadal jej nie ufam!

- Przede wszystkim, mój drogi, nie podoba ci się, że ona nie robi do ciebie słodkich oczu!

Cu wzruszył ramionami, ale niespodziewanie przyznał siostrze rację.

- Może coś w tym jest. Bo dla mnie to bardzo nietypowa sytuacja.

Poruszył zabawnie brwiami. Elphame roześmiała się.

- Ale dajmy już spokój Łowczyni - powiedział Cuchulainn. - Pogadajmy o tej broszy MacCallana.

Opowiedz mi dokładnie, jakim cudem stałaś się jej właścicielką.

Na szczęście nie musiała niczego opowiadać, ponieważ wchodzili już na główny dziedziniec, a tam

powitał ich podekscytowany głos Brenny:

- Elphame, Elphame! Spójrz na swoją fontannę!

- Cu! Ona działa! - zawołała z zachwytem El. Chwyciła brata za rękę i pociągnęła go na środek dziedzińca,

gdzie stała grupka kobiet i mężczyzn, podziwiająca fontannę. Z dzbana Rhiannon z cichym szmerem wypływała woda i zaczynała napełniać basen. Jeszcze mętna, powoli jednak stawała się coraz bardziej

klarowna, aż zaiskrzyła się w słońcu.

- Wspaniale, El - powiedział Cuchulainn. Objął siostrę ramieniem i uściskał, jak brat.

- Ja też tak uważam - powiedziała uśmiechnięta od ucha do ucha Brenna, pojawiając się u boku Elphame.

A Elphame nie powiedziała nic, tak bardzo była wzruszona. Przez tyle lat bardzo boleśnie odczuwała brak konkretnego celu w życiu, a tu nagle jej marzenia się spełniają. Aż bała się w to uwierzyć - bała się, że rzuci jakiś urok i okaże się, że wszystko zniknie, jak mgła.

Sen, mgła... Nagle w pamięci ożył tamten sen. Przed oczyma pojawiła się tamta szkarłatna mgła, w głowie lekko się jej zakręciło. Poczuli się bardzo podobnie jak wtedy, kiedy miała wizję o śmierci MacCallana. Szybko więc potrząsnęła głową, żeby pozbyć się tego obrazu, tego dziwnego oszołomienia w głowie. Czuli na sobie pełen niepokoju wzrok brata, dlatego starała się na niego nie patrzeć.

- Myślę, że na dziś wystarczy - oznajmił nagle Cuchulainn i wydał polecenie jednemu z mężczyzn: - Dermot, przekaż wszystkim, że pora już wracać do Loth Tor.

- Tak, milordzie. - Dermot skwapliwie kiwnął głową.

Po chwili kobiety i mężczyźni, pracujący na dziedzińcu, przerwali robotę. Kubły i miotły poustawiali w jednym miejscu, porozwieszali szmaty na rusztowaniu, żeby przez noc wyschły, i poszli sobie. Kolo

fontanny została tylko Elphame, Cu i Uzdrowicielka.

- El, jak ty się czujesz? - spytał Cuchulainn. Elphame nagle odzyskała głos.

- Ja? Znakomicie!

- Ale jesteś blada - powiedziała Uzdrowicielka, wpatrując się w nią z wielką uwagą.

A Elphame, nie patrząc ani na brata, ani na Uzdrowicielkę, wyznała im:

- Przeżywam to, po prostu. Moje marzenia się spełniają, nic dziwnego, że staję się trochę...  
sentymentalna.

Cuchulainn chrząknął.

- Ile ty masz lat, siostrze? Mówisz jak małe dziewczątko.

Jego żarcik dobrze wpłynął na Elphame.

- A czy ja nie jestem małe dziewczątko? - zapytała z przekornym uśmiechem.

Brenna nie dała się jednak zwieść uśmiechowi i żarcikom.

- Elphame, myślę, że twój brat ma rację. Na dziś wystarczy. Teraz powinnaś porządnie się najeść i  
wyspać, zebrać siły przed jutrzejszym dniem. Zaparzę ci specjalną herbatę, po której się odprężysz,  
poza tym ona uśmierza ból w mięśniach...

- A mnie nic nie... ojej!

El jęknęła cicho, kiedy Brenna stuknęła ją żartobliwie w łopatkę, po czym stwierdziła z satysfakcją:

- A jednak. Cuchulainn zaśmiał się.

- Ty się lepiej jej nie sprzeciwiaj! - poradził siostrze. - Ona bardzo przypomina naszą Matkę.

- Dla ciebie też zaparzę herbatkę - powiedziała Brenna ostrym głosem.

- A do jakiego stopnia będzie obrzydliwa? - spytał. Podobało mu się, że Brenna rozmawia z nim  
swobodnie, tak jak z jego siostrą. Wcale nie pochyla głowy, nie szepcze czegoś tam do swojego  
ramienia.

- Jestem Uzdrowicielką, a nie kucharką!

Brenna spojrzała na Cuchulainna karcąco i nagle uświadomiła sobie, że przekomarza się z

przystojnym wojownikiem. Natychmiast poczuła na policzkach zdradliwe ciepło. Zarumieniła się, a w

jej przypadku rumieniec pojawiał się tylko na jednym, zdrowym policzku, na drugim trwały różowe blizny i to wszystko razem było straszne.

- Pójdę już - bąknęła. - Ja... muszę narwać ziół. Opuściła głowę i wyszła szybko z dziedzińca.

Cuchulainn odprowadził ją wzrokiem.

- El, dlaczego ona tak dziwnie się zachowuje?

- Nie udawaj, że nie wiesz.

- Chodzi ci, oczywiście, o te blizny? Trudno, są. Ja, kiedy patrzę na nią, wcale nie czuję odrazy. Bo niby dlaczego?

- Ale na tobie, Cu, świat się nie kończy. Brenna nie zwierzała mi się, domyślam się jednak, że wielu ludzi traktowało ją okropnie. Podejrzewam, że wiele przykrości doznała ze strony mężczyzn, zwłaszcza przystojnych.

- Niech no tylko ktokolwiek tu spróbuje, a będzie miał ze mną do czynienia! - oświadczył Cuchulainn zapalczywie. - Mężczyźni już o tym wiedzą.

- Naprawdę?

- Oczywiście! Ona jest twoją przyjaciółką i wszyscy mają ją szanować - powiedział, cały czas spoglądając tam, gdzie znikła Brenna.

Elphame nigdy dotąd nie widziała, żeby brat reagował tak gwałtownie w przypadku kobiety spoza rodzinnego grona. Czyżby zaczynało mu zależeć na Brennie? Jak to możliwe?

Jak to możliwe... Elphame poczuła, że ze wstydu cała w środku płonie. Jak mogła tak pomyśleć!

Oczywiście, że

jest to możliwe. Cuchulainnowi może zależeć na Brennie. Cuchulainn jest przystojny, hojnie

obdarowany przez naturę, ale wcale nie jest człowiekiem płytkim i lekkomyślnym, mającym innych

za nic. A Brenna jest niedużą, bardzo ładną osobką, której zdarzyło się mieć kilka blizn. Elphame była pewna, że jej brat, patrząc na Brennę, dostrzega coś więcej oprócz tych blizn. Uśmiechnęła się

do

niego ciepłutko.

- Dzięki, że o się o nią troszczysz, Cu.

- Nie musisz mi dziękować. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej!

Słowa siostry trochę zbiły go z tropu, dlatego zabrzmiało to ostrzej niżby sobie tego życzył. Dlatego uśmiechnął się do siostry przeprasząco i powiedział:

- Chodźmy, El. Brenna czeka z tą herbatą, na pewno będzie się niepokoić, że tak długo nie przychodzimy.

Brat i siostra, oboje zajęci swoimi własnymi myślami, w milczeniu przeszli przez dziedziniec i przez puste odrzwia w wewnętrznych murach zamkowych. Potem, idąc przez bramę zamkową, dołączyli do strumienia robotników, nadciągających z różnych miejsc w zamku. Wszyscy z wielkim szacunkiem skłaniali głowę przed Elphame i jej bratem. Ale szacunek szacunkiem, dla Elphame najistotniejsze było to, że kilku z nich, witając ją, zwróciło się do niej po imieniu.

- Żelazo na nową bramę mają przywieźć jeszcze przed nowiem - powiedział Cu, kiedy wychodzili z zamku.

- To dobrze.

Elphame przystanęła i obejrzała się.

- Wystarczy, że spojrzysz na ten zamek, a już czujesz się szczęśliwa, prawda, El? - spytał Cuchulainn.

W jego głosie słychać było śmiech.

- Tak-odparła.- Z tym, że jest jeszcze coś innego, co mnie uszczęśliwia.

- Co?

- Bieganie! Przecież wiesz! A ja po wyjeździe ze świątyni jeszcze ani razu sobie nie pobiegałam! Cu, ja już nie wytrzymam, muszę dziś sobie trochę pobiegać. Zaraz!

- El, nie znasz tej okolicy! Jeśli koniecznie musisz to zrobić, pobiegaj sobie drogą z zamku do wioski.

El pokręciła przecząco głową. Drogą? Nigdy. Tam w każdej chwili ktoś może ją zobaczyć. Ona jest

taka szczęśliwa, że ludzie tutaj zaczynają ją akceptować, ale jeśli ktokolwiek zobaczy, jaką prędkość potrafi rozwinąć Elphame, wszyscy bez wyjątku będą uważać ją tylko za boginię.

Elphame spojrzała w lewo, spojrzała w prawo i uśmiechnęła się.

- Już wiem! Pobiegnę sobie po klifie. Las kończy się kilka metrów od brzegu, poza tym tu brzeg jest prosty, bez żadnych zatoczek, będę więc dobrze widziała, co mam przed sobą. Jedyne, na co będę musiała uważać, to kamienie.

- Nie podoba mi się pomysł, El, że będziesz poza zamkiem, sama. Wezmę konia i pojedę za tobą.

- Cuchulainnie, czy to przypadkiem nie ty mówiłaś mi wczoraj wieczorem, że koniec z obsesją na temat mojego bezpieczeństwa? - powiedziała ostro, starając się stłumić w sobie poczucie winy. Kłóci

się z nim, a w końcu to ona przecież nie jest wobec niego w porządku, skoro tyle przed nim zataiła. - Mam przy sobie twój sztylet. Może to cię uspokoi. Poza tym jest jeszcze jasno. Obiecuję, że przed zachodem słońca będę już w Loth Tor, delektując się herbatką Brenny.

- Ale i tak to mi się nie podoba.

- Boisz się, że zabłądzę?

- Po prostu mi się to nie podoba.

- Cu, nie zachowuj się jak Mama. Cu sposepniał.

- No dobrze. Twoje szczęście, że nie jestem naszą Matką!

Elphame uśmiechnęła się szeroko. Cuchulainn westchnął. Głęboko.

- Ale pamiętaj, przed zachodem słońca masz być z powrotem. Masz już siedzieć koło mnie i pić herbatkę naszej Uzdrowicielki, a nie stać gdzieś tam na klifie i zastanawiać się, w którą stronę pobiec...

- Dobrze, dobrze! - przerwała niecierpliwie. Uścisnęła go, cmoknęła w policzek. Odbiegając, rzuciła jeszcze przez ramię: - Kiedy mnie nie będzie, pilnuj Brenny! Jak oka w głowie!

Zaśmiała się i przyspieszyła, żeby wiatr połknął odpowiedź Cuchulainna, zanim dotrze do jej uszu.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Elphame obiegła z jednej strony zamek MacCallana, zbudowany na kawałku twardego gruntu, wystającym wysoko ponad linią brzegową Morza B'an i pobiegła dalej brzegiem klifu, na północ. Tu, podobnie jak na południe od zamku, las dochodził prawie do brzegu. Zamek MacCallana stał więc na swego rodzaju wyspie, z jednej strony miał morze, a z trzech stron las. Stał tam, dumny, samotny i milczący.

Do czasu! Elphame uśmiechnęła się do wiatru, kiedy pomyślała, że kiedyś słyhać tam będzie radosne

głosy ludzi krzątających się wśród starych murów. Ludzi wykuwających tu swój los.

Jej ludzi. W jej zamku.

Kiedy była pewna, że nikt z zamku już jej nie zobaczy, przystanęła. Odwinęła z bioder spódnicę,

powiesiła ją na jednym z głazów i zabrała się za rozgrzewkę. Zrobiła kilka ćwiczeń rozciągających, by rozgrzać mięśnie nóg, mocno i z lubością wciągając przy tym w płuca pachnące solą morską

powietrze. W dole fale uderzały miarowo o podnóża przybrzeżnych skał. Słońce chyliło się ku szafirowi morza, niebo na zachodzie zaczynało pokrywać się wspaniałym rumieńcem wieczoru.

Jak tu pięknie... Elphame nie mogła się po prostu nadziwić - jak to było możliwe, że tak długo mieszkała gdzie indziej i nie widziała tego piękna?

Z rozciągniętymi mięśniami, rozgrzana, od razu pomknęła jak strzała. Biegła brzegiem klifu, bardzo szybko, ale z głową. Musiała przecież poznać wszystkie niespodzianki, jakie szykowała ta ziemia

biegaczce. A było tu całkiem inaczej niż na łąkach i polach koło Świątyni Epony. Musiała omijać okrągłe głazy, przeskakiwać przez kamienie, ale te dodatkowe ćwiczenia oznaczały dodatkową

przyjemność. Po prawej stronie ciągnął się las, po lewej szumiało morze. A przed nią wąska wstążka lądu, jakby stworzona właśnie dla niej.

Nachyliła się jeszcze bardziej do przodu i przyspieszyła. Jaki ten Danann mądry! Kazał jej koniecznie zrobić sobie jakąś przyjemność. I rzeczywiście, kiedy jej kopyta, miarowo uderzając o ziemię,



wystukiwały znajomy rytm, czuła, jak znika napięcie kilku ostatnich dni. Kiedy poczuła znajome pieczenie w mięśniach, poczuła się jeszcze lepiej, przyspieszyła jeszcze bardziej, czerpiąc garściami z ogromnego zapasu swoich sił.

Przed sobą zobaczyła szeroki strumień, wypływający z lasu. Docierał do brzegu urwiska i wspaniałą kaskadą

białej wody opadał do morza. Elphame na moment zwolniła, podejmując w duchu decyzję.

Zadecydowała na „tak” i skręciła w las. Kochała morze, kochała szum fal, ale ten las po prostu ją do siebie zapraszał.

Biegła wzdłuż strumienia, po ziemi porośniętej młodym mchem, zasłanym grubą warstwą sosnowych igieł. Chrzęściły cichutko pod kopytami Elphame wybijającymi pełen satysfakcji rytm, kiedy zagłębiała się coraz bardziej w las. Coraz bardziej gęsty, drzewa coraz wyższe. Stare sosny były tak wysokie, że ich dolne gałęzie zaczynały się dopiero na wysokości głowy rosnącego mężczyzny.

Ogromne drzewa oszałamiały ją i zachwycały. Były o wiele piękniejsze niż starannie pielęgnowane wierzby i klony, rosnące wokół świątyni jej Matki. Tym sosnom tutaj nikt nie przeszkadzał, same nadawały sobie kształt. Piękne i nieujarzmione. Jak wszystko tu, gdzie Elphame znalazła wreszcie swoje miejsce na ziemi. Po raz pierwszy w życiu. Czuła się wolna, szczęśliwa, od tego wszystkiego aż

trochę zakręciło jej się w głowie...

Nie zauważyła jaru. Było za późno, żeby się zatrzymać. Ziemia nagle rozstąpiła się przed Elphame, runęła w dół, rozpaczliwie młócąc rękoma powietrze, żeby choć w minimalnym stopniu złapać równowagę. Spadała w dół, koziółkując. Nagle poczuła w boku ostry, przeszywający ból.

Instynktownie skuliła się, próbując osłonić urażone miejsce. Wtedy coś uderzyło ją w ramię, potem w

głowę. Potem pochłonęła ją ciemność.

Lochlan wyczuł, że Elphame upadła. Polował - głód był jedyną siłą, która odciągała go od nieustannego czuwania przy zamku. Niedaleko jego kryjówki przeszedł jelonek. Lochlan poszedł za

nim, zabił jedną strzałą, po czym zabrał się do krwawego dzieła oprawiania

zwierzyny. Robił to szybko, sprawnie, pewien, że zdąży wrócić pod zamek, żeby zobaczyć, jak Elphame po zachodzie słońca wychodzi przez zamkową bramę. Może znów pójdzie wykąpać się w jezioru? Skrzydła Lochlana natychmiast zadrżały. Nakazał im spokój, ale w głowie już odzywał się uporczywy ból.

Ten sen z ubiegłej nocy, przesycony napiętnością, nosił ze sobą przez cały długi dzień. Był zły na siebie. Przecież Elphame nie jest tylko obiektem pożądania, który chce się zdobyć i wykorzystać. Elphame, dziewczyna, która śni mu się od lat. Z tych snów dowiedział się, że Elphame jest miła, często zamyślona, zbyt często smutna. Elphame to Elphame, coś więcej niż ponętna, piękna istota płci żeńskiej z krwi i kości.

Z krwi... Jego skrzydła zadrżały ponownie.

Zaraz potem poczuł przeszywający ból w boku, coś uderzyło w ramię i w prawą skroń. Na moment zrobiło mu się słabo. Nóż, którym oprawiał jelonka, wysunął mu się z rąk. Złapał się za bok...

I już wiedział.

- Elphame!

Zawołał ją, nie dbając o to, że ktoś niepowołany może go usłyszeć. Wyczuwał przecież, że stało się coś strasznego. Elphame na pewno jest ranna, potrzebuje go. Dlatego przede wszystkim starał się zwalczyć panikę i pomyśleć jasno. Gdzie ona teraz może być? Jak do niej dotrzeć?

Wycisz się, posłuchaj swego serca. Ono ci podpowie.

Głos, bardzo podobny do głosu jego matki, odbił się echem w jego głowie. Jednocześnie czuł ból, ból

ran Elphame. Czy to znak, że ogarnia go szaleństwo? Nieważne. Niech ogarnia, jeśli zaprowadzi go do

niej. Jeśli ją odnajdzie. Przecież to ta myśl, tylko ta, przywiodła

go do Partholonu. Odnaleźć w ruinach starego zamku dziewczynę, którą znał od chwili jej narodzin,

patrzył, jak rośnie i dorasta. Dziewczyne, która jest jego przeznaczeniem. Wierzył w to głęboko.

Posłuchał serca. Podsunęło odpowiedź. Rozłożył skrzydła, dzięki którym mógł biec w ten wyjątkowy sposób, odziedziczony po ojcu. Szybując tuż nad ziemią. I pobiegł na północ.

Elphame, w chwili, gdy odzyskała przytomność, usłyszała dobiegający z oddali grzmot. I pomyślała, że z nią jest bardzo źle. Próbowwała ostrożnie przekręcić głowę, żeby oderwać twarz od ziemi, ale nie mogła. Przeszywający ból w prawej skroni był tak straszny, że omal nie zadławiła się własnym oddechem.

Odchrząknęła i w boku poczuła ogień.

Krzywiąc się z bólu, powoli uniosła powieki. W rozsadzanej bólem półprzytomnej głowie płatanina myśli, przede wszystkim pytanie - co się stało? Całym ciałem wstrząsnął dreszcz, w boku znów poczuła ogień. Obraz świata zamazywał się przed oczami, za wszelką cenę starała się jednak nie tracić przytomności. I dlaczego tak jej zimno? Dlaczego nogi są skostniałe, bez czucia. Sparaliżowało ją?!

Szybko spojrzała w dół. Tors wykrzywiony był w nienaturalny sposób, plecy wparte w brzeg strumienia, zarośniętego mchem. Od pasa w dół była w wodzie. W wodzie strumienia, wzdłuż którego biegła...

Biegła, tak. Pamięć wróciła. Biegła, bardzo szybko. Chwila nieuwagi i wpadła do jaru.

Cuchulainn ją zabije.

Ostrożnie wyciągnęła ręce przed siebie. Ból przeszył ramię. Skrzywiła się, ale konsekwentnie wyciągała ręce, okropnie teraz drżące, żeby dotknąć nóg. Na szczęście palce nie wymacały żadnych niebezpiecznych wypukłości na pokrytej sierścią nodze, świadczących o złamaniu. Znów wstrząsnął nią dreszcz, znów w boku odezwał się ból. Spojrzała tam. Ubranie w tym miejscu było rozerwane, przesiąknięte krwią. Rozchyliła wystrzępiony materiał i natychmiast odwróciła wzrok. Długa rana, biegnąca od pasa w górę, wyglądała koszmarnie. Elphame nigdy nie była szczególnie wrażliwa na widok krwi, ale nigdy dotąd nie widziała tyle krwi. Swojej własnej.

Zaciskając z bólu zęby przesunęła się kawałeczek dalej. Próbowwała wstać, wydostać się ze strumienia,

ale znów świat przed oczami stał się niewyraźny, zamazany. Czowała, że słabnie. Ciężko dysząc, osunęła

się z powrotem na brzeg. W głowie łupało, z prawej strony. Ostrożnie dotknęła bolącego miejsca i spojrzała na rękę. Była lepka, czerwona od krwi.

Wtedy usłyszała te dziwne dźwięki, jakieś pochrząkiwania, sapanie. Spojrzała na zbocze jaru po drugiej stronie strumienia. Nie było tak strome, jak zbocze tutaj, drzewa rosły tam już na samym brzegu, zasłanym kamieniami obrosłymi brązowawymi porostami. Zamrugła oczami i wytrzymała wzrok, próbując cokolwiek dojrzeć między drzewami. Bez skutku. A po niebie przetoczył się grzmot. Spojrzała w górę. Robiło się ciemno, nie była w stanie jednak stwierdzić, czy dlatego, że dzień miał się ku końcowi, czy dlatego, że nadchodziła burza.

Usłyszała trzask gałązek. Zaszleściło, jakby ktoś nadchodził. Ktoś duży, ciężki, poruszający się jednak bardzo zręcznie i szybko. Czyżby to Cu, który uznał, że nieobecność siostry trwa stanowczo zbyt długo?

Jakoś nie chciało jej się w to wierzyć, ale zawołała, niegłośno, bardzo ostrożnie:

- Cuchulainn? To ty?

Na moment zrobiło się cicho, potem znów pochrząkiwanie, tupanie, szelest. To coś wyraźnie zbliżało

się do niej. Było już bardzo blisko. Elphame najpierw zobaczyła między liśćmi czerwone oczy, zaraz potem spośród drzew wyskoczyła bestia.

Ogromny dzik, wytarzany w błocie, wyglądał przerażająco. Był ogromny, z korpusem wielkości korpusu dorosłego człowieka. Z pyska wystawały olbrzymie, wygięte w łuk kły.

Zwietrzył Elphame. Odślonił górną wargę i warknął, wypływając fontannę cuchnącej śliny. Małe oczka jarzyły się złym blaskiem.

Pochylił głowę, szykując się do ataku. Przerażona Elphame podciągnęła szybko swoje odrętwiałe z

zimna nogi, teraz ciężkie jak ołów. Jakimś cudem, wpierając się w brzeg strumienia, udało jej się wstać. Rozdygotane ręce sięgnęły do pochwy po sztylet, ale to się jej nie udało. Sztylet upadł na ziemię.

Dzik ruszył do ataku.

Elphame, zaciskając zęby, starała się rozpaczliwie odepchnąć od brzegu. Nadaremnie. Zdawała sobie

sprawę, że nie ma żadnych szans, że umrze. Dlatego zaczęła żarliwie się modlić:

- Epono, błagam, pomóż mi być dzielną...

- Nie! - Ktoś to krzyknął groźnym, chrapliwym głosem i wyskoczył spośród drzew za plecami

Elphame. Ktoś ze... skrzydłami.

Rzucił się na atakującego dzika. Dzik zachwiał się, przewrócił, ale z przerażającą szybkością poderwał się z ziemi. Teraz skoncentrowany już nie na Elphame. Miał przed sobą nowego wroga, z wielkimi, rozłożonymi skrzydłami, który przykucnął przed nim. W wyciągniętym ręku trzymał zakrwawiony krótki miecz.

Elphame osunęła się na brzeg. Miała wrażenie, jakby cała jej dotychczasowa rzeczywistość rozpadła się na kawałeczki, wrzucając ją poza zasłonę, zakrywającą jakiś inny, obcy świat. Tylko tak mogła sobie to wytłumaczyć, ponieważ zdrowy rozsądek absolutnie zaprzeczał istnieniu uskrzydłonej istoty w rzeczywistości, jaką znała.

Dzik zaatakował. Uskrzydłona istota odskoczyła na bok, wbijając miecz w umięśniony zad. Dzik, rozjuszony, ryknął z bólu, zakręcił się w kółko i znów zaatakował. Ale uskrzydłona istota znów była szybsza i zraniła go po raz drugi.

Dzik, z pianą na pysku, rzucił się po raz trzeci, próbując przyprzeć wroga do brzegu. Uskrzydłona istota, wydawszy z siebie przerażający syk, wskoczyła mu na grzbiet, ręka z mieczem wyprysnęła do przodu. Dzik kwiknął przeraźliwie, potężne ciało, już bezwładne, opadło ciężko do strumienia. Z poderżniętego gardła tryskała krew.

Uskrzydłona istota wstała z pleców martwego dzika i chwiejnym krokiem zaczęła zbliżać się do Elphame.

- Nie! - krzyknęła przerażona. - Nie podchodź! Uskrzydłona istota zatrzymała się natychmiast, jakby natrafiła na ścianę ze szkła. Istota niewątpliwie rodzaju męskiego.

Elphame wpatrywała się w jego ręce, trzymające miecz. I ręce, i miecz ociekały krwią. Wzrok uskrzydłonego mężczyzny podążył za jej spojrzeniem. Natychmiast upuścił miecz i rozłożył ręce.

- Nie zrobię ci nic złego - powiedział, ciężko dysząc. Wyraźnie starał się przemawiać jak najłagodniej do drżącej ze strachu Elphame.

- Tyle... tyle krwi... - szepnęła zdrętwiałymi wargami. Lochlan doskonale wiedział, że jest cały zbryzgany

krwią dzika. Zapach krwi drażnił jego zmysły. W śliskiej

czerwieni na rękach wyczuwał ducha zabitego zwierzęcia, ducha nadal silnego, nadal gniewnego. A to

budziło w Lochlanie barbarzyńskie instynkty, burzyło w nim jego własną krew. Budziło demona, żądnego krwi innych. Demona, który chciał zatopić kły w szyi dzika i sycić się jego krwią.

Te bestialskie instynkty Lochlan musiał pokonać w sobie jak najprędzej. Jedynym sposobem było zmycie z siebie krwi zabitego zwierzęcia. Nachylił się więc szybko, zanurzył ręce w wodzie strumienia i zmył z nich krew dzika. Kiedy to zrobił, wyprostował się i ponownie rozłożył przed Elphame ręce, ociekające już nie krwią, lecz wodą.

- Nie ma już krwi - powiedział, już całkowicie panując nad sobą, zdolny przemówić do niej bardzo łagodnie, tak jak do dziecka.

Spojrzenie Elphame najpierw przemknęło po jego rękach, jakby sprawdzając, czy rzeczywiście nie ma

tam już śladów krwi. Potem zaczęło dokładnie studiować jego ciało, z tak ogromną ciekawością, że brakowało jej tchu. Co niewątpliwie było następstwem szoku, osłabienia z powodu utraty krwi, a przede wszystkim wyrazem największego niedowierzania.

Tak, to był mężczyzna. Mężczyzna ze skrzydłami, bardzo wysoki, na pewno wyższy od niej o kilkanaście centymetrów. Kolor włosów niezwykle. Żółty? Nie, złocisty, jakby promienie porannego słońca. Włosy odgarnięte w tył, na pewno związane i na pewno długie, o czym świadczyły długie pasma, które uwolniły się podczas walki z dzikiem i teraz opadały na ramiona. Rysy twarzy wyrzeźbione po mistrzowski, kości policzkowe osadzone wysoko. Oczy, teraz wpatrzone w nią, trochę skośne. Szare jak stop cyny z ołowiem.

Coraz bardziej ją zachwycił. Był piękny. Wysoki, szczupły, o długich rękach i nogach. Cera bardzo jasna, ale absolutnie nie ziemista czy chorobliwie blada. Po prostu jasna, aż za jasna dla istoty śmiertelnej. Ubrany był w koszulę z grubego płótna. Elphame, patrząc na nią, raptem pomyślała, że koszula ta nadaje się już tylko do prania. Spodnie brązowe, skórzane. Stopy bose. Stopy jakieś takie dziwne, ale Elphame nie mogła im się przyrzuć dokładnie, ponieważ uskrzydłony człowiek stał w wodzie.

Przeniosła spojrzenie na skrzydła. Teraz złożone równiutko, dokładnie przylegały do jego pleców, ich

wielkość jednak nadal była imponująca. Skrzydła o rozpiętości co najmniej trzech metrów, widziała je

przecież rozłożone podczas walki z dzikiem, kiedy ten człowiek - nie człowiek wyglądał jak gigantyczny ptak drapieżny. Na skrzydłach nie było piór, tylko skórzasta błona, sprawiająca wrażenie bardzo miękkiej. Błona pokryta była delikatnym meshem, od spodu bardzo jasnym, jak skóra i włosy, a z wierzchu o wiele ciemniejsza, w tym samym odcieniu szarości co oczy.

- Kim jesteś?

To pytanie, oczywiście, miało zostać wypowiedziane normalnym głosem. Była przerażona, że z jej ust

wydobył się tylko cichutki, trwożliwy szept.

- Lochlan. Tak mnie nazywają. Nie bój się, nie zrobię ci żadnej krzywdy. Nigdy bym ci tego nie zrobił

- odparł, spoglądając na nią z niepokojem. Była przecież ranna, krew ciekła z głowy i z boku. Wargi miała sine, twarz śmiertelnie bladą. - Elphame, czy pozwolisz sobie pomóc?

Jej ciemne oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Wyglądała teraz jak wystraszone leśne zwierzątko.

- Skąd znasz moje imię?

- Znam je od zawsze, Elphame - odparł, robiąc pierwszy, ostrożny krok w jej stronę.

- Od zawsze? Nie rozumiem... Czy to wszystko dzieje się naprawdę? A może ja już umarłam?

Zrobił kolejne dwa kroki i stanął tuż przed nią.

- Nie. Przysięgam, Elphame, że to wszystko dzieje się naprawdę. Ty żyjesz. Wcale nie umarłaś. -

Uśmiechnął się, niezwykle ciepło. - Ale rozumiem, co teraz czujesz, Elphame. Bo to jest prawie jak we śnie.

Powoli wyciągnął przed siebie rękę, jakby chciał dotknąć Elphame. Wystraszona, drgnęła. Szybko cofnął rękę, uśmiech znikł.

- Tu jest mokro i zimno - powiedział po chwili. - Wiem, że nie chcesz, żebym cię dotykał, ale koniecznie trzeba cię stąd zabrać.

Niepokoił się o nią naprawdę. Nie udawał, ten fakt docierał to niej, mimo że straszliwy, przejmujący ból prawie zwałdnął ją już całkowicie.

- Ja... chyba nie dam rady iść - powiedziała nieswoim głosem.

Lochlan ponownie się uśmiechnął, odsłaniając biel błyszczących, ostrych zębów.

- Zaniosę cię.

Czyli to jednak sen. Bez wątplenia. Wszystko, co teraz się dzieje, jest kolejnym snem, tak samo nieprawdopodobnie realistycznym jak sen ubiegłej nocy. Jeszcze chwila, a Elphame obudzi się, zobaczy Cuchulainna dorzucającego do ognia. Oczywiście, zaraz zacznie marudzić, że spała za krótko. Będzie też kłamał w żywe oczy, mówiąc, że on spał przez cały czas. Kiedy wiadomo, że nie zmrużył oka, tylko czuwał przy siostrze.



A więc, jeśli to sen... Przecież to cudowne... być niesioną we śnie przez pięknego uskrzydłonego mężczyznę... Mimo że to tylko sen...

- Dobrze. Zanieś mnie.

Lochlan, unikając gwałtownych ruchów, które mogłyby wystraszyć Elphame, ostrożnie przykląkł przy niej. Teraz, z bliska, widział dokładnie krew na jej skroni i krew z boku, pod żebrami. Krew kobiety, gęsta, prowokująca go swoim ostrym zapachem...

Nagle usłyszał głos matki, powtarzającej słowa Przepowiedni:

- Ocalisz swoich ludzi przed szaleństwem dzięki krwi umierającej Bogini.

Nie! Elphame nie może umrzeć. Nie tutaj. Nie teraz!

Nie wolno poddawać się mrocznym instyktom. Zacisnął zęby i tłumiąc w sobie pragnienie jej krwi, wsunął jedną rękę pod plecy Elphame, drugą pod kolana. Na moment zawahał się. Był o wiele silniejszy niż zwyczajny człowiek, więc z niesieniem Elphame nie będzie miał żadnego problemu. Bał

się jednak, że sprawi wtedy dodatkowy ból tak ciężko rannej Elphame.

- Wybacz mi - powiedział i jednym zręcznym ruchem podniósł ją z ziemi. Elphame wydała z siebie rozpczliwy jęk, ten jęk zakłuł go prosto w serce, wiedział jednak, że musi to zrobić. Zabrać ją stąd.

Rozpostarł skrzydła, które pomagały mu utrzymać równowagę i starając się robić to jak najostrożniej, poniósł ją w górę, po stromym zboczu jaru. Jak najostrożniej i jak najszybciej.

Niebo przecięła błyskawica, po chwili zagrzmiało. Wiatr znad morza gnał nad ląd ołowiane chmury.

Nadciągała burza. Gdzie schronić się z Elphame? Najlepiej byłoby zanieść ją do jaskini, do swojej kryjówki. Ale to za daleko, a krwawiące obficie rany Elphame trzeba opatrzyć jak najszybciej.

Lochlan, już zrozpaczony, rozejrzał się dookoła. Wszędzie wysokie sosny, baldachim z ich gałęzi w jakimś stopniu osłoni ich przed deszczem.

Dobre i to. Wszedł między drzewa i po chwili znalazł miejsce, które wydało mu się odpowiednie. Pod

starą sosną, tu ziemia zasłana była grubą warstwą zeschniętych igieł. Nagarnął nogą jeszcze więcej igieł, przykucnął i złożył w tym prowizorycznym gnieździe Elphame.

Oczy miała zamknięte, drżała na całym ciele. Miała na sobie tylko górną część sukni. Tors owinięty płótnem, spódnicy nie miała na sobie, biodra owinięte były drugim, mniejszym kawałkiem płótna. Na nogach, porośniętych sierścią, nie widać było żadnych śladów krwi, żadnych obrażeń. Ale wyżej, z boku pod żebrami białe płótno było porozrywane, przesiąknięte świeżą krwią.

Świeżą krwią. Jej widok budził mroczną żądzę, znów musiał toczyć walkę, znów w głowie odezwał się znajomy ból. Na moment spojrzął w bok i zmobilizował całą siłę woli.

Nie wolno ulec demonom. Nie wolno posmakować jej krwi. Krwi Elphame.

Wygrał kolejną bitwę. Kiedy znów spojrzął na Elphame, jego głos był bardzo spokojny, zrównoważony.

- Elphame, muszę obejrzeć twoje rany. Powieki Elphame drgnęły i odrobinę się uniosły.

- To... to nie jest sen?

- Nie, Elphame, to nie sen. Bardzo nie chcę sprawiać ci jeszcze więcej bólu, ale nie mam wyjścia.

Muszę obejrzeć twoje rany. Nie wolno z tym zwlekać.

- Dobrze... - szepnęła i zacisnęła mocno powieki.

Spokój, jak największy spokój, powtórzył sobie w duchu. Teraz nie pora na drżące ręce i spanikowane

myśli. I ani na moment nie wolno zapominać, że jest się przede wszystkim człowiekiem, a nie demonem.

Da radę.

Lochlan nabrał głęboko powietrza i ostrożnie rozsunął

porozdzierane płótno. Rana była długa, wyglądała groźnie. Rozcięta była nie tylko skóra, także

mięśnie, na szczęście jednak, kiedy przyjrzał się jej dokładniej, okazało się, że nie jest tak głęboka, jak się spodziewał. Po oględzinach zaczął jak najdelikatniej sprawdzać okolice rany. Nie wyczuł

złamanych żeber, ale rana krwawiła bardzo mocno. Lochlan mocno zacisnął zęby, żeby utrzymać na wodzy demona, który zawsze się w nim budził na widok krwi. Chyba po raz pierwszy w życiu był zadowolony, kiedy w skroniach odezwał się znajomy, przeszywający ból, oznaka walki.

Obejrzał długą ranę jeszcze raz i spojrzał na głowę Elphame, gdzie z boku widać było zakrzepłą krew.

Rana na głowie wydała się o wiele groźniejsza niż rana z boku. Obie rany trzeba było jak najszybciej opatrzyć. Jak? Pomyślał chwilę i już wiedział, w końcu długie życie wiele go nauczyło. A żył już ponad sto dwadzieścia lat. Tacy jak on byli długowieczni, choć wcale nie nieśmiertelni i na pewno nie odporni na urazy, dlatego zdarzyło mu się już opatrywać niejedną ranę.

Wstał i zaczął iść z powrotem do jaru.

- Nie odchódź!

Kiedy usłyszał jej żaloszny krzyk, natychmiast znalazł się z powrotem u jej boku.

- Nigdy, najdroższa - powiedział cicho, głaszcząc ją delikatnie po policzku. W miękkiej, wilgotnej skórze Elphame wyczuwał lęk. Wystraszył ją tym czułym słowem, dlatego teraz, spokojnie, rzeczowo, już bez czułości, wyjaśnił jej, co zamierza zrobić.

- Muszę opatrzyć ci rany. Koniecznie trzeba zatamować krew. Nie odchodzę daleko, chcę tylko zejść do jaru i narwać mchu. Widziałem, że rośnie niedaleko strumienia. Wrócę za chwilę.

Elphame w milczeniu skinęła głową i skrzywiła się, na pewno poczuła przy tym ból.

Czuł na sobie jej wzrok, kiedy rozwinąwszy skrzydła, pobiegł na brzeg jaru i zsunął się w dół, do strumienia. Do miejsca, gdzie upuścił swój miecz. Podniósł go i szybko wyciął duży płat zielonego mchu. Był w sporej odległości od Elphame, ale wzrok, dzięki ojcu Fomorianowi, miał wyjątkowo bystry, widział doskonale, że Elphame nie odrywa od niego oczu.

Kiedy wrócił do niej, dostrzegł w nich wyraźną ulgę.

- Postaram się, żeby nie bolało - powiedział, przyklękając przy niej. - Koniecznie jednak trzeba zatamować krew. Opatrzę ranę z boku. Elphame, czy ty rozumiesz, co do ciebie mówię?

Zajrzał jej w oczy z niepokojem. Elphame doznała przecież urazu głowy.

- Rozumiem - odparła z nikłym uśmiechem. - Wszystko rozumiem. Będzie bolało okropnie i tobie już z tego powodu jest przykro.

Jej śmiech i żartobliwe słowa bardzo go ucieszyły. Była to odpowiedź w stylu Elphame, znak, że z jej

głową mimo urazu wszystko jest w porządku.

- Dobrze, że rozumiesz. Twoja głowa pracuje jak należy.

- Powiedzmy - powiedziała z głębokim westchnieniem Elphame i zamknęła oczy. - Jestem gotowa.

Dziś niestety odkryłam, że nie przepadam za widokiem mojej własnej krwi.

Nie wiedziała, że pod tym względem są całkowicie zgodni. On też nie przepadał za widokiem, za zapachem jej krwi. Przede wszystkim za jej zgubnym wpływem.

Uciął pasek zielonego mchu o tej samej długości, co rana i pomyślał, że najlepiej mieć to jak najszybciej za

sobą. Ostrożnie położył mech na otwartej ranie, starając się zignorować rozpaczliwy jęk Elphame.

- Już po wszystkim - powiedział lekko drżącym głosem.

Spod przymkniętych powiek Elphame wypłynęły łzy. Po chwili otworzyła oczy i zamrugała kilkakrotnie powiekami, zanim udało jej się skupić wzrok na nim.

- Jak zimno...

Lochlan zaklął w duchu. Był głupcem. Kiedy wyczuł ból Elphame, myślał tylko o tym, żeby jak najszybciej ją odnaleźć. Zapominając, że człowiek przezorny bierze ze sobą wszystko, co może się przydać. Bukłak z wodą, noże i krzesiwo, rzecz ogromnie ważną, zostawił koło truchła jelonka. A grzmoty słyhać było coraz częściej, coraz głośniejsze, coraz bardziej groźne. Lochlan spojrzał z niepokojem w sine niebo. Elphame była zbyt słaba, żeby iść do jego kryjówki. Oczywiście, że mógł wziąć ją na ręce, ale pomysł niesienia w ulewnym deszczu zziębniętej, omdlewającej Elphame, wcale

mu się nie podobał. Jednocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że Elphame powinna jak najszybciej się rozgrzać. Nadmierne wyziębienie ciała przy jej osłabieniu może być bardzo niebezpieczne.

Był tylko jeden sposób, żeby temu zapobiec.

- Elphame, ogrzeję cię. Tylko się nie bój, proszę. Zaufaj mi.

Spojrzała na niego półprzytomnie. Ból rozsadzał jej czaszkę, uniemożliwiając racjonalne myślenie. A ktoś to taki? Jego imię wyleciało jej z pamięci. Człowiek ze skrzydłami... Kim on jest? Czym on jest? Powiedział jej już? Może i tak, ale ona zdążyła zapomnieć...

- Elphame, nic złego ci się nie stanie. Masz moje słowo. Jego głos zmusił ją, by powróciła spojrzeniem do jego

twarzy. Głos, który nagle wydał jej się znajomy. Kiedyś

go już słyszała, tylko kiedy, gdzie? Starła się skupić, przypomnieć sobie, ale uniemożliwił to

potworny ból głowy. Jedyne co do niej docierało, to świadomość, że ten człowiek ze skrzydłami

nazywa się Lochlan - już to sobie przypomniła - i niezależnie od tego, kim ów Lochlan jest, to on uratował jej życie.

- Wierzę ci, Lochlanie.

Uśmiechnął się, odsłaniając ostre kły, ale półprzytomna Elphame była zbyt obolała, żeby odczuwać

lęk. Była tylko zaskoczona, kiedy Lochlan nagle położył się obok niej. Położył się na boku, opierając się na łokciu i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie bój się, Elphame - powiedział miękko i zaraz potem jedno z wielkich skrzydeł rozwinęło się i zaczęło wsuwać za jej plecy. Otulało ją, jak żywy koc, wsuwając się coraz dalej, aż jego nierówny brzeg złączył się z ziemią lasu.

Ciało Lochlana grzało tak przyjemnie. Po chwili przestała drżeć. Leżała nieruchomo, otulona ciepłem i zapatrzona w jego skrzydło, tuż nad nią, na wyciągnięcie ręki. Widziała jasny spód, pokryty delikatnym meshem, który wyglądał na bardzo mięciutki. Czowała zapach Lochlana. Pachniał sosną, potem i czymś trudnym do określenia, czymś podobnym do zapachu butwiejących liści, co kojarzyło

się z dzikością i co, ku jej zaskoczeniu, dziwnie przyjemnie pobudzało jej zmysły.

Bardzo ostrożnie, ze względu na ból, przekręciła głowę i spojrzała mu prosto w twarz, która była teraz tak blisko.

- Kim ty jesteś? - szepnęła.

A on, zapatrzony w jej ciemne oczy, odruchowo odpowiedział szczerze, tak jak podyktowało mu serce.

- Jestem kimś, kto zna ciebie od urodzenia.

Ta odpowiedź nawet dla jej przymglonego teraz umysłu nie miała żadnego sensu.

- Ale ty... ty nie jesteś człowiekiem. Nie znasz mnie.

- Znam. Znam ciebie od dnia twoich narodzin, El-phame. Od tamtego dnia przychodzisz do mnie w snach, a ja ci się przyglądam.

Sny... Oczy Elphame nagle rozszerzyły się. Przecież ona też miewa sny! Tamtej nocy śniły jej się skrzydła, które otulały ją i pieściły. A tamten głos... Tak! To był jego głos, głos, który wzywał ją przez mgłę!

- I jestem człowiekiem - powiedział cicho Lochlan. - Przede wszystkim.

- A poza tym... kim?

Lochlan, nadal wpatrując się jej w oczy, milczał. Odezwał się dopiero po chwili, już innym głosem, nieskończenie smutnym.

- Moja matka była człowiekiem. Ojciec... Fomorianinem. W moich żyłach płynie krew obu ras.

W głowie Elphame nagle zawirowało, poczuła, że znowu robi jej się zimno.

- Ale... ale to niemożliwe - wyjąkała, jej spojrzenie bezwiednie przemknęło znów ku jego skrzydłu. W

głowie odżyła straszliwa wizja szlachetnego MacCallana otoczonego przez uskrzydłone demony, łaknące jego krwi. Niemożliwe, żeby Lochlan był Fomorianinem! Ona, oczywiście, nigdy nie widziała na własne oczy Fomoria-nina, nie mogła być świadkiem okrutnej rzezi w zamku

MacCallana, ale nie na darmo wiele godzin spędzała w bibliotece matki. Wiedziała z książek, że

Fomorianie to wyjątkowo niebezpieczna, okrutna, podstępna rasa, która kiedyś omal nie zniewoliła całego świata.

- Przecież Fomorianie zostali wygnani z Partholonu ponad sto lat temu!

Bardzo chciał wyjaśnić jej wszystko dokładnie, ode-gnać strach i niepewność, jakie widział w jej oczach, ale jego wyjątkowo dobry słuch wychwycił już niepokojące dźwięki. Podniósł głowę, ucho nadstawił w stronę, skąd wiał wiatr. A wiatr, oprócz odgłosów burzy, niósł odgłos końskich kopyt. Nadjeżdżał Cuchulainn.

- Elphame, słyszę, że jadą po ciebie. Nie mogę tu zostać, oni zobaczą we mnie tylko Fomorianina, a nie człowieka.

Elphame zamrugnęła oczami. Na moment udało jej się zapomnieć o bólu, który teraz rządził jej ciałem i skupić całkowicie na twarzy Lochlana. Fomorianin? Ona widziała tylko człowieka, pięknego i niebywale odważnego.

- Elphame, muszę odejść, ale nie opuszczam cię. Będę zawsze w pobliżu, będę czekał, kiedy wezwiesz

mnie do siebie. Rozumiesz?

- Ja... - zaczęła, ale w tym momencie w ciszy nocy rozległ się donośny głos Cuchulainna, wzywającego ją rozpaczliwie. Dlatego, jedyne co teraz mogła zrobić, to ponaglić Lochlana. - Idź już, proszę. Idź! Lochlanie, idź już!

Skrzydło uniosło się, ciepło znikło, znów była bezbronna wobec chłodu nocy. Lochlan, zanim wstał, delikatnie musnął jej policzek opuszkami palców.

- Zawołaj mnie, najdroższa, a ja na pewno się zjawię - szepnął i znikł w ciemnym lesie.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

- Cuchulainnie, tutaj! Tutaj!

Głos Brighid przebijał przez wycie wichru. Ona pierwsza, kobieta - centaur, Łowczyni, przygalopowała do miejsca, gdzie leżała Elphame. Cuchulainn pojawił się tuż za nią. Zeskoczył z

rozpędzonego jeszcze konia i przypadł do siostry. Zaraz potem Elphame otoczył krąg światła pochodni, zakłębiło się od jeźdźców i centaurów.

- El, nie! Proszę, nie!

Cuchulainn, klęcząc przy siostrze, zamknął jej bezwładną, zimną jak marmur dłoń w swoich rękach.

Krew - wydawało się, że Elphame cała pokryta jest krwią. Twarz była trupioblada. Gdyby powieki nie

drgnęły,

gdyby nie wyszeptała z trudem jego imienia, byłby pewien, że siostra nie żyje.

Mały, zrozpaczony chłopiec... Takim wydał się teraz Elphame. Bardzo chciała go pocieszyć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Znowu było jej zimno, czuła się okropnie słaba, jakby na widok brata całkowicie opadła z sił.

- Cuchulainnie, odsuń się!

Głos Brenny był spokojny, jednocześnie bardzo stanowczy. Wcale nie cichy i nieśmiały, jakim zwykle zwracała się do niego.

Cuchulainn spojrzał na nią półprzytomnie.

- Cuchulainnie, odsuń się! Muszę natychmiast obejrzeć twoją siostrę!

Tym razem powiedziała to głośniejszym, jeszcze bardziej zdecydowanym głosem. Wydawała rozkaz. Wojownik rozkaz natychmiast wykonał.

Brenna uklękła przy Elphame i wydała następne polecenia.

- Poświećcie tutaj. I koniecznie dajcie tu coś, czym będzie można ją przykryć.

Elphame, mrużąc oczy przed światłem pochodni, poczuła wielką ulgę, kiedy jej półnagie ciało okrywano podawanymi pospiesznie pelerynami. Pomyślała też, jakie to dziwne, że kiedy była z

Lochlanem, skąpy strój wcale jej nie przeszkadzał.

Tuż nad sobą zobaczyła teraz Brennę, nakierowującą na nią światło pochodni. Świeciła teraz Elphame



prosto w twarz.

- Elphame, kto ja jestem? - spytała Uzdrowicielka, zaglądając jej w oczy.

- Brenna - szepnęła Elphame.

- A gdzie jesteś teraz, Elphame?

- W lesie... Upadłam. Tam, w jarze...

Chciała wskazać miejsce, gdzie upadła. Poruszyła ręką, ale w ramieniu odezwał się ból. Elphame znieruchomiała, z jej ust wydobył się rozpaczliwy jęk.

Zastukały kopyta. Łowczyńni, unosząc wyżej swoją pochodnię, natychmiast oddaliła się we wskazanym przez Elphame kierunku i znikła w jarze.

Pewne, choć jednocześnie bardzo delikatne ręce Brenny przesuwają się po obolałym ramieniu Elphame, po głowie, na koniec dotknęły rany pod żebrami.

- Bardzo dobrze, że przyłożyłaś sobie mech, Elphame - powiedziała. - Gdyby nie to, straciłabyś mnóstwo krwi.

- To nie ja... - zaczęła Elphame, ale Uzdrowicielka przerwała jej.

- Nic nie mów. Oszczędzaj siły na drogę powrotną. Wypij to!

Wsunęła rękę pod głowę Elphame, uniosła ją nieco, drugą ręką podsunęła jej do ust bukłak. Elphame za-krtusiła się, ale odkaszlnęła i zaczęła pić łąpczywie. Wino z ziołami było słodkie, zimne i skuteczne. Czują, jak razem z winem wlewa w siebie siły, już było ich tyle, że dała radę wykrzesać z siebie nikły uśmiech do brata.

- Czuję się nieźle, Cu - powiedziała, życząc sobie z całego serca, żeby ten słabiutki głos nie był jej głosem.

- Wcale nie - odezwała się kategorycznym tonem Brenna. - Wcale nie czujesz się nieźle. Jeszcze nie.

Cuchulainnie, potrzebne mi są dwa paski z materiału, jednym owinę jej ramię, drugim ranę z boku.

Cu, zadowolony, że ma coś konkretnego do wykonania, szybko ściągnął koszulę i zaczął rwać cienkie płótno na długie paski.

- Zadowolony, że ma okazję pokazać swoją klatę...

- Głos Elphame był jeszcze słaby i drżący, ale udało jej się to powiedzieć.

Otoczający ją mężczyźni i centaury zaśmiali się, śmiała się także Brenna. Natomiast twarz

Cuchulainna mieniła się. Wyraźnie próbował spiorunować siostrę wzrokiem za głupi żart, co mu absolutnie nie wychodziło, bo Cuchula-inn był teraz po prostu szczęśliwy. El przez moment bala się, że jej brat z tego szczęścia zaraz się rozplacze.

- Brawo, El - powiedziała Uzdrowicielka. - Już prawie się nie boję o tę twoją ranę w głowie. Sama głowa chyba w porządku.

Uśmiech Cu zdecydowanie się poszerzał.

- W jarze leży martwy dzik - oznajmiła Brighid, dołączając do kręgu ludzi i centaurów wokół Elphame.

- A to chyba należy do ciebie, Cuchulainnie. Wręczyła mu sztylet, ale jej wzrok utkwiony był w Elphame.

- Na Boginię! El! Dzik?!

Twarz Cuchulainna, która zaczęła odzyskiwać już normalną barwę, znów zrobiła się biała jak papier.

Na szczęście Brenna w tym momencie zaczęła ostrożnie owijać talię El prowizorycznym bandażem, dzięki czemu El nie musiała teraz tłumaczyć się bratu. Zresztą i tak nie byłaby w stanie. Tak bolało.

Zacisnęła mocno powieki, równie mocno zęby i starała się pomyśleć o czymś innym.

O kimś. O Lochlanie. To nie był sen ani przywidzenie. Widziała, jak zabijał dziką, którego przed chwilą odnalazła Brighid. Lochlan zabił bestię, potem wyniósł Elphame z jaru, do lasu. Tam opatrzył jej ranę mchem i ogrzał ją własnym ciałem. Czy powiedzieć im, że to on, Lochlan, uratował jej życie?

Lochlan powiedział, że jego ojciec był Fomorianinem.

Oni zobaczą we mnie tylko Fomorianina, nie człowieka.

Fomorianin? To słowo odbiło się echem w jej skołatanej głowie. Nie. Fomorianin - wykluczone.

Fomorianie zostali pokonani ponad sto lat temu i wypędzeni z Partholonu, kiedy to wszystkie rasy, zamieszkujące Partholon, zjednoczyły się i odniosły zwycięstwo nad hordą demonów. Pokonały ich, by nigdy już więcej nie zagrażały mieszkańcom Partholonu, zwłaszcza kobietom. A teraz... czy to możliwe, że ocalił ją właśnie Fomorianin? Nie, to nie ma najmniejszego sensu.

Ale miał skrzydła, widziała je na własne oczy. Okrył ją nimi, otulił ich ciepłem.

Nie, nie, nie. Niemożliwe, żeby to się wydarzyło naprawdę.

W zamku MacCallana spotkasz swój los. Wiem, że chodzi o twojego towarzysza życia.

Przecucie Cu. Teraz jego słowa zaszeleściły w obolałej głowie Elphame. Szalone słowa, takie dziwaczne, nie była jednak teraz w stanie ich rozpamiętywać, ponieważ jej zdolność koncentracji była

znikoma. Postanowiła odłożyć to na później, kiedy na spokojnie sobie to wszystko przemyśli i poukłada w głowie. A do tego czasu nikomu o niczym nie powie.

- Gotowe - oznajmiła Brenna, zawiązując końce prowizorycznego temblaka, przytrzymującego rękę Elphame przy piersi. Kiedy skończyła, przez baldachim z gałęzi sosny spadły pierwsze krople deszczu. - To wszystko, co mogłam zrobić. Teraz musimy zawieźć ją z powrotem do zamku.

- El...

Otworzyła oczy i zobaczyła brata, przykucniętego obok. Włosy miał już lekko wilgotne od deszczu.

Jedną fałdą kiltu zasłonił nagą pierś. Elphame pomyślała, że jej

brat teraz wygląda porywająco, jak wojownik sprzed stuleci, którego imię nosił.

- El - powtórzył i rozpostarł dłonie nad jej głową, pragnąc chronić ją przed deszczem. - Wracamy do zamku. Wiem, że dla ciebie nie będzie to łatwe...

Koło Cuchulainna pojawiła się Brighid.

- Ja ją zawiozę.

- Ale ona nie da rady sama jechać - zaprotestował Cu. - Pojedzie ze mną, na moim koniu.

- Wsiądziecie na mnie oboje. Musisz przecież ją trzymać, bardzo ostrożnie i tym przede wszystkim

bę-

dziesz pochłonięty. Nie dasz rady jednocześnie kierować tym swoim wałachem półgłównikiem. Ja to co

innego. Możesz być pewien, że będę bardzo uważać. Na pewno się nie potknę, żeby nie sprawić jej dodatkowego bólu.

Cuchulainn spojrział w górę, na Łowczynię.

- Dasz radę zawieźć nas oboje?

- Oczywiście. Bez problemu.

Niebo znów gniewnie zagrzmiało, coraz więcej kropli deszczu przelatywało przez gałęzie sosny.

- Elphame powinna jak najprędzej znaleźć się w zamku - powiedziała Brenna swoim kategorycznym tonem Uzdrowicielki. - Jedźcie już. Cuchulainnie, pamiętaj, jej nie wolno teraz spać. Mów do niej, bez przerwy.

Cuchulainn skinął głową, odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy swoim ludziom.

- Angus, Brendan, podacie mi ją! Wstał i wskoczył na grzbiet Brighid.

- Teraz! Tylko ostrożnie! Ostrożnie! - huknął, kiedy z ust Elphame, podnoszonej przez obu mężczyzn, wydobył się jęk.

Wsiadanie na Brighid było dla niej męką. Starła się ułatwić zadanie obu mężczyznom, nie być jak kłoda. Ale

taka właśnie była, bezsilna, omdlewająca. Przy każdym, nawet najmniejszym ruchu czuła w boku ogień. W końcu jednak znalazła się na gładkim grzbiecie centaura, otoczona silnymi ramionami brata.

- Gotowi? - spytała Łowczyni, spoglądając na nich przez ramię.

- Tak - odparł Cuchulainn, obejmując siostrę mocniej. Łowczyni ruszyła przed siebie, łagodnym, płynnym

galopem, a w jakimś zakamarku mózgu Elphame zatliła się myśl, że prawdę mówiąc, ona powinna poczuć teraz dreszcz emocji. Przecież po raz pierwszy w życiu jedzie na centaurze. Niestety, nie czuła żadnego podekscytowania. Ta jazda była dla niej koszmarem. Każdy krok centaura oznaczał

wstrząs

dla rozrywanego bólem ciała. W głowie łupało, żołądek był coraz cięższy. Z boku czuła ciepłą wilgoć,

znak, że krew przesiąka przez mech. Kiedy wyjechali z lasu i wracali do zamku brzegiem klifu,

dokładnie tą samą drogą, którą biegła, nie miała już siły siedzieć prosto. Skuliła się, oparła całym ciałem o brata, zdając się całkowicie na niego. On miał zadbać o to, żeby nie spadła.

- Już niedaleko, El. Nie bój się, trzymam cię mocno - szeptał jej Cuchulainn wprost do ucha słowa otuchy, między jednym pytaniem a drugim. Zadawał je nieustannie, pomny poleceń Brenny. Siostra odpowiadała chaotycznie, czasami bez sensu.

- El, opowiadaj, jak będzie wyglądał twój zamek, kiedy skończymy z odbudową.

Półprzytomna El opisała jakieś pokoje, Cu po chwili zorientował się, że opowiada o ich dawnych pokojach, pokojach dziecińczych. Mówiła też o łóżku z materacem ze szpilek sosny pod baldachimem z gigantycznych skrzydeł. Czyli bez sensu, ale on nie przerywał jej,

najważniejsze przecież było, żeby mówiła i mówiła, bo nie wolno jej było zasnąć.

Rozpadało się na dobre. Deszcz zalał pochodnie, teraz drogę co jakiś czas oświetlało tylko światło błyskawic. Cuchulainn w duchu słał wielkie dzięki Brighid, że wzięła ich na swój grzbiet. Było to jedyne rozsądne rozwiązanie. Łowczyni miała rację. Gdyby jechał na swoim wałachu, nie byłby w stanie kierować koniem, trzymając jednocześnie przed sobą bezwładną, półprzytomną siostrę.

Łowczyni wkrótce wyprzedziła resztę jeźdźców, nawet centaurów, którzy dołączyli do nich, kiedy

wyruszone na poszukiwanie Elphame. Determinacja Łowczyni była porażająca. W rezultacie

Cuchulainn co chwilę kajał się w duchu, że był wobec niej tak niesprawiedliwy. Kiedy ogłosił, że

jedzie szukać siostry, Brighid i mała Uzdrowicielka natychmiast do niego dołączyły, jako pierwsze. I

tylko dzięki Brighid, która wytropiła Elphame, udało się tak prędko ją odnaleźć.

Cuchulainn przygarnął siostrę do siebie jeszcze mocniej. Teraz był już pewien, że tamto Przeczucie, jakie miał, zanim wyruszyli w drogę do zamku MacCallana, wcale nie dotyczyło spraw sercowych

Elphame ani klątwy, rzuconej na zamek. Nie chodziło o jej ukochanego, jawiącego mu się jak widmo bez twarzy, lecz o coś bardziej przyziemnego. O wypadek, w wyniku którego El odniosła tak poważne obrażenia.

Brighid zwolniła. Dojeżdżali już. Cuchulainn poczuł ogromną ulgę, kiedy w mroku zamajaczyły czarne mury zamku.

- Brighid! Biegnij do kuchni! - zawołał, starając się przekrzyczeć wicher. - Kuchnia jest w najlepszym stanie! Łowczyni skinęła głową i przekłusowała przez puste

odrzwia po bramie w zewnętrznych murach zamku. Jej kopyta zastukały po posadzce głównego dziedzińca, zalanej doszczętnie strugami ulewnego deszczu, przedostającymi się przez dziurawy dach. Kiedy mijali fontannę, niebo przecięła błyskawica, na moment oświetlając swoim niebieskawym światłem posąg w fontannie. Cuchulainn, mimo że wojownik, poczuł się nieswojo. Dziewczyna z białego marmuru w tym niebieskawym świetle wyglądała upiornie.

Brighid zatrzymała się.

- W kuchni jest ciemno jak w grobowcu, Cuchulain-nie. Może poczekajcie tu z Elphame, a ja pobiegnę

do wozów, przyniosę krzesiwo i pochodnie.

Pomogła mu, przytrzymując razem z nim bezwładną Elphame, kiedy Cuchulainn zeskakiwał na ziemię, a potem ostrożnie zdejmował ją z grzbietu Łowczyni. Ułożył siostrę na posadzce, sam usiadł obok, pod ścianą, i ostrożnie oparł głowę siostry o swoje kolana.

- Zaraz wracam - powiedziała Brighid i rzuciwszy pełne niepokoju spojrzenie na Elphame, wybiegła z

dziedzińca.

Cu poczuł, jak głowa Elphame niezacznie się poruszyła, po chwili usłyszał w ciemnościach jej słaby, cichy głos.

- Jak dobrze... Nic już mną nie trzęsie...

- Brenna zaraz tu będzie, El. Jeszcze trochę cierpliwości.

Cuchulainn bardzo chciał w jakiś sposób ulżyć teraz siostrze. Czuł się nieszczęśliwy, kompletnie bezużyteczny, bo i co mógł zrobić? Otrzeć brzegiem kiltu jej twarz i ramiona, mokre od deszczu. Zrobił to. Co jeszcze? Powinien rozmawiać, miał przecież robić to bez przerwy, żeby Elphame nie zasnęła.

Ale o czym? Nie zdążył wymyślić kolejnego, głupawego

pytania na temat ozdabiania zamku, ponieważ Elphame zaskoczyła go, sama zadając mu pytanie.

- Dlaczego zacząłeś mnie szukać, Cu?

Spojrzał na twarz siostry mającą w mroku. Kiedy oświetliła ją błyskawica, zauważył szeroko otwarte oczy, wpatrzone w niego.

- Dlaczego? Po prostu doszedłem do wniosku, że za długo cię nie ma. Zaniepokoiłem się.

Po twarzy Elphame przemknął uśmiech.

- Cu! Nie kręć! Przecież ty niepokoisz się o mnie bez przerwy, od pierwszej chwili, kiedy tylko przyjechaliśmy do zamku MacCallana. Powiedz mi szczerze, dlaczego zacząłeś mnie szukać?

- Szczerze? A więc wcale nie miałem zamiaru cię szukać. Powiedziałem sobie, że niepotrzebnie wyobrażam sobie różne rzeczy i panikuję. Ale nadeszła burza i pomyślałem, że lepiej, żebyś znalazła się już pod dachem. Tak dla świętego spokoju. Wyszedłem przed zamek i zacząłem cię wypatrywać. Pomyślałem sobie też, że co tam burza. Jak wrócisz, zaproponuję ci na dokładkę jeszcze jeden bieg. Pościgamy się, stąd do Loth Tor. A ponieważ ty będziesz już trochę podmęczona, może mój wałach choć raz w życiu będzie miał szansę na zwycięstwo.

Zauważył, jak w mroku błysnęły białe zęby Elphame. Uśmiechnęła się. Cu też uśmiechnął się do siostry.

- I co było dalej, Cu?

- Stałem więc jak kołek koło bramy zamkowej i czekałem. Nagle usłyszałem jakiś hałas, dobiegający

z zamku. I o ile mój niepokój o ciebie udawało mi się jakoś zlekceważyć, to tego hałasu nie można było zignorować.

- Dlaczego, Cu?

- Dlatego, że ten ktoś darł się na całe gardło. Wołał mnie po imieniu wyjątkowo głośno... - Cu potrząsnął

głową, przypominając sobie tubalny głos, dobiegający z pustego zamku. Także to, że jemu włos zjeżył się na głowie, nie co dzień przecież człowiek słyszy ducha, tak energicznie domagającego się, by człowiek zwrócił na niego uwagę. - El, niestety, muszę ci powiedzieć, że w tych pogłoskach o twoim zamku jest ziarno prawdy. Co do klątwy, to nie wiem, ale na pewno zamek ten nawiedzany jest przez duchy.

- Cu! - W świetle błyskawicy zauważył, że siostra jest bardzo tym poruszona. - Cu! A więc MacCallan

przemówił też do ciebie?! Też go zobaczyłeś?

Cuchulainn nie wierzył własnym uszom.

- El, czy ty chcesz mi powiedzieć, że on ukazał się tobie, a ty mi o tym nie powiedziałaś?!

- A więc... - Elphame ociągała się z odpowiedzią. Teraz była prawie zadowolona, że jest ranna.

Przynajmniej Cu ze względu na jej stan nie będzie za bardzo szalał. - Cu, przecież znam twoje nastawienie do świata duchów. Nie lubisz ich...

- Nie lubię! - Prawie wrzasnął. El skrzywiła się, więc zmitygował się. Zamknął na moment oczy, zrobił głęboki wdech i dokończył już normalnym głosem: - El, tu nie chodzi o to, czy ja duchy darzę sympatią, czy nie, lecz o wszystko, co wydarzyło się od chwili naszego przyjazdu do tego zamku.

Wiem, że przedtem nigdy nie odczułaś żadnego powiązania z Boginią, żadnego, nawet najlżejszego dotknięcia jej magią. A tu nagle wszystko się zmieniło. Porozumiewasz się z Epo-ną! El, tu działają jakieś siły, których my nie rozumiemy!

Elphame zrobiła ręką bliżej nieokreślony gest, próbowała też pokręcić głową, ale zabolalo i



skończyło się tylko na skrzywieniu.

- Przepraszam, El... - zaszeptał brat, wyraźnie skruszony. - Nie chciałem cię zdenerwować. El, przecież ja wcale się na ciebie nie gniewam. Ja...

- Wiem, Cu - powiedziała cicho. - Nie zapominaj jednak, że ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie czuję żadnego lęku przed światem duchów i jestem przekonana, że ani MacCallan, ani Epona nie chcą, żeby

stała nam się jakaś krzywda.

- Oczywiście, że nie - powiedział Cu, brzegiem kiltu ocierając jej z twarzy krew zmieszaną z kroplami deszczu. - Nie zapominaj jednak, że tak samo jak dobro istnieje też zło. Także w świecie duchów, a

tam zła nie pokonasz siłą swoich rąk.

- Wiem. Tylko poczuciem honoru, prawdą i siłą woli. Mocne słowa. Cu, spoglądając na siostrę, spowitą

w mrok, uświadomił sobie, jak bardzo się zmieniła. Czuł się z tym nieswojo, ale cóż, wiedział, że musi się pogodzić z tym, że to już nie ta sama El.

Znów rozbłysła błyskawica. W jej świetle zauważył, że Elphame uśmiecha się do niego. Jego siostra, odkąd sięgał pamięcią, to jego najlepszy, najwierniejszy przyjaciel. Czyżby nie kochał jej wystarczająco, by nie przeszkadzać jej w spotkaniu ze swoim przeznaczeniem - nawet jeśli dla niego jej przeznaczenie po części było niejasne?

- El, po prostu obiecaj mi, że jak dojdiesz już do siebie, opowiesz mi dokładnie o swoich konszachtach z duchem, było nie było, duchem naszego przodka, tym bardziej więc jest to dla mnie interesujące.

- Obiecuję, Cu - powiedziała Elphame z wyraźną ulgą. - A tak przy okazji, czy nie zauważyłeś pewnego podobieństwa między sobą a MacCallanem?

- Co?! - Cuchulainn wcale nie sprawiał wrażenia

uszcześliwionego. - A cóż to takiego jest we mnie, co kojarzy ci się ze zramolałym duchem?

- A przypomnij sobie dokładnie, co on ci powiedział.

- Dokładnie? Czekał, niech sobie przypomnę... Już wiem! - Cuchulainn zniżył głos, znakomicie

naśladować zrzędlawy głos starego ducha: - Cuchulainnie, czy ty masz tylko mięśnie? Rusz głową! Jedź

za siostrą, dziewczyna potrzebuje cię!

Elphame, rozbawiona, zachichotała, skrzywiła się z bólu, znów zachichotała i tak na przemian, póki na dziedzińcu nie zadudniło. Najpierw zjawiała się Brighid, za nią nadciągnęła reszta jeźdźców i centaurów. Brenna, jak to Brenna, rozczulająco niezgrabnie zsiadła ze swego wierzchowca, pomaszrowała do rodzeństwa i zmierzyła Cuchulainna bardzo surowym wzrokiem.

- Prosiłam, Cuchulainnie, żebyś z nią rozmawiał! A nie doprowadzał do histerycznego śmiechu!

Lochlan, wypatrując przez strugi ulewnego deszczu, obserwował całą trójkę. Widział, jak Brighid doniosła na swoim grzbiecie bezpiecznie siostrę i brata do zamku, jak wjechała w zamkową bramę. Po

jakimś czasie do zamku wróciła grupa jeźdźców i centaurów, biorących udział w poszukiwaniu Elphame. To byli ci, których Łowczyni wyprzedziła z taką łatwością.

Obserwował uważnie wszystko, co działo się dalej tej ponurej nocy, do swojej kryjówki powrócił dopiero następnego ranka, kiedy zobaczył, jak Elphame, podtrzymywana przez brata, sztywnym krokiem wychodzi z zamku i idzie do namiotu, pospiesznie rozstawionego przez robotników już o brzasku. Wtedy to Lochlan mimo woli uśmiechnął się. Domyślał się, że Elphame byłaby ogromnie niezadowolona, gdyby zawieziono ją do wioski, gdzie

pielęgnowano by ją jak delikatny kwiatek. Na pewno musiała stoczyć walkę z bratem. Bystry wzrok Lochlana odszukał twarz Cuchulainna. Minę miał wielce niezadowoloną, czyli wszystko jasne.

Wojownik wolałby, żeby jego siostra dochodziła do siebie w wiosce. Czy on nie rozumie, że jego siostra czerpie siłę z każdego kamienia w tym zamku?

Może i nie rozumie, ale nie wolno go osądzać zbyt surowo. Cuchulainn bardzo kocha swoją siostrę, jest nadzwyczajnym bratem, robi wszystko, by uchronić ją przed złem.

Szkoda, że Cuchulainn, brat Elphame, nie jest jego sojusznikiem.

Daleko na północ od zamku MacCallana, Keir uniósł swoją jasną głowę. Jakby wietrzył, chociaż to właśnie wcale teraz nie było potrzebne. Nie chodziło przecież o odczucia fizyczne, lecz o duchową więź, tę niewidzialną nić, która leżała rozwinięta u jego stóp.

- Tak... - Jego głos był jak syk, syk triumfujący. - Lochlan poszedł tędy.

Skrzydła Fallon, stojącej obok niego, zdrząły z podniecenia. Ona też wpatrywała się w wąską ścieżkę, co jakiś czas znikającą między drzewami i zaroślami. Prowadzącą daleko w góry.

- Jesteś pewien? - spytała drżącym głosem, jakby jeszcze nie śmiała w to uwierzyć. - Przeszukaliśmy przecież przedtem całą tę okolicę i nie znaleźliśmy ani jednego śladu.

- Ale teraz go wyczuwam. Lochlan od dawna jest z dala od nas, nie jest już taki czujny. A ja nieraz mówiłem, że ta jego obsesja czyni go słabym. Mamy na to dowód. Odpręża się, pozwala myślom płynąć swobodnie.

Dlatego go wyczuwam. Ty też możesz go wyczuć, Fallon. O ile się skupisz!

Ostatnie zdanie prawie wykrzyczał, ale Fallon zmusiła się do opanowania. Nie wolno teraz było kulić

się ze strachu, bo to rozgniewałoby go jeszcze bardziej. A wybuchy gniewu Keira, jej męża, były bardzo niebezpieczne. Keir był coraz bliżej granicy, po przekroczeniu której gniew ogarniał go bez żadnego powodu. Szaleństwo w jego krwi było aż nadto wyczuwalne, czekało tylko, kiedy Keir się podda i przestanie walczyć o swoje człowieczeństwo. Da się zawładnąć całkowicie mrocznemu dziedzictwu po ojcu demonie. Obłąd czał się w nim, Fallon widziała go w oczach Keira, jak plamy ropy na wodzie. Im dłużej nie było Lochlana, tym więcej było w nim dzikości, jakby nieobecność

Lochlana stopniowo odbierała mu tę ludzką część osobowości. I był to jeszcze jeden powód, dlaczego

z taką desperacją szukali Lochlana i Bogini z jego snów, Bogini z kopytami.

Fallon zamknęła oczy, starając się zignorować ból, atakujący jej mózg. Jednocześnie próbując

poskromić swój własny gniew. Gniew na Lochlana, który uparł się, że zrobi to sam. Dlaczego? Jego wyprawa, jego poszukiwania są niezwykle ważne dla wszystkich, nie tylko dla niego. Jeden błąd - i wszyscy będą już nieodwracalnie skazani na poddanie się szaleństwu, które żyje w ich krwi. Keir chyba ma rację. Ta obsesja Lochlana na punkcie jego snów jest zbyt wielka, żeby mu ufać.

Ale to przecież Lochlan... Fallon z ogromnym wysiłkiem udało się wyciszyć niespokojne myśli.

Zamknęła oczy i przywołała pod powieki obraz kojący. Szare oczy Lochlana, tak pogodne, o ciepłym, pełnym wyrozumiałości spojrzeniu.

Wyczuła go, tak jak Keir. Czyli nie było wątpliwości. Mają iść przed siebie, tą właśnie ścieżką.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do swojego towarzysza życia.

- Wyczuwam go!

Czarne oczy Keira rozbliły. Bardzo zadowolony z tego, co usłyszał, skinął głową.

- Trzeba jak najszybciej powiedzieć o tym reszcie!

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

Kiedy nad wysokimi sosnami pokazało się słońce, Brenna oznajmiła, że Elphame wolno już pospać.

- Ale przedtem wypij to - powiedziała, przytykając kubek do ust Elphame.

Herbata była gorąca i bardzo mocna. Elphame czuła smak miodu i mięty. Wypiła posłusznie i jej powieki prawie natychmiast zrobiły się nienaturalnie ciężkie. Nienaturalnie ciężkie, a to bardzo Elphame się nie spodobało.

- Nie musisz mnie niczym odurzać, Brenno - powiedziała z naciskiem. - I tak jestem wystarczająco zmęczona.

Cuchulainn zaczesał w tył grube pasmo gęsych włosów siostry, opadające na jej bladą twarz.

- Nie denerwuj się, Elphame. Brenna wie, co robi. Śpij.

Elphame na próżno starała się skupić wzrok i myśli na bracie. Pograżała się już we śnie, zdążyła jednak jeszcze zauważyć, że Cuchulainn wygląda bardzo mizernie. Ma sińce pod oczami, a oczy

smutne.

- Też powinieneś się przespać - powiedziała już sennym głosem.

- Masz rację, zaraz się położę. A ty już śpij, El. Elphame westchnęła i zamknęła oczy, zapadając w sen.

Cuchulainn opadł na krzesło, ustawione przy łóżku

siostry. Potarł skronie, pokręcił głową, żeby rozluźnić zeszywniały kark.

- Ona ma rację, ty też powinieneś odpocząć - odezwała się półgłosem Uzdrowicielka, zajęta

wygładzaniem prześcieradeł wokół nieruchomej już postaci Elphame. Cuchulainn od razu zauważył, że głos Brenny znów przycichł, złagodniał, wcale nie przypominał donośnego głosu, jakim ta sama kobieta jeszcze przed chwilą wydawała wszystkim polecenia.

Siedział i patrzył, jak Brenna sprząta ze stołu różnego rodzaju zioła, z których przetem brała po szczypcie i dosypywała do herbaty dla jego siostry. Już sam fakt, że przyjaźń między El i Brenną się umacniała, sprawiał, że myślał o Uzdrowicielce z wielką życzliwością. Do tego dochodził szacunek, coraz większy, kiedy widział, jak umiejętnie Brenna zajmuje się niedomagającą El. A poza tym, szczerze mówiąc, ta niewielka osoba zaczynała go po prostu fascynować. Nieśmiała, pokrzywdzona przez los osóbką, która budziła w nim instynkt opiekuńczy, i która potrafiła również bardzo pewnym, podniesionym

głosem wydawać polecenia, czym przypominała Cu jego zawsze konkretną, bardzo racjonalną matkę. Jednym słowem, po raz pierwszy miał przyjemność poznać istotę tak złożoną.

W namiocie panował półmrok, tylko jedna świeczka migotała na stoliku koło łóżka. Jak zwykle

Brenna ubrana była skromnie, zakryta aż po szyję. Cuchulainn był przyzwyczajony do widoku

kobiecych piersi. Kobiety z Partholonu tradycyjnie odsłaniały tyle, na ile miały ochotę. Nawet jego siostra, która od pasa w dół zwykle bardzo starannie zasłaniała się przed oczami ciekawskich, tors często owijała przezroczystym jedwabiem, dzięki czemu niewiele z tych partii ciała pozostawało tajemnicą. Natomiast Brenna, niewątpliwie osobowość niezwykła, zawsze wyróżniała się również

strojem, wyjątkowo skromnym, zwłaszcza u tak młodej kobiety. Cu domyślał się, że Brennie zależy pewnie na ukryciu blizn, ale o tych bliznach pomyślał tylko przelotnie. Tak naprawdę miał wielką ochotę zobaczyć, co kryje się pod skromną suknią Brenny, niezależnie od tych blizn. Chciał zobaczyć ją, chciał zobaczyć kobietę.

Spojrzenie Cuchulainna spoczęło na dłoniach Brenny, ładnych, szczupłych, koloru kości słoniowej.

Brenna czuła na sobie jego wzrok, pod tym względem miała przecież ogromne doświadczenie. Od tego rodzaju spojrzeń wszystko w niej się przewracało. Oczywiście, kiedy potrzebowano

Uzdrowicielki, jej blizny stawały się nieistotne. Ale kiedy leczenie obrażeń, choroba czy poród mijały, Brenna z Uzdrowicielki znów zmieniała się wyłącznie w Kobietę Pokrytą Bliznami. Te spojrzenia

wcale nie były wrogie czy szydercze, nie. Chodziło o to, że ludzie widzieli tylko blizny, nic poza tym.

Nie dostrzegali w niej człowieka, nie dostrzegali kobiety. Zwłaszcza tacy piękni

mężczyźni jak Cuchulainn. Oni widzieli tylko spustoszenie na jej ciele, jakiego dokonał ogień.

Cuchulainn był wobec niej bardzo miły. Brenna, oczywiście, nie miała żadnych złudzeń. Brat był

bardzo oddany siostrze, którą leczyła. Stąd jego życzliwość. Taka była naga prawda, a przekonać się o tym było bardzo łatwo, wystarczy teraz na niego spojrzeć...

Westchnęła, ale podniosła głowę znad ziół i napotkała wzrok Cuchulainna. Zwykle w takich

sytuacjach odruchowo przekręcała głowę, kryjąc zeszpeconą połowę twarzy, albo pochylała głowę,

chowając się za swoimi włosami. Teraz było to niemożliwe. Cuchulainn siedział bardzo blisko, a poza

tym ona, zanim zaczęła zmieniać opatrunki na ranach Elphame, odgarnęła włosy w tył. Twarz miała

więc całkowicie odsłoniętą, jej blizny były doskonale widoczne.

Była pewna, że Cuchulainn patrzy na nią tak jak wszyscy, zafascynowany, a jednocześnie z odrazą. A

Cuchulainn czuł, że po prostu się rumieni. Brenna spojrzała na niego w chwili, kiedy gapił się na nią, jak jakiś rozpalony młodzik. Zakłopotany, potarł ręką twarz i zerwał się z krzesła.

- Spać, no tak - wymamrotał, czując się jak skończony głupek. - Powiniennem się przespać.

Brenna nie odzywała się, tylko patrzyła na niego swoim jasnym, otwartym spojrzeniem. On patrzył na

nią i jakoś wcale nie chciało mu się przestać patrzeć w jej łagodne, brązowe oczy.

- Będę czuwać przy Elphame - powiedziała po chwili. - Jeśli się obudzi, dam jej jeszcze tej herbaty.

Teraz powinna spać jak najdłużej.

- Ale ty... ty nie jesteś zmęczona?

Czy to jego głos? Taki niepewny? Gdzie podział się

jego słynny czar i wdzięk? I tupet? Jak tak dalej pójdzie, skończy się na tym, że rozmawiając z Brenną, będzie się jąkał i będą pocić mu się dłonie.

- Nie. Nie jestem. Spełniam swoje zadanie, zostałam obdarowana umiej ętnością opiekowania się rannymi.

- Tak, tak. Oczywiście...

Brenna przechyliła nieco głowę, spojrzała na niego uważniej. Co się dzieje? Czyżby Cuchulainn nie wierzył w jej umiejętności?

- Możesz mi zaufać, Cuchulainnie. Zaskoczenie w jego oczach na pewno nie było udawane.

- Ależ ja ci ufam, Brenno! - Odchrząknął, wyraźnie zakłopotany. - Pójdę już. Zdrzemnę się, ale tylko chwilę. Wrócę tu niebawem.

Wstał, podszedł do płachty u wejścia do namiotu i odsuwając ją na bok, spojrzał jeszcze raz przez ramię na Brennę.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek ci się odwdzięczę za to, co robisz dla mojej siostry. Dziękuję ci, Brenno.

Uśmiechnął się i pochyliwszy głowę, wyszedł z namiotu.

Brenna przez dłuższą jeszcze chwilę stała nieruchomo, zastanawiając się nad nietypowym zachowaniem zwykle tak pewnego siebie wojownika. Chociaż nietrudno było to wytłumaczyć.

Cuchulainn, wstrząśnięty wypadkiem Elphame, nie jest teraz sobą. Może i tak, ale co oznaczał ten dziwny wyraz twarzy, kiedy patrzył na nią, na Brennę? Potem wyraźnie się zarumienił. Dlaczego?

Nagle Brenna poczuła, że jej policzki wyraźnie robią się cieplejsze. Nie, nie, to niemożliwe!

Niemożliwe, żeby Cuchulainn przyglądał jej się w taki sposób, w jaki mężczyźni przyglądają się kobietom! Niemożliwe, a oczy

błyszczały mu, bo się podziękował, wracali przecież do zamku w ulewnym deszczu. Dlatego też jego policzki pokrył rumieniec. Kiedy wróci, po tej drzemce, trzeba będzie zainteresować się stanem zdrowia wojownika.

Usiadła wygodnie na krześle, na którym przed chwilą siedział Cuchulainn. Pochyliła się, chwyciła za pasek swojej torby - torby Uzdrowicielki - i przysunęła ją do siebie. Zaczęła w niej szperać, po chwili wyjęła z niej kartkę papieru i węgiel do rysowania. Miała za sobą długi, męczący dzień, a przed sobą

długie godziny czuwania. Czas szybciej minie, jeśli będzie miała zajęcie. Nie pozwoli jej zasnąć, poza tym uspokoi, a Brenna teraz, niewiedomo dlaczego, czuła się dziwnie podenerwowana, kompletnie

wytrącona z równowagi.

Węgiel przesuwiał się po białej kartce, kreśląc miękkie, pewne linie, kiedy Brenna odpływała gdzieś myślami. Była nieświadoma, że jej ręka sama rysuje to, co podpowiada podświadomość - przystojną twarz Cuchulainna.

Elphame we śnie poczuła się kołysana, leżała w czymś bardzo miękkim, ciepłym, czymś, co rozpoznała bez trudu. To skrzydła, pomyślał jej śpiący umysł, oczywiście skrzydła Lochlana, i natychmiast przez jej uśpione ciało przebiegł bardzo przyjemny dreszcz. W tym swoim śnie czuła na sobie delikatny dotyk jego palców. Tym razem jednak Lochlan nie opatrywał jej ran, tym razem pieścił jej ciało. A w niej narastało pożądanie, już otwierała się ku niemu... gdy nagle usłyszała znajomy głos, który jak kubeł zimnej wody w jednej sekundzie ostudził jej rozpalone zmysły. Głos Matki.

- Ale ona jest ranna! Muszę do niej jechać!

- Nie, Umiłowana. Ona musi nauczyć się sama żyć, bez ciebie. Musi dorosnąć.

Elphame, całkowicie dezorientowana, próbowała otworzyć oczy, ale odurzone ziołami ciało nie słuchało jej. Kazało zostać w mglistym królestwie snów, wśród chmur, wirujących wokół, jak jej na



wpół sprecyzowane myśli. Była w stanie tak do końca zdefiniować tylko głosy. Głos Matki i ten drugi,

głos innej kobiety.

- Ona jest moją córką. Muszę do niej jechać.

- Ona nie jest już dzieckiem, Umiłowana.

- Co nie znaczy, że przestała być moją córką! Matka była zirytowana, w jej przypadku to wielka rzadkość. Kłóciła się z tą drugą kobietą jak uparte dziecko.

- Oczywiście, Umiłowana. Ona zawsze będzie twoją córką, ale musi dorosnąć, stać się kobietą, zmierzyć się ze swoją przyszłością. A nie robi tego, jeśli ty nadal będziesz ją chronić przed przeciwnościami losu.

- Ale ona...

- Czy ty ufasz jej, Umiłowana?

Elphame we śnie wstrzymała oddech, czekając w napięciu na odpowiedź Matki.

- Tak. Ufam jej.

- W takim razie musisz dać jej wolną rękę, by mogła spotkać się ze swoim przeznaczeniem. A twoim przeznaczeniem, Umiłowana, jest ufać swojej córce. Tak samo jak mnie. Uwierzyć, że będę nad nią czuwać.

Nagle do Elphame dotarło, kim jest ta druga kobieta. Epona! Czyżby teraz słuchała rozmowy Matki z Boginią? Naprawdę, czy dalej śni?

Słyszała, jak Matka zrobiła długi, drżący wdech.

- Kiedy była malutka, łatwiej było być jej matką. Śmiech Bogini rozsypał się skrzącym srebrem po śnieżnobiałych chmurach.

- A czy mogę jej przynajmniej posłać wino, pościel

z cienkiego płótna? Przecież ona żyje tam w barbarzyńskich warunkach.

- Oczywiście, Umiłowana...

Głosy ucichły, wirujące chmury pociemniały. Usta śpiącej Elphame zadrżały, ułożyły się do uśmiechu. Cała mama! Wierzy, że dobre wino i drogie, cienkie płótno zagoi każdą ranę...

Lochlan, pogrążony we śnie, poczuł, jak dotyka go Elphame. Wyciągnął do niej rękę, też jej dotknął. Nie widział jej, ale wyczuwał pod palcami miękką, aksamitną skórę i w swoim śnie otulał Elphame skrzydłami.

Potem przestał ją wyczuwać. Poruszył się niespokojnie, na próżno starając się nie wybijać ze snu, ale zmęczenie po długim dniu wpływało negatywnie na jego koncentrację. Elphame wymykała mu się, znikając, jak piasek wysypujący się ze zbyt luźno wplecionego koszyka..

Obudził się i spojrzał w mrok jaskini. Jego pożądanie było teraz czymś jedynym namacalnym, siłą, która rosła w nim przez ćwierćwiecze. Oddychał głęboko. Na rękach trwał zapach jej krwi. Kiedy skrzydła zaczęły drżeć z pożądania, tym razem nie próbował ich uspokoić, nie walczył z ciemnością, z

bólem, który zaczął świdrować jego mózg. Tym razem zapomniał o swoim bezwzględny panowaniu nad emocjami. Jego ciało stwardniało z pożądania. Zamknął oczy i sam dał sobie rozkosz, pieszcząc się palcami, jednocześnie przywołując pod powiekami obraz Elphame. Nie takiej, jak minionej nocy, poranionej i wystraszonej, lecz takiej, jaką widział tamtego ranka, gdy obwieszczała swoim ludziom, że zamek MacCallana jest jej zanikiem. Elphame pięknej i radosnej, emanującej siłą.

Kiedy rozkosz minęła, otworzył oczy i natychmiast wyczuł zapach krwi. Swojej krwi. Palce u jednej z

dłoni piekły. Przekręcił głowę, żeby sprawdzić, co z nimi się stało. Już wiedział. W chwili największej rozkoszy drapał paznokciami skałę tak mocno, że wyźłobił w niej krwawe ścieżki.

Skulił obolałą dłoń, skulił się cały, czując największą rozpacz. Czy kiedykolwiek będzie mu wolno z nią się kochać? Nie zauważył, że podrapał skałę. A gdyby to była Elphame? Rozorałby paznokciami jej ciało, nie zdając sobie z tego sprawy!

Elphame, która była Wcieleniem Bogini, temu nie mógł zaprzeczyć. A Przepowiednia, przekazana mu przez matkę, głosiła, że tylko krew umierającej Bogini ocali jego i jego pobratymców od szaleństwa,

mrocznego dziedzictwa po ojcach Fomorianach.

Lochlan będzie musiał ją zabić. Zabić Elphame.

Zacisnął mocno szczęki. Nie! Musi być jakaś inna droga, musi!

Epono, błagam, nie pozwól, żebym ją skrzywdził. Prędzej sam umrę!

Przekręcił się na bok, podkulił nogi i starał się odpędzić od siebie strach i osamotnienie, przywołując w pamięci spojrzenie Elphame, pełne życzliwości. Nie patrzyła na niego jak na uosobienie wszelkiego

zła. Widziała w nim człowieka, a nie Fomorianina.

Zbyt długo jest sam... Samotność doskwierała. Zamknął oczy i pomyślał o tych, którzy zostali na Pust-

kowiu. Jak dają sobie radę? Jest początek wiosny, powinni teraz siać, sadzić, by podczas długiej zimy mieć czym napełnić żołądki. Powinni zacząć łowić i wędzić ryby, a kiedy śnieg stopnieje, wyruszyć w

góry, żeby schwytać dzikie kozy, którymi uzupełnia się stada udomowionych

kóz. Życie na Pustkowie nie jest łatwe, trzeba wiele zrobić, by przetrwać.

Wiedział, że podczas jego nieobecności przewodzić ludźmi będzie Keir. Ambitny Keir zawsze tego pragnął, siły i władzy. Cała nadzieja w Fallon. Oby udało jej się pomóc mu rządzić mądrze i trzymać na wodzy mroczne instynkty, które w przypadku Keira zbyt często zbliżały się do niebezpiecznej granicy.

Otworzył oczy, przerażony. Co on wyrabia? Jak mógł tak się zapomnieć?! Natychmiast wyciszył swoje myśli o domu, o swoich ludziach. Pogasty, jak ogień zalany wodą. Było to konieczne, zdawał sobie przecież sprawę, jak niebezpieczne są teraz tego rodzaju rozmyślenia. Psychiczna więź, jaka łączy go z jego pobratymcami, jeszcze jeden spadek po Fomorianach, była niezwykle silna.

Rozmyślanie o nich jeszcze ją umacnia, u obu stron, do tego stopnia, że może skłonić jego ludzi do wyruszenia w drogę jego śladem. Gdyby odnaleźli ścieżkę przez niedostępne Góry Trier, prowadzącą

do Partholonu, gdyby wysłedzili Lochlana - byłoby to fatalne. Przez ludzi z zamku MacCallana oni, hybrydy skrzydlatych ludzi, podobnych do Fomorian, byłiby postrzegani tylko w jeden sposób. Jako

najeżdźcy. I to prawda, byliby najeżdźcami, pomyślał z goryczą Lochlan. Przecież ich cel byłby jasny.

Pojmać Elphame i spełnić Przepowiednię.

Dlatego nie wolno o nich myśleć, tylko o Elphame. Ojej urodzie, ojej sile. O tym, że musi znaleźć się jakiś sposób, by ocalić jego ludzi. I zdobyć dla siebie Elphame.

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

- To już piąty dzień! Jeśli mnie stąd nie wypuścicie, oszaleję! - perorowała Elphame, nie dopuszczając brata do głosu. - Tylko mi nie mów, że moje rany są bardzo poważne! Ja sama wiem o tym najlepiej.

W boku piecze, jakby pogryzły mnie setki mrówek, boli mnie ramię i piąty dzień z rzędu rozsadza mi głowę. Ale powtarzam, muszę wyjść z tego namiotu i pójść gdzieś dalej, a nie wysiadywać tuż przed namiotem!

Płachta u wejścia do namiotu uniosła się, do środka weszła Brenna z tacą. Na tacy leżały czyste bandaże i stał kubek z parującymi ziółkami.

- Och, nie! - jęknęła Elphame. - Nie wypiję już ani

łyka tej usypiającej trucizny. Jestem zmęczona spaniem, zmęczona leżeniem w łóżku, zmęczona tym namiotem. A przede wszystkim jestem zmęczona swoim własnym zapachem!

Brenna spojrzała na Cuchulainna. Znękany podniósł obie ręce na znak, że się poddaje i odwróciwszy się od swojej rozczochranej, sfrustrowanej siostry, zaczął wyraźnie przesuwać się ku wyjściu, mówiąc

po drodze:

- Brenno, ty jesteś Uzdrawicielką i ty podejmujesz decyzję.

Obie kobiety spojrzały na niego identycznie. Posępnie.

- I pomyśleć, że dziewczęta prawie mdleją na jego widok! - wykrzyknęła oburzona Elphame. - Bo on podobno jest taki odważny!

- Ale te dziewczęta to nie moja siostra! Moja siostra, kiedy jest chora, jest okropna! Dlatego ja umywam ręce i zostawiam ją tobie, Brenno. Błagając cię o wybaczenie!

Uśmiechnął się do siostry, której oczy miały teraz błyskawice, skłonił się szarmancko Brennie, dodając jeszcze:

- Pokorny sługa...

I znikł za płachtą u wejścia namiotu.

- On nigdy nie da mi spokoju! Nigdy! Bez przerwy mnie się czepia... - zajęczała znów Elphame i z obrzydzeniem odgarnęła z czoła długie, tłuste pasmo brudnych włosów. - To straszne! Brenno, ja po prostu śmierdzę!

Po czym odruchowo podrapała się po bandażu na ranie z boku.

- Ale pod jednym względem ma rację. Zachowuję się okropnie.

Brenna uśmiechnęła się.

- Wcale nie, jesteś tylko znudzona tym leżeniem, czemu się nie dziwię. Dobrze, że się buntujesz.

Gdybyś

była potulna jak owieczka, wtedy naprawdę zaczęłabym się martwić o twoją głowę.

- Dzięki... - Elphame, oczywiście, podrapała się po głowie. - Ale jakoś to za mało, żeby poprawić mi humor.

- A kąpiel? Poprawi ci humor? Oczywiście Elphame rozbłysły.

- Oczywiście! Na Boginię, kochaną i słodką! Pewnie, że poprawi!

Szybko zsunęła obie nogi z łóżka, wstała i natychmiast zakręciło jej się w głowie.

- Tylko spokojnie - powiedziała Brenna, biorąc ją szybko pod łokieć zręcznym ruchem doświadczonej

Uzdrowicielki. - Nie wolno ci robić gwałtownych ruchów. A teraz oddychaj, oddychaj głęboko.

Elphame kilkakrotnie nabrała głęboko powietrza i w głowie przestało się jej kręcić.

- Już lepiej? - spytała Brenna.

- Tak, już całkiem dobrze... - Elphame zerknęła nieśmiało na Brennę. - Ale kąpiel nadal jest aktualna?

- Oczywiście. Dziś, ale później. Wieczorem.

- Ale...

Brenna podniosła rękę, nakazując jej milczenie.

- Później, bo przedtem będzie niespodzianka. I pamiętaj, nie wolno się kłócić ze swoją Uzdrowicielką!

- Dobrze, nie kłócę się... - Elphame zerknęła teraz na tacę, którą Brenna postawiła na stole. - Gotowa jestem wypić podwójną porcję twojej okropnej trucizny, byle szybciej znaleźć się w wodzie i wreszcie

być czysta!

Brenna zaśmiała się.

- Teraz jesteś prawie tak samo dramatyczna jak twój brat! A jeśli chodzi o te ziółka, które teraz przyniosłam, możesz wypić bez obaw. To tylko napar z kory wierzby, pomaga na ból głowy.

Elphame, czując niewysłowioną ulgę, przysiadła na brzegu łóżka, wzięła kubek i zaczęła popijać nieszkodliwą, jak się okazało, herbatkę.

- Jak wypijesz, możemy się przejść. Co ty na to? - spytała Brenna niewinnym głosem, jakby nie wiedziała, jaka będzie reakcja Elphame.

- Wyjdziemy na dwór?!

- Oczywiście! Wyjdziemy na dwór. Elphame znów łyknęła herbaty.

- Jesteś cudowna, Brenno.

- Naprawdę? Czyli już nie jestem strażnikiem więziennym, który poi cię trucizną?

- O, nie! - Elphame aż skuliła się. - Słyszałaś?

- Tak, przypadkiem. Ale... - Brenna dygnęła, jej oczy się śmiały. - Wiem, że milady starała się wyrazić jak najbardziej oględnie.

- Och, nie... - jęknęła znów Elphame, jeszcze bardziej rozpaczliwie. - Wiem, wiem, zachowuję się okropnie.

- Owszem - przytaknęła zgodnie Brenna, uśmiechając się od ucha do ucha. - Okropnie.

Elphame dopiła herbatę i wstała, powoli i ostrożnie, tak jak zaleciła Uzdrowicielka. Brenna powiesiła sobie na ramieniu torbę Uzdrowicielki i delikatnie wzięła Elphame pod rękę.

- Wolisz nie wypuszczać mnie z rąk? - spytała Elphame.

- Tak, tak wolę.

Obie zaśmiały się i powoli wyszły z namiotu. Przeszły kilka kroków, Brenna zatrzymała się i kazała

Elphame postać chwilę, żeby jej oczy przyzwyczyły się do blasku słońca. A potem poprowadziła ją w

lewo, w stronę lasu, który otaczał zamek od strony południowej.

Elphame odchrząknęła.

- Ty wiesz, Brenno, że nie lubię się skarżyć... Brwi Brenny przemieściły się nieco w górę, w milczącym sarkazmie.

- ...ale miałam cichą nadzieję, że przejdziemy się do zamku. Nie było mnie tam przez pięć dni i jestem trochę ciekawa, co się dzieje.

- Pójdiesz do zamku. Wieczorem.

- Nie teraz?

- Nie, teraz nie - oznajmiła Brenna, uśmiechając się tajemniczo. - Teraz pójdziemy do lasu.

Wydawało mi się, że lubisz las.

- Oczywiście! - zapewniła ją Elphame. Las... przecież w lesie jest on!

- To dobrze. Na skraju lasu widziałam kilka gładkich kamieni. Usiądziesz sobie wygodnie, stamtąd jest bardzo ładny widok i na zamek, i na morze. Posiedzimy sobie na słoneczku, ty odprężysz się, a ja popracuję nad wzorami gobelinów.

- Brzmi zachęcająco - powiedziała Elphame i uśmiechnęła się do Brenny, uśmiechem raczej nieobecny, ponieważ myślami była już gdzie indziej.

Idą na skraj lasu, a gdzieś w tym lesie czeka Lochlan. Czy naprawdę? Elphame chyba po raz tysięczny

przekląła swoją zawodną pamięć, która nie zarejestrowała wszystkiego. Co do jednego była pewna.

Lochlan nie jest wytworem jej wyobraźni. Istnieje. Zabił wielkiego dzika, wniósł ją po zboczu jaru i

opatrzył ranę. Potem otulił swoim ciepłem. To wszystko pamiętała, choć jak przez mgłę, była przecież

wtedy wystraszona i obolała. Natomiast z ich rozmowy zapamiętała tylko fragmenty.

Powiedział jej, że zna ją ze swoich snów.

Powiedział, że będzie na nią czekał.

Przyznał się, że jego ojciec był Fomorianinem.

Fomorianin... Nagle w pamięci ożyła dramatyczna scena. Lochlan z rozłożonymi skrzydłami, jego przystojna twarz wykrzywiona, jak maska zła, w ręku krótki miecz, tym mieczem podrzyna gardło nacierającemu dzikowi...

Było piękne popołudnie, bardzo ciepłe, mimo to Elphame poczuła na plecach zimny dreszcz.

Natychmiast też poczuła na sobie wzrok Brenny. Dlatego, żeby uspić jej czujność, powiedziała szybko:

- Wszystko w porządku. Przypomniał mi się ten wypadek.

Spojrzenie Uzdrawicielki natychmiast złagodniało.

- Brighid mówiła, że to był ogromny dzik. I ty musiałaś stoczyć z nim walkę! Wolę o tym nie myśleć.

- Ja... szczerze mówiąc, chyba jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałam - odparła Elphame wymijająco,

życząc sobie z całego serca, żeby Brenna zmieniła temat.

- Dzięki Eponie przeżyłaś, Elphame. Nie chciałam wspominać o tym w obecności twojego brata, ale zauważyłam, że sypiasz bardzo niespokojnie, co wcale mnie nie dziwi. Po takich przeżyciach!

Elphame napotkała pełen współczucia wzrok Brenny i szybko odwróciła głowę. Gdyby Brenna wiedziała, że we śnie nie dręczą jej żadne koszmary, tylko...

Czuła, że oblewa się rumieńcem.

- Nie ma się czego wstydzić, Elphame - powiedziała Brenna, delikatnie ściskając ją za ramię. - Jeśli te sny cię męczą, dam ci coś mocniejszego na sen, chociaż, szczerze mówiąc, wolałabym tego nie robić.



- I nie trzeba! - zaprotestowała Elphame, czując wyrzuty sumienia, kiedy usłyszała w głosie przyjaciółki niepokój. - Te sny wcale nie są takie straszne. - Uff! Przynajmniej to nie było kłamstwem.

Jej sny w ciągu tych

pięciu nocy wcale nie były straszne, były cudowne.

- A mój niespokojny sen spowodowany jest tym, że nie jestem przyzwyczajona do bezczynności. To się zmieni, kiedy wrócę do normalnego trybu życia.

- Wrócisz niebawem. Twoje rany goją się nadzwyczaj szybko. Co zakrawa prawie na cud.

Elphame zrobiła znaczącą minę.

- Tylko proszę, nikomu o tym nie mów!

- Oczywiście, że nie. Uzdrowicielka nikomu nie wyjawia swoich sekretów.

- Co za ulga! Sama rozumiesz, że nie chcę, żeby ludzie z powrotem zaczęli traktować mnie jak Boginię, kogoś, kogo stawia się na piedestale.

- Rozumiem, Elphame - powiedziała cicho Brenna.

- Rozumiem to doskonale. Niełatwo jest żyć, kiedy jest się innym niż wszyscy.

Tym razem Elphame nie miała żadnego problemu ze spojrzeniem Brennie prosto oczy.

- Tak. Niełatwo.

Szły dalej w stronę lasu, każda pogrążona w swoich myślach. Elphame popatrywała na prawo i na lewo, zdumiona, ile tu już zrobiono. Wykarczowano drzewa i zarośla pod murami zamku, teraz wzdłuż murów ciągnął się tylko szeroki pas starannie skoszonej trawy o szerokości kilkuset kroków, tę szerokość Cuchulainn uznał za konieczną ze względów bezpieczeństwa. Pozostawiono tylko kępy starannie przyciętych dereni przy drodze do lasu, Elphame zauważyła też, że Cu zostawił przy życiu kilkanaście krzewów jeżyn, które ze swoimi szaleńczo splątanymi pędami stanowiły wielki kontrast do uporządkowanego otoczenia. W sumie wykonano kawał dobrej roboty i zrobiono to z sercem, za co

Cuchulainnowi i mężczyznom należała się wielka

pochwała i podziękowanie. I to Elphame miała zamiar uczynić przy pierwszej sposobności.

Rano popadało, nasycony wilgocią i ciepłem popołudniowego słońca las wyglądał przepięknie, jakby

umyła go i ogrzała sama Bogini. Ale nie weszły tam. Brenna zaprowadziła Elphame pod wysokie sosny na skraju lasu, gdzie leżał wysoki stos dużych gładkich kamieni różnej wielkości.

- Usiądź tu sobie, Elphame. O, tam. Oprzyj się wygodnie o ten duży głaz. I spójrz na zamek. Widok stąd jest przepiękny.

El, mając na uwadze nadal bardzo wrażliwą ranę z boku, siadała bardzo ostrożnie, powolutku i oparła

się

o gładki duży kamień, który okazał się wyjątkowo wygodnym oparciem. Brenna natomiast podwinęła spódnicę i ze zręcznością umykającej myszy wspięła się na jeden z największych kamieni z wystającą

uniesioną krawędzią. Tam Brenna położyła swój szkicownik, prawie jak na sztalugach. Potem

rozsiadła się i zaczęła szperać w swojej przepastnej torbie. Najpierw wyjęła z niej kilka węgli do rysowania, potem, po chwili zastanowienia, trochę sflaczały bukłak i rzuciła go Elphame.

- Myślę, że czujesz się już wystarczająco dobrze

i możesz wypić sobie łyczek czerwonego wina.

- Oczywiście! Wreszcie j akaś miła odmiana po twoich ziołowych herbatkach - mruknęła Elphame i zachwycona przytknęła bukłak do ust.

- Nie marudź - sarknęła Brenna. - Te herbatki pomagają ci odzyskać zdrowie. Ciesz się słońcem i podziwiaj piękny widok, a ja popracuję. Muszę coś tam poprawić, chodzi o wieżę, potem pokażę ci ten szkic.

- Dobrze. Zrobię dokładnie, co każesz.

Elphame wcale nie czuła się urażona, kiedy Brenna

tak nią dyrygowała. Przeciwnie, była z tego bardzo zadowolona, oznaczało to bowiem, że Brenna w jej towarzystwie czuje się swobodnie. Traktuje ją jak normalnego człowieka, a nie Boginię. Troszczy się o nią, bo jest jej Uzdrowicielką, czasami robi to w sposób bezceremonialny, bo jest jej przyjaciółką. Czyli jest cudownie.

Elphame wypła jeszcze jeden łyk wina i wciągnęła głęboko w płuca rześkie wiosenne powietrze, przesycone zapachem morskiej wody zmieszany z zapachem sosen. Zachwycona była także faktem, że tego ranka po raz pierwszy od pięciu dni wcale jej nie boli w boku, kiedy robi porządny wdech. Spojrzała na zamek, na widocznych z dala ludzi, krzątających się po nim jak po ulu pszczoły robotnice. Spiczasty dach na jednej z czterech wież strażniczych był już w stanie idealnym, na dwóch wieżach był w trakcie naprawiania, tak samo jak olbrzymi dach zamku. W ciągu kilku ostatnich dni Elphame obserwowała prace budowlane z daleka, leżąc na szezlongu, który Brenna pozwoliła rozstawić przed namiotem. Ale dopiero teraz, będąc tak blisko zamku, zdała sobie sprawę, ile już tam zrobiono w czasie, gdy ona leczyła swoje rany.

- Jest piękny, prawda? - powiedziała niemal z czcią.

- Tak... - mruknęła Brenna, pochłonięta szkicowaniem. Węgiel przemykał po kartce, w górę i w dół, w

lewo, w prawo, w końcu przystanął. Brenna zdmuchnęła pyłek z kartki i zmrużywszy oczy, spojrzała krytycznym okiem na swoje dzieło.

- Gotowe - oznajmiła, odkładając węgiel. - Myślę, że ta wieża wygląda teraz tak, jak powinna.

Nachyliła się i podała Elphame szkicownik z grubego, szorstkiego papieru.

Na rysunku nie było zgliszcz i i ruin. Brenna narysowała

zamek MacCallana w całej krasie, taki, jaki miał być po odbudowie. Potężne mury, brama z kutego żelaza, na każdej z czterech wież dumnie powiewająca chorągiew. Pomyślała nawet o tym, żeby na każdej chorągwi widniała wspinającą się klacz - herb klanu MacCal-lanów.

- Och, Brenno! Narysowałaś to przepięknie. Jest tu wszystko, dosłownie wszystko, co sobie wymarzyłam!

Brenna aż zarumieniła się z zadowolenia.

- Po prostu bardzo dobrze opisałaś mi to słowami, Elphame.

- Nie, nie! Przede wszystkim rysujesz przepięknie, Brenno! Masz wielki talent! - zawołała zachwycona Elphame i zanim Brenna zdążyła zaprotestować, zaczęła wertować szkicownik. Było w nim wiele szkiców poszczególnych fragmentów zamku, rysunki dłoni i stopy, a potem... potem, ku wielkiemu zaskoczeniu Elphame, był już tylko Cuchulainn. Kartka po kartce.

A więc to tak... Elphame, naturalnie, zabrała się za wnikliwe studiowanie podobizn brata, wykonanych po mistrzowsku. Na każdej z nich Cu był w innej pozie i wyraźnie w innym nastroju, Brenna znakomicie potrafiła to oddać.

Na jednym ze szkiców zmęczony, wyraźnie przygnębiony Cuchulainn wyglądał tak, jakby nagle przybyło mu co najmniej dziesięć lat.

- Tak wyglądał Cu tamtego dnia, kiedy miałam wypadek - powiedziała cicho, nie mogąc oderwać oczu

od twarzy brata. Wyglądał jak żywy, a w jego spojrzeniu było tyle troski i czułości.

- On j est... on j est... j a po prostu chciałam... - Brenna, wyraźnie bardzo zmieszana, przełknęła nerwowo i dokończyła już trochę spokojniej: - Twój brat jest wyjątkowo interesującym modelem. Ma twarz o idealnych rysach, bardzo wyrazistą i taką dumną.

- O, tak. Znakomicie to uchwyciłaś, Brenno... - Elphame z trudem oderwała wzrok od wspaniałego portretu brata. - Czy mogłabyś podarować mi ten szkic? Proszę!

Brenna przechwyciła spojrzenie Elphame. Nie było w nim litości, nie było w nim żadnych wyrzutów, tylko niekłamany zachwyt.

- Naturalnie, bardzo proszę, Elphame. Wybierz sobie szkice, które ci się podobają.

- Tylko ten jeden, Brenno. Wszystkie są piękne, ale nie chcę ci ich zabierać.

Elphame, widząc spłoszony wzrok Brenny, uśmiechnęła się do niej bardzo ciepło, myśląc sobie jednocześnie, że ta dziewczyna na pewno ogromnie spodobałaby się jej matce.

Nagle usłyszały tętent końskich kopyt. Ktoś nadjeżdżał. Cuchulainn. Jakby sprowadziły go tu myślami. Brennie wystarczyło jedno spojrzenie na jego posępną twarz.

- Coś się stało? - spytała z niepokojem.

- Tak. Angus. Kiedy piłował resztki zwęglonych belek, piła wysunęła mu się z rąk. Rana wygląda paskudnie.

Nachylił się i wyciągnął rękę do Brenny. Brenna bez chwili wahania chwyciła go za rękę, Cuchulainn podciągnął ją na grzbiet konia. Usiadła za nim, a Cuchulainn spojrzał srogo na swoją siostrę.

- Masz się stąd nie ruszać. Zaraz po ciebie wrócę. Elphame machnęła niecierpliwie ręką.

- Dlaczego zaraz? Chcę tu sobie jeszcze posiedzieć. Wreszcie udało mi się wyrwać z mojego więzienia.

- Ale, jak powiedziałem, masz się stąd nie ruszać. Jeszcze jedno srogie spojrzenie, Cuchulainn spiął konia

i pognął z powrotem do zamku. El widziała, jak szczupłe ręce Brenny obejmują go kurczowo, jak jedna z rąk Cu sięga w tył i przygarnia Brennę mocniej do pleców.

A więc to tak... pomyślała Elphame. Cuchulainn i Brenna. Intuicja jej nie zawiodła. Ciekawe, czy któreś z nich zdaje sobie już z tego sprawę. Prawdopodobnie jeszcze nie. Cuchulainn, mimo swego ogromnego doświadczenia z kobietami, w kwestii miłości był tak samo niedoświadczony jak jego siostra. I on, i ona byli kompletnie na to nieprzygotowani.

- Nieprzygotowani... - szepnęła Elphame. Ona na pewno nie, a poza tym życie potrafi zaskoczyć. Na spotkanie z Lochlanem na pewno nie była przygotowana, bo i jak? A może to były tylko halucynacje?

Nie, niemożliwe, nie brakowało przecież niezbitych dowodów na istnienie Lochlana. Martwy dzik. Jej

rana opatrzona mchem... Czy on naprawdę ma skrzydła jak Fomorianin? Fomorianin... Po plecach

Elphame przebiegł zimny dreszcz. Oderwała oczy od zamku i spojrzała za siebie, na las.

Tak, ma skrzydła, ale ona nie czuła żadnego lęku. Pamiętała to doskonale. Nie bała się go. Dlaczego?

Dlatego, że jego obecność Wyczuwała jako coś, co powinno być. Do tego wniosku doszła już wcześniej. W ciągu minionych pięciu dni miała wystarczająco dużo czasu, żeby się nad tym zastanowić. Stąd również drugi wniosek. Czy przypadkiem ona nie wykazuje się zwyczajną głupotą, kierując się właśnie Wycuciem, czymś, co odkryła u siebie tak niedawno?

- Lochlan... - Nie mogła się powstrzymać. Musiała to powiedzieć na głos i nagle powiał łagodny wiatr.

Na odsłoniętych rękach Elphame zakłuło leciusieńko, jakby imię to, które uleciało z jej ust, zmaterializowało się,

przycupnęło tam na chwilę, potem przechwycił je wiatr i poniósł dalej, w głąb lasu. Tam, gdzie ktoś czekał...

Elphame energicznie potrząsnęła głową, zawstydzona swoją wybujałą wyobraźnią. Nonsens. Imię ukochanego wcale się nie materializuje, kiedy wymówisz je na głos, nie wspominając już o tym, że Lochlan nie jest jej ukochanym.

- Uderzyłam się w głowę, dlatego teraz wyobrażam sobie nie wiadomo co - stwierdziła na głos i podniosła buklak do ust.

- Co takiego sobie wyobrażasz, najdroższa?

Wino było dopiero w połowie drogi przez gardło. Zaskoczona Elphame, krztusząc się i pokaszując, spojrzała szybko na las.

Z gałęzi sosny, rosnącej nieopodal, zeskoczył mężczyzna ze skrzydłami. Jak gigantyczny ptak. I pozostał tam, w mrocznym miejscu wśród pni i konarów. Elphame dostrzegła jednak, jak składa skrzydła, jak na jego twarzy pojawia się nieśmiały uśmiech.

- Nie chciałem cię wystraszyć, Elphame.

- Na Boginię! Czyli ty istniejesz! - wyrzuciła z siebie gwałtownie i poczuła się bardzo głupio.

Niestety, nie zdążyła ugryźć się w język.

- Miałaś co do tego wątpliwości? Elphame skwapliwie pokiwała głową.

- Ogromne.

Lochlan zaśmiał się. Tak radośnie, zaraźliwie, że zdenerwowanie Elphame zaczynało znikać.

- Nie dziwię się - powiedział Lochlan. - Ja nie odniosłem żadnych obrażeń, a mimo to nasze spotkanie

wydawało mi się czymś nierealnym, nie z tego świata.

- Jak sen...

- Nie, najdroższa. W naszym przypadku... nie. Ty i ja śnimy inaczej, nasze sny są niezwykle...

Elphame czuła, że się rumieni, a jednocześnie, o dziwo, wcale nie miała ochoty umykać wzrokiem przed bacznym spojrzeniem szarych oczu Lochlana, który teraz już cały wynurzył się spośród drzew.

Nawet z tymi skrzydłami, teraz złożonymi na plecach, poruszał się niebywale zręcznie. Elphame patrzyła jak zahipnotyzowana, przez chwilę pochłonięta tylko jego widokiem. Ale kiedy chwila minęła i jej umysł znów zaczął normalnie funkcjonować, uświadomiła sobie, że przecież ktoś może go

zobaczyć.

Podniosła rękę, dając mu znak, żeby się zatrzymał.

- Chcę, żebyś mi to wszystko wyjaśnił. Muszę wiedzieć dokładnie, kim jesteś, co się między nami dzieje. Nikt jednak... - spłoszony wzrok Elphame przemknął dookoła - ...nie powinien nas teraz widzieć. Nikomu o tobie jeszcze nie mówiłam, nawet Cuchulainnowi.

Po twarzy Lochlana przemknął cień. Był niewątpliwie rozczarowany, ale skinął głową i cofnął się do miejsca, gdzie stał przedtem, w półmrok wśród drzew na skraju lasu.

Elphame na moment zrobiło się trochę głupio, zaraz jednak poczuła coś całkiem innego. Złość. Po pięciu dniach nudy i frustracji nerwy miała w strzępach, dlatego najchętniej wykrzyczałaby mu prosto w twarz, że widzi go po raz pierwszy w życiu - co do tego nie ma żadnych wątpliwości - i że jest on dla niej tylko i wyłącznie obcą istotą, bardzo intrygującą, owszem, ale obcą.

Złość znikła, głupie słowa uwięzły w gardle, kiedy spojrzała mu w oczy. Oczy koloru burzowych chmur. Spojrzała w nie i nagle poczuła przerażającą pewność, że zobaczyła w nich swoją przyszłość. W pamięci ożyły słowa Cuchulainna, opowiadającego jej o swojej wizji. Powiedział, że Elphame w zamku

MacCallana spotka się ze swoim przeznaczeniem. I związane jest to z jej towarzyszem życia.

Czyżby miał to być... Lochlan?

Tak.

Co jeszcze mówił Cu? Mówił, że kiedy próbuje skupić się na szczegółach dotyczących tego mężczyzny, wszystko staje się mgliste, niejasne. Teraz wiedziała, dlaczego wizja brata była niekompletna. Ileż mądrości jest w Bogini, która nie dopuściła, by Cuchulainn w czasie swojej wizji zobaczył Lochlana dokładnie! Gdyby Cu wiedział, że przyszły mąż jego siostry jest synem Fomorianina, synem demona, to... O, nie. Elphame bała się nawet o tym pomyśleć.

- To wszystko staje się takie trudne... - powiedziała nieswoim głosem.

Lochlan uśmiechnął się.

- Moja matka powiedziałaaby, że w takim razie jest to coś, co warto zrobić.

Kiedy wspomniał o matce, w jego głosie słyhać było czułość. I to wystarczyło, żeby irytacja Elphame

znikła.

- Musiałeś bardzo ją kochać.

- Tak. Moja matka obdarzyła mnie człowieczeństwem, nauczyła mnie, co znaczy ten dar. Nigdy nie widziała we mnie monstrum, widziała tylko swego syna.

- Nie jesteś żadnym monstrum! Uśmiech Lochlana był słodko-gorzki.

- Nie, nie jestem monstrum, ale w moich żyłach płynie krew demonów i obojgu nam nie wolno o tym zapominać.

- Powinnam się ciebie bać?



- Na to pytanie nie potrafię ci odpowiedzieć... - Ręka Lochlana uniosła się, jakby zapragnęła dotknąć Elphame. - Ale wiem, że prędzej bym umarł, niż ciebie skrzywdził.

Co robić? Umysł Elphame zmagał się teraz z jej sercem, prowadząc z nim coś w rodzaju wojny domowej. Umysł w tym momencie krzychał głośniej. Powinna powiedzieć Lochlanowi, żeby sobie poszedł. Dać mu szansę wycofać się z honorem, zanim ona poinformuje Cuchulainna, że potomek Fomorianina przybył do Partholonu. Powinna przestać myśleć jak romantyczna idiotka, bo to wszystko jest tylko snem, ale bardzo niebezpiecznym snem...

- Jeśli naprawdę tego chcesz, odejdę, Elphame.

- Odgadujesz moje myśli?!

- Nie, tego nie potrafię. Ale czytam w twojej twarzy i oczach. Śniłem o tobie od chwili twoich narodzin, miałem więc wystarczająco dużo czasu, żeby poznać twoją mimikę, nauczyć się z wyrazu twarzy odgadywać twój nastrój.

Elphame podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy, starając się zignorować smutek, jaki tam dostrzegła. Powiedzieć mu, żeby sobie poszedł? Oczywiście, że mogłaby to zrobić. Ona, której przeznaczeniem jest być Przywódczynią Klanu MacCallana, ona, która została dotknięta mocą Bogini. Ona, która nie jest takim sobie zwyczajnym człowiekiem...

- Jak Lochlan... - podpowiedział jej cichym szeptem umysł.

Patrzyła na niego, postanawiając teraz w duchu, że postara się zobaczyć całą prawdę o istocie, która stała przed nią. Jego ciało było niewątpliwie ciałem człowieka. Był bardzo dobrze zbudowany, wysoki

i muskularny. Ale istoty ludzkie nie mają skrzydeł pokrytych meszkiem, nie mają skóry, która jaśnieje, jakby od środka była podświetlona bladym światłem. Nie przypominała sobie też, żeby kiedykolwiek widziała człowieka o takiej niezwykłej szarości oczu. Szarości chmur, niosących burzę.

Spojrzała w dół, na jego białe stopy stojące na zielonym poszyciu lasu.

- Tak, mam szpony - powiedział Lochlan, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem. Przesząpił z nogi

na

nogę i lekko wzruszył ramionami. - Ja mam szpony, a ty masz kopyta. Gdybym miał możliwość wyboru, chyba bym jednak nie zdecydował się na stopy zwykłego człowieka. Jakoś nie wyobrażam sobie siebie w butach.

- Ja też nie! - Elphame, całkiem nieoczekiwanie, roześmiała się głośno. - Nigdy jeszcze nikomu o tym nie mówiłam. A nieraz myślałam sobie dokładnie to samo. Nie wyobrażasz sobie, co moja Matka potrafi wcisnąć na swoje nogi! Prawdziwe narzędzia tortur! Kiedy byłam dziewczynką, bardzo bolała

nad tym, że nie mogę nosić ani pończoszek, ani eleganckich pantofelków. Musiała zadowolić się polerowaniem moich kopytek, zawsze lśniły jak lustro. Próbowałam jej wytłumaczyć, że dla mnie to żadna tragedia. Ja po prostu lubię swoje kopyta, ale mama chyba nigdy tak do końca z nimi się nie pogodziła.

Lochlan uśmiechnął się.

- A moja matka nakazała mi, bardzo stanowczo, regularnie obcinać szpony, bo miała dość ciągłego za-

szywania dziur w moich prześcieradłach.

Jakże łatwo z nim się rozmawiało! Wystarczyło przestać zastanawiać się, co w nim jest z człowieka, a

co nie, i po prostu rozmawiać, jak kobieta z mężczyzną. Zapomnieć, że jest inny niż zwyczajni ludzie.

Ale - na Boginię! Przecież ona też jest inna! Inna niż zwyczajny człowiek. A poza tym serce jej podpowiada, że Lochlan na pewno nie jest żadnym potworem.

Tylko... czy swemu sercu można ufać bezgranicznie?

O co spytała Epona matkę Elphame? Spytała, czy darzy

swoją córkę zaufaniem. Matka, bez chwili wahania, odpowiedziała twierdząco.

Elphame wierzyła w siebie, w słuszność swojej decyzji w sprawie podjęcia się odbudowy zamku

MacCallana. Nie miała żadnych wątpliwości, że dokonała właściwego wyboru. Ale co z Lochlanem?

Tu po raz drugi miała wybrać, świadoma, że ta decyzja zaważy na całym jej życiu. Ale trzeba ją podjąć, bo może nadszedł czas na dorosłość, na obdarzenie siebie samej zaufaniem.

Lochlan, czekając w półmroku wśród sosen, starał się nie okazywać po sobie, ile kosztuje go ta chwila oczekiwania na decyzję Elphame. Patrzył, jak walczy ze sobą, ze swoimi sprzecznymi emocjami.

Patrzył i milczał, bo i co mógłby jej teraz powiedzieć? Prosić, żeby go zaakceptowała? Nie miał do tego prawa, bo przecież może się zdarzyć, że nie znajdzie się inna droga do spełnienia Przepowiedni, że będzie można ją spełnić tylko za cenę krwi Elphame.

Powinien teraz odejść. Odwrócić się, zniknąć w głębi lasu i nigdy więcej już jej nie zobaczyć. Zrobić tak, nawet jeśli w ten sposób skaże swoich ludzi na obłąd. Na zawsze.

Ten demon był w nim zawsze, pływał w jego krwi. Strumienie czarnej krwi szeptały teraz-porwij ją. Weź ją i zrób z nią wszystko, co zechcesz.

Nie! Lochlan z ulgą powitał ból, który pojawiał się zawsze, gdy udało mu się stłumić w sobie mroczne

instynkty. Ból uporczywy, który sprawiał, że jego ludzie, tracąc człowieczeństwo, powoli poddawali się szaleństwu i nieustannej żądzy krwi. Tym odznaczała się rasa Fomo-rian, rasa ich ojców. Ból był ceną, jaką płacili za dążenie do tego, by być czymś więcej niż ich ojcowie demony. Byli istotami niezwykłymi. Każdy z nich w łonie matki uległ przemianie, zamiast demonów Fomorian urodziły się istoty prawie ludzkie, ale z przeklętym dziedzictwem, zawsze obecnym, zawsze kuszącym, z którym trzeba było toczyć nieustanną walkę. Z pokusą, która rządziła ich snami o śmierci i towarzyszącym jej odurzającym zapachem krwi.

Zabicie Elphame miałoby uwolnić jego ludzi od wyniszczających ich złych mocy? Czy to możliwe, żeby Bogini tego właśnie oczekiwała od niego, od Lochlana? Nie, to nie ma najmniejszego sensu.

Musi być jakiś inny sposób na spełnienie Przepowiedni.

Elphame była tak blisko. I już nie była to niezmaterializowana kobieta z jego snów, lecz istota z krwi i kości, żywa, oddychająca. Stała w odległości zaledwie kilku kroków od niego. Nie, teraz by nie

potrafił od niej odejść, jeszcze nie. Całe stulecie walczył z ciemnością i miałby się teraz wycofać?

Elphame powoli podniosła głowę i napotkała jego wzrok. W jej oczach była niepewność, widniały pytania, odzwierciedlające chaos, jaki panował w jej duszy, niewątpliwie taki sam, jaki zawładnął teraz jego duszą.

- Elphame, ja sam nie do końca rozumiem, co się dzieje ze mną. Wiem tylko na pewno, że moje serce, prawdopodobnie także moja dusza, są zjednoczone z twoim sercem i twoją duszą. Jeśli nie będzie ciebie u mego boku, nigdy nie przestanę cię pragnąć. Nigdy, do ostatniego tchu.

Pragnął jej. Elphame dopiero teraz zaczęła to sobie uświadamiać. I wprawiło ją to w zachwyt. Obok zachwytu odczuwała także lęk, chociaż jednocześnie w niej też obudziły się pragnienia. Dotknąć go, poczuć pod palcami bicie jego serca, ciepło jego ciała. On śnił o niej przez całe jej życie, ona śniła o nim zaledwie przez drobny ułamek swego życia, ale wiedziała już, że chce czegoś więcej niż ulotnych

snów i nadziei, tylko do połowy spełnionych.

Nie zastanawiając się już dłużej, zsunęła się ze swego kamiennego fotela. Spojrzała na zamek. Pełno robotników. Wszyscy zajęci pracą, nikt nie patrzy w tę stronę. I, co najważniejsze, ani śladu Cuchulainna, pędzącego na swoim wałachu. A poza tym - bez przesady. Nawet gdyby ktoś widział, jak znika w lesie, nic się nie stanie. W końcu każdy od czasu do czasu oddala się w ustronne miejsce. Odwróciła się do Lochlana i nagle zachciało jej się płakać. Był taki duży, mocny, a w tym momencie wyglądał tak bezbronne, tak okropnie bezbronne, że Elphame z żalu ścisnęło się serce.

- Elphame... - odezwał się Lochlan zdławionym głosem. - Nie powinienem tu być.

Jego słowa zadrżały w uszach Elphame, zadrżały w jej sercu. W skroniach zapulsowało, a nogi, absolutnie nie porozumiewając się z głową, ruszyły do przodu, jakby przyciągane niewidzialną siłą.

Zatrzymała się przed Lochlanem na wyciągnięcie ręki. Wysoka trawa zaszeleściła, kiedy ze zdenerwowania najpierw przestąpiła z nogi na nogę, potem wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Wcale nie chcę, żebyś odchodził. Choć nie wiem, czy powinieneś zostać, czy pójść już sobie. Nie

wiem, może to po tym uderzeniu w głowę trochę ciężko mi się myśli.

Próbowała się uśmiechnąć, Lochlan też, widziała, jak kąciki jego ust drgnęły.

- I chyba jest to trochę zaraźliwe! - powiedział niby żartem, ale szare oczy spojrzały z wielką uwagą na jej ranę na głowie. - Goi się dobrze, prawda? - Potem spojrzał na jej ramię, w sumie zadowolony, że

mają jakiś bezpieczny temat do rozmowy, nie wzbudzający gwałtownych emocji. - O, widzę, że

Uzdrowicielka pozwoliła ci zrezygnować już z temblaku.

- Brenna - uściśliła Elphame. Bliskość Lochlana była po prostu odurzająca, miała nadzieję, że zwyczajna rozmowa towarzyska okaże się skutecznym antidotum.

- Moja Uzdrowicielka ma na imię Brenna. Ma wyjątkowe umiejętności, a poza tym jest moją przyjaciółką.

Lochlan pokiwał głową, po czym wskazał na jej bok.

- Chciałbym zobaczyć, jak goi się ta rana. Elphame odruchowo zasłoniła ręką miejsce, gdzie pod płótnem i bandażem była rana.

- Goi się bardzo dobrze. Masz moje słowo. To ci powinno wystarczyć.

Na twarzy Lochlana pojawił się uroczy, chłopięcy uśmiech.

- Nie wstydź się. Widziałem przecież już twój goły bok!

- O, Bogini...

Bardzo chciała w tym momencie powiedzieć coś lekkiego, dowcipnego, w czym celował jej brat. Ona,

niestety, nie była w tym biegła, poza tym Lochlan nie był jedną z tych głupich dziewczyn, które czarował jej brat.

- Tak, ale było to w wyjątkowych okolicznościach. Teraz nie ma tu dzika, który przygotowuje się do ataku na mnie - powiedziała w końcu, czując się trochę dziwnie. Chciała przecież, żeby jej dotknął, a jednocześnie wcale nie była taka pewna, czy kiedy Lochlan to zrobi, ona nie ucieknie do zamku. - A poza tym... - ciągnęła, bo z tego zdenerwowania stała się nagle wyjątkowo elokwentna

- poza tym nie jestem wdzięcznym obiektem do oglądania, ani w ubraniu, ani bez. Od tamtej przygody z dzikiem ani razu się nie kąpałam.

Wreszcie udało jej się zmusić usta, żeby się w końcu zamknęły i nerwowo przeczesła palcami swoje

długie włosy. Były kompletnie bez połysku, bo beznadziejnie

brudne. Jednocześnie zaczęła odruchowo cofać się, przerażona, czy ona aby nie rozsiewa wokół siebie

zapachów, które trudno określić jako przyjemne.

Ale Lochlan nie pozwolił jej się odsunąć. Nie ruszając się z miejsca, wyciągnął dłoń i chwycił ją mocno za przegub ręki. Dokładnie w chwili, gdy zamierzała ponownie przeczesać palcami te obrzydliwie brudne włosy.

Jego ręka, ciepła, bardzo silna, zaczęła powoli przyciągać Elphame.

- A więc powiem ci, co widzę, kiedy patrzę na ciebie, Elphame. Moja matka wpajała we mnie swoją wiarę, uczyła też zasad, jakimi kierują się ludzie w Partholonie. Przekazała mi swoją miłość do jej Bogini, do Epony. Niezliczoną ilość razy słyszałem, jak błagała ją o specjalne błogosławieństwo dla mnie, dla wszystkich takich jak ja. Była bardzo związana z Boginią, od niej czerpała swoją siłę przez całe życie. Była człowiekiem głębokiej wiary. Zmarła, wierząc, że jej modlitwy zostaną wysłuchane...

Lochlan znów pociągnął Elphame za rękę, tym razem Elphame, idąc za głosem serca, wcale się nie opierała, tylko podeszła do niego bardzo blisko.

- A więc widzisz - mówił dalej Lochlan nabrzmiałym od wzruszenia głosem - według mnie, moja matka mi ciebie wymodliła. Wyszłaś do mnie z jej modlitwy i wkroczyłaś do mojego serca. Kiedy patrzę na ciebie, Elphame, widzę tylko moją miłość, trwającą tak długo, widzę spełnienie moich najgorętszych pragnień.

Bardzo delikatnie, jakby obawiał się, że Elphame znów odsunie się od niego, wyciągnął rękę i musnął

palcami jej policzek, podbródek, szyję, na koniec jego dłoń dotknęła jej ramienia.

- Boli cię jeszcze? - spytał.

- Co? - spytała półprzymtomnie. Nic dziwnego, stała tak blisko niego, w kręgu ciepła, bijącego z jego ciała.

- Twoje ramię.

Lochlan widział, jak wargi Elphame rozchyliły się, oczy zwilgotniały, zrobiły się półprzymtomne. Tak reagowała na jego dotyk, aż tak... Uśmiechnął się, odsłaniając siekacze, bardzo białe i bardzo ostre. Elphame drgnęła i szybko spojrzała w bok, ale Lochlan wsunął palec pod jej brodę i zmusił, żeby z powrotem spojrzała na niego. Prosto w oczy.

- To tylko zęby, Elphame.

- Przestań w końcu ogadywać moje myśli! Specjalnie, żeby ukryć zakłopotanie, udała złość.

- Powiedziałem ci już, że tego nie potrafię.

- Ale odgadujesz wszystko z mojej twarzy!

- Nic na to nie poradzę. Twoja śliczna twarz jest wyjątkowo wyrazista.

Znów się uśmiechnął, Elphame tym razem nie spojrzała w bok. Jego zęby były niezwykle, bardzo ostre, wyglądały groźnie. Nagle przypomniały jej się fragmenty z książek historycznych z biblioteki matki i przez jej głowę zaczęły przelatywać jedna trwożliwa myśl za drugą. Fomorianie byli demonami... czuli niezaspokojoną żądzę krwi... zwłaszcza w okresie łączenia się w pary... karmili się krwią innych żywych istot, żeby przeżyć... polowali na ludzi...

- Czy ty... - Zamilkła, szukając odpowiednich słów, dzięki którym mogłaby sformułować pytanie jak najbardziej ogłędnie. Niestety, to konkretne pytanie musiało być obcesowe: - Czy ty karmisz się krwią innych?

Lochlan był wyraźnie zaskoczony.

- Nie, nie karmię się krwią innych - odparł. - Wolę gotowane posiłki. I martwe.

- W takim razie dlaczego...

Spojrzenie Elphame przemknęło po jego wargach.

- Chodzi ci o moje zęby, tak? To też spadek po ojcu. Ale jestem w wystarczającym stopniu człowiekiem, żeby nie musieć karmić się krwią innych. Jednocześnie jednak jestem Fomorianinem w wystarczającym stopniu, żeby nosić w sobie ślady ich żądz krwi.

Elphame zrobiła głęboki, drżący wdech.

- Czytałam, że Fomorianie nawzajem pili swoją krew. Lochlan westchnął.

- To prawda. Fomorianin pożył krwią swojej towarzyszk życia, ona jego. Ta wymiana krwi pieczętowała ich związek. - Uśmiechnął się, bardzo smutno. - Na pewno wydaje ci się to straszne.

- Nie wiem - szepnęła. Jej spojrzenie znów przemknęło po jego ustach i wróciło do oczu, szarych szarością chmur. Jakby to było, gdyby... gdyby ona go teraz pocałowała?

Spytaj go... Ta myśl przemknęła jej przez głowę, jak suchy jesienny liść, pędzony przez wiatr, a zaraz potem, ku swemu największemu zdumieniu, usłyszała swój głos.

- Gdybyś mnie pocałował, czy twoje zęby poraniłyby moje wargi?

- Nie, na pewno nie - powiedział cicho.

- Powiedziałeś, że nosisz w sobie żądzę krwi. Czy chciałbyś posmakować mojej krwi?

Poprzez ich złączone ręce wyczuła dreszcz, przebiegający przez jego ciało.

Spokojnie wytrzymał jej wzrok.

- Chciałbym od ciebie bardzo wiele, Elphame. Ale niczego od ciebie nie wezmę, czego nie zechcesz mi dać sama.

- Ja... ja, szczerze mówiąc, sama nie wiem, czego chcę... Nigdy dotąd nie byłam całowana.

- Wiem.

Oczy Lochlana pociemniały

- Myślę, że... że czekałam na ciebie - dokończyła Elphame ledwo dosłyszalnym głosem.

- A ja czekałem na ciebie - odszepnął Lochlan. Głos rozsądku podpowiadał - bądź ostrożny. Nie spiesz się, boją wystraszysz. Jest taka młoda, niedoświadczona...

Ale on musiał jej zakosztować.



Nachylił się, bardzo powoli, żeby dać Elphame możliwość odwrotu. Ale Elphame stała nieruchomo, czekając. Na jego usta.

Było całkiem inaczej niż się spodziewała. A spodziewała się, że dla kogoś, kto robi to po raz pierwszy, pocałunek będzie czymś trudnym, krępującym. Pomyliła się. Usta Lochlana, kiedy dotknęły jej ust,

były ciepłe, zdecydowane i takie zachęcające. Jej wargi pasowały do jego warg idealnie. A kiedy dotknął językiem jej języka, przestała w ogóle myśleć i całkowicie poddała się pocałunkowi.

Zamknęła oczy i całą sobą chłonęła Lochlana. Był jak las - dziki, piękny, nieujarzmiony.

Zapamiętał się w tym pocałunku, tak jak ona. Jedną rękę wsunął w jej włosy, drugą przygarnął ją do siebie. Elphame poddała się temu całkowicie, jej ręce bezwiednie objęły go za szyję, ale nawet w tej chwili uniesienia była świadoma, że coś ociera się o jej rękę. Dziwne odczucie, tak dziwne, że otworzyła oczy i odsunęła usta od ust Lochlana.

To jego skrzydła. Kiedy zaczęły się rozkładać, otarły się o jej rękę. Już rozpostarły się nad Lochlanem, teraz

spojrzenie Elphame powróciło do jego twarzy. Szare oczy aż poczerniały z pożądania.

- One odzwierciedlają moją namiętność - powiedział zachrypniętym głosem. - Nie panuję nad tym.

Nie wtedy, kiedy ty jesteś ze mną, kiedy trzymam cię w ramionach i tak bardzo cię pożądam.

- Są częścią ciebie...

- Tak. Ale tą mroczną, z którą walczę.

Wróciła spojrzeniem do skrzydeł. Rozłożonych nad nią, jakby Lochlan miał zamiar ją dokądś ponieść.

Te imponujące skrzydła od spodu miały kolor księżyca, księżyca w pełni.

- Są piękne - szepnęła.

Lochlan odrzucił głowę w tył, jakby uderzyła go w twarz.

- Nie żartuj!

- Dlaczego miałabym żartować? - W jego oczach zobaczyła ból. Speszona tym Elphame szybko

opuściła ręce. - Lochlanie, czy... czy mogłabym ich dotknąć?

Na moment zaniemówił. Był w stanie tylko skinąć głową, powoli, z wielkim wysiłkiem, bo miał wrażenie jakby teraz brnął przez głęboką wodę.

Elphame bez chwili wahania podniosła rękę i dotknęła skrzydła nad jego lewym ramieniem.

- Tak... - szepnęła. - Są takie miękkie, jak myślałam.

Ostrożnie musnęła palcami kremowy meszek. Skrzydła zadrżały, wydawało się, że pęcznieją, a jednocześnie Lochlan wydał z siebie przeraźliwy jęk.

Elphame natychmiast cofnęła rękę.

- Przepraszam! Zabolało cię?

Lochlan mocno zacisnął powieki. Na jego czole pojawiły się krople potu.

- Nie! Nie! - Zabrzmiało to trochę jak śmiech, trochę jak płacz. - Nie przestawaj. Dotykaj mnie.

Dotykaj!

Wcale nie miała zamiaru przestać dotykać jego niezwykłego ciała. Mogłaby robić to bez końca.

Dlatego znów bez chwili wahania podniosła rękę i dotknęła uwodzicielskiej miękkości jego skrzydeł.

Nie zdążyła ich jednak pogłaskać, bo Lochlan nagle złapał ją za rękę.

- Ktoś idzie - szepnął. Przechylił głowę w bok, chwilę nasłuchiwał. - To kobieta centaur. Łowczyni.

- Och, nie! - jęknęła przerażona Elphame. - Uciekaj stąd, jak najprędzej! Ona nie może cię zobaczyć!

- Ale niebawem znów się zobaczymy? Czy tak, Elphame? - W głosie Lochlana słychać było rozpacz.

- Musimy się spotkać!

- Wymyślę coś, Lochlanie, na pewno znowu się spotkamy, ale teraz idź, błagam, idź! Łowczyni będzie

przekonana, że na mnie napadłeś! Nie rękę za nią!

- Idę, najdroższa. A ty pamiętaj, że zawsze czekam w pobliżu. Zawołaj mnie, a natychmiast będę przy tobie.

Nachylił się i pocałował ją jeszcze raz, przyciskając wargi do jej ust, desperacko, prawie brutalnie. Ale Elphame wcale go nie odepchnęła. Na jego namiętność odpowiedziała namiętnością z siłą większą niż

u zwyczajnego człowieka.

Musiał uruchomić całą siłę woli, żeby oderwać się od Elphame i wydawszy z siebie cichy okrzyk rozpaczy, odwrócił się i znikł. Wchłonął go las.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

Elphame drżącą ręką ocierała usta, spiesząc z powrotem na skraj lasu. Ledwo zdążyła dopaść do stosu

kamieni, usiąść i zrobić dwa głębokie wdechy, kiedy na skraju lasu pojawiła się Brighid. Biegła wdzięcznym klusem, z daleka wykrzykując słowa powitania. Elphame pomachała do niej i zmusiła się

do uśmiechu, powtarzając sobie w duchu, że nie wolno dopuścić, by ktokolwiek się zorientował, że ona przed chwilą była całowana. Nikt, także Łowczyni, chociaż w jej przypadku niebezpieczeństwo było raczej znikome. Łowczyni nie skupiała się na twarzach, interesowały ją przede wszystkim ślady...

Ślady! Mózg Elphame szarpnął się, jak spłoszony żrebak. O, Bogini! Przecież Łowczyni może natrafić na ślady Lochlana! Czują, że blednie, na pewno, skoro pogodne spojrzenie Łowczyni na jej widok uległo diametralnej zmianie.

- Cuchulainn powiedział, że mam cię przywieźć z powrotem do zamku - zakomunikowała, spoglądając na Elphame z niepokojem. - Jego zdaniem, stanowczo za długo jesteś na dworze. I ma rację, bo wyglądasz nieszczególnie.

- Nie znoszę, kiedy Cuchulainn ma rację! Specjalnie tak krzyknęła, z nadzieją, że ten mały wstrząs powstrzyma w końcu jej spojrzenie od przemykania po lesie w poszukiwaniu choćby najmniejszego śladu obecności Lochlana.

- My wszyscy za tym nie przepadamy. Elphame, chodź już! - Brighid podała Elphame rękę i pomogła

jej zsunąć się z kamienia. - A więc jak? Wskakujesz?

- Nie trzeba, dziękuję.

- Jesteś pewna? Wiesz przecież, że bardzo chętnie cię podwiozę.

- Wiem, wiem - Elphame uśmiechnęła się do strapionej Łowczyni. - Dziękuję za dobre chęci, Brighid,

ale wolę się przejść. Cała zeszywniałam od tego siedzenia na kamieniach.

Była poruszona propozycją kobiety centaura. Nie zapomniała też, jak tamtego wieczoru Brighid

wiozła ją na swym grzbiecie - ją i Cuchulainna - z lasu do zamku. Potem, w ciągu tych ostatnich pięciu dni, kiedy tylko miała wolną chwilę, zaglądała do Elphame. A czasu miała przecież niewiele, zajęta

dostarczaniem dziczyzny na stół. Obie, Brenna i Brighid, starały się bardzo, żeby Elphame jak

najlepiej zniosła swoje uwięzienie w namiocie. W rezultacie teraz Elphame poczuła się jak zdrajczynie, przecież błagała w duchu Eponę, by nie pozwoliła Brighid zauważyć śladów Lochlana.

Rozsądek jednak podpowiedział, że zamiast tym się zadręczać, lepiej miło pogawędzić z Łowczynią.

- Cieszę się, że przyszedłaś po mnie, Brighid. Zawsze miło mi cię widzieć.

- Dziękuję. A wczoraj wiele się wydarzyło. Dołączyli do nas nowi ludzie, pięciu młodych mężczyzn razem ze swoimi żonami.

- Nic o tym nie wiem! - Elphame, bardzo niezadowolona, przymrużyła oczy. - Cuchulainn nie pisał o tym ani słowa. Oczywiście! Traktuje mnie jak kalekę!

- Twój brat może rzeczywiście jest trochę... męczący - przyznała zgodnie Brighid, uśmiechając się jednak do siostry owego brata. Bo Cuchulainn, choć potrafił zirytować, posiadał wiele zalet.

Chociażby to, że z nim nigdy nie było nudno i w jego towarzystwie można było czuć się swobodnie.

A Brighid, ogólnie rzecz biorąc, wcale nie uważała ludzi za istoty łatwe do współżycia, wykluczając

oczywiście Elphame, Brennę i jeszcze kilka osób. Brighid, jak dotąd, niewiele miała z ludźmi do

czynienia, teraz miała okazję poznać ich lepiej. Pierwszą jej refleksją było stwierdzenie, że zbyt często u ludzi, niedorównujących siłą centaurom, słabość fizyczna idzie w parze ze słabym charakterem.

Poza tym zdążyła już zauważyć, że istoty ludzkie mają tendencję do sztucznego zachowania wobec przedstawicieli jej rasy. Albo przesadzają z okazywaniem akceptacji, chcą bratać się na siłę - albo nadymają się i starają się na każdym kroku okazać swoją wyższość. Brighid nie zgadzała się z radykalnymi poglądami plemienia Dhianna, głoszącymi konieczność odizolowania się od siebie poszczególnych ras, tym niemniej pod jednym względem, jej zdaniem, plemię to miało całkowitą rację. Większość istot ludzkich naprawdę trudno jest zrozumieć.

Spojrzała na Elphame, istotę, która nie była ani człowiekiem, ani centaurem, i uśmiechnęła się, widząc jej ponurą minę. Elphame, choć nie lubiła swojej odmienności, nigdy nie próbowała udawać, że jest

kimś innym niż jest. Była

urodzoną przywódczynią, dotkniętą przez Eponę. Dlatego Brighid od samego początku darzyła Elphame szacunkiem, jeszcze zanim poczuła do niej wielką sympatię.

- Jeśli czujesz się na siłach walczyć z Cuchulainnem, to znaczy, że naprawdę odzyskujesz zdrowie.

Brenna będzie szczęśliwa!

- Ale nie Cu - powiedziała Elphame z pełnym satysfakcji uśmiechem.

Do zamku wracały powoli, Lowczyni dostosowała swój chód do tempa Elphame. W pewnej chwili, zamiast podążać w stronę morza, wyraźnie zaczęła skręcać z powrotem, w stronę lasu. W głowie Elphame natychmiast rozdzwoniły się wszystkie dzwoneczki alarmowe.

- Może pójdziemy brzegiem klifu? - zaproponowała, wskazując na nabrzeżne urwisko. - Mam wielką ochotę spojrzeć na morze.

Brighid nie oponowała, kiedy jednak szły już brzegiem zdradliwego klifu, stwierdziła wręcz z niesmakiem:

- Zupełnie nie rozumiem, skąd u ciebie taki pomysł. Ja, kiedy stoję nad przepaścią, wcale nie czuję się pewnie.

- Ty?! - Elphame spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Nigdy bym nie podejrzewała, że kiedykolwiek tracisz pewność siebie.

Łowczyńni parsknęła.

- Na pewno bym straciła, lecąc w dół! -1 żartobliwie szturchając Elphame w bok, dodała: - Ty wiesz już coś na ten temat.

- Nie da się ukryć - przyznała z westchnieniem Elphame.

- Drugi raz wolałabym czegoś takiego nie przeżywać. Przez dłuższą chwilę szły w milczeniu.

Elphame szła

sobie, bardzo zadowolona, głaszcząc źdźbła wysokiej trawy, rosnącej wzdłuż klifu, a Brighid zastanawiała się w duchu, czy nie jest to sprzyjający moment, by właśnie teraz porozmawiać z Elphame. Ojej wypadku, a dokładniej o pewnym dowodzie, który zdumiał Łowczyńnię. Elphame od dawna nie wyglądała na tak zrelaksowaną jak teraz, może więc rzeczywiście była to odpowiednia pora na poruszenie tego tematu. Brighid odchrząknęła.

- Chciałam cię o coś zapytać, Elphame, o coś, co związane jest z twoim wypadkiem. Pomyślałam sobie jednak, że może odłożę to na później, kiedy całkowicie odzyskasz zdrowie.

- Na Boginię! Brighid! Boisz się, że nie będę miała siły iść, jeśli zmusisz mnie do myślenia? A poza tym moja głowa funkcjonuje należycie. Chcesz dowodów? Mam wyrecytować ci z pamięci jakiś poemat? Może nawet dwa?

Brighid podniosła ręce, jakby broniąc się przed napaścią.

- Poemat? Błagam, nie! Wierzę ci na słowo, Bogini! Elphame spojrzała na nią ze złością.

- Wiozłaś mnie na swoim prywatnym grzbiecie! I mimo to nazywasz mnie Boginią?!

- W porządku. Nie będzie Bogini. Boginie nie są takie ciężkie! - wypaliła Brighid i przeraziła się.

Elphame na widok jej nieszczęśliwej miny wybuchnęła głośnym śmiechem i jęknęła, chwytając się za bok.

- Przestań! Nie rozśmieszaj mnie!

Ciężko dysząc, oparła się o Brighid. Ale za każdym razem, kiedy na nią spojrzała, znowu wybuchała

śmiechem.

- Może przestaniesz w końcu - powiedziała Brighid z kwaśną miną. - W końcu to, co powiedziałam, wcale nie było takie śmieszne. A może ty wpadłaś w histerię?

Elphame, z trudem łapiąc powietrze, pokręciła głową.

- Chodzi o to, że powiedziałaś szczerą prawdę. Nie jestem drobniotka.

Brighid prychnęła.

- Ktoś tak ciebie nazwał?

- Oczywiście, że nie! - Elphame udało się w końcu zapanować nad głupim śmiechem i pokuśtykała przed siebie, trzymając się za obolały bok. - Dopóki nie przyjechałam do zamku MacCallana, nikt oprócz mojej rodziny nie widział we mnie nic normalnego. Zawsze byłam czymś niezwykłym, Tą, Którą Dotknęła Epona. Dlatego cudownie, że w końcu ktoś się mnie czepia i mówi, że mój tyłek jest po prostu za wielki.

- Wcale się nie czepiam twojego zadu!

- No, może wyraziłaś się oględniej, w każdym razie miło mi, że jesteś wobec mnie taka bezpośrednia.

Z tym, że w czepianiu się, jak wiadomo, najlepsza jest Brenna.

- O, tak. Ona nikomu nie popuści. Czy wiesz, że mnie też zmusiła do wypicia jej ziółek? Na wzmocnienie, żebym nie przemęczyła się podczas polowania!

- I jak? Dało się przełknąć? - spytała Elphame ze współczuciem.

Brighid skrzywiła się.

- Były obrzydliwe!

- Ale podziałały?

- Nie mogło być inaczej.

Spojrzały na siebie z pełnym zrozumieniem i nagle oczy Elphame rozblęły.

- A może powiedzieć jej, że Cuchulainn ostatnio wygląda na przemęczonego?!

Brighid zaśmiała się.

- Świetny pomysł! I wiesz co? Ty naprawdę myślisz całkiem normalnie!

- Dzięki. Proszę, powiedz to wszystkim. Mam już po dziurki w nosie tego traktowania mnie, jak kogoś

niespełna rozumu.

- Zrobię to z największą przyjemnością.

- Dzięki. A teraz, kiedy masz już pewność, że jestem zdolna udzielić ci rozsądnej odpowiedzi, pytaj.

Bo chciałaś mnie o coś zapytać, prawda?

Rozbawienie Brighid znikło. Przez chwilę milczała, zbierając myśli, a kiedy odezwała się, jej głos zabrzmiał bardzo poważnie.

- Tamtej nocy, kiedy zabiłaś dzika w jarze, byłaś tam sama? Czy ktoś z tobą był?

- Razem ze mną? Ktoś? O co ci chodzi, Brighid? Elphame starała się ze wszystkich sił, by jej twarz była

bez wyrazu, głos spokojny.

- Chodzi o to, że znalazłam martwego dzika z poderżniętym gardłem. Leżał na środku strumienia.

Znalazłam też miejsce, gdzie ty upadłaś. I znalazłam też ślady, które na pewno nie są twoimi śladami.

- Nie są moimi? Nie rozumiem - powiedziała Elphame, czując, jak wszystko w niej zamiera.

Nienawidziła kłamstwa, nigdy w życiu nie kłamała. Dopiero teraz, po tym wypadku. I bolało ją, że swoje przyjaciółki wprowadza w błąd.

- Ja też nie rozumiem. Przyznaję, było już ciemno i zaczęło padać, deszcz zaczął rozmywać ślady, ale to, co udało mi się zobaczyć, było niezwykle. Ślady zwierzęcia, jakiego nigdy dotąd nie spotkałam.

Czy wiesz... - Brighid spojrzała na Elphame z wyraźnym niepokojem - że podobne ślady widziałam w

lesie koło zamku?

W tym momencie Elphame przede wszystkim dokonała nadludzkiego wysiłku, tłumiąc w sobie



dławiący strach. Po czym najbardziej nonszalanckim głosem, na jaki było ją stać, spytała:

- A może był to jakiś wielki niedźwiedź? Przecież wiadomo, że w tych lasach od stu lat nikt nie polował, może jakieś zwierzęta rozmnożyły tu się nadmiernie.

Brighid westchnęła.

- Może i tak. Ale na pewno nie były to ślady niedźwiedzia, tylko jakiejś istoty dwunożnej. Nie chcę posuwać się za daleko, ale... ale kto wie, może do Partholonu powróciły smoki?

Zdumienie Elphame było absolutnie szczere. Nie musiała niczego udawać. Od stuleci o smokach opowiadano w bajkach, śpiewano w balladach. Jeśli nawet żyły kiedyś naprawdę, to od setek lat nikt ich nie widział.

- Myślisz, że mi się tylko coś przywidziało? - zapytała Brighid.

- Ależ skąd! Wierzę każdemu twemu słowu. Może rzeczywiście w tym lesie są smoki... - Elphame spojrzała na Brighid i uśmiechnęła się. - Tylko nie mów o tym Cuchulainnowi. Zaraz chwyci za włócznię i wybiję biedne smoki, co do nogi! A tak na serio, Brighid, proszę, obiecaj mi coś. Dzięki temu będę miała czyste sumienie.

Łowczyni uniosła pytająco brew.

- Bez względu na to, co to była za istota, nie trop jej. Daj sobie z tym spokój, przynajmniej odczekaj do chwili, gdy w zamku zacznie toczyć się normalne życie i będziesz mogła skrzyknąć sobie do pomocy

inne Lowczynie.

Elphame czuła, jak każde jej słowo wypala na niej piętno zdrajczynie, najgorszej z najgorszych. W tym momencie zdradzała i Lochlana, i swoją przyjaciółkę. Nie wiedziała jednak, co innego powiedzieć albo co zrobić.

Brighid wzruszyła lekko ramionami.

- Jak sobie życzysz, Elphame. Ja i tak mam pełne ręce roboty. Zdobywać pożywienie dla coraz większej hordy!

Poszły dalej brzegiem klifu, obie pogrążone w milczeniu, obie pochłonięte tą samą myślą. O śladach szponów w lesie.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- El! Tutaj!

Cuchulainn, stojąc koło zamkowej bramy, machał ręką, przyzywając do siebie siostrę i Łowczynię.

Elphame, choć zmartwiona, że ten niedługi przecież spacer okazał się dla niej tak męczący, zmusiła się do uśmiechu. Jednocześnie wyprostowała się, wcale się przy tym nie krzywiąc - mimo że prawa ręka natychmiast przypomniła, że wcale jeszcze nie jest zdrowa.

Kiedy razem z Brighid podeszła do brata, z zamku wybiegła Brenna, ocierająca ręce o spryskany krwią fartuch. Na widok Elphame i Brighid wydała z siebie radosny okrzyk, kiedy jednak podeszła wystarczająco

blisko, by dokładnie widzieć swoją podopieczną, natychmiast z przyjaciółki przeistoczyła się w zatroskaną Uzdrowicielkę.

- Jak z ręką robotnika? Mam nadzieję, że rana nie jest poważna? - spytała Elphame.

- Dojdzie do siebie. Ale w przyszłości, kiedy będzie zajęty piłowaniem, powinien powstrzymać się od

machania do ładnych dziewcząt - odparła Brenna, spoglądając spod przymrużonych powiek na bladą, ściągniętą twarz Elphame.

- Nie wiem, czy nie pospieszyliśmy się z tą niespodzianką dla ciebie - powiedziała surowym głosem i

nie zważając na protesty Elphame, odsłoniła jej bok, żeby sprawdzić opatrunek na ranie.

- Jak z nią? Może kazać przynieść tu szezlong? - spytał Cuchulainn, spoglądając ponad ramieniem Brenny.

- Nie! Ona nie potrzebuje szezlongu! - Elphame, obciągając suknię, spojrzała na nich ze złością. - Ona potrzebuje kąpieli, czegoś porządnego do zjedzenia, a nie tylko cienkiej zupki. Poza tym chwili samotności!

Kąciki ust Brenny drgnęły, na jej twarzy pojawił się rozbrajający, krzywy uśmiech.

- W takim razie będziesz bardzo zadowolona z niespodzianki.

- Niespodzianka?! A cóż to niby za niespodzianka, jeśli wolno spytać?!

Elphame całą siłą woli powstrzymywała się, żeby nie zazgrzytać zębami. Cała ta trójka zdecydowanie

zaczynała jej działać na nerwy. Bo ona nie potrzebuje żadnych głupich niespodzianek, tylko kąpieli, porządnego posiłku i chwili samotności, żeby mogła spokojnie to i owo przemyśleć sobie i wyciszyć się. Bo mocnych przeżyć jakoś ostatnio jej nie brakowało.

- Chodź ze mną, siostró - powiedział Cuchulainn i uśmiechając się tajemniczo, wziął ją pod rękę i poprowadził przez bramę.

- Elphame! Jak to dobrze, że milady doszła już do siebie!

El spojrzała w górę, skąd dobiegł męski głos. A dobiegł z zamkowego muru, dokładniej z niedawno odbudowanego ganku dla straży zamkowej. Pomachała do mężczyzny, odnajdując w pamięci jego imię.

- Dziękuję, Brendan!

Kiedy przechodziła przez puste odrzwia w murze wewnętrznym, jeszcze kilku robotników powitało ją

radosnym okrzykiem. Każdemu z nich miło podziękowała, a kiedy weszła już do zamku, na główny dziedziniec, stanęła jak wryta. Porażona, ile zrobiono tutaj w ciągu zaledwie pięciu dni.

Zamek wyglądał jak nowy. Woda w fontannie szemrała i gulgotała, ktoś przyniósł z lasu dorodne krzewinki wrzosów, które posadzano w glinianych dzbanach i ustawiono wokół dziewczyny z marmuru. Do nowych uchwytów na ścianach i kolumnach powkładano płonące pochodnie, lśniąca posadzka była czyścusiętka, bez jednej plamki. Piękna, jakby całe stulecie zaniedbania nie zaszkodziło jej urodzie. Przeciwnie, wpłynęło na nią wielce korzystnie.

- Och, Cu! Te kolumny!

Podeksytowana, ścisnęła go za ramię, wbijając wzrok w największą kolumnę na środku dziedzińca, która stała tam jak żołnierz na warcie. Dumna i czujna. I pieczołowicie odnowiona. Rozedrgane światło pochodni głąskało kunsztowny ornament z przeplecionych węzłów i powtarzających się motywów - kwiatów, ptaków i wspinającej się klaczy.

Ta kolumna po prostu nuciła sobie z zadowolenia, tę samą radosną melodię, jaką wyśpiewywała teraz

dusza Elphame. Elphame wcale nie musiała dotykać kolumny, by to Wyczuć, ale podeszła, pragnąc nawiązać z nią głębszą więź. Jednocześnie jednak poczuła na sobie wzrok co najmniej tuzina par oczu,

a to przypomniało jej, że nie jest tu sama. Dlatego zacisnęła dłonie w pięści i przycisnęła do boków.

Nie, nie ma sensu robić z siebie teraz przedstawienia przed tak liczną publicznością.

O kamienną posadzkę mocno zastukały czyjeś kopyta. Z grupki robotników w pobliżu fontanny

wysunął się Danann.

- Kamień cię wzywa, Elphame. Masz rzadki dar, nie wahaj się z odpowiedzią.

Stary centaur powiedział to półgłosem, ale jego słowa i tak słyhać było na całym, coraz bardziej zatłoczonym dziedzińcu.

Elphame spojrzała spłoszonym wzrokiem na centaura, potem omiotła spojrzeniem cały dziedziniec.

- Nie rozpraszaaj się - powiedział Danann, teraz bardzo cicho, wprost do jej ucha. - Kiedy kamień przemawia do ciebie, możesz zrobić tylko jedno. Odpowiedzieć mu.

- Wyszło to trochę szorstko, dlatego uśmiechnął się.

- Zamek MacCallana jest twoim przeznaczeniem, Bogini. Wzywał cię, kiedy byłaś daleko, wzywał przez długi, długi czas. Teraz musisz mu odpowiedzieć. Niech mu odpowie twoja dusza i twoje ciało.

Elphame z przejęcia oblizwała wargi i przełknęła z wielkim trudem. Słowa Dananna miały sens, była przecież związana z tym zamkiem - z jego murami, ścianami, posadzkami, kolumnami. I z duchami przeszłości. Pragnęła tego związku, pragnęła z całego serca.

Jeszcze jedno spojrzenie na Dananna.

Danann skinął głową zachęcająco.

Skupiła się i przyłożyła dłonie do centralnej kolumny. Pod jej palcami stary kamień natychmiast zaczął się nagrzewać, mięknąć. Był coraz cieplejszy, ciepło przenikało do rąk Elphame i rozchodziło się po całym ciele. Jednocześnie w jej głowie rozległ się radosny okrzyk.

- Wiara i wierność!

Serce Elphame aż podskoczyło, kiedy usłyszała tak dobrze znane jej słowa. To było zawołanie Klanu Mac-Callanów, teraz wykrzykiwane przez kamienie mocnym, zdecydowanym głosem. Głosem zwycięzców. Elphame też krzyknęła, choć cichutko, czując się teraz bezgranicznie szczęśliwa.

Jednocześnie kątem oka zauważyła, że brat chciał do niej podejść, ale Dannan powstrzymał go.

- Twojej siostrze nie stanie się nic złego - powiedział półgłosem, kładąc swoją starą pomarszczoną

dłoń o sękatych palcach na ramieniu Cu. - Ona czerpie siłę z tych kamieni.

Słowa starego Mistrza Kamieniarza Elphame słyszała jak przez mgłę, ale ich treść dotarła do jej świadomości. Czy naprawdę można czerpać siłę z tych kamieni? Przedziwna myśl. Czyżby istotnie było to możliwe?

Kiedy zastanawiała się nad tym, nagle w fali ciepła, zalewającej jej ciało, nastąpiła wyraźna zmiana.

Jakby kamień usłyszał jej wątpliwości. Pod palcami znów zaczęło się robić zdecydowanie cieplej, prawie gorąco i nagle Elphame poczuła wielki przypływ energii. Jak u nurka, który po długim pobycie

pod wodą wynurza się na powierzchnię, ledwo żywy, ale wystarczy, że zaczerpnie powietrza i wstępują w niego nowe siły. On odżywał po łyku powietrza, Elphame czerpała siłę z kamienia. Ból w

jej ramieniu i boku wyraźnie złagodniał, ból głowy, prawdziwa udręka od pięciu dni, ustąpił całkowicie.

Zamknęła oczy, zrobiła kilka głębokich, oczyszczających oddechów i tak jak przed kilkoma dniami nauczył ją Danann, skupiła się, całą sobą wsłuchując się w kamień. Żywy kamień.

Dziękuję, szepnęła bezgłośnie. Nie wiem, dlaczego to właśnie mnie pozwalasz cieszyć się tym magicznym darem. Nie wiem. Ale jestem ci za niego nieskończenie wdzięczna.

Duch centralnej kolumny zamku odpowiedział. Tym razem nie były to fragmentaryczne odczucia, przekazywane El, lecz coś więcej.

Słowa.

- Długo czekaliśmy na powrót Przywódcy Klanu MacCallanów, długo czekaliśmy, by znów w tych murach zatętniło życie. Cieszymy się, Bogini, że przyjechałaś, by wziąć to, co twoje, co należy ci się z racji urodzenia.

Nagle wszystkie zmysły Elphame wyostrzyły się w stopniu wprost nieprawdopodobnym, budzącym lęk. Był to moment, kiedy jej duch jednoczył się z duchami kamienia. Chwila wstrząsająca, oszałamiająca, przeżywała to przecież po raz pierwszy. Czuła, że chłonie jeszcze więcej energii,

nieprawdopodobne jej ilości, a potem poczuła, że już stało się. Ona i zamek byli jednością, jedną żywą tkanką, mieli wspólną krew. Mury zamkowe były jej skórą, jej kończyny wieżami i częściowo odnowionymi komnatami i salami. A jej kręgosłup był kolumną centralną. Czuła w sobie każdy zakamarek, każdą najmniejszą wnękę zamku.

Zamek. Jej nowy dom. Myślała o nim ze wzruszeniem, czułe myśli przepływały przez fundamenty starej budowli, niosły ze sobą obietnicę nowego życia w starej siedzibie Klanu MacCallanów.

Cuchulainn stał nieruchomo i patrzył, jak Świat Duchów zawładnął jego siostrą. Ciężka dłoń Dananna nadal spoczywała na jego ramieniu, palce miały zaciśnięte, jakby stary centaur doskonale wiedział, że Cuchulainnowi niełatwo jest pozwolić siostrze wejść do świata, z którym on, Cuchulainn, nie chciał mieć do czynienia.

Ale nawet on, Cuchulainn, musiał przyznać, że to, co się teraz dzieje z Elphame, jest fascynujące.

Jeszcze przed chwilą zmęczona, zdenerwowana uległa na oczach brata transformacji. Kiedy zjednoczyła się z duchami, zmęczenie znikło, dotąd blade policzki pokrył zdrowy rumieniec, nawet włosy uniosły się lekko wokół jej głowy. Teraz Elphame emanowała siłą, siłą tego starego zamku.

Po raz pierwszy w życiu Cuchulainn zobaczył, jak w jego siostrze ożywa Bogini. Przez chwilę Elphame wydała mu się całkowicie obcą osobą, budzącą lęk. Wiedział jednak, że stało się to, czego Elphame zawsze pragnęła z całego serca. Porozumienie ze Światem Duchów. Jej życzenie spełniło się. On, brat, powinien się cieszyć, że w końcu Elphame spotkała się ze swoim przeznaczeniem. A tymczasem czuł wielkie przygnębienie, tak samo wielkie jak jego lęk.

Oderwał oczy od Elphame, spojrzął dookoła, na ludzi i na centaury. Wielu z nich złożyło ręce jak do modlitwy, dwie kobiety padły na kolana. Na wszystkich twarzach wypisany był strach i miłość, to samo, co on czuł do swojej niezwyklej, dotkniętej przez Boginię siostry. Ci ludzie tutaj pójdą za Elphame wszędzie. On, Cuchulainn, też skoczy za nią w ogień.

W tym momencie Elphame odrzuciła głowę w tył i z jej ust wydobył się okrzyk, bardzo mocny, bo spotęgowany przez siłę duchów zamku MacCallana.

- Wiara i wierność!

- Wiara i wierność!

Cuchulainn odruchowo powtórzył stare zawołanie członków Klanu MacCallanów, którym zagrzewali się do walki. Okrzyk podjęli wszyscy. Jeden i potężny, bo z wielu gardeł, odbił się szerokim echem wśród starych murów z żywego kamienia. Odbił się echem w zasłuchanym lesie.

- Wiara i wierność!

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY**

Elphame, pocierając dyskretnie ręce, w których nadal czuła lekkie mrowienie, rozejrzała się dookoła.

Była szczęśliwa, że nawiązała więź z duchami kamienia. Radość ją rozpierała, radość tak wielka, że stanie bez ruchu w tym momencie było ponad jej siły - choć właśnie teraz czuła się wyjątkowo silna.

Silna, radosna, pełna nadziei. Jednocześnie jednak jej niespokojny wzrok przemykał po twarzach otaczających ją ludzi, bardzo niespokojny, nie była przecież pewna ich reakcji na to, co zobaczyli przed chwilą. Owszem, razem z nią wznieśli okrzyk. Ulegli magii podniosłej chwili. Ale co będzie dalej? Czy uznają ją jako Przywódczynię Klanu, czy będą od niej stronić, bać się jej? Albo - jeszcze gorzej - zaczną oddawać jej cześć?

Pierwsza odezwała się Meara, specjalistka od domowych porządków. Dygnęła przed Elphame, uśmiechnęła się i w jej rumianych policzkach pojawiły się urocze dołeczki.

- To ja nadzorowałam czyszczenie kolumn... - zaczęła cichym, nieśmiałym głosem, bardzo szybko jednak zapanowała nad swoim zdenerwowaniem. - A tę największą czyściłam osobiście! - oznajmiła z

dumą, spoglądając na ogromną kolumnę niemal z czułością. - Ja nie potrafię tak jak ty porozumiewać się z duchami kamienia, ale potrafię je wyczuć, przysięgam. Wyczuwam ich siłę i zadowolenie z naszej obecności w zamku... - Meara impulsywnie wyciągnęła rękę i lekko uściśnęła dłoń Elphame -  
Miałaś rację. To nasz wspólny dom.



Elphame uśmiechnęła się tylko. Ze wzruszenia nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. A obok Meary pojawił się jakiś młody mężczyzna. Skłonił się przed Elphame, a Elphame pomyślała, że to chyba jeden z mężczyzn, którzy tamtej nocy, po wypadku, sadzali ją na grzbiecie Brighid. Chciała mu przypomnieć o tym, podziękować, ale młody człowiek ją ubiegł. Padł przed nią dramatycznie na kolana i przemówił z żarliwością młodości.

- Nigdy nie miałem takiego miejsca, które mógłbym nazwać swoim domem. Jestem najmłodszym synem, przez całe moje dotychczasowe życie czułem się kimś w rodzaju gościa. Myślę, że wielu z nas tutaj przeżywało coś podobnego... - na moment zamilkł, przemykając wzrokiem dookoła, po twarzach ludzi i centaurów. Kilku z nich pokiwało głowami, słysząc było słowa potwierdzenia. - Ale mam to już za sobą. Nie urodziłem się jako członek Klanu MacCallanów, ale kiedy pracowałem przy odbudowie muru, też wyczułem w tych kamieniach dziwne przyciąganie. Po raz pierwszy w życiu mam wrażenie, że pasuję do tego miejsca. Jakby ten zamek miał swoje fundamenty też i we mnie. Jeśli ty, Przywódczyni Klanu MacCallanów, przyjmiesz mnie do swego klanu, złożę ci przysięgę na wierność i z dumą będę nosił szlachetne nazwisko klanu aż do mojej śmierci, i potem, jeśli taka będzie wola Epony.

- Ja też! - krzyknął jakiś mężczyzna, stojący na prawo od Elphame i też padł na kolana.

- Ija!

Elphame z ogromnym wzruszeniem patrzyła, jak wszyscy zgromadzeni na zamkowym dziedzińcu, i ludzie i centaury, z dumną Łowczynią z plemienia Dhianna włącznie, padają na kolana. Wszyscy, oprócz Cuchulainna i Dananna.

A potem Cuchulainn podszedł do siostry.

- Ja, oczywiście, należę już do Klanu MacCallanów - powiedział, przyklękając na jedno kolano. - Ale

dzisiaj przyłączam się do innych i też przysięgam ci wierność, mojej siostrze i Przywódczyni mojego

Klanu.

Po Cuchulainnie głos zabrał stary Danann.

- Dziesiątki lat temu przysięgałem na wierność Świątyni Epony, a są to więzy, których nie mogę zerwać. Chciałbym jednak niniejszym potwierdzić, że jesteś prawowitą dziedziczką Klanu MacCallanów, a ja byłem świadkiem, jak członkowie Klanu dziś składali ci przysięgę na wierność.

Powiedział to i skłonił się szarmancko przed Elphame.

- Dziękuję, Danannie. Bądź więc także świadkiem mojego oświadczenia. Jako Przywódczyni Klanu przyjmuję przysięgę od każdego obecnego tu dziś człowieka i centaura - oznajmiła Elphame jasnym, dźwięcznym głosem, mocnym siłą zamku MacCallana, choć jednocześnie bliska była uronienia kilku łez, naturalnie łez szczęścia. - I stwierdzam, że wiąże ich wierność wobec siebie i ze sobą, tak jak wiązała naszych przodków.

Elphame podniosła obie ręce i zaintonowała nieśmiertelne słowa wiązania członków klanu z ich przywódcą:

- Poprzez głęboki spokój przepływającego powietrza wiązę was ze sobą.

Poprzez głęboki spokój domowego ogniska

wiązę was ze sobą.

Poprzez głęboki spokój płynącej fali

wiązę was ze sobą.

Poprzez głęboki spokój cichej ziemi

wiązę was ze sobą.

Poprzez te cztery żywioły ja, Przywódczyni Klanu MacCallana, wiązę was ze sobą, a duch naszego klanu pieczętuje naszą więź. Jak zostało powiedziane, tak zostanie uczynione.

Powstań, Klanie MacCallanów!

Nowo powstały klan z radosnymi okrzykami zerwał się na równe nogi. Elphame, dyskretnie ocierając

lzy szczęścia, patrzyła, jak członkowie klanu składają sobie nawzajem gratulacje. Nagle, nie wiadomo

skąd, pojawiły się bukłaki, powitane entuzjastycznie. Zaczęły krążyć z rąk do rąk, wszyscy wznosili toast za pomyślność Klanu MacCal- łanów.

- Dobra robota, siostrze moja - szepnął jej Cu do ucha i serdecznie ją uściskał.

- Mam wrażenie, że żyję we śnie, Cu...

Sen... To słowo natychmiast obudziło w niej wspomnienie, wspomnienie zrodziło pragnienie, nagłe i zaskakujące. Jakżeby chciała, żeby teraz obok niej stał Lochlan... Czy złożyłby jej przysięgę na wierność? Jeśli tak, co na to Cuchulainn? Czy Lochlan mógłby stać się jednym z nich? Czy Cu zobaczyłby w nim kogoś więcej,

nie tylko odwiecznego wroga, czy Lochlan jednak byłby dla niego wyłącznie zagrożeniem, kimś, kto wbija się klinem między nią a jej klan?

- Cu! Oni należą do mnie!

- Tak. My wszyscy, El, należymy do ciebie - powiedział wojownik, uśmiechając się do siostry.

Któryś z mężczyzn wyjął flet i zaczął grać skoczną melodię. Niebawem zawtórował drugi flet, chwilę potem lira. Elphame uśmiechnęła się, bardzo zadowolona. Chciała tańczyć, śpiewać, radować się całą

noc, nie zdążyła jednak złapać Cu za rękę i pociągnąć do tańca, poczuła bowiem na ramieniu czyjąś ciężką dłoń. Odwróciła się i spojrzała prosto w mądre oczy Dananna.

- Siła, którą zaczerpnęłaś od kamieni, Bogini, wkrótce zniknie. To było tylko chwilowe, uważaj na siebie.

Cuchulainn, jak zawsze bardzo troskliwy, szybko wziął siostrę pod ramię, jednocześnie szukając wzrokiem kogoś w tłumie. Wreszcie wypatrzył. Ciemną głowę Brenny, pochyloną, gęste włosy zasłaniały oszpeconą połowę twarzy. Stała obok Łowczyni. Musiała poczuć na sobie wzrok

Cuchulainna, bo poderwała głowę i skinęła nią skwapliwie, dając znać, że już do nich idzie. Ruszyła w ich stronę, za nią Łowczyni.

Cu, usatysfakcjonowany, odwrócił się do siostry.

- Widzę po twoich oczach, siostrzyczko moja, że teraz pląsy ci w głowie. Zastanów się jednak, czy warto zaciągnąć mnie do tańca. Chyba że naprawdę chcesz zemdleć na oczach wszystkich!

- Jesteś bardzo blada! - zawołała Brenna, pojawiając się nagle obok Elphame. - Jak głowa? Boli?

- A bo co? - rzuciła zuchwale Przywódczyni Klanu. - Jeśli boli, zaraz każesz mi wypić jakieś ziółko?

- Oczywiście!

- W takim razie oświadczam, że moja głowa ma się doskonale - oznajmiła Elphame i natychmiast skrzywiła się, czując bolesne ułknięcie w skroni.

Brenna zaśmiała się.

- Nie umiesz kłamać, Elphame.

- A ja myślę, że najwyższy czas wystąpić z naszą niespodzianką - powiedział Danann i cała pozostała trójka, Cuchulainn, Brighid i Brenna, rozpromieniona, jak jeden mąż pokiwała głową.

- Klanie MacCallanów! - zawołał Cu. Radosny gwar natychmiast ucichł. - Wasza przywódczyni oddali się teraz do swoich pokoi, żeby odświeżyć się i wypocząć przed wieczorną ucztą!

Elphame, całkowicie zdezorientowana, zmarszczyła brwi. Do jej pokoi? Co on wygaduje? Chyba chodziło mu o namiot?

Rozbawione spojrzenia, radosne pokrzykiwania i życzenia miłego wypoczynku świadczyły, że cały ten tłum jest we wszystko wtajemniczony. A więc cóż ten Cu wymyślił? Na pewno jakąś prowizorkę w obrębie zamkowych murów. Ten pomysł podobał jej się, bez względu na to, czy będą to luksusy, czy coś bardzo prymitywnego.

Uśmiechnęła się, pomachała wszystkim, a Cu, za którym podążały Brenna i Brighid, poprowadził ją zamkowym korytarzem, oświetlonym jasno pochodniami. Korytarz skręcał w prawo. Elphame szła, rozglądając się z wielką ciekawością. W tej części zamku były pomieszczenia dla służby, El bywała tu

rzadko, najbardziej była przecież przejęta odnawianiem zamkowych kuchni, dziedzińców i wielkich

sal, czyli pomieszczeń przeznaczonych dla wszystkich mieszkańców zanku. Oczywiście, jej sercu najbliższe było serce zamku, czyli główny dziedziniec z fontanną.

- Dokąd mnie prowadzicie?

Cuchulainn uśmiechnął się tylko enigmatycznie. Elphame westchnęła. Za dobrze znała swego brata.

Ta konkretnie mina oznaczała, że teraz nic nie da się z niego wyciągnąć.

- Ale ty jesteś uparty, Cu. Osioł, osioł... - mruknęła.

- Zawsze taki byłeś!

Z tyłu usłyszała ciche prychnięcie, potem komentarz Brighid.

- Wiadomo, rodzeństwo! Brenna zachichotała.

Elphame gniewnie spojrzała przez ramię na swoje obie przyjaciółki.

- Jestem najstarsza z rodzeństwa, chyba mam prawo wymagać!

Teraz prychnął cicho Cuchulainn.

Po lewej stronie pojawił się mały korytarzyk. Kiedy weszli tam, okazało się, że korytarzyk ten jest ślepyim zaułkiem. Na jego końcu znajdowały się masywne sosnowe drzwi, na których wyrzeźbiono herb MacCallanów

- wspinającą się klacz. Po obu stronach drzwi płonęły jasno pochodnie, w ich blasku starannie wypolerowana powierzchnia drzwi lśniła jak lustro.

Elphame musnęła palcami kunsztownie wyrzeźbioną klacz.

- Piękna! Trudno uwierzyć, że ogień ją oszczędził.

- Nie oszczędził. To nowe drzwi. A klacz wyrzeźbił Danann. Powiedział, że na drzwiach, prowadzących do pokoi Przywódczyni Klanu, może być tylko herb Klanu.

- Pokoje Przywódczyni... - powtórzyła z wolna Elphame. Te słowa dla niej były nieskończenie magiczne.

- Tak - potwierdził Cuchulainn. - To prezent od członków twojego klanu.

Otworzył drzwi. Pierwsze, co zobaczyła Elphame, to światło. Jasne światło, złociste. Przez wąskie okna w dwóch ścianach wpadało co prawda szarzejące już światło dnia, ale w tym pokoju wcale nie było szaro. Zapalono już pochodnie na ścianach i świece w wysokich, metalowych kandelabrach, w ogromnym kominku wesoło trzaskał ogień. Umeblowanie było raczej skromne. Prosty sosnowy stół, kilka krzeseł, toaletka, nad którą wisiało duże lustro w ozdobnej ramie, no i łóżko. Wielkie, przykryte pięknie haftowaną narzutą w znajomy wzór - przeplecione węzły. W nogach łóżka ustawiono połączony szezlong.

Elphame podeszła do łóżka i pogłaskała narzutę, pod którą pęczniała mięciutka puchowa kołdra.

- To na pewno sprawka Mamy - powiedziała, uśmiechając się do brata. - Pościel, szezlong, lustro...

- Zgadłaś. Dziś rano przyjechał wyładowany wóz. Nasza zapobiegliwa Matka pomyślała nawet o kilku beczułkach najlepszego wina i o tym. - Wskazał na połączony szezlong i kryształowe lustro w wyjątkowo ozdobnej ramie.

Elphame czuła, jak zaczyna ogarniać ją śmiech.

- Mama najlepiej wie, bez czego człowiek nie może się obejść.

Przypomniała sobie, jak w jej śnie matka pytała Eponę: „Czy mogę jej przynajmniej posłać wino, pościel z cienkiego płótna? Przecież ona żyje tam w barbarzyńskich warunkach". I dopięła swego!

Epona łaskawie zezwoliła posłać córce kilka niezbędnych rzeczy, jak szezlong i lustro. Elphame w swoim śnie podsłuchiwała rozmowę matki z Boginią. Dlaczego? Bo Bogini miała taki kaprys? Może, w każdym razie dzięki temu Elphame dowiedziała się, że matka ufa jej, a Bogini czuwa nad nią.

Nagle w jej głowie odezwał się głos, prawie tak bliski, tak znajomy jak głos matki. Mimo że słyszała go tylko raz.

- Jak mogłaś kiedykolwiek w to wątpić, Umiłowana? Głos Epony! Głos Bogini! A to oznacza, że

Elphame

należy do Bogini. Należy do Niej, choć inaczej niż jej matka. Należy do Niej w jedyny,

niewpowtarzalny sposób, tak samo niezwykły, jak niezwykle jest ciało Elphame.

Wreszcie poczuła, jak cała się odpręża. Jak po długim, długim czasie, teraz dopiero, dokładnie w tym momencie stało się coś niezmiernie ważnego. Zaakceptowała siebie taką, jaką jest.

Drżącą ręką pogłaskała jeszcze raz miękką kołdrę, śląc w duchu Bogini najgorętsze podziękowania.

Cuchulainn uśmiechnął się triumfująco do Brenny i Brighid.

- Mówiłem wam, że zaniemówi z wrażenia!

- Miałaś rację - powiedziała Brenna, uśmiechając się do niego przez łzy. - Pokażmy jej teraz resztę.

- Coś jeszcze? - spytała zdziwiona Elphame.

Trzy głowy zgodnie wykonały ruch, oznaczający przytaknięcie, a Elphame pomyślała, że Cu, Brenna i Brighid wyglądają jak trójka zachwyconych dzieciaków. Teraz najmniejsze z nich, czyli Brenna, wzięło Elphame za rękę i podprowadziło do niewielkich gotyckich drzwi w rogu pokoju, dokładnie tam, gdzie stykały się dwie ściany.

Było to wejście do okrągłej wieży, na którą wchodziło się po stromych, kręconych kamiennych schodach, przyklejonych do grubej ściany. Elphame przechyliła głowę na bok, spojrzała w górę i zauważyła na końcu schodów coś w rodzaju podestu.

- Pamiętasz, dziś rano kończyłam szkic zamku - powiedziała Brenna. - Poprawiałam wieżę, bo w ostatnich dniach została całkowicie odbudowana. To jest właśnie ta wieża, Elphame. Wszyscy chcieliśmy najpierw odbudować

wieżę Przywódcy Klanu, teraz, wyrażając się ściślej, Przywódczyni Klanu.

- Wszyscy tego chcieli, absolutnie wszyscy - potwierdziła Brighid.

- Trochę tu jeszcze pusto - dodał Cuchulainn - ale z czasem sama sobie wszystko urządzisz.

Poustawiasz książki i tak dalej. W każdym razie to są twoje pokoje w zamku, twoja wieża.

- Ja... - Elphame, jako że gardło miała ściśnięte ze wzruszenia, najpierw musiała odchrząknąć. - Ja nie mogę się doczekać, kiedy wejdem do wieży.

Zrobiła krok do przodu, ale Brenna złapała ją za rękę. Brenna, już nie przyjaciółka, lecz surowa, nieustępliwa Uzdrowicielka.

- Nie, Elphame. Moim zdaniem, to wcale nie jest dobry pomysł. Oczywiście, jestem świadoma, że właśnie złożyłam ci przysięgę na wierność, ale jeśli chodzi o twoje zdrowie, ja decyduję, nie ty. Zamiast wycieczki po tych schodach powinnaś odpocząć i coś zjeść.

Zanim Elphame zdążyła zaprotestować, włączył się Cu:

- Ta wieża stoi tu ponad sto lat, może poczekać na ciebie jeszcze jeden dzień.

- A poza tym wydawało mi się, że marzysz o kąpeli - dodała Brenna, i oczy Elphame rozbłysły.

- Jeśli rzeczywiście wyczarujecie tu za chwilę wannę i będę mogła się wykapać, obiecuję, że chwilowo zapomnę o wieży. Na pewno do jutra rana.

- A po co wanna! - Brighid zaśmiała się, Cu i Brenna zawtórowali. - Porafimy naszej przywódczyni zapewnić lepsze warunki do kąpeli. Proszę za mną, milady.

Łowczyni machnęła swoim wspaniałym ogonem blond i podprowadziła Elphame do wielkiego kominka, a dokładniej do wielkiej dziury w ścianie tuż obok kominka, której Elphame przedtem nie zauważyła. Wyglądała niesamowicie, jakby jakaś gigantyczna ręka rozpruła tu ścianę.

Elphame patrzyła zaintrygowana, jak Brighid wchodzi w mroczną czeluść. Po chwili do jej uszu dobiegł przytłumiony głos.

- Bądźcie ostrożni! Od tej pary jest tu bardzo ślisko! Nogi mi się rozjeżdżają!

Elphame zrobiła ostrożny krok i wstąpiła w mrok, gdzie napotkała... schody. Szerokie schody, oświetlone światłem pochodni, wetkniętych w uchwyty na ścianie. Prowadziły w dół i skręcały w lewo. Brighid była już prawie na samym dole.

- Śmiało, Elphame! - zawołał Cuchulainn, widząc, że siostra się waha. - Schodź, nie bój się, na pewno będziesz zachwycona.

Elphame zeszła po schodach bardzo ostrożnie, skręciła w lewo, zeszła jeszcze po kilku stopniach i znalazła się w małym pomieszczeniu, podobnym do jaskini, na środku której był basenik, mały, ale głęboki, otulony kłębamii gorącej pary. Wodę do baseniku dostarczał mały wodospad, bardzo



niepieszny, leniwie spływający po jednej ze ścian. W posadzce na drugim krańcu pomieszczenia Elphame zauważyła wyżłobiony w kamieniach odpływ dla wody, stało tam też kilka piecyków koksowych, załadowanych teraz gładkimi okrągłymi kamieniami. Czyli wiadomo, rozgrzane kamienie wkłada się do baseniku, dzięki temu woda w nim jest gorąca.

- Kobiety naznosiły ci mydeł i różnych olejków - powiedziała Brighid, wskazując na imponującą kolekcję słoików i buteleczek ustawionych koło baseniku. - Każda z nas przyniosła swoje ulubione. - Brighid nachyliła się i popukała w duży słoik. - Ja, oczywiście, polecam kamień mydlany.

Brenna wskazała na jedną z butelek.

- A ja wybrałam olejek z rumiankiem, bardzo go lubię. Zawsze przynosi ulgę. Nie zapomnij posmarować nim swego boku. I pamiętaj, Elphame, nie wolno ci za długo siedzieć w wodzie.

- Bądź spokojna, Brenno. Nie będę przesadzać.

- A ja nie przyniosłem ci żadnego olejku ani mydła - powiedział brat z uśmiechem. - Ale oczarowałem

właścicielkę gospody w Loth Tor do tego stopnia, że podarowała kilka ręczników.

Elphame aż westchnęła.

- Czyli jest cudownie...

- Jeszcze nie! - zawołała Brighid, wycofując się już w stronę schodów. - Cudownie będzie, kiedy my już sobie stąd pójdziemy i nikt podczas kąpieli nie będzie cię dręczył sprawdzaniem pulsu i pytaniem, czy jeszcze oddychasz!

Brenna spiorunowała ją wzrokiem, ale nie protestowała, kiedy Łowczyni chwyciła ją za ramiona i popchnęła w stronę schodów. A potem spojrzała na Cuchulainna.

- Twoja siostra potrafi się sama umyć.

- Nie wątpię... - mruknął Cuchulainn, wstępując na schody.

- Dzięki, Brighid - powiedziała Elphame. - Jesteś prawdziwą przyjaciółką.

- Dla naszej Przywódczyni Klanu wszystko! - powiedziała Brighid, puszczając do niej oko. - Aha, i

jeszcze jedno. Dziś wieczorem zaplanowaliśmy prawdziwą ucztę z okazji twojego powrotu do zdrowia. Dla ciebie zarezerwowane jest specjalne danie, bo udało mi się upolować coś specjalnego.

Dla ciebie.

- Dla mnie? A co to takiego?

- Dzik!

Elphame, nie zwracając uwagi na tępy ból w skroni, odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła głośnym śmiechem.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

Elphame przyłożyła rękę do chorego boku i oddychała głęboko, starając się uspokoić rozszalałe serce.

Brenna, jak zwykle, miała rację. Wspinaczka po stromych, kręconych schodach była jeszcze ponad siły Elphame, ale, niestety, nie była w stanie oprzeć się pokusie. Koniecznie jeszcze tego dnia musiała wejść na słynną Wieżę Przywódcy Klanu - swoją wieżę, co oczywiście przypłaciła zadyszką i tępym

bólem w całym ciele. Ale poza tym, choć trochę zmęczona, trochę przejeżdżona, czuła się znakomicie.

Długie moczenie się w wodzie - głowę myła trzy razy - było tym, czego potrzebowała najbardziej.

Chociaż nie,

w tym samym stopniu łaknęła posiłku. I dostała! Pieczonego dzika! Podczas uczy-wspaniałej, naprawdę będzie co wspominać - wszyscy zasiedli za nowymi stołami o rozmiarach dostosowanych zarówno do rozmiarów człowieka, jak i centaurów. Wszyscy ucztowali. W oknach wielkiej sali zanikowej nie było jeszcze szyb, ściany były jeszcze osmalone, gobeliny dopiero tkano, ale wszyscy byli razem i już wyczuwało się silną więź między członkami klanu. Elphame z jednej strony miała za sąsiadkę Brennę, obok której siedziała Brighid. Z drugiej strony siedział Cuchulainn, dalej stary Danann, a wszędzie dookoła członkowie klanu. Jedli, pili i weselili się, jak to podczas uczy przystało.

Było tak radośnie, że Elphame bardzo szybko zapomniała o swoim ciągle jeszcze obolałym ciele.

O czymś innym jednak nie mogła zapomnieć. Raczej o kimś - o Lochlanie.

To dlatego co jakiś czas spoglądała w dal niewidzącym wzrokiem i podczas rozmowy przy stole traciła wątek. Nikt się temu nie dziwił, choć nikt nie znał prawdziwego powodu jej zamyślenia.

Tłumaczono to osłabieniem. Niemożliwe, żeby Przywódczyni po tak ciężkich obrażeniach całkowicie odzyskała siły, na to jeszcze stanowczo za wcześnie.

Najchętniej siedziałaby tak całą noc, otoczona swoim klanem i zagłębiona we własnych myślach. Niestety Brenna nalegała, by Elphame udała się już na spoczynek. Nawet groziła, że jeśli będzie oporna, zaparzy jej ziółek.

Kiedy Elphame opuszczała salę zamkową, zewsząd życzone jej dobrej nocy i pięknych snów. Ze spełnieniem tych życzeń był jednak pewien kłopot. Bo choć w swoim pokoju miała warunki dalekie od barbarzyńskich, choć nikt tu nie zakłócał jej spokoju, a zmęczone, osłabione ciało pragnęło łóżka - jedna jego część, czyli głowa, wcale nie miała ochoty na odpoczynek. Za dużo było w niej niespokojnych myśli.

Miała swój dom, miała swój klan. Brakowało tylko towarzysza życia.

Męża. Czy Lochlan istniał naprawdę? Teraz, kiedy wchodziła po kręconych schodach na Wieżę Przywódcy Klanu, miała mnóstwo wątpliwości. Wtedy, w lesie, kiedy patrzyła Lochlanowi prosto w oczy, wszystko wydawało się jasne i proste. W szarych oczach Lochlana widziała swoją przyszłość.

Ale teraz, mocno osadzona w swojej rzeczywistości, nie miała już żadnej pewności, tylko moc pytań.

Tak bardzo chciała znów z nim się spotkać, porozmawiać, pobyc z nim, żeby poznać go lepiej. On, jak

się wydawało, znał ją bardzo dobrze. Doskonale wyczuwał jej nastroje, jakby całe dotychczasowe życie spędzili razem. Ale dla niej Lochlan był tajemniczą, uskrzydloną istotą, z którą wspólna przyszłość była niemożliwa. Członkowie klanu nie byliby w stanie pojąć, dlaczego właśnie on miałby

być jej mężem. Trudno im się dziwić, skoro dla niej samej było to raczej niepojęte.

Zanim doszła do szczytu schodów, już poczuła na twarzy powiew wiatru, niosącego ze sobą zapachy lasu. Do zapachu świeżo ciętego drewna, unoszącego się nad reperowanym dachem, dołączył zapach żywych drzew. Zapach lasu. Elphame odruchowo wciągnęła go mocno w płuca. Przecież ten zapach przypominał jej Lochlana...

Schody skończyły się i Elphame stanęła na posadzce pokoju na szczycie Wieży Przywódcy Klanu. Sama wieża była o wiele większa niż myślała, idealnie okrągła, okna dookoła wąziutkie, bardzo wysokie, czyli nie okna, a otwory strzelnicze, rozmieszczone w jednakowej odległości od siebie. Na ścianach pochodnie, ale niezapalone, pod ścianą kominek, też ciemny, bez ognia. Mrok wieży rozjaśniało tylko mdłe światło księżyca, dokładniej - półksiężyca.

Elphame powoli obróciła się dookoła, przyglądając się wszystkiemu bardzo uważnie. Jedno z okien wydało jej się zdecydowanie większe od pozostałych. Kiedy podeszła bliżej, zorientowała się, że to nie okno, lecz wyjście na mały balkon. Wyszła tam, odruchowo spojrzała najpierw w górę, w niebo, a potem przed siebie. Widziała stąd front zamku, dalej las, od strony wschodniej. Bezkresne morze sosen, teraz wzburzone, szarpane porywistym wiatrem.

Nagle serce Elphame zabiło szybciej i jeszcze bardziej wyteżyła wzrok. Czyżby tam, wśród ciemnych konarów, widać było zarys skrzydeł? Niemożliwe, to tylko złudzenie...

Westchnęła i spojrzała w dół, na zamek. Przez szpary w nieskończonym dachu sączyło się światło, nadal słychać było muzykę, ale członkowie klanu powoli zaczęli opuszczać zamek. Ludzie i centaury, bardzo często pary, wychodzili z zamku i kierowali się w stronę namiotów, porozstawianych przed zamkowymi murami. Cuchulainn twierdził, że kiedy miną dwie pełnie księżyca, większość członków klanu będzie już zakwaterowana w samym zamku.

Elphame bardzo się z tego cieszyła, chciała mieć już swoich ludzi blisko siebie, w swoich czterech ścianach.

Oparła rękę o kamienną balustradę. Prawie od razu poczuła delikatne mrowienie, zaraz potem ciepło. Duch zamku dawał znać o sobie. Zamek MacCallana czuł dokładnie to samo, co Elphame. Bardzo chciał znów ożyć - a przecież tętniący życiem zamek MacCallana był największym marzeniem Elphame.

Nagły wiatr przyniósł odgłos czyichś kroków. Spojrzała w dół i zobaczyła, że przez zamkową bramę pozbawioną drzwi wybiega jakaś bardzo nieduża kobieta. Jej twarzy Elphame nie mogła dojrzeć, ale światło pochodni, umocowanej tuż koło bramy, dokładnie oświetliło postać. Była to Brenna.

Wybiegła z bramy i nagle znieruchomiała, jakby musiała zaczerpnąć powietrza. Potem nagle skuliła się, oparła plecami o zamkowy mur i zasłoniła rękoma twarz. Nawet z tej odległości Elphame widziała, jak plecy małej Uzdrawicielki drżą.

Brenna płakała! Dlaczego?! Co się stało?!

Wystraszona i zmartwiona Elphame ledwo zdążyła sformułować tę myśl, kiedy poczuła, jak jej ręka, oparta o balustradę, znów zaczyna wyczuwać ciepło i znów jej umysł nawiązuje łączność z kamieniem, podobnie jak wtedy przy kolumnie centralnej.

Umysł Elphame sformułował pytanie, pytanie przemyka jak błyskawica przez szkielet zamku. I widać to. Elphame aż krzyknęła cicho, kiedy z jej ciała nagle wysunęła się złocista nitka i pobiegła dalej, jakby ktoś rozwijał ją z kłębka. Pobiegła po kamiennych ścianach, prosto do miejsca, w którym mała Uzdrawicielka wspierała się plecami o zamkowy mur.

Rozpacz... samotność... tęsknota... Strzępki rozdzierających serce uczuć wróciły po nitce do kłębka.

Do Elphame, która przerażona bolesnymi emocjami Brenny, odruchowo zaczęła oddalać się psychicznie od kamienia, rozluźniać więź. Natychmiast jednak pojawił się wstyd. Z powodu swego tchórzostwa. Jak można odwracać się teraz od Brenny? Chować głowę w piasek? Brenna cierpi, ktoś ją zranił. Trzeba pomóc przyjaciółce - ona na pewno zrobiłaby to dla Elphame.

Zacisnęła zęby, zrobiła głęboki wdech i skupiła się, jak

najbardziej, wpatrzona w drżące od płaczu plecy przyjaciółki. Poczła w sercu ból, nie swój ból. To bolało serce Brenny. Następne odczucie była to już emocja wyłącznie Elphame. Gniew. Kiedy Elphame wychodziła z sali zamkowej, Brighid i Brenna, obie uśmiechnięte, zajęte były rozmową. A potem coś się stało, ktoś bardzo zranił Brennę. Kto? Na Boginię! A gdzie podziewał się wtedy Cuchulainn?!

Krew zawrzała w rozjuszanej Elphame, gniew jak roztopiony ołów wlał się w kamień i złocista nieć nagle zmieniła kolor. Na szkarłatny.

Brenna poderwała głowę. Jej plecy przestały drżeć. Elphame widziała, jak Uzdrowicielka otarła dłonią twarz, oderwała się od muru i wyprostowała. Odwróciła się, spojrzała w stronę zamku, jakby zastanawiała się, czy tam nie wrócić. Ale ponownie odwróciła się i ruszyła przed siebie zdecydowanym krokiem. Po chwili jej drobna postać znikła w mroku między namiotami.

Dokładnie w chwili, gdy Elphame straciła ją z oczu, z zamku wybiegł jakiś mężczyzna. Światło pochodni nie było potrzebne, Elphame od razu rozpoznała postać tak znajomą jak jej własna.

Cuchulainn. Przystanął i przez chwilę wpatrywał się w ciemności otaczające zamek. Do uszu Elphame, mimo dzielącej ich odległości, doleciało siarczyste przekleństwo. Zaklął dwukrotnie, po czym ruszył w stronę namiotów.

- Niestety, nie mamy żadnego wpływu na to, w kim lokujemy swoje uczucia. A szkoda, bo gdybyśmy mieli możliwość wyboru, byłoby nam o wiele łatwiej.

Głos ducha, niski, lekko zachrypnięty, z charakterystycznym miejscowym akcentem, dobiegał gdzieś z bardzo niedaleka. Zaskoczona Elphame odruchowo cofnęła się i natychmiast chwyciła za bok.

- Uważaj na ranę, dziewczyno. Jeszcze nie jesteś całkowicie zdrowa.

- Oczywiście, że nie jestem! - wydyszała Elphame. - A ty tak mnie wystraszyłeś, że omal nie spadłam z wieży.

Zaśmiał się.

- Nie chciałem cię wystraszyć. Ale zapomniałem się, kiedy zobaczyłem chłopaka. Tego... - Duch wskazał brodą w stronę, w którą poszedł Cuchulainn. - Ten głupkowaty młodzik ma naprawdę ciężki orzech do zgryzienia.

Wzruszył szerokimi ramionami, a Elphame na moment zaniemówiła. Bo duch w tym momencie był łudząco podobny do owego młodzika, czyli Cuchulainna.

- Ale nic na to nie poradzisz - powiedział dalej. - Miłość z każdego robi głupka. Ale mała Uzdrawicielka mnie martwi. Jeśli nie będzie potrafiła zaufać, nie potrafi też pokochać. - Nagle oderwał wzrok od namiotów i spojrzał przenikliwie na Elphame. - A co ty o tym myślisz, dziewczyno?

Elphame, trochę zbита z tropu jego pytaniem, milczała.

- Nie potrafisz odpowiedzieć? Tylko nie mów, że jesteś tak samo nierozgarnięta jak twój brat!

- Cuchulainn nie jest głupi - powiedziała, czując się nagle urażona. - Owszem, jest uparty, ale też bardzo lojalny. A w historii jestem niezła, wiem, że te dwie cechy ma wspólne z tobą.

MacCallan zaśmiał się tubalnie i oparł o balustradę.

- Nie mylisz się, dziewczyno! Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Jestem tego świadoma. A ty nie zapominaj, że rozmawiasz z Przywódczynią Klanu. Żadna przywódczyni nie lubi, kiedy traktuje się ją protekcjonalnie!

- rzuciła porywczo Elphame. Wyprostowała się, skrzyżowała ramiona i zmierzyła płonącym wzrokiem starego ducha. A stary duch pokiwał głową z wyraźną aprobatą.

- Słusznie, że mi o tym przypominasz, dziewczyno. Masz charakter, a to bardzo mi się podoba.

Pozwól więc, że nieco inaczej sformułuję moje pytanie. Czy jako Przywódczyni Klanu aprobujesz związek swego brata z małą Uzdrawicielką?

- Tak. Myślę, że byłby to dobry związek. MacCallan pokiwał głową.

- Ja też tak myślę. Ale to nie wszystko, o co chciałem cię zapytać.

- Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

- A to, czy ty wierzysz, że miłość może istnieć bez wzajemnego zaufania. I zanim sierść ci się zjeży, pomyśl, że to nie jest banalne pytanie i każdy Przywódca Klanu powinien je rozważyć.

Elphame spokojnie wytrzymała jego wzrok. Ciekawe, ile ten duch już widział? Czyjego domeną jest wyłącznie zamek, czy obserwuje również, co dzieje się w pobliżu zamku. Czy to możliwe, żeby wiedział o Lochlanie? Elphame zadrżała. Tyle już ukrywała przed bratem, przed swoim klanem. A przed duchami przecież nic nie ukryjesz... One chyba wszystko widzą...

- W sprawach sercowych mam niewielkie doświadczenie - powiedziała. - Ale znam siebie. Nie sądzę,

żebym mogła pokochać kogoś, komu nie ufam.

- Mówisz rozsądnie, dziewczyno. Przypominasz swoją prababkę. Bądź zawsze taka mądra. Nie szafuj swoim sercem, oddaj je temu, któremu zaufasz, a będziesz silnym Przywódcą Klanu i lojalną małżonką.

- Ale skąd człowiek ma wiedzieć, czy może komuś zaufać? Skąd ma to wiedzieć, jeśli w grę wchodzi również

uczucie i... pożądanie - policzki Elphame oblały się rumieńcem, ale brnęła dalej. - Potrafię ocenić czyjś charakter, ale kiedy to robię, nie kieruję się sercem, tylko rozumem. Serca w to nie włączam, bo przy jego udziale człowiek może wszystko widzieć opacznie.

- I tak jest, dziewczyno. - Duch splótł palce u rąk i przekrzywił lekko głowę, przyglądając jej się z wielką uwagą. - A skąd wiedziałaś, że musisz przyjechać tutaj, żeby odbudować zamek MacCallana?

- Po prostu czułam, że powinnam to zrobić - odparła, spoglądając przelotnie na cichy już, uśpiony zamek. - Nie, to było coś więcej. Odkąd sięgnę pamięcią, zawsze intrygowały mnie opowieści o zamku

MacCallana. Ten zamek zawsze mnie wzywał do siebie. Wiem, że gdybym tu nie przyjechała, nigdy w życiu nie zaznałabym spokoju.

MacCallan pokiwał głową.

- Z miłością jest podobnie. Nigdzie nie zaznasz spokoju, tylko u boku tego, którego sobie wybrałaś.



Przekonasz się sama.

- Czyli twierdzisz, że należy zaufać swemu sercu?

- Nie sercu, dziewczyno! - odezwał się duch szorstkim głosem. - Nie bądź głupia! To nie twoje serce doprowadziło do tego, że jesteś Przywódczynią Klanu MacCallanów. Miałaś to we krwi, w swojej duszy. I słuchaj, co one ci podpowiadają, a nie coś tak płóczego jak serce!

Elphame westchnęła. Ten, kto twierdzi, że rozmowa z duchem będzie pouczającym doświadczeniem, chyba się myli. Ona ma słuchać swojej krwi i swojej duszy? Nie miała pojęcia, co to może oznaczać.

- Cieszę się, że nosisz mój podarek.

Duch wskazał przeźroczystym palcem na broszę, spinającą na ramieniu jasny materiał w kolorze szafranu, którym owinięty był tors Elphame.

Elphame musnęła palcami broszę.

- Dla mnie to bardzo ważne, że mi ją podarowałaś - powiedziała i nagle posmutniała, bo w pamięci ożyło wspomnienie śmierci MacCallana. - Wolałabym jednak wtedy nie oglądać, jak umierasz. To było...

Odchrząknęła. Rozmawiali ze sobą dopiero drugi raz, a ona już chyba przywiązała się do tego starego

ducha. Więzy krwi? Być może. A raczej na pewno. Czuła się związana z MacCallanem więzami krwi,

tak jak czuła się związana z fundamentami tego zamku.

- To było straszne. Oglądanie, jak umierasz. To było bardzo... trudne.

MacCallan przechwycił jej wzrok.

- Trudne, powiadasz? No cóż... Tego, co nie jest trudne, nie warto robić.

Te słowa wstrząsnęły Elphame. Jak to możliwe, że duch jej przodka mówi coś, co bardzo przypomina

słowa wypowiedziane przez istotę mającą w sobie krew demonicznych Fomorian?

Istotę... serce buntowało się, że jej umysł tak go już zaszufladkował.

Nagle duch zadrżał. Zachwiał się i zaczął znikać.

- Odchodzisz już? - spytała z żalem. - Ale nie na zawsze?

- Nie, dziewczyno. Zawsze jestem tam, gdzie mnie potrzebują.

Znikł, a Elphame ruszyła w bardzo ostrożną i powolną drogę powrotną po kręconych schodach.

MacCallan miał rację, wcale nie była jeszcze zdrowa. Ale działało się również i coś bardzo pozytywnego. Wysiłek, jaki włożyła we wspinaczkę na wieżę i drogę powrotną podziałał na nią jak cieszącą się złą sławą ziółka Brenny. Kiedy opadła na swoje nowe łóżko, natychmiast zasnęła jak kamień.

Śniło jej się, że idzie przez zamek MacCallana, przywrócony już do dawnej świetności. Ściany zawieszane były barwnymi gobelinami. W fazowanym szkle odbijało się światło setek świec w żyrandolach, zwisających pod dachem w idealnym stanie. Weszła na główny dziedziniec. Masywne kolumny stały jak milczący obrońcy. Uśmiechając się, podeszła do szemrzącej fontanny, spojrzała na posąg i zamarła. Posąg w fontannie nie przedstawiał już podobizny jej przodkini, Rhiannon, jako mło-

dej dziewczyny. Zastąpiony został inną rzeźbą. Na środku basenu fontanny stała Elphame naturalnej wielkości, cała pokryta otwartymi ranami, z których tryskała krew. Wokół basenu tłoczyły się uskrzydłone istoty o opalizującej skórze, które w ciszy nabierały dłońmi wodę z basenu, zmieszaną z krwią, i piły ją łapczywie. Ale to nie one, ani krew płynąca z marmurowego ciała, przykuły uwagę Elphame, lecz twarz posągu. Jej twarz, twarz Elphame. Wśród tej krwi i chaosu twarz posągu była bardzo pogodna, prawie radosna.

Ta twarz przyciągała Elphame. Zaczęła podchodzić do posągu, była coraz bliżej, kiedy jedno krótkie słowo przerwało jej sen.

- Nie!

To był przeraźliwy krzyk Lochlana. Elphame, wyrwana ze snu, przez długi czas rzucała się po łóżku, póki zmęczenie nie wzięło góry. Zasnęła ponownie, tym razem nie miała żadnych snów.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Cuchulainn nie miał pojęcia, jak to mogło się stać. Wszystko przecież szło tak dobrze, zdarzały się nawet chwile, kiedy wydawało się, że Brenna w jego towarzystwie czuje się tak samo swobodnie jak w towarzystwie jego siostry. A on bardzo się starał, żeby tak właśnie było.

Pomasował sobie sztywny kark i wypił kolejny długi łyk z na wpół już opróżnionego bukłaka. Potem przez chwilę bawił się bezmyślnie małymi naczynkami z ziołami i listeczkami herbaty, które stały na stoliku. Zostawiła je tam Brenna. Musiała o nich zapomnieć, kiedy w wielkim pośpiechu przenosili rzeczy Elphame z namiotu do jej nowych pokoi w zamku. Cuchulainn próbował namówić Brennę, żeby zajęła namiot po Elphame, ale Brenna nie dała się przekonać. Twierdziła, że to on powinien zamieszkać w tym namiocie.

- Bo ona lubi swój namiot, wiadomo, dlaczego - mruczał ze złością Cuchulainn. - Lubi go, bo jest na uboczu, z dala od innych namiotów. A ona lubi być sama.

Jego zdaniem, Brenna stanowczo za dużo czasu spędzała w samotności. Chyba że ktoś zachorował albo był ranny, wtedy zjawiała się natychmiast. Brenna po metamorfozie. Dziewczyna, która jednym spojrzeniem potrafiła komenderować całą armią.

A przynajmniej sercem pewnego wojownika.

Cuchulainn aż sapnął, żeby wydyszeć swoją frustrację. Nigdy dotąd nie było mu tak ciężko, tak trudno. Kiedy zapragnął jakiejś kobiety, ta kobieta sama do niego przychodziła. Wystarczyło, że się do niej uśmiechnął, rzucił jakiś żart, cieplejsze słowo i już była jego. Ale nie Brenna. Oczywiście od samego początku wiedział, że z nią będzie inaczej, przede wszystkim dlatego, że Brenna nie miała żadnego doświadczenia. Cuchulainn zwykle nie zwracał uwagi na dziewice, chyba że podczas święta Bogini. Ale to był wyjątkowy czas, kiedy duch Bogini łączył się z duszami dziewcząt, kierował ich ciałem, wlewał w dziewczęta spokój i łagodność.

Brenna była dziewicą, ale do niej miał całkiem inny stosunek niż do innych dziewic. Jej niewinność go urzekła. W rezultacie myślał o Brennie bez przerwy.

Wziął jeszcze jeden długi łyk z bukłaka.

Był wobec niej bardzo ostrożny, oswajał ją, jakby była płochliwym ptakiem, którego chciał zwabić do

siebie, skusić, by usiadł mu na rękę. Jej reakcje doprowadzały go do rozpacz. Im więcej poświęcał jej uwagi, tym bardziej stroniła od niego. A kiedy wcale nie próbował jej oczarować, na przykład gdy razem urządzali pokój dla Elphame albo kiedy wiozł ją do rannego robotnika,

wtedy rozmawiała z nim swobodnie. Jakby zapominała, kim on jest. Co wcale mu nie pochlebiało.

Próbował ją zrozumieć. Trudno było się nie domyślić, że Brenna odseparowuje się od ludzi z powodu swoich blizn. Elphame mówiła Cuchulainnowi, że te blizny, bardzo rozległe, nie tylko szpecą

jej ciało. Zraniły też jej duszę. A Cuchualinn miał już serdecznie dość tego całego problemu, problemu tych przeklętych blizn.

- Przecież ja ich w ogóle nie widzę! - warknął. Mógł sobie na to pozwolić, był przecież sam. O, właśnie - sam. Jak Brenna.

- Ale kiedy mam jej o tym powiedzieć, skoro ona ode mnie ucieka?

Kiedy ma jej powiedzieć, że jej twarz jest dla niego po prostu twarzą, częścią jej ciała, a jej blizny po prostu tam są, jak oczy, włosy i cała reszta. I nie ma się już nad czym zastanawiać.

To właśnie chciał jej powiedzieć. Tak to sobie wymyślił. Co za ironia losu! On, Cuchulainn,

zastanawiał się, co powie kobiecie! Zawsze wobec kobiet taki złotousty, pewien, że czaruje je przede

wszystkim swoją elokwencją, a nie twarzą czy umięśnionym ciałem. Jego zdaniem, najkrótszą drogą do ciała kobiety było uwiedzenie jej umysłu. Kobieta zawsze oczekuje niepodzielnej uwagi ze strony mężczyzny. Chce być traktowana z szacunkiem, chce, żeby mężczyzna skupił się wyłącznie na niej i odgadywał wszystkie jej pragnienia. Cuchulainn w tej grze był mistrzem.

Teraz grał w coś całkiem innego. Teraz miał obsesję na punkcie kobiety, której jego elokwencja wcale

nie imponowała, a w jego towarzystwie czuła się swobodnie

tylko wtedy, kiedy nie było warunków, żeby on skupił się wyłącznie na niej. Kiedy praktycznie ze

sobą nie rozmawiali.

- Na Boginię! I co ja mam teraz zrobić?!

Wstał, chciał pochodzić trochę po namiocie, ale ziemia pod jego nogami wydała mu się nagle niestabilna, usiadł więc z powrotem i zadowolił się bębnieniem palcami o stół.

Jest skończonym głupkiem. Najlepszym dowodem na to był dzisiejszy wieczór. Na początku wszystko było po jego myśli. Brenna zaskoczyła go, bardzo przyjemnie, kiedy zgodziła się usiąść razem z nimi przy głównym stole. On, naiwny, pomyślał wtedy, że może jest to wreszcie pierwszy krok w dobrym kierunku, potem jednak dotarło do niego, że usiadła tam tylko dlatego, by mieć na oku swoją czcigodną podopieczną, czyli El-phame. Ale potem wszyscy składali przysięgę na wierność i ta podniosła chwila napawała Cuchulainna optymizmem.

Poza tym, jak przypominał sobie teraz mgliście, wlał w siebie bardzo dużo wina. Naprawdę spore ilości. Kiedy jego siostra, zgodnie z zaleceniem Uzdrowicielki, opuściła salę zamkową i udała się na spoczynek, zaczęło się muzykowanie. Kiedy do grajków dołączył jeden z robotników z bębenkiem i zaczął głośno wybijać rytm, ludzie poderwali się do tańca. Poodsuwano stoły, utworzono pary i zaczęły się pląsy. Cuchulainn, zaczerwieniony i podekscytowany od mocnego trunku, myślał tylko o jednym. Jak bardzo chciałby zatańczyć z Brenną.

Swoje zamiary postanowił wprowadzić w czyn. Wstał i podszedł do Brenny, zajętej rozmową z Łowczynią. Skłonił się przed Brenną najpiękniej jak potrafił i spytał, czy skłonna jest ofiarować mu ten taniec.

Widział jak połowa jej twarzy, oszczędzona przez blizny, robi się biała jak ściana, po czym Brenna zrobiła to, czego on nienawidził. Pochyliła głowę i schował się za tym swoim murem z czarnych

włosów.

- Nie, ja nie umiem tańczyć - wyszeptała tym swoim drżącym, załamującym się głosem, który zawsze słyszał, gdy zwracała się do niego. Zawsze, ale tym razem, kiedy to usłyszał, poczuł wielką złość.

- Nie umiesz tańczyć? Ty? Kobieta, która potrafi zaszyć ranę, nastawić złamaną rękę i odebrać poród, ty nie potrafisz tańczyć?

Wcale nie chciał, żeby zabrzmiało to aż tak zjadliwie, naprawdę. Ale tak właśnie zabrzmiało. Brenna podniosła głowę, poprzez welon z włosów dojrzał w jej oczach gniewne błyski. Pomyślał, że dobre i to. Przynajmniej coś innego, niż jej wieczna bojaźliwość i uciekanie od niego.

- Bo miałam możliwość nauczyć się tego wszystkiego, o czym wspomniałeś. Ale nie tańca, nigdy nie było ku temu sposobności.

- No to teraz jest!

Tak powiedział. Teraz, kiedy przypominał sobie swoje głupie zachowanie, swoją durną odzywkę, aż cały kurczył się w sobie. On przecież był pewny swego, dlatego władczo wyciągnął po Brennę rękę, nie przejmując się tym, że wszyscy zamilkli i patrzą się na nich.

Splószone spojrzenie Brenny przemknęło dookoła, jak u ptaka, rwącego się do ucieczki.

- Nie. Ja... nie potrafię - powiedziała cicho.

- Przecież to tylko taniec, Brenno. Nie proszę cię o rękę.

Czyli znów palnął i zaśmiał się głupkowato, przerażony, że już bardziej idiotycznie nie mógł się zachować.

- Ależ mnie przecież nigdy by do głowy nie przyszło...

- wyjąkała Brenna, równie przerażona i wtedy rozległ się jasny, dźwięczny głos Brighid.

- A ja wiem, w czym problem. Cuchulainn nigdy dotąd nie usłyszał z ust kobiety tego króciutkiego wyrazu „nie”. Prawdopodobnie nie wie, co ten wyraz znaczy.

Wszyscy zaśmiali się, a Cuchulainn kątem oka zobaczył Wynne, wysuwającą się do przodu. Podeszła

do niego, kołysząc biodrami i potrząsając wspaniałą grzywą rudych loków.

- Uzdrowicielka ma rację, Cuchulainnie - powiedziała, składając dłoń w jego dłoni, wyciągniętą ku Brennie.

- Może powinieneś po prostu zatańczyć z dziewczyną, która miała sposobność nauczyć się tańczyć i na pewno nie powie ci „nie”.

Zewsząd rozległy się radosne, zachęcające okrzyki i Wynne pociągnęła za sobą Cuchulainna na środek sali, do tańczących. Tam puściła jego rękę i lekkim, wdzięcznym tanecznym krokiem obeszła go dookoła. Cu złapał rytm, wybijany na bębenu i teraz on obszedł Wynne dookoła, naśladując jej zręczne ruchy. Potem znów Wynne. Wyginała się, ocierała się o niego kusząco swoim ponętym ciałem i Cuchulainn wśród oparów wina, wydobywających się z jego własnych ust, wychwycił zapach

Wynne. Pachniała świeżym chlebem, przyprawami i kobietą, jednak ta wonna mieszanka zamiast go skusić, przypomniła tylko, że to nie tak miało być. Nie tak, bo Wynne nie pachniała świeżo skoszoną trawą i wiosennym deszczem. Nie była Brenną.

Nie przerywając tańca, spojrział przez ramię, na stół. Zobaczył wlepione w niego oczy Brighid, o spojrzeniu bardzo nieprzychylnym. A miejsce obok Brighid było puste. I wtedy to wszystko w nim w środku jakby się oberwało. Rzucił bardzo rozczarowanej Wynne słowa przeprosin i wyszedł z kręgu tańczących. W tym momencie przyświecał mu tylko jeden, jedyny cel. Odnaleźć Brennę. Co jej powie? Co do tego nie miał jeszcze żadnego pomysłu, wiedział tylko, że koniecznie musi ją odnaleźć.

Nie było jej w sali zamkowej ani na głównym dziedzińcu. Na moment więc przerwał jakiejś parze słodką chwilę uścisków za kolumną centralną, pytając o Brennę. Dwa lekko zadyszane głosy wysapały, że Uzdrowicielka właśnie przed chwilą wybiegła przez zamkową bramę.

Pobiegł. Próbował ją dogonić, zanim schroni się w swoim namiocie. Nie udało się. Stał potem koło tego namiotu. Widział w środku niedużą postać, podświetloną światłem jednej świeczki. Gdyby to

była inna kobieta, wszedłby tam teraz, przeprosił i nazwał siebie głupcem, otumanionym przez wino i żądę. A potem by się z nią kochał.

Ale to nie była jakaś inna kobieta, tylko Brenna.

Wrócił więc do swojego namiotu i do bukłaka. Pił i pił, powtarzając sobie co chwilę na głos, że jest skończonym durniem. Urzniętym durniem.

Kiedy zapadał w pijacki sen, ostatnią jego myślą było twarde postanowienie, że jutro musi wszystko z

Brenną wyjaśnić. Co jej powie? Co do tego nadal nie miał żadnego pomysłu.

Brenna przed zaśnięciem zawsze rozmawiała z Eponą. Nie nazywała tego modlitwą, nie prosiła o nic,

po prostu mówiła do Bogini. Jak do swojej przyjaciółki, mówiła przecież do niej już tyle lat, a zaczęła zaraz po tym wielkim nieszczęściu, jakie ją spotkało. Dziesięcioletnia Brenna wiedziała, że na tak

straszne oparzenia nie ma ratunku. Była pewna, że umrze. Bolało ją tak straszliwie, że nawet do głowy jej nie przyszło prosić Eponę o ratowanie jej życia. Prosiła tylko o ulżenie w cierpieniu. Rozmawiała z Boginią przez wiele godzin, pewna, że i tak wkrótce spotka się z nią w świecie duchów. A potem, kiedy nie udało jej się umrzeć, czym zadziwiła wszystkich, nie zaprzestała swoich rozmów z Eponą. Stało się to codziennym rytuałem, uspokajającym i umysł i ciało.

Tego wieczoru bardzo tego potrzebowała. Ukojenia.

Drżącymi od tłumionego gniewu rękami zapaliła garstkę suszonych ziół i wciągając mocno w nozdrza znajomy zapach lawendy, przysiadła na ziemi przed swoim prowizorycznym ołtarzykiem. Kiedy starała się uspokoić wzburzone myśli, zanim przemówi do Bogini, palce odruchowo zaczęły dotykać jej ukochanych skarbów. Tym razem jednak jakoś wcale nie dawały radości. Ani turkus koloru morza,

ani malutki łeb klaczy, który sama wyrzeźbiła w miękkim drewnie. Ani perła w kształcie łezki, ani pióro ptaka o tej samej, nadzwyczajnej barwie, co turkus. Niebieskozielonej... jak kolor jego oczu.

Brenna, bardzo niezadowolona, zamknęła oczy i skarciła siebie w duchu. Przestań w końcu o nim



myśleć, dziewczyno. Przestań, przestań... Ale jej umysł, zwykle zdyscyplinowany, kierujący się logiką, wcale nie chciał jej posłuchać.

Znów poczuła gniew. To dobrze, łatwiej wtedy znieść rozpacz i samotność.

Jak mogła być tak naiwna! Kiedy przed laty pogodziła się ze swoim życiem, była pewna, że na zawsze

zawarła pokój z samą sobą. Była Uzdrowicielką i będzie nią zawsze, nigdy nie pozna radości posiadania męża i własnych dzieci, ale jej życie - które miało już się zakończyć przed dziesięcioma laty - zawsze będzie miało sens, bo

podjęła walkę z czymś, czego doświadczyła na sobie. Podjęła walkę z bólem, z cierpieniem.

Co się z nią teraz dzieje? Dlaczego jej zazwyczaj tak pogodne wnętrze przypomina wzburzone morze?

Bezwiednie dotknęła swego prawego policzka, wyczuwając pod palcami śliską nierówną powierzchnię blizny. Czy ona kiedykolwiek przedtem myślała o miłości? Tak. Przed wieloma laty, kiedy po raz pierwszy miała miesięczną przypadłość. Kiedy przeistaczała się w kobietę, myślała często, jak mogłoby wyglądać jej życie, gdyby była o jeden krok dalej od paleniska. Gdyby matka wiedziała, że w wiadrze jest nie woda, lecz olej. Gdyby matka poczekała, by przekonać się, że jej córka przeżyła. Gdyby ojciec potrafił poradzić sobie ze swoim życiem...

Dziesięć lat temu, z okładem. Dziś nagle wszystko ożyło w pamięci.... Ona od dawna nie pozwalała sobie na roztrząsanie różnych „gdyby”. Zwykle starała się być ponad to, myśleć chłodno, logicznie, a w tęsknocie za czymś, co niemożliwe, nie ma przecież żadnej logiki. Ale dziś... Dlaczego? Dlaczego nagle obudziły się w niej pragnienia, które zmieniły się w popiół w tamtym innym życiu? Dlaczego odrodziły się w czyimś uroczym, chłopięcym uśmiechu i turkusowych oczach?

Turkusowych. Palec Brenny musnął kamień. Ręce nadal drżały, dlatego splotła palce i złożyła je na podołku. Na moment odwróciła wzrok od ołtarzyka. Tego wieczoru nie czuła tu obecności Bogini.

Tego wieczoru był tu wszechobecny Cuchulainn.

Zrobiła głęboki wdech, wciągając w płuca lawendowy zapach kadzidełka i zmusiła się do skupienia

na

Eponie. Na szczęście, w głowie zaczęło się przejaśniać, napięcie zniknęło. Zrobiła jeszcze jeden głęboki wdech i tak jak to miała we zwyczaju, po prostu zaczęła mówić do Bogini.

Chociaż tego wieczoru mówiła innym głosem niż zwykle. Twardym.

- Czuję, że dobrze zrobiłam, składając wraz z innymi przysięgę. Należę teraz do Klanu MacCallanów,

który zawsze był ci bliski. To poczucie przynależności... - Brenna zamilkła na moment, zaciskając palce tak mocno, że skóra na kostkach zbieleła - jest czymś, czego nie miałam przez tyle lat.

Zapomniałam już, ile daje radości. Dziękuję ci, Epono, że pozwoliłaś, bym znów miała dom.

Kiedy wypowiadała to na głos, w głowie formułowały się już nowe myśli, jakby głośne słowa podsuwały nowe części układanki. W pewnym momencie oczy Brenny rozszerzyły się, jakby nagle coś zrozumiała, a gniew, jeszcze tłący się gdzieś w niej, zaczął definitywnie zniknąć.

- Może to właśnie pokusa przynależności do drugiego człowieka sprawiła, że zaczęłam błędzić myślami - powiedziała, uśmiechając się smutno. - Jak dziecko! Pozwoliłam, by słodkie marzenia zachwiały zdrowym rozsądkiem. Słodkie marzenia związane z pewną przystojną męską twarzą...

Westchnęła. Tego tematu nie da się uniknąć, na pewno nie w rozmowie z Eponą, która znała ją tak dobrze. Palce Brenny musnęły turkusowe pióro.

- Tu chodzi nie tylko o to, że jest przystojny, Epono. W jego oczach zobaczyłam życzliwość, dlatego zapomniałam, że on może czuć do mnie tylko litość, nic więcej. Na pewno nigdy mnie nie pokocha. -

Brenna nieznacznie potrząsnęła głową, jej głos znów stwardniał. - Niektórzy uważają, że dobrze, jak ktoś okaże ci litość, bo znaczy to, że temu komuś na tobie zależy. Nieprawda. To jest jak z

kandyzowanym owocem. Z wierzchu słodczy, a w środku owoc może być już zepsuty. Ale życie zmywa fałszywą

słodczy, ukazując nagą prawdę... Dziś... dziś tak się stało. On wymyślił sobie, że zlituje się nad pokrytą bliznami Uzdrowicielką i zatańczy z nią. Jak zwykle, piękny mężczyzna myśli tylko o sobie,

nie zastanawia się, co czuje drugi człowiek. Och, jaka ja byłam nierozsądna. Bo ja... ja zaczynałam wierzyć, że on...

Głos Brenny zamierał. Jak mogła uwierzyć, że jemu zaczyna na niej zależeć? Jak mogła?

Po co te pytania, skoro zna już odpowiedź. Uwierzyła, bo jej się wydawało, że coś dostrzegła w jego przepięknych oczach o kolorze turkusowego kamienia i pióra egzotycznego ptaka. Te oczy patrzyły na nią z...

- Nie! Nie! Koniec z bezsensownymi mrzonkami, które tylko rozdrapują stare rany.

Znów budził się w niej gniew. Powitała go z ulgą. Gniew stłumi przecież rozpacz...

Uklękła. Nachyliła się nad tłącą się lawendą i machając ręką, nakierowała pachnący dym na siebie, żeby owionął całe jej ciało. Powtórzyła to jeszcze dwukrotnie, potem wzięła do ręki małą rzeźbę, łeb klaczy, i zacisnąwszy ją mocno w dłoni, przyłożyła do serca.

- Wielka Bogini Epono, po raz pierwszy od wielu lat, jakie spędziłyśmy razem, zwracam się do ciebie

z prośbą. Błagam, spraw, by spokój znów zagościł w moim sercu i w mojej duszy. Błagam ciebie, wzywając, jako moich orędowników cztery żywioły. Powietrze, które jest tchnieniem życia. Ogień, który płonie z niezachwianą wiernością. Wodę, która obmywa i odnawia. Ziemię, która daje dostatek.

Po wypowiedzeniu tych słów nie poczuła wokół siebie magicznego wirowania powietrza, ale mała

drewniana figurka, którą ścisnęła w dłoni, rozgrzana teraz, nagle zrobiła się prawie gorąca. Brenna czuła, jak to ciepło

stłumi w niej resztki gniewu. Zamknęła oczy i westchnęła, bardzo smutno. Owszem, gniew znikł, jakby

ktos posmarował balsamem jej duszę, ale balsam ten tylko uśmierza ból. Nie leczy. Ona sama musi dojść do ładu ze sobą. Wlać w siebie spokój - sposób jest bardzo prosty. Powinna unikać Cuchulainna,

a z tym nie będzie kłopotu. Zanim wyszła z zamkowej sali, zdążyła jeszcze zobaczyć Wynne kuszącą

Cuchulainna w tańcu, i Cuchulainna podejmującego uwodzicielski taniec. Piękna kucharka na pewno zadba teraz, by Cuchulainn był bardzo zajęty.

Kiedy zasypiała, starała się nie zważać, że serce bardzo boli, już na samą myśl o tym, że Cuchulainn może być z inną kobietą...

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

Największa przyjemność, to obudzić się w swoim pokoju, słysząc przytłumione głosy mężczyzn, którzy już zabrali się do roboty. Elphame, prawie w siódmym niebie, przeciągnęła się powoli, żeby sprawdzić, jak zareaguje na to poszkodowane ramię i bok. Wypadło nieźle, przystąpiła więc do drugiej próby. Potarła długi strup pod żebrami. Zamiast ostrego bólu poczuła swędzenie. Ten kawałek

ciała już nie był obolały, lecz odrętwiały.

Zadowolona z oględzin, pomyślała sobie, że chyba nie okaże się osobą zbyt zdemoralizowaną, zaczynając dzień od wymoczenia się w swojej prywatnej wannie.

Uśmiechnęła się. Na pewno nie, jeśli moczenie nie będzie trwało zbyt długo. Wskoczyła z łóżka jak z procy i pobiegła do wejścia jej prywatnego pokoju kąpielowego. Na schodach jednak zwolniła.

Wolała nawet nie myśleć, jak by zareagował Cuchulainn na jej kolejny, niebezpieczny upadek.

Dlatego schodziła bardzo powoli, dla lepszego utrzymania równowagi jedną rękę trzymając przy ścianie.

Palce Elphame powoli przesuwwały się po kamiennym murze. Natychmiast wyczuła więź z duchem zamku. Powiedział - to twój dom. Zamek MacCallana jest twoim domem.

Tak. Ona należała do tego zamku. Czy kiedykolwiek w życiu była tak bezgranicznie szczęśliwa?

Nigdy. Owszem, przed przybyciem do zamku MacCallana wcale nie czuła się nieszczęśliwa. Do pełni

szczęścia jednak zawsze jej czegoś brakowało. Jej nowy dom pod pewnym szczególnym względem był jeszcze pusty. Brakowało w nim pewnej osoby...

Lochlana.

Musi się znaleźć jakiś sposób, żeby z nim się spotkać potajemnie. Pobyć z nim razem, bo tylko wtedy będzie mogła się upewnić, czy... Jak to powiedział MacCallan? Upewnić się, czy spokój znajdzie tylko u jego boku. Tego wybranego.

Ale co potem? Czoło Elphame przecięła pionowa kreska, tylko na moment, do podjęcia szybkiej decyzji, że pomyśli o tym, kiedy... kiedy do tego dojdzie. Kiedy będzie już u jego boku. A dochodzić do tego będzie stopniowo, teraz więc należy skupić się na pierwszym kroku, potem na kolejnych.

A więc krok pierwszy. W swoim pokoju zainstalowała się już na dobre, ma zagwarantowaną większą prywat-

ność. Czy możliwe będzie wymknąć się nocą z zamku, by odszukać Lochlana?

Nagle kamienie pod jej palcami, przyłożonymi do ściany, wyraźnie zaczęły się nagrzewać, w palcach poczuła znajome mrowienie, coraz intensywniejsze. Zaintrygowana tym, zeszła na dół, do pokoju kąpielowego i zatrzymała się, zwracając się twarzą do grubej ściany z kamienia. Przycisnęła obie dłonie do ich lekko chropowatej powierzchni, skóry tego zamku, i ostrożnie powtórzyła głośno swoją ostatnią myśl:

- Czy możliwe będzie wyniknąć się nocą z zamku, by odszukać Lochlana?

A potem, podobnie jak poprzedniego wieczoru, patrzyła zafascynowana, jak z niewidzialnego kłęбка pod jej palcami zaczyna rozwijać się drżąca złocista nić, z szybkością błyskawicy przemyka po ścianach wokół pokoju i zatrzymuje się przy okrągłym oszlifowanym kamieniu, umieszczonym w przeciwległej ścianie.

Elphame, nie odrywając palców od ściany, żeby nie przerwać więzi z kamieniem, podążyła w ślad za pulsującą nicią. Obeszła pokój i zatrzymała się przed oszlifowanym kamieniem, znajdującym się dokładnie na wysokości jej oczu, w miejscu, dokąd nie docierało światło pochodni. Błyszczał w czarnej ścianie jak wielkie, otwarte oko. Elphame, przesuając dalej palcami po złocistej nitce,

dotarła do niego i przykryła go dłonią. Od razu zaczął się nagrzewać. Jego powierzchnia była bardzo gładka, całkiem inna niż szorstka powierzchnia kamiennych ścian zamku. Wystawał nieznacznie ze ściany, jak gigantyczny guzik.

Elphame ostrożnie przesunęła palcami wokół kamiennego guzika. Nie był przymocowany do ściany, był po prostu w nią włożony.

Jak klucz?

Nacisnęła kamienny guzik i nagle część ściany, o rozmiarach drzwi, wyraźnie się poruszyła.

Poruszyła się i wydawszy cichy dźwięk, jakby wypuszczała z płuc powietrze, otworzyła się jak drzwi,

ukazując zdumionym oczom Elphame wejście do mrocznego, cuchnącego stę-chlizną lochu.

- Elphame! - dobiegł z góry donośny głos Brenny. - Jesteś tam na dole?

Elpahme natychmiast chwyciła za kamienne drzwi, próbując je zamknąć. Ale drzwi ani drgnęły.

- Tak, jestem tu! - krzyknęła przez ramię. - Już do ciebie idę! Już idę!

Odszukała szybko błyszczący kamienny guzik i nacisnęła. Kamienne drzwi prawie bezszelestnie powróciły na swoje miejsce.

- Nie do wiary... - mruknęła i popędziła na górę, żeby przywitać się z Uzdrowicielką, postanawiając w duchu, że później, kiedy będzie już sama i pewna, że nikt jej nie przeszkodzi, zajmie się dokładniej swoim nowym odkryciem.

- Dzień dobry! - przywitała ją Brenna energicznym głosem, absolutnie nie pasującym do ciemnych sińców pod oczami.

- Dzień dobry, Brenno. Wyglądasz na zmęczoną. Źle spałaś tej nocy? - spytała Elphame. Na odpowiedź musiała trochę poczekać. Brenna, zajęta przestawianiem czegoś na tacy, którą postawiła na stoliku, dopiero po chwili machnęła lekceważąco ręką.

- Nic mi nie jest! Lepiej ty mi powiedz, jak spałaś po tak męczącym dniu.

Przysiadła przy Elphame i zaglądając jej w oczy, jedną ręką sprawdziła puls, drugą ranę na głowie i

ramię.

- Wyglądasz dziś nieźle - orzekła. - Sprawdźmy jeszcze ranę w boku.

Elphame posłusznie podciągnęła koszulę nocną i patrzyła, jak przyjaciółka kiwa głową, wyraźnie zadowolona z postępów w gojeniu, po czym delikatnie wciera w strup jakąś maść. Brenna wyglądała na zmęczoną, zmęczoną i przygnębioną. Skąd ten smutek? Co takiego się stało?

Trzeba koniecznie się tego dowiedzieć.

- Bardzo żałowałam, że wczoraj musiałam wyjść tak wcześnie - zaczęła ostrożnie, wpatrując się w Brennę. - Wspaniała uczta, wszyscy byli tacy rozbawieni...

Brenna mruknęła tylko coś pod nosem. Niby z aprobatą, ale Elphame zauważyła, że zaraz potem Uzdrowicielka mocno zacisnęła usta.

- Brenno, a jak było po moim wyjściu? Nic specjalnego się nie wydarzyło?

- Nie. Po prostu muzyka i tańce, ja zresztą też niebawem wyszłam.

Elphame szybko zrobiła odpowiednio zdziwioną minę.

- Naprawdę? A to niespodzianka! Kiedy wychodziłam, wydawało mi się, że spędzasz czas bardzo przyjemnie. Myliłam się?

- Nie... To znaczy, tak! Bawiłam się bardzo dobrze, ale zrobiło się późno. Poczułam się zmęczona i postanowiłam iść już spać.

Całe to oświadczenie wcale nie zabrzmiało szczerze. Brenna wyraźnie unikała spojrzenia Elphame, była podejrzanie blada, a w oczach było tyle smutku, że przez głowę Elphame przemknęła pewna myśl, może trochę dziwaczna. Jaka szkoda, że Brenna nie jest z kamienia. Wystarczyłoby położyć na niej dłoń, żeby odczytać jej myśli.

Też pomyśl! Chociaż... chociaż mała Uzdrowicielka ma wiele wspólnego z kamieniem. Z pozoru chłodna,

zawsze opanowana, a w środku kłębek emocji. Wystarczy wspomnieć to, co Elphame wczoraj

widziała z Wieży Przywódcy Klanu. Łkającą Brennę... Jak ją zmusić do zwierzeń?

Zaufanie. To podstawa. Zwierzamy się komuś, komu ufamy, a ufamy tym, którzy wobec nas są szczerzy, mówią prawdę. I to trzeba teraz zrobić. Powiedzieć prawdę, udowadniając tym Brennie, że jest się osobą godną zaufania.

- Wczoraj wieczorem weszłam na Wieżę Przywódcy Klanu - wyznała.

Brenna, zajęta raną, poderwała głowę.

- Nie powinnaś była tego robić - powiedziała surowym głosem. - Mimo że czujesz się już o wiele lepiej, nie wolno ci szarżować.

- Przecież wiem! - rzuciła niecierpliwie Elphame.

- Uważam na siebie!

- Ale przesadziłaś. Całe szczęście, że nic ci się nie stało. - Brenna skończyła smarować maścią ranę i ostrożnie obciągnęła koszulę nocną Elphame. - Ale dziś rano nie zalecam moczenia się w prywatnym jeziorze...

Elphame spojrzała na Brennę ze złością, Brenna uśmiechnęła się. Jak to Brenna, rozczulająco krzywo.

- Dopiero wieczorem. I pamiętaj, że po kąpieli trzeba starannie osuszyć ranę i posmarować maścią.  
A

teraz...

- Brenna wytarła ręce w fartuch, wstała i podeszła do stolika. - Zaparzyłam ci dobrej, mocnej herbatki ziołowej. Przyniosłam też śniadanie. To bardzo ważne, żebyś dzień zaczęła od solidnego śniadania.

- Dobrze. Wypiję te twoje obrzydliwe ziółka, jeśli zostaniesz i zjesz razem ze mną.

- Dziękuję... - Brenna sprawiała wrażenie miło zaskoczonej. - I mam nadzieję, że moje obrzydliwe ziółka

dzisiaj będą ci smakować. Dodałam owoc róży i sporo miodu.

- Rozpieszczasz mnie - mruknęła Elphame, spoglądając na czajniczek jednak podejrzliwie.

- Dla Przywódczyni naszego Klanu wszystko! - wyrecytowała Brenna i dygnęła, uśmiechając się przy



tym promiennie.

Elphame też uśmiechnęła się, zadowolona, że jest na dobrej drodze. W tak miłej atmosferze Brenna być może otworzy się przed nią szybciej, niż myślała. W końcu długie godziny, jakie spędzały teraz razem scementowały ich przyjaźń. A Brenna była nadzwyczajna. Zajmowała się istotą, która w połowie była człowiekiem, w połowie centaurem i nie było dla niej to czymś nadzwyczajnym. Poza tym nigdy przed Elphame nie chowała swojej twarzy. Od samego początku Elphame i Brenna czuły się w swoim towarzystwie doskonale, a przedtem Elphame tak swobodnie czuła się tylko w towarzystwie swoich najbliższych.

A poza tym było oczywiste, że między Brenną a Cuchulainnem rodzi się uczucie. Na pewno, choć być może ani ona, ani on, nie zdają sobie jeszcze z tego sprawy. Dlatego Elphame, chociażby przez lojalność wobec swego brata, powinna dojść, co tak gnębi Brennę.

Odczekała, aż Brenna naleje herbaty, Elphame i sobie, i potem, kiedy pogryzały już pyszne paszteciki z mięsem i żółtym serem, odezwała się niby mimochodem:

- Widok z tej wieży jest niezwykły.

- Wiem - mruknęła Brenna i przełknęła to, co miała w ustach. - Dla naszej Brighid schody na tę wieżę są niestety za wąskie. Dlatego nalegała, żebym weszła tam sama, a potem musiałam jej wszystko dokładnie opowiedzieć. Co stamtąd widać i jak daleko...

Elphame pokiwała głową, starając się opanować swoją niecierpliwość i nie przejść za wcześnie do meritum sprawy.

- A zauważyłaś, Brenno, że z tego balkoniku na wieży widać dokładnie bramę do zaniku?

- Oczywiście. Prawdopodobnie to właśnie było zamysłem budowniczych. Przywódca klanu, nie zauważony przez nikogo, mógł zobaczyć, kto wchodzi i wychodzi z jego zaniku.

- Masz rację - Elphame odchrząknęła. - Wczoraj wieczorem właśnie to robiłam.

- Naprawdę? - Brenna spojrzała na nią niewinnym wzrokiem. - Zobaczyłaś coś interesującego?

Elphame spokojnie wytrzymała wzrok przyjaciółki, po ułamku sekundy dostrzegając w jej oczach błysk niepokoju.

- Widziałam ciebie, Brenno - powiedziała Elphame cicho. - Byłaś bardzo zdenerwowana.

- Ja... ja po prostu... byłam bardzo zmęczona - wyjąkała Brenna.

- Nie. To było coś więcej, Brenno. Ktoś musiał zrobić ci wielką przykrość... - Elphame, pokonując w sobie lęk przed dotykaniem innych, lęk, który nosiła w sobie po bardzo gorzkim doświadczeniu w dzieciństwie, wyciągnęła rękę i przykryła swoją dłonią małą silną dłoń Brenny. - Czy zaufasz mi i powiesz, co się stało?

Oczy Brenny zalśniły od łez.

- Ależ ja ci ufam, Elphame. Jesteśmy przecież przyjaciółkami! Aleja... ja po prostu czuję teraz, że jestem taka głupia, tak strasznie głupia...

- Ty? - Elphame lekko uściśnięła jej palce. - Brenno, przypominam, że to nie ty spadłaś do jaru i uderzyłaś się w głowę!

Brenna westchnęła.

- A jednak... W jakimś sensie też upadłam... Niestety, w tym momencie do pokoju wkroczył Cuchulainn.

- Obudź się wreszcie, siostrze! Nie możesz całego dnia spędzić...

Urwał, kiedy zauważył Brennę. A Brenna, mieniąc się na twarzy, spojrzała na niego spłoszonym wzrokiem, szybko zabrała swoją rękę i pochyliła głowę, kryjąc twarz za welonem czarnych włosów.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś, Brenno - powiedział Cuchulainn. - Przepraszam, wszedłem bez pukania. Nie chciałem wam przeszkadzać.

Elphame spojrzała przez ramię na brata. Jej brat, rosły mężczyzna, wielki wojownik, wyglądał jak skruszony chłopiec. Niemal żałośnie. A Brenna? Wzrok Brenny konsekwentnie wbity był w stół.

Czyli to sprawka Cu! Elphame była wstrząśnięta, bo wszystko było dla niej już jasne. To Cu zrobił

wczoraj wieczorem jakąś przykrość Brennie. W związku z tym czeka go dziś bardzo poważna rozmowa ze starszą siostrą. MacCallan o Cu wcale nie wyrażał się pochlebnie, i jak widać, miał całkowitą rację.

- Cu, powinieneś nauczyć się pukać do drzwi - powiedziała surowym tonem. - Ale skoro już tu jesteś, siadaj. Brenna przyniosła śniadanie. Jest tyle tego, że starczy dla całej trójki. Siadaj. Mimo twoich barbarzyńskich obyczajów, zapraszamy cię do stołu.

W tym momencie Brenna zerwała się z krzesła, tak gwałtownie, że omal go nie przewróciła.

- Pójdę już. Muszę obejrzeć ranę na rękę u jednego z robotników. Trzeba zmienić opatrunek - wyrzuciła z siebie jednym tchem i natychmiast skierowała się ku drzwiom.

- Brenno, zostań, proszę - zawołała za nią Elphame.

- Nic się przecież nie stanie, jeśli przedtem zjesz z nami śniadanie!

- Nie, nie. Muszę iść - odparła Brenna, już w progu.

- Przyjdę do ciebie po kolacji, by obejrzeć twoje rany. Pamiętaj, Elphame, masz uważać na siebie. Nie wolno ci się przemęczać.

Uciekła.

Cu stał nieruchomo, jak wrośnięty w ziemię, i wpatrywał się w drzwi, za którymi znikła

Uzdrowicielka.

- Cu! - zawołała siostra. - Co tak stoisz jak posąg? Biegnij za nią! Wczoraj nie udało ci się jej dogonić.

Może dziś ci się uda!

Cu spojrzał na nią półprzytomnie.

- Skąd wiesz?

- Później pogadamy. Teraz leć!

Skinął głową i od progu posłał ręką siostrze pocałunek. I uśmiech.

- Dzięki, siostrzo moja!

Znikł za progiem, a siostra wymruczała pod nosem:

- Biegnij, biegnij! Miejmy nadzieję, że uda ci się nie tylko ją dogonić, ale i naprawić to, coś zepsuł. Ty zapalona głowo!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

- Brenno! Zaczekaj!

Cuchulainn biegł długim zamkowym korytarzem. Brenna, kiedy usłyszała jego wołanie, w pierwszej chwili miała zamiar po prostu uciec. Była już prawie na końcu korytarza, mogła pobiec dalej, do któregoś z zamkowych pomieszczeń, gdzie kręciło się wielu ludzi. Co byłoby bardzo nierozsądne.

Zanosiłoby się przecież na konfrontację z Cuchulainnem, a konfrontacja przy świadkach pogorszyłaby tylko sytuację. A tu, w tym korytarzu, przynajmniej nie było żywej duszy.

Brenna stanęła. Odwróciła się do Cuchulainna i odruchowo zaczęła pochylać głowę, by ukryć zszpeconą

twarz. Nagle jednak poczuła gniew i ten gniew, tak jak poprzedniego dnia, kazał jej poderwać głowę.

Stanąć twarzą w twarz.

- Chciałem prosić cię o wybaczenie za moje wczorajsze zachowanie.

- Nie musisz mnie za nic przeproszać! - Brenna podniosła rękę, żeby uprzedzić jego protesty, a Cuchulainn, ku jej największemu zdumieniu, chwycił ją za rękę i... złożył na jej dłoni pocałunek.

- Oczywiście, że tak. Za dużo wypłem wina i zaszumiało mi w głowie, dlatego zachowałem się po gru-biańsku. Proszę, wybac mi.

Nie puszczał jej ręki, mało tego, jego kciuk pieszczotliwie przesunął się po jej dłoni, dokładnie w miejscu, które przed sekundą dotknął wargami.

Brenna zamarła. Pocałować kobietę w rękę to w końcu nic takiego, mężczyźni robią to bardzo często, rzecz jednak w tym, że Brenny nikt dotąd w rękę nie pocałował. Ani na powitanie, ani w zalotach.

Nigdy...

W oczach Brenny nagle zakręciły się łzy.

- Cuchulainnie, proszę, nigdy więcej tego nie rób. Nie dotykaj mnie.

- Dlaczego, Brenno? - spytał miękko.

Co mu powiedzieć? Prawdę? Nie dotykaj mnie, bo za bardzo tego chcę? Albo - nie dotykaj mnie, bo jesteś w moim sercu raną, która nigdy się nie zagoi...

Oczywiście, że tego mu nie powiedziała. Gdyby to zrobiła, cała chyba rozpadłaby się na miliony kawałeczków i nigdy by już siebie nie odzyskała w całości. Dlatego świadomie z powrotem przywołała swój gniew. Powrócił, gdy w pamięci przywołała obraz Wynne i jej zmysłowego tańca.

- Bo na pewno nie spodoba to się Wynne! - wyrzuciła

z siebie, wyszarpując rękę z jego dłoni. - I mnie też nie! Ale przyjmuję twoje przeprosiny. Wiem, że nie chciałeś zrobić mi przykrości i nie musiałeś mnie przeproszać. Dla mnie jest to poniżające!

Odwróciła się, teraz pragnąc tylko ucieczki. Ale Cuchulainn złapał ją za rękę.

- Poczekaj! Ja...

Brenna spojrzała gniewnie na jego palce zaciśnięte wokół jej nadgarstka. Puścił ją natychmiast.

- Nie będę cię już dotykał, Brenno, obiecuję. Ale pozwól sobie coś wyjaśnić.

- Niczego nie trzeba wyjaśniać!

- Trzeba!

Powiedział to stanowczo za głośno. Po prostu huknął, co jemu samemu bardzo się nie spodobało. Zły na siebie, przeczesał nerwowo włosy ręką, starając się za wszelką cenę opanować.

- Trzeba - powtórzył już normalnym, uprzejmym tonem. - Po pierwsze, chcę, żebyś wiedziała, że Wynne mnie nie interesuje.

- To nie moja sprawa - powiedziała szybko Brenna.

- Brenno, proszę, daj mi się wypowiedzieć. Brenna wzruszyła lekko ramionami, udając, że jest jej wszystko jedno. Skoro już tak bardzo chcesz, to mów.

- Wczoraj wieczorem byłem pijany w sztok. To jedyne moje usprawiedliwienie, oczywiście, żalosse.

Ale chcę, żebyś wiedziała, że zwykle nie nadużywam trunków. Ale ta uroczystość przedtem,

składanie przysięgi, była tak podniosła. Byłem poruszony, w rezultacie wypilem za dużo... -

Cuchulainn nabrał głęboko powietrza i zajął w ciemne oczy Brenny. - Kiedy zaczęli grać, w mojej otumanionej winem głowie była tylko jedna myśl. Taniec z tobą. Ale ty odmówiłaś, czym kompletnie zbiłaś mnie z tropu. Myślałem, że ci się podobam. A poza tym, choć niełatwo mi się do tego przyznać,

Łowczym miała rację. Nie jestem przyzwyczajony, żeby kobieta, która mi się podoba, odmawiała mi czegokolwiek. Dlatego zareagowałem jak rozpuszczony młodzik z urażoną dumą. A powinienem był... - urwał. W wyrazistych oczach Cuchulainna zapaliły się wesołe iskierki. - Powinienem był usiąść koło ciebie, wyszeptać do ucha kilka miłych słówek i powiedzieć, że bardzo chcę nauczyć cię tańczyć, ale... na osobności.

W tym momencie Brenna nagle przypomniała sobie, że człowiek jednak powinien oddychać.

- Kiedy wybiegłaś z sali zamkowej, poszedłem za tobą. Chciałem porozmawiać. Brenno, ja nie chcę Wynne. Chcę ciebie.

Brenna czuła, że jej zeszpecona twarz płonie rumieńcem. Gniew odezwał się ze zdwojoną siłą.

- Jak możesz być tak okrutny?!

- Okrutny? Czy to okrutne, że chcę ciebie?

- Tak! Bo to tylko głupi kaprys. Naigrywasz się ze mnie!

- Brenno, obrażasz mnie!

- Ja? Ja obrażam ciebie?! Przede wszystkim, ty jak zwykle uważasz, że wszystko kręci się wokół ciebie! Ty wypileś za dużo, ty myślałeś tylko o tym, czego ty chcesz. Ty powinieneś zrobić to czy tamto. Czy ty nigdy nie zastanawiasz się, co czują inni?

- Oczywiście! Ja...

- Ja i ja! Słuchasz tylko siebie! - Była tak wzburzona, chyba jak nigdy dotąd. Bała się, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. - A co ze mną?! Czy kiedykolwiek pomyślałeś, że może ja nie chcę być zabawką

pięknego Cuchulainna? Może ja ciebie nie chcę? Cuchulainnie, jesteś moim

przyjacielem i bratem Przywódczyni Klanu, jesteś dzielnym wojownikiem. Zawsze będę darzyć cię szacunkiem, na jaki zasługujesz. I tak, jak wszystkim członkom klanu, jeśli kiedykolwiek zostaniesz ranny, zaszyję ranę. Jeśli zachorujesz, uczynię wszystko, żebyś wyzdrowiał. Ale twoją igraszką nie będę!

Tym razem, kiedy odwróciła się i szybkim gniewnym krokiem ruszyła przed siebie korytarzem, nie zatrzymywał jej. Stał nieruchomo, póki nie usłyszał z drugiego końca korytarza głosu siostry.

- Cu!

Odwrócił się dopiero wtedy, kiedy siostra zatrzymała się obok niego. Odwrócił się i spojrzał na nią dziwnie pustym wzrokiem.

- Cu, chodź ze mną. Musimy porozmawiać. Skinął głową i bez słowa poszedł za Elphame do jej pokoju. Elphame nigdy jeszcze nie widziała, żeby Cu poruszał się tak dziwnie, tak ciężko. Zwykle paradował dumnie, teraz przygarbił się, jakby niósł na plecach wielki ciężar. Nagle przypomniała sobie słowa MacCallana. Powiedział: „Twój brat ma twardy orzech do zgryzienia”. Stary przebiegły duch jak zwykle miał rację.

- Siadaj! - powiedziała, wskazując na krzesło. Zamknęła starannie drzwi i nalała bratu herbaty. -

Wypij. Koniecznie. Brenna powiedziała, że to dobra, mocna herbata.

Cuchulainn zaśmiał się niewesoło i przysiadł na krześle.

- Gdyby Brenna wiedziała, że to ja będę pił tę herbatkę, byłaby dobra, mocna i trująca.

- Nie bądź śmieszny, Cuchulainnie. Brenna jest od tego, żeby nas leczyć, a nie odebrać nam życie.

Gdyby wiedziała, że będziesz pił tę herbatkę, postarałaby się po prostu, żeby miała paskudny smak.

- Ona mnie nienawidzi, El.

- Nie sądzę. Ale o tym nie będziemy teraz rozmawiać. Cuchulainnie... - Elphame odchrząknęła. - Jako

Przywódczyni Klanu MacCallanów mam obowiązek zapytać cię, jakie są twoje zamiary wobec Brenny.

Cuchulainn, zaskoczony, aż zamrugał oczami.

- Moje zamiary?!

- Tak.

Elphame, wyraźnie nie panując nad swoim zdenerwowaniem, zaczęła przechadzać się przed stolikiem. Dwa kroki w przód, dwa kroki w tył.

- Cuchulainnie! Nie udawaj głupiego! Wiesz bardzo dobrze, o co mi chodzi. Przypadkiem usłyszałam waszą rozmowę. Wybacz, ale słyszałam, jak powiedziałaś Bren-nie, że jej chcesz. Słyszałam, jak zareagowała. Moim zdaniem, słusznie. Ale ja za dobrze ciebie znam, wiem, że powiedziałaś jej prawdę. Jedno tylko mnie zastanawia. Mówisz, że jej chcesz, dziewczyny, która już ci czegoś odmówiła. A ty nie przywykłeś do tego. Czy dlatego chcesz ją zdobyć? Na tym polega ta gra? Cuchulainn przymrużył oczy.

- Nie gram w żadną grę z Brenną.

- Miło to usłyszeć. A więc dlaczego jej chcesz? Z litości, żeby biedna, okaleczona dziewczyna w końcu coś przeżyła? Czy z ciekawości, bo chcesz zobaczyć ją całą, żeby przekonać się, jak rozległe są te blizny?

- Elphame!

Rąbnął pięścią w stół. Filiżanki na stole podskoczyły, Elphame też.

- Elphame! Gdybyś nie była moją siostrą, wbiłbym ci te słowa z powrotem do gardła!

A Elphame, wzięwszy się pod boki, uśmiechnęła się do brata. Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- No to już wiem. Jesteś w niej zakochany!

Cuchulainn szarpnął się w tył, jakby dała mu w twarz.

- Zakochany? Nie. Ja...

- Wielki Cuchulainn wstydzi się do tego przyznać? Bo ona jest za brzydka?

- Elphame... - Głos Cuchulainna stał się niebezpiecznie cichy. - Jeśli nie przestaniesz tak o niej mówić, przysięgam, że...

Przerwał mu głośny śmiech Elphame.



- Dobrze już, dobrze! Teraz wiem, że nie uważasz jej za brzydką.

Oczy Cuchulainna miotały błyskawice.

- Ona? Brzydka? Ona jest piękna!

- A blizny?

- A co tam blizny! Po prostu je ma. Na Boginię! Nie mogę uwierzyć, że ty wygadujesz takie rzeczy.

Myślałem, że jesteś jej przyjaciółką!

Śmiech Elphame ucichł. Siostra spojrzała na brata bardzo ciepło.

- Jest moją przyjaciółką. Właśnie dlatego chciałam się upewnić, jakie masz wobec niej zamiary, Cu.

Nie mogłam uwierzyć, że chcesz się z nią tylko zabawić. Byłam pewna, że jest inaczej, ale chciałam usłyszeć to z twoich ust.

Cuchulainn rozejrzał się po pokoju.

- El, ale my jesteśmy tu sami, prawda?

- Oczywiście! - Elphame wzniosła oczy ku niebu. - Miałaś rację, za mądry to on nie jest!

Cu spojrzał na nią ze złością.

- Znow rozmawiasz z tym stetryczalym duchem?

- Tak, ale teraz to nieistotne. Wracamy do ciebie. A więc kochasz się w Brennie?

Cuchulainn skinął głową i zaczął wpatrywać się w swoją filiżankę.

- Ona jest na ciebie trochę zła?

- Powiedzmy...

- Za słabo powiedziane?

- Tak. Myślę, że ona mnie nienawidzi, El.

- Nonsens! Posłuchaj. - Elphame przysunęła sobie krzesło bliżej brata i usiadła. - Wczoraj wieczorem

weszłam na wieżę Przywódcy Klanu.

- El! Miałaś tego nie robić! Brenna wciąż powtarza, że masz uważać na siebie.

- Tak, tak. Dostałam już od niej za swoje... - przerwała niecierpliwie Elphame. - Posłuchaj lepiej, co tam z góry zobaczyłam. Widziałam, jak Brenna wychodziła z zamku. Płakała. Cu! Tak bardzo płakała, że musiała oprzeć się o mur!

- Płakała przeze mnie, El. To ja doprowadziłem ją do łez. Co nie znaczy, że ona mnie kocha, tylko to, że ja jestem nieczułym egoistą. Za takiego zresztą uważa mnie Brenna.

Elphame pokręciła głową.

- Nie, Cu, jest inaczej. Kiedy Brenna oparła się o mur, ja miałam ręce oparte o kamienną balustradę i duch zamku jakimś sposobem połączył mnie z Brenną. Przez jedną chwilę czułam to samo, co ona.

Rozpacz, ból, samotność. Cu! To, co wydarzyło się w sali zamkowej, złamało jej serce!

Cuchulainn jęknął i ukrył twarz w dłoniach. El nachyliła się do brata i ścisnęła go za ramię.

- Cu, możesz to wszystko naprawić. Okaż jej swoją miłość, postaraj się, żeby zaczęła ci ufać.

Brat spojrział na nią przez palce.

- A jak ja mam to zrobić? Jak?!

- A tego to ja już nie wiem - odparła z uśmiechem siostra.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

Elphame przeciągnęła się i dyskretnie poruszyła swoim obolałym ramieniem, starając się nie pokazać po sobie, że coś tam jeszcze może ją boleć. Miała przecież zadanie do wykonania. Usadzono ją na świeżo skopanej ziemi, między dwoma rzędami czegoś, co kiedyś miało być rzędami rosnącej bujnie mięty. Tak przynajmniej zapewniała ją Wynne. Elphame nie znała się na ziołach, w ogóle nie znała się

na ogrodnictwie. Dla niej ten stary ogród, usytuowany w pobliżu kuchni, wyglądał po prostu jak kawałek ziemi, gdzie panował kompletny chaos. Sadzonki, wsadzone i jeszcze niewsadzone, tu dołek, tam kupka ziemi, a tam chwasty. Ale pomocnice kuchenne Wynne

były w tym biegłe, wystarczyło posłuchać, jak rozmawiają o gatunkach ziół. Wiedziały doskonale, gdzie i co posadzić, co wypielić. Natomiast Elphame, szczerze mówiąc, wolałaby teraz skrobać

kamienne ściany w wielkiej sali zamkowej. Taki zresztą miała zamiar, niestety zanim zdążyła się za to zabrać, Brenna podniosła wielki raban. Jak to Brenna, pomyślała ze złością Elphame, przyklepując

ziemię wokół małej sadzonki mięty. Uzdrowicielka kategorycznie zabroniła jej robić cokolwiek, chyba że coś naprawdę tak mało wyczerpującego, jak to, co Elphame robiła teraz. Siedziała sobie wygodnie na ziemi i wsadzała do niej maciupeńkie roślinki.

W sumie więc nie ma się na co uskarżać. Najważniejsze przecież, że udało jej się uniknąć leżenia na nienawidzonym szezlongu, poza tym pogoda była piękna. Ciepło, leciutki wietrzyk przywiewał między zamkowe mury zapach kwiatów i morza. Słońce grzało w twarz, a odgłosy krzątania członków klanu wlewały w serce spokój. A poza tym po jakimś czasie doszła do wniosku, że grzebanie w żyznej ziemi MacCallanów bardzo jej się podoba.

Przeciągnęła się jeszcze raz, pokręciła głową, żeby rozluźnić zeszywniały kark. Kiedy spoglądała do góry, widziała mężczyzn, pracujących bardzo ciężko przy odbudowie zrujnowanych całkowicie kwater dla wojowników. Wejście do tych kwater usytuowane było w pobliżu tylnych drzwi do kuchni

i to, zdaniem Elphame, miało swój głęboki sens. Wojownicy, jak wiadomo, są zawsze głodni.

Przynajmniej Cuchulainn. Jemu zawsze chciało się jeść.

Znajoma wysoka postać w kilcie podeszła do robotników. Zaczęła wydawać polecenia, sprawdzać postępy w robocie. El obserwowała brata z wielką uwagą. Był

naburmuszony, głos zdecydowanie ostrzejszy niż zwykle. No cóż... Elphame z trudem powstrzymała uśmiech. Biedny, zmaltratowany Cuchulainn! Ale jest nadzieja. Jej brat, uparty jak osioł, kiedy czegoś chciał, nie ustępował. Brenna nie zdaje sobie sprawy, co ją czeka. Jaka szykuje się bitwa, żeby

załamać jej linię obrony. Elphame z całego serca życzyła bratu zwycięstwa. On i Brenna tak do siebie

pasowali. Przez moment Elphame zastanawiała się nawet, czy do bitwy nie włączyć matki. Etain, gdyby dowiedziała się, że jej ukochany synek oddał swoje serce, czyli jest nadzieja na wnuki, byłaby w tej walce wspaniałą sojuszniczką.

Szybko jednak zrezygnowała z tego pomysłu. Cuchulainn powinien wziąć swoje sprawy w swoje ręce

i zdobyć Brennę. Duch starego MacCallana co prawda nie był pewien, czy Uzdrowicielka kiedykolwiek zaufa komuś do takiego stopnia, żeby go pokochać, Elphame jednak bardziej wierzyła w swoją przyjaciółkę. Tak samo wierzyła w uwodzicielskie zdolności swojego brata.

Wzięła następną sadzonkę mięty i zaczęła kopać dołek. Cuchulainn, Brenna... A co z Elphame? Co z jej sercem? Co z jej ukochanym? Lochlan... Zadrżała, kiedy przypomniała sobie, jak Lochlan zareagował na jej dotyk. Jego skrzydła...

- Masz rumieńce, Elphame. Może powinnaś trochę odpocząć.

Elphame drgnęła, zaskoczona, i osłaniając ręką oczy przed słońcem spojrzała w górę, na Brighid i Brennę.

- A mnie się wydaje, że nie mam rumieńców. Czuję się znakomicie - powiedziała i wstała, z nadzieją,

że robi to wystarczająco zwawo, by zadowolić Uzdrowicielkę.

- Według mnie, wygląda bardzo dobrze - orzekła Brighid.

Elphame najchętniej by ją teraz ucałowała. Brenna zmrużyła oczy.

- Elphame, a czy ty się nie....

- Nie! Nie przemęczam się. Wsadzam tylko do ziemi maciupkie gałązeczki!

- Czyli sadzonki mięty! - zawołała Wynne, wkraczająca do ogrodu. Kucharka szybko zlustrowała wzrokiem rządki posadzonych sadzonek, dzieło Elphame, i pokiwała z aprobatą głową. - Bardzo dobrze. Wykonałaś kawał dobrej roboty.

- A widzicie? - Elphame uśmiechnęła się do swoich przyjaciółek triumfująco. - To dowód, że czuję się

już naprawdę znakomicie!

Brenna jednak miała jeszcze pewne wątpliwości.

- W każdym razie pamiętaj, Elphame, nie spiesz się z robotą. I jak tylko ręka zacznie cię boleć, odpocznij.

Uśmiechnęła się do swojej podopiecznej, której absolutnie nie wolno było spuszczać z oka. Rany goiły się bardzo szybko, ale nie był to jeszcze stan idealny, a Elphame rozpierała energia. Była przyzwyczajona, że jej ciało jest mocniejsze i sprawniejsze niż ciało człowieka. Nie rozumiała, że nawet jej siły są ograniczone.

Brenna zerknęła na Wynne, która podeszła, by omówić z Elphame i Brighid jadłospis. Kucharka była piękną, ponętą kobietą. Raczej niemożliwe, żeby Cuchulainn jej nie pożądał, tak samo niemożliwe jak to, że mógłby pożądać Brenny. U schyłku dnia gniew Brenny przycichł, ale tlił się jeszcze. Stąd pytanie - dlaczego on z takim uporem powtarzał, że chce jej? Brenny?

Zagryzła wargi, przypominając sobie swoje ostre słowa. Wcale nie uważała, że Cuchulainn jest egoistyczny i okrutny. Wymknęło jej się to, bo była całkowicie wytrącona z równowagi jego deklaracją o tym, że jej pożąda. Wytrącona z równowagi jego dotykiem, jego bliskością...

- Dobry wieczór!

Niski głos Cuchualinna brzmiał nienaturalnie radośnie. Przez cały dzień był niespokojny, poirytowany, na dekarzy wydzierał się jak nienormalny. W końcu postanowił odszukać siostrę, która też, jak Brenna, jest młodą kobietą i na pewno podpowie mu, co powiedzieć Brennie, żeby naprawić to, co zepsuł przez swoją głupotę. Jedna z kobiet powiedziała mu, że Elphame jest w ogrodzie koło kuchni. Poszedł tam, pełen determinacji, niestety, jak się okazało, w tym ogrodzie, a właściwie ogródku, zastał Elphame w asyście kobiet, między innymi Brenny, i cały jego misterny plan spalił na panewce. Nie było możliwości rozmowy z siostrą w cztery oczy, czyli będzie musiał zdobyć się na odwagę i działać samodzielnie, kierując się swoim sercem.

Elphame na jego widok posłała mu ciepłutki, siostrzany uśmiech.

- Założę się, że nie miałeś pojęcia, że znam się na pracach ogrodniczych.

Mimo ponurego nastroju nie mógł się do niej nie uśmiechnąć.

- Nie znasz się, siostró - powiedział, delikatnie ścierając palcem z jej policzka ciemną smugę ziemi.

- Nieprawda, wojowniku - zagrychała słodko Wynne. - Nasza Przywódczyni ma wiele ukrytych talentów.

Cuchulainn spojrzał na nią tylko przelotnie. Odszukał spojrzeniem milczącą Uzdrowicielkę i uśmiechnął się teraz do niej, najpiękniej i najcieplej jak potrafił.

- Może i masz rację, Wynne - powiedział, wpatrując się w Brennę. - Moja siostra potrafi zaskoczyć.

Ale nie

tylko ona. Inni też. Zaskakują, co człowieka zaciekawia i chciałby wiedzieć jeszcze więcej.

Brenna również wpatrywała się w niego, nie wierząc własnym oczom. On, wojownik, patrzył na nią, patrzył na nią tak szczególnie i to przy świadkach! Przesłanie w jego spojrzeniu było jednoznaczne.

Ogłaszał wszem i wobec, że jest zainteresowany Brenną. Stała więc nieruchomo, jak wrośnięta w ziemię, nie wiedząc właściwie, co ona w tym momencie ma zrobić. Uciekać czy stać, a Cuchulainn dalej tak patrzy na nią.

I niech rzeczywiście tak będzie. Tak jak mówi jego spojrzenie.

Patrzył. Dalej na nią patrzył, właśnie tak.

- Cu, potrzebujesz czegoś? - spytała Elphame.

- Tak - odparł, nie odrywając swego turkusowego spojrzenia od Brenny. - Potrzebuję czegoś i chyba to

już znalazłem, siostró moja.

Brenna zrobiła głęboki wydech, czując, że nietknięta połowa jej twarzy oblewa się rumieńcem.

Szybko odwróciła głowę.

- Przepraszam, Elphame, ale ja... ja mam coś pilnego do zrobienia.

Dygnęła i szybkim krokiem wyszła z ogródka.

- A więc to tak... - szepnęła Wynne. Cuchulainn, odprowadzając wzrokiem Brennę, mruknął:

- Właśnie tak.

Wynne spojrzała na niego przeciągle i odrzuciwszy swoją rudą grzywę w tył, wyszła z ogródka.

- Cu, nie zachowałeś się naj zręczniejsz - powiedziała z przyganą w głosie Elphame, wycierając o uda brudne ręce. - Brenna jest bardzo nieśmiała, dobrze o tym wiesz. Obawiam się, że zamiast zdobywać jej względy, wzbudzasz w niej coraz większy lęk.

- Chcę, żeby wiedziała, że myślę o niej poważnie. Brighid cicho prychnęła.

- Chcesz coś powiedzieć? - spytał Cuchulainn, obracając się ku niej.

Łowczyni wzruszyła swoimi krągłymi ramionami.

- Nic. Oprócz króciutkiej uwagi, że zachowujesz się jak buhaj w okresie rozplodowym. Jeszcze chwila, a zaczniesz znaczyć swój teren w wiadomy sposób.

Elphame, widząc, że w jej bracie zaczyna się gotować, pospieszyła z interwencją.

- Uspokójcie się. Albo idźcie dokończyć dyskusję za murami zamku! Albo nie. Macie natychmiast iść na polowanie. Oboje. Wyładować się. I... Brighid, dlaczego ty na każdym kroku starasz się zrazić do siebie Cuchulain-na? A ty, Cuchulainnie... ty rzeczywiście powinieneś zachowywać się powściągliwie, bo inaczej jeszcze bardziej sobie zaszkodzisz.

Łowczyni znów prychnęła. Elphame spiorunowała ją wzrokiem. Brighid westchnęła.

- Dobrze. Idziemy, wojowniku. Przekonajmy się, czy potrafisz ustrzelić jelenia.

Cuchulainn spojrzał na nią posepnie. Wcale nie miał zamiaru opuszczać zamku. Chciał odszukać Brennę i...

- Już was nie ma! Ruszajcie się! - zawołała Elphame i chwyciwszy jedno i drugie za ramię, pociągnęła

ich ku wyjściu. - Wynne właśnie mi mówiła, że dziczyzny nigdy nie będzie dosyć. Spotykamy się przy obiedzie. Żegnam!

Wypchnęła ich za furtkę, nie zwracając uwagi na mroczne spojrzenie brata. Wreszcie poszli. Elphame

westchnęła i znów przysiadła wśród sadzonek mięty, zastanawiając się w duchu, czy nie warto po

prostu walnąć czymś Cuchulainna w głowę. Brenna jako Uzdrowicielka

musiałaby się wtedy nim zająć. Takie rozwiązanie, choć nie najprostsze, byłoby niewątpliwie najlepsze.

- Byłby jeszcze gorszym pacjentem niż ja - mruknęła pod nosem. - W końcu Brenna podała mu trujące ziółka i nikt nie miałby do niej o to pretensji.

Cuchulainn musiał przyznać, że pomysł Elphame był niezły. Dobrze, że na jakiś czas opuścił zamek.

Ochłonął, w głowie mu się przejaśniło, a Łowczyni okazała się wspaniałą Łowczynią. Cuchulainn miał ojca centaura, siła i zręczność centaurów nie zadziwiła go, ale Brighid potrafiła się skradać jak nikt, jakby miała jakieś nadprzyrodzone zdolności.

- Tędy - szepnęła. Cuchulainn podążył za nią, do strumyka płynącego przez łąkę. Koło strumyka stał jelen. Właśnie pochylał łeb, żeby napić się wody.

Cuchulainn skinął głową i jak najciszej zsunął się ze swojego wałacha. Włożył strzałę do łuku, podkradł się bliżej i przykucnął za przewalonym drzewem. Nagle powiał wiatr. Cuchulainn zaniepokoił się. Wiatr co prawda wiał teraz w jego stronę, ale w każdej chwili mógł zmienić kierunek

i powiać w kierunku odwrotnym.

Nagle poczuł smród rozkładającego się truchła, gdzieś w pobliżu. Rozejrzał się, przestąpił przez konary powalonego drzewa i trafił nogą w sam środek rozkładających się szczątków.

Zaklął i odruchowo się cofnął. Gwałtowny ruch spłoszył jelenia. Zwierzę poderwało łeb i z rozdętymi

chrapami umknęło w las.

- Cuchulainnie, co ty... - zaczęła zirytowana Brighid, podchodząc do niego, zamilkła jednak, kiedy znalazła się po drugiej stronie powalonego drzewa.

- Wilk - poinformował ją Cuchulainn, wycierając but

o mech. - Wybacz, że spłoszyłem jelenia. Ale nagle...

- skrzywił się, wskazując na padlinę - wlałem w to, co wcale nie wygląda i nie pachnie przyjemnie.



Brigid przyglądała się uważnie padlinie.

- To wilczyca - powiedziała po chwili. - Nadziała się na konar.

- Dziwne. Koniecznie musiał skakać przez to drzewo?

- Musiała - poprawiła go Łowczyni. - To wilczyca. Miała młode, spójrz na jej sutki.

Cuchulainn, wystarczająco zaintrygowany, żeby zignorować smród, podszedł bliżej do martwego zwierzęcia.

- Widziałam to kilka razy - powiedziała Łowczyni.

- Samotna wilczyca, która dopiero co urodziła młode. Rozpaczliwie potrzebuje jedzenia. Goni za swoją zdobyczą z taką desperacją, że nie zwraca już uwagi na nic. Ta wilczyca pędziła na pewno z ogromną szybkością. Przeskakiwała przez ten pień i nadziała się na gałąź. Widzisz?

Cuchulainn przykucnął przy zwierzęciu i zobaczył. Ostra gałąź przebiła wilczycy pierś.

- Ale dlaczego polowała sama? Wilki przecież żyją w stadzie.

- Oczywiście. Ale spójrz na nią, jest niewielka, nie powinna być kryta. Stado rzadko dopuszcza, by taki słaby okaz miał potomstwo. Podejrzewam, że dominujące wilczyce wygoniły ją ze stada... -

Łowczyni nachyliła się, wyczytując z ciała zwierzęcia jego historię. - Nie, podejrzewam, że chciały ją zagryźć. Spójrz, ile ma blizn, na głowie, na szyi. Miała umrzeć, ale jakimś cudem przetrwała.

Pokryta bliznami. Miała umrzeć. Cuchulainn zacisnął szczęki.

Nagle wstał i zwrócił się twarzą do Łowczyni.

- Jak myślisz, jak długo ona tu leży?

Brigid wzruszyła ramionami.

- Bo ja wierri... Ze dwa dni, nie dłużej.

- Czyli nie za długo...

- Nie za długo na co?

- Trzeba je odnaleźć. Może któreś z nich jeszcze żyje. Odwrócił się i szybkim krokiem ruszył do swojego

wałacha.

- Cuchulainnie! Na Boginię, o czym ty mówisz? Cu zręcznie wskoczył na swojego wierzchowca.

- O tym, że masz okazję udowodnić, że rzeczywiście jesteś tak znakomitą Łowczynią, za jaką cię uważam.

Głowa Łowczyni uniosła się nieco wyżej.

- A jak mam to udowodnić?

- Chcę, żebyś odnalazła jej młode.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY**

Wieczorny posiłek był wyjątkowo smaczny. Elphame, mimo że zaczynała ją zastanawiać przedłużająca się nieobecność brata i Łowczyni, spokojnie popijała swoje wino, gawędząc z Danannem. W końcu nie jest niańką brata. Cuchulainn potrafi sam zatroszczyć się o siebie - tak samo jak Brighid.

Ale zaraz... przecież gdzieś tam w lesie jest Lochlan!

Elphame wyprawiła brata i Łowczynię na polowanie, by oboje ochłonęli po wybuchu emocji, zwłaszcza brat, poza tym miała nadzieję, że podczas wspólnych łowów w końcu przekonają się do siebie. Niestety, na śmierć zapomniała o Lochlanie! Co będzie, jeśli Łowczyni

natrafi na więcej tych „niezwykłych” śladów? Nie tylko Łowczyni, ale także Cuchulainn?

Mimo narastającego niepokoju starała się bardzo, by uśmiech nie schodził jej z twarzy i okazywała uprzejme zainteresowanie tym, co mówił stary Mistrz Kamieniarz. W pewnej chwili zwróciła się do Brenny, próbując wciągnąć ją do rozmowy, ale Uzdrowicielka tego wieczoru była wyjątkowo nierozmowna. Siedziała osowiała, wpatrzona w swój talerz, co jakiś czas tylko zerkała znad niego trwożliwie, gdy w sali pojawiała się nowa osoba.

Chyba jednak ten pomysł z polowaniem nie był najlepszy. Cuchulainn powinien był zostać w zamku, prosto z tego ogródka pobiec za Brenną. Ale cóż... stało się. Elphame westchnęła i zabrała się za

dolewanie sobie wina, gdy niespodzianie stukot kopyt obwieścił powrót Łowczyni. Pojawiła się w sali

z dziwnym półuśmiechem na twarzy, a przechwyciwszy spojrzenie Elphame, mrugnęła do niej, zaraz potem do sali wpadł Cuchulainn.

- Brenno! Chodź! - zawołał od progu. - Jesteś potrzebna!

Elphame widziała, jak Uzdrawicielka, słysząc głos Cuchulainna, drgnęła nerwowo, kiedy jednak spojrzała na jego zaaferowaną twarz, natychmiast przeszła swoją metamorfozę. Nieśmiała dziewczyna poszła w zapomnienie, z krzesła zerwała się energiczna, pewna siebie Uzdrawicielka.

- Co się stało? Gdzie się zraniłeś?

Serce Elphame, mimo że wesołe mrugnięcie Uzdrawicielki powinno dać jej do myślenia, natychmiast zabiło szybciej. Przerażona, że Cu jest ranny, zerwała się też z krzesła i pobiegła za Brenną. Wszyscy umilkli, słychać było tylko głos Brenny.

- Cuchulainnie, siadaj tutaj! - Dała znak ręką dwóm

robotnikom, żeby zwolnili miejsca na pobliskiej ławie i kładąc Cu rękę na ramieniu, zmusiła go, żeby

usiadł. - Nie widzę krwi. Spadłeś z konia? - Brenna spojrzała na Brigid. - Co mu się stało?

Próbowała sprawdzić Cuchulainnowi puls, ale on przytrzymał jej rękę.

- Nie chodzi o mnie, Brenno, tylko o nią. Odsunął na bok swoją koszulę i wyjął stamtąd małą kulkę z szarego futra.

- Żarty sobie ze mnie stroisz, Cuchulainnie? - spytała lodowatym głosem Brenna, próbując odsunąć się od niego, ale Cuchulainn nie puszczał jej ręki.

- Ojej! Przecież to... - Elphame szybko nachyliła się ponad ramieniem przyjaciółki, żeby lepiej przyjrzeć się szarej kulce. - Żyje?!

- Ledwo dyszy - powiedział Cuchulainn i odwrócił się do Brenny. - Nie żartuję, Brenno. To wilczątko.

Chciałem prosić, żebyś pomogła ją uratować.

- A gdzie matka? - spytała Brenna. Udało jej się oswobodzić rękę, ale nie odeszła. Przeciwnie,

przysunęła się bliżej i zaczęła z wielką uwagą przyglądać się zwierzątku.

- Nie żyje. Tak samo jak rodzeństwo tej małej.

- Ty zabiłeś jej matkę?! - spytała Brenna surowym głosem.

Brighid zaśmiała się.

- On? On dziś w lesie nie stanowił żadnego zagrożenia. Dla nikogo! Za każdym razem chybiał celu -

powiedziała, nie zważając na pełne złości spojrzenie Cuchulainna. - Wilczycę znaleźliśmy martwą.

Cuchulainn prosił mnie, żebym wytropiła, gdzie miała swoją norę.

Elphame ostrożnie dotknęła brudnej szarej sierści zwierzątku, niewiele większego niż dłoń

Cuchulainna.

Oczy miało zamknięte, nos suchy, gdyby nie zaskomlało cichutko, można by pomyśleć, że nie żyje.

- Jest bardzo słaba, odwodniona. Prawdopodobnie od dwóch dni nic nie jadła - powiedziała Brenna i

ostrożnie wsunęła palec do pyszczka. Wilczątko natychmiast zaczęło ssać.

- To dobry znak, że mała ma jeszcze ochotę ssać

- orzekła Brenna. - Trzeba poić ją mlekiem, bardzo często, ale i tak nie wiadomo, czy przeżyje.

Choćbyś bardzo się starał, Cuchulainnie.

- Ja? Myślałem, że ty...

Zamilkł, ponieważ Brenna nagle podejrzenie zmrużyła oczy. A Elphame, na widok nieszczęśliwej miny brata, roześmiała się na głos.

- No cóż, drogi braciszku! W końcu to ty sprawiłeś sobie szczeniaczka!

- Żadnego szczeniaczka - burknął. - To wilczątko!

- Zanieś swoje wilczątko do kuchni - poleciła Brenna.

- Trzeba poprosić Wynne o kawałek płótna, jakim owija się ser. Pokażę ci, jak zrobić ze ściereczki coś w rodzaju sutka, żeby mała miała z czego ssać.

Brenna - jak widać, też bardzo przejęta, niezależnie od uprzedniego mrużenia oczu - pierwsza ruszyła

w stronę kuchni. Cuchulainn wsunął z powrotem wilczątko za pazuchę i poszedł za Brenną, odprowadzany rozbawionymi spojrzeniami i śmiechem biesiadników.

- Wilczątko! - Teraz Elphame mrugnęła wesoło do Brighid. - W sumie może niezły pomysł. Groźny wojownik ratuje bezbronne maleństwo przed niechybną śmiercią. Dobry sposób, żeby przypodobać się dziewczynie.

- Owszem - przytaknęła Łowczyni. - Tylko że Brenna nie jest taką sobie zwyczajną dziewczyną.

- Otóż to!

- Ona ssie! - W głosie Cuchulainna słyhać było wielką ulgę.

Siedział przy stole w namiocie, który przedtem zajmowała siostra, a teraz mieszkał tu on. Był zadowolony, że jego plan choć częściowo już się powiódł. Brenna była w jego namiocie. W kuchni byli bardzo krótko. Wynne wygoniła ich stamtąd, krzycząc za nimi, że jedyne zwierzęta, jakie mają prawo tu przebywać, to istoty martwe, gotowe do wrzucenia do garnka. I tym sposobem znaleźli się tutaj, w namiocie. Cuchulainn siedział na krześle, na kolanach miał rozłożony koc, tam usadził wilczątko. Ściereczka chytrze udająca sutek wilczycy została nasączona mlekiem, ale wilczątko na początku wcale nie chciało ssać, tylko skomlało żałośnie. Jakby jednak chciało umrzeć.

- Tylko ostrożnie, Cuchulainnie. To nie jest walka, w której za wszelką cenę musisz zwyciężyć - ostrzegła go Brenna. - Ona bardzo już się nacierpiała. Musisz ją przekonać, że nic jej teraz nie grozi, wtedy zacznie ssać.

Cuchulainn więc głaskał i głaskał, przemawiał czule, w końcu wilczątko dało się ubłagać i przypięło się do szmatki z mlekiem.

Cuchulainn rozpromienił się.

- Widzisz? Udało się. Pije jak smok!

Brenna z trudem powstrzymała uśmiech. Rozzochrany, pachnący mlekiem i brudnym wilczątkiem wojownik był po prostu rozczulający, chyba jeszcze nigdy nie podobał jej się jak teraz.

- Bardzo dobrze, Cuchulainnie. Ale nie rób sobie jeszcze zbyt wielkich nadziei. Sytuacja nadal jest

bardzo poważna.

Cuchulainn sposepniał. Podrapał pieszczotliwie karczek wilczątko, wilczątko zaskomlało i zaczęło ssać z jeszcze większą energią.

- A widzisz? Ona ma serce wojownika - powiedział żarliwie zachwycony Cuchulainn. - Nie umiera, chociaż inni giną. Walczy i na pewno przeżyje.

Kąciki ust Brenny jednak drgnęły, choć odezwała się chłodno i rzeczowo, jak Uzdrowicielka:

- Może i masz rację, ale przed tobą długa, niełatwa noc. Tu stoi mleko. Jest tego dużo, wystarczy na całą noc. Masz też czystą ściereczkę. Oczywiście, bierzesz ją ze sobą do łóżka. Przytul ją do siebie, mała nie może się wyziębic. Jak będzie głodna, na pewno cię obudzi. Jutro rano zajrzę do was.

- Jutro? - Cu, zaskoczony, wyraźnie chciał złapać ją za rękę, niestety, obie ręce miał zajęte. - Chyba nie zostawisz mnie teraz samego!

- Oczywiście, że tak. Chyba nie spodziewałeś się, że zostanę tu z tobą przez całą noc!

Nie pochyliła głowy, nie ukryła twarzy za włosami, ale głos jej złagodniał, przycichł, bardziej przypominał głos Brenny, nie Uzdrowicielki.

- Nie ze mną, tylko z nami! - poprawił szybko Cuchulainn. - Z nami!

- Czyli spodziewasz się, że to stworzenie potraktuję jak chorego człowieka? - spytała, natychmiast powracając do rzeczowego tonu Uzdrowicielki.

Cu skinął głową, wyglądało na to, że poczuł ulgę.

- W takim razie jako Uzdrowicielka uważam, że z czystym sumieniem mogę odejść od chorej.

Zostawiam ją przecież w najlepszych rękach jej... przybranego ojca. Jutro rano zajrzę do was.

Dobranoc, Cuchulainnie... - Brenna, unosząc płachtę u wejścia namiotu, zatrzymała się jeszcze na moment. - Aha, i mimo że mała nie pachnie różami, dziś jej nie kąp. Byłby to zbyt wielki szok dla wycieńczonego organizmu. Możesz wykapać ją jutro.

O ile przeżyje. Poza tym przyszykuj sobie jakieś mokre szmatki. Mała, wiadomo, po jedzeniu robi to i owo, będziesz musiał ją oporzędzić, jak to zwykle robi wilczyca. Matka!

Brenna uśmiechnęła się, odwróciła i wyszła z namiotu.

Cuchulainn zacisnął zęby.

Wilczątka zaskomlało i trąciło go noskiem w rękę, dopraszając się o mleko.

- Już, już. Zaraz dostaniesz! - Przesunął wilczątka trochę na bok i zajął się przygotowywaniem nowej porcji mleka, dalej przemawiając do małej: - Niestety, poszła. Ale uśmiechnęła się do nas. Widziałaś?

To dobry znak. Jeszcze chwila i będzie musiała przyznać, że nas bardzo lubi...

Mówił i mówił do swojej małej słuchaczki, nie pachnącej różami, bo to bardzo ważne - powiedzieć na głos. Przełożyć na dźwięki swoją determinację. Powiesz - a stanie się prawdą. Taką przynajmniej Cuchulainn miał nadzieję.

Elphame w końcu mogła nacieszyć się samotnością. Wiedziała, że Cuchulainn, zajęty swoją małą podopieczną, nie będzie miał teraz czasu dla siostry - chociaż to jego osoba w jakiś sposób opóźniła nadejście słodkiej chwili samotności. Przedtem Brighid koniecznie chciała odprowadzić Elphame do jej pokoju, nawet asystowała jej podczas kąpieli. Po to, by opowiedzieć szczegółowo o wszystkich porażkach łowieckich Cuchulainna tego dnia. Po prostu musiała się wygadać.

Elphame uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie tyrady Brighid, kończąc jednocześnie nakładanie kiltu w jasnoniebiesko-zieloną kratę klanu MacCallanów.

- Dzięki, Mamo - szepnęła, spinając pled na ramieniu

broszą MacCallana. Ręka bezwiednie pogłaskała pled z materiału w najlepszym gatunku, jeden z licznych darów, jakie przywieziono poprzedniego dnia ze świątyni Epony. Szczerze mówiąc, Elphame specjalnie nie zależało na pościeli z najcieńszego płótna i innych zbyt kłopotliwych przedmiotach, zdaniem matki niezbędnych. Ale ten dar, kilt i pled w kratę MacCallanów był po prostu

bezcenny.

Kiedy skończyła się ubierać, podeszła do gotyckich drzwi, za którymi były schody, prowadzące do

pokoju kąpielowego Elphame. Gdzie znajdowały się również ukryte drzwi do lochu.

Zeszła po schodach. Jej palce, tak jak poprzednim razem, przesuwały się po ścianie, głaszcząc kamienie - ciało zamku, jej nowego domu. Po drodze przeżyła króciusięnką chwilę zwątpienia. Czy ona wie, co robi?

Elphame zrobiła głęboki wdech. Oczywiście, że wie. Doskonale.

Pokaż mi ukryte drzwi.

Natychmiast poczuła znajome mrowienie w palcach, potem ciepło i z palców zaczęła się wysuwać złocista nić. Zajaśniała i pobiegła w dół, znacząc swoją ścieżkę po ścianie. Zatrzymała się na środku ukrytych drzwi. Elphame z bijącym sercem podążała za nitką. Doszła do ukrytych drzwi, wyjęła z uchwytu jedną z zapalonych pochodni i nacisnęła wystający ze ściany okrągły oszlifowany kamień. Tym razem drzwi otwarły się bezszelestnie, jakby czekając na nią, wstrzymywały oddech.

Uniosła wysoko pochodnię i spojrzała w ciemny, wąski loch o wilgotnych ścianach, pokrytych srebrzystymi pajęczynami. Kiedy pomyślała o przemykających pająkach, zadrżała. Nierówny, chropowaty sufit był tu bardzo nisko i okropnie cuchnęło stęchlizną. Elphame przycisnęła mocno rękę do ściany, wyczuwając pod zimną powierzchnią

puls zamku. Kamień powoli zaczął nagrzewać się pod jej ręką i poczuła wielką ulgę, kiedy ukazała się

złocista nić i zaczęła pełznąć po ścianie. Bardzo szybko jej początek wkrótce znikł z oczu Elphame, ale to nie był powód do niepokoju. Czuła się dalej z nią połączona, jakby drugi koniec nici był w niej, pulsował w jej żyłach.

Była też pewna, że tam, gdzie skończy się kamienny loch, zacznie się las. Wystarczy tylko wejść w tę ciemną czeluść... Szybko, żeby uprzedzić ewentualne wątpliwości i strach, wkroczyła w mrok lochu i ruszyła do przodu po zaskakująco równej posadzce. Nie było żadnych zakrętów, nie szła ani w górę, ani w dół, tylko prosto przed siebie i chociaż było zimno i cuchnęło stęchlizną, loch emanował spokojem i siłą. Cichy stukot kopyt, tak znajomy, też uspokajał. Szła, rozmyślając o MacCallanach, którzy od pokoleń zamieszkiwali ten zamek. Ileż to razy któryś z jej przodków przemierzał ten loch?



Ile razy loch był miejscem schadzek kochanków?

Schadzki. Serce Elphame zabiło szybciej.

- Epono, pomóż mi zrobić to, co powinnam zrobić -powiedziała na głos i nagle poczuła się nieswojo.

Miała bowiem wrażenie, że jej głos dziwnie zawirował wokół niej. Naprawdę dziwnie. Przez moment

zastanawiała się, czy nie wezwać ducha ostatniego Przywódcy Klanu, jego towarzystwo na pewno dodałoby jej odwagi. Ale zrezygnowała. Teraz przecież to ona była Przywódczynią Klanu i powinna postępować tak, jak przywódca. Sama podejmować decyzje, a jeśli trzeba - sama wykonać to, co postanowiła.

W drżącym świetle pochodni ukazał się wylot lochu. U wylotu było kilka kamiennych stopni, prowadzących w górę, między chaszczę i splątane korzenie. Elphame wsunęła pochodnię w uchwyt na

ścianie i zgięta w pół,

zaczęła posuwać się do przodu, odgarniając na bok chaszczę i zeschnięte liście, blokujące wyjście - i nagle, przy niewielkim wysiłku z jej strony, wynurzyła się z lochu, jak korek wyskakujący z wody.

Chwilę stała w miejscu, żeby wzrok przyzwyczyił się do ciemności. Tę chwilę wykorzystała też na wyjęcie z włosów kilku zeschniętych liści. Była w lesie, na pewno w sporej odległości od zamku, nie

widziała przecież żadnych świateł. Ale słyszała bardzo wyraźnie, jak morskie fale biją o brzeg, czyli była blisko morza.

Odwróciła się, spojrzała na wejście do lochu i aż potrzęsnęła głową ze zdumienia. Stąd wyglądał po prostu jak jeszcze jedna dziura w ziemi, jakich w lesie nie brakowało. Znakomicie dopasowany do otoczenia, trzeba naprawdę być bardzo ostrożną i uważną, żeby potem nie mieć kłopotu z jego odnalezieniem.

Rozejrzała się dookoła, starając się zobaczyć cokolwiek w spowitym w mrok lesie. Może powinna poczekać, aż księżyc wzejdzie wyżej i będzie jaśniej? Może, ale przecież ona i tak nie wie, w którą stronę spoglądać. Nie ma pojęcia, gdzie może być Lochlan.

Przyszedł, kiedy napadł na nią dzik. Przyszedł też wczoraj. Była wtedy sama. Skąd o tym wiedział?

Ciekawe... Elphame zmrużyła oczy, zastanawiając się w duchu, co robić. Po pierwszym jej spotkaniu z Lochlanem trudno jej było uwierzyć, że spotkała go naprawdę, że on istnieje. Ale wczoraj... wczoraj wystarczyło, że wypowiedziała jego imię na głos, a on się pojawił. I nie miała już żadnych wątpliwości. On istniał naprawdę.

Powiedział też: Zawołaj mnie, najdroższa. Zawsze będę w pobliżu.

Elphame nieznacznie wzruszyła ramionami. Nie bę-

dzie przecież przeszukiwać całego lasu. Wychodzi na to, że trzeba go będzie po prostu zawołać.

Odchrząknęła i czując się trochę głupio - nie, bardziej niż trochę głupio - ostrożnie wypowiedziała jego imię na głos.

- Lochlan...

Prawie szeptem, czyli wiadomo, nikt nie usłyszy. Zebrała się więc w sobie i zawołała:

- Lochlan!

Nagle poczuła na skórze dziwne ukłucia, jakby coś ją otoczyło, otuliło, jakaś niewidzialna siła. Wiatr pochwycił echo tego słowa, poniósł między konary sosen. Lochlan... Lochlan... Lochlan... niosło się coraz dalej, coraz dalej, aż ucichło. Znikło jak mgła, którą ucałowało słońce.

- Jakieś czary...

Wargi Elphame poruszyły się, ale te wyrazy nie uleciały z jej ust. Zbyt była poruszona. Bo to na pewno nie kwestia wyobraźni czy skutki uderzenia w głowę.

Imię Lochlana było magiczne.

Jeszcze go nie widziała, a już czuła jego obecność. Wyczuwała poprzez swoją krew, podobnie jak poprzez kamień wyczuwała puls zamku MacCallana.

- Lochlanie!

Zawołała jeszcze raz, zachwycona, że znów obudziła magię, znów wiatr pochwycił jego imię.

Ale nie poniósł dalej, tylko kazał zatańczyć wokół Elphame.

- Jestem tu, najdroższa.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Wyszedł z mroku, ze skrzydłami złożonymi równo na plecach. Jego skóra i włosy zdawały się przyciągać poświatę wschodzącego księżyca. Malowała je srebrzyście, podkreślając wypukłości i płaszczyzny postaci, zarys aksamitnej ciemności skrzydeł. Srebrzysta postać zbliżała się do Elphame bezszelestnie, szybującym krokiem, charakterystycznym dla rasy Fomorian. Niezwykłym, ale Elphame nie ruszyła się z miejsca, nie drgnęła, nie cofnęła się. Nie okazała lęku, mimo to Lochlan nie podszedł zbyt blisko. Zatrzymał się w odległości na wyciągnięcie ręki.

- Czułem, że jesteś bardzo blisko, Elphame. Choć trudno mi było w to uwierzyć.

- Słyszałeś, jak cię wołałam?

- Tak. Wiatr przyniósł twój głos. Poszedłem więc tam, skąd wiał wiatr.

Elphame czuła, że jest coraz bardziej zdenerwowana. Policzki stawały się coraz cieplejsze, dowód na

to, że na jej twarz wypływa rumieniec. I nie wiedziała, co zrobić z rękami.

- Może pójdziemy się przejść? - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

- To będzie dla mnie zaszczyt.

Wyciągnął rękę, ale Elphame nie podała mu swojej. Zawahała się. W świetle księżyca ręka Lochlana wyglądała upiornie.

- Elphame, przecież już cię dotykałem, a ty mnie. Oderwała wzrok od jego ręki i zajrzała mu w oczy.

A potem powoli splótła swoje palce z jego palcami. Jego skóra była ciepła, a tam, gdzie ich nadgarstki się ocierały, wyczuwała miarowy puls.

- Za tymi drzewami są już skały nabrzeżnie - powiedział, wskazując ponad jej ramieniem. - Tam na pewno będzie jaśniej.

Elphame, nie odzywając się ani słowem, skinęła głową. Teraz, kiedy Lochlan był już razem z nią, straciła całą pewność siebie. Do tego stopnia, że jej nogi nie dawały się zmusić do chodzenia - po prostu stała, z dłonią schowaną w dłoni Lochlana i patrzyła na niego.

Białe zęby Lochlana błysnęły w porywającym uśmiechu, szare oczy roziskrzyły się.

- Idziemy? A może chcesz pobiegać?

Jego uśmiech i słowa sprawiły, że skrępowanie Elphame wreszcie znikło.

- Pobiec? Nie w nocy i nie przez las. Idziemy! - zakomenderowała.

Trzymając się za ręce, ruszyli przed siebie, przez las.

- Dostałam niezłą nauczkę. Jeszcze jeden upadek i Cuchulainn zacznie chodzić za mną krok w krok.

Ani na minutę nie spuści mnie z oka. W obecnej sytuacji będzie to nie tylko dla mnie fatalne. Dla niego też.

- Domyślam się, że jest bardzo zajęty przy odbudowie zamku. Trudno byłoby mu się rozdzielić...

- To też. Ale przede wszystkim to Cuchulainn zakochał się!

- A... rozumiem - Lochlan sprawiał wrażenie zaskoczonego. Chwilę pomilczał, a potem, nieśpiesznie kreśląc kciukiem kółeczka na jej dłoni, dodał: - A miłość, jak wiemy, to sprawa dość skomplikowana...

- A skąd ty to wiesz? - spytała, czując, że od tych kółeczek, rysowanych na jej dłoni, cała drży.

Wyszli już z lasu. Księżyc bawił się śpiącym morzem, malując go na srebrzyście i na biało. W oddali widać było zamek MacCallana, częściowo zasłonięty przez drzewa.

Lochlan zwrócił się twarzą do Elphame.

- Skąd wiem, że miłość to sprawa skomplikowana? Ano... wiem.

Była usidlona jego spojrzeniem, spojrzeniem oczu wypełnionych tajemnicą i uwodzicielską pokusą poznania tego, co jeszcze nieznanne. Patrzyła w te oczy, nagle czując lęk. Jeśli pokocha Lochlana, będzie zgubiona. Zatraci się, zmieni na zawsze, a wcale nie była pewna, czy jest gotowa wyrzec się siebie dla mężczyzny - zwłaszcza takiego, który jest tak inny, tak niepodobny do kogokolwiek, kogo znała.

Ostrożnie wysunęła dłoń z jego dłoni i szybkim krokiem zaczęła iść w stronę jednego z dużych

kamieni, jakimi zasłane było nabrzeżne urwisko. Lochlan szedł za nią. Elphame usiadła na kamieniu, milcząca, starając się w swojej głowie wprowadzić jaki taki porządek.

- Lochlanie... - odezwała się po chwili, wpatrując się w srebrzone księżycem morze. - Powiedz mi, jak to możliwe, że ty istniejesz.

Lochlan zdawał sobie sprawę, że to, co teraz jej powie, może wpłynąć decydująco na dalsze ich relacje. Dlatego najpierw, zanim otworzył usta, pomodlił się w duchu, prosząc Eponę o pomoc.

- Dlaczego istnieję? Prawdę mówiąc, sam tego do końca nie wiem. Wiem natomiast, tak samo jak ty, co doprowadziło do Wielkiej Wojny. Ponad sto lat temu rasę Fomorian dotknął kataklizm.  
Fomorianki

z niewyjaśnionego powodu zaczęły wymierać. Nieraz zastanawiałem się, czy taka nie była wola Epony, która chciała, by rasa demonów wyginęła. Z drugiej jednak strony, jeśli istotnie tak było, to dlaczego Epona pozwoliła, żeby doszło do wojny?

Elphame, nadal wpatrując się w morze, odpowiedziała słowami, które wielokrotnie słyszała z ust matki.

- Epona pozwala ludziom dokonywać własnych wyborów. Wcale nie chce, żebyśmy byli jej niewolnikami. Chce, byśmy byli silnymi, rozumnymi istotami o szerokich horyzontach. Ta swoboda jednak oznacza również możliwość popełniania błędów, a błędy bardzo często prowadzą do zła.

Gdyby wojownicy w Warowni nie zaniedbali swoich obowiązków, Fomorianie nie wdarliby się do Partholonu i nie zaczęli uprowadzać kobiet.

- Ale tak się stało. Fomorianie zaczęli uprowadzać kobiety, w ten sposób chcieli zapobiec wymieraniu

swojej rasy. I udało im się, bo okazało się, że domieszka ludzkiej krwi wcale nie osłabia demona. Rasa odrodziła się, urosła w siłę do takiego stopnia, że Fomorianie byli w stanie dokonać najazdu na

Partholon. Do czasów mojej matki żadna kobieta nie przeżyła porodu dziecka, którego ojcem był Fomorianin. Moja matka była młoda, silna, zawsze jednak twierdziła, że jej siły fizyczne odegrały tu niewielką rolę. Najistotniejsze było to, że we mnie, w dziecku, które urodziła, więcej było z

człowieka niż Fomorianina. Matka została uprowadzona przez Fomorian wraz z dużą grupą kobiet.

Zostały zgwałcone, żeby zaszyły z nimi w ciążę, co dla tych kobiet oznaczało wyrok śmierci. Dziecko było tak duże, że podczas porodu rozrywało ciało matki. - Lochlan referował to beznamiętnym tonem.

Tę historię przecież słyszał z ust matki niezliczoną ilość razy. - Dla Fomorian te kobiety były po prostu czymś w rodzaju inkubatora. Sposobem na odradzanie się ich rasy. Szczególnie zależało im na tym,

żeby rodziły się hybrydy płci żeńskiej, które tym bardziej mogły do tego się przyczynić. Ale potrzebne było każde dziecko... Kiedy Partholon zjednoczył się i szala zwycięstwa przeważyła na jego korzyść,

Fomorianie próbowali uciec w Góry Tier. Niektórym to się udało. Zaszyli się w górach, podzielili się

między sobą uprowadzonymi kobietami i postanowili po prostu przeczekać, aż urodzą się owe dzieci i

będzie możliwość odrodzenia rasy. Ale Bogini miała wobec nich inne plany. Demony zaczęły chorować, na tę samą chorobę, która zdziesiątkowała ich wojsko. Byli coraz słabsi i wtedy moja ciężarna matka zaczęła namawiać inne kobiety do buntu. Skrzyknęły się i uciekły Fomorianom.

Zamierzały przejść przez góry i wrócić do Partholonu, do swoich domów i tu, otoczone miłością najbliższych, postanowiły czekać na nieuniknioną śmierć podczas porodu. Stało się jednak inaczej.

Zanim dotarły do Partholonu, kobiety zaczęły rodzić. Moja matka pierwsza. I wcale podczas porodu nie umarła...

Elphame oderwała wzrok od morza. Teraz patrzyła na Lochlana. Jego twarz mieniła się.

- Potem poród mutantą przeżyła jeszcze jedna kobieta, i jeszcze jedna...

Mutantą? W sercu Elphame zakłuło.

- Nie jesteś mutantem, Lochlanie.

- Jestem, Elphame. Jestem przecież i demonem, i człowiekiem.

- A ja, Lochlanie, jestem i centaurem, i człowiekiem. Czy też jestem mutantem?

- Ty? Ty jesteś nadzwyczajna. Elphame wytrzymała jego wzrok.

- Nie tylko ja....

Lochlan uśmiechnął się niewesoło i dalej opowiadał historię swego życia.

- Przeżyła prawie połowa kobiet. Moja matka tłumaczyła to w jeden tylko sposób. Widziała w tym palec Bogini. Matka ten palec widziała zawsze, kiedy nie знаła odpowiedzi na jakieś pytanie. W

każdym razie nagle utworzyła się grupa młodych kobiet, każda z dzieckiem ze skrzydłami... - Głos

Lochlana, wyraz jego twarzy wyraźnie złagodniały. - Każda pełna miłości do swego maleństwa.

Wiedziały jednak, że z takimi dziećmi nie mogą wrócić do Partholonu, a o porzuceniu dzieci w ogóle

nie było mowy. Powędrowały więc przez góry w drugą stronę, na Pustkowie. Życie tam jest niezwykle

ciężkie. Nasze matki bardzo tęskniły za Partholonem, nigdy jednak go już nie zobaczyły. My, dzieci,

przeżyliśmy wszystkie. Rozwijaliśmy się prawidłowo, a nasze matki wychowywały nas na istoty

cywilizowane. Na ludzi.

- To było sto lat temu...

Te słowa zabrzmiały jak westchnienie. Jakże trudno było w to uwierzyć, kiedy stał obok niej,

uskrzydłony, żywy, oddychający.

- Przyznaję, że to dość długo. - Lochlan rozłożył

bezradnie ręce, jakby sam nie wiedział, co począć ze swoją długowiecznością. - Żadna z naszych

matek nie miała zbyt wielkiej wiedzy o rasie Fomorian. Ale najprawdopodobniej dzięki tej rasie my,

dzieci, dojrzewaliśmy bardzo szybko i jesteśmy wyjątkowo odporni. Domieszka czarnej krwi chroni

nas też przed starzeniem się.

Elphame wyteżyła pamięć, starając się przypomnieć sobie, co wyczytała o Fomorianach w bogatym

księgozbiorniku matki.

- Czytałam, że Fomorianie mają awersję do dziennego światła. A ciebie przecież widuję za dnia i

odnoszę wrażenie, że takie światło ci nie przeszkadza.

- Nie. Ale lepiej czuję się w nocy, wtedy widzę lepiej niż w dzień i wszystkie zmysły mam bardzo

wyostrzone.

Rozłożył szeroko ręce i rozpostarł palce. Elphame pomyślała, że teraz Lochlan wygląda jak uskrzydłony duch szamana, szykujący się do wywołania magii Bogini.

- Nocne niebo wzywa mnie!

- Potrafisz latać?

Opuścił ręce i uśmiechnął się.

- Moim zdaniem, to nie jest latanie, raczej szybowanie. Kiedy niesie cię wiatr... Może pewnego dnia ci pokażę.

Szybować, w jego objęciach... Elphame na moment aż zabrakło tchu.

- Nie, to wszystko wydaje się nierealne - powiedziała. - Ty też wydajesz się nierealny...

Lochlan podszedł do niej bliżej. Wziął w palce jedno z gęstych pasm jej włosów, puścił. Włosy jak czarny wodospad opadły na jej ramię.

- Miałem kiedyś sen, Elphame, którego nigdy nie zapomnę. Nawet gdybym miał żyć całą wieczność.

W tym śnie patrzyłem na narodziny dziecka zrodzonego

z kobiety i centaury. Kiedy centaur podniósł dziecko wysoko i ogłosił, że narodziła się Bogini,

wiedziałem, że to dziecko nieodwracalnie zmieni moje życie. Dla mnie zawsze byłaś realna, Elphame,

a całe moje pozostałe życie wydaje mi się tylko snem. Ty jesteś moim przeznaczeniem.

- Lochlanie - Elphame westchnęła, bardzo poruszona jego wyznaniem. - Ja... ja sama nie wiem, co mam teraz zrobić.

- A nie możesz po prostu zrobić to, co zrobiła moja matka? Po prostu pozwól sobie pokochać mnie!

Wszystko w niej, serce, dusza, krew w żyłach, krzychało - tak! Możesz to zrobić! Ale zdrowy rozsądek i głęboko zakorzeniony lęk przed Fomorianami ostrzegały, że należy być ostrożną.

- Ja nie mogę sobie na to pozwolić, Lochlanie. Nie jestem zwyczajną młodą dziewczyną, noszę nazwisko MacCallan. Moi ludzie złożyli mi przysięgę na wierność. Teraz na pierwszym miejscu



stawiam swój klan, dopiero potem siebie.

Twarz Lochlana rozjaśnił pogodny uśmiech.

- W takim razie zapytaj mnie, jak nazywała się moja matka.

- Twoja matka? Dobrze. A więc pytam. Jak nazywała się twoja matka?

- Morrigan. Takie imię wybrał kochający ojciec, imię legendarnej królowej duchów. Mieszkała w zamku swego klanu, starej siedzibie przodków. Przywódcą klanu był jej brat, najstarszy z kilkorga rodzeństwa. Matka po ukończeniu nauki w Świątyni Muzy wybrała się w podróż za morze, po powrocie miała wyjść za mąż, daty ślubu jeszcze nie wyznaczono. Ten ślub zresztą nigdy się nie odbył...

- Ponieważ na zamek MacCałlana napadli Fomorianie i uprowadzili twoją matkę - dokończyła Elphame, nagle czując nadnaturalne ukłucia na swojej skórze. - Jej brat to był MacCallan, przywódca klanu.

Lochlan z szumem skrzydeł padł przed nią na kolana. Wyciągnął z pochwy krótki miecz i złożył go u jej stóp.

- W moich żyłach płynie dużo krwi klanu MacCallanów, dlatego występuję o prawo do noszenia tego nazwiska i składam ci przysięgę na wierność. Przysięgam, że od tej chwili będę ci wierny aż do śmierci i po śmierci, jeśli z woli Epony będę egzystował dalej.

Elphame patrzyła na klęczącego przed nią Lochlana, spowitego w chłodną poświatę księżyca. Patrzyła

w jego oczy, w szarość, w której odbijało się teraz coś, co mogła zdefiniować tylko w jeden sposób.

Jako swoją przyszłość. I zaakceptować ją, bo Lochlan miał rację, we wszystkim miał rację. Wyczuwał

prawidłowo. Nie potrafiła tego wyjaśnić w sposób racjonalny, ale tak po prostu było. To u boku Lochlana znajdowała spokój.

Zsunęła się z głazu i opadła na kolana przed Lochlanem.

- Zatrzymaj go - powiedziała, wręczając mu z powrotem miecz. - Możesz go potrzebować, kiedy będziesz bronił Przywódczyni Klanu.

- Przyjmujesz mnie do klanu?

Elphame niemal z czią dotknęła jego policzka.

- Tak. Przyjmuję cię, Lochlanie, do Klanu MacCal-ianów. Masz do tego prawo z racji urodzenia.

Na twarzy Lochlana widać było wyraźną ulgę. Skłonił głowę i szepnął cicho:

- Dziękuję, Epono.

Kiedy wymawiał imię Bogini, Elphame nagle ponownie poczuła przypływ sił nadnaturalnych, podsuwających

jej Przeczucie. Przerazające obrazy, przerażająco realistyczne. Lochlan na klęczkach, jak teraz, ale skuty łańcuchami, zakrwawiony... uwięziony... umierający...

Jej umysł natychmiast zaprotestował, usuwając sprzed oczu przerażającą wizję. O, nie! Ona nie pozwoli zniszczyć Lochlana. Nigdy!

Wizja sprawiła, że natychmiast podjęła decyzję. Wiedziała już, co ma zrobić. Jeśli go zaakceptuje, jeśli pokocha, zmieni jego przyszłość. Nigdy nie dojdzie do tego, co przed chwilą zobaczyła oczyma duszy. Matka Lochlana swoją miłością pokonywała domieszkę czarnej krwi u Lochlana. Elphame swoją miłością będzie bronić go przed nienawiścią świata.

- Lochlanie, powiedziałeś mi, że jestem twoim przeznaczeniem.

- Tak. Kocham cię, Elphame.

- A więc podajmy sobie ręce, Lochlanie, zostanemy mężem i żoną.

Lochlan gwałtownie nabrał powietrza. Była to jedyna oznaka, jak bardzo jest zaskoczony tym, co pro-

ponowała Elphame. Zgodnie z obyczajem kobieta i mężczyzna mogli złożyć sobie przysięgę małżeńską dokładnie na rok. Po upływie tego czasu para decydowała, czy kontynuuje związek, czy się rozstaje, nie obwiniając się z tego powodu nawzajem. Takie małżeństwo było umową wiążącą,

zawieraną przez dwoje ludzi, świadkiem była Epona. Dlatego związek ten uważany był za święty i w ciągu roku nie wolno było go zerwać.

- Tak! - zawołał Lochlan, chwytając w ręce obie jej dłonie. - Tak, chcę tego!

A krwawa Przepowiednia i cały ten świat niech będzie przeklęty! - dodał w duchu i natychmiast, żeby

uprzedzić

ewentualne wątpliwości Elphame, zaczął wypowiadać nieśmiertelne słowa przysięgi, których wyuczyła go matka. A matkę jej matka, też wyuczona przez swoją matkę.

- Ja, Lochlan, syn Morrigan MacCałlan, dziś, tego dnia, biorę sobie ciebie, Elphame, córkę Etain, za żonę na rok. Będę chronić cię przed ogniem, nawet gdyby słońce spadło na ziemię, przed wodą, nawet

gdyby morze wystąpiło z brzegów i przed ziemią, nawet gdyby wstrząsnęło nią całą. Będę szanować twoje imię jak swoje własne.

Potem przysięgę złożyła Elphame, w pełni przekonana, że wstępuje na właściwą drogę - na drogę, którą dostrzegła w oczach Lochlana. Drogę, którą przepowiedział jej brat.

- Ja, Elphame, przywódczyni klanu MacCallanów, dziś, tego dnia, biorę sobie ciebie, Lochlanie, za męża na rok. Nic nas nie rozdzieli, żaden ogień ani płomień, jezioro, morze ani góry potężne. Będę szanować twoje imię jak swoje własne.

- Jak zostało powiedziane... - powiedział Lochlan.

- Tak będzie uczynione - dokończyła obrzędu Elphame.

Potem złączyli się w pocałunku, którym rozpoczęli ostrożne i czule konsumowanie swego małżeństwa. Elphame oparła się o swego męża, mąż objął ją bardzo mocno, jego wargi były miękkie, o wiele bardziej miękkie niż reszta jego ciała. Elphame znów chłonęła jego zapach, zapach lasu, dzikości, zapach mężczyzny. Był cudowną oazą w jej życiu, w którym, jak przypuszczała, miało zawsze brakować męzowskiej miłości.

Teraz miała męża. Należał do niej, ona należała do niego.

Dla jej wyostrzonych już zmysłów szelest jego drżących skrzydeł był najbardziej uwodzicielską muzyką.

- Twoje skrzydła... - szepnęła - są jak żywy aksamit. Chciałabym owinać się nimi, chciałabym, żebyś mnie stąd poniósł...

Dotknęła pokrytego kremowym meszkiem spodu skrzydeł. Lochlan jęknął, zadrżał konwulsyjnie i zamknął oczy. Elphame cofnęła rękę i dotknęła jego twarzy.

Powoli otworzył oczy.

- Powiedziałeś, Lochlanie, że widzisz mnie w swoich snach od dnia moich narodzin, musisz więc wiedzieć, że w sprawach miłosnych nie mam żadnego doświadczenia. Nie zamykaj się przede mną, ja przecież nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego to robisz. Musisz mną pokierować. Teraz, kiedy dotykam twoich skrzydeł, mam wrażenie, że sprawiam ci ból, a wczoraj prosiłeś, żebym nie przestawała cię dotykać. Nie rozumiem tego, a chciałabym to robić, bardzo... Pomóż mi to zrozumieć, mój mężu.

Czułe słowa wstrząsnęły nim, w tym momencie odczuł bardzo mocno fakt, że należą teraz do siebie.

Był jej mężem, ona jego żoną. Zdobywając Elphame, odnalazł swoje miejsce na ziemi. Nikt i nic nie zdoła ich rozłączyć.

- Moje skrzydła, Elphame, stanowią przedłużenie moich najgłębszych emocji. Mam je dzięki krwi po ojcu. Reagują żywiołowo, nie zawsze łatwo je opanować. Kiedy dotykasz ich, jest tak, jakbyś dotykała

tego, co we mnie najbardziej niegodziwe.

- Czy to, że mnie pożadasz, jest niegodziwe?

- Nie! Oczywiście, że nie! Ale kiedy budzisz we mnie pożądanie, budzą się we mnie również mroczne

instynkty. I to może okazać się bardzo niebezpieczne.

Żądy krwi Fomorian... Lochlan sam przecież przyznał się, że drzemie w nim żądza jej krwi, krwi Elphame. Spojrzała, bardzo spokojnie w jego smutne teraz, pełne lęku oczy. Nie zobaczyła tam żadnego demona, tylko mężczyznę, który został stworzony, by być jej mężem.

- Wierzę, Lochlanie, że twoja miłość do mnie jest silniejsza niż ten demon w tobie.

Miał na sobie zwyczajną koszulę z niefarbowanego płótna. Elphame, rozwiązując troczki przy jego koszuli, patrzyła Lochlanowi prosto w oczy. Kiedy rozwiązała, Lochlan szarpnął za płótno, odsłaniając swoją pierś. A jej na moment aż zabrakło tchu na widok tak pięknego, mocnego ciała.

Powoli rozpięła swoją broszę Przywódczyni Klanu, zdjęła pled i kilt, ściągnęła przez głowę bluzkę z cienkiego batystu. Chłodne powietrze wiosennej nocy dotknęło jej nagiej skóry, wysyłając przez ciało

rozkoszny dreszcz.

Lochlan stał nieruchomo. Tylko jego skrzydła drżały.

Przytuliła się do niego, przyciskając piersi do jego szerokiej klatki i wyciągnęła rękę ponad jego ramieniem, żeby pogłaskać skrzydło. Jej palce zaczęły delikatnie pieścić miękkość, która przywodziła

jej na myśl aksamit. Lochlan drgnął. Objął ją mocno ramionami, ich usta złączyły się w gorącym pocałunku, a palce Elphame przesunęły się teraz po jego plecach. Odnalazły tam miejsce, gdzie wyrastały skrzydła, i tam przeniosły swoją pieśczość.

Lochlan gwałtownym ruchem porwał ją na ręce i położył na miękkim łożu z trawy i pledu MacCallana. Przykucnął obok, skrzydła miał rozłożone, za wszelką cenę starał się opanować swoje rozbuchane emocje. A Elphame wyciągnęła rękę, pragnąc przede wszystkim poczuć na sobie ciężar jego ciała.

Lochlan, ciężko dysząc, chwycił ją za rękę.

- Powoli, najdroższa. Pozwól, że cię obejrzę. Chcę poznać twoje cudowne ciało.

Jęknęła, kiedy dotknął jej stwardniałego sutka.

- Tak... - Jego głos był zachrypnięty od pożądania. - Wzywasz mnie, jak syrena. Pójdę wszędzie za tym głosem, nawet gdyby czekała mnie tam śmierć... - Jego palec przesunął się delikatnie wzdłuż gojącej się już bliznie po ranie pod żebrami. - Nikt nigdy już cię nie skrzywdzi, Elphame. Będę cię bronił do ostatniej kropli krwi.

Nigdy do tego nie dojdzie, wszystko będzie dobrze, klan musi go zaakceptować... Przez głowę Elphame przemknęło kilka żarliwych myśli, potem wszystkie uleciały jej z głowy, kiedy ciepłe palce Lochlana przesunęły się w dół, do miejsca, gdzie jej ciało zaczynała pokrywać miękka kasztanowata sierść.

- Jesteś taką nieprawdopodobną miękkością - szepnął zachrypniętym głosem, pieszcząc jej udo. - Miękkość połączona z siłą. Przez te wszystkie lata zastanawiałem się, jak by to było, gdybym cię dotykał, a ty mnie. Nigdy nie wierzyłem, że kiedykolwiek będę to robił. Ale w końcu znalazłem drogę do ciebie...

Palce Lochlana wsunęły się między uda Elphame, dotknęły miejsca najbardziej intymnego. Elphame niespokojnie poruszyła biodrami, a skrzydła Lochlana ożyły. Zaczęły pulsować, czarna krew ojca zawrzała w jego żyłach. Podsunęła mu na moment obraz przerażający. Zobaczył, jak bierze Elphame siłą, jak jednocześnie pije jej krew, usłyszał jej rozpaczliwy krzyk...

Nie! Racjonalny umysł buntował się przeciw takiej wizji.

Lochlan szybko odsunął się od Elphame. Usiadł na trawie i ciężko dysząc, objął rękami głowę, rozsadaną przez ból. Elphame uklękła przy Lochlanie, zaczęła głaskać go po ramieniu, szeptać do ucha słowa pociechy. Kiedy jego skrzydła zaczęły się składać, ostrożnie oderwała mu ręce od głowy, odsłaniając twarz.

- Czego ty się boisz, Lochlanie? Dlaczego odsunąłeś się ode mnie?

Spojrzał w jej oczy, o jasnym, szczerym spojrzeniu. Co zrobiłaby Elphame, gdyby wiedziała, że

przyszedł do niej, podążając nie tylko za głosem serca, lecz także z powodu poznania złowrogiej

Przepowiedni, która domaga się jej krwi? Czy fakt, że jednak zdecydował się oszukać swoich ludzi i nie spełnić Przepowiedni, miałby dla niej jakieś znaczenie?

- Porozmawiaj ze mną, Lochlanie. A może żałujesz, że zawarliśmy małżeństwo?

- Nie! Nigdy! Ale to ty powinnaś żałować! Jestem demonem, ledwo panuję nad sobą, nad swoimi mrocznymi instynktami! Nie potrafię kochać się z tobą bez przemocy i krwi. To rozpala moją żądzę!

Rozumiesz? Co z tego, że cię kocham i pożądam, kiedy moje mroczne dziedzictwo każe mi

jednocześnie krzywdzić cię, szarpać, zadawać ból, posmakować twojej krwi!

Elphame czuła, jak narasta w niej lęk, starała się jednak ze wszystkich sił pokonać strach, świadoma, że jej reakcja teraz zaważy na ich przyszłości. Sama wybrała sobie Lochlana. A kiedy się kocha kogoś, darzy się go zaufaniem. Gdyby Lochlan nie był jej wart, gdyby nie był godzien jej zaufania - czy

przeżywałby teraz taką udrękę? Na pewno nie. Gdyby naprawdę był demonem, nie walczyłby o

zachowanie swojego człowieczeństwa. Wyrzekłby się swojej ludzkiej duszy na rzecz ciemności.

Elphame wierzyła w niego. Musiała wierzyć.

- Czyli, kiedy chcesz kochać się ze mną, od razu myślisz o przemocy, Lochlanie?

- Tak - odparł załamującym się głosem. - Nie potrafię się od tego powstrzymać.

Elphame wstała. Lochlan zamarł, pewien, że Elphame chce odejść.

- W takim razie to ja będę kochać się z tobą, Lochlanie - powiedziała i zamiast odwrócić się do niego plecami i odejść, podeszła do niego i zręcznie usiadła mu na kolanach. Zaczęła go całować, pieścić

jego skrzydła, które natychmiast zaczęły pulsować, nabrzmiewając pożądaniem.

- Elphame, ty nie wiesz...

- Cii...

Przycisnęła palec do jego ust, palce drugiej ręki zręcznie rozwiązały troczki przy jego spodniach.

Wstrzymał oddech, kiedy siadała na nim, kiedy zaczęła poruszać się rytmicznie, prowadząc ich oboje

ku największej rozkoszy. Pobudzone skrzydła rozłożyły się, zasłaniając niebo, zasłaniając las. Teraz

istniał dla niej tylko on. Lochlan, jej mąż.

Wracali w milczeniu. Niebo zaczynało się już przejaśniać, Elphame trudno było uwierzyć, że minęła prawie cała noc. Wydawało jej się, że w ramionach męża spędziła tylko krótką chwilę. Króciusięnką...

Palce Elphame bezwiednie zacisnęły się mocniej wokół dłoni Lochlana. Lochlan uśmiechnął się.

Przycisnął jej dłoń do swoich ust, po czym po raz kolejny zadał sakramentalne pytanie.

- Jesteś pewna, że nie zrobiłem ci krzywdy?

- Całkowicie pewna i wreszcie przestań mnie o to pytać. Nie jestem delikatnym, mdlejącym na zawołanie dziewczątkiem. - Kąciki ust Elphame drgnęły. - Ja już w ogóle nie jestem dziewczątkiem!

- Dla mnie stał się prawdziwy cud. Nie wierzyłem, że kiedykolwiek będę w stanie opanować...

Zamilkł i zacisnął mocno szczęki, przypominając sobie

chwilę uniesienia, kiedy zrył rękoma ziemię wokół siebie jak kret. A mogło przecież być inaczej.

Zamiast katować ziemię i trawę, mógłby to samo robić z ciałem Elphame...

- Lochlanie! Powtarzam, nic złego się nie wydarzyło! - odezwała się Elphame stanowczym głosem, pragnąc przerwać jego chwilę udręki. A zadręczał się, miał to przecież wypisane na twarzy. -

Lochlanie... - powtórzyła łagodniej, głaszcząc go po policzku. - Czy ty nie potrafisz po prostu cieszyć się, że razem przeżyliśmy cudowne chwile?

Lochlan przystanął. Objął żonę i oparł się czołem o jej czoło.

- Wybacz, najdroższa. To te demony, co siedzą we mnie. Trudno jest tak bez przerwy z nimi walczyć.

A tej nocy, dzięki tobie, byłem tak szczęśliwy, jak nigdy dotąd.

Pocałował ją czule i poszli dalej, do miejsca, gdzie znajdowało się zamaskowane wejście do lochu.

Tam znowu przystanęli na moment.

- Elphame, pozwól mi iść ze sobą - powiedział nagle Lochlan, obejmując dłonią jej twarz. - Jesteśmy mężem i żoną, złożyłem ci przysięgę. Na pewno potrafimy im udowodnić, że moja miłość jest silniejsza niż krew mojego ojca.



Elphame przykryła jego dłoń swoją dłonią.

- Lochlanie, wybacz, ale z tym trzeba poczekać. Nie mogę ujawnić mojego małżeństwa najpierw przed obcymi, potem dopiero powiadamiając moją rodzinę.

- Rozumiem. Tak bardzo ich kochasz?

- Kocham, ale w tym wypadku chodzi bardziej o szacunek. Wezwę tu moich rodziców i wtedy powiem im o nas. Oczywiście, przy tej rozmowie będzie obecny i Cuchulainn. I wtedy wszyscy razem zastanowimy się, jak to obwieścić całemu Partholonowi.

Elphame mówiła to głosem bardzo pewnym, co, niestety, nie było do końca adekwatne z jej obecnym stanem ducha.

- Jak długo mam czekać? - spytał Lochlan.

- Dziś wypuszczę gołębia pocztowego. Kiedy doleci z wiadomością, Mama na pewno zdecyduje, że razem z ojcem natychmiast ruszają w drogę. Będzie zachwycona, że wreszcie została zaproszona do zamku MacCallana, przecież ona marzy tylko o tym, żeby włączyć się w ozdabianie zamku. Jestem pewna, że razem z nią przyjadą wozy załadowane różnościami, jedne piękniejsze od drugich... -

Elphame uśmiechnęła się bardzo ciepło. Ten uśmiech świadczył, jak bardzo kocha swoją matkę. A po-

tem zajrzała Lochlanowi w oczy. - Jakies siedem dni, no, może trochę dłużej.

- Skoro czekałem na ciebie tyle lat, wytrzymam jeszcze kilka dni.

Uściskała go, bardzo mocno.

- Postaram się przychodzić do ciebie co noc. Będziesz tu w pobliżu?

- Zawsze, najdroższa - powiedział, kryjąc twarz w jej włosach. - Zawsze.

Elphame z wielką niechęcią wysunęła się z jego ramion i nie oglądając się już za siebie, weszła szybko do lochu. Wyjęła z uchwytu dopalającą się już pochodnię i ruszyła w drogę powrotną mrocznym

lochem. Szła, a z każdym krokiem na duszy robiło się jej coraz ciężej. Kiedy znalazła się już w swoim łóżku, zwinięta w kłębek pod grubą, ciepłą kołdrą, nadal czuła na sobie zapach swojego męża, ten

niewidoczny ślad jego pieszczot.

Zanim zapadła w sen, zwróciła się do Bogini z krótką, ale bardzo gorącą prośbą: Błagam Epono, pomóż im zobaczyć w Lochlanie człowieka, nie demona.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY**

Brenna po raz kolejny powtórzyła sobie w duchu, że nie ma nic szczególnego w sprawdzeniu stanu nowej pacjentki tak wczesnym rankiem. Dokładniej o świcie, kiedy niebo dopiero zaczynało szarzeć, a mgła nadal jak sino-niebieska kurtyna otulała zamek. Ale to małe wilczątko miało za sobą straszne przeżycia. Lepiej więc wspomóc Cuchulainna, bo i co ten wojownik może wiedzieć o opiece nad maleńkim, tak kruchym stworzonkiem? Nic.

i ta myśl konsekwentnie spędzała sen z powiek Brenny. Oczywiście, że ta, o wilczątku, a nie o Cuchulainnie!

W namiocie panowała cisza, przez ścianę namiotu jednak prześwitywał migoczący płomyk świeczki.

Brenna uniosła płachtę, zasłaniającą wejście do namiotu.

- Cuchulainnie? Żadnej odpowiedzi.

- Cuchulainnie! - odezwała się ponownie, trochę głośniej. Tym razem wydawało jej się, że usłyszała jakiś przytłumiony dźwięk. Uniosła więc płachtę wyżej, weszła do środka i natychmiast zmarszczyła nos. Zapachy nie były upojne, ale nie to teraz było dla Brenny najistotniejsze, tylko ciemny kształt na wąskim łóżku. Cuchulainn leżał na plecach, przykryty do połowy niedbale narzuconym kocem.

Koszula rozsunęła się na szerokiej piersi, zarośniętej kasztanowatymi włoskami. W blasku świecy widać je było wyraźnie. Ten widok zaintrygował Brennę, co było raczej dziwne, pamiętając, że była przecież Uzdrowicielką i nagą męską pierś zdarzyło jej się już nieraz oglądać, ale nie pierś

Cuchulainna, który poprzedniego dnia spoglądał na Brennę tak, jakby wszystkim dawał do zrozumienia, że jest zainteresowany pokrytą bliznami Uzdrowicielką, a nie piękną, chętną kucharką.

Kiedy Brenna przypomniała sobie o tym, jej serce natychmiast zaczynało bić dwa razy szybciej.

Obok Cuchulainna coś się poruszyło, zaskomlało. Oczywiście, nie coś, tylko wilczątko. Leżało na

szyi Cuchulainna, jak futrzany kołnierz, bardzo brudny. Jedną ręką Cuchulainna zwisała z łóżka, druga dłoń spoczywała na wilczątku.

Widok był rozczulający i tak zabawny, że Brenna z trudem powstrzymała śmiech. Ale uśmiechnęła się.

Na palcach podeszła do stołu, zmarszczyła czoło i znowu nos. Mokra ściereczka na stole, zachlapanym mlekiem, wcale mlekiem nie pachniała. Trudno, maleństwo musiało załatwić swoje potrzeby. Trzeba będzie tu przyjść później z kubłem wody, posprzątać... Brenna rozejrzała się dookoła. Jak to możliwe, żeby w ciągu kilku godzin jeden tylko mężczyzna i jedno tylko wilczątko narobili takiego bałaganu? A mleko całe wyszło. Ciekawe, czy dlatego, że Cuchulainn wlał je w wilczątko, czy dlatego, że porozlewane było po całym namiocie.

Brenna zerknęła na śpiącego wojownika. Nie tylko po namiocie. Wojownik też był w mleku.

Wilczątko poruszyło się, Brenna westchnęła. Trzeba iść do kuchni po dzban wody i jakieś ściereki, a przede wszystkim po mleko. Wilczątko, jak widać, absolutnie żywe, zaraz obudzi swojego przybranego rodzica. Będzie głodne. Głodne jak wilk. Brenna znów uśmiechnęła się. Przybrany rodzic też będzie głodny, też jak wilk.

Ruszyła z powrotem do wyjścia z namiotu, po drodze zbierając z ziemi brudne szmatki. Tak, przyniesie też śniadanie Cuchulainnowi. W końcu Brenna jest Uzdrowicielką klanu, nic więc dziwnego, że zatroszczy się o zdrowie brata Przywódczyni Klanu, Cuchulainna...

Spojrzenie Brenny mimo woli skierowało się w stronę łóżka.

Cuchulainn już nie spał. Patrzył na nią, a na jego twarzy błąkał się półuśmiech.

- Dzień dobry - szepnął.

Wytarła nerwowo ręce w fartuch i podeszła do niego. Jej zdecydowany krok miał pomóc ukryć zmieszanie i zignorować widok zaspanego Cuchulainna w pomiętym ubraniu, zignorować

nadzwyczajny turkusowy kolor jego oczu, zignorować jego uśmiech, który zawsze ją kompletnie oszalał.

- Skoro już nie śpisz, Cuchulainnie, obejrzę dokładnie wilczątko i...

- Ciii... - Cuchulainn złapał ją za rękę. - Niech Fand sobie jeszcze pośpi.

- Fand? - spytała Brenna, też zniżając głos. - Jak ta królowa elfów?

Wilczątko cichutko warknęło, jakby chciało samo udzielić odpowiedzi, ale zrezygnowało. Trąciło nosem szyję Cuchulainna i znów zapadło w sen.

- Tak - zaszeptał Cuchulainn. - Fand była żoną Cuchulainna, tego legendarnego wojownika. Noszę jego imię, dlatego imię Fand wydało mi się jak najbardziej odpowiednie. Tym bardziej, że ja i ta kudłata panienka mamy już za sobą jedną wspólną noc. Upojną.

Brenna uśmiechnęła się. Palce Cuchulainna przesunęły się w dół, teraz trzymał ją za rękę.

- Czy wiesz, że przyśniłaś mi się, Brenno?

- Przestań...

Ale on nie przestał.

- Śniło mi się, że oboje jesteśmy starzy. Ty masz siwe włosy, ja chodzę przygarbiony i utykam. -

Cuchulainn uśmiechnął się szeroko. - Ty zdecydowanie wyglądałaś korzystniej. I śniło mi się, że dookoła nas było pełno naszych dzieci, wnucząt, a pod nogami plątało się co najmniej tuzin wilczątek.

A ty... - Fand znowu cichutko zawarczała. Cuchulainn stłumił śmiech i mrugnął do Brenny. - Muszę uważać. Fand jest o ciebie bardzo zazdrosna.

- Cuchulainnie, proszę, nie żartuj sobie...

Tym razem, kiedy jej przerywał, wesołe iskierki w oczach zastąpił gniewny błysk.

- Żartuję, owszem, ale nie z ciebie, Brenno! Puścił jej rękę. Wziął ostrożnie wilczątko i położył na poduszce, w ciepłym jeszcze dołku, gdzie leżała jego głowa. Wstał, ponownie wziął Brennę za rękę i wy-

prowadził ją z namiotu, w ciemny i cichy poranek otulony mgłą.

- Brenno - powiedział, zniżając głos, żeby nie pobudzić robotników, śpiących w rozstawionych nieopodal namiotach - skąd u ciebie przypuszczenie, że żartuję sobie z ciebie? Dlaczego uważasz mnie za człowieka pozbawionego honoru?

- Ależ ja... ja wcale tak nie uważam - wyjąkała speszona Brenna. - Ale wtedy, jak były te tańce....

- Przecież cię przeprosiłem! - rzucił przez zaciśnięte zęby, czując, jak ogarnia go rozpacz. -

Zachowałem się po grubiańsku, wiem, ale ja zwykle tak się nie zachowuję. Jestem wojownikiem, dbam o swoje dobre imię. Znają mnie w całym Partholonie. Czy ktoś kiedyś powiedział o mnie, że jestem człowiekiem pozbawionym honoru?

- Ależ nie! Nigdy!

- Czyżby? A ty? Przecież dajesz mi jasno do zrozumienia, że gram na twoich uczuciach. A czyż nie jest to właśnie poddawanie w wątpliwość mojego poczucia honoru? - zapytał gwałtownie, z trudem zachowując resztki opanowania. - Ale ja nie będę ci niczego wyrzucał. Nie chcę cię zrażać. Na Boginię! Brenno, kiedy rozmawiam z tobą, po prostu język mi się płacze! A rzecz w tym...

- Nagle położył ręce na jej ramionach i mocno ścisnął palce, jakby chciał mieć pewność, że mu nie umknie.

- Brenno, chcę starać się o ciebie. Chciałbym oficjalnie poprosić twojego ojca o pozwolenie.

Brenna czuła, jak nagle cała drętwieje.

- Mój... mój ojciec nie żyje.

Twarz Cuchulainna wyraźnie złagodniała.

- W takim razie będę o to prosił twoją matkę...

- Ona też nie żyje. Nie mam żadnych bliskich. Cuchulainn pochylił głowę. Ile ta dziewczyna już przeszła! Ile smutku, ile bólu! Ale na tym koniec, obiecał sobie w duchu. Nie pozwoli, żeby kiedykolwiek znów musiała cierpieć.

Kiedy podnosił głowę, jego spojrzenie było jasne, rozświetlone przepęnlającym go uczuciem.

- Teraz twoją rodziną, Brenno, jest Klan MacCal-lanów. Rozmawiałem już z naszą Przywódczynią na temat moich zamiarów wobec ciebie. Elphame, jak podejrzewam, nie jest do końca przekonana, czy jestem ciebie wart, ale nie sądzę, żeby nie udzieliła mi pozwolenia na ubieganie się o twoje względy.

- Elphame wie? Rozmawiałeś z nią?

- Oczywiście. Jest przecież moją siostrą!

- Nie... to niemożliwe...

Brenna gwałtownie zamruęala oczami, jakby nagle miała kłopot z koncentracją. Zadręala. Zadręał też Cuchulainn, uderzony nagłą myślą. Brenna wyraźnie okazywała mu niechęć, a przyczyną tego wcale nie musiała być jej wrodzona nieśmiałość czy oszpeccenie bliznami. Może on, Cuchulainn, po prostu jej się nie podoba!

- Brenno, ja nie chcę cię do niczego przymuszać, a już na pewno nie do miłości. Jeśli mnie nie chcesz, powiedz. A ja, choć będzie to dla mnie bardzo bolesne, zostawię cię w spokoju. Daję słowo.

- Miłość?! O czym ty mówisz, Cuchulainnie! Spójrz na mnie, spójrz, jaka jestem oszpecona! Nie tylko twarz! Tu też, i tu! Aż dotąd!

Ręka Brenny przesunęła się po szyi, po piersi, zatrzymała się poniżej kibici.

Cuchulainn powoli zdjął jedną rękę z ramienia Brenny i bardzo ostrożnie, prawie jej nie dotykając, powiódł palcami po tej samej drodze, drodze blizn. Potem palce powróciły do twarzy i dotknęły wypukłych blizn z prawej

strony. Brenna nie protestowała i Cuchulainn ponownie przemknął palcami wzdłuż szyi, po piersi, okrytej cienką tkaniną.

Dłoń spoczęła na wypukłości biodra.

- Uważasz, że jesteś niewarta požądania? Jak możesz! Brenno! Kiedy patrzę na ciebie, widzę kogoś, kto potrafił się zaprzyjaźnić z moją jak dotąd całkowicie nieprzystępną siostrą! Widzę Uzdrowicielkę, która ma serce wojownika! I widzę delikatną dziewczynę, prawdziwą pięknosc, która zajmuje

wszystkie moje myśli każdego dnia i wypełnia je pożądaniem, a nocą wypełnia moje sny wizjami naszej wspólnej przyszłości.

- Cuchulainnie, ja już tak wiele straciłam w moim życiu... Boję się... Nie wiem, czy jestem w stanie podjąć takie ryzyko.

- Czyli o to chodzi? - W głosie Cuchulainna słychać było wielką ulgę. - A nie o to, że mnie nie chcesz?

- Oczywiście, że nie. Chcę cię, Cuchulainnie.

Nieśmiała dziewczyna znikła. Brenna te słowa wypowiedziała pewnym, mocnym głosem

Uzdrowicielki. Cu uśmiechnął się i wyciągnął ręce, gotów wziąć ją w ramiona, ale powstrzymał go rozkaz.

- Nie! Jeszcze nie skończyłam. Przyznaję, że ciebie chcę, ale nie wiem, czy chcę też oddać ci moje serce. Jeśli tak się stanie, a potem cię stracę, boję się, że będzie to rana, która nigdy się nie zagoi.

Cuchulainn czuł, że wpada w panikę. Co miał teraz powiedzieć? Jakimi słowami zapewnić, że tak nigdy się nie stanie?

Nabrał głęboko powietrza i rozpostarł szeroko ręce.

- Mogę dać ci tylko moje słowo. Nic więcej nie mogę zrobić ani powiedzieć, by zapewnić cię o mojej

miłości. Musisz mi uwierzyć.

Brenna, wpatrując się w wojownika, zastanawiała się nad odpowiedzią. Miała dokonać wyboru. Czy była wystarczająco silna, żeby to zrobić? Silna? Jej oczy nagle rozszerzyły się, znak, że znalazła odpowiedź. Oczywiście, że w swoją siłę mogła wierzyć. Na ślepo. Przecież z powodzeniem przeszła już próbę ognia.

- Wybrałam, Cuchulainnie. Wierzę w ciebie - powiedziała powoli i z godnością, a zaraz potem uśmiechnęła się, jak to Brenna. Uroczo krzywo.

Cuchulainn, wydawszy z siebie radosny okrzyk, pochwycił ją w ramiona i podniósł do góry.

- Nigdy mnie nie stracisz, Brenno. Nigdy! Postawił ją z powrotem na ziemi, ale nie wypuszczał z objęć, bo w tym momencie było mu niewiarygodnie wprost dobrze. Stać tak sobie, tuląc do siebie Brennę. Nigdy dotąd żadna kobieta nie pasowała tak do jego objęć. Brenny nawet jeszcze nie pocałował, a miał wrażenie, jakby dała mu już więcej niż te wszystkie piękne, młode kobiety razem wzięte, na które dotąd tracił czas.

Kiedy plecy Brenny nagle zaczęły drżeć, przeraził się. A jednak... nie wierzyła mu. Czy ona tego nie widzi, że on nigdy, przenigdy jej nie zrani?

- Co się stało, kochanie?

Odsunął się trochę, żeby spojrzeć jej w twarz. Zamiast łez zobaczył roziskrzony wzrok. Bo to nie płacz, a bezgłośny śmiech wstrząsał ciałem Brenny.

- Och, Cu - powiedziała, teraz już śmiejąc się na głos. - Mówimy o rzeczach tak poważnych, a ty po prostu hm... pachniesz jak szczeniak!

Cuchulainn spojrzał na nią z wielką urazą. Oczywiście, udawał.

- Moja Fand nie jest żadnym szczeniakiem. Moja Fand jest wilczątkiem.

I jakby na potwierdzenie tych słów z namiotu dobiegło już nie skomlenie, a bardzo młodzieńcza wersja żałosnego wycia wilka do księżyca.

- Muszę cię niestety uprzedzić, Brenno, że będziesz musiała dzielić się mną z Fand - powiedział z uśmiechem Cuchulainn.

Młodzieńcze wycie zdecydowanie przybrało na sile.

- Jestem tego w pełni świadoma - powiedziała szybko Brenna. - Biegnę po mleko.

Odwróciła się, gotowa biec, ale Cuchulainn przytrzymał ją za ramię.

- Na pewno wrócisz?

Spojrzała w jego oczy, które już zawsze będą jej przypominały o ołtarzu Epony i magii drugiej szansy.

- Tak. Wrócę, Cuchulainnie.



Opuścił ręce, mogła już wybiec z namiotu, biec dalej, przed siebie, przez mgłę o świcie. I czuć na sobie jego wzrok.

- Jak najprędzej! - zawołał za nią, a w namiocie, na poparcie jego słów, po raz kolejny rozległo się żalosne wycie wilczego niemowlęcia.

Zamek pogrążony był jeszcze w ciszy i mroku. Brenna przebiegła przez wielką salę zamkową, do wejścia do kuchni, a tam natychmiast poczuła zapachy świadczące, że zamek jednak obudził się już ze snu. Kuchnia tętniła życiem, przede wszystkim pachniało tu świeżo upieczonym chlebem.

Brenna, starając się zejść z drogi zaaferowanym kobietom, wzięła dzbanek i zanurzyła w beczułce ze świeżym mlekiem.

- Dzień dobry, Uzdrowicielko! - zawołała z drugiego końca kuchni Wynne. Kilka kobiet też rzuciło Brennie słowa powitania.

- Dzień... dzień dobry - odparła Brenna nieswoim głosem. Doskonale wiedziała, że Wynne jest bardzo

urodziwą kobietą, ale teraz, kiedy Brenna spojrzała na bogactwo rudych loków wokół ślicznej twarzy,

na jej nieskazitelną cerę... Jak to mogło się stać, że Cuchulainn wołał ją, Brennę, a nie tę prześliczną, pełną wigoru kobietę?

- Niesiesz mleko dla tego zwierzaka wojownika?

- Tak!

Tym razem zabrzmiało to szorstko, Brenna bowiem nagle przypomniała sobie taniec Wynne, kiedy kusila Cuchulainna. Nie było to przyjemne, a na domiar złego czuła na sobie badawcze spojrzenie kucharki.

- Upiekłyśmy już chleb - powiedziała Wynne. - Weź bochenek i kawał sera. Jak skończycie karmić zwierzaka, zjecie sobie razem śniadanie.

- Dziękuję - bąknęła Brenna, mając wielką ochotę jak najszybciej umknąć z kuchni, tym bardziej że obie pomocnice Wynne, te, które poprzedniego dnia były w ogródku koło kuchni, przerwały robotę i

wyraźnie im się przyglądały.

- Pomogę ci - powiedziała Wynne, pojawiając się nagle koło Brenny. Pojawił się też koszyk, do którego Wynne włożyła bochenek jeszcze ciepłego chleba, kawał pachnącego żółtego sera i kilka plasterów zimnego mięsa. A potem pomknęła do spiżarni i przyniosła stamtąd bukłak z winem.

Brenna, zaskoczona, podniosła znad koszyka głowę i spojrzała prosto w szmaragdowe oczy pięknej kucharki.

- Życzę ci wiele radości, Brenno. Wojownik dobrze wybrał.

Brenna zarumieniła się, tak bardzo zaskoczona, że dopiero po dłuższej chwili udało jej się uśmiechnąć.

- Dziękuję.

Wynne mrugnęła do niej wesoło.

- My, kobiety, musimy trzymać się razem. Mam nadzieję, że jeśli kiedykolwiek zachce mi się zrobić coś głupiego, szybko zaparzysz dla mnie jakichś ziółek na rozum. A teraz już biegnij. I pamiętaj, najedz się porządnie, bo coś mi się wydaje, że siły będą ci potrzebne

Brenna, zarumieniona i uśmiechnięta, wzięła koszyk, dzbanek i wyszła z kuchni, po drodze biorąc sobie jeszcze z kosza kilka czystych ściereczek. Wychodziła z kuchni żegnana śmiechem i żarcikami rozochoconych kobiet. Nigdy w życiu by nie przypuszczała, że coś takiego będzie możliwe!

Zaakceptowano ją, traktowano bardzo życzliwie, po prostu była jedną z nich, członkinią Klanu MacCałlanów. A Cuchulainn chciał jej, tylko jej. Czy życie może być piękniejsze? Czowała, jak zaczyna ją rozpierać radość. Uczucie dotychczas nieznanego, a teraz, jak świeżo upierzony ptak rozpościera skrzydła i wylatuje z jakiegoś ukrytego w sercu miejsca.

Kiedy weszła do namiotu, Cuchulainn powitał ją uśmiechem nieco znużonym.

- Fand jest głodna - powiedział, wykrzywiając się zabawnie do wilczątko, które ssało jego palec i powar-kiwało, ponieważ z palca nie leciał żaden życiodajny płyn.

- Jeśli mała ma siłę złościć się na ciebie, to dobrze. Będzie żyć! - orzekła Brenna i zabrała się szybko za sporządzanie ze ściereczki surogatu matczynego sutka, wypełnionego mlekiem. Ale kiedy

wilczątko przyssało się do szmatki, nagle poczuła się skrępowana. Żałowała, że nie ma już nic więcej

do roboty, żadnej rany do opatrzenia ani złamanej ręki, którą trzeba nastawić.

- Może usiądziesz koło mnie, Brenno? - spytał

Cuchulainn, wskazując głową na miejsce obok siebie na wąskim łóżku.

Co robić? Przysiadła ostrożnie na brzegu łóżka, składając lekko drżące ręce na podołku. Na krótką

chwilę w namiocie zapadła cisza, słychać było tylko odgłosy ssania, sapania i pomrukiwania

wilczątko. Brenna popatrywała na wilczątko, popatrywała na duże dłonie Cuchu-lainna, które

potrafiły być zadziwiająco delikatne, kiedy prawie bez przerwy głąskały wilcze maleństwo.

- To tylko ja, Brenno - powiedział Cu tym samym łagodnym głosem, jakim przemawiał do malutkiej

Fand.

- Ty? - spytała, czując się zdezorientowana.

- Tak, ja. Ten sam człowiek, któremu wydawałaś rozkazy tamtej nocy, kiedy El została ranna. Z

którym pracowałaś ramię w ramię, żeby przywrócić nasz nowy, wspólny dom do życia. To ja,

Cuchulainn, który... - Cu uśmiechnął się i przysunął się do niej bliżej, tak blisko, że ich ramiona i

nogi stykały się teraz. - Zdradzę ci pewną tajemnicę. Odwagi mi nie brakuje, ale przy tobie, moja

słodka Uzdrowicielko, tracę ją całkowicie.

Brenna z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Nie wierzę.

- A jednak! W każdym razie to jest moja tajemnica, którą ci wyjawilem. Teraz twoja kolej. Ty

zdradzisz mi jakąś swoją tajemnicę.

Brenna podniosła głowę i spojrzała na niego. Jej logiczny umysł protestował, starając się chronić ją

przed samą sobą. Krzyczał - nie otwieraj się przed nim, nic mu nie mów! Ale jak można nie spełnić

jego prośby, kiedy patrzy się prosto w turkusowe oczy, w których tyle ciepła?

- Twoje oczy są dokładnie tego samego koloru, jak dwa dary, które dostałam od Epony - powiedziała.

Cicho

i nieśmiało, ale wcale nie kryła swojej twarzy za welonem z włosów. Dalej patrzyła mu prosto w oczy.

- Dary od Epony? A co, dokładnie?

- Turkus i pióro ze skrzydła ptaka.

Kiedy powiedziała mu o swoich skarbach, zarumieniła się, bo to wyznanie nagle wydało jej się dziecinnie śmieszne. Trywialne. Ale Cuchulainn wcale nie zaczął się z niej wyśmiewać, tylko spytał:

- Pokażesz mi kiedyś te dary?

Brenna pokiwała głową. Jak to może być, że z powodu jednego prostego pytania człowiek nagle

się nieskończenie szczęśliwy?

Wilczątko zakończyło swoje łapczywe ssanie.

- Brenno, błagam - odezwał się dramatycznym głosem Cuchulainn. - Dłużej nie wytrzymam. Powiedz, że tę panienkę można już wykąpać.

Brenna spojrzała na Fand, wtuloną w Cuchulainna. Brzuszek jak bębenek, z pyszczka wyleciało parę kropelek mleka. Szara sierść nieprawdopodobnie brudna. Potem przeniosła spojrzenie na Cuchulainna. Rozczochrany, oczy zapuchnięte, naga pierś i pomięte ubranie poplamione mlekiem i czymś jeszcze, co dowodziło, że brzuszek wilczego niemowlęcia pracuje prawidłowo.

Jednym słowem oboje, i wilczątko, i wojownik, stanowczo powinni zażyć kąpieli.

- Jako Uzdrowicielka oświadczam, że możesz wykąpać Fand. Przy okazji umyć i siebie.

- Nie zgłaszam żadnych protestów - oznajmił Cuchulainn, wyraźnie zachwycony, i wstał. Fand, zaskoczona, zawarczała cichutko. Cu, uciszając ją czułym słowem, wsunął ją sobie za pazuchę.

- O, widzę, że przyniosłaś coś do jedzenia - powiedział, spoglądając na koszyk. - Świetnie.

Odwrócił się. Podniósł wieko skrzyni, ustawionej w nogach łóżka i wyjął z niej czystą koszulę,

czysty kilt i kilka płóciennych płacht. Usatysfakcjonowany, wsunął sobie to wszystko pod pachę, podniósł

koszyk z ziemi i drugą wolną rękę wyciągnął do Brenny.

- Musisz z nami iść, Brenno. Za wcześnie, żeby prosić o pomoc siostrę. Nie ukrywam, że lubię się z nią podrażnić, ale nic tak nie psuje humoru naszej El jak wyrwanie jej ze snu. A ja chcę, żeby dziś była w dobrym nastroju, ponieważ zamierzam prosić ją o pozwolenie na ubieganie się o twoje względy.

Jednym słowem, nie ma szans, żeby skorzystać z pokoju kąpielowego naszej Przywódczyni...

- Cuchulainn nagle drgnął i szybko podrapał się w głowę.

- O, nie. Czyżby pchły? - mruknął. - Brenno, musisz pokazać mi to jeziorko, gdzie kąpałyście się razem, ty, El

i Brighid.

Brenna przez moment milczała, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Wierzyła, że ma w sobie dość siły, by przyjąć od losu ten cudowny dar w postaci Cuchulainna. Ale jednocześnie był w niej lęk.

Cuchulainn podszedł do niej, wziął za rękę i zmusił, by wstała.

- Boisz się być ze mną sam na sam, Brenno? Z dala od innych ludzi?

Brenna przełknęła.

- Tak - przyznała. - Boję się.

A Cuchulainn, zaglądając jej w oczy, na moment przytulił jej dłoń do swego policzka.

- Ja też, kochanie - powiedział cicho.

Jego szczere wyznanie ułatwiło podjęcie decyzji.

- A więc chodźmy - powiedziała Brenna. - Będziemy bać się razem.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY**

Mgła była bardzo gęsta, a Brenna pełna obaw, czy uda jej się odnaleźć drogę do jeziorka. Kiedy jednak zauważyła przy drodze wiekową sosnę z dziwacznie powykręcanyimi konarami, przypomniała sobie, że tu właśnie, koło tej sosny, razem z Elphame i Brighid weszły w las. I rzeczywiście, bo

zaledwie po kilku krokach usłyszała już szmer wody opadającej z trzech wygładzonych przez upływ czasu progów skalnych.

Mgła nad potokiem i wokół jeziora była jeszcze bardziej gęsta niż przy drodze. Jakby Epona specjalnie przesłoniła ten zakątek świata, by ukryć go przed spojrzzeniami ciekawskich.

- Coś mi się zdaje, że woda tu jest bardzo zimna - stwierdził Cuchulainn. Fand zaczęła popiskiwać, wiercić się, w końcu udało jej się wysunąć łepkę zza koszuli i spojrzeć dookoła jasnymi oczkami, wciągając w nozdrza świeże powietrze.

- Ta woda przede wszystkim odświeża - stwierdziła z kolei Brenna, a Cuchulainn pomyślał, że Brenna

jednak czasami zachowuje się jak jego siostra.

- No cóż... - Postawił koszyk na najbliższym kamieniu i wyciągnął zza pazuchy wilczątko. - Im szybciej będziemy mieli to za sobą, tym szybciej będziemy mogli zabrać się do jedzenia.

Podał Fand Brennie. Brenna, wyraźnie zaskoczona, przytrzymała wyrywające się, skomlące zwierzątko.

- Cuchulainnie, a nie lepiej, żebyś tyją wykapał? Ona zdecydowanie lepiej czuje się w twoich rękach.

Cuchulainn pokiwał głową i zaczął odwijać swój kilt.

- Zaraz to zrobię. Potrzyj ją tylko, zanim się nie rozbiorę.

Dopóki się nie rozbierze... Wszystkie myśli w głowie Brenny nagle zaczęły podskakiwać, jak ptaki zrywające się do lotu. Ale ta rozsądna część umysłu udzieliła reprimendy. A co ty sobie myślałaś, Brenno? Że on będzie kąpał się w ubraniu?

Oczywiście, że nie. Ale rzecz w tym, że ona po prostu jakoś o tym nie pomyślała aż do tej chwili. Do chwili, w której Cuchulainn zdjął kilt, skopał buty i... I znieruchomiał na kilka sekund. Na sobie miał już tylko koszulę, długą, zakrywającą go dokładnie do miejsca, gdzie zaczynały się uda. Ta koszula była ostatnią częścią garderoby, okrywającej jego ciało.

Teraz stał i przyglądał się Brennie, a po jego twarzy błąkał się półuśmiech.

- Jeśli będziesz skrępowana moją nagością, Brenno, zamknij oczy. Odbiorę od ciebie Fand i kiedy będę już z nią w wodzie, zawołam, że możesz już otworzyć oczy.

- Będę skrępowana - przyznała szczerze Brenna. - Ale nie chcę zamykać oczu.

Cuchulainn uśmiechnął się, tym swoim znanym powszechnie zabójczym uśmiechem, który teraz nie schodził mu z twarzy, gdy ściągał przez głowę koszulę, odbierał z rąk Brenny wilczątka i z głośnym pluskiem wchodził do wody. Klnąc jak wszyscy diabli, bo woda rzeczywiście była lodowata.

Brenna stała i patrzyła za nim, myśląc sobie, że widok jego barczystych pleców i wąskich bioder już na zawsze będzie palić ją w oczy.

- Brenno! - zawołał, przekrzykując skomlącą, piszczącą Fand, która wyczuwała pismo nosem i wcale nie miała ochoty być zanurzana w zimnej wodzie. - Mogłabyś nakruszyć mydlanego kamienia? Tego psakudztwa samą wodą z niej nie zmyję!

Brenna skinęła głową i zabrała się do dzieła. Znalazła średniej wielkości kamień i zaczęła uderzać nim w jeden z miękkich kamieni na brzegu jeziora. Jednocześnie jej spojrzenie co chwila wędrowało ku

jezioru, cud więc, że podczas tej całej operacji udało jej się nie zmiążyć palców.

- Gotowe! - zawołała różnym głosem. Jakby kruszenie mydlanego kamienia dla nagiego wojownika, który niedawno zadeklarował się, że pragnie być jej ukochanym, było dla niej chlebem powszednim.

Cuchulainn, pryskając wodą na boki, podszedł do niej bliżej, z każdym krokiem ukazując coraz więcej

swego nagiego ciała. Brenna zebrała kawałeczki kamienia i podała Cuchulainnowi, starając się, żeby jej wzrok

absolutnie nie przemykał po jego nagości. Co było niewykonalne. A na domiar złego Cuchulainn stał przed nią i uśmiechał się. Stał w wodzie zaledwie do kolan. Biedne mokre wilczątka dygotało w jego

ramionach, on też dygotał. Usta miał już prawie sine, ale jego uśmiech był ciepłutki i bardzo, bardzo wesoły. Nachylił się do Brenny.

- Mam zajęte ręce. Czy możesz mi pomóc, kochanie? Brenna, mając wrażenie, że śni jej się po prostu sen,

cudowny i zarazem koszmarny, posłusznie rozsypała trochę pokruszonego kamienia na mokre wilczątko. Cu zaczął je namydlać, a wzrok Brenny, mimo jej najlepszych chęci, wcale nie był utkwiony w wilczątku. Bez przerwy wracał tam, gdzie nie powinien, czyli do nagiego ciała wojownika, stojącego tuż przy Brennie. I nagle, zanim rozsądek doszedł do głosu - a przecież przez ostatnie dziesięć lat to on dyktował jej, co ma robić i jak - Brenna szybko rozprowadziła trochę skruszonego kamienia po mokrej piersi i ramionach wojownika. I zaczęła go namydlać. Bardzo ostrożnie i nieśmiało. Cuchulainn nie protestował, przeciwnie, by umożliwić jej całkowity dostęp do

jego ciała, wyciągnął przed siebie ręce, w których trzymał wijącą się jak piskorz Fand.

Kiedy Brenna nieopatrznie podniosła głowę i spojrzała mu w twarz, spytał:

- Może wykąpiesz się z nami, kochanie? Jak przytulimy się do siebie, nie będzie nam tak zimno.

Oczywiście, że chciała tego, bardzo. Ale kiedy pomyślała, że obnażając się przed nim pokaże mu swoje zeszpecone ciało - właśnie jemu, którego piękne ciało w całości pokryte było gładką, śniadą skórą...

- Nie mogę - wyszeptwała, modląc się w duchu, żeby

teraz nie nazwał jej tchórzem i nie odwrócił się do niej plecami.

- Nie szkodzi, kochanie. Zrobimy to innym razem

- powiedział jakoś tak bardzo miękko. - Nie musimy się z niczym spieszyć. A teraz chciałbym cię jeszcze tylko prosić, żebyś namydliła mi włosy. Kiepskie będą moje zaloty, jeśli jednocześnie będą gryzły mnie pchły.

Ukląkł, żeby Brenna mogła namydlić jego gęste włosy. W rezultacie Brenna myła jemu głowę, a on szybko mył piszczące wilczątko, przemawiając do niego na przemian albo czule, albo z wyrzutem, zarzucając mu brak dobrych manier i czarną niewdzięczność. Brenna śmiała się, starając się



jednocześnie, żeby piana nie dostała się do oczu Cuchulainna. I żeby ona, Brenna, też w rezultacie nie była kompletnie mokra.

Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek przedtem było jej na duszy tak lekko. Tak radośnie.

- A teraz mała, hop do wody! - zawołał Cuchulainn i przyciskając wilczątko od piersi, dał nura na sam środek jeziora.

Oboje, Cuchulainn i wilczątko, znikli na moment pod wodą, potem wynurzyli się z głośnym pluskiem i piskiem

- wilczątko oczywiście - wyskoczyli na brzeg i natychmiast zaczęło się błyskawiczne wycieranie się i ubieranie, którym towarzyszył radosny męski śmiech.

Taki był Cuchulainn. Pełen życia, siły i wiary, że osiągnięcie tego, co niemożliwe, jest możliwe.

Kiedy Brenna patrzyła na niego, też zaczynała w to wierzyć. Że to, co niemożliwe, może się wydarzyć. Coś takiego przecież już się wydarzyło. Cuchulainn wybrał ją, Brennę.

- Jestem głodny jak wilk-oznajmił. Szybko rozłożył na ziemi płócienną płachtę i postawił na niej koszyk.

- Siadamy, Brenno.

- Dobrze. Ty trzymaj swoje maleństwo, ja zajmę się zawartością koszyka.

Cuchulainn posłusznie odebrał wilczątko, owinięte w wilgotną płachtę, i wsunął sobie za koszulę, starając się ulokować je tam jak najwygodniej. A Brenna szybko wyjęła wszystko z koszyka i swoim najbardziej uzdrowicielskim głosem oznajmiła:

- Teraz przynajmniej masz jakie takie pojęcie, co przeżywa kobieta, kiedy nosi pod sercem dzieciątko

przez wszystkie te długie fazy księżyca.

Fand, już senna, w końcu przestała się wiercić i skomleć, i wtuliła się w Cuchulainna. Cuchulainn, zadowolony, ułożył się na boku, wyciągając swoje długie nogi.

- Dzieciątko, powiadasz? A może myślisz o własnym? Niebawem... - Cuchulainn podrapał się po brodzie. - Moja matka byłaby zachwycona.

Ręka Brenny, podającej mu właśnie kromkę chleba i kawałek sera, zawisała w powietrzu. Czuła, że się rumieni, a to doprowadzało ją do rozpacz. Rumieniła się bowiem tylko zdrowa część twarzy, co z kolei jeszcze bardziej uwypuklało jej blizny. Dlatego, mimo że już na tak długo odstąpiła od swego zwyczaju, szybko pochyliła głowę, żeby włosy jak welon zakryły coś, czego tak bardzo się wstydziła.

- O nie, Brenno! - Cuchulainn uniósł się na łokciu, wsunął palec pod jej brodę i zmusił, by uniosła twarz. - Przede mną nie będziesz się chować.

- Ale ja... to nie tak. - Głos uwiązł jej w gardle, turkusowe oczy bowiem były teraz tak blisko. Tak blisko, że musiała nabrać głęboko powietrza, postanawiając jednocześnie w duchu, że wyzna mu po prostu i nie po raz pierwszy szczerą prawdę. - Kiedy się rumienie, wyglądam okropnie!

I wtedy Cuchulainn zrobił coś nieoczekiwanego. Wcale nie zaczął jej pocieszać za pomocą jakichś frazesów w rodzaju - nie przejmuj się. Nie. Po prostu nachylił się ku Brennie i musnął wargami jej usta. Tak na początek, bo jednocześnie swoją dłoń, umiejscowioną pod podbródkiem Brenny, przesunął na jej kark i jego usta znów odszukały usta Brenny. Teraz pocałunek był żarliwy, namiętny. Fakt, że dłoń Cuchulainna spoczywała na szyi dokładnie w miejscu, gdzie były blizny, był dla Brenny w tej cudownej chwili całkowicie nieistotny. Nie myślała teraz o tym, że to niemożliwe, żeby Cuchulainn jej pożądał. Po prostu zamknęła oczy, oparła się o Cuchulainna i poddała się magii tej chwili.

Kiedy w końcu odsunęli się od siebie, obojgu brakowało tchu. Cuchulainn nie odrywał wzroku od Brenny, jego oczy błyszczały pożądaniem.

- Podoba mi się twój rumieniec - powiedział lekko zadyszczanym głosem. - Bo to dowód, że nie tylko ja jestem zdenerwowany.

- Ty? Nie wierzę! - zaprotestowała Brenna, tłumiąc w sobie głupi chichot.

- Brenno, obiecasz mi coś?

Skinęła głową. Oczywiście. Temu mężczyźnie mogła obiecać prawie wszystko.

- Obiecaj mi, że nigdy już nie odwrócisz się ode mnie, nie będziesz chować się przede mną. Obiecuj mi, że będziesz wierzyć we mnie. Wierzyć, że nigdy cię nie zranię.

Brenna spojrzała głęboko w turkusowe oczy, zdumiona tym, co teraz tam dostrzegła. Bezbronność.

Wtedy dotarło do niej, że to ona może go zranić, zranić odpowiedzią, jakiej udzieli mu teraz. Bo

Cuchulainn

najprawdopodobniej nigdy dotąd nie odsłaniał swego serca przed żadną kobietą. Tak jak teraz przed Brenną.

- Nie będzie to łatwe, Cuchulainnie, ale przyrzekam, że nie będę się od ciebie odwracać i chować się przed tobą.

- Dziękuję, Brenno, za twoje zaufanie. Dla mnie to dar bezcenny. I obiecuję, że nigdy nie nadużyję twojego zaufania.

Pocałował ją w policzek, ten pokryty bliznami. Brenna zamarła, a Cuchulainn, jakby całowanie

Brenny, i to w takie miejsce, było dla niego czymś, co robi każdego dnia, uśmiechnął się tylko i wyjął z jej znieruchomiałej w powietrzu ręki kromkę chleba i kawałek sera.

- Muszę coś zjeść. Niebawem mam stanąć twarzą w twarz z moją siostrą. Lepiej, żebym zrobił to z pełnym żołądkiem.

Brenna wyjęła z koszyka gruby plaster mięsa i położyła na następnej kromce chleba z serem.

- Aha... - powiedział Cuchulainn, trochę mniej już pewnym głosem. - Powinnaś o tym wiedzieć. Mam zamiar wezwać moich rodziców. Chcę, żeby cię poznali. Poradzimy sobie z tym - Cuchulainn wskazał

głową na jeziorko. - Na pewno będzie to łatwiejsze niż pławienie się w lodowatej wodzie.

Serce Brenny zabiło szybciej.

- Ja... ja kiedyś widziałam twojego ojca. Jest wielkim szamanem.

- Tak, jest - przytaknął Cu, między jednym ogromnym kęsem a drugim.

- Ale nigdy nie spotkałam Umiłowanej Epony. Słyszałam, że jest bardzo piękna.

- Jest prawie tak piękna jak pewna młoda Uzdrowicielka, którą mam zamiar pojąć za żonę.

- Och...

W tym momencie Brenna miała wrażenie, jakby całe powietrze wyszło z jej płuc. Całe, a w głowie aż

zawirowało.

Cuchualinn uśmiechnął się

- Nie martw się, kochanie. Moja matka próbuje ożenić mnie od lat, to jej największe marzenie. A ciebie pokocha od razu...

Zaraz jednak, zaniepokojony nagłą bladością Brenny, spoważniał. Nachylił się i szepnął wprost do jej

ust.

- Teraz ja ci coś przyrzekam. Będzie tak, jak powiedziałem. Obiecuję, kochanie...

Cuchulainn i Brenna wracali do zamku we mgle, która tego ranka jakoś wcale nie miała ochoty

zniknąć. Szli sobie powoli, trzymając się za ręce, a Brenna myślała sobie, że w szarości tego dnia jest coś magicznego. Jakby ktoś uchylił przed Brenną bramę do świata duchów i Brenna mogła bez trudu

przemieszczać się z jednego świata do drugiego, zabierając ze sobą Cuchulainna. Wizja świata

duchów wcale jej nie wystraszyła, przeciwnie, była w jakiś sposób kojąca.

Zajęta swoimi myślami nie zauważyła, jak Cuchulainn nagle zmrużył oczy i zaczął podejrzliwie

spoglądać na las otulony mgłą. Bardzo podejrzliwie, bo nagle poczuł się nieswojo.

Znów Przeczucie. Złe Przeczucie, wgryzające się w umysł. Zaklął. Czy to przeklęte brzemie, rodem z

Innego Świata, nie może w końcu zostawić go w spokoju? Bo i czym tu się zamartwiać? Elphame jest

w zamku, całkowicie bezpieczna. Brenna również, teraz u boku Cuchulainna. W lesie nie czai się

żadne zło, czasami tylko jakiś rozjuszony dzik.

Ale on Czuł, że coś się wydarzy. To Przesłanie

wyraźnie docierało do niego z tego lasu. Podobne Przeczucie, jak przed wypadkiem Elphame. Czyżby kochana siostra znów chciała sobie pobiegać? Jeśli tak, trzeba będzie jej to wyperswadować. Jest jeszcze zbyt słaba, nie wolno jej nadużywać i tak nadwątlonych sił.

Nagle przez głowę przemknęła mu jeszcze jedna myśl. Przemknęła tak szybko, że jego umysł ledwo zdążył ją zarejestrować. Myśl - szept, przypominający, co się dzieje, kiedy ludzie odrzucają dary otrzymane od bogów.

Brenna zaśmiała się, kiedy wychodząc zza zakrętu, spłoszyli wiewiórkę. Podskoczyła, a potem po prostu na nią nakrzyczała.

- Och, ty głuptasie! Na pewno nie zrobimy ci nic złego!

Zachowuję się jak ta wiewiórka, pomyślał z niesmakiem Cuchulainn. Pozwalam, jak to małe stworzonko, żeby rządził mną strach. Zamiast cieszyć się, że obok mnie idzie ukochana kobieta, kobieta, która jest moją przyszłością, to ja obawiam się jakichś bliżej niesprecyzowanych uczuć czy przecuć.

On, Cuchulainn, wybrał twarde stąpanie po ziemi. Magię i Świat Duchów pozostawiając swojej siostrze.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY**

Elphame przemierzyła główny dziedziniec, rozdając na prawo i na lewo uprzejme „dzień dobry” w odpowiedzi na słowa powitania ze strony robotników. Zatrzymała się przy wesoło szemrzącej fontannie i po raz kolejny obiecała sobie, że przy najbliższej okazji poleci Danannowi wyrzeźbienie kamiennej ławki. Na tej ławce siadać sobie będzie i rozkoszować się pięknem tego miejsca. Serca zamku MacCallana.

Przez dziury w dachu wpadało światło szarego poranka, bardzo nikłe, nic jednak nie było w stanie zepsuć nastroju Elphame. Jej promienny uśmiech odzwierciedlał jej cichą radość. I podkreślał urodę.

Kilku mężczyzn,

podążających przez dziedziniec na śniadanie, na jej widok przerwało rozmowę i zaczęło gapić się na nią, dosłownie z otwartymi ustami. Elphame nie zauważyła tego, bo teraz, zanurzając czubki palców w wodzie fontanny, myślała sobie, że nawet wielogodzinne moczenie się w wodzie nie zmyje z niej śladów tej nadzwyczajnej czułości Lochlana. Śladów nocy pełnej miłości.

Lochlan... Jak bardzo chciała wykrzyczeć teraz jego imię, wykrzyczeć całemu Partholonowi, że ona kocha i jest kochana. Ze to stało się naprawdę. Epona stworzyła dla niej towarzysza życia, Elphame nie będzie musiała spędzać życia samotnie, wypełniając sobie dni gorzkimi refleksjami, kiedy porównywać będzie swoją samotność ze szczęściem i miłością innych ludzi.

Klan MacCallanów musi zaakceptować go jako jej męża. Nie, wcale nie musi. Może stać się inaczej -

i co wtedy będzie? Czy ona, Elphame, zdobędzie się wtedy na krok ostateczny? Zrezygnuje z przywództwa klanu i razem ze swoim ukochanym ukryje się na Pustkowiu? O, nie... Na samą tę myśl czuła zimny dreszcz. Westchnęła i przysiadła na kamiennym obrzeżu basenu fontanny, spoglądając na

marmurową dziewczynę, tak bardzo do niej podobną.

- Powiedz, co ty byś zrobiła, gdybyś była rozdarta między dwa światy? - szepnęła.

- Ej, siostró moja!

Słyszając donośny głos brata, odwróciła się, z miną raczej smętną. Którą jednak natychmiast rozjaśnił uśmiech. Cuchulainn nie był sam. Razem z nim szła Brenna. Trzymali się za ręce. Cuchulainn miał mokre włosy, a pod koszulą upchnięty tłumoczek wielkości małego wilczątka.

- Dzień dobry, Elphame - powiedziała Brenna.

Ciemny rumieniec, zabarwiający jej nietknięty przez blizny policzek świadczył, że Uzdrowicielka przeżywa teraz prawdziwą burzę uczuć. Elphame rozumiała to doskonale. Brenna, podobnie jak Elphame, nie spodziewała się, że znajdzie miłość, i to ze strony tego właśnie człowieka. Potrzebuje trochę czasu, żeby się z tym oswoić.

- Dzień dobry, Brenno! Jak miło cię widzieć! - odezwała się Elphame bardzo ciepło, spoglądając na młodą parę roziskrzonym wzrokiem. - Ale co ja widzę! Nie wiedziałam, że gustujesz w towarzystwie podejrzanych osobników i dzikich zwierząt!

- El, proszę, tylko bez głupich żartów! - zaprotestował brat. - Brenna gotowa jeszcze w to uwierzyć! Elphame uśmiechnęła się szeroko do Brenny.

- I powinna! Mówię przecież to całkiem serio! Brenna odwzajemniła uśmiech, ciemny rumieniec, oznaka zdenerwowania, jakby zaczął blednąć.

Cuchulainn odchrząknął i po raz wtóry zdumiał swoją siostrę. Puścił rękę Brenny, zrobił dwa kroki do

przodu i przyklęknął. Elphame uniosła żartobliwie brew, ale widząc poważną minę brata, nie odzywała się. Czekwała, co teraz powie Cu.

A Cu wystąpił z prośbą.

- Elphame, chciałbym ciebie, Przywódczynię Klanu MacCallanów, prosić o oficjalne pozwolenie na ubieganie się o względy twojej Uzdrowicielki, Brenny. Mam uczciwe zamiary. Pragnę się z nią

ożenić.

Elphame najchętniej wydałaby teraz okrzyk radości i wyściskała brata, ale nie mogła przecież psuć powagi chwili, wykazując się brakiem szacunku dla jego tak istotnej prośby, także dla swojej przyjaciółki, która teraz, wyraźnie pobladła, czekała w milczeniu na odpowiedź

Elphame. Na decyzję, czy Brenna zostanie zaakceptowana, czy odrzucona, raz na zawsze.

Elphame spojrzała Brennie głęboko w oczy.

- Brenno, rozumiem, że twoi rodzice nie żyją i Cuchulainn nie może prosić ich o pozwolenie na zaloty?

- Nie żyją od dziesięciu lat. Byłam ich jedynym dzieckiem.

- W takim razie, zgodnie z obyczajem, jako Przywódczyni Klanu przejmuję ich rolę. Jest to jak najbardziej właściwe. Brenno, czy jesteś skłonna przyjąć zaloty mojego brata, Cuchulainna? Zanim odpowiesz, chcę, żebyś wiedziała, że jakakolwiek będzie twoja decyzja, uznam ją za słuszną.

Nie potrzebowała patrzeć na brata. Wiedziała i tak, że teraz jego oczy ciskają błyskawice.

Ciemne oczy Brenny skierowały swoje sarnie spojrzenie na klęczącego przed nią wojownika, który wzrok miał nadal utkwiony w swojej siostrze. Jego nienaturalnie wyprostowane plecy świadczyły o wielkim zdenerwowaniu. On naprawdę się niepokoił, wcale nie był pewien, że uzyska odpowiedź twierdzącą.

Kiedy dotarło to do Brenny, wzruszyła się, tak bardzo, że musiała zamrugać oczami, powstrzymując łzy. Spośród wszystkich kobiet na świecie Cuchulainn wybrał właśnie ją, Brennę. A teraz czeka na decyzję, czy ona chce być jego wybranką, czy nie.

- Tak - powiedziała jasnym, dźwięcznym głosem. -Przyjmuję zaloty Cuchulainna. Przyjmuję całym sercem.

- W takim razie ja, jako Przywódczyni Klanu MacCallanów, daję ci, Cuchulainnie, pozwolenie na zabieganie o względy Brenny. I chcę, byś wiedział, że jako twoja siostra jestem bardzo zadowolona z



twojego wyboru. Jestem po prostu szczęśliwa!

Elphame wstała i pod wpływem impulsu uniosła ręce i twarz ku niebu, ku nieśmiałym pierwszym promieniom słońca, przebijającym przez mgłę.

- Epono, proszę, pobłogosław tej parze!

Kiedy tylko wymówiła na głos imię Bogini, poczuła w sobie ciepło, nagły przyptyw sił. Zamglone niebo wyraźnie zaczęło się przejaśniać. Radosny znak?

Nie, bo nagle... nagle obraz nieba przed oczami Elphame jakby ktoś zamazał, wszystko stało się niewyraźne, a czas - tyle, ile trzeba, by raz zaczerpnąć powietrza - stanął w miejscu. Elphame, zamiast euforii, poczuła coś całkiem innego. Smutek. Ból. Ktoś płakał.

Potrząsnęła głową. Koniec z przywidzeniem, ale na duszy pozostał smutny osad. Pozostał lęk.

Dlaczego?!

Zauważyła, że Cuchulainn przygląda jej się bardzo uważnie, dlatego szybko zebrała się w sobie i przywołując uśmiech na swojej twarzy, żartobliwie klepnęła brata po ramieniu.

- Powstań, Cu. Z całego serca popieram twój wybór. Członkowie klanu, obecni na dziedzińcu, naturalnie

obserwowali całą tę scenę. Teraz, wznosząc radosne okrzyki, otoczyli całą trójkę, życząc wiele szczęścia. W tej radosnej atmosferze Elphame udało się zapomnieć o przygnębiającej wizji, jaką miała przed chwilą.

- El, wiesz, co to znaczy? - spytał Cu, obejmując Brennę jednym ramieniem, drugim siostrę. - Musimy wezwać naszą Matkę. Koniecznie. Nigdy nam nie wybaczy, jeśli dowie się o tym od innych, nie od nas.

Elphame uśmiechnęła się, jak zawsze, kiedy brat pozwalał sobie na szczyptę ironii wobec ich rodzicielki.

- Dobrze, wezwijmy Mamę. Ja też uważam, że najwyższy czas, by przyjechała nas tu odwiedzić.

Elphame była sama na Wieży Przywódcy Klanu. Tym razem jednak nie na balkoniku, skąd widziało się las, lecz w środku, w wieży, oparta o skrzydło jednego z wysokich i wąskich okien, przez które widać było Morze B'an. Po ustąpieniu mgły niebo wcale nie pokazało swego błękitu, szare i świetliste

było tłem dla nadciągającego sztormu. Wicher znad morza pędził nad ląd wielkie skłębione chmury, brzemienne w deszcze. Były coraz bliżej. Elphame i Cuchulainn tego ranka polecieli członkom klanu bardzo starannie posprawdzać linki przy namiotach, a kilka namiotów przenieść między zamkowe mury. Roboty przy odbudowie zamku wstrzymano, teraz wszyscy szykowali się do nadciągającego sztormu.

Niebo przecięła błyskawica, jej blask odbił się w wodzie morza. Tamta noc też taka była, noc ulewnego deszczu, grzmotów, noc naznaczona strachem i bólem. Ale też i tamtej nocy zdarzył się cud, jej pierwsze spotkanie z Lochlanem...

Wiedziała, że powinna przekląć wiosenną burzę, z jej to przecież powodu trzeba było wstrzymać roboty w zamku. A tu tymczasem, z każdą kolejną błyskawicą, z każdym kolejnym grzmotem czuła coraz większe podekscytowanie.

Pójdzie do niego, oczywiście. Poczeka tylko, aż niebo otworzy się całkowicie, zsyłając ulewny deszcz. Ulewny deszcz zaciera ślady, przez jego strugi trudno dostrzec przemykającą się postać... Nie czuła się najlepiej, kiedy oznajmiała Brennie, że ból głowy powrócił i chciałaby już udać się na spoczynek. Uzdrowicielka pocieszyła ją, że miejsca po obrażeniach zwykle bardzo mocno reagują na zmianę pogody i zaparzyła ziółka, które miały pomóc Elphame przespać i wieczór, i noc. Elphame, naturalnie, ziółek nie tknęła i wcale nie zasnęła. Ale była spokojna, że

Brenna nie zajrzy do niej wcześniej niż rano. Trudno było nie zauważyć gorących spojrzeń Cuchulainna, coś tam szeptał Brennie do ucha. Kochanków czeka upojna noc...

Jeszcze tylko siedem dni, ani dnia dłużej ukrywania się z Lochlanem. Kiedy minie siódmy dzień, Elphame wyjawii najbliższym swoją tajemnicę, z nadzieją, że zaakceptują ją, tak jak przez całe życie

akceptowali Elphame.

- Ta wieża twoim zdaniem to dobre miejsce do rozmyślań?

Tym razem zaskoczenie nagłym pojawieniem się starego ducha trwało bardzo krótko. Sekundę. Może dlatego, że Elphame miała cichą nadzieję, że duch i tym razem nie wzgardzi jej towarzystwem.

- Tak, tak sędzę. Ty też tu często przychodziłeś? Duch pokiwał głową.

- Tak. Zwłaszcza, kiedy miałem jakiś kłopot, kiedy coś nie dawało mi żyć.

- A powiedz mi, tak szczerze, zawsze chciałeś być Przywódcą Klanu MacCallanów?

Nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się, wpatrując się w Elphame.

- Tak. Zawsze tego chciałem.

- A czy ty... - Elphame na moment zawiesiła głos i odwróciła wzrok od wzburzonego morza, żeby spojrzeć duchowi prosto w oczy. - Nigdy nie miałeś ochoty stąd uciec?

- A jakże! - Duch uśmiechnął się. - Pewnie, że miałem. Nieraz.

- Ale nie zrobiłeś tego. Oczy ducha rozblęły.

- I ty tego też nie zrobisz, Elphame. Przywództwo Klanu MacCallanów masz we krwi. Taki jest twój los, a z nim się nie walczy. Ja też nie mogłem uciec przed

swoim przeznaczeniem. Elphame... - Podszedł do niej, chłodna, półprzeźroczysta ręka spoczęła na jej ramieniu. - Nie wolno ci zapominać, że z losem bywa różnie. Tak już jest. Potrafi być okrutny. Daje człowiekowi wielką radość, daje też wielki smutek.

W głowie Elphame natychmiast odżyła króciutka wizja, jaką miała tego ranka, kiedy na dziedzińcu zamkowym pojawił się Cuchulainn z Brenną. Wizja krótka, ale jakże przerażająca...

- Dziś Cuchulainn oznajmił mi, że zamierza oficjalnie zabiegać o względy Brenny i ożenić się z nią.

Brenna przyjęła go.

Stary duch pokiwał głową, ale nic nie powiedział. A Elphame przez króciutką chwilę zastanawiała się,

czy ona istotnie chce go o to właśnie zapytać. Bo i po co? Była zakochana, jej brat też. Czy nie lepiej

po prostu dać się ponieść uczuciom, pławić się w szczęściu, przynajmniej przez kilka kolejnych dni?

Niestety, wiedziała, jaka będzie jej decyzja. Nie wolno jej wybierać nieświadomości, choćby nie wiadomo jak była słodka.

- Kiedy wezwałam Eponę, by pobłogosławiła ich związek, nagle miałam dziwne przywidzenie.

- Dziwne? Elphame przełknęła.

- Tak. Dziwne i bardzo niepokojące. Usłyszałam płacz, poczułam wielki smutek. Ale to minęło bardzo

szybko.

Duch zabrał rękę z jej ramienia i skierował swe spojrzenie ku morzu.

- Czy inni też to odczuli? Ten znak?

Elphame, teraz już przerażona, pokręciła przecząco głową.

- Nie, moim zdaniem nie. Wszyscy dookoła byli tacy radośni... Cu i Brenna promienieli...

Stary duch odwrócił głowę, spojrzał na nią. Wtedy podzieliła się z nim swoją najbardziej zatrważającą myślą.

- Epona dała znak tylko mnie... Przepowiedziała, co ma się stać. Bogini przygotowuje mnie do tego.

- Bo jesteś Przywódczynią Klanu, Elphame. Kiedy nadejdzie ten czas, musisz znaleźć w sobie wiele siły.

W jego głosie słyhać było teraz znużenie i smutek. Elphame czuła, że cała lodowacieje, że słabnie.

- A więc może trzeba ich powstrzymać?! Jako Przywódczyni Klanu mam prawo zabronić tego małżeństwa!

- Nie. Losu nie oszukasz, dziewczyno, nie zmienisz. Kiedy człowiek stara się to zrobić, często sprowadza jeszcze większe nieszczęście. Ale ja znam twój ból. Miałem siostrę, śliczną młodą dziewczynę, była mi droga jak moje własne serce. Gdybym mógł oszczędzić bólu Morrigan...

Serce Elphame zabiło szybciej. Siostra MacCallana - matka Lochlana. Czy MacCallan o nim wie? Co

MacCallan tak naprawdę chce jej przekazać?

Spojrzenie starego ducha znów zwróciło się ku morzu.

- Nadciąga sztorm. Przygotujcie się.

Zanim zdążyła zadać mu jeszcze jakieś pytanie, duch zaczął znikać, resztki światłości przeniknęły przez posadzkę. Duch opuścił wieżę, pozostawiając Elphame samą, z ciężarem jej cichego smutku.

Grzmiało, wreszcie deszcz zabębnił o dach, o mury zamku MacCallana. Elphame odwróciła się od okna i zaczęła powoli schodzić po kręconych schodach. Przygarbiona. W środku czuła chłód i pustkę.

Wcale nie czuła się silna, wcale nie czuła się jak Przywódczyni Klanu. Czuła się przede wszystkim jak siostra drżąca o swojego brata.

Kiedy nadejdzie ten czas, musisz znaleźć w sobie wiele siły.

Słowa ducha bez przerwy słyszała w swojej skołatanej głowie. Jakże chciała, żeby w końcu umilkły...

Wiedziała, że istnieje tylko jedno, jedyne miejsce, gdzie będzie mogła tej nocy odnaleźć spokój.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY**

Ciężkie krople deszczu spokojnie, miarowo bębniły o namiot. Brenna, popatrując, jak Cuchulainn układa napojone mlekiem wilczątko na wygodnym posłaniu, wyszykowanym przez Brennę, myślała, że jednak czuje się z tym trochę dziwnie. Kiedy raptem w jej namiocie pojawił się mężczyzna.

Dziwnie, ale absolutnie nie w sposób negatywny. Po prostu w namiocie zrobiło się jakoś inaczej.

Obecność Cuchulainna rozpraszała i cała sytuacja była taka... intymna. Ale cóż... w końcu sama go tutaj zaprosiła. Tak samo, jak z jej własnej nieprzymuszonej woli zaistniał w jej życiu.

Fand popiskiwała, skomlała, Cuchulainn głaskał ją,

drapał za uszkami, nawet zaczął coś cicho nucić. Po chwili Brenna zorientowała się, że Cu śpiewa kołysankę. Uśmiechnęła się. Ten wojownik miał w sobie niewyczerpane pokłady czułości - jeszcze

jedna cecha, jaka wyróżniała go spośród innych mężczyzn. Nikt by nie podejrzewał, że pod szorstką powierzchownością wojownika kryje się człowiek o wielkim sercu. Najlepszym na to dowodem była czułość, jaką okazywał wilczątku. I to, że pokochał Brennę.

Brenna pomodliła się w duchu do Epony, dziękując, że stworzyła takiego człowieka jak Cuchulainn.

Cuchulainn powoli wstał. Cichutko na palcach podszedł do Brenny, która przysiadła na brzegu łóżka, i pocałował ją w rękę.

- Dziękuję, że wyszykowałaś posłanie dla Fand - szepnął. - Nie ukrywam, że trochę mi się już przejadło spędzanie każdej nocy z wilczątkiem przy piersi.

Uśmiechnął się, potem rozejrzał się dookoła. W niewielkim namiocie było wyjątkowo schludnie. Łóżko było identyczne jak jego łóżko, z tym że łóżko Brenny było starannie posłane, a na środku leżała poduszczyca, wypchana pachnącymi ziołami. Brenna miała dwie skrzynie. Jedna stała w nogach łóżka, druga koło stolika i ta była otwarta. Cuchulainn zauważył, że pełna jest słoików i słoiczków, butelek i buteleczek, płóciennych pasków, zauważył też wyglądający bardzo groźnie komplet nożyków małych i większych.

- Czyli z tej to skrzyni biorą się twoje słynne ziołowe herbatki? - spytał, unosząc znacząco brew.

- Tak. Tak samo jak maści, olejki i wiele innych rzeczy, które pomagają wyzdrowieć.

- A masz tam krew smoka albo język ropuchy?

- Może bym i znalazła. A chcesz, żebym zrobiła ci z tego napar? Co wybierasz? Język ro...

- Nic! - Zaprotestował energicznie Cuchulainn. Fand poruszyła się niespokojnie, natychmiast więc znów zniżył głos. - Brenno, bardzo chciałbym zobaczyć te podarki od Epony, które, jak mówiłaś, przypominają ci moje oczy.

Brennie z wrażenia na moment zabrakło powietrza. Chociaż może i nie powinna być aż tak bardzo tym

zaskoczona, ale to dlatego, że jej w ogóle trudno było jeszcze w to wszystko uwierzyć. Jego miłość przyszła tak nieoczekiwanie. Wciąż jeszcze wydawało jej się to pięknym snem, na jawie, ale tylko snem, a wiadomo, że kiedyś człowiek musi się obudzić.

- Brenno? Jeśli czujesz się skrępowana, nie musisz mi tego pokazywać.

- Ależ dlaczego? Wcale nie czuję się skrępowana. Bardzo chętnie ci je pokażę.

Wstała, wzięła go za rękę i zaprowadziła w zaciemniony róg namiotu. Ukłękła, dając znak ręką Cuchulain-nowi, żeby zrobił to samo. Cuchulainn przykląkł na jedno kolano, a Brenna zapaliła cztery świece, ustawione w idealny kwadrat, tak, żeby wskazywały cztery strony świata.

Świece zamigotały, ołtarzyk Brenny ożył. Brenna wskazała na pierwszy przedmiot.

- Ten łeb klaczy wyrzeźbiłam sama, na pamiątkę pewnego snu, który w dzieciństwie miewałam bardzo często. W tym śnie ukazywała mi się zawsze piękna kobieta na pięknej klaczy. Ta kobieta miała całą głowę w niesfornych, rudych lokach... - Brenna uśmiechnęła się nieśmiało. - Skupiłam się na klaczy, dlatego twarzy tej kobiety nie przypominam sobie dokładnie. Ale na pewno była bardzo piękna.

- Czy mogę wziąć na chwilę tę figurkę do ręki? - spytał Cuchulainn.

Brenna skinęła głową.

Cuchulainn bardzo ostrożnie wziął do ręki małą figurkę i przyjrzał jej się dokładnie.

- To Wybrana Klacz. Wspaniale ją wyrzeźbiłaś. Jak żywa, i ta dumna szyja...

- Wybrana Klacz? Epony? Niemożliwe! Nie miałam pojęcia, że to właśnie ona!

Cuchulainn uśmiechnął się i lekko musnął palcami jej policzek.

- Naprawdę nie wiedziałaś? Przecież to ona. A rudowłosa kobieta na klaczy to moja Matka.

Przypomnij sobie jej oczy.

Brenna skupiła się, przywołując w pamięci sen, który w swoim pełnym bólu dzieciństwie miewała tak

często. Nie było trudno go sobie przypomnieć, zawsze przecież dawał jej tyle radości. One obie, ta kobieta i klacz, były takie piękne i szczęśliwe. Na pewno. One nie musiały przeżywać tak strasznych chwil jak mała Brenna.

Kiedy sen ożył w jej pamięci, skupiła się całkowicie na kobiecie, na jej twarzy, przede wszystkim na oczach. Nagle, ku swemu największemu zdumieniu, zobaczyła oczy tej kobiety. I zdumiała się jeszcze bardziej.

- Ona... ona miała twoje oczy!

Nie były tego samego koloru. Oczy Etain były bardziej zielone niż niebieskie, ale kształt oczu matki i syna, ich wyraz, był identyczny.

Cuchulainn uśmiechnął się.

- Moja matka powiedziałaaby raczej, że to ja mam jej oczy.

Brenna czuła, że z przejęcia aż drży. Śniła o matce Cuchulainna! Tyle razy! Przecież ten sen ciągle do niej powracał!

Cuchulainn niemal z czcią odłożył figurkę na miejsce,

potem musnął palcem turkus i dotknął pióra o wspaniałej barwie.

- Miałaś rację, Brenno. Moje oczy są tego samego koloru.

Zaraz potem jego wzrok przykuła perła, perła w kształcie łzy. Spojrzał na nią i nagle zaśmiał się.

- Co się stało? - spytała speszona Brenna.

- A to, kochanie, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Śniłaś o mojej matce, na swoim ołtarzyku masz

figurkę Wybranej Klaczy. Zbierasz przedmioty w kolorze moich oczu. A teraz ta perła... - Cuchulainn

znów się zaśmiał i pogłaskał Brennę po policzku. - Mój ojciec przywiezie tu pierścionek, który

zamierzam ci dać. Ten pierścionek jest w naszej rodzinie od pokoleń. Srebrny, ozdobiony

ornamentem w kształcie listków bluszczu. Z jednym tylko kamieniem. Perłą w kształcie łzy.

Identyczną jak twoja.

- A ja moją... po prostu znalazłam - powiedziała Brenna, z trudem, bo tak wielkie wzruszenie ścisnęło ją za gardło. - Znalazłam, kiedy z dziewczynki przeistoczyłam się w kobietę. Czułam się taka samotna, taka nieszczęśliwa...

Cuchulainn objął ją ramionami i mocno przytulił do siebie.

- Nigdy więcej, Brenno, nie będziesz czuła się ani samotna, ani nieszczęśliwa. Przyrzekam ci.

Brenna, wtulona w niego, czuła jego siłę, jego miłość i czuła też, jak resztki lodowatej klatki, w której trzymała swoje serce, topnieją i kruszeją. Podniosła głowę i spojrzała prosto w turkusowe oczy

mężczyzny, któremu postanowiła zaufać i którego postanowiła pokochać.



- Czy zrobisz coś dla mnie, Cuchulainnie?

- Wszystko, kochanie.

- Kochaj się ze mną.

Cuchulainn bez słowa wstał i nie wypuszczając jej z ciepłej obręczy swoich ramion, podprowadził ją

do wąskiego, starannie posłanego łóżka.

- Zdmuchnij świeczki - zaszeptała Brenna.

- Nie... - odszepnął, obejmując dłonią jej twarz. - Brenno, przecież my spędzimy ze sobą resztę naszego życia. Chcę cię zobaczyć, zobaczyć całą...

- A może jednak zdmuchniesz chociaż jedną? Albo dwie?

Cuchulainn uśmiechnął się, pocałował ją w czoło i pomknął przez namiot, żeby zdmuchnąć świeczki.

Zapaloną zostawił tylko jedną, w szklanym kloszu, tę świeczkę postawił na stoliku koło łóżka. A

potem przez kilka chwil on i Brenna stali naprzeciwko i po prostu na siebie patrzyli.

- Jestem bardzo zdenerwowana - powiedziała cicho Brenna, ale uśmiechnęła się i delikatnie musnęła palcami policzek Cuchulainna. Cuchulainn chwycił jej rękę i przycisnął do serca. Czowała, że bije teraz bardzo szybko.

- Ja też jestem bardzo zdenerwowany, najdroższa.

- To może najpierw powinieneś mnie pocałować, wtedy już zaczniemy się... dotykać.

Cuchulainn nachylił się, Brenna skwapliwie wsunęła się w jego ramiona. Powiedziała prawdę.

Chciała tego pocałunku, chciała znaleźć się bardzo blisko Cuchulainna, poczuć emanującą z niego siłę, bo to na pewno pomoże jej do końca pokonać strach.

Pocałował ją i tak, jak podczas ich poprzednich pocałunków, gdy tylko jego usta przyłgnęły do jej warg, natychmiast zapomniiała o swoich bliznach. Teraz chłoneła tylko smak Cuchulainna, jego zapach, jego dotyk - a jej ciało w odpowiedzi zaczynało ożywać.

Oszołomiona pocałunkiem, w którymś momencie po-

czuła na sobie jego ręce, penetrujące jej ubranie. Gorące dłonie na swoich piersiach, potem na pośladkach. Jęknęła, a jej ręce bezwiednie też się poruszyły, też zaczęły poznawać. Jego ciało. Dotarły do ramienia, gdzie spięty był pled. Rozpięły go. Cuchulainn pomógł jej odwinąć kilt z jego bioder,

potem rozchylił na piersiach swoją płócienną koszulę i Brenna, tak do końca nie zdając sobie z tego sprawy, została przytulona do jego nagiego ciała. Jej ręka teraz z rozkoszą wędrowała wzdłuż jego dużego, muskularnego ciała.

Nagle Cu usiadł. Brennę ustawił przed sobą, między swoimi rozstawionymi nogami i dotknął tasiemek, które przytrzymały suknię, zakrywając Brennę aż po szyję.

- Chcę cię zobaczyć, kochanie - powiedział, głosem zachrypniętym od namiętności. - Chcę poczuć twoje nagie ciało przy moim ciele.

Brenna, starając się opanować drżenie, zagryzła wargi i w milczeniu skinęła głową. Cuchulainn rozwiązał tasiemki przy skromnym staniku jej sukni, pomógł jej się go pozbyć, potem odwinął jej z bioder spódnicę. Brenna sama powoli zsunęła z siebie koszulę. Miękki materiał opadł na ziemię.

Brenna, mocno zaciskając powieki, znieruchomiała. A kiedy poczuła, jak palce Cuchulainna przesuwają się ostrożnie wzdłuż jej blizn, w dół twarzy, szyi, przez ramię, prawą pierś i dalej w dół, prawie do kibici - zaczęła drżeć.

- Moje kochanie... - szepnął Cuchulainn. - Żałuję, że mnie wtedy nie było przy tobie. Może mógłbym temu w jakiś sposób zapobiec, a przynajmniej pocieszyć, starać się pomniejszyć twój ból...

Nachylił się i teraz tę samą wędrowkę, co palce, podjęły usta, znacząc granicę blizn pocałunkami.

Spod zaciśniętych powiek Brenny wypłynęły łzy. Kiedy po

chwili je uniosła i spojrzała w dół, zobaczyła twarz Cuchulainna też mokrą od łez.

- Ale... ale teraz jesteś przy mnie - powiedziała z trudem.

- Tak. I będę przy tobie już na zawsze.

Razem z nim osunęła się na łóżko, upajając się cudownym doznaniem, kiedy jego naga skóra przylgnęła do jej nagiej skóry - do całego jej ciała. Upajając się świadomością, że Cuchulainn

widział

ją, ale nie odwrócił się od jej blizn. Nadal jej pożądał.

Przez całą noc Brenna miała oczy otwarte.

Zaskoczony Lochlan poderwał głowę. Nie było jeszcze ciemno, ale on już ją Wyczuwał. Wołała go, przez wiatr i deszcz. Siła jej wzywania wnikała do jego krwi, skrzydła poruszyły się, zaczęły się rozkładać, jeszcze zanim wyskoczył ze swojej ukrytej pieczary i rozpoczął swój szybujący bieg, który miał go zanieść do Elphame. Z radością powitał chłodny dotyk deszczu. Bo tak bardzo tęsknił, tak bardzo chciał objąć już Elphame, znów poczuć, jak głaszcze jego skrzydła, pieści jego ciało.

Tym razem chciał ją osiąść całkowicie. Posmakować jej krwi. Choć nie powinien, wiedział to przecież. To było z gruntu złe.

Zatrzymał się. Zrobił to na przekór mrocznym pragnieniom, dlatego w skroniach natychmiast pojawił się znajomy świdrujący ból. Musiał się opanować, nie wolno mu było iść do niej, kiedy był otulony w

mgłę namiętności i żądzы krwi. Zamknął oczy i pochylił głowę, czekając aż ból zelżeje. Przeklęty ból, który był z nim zawsze, kiedy opierał się żądaniom swojej czarnej krwi.

Kochał ją! Kochał prawdziwie, dlatego zmusił swoje

myśli, by zapomniały o ciepłe jej gładkiego ciała, a skupiły się na jej uśmiechu, na oczach. Na zaufaniu, jakim go darzyła. Została przecież jego żoną, przysięgli sobie przed Eponą...

Jego oddech powoli uspokajał się. Musi powiedzieć Elphame o Przepowiedni, może nawet dziś wieczorem. Może razem uda im się znaleźć jakiś sposób, żeby uratować jego ludzi bez składania ofiary z krwi. Ofiary, której on, jak już sobie przysiągł, nigdy nie złoży.

Podjął swój szybujący bieg. Mroczny instynkt został stłumiony. Elphame wzywała go. Odpowie na jej

wezwanie. Jako człowiek, a nie potwór.

Stała obok wejścia do ukrytego lochu. Krople deszczu spływały po jej twarzy. Pomyślał, że Elphame wygląda tak, jakby twarz miała mokrą od łez. Kiedy go zobaczyła, uśmiechnęła się, ale on i tak

wyczuwał w niej wielki smutek. Bez słowa podszedł do niej i zamknął ją w swoich ramionach. Jego rozłożone skrzydła osłaniały Elphame przed zimnym deszczem, ale ona i tak drżała.

- Chodźmy do mojej jaskini - powiedział. - To tylko jaskinia, ale jest tam sucho i ciepło.

Pocałował ją w czubek głowy, Elphame uniosła ku niemu smutną twarz. Wtedy zobaczył, że to nie tylko krople deszczu. Także łzy.

- A może pójdziemy do zamku? Dziś wieczorem chcę, żeby otaczały mnie ściany mego zamku.

Potrzebuję tego, tak samo, jak twoich ramion wokół mnie.

- Chcesz dziś wieczorem powiedzieć o nas Cuchulain-nowi, najdroższa?

Potrząsnęła gwałtownie głową. Kilkakrotnie.

- Nie, jeszcze nie! Wezwałam moich rodziców. Czekamy na ich przybycie. A Cu dziś wieczorem na pewno nie będzie nam przeszkadzał. Jest ze swoją ukochaną.

- To dlaczego jesteś taka smutna? Czy Cuchulainn źle wybrał?

- Wybrał Brennę.

- Małą Uzdrowicielkę? Myślałem, że jest ona twoją przyjaciółką.

- I jest! -powiedziała szybko Elphame. - Dziś powiedzieli mi o swojej miłości. Byłam bardzo szczęśliwa, ale jednocześnie... jednocześnie miałam wizję. Przeczuwam wielki smutek.

Elphame znów zaczęła drzeć.

- Wracajmy do twojego zamku - powiedział szybko Lochlan. - Teraz potrzebujesz siły jego murów.

- I twojej, Lochlanie. Dziś ty też jesteś mi bardzo potrzebny.

Lochlan przytulił ją do siebie jeszcze mocniej.

- Jestem przy tobie, najdroższa.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY**

Kiedy Lochlan, trzymając za rękę Elphame, wchodził do sypialni Przywódcy Klanu, czuł ogromne wzruszenie.

- Moja matka też tu na pewno nieraz wchodziła - powiedział zdławionym głosem. - Zanim poznała, co

to ból i sama siebie skazała na wygnanie, w tym zamku zaznała tyle szczęścia i miłości...

- Lochlanie, nie zadręczaj się tym. Czy ty myślisz, że twoja matka choć przez chwilę żałowała, że przyszedłeś na świat?

Lochlan, starając się zapanować nad gwałtownym uczuciem nienawiści do samego siebie, zamrugał oczami i spojrzał na Elphame.

- Nie. Nigdy. Od chwili moich narodzin aż do swojej śmierci kochała mnie bardzo. Tak... bezwarunkowo, całkowicie.

Powoli się odprężył, Elphame czuła to i kiedy, rozglądając się po wielkim pokoju, znów się do niej odezwał, jego głos był już spokojny, normalny.

- Wiem, że zabrzmiało to dziwnie. Twój brat, jak zresztą cały Klan MacCallana, prawdopodobnie nigdy tego nie pojmą, ale ja, kiedy jestem tutaj, mam poczucie, jakby jakieś koło się zamknęło i znów znalazłem się we właściwym miejscu. - Uśmiechnął się, smutek znikł z jego oczu. - Moja matka byłaby bardzo szczęśliwa z tego powodu.

Elphame też się uśmiechnęła, przysunęła się do niego bliżej i oparła się o jego ramię. Lochlan objął ją jednym ciemnym skrzydłem, nachylił się i pocałował, z tak cudowną czułością, że zabrakło jej tchu.

Och, jakże ona doskonale rozumiała jego matkę! Ona, Elphame, przecież też bardzo go kochała. Też tak całkowicie, bezwarunkowo...

- A teraz opowiedz mi o tym złym Przeczuciu, które cię trapi, Elphame - powiedział, podprowadzając

ją do połączanego szezlonga w nogach łóżka.

Skrzydła złożyły się z szelestem. Lochlan ułożył się na szezlongu. Na boku, podciągnął nogi. Elphame wsunęła się w ten przytulny kącik, twarzą zwrócona do Lochlana, plecy oparła o jego kolana.

- To stało się wtedy, kiedy Cuchulainn przyszedł prosić mnie, jako Przywódczynię Klanu, o

pozwolenie zabiegania o względy Brenny. Oczywiście, przystałam na to z największą ochotą... -

Elphame nie patrzyła na Lochlana, lecz gdzieś w dal, ponad jego ramieniem. Niewidzącym wzrokiem,

teraz zapewne przed jej oczami

przesuwały się obrazy tamtego wydarzenia. - Byłam tak szczęśliwa, tak bardzo, że pod wpływem impulsu poprosiłam Eponę o błogosławieństwo dla nich. W chwili, gdy wymawiałam imię Bogini, nagle poczułam przeogromny smutek, wyraźnie też usłyszałam czyjś płacz.

- Twoje Przeczucie wcale nie musi być związane z Cuchulainnem i Brenną. Kto wie, czy Epona nie przekazała ci wizji o tym, co stanie się, kiedy powiadomisz wszystkich o naszym małżeństwie. Może chciała cię uprzedzić, że czeka nas walka.

Elphame pokręciła przecząco głową.

- Nie. Zastanawiałam się już nad tym, ale nie. To Przeczucie na pewno dotyczyło Cu i Brenny. A poza

tym... - Elphame zrobiła głęboki wdech - poza tym chodzi jeszcze o to, co powiedział mi duch MacCallana. Powiedział, że mam zbierać siły.

- Rozmawiałaś z duchem MacCallana?!

- Tak. Nie po raz pierwszy. On zresztą ukazał się i mojemu bratu, tamtego dnia, kiedy spadłam do jaru.

Duch MacCallana kazał Cu jechać za mną.

- Mój wuj... - Lochlan potrząsnął głową. Jakby bardzo trudno mu było w to uwierzyć.

- A mój pradziadek - dodała miękko Elphame. - Loch-lanie, czy wiesz, że kiedy rozmawiałam z nim ostatnio, wspomniał o twojej matce? Była jego najmłodszą siostrą. Musiał bardzo ją kochać.

W oczach Lochlana pojawił się smutek.

- Myślisz, że mnie nienawidzi?

- Tego nie wiem - odparła szczerze. - Ale jesteś tutaj, a on wcale się nie ukazał, żeby cię stąd przepędzić. Sądzę, że to dobry znak. Przecież na pewno wie, że tu jesteś. Moim zdaniem, on wie o

wszystkim, co dzieje się w murach jego zamku.

- Może jednak powinienem stąd iść? Nie chciałbym go niepokoić.

Elphame wzięła go za rękę.

- Nie, Lochlanie. Nie odchodź. Bardzo chcę, żebyś tu był, potrzebuję cię tutaj. Nie zapominaj też, że należysz do Klanu MacCallanów. I na mocy przysięgi, i z racji więzów krwi.

- Ale teraz bardziej niż jakiegokolwiek więzy krwi niepokoi mnie twoja wizja, Elphame - powiedział Lochlan i musnął wargami jej dłoń. - Co zamierzasz teraz zrobić?

Elphame westchnęła.

- Nie sądzę, żebym mogła cokolwiek zrobić, Lochlanie. MacCallan wyraźnie ostrzegwał mnie przed tym, co ma się stać. Przed czym dokładnie, nie wiadomo. Nie pozostaje mi nic innego, jak czekać.

Czekać i zbierać siły.

- Jesteś silna, najdroższa. Razem poczekamy na to, co nadejdzie.

Jego słowa uspokajały, choć nie powinny. Zdawała sobie z tego sprawę. Wizja nie dotyczyła

bezpośrednio Lochlana, była tego pewna, ale Lochlan i tak w jakiś sposób związany był z

nieszczęściem, które miało się stać. Wiedziała doskonale, że ich związek i dla jej rodziny, i dla jej klanu będzie czymś bardzo gorzkim, ale nie miała zamiaru odtrącać Lochlana. Przez całe swoje

dorośle życie marzyła i modliła się o męża, nie wierząc, że w końcu dostanie ten dar od losu. Teraz, kiedy go dostała, nie zrezygnuje. Nie pozwoli mu odejść.

Uścisnęła lekko palce Lochlana.

- Masz rację. Nawet największy smutek łatwiej znieść razem.

- A może Epona przepowiada, że Brenna odtrąci twojego brata? Jeśli on kochają naprawdę, byłoby to

dla

niego straszne, coś, z czego być może nigdy by się już nie otrząsnął.

- Brenna nigdy go nie odtrąci! Gdybyś ty ich dzisiaj widział... Lochlanie, oni wyglądali tak, jakby wspólnie odkryli jakąś wielką, nieprawdopodobnie radosną tajemnicę. Te ich spojrzenia, te ich czułe

gesty... Nie, Lochlanie, to niemożliwe. Brenna nigdy go nie odtrąci.

- W takim razie Eponie chyba rzeczywiście chodzi o nas. Pozostaje nam tylko czekać, aż twój brat odkryje naszą tajemnicę...

Niebo przecięła błyskawica, zaraz potem uderzył piorun, niebezpiecznie blisko. Po plecach Elphame przebiegł lodowaty dreszcz.

- Burza jest coraz bliżej - powiedziała, spoglądając z niepokojem w okno, znów na moment rozświetlone błyskawicą.

- Przyjdzie i pójdzie sobie, najdroższa.

Elphame odwróciła się od okna i spojrzała na swego męża. Tyle było w nim spokoju, tyle pewności siebie, a to dodawało otuchy. Pomyślała, że taki właśnie człowiek musi być dla swoich ludzi znakomitym przywódcą. Pomyślała tak, a jednocześnie zrobiło jej się wstyd, kiedy uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie spytała Lochlana o jego ludzi, tych, którzy zostali na Pustkowiu. Przecież Lochlan opowiadał jej, że nie tylko jego matka przeżyła poród. Także inne kobiety przeżyły, wydając na świat dziecko będące w połowie Fomorianinem.

- Lochlanie, opowiedz mi o swoich ludziach.

Twarz Lochlana nagle zmieniła się. W twarz całkowicie pozbawioną wyrazu. Milczał długo i Elphame była już pewna, że jej nie odpowie. Ale przemówił, głosem, w którym słychać było wielkie napięcie.

- Moi ludzie żyją na Pustkowiu. Życie tam jest bardzo ciężkie, ale, jak już wiesz, jesteśmy długowieczni. Niewielu z nas umiera przedwcześnie, poza tym, mimo że zaprzecza to chyba zdrowemu rozsądkowi, co roku rodzi się tam wiele dzieci.

- Rodzą się dzieci?

Lochlan uśmiechnął się bardzo smutno.

- Tak. Jesteśmy zdolni do prokreacji. Ta anomalia u Fomorianek, czyli bezpłodność w czasach mojego



ojca, nie przeszła na nasze kobiety. Jesteśmy bardzo silni i odporni, mimo naszego cierpienia.

- Cierpienia? O czym ty mówisz, Lochlanie?

- Ci spośród nas, którzy mieli matki, będące w pełni istotami rodzaju ludzkiego, są bardziej podobni do ludzi niż do demonów. Mogą spokojnie funkcjonować w dzień, światło dzienne im nie przeszkadza, promienie słońca nie parzą. Nie muszą, żeby żyć, pić cudzej krwi. I wszyscy czepiają się rozpaczliwie swojego człowieczeństwa, zwalczając w sobie mroczną część naszej osobowości, odziedziczoną po ojcach-demonach. Sama byłaś tego świadkiem, Elphame, widziałaś, jak zmagalem się z tą zmorą. Ale jeszcze nie wiesz, że walka z demonem, którego ma się we krwi, każdorazowe wybranie człowieczeństwa, a nie mrocznej ścieżki, wytyczonej przez demona, sprowadza na nas wielki ból. Ten ból, jakiego doznajemy, płacąc za nasze człowieczeństwo, jest tak wielki, że wielu z nas doprowadza do szaleństwa. A dzieci... - Lochlan sposepniał jeszcze bardziej - dzieci są w szczególnie trudnej sytuacji. Też rodzą się jako hybrydy, więcej w nich z człowieka niż demona, ale mają matki-hybrydy, które nie są w stanie pokierować nimi jak matka, będąca w pełni człowiekiem. Moja matka od dawna nie żyje, poumieraly też już wszystkie inne kobiety, które były istotami ludzkimi.

- Lochlanie! - Elphame, bardzo poruszona, wręcz przerażona tym, co usłyszała, chwyciła go za obie ręce.

- Lochlanie! Twój ludzki koniec musi tu przyjechać! Pomożemy im! Moja rodzina na pewno cię zaakceptuje. Muszą cię zaakceptować! Kiedy się przekonają, jaki jesteś dobry, kiedy dowiedzą się, że codziennie walczysz z ciemnością i pokonujesz ją, zaczną ci ufać, tak jak ja. Przekonają się, że wszystkim twoim ludziom można też zaufać!

Zabrzmiało to bardzo młodzieńczo, bardzo idealistycznie. Lochlan, zapatrzony w jej błyszczące entuzjazmem oczy, pomyślał, że może jest to odpowiedni moment, by powiedzieć jej o Przepowiedni. Wyznać, że spełnienie Przepowiedni od początku było jego życiową misją, która oznaczała wyrok na

Elphame, dlatego on, z miłości do niej, odstąpił od swojej misji. Zdecydował się nie spełnić

Przepowiedni. Zdradził swoich ludzi.

Ale nie potrafił jej tego wyznać. Za bardzo ją kochał. Ona otulała go skrzącą pajęczyną swego snu, on nie chciał się z tego snu obudzić.

- Gdyby to wszystko było takie proste... - powiedział.

- Gdyby było proste, nie warto by było tego robić

- powiedziała z uśmiechem Elphame, powtarzając słowa jego matki.

- Kocham cię, najdroższa - powiedział, biorąc ją w ramiona. - Zawsze będę cię kochał.

Elphame przytuliła się do niego, żarliwie odwzajemniając pocałunek, a kiedy usłyszała szelest jego pobudzonych skrzydeł, szepnęła mu wprost do ust:

- Zaprowadź mnie do łóżka, mój mężu.

Lochlan, wykorzystując swoją siłę i zręczność o wiele większą niż u człowieka, wstał i trzymając

Elphame w ramionach, w mgnieniu oka pokonał odległość, dzielącą

ich od łóżka. Prawie równie szybko ich mokre od deszczu ubrania utworzyły niedbały stos materiału u

ich stóp. Naga Elphame wsunęła się do pościeli z najcieńszego płótna, na Elphame ułożył się nagi

Lochlan z rozłożonymi skrzydłami, jak ogromny ptak drapieżny. Oparty na łokciach, dzięki czemu

Elphame prawie nie czuła ciężaru jego ciała.

Złączyli się w pocałunku. Nagle Elphame zauważyła, jak palce u rąk Lochlana wczepiają się w grubą

kołdrę. Cały drży. Kiedy zaczęła całować go bardziej żarliwie, nie zareagował. Wyraźnie starał się zapanować nad swoją namiętnością.

- Lochlanie, jesteś moim mężem. Boisz się kochać ze mną?

- Nie! Tego się nie boję! - krzyknął, głosem zachrypniętym od pożądania i rozpacz. - Boję się ciebie skrzywdzić! - Jęknął i oparł się czołem o jej czoło. - Elphame, moje ręce zmieniają się w szpony. Moje pożądanie zmienia się w żądzę krwi. Nie mogę się z tobą kochać, nie bojąc się o ciebie.

Te słowa poruszyły w Elphame jakąś ukrytą strunę, wcale nie czuła, lecz taką, która wznieca płomień.

A płomień zmienia się w ogień.

Budził się w niej gniew, gniew bogini.

- Obrażasz mnie, Lochlanie.

Poderwał głowę, spojrział na nią ze zdumieniem. A Elphame odepchnęła się od niego. Z siłą, która sprawiła, że zdumienie w jego oczach było jeszcze większe.

Nachyliła się i powoli, z rozmysłem pogłaskała spód jego skrzydeł. Oddech Lochlana zmienił się w jęk.

- Przecież widzisz, że nie drzę ze strachu, kiedy mnie dotykasz, kiedy pieścisz mnie, Lochlanie.

Zapomniałeś, że jestem czymś więcej niż człowiek? Jestem od niego silniejsza, szybsza...

Znów pogłaskała jego skrzydła. Lochlan znów jęknął, ugryzła go wtedy w ramię, zostawiając na jasnej skórze czerwony ślad, jak piętno.

- Niektórzy twierdzą nawet, że jestem Boginią. Więc proszę, traktuj mnie odpowiednio...

Chwyliła zębami jego dolną wargę i pociągnęła. Oczy Lochlana rozbłysły ciemnym światłem, zaiskrzyły się w odpowiedzi na jej pożądanie. Elphame ani na chwilę nie zapomniała o jego żądzy krwi, do której się przyznał. Nie miała zamiaru padać jej ofiarą, albo sama jej ulec, nie, ale już w samej myśli o tym, że Lochlan mógłby zatopić swoje zęby w jej ciele, było coś erotycznego, coś niebywale

pociągającego, tak samo w tej aurze wokół niego, aurze ledwo powstrzymywanej agresji. Była wręcz namacalna, ale wcale jej to nie przerażało. Przeciwnie - pociągało. Była jego żoną, nie odczuwała tego jako dewiacji.

Po prostu w końcu doszła, jak ma wyglądać ich związek.

- Kochaj mnie, Lochlanie - odezwała się słodkim, uwodzicielskim głosem. - Kochaj mnie. Niczego nie

przerwę, nie ucieknę od ciebie...

Lochlan w odpowiedzi pocałował ją tak namiętnie, że znów wgniótł ją w łóżko. Ona na jego wybuch namiętności zareagowała z podobną siłą, pieszcząc go i drażniąc rękoma i ustami. Kiedy złączyli się,

wygięła się prowokująco w łuk, a Lochlan chwycił jej ręce, wyciągnął je ponad jej głowę i ciężko dysząc, zbliżył swoją głowę do jej głowy. I głosem trudnym do rozpoznania wyszeptał jej wprost do ucha mroczne słowa.

- Sama nie wiesz, o co prosisz.

- Powiedziałałam, że ufam ci, Lochlanie. A ja nie rzucam słów na wiatr.

Uniosła nieco głowę i znów ugryzła go w ramię, tym

razem o wiele mocniej, cały czas prowokująco poruszając swoim ciałem.

Lochlan warknął cicho, ostre jak sztylety zęby wbiły się w jej szyję. W pierwszej chwili poczuła ból, zaraz jednak potem przepotężne erotyczne doznanie, biorące początek w jej szyi, zalało całe ciało.

Zanurzyła się w tej fali. Fali rozkoszy, kiedy Lochlan, składając w niej swoje nasienie, pił jej krew.

Nagle z okrzykiem pełnym rozpaczycy stoczył się z jej ciała. Zdezorientowana Elphame uniosła się na

łokciu. Lochlan stał obok łóżka i wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami. Na wargach miał

krew, mała purpurowa kropelka spłynęła z kącika ust na brodę.

Palce Elphame odruchowo dotknęły szyi i wyczuły tam dwie małe, wilgotne ranki.

Uśmiechnęła się.

- Wszystko dobrze, Lochlanie - powiedziała lekko drżącym głosem. - Nie zrobiłeś mi nic złego.

Lochlan otarł dłonią usta. Spojrzał na dłoń, umazaną teraz krwią.

- Nie! - zawołał załamującym się głosem i zaczął cofać się, gwałtownie potrząsając głową. - Nie!  
Tak

nie może być! Nie pozwolę, żeby było właśnie tak!

Elphame usiadła na łóżku, starając się pokonać nagły zawrót głowy.

- Lochlanie, co się z tobą dzieje? Spójrz na mnie. Nic złego mi nie zrobiłeś!

- Nie! Tak nie może być! Nie!

Rozłożył skrzydła i z nieprawdopodobną szybkością, odziedziczoną po rasie swojego ojca, przemknął

przez pokój, ku wejściu do pokoju kąpielowego, skąd wchodziło się do lochu.

- Lochlanie! Lochlanie!

Elphame, krzycząc rozpaczliwie, wyskoczyła z łóżka. Ale Lochlan już odszedł, jeszcze tylko przez chwilę do jej uszu dobiegał przytłumiony głos.

- Nie idź za mną! Zostań!

Ucichł. Elphame padła na kolana i zalała się łzami.

Lochlan wybiegł z lochu i pognął prosto przed siebie. Było mu wszystko jedno, dokąd biegnie.

Nieważne, byle jak najprędzej znaleźć się jak najdalej od zamku. Biegł wśród nieprzeniknionych ciemności, ale dzięki temu, że wzrok miał nadzwyczajny, bez większego wysiłku kluczył między drzewami. Deszcz chłostał jego nagie ciało. Był z tego zadowolony. Poza tym - było to naprawdę nic w porównaniu z tym, co działo się teraz w jego sercu. Był zdruzgotany. Był udręczony, swoją udrękę wykrzykiwał w noc, głuchą na jego rozpacz.

Nadal czuł w ustach smak krwi Elphame. Nadal słyszał swój szept, kiedy wyznawał jej wszystko...

Nie miał racji. I on, i wszyscy jego ludzie mylili się. Przepowiednia była prawdziwa - ocalić ich może tylko śmierć Bogini. Ale tu nie chodziło o ofiarę z krwi, lecz o śmierć fizyczną. Teraz Lochlan to

wiedział, bo kiedy napił się krwi Elphame, z jej krwią wniknęła w niego mądrość Bogini, jej niepodważalna wiedza. Krew Elphame ich nie zbawi. Będą ocaleni, jeśli ona, Elphame, wchłonie w siebie jego krew. Krew Lochlana. Wchłonie w siebie mrok, wchłonie w siebie ich szaleństwo.

Będzie to gorsze niż śmierć. Jeśli Elphame napije się jego krwi, wniknie w nią zło i będzie musiała z tym żyć. Żyć bardzo długo, ogarnięta szaleństwem, jak każda istota, w której żyłach płynie krew

Fomorian, rasy demonów. Lochlan wiedział aż za dobrze, przez co będzie musiała przejść, kiedy czarna krew wniknie w jej ciało. Czym się stanie.

Nie, on nie mógł skazywać jej na całe stulecia udręki. Nie mógł, nawet jeśli w ten sposób odbierał swoim ludziom szansę na ocalenie ich człowieczeństwa.

Nie wolno mu już nigdy więcej zbliżyć się do Elphame. Nikomu też spośród jego ludzi nie wolno odkryć ścieżki prowadzącej przez strome, urwiste Góry Trier do bujnych sosnowych lasów

Partholonu i do zamku MacCallana. Lochlan ma obowiązek dopilnować, by zamek jego klanu, zamek, w którym mieszka jego ukochana, był bezpieczny.

Jego ręce pracowały zgodnym rytmem z wyjątkowo silnymi nogami. Serce waliło jak młot. Coraz dalej i dalej... Jak najszybciej, żeby nie usłyszeć magicznego dźwięku jej wołania, nie czuć jej obecności, bo to rozdziera serce.

Biegł w górę zbocza. Coraz wyżej, w mięśniach zaczynało palić od wysiłku. Nagle w świetle błyskawic poprzez strugi deszczu dojrzał na sąsiednim grzbiecie górskim niewyraźny zarys jakichś postaci. Straszliwe przeczucie kazało zwolnić, poczekać, aż następna błyskawica znów na chwilę rozjaśni mrok. Wtedy będzie mógł mieć całkowitą pewność.

Kiedy następna błyskawica przecięła niebo, nie miał już żadnych wątpliwości. Na pobliskim grzbiecie górskim zobaczył cztery uskrzydłone postacie.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI**

Szybowali na swoich skrzydłach koloru burzowej chmury, posuwając się w dół zbocza. Lochlan stał i

czekał, aż znajdą się blisko niego. Stał wyprostowany, nagi, emanujący siłą. Wprawdzie on i jego

ludzie nie posiadali zdolności stricte telepatycznych, ich mroczne dziedzictwo obdarzyło ich jednak

niezwykle silną intuicją, a jemu teraz absolutnie nie wolno było dopuścić, by ta czwórka zorientowała się, co dzieje się w jego duszy. Jaki panuje tam zamęt. Dlatego otulił ją szczelnie tym swoim psychi-cznym płaszczem, płaszczem dowódcy, który zawsze nosił z taką swobodą. Otulił wszystko, i swój

umysł, i serce, nakazując im spokój.

Kiedy zbliżyli się, zobaczył cztery zszokowane twarze, bez wątplenia z powodu jego nagości. Cała czwórka z szacunkiem pochyliła głowy. Pierwszy naturalnie odezwał się Keir, zuchwały, jak typowy pół-Fomorianin.

- Co się stało, Lochlanie?

- Nie witacie się, nie wyjaśnacie, skąd żeście się tu wzięli, a mimo to uzurpujesz sobie prawo do

zadawania mi pytań? - warknął Lochlan przez zaciśnięte zęby.

W oczach Keira błysnęło niebezpiecznie, ale nie wytrzymał wzroku Lochlana. Opuścił głowę.

- Słusznie udzieliłeś mi reprimendy, Lochlanie - powiedział, choć w jego głosie niewiele było skruchy. - Witaj, Lochlanie. Wielka to radość widzieć ciebie.

Trzy towarzyszące mu istoty ponownie pochyliły głowy i jak echo powtórzyły słowa powitania.

- A dla mnie nie! - warknął Lochlan. - Miało was tu nie być!

Keir ze świstem nabrał powietrza, nie zdążył jednak niczego powiedzieć, ponieważ ubiegła go uskrzydłona kobieta. Wsunęła się o krok do przodu i dygnęła przed Lochlanem.

Od bardzo dawna nie ma cię z nami, Lochlanie. Zaczęliśmy się martwić, czy nie przytrafiło ci się coś złego.

Głos Fallon, tak znajomy i słodki, na wzburzony, obolały mózg Lochlana podziałał jak balsam. Ale tylko na króciutką chwilę.

- Przeczucie cię nie myliło, Fallon. Los nie okazał się łaskawy.

- Nie znalazłeś Bogini z kopytami? - spytał Keir. Spojrzenie Lochlana było lodowate.

- Znalazłem ją, owszem, ale miałem okazję przekonać się, że to nie jest ta Bogini, o której głosi Przepowiednia.

Cztery uskrzydłone istoty poruszyły się niespokojnie.

- A skąd wiesz, że masz rację, Lochlanie? - spytał Keir.

- A stąd, że ona jest hybrydą! Połączeniem dwóch ras, czyli niczym się od nas nie różni! A więc nie może być Boginią!

Fallon jęknęła.

- Nie, to niemożliwe!

- Ale nie tracę nadziei! - powiedział Lochlan, głośniejszym głosem, żeby przekrzyczeć wiatr. - Mam nowy plan!

Niebo znów przecięła błyskawica. Deszcz był coraz bardziej ulewny.

- Musimy tak tu stać? - spytała Fallon. - Lochlanie, nie znasz tu jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy się schronić? Może masz gdzieś w pobliżu jakąś kryjówkę?

Lochlan miał teraz największą ochotę po prostu ryknąć na nich. Że on nie ma tu żadnej kryjówki, a oni jeszcze tej nocy mają wrócić tam, skąd przyszli. Zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli zaczną ich stąd przepędzać, wyda im się to podejrzane. Będą pewni, że coś przed nimi ukrywa i za wszelką cenę będą

chcieli dojść, co.

- Dobrze. Zaprowadzę was do mojej kryjówki. Idźcie za mną szybko i zachowujcie się bardzo cicho.

Odwrócił się, chciał ruszyć przed siebie, ale Fallon zatrzymała go, kładąc miękką dłoń na jego ramieniu.

- Lochlanie, jak ty się miewasz? Dlaczego biegasz nago podczas burzy?

Lochlan spojrzał na Fallon, na jej męża, na dwie pozostałe osoby. Wszyscy przyglądali mu się podejrzliwie. Było oczywiste, że teraz cała czwórka zastanawia się w duchu, czy Lochlana nie ogarnęło już szaleństwo, które po każdego z nich wyciąga swoje szpony.

Niech się zastanawiają. W tym konkretnym momencie Lochlanowi było wszystko jedno, co myślą jego pobratymcy. Teraz liczył się tylko fakt, że jego własny świat

legł w gruzach. Sen się skończył, a on nie był pewien, czy będzie w stanie znieść światło dnia.

- Czy żadne z was nigdy nie miało ochoty pobiegać sobie nago podczas burzy? - spytał, szczerząc do nich zęby w wymuszonym uśmiechu.

Rozłożył skrzydła i pobiegł przed siebie, od razu jak najszybciej, wiedząc, że będą musieli porządnie się namęczyć, żeby za nim nadążyć.

Jaskinia, w której ukrywał się Lochlan, była spora, miejsca starczyło dla wszystkich. Lochlan ubrał się szybko i powyjmował swoje skromne zapasy żywności, żeby podzielić się z nieoczekiwanymi i jak

najmniej pożądanymi gośćmi. Potem zaczął rozpalać ognisko. Robił to bardzo rzadko, ale teraz, nocą, podczas burzy i ulewnego deszczu niebezpieczeństwo, że ktoś odkryje jego jaskinię, było naprawdę niewielkie.



Był na siebie wściekły. Powinien był wyczuć ich obecność, wyczuć, że wkroczyli do Partholonu. A tak się nie stało. Bo głowę miał zajętą tylko Elphame...

Keir, trzeba przyznać, bardzo dobrze dobrał sobie współtowarzyszy. Fallon, oczywiście, zawsze była

z nim razem. Ale chodziło o bliźniaków, Currana i Nevina. Oni zawsze byli wierni jednej idei - spełnieniu Przepowiedni. Za wszelką cenę. Lochlan na miejscu Keira też by właśnie tę parę zabrał ze sobą, by zrealizować plan. Bo to on, Keir, wszystko zaplanował, Lochlan nie miał żadnych wątpliwości. Keir chciał mieć całkowitą pewność, że Lochlan sprowadzi do nich boginię z kopytami, ich żywą ofiarę.

- Opowiedz nam o niej - zaczął Nevin, a Curran, jak zwykle, podjął wątek, rozpoczęty przez brata.

- I skąd u ciebie ta pewność, że to nie ona? Lochlan odpowiadał powoli, starannie dobierając słowa. Świadomy, że to, co powie, może ocalić Elphame albo wydać na nią wyrok.

- Obserwowałem ją bardzo długo. Ona nie jest Boginią, lecz zwyczajną młodą kobietą, której ciało z jakichś tam powodów ma cechy ludzkie, po matce, i cechy centaura, po ojcu. Wcale nie jest przywódczynią duchową Partholończyków, nie odprawia żadnych obrzędów ku czci Epony. Jest tylko Przywódczynią Klanu. Nie jest żadną Boginią, bo nie ma w sobie boskiej mocy.

- Tego nie możesz wiedzieć - powiedział Keir, spokojnie, ale mrużąc niebezpiecznie oczy.

- A właśnie, że wiem, bez żadnych wątpliwości. Poznałem jej krew.

- Co?! Jak?!

- Dlaczego?!

- Jakim prawem?!

Lochlan podniósł rękę, żeby ich uciszyć. I jak dzikie zwierzę w klatce, zaczął niespokojnym krokiem przemierzać niewielką jaskinię.

- Znalazłem ją na dnie jaru. Wpadła tam, doznała poważnych obrażeń, zaraz potem zaatakował ją dzik.

Zabiłem dziką, a ją zaniósłem w bezpieczne miejsce. Krwawiła, miałem więc wtedy możliwość wyczytać z jej krwi, że jest istotą ludzką, a nie Boginią. Od zwyczajnych ludzi różni się tylko pod względem budowy fizycznej. Jest odmieńcem, po prostu zmutowanym człowiekiem.

- Czy to znaczy, że ujawniłeś się przed nią?! - zawołała Fallon, wlepiając w niego pełne największego zdumienia oczy. - Widziała cię?

- Tak. Ale po upadku straciła przytomność, potem ocknęła się, ale była oszołomiona, bardzo obolała.

Myślała, że jej się tylko przywidziałem. Jestem tego pewien.

- Ale przecież to o niej śniłeś przez tyle lat! - rzucił

Keir napastliwym tonem. - A teraz raptem twierdzisz, że to nie ona jest boginią, o której mówi

Przepowiednia. Dlaczego?

Na to pytanie Lochlan tylko czekał. Z udzieleniem odpowiedzi nie miał żadnego problemu.

- Moje sny o niej to tylko wizje, podsuwane przez czarną krew. Żeby mnie dręczyć, kazać mi przez blisko ćwierć wieku karmić się czymś, co okazało się tylko ułudą.

- Lochlanie... - odezwała się Fallon. - Powiedziałeś, że nie tracisz nadziei i masz jakiś plan. Co więc teraz mamy zrobić?

Lochlan spojrzał na Fallon, piękną uskrzydloną kobietę, z którą w wieku dziecięcym łączyły go wspólne zabawy, a w wieku dorosłym serdeczna przyjaźń. Bardzo jasne, proste włosy Fallon, długie do pasa, zdążyły już wyschnąć przy ognisku. Opadały teraz na plecy jak gruba zasłona. Rysy twarzy Fallon były nadzwyczaj delikatne, oczy, niby niebieskie, były nieprawdopodobnie jasne. Wydawało się, że nie mają żadnego koloru.

Czuł się podle, że to jej właśnie musi skłamać, że musi okłamać ich wszystkich. Ale nie mógł przecież zdradzić Elphame. Swojej żony.

- Od dawna obserwuję zamek, obserwuję kobietę, która zamiast stóp ma kopyta. W tym czasie zdarzyło mi się niejedno podsłuchać. Ludzie często tu wspominają

o Świątyni Muzy.

Curran i Nevin jak jeden mąż pokiwali głowami

i odezwali się jednocześnie.

- Nasza matka tam pobierała nauki.

- Moja matka też - powiedział Lochlan. - Jak wiele innych naszych matek. Pamiętacie, czego nas uczyły? Świątynia Muzy to miejsce, gdzie pobiera się nauki wyższe, gdzie wszystkie nauczycielki są Wcieleniami

Bogini, każda z nich jest też stającą po ziemi przedstawicielką jednej z dziewięciu Muz.

- Sądzisz, że w Przepowiedni chodzi o którąś z tych nauczycielek? - spytał Keir powoli.

Lochlan spojrzał mu prosto w oczy.

- Mówię tylko, że teoretycznie może chodzić o każdą z nich. Pomyślcie! Odpowiedź jest prosta. Ja na pewno doszedłbym do tego już wiele lat temu, gdyby nie te sny. Dręczyły mnie tak długo, że mój umysł nie był już w stanie dostrzec czegoś, co jest oczywiste. Przepowiednia wcale nie mówi, że ocali nas krew umierającej Bogini z kopytami. Mówi tylko, że ocali nas krew Bogini. Jakiegokolwiek!

- Czyli trzeba iść do Świątyni Muzy - zaczął Nevin, a Curran dokończył: - i porwać jakąś boginię.

Lochlan energicznie pokręcił głową.

- Spokojnie. Jak niby mamy to zrobić? Łudzisz się, że uda nam się to zrobić po kryjomu? Nikt nas nie dostrzeże?

- A może już czas, żeby nas dostrzegli! - rzucił zapalczywie Keir. - Może powinno to się stać już wiele lat temu!

- Czyli dokładnie, co?! - spytał groźnym głosem Lochlan. - Najazd na Partholon?

- Chcę tylko, żebyśmy odzyskali należne nam miejsce w Partholonie!

- Tak? - Lochlan prychnął. - Jako armia uskrzydłych demonów!

- Nie jesteśmy demonami! - krzyknęła Fallon.

- A jak myślisz, czym dla nich będziemy, jeśli napadniemy na Partholon i uprowadzimy jedną z bogiń, żeby złożyć ją w ofierze?! Jeśli dopuścimy, by rządziła nami tylko czarna krew, nasza walka z mrocznym dziedzictwem pójdzie na marne. Skończymy jako Fomorianie! Będziemy mieli w sobie

tylko z człowieka, co oni!

- W takim razie, co proponujesz? - spytał Keir, już spokojniej.

- Wracajcie do domu, na Pustkowie. Jesteście tam potrzebni. A do Świątyni Muzy pójdę sam. Wrócę na Pustkowie dopiero wtedy, kiedy będę miał Boginię. Jej krew usunie z naszej krwi mroczne dziedzictwo i wtedy pojawimy się w Partholonie, nie jako najeźdźcy, lecz w zamiarach pokojowych.

I nikt w całym Partholonie nigdy się nie dowie, że ceną za nasze ocalenie była krew jednego z nich.

- W tym jest... jakiś sens - stwierdzili bliźniacy, sprawiedliwie dzieląc tę wypowiedź na pół.

Lochlan podszedł do wejścia do jaskini i spojrzał na deszcz. Wydawało się, że jego pobratymcy zaakceptowali jego koncepcję i jego półprawdy. Ale na uczucie ulgi było jeszcze za wcześnie. Na to będzie można sobie pozwolić dopiero wtedy, kiedy ta czwórka z powrotem znajdzie się na Pustkowie

i Elphame będzie już bezpieczna.

Keir zaklął cicho i oparł się plecami o kamienną ścianę jaskini. Fallon, spojrzawszy na męża przelotnie, ale czujnie, podeszła do Lochlana.

- Nadal ją kochasz, mój przyjacielu? - spytała miękko. A Lochlanowi po raz kolejny przyszło posmakować

goryczy kłamstwa.

- Nie! Nigdy jej nie kochałem. To wszystko było iluzją.

- I tak jest lepiej. Teraz możesz sobie spośród nas wybrać towarzyszkę życia.

Lochlan skinął głową. Tylko on wiedział, ile go to kosztowało.

- Lochlanie... - zaczęła znów Fallon, spoglądając na niego z niepokojem. - Wydajesz mi się jakiś taki inny...

- Bo istotnie za długo byłem z dala od was - odparł, zmuszając się do uśmiechu. - Odpocznijcie teraz.

Jutro o świcie wyruszycie w drogę powrotną. Stąd do zamku niedaleko, a w zamku pełno robotników,

ludzi i centaurów. Nie możecie tu zostać.

- Będzie tak, jak powiedziałeś.

Fallon z szacunkiem pochyliła przed nim głowę i wróciła do swego męża.

Po chwili Lochlan, dalej zapatrzony w strugi ulewnego deszczu, usłyszał, jak jego goście zaczęli szykować się do snu. Wtedy poczuł, jak bardzo on sam jest zmęczony. Wiedział jednak, że nie wolno mu spać. Jeśli zaśnie, będzie miał sen, a we śnie przyjdzie do niego Elphame. A on dzisiejszej nocy by tego nie zniósł.

Cicho wysunął się z jaskini. Już nie grzmiało, nie błyskało, tylko deszcz padał i padał. Wspiął się na występ skalny nad jaskinią, przysiadł tam i patrzył w dół, na ziemię, które dla niego stały się już jego domem. Ziemię MacCallanów. Wzywały go do siebie, ale on już nigdy nie odpowie na ich wezwanie,

bez względu na to, co podpowie mu serce lub czego zażąda jego krew. Nie odpowie, nawet jeśli Elphame będzie przekonana, że ją zdradził.

Musi stąd odejść.

Pojedzie do Świątyni Muzy, tak jak obiecał swoim ludziom. Choć wiedział, że jest to bezcelowe. O

tym, czy Przepowiednię można spełnić, składając ofiarę nie z Bogini, lecz jej wcielenia, wielokrotnie rozmawiał ze swoją matką. Żadne z nich nie uważało tego za słuszne. Matka zresztą zawsze była

pewna, że Lochlanowi zostanie podsunięty jakiś klucz do rozwiązania tego dylematu. Zapewne Epona

wyśle do niego kobietę, dotkniętą przez Boginię, kobietę, której zadaniem będzie spełnienie

Przepowiedni.

Tak się stało. Epona wysłała do niego Elphame.

I co on ma teraz zrobić?! Uprowadzić ze Świątyni Muzy Wcielenie Bogini, niewinną kobietę, na pewną

śmierć? Czy nie oznaczałoby to, że karmi tym ciemność w sobie, że oddala się coraz bardziej od człowieczeństwa?!

Zacisnął szczęki. Trudno. Zrobi to, jeśli dzięki temu ocali Elphame. Niewiele jest rzeczy, których by nie zrobił dla ocalenia Elphame. Gotów jest nawet ją porzucić.

Nie. Urowadzenie Wcielenia Bogini wcale nie ocali Elphame. Po jakimś czasie jego ludzie zorientują się, że ofiara z Wcielenia Bogini wcale nie spełniła Przepowiedni. A przedtem przecież przez lata wierzyli, że za ich szaleństwo odpowiedzialna jest Bogini z kopytami, która prześladowa go w snach. I do tej wiary powrócą.

Koło się zamknie... Co robić? Ma walczyć ze swoimi ludźmi, żeby ocalić Elphame?!

Lochlan ukrył twarz w dłoniach i zrobił coś, czego nie robił od dnia śmierci swojej matki.

Zapłakał.

Fallon wtuliła się w Keira, w ciepły kokon jego rozłożonych skrzydeł.

- Twój przyjaciel kłamie - szepnął cicho Keir wprost do jej ucha.

Drgnęła i natychmiast odsunęła się trochę od niego, by móc spojrzeć mu w twarz.

- O co ci chodzi, Keir?

- Kłamie... - wysyczał. - Nawet przez deszcz i pot wyczuwam na nim jej zapach. On poznał nie tylko jej krew, on kochał się z nią.

Fallon milczała, spojrzała mu tylko głęboko w oczy. Ona niczego nie wyczuła, ale Keir miał nieprawdopodobny węch. Udało mu się nawet kilkakrotnie pokonać pod tym względem Lochlana, kiedy współzawodniczyli ze sobą w tropieniu.

- Pomyśl o tym, co widziałaś dziś w jego oczach

- szeptał Keir - i zrozumiesz, że mam rację. Tylko Bogini z kopytami może spełnić Przepowiednię, ale

Lochlan chce, żeby żyła. Chce ją mieć dla siebie.

Fallon zamknęła oczy, oparła głowę o pierś męża i zrobiła, co kazał. Co ona dziś widziała w oczach

Lochlana? Rozpacz i udrękę. Uczucia, które go nie opuszczą. Bo to samo będzie czuł szlachetny

Lochlan, kiedy wybierając życie swojej wysnionej ukochanej, wyda wyrok na swoich pobratymców.

Keir miał rację. Fallon czuła, jak budzi się w niej gniew.

**ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI**

Wczesnym porankiem słońce, zagładające przez wysokie wąskie okna w pokoju Przywódczyni Klanu, zaświeciło prosto w twarz budzącej się Elphame. Zamrugła i usiadła na łóżku. Zrobiła to chyba zbyt gwałtownie, bo cały pokój się zakołysał, stwierdziła, że czuje się po prostu źle. Głowa ciężka, w gardle okropnie sucho, wargi spieczone. Jakby poprzedniego dnia wieczorem wypłała za dużo wina, a przecież wina nawet nie tknęła. Co się więc z nią dzieje?

Potarła ręką swędzący okropnie kark. Palce natrafiły na strupki. Na dwóch małych, gojących już się rankach. Lochlan...

W pamięci natychmiast ożyła miniona noc.

Zostawił ją.

Elphame natychmiast zaczęła głęboko oddychać. Głęboko i miarowo, powtarzając sobie w duchu, że nie, nie będzie znowu płakać, tylko pomyśli. Odtworzy sobie w pamięci bardzo dokładnie wszystkie wypadki poprzedniego dnia, zastanowi się. Musi przecież istnieć jakiś racjonalny powód, dlaczego Lochlan tak właśnie się zachował.

Na początku wszystko było dobrze. Lochlan rozwiewał jej obawy co do przyszłości Cuchulainna.

Obiecał jej, że cokolwiek przyniesie przyszłość, razem stawią temu czoło. Kochał się z nią.

Posmakował jej krwi. Potem gwałtownie odsunął się od Elphame. Co wtedy powiedział?

„Nie! Tak nie może być! Nie pozwolę!”

O co mu chodziło? Kiedy pił jej krew, ona najpierw poczuła przedziwną euforię, potem oszołomienie,

jakby podano jej wyjątkowo mocne ziółka na sen. Nadal zresztą tak się czuła, ale to wcale nie było

takie straszne... Palce Elphame ponownie odszukały ranki na karku, w pamięci znów ożyła tamta

chwila, kiedy poczuła na szyi zęby Lochlana. Pił jej krew, ona w tym czasie miała zdumiewające

doznania erotyczne, przepływające przez jej ciało.

Wiedziała, że Lochlan przez całe życie walczy z mrocznym dziedzictwem po ojcu, a zeszłej nocy

wyznał jej, że ta walka doprowadza jego ludzi do szaleństwa. Zadrżała, kiedy przypomniła sobie,

ile

było smutku w jego głosie, gdy wspomniał o dzieciach...

Może w tym właśnie tkwi klucz do wytłumaczenia, dlaczego od niej odszedł? Fakt, że zakosztował jej

krwi, to dla niego największa klęska. Poddał się. Przegrał bitwę z tym, czego w sobie najbardziej nienawidził. Czy to znaczy, że jej osoba już na zawsze kojarzyć mu się będzie z tym właśnie uczuciem

- nienawiścią do samego siebie?

Nie! Jakoś trudno było jej w to uwierzyć. A poza tym - Lochlan to jej mąż. Przysięgał przed Eponą, że będzie ją kochać. Tamtej nocy, kiedy przysięgali sobie, postanowiła mu zaufać. Oboje już wtedy wiedzieli, że ich wspólna droga wcale nie będzie łatwa. Ale Elphame nie miała zamiaru drzeć przed pierwszą przeszkodą, jaka pojawiła się na tej drodze.

Powiedział, żeby nie szła za nim. Zrobiła, jak kazał, a teraz będzie czekać, nie tracąc wiary w Lochlana, w siebie, w ich miłość. Dopóki Lochlan nie powróci, skupi się na odbudowie swojego zanku i kierowaniu swoim klanem. Bo ona jest w trochę innej sytuacji niż przeciętna młoda kobieta. Jest Przywódczynią Klanu, a klanowi niepotrzebna taka przywódczyni, która chodzi jak błędna i zapłakuje się z powodu utraconej miłości.

Czy straciła go? Na samą tę myśl Elphame poczuła lodowaty dreszcz, dlatego czym prędzej odpędziła

ją od siebie i próbując choć w pewnym stopniu odzyskać poczucie normalności, podeszła do toaletki, na której stał dzbanek z wodą i filiżanka.

Jej ręce przestały drzeć, kiedy kończyła pić trzecią filiżankę.

Spojrzała na łóżko, na ich ubrania na podłodze, rzucone tam w pośpiechu i nagle uświadomiła sobie, że Lochlan wybiegł stąd nagi. Serce ścisnęło się jej z rozpacz. Dlaczego, Lochlanie! Dlaczego?!

Normalność. Wykąpie się, zje śniadanie, a potem rzuci w wir pracy. Minęło już sporo czasu, kiedy to po raz ostatni zażądała od swojego ciała, by zajęło się ciężką pracą fizyczną. Dziś użyje swej siły,



większej niż u przeciętnego człowieka, siły, z której była tak dumna. Musi się zmęczyć, musi się umęczyć, żeby jej ciało przestało tak rozpaczliwie tęsknić za pieszczotami Lochlana.

Nadal półprzytomna, jakby miała wysoką gorączkę, zeszła na dół, do swego pokoju kąpielowego.

Drzwi do lochu były uchylone, zamknęła je więc, starając się w tym momencie absolutnie o niczym nie myśleć. Potem szybko się wykąpała, nadal bez żadnych rozmyślań, z głową idealnie pustą zmyła z siebie zapach Lochlana.

Wróciła do swojej sypialni. Nałożyła skromną bluzkę z białego płótna i kilt w barwach swego klanu.

Starannie spięła na ramieniu pled broszą MacCallana. Stała przed łóżkiem, spojrzała na skłębioną pościel i jej serce znowu ścisnęło się z żalu.

Ktoś zastukał w drewniane drzwi, dwa razy. Elphame, zaskoczona, na moment zamarła, ale kiedy ten ktoś zastukał powtórnie, bardziej natarczywie, ożyła i błyskawicznie zgarnęła nogą porozrzucane ubranie pod łóżko.

Drzwi otworzyły się powoli, od progu dobiegł łagodny, ostrożny głos Brenny.

- Elphame?

- Wejź, Brenno - powiedziała Elphame, przywołując na swoją stężałą twarz uśmiech. - Dzień dobry!

Kiedy mała Uzdrawicielka weszła do pokoju, Elphame pomyślała, że cała radość, jaka znikła z jej serca, umiejscowiła się teraz w sercu Brenny. Brenna zwykle zbierała włosy i przerzucała przez

ramię, dzięki temu, kiedy pochylała głowę, opadały jak kurtyna, zasłaniając blizny. Teraz włosy

Brenny były po prostu w nieładzie, opadały na plecy, na ramiona, gdzie chciały, nie zasłaniając

promiennej twarzy. Do pokoju weszła lekkim krokiem, prawie w podskokach. Nawet suknia Benny

wyglądała jakoś inaczej. Elphame doszła, dlaczego. Suknia ta sama, ale nie jest zasznurowana aż pod brodę.

- Miłość ci służy, Brenno.

- Cuchulainn mi służy - wypaliła Brenna, natychmiast

oblewając się rumieńcem. Ale wcale nie umknęła wzrokiem przed otwartym spojrzeniem przyjaciółki.

Ale ta jej przyjaciółka wcale się teraz nie popisała.

- Miło widzieć, że to jego skakanie z kwiatka na kwiatka na coś się przydało!

I natychmiast, przerażona, odruchowo zasłoniła ręką usta. Jak mogła coś takiego powiedzieć!

Wykazać się takim brakiem wrażliwości!

- Brenno, przepraszam! Powiedziałam coś okropnego! Radosny śmiech Brenny wypełnił pokój.

- To nic okropnego! To prawda. Wcale się nie spodziewałam, że Cuchulainn to niedoświadczona męska dziewczyna! - powiedziała, dodając konspiracyjnym szeptem: - Dziś w nocy przynajmniej jedno z

nas znało się na rzeczy... - A potem zachichotała. - I bardzo dobrze! Nie mogę zmienić przeszłości twego brata. I niby dlaczego miałabym tego chcieć? Życie go ukształtowało, a ja kocham go takim, jakim jest! Och, Elphame!

Brenna chwyciła Elphame za rękę i dała upust swojej największej radości.

- Jestem taka szczęśliwa! Tak niewyobrażalnie szczęśliwa! Nigdy dotąd nie ośmieliłam się nawet marzyć, że pokocha mnie mężczyzna, jakikolwiek mężczyzna, a co dopiero taki jak Cuchulainn!

Gdyby moje serce miało przestać bić teraz, dokładnie w tej sekundzie, umrę szczęśliwa i spełniona!

Elphame, zachwycona, uśmiechnęła się do niej. Szczęście Brenny było jak balsam na jej poranione serce. Przypominało, że miłość istnieje, że szczęśliwe zakończenie miłosnych perypetii absolutnie jest możliwe.

- Twemu sercu, Brenno, niestety, nie wolno przestać bić, dopóki nie dasz mi co najmniej tuzina bratani i bratanków, żebym miała kogo rozpieszczać!

Brenna, z miną wielce zatroskaną, popukała się po brodzie.

- Tuzin wszystkich, czy po tuzinie każdego rodzaju?

- Pozwólmy, że na to pytanie odpowie moja Matka. Aha, i przygotuj się psychicznie na to, że Wcielenie Bogini Epony, czyli moja kochana Matka, będzie nalegać na jak najszybszy termin ślubu, mimo że potem szlochać będzie od początku do końca uroczystości. I pamiętaj, że wszelkimi przygotowaniem do ślubu zajmie się osobiście, bo tego sobie Mama nie odmówi.

Róż na policzkach Brenny stał się o ton jaśniejszy.

- Ale... ale Cu mówił, że ona mnie polubi.

- Polubi?! Brenno, za dobrze znam swoją Matkę. Ona ciebie pokocha od razu, jak własne dziecko! O nic się nie martw, lepiej mi powiedz, gdzie podziewa się mój brat? Nadal w pościeli?

- Nie. Poszedł do wielkiej sali zamkowej, a ja przyszedłam do ciebie, zobaczyć, jak się czujesz - poinformowała Brenna, natychmiast z drżącej kochanki przeistaczając się w Uzdrowicielkę. - Jesteś blada,

Elphame. Źle spałaś?

- Spałam bardzo dobrze. A jestem blada prawdopodobnie dlatego, że spędzam za dużo czasu w czterech ścianach. Chodźmy na śniadanie, Brenno. Po śniadaniu zamierzam łyknąć trochę świeżego powietrza.

Energicznym krokiem ruszyła do drzwi i nagle zamarła. Kiedy usłyszała pytanie Brenny.

- A co ty tam masz na szyi?

Elphame musnęła dwa strupki na szyi i lekceważąco wzruszyła ramionami.

- Och, musiałam się zadrapać.

- To wygląda raczej na ślady po ugryzieniu.

- Tak myślisz? Może ugryzł mnie jakiś pająk. Jeszcze

jeden dowód, że nasz nowy dom nie jest doprowadzony do idealnego porządku.

- Trzeba powiedzieć Mearze, żeby sprawdziła, czy w twoim pokoju nie ma pajęczyn.

Elphame wydała z siebie dźwięk, oznaczający pełną aprobatę, po czym szybko zmieniła temat.

- Jak miewa się wilczątko mojego brata? Brenna wywróciła oczami.

- Czy wiesz, że nazwał je Fand?

- Fand?! Nie mów!

Elphame czuła namacalnie, jak bąbelki radosnego śmiechu wyskakują jej z piersi. Kiedy razem z przyjaciółką zaśmiewały się do rozpuku, ten okropny supeł w środku zaczynał się sam rozplątywać.

Na duszy zrobiło się

o wiele lżej. Śmiejąc się i pogadując, przemaszerowały przez piękny główny dziedziniec i weszły do wielkiej sali zamkowej, gdzie zebrał się już cały klan na śniadanie. Przywódczynię powitano z szacunkiem, ale wyczuwało się też i wielką serdeczność. I jakby mało było jeszcze powodów do zadowolenia, kochany brat na widok Brenny wstał, objął ją i na oczach wszystkich wycisnął na jej policzku głośnego całusa.

Była Przywódczynią wspaniałego klanu. Jeśli Lochlan zrezygnował z ich miłości, ona i tak przetrwa.

Więcej. Będzie żyć pełną piersią, rozkwitać. Będzie spędzać swoje dni otoczona miłością i

szacunkiem swoich ludzi. A pewnego dnia, być może, opowie swoim bratanicom

i bratankom bajkę o uskrzydłonej istocie - mężczyźnie

- i o pewnej Bogini, która - na bardzo krótki czas

- obdarzyła tę istotę miłością.

Elphame uśmiechnęła się na widok wilczątka, podskakującego niezdarnie koło nóg Cuchulainna.

Trudno

było uwierzyć, że tłuściutka, rozbrykana Fand jest tym samym zabiedzonym wilczątkiem, które przed kilkoma dniami Cu na wpół żywe wyciągnął z nory.

- El, jesteś pewna, że dasz radę?

- Znowu zaczynasz, Cu? Słyszałeś przecież, co powiedziała Brenna. Mogę wracać do pracy. A ta konkretnie praca to coś, czego mi dziś potrzeba.

- Ścinanie drzew? Koniecznie to? Ciekawe. A dlaczego nie miałabyś zająć się...

- Czymś lżejszym, tak? - przerwała mu niecierpliwie Elphame. - Nie, stanowczo odmawiam.

Powiedz

Sam, Cu, czy po tak długim okresie bezczynności też nie wolałbyś rozgrzać sobie trochę mięśni?

- Byłaś ranna, El...

- Nieważne. Odpowiadaj. Co byś wolał? Westchnienie Lochlana przeszło w śmiech.

- Wiadomo, co. Rozgrzać mięśnie.

Co Elphame skwitowała przede wszystkim szerokim uśmiechem.

- A widzisz!

Robotnicy byli zaskoczeni, ale też i bardzo przejęci, kiedy usłyszeli, że razem z nimi pracować będzie Przywódczyni Klanu. Chwycili za swoje siekiery i różnym krokiem podążyli za Cuchulainnem i

Elphame przed zamkowe mury, gdzie Cuchulainn przystąpił do wydawania dyspozycji.

- Teren wokół zamku jest już doprowadzony do porządku, pomyślałem sobie jednak, że warto wyciąć jeszcze drzewa na skraju lasu, w ten sposób odsunie się las od zamku jeszcze o kilka kroków. Ze względów bezpieczeństwa, a poza tym dekarze wciąż wołają o drewno. Czyli będzie podwójna korzyść...

Miał zamiar przystąpić teraz do udzielenia szczegóło-

wych instrukcji, kiedy nagle poczuł coś dziwnego. Jakieś mrowienie, w lewym boku. Spojrzał więc w

lewo i głos uwiązał mu w gardle. Z lewej strony stała jego siostra, to od niej biło to dziwne ciepło.

Zadrzał. Znów był bowiem świadkiem, jak w Elphame ożywa moc Bogini.

Elphame patrzyła do góry, ponad korony drzew, na niebo zdumiewająco niebieskie. Takie, jakie może

być tylko wiosennego poranka, kiedy całą minioną noc padał deszcz. Słońce słało swoje złociste pióropusze na morze sosen, wysyłało ciepło i blask starym murom zamku MacCallana. A ciało

Elphame chłonęło promienie słońca, zachłannie, jak pełen miłości dotyk długo nieobecnego rodzica.

Czuła, jak wypełnia ją moc Bogini.

- Epona dotknęła tego dnia - powiedziała głosem pełnym powagi. - Podziękujmy Bogini za Jej obecność i poprośmy o błogosławieństwo dla naszego klanu.

Kiedy uniosła twarz jeszcze wyżej, ku ciepłym promieniom porannego słońca, usłyszała za sobą szmer. Wszyscy mężczyźni, jeden po drugim, zaczęli klękać. Zerknęła w prawo. Cuchlainn też padł na kolana. Uklękli wszyscy, okazując szacunek, nikt jednak nie pochylił głowy, tylko za przykładem Elphame wszyscy zwrócili twarze ku słońcu. I tak należało zrobić, Elphame po prostu to Wyczuwała. Uniosła wysoko ręce, wzywając Eponę. Jej moc czuła już, czuła, jak płąsa wokół jej uniesionych rąk.

- O, wielka Bogini Epono, dziś czujemy twoją wszechpotężną obecność

i prosimy, by duch Twój przepłynął przez nasz klan. Tu, w tym miejscu, wstąpiliśmy na nową drogę i z Twoją boską pomocą będziemy dalej starali się tchnąć nowe życie w zamek MacCallana, stare gniazdo przodków, których krew zawsze była Ci droga.

Dziękujemy Ci i prosimy Cię o błogosławieństwo

w łagodnym wietrze, wiejącym z daleka,

w ciepłe i jasności, które przychodzą do nas z daleka,

w zimnych wodach mórz i rzek,

w dalekich łąkach i dzikich ostępach.

Jesteśmy zaszczytzeni obecnością Twego ducha

wśród nas.

Chwalmy Eponę!

Wszyscy podjęli okrzyk. Słowa „Chwalmy Eponę” odbiły się echem od starych murów zamku i wróciły, pełne miłości i magii, żeby towarzyszyć im tego ranka. Słowa, które mieli nieść w sercu przez całe życie.

Uskrzydłona istota, ukryta wśród drzew pobliskiego lasu, przyglądała im się bardzo bacznie. Lochlan okłamał ich, miała na to przecież niezbity dowód. Widziała Boginię z kopytami, przed murami zamku,

otoczoną przez swoich ludzi. Ci ludzie uklękli, uznając jej moc. Potem Bogini z kopytami pojaśniała, kiedy Epona wypełniała ją sobą, kiedy prosiła Eponę o błogosławieństwo. Za pomocą prostych słów, jakby nie musiała bardzo prosić. Bo nie musiała, sama była przecież żywą oddychającą Boginią. Przez głowę uskrzydłonej istoty przepływały teraz mroczne myśli, których wcale nie starała się odpędzić. Bogini z kopytami... Bez niej nie opuszczą Partholonu, od tego przecież zależy dalsza egzystencja ludzi na Pustkowiu. Trzeba wywabić ją spoza chroniących ją murów zamku, uprowadzić do lasu... Na Lochlana nie ma co liczyć, muszą zrobić to sami.

W mroku umysłu uskrzydłonej istoty zaczęła formować się myśl, krwawa myśl, zrodzona z szaleństwa.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY**

Kiedy słońce było już wysoko na niebie, a ból w mięśniach Elphame przeszedł w powolne, dające wielką satysfakcję pieczenie, pojawiła się Brenna z koszykiem w ręku. Cuchulainn natychmiast chwycił ją w objęcia i uraczył słodkim pocałunkiem.

- Och, och! - Brenna krzywiła się, udając wielce niezadowoloną, choć oczy jej się śmiały, ale tylko do chwili, kiedy to obudziła się w niej surowa Uzdrowicielka. - Oboje jesteście mokrzy od potu!

Elphame?!

- Absolutnie nie przesadzam! - zapewniła ją natychmiast Elphame. - Czuję się znakomicie!

W tym momencie Fand, która uciniała sobie drzemkę

w cieniu pobliskiej sosny, obudziła się i popiskując radośnie, podbiegła niezgrabnym, szczenięcym galopem do Brenny.

- Brudas jesteś okropny, ale wyglądasz, malutka, już całkiem inaczej. Serce rośnie, kiedy człowiek na ciebie patrzy! - powiedziała czule Brenna. Pogłaskała wilczka i spojrzała na swego ukochanego. Jej uśmiech stał jeszcze cieplejszy, jeszcze bardziej promienny. - Mam koszyk pełen smakołyków.

Chcesz, żebym się z tobą podzieliła?

Elphame ze wzruszeniem patrzyła, jak Brenna flirtuje z jej bratem. Jak ona go kochała! Miłość, jaką

obdarzył ją Cuchulainn, zawładnęła nią całkowicie, jakby Brenna narodziła się na nowo. Tak jak zamek MacCallan.

- Chcę, dziewczyno. Pewnie, że chcę - powiedział Cuchulainn, mała Fand zaszczekała radośnie, a Brenna dodała uprzejmie:

- Nasza Przywódczyni Klanu oczywiście też jest zaproszona.

- Dziękuję - powiedziała równie uprzejmie Przywódczyni Klanu. - Z miłą chęcią towarzyszyłabym wam, ale mam coś bardzo pilnego do zrobienia. Widzieliście dziś rano, jak przy śniadaniu Wynne odciągnęła mnie na bok? - Cuchulainn i Brenna zgodnie pokiwali głowami. - Musimy odbyć naradę.

Na temat jadłospisu i konieczności przydzielenia jeszcze kilku osób do pracy w kuchni. Nie będzie łatwo... - Elphame wydała z siebie głębokie, przesadne westchnienie, tak naprawdę bardzo jednak zadowolona z takiego obrotu sprawy. Wynne naprawdę prosiła ją o pomoc i dzięki temu Elphame bez żadnego kręcenia mogła zostawić świeżo upieczonych kochanków samych.

Cuchulainn uśmiechnął się do Brenny, zabawnie poruszając brwiami.

- A więc będziemy tylko we dwoje... - Fand zaskowyczała, wojownik szybko podniósł ją z ziemi, usadził na rękę i zaczął drapać pod bródką. - Przepraszam, malutka. Oczywiście, będziemy tylko we troje.

Brenna zmarszczyła brwi.

- Cuchulainnie, jeśli zamierzasz dotykać jeszcze czegokolwiek oprócz tej dzikiej bestii, musisz się koniecznie umyć.

Cuchulainn nachylił się ku niej.

- Oczywiście. Idziemy nad nasze jeziorko - powiedział półgłosem, podając jej wilczątka. - Idźcie już tam. Ja i El skończymy jeszcze robotę przy tym drzewie i pędzę do was. - Cuchulainn jeszcze bardziej

zniżył głos, prawie do szeptu i niby trwożliwie zerknął na siostrę. - Nie mów tylko naszej

Przywódczyni, że dziś po południu zamierzam oddać się słodkiej beczynności...



- Ach ty leniu! - krzyknęła Elphame, szturchając go żartobliwie w żebro. - Jesteś okropny, Cu!

- Pewnie! - poparła ją z entuzjazmem Brenna, przyciskając wijące się wilczątko do piersi. - Ale ja i tak na niego poczekam nad jeziorkiem!

Rzuciła ukochanemu jeszcze jedno roziskrzone spojrzenie i pomknęła ku drodze.

Cu odprowadzał ją wzrokiem, uśmiechając się w tym momencie, zdaniem siostry, jak skończony głupek.

- Nie zasługujesz na nią, Cu - powiedziała, potrząsając bezradnie głową.

- Masz rację, siostro! - stwierdził radosnym głosem. - Ale mimo to ona darzy mnie gorącą, szczerą miłością! Zabieramy się do roboty. Migiem, bo zamierzam resztę tego popołudnia spędzić w jej objęciach!

Oboje odwrócili się z powrotem do grubej sosny, którą właśnie wycinali.

- Od samego początku mówiłam, że ona ciebie kocha - mruknęła Elphame.

Cuchulainn roześmiał się serdecznie.

- Masz rację, siostro moja! I w tym przypadku, wyobraź sobie, jestem z tego ogromnie zadowolony.

Elphame, też roześmiana, podniosła głowę, żeby spojrzeć na brata i nagle uśmiech znikł z jej twarzy, a po plecach przebiegł zimny dreszcz. Daleko na niebie, dokładnie ponad ramieniem Cuchulainna, zobaczyła nagle pojedynczą ciemną chmurę, która przesłoniła jasność słońca.

Jedna jedyna chmura. Prawie czarna. Znak?

- Co się stało, Elphame? - spytał Cuchulainn. Zamrugła oczami. Chmura znikła. Może w ogóle jej tam nie było? Jasne ciepło dnia znów wlało się w jej duszę, zimny dreszcz, który czuła przed sekundą, wydal się czymś nieważnym. Był i już go nie ma.

- EI?

Potrząsnęła głową i mocniej chwyciła za pień drzewa.

- Och, nic! Jak zwykle, zaczęłam błędzić myślami. Pospieszmy się, Brenna nie powinna za długo na ciebie czekać. A poza tym w pewnej kwestii zgadzam się z nią całkowicie. Stanowczo powinieneś się

wykąpać.

Zaśmiała się i mierząc wzrokiem spoconego brata, znacząco zmarszczyła nos.

Brenna czuła się taka lekka, taka szczęśliwa. I taka bardzo, bardzo piękna. Szła przed siebie rączym krokiem, wywijając koszykiem, rzeczywiście pełnym smakołyków. Bo i cóż może być lepszego od świeżo upieczonego chleba? A poza tym był tam kawał pachnącego sera, ugotowane na twardo jajka przepiórki i płaty wędzonki. Nawet bukłak z najlepszym winem od matki Cu.

Zeszła z drogi i uśmiechnęła się, widząc, jak wszędzie zrobiło się już zielono. Małe purpurowe kwiatki pojawiły się dosłownie z dnia na dzień, tak samo te żółtawe roślinki, tworzące ładne owalne kępki, które wyglądały jak odwrócone do góry dnem koszycki. Cały las wyglądał tak, jakby ubrał się

ładnie właśnie dla niej, dla Brenny. Ta głupia romantyczna myśl sprawiła, że uśmiech Brenny poszerzał.

Usłyszała skomlenie Fand. Szybko odwróciła się i spojrzała między drzewa. Wilczątka siedziało na środku drogi i patrzyło żałośnie na Brennę.

- Chodź, malutka, chodź! - zawołała Brenna. - Zobacz, tam już jest ta stara wielka sosna. Do jeziora już niedaleko.

Fand nie ruszała się z miejsca. Brenna cmoknęła.

- Chodź, malutka, chodź. Wzięłam ze sobą ściereczkę, i mam dla ciebie mleczko. Napijesz się, potem rozłożę kocyk i pośpisz sobie, dopóki on do nas nie przyjdzie!

Naturalnie, wilczątka nie rozumiało ani słowa, ale słyszało przecież jej łagodny, przekonywający głos. Poklepała się kilka razy po udzie, dalej przemawiając czule i w końcu Fand podniosła swój okrągły tyłeczek i weszła za nią w las.

- Dobra dziewczynka! - pochwaliła Brenna. - Cu będzie dumny z ciebie.

Cała uwaga Brenny skupiona była na wilczątku, dlatego nie zauważyła, kiedy spoza pobliskiej sosny wysunął się jakiś cień i zaczął iść za nią.

Kiedy słyhać już było melodyjny dźwięk opadającej wody, Fand nagle warknęła.

- Fand? Co się stało, malutka?

Pierwszą reakcją Brenny był śmiech. Bo sierść na

karczku małej Fand stanęła jak szczotka. Wilczątka odsłoniło swoje mleczaki i cofało się powoli w stronę Brenny. Wyglądało rozkosznie bezbronne. Kulka pokryta szarym futrem, udająca dorosłego wilka, a bardziej przypominająca jeża.

Nagle kątem oka wychwyciła coś ciemnego, jakiś cień. Fand warczała coraz głośniej. Brenna odwróciła głowę, jej kolejny wydech zmienił się w cichy okrzyk.

Och...

Uskrzydłona istota była bardzo piękna. Brenna zauważyła niezwykle kolor oczu, gibką postać. Jakby na chłodno wychwytywała symptomy nowej, nieznannej choroby. Nie wpadła w panikę, nie walczyła, kiedy uskrzydłona postać z szybkością na pewno nieosiągalną dla człowieka przypadła do niej.

Jej szpony w porannym słońcu błyszczały groźnie.

- Robię to tylko dlatego, że on mnie do tego zmusił. To jest jedyna droga.

Głos uskrzydłonej istoty był zaskakująco łagodny, melodyjny.

W oczach tej istoty Brenna zobaczyła swoją śmierć. Mimo to nie mogła zmusić swego ciała do jakiegokolwiek ruchu. Spojrzenie niezwykle jasnych oczu, w których widziała swoje przeznaczenie, sparaliżowało ją. Ciało, nie umysł. Umysł był nadal sprawny. Pierwsza była myśl, jakie to wszystko jest nieprawdopodobne. Kiedyś przeżyła dzień ognia i największego bólu. Ból towarzyszył jej od samego początku, a teraz wszystko zaczyna się tak delikatnie. Uskrzydłona istota, trzymając ją przy sobie bardzo blisko, nachyliła głowę nad tą stroną szyi, na której nie było blizn. Brenna poczuła, jak zęby skrzydlatej istoty wbijają się w jej miękką skórę. Kiedy przebiły skórę, poczuła nagle przedziwną euforię i nie mogła powstrzymać się od cichego jęku. Potem były inne wrażenia. Zrobiło jej się bardzo gorąco, coś ciągnęło ją,

ciągnęło, w tym samym miejscu na szyi, gdzie wbiły się zęby uskrzydłonej istoty, chwilę potem, już jak przez mgłę, choć wyraźnie, usłyszała odgłos rozrywanego ciała.

Zamknęła oczy i pomyślała o Cuchulainnie. Pomodliła się - Epono, błagam, pomóż mu, nie pozwól, żeby na zbyt długi czas pogrążył się w żałobie. Potem miała wrażenie, jakby czas stanął w miejscu. Wtedy, gdy odmawiała ostatnią modlitwę. Dziękuję ci, Bogini, że pozwoliłaś mi poznać miłość. Ktoś dał mi ją, zanim poznałam, co to umieranie.

Odczucie, że skrzydlata istota wyciąga coś z jej szyi było coraz silniejsze. Słyszała swój oddech, bardzo szybki, bardzo głośny. Nogi pod nią się ugięły, ale uskrzydłone stworzenie, dalej pijąc z niej krew, trzymało ją mocno. W jakiejś okrutnej parodii uścisku kochanków. Świat pod zamkniętymi powiekami Brenny ze szkarłatnego zmienił się w czarny, ale zanim nadszedł ból, a potem śmierć, poczuła też, jak unosi się, oddziela od swego bezwładnego ciała, jak do jej duszy wlewa się błogi spokój.

Spokój ramion Epony, otwartych na jej powitanie.

- Myślę, że Kathryn byłaby najlepszym nabytkiem do kuchni - powiedziała Wynne, zgarniając z twarzy jeden z niesfornych loków. Elphame odpowiedziała po krótkiej chwili, najpierw musiała przeżuć i przełknąć kolejny kęs smacznego gulaszu z dziczyzny, który Wynne podała na stół w południe.

- Zgadzam się z tobą, Wynne. Podobno Kathryn wcale nie ukrywa, że doświadczenie ma niewielkie, ale jest

młoda, pełna zapału. Na pewno wszystkiego bardzo szybko się nauczy.

- Ale Meara będzie zła, że zabieram jedną z jej dziewczyn do sprzątanania.

- A na to jest sposób... - Elphame uśmiechnęła się, przywołując w pamięci obraz pulchnej, choć i bardzo apetycznej gospodyni. - Ugotuj Mearze coś bardzo dobrego, tylko dla niej, dając jej do zrozumienia, że nie chcesz z nią wojować.

Wynne pokiwała głową.

- Świetny pomysł. Najlepiej coś słodkiego. Elphame zaśmiała się.

- Tego czegoś słodkiego całe mnóstwo!

Nagle śmiech Elphame ucichł, usłyszała bowiem coś, jakiś głos, który natychmiast zwrócił jej uwagę.

Co to było dokładnie, tego w pierwszej chwili nie potrafiła sprecyzować. Dopóki nie usłyszała wyraźnie silnego głosu Dananna.

- Elphame! Elphame!

Wołał ją ponurym głosem, który nie wróżył nic dobrego. Natychmiast wybiegła z wielkiej sali, na dziedziniec, na który właśnie wbiegał, stukając kopytami stary centaur.

- Elphame, brat cię wzywa! - rzucił tylko, odwrócił się i pobiegł z powrotem do zamkowej bramy.

Elphame popędziła za nim. A tam, przed bramą, panował zamęt. Mężczyźni gorączkowo siodłali konie, z lasu wybiegały centaury. Zewsząd słyhać było nawoływania. Wzywano Brighid.

Wśród tego chaosu Cuchulainn, nieruchomy jak posąg. Obok jeden z mężczyzn siodłał mu konia.

Cuchulainn, blady jak ściana, tulił do piersi zbryzgane krwią wilczątko.

Elphame popędziła do brata.

- Brenna - powiedział krótko.

- Ale co się stało?! Gdzie ona jest?!

Elphame spojrzała szybko na wilczątko. Całe we krwi, ale na ciele nie widać żadnej rany. To nie jest krew wilka.

- Znalazłem Fand w lesie niedaleko jeziora. Brenny nie było. Zacząłem ją wołać, potem szukać.

Znalazłem ślady, bardzo dziwne. Nie potrafię powiedzieć, czyje... - Cu mówił szybko, krótkimi, urywanymi zdaniami, jakby wyartykułowanie ich przychodziło mu z wielkim trudem. - Wróciłem więc po Brighid. I po to.

Ręka Cu dotknęła dużego miecza, przytroczonego do pleców.

Elphame znów poczuła przerażający dreszcz, tak samo lodowaty, jak tego dnia o poranku. Dreszcz, a potem lodowata dłoń objęła jej serce.

Po trawiastej ziemi zadudniły kopyta.

- Co się stało? Co? - wołała z daleka zadyszana Łowczyni.

- Ktoś napadł na Brennę. - Cuchulainn podał wilczątko mężczyźnie, który skończył siodłać jego konia i wskoczył na swojego wałacha. - Koło tego jeziora, w którym kąpałyście się we trójkę. Nie potrafię

rozpoznać śladów.

- Pokażesz mi.

Cuchulainn nakierował wałacha na drogę i z miejsca ruszył galopem. Reszta ludzi za nim. Elphame biegła obok brata, starając się za wszelką cenę nic nie myśleć, nie włączać wyobraźni.

Kiedy dojechali do starej, ogromnej sosny, Cuchulainn zjechał z drogi i zeskoczył z konia. Przeszedł kilka kroków, nagle stanął i nachylił się nad porzuconym w trawie koszykiem.

- Tutaj.

W tym miejscu leśne kwiatki były stratowane, jasnozielone listki splamione krwią.

Brighid dała znak ręką, żeby wszyscy się zatrzymali i ona też pochyliła się nad ziemią. Elphame widziała, jak twarz Brighid tężeje. Na moment Brighid poderwała głowę, przechwyciła wzrok

Przywódczyni Klanu, po czym znów wbiła swój bystry wzrok w leśną murawę.

- Idźcie za mną! - powiedziała po chwili. Ruszyła przodem, za nią Cuchulainn i Elphame, za nimi

reszta ludzi i centaurów. Brighid szybko oddaliła się od jeziora. Wróciła do drogi, przekroczyła ją, z powrotem weszła w las i nagle gwałtownie skręciła na północ.

Elphame podbiegła do niej.

- Brighid, zobaczyłaś coś?!

- Nie. Ale to coś niesie Brennę.

Elphame, coraz bardziej przerażona, cofnęła się z powrotem do brata. Oboje, porozumiewając się bez

słów, odsunęli się od siebie i ustawili tak, żeby osłaniać Brighid z dwóch stron. Brighid początkowo

bardzo pewnie podążała przed siebie, ale teren zaczął się zmieniać. Już nie las, a skaliste grzbiety, poprzecinane strumykami i rozpadlinami, Łowczyni zaczęła zwalniać, aż w końcu zatrzymała się.

- Zgubiłam ślad! - zawołała. - Ten ktoś porusza się w przedziwny sposób, nigdy czegoś takiego nie tropiłam. Ma niesamowicie długi krok, prawie tak długi, jakby frunął.

Cuchulainn puścił wodze konia i szybko podszedł do Łowczyni.

- Nie! Nie możesz zgubić śladu! On ma Brennę!

- Przecież wiem! - krzyknęła z rozpaczą. - Oddałabym wszystko, żeby było inaczej! Ale jak ja mam tropić kogoś, kto praktycznie porusza się w powietrzu!

Cuchulainn cofnął się gwałtownie, prawie jakby go uderzyła.

- Jeśli nie możesz jej wytropić, to jak my ją odnajdziemy?

- Przeczyszemy las! - zawołała Elphame i natychmiast przystąpiła do działania, rzucając jednemu z mężczyzn rozkaz: - Jedź do Loth Tor i zwołaj ludzi z wioski. Niech wezmą pochodnie. Jedź,

człowieku! Pospiesz się! - krzyknęła, kiedy zaskoczony mężczyzna nie ruszał się z miejsca, tylko

gapił się na nią. Potem odwróciła się do Łowczyni i swego brata. - Zaczniście już przeczesywać las, ja wracam do zamku, zwołam cały klan. Spadniemy na ten las jak szarańcza. Znajdziemy Brennę.

Objęła mocno brata, i pognęła z powrotem przez las. Na początku skupiła się całkowicie na biegu, starając się rozwinąć jak największą szybkość na nierównym skalistym terenie. Ale w miarę, jak zbliżała się do zamku, jej niespokojne myśli, dotychczas trzymane na wodzy, zaczęły dochodzić do głosu.

Te ślady na pewno są śladami potomka Fomorianina. Rozpoznała je od razu, Brighid wcale nie musiała spoglądać na nią znacząco. Lochlan?! Nie, tej myśli starała się do siebie nie dopuszczać.

Lochlan? Nie, to niemożliwe!

A może... Lochlan?

Ręce pracowały zgodnym rytmem z nogami, rozgrzane mięśnie zaczynały piec, w chwili gdy w jej głowie zakłębiło się. Jej umysł gorączkowo wyszukiwał słowa i obrazy, tworząc z nich upiorny

*tableau* potępienia. W pamięci ożył widok kłów Lochlana, błyszczących w słońcu, ożyły jego słowa:

„Mam w sobie krew rasy demonów, obojgu nam nie wolno o tym zapomnieć”.

Małe strupki na szyi Elphame zaczęły parzyć.

Napił się jej krwi. Czyżby potem ogarnęło go szaleństwo? Dlatego wtedy od niej uciekł? Zmusił się, żeby być od niej jak najdalej, kiedy ostatecznie straci władzę nad samym sobą?

A teraz Brenna płaci za milczenie Elphame, za jej decyzję o obdarzeniu zaufaniem istoty, która po części jest demonem.

Nie! - krzyczało jej serce. On jest moim mężem, jego nadejście przepowiedział mi brat. Lochlan nie może być tym monstrum. Owszem, te ślady są śladami kogoś, kto ma w sobie krew Fomorian, ale ma ją w sobie nie tylko Lochlan. Są jeszcze inni, tacy sami jak on, którzy walczą z szaleństwem, w jakie chce ich wciągnąć ich czarna krew. I to może być właśnie ktoś spośród tych pozostałych. Przyszedł tu, za Lochlanem, i w końcu poddał się mrocznym instynktom.

Ona musi to wiedzieć. Mieć pewność. To jedyna droga.

Zatrzymała się na skraju lasu, otaczającego jej ukochany zamek. Stała ukryta wśród sosen i zwróciła się twarzą na północ - tam, skąd przyszedł do Partholonu Lochlan. Podniosła ręce i rzuciła na wiatr:

- Lochlanie... Przyjdź...

Imię ukochanego zajaśniało w magicznej mgiełce przed jej oczami, potem powiał wiatr, porwał je. Na

moment pochyliła głowę, czując nagle cały ciężar swej decyzji, przygniatający jej duszę.

Poderwała głowę i weszła w las.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY**

- Rozstawcie się co dziesięć kroków, tylko dziesięć, nie możemy się za bardzo od siebie oddalać.

Niebawem zresztą będzie nas więcej, kiedy dołączy reszta klanu i ludzie z wioski. Pamiętajcie, naszym zadaniem jest znaleźć jakikolwiek ślad tej istoty, musimy się zorientować, w jakim kierunku podąża, gdzie trzeba dalej szukać... - wyjaśniała Brighid, przemykając wzrokiem po twarzach otaczających ją mężczyzn i centaurów. - Posuwamy się do przodu w szeregu. Idziemy powoli, ja narzucam tempo. Ślady, których szukamy, są niespotykane. Wyraźne. Ślady po szponach, które wryły



się w ziemię. Duże ślady, większe niż ślad kopyta centaury.

Mężczyźni i centaury bez zbędnych komentarzy szybko ustawili się w szereg. Cuchulainn obok Łowczyńi.

- Gdzie jesteś, ty kreaturo?

Jego cichy głos słycać było doskonale w nienaturalnie cichym lesie.

Spojrzenie Brighid przemknęło po drzewach dookoła. Przypomniała sobie, jak nad jeziorkiem, kiedy natrafili na ślady, razem z Przywódczynią Klanu wymieniły spojrzenia. Spojrzenie Elphame dla

Brighid było wiele mówiące. Elphame znała te ślady, były identyczne jak tamte w jarze. Ale Elphame,

nie wiadomo dlaczego, sprawiała wrażenie, jakby nie dopuszczała tej myśli do siebie. I co teraz

Brighid miała zrobić? Powiedzieć Cuchulainnowi, że ona i Elphame wiedziały już wcześniej, że w lesie czatuje jakaś uskrzydłona istota, ale postanowiły to zignorować?

Brighid, pocierając ręką czoło, jakby w ten sposób mogła zetrzeć z siebie swoje zmieszanie, postanowiła przekazać wojownikowi chociaż część prawdy.

- Nie wiem, Cuchulainnie. Nigdy dotąd nie widziałam istoty, która pozostawiałaby takie ślady.

- A to ona ją zabiła, tak? - spytał drewnianym głosem, pozbawionym jakichkolwiek emocji. Ale oczy błagały Brighid, by zaprzeczyła.

- Wiemy tylko tyle, że dokąś poniosła Bremerę. Ślady krwi były tylko tam, koło jeziorka, skąd została uprowadzona, dalej już nie. Poza tym koło jeziorka tych śladów było niewiele, a to oznacza, że Brenna nie wykrwawiła się na śmierć.

Oboje przemilczeli to, co oczywiste. Jest mnóstwo sposobów, żeby bez wykrwawiania się na śmierć stracić życie. Brighid, nie mogąc już dłużej patrzeć w pełne udręki oczy Cuchulainna, odwróciła się i spojrzała jeszcze

raz na mężczyzn i centaurów, sprawdzając, czy ustawili się zgodnie z poleceniem. W szeregu, po obu stronach Łowczyńi, rozstawieni co dziesięć kroków. Tak było, podniosła więc rękę, żeby ściągnąć na siebie ich uwagę i skinęła głową.

- Zaczynamy! - zawołała.

Wszyscy, jak jeden mąż, ruszyli przed siebie. Szli powoli, w tempie narzuconym przez Brighid. A Cuchulainn miał wrażenie, jakby czas również mijał w innym, narzuconym sobie tempie. Co oczywiście, jak podpowiadał jego zwykle bardzo trzeźwy umysł, było tylko złudzeniem. Czas mijał z tą samą prędkością, co zawsze. Wydłużające się cienie drzew świadczyły, że dzień ma się ku końcowi,

ale Cuchulainnowi wydawało się, że dosłownie przed chwilą trzymał w spoconych objęciach roześmianą Brennę. Potem patrzył za nią, jak biegnie do drogi i dalej, żeby czekać na niego w umówionym miejscu.

I w tym jego trzeźwym umyśle nadal trwało Przeczucie, jakie miał poprzedniego dnia, kiedy razem z Brenną wracali z jeziora. Złe Przeczucie, ostrzeżenie, które on zlekceważył. Tak jak w przeszłości wielokrotnie lekceważył przesłania, przekazywane mu przez Świat Duchów.

Teraz przeklinał siebie, swoją głupotę. Wszystko, co działo się teraz, działo się z jego winy. Gdyby nie odtrącał Świata Duchów, byłby na coś takiego przygotowany. Nie spuściłby oka z Brenny. A tak...

Nagle do uszu dotarł jakiś odgłos, z oddali, który sprawił, że włos zjeżył mu się na głowie. Usłyszał to z tyłu, za sobą. Było to coś więcej niż Przeczucie, niż czyjś dotyk. Była w tym siła magii, żywej magii, niesionej przez wiatr.

- Zaczekajcie! - krzyknął.

Brighid natychmiast podniosła rękę. Wszyscy stanęli, a Cuchulainn skupił się, skupił o wiele bardziej niż wtedy, gdy człowiek nadstawia uszu. Skupił się całym sobą, jeszcze bardziej wyostrajając wszystkie swoje już i tak nadnaturalnie wyostrome zmysły, dotychczas tak lekceważone.

Usłyszał. Wyraźny, wręcz namacalny dźwięk, jakiś szelest na skalistym zboczu. Ten dźwięk nagle stał się słyszalny, i ucichł, tak samo nagle, jak znikła Przeczucie. Cuchulainn westchnął, przeklinając w duchu swój brak umiejętności. W porozumiewaniu się ze Światem Duchów był jak niemowlę w świecie dorosłych. Przygnębiony swoją gorzką porażką, miał już zamiar dać Brighid znak, żeby ruszali do przodu, kiedy nagle znów coś Wyczuł.

To była nagła świadomość, że odpowiedź jest tam, po drugiej stronie górskiego grzbietu.

Podniósł rękę i wskazał na stok.

- Tam. Tam coś jest.

Poprowadzili razem, wojownik i Łowczyń. Wspięli się po zboczu na szczyt górskiego grzbietu, gdzie, ku ich zaskoczeniu, nie zobaczyli gęstego lasu, tylko porośniętą bujną trawą polanę, ukrytą wśród wiekowych, rozłożystych dębów. Była to prawdziwa rzadkość w lesie koło zamku MacCallana

zdominowanym przez sosny.

Między drzewami po przeciwległej stronie polany coś się poruszyło. Cuchulainn wbił tam wzrok.

Jeszcze sekunda i spośród drzew wyszła na polanę uskrzydłona postać, trzymająca na rękach bezwładne ciało Brenny.

Fomorianin! W chwili, gdy umysł Cuchulainna zarejestrował tę informację, natychmiast świadomość podsunęła drugą. Fomorianin to potwór. A czas znów zmienił tempo. Nabral przeogromnej prędkości,

wszystkie ruchy, wszystkie dźwięki wydawały się teraz niewyraźne, nierealne.

Uskrzydłona istota zatrzymała się i spojrzała Cuchula-innowi prosto w oczy. Satysfakcjonujący odgłos cięciwy, wypuszczającej strzałę z łuku Brighid odpowiedział jak echo na inny odgłos, groźny brzęk miecza, wyciąganego z pochwy. Uskrzydłona istota uskoczyła w bok, ale strzała i tak aż po pióra wbiła się w jego ramię. Cuchulainn zauważył, że potwór stara się trzymać Brennę bardzo ostrożnie. Tak przynajmniej się wydawało. Jakby w jakimś kompletnie już pokręconym zakamarku jego mózgu tliła się myśl, że temu ciału już nic złego nie powinno się przytrafić.

- Brenna! - Cuchulainn z wyciągniętym przed siebie mieczem zaczął biec przez łąkę.

Uskrzydłona istota nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Nie poruszyła się, nie próbowała uciec ani przybrać postawy obronnej. Tylko jej skrzydła poruszały się. Szeleściły i rozkładały się, ale spojrzenie oczu szarych jak morze podczas sztormu było nieruchome.

Cuchulainn, podchodząc do uskrzydłonej istoty, wyczuwał za sobą obecność Brighid i reszty ludzi i

centaurów. Podchodził, starając się nie patrzeć na Brennę, nie widzieć, jak jest blada i nieruchoma.

Ta uskrzydłona istota to był on, ktoś w rodzaju mężczyzny. Na pewno. Kiedy Cuchulainn zbliżył się na odległość wyciągniętej ręki, przemówił:

- Za późno. Ona już nie żyła.

Głos był niski, mocny, słyhać w nim było wielki smutek, co Cuchulainn odczuł jak uderzenie pięścią.

Miecz wojownika dotknął szyi uskrzydłonego mężczyzny.

- Puść ją i spotkaj się ze swoim przeznaczeniem. Mężczyzna ze skrzydłami przykląkł i bardzo ostrożnie,

co było widać wyraźnie, złożył nieruchome ciało Brenny

na zielonej trawie. Kiedy wstał, wszyscy natychmiast rzucili się do niego, ale znieruchomieli, słysząc rozkaz Cuchulainna.

- Nie! On jest mój! Ja go zabiję!

Zamachnął się. Ale dosłownie w ostatniej sekundzie, zanim miecz opadł na szyję, mężczyzna ze skrzydłami ponownie przemówił. Zawołał. Tylko jedno słowo, a wystarczyło, żeby miecz w rękę

Cuchulainna zadrżał i zamiast w szyję trafił w skrzydło. Rozerwał je, ostrze cięło ramię, przebite już strzałą, i tylko drasnęło szyję.

- Elphame!

To imię wydawało się teraz być czymś żywym. Zawirowało w powietrzu wokół nich i jak modlitwa uleciało ku niebu.

Ostrze miecza Cuchulainna dotknęło gardła mężczyzny ze skrzydłami.

- Jak śmiesz wymawiać imię mojej siostry! Lochlan, klęcząc na jednym kolanie, próbował ręką

zatakować krew, płynącą z rany na ramieniu. Rozerwane skrzydło zwisało bezbronne nad

przesiąkniętą krwią ziemią. Ale spojrzenie szarych oczu nadal było nieruchome, głos silny i pewny siebie.

- Wymówiłem imię Przywódczyni Klanu z racji więzów krwi i na mocy złożonej przeze mnie

przysięgi. Jako członek tego klanu mam prawo domagać się, by wysłuchała mojej petycji. Tylko ona może zdecydować o moim losie.

- Ty nie należysz do klanu MacCallanów! - warknął Cuchulainn.

Lochlan z wielkim trudem wstał i przez zaciśnięte z bólu zęby wypowiedział swoje oświadczenie mocnym głosem, wypełniającym całą polanę wśród wiekowych dębów.

- Moją matką była Morrigan, najmłodsza siostra MacCallana, który rządził tymi ziemiami. Dziś w obecności świadków domagam się moich praw, należnych mi z racji urodzenia. Tylko Przywódczyni Klanu MacCallanów może mi ich odmówić!

Zapadła cisza, po chwili ciszę zmaćcił donośny głos Brighid.

- Cuchulainnie, zaprowadź go do swojej siostry! Ona, tak samo jak ty, bardzo kochała Brennę.

Elphame na pewno z wielką przyjemnością będzie patrzeć, jak wypatroszymy tę bestię!

Bestię.... Cuchulainn, słuchając, co mówi Brighid, patrzył na uskrzydloną istotę. Skrzydła, szpony i zęby świadczyły, że niewątpliwie jest to Fomorianin, ale nawet teraz, w gniewie i rozpacz, Cuchulainn dostrzegał w rysach twarzy wyraźne oznaki, że jest to również człowiek.

Cuchulainn dostrzegał w rysach twarzy wyraźne oznaki, że jest to również człowiek.

- Zwiążcie mu ręce i przywiążcie do mojego siodła. Jeśli nie da rady iść do Przywódczyni Klanu MacCallanów, zaciągnę go do niej.

Kiedy wiązano nie stawiającego oporu Lochlana, Cuchulainn ukląkł koło Brenny. Była taka blada.

Dotknął jej twarzy. Zimna, strasznie zimna, a wyglądała tak spokojnie, jakby po prostu zasnęła. Tylko jej szyja... Ten potwór wyrwał z niej kawałek ciała wielkości pięści... Cuchulainn czuł, jak do jego

umysłu wnika nieuchronnie przerażająca świadomość jej śmierci. Wnika do jego duszy, do jego serca.

- Dajcie mi tu kawałek materiału! - krzyknął, nie odrywając oczu od jej słodkiej, teraz tak nieruchomej twarzy.

Prawie natychmiast w jego rękę znalazł się kawałek jedwabiu, oderwany od podszewki kamizelki

Brighid. Tym jedwabiem starannie przewiązał szyję Brenny. Nie

chciał, żeby ktokolwiek oglądał, jakiego dokonano tu spustoszenia. Potem nachylił się i pocałował

zimne usta.

- Zabieram cię do domu, kochanie... - szepnął.

Brighid przytrzymała jego konia, kiedy wskakiwał na siodło, potem ostrożnie podała mu Brennę.

Cuchulainn, jedną ręką tuląc do siebie ukochaną, ścisnął boki konia łydkami, żeby ruszył od razu wolnym galopem. I miał trochę smutnej satysfakcji, kiedy słyszał, jak monstrum ze skrzydłami potyka się, upada i szoruje ciałem o ziemię. Dopiero po jakimś czasie udaje mu się stanąć na nogach.

Niech cierpi. Niech cierpi, tak jak cierpiała Brenna.

Brenna... Cuchulainn mocniej przygarnął do siebie zimne, bezwładne ciało ukochanej, starając się nie myśleć o tym, co naprawdę oznacza jej śmierć. O tym, że Brenny już nie ma. Utracił ją na zawsze.

Nigdy już więcej nie dotknie go, tak delikatnie, nigdy więcej nie zobaczy w jej uśmiechu tego zdumienia, z którym poznawała nowy, nieznany sobie świat. Świat miłości, przynależności do innego człowieka, który dopiero się przed nią otwierał.

Nie, nie mógł teraz o tym myśleć. Teraz był w stanie pomyśleć tylko o dwóch rzeczach. Zawieźć Brennę do domu. I przekonać się na własne oczy, że jej morderca już nie oddycha.

Cały klan, zgromadzony przed zamkowymi murami, czekał w milczeniu, aż zapłoną wszystkie pochodnie. Elphame stała na uboczu. Czowała na skórze dotyk chłodnego, przenikliwego wiatru, niosącego ze sobą prawie bezgłośnie echo tego właśnie krzyku.

Jedno słowo. Jej imię.

Zadrzała. Słońce, teraz w szkarłatach, zaczynało zachodzić po swojej drodze wiodącej w dół, do morza. Nawet niebo skąpane było we krwi...

- Wszystko gotowe - powiedział Danann. Elphame odwróciła się, żeby spojrzeć na swoich ludzi.

Odruchowo spojrzała też wyżej, na balkon na Wieży Przywódcy Klanu. Słońce na chwilę oświetliło zwiewną, przezroczystą postać. Stary duch podniósł rękę w milczącym pozdrowieniu. Elphame zamrugała oczami, stary duch znikł.

Odwróciła głowę, kierując znów spojrzenie na skupioną, posępną grupę mężczyzn i centaurów.

- Jest jeszcze jasno, możemy śmiało starać się dotrzeć tam jak najprędzej. Trzymajcie się razem, nie rozpraszać się. Cuchulainn i reszta są niedaleko stąd. Kiedy dołączymy do nich, Brighid powie, co macie robić.

Wszyscy pokiwali głowami. Elphame, usatysfakcjonowana, odwróciła się ponownie, by stanąć na czele i poprowadzić swój klan na północ. Zanim jednak zdążyła zrobić pierwszy krok, na skraju lasu nagle między drzewami zabłysło światło. Pochodnie. Najpierw spośród sosen ukazała się Brighid.

Potem Cuchulainn. Serce Elphame na moment przestało bić, usta poruszyły się w bezgłośnym, pełnym przerażenia krzyku.

Nie!

Cuchulainn trzymał przy sobie nieruchomą Brennę. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz, żeby już wiedzieć. Brenna nie żyje.

A potem, przez mgłę rozpaczy, Elphame zobaczyła, że Cuchulainn ciągnie coś za swoim wałachem.

To coś potknęło się i upadło, kiedy Cuchulainn ścisnął konia łydkami. Koń zagalopował i szybko dobiegł do Elphame. Cuchulainn gwałtownie ściągnął wodze, osadzając konia w miejscu.

Zakrwawiona istota przetoczyła się, teraz leżała nieruchomo w odległości kilku kroków od Elphame i

całego Klanu MacCallanów.

W pierwszej chwili Elphame zobaczyła tylko skrzydła, długie ręce i nogi, zbryzgane szkarłatem. Na moment pozwoliła swemu sercu uwierzyć, że to nie on. Wierzyło, dopóki Lochlan z wielkim wysiłkiem nie podniósł się na kolana.

- Elphame, nie zdążyłem - wychrypiał. - Za późno dowiedziałem się, co oni zamierzają zrobić.

Wybacz mi.

Słyszała za sobą okrzyki zaskoczenia i pełne strachu. Słowo „Fomorianin” kładło się na zamkowych ziemiach szeptem, jak klątwa, zbyt straszna, żeby wymówić ją głośno. Czuła, że klan jest

wstrząśnięty, przerażony, ale nie odwróciła oczu od Lochlana. Patrzyła na niego, nie na swego brata, nie na zamordowaną przyjaciółkę, nie na Łowczynię, której znaczący wzrok czuła na sobie przez cały czas.

- Kto ją zabił?

Odpowiedział, wśród tej nagłej ciszy, jaka zapadła po pytaniu Elphame.

- Przyszło tu za mną czworo moich ludzi. Kazałem im wracać na Pustkowie i tam czekać na mnie.

Myślałem, że odeszli, dali mi słowo, że opuszczą Partholon. Ale oni nie odeszli. Zrobili coś innego.

Zabili Brennę.

- Elphame! - ryknął Cuchulainn. - Ty znasz tego potwora!

Elphame spojrzała w pełne bólu oczy brata.

- Tak, znam. Złożył mi przysięgę na wierność...

- przez zebranych przeszedł groźny pomruk, coraz głośniejszy. Elphame dokończyła więc jeszcze głośniej:

- Miał do tego prawo! Jego matką była Morrigan, rodzona siostra MacCallana. Została uprowadzona przez Fomorian i zgwałcona. Przeżyła narodziny dziecka, ona i wiele innych kobiet, uprowadzonych przez Fomorian...

Cuchulainn, trzymając w objęciach martwą Brennę,

powoli zsunął się z siodła. Podeszedł do siostry i stanął przed nią twarzą w twarz. Dzieliło ich tylko ciało jego martwej ukochanej.

- Jak możesz opowiadać takie rzeczy o tym potworze, który zabił Brennę!

- On nie jest potworem, Cuchulainnie. To mój mąż. Złożyliśmy sobie małżeńską przysięgę, na rok.

Jest moim towarzyszem życia, którego mi przepowiedziałeś. On jest moim przeznaczeniem.

Zewsząd rozległy się pełne niedowierzania okrzyki. Elphame nie odrywała oczu od brata.

Cuchulainn,

gwałtownie potrząsając głową, zaczął się cofać. Podeszła bliżej, wyciągnęła do niego rękę, ale on



wzdrygnął się.

- Na Boginię! To niemożliwe! Niemożliwe! - wyrzucił z siebie głuchym głosem. I wtedy znów przemówił Lochlan, z trudem powstając z klęczek. Jego ręce, związane, zakrwawione, napinały się pod sznurem.

- Cuchulainnie, idź na północ, tam, gdzie mnie znalazłeś. Znajdziesz tam też tych, którzy popełnili tę okrutną zbrodnię. Nie odeszli daleko.

Głowa wojownika błyskawicznie odwróciła się w jego stronę.

- A dlaczego mają tam niby jeszcze być, ty potworze? Może zastawiłeś na nas jakąś pułapkę, a oni tylko tam czekają, żebyśmy w nią wpadli?

- Oni nie mogą z tobą walczyć, nie mogą od ciebie uciec. Porwałem im skrzydła. Są zdani na twoją łaskę i niełaskę, tak jak ja.

Porwał im skrzydła... Jeszcze jeden wstrząs dla mózgu Elphame, odrętwiałego już z bólu. Bo ileż ten mózg może jeszcze znieść? Ile serce?! Brenna została zamordowana. Lochlan pojmany. Jej związek z Lochlanem ujawniony, jej brat patrzy na nią tak, jakby nie była już jego siostrą.

A teraz Lochlan powiedział, że porwał swoim ludziom skrzydła - to nadzwyczaj wrażliwe przedłużenie duszy.

Nic nie powstrzymałoby jej teraz od głośnego krzyku, wyrazu największej udręki. Nic - gdyby nie brosza MacCallana, spinająca jej pled. Jej ciężar czuła na swoim ramieniu, ciężar odpowiedzialności.

Znów głos Cuchulainna.

- Gdybyś był na mojej łasce i niełasce, ty kreaturo, dawno byś już nie oddychał!

Reakcję Elphame podpowiedziała jej krew, krew MacCallanów.

Wyprostowała się, uniosła wysoko głowę i spokojnie spojrzała w płonące oczy brata.

- Masz słuszość, Cuchulainnie - odezwała się twardym głosem. - On nie jest na twojej łasce i niełasce. Tylko na mojej. Ja, Przywódczyni Klanu MacCallanów, zdecyduję o jego losie. Ty dobierz

sobie ludzi i centaurów i ruszajcie w drogę. Brighid - spojrzenie Elphame przemknęło ku Łowczyni - idź z nimi. Wytropcie te okrutne hybrydy Fomorian, które zamordowały Brennę.

Brighid skłoniła głowę, gotowa spełnić rozkaz przywódczyni. Elphame spojrzała ponownie na brata.

- Ruszajcie! Przyprawadźcie ich tu, żebyśmy mogli ich osądzić!

Znów podeszła do niego. Cuchulainn tym razem nie wzdrygnął się, twarz jednak nadal miał stężoną.

Elphame wyciągnęła ku niemu obie ręce.

- Wezmę Brennę. Brenna wróciła do domu. Cuchulainn drgnął. Wahał się, po chwili jednak złożył

Brennę w ramionach siostry i nie odrywając od niej oczu, wskazał brodą na Lochlana.

- Co masz zamiar z nim zrobić? - spytał bezbarwnym

głosem. Martwym głosem, tak samo martwym jak jego serce.

- Jest moim więźniem. I będzie nim, dopóki nie zostanie osądzony.

Cuchulainn przymrużył oczy.

- Dopilnuj, żeby wam się nie wymknął.

- A ty dopilnuj, żebyście tych pozostałych przyprawadzili tu żywych - odparła Elphame.

Cuchulainn złożył jej ukłon, bardzo sztywny, jakby byli sobie kompletnie obcy, odwrócił się i

odwiązał od siodła koniec sznura, którym przywiązano Lochlana.

- Pilnujcie go dobrze! - krzyknął, rzucając sznur mężczyźnie, stojącemu najbliżej. Spiał konia, koń z miejsca ruszył galopem. Brighid dobiegła do Cuchulainna, za nią grupa mężczyzn i centaurów.

Wszyscy ruszyli w las.

Elphame wiedziała doskonale, co musi teraz zrobić. Musi wydać rozkaz, choć serce w piersi miało teraz ciężar ołowiu.

Owiany legendą zamek MacCallana nie krył w sobie ani cuchnącego stęchlizną lochu ani chronionych kratami izb. Kiedy któryś z członków klanu popełnił przestępstwo, sądzono go natychmiast i zgodnie z wolą Przywódcy Klanu albo odbierano mu życie, albo skazywano na wygnanie. Klan, którego zawołanie brzmiało „Wiara i wierność” nie tolerował tych, którzy złamali przysięgę.

Przywódczyni Klanu wydała rozkaz:

- On jest moim więźniem. Zabierz go na dziedziniec i przywiąż do którejś z kolumn. Czekamy na powrót Cuchulainna.

Mężczyzna, trzymający w ręku sznur, szarpnął nim gwałtownie. Reakcja Elphame była natychmiastowa, głos bardzo ostry.

- Uznałam jego prawo przynależności do klanu i ode-

brałam od niego przysięgę. Masz go traktować należycie! Rozumiesz!

Mężczyzna szybko spojrzął w bok. Płonący wzrok Elphame przekazywał bowiem bardzo wyraźnie, że

jest ona czymś więcej niż Przywódczynią Klanu. Była dotknięta przez Eponę, a wcale niełatwo wzbudzić w Bogini gniew.

Kiedy grupa mężczyzn wraz z więźniem znikła w głębi zamku, do Elphame podszedł Danann.

- Wezmę naszą małą Uzdrowicielkę, Bogini - powiedział cicho, nieswoim głosem i gniew Elphame natychmiast znikł. Teraz czuła tylko ból, rozpacz i ogromną, ogromną bezradność.

- Ona... ona jest bardzo lekka... - szepnęła.

- Tak. Mała, ale wielka. Siłą ducha, który zamieszkiwał to drobne ciało.

- I serce, przede wszystkim serce - wychlipała zalana łzami Wynne, pojawiając się obok centaura.

- Była wielka jej życzliwością dla ludzi - powiedziała cicho Meara, zbliżając się do nich. Ona też, jak Wynne, nie wstydziła się łez. - Będziemy zaszczycone, jeśli pozwolisz nam pomóc sobie przy

ostatnim namaszczeniu Brenny.

Elphame powoli przeniosła spojrzenie ze starego centaura na dwie młode kobiety. Nie stroniły od niej, nie zarzucały, że stanęła w obronie potwora. Nadal były jej wierne, swojej Przywódczyni Klanu.

Elphame z trudem powstrzymywała łzy. Z trudem, lecz skutecznie. Silna przywódczyni to silny klan.

Nie będzie płakać.

- Przyjmuję waszą pomoc. Chodźcie ze mną do namiotu Brenny.

Mała smutna procesja przeszła między porozstawianymi na południe od zamku namiotami, podążając do

tymczasowego domu Brenny. Niedaleko wejścia do namiotu siedziało wilczątko. Elphame całkiem zapomniała o Fand, ktoś jednak o nie się zatroszczył. Przyprowadził tutaj i przywiązał do jednego z dziesięciu palików namiotu.

Na ich widok wilczątko zaczęło skakać, merdać ogonkiem, im bliżej jednak była Elphame ze swoim ciężarem, tym niniejsza była radość zwierzątka. Stuliło uszy, podwinęło pod siebie ogonek i skomlać żałośnie, przypadło do ziemi.

Elphame wkroczyła do namiotu i złożyła Brennę na starannie zasłanym łóżku. Rozpoczęto ostatnie namaszczenie, w ciszy zmierzchu, rozdieranej żalonym wyciem Fand.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY**

Elphame stała w mrocznym zaułku, skąd widziała i dziedziniec, i wielką salę zamkową. To, co miała teraz przed oczami, co w uszach było takie... makabryczne - było przede wszystkim nierealne. Blask płonących pochodni, rozjaśniających wielką salę zamkową, za stołami członkowie klanu kończący jeść wieczorny posiłek. Cichy szmer rozmów, zmieszany z pluskiem wody w fontannie. Znajome dźwięki w zamku pod koniec dnia. Normalność - gdyby nie zapach olejków na palcach Elphame, którymi namaszczała swoją przyjaciółkę. Normalność - gdyby na dziedzińcu zamkowym nie wystawiono straży, pilnie strzegącej Lochlana.

Ręce i nogi Lochlana zakute były w żelazne kajdany, przyczepione do ciężkich łańcuchów, łańcuchy starannie owinięte wokół wielkiej kolumny centralnej zamku. Loch-lan, poobijany i posiniaczony, siedział pod kolumną, wpar-ty w nią plecami. Oczy miał zamknięte. Z lewego ramienia wystawała strzała, tkwiąca w nim aż po pióra. Tuż nad piórami widać było krwawą ranę, z boku porwana koszula

też była cała we krwi. Ale serce Elphame cierpiało najbardziej, kiedy patrzyła na lewe skrzydło, rozdarte prawie na całej długości. Prawe skrzydło, nietknięte, było złożone i przylegało ściśle do

pleców, lewe, tylko częściowo rozłożone, zwisało, już bez życia. Jak u umierającego ptaka...

Elphame szybko zrobiła kilka głębokich wdechów, starając się jednocześnie nie zwracać uwagi na to,

że wciąga do płuc mocny, nadzwyczaj słodki zapach olejków pogrzebowych. W skroniach pulsowało.

O ile byłoby łatwiej, gdyby nie była Przywódczynią Klanu. Tylko zrozpaczoną żoną. Mogłaby podbiec do Lochlana, domagać się, by go rozkuli. Wykrzyzczyć strażnikom, że Lochlan nie jest demonem, że to nie on zabił Brennę!

Ale była Przywódczynią. Miała uosabiać siłę i sprawiedliwość, nie histerię czy łyzy. Nie mogła ocalić

Lochlana. Musiał zrobić to sam. Albo udowodni swoją niewinność, albo Elphame będzie musiała wymierzyć mu karę, jak w przypadku każdego członka klanu. Dopóki jednak nie zostanie osądzony, jak każdy członek klanu jest więźniem Przywódczyni.

Elphame poprawiła na ramieniu pasek dużej skórzanej torby - ileż to razy widziała, jak robiła to Brenna... - i wkroczyła w jasność migoczących świateł pochodni. Jej kopyta zastukały w gładką, marmurową posadzkę. Podeszła do dwóch uzbrojonych strażników. Skłonili się przed nią, ona ich pozdrowiła, przywołując w pamięci ich imiona.

- Brendan, Duncan, witajcie! Lochlan podniósł głowę.

- Jeden z was niech idzie do kuchni. Wynne na pewno ugotowała już zupę. Trzeba przynieść trochę zupy, a oprócz tego bukłak z mocnym czerwonym winem.

Brendan skłonił się jeszcze raz i oddalił, żeby wykonać polecenie. Elphame przechwyciła spojrzenie Duncana.

- Chcę porozmawiać z Lochlanem w cztery oczy. Duncan wyraźnie wahał się, ale tylko przez moment i odszedł, co prawda krokiem bardzo niespiesznym. Ustawił się koło fonatny, wystarczająco daleko, by nie słyszeć jej rozmowy z Lochlanem, jednocześnie jednak wystarczająco blisko, by w razie potrzeby móc szybko znaleźć się z powrotem przy Przywódczyni.

- Lochlanie, czy twoje rany są bardzo groźne? - spytała.

Lochlan w pierwszej chwili nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko w nią, jednocześnie potrząsając głową. Elphame poczuła dławiący strach. Czyżby Lochlan uległ jednak temu szaleństwu, czyżby...

Po chwili przemówił, bardzo powoli, bardzo wyraźnie wymawiając każde słowo.

- Ja nie zabiłem Brenny.

Elphame bez słowa przykucnęła przy nim i otworzyła torbę Brenny, by wyszukać w niej maść, którą Brenna zwykle stosowała na rany, także płócienne paski do przewiązania ran.

Łańcuchy zabrzęczały. Lochlan chwycił Elphame za nadgarstek. Duncan natychmiast wyciągnął miecz i zrobił krok w ich stronę, ale Elphame szybko dała mu ręką znak, żeby się zatrzymał.

- Czy wierzysz mi, Elphame? - spytał zachrypniętym głosem Lochlan. - Muszę to wiedzieć.

Elphame spojrzała w jego szare oczy i milczała. Przerazona, bo nagle okazało się, że na to pytanie nie potrafi odpowiedzieć.

Nagle usłyszała spokojny, beznamiętny głos Dananna.

- Duchy kamienia mogą ci powiedzieć, Bogini. Wysunęła rękę z palców Lochlana, odwróciła się i stanęła twarzą w twarz ze starym centaurem. On też rozsiewał wokół siebie zapach olejków do ostatniego namaszczenia. Elphame nie wiedziała, które olejki wybrać, Brenna miała przecież ich tyle, a Elphame nigdy dotąd nie widziała, jak szykuje się ciało po śmierci. Danann jej pomógł. Bardzo starannie, z wielką powagą wybrał odpowiednie olejki i podpowiedział Elphame, co należy z nimi zrobić. Czym zasłużył sobie na jej dozgonną wdzięczność. Nigdy o tym nie zapomni, tak samo jak na zawsze wryło jej się głęboko w pamięć to, co czuła wtedy pod palcami. Skórę martwej przyjaciółki, luźną, bez życia, tak przerażająco zimną...

Teraz, po tylu bolesnych wydarzeniach tego dnia, pobrużdżona twarz starego centaura była po prostu smutna, ale oczy, jak zawsze, pełne mądrości i życzliwości.

Podszedł bliżej i zaczął się badawczo przyglądać Lochlanowi, otwarcie, wcale się z tym nie kryjąc. Po chwili skierował spojrzenie z powrotem na Elphame.

- Zapytaj ducha wielkiej kolumny. Dzięki niemu poznasz prawdę.

Oczy Elphame rozszerzyły się ze zdumienia. Że też ta właśnie myśl nie przyszła jej do głowy! Stary Mistrz Kamieniarz miał rację. Przecież ona posiada ten cudowny dar, możliwość nieomylnego stwierdzenia, czy Lochlan miał jakikolwiek udział w śmierci Brenny.

Łańcuchy znów zabrzęczały, kiedy Lochlan z wielkim trudem podniósł się z posadzki.

- O co chodzi temu centaurowi? - wychrypiał, głosem nabrzmiętym od bólu.

- Lochlanie, chodzi o ducha kamienia, z którego zrobiono tę kolumnę. Mogę się z nim porozumiewać.

Dzięki temu duchowi mogę wejrzeć w ciebie i przekonać się, czy skrzywdziłeś Brennę, czy nie.

Powieki Lochlana opadły. Elphame była przekonana, że Lochlan z bólu i wyczerpania traci przytomność, ale po sekundzie powieki uniosły się, odsłaniając szare oczy, teraz nieskończenie smutne. Tak samo jak słowa.

- Powinnaś sama to wiedzieć, a nie prosić o pomoc duchy tego zamku, Elphame.

- Mówisz, że nie powinna? A więc posłuchaj... - odezwał się Danann tonem nauczyciela, karcącego niesfornego ucznia. - Twoja żona jest nie tylko twoją żoną, która zwykle darzy męża największym zaufaniem. Tak się składa, że jest również Przywódczynią Klanu. Jej nie wolno się mylić.

Z twarzy Lochlana, kiedy słuchał Dananna, znikł smutek, znikły wszystkie emocje. Pozostało tylko wielkie znużenie.

- Ma pan rację, że pan mnie karci, Mistrzu Centaurze - powiedział. - Kiedy składałem jej przysięgę małżeńską, wiedziałem dobrze, kim ona jest. Nie powinienem spodziewać się, że nagle stanie się kimś

innym, kimś mniej znaczącym. - Podniósł głowę i spojrzał na swoją żonę i swego przywódcę. -  
Spytaj

duchów, Elphame, żebyś jako Przywódczyni Klanu MacCallanów miała spokojne sumienie.

Elphame stanęła tuż przed potężną kolumną, wyciągnęła rękę i położyła dłoń na pokrytym płaskorzeźbą

kamieniu tuż nad plecami opartego o kolumnę Lochlana. Odczekała, aż chropowata powierzchnia pod jej dłonią zacznie się nagrzewać, znak, że duch kamienia budzi się, reagując na jej dotyk. Kiedy tak się stało, spojrzała na Lochlana, prosto w jego oczy, i przemówiła:

- Muszę wiedzieć, czy Lochlan jest winien śmierci Brenny.

Pod jej dłonią zrobiło się jeszcze cieplej, gorąco, jakby nagrany kamień topniał. W chwili, gdy jej duch łączył się z duchem wielkiej kolumny, miała wrażenie, jakby część jej świadomości wydostawała się z niej, opuszczała jej głowę tak, jak długo wstrzymywane powietrze wypuszczane jest z płuc. Przemknęła przez szyję, rękę i wniknęła w kamienną kolumnę. A stamtąd przeniknęła do Lochlana.

Lochlan, kiedy poczuł falę ciepła, nacierającą na jego poobijane ciało, zrobił bardzo głęboki wdech i nie odrywając oczu od Elphame, powtórzył jej to, co powiedział przed chwilą.

- Ja nie zabiłem Brenny.

A Elphame nagle poczuła, jak zaczynają targać nią różne emocje. Wstrząsały nią, jedna po drugiej, każda stanowiła dowód, że Lochlan powiedział prawdę.

Najpierw przerażenie, gniew i rozpacz - kiedy zobaczył, co stało się z Brenną. Potem usłyszał wołanie Elphame. Wzywała go, a w nim był już tylko smutek i rezygnacja. Odpowiedział na jej wezwanie,

choć świadomy, że tym prawdopodobnie przypieczętuje swój los.

Jej serce miało rację. Lochlan nie był winien śmierci Brenny. Jego wina polegała tylko na tym, że ją znalazł. Elphame miała teraz ochotę i płakać i radować się, jednak jako Przywódczyni Klanu nie mogła tego zrobić.

Tego nie, ale dzięki magicznej mocy, jaką posiadała, mogła zrobić coś innego.

- Wybacz, że zwątpiłam - wyszeptała prawie bezgłośnie. Pochyliła głowę i skupiła się całkowicie na wysyłaniu ze swojego ciała uzdrawiającego ciepła, które przepływało teraz przez kamień, serce tego zamku, i wnikało w poranione ciało jej męża.

Słyszała, jak głośno nabrał powietrza, a ponieważ teraz, w tym momencie, łączyła ich ze sobą



magiczna więź, w jej głowie odbiła się echem jego myśl.

- Nie mam ci co wybaczać, najdroższa... Nagle poczuła na ramieniu ciężką dłoń Dananna.

- Wystarczy, Bogini. Być może, sama będziesz wkrótce potrzebowała swojej siły.

Elphame niechętnie oderwała dłoń od żywego kamienia. W uszach szumiało, ręce wydawały się nienaturalnie ciężkie.

- Przynies Przywódczyni trochę wina! - zawołał stary centaur do Duncana. - Przynies też ciepłej wody

i czyste płótno, trzeba opatrzyć rany Lochlana!

Duncan nie ruszał się z miejsca, stary centaur dodał więc burkliwie:

- Może i nie jestem już młodzikiem, ale na pewno potrafię obronić Elphame przed kimś, kto jest ledwo

żywy.

- Idź, Duncanie - odezwała się słabym głosem Elphame i Duncan z posępną miną podążył, zgodnie z poleceniem centaury, w stronę kuchni.

- Usiądź, Bogini. Odpocznij - powiedział Danann. Elphame nie protestowała. Usiadła na marmurowej

posadzce, blisko Lochlana. Lochlan uśmiechnął się do niej z wyraźnym wysiłkiem i nadal wpierając się w kolumnę, osunął się w dół i usiał koło Elphame. Wyglądał nadal bardzo źle, ale oddychał już lżej, trupioblade policzki zaczęły odzyskiwać normalną barwę.

- On nie zabił Brenny - powiedziała do Dananna.

- Oczywiście, że nie - burknął stary centaur, zajęty szukaniem czegoś w torbie Uzdrowicielki.

- Co?! - krzyknął Lochlan. - A więc ty od początku nie wierzyłeś, że ja ją zabiłem?!

Jedna z krzaczastych brwi Dananna powędrowała nieco wyżej.

- Oczywiście - powtórzył. - Od początku. Nasza Elphame jest za mądra, żeby brać sobie za męża jakiegoś potwora!

- To dlaczego kazałeś mi się spytać ducha kolumny? - spytała zdezorientowana Elphame.

- Przecież wiesz, Bogini, dlaczego - powiedział Danann.

Nie zdążyła otworzyć ust, bo odpowiedział za nią Lochlan.

- Musiałaś mieć całkowitą pewność. Nie tylko w sercu, także w duszy.

- Ale teraz... - Stary centaur spojrzał przenikliwie na Lochlana, potem na Elphame. - Zdajecie sobie sprawę, że ta prawda, niestety, może wcale nie wpłynąć na przebieg wypadków?

Lochlan oparł się ciężko o kolumnę. Jakby siły, które przekazała mu Elphame, nagle uległy wyczerpaniu.

- Ja jestem pewny tylko jednego - powiedział. - Mam już serdecznie dość tego ukrywania się. Niech Partholon w końcu dowie się o moim istnieniu. A co będzie potem? Wszystko w rękach Epony.

- No cóż... skoro chcesz zmierzyć się z całym Part-holonem, proponuję, że przedtem trochę cię umyjemy i opatrzymy twoje rany - oznajmił Danann i w tym momencie, jak na zawołanie, pojawił się koło nich Dun-

can. Bukłak z winem miał przerzucony przez ramię, niósł też małą miskę, dzbanek z wodą i kilka kawałków czystego płótna.

Danann, odebrawszy od niego dzbanek i płótno, dał znak ręką, żeby wino Duncan podał Elphame.

Elphame odebrała bukłak i strażnik odszedł na swoje miejsce koło fontanny.

- Napij się. Porządnie - poradził centaur Elphame.

Elphame nie oponowała. Przeciwnie. Ochocho wykonała jego polecenie. Kiedy napiła się ożywczego trunku, szum w uszach znikł, siły zaczęły powracać.

Zadowolona, przykucnęła przy Lochlanie i przytknęła bukłak do jego ust, powtarzając dokładnie słowa starego centaura.

- Napij się. Porządnie.

Lochlan pił łapczywie, a Elphame miała teraz możliwość spojrzeć z bliska na jego rany.

- Strzałę trzeba wyjąć - powiedział Danann, jakby odgadując jej myśli. - Ranę na ramieniu

prawdopodobnie trzeba było zaszyć, ale wcześniej, teraz bolałoby go tak bardzo, że chyba nie warto tego robić.

Elphame skwapliwie pokiwała głową. Nie, wcale nie paliła się do zaszywania rany Lochlanowi.

- Zdejmij mu koszulę i obmyj go, na tyle, ile można - mówił dalej Danann. - Kiedy wyjmemy strzałę, ranę po niej trzeba będzie przypalić. Pójdę do namiotu Brenny i postaram się odnaleźć żelazny pręt, którego używała do tego celu. Trzeba będzie go rozgrzać...

Ścisnął lekko Elphame za ramię i odszedł, zostawiając ją sam na sam z Lochlanem.

Lochlan trzymał bukłak, Elphame, mając teraz wolne ręce, nalała wody do miski i namoczyła w niej kawałek płótna. Cały czas czując na sobie wzrok Lochlana.

- Nie w taki sposób zamierzałem przedstawić się klanowi - odezwał się po chwili cichym głosem.

- Na pewno nie - powiedziała równie cicho Elphame, myśląc o martwej, bezwładnej Brennie.

Jej palce, którymi zaczęła rozwiązywać tasiemki przy zaplamionej krwią koszuli Lochlana, nagle zadrżały. - Och, Lochlanie, wszystko poszło nie tak, tyle zła...

Lochlan przykrył dłonią jej dłoń.

- Ale nie nasza miłość, najdroższa. Dobrze, że nam się przydarzyła. Cokolwiek się stanie, nie żałuję ani jednej chwili z tobą, najdroższa.

- Milady, przyniosłem bulion.

Słyszając głos Brendana, Elphame poderwała głowę. Brendan przez chwilę wpatrywał się w złączone ręce, jej i Lochlana. Potem spojrzał na Lochlana. Lochlan, spokojnie cofając swoją dłoń, równie spokojnie wytrzymał jego wzrok.

- Daj mi swój nóż - powiedziała Elphame. Brendan wyraźnie chciał zadać jakieś pytanie, ale zmilczał. Podał nóż i patrzył, jak Elphame rozcina zakrwawioną koszulę Lochlana. Elphame rozsunała koszulę i oddała nóż Brendanowi, który z wielką ciekawością przyglądał się szerokiej piersi Lochlana i olbrzymim skrzydłom, wyrastającym z jego pleców.

- Lochlanie, wypijesz teraz ten bulion, czy poczekasz, aż...

Zamilkła, jej spłoszony wzrok przemknął po ramieniu, w którym tkwiła strzała.

- Teraz wypiję - powiedział Lochlan i delikatnie pogłaskał ją po policzku. - Z tego, co mówił centaur, wynika, że dobrze się teraz trochę wzmocnić.

Elphame, nie patrząc na Brendana, wyciągnęła rękę i mężczyzna bez słowa podał jej parujący kubek.

Lochlan

szybko wypił bulion, po czym skinął głową i Elphame zabrała się za przemywanie ran swego męża.

Świadoma, jak straszny ból go czeka.

Lochlan zamknął oczy i oparł się mocno plecami o kamienną kolumnę. Kiedy podnosił bukłak do ust, jego ręka lekko drżała.

Stukot kopyt oznajmił powrót Dananna. Kiedy przyklękał obok Lochlana, w starych kolanach chrupnęło. A w starych rękach centaur trzymał groźnie wyglądające nożyce.

- Najpierw muszę odciąć pióra. Przetnę strzałę tu, w tym miej scu... Potem liczę do trzech i wyciągam strzałę. A potem będzie moment najmniej przyjemny. - Centaur spojrzał na mężczyznę, stojącego

obok. - Brendanie, żelazo do przypalania jest w kuchni, w palenisku. Kiedy będę wyjmować już strzałę, masz natychmiast po nie pobiec.

- Czyli rzeczywiście nie będzie przyjemnie - stwierdził z sarkazmem Lochlan.

Danann uśmiechnął się.

- Na pewno nie dotyczy to przynoszenia żelaza. Lochlan niespodziewanie zaśmiał się, jego plecy za-  
drżały. Zaśmiał się i skrzywił z bólu.

- Zaczynajmy, Mistrzu Centaurze!

- Trzymaj pióra - powiedział Danann do Elphame.

Elphame, łapiąc za koniec strzały, wydała sobie w duchu szybki rozkaz. Zapomnij, że to Lochlan.

Teraz jest to dla ciebie całkiem obcy człowiek, któremu chcesz pomóc. Obcy... a jeszcze nie tak dawno opierała się o to właśnie ramię...

Nożyce szczęknęły, zamykając się na pręcie.

- Teraz pochyl się do przodu - polecił Danann. Elphame pomyślała, że Lochlan wcale się nie pochylił,

tylko zgiął się wpół. Rozerwane skrzydło zakrywało mu plecy. Elphame dotknęła skrzydła. Lochlan jęknął. Ale ona musiała to przecież zrobić. Jak najostrożniej zebrała skrzydło rękami i uniosła, odsłaniając zakrwawiony grot.

Sękate palce centaura mocno chwyciły za grot, drugą rękę wparł w plecy Lochlana.

- Na trzy! - powiedział. - Raz, dwa, trzy!

Mięśnie starego Mistrza Kamieniarza napięły się. Jednym zręcznym ruchem wyciągnął strzałę i natychmiast przycisnął do rany płótno, próbując zatamować szkarłatną rzekę krwi.

- Szybko! Przynies żelazo! - zawołała Elphame. Brendan już wybiegał z dziedzińca.

Lochlan z głową opartą na prawym rękę, leżał na marmurowej posadzce. Nieruchomo. Elphame pogłaskała go po włosach, czuła, że Lochlan drży.

- Już prawie koniec - powiedziała, starając się ze wszystkich sił, żeby jej głos się nie załamał.

Na dziedziniec wbiegł Brendan, trzymając przed sobą żelazny pręt o długości ręki mężczyzny.

Zaokrąglony koniec pręta jarzył się złowrogo. W ślad za Brendanem na dziedzińcu pojawiło się jeszcze kilka osób. Ustawili się za nim, popatrując trwożliwie na nieruchomego Lochlana.

Danann dał znak Brendanowi, żeby podał pręt.

- Lochlanie... - Głos starego centaura był bardzo spokojny. - Kiedy będę zamykał ranę, nie wolno ci się poruszyć. Czy chcesz, żeby cię przytrzymać?

Lochlan powoli odwrócił głowę, tak, że mógł spojrzeć na Elphame.

- Wystarczy mi... ona. - Wyciągnął rękę do Elphame. Palce Elphame kurczowo zacisnęły się na jego dłoni.

- Zbierz siły! — zawołał Danann, wbijając rozpalone żelazo w krwawą ranę.

W tym samym momencie rozległ się krzyk. Krzyk Elphame. Ciało Lochlana naprężyło się z bólu, swąd przypalanego ciała unosił się wokół nich jak odurzająca mgła. Oczy Lochlana nie odrywały się

do Elphame. Nie wydał żadnego dźwięku. Kiedy Danann w końcu wysunął z rany rozpalone żelazo i zaczął nakładać na ranę balsam, dopiero wtedy Lochlan zamknął oczy i ukrył twarz na swoim ramieniu. Nadal trzymając rękę Elphame.

- Elphame? Przyniosłam to dla niego.

Elphame spojrzała na Mearę. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest zalana łzami. Płacze.

Gospodyni przykucnęła i położyła na posadzce, tuż obok Lochlana, złożony w kostkę koc.

- Dziękuję - szepnęła Elphame.

Meara wycofała się, przed Elphame pojawiła się Kathryn, od niedawna pracująca w kuchni.

- Wynne kazała przynieść jeszcze bulionu. I gulasz dla milady.

Kathryn dygnęła, też przykucnęła i postawiła na posadzce koło Elphame tacę, na której stał kubek z gorącym bulionem i miseczka z gulaszem.

Z grupki osób, przyglądającej się bolesnej operacji, wysunęła się kolejna kobieta. Podeszła do

Elphame i uśmiechając się nieśmiało, zarzuciła na ramiona przywódczyni klanu wełniany szal.

- Wieczór jest chłodny, milady - powiedziała śpiewnie, co świadczyło, że jest jedną z miejscowych.

-  
Trzeba dbać o zdrowie, milady.

Elphame, niezdolna teraz wymówić choć słowa, uśmiechnęła się z wdzięcznością. Jej załzawione

spojrzenie przemknęło po twarzach trzech kobiet, skupionych, zatroskanych, bez śladu odrazy.

- O, tak! Zdrowie najważniejsze, milady! - zawołał

jakiś mężczyzna, którego Elphame rozpoznała jako Angusa. Swoim okrzykiem przerwał pełną

skrępowania ciszę. Kilku mężczyzn podeszło do Elphame, zagadnęło ją półgłosem, popatrując

jednocześnie z nieskrywaną ciekawością na mężczyznę ze skrzydłami, któremu wystarczyło

dotknięcie przywódczyni ich klanu, by przejść zwycięsko przez tak morderczą próbę.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY**

Noc mijała powoli. Kiedy Danann i Elphame kończyli opatrywanie ran, Lochlan prawie się nie

odzywał. Wypił drugi kubek bulionu, po czym owinięty w koc od Meary oparł się o kolumnę i wydawało się, że zasnął.

Elphame nie chciała odejść od ukochanego, świadoma jednak, że jest nie tylko żoną, a także Przywódczynią Klanu, postanowiła, że teraz, kiedy Lochlan śpi, pójdzie do wielkiej sali zamkowej. Do członków swojego klanu.

Poszła tam. Przeszła przez salę, uśmiechnęła się do kilku osób, kilka osób zagadnęła, przede wszystkim jednak zależało jej, by członkowie klanu czuli jej obecność, swojej Przywódczyni.

Łzy Elphame już obeschły. Zanim przyszła do tej sali, przyczesła się, przebrała w czysty pled, spięty broszą przodków, broszą MacCallanów. Rozmawiano głównie

o zamku, o tym, co jeszcze jest tu do zrobienia. Nikt nie wspomniał o uskrzydłonym mężczyźnie, przykutym łańcuchami na głównym dziedzińcu. Ale wyczuwało się ogólną atmosferę wyczekiwania.

Co chwilę, nawet przy najłżejszym powiewie wiatru, głaszczącego grube zamkowe mury, spoglądano ukradkiem w stronę zamkowej bramy. Nikomu do głowy nie przychodziło udać się na spoczynek w wygodnym namiocie, chociaż wiele głów, zmorzonych sennością, opadało na piersi, po czym podrywało nagle i właściciel głowy rozglądał się dookoła półprzytomnym wzrokiem.

Wszyscy czekali, a godziny mijały. Wynne razem ze swoimi pomocnicami roznosiła kubki z mocną, czarną kawą i napełniała żołądki gęstym gulaszem.

Kiedy czerń nocy przeszła w miękką szarość świtu Elphame poszła na główny dziedziniec, żeby sprawdzić, jak czuje się Lochlan. Ktoś przyniósł krzesła dla Brendana

i Duncana, którzy nie zgodzili się, by ktoś inny pilnował uskrzydłonego więźnia. Obaj siedzieli bardzo blisko Lochlana, obaj pochłonięci rozmową z Lochlanem. W rezultacie Elphame, ogromnie zaskoczona, starała się podchodzić do nich jak najciszej, nadstawiając ucha.

- Sto dwadzieścia pięć lat, powiadasz? - Brendan z niedowierzaniem pokręcił głową. - Nie wyobrażam

sobie, żeby można było żyć tak długo. Przecież ty nawet nie wyglądasz na rówieśnika Dananna!

Elphame uśmiechnęła się, śmiech dźwięczał też w głosie Lochlana.

- I co z tego! Chciałbym być tak mądry i doświadczony jak on! Pod tym względem nie mam co się z nim równać.

- Nikt z nas nie może z nim się równać - stwierdził Duncan. - A wiesz... - Duncan na moment zamilkł, jakby szukał w głowie odpowiednich słów. - Widziałem, jak nasza przywódczyni prosiła ducha kamienia, żeby powiedział prawdę o tobie. Gdybyś był winien śmierci malej Uzdrowicielki, nie ukryłoby się to. On, ten duch, powiedziałaby jej o tym.

- Nie zabiłem Brenny. Ale wyznam wam szczerze, że poczucie winy zabiorę ze sobą do grobu. Powinienem był temu zapobiec! - powiedział Lochlan.

- Los potrafi być okrutny - stwierdził sentencjonalnie Brendan, Duncan pokiwał głową. - Oj, tak, tak...

- Panowie strażnicy, zbliża się ranek! - odezwała się dźwięcznym głosem Elphame, wstępując w krąg światła pochodni. - Wynne przygotowała dla was gorący posiłek. Zwalniam was na jakiś czas z posterunku.

Tym razem obaj strażnicy bez ociągania powstali ze swoich krzeseł, skłonili się przed swoją przywódczynią i w milczeniu opuścili dziedziniec. A Elphame, kiedy znalazła się z Lochlanem sam na

na sam, nagle, ku swemu przerażeniu, stwierdziła, że tak naprawdę nie wie, co ma mu teraz powiedzieć.

W rezultacie, żeby czymś się zająć, zaczęła robić porządek. Przykryła słoik z balsamem pokrywką, potem zaczęła zwijać i układać w schludny stosik płócienne bandaże, które nie zostały wykorzystane.

- Usiądź przy mnie na chwilę, najdroższa.

Ręce Elphame znieruchomiały. Podniosła głowę i spojrzała w szare wyraziste oczy Lochlana, pod którymi widniały teraz ciemne sińce. Był przeraźliwie blady, koc zsunął się z ramienia, owiniętego białym płóciennym bandażem. Na bieli purpurowa plama, z której sączyła się różowa wstążka krwi. Ale, jak zauważyła z wielką ulgą, siedział już pewniej, wyprostowany, choć nadal oparty plecami o twardą kolumnę, jakby kolumna ta, tak jak przedtem Elphame, dodawała mu sił.



- Och, Lochlanie... - Elphame, wzdychając głęboko, przysiadła obok niego na marmurowej posadzce.

- Jak trudno jest podejmować decyzje - powiedziała żalonym głosem. - Jak trudno pogodzić to, kim jestem, z tym, co czuję!

Łańcuchy zabrzęczały. Lochlan wziął Elphame za rękę.

- Wszystko, co robisz, Elphame, jest słuszne. Oni są wierni tobie. Nie musisz się martwić, że stracisz swój klan.

- A ciebie? Czy nie powinnam się martwić, że stracę ciebie?

- Mnie nie możesz stracić, najdroższa.

- A co będzie, jeśli Cuchulainn nie odnajdzie twoich ludzi? Albo pozabija ich i nie będą mogli zeznawać? Albo przyprowadzi ich tu żywych, a oni skłamią? Lochlanie, przecież nikt z całego klanu, oprócz Dananna i mnie, nie potrafi wyczuć prawdy za pośrednictwem duchów kamienia! Co będzie, jeśli obwinia ciebie? Cuchulainn będzie chciał cię zabić! Jeśli uda mi się go powstrzymać i tak będę musiała skazać cię na wygnanie! Rozumiesz?!

- Rozumiem, Elphame. Zrobisz to, co musisz zrobić. Ale ani śmierć, ani wygnanie nie zabije mojej miłości do ciebie. Poza tym, nie zapominaj, że wszystko w rękach Epony. A ja wierzę w Boginię, tak, jak przedtem wierzyła moja matka.

Elphame bezradnie potrząsnęła głową.

- Ja niestety, nie posiadam tak głębokiej wiary jak ty. Lochlan uśmiechnął się.

- Czy naprawdę, najdroższa? Zostałaś dotknięta przez Boginię jeszcze zanim się urodziłaś! Może powinnaś po prostu bardziej zaufać sobie, żeby usłyszeć Jej głos?

Elphame podniosła jego rękę i przytuliła się policzkiem do ciepła jego dłoni.

- Jesteś pewien, że nie jesteś tak mądry jak Danann?

- Absolutnie pewien - odparł, głaszcząc ją po policzku. Elphame nachyliła się i pocałowała go delikatnie. Skrzydła mimo woli poruszyły się, Lochlan nie dał rady stłumić jęku. Elphame, bardzo zaniepokojona, szybko odsunęła się od niego i odruchowo podniosła rękę, żeby dotknąć poranionego

skrzydła. Na szczęście, w porę się powstrzymała, nie chciała przecież sprawiać mu więcej bólu.

- Skrzydło się zagoi, Elphame - powiedział Lochlan, próbując ją pocieszyć, choć sam mówił zachrypniętym, słabym głosem. - Gdybym był słabeuszem, nie przeżyłbym na Pustkowiu i łatwo byłoby mnie złamać.

- Ale to twoje skrzydło!

- Zagoi się - powtórzył z uśmiechem. - Usiądź przy mnie bliżej, najdroższa. Nie bój się mnie dotknąć.

Ale Elphame nie zdążyła ani przysunąć się do niego, ani dotknąć. Przeciwnie, odsunęła się od niego dalej, słysząc stukot wielu, wielu kopyt. Wstała i z bijącym sercem czekała na chwilę, kiedy stanie twarzą w twarz z Cuchulainnem i z mrocznymi wieściami, które zapewne przywiózł ze sobą.

Kiedy brat wjechał na dziedziniec, prawie go nie poznała. Był spryskany krwią i błotem, tak samo jak

jasnozłocista Brighid, która pojawiła się obok niego. Ale nie o to chodziło, o to błoto i krew. Przede wszystkim zmieniona była twarz, po walce i z wyczerpania. Stężała, nieruchoma jak maska, twarz obcego człowieka. Za wojownikiem i Łowczynią tłoczyli się mężczyźni na koniach i centaury. Wśród jeźdźców Elphame rozpoznała kilku miejscowych z Loth Tor. Ktoś krzyknął głośno, że już przyjechali i cały klan, czekający w wielkiej sali, wyległ na dziedziniec.

Cuchulainn zatrzymał konia, zeskoczył na ziemię i odwinął gruby sznur, który był owinięty wokół łąku jego siodła. Podchodząc do Elphame, nie wypuszczał tego sznura z rąk, ciągnąc za sobą to, co było przywiązane na jego drugim końcu. Elphame wstrzymała oddech, po chwili zrobiła głośny wydech, czego nie było słychać, bowiem wszyscy, jak jeden mąż wydali z siebie głośny okrzyk, kiedy

w kręgu światła pojawiły się uskrzydłone postacie. Elphame usłyszała szcęk łańcucha. To pewnie Lochlan próbował wstać. Ale nie obejrzała się, bo jak wszyscy, nie była w stanie oderwać oczu od skrzydlatych jeńców, pojmanych przez jej brata.

Było ich czworo, trzech mężczyzn i jedna kobieta. Każdy z nich miał skrępowane ręce przed sobą, koniec sznura najpierw owinięty był wokół szyi, potem krępował ręce następnego jeńca. W ten

sposób, jeśli jeden z jeńców upadł i pociągnął go koń Cuchulainna, naprężony sznur przyduszał pozostałych jeńców. Wszyscy byli brudni, podrapani, pokaleczeni, ale to nie na widok tych ran w sercu Elphame zakłuło. Zakłuło, kiedy zobaczyła skrzydła. Kiedyś wielkie i dumne, teraz zakrwawione strzępki zwisające z cienkich kości. Tyle pozostało z dowodu ich siły, danej im przez czarną krew.

One nigdy się nie zagoją, uzmysłowiła sobie Elphame z wielkim żalem.

- Byli tam, gdzie on powiedział - poinformował ją Cuchulainn nieswoim głosem, teraz tak samo dla niej obcy jak jego twarz. - Niełatwo było ich schwytać, ale ze zbrodniarzami zawsze tak jest.

Pociągnął mocno za sznur. Mężczyzna, stojący najbliżej niego, bliźniaczo podobny do mężczyzny, z którym

był związany, potknął się i upadł, pociągając za sobą pozostałych jeńców.

Łańcuchy zabrzęczały. Lochlan wysunął się do przodu jak najdalej, na całą ich długość.

- Pokonałeś ich już, Cuchulainnie. Nie musisz ich torturować.

Wzrok Cuchulainna zapłonął.

- Oni zamordowali Brennę!

- Nie oni. Ja ją zabiłam.

Oczy wszystkich zwróciły się ku kobiecie ze skrzydłami. Na jej ciele widać było najmniej ran, nawet skrzydła były mniej poszarpane niż skrzydła mężczyzn. Kiedy mówiła, starała się trzymać prosto, skrzydła mieć złożone na plecach. Swoje srebrzyste włosy odrzuciła w tył, oczy koloru lodu spoglądały z pogardą na otaczających ją ludzi i centaurów. Elphame, spoglądając na nią, pomyślała, że ta istota jest po prostu zatrwazająco piękna, tą urodą płonąca, jak niebezpieczny biały płomień.

- Nie odzywaj się, Fallon - syknął jasnowłosy mężczyzna, stojący obok niej, ale ona, nie zwracając na niego uwagi, wbiła swój lodowaty wzrok w Lochlana.

- Czas milczenia minął, prawda?

- Fallon, dlaczego... - zaczął Lochlan, ale zamilkł, kiedy Elphame dotknęła jego ręki.

Na pięknej twarzy Fallon pojawił się szyderczy uśmiezek.

- Oczywiście! Nie odzywaj się, Lochlanie, dopóki ona ci na to nie pozwoli! Jesteś w jej rękach tylko marionetką!

Szyderczy uśmiech i te słowa wzbudziły w Elphame wielki gniew. Jej głos teraz był w tym samym stopniu lodowaty, co lodowate oczy kobiety ze skrzydłami.

- Uważaj na słowa. Jestem Przywódczynią Klanu MacCallanów i to ja decyduję o twoim losie.

Kobieta ze skrzydłami znów rozciągnęła usta w uśmiechu, złym uśmiechu, wręcz okrutnym, i Elphame nie miała już żadnych wątpliwości, że stoi teraz twarzą w twarz z szaleństwem.

- Moja zmarła przed wieloma laty matka, która była człowiekiem, ucieszyłaby się teraz bardzo, że w końcu pojęłam, na czym polega ironia - wysyczała kobieta ze skrzydłami. - Dziś rzeczywiście ty decydujesz o moim losie, Bogini, choć, skoro już o losie mowa, to do dnia dzisiejszego twój los był przesądzony. Miał się dopełnić w chwili, gdy miałaś być złożona w ofierze...

- Zamilcz, Fallon! - ryknął Lochlan, starając się przekrzyczeć gniewne głosy, dobiegające teraz zewsząd. Klan burzył się, groźenie Przywódczyni nikomu nie mogło ujść bezkarnie.

Elphame podniosła rękę, nakazując wszystkim ciszę i zaczęła podchodzić do Fallon. U boku Elphame natychmiast pojawił się Cuchulainn. Kiedy oboje podchodzili do uskrzydłonej kobiety, mężczyzna obok niej poruszył się niespokojnie. Elphame słyszała pobrzękiwanie łańcuchów Lochlana, ale zignorowała to, tak samo jak gniew, emanujący z jej brata. Jej uwaga była teraz całkowicie skupiona na Fallon.

- Wytłumacz się!

Fallon uniosła wyżej głowę.

- Spytaj swojego ukochanego, jaki był prawdziwy powód jego przybycia do Partholonu. Przybył tu nie

dlatego, że marzył o tobie od chwili twoich narodzin. To coś więcej, o wiele więcej! Ale może ty już się tego domyślasz!

Znów rozległy się gniewne, podniesione głosy członków klanu, znów Elphame podniosła rękę, nakazując ciszę i teraz ona przemówiła:

- Masz na rękach krew niewinnej kobiety, sama się do tego przyznałaś. I masz jeszcze czelność stać tu, w sercu mojego zamku, i wypluwać z siebie jakieś półprawdy i zagadki!

Gniew pulsował w całym ciele Elphame, przybierał na sile. Czarne gęste włosy, nagle tracąc cały ciężar, zaczęły powiewać wokół głowy, wydając ciche trzaski. Głos Elphame, teraz o wielkiej mocy spotęgowanej przez magię, zażądał powtórnie:

- Wytłumacz się!

Oczy Fallon rozszerzyły się na widok tak oczywistego dowodu mocy Bogini, ale wcale nie spokorniała. Wydawało się, że widok ten tylko podsycy jej szaleństwo.

Teraz swój wzrok, płonący lód, skierowała na Lochlana.

- A więc w końcu dopadły cię twoje własne kłamstwa! Rozpoznałeś w niej Boginię, ale z powodu tej

swojej obsesji postanowiłeś zatrzymać ją tylko dla siebie! Tylko ty napiłeś się jej krwi, tylko z ciebie zostało zdjęte przekleństwo! A co z nami? Nas masz już za nic?!

- Fallon, zabiłaś człowieka. Popadasz w szaleństwo, twoje słowa nie mają już żadnego znaczenia - powiedział Lochlan, ale Elphame zauważyła, że po jego twarzy przemknął cień. Wyrzuty sumienia?

Czyli jednak czuł się winny?

Nie miała czasu nad tym się zastanowić, bo w tym momencie rozległ się mocny głos Cuchulainna.

- Ten jeden raz zgadzam się z człowiekiem ze skrzydłami. Słowa tej kobiety nie mają żadnego znaczenia. Ta kobieta zabiła Brennę, ta kobieta musi umrzeć.

- Nie! - krzyknął z rozpaczą mężczyzna, stojący obok Fallon. - Ona zrobiła to tylko po to, by ocalić naszych ludzi! Lochlan, nasz przywódca, zawiódł nas! Odmówił

złożenia w ofierze Bogini z kopytami, wtedy Fallon uznała, że nie ma wyboru.

Gniewny okrzyk Cuchulainna odbił się echem w gniewnych okrzykach członków klanu. Szczęknięty miecze, kilku mężczyzn rzuciło się do przodu, jakby zamierzali wszystkie te uskrzydłone kreatury

posiekać na kawałki.

- Cisza! - Głos Elphame, znów o niespotykanej sile, przetoczył się przez całą salę i zamknął wszystkim usta, kazał wszystkim znieruchomieć.

W tej ciszy, wypełnionej mocą Bogini, nagle rozległ się szyderczy śmiech Fallon.

- Myliłam się, Bogini. Ty, tak wszechmocna, nie wiedziałaś jednak o niczym. Nie miałaś pojęcia, że Lochlan odszukał cię, by spełnić Przepowiednię. Uwierzyłaś w jego przesłodzone słowa o miłości. Łańcuchy znów zabrzęczały.

- Sama nie wiesz, co mówisz! - krzyknął Lochlan, ale Fallon dalej zionęła jadem.

- To twoja wina, Lochlanie, że tamta kobieta straciła życie! Gdybyś spełnił Przepowiednię, nie musiałabym jej zabijać! Bo to był jedyny sposób, żeby wywabić twoją ukochaną z jej fortecy! - Znów śmiech obłąkanej istoty wypełnił dziedziniec, na chwilę, bo nagle ucichł, z twarzy Fallon znikło szaleństwo, jasne oczy, pozbawione koloru zalśniły od łez. - A ty... ty zdradziłeś nas, w taki podły, nieodwracalny sposób! - zawołała, dotykając długimi, szczupłymi palcami brzegu porwanego skrzydła. Jakby jeszcze nie wierzyła, że to zmaltretowane skrzydło należy do niej. - Och, Keir! Co on nam zrobił! Co on nam zrobił... - Wybuchnęła płaczem.

Mężczyzna stojący obok niej objął ją ramieniem, a Elphame odwróciła się do nich plecami.

Specjalnie, czując się tak, jakby przekroczyła już granicę swojej

wytrzymałości. Był już gniew, zaskoczenie, lęk. Teraz nie czuła nic, tylko dziwne odrętwienie, kiedy zwracała się do Lochlana:

- Powiedz mi, co to za Przepowiednia.

Lochlan nabrał głęboko powietrza. Mimo że przykuty łańcuchami, ranny i poobijany, stał wysoki i dumny. Wyglądał raczej jak uskrzydłony bóg, a nie więzień. Kiedy przemówił, jego mocny, niski głos rozbrzmiewał po całym zamku, hipnotyzując cały zebrany klan.

Ale on widział tylko Elphame.

- Jak wiesz, moją matką była Morrigan, najmłodsza siostra MacCallana, który był ostatnim przywódcą

tego klanu. Jak wiele kobiet z rodu MacCallanów, moja matka została dotknięta przez Eponę.

Przekazała mi głęboką wiarę, tak samo jak Przepowiednię, którą, jak przysięgała, Epona wyszeptała jej we śnie. Przepowiednia mówi o tym, że nasi ludzie będą ocaleni przez krew umierającej Bogini.

Zamilkł, ale wydawało się, że jego słowa, wcale nie ulotne jak słowa, zmaterializowały się i dalej istnieją, unosząc się w powietrzu wokół niego. Co przypominało Elphame, jak to było z jego

imieniem. Kiedy wołała go, miała też wrażenie, że jego imię magicznym sposobem staje się realne.

- Bogini obiecała matce, że to ja będę tym, który spełni Przepowiednię. Matka wierzyła w to głęboko,

umierała, wierząc, że pewnego dnia dzięki mnie obietnica Epony się spełni. Kiedy zacząłem śnić o dziecku dotkniętym przez Eponę, dziecku zrodzonym z człowieka i centaury, wiedziałem, że modlitwy matki zostały wysłuchane.

Uśmiech rozjaśnił twarz Lochlana, szare oczy, wpatrzone w Elphame, rozbłyły szarym blaskiem. Na jedną chwilę zasłuchany tłum przestał istnieć.

Byli tylko oni, Lochlan i Elphame.

- Myślę, że pokochałem cię, kiedy byłaś jeszcze dzieckiem. Kiedy przeistoczyłaś się w piękną, młodą kobietę, zakochałem się. A kiedy zobaczyłem, jak przemawiasz do swoich ludzi przed zrujnowaną bramą zamku MacCallana, przysięgłem sobie, że zrobię wszystko, żeby włos nie spadł ci z głowy.

Wszystko, nawet jeśli ceną za to będzie skazanie moich ludzi na wieczne wygnanie i obłąd.

- A więc to byłeś ty! - odezwała się niespodzianie Brighid. - Ty uratowałeś Elphame, kiedy spadła do

jaru!

- Tak - potwierdziła Elphame, nie odrywając oczu od Lochlana. - Gdyby Lochlan nie zabił dzika, na pewno bym zginęła.

- Ale ja jednego nie rozumiem... - Głos Brighid ginął w ogólnej wrzawie i okrzykach zdumienia. -

Czemu ma służyć ta Przepowiednia? Jeśli nie są naszymi wrogami, jeśli wcale nie zamierzają śladem

ojców wszczynać z nami wojny, to dlaczego po prostu nie przybędą do Partholonu w zamiarach pokojowych? Dlaczego uważają, że muszą złożyć w ofierze życie Elphame?

- Dlatego, że popadają w obłąd - powiedziała Elphame, nagle wszystko pojmując. - Ciemność, jaką mają w swojej krwi, chce, żeby poddali się jej całkowicie. Walczą z tym, im bardziej walczą, tym większy odczuwają ból. Czasami obłąd zwycięża... - Elphame wskazała na Fallon, nadal przytuloną do swego męża, i mówiła dalej, spokojnym głosem, przemykając spojrzeniem po twarzach zebranych ludzi. - Na Pustkowiu rodzą się dzieci, dzieci, które też mają w sobie krew człowieka, z wieloma z nas na pewno łączy je pokrewieństwo. Te dzieci są w najtrudniejszej sytuacji. Nie mają matek, które są tylko człowiekiem, nie ma więc kto uczyć ich człowieczeństwa.

Cuchulainn uśmiechnął się szyderczo.

- Czyli wierzą, że Epona życzy sobie ofiary z Elphame, wtedy jej krew wymaże z nich szaleństwo?

Dla mnie cała ta Przepowiednia to jakiś obłąd!

- Może i częściowo masz rację, Cuchulainnie - powiedział Lochlan. - Bo ja doszedłem do wniosku, że

przez dziesiątki lat źle rozumieliśmy tę Przepowiednię.

Poszarpane skrzydła zaszeleściły. Fallon jednym gwałtownym ruchem wyrwała się z objęć męża, wypluwając z siebie jedno słowo:

- Kłamiesz!

- Nie - powiedział po prostu Lochlan. - Posmakowałem jej krwi. Wyczytałem w niej prawdę.

W pełnej zdumienia ciszy, jaka teraz zapadła, palce Elphame bezwiednie dotknęły dwóch strupków na szyi.

- Co on powiedział? - Te słowa wypowiedziane zostały głosem cichym, z wielkim trudem, jakby

Cuchulainn całym sobą opierał się przed ich wypowiedzeniem. Ale powiedział, cicho, i choć z trudem, w jego głosie była już groźba.



Elphame spokojnie stawiała czoło gniewu brata.

- Lochlan jest moim mężem. Złożyliśmy sobie przysięgę, nasze małżeństwo zostało skonsumowane.

Lochlan posmakował mojej krwi, co jest częścią obrzędu małżeńskiego zespolenia.

Cuchulainn patrzył na siostrę, jakby jej nie poznawał. Elphame wołała odwrócić wzrok. Już teraz, zanim straci odwagę.

- I co powiedziała ci moja krew, Lochlanie? - spytała, szczęśliwa, że jej spokojny głos nie zdradza, co dzieje się teraz w jej duszy.

- Przepowiednia mówi, że będziemy uratowani przez krew umierającej Bogini. Ale Przepowiednia wcale nie

mówi o śmierci fizycznej, o złożeniu krwawej ofiary. W Przepowiedni chodzi o coś innego. Chodzi o to, żeby czarna krew naszych ojców dostała się do twojego ciała, zmieszała się z twoją krwią, a potem zastąpiła ją całkowicie. Kiedy to się stanie - a może, bo jesteś dotknięta przez Boginię - przejmiesz na siebie szaleństwo naszych ojców. Ty jedna będziesz toczyć walkę, jaką teraz codziennie toczą moi

ludzie, żeby wytrwać przy człowieczeństwie... - Lochlan zamilkł na chwilę, sam przerażony tym, co teraz mówi - my pozbedziemy się oblędu, ale dla ciebie będzie to gorsze niż śmierć. Będzie to śmierć twojego człowieczeństwa.

- Nigdy! - warknął Cuchulainn. Nie tylko on. Wśród członków klanu znowu zawrzało, a Elphame stała

nieruchomo, wpatrzona w swego męża. Kiedy patrzyli sobie w oczy, w pamięci Elphame po raz kolejny odżył widok przerażonej twarzy Lochlana, gdy po wypiciu jej krwi uciekł od niej. Była pewna, całym sercem i całą duszą, że jej mąż powiedział teraz prawdę, tylko prawdę i nadeszła pora dokonać wyboru. Natychmiast.

Uczyliła to. Wybrała. Zaakceptowała swój wybór i szybko odwróciła twarz od Lochlana, żeby nie mógł wyczytać z jej oczu, jaką decyzję podjęła.

Podniosła rękę, nakazując ciszę.

- Wyrok zapadł.

W tym momencie nie była ani siostrą, ani żoną. Była tylko Przywódczynią Klanu MacCallanów. Jej słowa rozbrzmiewały po całym zamku, zamienionym w słuch.

- Cuchulainnie, poniosłeś wielką stratę. Tak samo wielką poniósł nasz klan. Należy się zadośćuczynienie.

Odwróciła się od brata i stanęła twarzą w twarz z Fallon.

- Zabrałaś życie niewinnej istocie. Za to zostanie odebrane życie tobie.

Cuchulainn natychmiast ruszył ku kobiecie ze skrzydłami. W ręku Cuchulainna był miecz, gotów zadać śmiertelny cios.

- Nie! - krzyknął przeraźliwie Keir.

- Nie możesz jej ocalić. Możesz tylko umrzeć razem z nią.

W głosie Cuchulainna była tylko śmierć.

Fallon, nie zważając na rozpaczliwy krzyk męża, wysunęła się do przodu, jakby spieszyło jej się na spotkanie z mieczem wojownika.

- W takim razie zabij mnie. Pokaż, jakim jesteś barbarzyńcą, ty... człowieku! - powiedziała wyniośle.

Jeden ruch ręki i brudna, poszarpana suknia opadła na ziemię, odsłaniając jasne ciało. Szczupła dłoń

Fallon zsunęła się niżej i pogłaskała wypukły brzuch.

- Wiedz o tym, że zabijając mnie, zabijasz też moje nienarodzone dziecko.

Elphame nie musiała wydawać rozkazu, żeby brat się zatrzymał. Miecz Cuchulainna, uniesiony, by zabić, zadrżał i powoli opadł. Ostrze dotknęło marmurowej posadzki. Pełne bólu i cierpienia oczy

Cuchulainna spojrzały na siostrę.

- Brenna nazwałaby to zemstą, a nie sprawiedliwością, gdyby w zamian za jej śmierć zginęło niewinne

dziecko. Ja... ja może i bym to zrobił, ale Brenna by mi tego nigdy nie przebaczyła. Jej duch będzie mnie za to prześladował.

- Zgadzam się z tobą, Cuchulainnie - powiedziała Elphame twardym głosem. - Ktoś jednak musi

zapłacić za śmierć Brenny.

- Fallon jest moją żoną. Dziecko jest moje. Weźcie moje życie - wyrzucił z siebie Keir. Krzywiąc się z bólu, pochylił się, żeby zebrać z posadzki ubranie

i podał je żonie. Fallon nie odezwała się, ale Elphame pomyślała, że to, co dostrzegła teraz w oczach kobiety ze skrzydłami na pewno nie było nienawiścią ani obłędem.

- Czy wiedziałeś, że Fallon zamierza zabić Brennę? - spytała Keira.

- Nie, Bogini - odparł, spoglądając jej prosto w oczy. W jego głosie słychać było wielką gorycz. -

Przybyliśmy tutaj, żeby spełnić Przepowiednię, a nie dokonywać rzezi niewinnych. Niezależnie od tego, co o nas myślą ludzie, na pewno jesteśmy inni niż nasi ojcowie.

- To nie twoja wina, Keir, że twoją żoną zawładnęło szaleństwo. Nie jesteś winien śmierci Brenny -

powiedziała Elphame, po czym bardzo powoli, z godnością odwróciła się, żeby stanąć twarzą w twarz

z Lochlanem. Szmer rozmów ucichł, w ciszy, jaka teraz zapadła, słowa Lochlana zabrzmiały bardzo mocno, zdecydowanie.

- Keir nie jest winien śmierci Brenny. Ale ja jestem. Jestem przywódcą moich ludzi. Jestem także tym, który ich zdradził.

- Mądre słowa, mój mężu.

Mężu... W ciszy, wręcz ogłuszającej, słowo to zaistniało tylko przez moment. Ledwo wypowiedziane,

ledwo odbiło się echem, zbyt kruche, żeby istnieć dalej, skryształizowało się i rozpadło na tysiące kawałeczków.

Elphame pewnym ruchem wyciągnęła rękę po miecz Cuchulainna. Brat bez słowa wsunął jej w dłoń rękojeść. Elphame zacisnęła na rękojeści palce i powoli, równym krokiem podeszła do stojącego nieruchomo Lochlana. Zatrzymała się, bardzo blisko niego, w takiej jednak odległości, żeby łańcuch nie pozwolił mu jej dotknąć.

Lochlan, nie zwracając uwagi na tłum ludzi, powiedział jej to, co dyktowało mu serce.

- Kiedy składaliśmy sobie przysięgę, powiedziałem

ci, że pójde za tobą wszędzie, nawet gdyby miało to prowadzić do mojej śmierci. Nie żałuję tej przysięgi, tak jak nie żałuję naszej miłości. Kiedy odpowiedziałem na twoje wezwanie i przyniosłem ciało Brenny, wiedziałem, że oznacza to kres mojego życia. Pogodziłem się z tym. Tak samo teraz uznaję słuszność twojej decyzji, każdej decyzji.

Uśmiechnął się, bez cienia goryczy. Tym uśmiechem przekazując jej całą swoją miłość.

A Elphame, zamiast zadać mu cios, odwzajemniła uśmiech.

- Kiedyś powiedziałeś mi, Lochlanie, że usłyszę głos Epony, jeśli bardziej zaufam sobie. Miałeś rację.

W końcu uwierzyłam w siebie na tyle, że usłyszałam Jej głos. Ja zaufałam sobie, teraz ty musisz mi też zaufać.

- Ufam ci, najdroższa - powiedział i rozpostarł szeroko ręce, żeby bez trudu zadała mu śmiertelny cios.

- To dobrze, bo niebawem będzie mi to bardzo potrzebne...

Elphame odwróciła głowę, odszukała spojrzeniem brata.

- Wybacz, Cuchulainnie.

Nabrała głęboko powietrza dodającego sił i w tym momencie w oczach Cuchuainna pojawiło się przerażenie, zrozumiał bowiem, co zamierza uczynić jego siostra.

- Powstrzymajcie ją! - krzyknął rozpaczliwie, rzucając się do niej. Prawie jednocześnie rozległ się krzyk Lochlana, który szarpiąc łańcuchami jak szalony, próbował sięgnąć ukochanej.

Ale Elphame była szybsza niż wszyscy. Ostre jak brzytwa ostrze miecza przesunęło się od nadgarstka po łokieć, pozostawiając po sobie długie, śmiertelnie

głębokie cięcie. Potem pospiesznie, bojąc się, że Cuchula-inn dobiegnie do niej, przełożyła miecz do drugiej ręki, żeby dokończyć to, co zaczęła. Ale zaczynała już słabnąć, palce nie były w stanie uchwycić mocno za rękojeść. Płacząc w duchu z powodu swojej bezsilności, błagała

o jeszcze trochę czasu. Kamień, na którym stała, usłyszał jej bezgłośnie błaganie i przekazał je komuś.

Ten ktoś przybył. Przez szkarłatną mgłę Elphame zobaczyła, jak u jej boku materializuje się duch

MacCallana.

- Jestem tu, dziewczyno. - Duch podniósł swoją jaśniejącą rękę i nagle wokół Elphame wyrósł mur. Półprzezroczysty mur, wzniesiony z magicznych sił. Krąg mocy, który powstrzymał nadbiegającego Cuchulainna. - Nie, Cuchulainnie! - przemówił duch metalicznym głosem, jakby wydobywał się z dzwonu żałobnego. - Nie możesz zmienić przeznaczenia Przywódczyni Klanu MacCallanów. To ona dokonuje wyboru, nie ty.

Ale Cuchulainn go nie słuchał i waląc pięściami w niewidzialną barierę mocy duchów, krzyczał rozpaczliwie:

- Elphame! Nie rób tego! Elphame!

Elphame, starając się pokonać zawroty głowy, z trudem przełożyła miecz do lewej ręki, zalanej krwią.

Zacisnęła zęby i nie zważając na ból, przycisnęła ostrze miecza do nietkniętego nadgarstka prawej dłoni. Przesunęła ostrze po żyłę biegnącej do łokcia i wtedy dopiero miecz wysunął jej się z rąk. Z głośnym brzękiem upadł na marmurową posadzkę, a Elphame czuła, jak ciepła krew wypływa jej z ciała, obmywając jej ręce i nogi.

Powoli, jakby poruszała się we śnie, podniosła głowę

i poprzez krąg mocy ducha swego przodka, którego wezwała, spojrzała na Lochlana. Płakał, dalej walcząc zaciekle i nadaremnie z łańcuchem.

W głowie Elphame powstał szum, prawie nie słyszała swojego własnego głosu.

- Uratuj mnie, a ja uratuję ciebie, Lochlanie. Wypowiedzenie tych kilku słów kosztowało ją zbyt wiele wysiłku. Cały świat przed jej oczami zaczął szarzeć, sił ubywało. Powoli osunęła się na kolana, w uszach zadźwięczał znów metaliczny głos ducha, zwracającego się do Lochlana.

- Ty sam wiesz, co masz zrobić, mój siostrzeńcze. Duch znikł, znikł krąg mocy. Cuchulainn z rozpaczliwym okrzykiem dopadł do siostry i porwał ją w ramiona.

- Cuchulainnie! Przeprowadź ją do mnie! Szybko! Zanim zemdleje! - zawołał Lochlan.

Rozwścieczone oczy Cuchulainna odszukały twarz Lochlana.

- Zaufaj mi! Zaufaj, Cuchulainnie!

Wojownik nie wahał się już ani sekundy dłużej. Natychmiast zaczął ciągnąć siostrę do Lochlana, pomagało mu w tym wiele silnych rąk członków klanu, podążających razem z nim coraz szerszym szlakiem z krwi Przywódczyni Klanu.

Lochlan opadł na kolana, jego ramiona zamknęły się wokół bezwładnego ciała Elphame.

- Miecz! Dajcie mi miecz!

Natychmiast wsunięto mu do ręki zakrwawioną rękojeść. Lochlan błyskawicznym ruchem przeciął ostrzem skórę na piersi, tuż nad sercem i odrzucił miecz od siebie, ze wstrętem, jakby był to jakiś natrętny owad. Objął dłońmi głowę Elphame i przycisnął jej zimne wargi do rany na swojej piersi.

- Pij, najdroższa, pij! - powiedział błagalnym głosem, ale Elphame nie poruszyła się, nie odpowiadała.

Oczy nadal miała zamknięte.

— Pij, Elphame! - zawołał załamującym się głosem. - Zrobiłem to, o co prosiłaś! Teraz jedyną szansą,

żebyś przeżyła, jest spełnienie Przepowiedni. Pij!

Czuł, jak zimne wargi Elphame przy jego piersi poruszyły się. Zaraz potem Elphame, krztusząc się, przełknęła. Jej powieki uniosły się, spod powiek wypłynęły łzy, skrzące się na różowo. Usta znów przywarły do rany.

Wchłaniała krew demonów. Najpierw czuła w ustach tylko metaliczny smak krwi, potem ciepło, potem żar. Krew była tak gorąca, jakby piła z rzeki wypływającej z wulkanu. Ale nie mogła oderwać się od rany, a po chwili sama już nie chciała. Gorąca krew uwodziła ją, wypełniała jej ciało i pieściła jej duszę hipnotyzującą mroczną siłą. Wnikało w nią całe szaleństwo rasy Fomorian.

Już nie krwawiła. Rany na rękach wyschły, zamknęły się same. W głowie pojawiły się dziwne, nieznane dotąd myśli.

Krew... nigdy nie będzie miała jej dość... może wypić wszystko, nie zostawić w nim ani kropelki...

może stworzyć swoją własną armię... ona, na wpół demon, na wpół bogini... ale najpierw musi zabić Lochlana... zdrajcę...

Zabić Lochlana? Swojego męża?

Przez mgłę szeptów demonów przebiła się świadomość, jej własna świadomość. Elphame z cichym okrzykiem oderwała wargi od piersi Lochlana i na czworakach zaczęła odsuwać się od niego, czując, jak narasta w niej paniczny strach. Nagle uzmysłowiła sobie, że ta purpurowa kałuża na posadzce i purpura na jej ciele to jej własna krew.

Jej krew? Nie, to już nie jest jej krew. Krew w jej żyłach nieodwołalnie zmieszała się z krwią demonów.

Teraz ona jest demonem... Nie ma wyboru. Musi to zaakceptować, musi dalej z tym żyć...

- Elphame... - wydyszał Lochlan, blady jak ściana,

osuwając się na posadzkę - nie słuchaj tych złych, podstępnych szeptów. Walcz z nimi, walcz!

A wokół Elphame wirowały upiorne dźwięki śmiechu szalonej Fallon.

- Elphame? - Cuchulainn, rozpostarłszy ramiona, podszedł powoli do siostry i zaczął błagać ją załamującym się głosem. - Chodź do mnie, Elphame! Nie możesz mnie tak zostawić, siostro! Nie możesz! Ja tego nie przeżyję.

Elphame, nadal na czworakach, zadrżała, słysząc czułe słowa od osoby tak bliskiej. Cuchulainn był zrozpaczony, a do rozpacz doprowadziła go ciemność, ten mrok, który ona zaakceptowała. Do którego ona sama teraz należała. Słyszała przecież te głosy, wijące się w niej, kłębiące, jak tysiące czarnych owadów trzepoczących pod jej skórą.

Tak... Tak... wyczuwasz nas... słyszysz nas... teraz my jesteśmy tobą...

- Nie jestem już twoją siostrą. Nie możesz mi pomóc. Nie poznawała swojego głosu. Brzmiał teraz całkiem

inaczej. Nie rozpoznawała twarzy otaczających ją ludzi, teraz w nią wpatrzonych. Z jej myśli, wspomnień pozostały już tylko strzępki, wszystko wymykało się, tonęło w pulsującym w niej

strumieniu ciemności. Czują się jak w potrzasku.

Przerażona, spojrzała za siebie i nagle napotkała wzrok pochylonego nad nią starego centaury.

- Wezwij duchy kamienia - powiedział. - One ci pomogą.

Elphame gwałtownie pokręciła głową. Nie. Duchy na pewno nie odpowiedzą na jej wezwanie. Była sama, zagubiona w szaleństwie, jakie przeniknęło do jej krwi, szaleństwie, które wymazywało z niej całą jej dotychczasową rzeczywistość.

- Bądź spokojna, Umiłowana. Ja nigdy cię nie opuszczę. Nie bój się...

Spokojny, chłodny kobiecy głos przemknął przez jej głowę. Tego głosu Elphame uczepiła się kurczowo, jak umierająca dusza tchnienia życia.

- Epono...

Kiedy wymówiła imię Bogini, poczuła, jak całe jej ciało zadrżało, jak przez jej obolały umysł przemknęła myśl, bardziej ulotna niż mgła. Przemknęła, ale Elphame zdołała pojąć jej sens. I chwyciła się tego siłą całego człowieczeństwa, jakie pozostało jeszcze w jej duszy.

Musi zaufać sobie.

Walcząc z przerażeniem i ciemnością, z trudem podniosła się z posadzki i chwiejnym krokiem ruszyła

przed siebie, przez rozstępujący się przed nią tłum ludzi i centaurów. Podeszła do fontanny na środku wielkiego dziedzińca, zatrzymała się i spojrzała w twarz dziewczyny z marmuru, swojej przodkini.

Wtedy dotknął jej pierwszy promień porannego słońca. Dotknął jej, potem jak delikatna, czuła dłoń ów promień odnalazł broszę MacCallanów na jej ramieniu. Rozbłysła, i w jej blasku Elphame odnalazła to, czego szukała. Swoje dziedzictwo. Wiarę i wierność. Siłę miłości triumfującej. Coś, czego ciemne moce nie są w stanie sobie przywłaszczyć.

Budził się nowy dzień, zwiastun nadziei. Elphame była w pełni świadoma, kim naprawdę jest. Ta świadomość sprawiła, że ciemne moce, które spodziewały się, że okradną ją z siły, jaką daje miłość Bogini, musiały się wycofać. Niechętnie, wily się i pokrzykiwały, zmuszone jednak były ustąpić przed



oślepiającym blaskiem zaufania i odwagi.

Złe szepty rozpierzchły się jak umykające pająki. Były już tylko mglistym wspomnieniem.

Elphame, jakby budząc się z długiego snu, powoli podniosła zakrwawione ręce, żeby strumień chłodnej, czystej wody z fontanny zmył krew z jej rąk. Patrzyła, jak zabarwiona na różowo woda spływa do basenu, wiruje przez moment, róż staje się coraz jaśniejszy, prawie niewidoczny, kiedy woda spływa z basenu.

Kiedy ręce Elphame były już czyste, odrzuciła w tył głowę i teraz wykapała twarz w jasnym świetle poranka, danego przez Eponę. A w piersi dojrzywał krzyk, dojrzywał jak dziecko w łonie. Dojrzał i z gardła Elphame wydobył się radosny okrzyk, odbijając się echem wśród ścian starego zamku.

Pierwszy zawtórował jej brat, potem mąż. Potem cały jej klan.

- WIARA I WIERNOŚĆ!

- WIARA I WIERNOŚĆ!

- WIARA I WIERNOŚĆ!

Elphame, uśmiechając się triumfująco, osunęła się na marmurową posadzkę, witając z ulgą błogi spokój, jaki daje nieświadomość.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY**

Do snu Elphame przyszedł głos, słodki jak zapach wiciokrzewu, niesiony przez wiatr. Głos matki.

- Wołałabym, żeby to wszystko było dla niej choć trochę łatwiejsze.

- Wiem, Umiłowana. - Tym razem Elphame od razu rozpoznała głos Epony. - Ja także życzyłabym sobie, żeby została jej darowana ta udreka. Ale droga twojej córki nigdy nie była łatwa. Teraz widzisz, że trudności, jakie pokonywała przedtem, przygotowały ją do stawienia czoła swemu przeznaczeniu.

- Ale dobrze się sprawiła, prawda?

- Bardzo dobrze. Jestem z niej dumna.

Serce Elphame, zachwycone pochwałą, zabiło szybciej i mocniej.

- Jej droga nadal będzie trudna - mówiła Bogini. - Większość klanu z miłości do Elphame zaakceptuje

Lochlana i jego ludzi, niełatwo jednak będzie zdobyć akceptację reszty Partholonu.

Matka Elphame westchnęła.

- Czy pozwolisz mi teraz pojechać do niej? Chciałabym przynajmniej sformalizować ich związek, niech to nie będzie przysięga tylko na rok. A Cuchulainn... - w głosie matki słychać było teraz wielki smutek - potrzebuje teraz matki.

- Jedź do nich. Ale nie zdziw się, kiedy przekonasz się, że ból twego syna jest zbyt wielki, by mogła uśmierzyć go matka.

Odpowiedź matki nie dotarła do uszu Elphame. Sen odchodził, Elphame budziła się, powracając do rzeczywistości. Jej budzące się zmysły zasygnalizowały, że jej ciało leży wygodnie w pościeli z cieniutkiego płótna. A przed zamkniętymi powiekami migocze jakieś światło.

Powieki Elphame zadrżały i uniosły się.

Pierwszą myślą po obudzeniu było stwierdzenie, że to chyba noc, bo jedynymi źródłami światła w pokoju był blask świec w wielkim, żelaznym kandelabrze i blask ognia, wesoło trzaskającego w kominku. Potem zaczęła się zastanawiać, jak długo spała. Może długo, może to jednak już ranek...

Kątem oka dojrzała jakąś postać. Odwróciła głowę i zobaczyła Lochlana. Siedział na krześle koło łóżka, głowę miał opuszczoną. Spał. A Elphame patrzyła na niego i patrzyła, ciesząc nim swoje oczy.

Był co prawda poobijany, ranny, ale na twarzy nie było już tej okropnej,

porcelanowej bladości, jak wtedy, kiedy osuwał się na posadzkę, zaplamioną krwią Elphame...

Pamięć ożyła. Na moment wszystko w Elphame skurczyło się z panicznego strachu, cała zamieniła się w słuch, czekając na złowrogie szepty o śmierci, o szaleństwie. Na głos złych mocy, wydobywający się z jej skażonej krwi.

Ale nie usłyszała żadnego głosu. Może tylko jakiś cichy szmer, jakby coś poruszyło się, coś ukrytego w niej głęboko, jak prawie już zapomniany sen. A dzięki intuicji, zrodzonej z dotknięcia przez

Boginię, pojęła, że chociaż nosi już w sobie szaleństwo, to miłość, zaufanie i wiara zawsze pokonają

dziedzictwo zła.

Głos Epony musnął jej umysł.

- Musisz być zawsze czujna, Umiłowana. Tak długo, jak długo będziesz oddychać. Ale pamiętaj, zawsze będę przy tobie. Jesteś dotknięta przez Boginię...

Musiała mimo woli wydać z siebie jakiś dźwięk, bo Lochlan nagle otworzył oczy i wyciągnął do niej rękę, wołając jednocześnie.

- Cuchulainnie!

Natychmiast koło łóżka Elphame pojawił się jej brat z ciemnymi sińcami pod oczami i zarostem na zwykle gładko wygolonych policzkach. Wyglądał tak, jakby nagle przybyło mu wiele, wiele lat.

- Wyglądasz okropnie - powiedziała Elphame. Śmiesznym głosem, podobnym do rechotu. Na mizernej twarzy Cuchulainna pojawił się uśmiech, a śmiech Lochlana przypominał szloch.

Elphame spojrzała jeszcze raz, na nich obu, na męża i na brata. Zanim ponownie otworzyła usta, na wszelki wypadek odchrząknęła, ale niestety, jej głos nadal trudno było nazwać jasnym i dźwięcznym.

- A więc tak... żaden z was nie jest przykuty łańcuchem,

nie widzę świeżych ran. Czy wobec tego wolno mi przypuszczać, że obaj uczyście się właśnie, jak wytrzymać ze sobą?

- Ona... ona nie popadła w obłąd... - Lochlan nagle zakrył dłonią usta, po jego policzkach spłynęły łzy.

- Mówiłem ci, że tak się nie stanie - powiedział Cuchulainn. Jego oczy też lśniły podejrzenie.

- A ona doskonale słyszy, co mówicie. Obaj! - wykrzyknęła zdesperowana Elphame.

- Witaj, siostrze, z powrotem na tym świecie - powiedział Cu.

- Jak długo spałam?

- Pięć dni i pięć nocy - powiedział Lochlan.

- Aż tyle?! Nic dziwnego, że jestem taka głodna. Uśmiech Cuchulainna był tak szeroki, że zdawał się wykraczać poza twarz.

- Wynne będzie zachwycona! - zawołał i pobiegł do drzwi.

- Cu, poczekaj!

Lochlan, domyślając się, że rodzeństwo chce sobie coś przekazać, wstał, pocałował Elphame delikatnie w rękę i wycofał się w głąb pokoju. Miejsce na krześle zajął Cuchulainn.

Elphame usiadła na łóżku i wzięła brata za rękę.

- Chcę ci coś powiedzieć, Cu. Chodzi o Lochlana.

- Elphame, nie musisz mi już niczego wyjaśniać.

- Muszę. Chcę, żebyś wiedział, że chciałam ci o nim powiedzieć już wtedy, kiedy spotkałam go po raz

pierwszy. Ale po prostu nie wiedziałam, jak to zrobić. Nie chciałam też, żebyś dowiedział się o tym od osób trzecich i pomyślałam, że kocham cię za mało i za mało ufam, żeby ci to wyznać. A to nie tak. Wcale nie zwątpiłam w ciebie, Cuchulainnie, tylko w siebie. Nie potrafiłam znaleźć

odpowiednich słów, a poza tym byłeś już tak bardzo zakochany w Brennie.

Cuchulainn zacisnął mocno zęby i szybko spojrzał w bok.

- Nie winię ani ciebie, ani Lochlana za śmierć Brenny. Nawet nie winię Fallon. Obłąd to nie jej wina.

- Cu, spójrz na mnie.

Spojrzał. W jego oczach dostrzegła bezmiar rozpacz, zrozumiała też, że powiedział prawdę. On nie obwiniał ich o śmierć Brenny - obwiniał samego siebie.

- Cu... - zaczęła, ale brat gwałtownie wysunął rękę z jej dłoni i wstał, tak szybko, że omal nie wywrócił

krzesła.

- Nie mogę o tym rozmawiać, El - powiedział nieswoim głosem i wstał. W progu rzucił tylko przez ramię: - Przyniosę ci coś do jedzenia.

Drzwi trzasnęły. Znak, że Cuchulainn ze swoją rozpaczą odgradza się od siostry.

- On nie zgadza się, żeby spalić ją na stosie pogrzebowym - powiedział półgłosem Lochlan, przysiada-

jąc na brzegu łóżka. - Powiedział, że ogień już raz ją skrzywdził i to wystarczy.

- Och, Cu... -jęknęła Elphame, wpatrując się w zamknięte drzwi.

- Dlatego Mistrz Centaur zrobił dla Brenny grobowiec. Na grobowcu wyrzeźbił Brennę. Dziś rano Cuchulainn złożył Brennę w grobowcu na wieczny odpoczynek.

- A gdzie... gdzie jest ten grobowiec? - wyszeptała Elphame, ocierając łzy.

- Tam, gdzie stał jej namiot. Teraz jest tam grobowiec, w którym Cu złożył swoje serce.

- Powinnam była być przy nim. Na pewno mnie potrzebował.

- Ty przede wszystkim musisz dojść do siebie, El-phame. I za nic siebie nie obwiniaj. Twój brat mówił

szczerze. On nie obarcza winą ani ciebie, ani mnie, ani nawet moich ludzi. W ciągu kilku tych ostatnich dni, kiedy zastępował cię, wykazał się wielką szlachetnością.

- A Fallon, Keir i tych dwóch pozostałych... co z nimi?

- Cuchulainn kazał uwięzić Fallon w Warowni. Czeka tam na narodziny dziecka i twoją decyzję, jaką karę poniesie za zbrodnię, jaką popełniła. Razem z Fallon jest Keir, z własnej woli. Chce być u boku żony. Curran i Nevin zostali tutaj i leczą swoje rany.

- A to szaleństwo... naprawdę minęło?

- Tak - potwierdził Lochlan, takim tonem, jakby jemu samemu jeszcze trudno było uwierzyć, że stał się cud.

- Nie ma go ani we mnie, ani w reszcie moich ludzi. Spełniłaś Przepowiednię, Elphame, uratowałaś ich...

- Lochlan delikatnie pogłaskał Elphame po policzku.

- Ale ty... jak z tobą, najdroższa? Czy czujesz na swoich barkach to brzemień?

Spojrzenie Elphame na moment stało się nieobecne, kiedy skupiła się, starając się jak najgłębiej wejrzeć w siebie. Wyczuła tam coś, coś mrocznego. Poruszyło się, ale bardzo nieznacznie, na bardzo krótko, jak powierzchnia wody, na którą ktoś dmuchnął.

- Jest we mnie, Lochlanie. Zostało pokonane, ale nie unicestwione. Mam jednak słowo Epony, że wygram każdą kolejną bitwę. Ale Bogini ostrzegła mnie, że nawet po kolejnym zwycięstwie mam nie tracić czujności.

Elphame zadrżała, Lochlan mocniej ścisnął jej rękę.

- Zawsze wygrasz, Elphame. Zawsze! - zapewnił ją gorąco. - Razem nie pozwolimy, żeby to szaleństwo pokonało ciebie.

Elphame czuła, jak wnika w nią jasna moc jego wielkiej miłości, wypełnia jej serce i zmusza mrok do

ustąpienia.

Zrobiła głęboki wdech. Pełen satysfakcji.

- Trzeba wezwać tu resztę twoich ludzi, Lochlanie. Wszystkich, razem z dziećmi.

Lochlan mocno objął ją ramionami, jego uzdrawiające skrzydła otuliły Elphame swoim ciepłem.

- Zrobimy tak, najdroższa. Zrobimy!

Na porannym niebie pojawiały się pierwsze ostrożne smugi ciemnego różu i fioletu. Elphame stała przed marmurowym grobowcem. Podobizna Brenny była przepiękna, mała Uzdrawicielka wyglądała tak, jakby zasnęła i jakimś cudownym sposobem przemieniła się w marmur. Była łudząco podobna, z jedną tylko różnicą. Twarz Brenny była gładka, bez blizn.

- Wcale go o to nie prosiłem. Mnie zresztą nie przyszłoby to do głowy - powiedział Cuchulainn zdławionym głosem, pojawiając się u boku siostry. Podszedł do grobowca i w ramionach dziewczyny

z marmuru złożył całe naręczce polnych kwiatów. Turkusowych. - Kiedy spytałem Dananna, dlaczego nie wyrzeźbił blizn, powiedział mi, że po prostu wyrzeźbił Brennę taką, jaką zapamiętał...

Elphame z czułością pogłaskała prawy policzek Brenny, gładki teraz, bez żadnej skazy.

- To dobrze. Brenna na pewno byłaby zadowolona, że taką właśnie ją pamiętamy - powiedziała cichym, nabrzmiałym od wzruszenia głosem i spojrzawszy na brata, wzięła go za rękę. - Cu, ja bardzo

nie chcę, żebyś wyjeżdżał.

- Muszę, Elphame. Tutaj... - Cu spojrział przez ramię na zamek, z którego dobiegały już odgłosy porannej krzątania - tutaj wszystko mi ją przypomina. Każdy zapach, każdy dźwięk zdaje się powtarzać jej imię...

- Jego pełne rozpaczony spojrzenie spotkało się ze smutkiem oczu Elphame. - Nie, to wcale nie znaczy, że chcę o niej zapomnieć. Muszę po prostu nauczyć się dalej żyć, bez niej. Ze świadomością, że ją straciłem. A tutaj nie dam rady się tego nauczyć.

Ścisnął lekko jej dłoń i puścił. Elphame rozumiała go, oczywiście, tak przecież nakazywał rozsądek.

Ale serce Elphame bolało na myśl, że Cuchulainn nie będzie już w zamku MacCallana.

- Będzie mi ciebie brak, Cuchulainnie - powiedziała miękko Brighid, która właśnie pojawiła się obok

grobowca Brenny. Chyba chciała się pożegnać, bo szybko podeszła do wojownika i uścisnęła go za ramię, tak jak to pozdrawiają się wojownicy. Cuchulainn w odpowiedzi ścisnął ramię Brighid. Uścisk

jego palców był mocny, ramię Brighid pod jego palcami gładkie i ciepłe.

- Myliłem się co do ciebie, Brighid Dhianna. Jesteś wiernym przyjacielem.

- Dziękuję - odparła Brighid, uśmiechając się smutno.

- Może kiedyś wybierzemy się razem na polowanie? Nagle wszyscy spojrzeli na ziemię. Coś w trawie

sapnęło, po chwili spoza wysokiej kępy wyskoczyła tłuściutka Fand, podbiegła do Brighid i wbiła zęby w jej kopyto.

- O, nie! - zawołała Łowczyni. - Muszę uzupełnić moją propozycję. Wybierzemy się kiedyś razem na polowanie pod warunkiem, że wszystko, co przyniesiesz z lasu, nie będzie już oddychać!

Cuchulainn poklepał się po udzie. Wilczątka od razu podskoczyło do niego i zaczęło się łąsić.

- Przepraszam, Brighid - powiedział Cuchulainn. - Obiecuję, że kiedy następnym razem spotkasz się z Fand, mała na pewno będzie miała lepsze maniery.

- Wszyscy rodzice tak mówią - mruknęła Brighid i ruszyła z powrotem do zamku.

Brat i siostra zostali sami. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, potem Elphame nagle znalazła się w ramionach brata. Ścisnęła go z całej siły, kryjąc twarz na tak znajomym ramieniu.

- A nie możesz poczekać na Mamę? - spytała, połykając łzy. - Posłaniec mówił, że mają przed sobą już

tylko jeden dzień drogi.

Cuchulainn poklepał ją czule po plecach.

- Mama zrozumie mnie.

- Nie sądzę, Cu. Będzie szalała.

Cu zaśmiał się, a Elphame poczuła bolesne ukłucie w sercu. Jakże inny był teraz śmiech Cuchulainna!

Cuchulainn w niczym teraz nie przypominał dawnego beztroskiego brata.

- Masz rację, El, ale krótko. Będzie przecież zaabsorbowana tobą i Lochlanem.

Delikatnie wysunął się z jej objęć i ucałował ją w oba policzki.

- A ja muszę zrobić tak, jak postanowiłem. Odwrócił się, zarzucił wodze na szyję swego wałacha i zręcznie wskoczył na jego grzbiet.

Natychmiast w trawie rozległo się żalosne skomlenie. Elphame nachyliła się szybko po wilczątko i podała je bratu.

- Kocham cię, siostró moja - powiedział Cu, kierując konia na północ. Koń pobiegł kłusem. Elphame patrzyła,

jak do Cuchulainna dołącza dwójka jeźdźców, niezwykłych, bo ze skrzydłami. Curran i Nevin,

czekający cierpliwie na Cuchulainna przy zamkowej bramie. Ich rany jeszcze nie zagoiły się, tak samo

skrzydła, ale obaj nie wyobrażali sobie, żeby teraz nie mieli towarzyszyć Cuchulainnowi, który jechał

na Pustkowie, żeby sprowadzić do Partholonu dzieci kobiet, które kiedyś dobrowolnie skazały się na wygnanie.



Elphame odprowadzała ich wzrokiem dopóki nie znikli za drzewami. Miała poczucie, jakby wraz z Cuchulain-nem odchodziła od niej cała jej przeszłość, jakby brat zabierał z sobą najpiękniejsze dni jej młodości. Co dalej będzie z Cuchulainnem? Czy już na zawsze pozostanie potrzaskaną skorupką siebie samego? Czy uleczy zranione serce?

Jakie to gorzkie... Cuchulainn musi uleczyć się sam, bez swojej małej Uzdrowicielki...

Przez ostatnie dni Elphame wyczuwała, jak duszę jej brata wypełnia coraz większa pustka. Czowała się nieszczęśliwa i kompletnie bezradna. Czy Cuchulainn odnajdzie bez Brenny swoje szczęście? Tego Elphame nie mogła wiedzieć, mogła tylko współczuć bratu, rozumieć jego ból. Ona przecież przeżyła tego namiastkę, w tej strasznej chwili, kiedy była pewna, że straciła Lochlana. Wiedziała, że będzie żyć dalej i bez swego towarzysza życia, tak jak Cu musi żyć teraz bez Brenny. Ale czy bez Lochlana znalazłaby po raz drugi swoje szczęście? Czy Cuchulain-nowi los podsunie jeszcze taką możliwość? Epono, błagam, strzeż go, pozwól, by bezpiecznie wrócił do domu. I pomóż mu znów być szczęśliwym...

Serce Elphame już tęskniło, już brakowało jej obecności Cuchulainna. Wracała do zamku bardzo powoli, jej nogi teraz były ciężkie jak ołów. Plecy drżały od płaczu.

Nagle poczuła na sobie wzrok Lochlana. Poczwała tak mocno, jakby dotykał jej w pieszczocie.

Podniosła w górę załzawione oczy i w blasku poranka, danego przez Eponę, zobaczyła na balkonie Wieży Przywódcy Klanu uskrzydloną postać. Z tak daleka nie widziała dobrze jego twarzy, ale czuły gest zauważyła. Dotknął swego serca, potem ust i posłał jej ręką pocałunek.

Z Cuchulainnem łączyła ją wspólna przeszłość, ale jej przyszłość to był Lochlan i Klan MacCallanów.

Będą musieli zmierzyć się z całym krajem, z ludźmi, którzy nie będą im ufać i osądzą ich bardzo surowo. Niełatwo będzie przekonać Partholon, ale dzięki błogosławieństwu Epony zmierzą się z tą przyszłością razem, ramię w ramię.

Przywódczyni Klanu MacCallanów otarła łzy, wyprostowała się i szybkim, zdecydowanym krokiem

pospieszyła do swego męża, by u jego boku rozpocząć nowy dzień.

# Cast P. C.

## Partholon 01

### Przepowiednia

*Przenieś się do mitycznego Partholonu...*

*Elphame od zawsze czuła się inna. Namaszczona przez największą boginię, otoczona jest przez swój*

*lud czią i szacunkiem. Wyjątkowość jest jednak dla dziewczyny nieznośnym ciężarem. Samotna, pozbawiona przyjaciół oraz namacalnego wsparcia bogów i duchów boi się, że nigdy nie pozna smaku prawdziwej miłości...*

*Wewnętrzny impuls pcha Elphame w kierunku ruin zamku MacCallan. Decyzja o odbudowie tej twierdzy całkowicie odmienia jej losy. Zyskuje cel w życiu, wiernych przyjaciół oraz zdolność kontaktu ze światem nadprzyrodzonym. Na jej drodze staje również tajemniczy Lochlan, z którym*

*połączy ją o wiele więcej niż tylko namiętność.*

*Wielka miłość tych dwojga zostanie wystawiona na ciężką próbę. Nad ruinami zamku MacCallan*

*unosi się bowiem ponadstuletnia krwawa przepowiednia...*

#### PROLOG

Ten dzień zaczął się zwodniczo normalnie.

O świcie poranne ofiarowanie się Eponie było wyjątkowo poruszające. Etain, już całkowicie wypełniona Boginią, żar Jej obecności nosiła w sobie przez cały ranek. A kiedy ranek minął, dostała pozwolenie - chociaż raz! - na zajęcie się tylko sobą i została chwilowo zwolniona z obowiązków

Wcielenia Bogini.

Bóle porodowe poprzedziło niejasne uczucie niepokoju. Nie mogła znaleźć sobie wygodnego miejsca

na szeszlongu zasłanym poduszkami. Pełną zapału służącą, która przyszła sprawdzić, czy nie dolać gorącej wody, potraktowała niemiło, okazując niecierpliwość, co nigdy dotąd jej się nie zdarzało. I nawet perspektywa długiego moczenia się w basenie napełnionym wodą ze źródeł mineralnych wcale nie wydawała jej się pociągająca.

Miała nadzieję, że przechadzka po wspaniałym ogrodzie pełnym kwiatów wpłynie pozytywnie na coś, co jej zdaniem było spowodowane drobną nieprawidłowością w trawieniu truskawek, które spożyła na lunch. Wydawało się, że spacer rzeczywiście okazał się pomocny - do chwili, gdy zatrzymała się, by powąchać przepiękny purpurowy kwiat. Wtedy odeszły wody płodowe, zalewając oblamowane jedwabiem pantofelki Wcielenia Bogini.

Czyli koniec z normalnością.

- Czy to zawsze tak jest?!

Kolejna fala bólu przepływała przez jej ciało. Etain, z wykrzywioną twarzą, zgięta wpół oparła się całym ciałem o kobietę, która prowadziła ją pod rękę.

- Ciii... Etain - uspokajała ją Fiona swoim łagodnym, melodyjnym głosem. - Lepiej nic nie mów, moja

droga, tylko skup się na oddychaniu.

Etain szarpnęła głową, co miało być kiwnięciem na znak zgody, a było tylko tego gwałtowną imitacją i skupiła się na oddychaniu, starając się zapanować nad swoim oddechem. Przestać sapać, dyszeć, zgrać swój oddech ze spokojnym, głębokim oddychaniem Fiony. Skurcz osiągnął swoje maksimum i odszedł.

Zapanował popłoch. Stado służących po przebraniu Wcielenia Bogini rozbiegło się, by powiadomić Mądre Kobiety z wioski, znajdujących się najbliżej Świątyni Epony. A Etain objęła Fionę mocno wpół i czerpiąc siłę z jej krzepkiego ciała kontynuowała przechadzkę po ogrodzie świątyni. Fiona,

przyjaciółka i doradczyni Pierwszej Wybranej, zapewniała, że chodzenie podczas porodu jest bardzo pomocne.

Dzień konsekwentnie mijał, wizerunek Etain jako oazy

spokoju zdecydowanie tracił na wyrazistości, ale resztki porannego oddania się Eponie działały uspokajająco - jak zawsze Wybrana Epony snuła znajomą nić łączącą ją z Boginią, co dodawało siłę i wlewało w duszę spokój.

Fiona uśmiechnęła się zachęcająco, obie kobiety odwróciły się i ruszyły w drogę powrotną ku wielkim

oknom, otwartym teraz, z powiewającymi cieniutkimi zasłonami z gazy w kolorze ciekłego złota. Te

okna, z szybkami oprawionymi w ołów, służyły również jako drzwi z sypialni Etain do jej prywatnego

ogrodu.

Etain szła, oddychając głęboko, by uspokoić swoje rozszalałe serce i zebrać siły na spotkanie z nieuniknionym kolejnym skurczem.

- Myślę, że to jest właśnie najtrudniejsze.

Jak zwykle w obecności Fiony swoją myśl wypowiedziała na głos.

- Ale co? - spytała Fiona.

- Fakt, że to, co się teraz dzieje, jest nieuniknione, całkowicie niezależne od mojej woli. Nie mogę tego zatrzymać, a tak naprawdę to mam wielką ochotę powiedzieć, że wszystko jest bardzo interesujące,

wolałabym jednak zrobić sobie przerwę. Wykąpać się, zjeść coś pysznego i przespać dobrze całą noc.

A jutro od samego rana mogłybyśmy znów się za to zabrać.

Uprzejme zainteresowanie Fiony zmieniło się w głośny śmiech.

- Byłoby bardzo przyjemnie!

- Przyjemnie... - Etain zrobiła efektowny grymas, zupełnie jak nie Bogini. - Gdzie tam! Byłoby cudownie!

Wciągnęła mocno w płuca odurzający zapach bżów w pełnym rozkwicie, rosnących wzdłuż ścieżki.

Kiedy ścieżka skręcała w lewo, bży ustępowały obfitości fioletowych róż, oblepiających dom. Nad ich

pysznymi

kwiatami powiewały cieniutkie zasłony wymykające się z otwartych okien, falowały i trzepotały jak skrzydła gigantycznych motyli.

Przystanąły przed domem, kilka kroków przed sypialnią - od pokoleń miejsca snu Umiłowanej Epony

- kiedy w ich uszach zadźwięczało coś urzekającego, przywiewa-nego przez wiatr. Śpiew kobiet, sławiących Boginię.

*- Jesteśmy strumieniem wody, Przyływem i odpływem,*

*Co niesie poznanie Całej prawdy...*

Słowa, wyśpiewane słodkimi głosami i jednostajny rytm melodii miały moc hipnozy. Kołły zszarpane nerwy Wybranej Epony, wzywały ją do siebie. Etain czuła, jak pieśń wnika w jej nabrzmiałe, obolałe

ciało, jak cała się odpręża.

*- Jesteśmy dźwiękiem, jaki wydaje Korzeń Bogini,*

*Gdy rośnie w nieskończoność, Silny poznaniem...*

Słodki śpiew popychał Etain do przodu. Szybkim krokiem weszła do swojej sypialni, teraz pełnej roz-

śpiewanych Mądrych Kobiet z wiosek. Na jej widok zaczęły śpiewać coraz szybciej i pląsać,

obracając się dookoła. Wydawało się, że fruwały po pokoju, fruwały i fruwały, zamykając Etain i

Fionę w środku radosnego kręgu.

*- Jesteśmy duszą kobiety, Cudownym darem. Bogatym, pełnym mądrości. Sławiąc, unosiśmy się!*

Przy słowach „unosiśmy się” wyciągnęły w górę ręce, ku sklepienemu sufitowi i obracały się, nucąc już tylko

melodię. Wszystkie ubrane w lekkie, połyskujące jedwabie, które unosiły się wokół nich jak jesienne

liście na wietrze. Wszystkie uśmiechnięte radośnie, jakby uczestniczyły w wydarzeniu zakrawającym na cud do takiego stopnia, że niemożliwe było przeżywanie tego głęboko w sobie. Tryskały szczęściem.

Fiona pomogła swojej pani usiąść z powrotem na wymoszczonym poduszkami szezlongu. Obie nie odrywały oczu od płasających kobiet, obie widziały skrzącą się poświatę wokół każdej tancerki.

- Magia... - szepnęła Etain.

- Naturalnie - odparła Fiona jasnym, rzeczowym głosem. - Spodziewałaś się czegoś pomniejszego, teraz, kiedy rodzi Bogini?

- Oczywiście, że nie.

Choć szczerze mówiąc, moc Bogini, której Wybraną Etain była od prawie dziesięciu lat, do dziś często wzbudzała w niej lęk.

Pieśń ucichła, krąg tancerek rozproszył się, kilka z nich podeszło do Etain z uśmiechem i życzliwym słowem.

- Epona obdarzyła cię szczodrze, Pierwsza Wybrana.

- To wielki dzień dla Bogini, Umiłowana Epony. Teraz, kiedy nie stanowiły już urzekającej całości, straciły trochę ze swojej magii. Wróciły do swej prawdziwej postaci. Zwyczajne istoty ludzkie płci żeńskiej, które pomagają w przyjściu na świat upragnionego dziecka. Różniły się między sobą wiekiem i urodą, wszystkie jednak miały przed sobą ten jeden cel.

W brzuchu Etain zaczął formować się nowy skurcz. Czuła, jak cała się naprężyła, ból nasila się i drżącą falą opanowuje całe ciało. Falą, w której Etain tonie.

Jedna z kobiet, bardzo młoda, położyła ręce na ramionach Etain.

- To nie bitwa, którą musisz wygrać, Bogini - szepnęła cichutko wprost do ucha rodzącej. - Nie walcz

z tym, pomyśl lepiej o wietrze.

Potem odezwała się następna:

- Niech cię wypełni! I jeszcze jedna:

- A ty leć, Bogini! Leć razem z nim!

- I oddychaj razem ze mną!

To Fiona. Jej twarz, zawsze dodająca otuchy, znów pojawiła się nad Etain, którą kolejny skurcz wciągał w swój wir. Zgodnie z poleceniem wytrzymała wszystkie siły, żeby spowolnić swój oddech. Po

całej serii chwil, które zdawały się nie mieć końca, ból na jakiś czas znikł. Czoło Etain zostało przetarte chłodną, wilgotną ściereczką, do spieczonych warg Fiona podsunęła puchar z krystaliczną wodą o temperaturze lodu.

- Pozwól, że sprawdzę, jak to wszystko się posuwa. Etain otworzyła oczy, napotykając spokojny, akwama-

rynowy wzrok Uzdrowicielki, krzepkiej blondynki w średnim wieku, roztaczającej wokół siebie aurę osoby, która swoją profesję zna doskonale i wykonuje ją bardzo dobrze. Pierwsza Wybrana skinęła głową i posłusznie podciągnęła nogi. Miała na sobie tylko bawełnianą koszulę, cienutką, jakby utkaną z chmur.

Uzdrowicielka podsunęła koszulę wyżej, do nieistniejącej teraz talii Etain. Jej biegłe ręce rozpoczęły badanie. Robiła to bardzo delikatnie, a jednocześnie bardzo dogłębnie.

- Wszystko idzie dobrze, Umiłowana Bogini. Uśmiechając się pokrzepiająco, poklepała Etain po udzie i ściągnęła w dół koszulę.

- Jak długo jeszcze? - spytała Etain znużonym głosem. - Ile godzin?

- Tylko Bogini może ci to powiedzieć. Ja mogę tylko sądzić, że już niebawem będziesz mogła powitać

swoją córkę.

Etain uśmiechnęła się i skinęła głową. Uzdrowicielka podeszła do grupki kobiet i głosem jedwabnym,

a jednocześnie twardym jak stal, zaczęła wydawać polecenia.



Nad Etain nachyliła się Fiona, żeby odgarnąć włosy ze spoconego czoła przyjaciółki.

- On chyba nie zdąży, prawda? - Głos Etain, wbrew jej woli, drżał.

Głos Fiony natomiast był bardzo stanowczy.

- Oczywiście, że zdąży.

- Och! A ja sama nalegałam, żeby wyjechał! Fiona bezskutecznie starała się powstrzymać śmiech.

- Chyba tak! Chwileczkę, niech pomyślę... coś sobie przypominam... Już wiem! Milady powiedziała, że jeśli on nie przestanie plątać się pod nogami i pytać co chwilę, jak się milady czuje, to milady obedrze go ze skóry.

Fiona potrafiła znakomicie naśladować głos swojej pani. Kilka kobiet, stojących najbliżej, zaśmiało się. A Etain jęknęła.

- Jestem głupia! Bo tylko głupia kobieta odpędza męża właśnie wtedy, kiedy w każdej chwili może zacząć rodzić!

- Midhir zdąży, na pewno... - Fiona przysiadła przy Etain i lekko ścisnęła jej dłoń. - Niemożliwe, żeby nie był przy narodzinach swojej córki. Moira na pewno go odnajdzie i szybko go tu sprowadzi.

Rozum podpowiadał Etain, że tak właśnie będzie. Moira, Pierwsza Łowczyni Partholonu, wytropi i odnajdzie jej męża, którego ona, Etain, wczoraj osobiście po prostu wygoniła. Na całą noc, kazała mu

jechać z kilkoma towarzyszami na polowanie. Etain aż skręcało, kiedy

przypomniała sobie swój rozdrażniony głos, przypomniała sobie też, jak na koniec dodała, że mogą

sobie polować i przez noc i przez cały następny dzień. Bo teraz jej serce, jak zresztą i całe ciało, zajęte rodzeniem, dawało wyraźne sygnały, że dziecko już za chwilę pojawi się na świecie.

Niezależnie od

tego, czy ojciec będzie przy tym obecny, czy nie.

W oczach Etain zakręciły się łzy.

- Tak bardzo go teraz potrzebuję, Fiono, tak bardzo...

Fiona nie zdążyła niczego powiedzieć, ponieważ zaczynał się następny skurcz. Wyjątkowo bolesny,

Etain czuła, że robi jej się słabo. Przerazona, chwyciła się kurczowo ręki Fiony.

- Boli mnie! Okropnie!

Natychmiast została otulona płaszczem łagodnych, dodających otuchy głosów kobiet. Kilka z nich zaczęło nucić pieśń narodzin, kilka z nich przemówiło do Pierwszej Wybranej radosnym głosem, dostosowując się do rytmu melodii.

- Jesteśmy przy tobie, milady!

- Znakomicie dajesz sobie radę!

- Oddychaj razem z Fioną, Pierwsza Wybrana!

- Odpręż się, Bogini. Pamiętaj, że z każdym bólem twoja córka jest bliżej tego świata.

- Nie możemy się doczekać, kiedy ją powitamy, milady!

Ich głosy kołysały Etain, a jednocześnie były kotwicą, trzymającą jej zdolność koncentracji na uwięzi.

Dzięki temu była w stanie skupić się i pracować nad swoim oddechem, dostosowując go do spokojnego, miarowego oddychania Fiony. Była w stanie też uśmiechnąć się do otaczających ją kobiet.

Kobiety roześmiały się, tak radośnie, tak zaraźliwie, że

Etain, przyciskając rękę do swojego twardego teraz brzucha, musiała pójść za ich przykładem. Też zaśmiała się, potem zamknęła oczy, pragnąc, by jej ciało choć trochę się odprężyło. Pragnąc też czegoś więcej.

Och, Epono, proszę, proszę, spraw, żeby pojawił tu się w porę...

- Cierpliwości, Umiłowana - odezwał się nagle w jej mózgu znajomy głos. - Przecież Szaman nie przeoczy narodzin swojej córki.

Kąciki ust Etain leciutko opadły, kiedy usłyszała łagodne upomnienie.

- Dziękuję, Epono - szepnęła i podniesiona na duchu obietnicą Bogini, poczuła nagły przypływ energii. - Fiono! Pochodźmy trochę!

Fiona zmarszczyła czoło.

- Jesteś pewna, Etain?

- Oczywiście! Sama mówiłaś, że jak się chodzi, dziecko urodzi się szybciej!

Podawała obie ręce przyjaciółce i przy jej pomocy wstała z szezlonga.

- A wy, moje drogie, kiedy będę starała się przyspieszyć nadejście mojej córki, śpiewajcie mi. Bardzo proszę!

Kobiety radośnie zaklaskały, kilka z nich rozpoczęło rytualne płąsy.

Etain wzięła Fionę pod rękę i obie, minawszy obłoki prawie przezroczystych zasłon, wyszły na dwór.

Etain zrobiła głęboki wdech.

- I to jest właśnie to, czego będzie mi brakować, kiedy nie będę już w ciąży - oznajmiła, a widząc pytanie w oczach Fiony, wyjaśniła dokładniej. - Od samego początku ciąży mój zmysł powonienia niebywale się wyostrzył.

Nachyliła się nad krzakiem róży. Delikatnie musnęła palcami aksamitne płatki i poszła dalej.

- Dziwne, pra... - Dalsze słowa przeszły w osobliwy pomruk. Nowy skurcz dawał znać o sobie. Etain,

ciężko dysząc, oparła się całym ciałem o Fionę.

- Spokojnie, Etain. Pamiętaj, nie walcz z tym - powiedziała Fiona wprost do jej ucha. - Może już wrócimy?

Etain pokręciła przecząco głową.

- Nie, nie! Na dworze łatwiej mi oddychać. Skurcz minął. Etain wyprostowała się i otarła rękawem pot z czoła.

- Chcę być tutaj, gdzie wiatr. Niesie ze sobą ich pieśń. Jakby cały świat był pod wpływem magii narodzin tego dziecka.

Oczy Fiony nagle zalśniły od łez.

- Bo to i prawda, milady - szepnęła, ostrożnie obejmując swoją panią. - Bo to i prawda!

Poszły dalej przez ogród. Etan starała się nie myśleć o bólu, skupiając się teraz na łaskawości Bogini, której była Wybranką. Bogini Epony. Ludność Partholonu czciła wielu bogów i bogiń, ale Epona w

ich sercach zajmowała szczególne miejsce.

Bo to Epona zawsze tchnie życie w poranne niebo, to Jej twarz odbija się w księżycu w pełni. Jest Boginią Wojowników, Boginią Konia, a jednocześnie Boginią Żniw. Cały Partholon zawsze będzie czcił ją też jako swoją opiekunkę. Bo to Wybranka Epony razem ze swoim mężem Szamanem odparła atak okrutnych demonów Fomorian i uratowała Partholon przed zniewoleniem. Od tamtej wojny minęło prawie stulecie, Fomorianie zajmowali już bardzo niewiele miejsca w umysłach i sercach Partholończyków, którzy jednak nigdy nie zapomnieli i nie zapomną o łaskawości i szczodrości Epony.

A Umiłowana Epony zawsze będzie otoczona najgłębszą czcią.

Teraz Umiłowaną przez Boginię, Pierwszą Wybraną Epony była ona, Etain. Przypomniała sobie o tym w chwili, gdy ciężko dysząc, starała się jakoś przebrnąć przez kolejny skurcz. Przypomniała sobie także, że z tej właśnie przyczyny jej pierwszym dzieckiem będzie dziewczynka i dziewczynka ta, jak

jej matka, będzie naznaczona przez Boginię. Będzie wnuczką legendarnej Rhiannon, pogromczyni Fomorian. Będzie Wybraną Epony, jak jej matka. Ta myśl była tak ekscytująca, że cały poród wydał się Etain już nie taki trudny. Od tej chwili zdecydowanie łatwiej jej było znieść trudy porodu.

Kolejny skurcz rozproszył myśli Etain. Skurcz całkiem inny niż dotychczas, towarzyszyło mu uczucie, jakby w środku wszystko zapłonęło i koniecznie trzeba przeć. Koniecznie. Tak bardzo, że Etain aż krzyknęła.

Fiona pomogła jej usiąść na ziemi.

- Muszę przeć - wydyszała Etain.

- Nie! Nie! Zaczekaj!

Fiona szybko odwróciła się w stronę okien sypialni.

- Chodźcie tu! Prędko! Bogini was potrzebuje!

Etain nie potrafiłaby powiedzieć, czy ktokolwiek usłyszał Fionę, ponieważ cała jej uwaga skupiona była teraz na tym, co działo się w niej, w środku. Potrzeba parcia była niezwykle silna, taka pierwotna.

Udawało jej się jednak ją zwalczyć, bo lęk o dziecko był silniejszy.

A potem, przez skorupę jej skupienia przebił się odgłos, który sprawił, że serce Etain z wielkiej radości zabiło szybciej. Usłyszała stukot kopyt, uderzających mocno o ziemię ścieżki. Zza zakrętu wybiegł centaur i przykląkł przy Wybranej.

- Kochanie, wszystko będzie dobrze. Obejmij mnie teraz mocno za szyję.

Miała wrażenie, że niski, dźwięczny głos męża odpędza ból. Skurcz mijał, po krótkiej chwili przeszedł.

Etain bez słowa zarzuciła ręce na twarde jak granit mężowskie ramiona, które podniosły ją z ziemi bez najmniejszego wysiłku. Centaur zrobił kilka długich kroków i już widać było okna sypialni. Zaledwie

po kilku sekundach ostrożnie układał żonę na szezlongu. Trzymała się męża kurczowo, ale niepotrzebnie. On wcale nie miał zamiaru wypuścić ją ze swoich ramion.

- Jestem taka szczęśliwa, że tu jesteś - powiedziała, z trudem łapiąc powietrze.

Uśmiechnął się, odgarniając przepecone loki z twarzy żony.

- Jestem tam, gdzie powinienem być.

- Tak się bałam, że nie zdążysz. Nie wierzyłam, że Moira zdąży cię odnaleźć.

- To nie Moira - powiedział i musnął wargami jej usta. - Zrobiła to twoja Bogini.

Och, dziękuję Ci, Epono, dziękuję, że sprowadziłaś go tu w porę. Dziękuję, że dałaś mi go za męża...

Patrzyła przez łzy, jak jej przystojny mąż centaur poprawia poduszki, na których miała się oprzeć. Po pięciu latach małżeństwa jego siła i żywotność nadal ją zachwycaly. Jego niezwykła postać centaury.

Oczywiście, jako Najwyższy Szaman posiadał zdolność przemiany swej postaci, dzięki czemu mogli współżyć ze sobą jak małżonkowie. Ale Etain kochała go całkowicie, pod każdą postacią i nie

przestawała upajać się faktem, że dzięki Bogini ktoś tak cudowny został jej mężem.

Niestety, nie zdążyła mu powiedzieć po raz kolejny, że

go kocha, ponieważ poczuła nowy skurcz. Jej jęk wezwał Uzdrowicielkę.

- Milordzie, pomóż mi ułożyć ją w pozycji do rodzenia. Trzeba ją unieść do góry.

Zrobił dokładnie to, co powiedziała Uzdrowicielka. Stał za plecami żony, wziął ją pod pachy i

podciągnął w górę, żeby mogła oprzeć się o niego mocno plecami. Fiona ustawiła się po prawej

stronie Etain i wzięła ją za rękę, z drugiej strony stanęła jedna z kobiet z wioski i też wzięła Etain za rękę.

Etain spojrzała na Uzdrowicielkę, która przykucnęła między jej nogami. Wtedy dotarło do niej, raczej mgliście, że jest naga.

Uzdrowicielka ostrożnie sprawdziła położenie płodu.

- Jesteś w pełni gotowa - oznajmiła. - Przy następnym skurczu przyj.

Tylko przec, nic więcej. A więc parła, a pod jej zaciśniętymi z całej siły powiekami trwała eksplozja najwspanialszych barw. Zobaczyła wielkie plamy złota i czerwieni, do uszu natomiast docierały jakieś

dziwne gardłowe dźwięki, niepodobne do dźwięków wydawanych przez człowieka. Raczej

zwierzęcia. Po chwili jednak uzmysłowiła sobie, że te dźwięki wydaje ona sama.

Na jedną chwilę zabrakło jej tchu, a zaraz potem jej umysł zarejestrował ciche nucenie, docierające do niej jak przez mgłę. Nie widziała tych kobiet, ale słyszała. Śpiewana przez nie pieśń narodzin wnikała w nią, wypełniała ją całą i znów była w stanie zaczerpnąć powietrza.

- Jeszcze raz, Bogini, jeszcze raz - zachęcała Uzdrowicielka. - Widzę już główkę twojej córki!

W chwili, gdy nowy ból rozdzierał ciało Etain, usłyszała cichy szept Midhira. Modlił się, na pewno, w tym

swoim starym języku, który dla Etain był zawsze magiczny. Jego modlitwa dziwnie współbrzmiała z

pieśnią narodzin. Midhir szeptał, a Etain, opanowana nowym skurczem, rozrywającym ją na pół,

miała tylko przec. Bała się panicznie, ale siłę czerpała z zewnątrz, z magicznego kręgu narodzin.

Magia wsparła jej siłę woli. Skupiła się, zaczęła przec, po chwili poczuła, że uwalnia z siebie ciepłą wilgoć. Z jej ciała wyslizgnęła się jej córka. I nagle czas jakby teraz przyspieszył. Wszystko działo

się tak szybko. Etain bardzo chciała chociaż raz zerknąć na swoją córkę, udało jej się jednak tylko dostrzec, jak Uzdrowicielka zawija mokre ciało w fałdy swojej spódnicy.

Kiedy stara kobieta przecinała pępowinę, trzęsły jej się ręce.

Cisza.

Midhir i Fiona podprowadzili Etain z powrotem do szezlonga.

- Dlaczego ona nie płacze?! - krzyknęła z rozpaczą Etain.

Midhir przymrużył oczy i wyraźnie zaniepokojony odwrócił się do Uzdrowicielki, która nadal siedziała skulona na podłodze nad małym tłumoczkiem.

A zaraz potem rozległ się mocny krzyk noworodka. Najśłodszy. Etain poczuła, że strach znika. Ale tylko na krótką chwilę, bo kiedy spojrzała na Uzdrowicielkę, zauważyła, że stara kobieta wyraźnie zbladła. Była czymś bardzo poruszona.

Mądre Kobiety też, bo radosna pieśń powitalna nagle ucichła.

- Midhir?

Niby pytanie, a zabrzmiało jak szloch. Centaur z prędkością, jakiej człowiek nigdy nie osiągnie, dopadł do głośno płaczącego tłumoczka. Uzdrowicielka podniosła głowę. W jej oczach była niepewność, więcej - przerażenie. Midhir ukląkł, odkrył dziecko i zamarł.

Jego potężne ciało zasłaniało noworodka. Etain nie mogła więc zobaczyć dziecka. Coraz bardziej wystraszona, starała się pokonać osłabienie, usiąść i wreszcie cokolwiek zobaczyć.

- Co tam jest? - krzyknęła rozpaczliwie. Zauważyła, jak potężnym ciałem Midhira wstrząsnął dreszcz, zaraz potem nachylił się, podniósł oseska z podłogi i odwrócił się do żony. Jego oczy błyszczały.

- Nasza córka, kochanie - powiedział głosem nabrzmiętym od wzruszenia. - Maleńka bogini!

Podszedł do Etain i ostrożnie wręczył jej teraz cichy, ale wierzgający tobolek. Wybrana Epony po raz

pierwszy spojrzała na swoje dziecko.

Pierwsza myśl, jaka przemknęła jej przez głowę, wcale nie był to szok czy zaskoczenie. Pomyślała po

prostu, że nigdy jeszcze w życiu nie widziała czegoś tak pięknego, tak nieskończenie pięknego jak jej pokryta jeszcze mazią płodową córeczka. Główka w kasztanowatych kosmyczkach, skóra jasna, ale śniada, coś pośredniego między brązem a złocistością. Jakby ktoś zmieszał kolory skóry ojca i matki.

Pozłacana skóra dziecka kończyła się w talii. Od tego miejsca ciało pokryte było cienką warstwą włosów w kolorze tym samym, co włosy na głowie. Na kasztanowatym tle widać było białe cętki, jak u nowonarodzonego jelonka. Dziecko popiskiwało i wierzgało nóżkami, na końcu których nie było stóp, tylko maleńkie, lśniące kopytka. Jeszcze wilgotne.

Usteczka też prześliczne. Teraz otworzyły się i wydobył się z nich pełen oburzenia krzyk.

- Ciii... mój skarbie - przemówiła słodko Etain,

całując maleńką twarzyczkę, zachwycająco, cudownie mięciutką. Była teraz cała miłością, miłością do swojego dziecka. - Jestem przy tobie. Nic złego się nie dzieje.

Wydawało się, że na dźwięk głosu matki oczy dziecka rozszerzyły się. Krzyk od razu ucichł.

- Elphame.

Niski głos Midhira załamywał się ze wzruszenia. Ukląkł, jedną ręką objął żonę, żeby mogła się na nim

wygodnie oprzeć, drugą ręką delikatnie dotknął dziecka.

- Elphame... - powtórzył, a cudowny głos nadawał temu słowu magiczny wymiar. Jakby wprowadzał do ich grona Królową Wrózek.

Etain spojrzała na niego przez łzy. Elphame... To imię gdzieś już słyszała. Ale gdzie? Może w jakimś śnie?

- Co to znaczy... Elphame?

Ciepłe wargi Midhira musnęły czoło żony, potem czółko córeczki.

- To bardzo stare imię, tak nazywają szamani Boginię, kiedy jest panną, kiedy wypełniona jest magią młodości, kiedy cud życia zaczyna się na nowo.



- Elphame... - powtórzyła cichutko Etain, naprowadzając głodne usteczka dziecka na swoją obolałą pierś. - Mój skarb, mój największy skarb.

- Tak, Umiłowana - przemknął przez jej umysł głos Bogini. - Szaman dobrze wybrał imię. Powinna nazywać się Elphame. Ogłoś całemu Partholonowi, że twoja nowo narodzona córka nazywa się Elphame i też jest moją Umiłowaną.

Etain uśmiechnęła się promiennie. Podniosła głowę i głosem niezwykle silnym, bo spotęgowanym przez moc Epony wypowiedziała radosne słowa:

- Raduj się, Partholonie! Narodziny naszego dziecka to dar godzin Bogini! - Jej wzrok przemknął po twarzach

otaczających ich kobiet, stojących nieruchomo i spoczął na zalanej łzami twarzy ojca dziecka. - Jej imię jest Elphame! Jest prawdziwą boginią, maleńką, przepiękną, jest wyjątkowa!

Kiedy Wcielenie Bogini wygłosiło swoje oświadczenie, w powietrzu dookoła dał się wyczuć jakiś ruch, gwałtowny, jakby trzasnęła błyskawica. Zaraz potem powiał wiatr i odsunął na bok cieniutkie złociste zasłony, wpuszczając do pokoju świeże, pachnące i ciepłe powietrze - i nagle wszyscy zostali otuleni cieniutką chmurą z delikatnych skrzydeł. Setki barwnych lśniących motyli, trzepocząc, unosiło się wokół nich, nad nimi i wachlowało ich, zachwycając swoją magią.

- Dziękuję, Epono! - zawołała Etain, zachwycona tym przejawem radości i zadowolenia Bogini.

Kobiety zaczęły nucić i obracać się dookoła, najpierw powoli, potem coraz szybciej, rozpoczynając radosny obrzęd powitania nowo narodzonego dziecka w Partholonie.

Etain wypoczywała w ramionach męża, tulącego do twardej, mocnej piersi całą swoją rodzinę.

- Magia młodości. Cud nowego życia... - szepnęła, wpatrzona w córeczkę. Nie chciała przeoczyć ani jednego oddechu maleństwa, ani jednego ruchu. Jednocześnie palce matki pieśczośliwie przesuwały się po maleńkiej postaci. Dotknęły niezwykłych nóżek, poznały dokładnie kształt maleńkich kopytek.

Dziewczynka-satyr? Nie, niemożliwe, nie ma w niej nic z kozy. Jest zbyt delikatna, zbyt pięknie ukształtowana, nie ma w niej nic na podobieństwo bożka Pana. Po prostu jest cudownym połączeniem

człowieka, centaury i bogini.

Znów fala zachwytu przepłynęła przez Etan, z gardła wydobył się perlisty śmiech.

Midhir w odpowiedzi delikatnie uścisnął jej ramię.

- Dla mnie ona jest też czymś cudownym.

Etain pokiwała głową, zgadzając się z nim całkowicie i śmiejąc się jeszcze głośniejszym, pogłaskała jedno z małych kopytek Elphame.

- Tak, dla mnie też. Ale teraz śmieję się, bo coś sobie przypomniałam. Czasami, kiedy kopała mnie bardzo mocno, żartowałam sobie, że moje dziecko chyba już tam, w moim brzuchu, ma na nóżkach buciki. A teraz wiem już, dlaczego mnie tak bolało.

Znów zaśmiała się, Midhir zawtórował. Oboje upajali się magią ich nowo narodzonej córki.

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Siła. Nic nie smakuje jak ona, nawet najlepsza czekolada w całym Partholonie. Nawet piękno idealnego wschodu słońca. Nawet... Nie, to nie, przecież o tym nie miała żadnego pojęcia... Elphame potrząsnęła głową, zmuszając swoje myśli, by pobeigły innym torem. Przecież biegła. Silny, porywisty wiatr szarpał ją za włosy, długie kosmyki opadały na twarz. Żałowała, że nie związała włosów w kitkę. Zwykle tak robiła, ale dziś chciała, żeby były rozpuszczone, chciała poczuć ich ciężar. A poza tym, co tu ukrywać, lubiła, kiedy powiewały jak płomienisty ogon meteora.

Mniejsza koncentracja, krok mniej pewny. Dlatego

kazała swoim myślom przestać błędzić. Żeby osiągnąć odpowiednią prędkość, trzeba się skupić. Poza

tym, chociaż na polu, po którym biegła, dołów, kamieni i przeszkód innego rodzaju było bardzo niewiele, i tak trzeba uważać. Bardzo łatwo złamać nogę, wystarczy jeden nieostrożny krok. Przez całe swoje życie Elphame wierzyła przede wszystkim w rozsądek, unikając jak ognia wszystkiego, co głupie i lekkomyślne. Zwyczajni ludzie mogą pozwolić sobie na codzienne, zwyczajne błędy, na odrobinę szaleństwa. Ale nie Elphame, ktoś, na kogo wystarczyło spojrzeć, by wiedzieć, że została

naznaczona przez Boginię i dlatego zawsze trzymano ją z daleka od wszystkiego, co uważane było za codzienne i zwyczajne.

Elphame pogłębiła oddech i zmusiła górną połowę ciała do odprężenia. Napięcie tylko w dolnych partiach, tak ma być, powtórzyła sobie w duchu. Cała reszta rozluźniona, niech robotę wykonuje najsilniejsza część twego ciała.

Kiedy zebrała się w sobie i wyprysnęła do przodu, jej zęby błysnęły w uśmiechu dzikim, prawie bezlitosnym. Uwielbiała, kiedy sploty mięśni w nogach odpowiadały na jej wyzwanie, kiedy ręce pompowały powietrze bez żadnego wysiłku, kiedy kopyta wgrzyzały się w miękki zielony dywan młodego pola.

Była szybsza niż człowiek. O wiele szybsza.

Wymagała od siebie więcej niż zrobiłby to zwyczajny człowiek, a jej ciało spełniało jej żądania z siłą większą niż siła człowieka. Na długich dystansach może i nie była tak szybka jak centaur, ale w sprincie bardzo niewielu centaurom udawało się ją prześcignąć, co jej brat wręcz z lubością podkreślał

na każdym kroku. Poza tym wiedziała, że jeszcze trochę ciężkiej pracy i nikt nie będzie w stanie jej pokonać. Ta myśl była prawie tak samo satysfakcjonująca jak wiatr na jej twarzy.

Kiedy poczuła w mięśniach żar, zignorowała to, wiedząc doskonale, że musi po prostu przebrnąć przez moment zmęczenia mięśni. Zaczęła jednak biec teraz pod kątem, zataczając koło, żeby wrócić do miejsca, skąd wystartowała.

Ale nie na zawsze, na pewno nie na zawsze. Taką złożyła sobie w duchu obietnicę i przyspieszyła kroku.

- Bogini... - szepnęła niemal z czią Etain, obserwując swoją córkę. - Jaka ona piękna! Czy ja kiedykolwiek do tego przywyknę?

W jej głowie zamigotało, jak zwykle, kiedy przemykał przez nią głos Epony:

- Ona jest kimś wyjątkowym, Umiłowana.

W środku kępy drzew, rosnących na końcu pola, ściągnęła wodze. Siwa klacz zatrzymała się, wykręciła łeb i postawiła uszy. Taki koński sposób zadawania pytań jeźdźcowi. A Etain wiedziała, że

jej klacz, końskie wcielenie Bogini Epony, istotnie ją pyta i należy się wytłumaczyć.

- Ja po prostu chcę sobie na nią popatrzeć. Czworonoga Bogini parsknęła.

- Wcale jej nie szpieguję! - zaprotestowała oburzona Etain. - Jestem jej matką! Mam prawo się przyglądać, jak moja córka biega!

Klacz rzuciła łbem, na znak, że wcale nie jest tego taka pewna.

- A właśnie, że mam! - oświadczyła Etain i szarpnęła za wodze. - A ty okazuj mi więcej szacunku, bo następnym razem zostaniesz w świątyni!

Klacz skomentowała to kolejnym parsknięciem, Etain nie kontynuowała już dialogu, poprzestając na kąśliwej uwadze na temat gderliwych starych stworzeń. Naturalnie,

zrobiła to cichusieńko, żeby klacz nie dosłyszała, a potem osłoniła ręką oczy przed słońcem i dalej patrzyła na córkę.

Elphame rozwinęła ogromną prędkość, tak ogromną, że dolne partie jej ciała zamazywały się przed oczyma matki. Lekko pochylona biegła wyjątkowo zręcznie, z ogromnym wdziękiem. Wydawało się, że frunie nad bujnymi młodymi zielonymi pędami pszenicy, budząc, jak zawsze, zachwyty matki.

- Cudowne połączenie człowieka z centaurem - szepnęła Etain do klaczy, która znów nadstawiła uszu.

- O, Bogini, jesteś nieskończenie mądra...

Elphame zakończyła bieg po wymagowanym okręgu i zaczęła kierować się ku zagajnikowi, gdzie czekała jej matka. Biegła tam w purpurowym blasku zachodzącego słońca, jej piękne ciemnokasztanowe włosy przybrały teraz barwę ognia.

- Prosty włos na pewno nie odziedziczyła po mnie - powiedziała Etain do klaczy, zaczesując sobie za ucho jeden z niesfornych loków. Klacz zastrzygła lewym uchem, Etain dokończyła: -

Owszem, te czerwone refleksy ma po mnie. Ale jeśli chodzi o włosy, to tylko to.

Po matce Elphame odziedziczyła także kształt oczu i ich wielkość - były ogromne i okrągłe - oraz wysoko osadzone kości policzkowe. Ale kolor oczu, ciemnobrązowych, prawie czarnych, miała po ojcu. Natomiast cała reszta była absolutnie jedyna w swoim rodzaju. Pod względem budowy może i nie była tak do końca unikatem, ale uroda tego ciała była niezwykła. Coś tak pięknego mogło być tylko dziełem samej Bogini,

Elphame zwolniła krok, kierując się dokładnie ku miejscu, gdzie czekała matka.

- Pokażemy się jej - zdecydowała Etain, informując o tym klacz. - Bo jeszcze gotowa pomyśleć, że schowałyśmy się tutaj, żeby ją podglądać.

Kiedy klacz wysuwała się spośród drzew, Elphame, jak zwykle czujna, natychmiast spojrzała w stronę

zagajnika. Na widok matki rozpromieniła się.

- Mamo! - zawołała, machając do niej na powitanie. - Może dołączycie do mnie? Pobiegnę jeszcze kawałek, powolutku, żeby ochłonać!

- Oczywiście, kochanie! - odrzyknęła matka. - Ale proszę, naprawdę zwolnij. Wiesz, że klacz posunęła się już w latach...

Nie dokończyła, bo rzekomo niedołączna z powodu starości klacz z miejsca ruszyła żwawym galopem i zrównała się z Elphame.

Elphame wybuchnęła śmiechem.

- Och, Mamo! Wy obie nigdy nie będziecie stare!

- Ona się tylko tak przed tobą popisuje - oświadczyła Etain, jednocześnie czule wicherząc jedwabistą grzywę klaczy.

- Tylko ona? - spytała Elphame, spoglądając znacząco na błyszczącą biżuterię matki i na jej strój do konnej jazdy, z cieniutkiej jasnej skóry i uwodzicielsko obcisły, podkreślający tym nadal idealną figurę.

- El, wiesz przecież, że noszenie tych klejnotów ma dla mnie wymiar duchowy - powiedziała matka głosem Umilowanej.

Córka skrzywiła się.

- Wiem, wiem, Mamo.

Klacz parsknęła, zdecydowanie sarkastycznie, w rezultacie i matka i córka, podążając przed siebie, zanosły się od śmiechu.

- Gdzie ja zostawiłam moje ubranie? - mruzczała kilka

chwil później Elphame, rozglądając się po zagajniku. - Może tam? Nie. Chyba położyłam je na tamtym pniu.

Etain patrzyła, jak jej córka w poszukiwaniu swojego ubrania przechodzi przez pień przewalonego drzewa. Teraz Elphame miała na sobie tylko skórzany top bez rękawów, przylegający ściśle do jej pełnych piersi. Biodra przepasane były płóciennym pasem, zasłaniającym umięśnione pośladki. Na biodrach pas podsuwał się w górę, z przodu opadał, przechodząc w trójkąt. Etain sama wymyśliła ten strój niekrępujący ruchów, co pomagało Elphame rozwijać szybkość przekraczającą możliwości człowieka, a jednocześnie zakrywało to, co nie powinno być wystawiane na pokaz. Bo Elphame, oprócz błyszczącej sierści od pasa w dół i kopyt, zbudowana była jak wszystkie kobiety. Ten strój nakładany był tylko do biegania, choć kobiety w Partholonie z reguły ubierały się skąpo, z dumą pokazując swoje wdzięki. Etain podczas obrzędów odsłaniała piersi, by podkreślić miłość Epony do kobiecych kształtów. Elphame jednak na co dzień spowijała się w długie, powiewające szaty, pomna,

że widok nóg zakończonych kopytami dla przeciętnego śmiertelnika jest szokującym widokiem.

Nienawidziła tych przerażonych spojrzeń ludzi na widok Wybranej w sposób tak oczywisty dotkniętej

przez Boginię. Dlatego swoje długie, owiewające ją szaty zamieniała na skąpy strój tylko wtedy, gdy biegała, a biegała zwykle sama, z dala od świątyni.

- O! Już znalazłam! - zawołała Elphame zza przewalnego pnia. Nachyliła się i podniosła z ziemi cienkie płótno, farbowane na piękny szmaragdowy kolor i zaczęła owijać nim swoją szczupłą talię. Oddychała już normalnie, cienka warstwa potu na pokrytych delikatnym puszkim ramionach znikła.

Była przepięknie zbudowana. Gładka, lśniąca, wysportowana. W jej wyrzeźbionym perfekcyjnie ciele

nie było nic męskiego, surowego. Brązowa skóra lśniła jak jedwab, sama prosiła się, żeby jej dotknąć.

A kiedy jej się dotknęło, człowiek zdawał sobie sprawę, ile siły kryje się w mięśniach obciągniętych żywym jedwabiem.

Niewielu ludzi ośmieliło się dotknąć młodej bogini.

Była wysoka, prawie metr osiemdziesiąt, wyższa od matki o kilka centymetrów. Dojrzewała wcześniej, jej postać i ruchy były wtedy trochę niezręczne, harmonia jednak powróciła, kiedy przeistoczyła się w kobietę. Od pasa w dół była perfekcyjnym połączeniem człowieka i centaury.

Piękna i ponętna jak kobieta, silna i zręczna jak centaur.

Etain uśmiechnęła się do córki, którą od chwili narodzin darzyła najgorętszą, matczyną miłością.

- Wcale nie musisz tego nosić, El.

Była pewna, że tylko tak sobie pomyślała. Ale nie, bo córka poderwała głowę.

- Muszę - powiedziała krótko, głosem, podobnie jak u matki, stwardniałym od tłumionych emocji. -

Co innego ty, co innego ja. Oni patrzą na mnie inaczej niż na ciebie.

- Jak patrzą? A może ktoś powiedział ci coś przykrego? Powiedz, kto, a odczuje on na własnej skórze gniew bogini!

Oczy Etain ciskały zielone błyskawice, a głos Elphame, kiedy odpowiadała matce, był idealnie bezbarwny. Bez śladu emocji.

- Oni nie muszą mi niczego mówić, Mamo.

- Skarbie mój... - Gniew znikł z oczu matki, była tam tylko czułość. - Wiesz, że wszyscy bardzo cię

kochają. Wszyscy...

- Nie! - Elphame podniosła rękę, dając znak matce,

żeby jej nie przerywała. - Oni kochają ciebie, Mamo, a mnie darzą tylko czią. To nie to samo.

- Jesteś pierworodną Umiłowanej Epony, El. Jesteś wyjątkowo obdarowana przez Eponę, to normalne, że oddają ci cześć...

Klacz, wyczuwając wzburzenie Elphame, trąciła aksamitnymi chrapami jej nagie ramię. El pogłaskała

konia po lśniącej szyi i spojrzała znów na matkę.

- Jestem inna, Mamo. Niezależnie od tego, jakbyś nie pragnęła dopasować mnie do tutejszej rzeczywistości, niczego to nie zmieni. Zawsze będę inna, dlatego muszę stąd odejść.

Serce matki ścisnęło się z bólu, ale zmusiła siebie do milczenia, pozwalając córce mówić dalej.

- Jestem traktowana jak ktoś obcy, ktoś nie stąd. Co wcale nie znaczy, że ludzie źle mnie traktują, nie

- dodała szybko, przytulając się policzkiem do srebrzystego czoła klaczy. - Ale stronią ode mnie,

jakby bali się, że kiedy podejda, dotkną mnie, rozpadnę się na tysiąc kawałków. Jestem dla nich posągiem, który jakimś cudownym sposobem ożył. A posągów się nie kocha, prawda, Mamo? Tylko

ustawia się w zaszczytnym miejscu i dba się o nie. Ale się nie kocha.

- Ale ja kocham ciebie - powiedziała Etain zdławionym głosem.

- Mamo! Przecież wiem! - Elphame poderwała głowę i przechwyciła spojrzenie matki. - Ty mnie

kochasz i tata, i Cuchulainn, i Finegas, i Arianrhod. Musicie mnie kochać... - po twarzy Elphame

przemknął uśmiech - bo jesteśmy jedną rodziną. Ale nawet nasi strażnicy, którzy ciebie czczą,

uwielbiają i bez wahania oddaliby życie za każdego z nas, mnie uważają za coś absolutnie nietykalnego.

Klacz zrobiła krok do przodu, El oparła się o jej bok. Etain najchętniej objęłaby teraz córkę, ale

wiedziała, że to bezcelowe. El natychmiast by zeszywniała i burknęła, że już od dawna nie jest

dzieckiem. Dlatego pogłaskała ją tylko po lśniących, jedwabistych włosach, pragnąc najgoręcej, żeby



Epona poprzez jej ręce zesłała El ukojenie.

- Chciałaś ze mną porozmawiać, Mamo, czy tak? - spytała cicho El. - Dlatego tu na mnie czekałaś?

- Tak - odparła szczerze matka. - Chciałam jeszcze raz spróbować wyperswadować ci ten pomysł z wyjazdem. El, kochanie, dlaczego nie zostaniesz tutaj, żeby kiedyś zająć moje miejsce?

Córka natychmiast odsunęła się od konia, wyprostowała i zaczęła energicznie potrząsać głową. Ale

Etain z uporem mówiła dalej:

- Rządzę od dawna, to był czas obfitujący w wielkie wydarzenia. Jestem gotowa się wycofać.

- Nie! - zaprotestowała stanowczym głosem Elphame, która na samą myśl o tym, że miałyby zająć miejsce matki, wpadała w panikę. - Wcale nie jesteś gotowa, Mamo! Spójrz na siebie! Wyglądasz na osobę o wiele młodszą, o dziesięć, dwadzieścia lat! Kochasz wszystkie obrzędy związane z Eponą, a ludzie chcą, żebyś to ty je odprawiała. Nie wolno ci też zapominać o tym, co najważniejsze. Świat duchów jest przede mną zamknięty. Nigdy nie słyszałam głosu Epony, nigdy nie poczułam jej dotknięcia, nigdy nie poczułam żadnej magii!

- Ale Epona często rozmawia ze mną o tobie - powiedziała cicho Etain, głaszcząc córkę po policzku.

-  
Jeszcze zanim się urodziłaś, już troszczyła się o ciebie.

- Wiem, że Bogini mnie kocha, ale ja nie jestem jej Pierwszą Wybraną.

- Jeszcze nie - powiedziała matka.

Elphame nie odezwała się, tylko oparła o ciepłą, tak doskonale znajomą szyję klaczy.

- Elphame, ja nadal tak do końca nie rozumiem, dlaczego musisz stąd odejść.

- Mamo! - Elphame odwróciła się, żeby spojrzeć matce prosto w twarz. - Mówisz tak, jakbym wybierała się na drugi koniec świata!

Rozzłościła się. I tak bardzo przypominała wtedy swego ojca...

Po twarzy Etain przemknął uśmiech, ale uśmiech bardzo gorzki. Była bardzo oddana swoim dzieciom od chwili, gdy pojawiły się na świecie. Wszystkie już dorosły, charaktery miały ukształtowane - a

matce tak trudno było wypuścić je spod swoich skrzydeł. Wolałaby mieć je zawsze przy sobie. Ich obecność dawała tyle radości, dostarczała tylu powodów do dumy...

- Mamo! Posłuchaj... - El mówiła teraz powoli, bardzo wyraźnie, pragnąc, by do matki dotarło każde słowo. - Nie wiem, Mamo, dlaczego tak bardzo przeżywasz mój wyjazd. Przecież nie po raz pierwszy

będę poza domem. Kiedy uczyłam się w Świątyni Muzy, wcale nie rozpaczałaś.

- Ale to było coś całkiem innego. Nie wyobrażałam sobie, żebyś nie pobierała nauk w Świątyni Muzy,

gdzie wykształciły się wszystkie najwybitniejsze kobiety z Partholonu. Teraz uczy się tam nasza

Arianrhod... - Etain uśmiechnęła się z wielką satysfakcją. - Obie moje córki są wyjątkowe i to też między innymi powód, dlaczego chcę je mieć blisko siebie.

- Gdybym wyszła za mąż, i tak musiałabym zamieszkać w domu męża.

W głosie El nie słychać już było rozdrażnienia, tylko znużenie.

- Mówisz to takim tonem, jakbyś nigdy nie miała wyjść za mąż, El. A przecież jesteś jeszcze bardzo młoda. Masz przed sobą wiele, wiele lat życia.

- Mamo! Proszę, nie kłóćmy się wciąż o to samo. Dobrze wiesz, że nikt się ze mną nie ożeni. Bo nie ma nikogo takiego jak ja i nikt nie ma ochoty być z boginią aż tak blisko!

- Twój ojciec mnie poślubił. Uśmiech El był bardzo smutny.

- Ale ty jesteś człowiekiem, Mamo. Od stóp do głów. A poza tym Wielki Szaman centaurów zawsze jest towarzyszem życia Umiłowanej Epony. Tata został stworzony po to, by ciebie kochać, dla niego to normalne. A jeśli chodzi o mnie... Jest oczywiste, że zostałam naznaczona przez Boginię, nie jestem jednak jej Wybraną. Epona wcale nie skłania żadnego szamana centaury, by został moim towarzyszem

życia. Sądzę zresztą, że żaden mężczyzna, żaden centaur nie został stworzony, by mnie pokochać, tak jak Tata kocha ciebie.

- Och, mój Jelonku! - Głos Etain załamał się, kiedy pod wpływem wzruszenia bezwiednie użyła tego pieszczotliwego przydomka z dzieciństwa. - Nie wierzę! Epona nie jest okrutna. Na pewno ktoś jest ci przeznaczony, tylko jeszcze cię nie odnalazł.

- Może. I może właśnie dlatego powinnam stąd wyjechać i poszukać go gdzie indziej.

- Ale dlaczego właśnie tam? Wcale mi się nie podoba, że jedziesz właśnie tam.

- Dlaczego, mamó? W końcu to tak samo dobre miejsce, jak każde inne. Stary zamek, który popadł w ruinę i najwyższy czas go odbudować. Pamiętasz, jak na dobranoc opowiadałaś mi różne stare historie? Mówiłaś, że to miejsce kiedyś było bardzo piękne.

- Tak. Dopóki nie zakradło się tam zło i miejsce to nie stało się miejscem rzezi.

- Ponad sto lat temu. Zło już odeszło, a zmarli mnie nie skrzywdzą.

- A ja wcale nie jestem tego taka pewna!

- Mamó... - El wzięła matkę za rękę. - MacCallan jest moim przodkiem. Dlaczego jego duch miałby wyrządzić mi krzywdę?

- Podczas rzezi w zamku MacCallana zginęło wielu ludzi. Nie tylko Przywódca Klanu, także wielu dzielnych, szlachetnych wojowników, którzy oddali za niego swoje życie. Dobrze wiesz, co mówią ludzie o tym zamku. To przeklęte miejsce. Od prawie stu lat nikt nie ośmielił się wejść na tamtejszą ziemię, a co dopiero zamieszkać w zamku!

- Ale ty, Mamó, odkąd sięgnę pamięcią, zawsze czuwałaś nad świątynią MacCallana i jej wiecznym ogniem! Pamięć o MacCallanie jest przez nas pielęgnowana, mimo że jego klan już nie istnieje.

Dlaczego więc jesteś tak zaskoczona, że chcę odbudować jego zamek? Przecież, pomijając wszystko, w moich żyłach płynie też jego krew!

Etain nie odpowiedziała od razu. Przez krótką chwilę rozważała możliwość okłamania córki. Mogła przecież powiedzieć, że sama Bogini przekazała jej, że zamek jest przeklęty. Mogła, ale kłamstwo nie

wchodziło w grę. Matka i córka bardzo się kochały i bezgranicznie ufały sobie nawzajem. A tego Etain nie zamierzała ani psuć, ani wykorzystywać w jakiś sposób. Poza tym nigdy by nie potrafiła skłamać na temat tego, co przekazuje jej Epona.

- Nie wierzę, El, że duch MacCallana mógłby cię skrzywdzić, ale jest całkiem prawdopodobne, że w starym zamku mieszkają inne, niespokojne duchy. Co do klątwy, to przyznaję, że to tylko bajka, jaką opowiada się, żeby

nastraszyć niegrzeczne dzieci. Aleja i tak nie mam żadnej gwarancji, że będziesz tam bezpieczna.

Poza tym, El, ja kompletnie nie rozumiem, dlaczego chcesz jechać tam już teraz, razem z robotnikami, którzy będą odbudowywać te ruiny. Nie możesz poczekać, aż zamek zostanie odbudowany, a przynajmniej do chwili, kiedy roboty będą już na ukończeniu?

Elphame westchnęła sobie w duchu. Cała Mama! Wybrana Epony przywykła do życia w luksusie, otoczona liczną służbą. Nie była w stanie zrozumieć, dlaczego jej córka nie boi się pobrudzić sobie rąk i żyć przez jakiś czas w prymitywnych warunkach.

- Chcę być tam od samego początku, Mamo, chcę, by na moich oczach i przy moim udziale przywrócono zamkowi MacCallana dawny blask. Chcę faktycznie odbudować go sama i zostać panią tego zamku i tej ziemi. Bo chcę mieć coś swojego, rozumiesz? Jeśli nie mogę mieć męża ani swoich własnych dzieci, to niech mam chociaż swoje królestwo. Mamo, proszę, zrozum to i daj mi swoje błogosławieństwo!

W oczach El było teraz błaganie.

- Ja po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa, mój kochany Jelonku.

- A to właśnie uczyni mnie szczęśliwą. Naprawdę wiem, co robię, Mamo. Proszę, zaufaj mi.

W głowie Etain zamigotało, głos Bogini zadźwięczał w uszach.

- Musisz jej na to pozwolić, Umiłowana. Zaufaj jej, niech sama idzie ku swemu przeznaczeniu. Zaufaj też mi, Umiłowana. Będę nad nią czuwać.

Etain zamknęła oczy. Głos Bogini był taki łagodny, ale serce i tak bolało, jakby ktoś wbił w nie

ostrze noża. Przez długą jeszcze chwilę zrozpaczona matka biła się ze swoimi myślami, z poczuciem straty. Potem nabrała głęboko powietrza, otworzyła oczy i otarła ręką policzki, nagle mokre.

- Ufam ci, El. Masz moje błogosławieństwo. Zawsze je będziesz mieć.

Twarz Elphame natychmiast przeszła metamorfozę. Znikł smutek, niestety goszczący tam zbyt często.

Rozpromieniona Elphame wyglądała bardzo młodo, tak młodo, że matkę znów zakłóło w sercu.

- Dziękuję, Mamo. Jestem przekonana, że takie jest moje przeznaczenie. A ty po prostu poczekaj cierpliwie. Pewnego dnia zobaczysz na własne oczy, jak zamek MacCallana znowu zatętni życiem!

Rozradowana Elphame uścisnęła z całej siły srebrzystą szyję klaczy.

- Wracajmy! Muszę skończyć się pakować. Wyjeżdżam przecież jutro, skoro świt.

Elphame, z łatwością dorównując kroku klaczy, cały czas mówiła z wielkim ożywieniem. Matka tylko

potakiwała głową, nie była jednak w stanie skupić się na tym, co mówiła córka. Bo już czuła ciężar rozłąki, już w jej duszy nagle powstawała czarna dziura. Złowroga i choć ten wiosenny wieczór był bardzo ciepły, Etain czuła, jak od karku w dół przebiega po jej grzbiecie lodowaty dreszcz.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

- Cu, czy mógłbyś mi przypomnieć, dlaczego ja właściwie się zgodziłam, żebyś jechał ze mną?

Elphame, zerkając na brata, konsekwentnie przyspieszała kroku, starając się zrobić to jak najbardziej dyskretnie. A musiała to zrobić, Cu bowiem śpiewał. Darł się na całe gardło, aktualnie wykonywał

pięćsetną chyba zwrotkę sprośnej marszowej piosenki. Te niekończące się pienia wbijały się Elphame

w prawą skroń, opanowując już i tak obolałą głowę. W rezultacie prawie już żałowała, że to za jej namową ona i brat podróżują osobno, odłączeni od reszty ludzi, podążających do zamku MacCallana.

Wielki izabelowaty wałach, na którym jechał Cu, odruchowo przyspieszył, by zrównać się z sunącą długimi krokami Elphame. Śpiew nagle umilkł i do uszu Elphame dotarł teraz głośny, serdeczny śmiech brata.

- Jadę jako twój obrońca, siostró moja!

Elphame prychnęła, dokładnie w taki sposób, jaki nie przystoi damie.

- Mój obrońca?! Daruj sobie. Jedziesz, bo chcesz trochę odpocząć od ugania się za dziewczynami ze świątyni. Zawsze sobie jakąś upatrzysz, i tu, i tam.

- Fantazjujesz, siostró moja! Stanowczo za dużo czasu spędzasz nad książkami z biblioteki matki. Bo przede wszystkim to ja nie uganiam się za dziewczętami...

- ... tylko za kobietami. Wiem, wiem. Zaraz też mi przypomnisz, że nie musisz się za nimi uganiać...

- Bo to prawda.

- Niech będzie. W każdym razie ja spodziewałam się, że zostaniesz w domu, pragnąc powitać... -

Elphame odchrząknęła i odrzuciła włosy w tył, znakomicie naśladowując ruchy i głos matki - piękną córkę pana na zamku Woulff, która zatrzyma się w Świątyni Epony w drodze do Świątyni Muzy, gdzie zamierza pobierać nauki.

Cuchulainn zacisnął mocno usta i Elphame na moment pożałowała, że zaczęła z nim się drażnić. Ale brat, człowiek wyjątkowo pogodny, wzruszył tylko ramionami i uśmiechnął się.

- Ona nazywa się Beatrice, siostró moja. Czy potrafisz wyobrazić sobie kogoś, kto ma na imię Beatrice, a nie ma wysokiego czoła i królewskiej postawy?

- Na pewno jest bardzo ładna.

- Ładna? Przede wszystkim szeroka w biodrach, zdolna urodzić gromadę dzieci!

- A więc o to chodzi...

Brat i siostra wymienili znaczące spojrzenia.

- Będę szczęśliwa, kiedy Arianrhod i Finegas osiągną odpowiedni wiek i Mama wreszcie zacznie ich swatać

- oznajmiła El, a Cuchulainn westchnął.

- Tego lata naszym bliźniakom stuknie osiemnastka, czyli Matka zacznie szaleć dopiero za trzy lata.

- Ale zacznie! Biedne dzieciaki. - El zerknęła na Cu.

- Wiesz, zaczynam żałować, że kiedy byliśmy dziećmi, nieraz dawaliśmy im porządnie w kość.

Cuchulainn zaśmiał się.

- A tak! Bo w rezultacie wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Matka żadnemu z nas nie popuści!

Elphame uśmiechnęła się tylko i ponownie przyspieszyła kroku, wysuwając się przed brata. Z konieczności, bo ścieżka w tym miejscu była bardzo wąska. Szła i rozmyślała o tym, o czym sobie przed chwilą pogadali. O tym, że jej sytuacja jest jednak niestety inna niż reszty rodzeństwa, Cuchulainna i bliźniaków. Oni byli ludźmi. Tylko ludźmi. Atrakcyjnymi, utalentowanymi istotami rodzaju wyłącznie ludzkiego.

Ona, Elphame i młodszy o półtora roku Cuchulainn byli do siebie bardzo podobni, można było nawet wziąć ich za bliźniaków. Elphame uśmiechnęła się niewesoło. Bliźniaków - ale tylko od pasa w górę.

Cuchulainn, tak jak El, miał wysoko osadzone kości policzkowe, rysy twarzy mieli podobne, ale u Elphame rzeźbione delikatnie, a u Cuchulainna twarde, męskie. Jej broda - po matce - uniesiona była zawsze buntowniczo, co po niej, starszej siostrze, wziął Cuchulainn. Jego broda też miała tendencję do unoszenia się, nadając twarzy uparty i dumny wyraz. Dodatkowo ozdobiona była uroczym dołkiem.

Brat i siostra różnili się kolorytem. Oczy siostry były

prawie czarne, włosy ciemnokasztanowe. A oczy brata miały kolor niezwykły, coś pośredniego między niebieskim i zielonym. Gęste włosy koloru słomy były bardzo niepokorne, dlatego Cu strzygł się na krótko i zaczesywał włosy gładko w tył. Co bardzo się nie podobało matce, która nie rozumiała, dlaczego Cu nie zapuszcza włosów, jak każdy porządny wojownik.

Ale Cuchulainn, syn Midhira, Wielkiego Szamana i Wodza Wojowników Centaurów, nic sobie z tego nie robił. Wcale nie musiał wyglądać jak „porządny wojownik”, on po prostu nim był. Nosił imię jednego ze starożytnych bohaterów Partholonu i niezależnie od długości włosów wyglądał i postępował bardzo adekwatnie do tego imienia. Wysoki, dobrze zbudowany, zwyciężał w turniejach i

był najlepszym szermierzem ze wszystkich ludzi w Partholonie. Nikt też ze zwykłych ludzi nie był w stanie pokonać go w łucznictwie. Elphame nieraz słyszała, jak dziewczęta, wzdychając do niego, szeptały między sobą, że Cuchulainn absolutnie musi być wcieleniem tamtego Cuchulainna ze starożytności.

Cu nigdy nie brakowało towarzystwa kobiet. Po prostu nie znalazł sobie jeszcze towarzyszk życia.

Ładnie wykrojone usta Elphame drgnęły od powstrzymanego śmiechu.

- Chociaż stara się, jak może - mruknęła zjadliwie. A potem posmutniała. Bo z nią, oczywiście, było całkiem inaczej. Cu, bardzo wyrobiony, zawsze czarujący wobec płci przeciwnej, miał wielkie doświadczenie, a Elphame żadnego. Nie poznała nawet jeszcze smaku pierwszego pocałunku.

Arianrhod i Finegas, zwani przez starsze rodzeństwo Małymi Uczonymi, nie mieli żadnych problemów ze znalezieniem partnerów do księżycowych obrzędów. Nie

byli tak wysportowani, jak Cu i Elphame, ale niewątpliwie wyrastali na inteligentnych, pewnych siebie ludzi. Podobni byli do siebie jak dwie krople wody, różniła ich tylko płeć. Bardzo urodziwi.

Arianrhod była w tym samym stopniu ładna, co Finegas przystojny.

Ścieżka, wiodąca przez stary las, skręcała w prawo. Zrobiła się szersza i Cuchulainn, pogoniwszy swego wałacha, znów zrównał się z siostrą.

- Ona przypomina mi naszą Mamę - powiedziała nagle El.

- Kto? - spytał wyraźnie zaskoczony Cu.

El spojrzała na niego z niesmakiem. Była przeświadczona, że brat odgaduje jej myśli. Kiedy mu się to

nie udawało, zawsze było to dla niej przykrą niespodzianką.

- Jak to, kto? Arianrhod! Dlatego chłopcy już wypatrują za nią oczy, a ona ma ich za nic. Tak przynajmniej było dotychczas, ale może coś się zmieniło podczas pierwszego jej semestru w Świątyni Muzy.

Koło turkusowych oczu brata pojawiły się zmarszczki. Uśmiechnął się.



- Arianrhod i tak zawsze będzie chodziła z głową w chmurach.

- Astronomia i astrologia są nierozzerwalnie związane z bóstwami losu, mojrami. Dlatego dogłębne przestudiowanie tych dziedzin nauki jest bardzo rozsądne - wygłosiła El, znakomicie naśladowując głos młodszej siostry.

Cu zaśmiał się.

- Nasza Mała Uczona! Dla niej ważne są tylko książki, ale może właśnie ta jej obojętność będzie prowokować chłopaków i nie dadzą jej spokoju. Bo Fin jest już na jak najlepszej drodze. Dziewczęta wzdychają do niego, choć wąż dopiero zaczyna mu się sypać.

- Arianrhod, choć niby taka obojętna i niedostępna, na pewno podoba się wszystkim... - powiedziała cicho Elphame, powiedziała to tak, że brat natychmiast spojrzał na nią baczniej.

- El? Czy z tobą wszystko w porządku?

- Oczywiście - odparła, unikając jego wzroku.

- Tam, dokąd jedziemy, będzie całkiem inaczej, Jelonku.

- Wiem.

Spojrzała gdzieś w dal, ponad jego ramieniem, potem szybko w bok. Brat nie powinien zobaczyć, jak podejrzenie lśniące są teraz jej oczy.

- Nie, nie wiesz, El. Bo mi chodzi o coś bardzo konkretnego.

Powiedział to z taką powagą, że Elphame natychmiast zwolniła kroku.

- W zamku MacCallana znajdziesz to, czego pragniesz, El. Miałem Przeczucie.

Słowa brata, tak bardzo przecież istotne, zawisły w pachnącym wiosennym powietrzu. Wiedziała dokładnie, o co mu chodzi. Ona była pierwotną córką Wcielenia Bogini, dlatego została naznaczona przez Eponę. Cuchulainn natomiast był pierwotnym synem Szamana, dlatego już od najmłodszych lat po prostu pewne rzeczy wiedział. Kiedy był dzieckiem, wyjaśnił siostrze, że to jest

tak, jakby słyszał słowa ukryte w wietrze. Czasami ten wiatr podpowiadał mu, gdzie znaleźć jakąś zagubioną rzecz, czasami mówił, kiedy w Świątyni pojawi się gość. Czasami był posłańcem bardzo złych wiadomości. Przepowiadał śmierć ukochanego dziecka albo złamanie przysięgi krwi.

Ta nadnaturalna umiejętność przerażała młodego Cuchulainna. Nie był to wróg, którego mógł pokonać siłą swoich mięśni lub dzięki bystrości umysłu wyprowadzić w pole. Było to coś nieuchwytnego, coś, co sprawiało, że

czuł się odmieńcem. Dawało mu władzę, o którą wcale nie prosił i wcale nie pragnął jej wykorzystać.

Starsza siostra rozumiała go aż za dobrze.

Dlatego za każdym razem, kiedy miał Przeczucie, dotyczące czegoś albo kogoś, przychodził z tym do Elphame. Siostra wiedziała, że się boi. Nigdy tego nie lekceważyła - przeciwnie, okazywała mu współczucie i stała się jego najbardziej zaufaną powierniczką. Mimo że jej stosunek do świata duchów

był całkiem inny, w końcu ona sama była fizyczną manifestacją magii Bogini. Nie mogła pojąć, dlaczego brat odrzuca tak wspaniały dar, dany mu przez świat duchów - ona byłaby szczęśliwa, gdyby

posiadała choć małą cząstkę mocy, jaką posiadała jej matka i dysponowała nią bez trudu. Ale uznawała,

że brat ma prawo do własnego wyboru i wspierała go swoją spokojną, trzeźwą postawą. Kiedy Cuchulainn podrośł, nauczył się tłumić w sobie swoje psychiczne możliwości, nie pozwolić, by nim zawładnęły.

Teraz Elphame wpatrywała się w brata z wielką uwagą. Zaintrygowana. Cuchulainn nigdy dotąd jej nie skłamał. I nigdy dotąd Przeczucie go nie myliło.

- Przyniesiesz mi to? - spytała prawie szeptem, aż zarumieniona z przejęcia.

Cu skinął energicznie głową.

- Tak.

A Elphame poczuła, jak rozpiesiera ją radość.

- Wiedziała! Wiedziała, że zamek MacCallana trzeba odbudować!

Wykrzyczała to z wielkim entuzjazmem, a potem nagle spojrzała na niego całkiem inaczej. Jak starsza siostra, z góry i wcale nie ciepłutko. Przypomniała sobie bowiem, ile musiała się naprosić, żeby matka pozwoliła jej tam

pojechać. - Cu, mam nadzieję, że nie mówiłeś Mamie o swoim Przeczuciu?

- Matce? Oczywiście, że nie. Gdybym jej powiedział, że w zamku MacCallana spotkasz się ze swoim przeznaczeniem, nic nie byłoby w stanie jej powstrzymać. Pojechałaby razem z nami.

- Racja. Ale powiedz mi, dlaczego mi mówisz o tym dopiero teraz?!

- Bo... bo to Przeczucie jest takie niejasne - powiedział Cu po chwili zastanowienia, a zauważywszy na twarzy siostry rozczarowanie, dodał szybko: - Ale to wcale nie znaczy, że jest bezpodstawne. Ja po

prostu wiem, że w zamku MacCallana spotkasz się ze swoim przeznaczeniem, że chodzi o twojego męża. Ale kiedy próbuję skoncentrować się na szczegółach dotyczących tego mężczyzny, wszystko jest zamglone, bardzo niewyraźne. Może... - Cuchulainn uśmiechnął się. - Może dlatego, że jesteś moją siostrą i trochę niezręcznie mi wnikać w twoje sprawy sercowe.

- Rozumiem. Mnie również. Kiedy dziewczęta zaczynają pisać na twój temat, zatykam rękami uszy i po prostu uciekam.

- Ba!

Cu, wyrzuciwszy z siebie ulubiony przerywnik, roześmiał się. Był bardzo zadowolony, że siostra o nic

więcej się nie dopytuje. Zanim zdecydował się powiedzieć jej o swoim Przeczuciu, stoczył ze sobą prawdziwą walkę. Elphame żyła w przeświadczeniu, że nigdy nie będzie miała męża i bardzo nad tym

boleła. Dla Cu nie było to tajemnicą, tym bardziej więc chciał powiedzieć jej o swoim Przeczuciu, ale jednocześnie wahał się. Wiedział już na pewno, że El w zamku MacCallana spotka swego

męża, na pewno męża, bo to będzie coś więcej

niż tylko zwyczajne zakochanie się. Rzecz jednak w tym, że wcale nie była to słodka wizja miłości, podobna do tych, jakie trafiały mu się przedtem. Kiedy na przykład przyłapał przyjaciela z młodą kobietą w objęciach i miał Przeczucie, że ta para jest sobie przeznaczona.

Siostra też jawiła mu się w ramionach mężczyzny, ale twarz tego mężczyzny mu umknęła. Na początku skupił się całkowicie na Elphame. Czułość i szczęście malujące się na jej zwykle surowej twarzy były dla niego ogromnym zaskoczeniem. Potem skupił się na mężczyźnie i wtedy nagle przed oczami pojawiło się oślepiające szkarłatne światło. Jakby kochankowie, Elphame i ten mężczyzna, skąpani byli we krwi. A potem, tak samo nagle, zrobiło się mroczno, jakby para kochanków owinięta została aksamitną draperią. Mężczyzna znikł, zostawiając Elphame samą.

Jakże to typowe dla świata duchów! Coś mu podsunąć, na chwilę, a potem zostawić go z pytaniami bez odpowiedzi, z uczuciem niepokoju. Zawsze przeklinał tę ulotną moc, tak inną od ciężaru miecza czy jasno wytyczonego celu dla strzały z łuku.

Cuchulainn przełknął, czując nagle w gardle suchość. Był zadowolony, że Elphame znów wysunęła się do przodu. Siostra znała go aż za dobrze, od razu zorientowałyby się po jego minie, że to Przeczucie tak do końca wcale nie było dobre. Że on jest przerażony tą dziwną, naznaczoną czerwienią wizją.

Zgiął prawą rękę. Jakby chwycił za swój miecz. Czuł jego ciężar w dłoni, unoszącej się w górę do zadania śmiertelnego ciosu.

Tak. Mąż nie mąż, nieważne, kto. Cuchulainn jest gotów bronić siostry przed wszystkim i przed wszystkimi, którzy mogą uczynić jej krzywdę.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

- Nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy razem z innymi zostać w Loth Tor - narzekał Cuchulainn, dorzucając do ogniska grubą gałąź.

- A ja sądziłam, że wojownicy są do tego stopnia gruboskórni, że bez słowa skargi kładą się spać

nawet na ostach - odparła żartobliwie Elphame i rzuciła mu bukłak.

- Napij się! Wina mamy w bród, Mama pakowała je osobiście.

- Wojownicy ponad wszystko lubią miękkie łóżka

- burknął Cu, ale złapał bukłak i pociągnął z niego porządny łyk. - Miłość naszej Matki do dobrych win jest dla naszej wyprawy prawdziwym błogosławieństwem. Ale wino, nawet najlepsze, nie zastąpi

wygodnego łóżka.

Ani wesołej chętnej wdówki, dodał w duchu.

- Cu, jesteś po prostu zły, bo tamta jasnowłosa grubaska na pewno proponowała ci coś więcej niż tylko skosztowanie jej wyśmienitego gulaszu!

- Dziwisz się?! Bycie młodą wdową to wielki ciężar, zwłaszcza jeśli dźwiga się go w pojedynkę!

El zaśmiała się.

- Nie w pojedynkę, kiedy ty pojawiaasz się na horyzoncie! Och, Cu, proszę, przestań się wreszcie złościć. Jesteśmy tu sami, bo chcę spokojnie sobie popatrzeć na słońce wschodzące nad moim

zamkiem. Nie uśmiecha mi się robić tego wśród tłumu mężczyzn i centaurów, którzy będą gapić się nie na słońce, lecz na mnie i rozprawiać o demonach, czyhających za każdym krzaczkiem. Cuchulainn w odpowiedzi tylko chrząknął. Pociągnął

sobie jeszcze jeden solidny łyk, rzucił z powrotem bukłak siostrze i zajął się poprawianiem ogniska.

Przestał narzekać. W końcu wiedział bardzo dobrze, że siostra woli trzymać się na uboczu i rozumiał,

dłaczego. El, naznaczona przez Boginię, od urodzenia otoczona była czcią. Była przecież kimś

niezwykłym, nigdy dotąd kogoś takiego nie stworzono. Wzbudzała w ludziach lęk, zwłaszcza w tych,

którzy nie przywykli do jej widoku. Większość robotników, którzy mieli pracować przy odbudowie

zamku, pochodziła z wiosek w pobliżu Świątyni Epony i, jak wszyscy ludzie z tamtych stron, odnosili

się do El z wielkim szacunkiem, woleli jednak trzymać się od niej z daleka. Natomiast ludzie z

dalszych okolic, jakich napotykali po drodze podczas ich pięciodniowej podróży ze świątyni do

zamku MacCallana, na widok jego siostry rzucali robotę, biegli do drogi

i kłaniali się nisko „młodej bogini Elphame”. Kłaniali się tak nisko, że praktycznie ich głowy chowały się w wysokiej trawie na łąkach, ciągnących się wzdłuż drogi.

Kiedy zbliżali się do celu podróży, zaczęli dołączać do nich nowi ludzie i centaury, pragnący wykorzystać możliwości, jakie stwarzała odbudowa zamku. Ich reakcja na widok Elphame była zawsze taka sama. Przede wszystkim lęk, dlatego Cuchulainn w sumie się nie dziwił, kiedy Elphame nalegała, by ona i brat nie jechali gościńcem, lecz wąską, krętą ścieżką przez las. Szansa, że natkną się na kogoś, kto gorliwie okazywać będzie Elphame cześć, jednocześnie spoglądając na nią z przerażeniem, była tu naprawdę znikoma.

Brat i siostra nie zatrzymywali się na noc, tak jak reszta ludzi, w którejś z okolicznych sennych wiosek, porzucanych wśród pastwisk i winnic. Rozkładali się obozem pod usianym gwiazdami niebem. Do reszty podróżników dołączyli dopiero w wiosce Loth Tor, na wspólny wieczorny posiłek w gospodzie „Pod kłaczą”, jedynej gospodzie w wiosce. Przez gospodę przewijali się chyba wszyscy ludzie z okolicy, każdy składał przed Elphame uniżony ukłon, kilka osób spytało nieśmiało, czy może

jej dotknąć. Nie brakowało takich, co z otwartymi ustami stali i gapili się na Elphame. A ona każdemu z nich z godnością i wdziękiem skinęła głową, temu, kto chciał, pozwalała się dotknąć, jednym

słowem czyniła zadość ich pragnieniu okazania jej czci. Tylko jeden Cuchulainn, wyczuwając w niej ogromne napięcie, zdawał sobie sprawę, ile ją to kosztuje.

Kiedy posiłek dobiegł końca, El oznajmiła, że ma wielką potrzebę spędzenia również tej nocy pod gwiazdami. Chce być sama, tylko z bratem i Eponą. Cu domyślał się, że specjalnie wspomniała o Bogini, by ludzie z wioski nie poszli za nią, gapiąc się na nią nieustannie. Dlatego bez słowa osiodłał swego zmęczonego wałacha i zmusił go do galopu. Dogonił Elphame, która pierwsza wyszła z wioski i tym sposobem znaleźli się tutaj, pod rozgwieżdżonym niebem, przy trzaskającym wesoło ognisku.

- Dobrze jednak, że pobyłaś trochę w wiosce, wśród ludzi, El - powiedział po chwili Cu.

Elphame, wydawszy najpierw z siebie głębokie westchnienie, na moment przytknęła buklak z

wyjatkowo dobrym winem do ust.

- Myślisz, że z czasem do tego przywyknę? - spytała, podając bukłak bratu. - Bo mnie wydaje się to niemożliwe. Tak samo zaczynam mieć trudności z... - Elphame uniosła znacząco brwi - z uwierzeniem, że właśnie tutaj mam spotkać się ze swoim przeznaczeniem. A ty wierzysz w to?

- Życie bardzo często nas zaskakuje - powiedział Cu sentencjonalnie, z nadzieją, że nie będą mówić na temat jego wizji. - Weź na przykład nas. Jesteśmy rodzeństwem. Ja jestem człowiekiem, a ty w połowie koniem.

- Nie koniem, a centaurem - mruknęła Elphame, robiąc zbolaną minę.

- Dobrze, centaurem. A teraz proponuję, żebyś zamknęła już oczy. Śpij, Elphame, musisz nabrać sił przed jutrzejszym dniem. Ja będę czuwał przy ognisku.

I nad tobą, dodał w duchu. Elphame, z dala od wioski, od namolnych ludzi, na pewno już się odprężyła. Ale on nie. Był spięty. Instynkt wojownika nakazywał teraz wzmożoną czujność, poza tym po głowie nieustannie chodziła mu kwestia tamtej wizji. Dlaczego była mroczna, niewyraźna, skąd ta krew?

Kątem oka widział, jak Elphame ułożyła się na boku w swoim śpiworze i zamknęła oczy. Po chwili usłyszał jej ciche słowa:

- Nie oszukasz mnie, Cu. Czuję, że tu chodzi nie tylko

o te twoje deklaracje typu: wojownik zawsze broni swojej siostry.

- A teraz mówisz zupełnie jak nasza Matka - burknął Cu, dodając znacznie już ciszej. - Najwyższy czas, żebyś zaczęła zdawać sobie z tego sprawę.

Kąciki ust El drgnęły, a więc usłyszała, oczywiście,

i uśmiechnęła się, bardzo tak jakoś łagodnie. Po chwili Cu usłyszał głęboki, miarowy oddech.

Elphame zasnęła.

Miała sen. Śniło jej się, że przyszedł do niej jej ukochany, przyszedł wśród gęstej, ciemnej mgły. Mgła jak gigantyczne skrzydła, które wyrosły z czerni nocy, spowiła El, a on jej dotykał. Ona drżała, ale nie ze strachu. Z własnej woli poddawała się tej mgle, pozwalając sobie miłość, kiedy

nagle ona i on ulecieli przez aksamitną czerń nieba o północy i umościli sobie łożę wśród gwiazd.

- Ja wiedziałam, że tu będzie przepięknie! Wiedziałam! Och, Cu, spójrz na mój zamek!

Stali na skraju sosnowego lasu, przed płaskowyżem nad brzegiem morza, gdzie zbudowano zamek

MacCal-lana. Cierpki zapach sosen mieszał się z zapachem słonej wody morskiej, wydawało się, że

dzięki tym zapachom wszystko tutaj wydaje się wspanialsze. Zielony las - bujniejszy, błękitne i białe fale uderzające o podnóża na-brzeżnych skał - bardziej krystaliczne, pełne swoistej elegancji. A sam

zamek na brzegu ogromnego klifa - bardziej okazały.

Elphame wpatrywała się w swój nowy dom zachłannie, pozwalając oczom napawać się do woli cudem

pierwszego spojrzenia. Zamek, otoczony wałem dereni i dzikich wiśni w pełnym rozkwicie,

wystających z gąszcza zarośli i kęp krzaków jeżyn, wyglądał jak zamek z bajki.

Jakby tu właśnie, w jego murach od stuleci spała jakaś bajkowa postać, czekając na pocałunek, dowód

prawdziwej miłości, bo tylko taki mógł ją obudzić.

Trochę jak ja... - pomyślała Elphame, zaskoczona, że pozwala sobie na odrobinę romantyzmu, co w jej

przypadku było wielką rzadkością. Ale widok był przepiękny, a przedtem brat powiedział jej o swoim

Przecuciu. To wszystko razem nastrajało ją romantycznie. Z czym, jak stwierdziła ze zdumieniem,

było jej bardzo dobrze. Z tym romantycznym nastrojem - czyżby tego właśnie brakowało jej od lat?

Tego ekscytującego czekania, drżącego, kiedy braknie tchu? Czekania na tego kogoś, kto przekreśli tkwiący w niej klucz i otworzy coś magicznego?

Słońce było coraz wyżej, nad koronami drzew. Barwy wczesnego poranka, delikatny róż i krem,

zaczęły przechodzić w złoto słońca i błękit jasnego wiosennego dnia. Elphame, zapatrzona na

otaczające ją piękno, nagle poczuła, że jej serce bije szybciej, że rodzi się w nim nadzieja. Wielka nadzieja. Jakby początek nowego dnia obiecywał coś nowego także w jej życiu, życiu Elphame.

Wielokrotnie słyszała, jak jej matka modliła się do Epony. Teraz jedna z tych modlitw ożyła w jej



pamięci. Zaczęła ją odmawiać, na głos, ale cicho, bardzo ostrożnym szeptem.

- Wielka Bogini Epono, moja Bogini,

stoję tu, u początku nowego dnia,

dnia wypełnionego Twoją magią.

Stoję w progu, przed Twoim welonem tajemnic

i proszę Ciebie o błogosławieństwo.

Pozwól pracować ku Twej chwale

i ku chwale mego ducha.

Kiedy siostra odmawiała modlitwę, Cuchulainn stał nieruchomo i milczał. Z szacunku dla Epony, a

także ze

zdumienia, nigdy dotąd przecież nie słyszał, żeby jego siostra prosiła Eponę o błogosławieństwo.

Więcej - zawsze odnosił wrażenie, że Elphame wręcz unika jakiegokolwiek wzmianki o Bogini, która

dotknęła ją w sposób tak oczywisty. A teraz modliła się do niej. Bardzo cicho, ledwo ją słyszał, a

powietrze dookoła już było rozedrgane. Magia działała, jak zawsze, kiedy ich Matka odprawiała

obrzędy ku czci Epony.

Gdyby El spojrzała teraz na brata, zobaczyłaby w jego rozszerzonych oczach szok. Ale ona ani razu

nawet nie spojrzała w jego stronę, zauroczona pięknnością tego poranka, także uczuciem, które

zaczynało w niej dojrzewać. Raczej poczuciem. Poczuciem przynależności do tego właśnie miejsca.

Słońce przesunęło się nieco wyżej, odrywając się od wysokich sosen, jego promienie oblały ściany

zamku złocistym światłem.

- Cu, czy ty to widzisz? Zamek wygląda tak, jakby stanął w płomieniach.

- Zamek? Raczej to, co z niego pozostało.

Jeszcze nie otrząsnął się ze zdumienia, dlatego odpowiedział burkliwie, choć wcale tego nie chciał.

Trochę tym speszony odchrząknął i zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć skruszałą budowlę, która

przypominała mu sędziwą bestię, bez sił, przykucniętą na brzegu klifu.

- Kompletna ruina - mruknął. - Przed nami mnóstwo roboty. Ale nie trać nadziei, El!

El po siostrzanemu klepnęła go po ramieniu.

- Przestań bawić się w Mamę. Lepiej pospieszmy się. Chciałabym już tam być!

Wyrwała do przodu. Cuchulainn trącił piętą wałacha i podążył za siostrą. Dotrzeć do murów

zamkowych wcale nie było łatwo. Zanim odnaleźli drogę, prowadzącą do

zamku, musieli długo przedzierać się przez wysokie chaszczce. Drogą podążało się już o wiele łatwiej,

ale Cuchulainn i tak klął na chwasty i na gałęzie drzew, smagające go po twarzy.

- Nie marudź! - skarciła go w końcu El, odrzucając w tył swoje piękne, ciemnokasztanowe włosy. -

Nie widzisz, że te drzewa są wyjątkowo piękne? Jakbyśmy szli przez las z różowych chmur!

- Chmury zwykle mają to do siebie, że nie są obrośnięte jeżynami!

- A co masz przeciwko jeżynom? Wystarczy je trochę przyciąć i ładnie się rozrosną. A kiedy przyjdzie

lato, będziemy się delektować plackiem z jeżynami!

- O ile uda się odbudować zamkowe kuchnie - mruknął Cu, nadal pełen wątpliwości.

- Odbudujemy. Moja w tym głowa - oznajmiła El-phame.

Cuchulainn pomyślał, że determinacja jego siostry jest chyba mocniejsza niż zamkowe mury, do których El-phame zdążyła się już bardzo przywiązać.

- Poza tym dobrze wiesz, że ja zawsze bardzo lubiłam las. Tutejsze sosny są wyjątkowo dorodne, a te kwitnące na różowo drzewa to po prostu bajka.

Bajka... Cu potrząsnął bezradnie głową.

- Może i bajka, ale chyba nie zamierzasz tego tak zostawić, El? Uczyłaś się przecież historii, prawda?

Czy wszystko wywietrzało ci z głowy? MacCallan dopuścił, żeby jego zamek obrósł drzewami i to był

zasadniczy błąd. Dzięki temu Fomorianie niezauważeni przez nikogo podeszli pod same mury. Zrobili w nich wylom, wdarli się do środka i zaczęła się rzeź.

Elphame już otwierała usta, żeby powiedzieć, że teraz wojny nie ma, że od stu dwudziestu pięciu lat w Partho-

lonie nie widziano ani jednego Fomoriana i nikt nie będzie robić w tych murach wylomu. Czy jednak były to przekonujące argumenty? Wtedy też Partholon nie prowadził z nikim wojny. Był czas pokoju, jak teraz. Fomorianie najechali na zamek MacCallana z nienacka. Zdobyli zamek, wyrznęli wszystkich, ale potem zostali rozgromieni. Niedobitki wygnano z Partholonu, na Pustkowiec za Górą Trier. Gdyby El pojechała stąd dalej, na północny wschód, w stronę gór, wiedziała, że napotka tam

Warownię, wielki ponury zamek obronny, strzegący wstępu do Partholonu, zwany też Zamkiem Strażników.

Z drugiej jednak strony sto dwadzieścia pięć lat to długi czas. Bez wojen, bo oprócz sporów między poszczególnymi klanami i sporadycznymi najazdami barbarzyńców z zewnątrz, Milezjan, Partholon żył w pokoju i dobrobycie. I nic nie wskazywało na to, żeby miało to się zmienić.

Elphame znów spojrzała na brata, gotowa mu przypomnieć powyższe fakty. Zauważyła, że Cu ma minę bardzo poważną. Czyli dla niego te piękne drzewa to naprawdę wielki problem.

- Chodzi ci o Milezjan, Cu?

Cu nieznacznie wzruszył ramionami.

- Człowiek nie jest pewien dnia i nocy, prawda? A zamek stoi na brzegu morza! Jeśli chcesz wykazać się jako mądry przywódca, powinnaś postarać się, żeby zamek MacCallana był zamkiem obronnym.

Mówił, a jednocześnie jego niespokojny wzrok przemykał dookoła. Jakby Cu liczył się z tym, że w każdej chwili z kwitnących drzew może wyskoczyć horda barbarzyńców i poderznąć im gardła.

Elphame poczuła się trochę nieswojo. Bo coś jednak zburzyło spokój jej zwykle tak opanowanego brata.

Czyżby Przeczucie, o którym jej powiedział? Czyżby było to prawdziwe Przeczucie, połączone z wizją i wyraźnym ostrzeżeniem? Cu w tej materii miał niewiele doświadczenia. Niemniej jednak miał

Przeczucie, coś go bardzo zaniepokoiło i na pewno nie miał zamiaru tego lekceważyć. Bo Cu, mimo że zwykle unikał świata duchów i nienawidził wykorzystywania swoich sił psychicznych - czuł przed nimi respekt. Tak samo zresztą jak Elphame.

Skinęła głową.

- Masz rację, Cu. Trzeba zrobić tu porządek. Większość drzew i zarośla należy wyciąć. Dziękuję, że zwróciłeś mi na to uwagę. Mam nadzieję, że podczas odbudowy zamku będziesz służył mi radą i pomocą, razem dopilnujemy, żeby zamek MacCallana istotnie stał się zamkiem obronnym... - El mimo woli spojrzała z żalem na kwitnące drzewa. - Cu, czy mimo wszystko nie można trochę tych drzew zostawić? Oczywiście, nie będę nalegać, ale...

Cu uśmiechnął się. Nie sądził, że Elphame podda się tak szybko.

- Jeden zagajnik czy dwa w odpowiedniej odległości od zamkowych murów nie będzie tragedią. A jeżyny możesz zostawić. W końcu ich kolce to też obrona przed wrogiem.

- Cudownie! Czyli jednak będziemy się zajadać plackami z jeżynami!

Elphame rozpromieniła się, zachwycona też, że Cuchu-lainnowi, zwykle tak pogodnemu, wreszcie wrócił dobry humor. Pomyślała też, że jego rozdrażnienie przed chwilą można bardzo łatwo wytłumaczyć. Cu, jak zawsze, wobec swej siostry jest nadopiekuńczy. I dmucha na zimne.

Droga szerokim łukiem skręcała w lewo, a za zakrętem,

w odległości kilkunastu metrów, widać było zamkową bramę. Pustą. Wielkie żelazne drzwi, które, jak

głosiła legenda, zawsze były szeroko otwarte dla gości, rozpadły się, przezarte rdzą. Ich smętne resztki wały się między chwastami i dzikim winem. Pozostały tylko powyginane odrzwia. W rezultacie

wejście do zamku wyglądało jak gigantyczna paszcza, pozbawiona przednich zębów.

Same mury, o dziwo, zachowały się w dobrym stanie. Przynajmniej tu, koło bramy, wyglądały na mocne, nienaruszone. Kamienne balustrady skruszały, podjazdu po prostu nie było, drewniany dach także w wielu miejscach znikł. Ale sam szkielet budowli, dumny i mocny, przetrwał.

- Wygląda lepiej niż myślałem - stwierdził Cu.

- A widzisz! - Elphame z największym trudem opanowywała podniecenie. - Ten zamek jest niezwykle, jest wspaniały!

- El! Owszem, jest w lepszym stanie niż się spodziewałem, niemniej jednak to ruina!

Jej optymizm irytował go, była to przecież raczej dziwna reakcja na widok zrujnowanej budowli.

Dziwna, a poza tym w przypadku Elphame bardzo nietypowa. Zawsze powściągliwa i rozsądna, nigdy

dotąd nie wykazywała aż tak wielkiego entuzjazmu. Miał zamiar powiedzieć jej teraz na ten temat kilka słów, ale nie zdążył, bo El nagle położyła dłoń na jego ramieniu i spytała, zniżając głos.

- Cu? Wyczuwasz to?

Znow go zaskoczyła. El, mimo że w sposób tak oczywisty została naznaczona przez Boginię, nie porozumiewała się z Nią ani ze światem duchów. Oprócz swego niezwyklego ciała nie miała w sobie

żadnej siły, która wiązałaby ją ze światem duchów.

- O co chodzi, El?

Elphame, nie odrywając oczu od zamku, milczała. Jej ręka, spoczywająca na ramieniu brata, zadrżała,

zaraz potem całym ciałem dziewczyny wstrząsnął dreszcz. Koń Cu nagle znieruchomiał. Łagodny wiatr ucichł, ucichły nawet ptaki.

- On wzywa mnie do siebie - powiedziała głosem, który zabrzmiał inaczej niż zwykle. Jakby El była o

wiele, wiele młodsza. - Wzywa mnie, ale nie słowami. Ja to Wyczuwam, Cu. - Oderwała wzrok od zamku i spojrzała na brata bardzo uważnie. - Podobnie jak wtedy, kiedy Mama miała odprawić obrzęd

księżycowy w innej świątyni. Pamiętasz? Nigdy przedtem nie rozstawała się z nami na tak długo. A wtedy nie było jej przez pięć dni. Kiedy wracała do domu, Wyczuliśmy, że już nadchodzi i wołając „Mamo, mamo!” wybiegliśmy jej na spotkanie. A ona przecież nawet nie doszła jeszcze do schodów świątyni. Potem wycalowała nas, wyściskała i śmiała się przez łzy. Pamiętasz?

Cu pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Pamiętam, pamiętam.

Spojrzenie Elphame znów powędrowało ku zamkowi.

- Ja to po prostu Wyczuwam... - szepnęła. - On czekał na mnie, czekał, kiedy przyjadę do niego. Do swojego domu.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę już wszystko! Elphame, otrząsając się z resztek euforii, zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie.

- Ale nie beze mnie! - zawołał Cu, zeskakując z konia. - Zaczekaj !

Zarzucił wodze na gałąź najbliższego drzewa i pobiegł do siostry. Biegł, zakłócając ciszę poranka szczękaniem nagiego miecza, wygrywającego jedyną w swoim rodzaju złowieszczą melodię.

Elphame przystanęła, a kiedy brat dobiegł do niej, spojrzała na miecz bardzo nieprzychylnie.

- Naprawdę jest ci potrzebny?

- Lepiej przesadzić z przezornością niż dać się ponieść beztrosce. To byłoby głupie.

- Ho, ho! - El, wzięwszy się pod boki, spojrzała na niego z wysoka. - A co? Uważasz może, że jestem głupia?

- A skąd! - Cu uśmiechnął się, zadowolony, że siostra zaczynała wreszcie reagować jak dobrze mu znana El. - Chcę ci tylko przekazać, że ja też nie mam zamiaru być głupcem.

El zmarszczyła nos, odwróciła się i ruszyła prawie biegiem ku zamkowej bramie.

- Ale ty jesteś uparta jak osioł! - zawołał za nią Cu, demonstrując bardzo szeroki uśmiech, kiedy

spojrzała na niego przez ramię. - Ale to właśnie między innymi bardzo mi się w tobie podoba.

- Przestań gadać, Cu i chodź tu do mnie! Przecież trzeba mnie bronić. Może gdzieś za drzewem czai się wściekła wiewiórka. Rzuci się na mnie i pokąsa. Tak się boję, tak okropnie...

Jęczała, narzekała, udając płochliwe dziewczę, a jednocześnie jej umięśnione nogi coraz bardziej przyspieszały. Zadyszany Cu dogonił ją dopiero po dłuższej chwili, mamrocząc pod nosem, że El nie ma w sobie nic z centaura. Raczej z klaczy, bardzo złośliwej i wcale nie takiej bezradnej. Dopadł do niej, kiedy stała już niedaleko zamkowej bramy, przed chaszczami, zarastającymi drogę do zionącego pustką otworu, jaki został po drzwiach. Najpierw więc musieli zabrać się za wyrywanie zielska, żeby

zrobić ścieżkę. A potem pierwsza El przekroczyła zamkową bramę bez drzwi i znalazła się za zewnętrznym grubym murem zamkowym. Brat podążał za nią, rozglądając się dookoła. Od razu zauważył resztki ganku dla straży zamkowej, który musiał ciągnąć się wzdłuż całego muru. Zauważył i zasępił się. Jak to mogło się stać, że MacCallan nie postawił wtedy tu strażników...

- Spójrz, Cu. Jestem pewna, że tu kiedyś były piękne, drewniane drzwi - odezwała się El przyciszonym głosem, jakby weszła nie do zamku, a do świątyni.

Stała przy drzwiach w wewnętrznym murze zamkowym, już nie tak masywnym jak zewnętrzny. Pierwsza przeszła na drugą stronę, Cu za nią i znaleźli się bez wątpienia na dawnym dziedzińcu zamkowym. Teraz zawałonym gruzem i ziemią, gdzieniegdzie jednak prześwitywał bruk, przez dziesiątki lat gładzony stopami klanu MacCallanów. Wokół dziedzińca stały wielkie, ozdobione płaskorzeźbami kamienne kolumny, wznosząc się ku czemuś, co kiedyś było sklepieniem sufitem. Teraz widać tam było błękit nieba. Masywne kolumny nadal nosiły ślady pożaru, który oznaczał śmierć tego zamku.

- Cu... - El uniosła twarz i spojrzała bratu prosto w oczy. - Czy my znajdziemy tu szczątki wojowników?

- Nie sądzę. Czas zrobił swoje. Czego nie strawiły płomienie, wydane było na pastwę żywiołów -

odparł, jednocześnie odruchowo spoglądając podejrzliwie na zwały ziemi i zeschniętych liści.

- Ale jeśli natrafimy na nie, pochowamy je z należytym szacunkiem. Zasłużyli sobie na to.

- Oczywiście. El, czy ty Wyczuwasz ich obecność?

- Wojowników?

- Tak.

El przekrzywiła głowę i znieruchomiała, wyraźnie zasłuchana w szum wiatru.

- Chwileczkę... Nie jestem pewna.

Wolnym krokiem podeszła do stojącej w centralnym miejscu osmalonej kolumny, tak szerokiej, że gdyby ona

i Cu objęli ją z dwóch stron rękoma, ich palce by się nie zetknęły. Teraz z bliska widziała dokładnie zawiły ornament wyrzeźbiony dookoła kolumny - węzły, połączone ze sobą, układające się w piękny

wzór, wśród nich kwiaty, postacie ptaków i wspinającej się klaczy. Mimo warstwy brudu, oblepiającej

kolumnę, widać było, że jest to dzieło mistrza.

- Jesteś piękna... - szepnęła Elphame do kolumny. I nagle krzyknęła, czując, jak przez jej ciało coś przemyka. Jakiś dziwny szum. Jakby... odpowiedź.

- El! Co się stało?!

Cu, ściskając w silnych rękach swój miecz, jednym susem dopadł do niej.

El uśmiechnęła się do niego.

- Na pewno nic złego, Cu! - powiedziała, zwracając oczy z powrotem ku kolumnie. - Ja po prostu chyba coś Wyczuwam. W tym kamieniu.

Po dłuższej chwili zorientowała się, że istotnie, ten dziwny szum wydobywa się z kolumny.

Zaintrygowana tym, przyłożyła obie szczupłe dłonie do zimnej, zniszczonej upływem czasu

kamiennej powierzchni kolumny. W chwili, gdy jej dłonie zetknęły się z kamieniem, miała wrażenie, że kamień drgnął.



Zaintrygowana jeszcze bardziej, ostrożnie pogłaskała chropowatą powierzchnię i wtedy stało się coś zdumiewającego. Najpierw zaczęła mięknąć, El miała wrażenie, że dotyka już nie kamienia, a gliny. A

potem raptem jej dłonie, nadal przyłożone do kolumny, zaczęły migotać, zamigotało też miejsce na kolumnie pod jej dłońmi. Dziwny blask przemknął po jej rękach, potem po całym ciele, niosąc ze sobą

ciepło. Cudowne ciepło, jakby zanurzyła się teraz w jeziorze najgorętszych uczuć albo objęły ją kochające ramiona matki.

Jej ręce drżały, ale nie ze strachu, tylko z emocji. Bo to wszystko było takie piękne!

- Och, Cu! Tak! Ja ich Wyczuwam!

- To, co wyczuwasz, Bogini, to nie wojownicy - usłyszała nagle z tyłu za sobą niski męski głos.

Odwróciła się szybko i zobaczyła przede wszystkim Cu z mieczem uniesionym w górę, gotowego siekać w obronie siostry. Natychmiast jednak spostrzegł, że intruzem jest ktoś bardzo dobrze mu znany.

- Danann! - zawołał, ręką drżącą od niewykorzystanej adrenaliny chowając miecz do pochwy. - Mistrz

Kamieniarz! Miło przekonać się naocznie, że nie zasnąłeś jeszcze snem wiecznym!

Stary centaur nie zaszczycił go nawet spojrzeniem. Jego wzrok utkwiony był w Elphame, Elphame też nie odrywała od niego oczu.

- Nie Wyczuwam wojowników? - spytała. - W takim razie co ja Wyczuwam?

Kiedy rozległ się głos Dananna, czuła, że jej łączność z kolumną nagle została przerwana, nadal jednak w dłoniach czuła delikatne mrowienie. Teraz z niecierpliwością czekała na odpowiedź

Dananna, osoby bezcennej, cały bowiem Partholon wiedział, że stary centaur otrzymał od Epony wyjątkowy dar. Niezwykłą więź z ziemią. Danann porozumiewał się z duchami natury, które przemawiały do niego za pośrednictwem kamienia. I z tego to właśnie powodu Elphame poprosiła go, by uczestniczył w odbudowie zamku MacCallana, mimo że sędziwy Danann nad wznoszenie murów

przedkładał już drzemkę na słońcu. Nadal jednak był najbardziej cenionym kamieniarzem w całym Partholonie. Porozumiewał się przecież z duchami kamienia i dlatego tak jak nikt potrafił dobrać kamień do danej budowli. El była pewna, że

jeśli odbudową zamku pokieruje Danann, zamek będzie stał nienaruszony jeszcze przez wiele stuleci.

Centaur podszedł do Elphame zwawym krokiem, nie pasującym zupełnie do jego wieku.

- To wielka centralna kolumna zamku MacCallana

- wyjaśnił, uśmiechając się do Elphame. - Kiedyś w niej skupiała się siła tego zamku. Ty Wyczuwasz teraz ducha tej kolumny, serce zamku, a nie duchy zmarłych wojowników.

Podniósł rękę i ostrożnie przyłożył dłoń do kamiennej kolumny.

- Dotknij jej jeszcze raz, Bogini. Nie lękaj się.

- Ależ ja się nie boję - powiedziała szybko Elphame i bez ociągania przyłożyła swoją młodą, gładką dłoń obok pomarszczonej dłoni starca. Danann zamknął oczy, skupił się. Po kilku minutach kamienna

powierzchnia pod dłonią Elphame zamigotała, wokół Elphame i Dananna pojawiła się drżąca

poświata. I znów przez Elphame przepłynęła świadomość, że ona Wyczuwa. Była na to

przygotowana. Skupiła się i starała się oddać słowem emocje, jakie teraz Wyczuwała. A więc radość,

na pewno. Tak, to było uczucie ogromnej radości. Wielkiego szczęścia. Pokój

- świadomość, że nie ma wojny. W tym momencie Elphame miała ochotę głośno się roześmiać.

A potem - koniec czekania. Te dwa słowa przemknęły przez jej umysł i poświata znikła.

- Wiedziałem! - zawołał triumfalnie stary centaur, zwracając swe niebieskie oczy ku drżącej z

przejęcia Elphame. - Kiedy wszedłem w te mury, od razu to Wyczułem. Jesteś, Bogini, dostrojona do serca tego zamku. Te kamienie witają cię bardzo serdecznie. Radują się, że przybyła ich pani. -

Uśmiechnął się do Elphame, bardzo ciepło. - Tak jak twoja przodkini, Rhiannon, masz zdolność słyszenia duchów ziemi.

- Ja?! Och! A przedtem nie miałam! Dopiero teraz, kiedy tu przyjechałam! - wykrzyknęła Elphame,

nie posiadając się z radości. Jej marzenie spełniło się. Wreszcie obdarowana została czymś więcej niż tylko niezwykłą budową ciała.

Pod wpływem impulsu przykryła swoją dłonią dłoń Dananna, nadal przyłożoną do kolumny i lekko ją uścisnęła. Z wielkiej wdzięczności, że jest teraz tutaj, razem z nią. Prawie natychmiast jednak pożałowała, że uległa impulsowi. Ona nigdy nikogo nie dotykała, tylko członków rodziny. Po pewnym bardzo przykrym doświadczeniu, jeszcze z dzieciństwa, kiedy to przybył do nich w odwiedziny przywódca jednego z okolicznych klanów. Przyjechał razem z córeczką. Dorośli pochłonięci byli rozmową, mała Elphame, trochę znudzona, stuknęła palcem w ramię córki gościa. Chciała zaproponować jej, żeby umknęły stąd i poszły się bawić. Tymczasem dziewczynka zaczęła piszczeć, krzyczeć rozpaczliwie, że dotknęła ją bogini i ona na pewno zaraz umrze. Wszyscy zaczęli ją uspokajać, tłumaczyć, że na pewno tak się nie stanie, ale dziecko wpadło w histerię. W rezultacie przywódca klanu bardzo pospiesznie opuszczał wraz z dzieckiem ich dom, rzucając na Elphame trwożliwe spojrzenia. Mimo że Etain zapewniała go gorąco, że Epona na pewno nie pragnie życia jego dziecka.

Duchy ziemi przemówiły do niej, kamienie powitały ją z radością - ale śmiertelnicy nie lubią, kiedy dotyka ich żywa bogini.

Elphame, krzyknąwszy cicho, chciała szybko cofnąć swoją rękę, uprzedzając Dananna. Była przecież pewna, że jej dotyk go wystraszył, a już na pewno nie był mu miły.

Ale Danann, nadal się uśmiechając, przytrzymał jej dłoń w swoich dłoniach.

- Duchy kamienia mówią mi, że ty należysz do tego miejsca, Bogini.

Elphame aż zarumieniła się z zadowolenia.

- Zawsze, odkąd sięgnę pamięcią, chciałam przywrócić życie zamkowi MacCallana, Danannie.

Zawsze! I jestem ci ogromnie wdzięczna, Danannie, że zechciałeś się do nas przyłączyć. Twoja obecność tutaj znaczy dla mnie bardzo wiele.

- Dla mnie to wielki zaszczyt móc służyć tobie, Bogini - powiedział, ściskając jej dłoń. Po prostu.

Wcale nie patrzył na nią spłoszonym wzrokiem, wcale nie kłaniał jej się w pas. Traktował ją, jakby była zwyczajnym przywódcą klanu, który poprosił go o pomoc. Co dla Elphame było powodem ogromnego zaskoczenia. Pragnąc to ukryć, odwróciła się szybko do brata.

- Cu, nie uwierzysz, ale ja potrafię Wyczuwać duchy tych kamieni!

- Oczywiście, że wierzę.

Uśmiechał się do siostry, bardzo zadowolony, że widzi ją tak ożywioną i uszczęśliwioną.  
Zadowolony

do takiego stopnia, że już zapomniał, jak wstrząsającym przeżyciem był dla niego widok siostry otulonej magiczną poświatą, sączącą się z kamienia.

Poza tym - co tam on. Jakież to musiało być przeżycie dla samej Elphame! On, Cuchulainn, wojownik,

stawiał sprawę jasno. Wolał nie mieć do czynienia z czymś, czego nie można pokonać mieczem. A w przypadku Elphame sprawa była bardziej skomplikowana. Elphame nigdy nie lubiła rozwódzić się nad światem magii i duchów, który, jak twierdziła, jest przed nią zamknięty. A dziś nagle się okazało, że wcale tak nie jest. Ten świat stoi przed nią otworem i, co więcej, Elphame w tym właśnie świecie,

świecie magii i duchów, wcale nie czuje się nieswojo. Cu

wiedział, że siostra zawsze gorąco pragnęła kontaktu duchowego z Boginią, która w sposób tak oczywisty wpłynęła na budowę jej ciała. Elphame była pierworodną córką Wybranej Epony, a Epona,

choć nie było to regułą, bardzo często wzywała najstarszą córkę starzejącej się Wybranej, by zastąpiła swoją matkę w roli duchowej przywódczyni Partholonu. Całkiem możliwe więc, że chociaż Elphame

nie komunikuje się z Eponą, Bogini sprawuje nad nią pieczę, czekając na dzień, kiedy Elphame zajmie

miejsce matki...

Taki jest porządek tego świata, pomyślał Cu na koniec sentencjonalnie i postanowił skończyć z rozważaniami. Tym bardziej że wypadało przywitać się ze starym centaurem.

Podszedł więc do Dananna i mocno uściśnął jego dłoń.

- Myślę, że jestem lepszy w słuchaniu duchów niż w zaskakiwaniu wojownika, pilnującego swojej siostry - powiedział żartobliwie Danann.

- Ja bym opowiedział się za zaskakiwaniem - stwierdził Cu. Nie wypadło to zbyt pogodnie, dlatego Elphame, szturchając brata łokciem, wtrąciła z uśmiechem:

- Cu od wczoraj jest bardzo spięty, Danannie. Po prostu nie zwracaj na niego uwagi.

Cuchulainn nie zareagował na zaczepki siostry.

- Danannie, przyjechałeś tu sam?

Stary Mistrz Kamieniarz pokręcił przecząco głową i wskazał na zarośniętą chaszczami bramę wejściową do zamku.

- Nie. Dołączyłem do waszych ludzi, kiedy wyjechali z Loth Tor. Są już tutaj, woleli jednak poczekać przed murami zamku. Jakoś nie kwapią się z wejściem do środka. No cóż... - Danann wzruszył lekko ramionami i uśmiechnął się. - Młodych bardzo łatwo wystraszyć czymś odrobinę bardziej straszniejszym od bajek na dobranoc i ciemności.

- Nie tylko bardzo młodych - powiedziała, spoglądając na brata jak starsza siostra, czyli z przyganą. - A skoro wszyscy już tutaj są i zamiast wziąć się do roboty, stoją przed bramą, trzeba do nich iść.

Danann skłonił się przed nią, z wielkim wdziękiem, zginając jedną z zakończonych srebrzystym kopytem nóg, drugą zręcznie odsuwając na bok. A potem podał jej ramię.

- Czy pozwolisz, Bogini, że będę ci towarzyszyć w drodze do owych młodych ludzi, którym trzeba wydać dyspozycje i pogonić do roboty, zanim bez reszty pogrążą się w lenistwie?

Elphame zawahała się. Czyżby naprawdę po raz drugi tego dnia miała dotknąć kogoś, kto nie należy do jej rodziny? Speszona, spojrzała na zgięte ramię centaura, potem zerknęła na brata. Cuchulainn mrugnął do niej i skinął głową. Zrób to, Elphame.

A więc dobrze. Najpierw jednak zrobiła jeden głęboki wdech i jej dłoń spoczęła na przedramieniu

starego Mistrza Kamieniarza. Jej palce drżały, owszem. Ale naprawdę bardzo nieznacznie.

Jak zwyczajny człowiek, pomyślała i na jej twarzy rozkwitł uśmiech. Nie mogła go powstrzymać.

Elphame i Danann poszli przodem, Cu za nimi. Przeszli przez straszące pustką odrzwia zamkowej bramy i tam, po drugiej stronie muru, czekała gromada ludzi. Głównie młodych, jak wspomniał Danann. Większość z nich byli to młodsi synowie, bez prawa dziedziczenia ojcowizny. Młodzi zapaleńcy, którzy sami musieli znaleźć dla siebie miejsce na świecie i dlatego pragnęli wykorzystać możliwość, jaką dawała odbudowa zamku MacCallana.

Poza tym do zamku przyciągała też osoba Elphame,

młodej bogini. Cały Partholon wiedział, że została dana mu przez Eponę jako szczególny dar, choć nikt do końca nie rozumiał, dlaczego. Ale Epona często postępowała w sposób niewytłumaczalny.

Była łaskawą Boginią, rzadko wtrącała się do codziennego życia swoich ludzi. Zamiast tego wybierała

jedną z kobiet, z którą łączyła ją szczególna więź i za jej pośrednictwem, swojej Pierwszej Wybranej, kierowała ludźmi.

Partholonem rządziła matka Elphame, jako Wcielenie Bogini, a sama Elphame w sposób oczywisty

została naznaczona przez bóstwo Partholonu. Ten fakt był przedmiotem spekulacji już od chwili

narodzin Elphame, budził też lęk. Epona nazaczyła Elphame, a teraz Elphame zamierzała

odbudować zamek MacCallana. Uczestniczenie w tym przedsięwzięciu ludzie odczuwali jako za-

szczyt, poza tym mogło przynieść im szczęście. Była to więc bardzo kusząca perspektywa, jej

atrakcyjności nie pomniejszały nawet pogłoski o tym, że nad zamkiem ciąży klątwa. Młodymi ludźmi,

którzy dołączyli do Elphame, najprawdopodobniej rządziły takie właśnie pobudki, miny jednak na

pewno im zrzędy, kiedy stanęli twarzą w twarz ze skruszałymi murami zrujnowanego wojną zamku.

Na widok Elphame mężczyźni i centaury, czekający za bramą, natychmiast ucichli. Większość z nich

widziała już kiedyś Elphame, niektórzy wielokrotnie i byli do widoku młodej bogini przyzwyczajeni,

niemniej jednak jej pojawienie się poruszało wszystkich. A tego ranka Elphame wyglądała

wyjątkowo. Twarz była promienna, cała postać zdawała się jaśnieć. Niejeden mężczyzna czy centaur stwierdził teraz w duchu, że jest to istota wspaniała, imponująca. A kiedy pełne, zmysłowe wargi Elphame rozciągnęły się w promiennym uśmiechu, krew w żyłach wielu zgromadzonych istot płci męskiej popłynęła zdecydowanie szybciej. Ale tylko na moment, natychmiast bowiem przypomnieli sobie, że ziemskim istotom nie wolno pożądać bogini, która zstąpiła na ziemię. Bez względu na to, jak by nie była ponętna.

Elphame wyprostowała się, ogarnęła wzrokiem wszystkich zgromadzonych i przemówiła. Jasnym, dźwięcznym głosem.

- Od kwiatów na gałęziach drzew począwszy, po śpiew ptaków i szum wiatru, po kolumny zamkowe, wszystko wita nas tutaj z otwartymi rękami. Każdy kamień w zamku MacCallana czyni to z największą radością. Zamku, który już niebawem przestanie być ruiną! - Smukłe ręce Elphame uniosły się wysoko ponad jej głową. - Radujcie się! - zawołała. - Tu będzie nasz nowy dom!

Czuła ciepło, przepływające przez ramiona, podobnie jak wtedy, kiedy nawiązała więź z kamienną kolumną. Ciepło, przechodzące w żar, wspaniały żar, ogarniający całe ciało.

Wszyscy zareagowali tak samo - może nie tyle na jej słowa czy pomysł odbudowy zamku, co na nią samą. Na ich wspaniałą boginię. Wszyscy jak jeden mąż wydali radosny okrzyk, który odbił się szerokim echem wśród starych murów. Okrzyk radości, okrzyk życia.

Lochlan, ukryty wśród drzew, obserwował całą tę scenę. Patrzył na mężczyzn i centaurów, młodych i dumnych, wyczuwał ich uniesienie, kiedy odpowiadali na wezwanie bogini.

Elphame. Rozpoznał ją od razu. Nie mogło być inaczej, wiedział przecież, że tu ją zastanie. Ale i tak jej widok wstrząsnął nim. Co innego sny, co innego zobaczyć kogoś

na własne oczy. Był porażony jej widokiem. Bo dopiero teraz uświadomił sobie, jak jest piękna.

Jej ciało! Emanowało namiętnością i siłą, siłą nie z tego świata. Ciało tak ponętne... Lochlan czuł już, jak budzi się w nim pożądanie. Krew w żyłach przyspiesza, potężne skrzydła zaczynają drżeć. Dlatego

szybko zmusił się do spojrzenia w bok, żeby nie patrzeć na Elphame, bo wtedy być może uda mu się

zapanować nad podnieceniem.

W skroniach odezwał się znajomy ból, promieniujący na całe ciało. Rozchodził się po nim, przenoszony przez gorącą pulsującą krew. Całe ciało przeciwstawiało się jego pragnieniu opanowania

żądzy, ale Lochlan jak zwykle uruchomił w sobie całe zasoby swego człowieczeństwa, by pokonać mroczne impulsy. Po chwili krew w żyłach zwolniła, skrzydła zadrżały jeszcze raz i posłusznie złoży-

ły się na jego plecach.

Ból trwał, jak niespokojny duch tłukł się po jego głowie, ale Lochlan nie zwracał na niego uwagi.

Najważniejsze, że po raz kolejny udało mu się zapanować nad tym, co w nim złe i mógł ponownie skierować wzrok na Elphame. Spojrzał na nią dokładnie w chwili, gdy unosiła ręce wysoko ponad głową, a grupa mężczyzn i centaurów radosnym okrzykiem odpowiedziała na jej wezwanie. Lochlan uśmiechnął się, odsłaniając długie, groźnie wyglądające kły. On też bardzo chętnie wydałby z siebie taki pełen entuzjazmu okrzyk.

Całe szczęście, że jest tu sam, bez swoich ludzi, swoich towarzyszy niedoli. Niczego by nie pojęli, ale wystarczyło, żeby teraz o nich pomyślał i jak zawsze ogarnęła go rozpacz. Czuł ich obecność wręcz

namacalnie, czuł ich potrzeby, ich ból, ich wiarę w niego...

Nie, teraz nie wolno o nich myśleć. Nie wolno - a poza tym wcale tego nie chciał. Zaprzętać głowy teraz kimś

innym niż Elphame. Kiedy wszystko w nim, co było ludzkie, pełne honoru i prawdy, namawiało go, by biegł teraz do niej i wyznał, że odkąd sięga pamięcią to ona wypełnia wszystkie jego sny. I serce.

Nabrał głęboko powietrza i potarł dłonią twarz. Oczywiście, że teraz tego nie może zrobić. Podejść do niej, tak otwarcie, na oczach tylu ludzi. Przecież oni będą widzieć w nim tylko Fomoriana. Rzucą się

na niego, a on nie da rady pokonać ich wszystkich. Nie da rady nawet zbliżyć się do niej, nie dopuszczą go. I zabiją. Bo sama desperacja to nie wszystko.



Nagle w uszach zadźwięczał cichy głos ukochanej matki:

- Pamiętaj o swojej obietnicy, synu. Pamiętaj o Przepowiedni. Twoim przeznaczeniem jest znaleźć sposób, jak uzdrowić twoich pobratymców i poprowadzić ich z powrotem do Partholonu. Tylko ty możesz spełnić Proroctwo Epony. I musisz to zrobić.

Nie wolno mu być teraz egoistą. Musi myśleć o innych, musi uśmierzyć ich ból, nawet za cenę...

Zmusił oczy, by odwróciły się od Elphame i walcząc z rozdzierającym serce poczuciem straty, znikł bezszelestnie w głębi lasu.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

- Czy ty specjalnie próbujesz zepsuć mi całą zabawę? Skazać na życie w celibacie?

Cuchulainn wcale nie krył swego niezadowolenia, Elphame przeciwnie, w nastroju jak najlepszym, obdarzyła brata promiennym uśmiechem.

- Nie sądzę, Cu, że twoje intensywne życie miłosne rzeczywiście tak bardzo ucierpi, jeśli to ja porozmawiam z kobietami, chętnymi do podjęcia pracy w zamku. A ty będziesz nadzorować pracę płci męskiej na dworze!

- Chodź ze mną, chłopcze - powiedział dobrodusznie Danann, kładąc dłoń na ramieniu Cu. - Chcę przyrzeć się tym młodzikom i wybrać kilku, którzy nadawać się będą

na kamieniarzy. Resztę weźmiesz ze sobą i będziecie mogli, jak zarządziła twoja siostra, przystąpić do wielkiego sprzątnania.

- Ba! - prychnął po swojemu Cu, ale poszedł z centaurem i po chwili El usłyszała donośny głos brata, nawołującego mężczyzn i centaurów, czekających przed bramą, żeby wchodzili do środka. A tam miało się odbyć najpierw wielkie sprzątnanie. Co do tego Cu, Danann i Elphame byli jednomyślni. Po powitaniu przybyłych, zrobili szybki obchód po zamku i doszli do zgodnego wniosku, że zanim cokolwiek zaczną się naprawiać czy budować, najpierw trzeba uprzątnąć to, co nagromadziło się tutaj przez minione stulecie.

Elphame, wzięwszy się pod boki, rozejrzała się dookoła. Była sama, mogła pozwolić sobie na całkowitą swobodę myśli. A więc - wygląda to koszmarnie. Fakt, że ściany nośne stały, że zachowała się cała konstrukcja budowli, ale wszystko poza tym popadło w ruinę. Czego podczas pożaru zamku nie strawił ogień, niszczało wraz z upływem czasu.

Czuła, że ręce jej opadają. Nie spodziewała się, że zadanie, jakie sama przed sobą postawiła, będzie tak ciężkie, tak trudne. Cały teren zamku, otoczony grubymi murami, był bardzo rozległy. Ilu ludzi tu kiedyś mieszkało? Co najmniej tylu, ilu w chwili obecnej mieszka w sennej wiosce Loth Tor.

Czy ona, Elphame, będzie w stanie sprostać swemu zadaniu? Odbudować ten zamek?

Czując coraz większe przygnębienie, odruchowo spojrzała na centralną kolumnę ze śladami ognia sprzed stu lat. Bezwiednie potarła ręce, przypominając sobie przedziwne ciepło, ten żar, który czuła w sobie, gdy porozumiewała się z kamieniem. Magia... Nigdy dotąd czegoś takiego nie przeżywała, nawet w najmniejszym stopniu. Dopiero dziś. Dziś ma namacalne dowody, że potrafi porozumiewać się z duchami kamienia. Co to tak naprawdę oznacza?

- Rządzą od dawna, to był czas obfitujący w wielkie wydarzenia. Jestem gotowa się wycofać...

Głos matki ożył w pamięci Elphame, serce zatrzepotało z niepokoju. Och, nie! Ona absolutnie nie może zająć miejsca matki. Bez względu na to, czy faktycznie potrafi porozumieć się z duchami kamienia, czy nie, nie jest kimś, kto by potrafił kierować całym Partholonem. Po prostu nie jest swoją matką. Jej matka jest Wybraną Epony, Elphame nie.

Teraz jest przytłoczona ogromem swego zadania.

Tragedia? Nie. Elphame spojrzała na osmalone, kruszejące ściany i potrząsnęła sobą w duchu.

Porządnie. Zadanie ciężkie, owszem, ale przecież wcale się nie spodziewała, że będzie inaczej, że wszystko pójdzie jak z płatka. Teraz więc nie pozostaje jej nic innego, jak zakasać rękawy i brać się do roboty. Z głową, czyli panować nad wszystkim.

Przecież to twój zamek, Elphame. Twój nowy dom.

- Elphame! - zagrzemiał znów Cuchulainn. - Chodź! Przyszły kobiety!

- Świetnie. I od tego zaczynamy - szepnęła Elphame. Absolutnie nie czuła się na siłach kierować

całym

Partholonem, poza tym wcale tego nie pragnęła, ale na pewno ma dość siły w sobie, żeby przywrócić do życia zamek MacCallana.

Uśmiechnęła się na pożegnanie do tej najważniejszej, centralnej kolumny i szybkim krokiem podążyła ku zamkowej bramie.

Kobiety stały zbite w stadko kilka kroków od pustych drzwi. Nie widziały nadchodzącej Elphame, mogła więc

swobodnie im się przyjrzeć. Wszystkie były młode, trochę zalęknione. I w sumie było ich niewiele, zaledwie kilkanaście, czyli trzy razy mniej niż mężczyzn i centaurów. Nie było też wśród nich ani jednej kobiety centaury, czym Elphame była trochę rozczarowana. Ale wiedziała, że trzeba się zadowolić tym, co jest. Poza tym może to i dobrze, że kobiet jest niewiele. Będzie możliwość poznać się lepiej, będzie miało się z kim pogawędzić.

o nawiązaniu przyjaźni nawet nie śmiała marzyć. Tego sobie w ogóle nie wyobrażała, ale może przynajmniej ta grupka kobiet nauczy się traktować ją jako przywódczynię klanu, może nawet wielką kapłankę, a nie kogoś, kogo należy czcić, czyli boginię, nietykalną i nieśmiertelną.

Kiedy Elphame wyłoniła się z pustych drzwi, kobiety, wyraźnie spłoszone, szybko dygnęły przed nią, co druga pochyliła głowę. Elphame odchrząknęła i przywołując na twarz swój najbardziej serdeczny uśmiech, przemówiła do nich:

- Witajcie! Jestem bardzo zadowolona, że tak wiele kobiet zainteresowanych jest odbudową zamku MacCallana i uczynienia go swoim domem. Mężczyźni... - Elphame wskazała ręką na mężczyzn, którzy w tym czasie zdążyli już podzielić się na grupki i przystąpili do sprzątanía - wykonają większość ciężkich prac, co nie znaczy, że nasza praca będzie mniej ważna. A ja potrzebuję kucharek i kogoś, kto potrafi tkąć i wyszywać. Chciałabym bardzo... - Elphame nie zdawała sobie sprawy, że jej uśmiech, dotychczas serdeczny, teraz stał się uśmiechem rozmarzonym - by do zamku MacCallana powróciło życie, żeby było tu pięknie. Chciałabym, żeby ściany zamku ozdobione były tak pięknymi

gobelinami, że nawet moja matka, która żyje otoczona naprawdę pięknymi przedmiotami, poczuła ukłucie zazdrości!

Kilka kobiet uśmiechnęło się nieśmiało, Elphame, zachęcona tą reakcją, mówiła dalej mocnym, pewnym głosem:

- Potrzebne mi są też kobiety do codziennych prac, po prostu do dbania o zamek... - jej wzrok przemknął po chwastach zarastających wejście do zamku - który, jak widzimy, wymaga szczególnej opieki...

Jedna z kobiet zachichotała, natychmiast jednak, bardzo speszona, zasłoniła ręką usta i mocno się zarumieniała.

Elphame przechwyciła jej wzrok.

- Proszę, nie bójcie się śmiać. Zdaję sobie sprawę, że wszystko tutaj wcale nie wygląda zabawnie, ale wiercie mi, tak będzie tylko do czasu. Dzięki nam. Dlatego każdy kamień tutaj śpiewa z radości, zachwycony naszym przybyciem.

Dziewczyna odsłoniła usta i uśmiechnęła się nieśmiało do bogini.

- Jak ci na imię? - spytała Elphame.

- Me.. Meara - wyjąkała dziewczyna.

- Meara - powtórzyła Elphame. - Mearo, powiedz mi, proszę, jaki rodzaj pracy ci najbardziej odpowiada?

- Ja... ja... - zaczęła dziewczyna bardzo niepewnym głosem, ale dokończyła już jednym tchem: -

Potrafię utrzymać w domu porządek.

- Znakomicie. Bo to oznacza, że znalazłaś się w odpowiednim miejscu. Tu będziesz miała zawsze pełne ręce roboty. - Spojrzenie Elphame przemknęło po twarzach pozostałych dziewcząt. - Te spośród

was, które są dobre w sprzątaniu i czyszczeniu, niech zgłoszą się do Meary. - Elphame spojrzała z powrotem na Mearę, która aż pęczniała z dumy, że została wyróżniona. - Mearo, pod koniec dnia

podasz mi, proszę, imiona swoich

współpracownic. A teraz... - Elphame ponownie przemówiła głośniejszym głosem. - Kto zajmie się gotowaniem?

Cztery młode kobiety, zbite w stadko, po chwili wahania podniosły ręce, a po jeszcze jednej chwili

jedna z nich, o pięknych płomienistych włosach i zielonych oczach, wysunęła się o krok do przodu.

- Słyszałyśmy, że potrzebni są tu ludzie do pracy, dlatego przyjechałyśmy. Przedtem byłyśmy w

zamku McNamary. Tamtejsza kucharka... - Dziewczyna zamilkła na moment i spojrzała na swoje

towarzyszki, jakby szukając u nich poparcia. Wszystkie kiwnęły zachęcająco głowami, rudowłosa

mówiła więc dalej, z miękkim zachodnim akcentem: - Tamtejsza kucharka jest wiecznie

niezadowolona. Ciągłe gdera i gdera, i nie lubi młodych dziewczyn w swojej kuchni, zwłaszcza

takich, co mają nowe pomysły.

- Rozumiem - powiedziała Elphame. - A ja zapewniam was, że nie mam nic przeciwko młodym

dziewczynom w kuchni, zwłaszcza takim, co mają głowy pełne pomysłów. Nie sądzę też, że bym była

gderliwa, chociaż Cuchulainn prawdopodobnie byłby innego zdania.

Kiedy wspomniała o swoim przystojnym bracie, wszystkie dziewczęta zachichotały.

- A która z was jest najlepszą kucharką?

Trzy pary oczu natychmiast zwróciły się ku rudowłosej dziewczynie, która przemawiała w ich

imieniu.

- Wszystkie gotujemy dobrze, choć nie ukrywam, że mi chyba wychodzi najlepiej. Nazywam się

Wynne. A to są — Wynne po kolei wskazała ręką każdą ze swoich towarzyszek - Ada, Colleen i Ula.

- Dziękuję. Wynne, miło mi przekazać tobie, że od tej chwili w naszej kuchni rządzisz ty. Pierwszym

twoim zadaniem będzie rozejrzenie się po zamkowej kuchni.

Zorientuj się, co należy tam ponaprawiać, trzeba sprawić się z tym jak najszybciej. Mamy przecież tu

mnóstwo ludzi do wykarmienia.

- Tak, Bogini - powiedziała Wynne i dygnęła. Bogini. Elphame czuła, jak jej twarz tężeje, zanosilo się przecież na to, że żadna z tych kobiet nigdy nie dostrzeże w niej po prostu Elphame, młodej

kobiety,

która uwielbia biegać, żartować ze swoimi najbliższymi i moczyć się godzinami w basenie swojej matki. Zawsze będzie dla nich boginią.

Nie, tak nie będzie. Elphame szybko podjęła w duchu decyzję.

- Moje drogie! - odezwała się dźwięcznym głosem i dziewczęta, już paplające między sobą, natychmiast zamilkły. - Chciałam prosić was, żebyście zrobiły mi pewną uprzejmość. Będziemy pracować ze sobą, ramię w ramię, dlatego wolałabym, żebyście nie tytułowały mnie „boginią”.

Proszę, zwracajcie się do mnie po imieniu...

Wyraz twarzy wszystkich dziewcząt był jednakowy. Szok.

Elphame westchnęła.

- No dobrze. Nie chcecie mi mówić po imieniu, to zwracajcie się do mnie „milady”. Jak chcecie zresztą, byle tylko nie „bogini” - powiedziała, trochę już mniej pewnym głosem, ponieważ żadna z dziewcząt się nie odezwała. - No dobrze, jakoś to się ułoży... Co jeszcze? Aha! Czy któraś z was potrafi tkąć i wyszywać?

Kilka rąk uniosło się w górę. Elphame przechwyciła spojrzenie pulchnej, rumianej blondynki.

- Jak ci na imię? - spytała.

- Caitlin.

- Caitlin. Potrafisz tkąć czy wyszywać?

- I to, i to, Bogi... milady.

- Świetnie. Mam kilka pomysłów odnośnie nowych gobelinów. Chciałabym, aby w każdej dużej zamkowej sali wisiał inny gobelin, przedstawiający inną scenę. W wielkiej sali zamkowej powiesimy

gobelin przedstawiający po prostu zamek MacCallana. Chcę, żeby gobeliny te świadczyły, że zamek ożył, powrócił do dawnej świetności.

Caitlin, zanim odezwała się, dla dodania sobie animuszu zamrugała kilkakrotnie oczami.

- Ale, Bogini, to znaczy milady, skąd mamy wiedzieć, jak pokazać zamek na gobelinie? Przecież teraz daleko mu do świetności.

- Masz rację. A więc trzeba znaleźć kogoś, kto potrafi rysować i potrafi sobie wyobrazić... - Głos Elphame zamierał, wzrok utkwiała w ruinach.

- Ja narysuję, milady - rozległ się czyjś cichy głos. Elphame szybko spojrzała na kobiety, ale nie potrafiła

wyłowić spośród nich tej, która odezwała się przed chwilą.

- Kto to powiedział? - spytała.

- Ja. Nazywam się Brenna - poinformował cichy głos i tym razem Elphame zorientowała się, że jego właścicielka stoi gdzieś na szarym końcu.

- Brenno, pokaż się, proszę - powiedziała trochę już zniecierpliwionym głosem. - Chcę cię zobaczyć.

Dziewczęta rozstąpiły się i do Elphame podeszła niewysoka, drobna dziewczyna z pochyloną głową.

Długie ciemne włosy opadały na jej twarz. Elphame zauważyła, że pozostałe dziewczęta nagle spojrzwały w bok, jakby widok tej dziewczyny wprawiał je w zakłopotanie.

Zrozumiała, dlaczego, kiedy dziewczyna podniosła głowę i pokazała swoją twarz. Wtedy Elphame szybko nakazała swojej twarzy pozostać nieruchomą. Kompletnie pozbawioną wyrazu.

Brenna była młoda, twarz miała bardzo ładną. A dokładnie jej połowę, z lewej strony. Druga połowa twarzy, zeszpecona bliznami po oparzeniu, wyglądała strasznie. Blizna zaczynała się już na szyi, po czym wkraczała na twarz, zajmując całą prawą stronę. Gruba lśniąca blizna, różowa z białymi przebarwieniami, świadczącymi, że było to oparzenie najcięższe. Prawy kącik ust, zagubiony w tej bliznie, nie istniał, co było tym bardziej przykre, że wargi z lewej strony, nietknięte, były pełne, pięknie wykrojone. Podobnie było z brązowymi oczami o sarnim spojrzeniu. Prawe oko nietknięte, natomiast zewnętrzny kącik oka lewego pochłonęła blizna i oko w tym miejscu opadało.

Brenna stała nieruchomo, pozwalając Elphame przyjrzeć jej się dokładnie. Kiedy Elphame spojrzała

jej prosto w oczy, spokojnie wytrzymała jej wzrok.

- Potrafię narysować zamek - oświadczyła głosem już o wiele pewniejszym.

- Jesteś artystką, Brenno?

- Nie. Po prostu posiadam niewielką umiejętność rysowania z natury, także tego, co sobie wyobrażę.

Brenna uśmiechnęła się. Krzywo, ten uśmiech Elphame oceniła w duchu jako kompletnie

rozbrajający. - Sądzę, że potrafię narysować to, co milady sobie wyobrazi. O ile milady potrafi mi opisać to słowami.

El skwapliwie pokiwała głową, a Brenna dokończyła swoją wypowiedź:

- Chcę jednak, żeby milady wiedziała, że nie jestem artystką. Jestem Uzdrowicielką.

Czyli dla Elphame już drugi powód do radości.

- Wspaniale, Brenno. Jesteś tu osobą nadzwyczaj pożądaną. Jak wiadomo przy takiej pracy, jak odbudowa zamku, nie obejdzie się bez niefortunnych wydarzeń,

kiedy to interwencja Uzdrowicielki będzie niezbędna. Mój brat, na przykład, niby taki wielki wojownik, bardzo łatwo się kaleczy. Jak dziecko!

Wydawało jej się, że po oszpeconej twarzy Brenny przemknął cień. Ale odpowiedź padła od razu, jasnym, dźwięcznym głosem.

- Oczywiście, milady. Cieszę się, że będę tam, gdzie jestem potrzebna.

- Elphame!

Do damskiego grona wtargnęło nagle męskie tornado. W osobie wspomnianego brata. Cuchulainn mocnym krokiem przeszedł obok stadka młodych kobiet, mierząc je wszystkie błyszczącym wzrokiem i kłaniając się co ładniejszym.

- Elphame, wyobraź sobie, że wozy z prowiantem i narzędziami utknęły w miejscu, które kiedyś podobno było gościńcem wiodącym do zamku! Jest kompletnie zarośnięty. Wysłałem już tam centaurów, mają powyrywać, co trzeba i zrobić porządną drogę dojazdową do zamku. Kiedy wozy



już

podjadą, rozstawimy namioty. Myślę, że najlepiej przed murami. Dopóki to monstrum nie będzie znów nadawać się do zamieszkania.

Elphame znacząco uniosła brwi i skrzyżowała ramiona na piersi.

Cuchulainn wybuchnął śmiechem.

- W porządku! Wybacz, że twój ukochany pałac nazwałem monstrum!

- Nie pałac, tylko zamek - poprawiła go siostra lodowatym głosem.

- Niech będzie. Zamek. Z tym że ten twój zamek nie nadaje się na mieszkanie ani dla człowieka, ani dla zwierzęcia. O pięknych damach nie wspominając... - Cuchulainn mrugnął wesoło do rumianej Caitlin, której

policzki natychmiast przybrały barwę malwy. - A co do namiotów... Moim zdaniem najlepiej je rozstawić na łąkach za zamkowymi murami po stronie południowej. Łąki ciągną się aż do nabrzeżnych skał. Urządzenie obozowiska zajmie nam kilka dni, przez ten czas przytulą nas mieszkańcy Loth Tor. Czy milady ta koncepcja odpowiada?

- Odpowiada, odpowiada... - mruknęła Elphame, która za to błaznowanie najchętniej dałaby bratu po uszach. Zadowolili się jednak bardzo oszczędnym kuksańcem w bok. - A mnie potrzeba kilku mężczyzn do pomocy w kuchni. Z kuchnią trzeba zrobić jak najszybciej porządek. Wszystkich nas czeka bardzo ciężka praca, nie możemy jeść tylko suszonego mięsa i sucharów.

Kiedy szturchnęła brata, on złapał się za bok, udając, że go okropnie zabolalo. Był zachwycony, że siostra jest aż tak rozluźniona w obecności tylu obcych osób. Na takie głupie żarty Elphame pozwalała sobie tylko wobec swego rodzeństwa, i to wtedy, kiedy nikt inny ich nie widział. Czyli wszystko

wskazywało na to, że perspektywa odbudowy rozwalającego się zamku wpływa na nią bardzo korzystnie.

- Nie jestem tym zachwycony, bo tracę kilka par rąk. Ale jak trzeba, to trzeba. Oddam kilku mężczyznom

do twojej dyspozycji, raczej do dyspozycji twojej kucharki... - Uśmiechnął się łobuzersko. - Znakiem tego musisz poznać mnie ze swoją kucharką!

Elphame, oczywiście, najpierw zrobiła odpowiednio zbolałą minę, po czym uczyniła zadość jego prośbie.

- Wynne, ten naprzykrzający się młody człowiek to mój brat, Cuchulainn. Cuchulainnie, poznaj proszę Wynne, która rządzi w naszej kuchni.

Cuchulainn złożył nonszalancki ukłon.

- Miło mi ciebie poznać, Wynne o płomienistych włosach.

- Mnie również bardzo miło, milordzie - odparła Wynne, spoglądając na niego bardzo, bardzo przychylnie.

- A więc poznałeś już ją, Cu - powiedziała Elphame trochę zniecierpliwionym głosem. - Teraz idź już.

Wyznacz kilku mężczyzn do dyspozycji Wynne i przyslij ich do zamku.

Siostra popchnęła lekko brata w stronę, skąd przyszedł. Brat, zanim się oddalił, złożył wszystkim damom elegancki ukłon.

- Miłe panie... Do zobaczenia!

Wszystkie „miłe panie” dygnęły i rzuciły za nim słowo pożegnania.

- Mój brat to łobuz.

Elphame była pewna, że stwierdziła to w duchu bezgłośnie, dopóki nie odezwała się Wynne, wpatrzona w barczyste plecy oddalającego się Cu.

- Może i łobuz, ale jest diabelnie przystojny! - wypaliła i zbladła, przerażona, że pozwoliła sobie na zbyt wielką poufałość. Dygnęła szybko, zaczęła coś tam mamrotać, ale Elphame machnęła

lekceważąco ręką na znak, że nie ma za co przepraszać i zakończyła wątek, starając się być dowcipna.

- Zachowaj w pamięci przede wszystkim to „diabelnie”, a zachowasz serce w całości!

Była niezadowolona. Czy one nigdy w jej obecności nie poczują się swobodnie? Zawsze będą

traktowały ją jak jakąś świętość, wokół której chodzi się na palcach? Przecież starała się ze wszystkich sił zachowywać jak najbardziej „normalnie”, nie zadzierała nosa, nawet drażniła się z bratem w ich obecności.

Ale nie trzeba tracić nadziei. Z czasem przekonają się,

że ona w gruncie rzeczy jest taka sama jak wszyscy. W końcu to dopiero pierwszy dzień, trzeba być cierpliwym. Przez tyle lat traktowano ją w taki, a nie inny sposób i nie da się tego zmienić za jednym zamachem, jednego poranka.

Starając się nie poddawać przygnębieniu, zwróciła się

ponownie do kobiet:

- A więc zabieramy się do roboty. Wiem już, że każda z was posiada szczególne umiejętności i bardzo

to sobie cenię.

Uśmiechnęła się, szczególnie ciepło do tych, których imiona już poznała. Brenny nie zauważyła, czyli dziewczyna musiała znów schować się za plecami swoich towarzyszek.

- Na początek wszystkie będziemy rywalizować z Mearą. Zanim będziecie miały okazję wykazać się swoimi umiejętnościami, najpierw musimy posprzątać. Zaczynamy od wejścia do naszego nowego domu - oznajmiła Elphame i nie czekając na odpowiedź, podeszła do chaszczy przed pustymi odrzwiami zamkowej bramy. Nachyliła się i chwyciła za długi, pokryty rdzą żelazny pręt, jedną ze smętnych resztek zamkowej bramy. Zaparła się nogami i pociągnęła z całej siły. Gruby pręt stawiał opór, po chwili jednak powoli i z ogromną niechęcią wysunął się spośród zbitych w kłęb pnączy dzikiego wina.

Elphame spojrzała na swoje współtowarzyszki. Okazało się, że wcale nie poszły za jej przykładem. Zbiły się znów w stadko i popatrywały lękliwie to na mroczną czeluść wśród kamieni, widoczną za bramą, to na Elphame. Prawdopodobnie w tamtej dziurze jawiło im się jakieś widmo, natychmiast więc przypomniały im się wszystkie mroczne opowieści o kłątwie, jaka ciąży na zamku MacCallana.

W tym momencie niewątpliwie

Elphame powinna powiedzieć im kilka pokrzepiających słów, niestety, ona w dodawaniu otuchy i w ogóle w przemawianiu do tłumu była kiepska. Fakt, że jej poranna przemowa do mężczyzn i centaurów porwała słuchaczy zakrawał na cud. Była w tym kiepska, nie to, co jej matka, prawdziwa mistrzyni w płomiennych przemówieniach.

Trzeba jednak jakoś dodać tym młodym kobietom odwagi. Ich zalęknione spojrzenia kierowane były bez przerwy na Elphame, czyli niewątpliwie spodziewały się, że kto jak kto, ale ona zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Co, oczywiście, było całkowicie bezpodstawne. Pomyślała jednak, że ma w ręku pewien argument. Bardzo mocny argument.

- Bierzmy się do pracy, moje drogie. Oczyszczymy wejście do naszego nowego wspólnego domu, zamku MacCallana. Zróbmy to my, kobiety, bo przecież to kobieta jest zawsze strażniczką domowego ogniska, niezależnie od tego, czy jest to wiejska chata, zamek czy świątynia. To kobieta zawsze tchnie życie w rodzinę, tak jak nasza Bogini Epona daje życie światu każdego poranka. I teraz my, kobiety, wyrwiemy zielsko sprzed bramy, by przez tę bramę weszło do zamku nowe życie. Do zamku, z którego uczynimy nasz nowy dom.

Kiedy skończyła, usłyszała głębokie, gremialne westchnienie, niewątpliwie ulgi.

Pierwsza Meara wysunęła się do przodu, chwyciła za gruby konar i dorzuciła go do żelaznego pręta, wyciągniętego z chaszczy przez Elphame.

- Teraz przynajmniej możemy mieć całkowitą pewność, że na coś tu się przydamy - powiedziała z satysfakcją i uśmiechnęła się szeroko.

Reszta kobiet też się uśmiechnęła.

- A tak, masz rację - przytaknęła Wynne i z zapalem

zaczęła wyrywać chwasty, zarastające bramę. Jej trzy pomocnice dołączyły do niej, zaraz potem wszystkie pozostałe kobiety zabrały się do roboty, pogadując sobie przy tym i żartując, przede

wszystkim oczywiście z mężczyzn, którym trzeba oczyścić drogę, bo inaczej do domu nie trafią. Tak

to już z mężczyznami jest.

Elphame stanęła z boku, popatrując na krzątające się kobiety. Już teraz było widać, że te kobiety żadnej pracy się nie boją. Nie bały się pobrudzić rąk, żadna nie jęczała, że może zrobić już krótką przerwę.

Co powiedziała przed chwilą Meara? „Teraz przynajmniej możemy mieć całkowitą pewność, że na coś tu się przydamy”. Tak powiedziała, a to pozwala przypuszczać, że tam, skąd przyszły, nie były już potrzebne. Przybyły tu w poszukiwaniu swego nowego miejsca na ziemi, miejsca, gdzie będą potrzebne.

Takie miejsce już znalazły, powiedziała sobie w duchu El. Wszystkie te młode kobiety zostaną na zawsze w zamku MacCallana. Tu będzie ich dom, tu zawsze będą potrzebne i docenione.

Kiedy czyniła sobie w duchu tę obietnicę, nagle wiatr przywiał do jej uszu czyjeś słowa, ciche słowa, czyjś szept:

- Znakomicie dałaś sobie radę, Umiłowana.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

- Ojej, jak tu ciemno! Boję się!

Cichy głos Caitlin odbił się echem od wewnętrznych murów zamku. Grupa kobiet po przekroczeniu pustej bramy zamkowej, która po uprzątnięciu przypominała otwartą paszczę jakiegoś gigantycznego zwierzęcia, pozbawioną przednich zębów, uczyniła zaledwie jeden krok i zatrzymała się. Przez cały ranek kobiety pracowicie zbierały to, co nagromadziło się przez stulecie i układały na stos. W międzyczasie, podczas krótkiej przerwy między pieleniem a dźwiganiem zjadły lunch, pochłaniając z wilczym apetytem twarde suchary, ser i suszone mięso. Elphame doskonale mogła wyobrazić sobie swoją matkę,

która na widok takiego posiłku wzdrygnęłaby się z odrazą. Jak można jeść coś tak prostego i w tak barbarzyński sposób!

Można. Elphame delectowała się każdym kęsem.

Pierwszy etap prac został zakończony, przyszła pora na następny. Teraz należało wkroczyć do zamku i rozpocząć prace zakrojone na o wiele większą skalę, w celu przekształcenia starej ruiny w schludny dom.

Przedtem jednak Elphame ponownie musiała wlać w swoje podopieczne trochę entuzjazmu.

- Wcale nie jest tu tak ciemno - powiedziała i zdecydowanym krokiem podeszła do wielkiej dziury w wewnętrznym murze, gdzie kiedyś były drzwi, którymi wchodziło się do zamku. Przez pusty otwór widać było majaczący w mroku główny dziedziniec i potężną kamienną kolumnę.

- Tylko tak się wydaje, bo wszystko jest osmalone po pożarze, poza tym pokryte brudem całego stulecia - dodała, uśmiechając się zachęcająco, przede wszystkim do lękliwej Caitlin. - Jak się to wszystko doszoruje, będzie o wiele jaśniej.

Niestety, ani Caitlin, ani pozostałe kobiety nie sprawiały wrażenia przekonanych. Przeciwnie, było jasne, że najchętniej znalazłyby się z powrotem za zamkowym murem.

- A co do klątwy...

W tym momencie, wiadomo, wszystkie kobiety znieruchomiały, wlepiając oczy w Elphame.

Wydawało się, że nawet kamienie całe zamieniają się w słuch.

- ...to nieprawda. Nie ma żadnej klątwy - ciągnęła Elphame pewnym, dźwięcznym głosem. -

Wcielenie Bogini Epony zapewniało mnie o tym osobiście, poza tym podpowiada mi to moja intuicja.

Nie ma żadnej klątwy,

a to miejsce, choć w strasznym stanie, nadal jest piękne. Trzeba tylko umieć to dostrzec, a nie wierzyć głupim bajkom, którymi straszy się niesforne dzieci. Nie pozwólcie, żeby zachwiały waszym zaufaniem do nowego domu.

I do mnie, dodała w duchu. Bardzo nie chciała, żeby jej ludzie wylęknieni skradali się po zamku i podskakiwali ze strachu z powodu wyimaginowanych demonów.

- Ja nigdy się nie bałam żadnych bajek, milady. Elphame od razu rozpoznała ten głos, jeszcze zanim

Brenna wysunęła się ze swego miejsca za plecami swoich towarzyszek i podeszła do niej. Głowę miała pochyloną, szpecące blizny ukryte za welonem włosów. Ale oczy były odsłonięte, bystry wzrok utkwiony w Elphame.

- Uważam jednak, że niektóre fantastyczne opowieści i wytwory wyobraźni mają większą moc niż rzeczywistość. Dlatego, kierując się rozsądkiem, powinno się odpędzać od siebie duchy nierealności, zanim przytłoczą to, co jest prawdą.

Elphame bardzo się podobał sposób mówienia Brenny. Spokojny, wyważony, pewny siebie.

- Co proponujesz, Brenno?

- Obrzęd oczyszczenia. Bardzo prosty, ale dzięki niemu pozbędziemy się negatywnej energii, a dobra energia otoczy opieką nowych mieszkańców zamku.

Pozostałe kobiety wpatrywały się w Brennę z wielką ciekawością i z wyraźną ulgą.

- Dobrze - powiedziała Elphame. - Powiedz, co jest potrzebne do takiego obrzędu.

- Niewiele. Jak powiedziałam, to bardzo prosty obrzęd. Potrzebujemy tylko bazylii i duże naczynia na wodę.

- Poszukam bazylii - zaofiarowała się Wynne. - Może rośnie gdzieś zdziczała w tutejszym ogrodzie.

- Całkiem możliwe - przyznała Brenna. - Zioła są

niezwykle wytrzymałe. Jeśli uda ci się tu odszukać ogród ziołowy kucharek sprzed stu lat, jest nadzieja, że znajdziesz tam bazylię.

- Ja zawsze odnajdę ogród kucharki - oświadczyła Wynne. Jej głos, zwykle bardzo miękki, melodyjny,

tym razem zabrzmiał nieco ostrzej.

- A ja poszukam czegoś na wodę - oświadczyła Meara. - W zamku mieszkało kiedyś mnóstwo ludzi, na pewno gdzieś tu walają się jakieś naczynia czy kubełki.

- Świetnie to wymyśliłyście, Wynne i Mearo - pochwaliła Elphame i energicznym głosem wydała

polecenia reszcie kobiet: - Podzielcie się. Połowa z was pójdzie z Wynne szukać bazylii, a reszta z Maerą na poszukiwanie naczyń na wodę. Kiedy wrócicie, będziemy mogli zacząć obrzęd.

Nie spodziewała się, że kobiety podejną do tego tak entuzjastycznie. A one tymczasem pręźnie jak wojownicy w spódnicach błyskawicznie podzieliły się na dwie grupy i ruszyły do boju. Wkroczyły do

zamku, wcale nie wylęknione i drżące, lecz z głośnym śmiechem, pokrzykując między sobą. Może i miały w tym swój cel, pragnąc głośnym zachowaniem odpędzić to, co ewentualnie czaiło się w ciemnych zakamarkach.

- Strach można pokonać zdrowym rozsądkiem i wykonywaniem prostych czynności, codziennych czynności - powiedziała cicho Brenna, która została razem z Elphame.

- Masz rację - odparła z uśmiechem Elphame. - Bardzo mądrze wymyśliłaś ten obrzęd oczyszczenia, Brenno. Niemożliwe przecież, żeby człowiek bał się miejsca, z którym wiąże nadzieje na przyszłość. Ja już po prostu gotowa byłam na nie nawrzeszczyć, co byłoby bez sensu. Twoja metoda jest o wiele lepsza.

- Nie wiem, czy lepsza, ale na pewno, jak powiedziałam, bardzo nieskomplikowana i przemawiająca do wszystkich - odparła skromnie Brenna, jednocześnie lekko skłoniła głowę, dziękując Elphame za pochwałę.

- Brenno, czy ty jesteś szamanką? - spytała z ciekawością Elphame.

Na twarzy Brenny pojawił się rozbrajająco krzywy uśmiech.

- Milady mi pochlebia. Nie, nie jestem szamanką. Nie potrafię, jak szaman, uleczyć duszy, chociaż lecząc ciało, muszę posiadać pewną wiedzę o Świecie Duchów.

Elphame uśmiechała się coraz szerzej.

- Mówisz podobnie jak mój ojciec, choć on ujmuje to na odwrót. Nie potrafi leczyć ciała, ale musi znać się na ciele, żeby uleczyć duszę.

- Midhir jest Wielkim Szamanem. Spotkałam go tylko raz, był wobec mnie bardzo życzliwy i



uprzejmy. Nigdy tego nie zapomnę.

- Nie wiedziałam, że... - Elphame w ostatniej chwili ugryzła się w język. O mały włos, a

powiedziała, że nie wiedziała, że jej ojciec zajmował się kimś, kto ma tak straszliwe blizny. Czyli zachowała się jak osoba wyjątkowo gruboskórna.

Odchrząknęła.

- Nie wiedziałam, że znasz mojego ojca.

- Nie znam go, milady. Jak powiedziałam, kiedyś spotkałam go tylko raz.

Elphame, nadal bardzo niezadowolona z siebie, pokiwała głową i szybko zadała pytanie z innej beczki.

- Skąd jesteś, Brenno?

- Dotychczas mieszkałam w Zamku Strażników.

- W Warowni? Cieszę się, że zdecydowałaś się do nas dołączyć. Mam nadzieję, że w Warowni nie odczują zbyt boleśnie twojej nieobecności.

Brenna spojrzała w bok, Elphame zdążyła jednak zauważyć w jej oczach o różnym kształcie ból.

- Po prostu nadeszła pora wyjechać stamtąd, zacząć nowe życie - powiedziała cicho Brenna.

- Rozumiem - odparła krótko Elphame. Rozumie... Nie, ktoś o tak pięknej twarzy jak Elphame chyba nie potrafi tego zrozumieć. Brenna otwierała już usta, żeby powiedzieć o tym Elphame, ale nie odezwała się. Nie dlatego, że ona, Uzdrowicielka, bała się kobiety posiadającej władzę. Milczała, bo

w międzyczasie jej spojrzenie przemknęło po całej Elphame i zauważyło coś, co było bardzo istotne.

Elphame ubrana była zwyczajnie, jak wszystkie kobiety w Partholonie. Tors owinięty białym płótnem, spiętym na ramionach broszami. Ręce odsłonięte, tak było wygodniej przy pracy. Spódnica ułożona w równe fałdy, jak kilty noszone przez mężczyzn. Krótka. A dalej, zamiast kolan,

kształtnych, kobiecych łydek i stóp w skórzanych trzewikach, Brenna zobaczyła dwie przednie nogi konia. Smukłe, umięśnione, z pęciami, pokryte krótką lśniąca sierścią o tym samym kolorze co włosy

Elphame - ciemny kasztan. Nogi zakończone były czarnymi jak heban, lśnącymi kopytami. Elphame nie była człowiekiem, ale niewątpliwie nie była też kobietą centaurem. Była czymś, co różniło ją od całego Partholonu.

Spojrzenie Brenny przemknęło z powrotem w górę, żeby napotkać wzrok Elphame.

- Myślę, że milady rzeczywiście mnie rozumie - powiedziała cicho Brenna.

Dwie młode kobiety, tak różne od innych kobiet, wymieniły ostrożne, nieśmiałe uśmiechy.

Kobiety wróciły o wiele szybciej niż spodziewała się

Elphame. Tym, które poszły za Mearą, udało się znaleźć brudny, wyszczerbiony gliniany garnek oraz osmalony kubek, który jakimś cudem przetrwał pożar.

- Trzeba to porządnie wyszorować - oświadczyła Meara, dodając nieco ciszej: - Jak i cały ten zamek.

Urobimy się po łokcie...

Elphame udało się powstrzymać uśmiech. Wyznaczenie Meary na przywódczynię grupy sprzątającej było niewątpliwie strzałem w dziesiątkę. A że gdera? Nie szkodzi. Lepsze to niż miałyby przemykać lękliwie, przerażona rzekomą klątwą rzuconą na zamek.

- Niedaleko stąd jest strumyk. Wypływa z lasu, płynie po klifie i wpada do morza - odezwała się jedna z kobiet.

- Ty jesteś Arlene, prawda? - spytała ją Elphame. Młoda kobieta uśmiechnęła się nieśmiało i skinęła głową.

- Tak, milady. Jestem z Loth Tor, dobrze znam tę okolicę.

- Świetnie. W takim razie zaprowadź, proszę, Mearę nad strumień. Mearo, weź ze sobą do pomocy tyle dziewcząt, ile ci potrzeba.

Meara chrząknęła, wyraźnie zadowolona, że znowu może się trochę porządzić. Dobrała sobie kilka dziewcząt i cała grupa podążyła nad strumyk.

- A ja znalazłam mnóstwo bazylii! - oświadczyła z triumfem Wynne. Rozchyliła fałdy swej spódnicy i

na ziemię sfrunęło kilka delikatnych listków, rozsiewając wokół siebie charakterystyczny zapach, który wszystkim kojarzył się ze smakowitymi sosami, podawanymi podczas radosnych, niekończących się uczt.

Elphame, nagle bardzo głodna, zrobiła głęboki wdech, jakby chciała powietrzem zapełnić pusty żołądek. Zauważyła, że kilka kobiet zrobiło dokładnie to samo.

Uśmiechnęła się. Wszyscy myślą o jedzeniu, czyli musi zbliżać się pora obiadu.

- Znalazłam kuchnię - oznajmiła Wynne. - Tragedia. Elphame czuła, jak serce jej na moment stanęło.

- Aż tak źle? Da się coś tam naprawić, czy trzeba będzie całkowicie odbudować?

- Och, nie. Fundamenty są w porządku, dużo sprzętów ocalało. Ale i tak jest bardzo dużo do zrobienia.

Słowa Wynne, w sumie optymistyczne, z niewiadomego powodu wzruszyły Elphame. Łzy napłynęły jej do oczu, szybko więc zamrugała powiekami, bojąc się, że kobiety mogą jej reakcję zrozumieć opacznie. Odczekała chwilę. Odezwała się dopiero wtedy, kiedy była już pewna, że głos jej nie zadrży.

- Myślę, że ta sytuacja będzie się teraz często powtarzać. Najpierw przerażenie, a potem okaże się, że w wielu miejscach w zamku fundamenty są w porządku i zachowało się wiele sprzętów.

Kobiety pokiwały głowami potakująco i w oczach Elphame, nie wiadomo dlaczego, znów zakręciły się łzy.

- El! - zagrzmiął Cuchulainn. - Podesłać wam już tych mężczyzn?

Tym razem Elphame była bardzo zadowolona z hałaśliwej ingerencji brata. Szybko otarła oczy wierzchem dłoni, ale brat, zbliżając się do nich wielkimi krokami, i tak łez siostry by nie zauważył, zajęty był bowiem rozdawaniem na prawo i lewo swoich lśniących bielą zębów uśmiechów.

- Kiedy powiedziałem mężczyznom, że piękne damy potrzebują ich pomocy, zgłosiło się mnóstwo ochotników - oznajmił, mrugając wesoło do Wynne, która natychmiast zaczęła nerwowo otrzepywać spódnice, wytrząsając z niej resztę listków bazylii.

Cuchulainn był po prostu niepoprawny.

- Dobrze, dobrze, Cuchulainnie - odezwała się szybko Elphame. - Powiadomimy cię, kiedy potrzebna będzie ich pomoc. Najpierw chcemy zrobić obrzęd oczyszczenia.

- Obrzęd oczyszczenia? - spytał brat.

Elphame uśmiechnęła się w duchu. Wystarczyło wspomnieć o magii, a brat natychmiast odwrócił wzrok od ponętnej Wynne i cały zamienił się w słuch.

- Tak, Cu. Obrzęd oczyszczenia. Nasza nowa Uzdrowicielka doszła do wniosku, że zanim zaczniesz prace w zamku, dobrze byłoby odprawić obrzęd oczyszczenia połączony z prośbą o opiekę. Zgadzą się z nią całkowicie. To prosty obrzęd. Nie bój się, nikt nie będzie rzucał uroku ani wzywał duchów.

Chciałabym, Cu, żebyś poznał naszą nową Uzdrowicielkę. Brenno...

Rozejrzała się. Po Brennie ani śladu, a jeszcze przed sekundą stała tuż obok. Ale z tyłu, za kobietami mignęły czarne włosy. Brenna jak zwykle chowała się za plecami innych. Elphame miała ochotę jęknąć z rozpacz. Jeśli Brenna ma być ich Uzdrowicielką, nie wolno jej uciekać, kiedy pojawia się jakiś mężczyzna. Bala się, że Cuchulainn zachnie się na jej widok, wyda okrzyk przerażenia.

Nagle przypomniała sobie wyraz oczu Brenny, kiedy mówiła jej, że przyszła pora zacząć nowe życie.

Widniał w nich wielki smutek, być może więc istotnie chodziło o reakcję ludzi na jej widok. Była przekonana, że w młodym człowieku, zwłaszcza tak przystojnym, pewnym siebie jak Cuchulainn, na pewno wzbudzi odrazę.

Ale Brenna nie знаła Cuchulainna tak dobrze jak jego siostra, która wiedziała, że Cuchulainn, niepoprawny uwodziciel, jest jednocześnie bardzo dobrym człowiekiem. Ma miękkie serce i nigdy by

świadomie nie skrzywdził żadnej kobiety.

- Brenno! - zawołała. - Proszę, podejdź. Chciałabym, żebyś poznała mojego brata.

Uzdrowicielka z wyraźnym ociąganiem wysunęła się spoza pleców swoich towarzyszek. Podchodziła z głową pochyloną, dopiero, kiedy zatrzymała się przed Elphame, westchnęła i podniosła głowę.

Elphame zerknęła na brata. W jego twarzy nie drgnął żaden mięsień.

- Cuchulainnie, to jest Brenna, nasza nowa Uzdrawicielka.

Cuchulainn uklonił się.

- Miło mi poznać ciebie, Brenno.

Elphame uśmiechnęła się ciepło do Brenny, która teraz wydawała się być kompletnie pochłonięta odglądaniem swoich stóp.

- Pomyślałam, że was sobie przedstawię. Oczywiście, Brenna została uprzedzona, że pod pewnymi względami mój brat jest beznadziejnym przypadkiem. Cu, jak już ci mówiłam, to Brenna podsunęła pomysł odprawienia obrzędu oczyszczenia. My wszystkie uważamy, że to świetny pomysł.

Kobiety zaczęły kiwać głowami, potakiwać, a Elphame zauważyła, że Cu nie odrywa oczu od Brenny.

Nagle spytał:

- Czy ty jesteś szamanką, Brenno?

Brenna z wielkim ociąganiem zwróciła twarz w stronę młodego, przystojnego wojownika.

- Nie, Cuchulainnie, nie jestem - odparła, prawie szeptem. - Ale posiadam pewną wiedzę o Świecie Duchów. Znane mi są obrzędy, dzięki którym możemy uzyskać ich błogosławieństwo.

- To dobrze. Jestem zdania, że odwołanie się do Świata Duchów jest bardzo rozsądne, na pewno pomoże to w odbudowie zamku MacCallana - powiedział Cuchu-

lainn bardzo stanowczym głosem, a Elphame, zaskoczona, aż zamrugnęła powiekami. Co on mówi, ten Cu? Przecież jak ognia unika jakiegokolwiek wzmianki o Świecie Duchów! A teraz...

- Cu, czy ty się dobrze czujesz?

W tym momencie w pustych odrzwiach zamkowej bramy ukazała się Meara, a za nią kilka dziewcząt.

Wpadły do środka, wszystkie przemoczone, ale dumne. W obu wyszorowanych na błysk naczyniach niosły wodę. Na widok Cuchulainna najpierw stanęły jak wryte, potem każda z nich szybko dygnęła, po czym wszystkie zaczęły chichotać, bo przy okazji rozlały wodę.

Cu uśmiechnął się do dziewcząt.

- Jak mam nie czuć się dobrze, kiedy widzę tyle ślicznych twarzy?

Czyli Cu z powrotem był już sobą. Elphame potrząsnęła tylko bezradnie głową, postanawiając jednocześnie w duchu, że podpyta się go później, skąd u niego to nagłe pragnienie wsparcia ze strony Świata Duchów.

- Idź już, Cu - powiedziała. - Chcemy zacząć obrzęd. Cu nie opierał się. Poszedł sobie, a Elphame zwróciła

się teraz do Brenny.

- Przystępujemy do obrzędu. Co mamy zrobić?

- Trzeba zgnieść listki bazylii i wrzucić do wody - odparła Brenna. Żadnym nieśmiałym szeptem, jak podczas wymiany zdań z Cuchulainnem, tylko jasnym, pewnym siebie głosem Uzdrawicielki,

wzbudzającej respekt. - Każda z nas weźmie kilka listków, zgniecie i wrzuci do wody, a milady, kiedy

będzie to robiła, niech pomyśli o wszystkich wspaniałych rzeczach, jakie sobie wymyśliła w związku z tym zamkiem.

Brenna skinęła na Mearę, stojącą najbliżej naczyń z wodą. Meara, widać, że bardzo przejęta, wzięła gałązeczkę i zanurzyła ją w chłodnej wodzie. Nie wyjmując rąk z wody, oberwała parę żółtawych listków, zgmiotła je w dłoni, potem ostrożnie zamieszała w wodzie.

- Dobrze - powiedziała Brenna.

Pozostałe kobiety skwapliwie poszły za przykładem Meary. Wkrótce woda w obu naczyniach, garnku i kubelku, zrobiła się zielonkawa od listków, a dookoła naczyń utworzył się wianuszek uśmiechniętych kobiet, z rękoma po łokcie w chłodnej, pachnącej wodzie.

- Teraz zamknijcie oczy - powiedziała Brenna - i przywołajcie w pamięci wszystkie wasze marzenia, związane z nowym domem. Wszystkie wasze nadzieje i pragnienia związane z waszą przyszłością.

Pomyślcie, czego pragniecie, za czym tęsknicie.

Wszystkie dziewczęta zamknęły oczy, Elphame widziała, jak każda z nich pogrąża się we własnych

myślach, widziała, jak ich usta składają się do uśmiechu.

- Milady i ja powinniśmy do nich dołączyć - powiedziała Brenna.

Elphame skinęła głową. Obie wzięły po gałązeczce bazylii. Elphame podeszła do glinianego garnka, wokół którego tłoczył się wianuszek kobiet i wcisnęła się między Mearę i Caitlin, tak pogrążonych w swoich myślach, że chyba tego wcale nie zauważyły. W każdym razie żadna z nich nie krzyknęła, wystraszona, że dotknęła ją bogini. Czyli jest cudownie, pomyślała Elphame. Cudownie jest być po prostu taką jak wszyscy, nawet jeśli tylko przez chwilę.

Zamknęła oczy, skupiła się i nagle... nagle coś usłyszała. Wyraźnie. Do jej uszu zaczęły docierać milczące pragnienia otaczających ją kobiet. Zanurzały się w wodzie i płynęły ku Elphame.

Proszę, daj temu domowi szczęście i spokój... Daj mi

poznać radość z posiadania dobrego męża... Niczego tak nie pragnę jak mieć dzieci... Proszę, żebym

już nigdy nie była głodna... Bardzo chcę czuć się bezpieczna, nie bać się niczego... Chcę, żeby ludzie akceptowali mnie taką, jaka jestem...

Te prośby przepływały przez Elphame, a Elphame, wzruszona, tuliła je do serca. Potem dodała własne

pragnienie. Prawie nieświadoma, że tym razem robi odstępstwo od swoich zwykłych pragnień.

Zawsze marzyła, by być zwyczajnym człowiekiem, móc naprawdę żyć blisko innych ludzi. Teraz, po raz pierwszy, jej życzenie nie dotyczyło tylko jej osoby.

Proszę, niech wszyscy, którzy wejdą do zamku MacCallana, znajdą tu bezpieczną przystań i pomogą mi być mądrą, wyrozumiałą przywódczynią.

- Obrzęd musi być zakończony przez ciebie, Bogini - powiedziała Brenna.

Jej spokojny, pewny siebie głos wyrwał grupkę kobiet z zamyślenia, wstrzymał strumień pragnień i myśli, które chłonęła Elphame. Wszystkie otworzyły oczy, mrugały powiekami, oszołomione, jakby przerwano im piękny sen. Potem wszystkie wstały, otarły pocętkowane na zielono dłonie o spódnicę i spojrzały wyczekująco na Elphame.

Elphame zadrżała, nagle czując lęk. Nie spodziewała się tego, była pewna, że wszystkim, od początku

do końca, pokieruje Brenna. Ona, El, nigdy dotąd nie uczestniczyła w żadnych magicznych obrzędach, a kiedy pobierała nauki w Świątyni Muzy, unikała zajęć, podczas których wykładano o zaklęciach, czarach, o wzywaniu bóstw. Wiedziała, że było to powodem do plotek. Dziwiono się, dlaczego Elphame to robi, albo też znajdowano na to wytłumaczenie. Elphame posiada taką moc, że nie musi

się niczego uczyć od zwyczajnych śmiertelników, by porozumiewać się ze Światem Duchów.

Panowało przecież ogólne przeświadczenie, że Elphame pójdzie w ślady matki. Będzie Wybraną Epony i tak jak jej matka, a przedtem prababka, zostanie duchową przywódczynią Partholonu.

A prawda wyglądała inaczej. Elphame, choć gorąco tego pragnęła, nigdy nie poczuła magii, nigdy nie nawiązała porozumienia z duchami, z bogami, zwłaszcza z Epo-ną. Dlatego uważała, że studiowanie magii w jej przypadku jest bezcelowe. W niej, w Elphame, nie było nic magicznego oprócz odmienności fizycznej.

Nie było do chwili przyjazdu do zamku MacCallana, gdzie powitały ją duchy kamienia. Tu wszystko było inaczej. Zamek MacCallana dla nich wszystkich był początkiem nowego życia. Co wcale jednak nie oznaczało, że El będzie zmuszona pójść w ślady matki. Oznaczało to, że w końcu znalazła swoje miejsce na ziemi. Jest tu, gdzie powinna być. Jak cudownie, że można w końcu pozbyć się wszystkich wątpliwości, dręczących od lat.

- Brenno, co mam zrobić?

- Najpierw wyniesiemy naczynia do bramy. Uporano się z tym błyskawicznie. Brenna ustawiła garnek i kubek w pustych odrzwiach, na ziemi oczyszczonej z chwastów i rupieci, po czym poprosiła Elphame, by stanęła między naczyniami. Pozostałe kobiety stanęły przed bramą.

- A teraz wezwij po kolei wszystkie cztery żywioły - powietrze, ogień, wodę i ziemię. Trzeba prysnąć



wodą z listeczkami bazylii po kolei na wszystkie cztery strony świata, prosząc żywioły, by oczyściły zamek i wzięły go pod swoją obronę. Nie ma na to żadnych określonych słów, mówi się to, co dyktuje serce. A my będziemy podążać za tobą, Bogini.

Brenna odwróciła się plecami do Elphame, zwracając się twarzą ku wschodowi i skinęła na pozostałe

kobiety, by zrobiły to samo.

Wschód. Umysł Elphame pracował gorączkowo. Wschód to początek wszystkich czarów, tam zaczyna się magiczny krąg. Do wschodu przypisany jest żywioł powietrze. O tym wiedziało już każde dziecko w Partholonie.

Nagle uświadomiła sobie, że zamek MacCallana zwrócony jest frontem na wschód. Z wrażenia aż musiała zrobić głęboki wdech. Przecież to musi być dobry znak!

Zamknęła oczy, skupiła się i po chwili z głębi jej serca popłynęła żarliwa modlitwa do Bogini.

- Epono, proszę, wysłuchaj mnie. Nie śmiem prosić, byś mówiła do mnie tak jak do mojej matki. Nie ludzę się, że kiedykolwiek to się stanie. Proszę cię tylko o to, byś pomogła mi nie rozczarować tych kobiet. Pomogła uczcić duchy, których obecność zaczęłam wyczuwać dziś rano. Proszę, podsuń mi właściwe słowa, gdy będę prosić o błogosławieństwo i opiekę nad naszym nowym domem.

Skończyła. I pełna determinacji, przysięgając sobie w duchu, że zrobi to jak najlepiej, otworzyła oczy.

Nachyliła się i nabrała pierwszą garść wody z zielonymi listeczkami.

Spojrzała na wschód i uniosła ręce. Po palcach spłynęła woda koloru trawy.

- Wzywam ciebie, Siło Powietrza, na świadka tego obrzędu. Jesteś żywiołem, z którym stykamy się zaraz po naszych narodzinach, kiedy robimy nasz pierwszy wdech. Proszę cię, byś wypełniła sobą zamek MacCallana, który ma się odrodzić i wygnała z niego wszystkie złe moce. Technij w jego mury pokój i weź go pod swoją opiekę.

Nagły powiew wiatru rozwichrzył włosy Elphame. Dmuchał w opadające na ziemię kropelki wody,

które zatańczyły w powietrzu, dając Elphame jasno do zrozumienia, że jej słowa zostały wysłuchane.

Prośba zostanie spełniona.

Elphame posłała w odpowiedzi uśmiech. Było w nim i zdumienie, ale przede wszystkim radość.

Wiatr ucichł. Elphame znów zrobiła głęboki wdech i zwróciła się twarzą na południe - kierunek żywiołu ognia. Wszystkie kobiety obróciły się w tę samą stronę. A Elphame, nabrawszy pełne garści wody, uniosła ręce przed sobą.

- Wzywam ciebie, Siło Ognia, na świadka tego obrzędu. Ty dajesz nam ciepło, światło i energię.

Twoja siła oczyściła już zamek MacCallana. Proszę, abyś nadal czuwała nad nim, naszym nowym domem i nad nami, jego mieszkańcami.

Kiedy mówiła, czuła na twarzy ciepłe promienie słońca, przenikające do jej ciała, docierające w głąb jej duszy.

Teraz wszystkie kobiety obróciły się znów w prawo, na zachód. Elphame po raz trzeci nabrała pełne garści wody.

- Wzywam cię, Siło Wody, na świadka tego obrzędu. Jesteś w nas, w naszym ciele, jako jego nieodłączna część. Jesteś w naszych łzach, w mleku matki, w naszej krwi. Proszę, zmyj z zamku MacCallana ból przeszłości. Miej nad nim pieczę w dniu dzisiejszym, radosnym, pilnuj go, kiedy stoi na brzegu tuż przed tobą, przed bezmiarem wód morza.

Fale, uderzające o nabrzeżne skały, nagle zaczęły uderzać coraz mocniej. Ten odgłos nasilał się, osiągnął siłę grzmotu i odbił się głośnie echem wśród zamkowych murów.

Kiedy przycichł, Elphame, zamykając magiczny krąg, obróciła się znów w prawo, teraz ku północy, związanej z żywiołem ziemi.

- Wzywam ciebie, Siło Ziemi, na świadka tego obrzędu. Dzięki tobie stoimy pewnie, ty dajesz nam schronienie. Twego ducha wyczuwamy w każdym kamieniu tego zamku. Proszę ciebie, byś użyła swojej wielkiej mocy do wypędzenia stąd złej energii, proszę, byś chroniła zamek MacCallana siłą

nowego, które rodzi się i rośnie karmione mądrością, gromadzoną przez stulecia.

Trawa pod ich stopami nagle zaszeleściła, jakby przemknęła po niej gigantyczna ręka i zapachniało całą szczodrością natury.

A potem wiedziona impulsem Elphame jeszcze raz nabrała w obie dłonie zielonkawej wody i wyrzucając wodę wysoko w powietrze, zawołała jasnym, dźwięcznym głosem:

- Wzywam ciebie, Epono, na świadka tego obrzędu i proszę, byś pobłogosławiła zamek MacCallana, nasz nowy dom i wzięła go pod swoją obronę!

Kropelki wody rozprysły się wokół głowy Elphame jak ciekłe gwiazdki. Kobiety wydały radosny okrzyk.

- Chodźcie! - zawołała Brenna, podbiegając do jednego z naczyń z wodą z bazylią. Zanurzyła w nim ręce i racząc swoje towarzyszki swoim krzywym uśmiechem, zawołała: - Oczyszcmy nasz nowy dom!

Nabrała wody, deszcz zielonkawych kropel spadł na stare mury. Pozostałe kobiety z piskiem i śmiechem poszły za jej przykładem, zmywając garściami pachnącej bazylią wody resztki swego lęku.

Ukryty w małym zagajniku niedaleko zamkowej bramy Cuchulainn przypatrywał się kobietom. Był bardzo poruszony tym, co teraz zobaczył. Trudno mu było

uwierzyć, że to jego siostra wypowiadała podniosłe słowa, na które uzyskiwała tak oczywistą odpowiedź od poszczególnych żywiołów. Ale trudno było nie uwierzyć, skoro widziało się to na własne oczy. Patrzył i słuchał zafascynowany, a jednocześnie drzemiąca w nim siła magiczna, którą tłumiał w sobie, wyzwoliła się w nim pod wpływem magicznego obrzędu, niewątpliwie zainspirowanego przez Eponę. Czuł się też oczyszczony, czuł, jak wokół zamku MacCallana rosła nowe niewidzialne mury obronne i otaczają go magicznym kręgiem.

Poczuł jeszcze coś, coś trudnego do sprecyzowania. Może były to resztki gniewu Epony na Fomorian, którzy sto lat temu najechali na Partholon, zaczynając wojnę tu, w tym miejscu, od rzezi Klanu MacCallana. Ten czyn wzbudził straszny gniew Bogini. Jej Wybrana wówczas zwołała wszystkich

Partolończyków. Mężczyźni i centaury ramię w ramię ruszyli do boju i pokonali hordy demonów. Czy to dlatego Epona pobłogosławiła obrzęd, odprawiany przez jego siostrę? Jest przychylna odbudowie tego zamku? Czy wszystko może być takie proste?

Nie. Wiedział, że za tym kryje się coś więcej, coś, co było też obecne podczas obrzędu odprawianego

przez jego siostrę. Cuchulainn nie był jednak w stanie dojść, co dokładnie. Było to zbyt ulotne, zbyt niejasne, a jednocześnie o czymś przypominało. O Przeczuciu, jakie miał podczas wizji dotyczącej przyszłego towarzysza życia Elphame.

To coś było bardzo mroczne. Czekają. Czekają właśnie tutaj.

Ale tutaj był również Cuchulainn, gotów bronić swojej siostry przed każdym złem. Nawet jeśli zło wyrządzi jej ten, którego przeznaczeniem jest kochać ją. Kochać Elphame.

Kiedy Cuchulainn odwracał się od kobiet i od zamku, jego twarz była posepna, dłoń oparta na rękojeści miecza. Bystre, czujne spojrzenie wojownika przesuwano się po otaczającym go lesie, szukając źródła tego zła. Szukając tego, który jego siostrze może złamać serce.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

One wszystkie pachną teraz jak ogród z bazylią po wiosennym deszczu. Tak, na pewno tak. Elphame uśmiechnęła się i zaczesując wilgotne pasmo włosów za ucho, wyjęła z włosów jeszcze jeden, zabłąkany listeczek bazylii. Jakaż to była podniosła chwila, jaki wspaniały obrzęd, dzięki któremu i uczestniczące w nim kobiety, i zamek zostały oczyszczone.

Spojrzała w niebo. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Niestety. Elphame stłumiła w sobie pełne rozpaczy westchnienie. Byłaby szczęśliwa, gdyby można było teraz rozpalić w zamkowych paleniskach, zapalić pochodnie i każdy mógłby dalej oddawać się swojemu zajęciu. Teraz jeszcze nie. Kiedy zamek spowije mrok, koniec z robotą. Elphame zastanowiła się przez moment. Tak,

teraz najważniejszym zadaniem są zamkowe kuchnie. Te pomieszczenia należy jak najprędzej doprowadzić do stanu używalności.

Kuchnie? Chyba nie, bo jednocześnie w głowie pojawiła się zniecierpliwiona myśl o czymś innym. Uprzątnijcie główny dziedziniec, to przecież serce zamku. Pozwólcie, żeby znowu zaczęło bić.

Czy to moja własna myśl? - spytała siebie zaskoczona Elphame. Poza tym, czy to tylko myśl? Nie, to nie jest właściwe słowo. To coś więcej. Pragnienie i przeświadczenie, że to właśnie jest sprawą nadrzędną.

- Milady? Co teraz mamy robić?

Elphame, wyrwana nagle z głębokiego zamyślenia, spojrzała na Brennę półprzytomnie, a zaraz potem się uśmiechnęła, z zadowoleniem, bo Uzdrowicielka wreszcie przestała nazywać ją boginią. Skinęła na resztę kobiet. Kiedy zgromadziły się wokół niej, wyłowiła wzrokiem Wynne,

- Wynne, najpierw trzeba doprowadzić do porządku kuchnie. Odbudowywanie domu wzmaga apetyt.

Uśmiech Wynne był promiennym wyrazem aprobaty,

- Wiem dokładnie, gdzie one są.

Elphame oczywiście też wiedziała, gdzie znajdują się zamkowe kuchnie. Nie napomknęła jednak o tym ani słowem, nie chcąc psuć Wynne przyjemności poprowadzenia wszystkich do miejsca, które będzie jej domeną.

- A więc prowadź, Wynne - powiedziała z uśmiechem i Wynne pierwsza weszła do zamku, za nią pozostałe kobiety, o dziwo, bez żadnego ociągania, bez nerwowego śmiechu czy popiskiwania ze strachu. Było tak, jakby z całego zamku nagle wymiotło pajęczyny przeszłości.

Teraz, by w tym miejscu narodziła się przyszłość, potrzebna była tylko praca rąk.

Cuchulainn na pewno nazwałby ją teraz głupią idealistką. Nieważne. Była tak szczęśliwa, jej serce z nadmiaru radości po prostu podskakiwało, jeszcze chwila i wyskoczy z piersi.

Kiedy kobiety weszły na główny dziedziniec zamku, radosny gwar nagle ucichł. Wszystkie utkwiły wzrok w kolumnie Klanu MacCallana, trwającej w milczeniu na środku dziedzińca. Ogromna, wznosiła się wysoko ponad ich głowami, budząc lęk. Ale nie w Elphame, która szybko podeszła do

kolumny i natychmiast poczuła w dłoniach magiczne ciepło, wysłane przez duchy kamienia. Tym razem nie położyła rąk na granitowej powierzchni, lecz odwróciła się twarzą do kobiet.

- To centralna kolumna zamku MacCallana - wyjaśniła im. - Nie zapominajmy, że kiedyś ten zamek należał do znamienitego Klanu MacCallana. Wśród członków tego klanu byli nie tylko wojownicy, także poeci i artyści, malarze i rzeźbiarze. W żyłach wielu Wybranych płynie krew MacCallanów.

Szanowali piękno i prawdę, dlatego, gdy ich pomordowano, Epona wpadła w wielki gniew. Spójrzcie

na tę kolumnę. Kiedy przyjrzyjecie jej się dokładnie, zauważycie pod warstwą brudu piękne płaskorzeź-

by przedstawiające symbole, ważne dla MacCallanów. Stworzenia i rośliny z otaczających zamek lasów, także herb klanu - wspinającą się klacz. Wszystkie te płaskorzeźby tworzą piękny ornament wokół kolumny.

Kilka kobiet pokiwało głowami i podeszło bliżej, z wielką ciekawością wpatrując się w potężną kolumnę.

- Po oczyszczeniu kolumna odzyska dawną świetność - zapewniła je Elphame. - Jak zresztą i cały dziedziniec. Spójrzcie na posadzkę.

Kobiety natychmiast skierowały wzrok w dół. A El-phame, nie bacząc na to, że ukazanie niezwykłych części jej ciała może wzbudzić sensację, grzebnęła kopytem, wzbudzając mały tuman kurzu.

- Widzicie? Piękny marmur - powiedziała, uśmiechając się z satysfakcją. - Kiedy usunie się stąd brud, ta posadzka zajaśnieje takim samym perłowym blaskiem jak posadzka w Świątyni Epony.

Coraz bardziej podekscytowane kobiety nachyliły się, by dokładniej obejrzeć ukryty pod warstwą brudu skarb.

Serce zamku... Te słowa wciąż dźwięczały w uszach Elphame. Reakcja kobiet świadczyła, że one również poruszone są tym, co teraz oglądają. Dlatego ten zamek musi ożyć, ożyć jak najszybciej. Taką

przysięgę złożyła sobie teraz Elphame. Sobie i zniszczonej przez upływ czasu kolumnie.

- Wynne! - zawołała. - Prowadź nas teraz do kuchni! Zarumieniona z zadowolenia Wynne - była przecież

teraz bardzo ważną osobą - poprowadziła ich przez dziedziniec do ostrołukowych odrzwi, pustych teraz, bez drzwi, przez które wchodziło się do wielkiej sali zamkowej. Tu nad głową nie było powały

z belek, tylko z szarego kamienia, tego samego, co zamkowe mury. Dlatego zachowała się w stanie nienaruszonym, natomiast osmalone ściany przedstawiały sobą bardzo smutny widok. Tak samo całe stopy zwęglonego drewna. Tyle pozostało z drewnianych stołów, kiedyś ustawionych w rzędach naprzeciwko ogromnej, nadpalonej framugi, w której był cały rząd okien. Za tymi stołami biesiadowa-

no, popatrując przez te okna na pozostałą część zamku. Tu także, w tej sali, sprawowano sądy.

Tylko zgliszcza i potrzaskane kamienie. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Bystry wzrok Elphame od razu wy-

śledził, że i tu, tak jak na dziedzińcu, wiele fragmentów sali zachowało się nietkniętych. Błysk w oku u wielu kobiet świadczył, że myślą one podobnie.

W tej budowlu, tak strasznie zmaltretowanej, drzemają wielkie możliwości.

- Z wielkiej sali zamkowej są dwa wejścia do kuchni...

- Energiczny głos Wynne świadczył, że aż pali się, żeby przejść do spraw dla niej zasadniczych. - O, tam! I tam!

- Wynne wskazała na małe drzwi w ostrołukowych odrzwiach na dwóch krańcach przeciwległej ściany. - Tymi drzwiami wchodzi się do korytarza, który prowadzi do kuchni. - Wynne spojrzała na swoje pomocnice: - Dziewczęta, trzeba będzie ustalić, którymi drzwiami będziemy wchodzić, którymi

wychodzić, żeby uniknąć kolizji.

Trzy pomocnice pokiwały ze zrozumieniem głowami, a Elphame omal nie krzyknęła z radości. A więc to prawda! Drobnymi krokami zaczynają już zmieniać ruinę w zamek tętniący życiem!

Ponieważ kuchnie praktycznie były przedłużeniem wielkiej sali zanikowej, kamienny dach też był tu nienaruszony, ale same kuchnie przedstawiały sobą widok żałosny. Słysząc było świergot ptaków, także cichy szelest przemykających się zwierzątek. Elphame podejrzewała, że w dwóch wielkich paleniskach rezydują całe plemiona tych stworzonek. Pod jedną ścianą stały ceglane piece kuchenne. Kiedy Wynne zajrzała do jednego z nich, z pieca wyskoczyła wystraszona wiewiórka i rzuciła się do ucieczki. Wynne na jej widok wydała przeraźliwy pisk i wybuchnęła śmiechem.

- Biedaczka! Na pewno pomyślała, że jestem wielką, mokrą bazylią! - zawołała, a reszta kobiet śmiała

się razem z nią.

Pod jedną z ocalałych ścian był ogromny zlew, obok

zardzewiała pompa, czyli kiedyś do kuchni pompowano świeżą wodę. Za pompą stały przepastne kamienne szafy kuchenne. Na środku kuchni stał ogromny stół do pracy z marmurowym blatem, teraz zasłany liśćmi i ptasimi odchodami.

- I co będzie dziś na obiad, siostrzyczko? Elphame, słysząc nagle głos brata tuż przy uchu, aż podskoczyła.

- Uwważaj, Cu! Jak będziesz mnie tak straszył, dostaniesz w tyłek!

- To twarda sztuka, Bogini. Chyba nawet nie poczuje! - rzucił żartobliwie jeden z mężczyzn, stojących za Cuchulainnem.

- No proszę! W tak krótkim czasie już się na tobie poznali!

Cu uśmiechnął się i podniósł obie ręce na znak, że się poddaje.

- Nie złość się, siostrzyczko. Przychodzimy w zamiarach pokojowych!

- Mam nadzieję, że przede wszystkim przyszliście do pracy! - rzuciła ostrym głosem Elphame, jeszcze

nie do końca rozpoznaną.

- A to też. Czekamy na twoje rozkazy, pani! - odciął się Cu, składając przed nią przesadnie uniżony ukłon.



- Nie na moje! W tym miejscu rozkazy wydaje kto inny. Nasza kucharka, Wynne!

Cuchulainn zrobił szybko zręczny w tył zwrot i skłonił się równie nisko przed hożą Wynne. Elphame zauważyła, że kilku z pozostałych mężczyzn popatrywało na rudowłosą dziewczynę z wyraźną przyjemnością. Jediną oznaką, że Wynne jest z tego zadowolona, był lekki rumieniec, który teraz zabarwił jej ładne, okrągłe policzki.

Bo poza tym Wynne stanęła przede wszystkim na wysokości zadania. Wyprostowała się, oparła ręce na swoich kształtnych biodrach, po czym głosem donośnym przystąpiła do wydawania komend:

- Zaczynicie od czyszczenia palenisk, potem pieców kuchennych. Kilku z was pójdzie na dach. Trzeba upewnić się, czy kominy są drożne i umocnić obłuzowane kamienie. Poza tym pompa. Ma działać bez zarzutu. Ale przede wszystkim trzeba naznosić wiader, mydła i szmat i przystępujemy do generalnych porządków.

W kuchni zakotłowało się, wszyscy ochoczo rzucili się w wir pracy. Elphame, żeby nie zawadzać, szybko usunęła się na bok.

- Dzięki centaurom droga już przejezdna - poinformował Cu, podchodząc do siostry. - Wozy już przyjechały. Całe szczęście, szkoda by było, gdybym musiał rozczarować twoją ładniutką kuchareczkę, mówiąc jej, że wozy utknęły w lesie.

- Moja kuchareczka może i jest ładna, ale uważaj. Ma ostry język!

- Jak każda rudowłosa dziewczyna - stwierdził Cu tonem znawcy. - Dlatego są takie pociągające.

- Och, nie zaczynaj znowu, Cu. - jęknęła Elphame i złapała go za rękę. - Lepiej chodź ze mną. Musisz mi w czymś pomóc.

- A dokąd to chcesz mnie zaprowadzić, siostró moja?

- Na główny dziedziniec. Nie wiem, ale coś mi mówi, że ten dziedziniec trzeba jak najszybciej doprowadzić do porządku.

Kiedy dochodzili do drzwi, Elphame zorientowała się, że w ogromnej kuchni nagle zapadła cisza.

Przystanęła i spojrzała przez ramię. Wszyscy stali nieruchomo. Wpatrzeni w nią.

Niestety.

- Róbcie dalej, co kazała Wynne - powiedziała szybko. - Ja razem z bratem zabieramy się za sprzątanie głównego dziedzińca.

Zrobiła krok i znów się zatrzymała, słysząc głos Brenny.

- Milady, czy mogę iść z wami?

Elpahame zauważyła, że kiedy Uzdrowicielka wyszła z ciemnego kąta na samym końcu kuchni, kilku mężczyzn skrzywiło się odruchowo i spojrzało w bok.

- Oczywiście, że tak, Brenno - powiedziała szybko. - Bardzo proszę.

- Koniecznie! - dodał wesoło Cu. - Moja siostra obwieściła już przecież całemu światu, że mam wyjątk-

kową skłonność do obrażeń cielesnych, wymagających pomocy ze strony biegłej Uzdrowicielki.

Elphame, zachwycona, rzuciła bratu wyjątkowo ciepłutkie spojrzenie. Wspaniale, że to powiedział, dając wszystkim do zrozumienia, że zeszpecona bliznami dziewczyna to ktoś, kogo i Cu, i jego siostra bardzo sobie cenią i poważają.

Brenna nie powiedziała nic, tylko pochyliła głowę, kryjąc prawie całą twarz za włosami i szybkim krokiem podążyła za rodzeństwem.

- Trzeba zrobić coś z tymi oknami - powiedział Cu, kiedy przechodzili przez wielką salę zamkową. -

Elphame, trzeba wymierzyć tę framugę. A może chcesz po prostu tę ścianę całą zamurować?

- Och, nie. Przecież stąd widać dziedziniec. Bardzo mi się to podoba.

Przeszli na dziedziniec. Elphame przystanęła i spojrzała w górę, gdzie spalony dach zastąpiło przedwieczne niebo, zegnające wspaniałą błękit, przechodzący w po-

marańczowy i w fiolet. Widok przepiękny, a jednocześnie bolesny kontrast z tym, co widać było w dole. Kompletną ruinę. Marmurową posadzkę przykrytą grubą warstwą ziemi, konarami i przegniłymi

belkami sufitu. Na samym środku dziedzińca utworzyła się z tego prawdziwa góra.

Na środku dziedzińca, tam, dokąd wciąż powracało spojrzenie Elphame. Pamięć ożyła, na razie podsunęła tylko przeświadczenie, że tam, na środku coś jest, coś bardzo ważnego...

- Cu, Brenno! Najpierw spróbujmy uprzątnąć środek dziedzińca - powiedziała i nie czekając na odpowiedź, szybko podeszła do owej góry na środku. Chwyciła za grubą belkę, pociągnęła, podniosła

i nagle zobaczyła fragment jakiegoś murka. Szybko odsunęła na bok jeszcze kilka belek, konarów i po chwili dotarło do niej, że ów murek okala olbrzymi basen, teraz zawalony kamieniami, gałęziami, wszystkim, czym można było zawalić basen przez ponad sto lat.

- Widzicie?! Wiedziałam od razu, że znajdziemy tu coś ciekawego! - zwołała, zachwycona, nie przerywając roboty.

Cu i Brenna dołączyli do niej i niebawem spośród kamieni i przegniłego drewna wyłoniło się coś niezmiernie interesującego. Posąg, przedstawiający młodą dziewczynę naturalnej wielkości, ustawiony na samym środku basenu. Dziewczyna w uniesionych rękach trzymała dzban. Przechylony, jakby komuś nalewała wina.

- Przecież to fontanna! - zawołała Brenna.

- Oczywiście. Tylko zaraz... chwileczkę...

Cu szybko podeszedł do posągu, przez chwilę wpatrywał się w niego uważnie, a potem nagle zaczął gorączkowo brzegiem swego kiltu ścierać brud z twarzy rzeźby.

Ścierał i ścierał, póki nie ukazała się twarz. Twarz z lśniącego marmuru, białego jak mleko. Cu znieruchomiał.

- Elphame! Ona... ona wygląda tak jak ty!

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Elphame wpatrywała się w rzeźbę. Rzeźbę, która istotnie była bardzo podobna do niej. Te same rysy twarzy. Wysoko osadzone kości policzkowe, pełne wargi, cienkie łuki brwi.

- To Rhiannon - powiedziała nagle Brenna. - Widziałam kiedyś tę fontannę, dawno temu, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Rhiannon była jedynym dzieckiem Przywódcy Klanu MacCallanów. Mieszkała tu, w tym zamku, póki nie została Wcieleniem Bogini Epony. Ona jest...

- Moją przodkinią - dokończyła za nią Elphame.

- Była także wielkim wojownikiem - powiedział Cu,

nie odrywając oczu od białej marmurowej twarzy. - Pod jej przywództwem Fomorianie zostali pokonani i wygnani z Partholonu.

- Nie zapominajmy jednak, że trochę pomógł jej w tym mąż, centaur. Wielki Szaman ClanFintan.

Zaskoczona Elphame rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu właścicielki mocnego, dźwięcznego głosu, który przemknął przez dziedziniec. A kiedy zobaczyła dużą, mocną postać, wyłaniającą się z mrocznego miejsca za ogromną centralną kolumną, nie mogła powstrzymać cichego okrzyku. Jej oczom bowiem ukazała się kobieta centaur. Niewątpliwie Łowczyni, skoro potrafiła wejść tu tak bezszelestnie, że nawet wyjątkowo czujny Cuchulainn niczego nie zauważył.

Zaskoczenie Elphame szybko przerodziło się w ogromne zadowolenie. Wreszcie dołączył do nich ktoś, kogo jej bardzo brakowało. Kobieta centaur, Łowczyni!

- Masz rację, Łowczyni. Słusznie mnie poprawiłaś - powiedziała uprzejmie. - Mój ojciec na pewno zrobiłby to samo, co ClanFintan.

- Nie zamierzałam cię poprawiać, Bogini. Chciałam tylko o tym przypomnieć.

Łowczyni podeszła bliżej, wysuwając się całkowicie z mroku. Elphame była porażona jej urodą.

Piękne były obie części jej ciała, i ta ludzka i ta, która była ciałem konia. Konia o wspaniałej budowie, maści kasztanowej, wyjątkowo jasnej. W świetle dnia prawie srebrzysta sierść przypominała Elphame

umaszczenie Wybranej Klaczy Epony. Nawet kopyta były niezwykle - białe jak śnieg. Druga część ciała Łowczyni, ta ludzka, też była urzekająca. Długie, gęste włosy, idealnie tego samego koloru co umaszczenie, spływały po plecach jak srebrzysta peleryna. Skóra na całym ciele alabastrowa.

Łowczyni ubrana

była w tradycyjny strój centaurów, skórzaną kamizelkę, od połowy w górę niezapinaną, pozwalającą dojrzeć ładne, pełne piersi.

Twarz o klasycznych rysach, przepiękne oczy koloru lawendy.

Kobieta centaur zatrzymała się przed Elphame i złożyła przed nią niski, bardzo wdzięczny ukłon.

- Przybyłam tu, Bogini Elphame, żeby służyć tobie i zamkowi MacCallana. Jestem Łowczynią.

Nazywam się Brighid Dhianna.

- Ze Stada Dhianna... - wtrącił Cuchulainn i wyraźnie spochmurniał.

- Tak. Pochodzę ze Stada Dhianna, ale myślę zupełnie inaczej niż oni.

Elphame doskonale wiedziała, co chce przekazać Brighid. Wśród centaurów pojawiła się sekta, zdobywająca coraz większą rzeszę zwolenników. Członkowie sekty otwarcie głosili pogardę dla rodzaju ludzkiego. Wyznawcy tej ideologii rzadko opuszczali Równiny Centaurów, gardzili ludźmi, gardzili też centaurami, decydującymi się bytować przy wspólnotach ludzkich, gdzie nierzadko traktowano ich jak coś niewiele lepszego od zwierząt domowych. Elphame nieraz słyszała dyskusje rodziców na temat tej rozprzestrzeniającej się ideologii separatystycznej, której gorliwą wyznawczynią była Wielka Sza-manka, a jednocześnie przywódczyni Stada Dhianna.

- Brighid Dhianno - przemówiła Elphame głosem pełnym powagi - jeśli szukasz dla siebie miejsca, gdzie będziesz mogła zacząć wszystko od nowa, takie miejsce znalazłaś. Witamy cię serdecznie w zamku MacCallana, gdzie wspólnymi siłami budujemy nowe życie.

Spojrzenie lawendowych oczu Łowczyni było bardzo twarde.

- Tak, Bogini. Szukam miejsca, gdzie będę mogła zacząć wszystko od nowa.

- Takie miejsce, jak powiedziałam, już znalazłaś. A nasze nowe, wspólne życie zaczniemy od tego, że

będziemy mówić sobie po imieniu. Nazywam się El-phame. Ten groźnie wyglądający wojownik to mój brat, Cuchulainn... - Cuchulainn uklonił się, ale nadal wiało od niego chłodem - a to nasza Uzdrowicielka, Brenna.

Elphame z przyjemnością zauważyła, że Łowczyni na widok strasznych blizn Brenny nawet nie drgnęła.

- A teraz, Łowczyni, bierzemy się do roboty. Robi się późno, a chcemy, zanim zrobi się całkiem ciemno, uprzątnąć fontannę - powiedziała Elphame i odwróciwszy się z powrotem do stosu przegniłych belek, kamieni i gałęzi, pierwsza zabrała się do roboty, ignorując podejrzliwe spojrzenia, jakimi częstowali się nawzajem jej brat i Łowczyni.

- Na dziś wystarczy, El! Dość! Jutro też jest dzień! - wykrzykiwał Cuchulainn, zrozpaczony niewyczerpaną energią swojej siostry. - W kuchni nie ma już nikogo, nawet tego tyrana w spódnicy, twojej kucharki i jej harpii. Wszyscy są już w drodze do Loth Tor, gdzie czeka ich gorący posiłek i wygodne, miękkie łóżko.

Razem z Łowczynią zaciągnął kolejną porcję gruzu na coraz większą górę poza murami zamkowymi i wrócił na dziedziniec. Pewien, że El i Brenna zbierają już kubły, szykując się do odejścia. Ale jego uparta jak osioł siostra dalej zajęta była zbieraniem śmieci, teraz na samym końcu basenu.

Na jego krzyki zareagowała bardzo spokojnie. Spojrzała w górę, gdzie między resztkami dachu widać

było niebo, malowane teraz przez odchodzące słońce na kolor malwy i spytała:

- To dlaczego tu jeszcze jesteś, Cu? Zabieraj ten ostatni ładunek i jedź już. Ja też zaraz stąd wychodzę.

- Nie ruszę się stąd bez ciebie, Elphame. Oprócz nas nie ma tu już nikogo, a dla mnie to nie do pomyślenia, żebyś przez las szła sama.

- Och, daj spokój! Przecież między zamkiem a Loth Tor bez przerwy ktoś się kręci. Jestem pewna, że w pobliżu nie ma już nawet ani jednej wiewiórki. Taki tu rejwach, że wszystkie ptaki i zwierzęta pouciekały.

- Poza tym nie będzie szła sama. Ja wracam razem z nią - odezwała się Łowczyni.

- Tak samo ja - dodała Brenna. Elphame znacząco uniosła brwi.

- No i co? Zadowolony?

- Powiedzmy. Ale pamiętaj, jeśli nie zjawisz się w gospodzie, kiedy zaczną podawać do stołu, wrócę tu po ciebie. A teraz...

Cuchulainn rozpiął klamerkę przy cienkim pasku okalającym jego talię. Do paska przymocowana była mała pochwa, w pochwie - o czym Elphame wiedziała doskonale - schowany był jeden z bardzo niebezpiecznych sztyletów Cu.

- Weź to - powiedział, rzucając jej pasek z pochwą. - Nie masz przecież przy sobie żadnej broni, chociaż powtarzam ci bez przerwy, że to błąd!

Odwrócił się i mamrocząc pod nosem coś bardzo niepochlebnego o upartych kobietach, ruszył do wyjścia.

- Ej, panie bracie! - zawołała za nim Elphame. - Ty lepiej martw się o siebie! Jeśli Wynne dowie się, że nazwałeś ją tyranem, a jej pomocnice harpiami, marny twój los! Bardzo marny!

Cu, oczywiście, nie odwrócił się. Sadził przed siebie długimi krokami, a Elphame, spoglądając na swoje towarzyszki, ulżyła sobie:

- Najgorsze, co może być, to młodszy brat, który nie daje ci spokoju. Jest nadopiekuńczy i do wszystkiego się wtrąca!

- On po prostu cię kocha - powiedziała Brenna.

- Ale jest denerwujący! - wtrąciła Łowczyni.

- A pewnie! - przytaknęła skwapliwie Elphame. - Okropnie denerwujący. Jeszcze nie wiecie, na co

stać! Jeśli nie zjawię się w porę w gospodzie, będzie leciał tu przez las, z wyciągniętym mieczem. Jak wariat, siejąc popłoch wśród biednych ptaszków i leśnych zwierzątek!

Brenna zaśmiała się, ślicznym, perlistym śmiechem. Elphame i Brighid zawtórowały i wszystkie trzy, roześmiane, wzięły się znowu do roboty. Elphame była szczęśliwa, że na dziedzińcu zamkowym,

przedstawiającym sobą tak ponury widok, słyhać tak wesołe dźwięki. Nie musiała wcale przykładać dłoni do centralnej kolumny, by wyczuć, że atmosfera w zamku ulega zasadniczej zmianie. W miejscu o tak pięknej, bogatej historii, gdzie pielęgnowano zawsze największe wartości. Opustoszałym od ponad stu lat. A teraz, w ciągu jednego zaledwie dnia tyle tu się zmieniło! Elphame, prawie w euforii, czuła się cudownie, czuła się jak nowo narodzona. Miała wrażenie, jakby z każdym oddechem

wlewała w siebie jeszcze więcej nadziei na przyszłość.

- Na dzisiaj wystarczy! - oznajmiła, ocierając ręce o spódnicę. - Ależ jestem brudna! I głodna, ale przede wszystkim marzy mi się teraz gorąca kąpiel.

Brenna, ścierając coś z ramienia, pokiwała skwapliwie głową, dając do zrozumienia, że jej marzenia są bardzo podobne. Łowczyni natomiast, już nie taka srebrzysta

i lśniąca, zabierając się za usuwanie z dziedzińca ostatniej tego dnia partii gruzu, stwierdziła melancholijnie:

- Wy na pewno weźmiecie kąpiel, ale ja nie mam o czym marzyć. W całym Loth Tor na pewno nie znajdziesz pokoju kąpielowego, który pomieściłby centaura.

Elphame i Brenna rzuciły się jej do pomocy.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam - wyznała po chwili niewysoka, szczuplutka Brenna, teraz bardzo zadyszana, ponieważ starała się dotrzymać kroku swoim o tyle silniejszym towarzyszkom. - To okropne, kiedy człowiek nie ma gdzie się wykąpać.

- Okropne, jeśli jesteś nie tylko centaurem, ale i kobietą - powiedziała z uśmiechem Brighid. - Bo dla centaurów rodzaju męskiego nie byłoby to problemem.

- Wiadomo, chłopaki - powiedziała Elphame, w tym momencie przytaczając słowa swojej matki, kiedy Cuchulainn i Finegas opierali się przed kąpielą. - Nieważne, czy centaur, czy człowiek. Chłopak to chłopak. Potrafią być straszni!

Wszystkie trzy jak na komendę zmarszczyły nosy, niby z największą odrazą, po czym wybuchnęły śmiechem.



- Spójrzcie! Usypaliśmy już prawdziwy kopiec! - zawołała Elphame, kiedy dorzuciły do śmieci ostatnią porcję. - Co tam kopiec! Prawdziwą górę! Jesteśmy bardzo dzielne, ale na dziś naprawdę już koniec. Ruszamy do Loth Tor!

Wyszły na drogę i ruszyły przed siebie dziarskim krokiem. Elphame nagle zatrzymała się i klepnęła się ręką po czole.

- Och, zostawiłam w zamku sztylet! Jeśli pojawię się w gospodzie bez sztyletu, Cu nie da mi spokoju! Poczekajcie tu na mnie, zaraz wracam.

Odwróciła się i jak strzała pomknęła z powrotem do zamkowej bramy. Wpadła na dziedziniec i rozejrzała się bezradnie dookoła. Gdzie go mogła położyć? W którym miejscu szukać? Przecież to może trwać w nieskończoność. W tym mroku każda kupka zeschniętych liści czy ziemi może wydawać się pochwą ze sztyletem.

- Głupia, głupia, głupia... - mamrotała pod nosem ze złością. - Trzeba było mieć go przy sobie, a nie rzucać byle gdzie!

- Czy tego szukasz, dziewczyno?

Elphame poczuła, jak wstrząsa nią lodowaty dreszcz. Ten ktoś musiał stać tuż za nią. A jego głos, głos męski, był bardzo dziwny. Jakby zanim dotarł do jej uszu musiał przepłynąć przez basen napełniony wodą.

Zdjęta strachem, odwróciła się. Bardzo powoli, jak naj ostrożniej.

Siedział na brzegu basenu z fontanną. Mimo mroku, widziała go bardzo dobrze, ponieważ cała jego postać jaśniała łagodnym światłem, podobnie jak perły w blasku świec. Jaśniejąca postać była zmaterializowana tylko częściowo. Była przezroczysta, Elphame widziała przez nią ruiny, które były dokładnie za plecami niezwyklej istoty.

- Och...

Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech do chwili, gdy raptem nabrała powietrza, bardzo głęboko, bardzo szybko i nagle ożyła. Zaczęła dygotać jak w febrze, tylko jej nogi pozostały

nieruchome. Ciężkie teraz jak ołów nie chciały ruszyć się z miejsca, by ponieść ją jak najdalej od tego miejsca. Natychmiast.

Duch podniósł jedną ze swoich mocnych dłoni o sękatych palcach.

- Nie bój się, Elphame! Nic złego ci nie zrobię!

Głos był dziwny, jakby wydobywał się ze studni, ale spojrzenie tak łagodne, że Elphame przestała myśleć

o ucieczce. Stała w miejscu. Duch uśmiechnął się.

- Spójrz tam! - powiedział i wskazał głową na coś, co nieopodal zwisało z murka okalającego basen.  
-

Czy tego szukasz?

Elphame udało się pokonać sztywność karku i skinąć głową, potem zrobić jeden ostrożny krok i chwycić pasek z pochwą. Udało jej się nawet wykrztusić:

- Dziękuję... dziękuję. Duch skłonił głowę.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Jego łagodne spojrzenie przeniosło się z twarzy Elphame na rzeźbę dziewczyny, ustawioną na środku basenu.

- Cieszę się, że wreszcie tu przyjechałaś. Nawet zmarłemu niełatwo czekać w nieskończoność.

- Wiesz, kto ja jestem? - Głos Elphame stanowczo odmawiał posłuszeństwa. To, co wyszło teraz z jej

ust, było ledwo dosłyszalnym szeptem.

- Tak, dziewczyno. Wiem, kim jesteś. I wiem też, że jesteś piękna i odważna - odparł, nie odrywając oczu od dziewczyny z marmuru. - Spójrz na nią! Jesteście podobne jak dwie krople wody! Bardzo słusznie wybrano ciebie.

- Ale po co? W jakim celu? I kim ty jesteś? Umysł Elphame zaczynał budzić się z odrętwienia i podsuwać pytania. Udało jej się też odzyskać głos.

- Zdaj się na swoje serce, dziewczyno. I intuicję. One ci powiedzą, kim jestem.

Elphame już bez żadnego skrępowania wlepiła oczy w jaśniejącą, półprzezroczystą zjawę. Ducha mężczyzny niemłodego, który wiek średni miał już za sobą. Mężczyzny o mocnej budowie, ubranego w płócienną koszulę

i kilt. Żywe kolory tartanu na półprzezroczystym ciele były doskonale widoczne i doskonale znane.

Szafirowy i oliwkowy. W taką kratę ubierała się matka zawsze, kiedy jechała na zachód. Elphame też miała taki pled i kilt, i miała do tego prawo. W jej żyłach płynęła przecież krew MacCallanów.

- Ty... ty jesteś MacCallan, Przywódca Klanu. Jego uśmiech poszerzył się.

- Kiedyś byłem Przywódcą Klanu, dziewczyno! Teraz jesteś nim ty!

Nawet mrugnął do niej, ale zaraz potem uśmiech znikł z jego twarzy. Wstał i skłonił się, uderzająco zręcznie i wytwornie, podobnie jak Cuchulainn.

- Nie mogę tu dłużej zostać. Nadchodzą twoje towarzyszki. Spotkamy się jeszcze, dziewczyno, innym razem... do zobaczenia...

Duch znikł, zmieniając się w rzadką mgiełkę, która zawisała wokół fontanny. A Elphame usłyszała pełen niepokoju głos Brenny:

- Milady! Wszystko dobrze?!

- Oczywiście! - zawołała Elphame, szybko ocierając drżącą ręką twarz. Przed swoim wyjazdem powiedziała matce, że nie wierzy, by jakikolwiek duch, przebywający w zamku MacCallana, chciał ją

skrzywdzić. Co wcale nie znaczy, że zakładała, że będzie miała z nimi do czynienia.

- Bo i kto by się spodziewał, że spotkam się z MacCallanem osobiście - dodała prawie bezgłośnie.

- Co mówisz, Elphame?!

To Brighid. Elphame usłyszała przytłumiony odgłos kopyt, uderzających o posadzkę pokrytą ziemią i liśćmi. Kiedy w mroku zamajaczyła srebrzysta Łowczyni, przez moment była pewna, że widzi nową zjawę.

- Na Boginię! Jak tu ciemno! - zawołała Brighid.

- Nic dziwnego, że tak długo szukałaś. Bo znalazłaś, czy tak?!

Tuż przy Łowczyni widać było niedużą ciemną postać Brenny.

- Och, żeby już jak najszybciej ponaprawiali te uchwyty na pochodnie!

Elphame uśmiechnęła się i zmusiła, żeby jej głos zabrzmiał jak najbardziej normalnie.

- Masz rację, Brenno. Oby jak najszybciej. Wcale mi nie było miło, kiedy szukałam tego sztyletu. Ale na szczęście znalazłam. Możemy ruszać do Loth Tor, na gorący posiłek, którego smak czujemy już w ustach.

I nie oglądając się na fontannę, otuloną mgłą, pierwsza wybiegła z pogrążającego się w ciemnościach zamku.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

W gasnącym świetle dnia zanikały ostre kontury, obraz świata łagodniał. Wyglądał teraz jak akwarelka, owiewana chłodnym wiatrem przesyconym słodkim zapachem kwitnących drzew.

Elphame, podążająca niedawno uprzątniętą drogą przez las, powoli zaczynała się odprężyć. Teraz, z dala od zamku, w towarzystwie Brenny i Brighid rozmawiających ze sobą bardzo miło o tym, co wydarzyło się tego dnia, trudno jej było uwierzyć, że dosłownie przed chwilą rozmawiała z duchem Przywódcy Klanu, zmarłym ponad sto lat temu. Uwierzyć było trudno, choć samego tego faktu nie podawała w wątpliwość. Rzecz w tym, że w jej życiu od wielu, wielu lat nie wydarzyło się jeszcze nic, co choć w minimalnym stopniu byłoby związane z magią. Świat duchów był przed nią zamknięty. A dziś wszystko się zmieniło. Rano przemówiły do niej duchy kamienia, pod wieczór przemówił do niej duch zmarłego człowieka. Wszystko to wydarzyło się w ciągu jednego dnia. Elphame podejrzewała, że jej umysł najprawdopodobniej jest wstrząśnięty tym do takiego stopnia, że nawet nie

stać go na typową reakcję po takich przeżyciach. Teoretycznie powinna trwać tam, jak sparaliżowana i coś bredzić. A ona idzie sobie, uśmiecha się i gawędzi ze swoimi towarzyszками.

W ostatniej chwili stłumiła w sobie histeryczny śmiech. Z tym bredzeniem może trochę przesadziła,

może przetrwałaby to wszystko na milcząco...

Nagle usłyszała swoje imię. Nie miała pojęcia, o co chodzi, ale kiedy usłyszała pełne entuzjazmu potakiwania Brenny, odruchowo ją poparła.

- Cudownie! To znakomity pomysł!

- Jesteś pewna, Elphame? - spytała Brighid.

- Oczywiście, że jest! - wtrąciła ze swoim uroczym krzywym uśmiechem Brenna. - Sama mówiłaś, że pokój kąpielowy jest dla ciebie za mały, a w tym jeziorku na pewno się zmieścisz. To już niedaleko.

Popatrzcie!

Spojrzenie Elphame podążyło za palcem Brenny. Brenna wskazała na miejsce, gdzie poziom gruntu z jednej strony drogi stopniowo się obniżał, w konsekwencji czego strumień, płynący obok drogi - często nawet ją przecinając - musiał również stopniowo obniżać swoje koryto. Trzykrotnie zmieniał się w mały wodospad, po trzecim wodospadzie, na samym dole utworzyło się małe jeziorko, z którego

znowy wypływał strumyk i wijąc się między drzewami, znikał w głębi lasu.

Elphame spojrzała na Brennę, starając się nie dać

poznać po sobie, że ponownie doznaje wstrząsu. Brenna chce, żeby tu się wykąpały? W tym jeziorku?

Wszystkie trzy? Elphame nigdy dotąd nie kąpała się przy świadkach. Nawet w świątyni, kiedy

korzystała z pokoju kąpielowego, kazała wszystkim służącym wyjść. A teraz miałaby się kąpać przy

dwóch obcych w końcu osobach?

Chwileczkę. Przecież zżyte ze sobą kobiety tak robią. Wcale nie wstydzą się swojej nagości.

To normalne. A skoro tak...

- Myślę, że to dobry pomysł - powiedziała, bojąc się jednak, że zmieni zdanie, szybko zeszła ze ścieżki i klucząc między gałkami i drzewami, zaczęła schodzić w dół, do jeziora. Słyszała, jak Brenna i

Brighid ruszyły za nią. Ona schodziła dalej, powtarzając sobie w duchu, że zrobi to. Jeśli chce, żeby inni traktowali ją normalnie, powinna sama zachowywać się normalnie. A normalne kobiety, jak już wspomniano, kąpią się razem bez żadnego skrępowania. Widziała to, kiedy jako małe dziecko czasami zawędrowała do pokoju kąpielowego matki, zwykle zatłoczonego. Kapłanki, odwiedzające świątynię, przyjaciółki i znajome bardzo chętnie towarzyszyły Umiłowanej Bogini Epony w kąpielu w

wodzie ze źródeł mineralnych. Wstydlivość, u Elphame reguła, dla reszty Partholonu wcale nie była regułą.

Przystanęła na brzegu jeziora, czekając aż dołączą do niej Brenna i Brighid. Okazało się, że jezioro jest o wiele większe niż myślała i jest tu bardzo pięknie. I radośnie. Takie radosne dźwięki wydawały z siebie trzy wodospady, kiedy srebrzysta woda opadała na wygładzone wodą kamienie.

- Chyba jest wystarczająco głębokie - orzekła Brenna.

- I zimne - dodała Brighid.

- Nie szkodzi - oświadczyła Brenna, rozpinając

skromną broszkę, która przytrzymywała jej suknię na prawym ramieniu. - Odświeżymy się po długiej pracy.

Szybko zdjęła górę sukni i zaczęła rozwiązywać węzły z boku, przytrzymując spódnicę, jak kilt owiniętą wokół bioder.

Elphame nie była w stanie oderwać oczu od odsłoniętego szczupłego ciała Brenny. Lewa strona pokryta była nieskazitelnie gładką skórą, a prawa... Straszliwe blizny, które szpeciły jej twarz nie kończyły się na szyi. Wędrowały dalej, na ramię i górną część piersi. W szarości zmierzchu Brenna

wyglądała jak śliczna, delikatna figurka z wosku, która częściowo stopniała.

Brenna powoli podniosła głowę i spojrzała na Boginię, potem na Łowczynię, obie wpatrujące się w nią w milczeniu. Drgnęła. Po jej twarzy przemknął cień, kiedy uświadomiła sobie, że na moment zapomniała o swoich bliznach. A te blizny przecież są.

Spojrzała szybko w bok, udając, że ma mały problem z rozwiązywaniem węzełków. Z nadzieją, że nikt nie zauważył jej łez.

- Przepraszam - powiedziała cicho Elphame. - Wcale nie chciałam się na ciebie gapić. Jakoś tak... wyszło.

Brenna, nadal nie patrząc na nią, odparła zdławionym głosem.

- Milady nie musi przepraszać. Wszyscy się na mnie gapią.

Elphame, zrobiwszy najpierw głęboki wdech, rozpięła broszę przy swojej sukni. Szybko odwinęła materiał, zakrywający tors i po prostu puściła, żeby opadł na ziemię. Potem odwinęła z bioder spódnicę, na koniec zdjęła płócienny pas z trójkątem z przodu, osłaniającym intymne części jej ciała.

I znieruchomiała. Kompletnie naga. Teraz Brenna

i Brighid mogły przyjrzeć się każdemu kawałeczkowi jej niezwykłego ciała.

- Rozumiem, co czujesz, Brenno - powiedziała cicho. - Dlatego cię przeprosiłam.

Brenna podniosła na nią oczy, w których było zdumienie. I głowy już nie opuściła. Po raz pierwszy w życiu Uzdrowicielka nie mogła się powstrzymać przed wpatrywaniem się w drugiego człowieka. W tym przypadku człowieka tylko do połowy. Bardzo urodziwego, każda kobieta mogła pozazdrościć Elphame pięknej twarzy i pięknych kształtów. Ale od pasa w dół było już inaczej. Z rozłożystych bioder Elphame wyrastały dwie przednie nogi konia, a biodra i nogi porośnięte były lśniąca kasztanową sierścią. Najbardziej intymne części ciała ukształtowane były jak u kobiety, włosy na łonie tworzyły ciemnokasztanowy trójkąt.

Nagle obie podskoczyły, słysząc jakieś dziwne odgłosy. To Brighid. Stała na brzegu jeziora i

uderzała kopytem w stosik kamieni, które zaczynały się pnieć.

- Kamień mydlany - wyjaśniła. - Pomyślałam sobie, że kiedy wy tak siebie pozeracie wzrokiem, ja zrobię coś pożytecznego.

Nachyliła się i zgmiotła w palcach kilka granulek.

- Gotowe - oznajmiła. Zdjęła swoją kamizelkę i położyła na suchym kamieniu.

- A dlaczego ty na nas się nie gapisz? - spytała Brenna.

- Dlatego, że od małego słyszałam, że wszyscy ludzie są dziwni i dziwacznie zbudowani. Dlatego nic mnie już u was nie zadziwi - odparła Łowczyni, uśmiechając się szeroko i wskoczyła do wody.

- Na pewno nie był to komplement - stwierdziła Brenna, odprowadzając Łowczynię wzrokiem. - Ale w sumie... było to pozytywne.

- Racja - przytaknęła Elphame. - A więc jak? Kończymy z tym gapieniem się jedna na drugą?

- Tak. Chociaż... okropnie mi się chce dotknąć twojego futra. O ile nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie!

Elphame podniosła jedną nogę i wyciągnęła do Brenny.

- Bardzo proszę. Z tym, że ja uważam, że to nie futro, a sierść.

Brenna ostrożnie powiodła palcem od kolana Elphame do pęciny, potem dotknęła lśniącej powierzchni kopyta.

- Jaka ta sierść mięciutka - powiedziała z zachwytem, a potem nagle obudziła się w niej Uzdrowicielka i nastąpiła cała seria konkretnych pytań. - Powiedz, czy łatwo się kaleczysz, czy twoja skóra na nogach jest grubsza, mocniejsza niż u człowieka? Jak reagujesz na trujące rośliny, takie jak bluszcz trujący albo dąb?

- Hej, milady! - zawołała Brighid, już na środku jeziora. - Gdyby zjawił się tu twój brat i zobaczył nas wszystkie trzy na golasa, co najmniej dwie z nas poczułyby się jednak głupio!

Brenna zbladła i spojrzała trwożliwie przez ramię, w stronę drogi.

- Rzeczywiście. To byłoby okropne!

- Bez obaw, nie przyjdzie - powiedziała uśmiechem Elphame. - Ale może chodźmy już do wody,



potem mnie popytasz, o co chcesz.

- Przynieście tu trochę tego kamienia! - zawołała Brighid.

Brenna szybko uklękła i nabrała pełne garści szorstkiego mydlanego kamienia. Wstała i wskoczyła do wody, nawet zręcznie, ale poślizgnęła się na śliskich kamieniach przy brzegu i piszcząc przeraźliwie, usiadła gwałtownie w zimnej wodzie.

Elphame, nadal na brzegu, ostrożnie zanurzyła w wodzie czubek kopyta.

- Nadal uważasz, że to dobry pomysł? - spytała słodkim głosem.

Brenna, szcękając zębami, bohatersko pokiwała głową.

- Oczywiście! Po chwili człowiek się przyzwyczaja.

- Nie martw się, Elphame! Sierść ochroni cię przed zimnem! - wydarła się znowu Brighid, po czym kąciki jej ust zadrżały od powstrzymywanego śmiechu. - Przynajmniej w połowie...

- Ach ty! - wrzasnęła Elphame. Zachwycona. Było tak przyjemnie! Żartowały sobie, docinały, jakby znały się od lat. Po prostu były już przyjaciółkami!

- Uwaga! Idę do was! - zwołała, ale do wody nie weszła. Dalej stała na brzegu, bo nagle poczuła się nieswojo. Dokładniej - poczuła na sobie czyjś wzrok. W jej przypadku, niestety, zdarzało się to bardzo często.

Ale tutaj? Kto?

Nachyliła się i udając, że coś tam przekłada w stosiku swoich ubrań, przemknęła bystrym spojrzeniem

po otaczającym ją lesie. Niczego podejrzanego nie zauważyła. Drzewa jak drzewa, wyglądało na to, że wśród ich gałęzi nie kryje się nikt bardziej groźny od świergoczących ptaków.

Ale i tak czuła na sobie czyjś wzrok.

Czyli wyobraźnia płata jej figle, w sumie nic dziwnego, zważywszy, co przeżyła w ciągu tego jednego

dnia.

Odwróciła się z powrotem do jeziora. Uzdrowicielka, choć jej wargi były już sine, z zapalem

wcierała kamień mydlany we włosy.

Elphame, wyrzucając z pamięci wytwór zbyt wybujałej wyobraźni, nabrała garść mydlanego kamienia i weszła do prawie lodowatej wody.

Kiedy Elphame zdjęła ubranie, Lochlan, ukryty za grubym pniem, wiedział, że powinien natychmiast się wycofać, a przynajmniej spojrzeć w bok. Było to jednak ponad jego siły. Patrzył jak zahipnotyzowany. Upajał się jej nagością. W swoich snach czasami jej dotykał, całował w usta. Te momenty były jednak bardzo krótkie, ulotne. A on tak bardzo pragnął czegoś więcej...

A teraz... teraz to nie był sen. Widział ją, widział ją nagą, z tak bliska. Jego skrzydła drżały z narastającego pożądania. Było mu zimno, za chwilę gorąco. Przyglądanie się jej było udręką. Udręką bardzo słodką.

Kiedy odwróciła się od jeziora i zaczęła wpatrywać się w las, znieruchomiał, wtapiając się w cień między drzewami. Serce waliło jak młot. Elphame wyczuwała jego obecność. Jej umysł jeszcze tego nie ogarnął, dusza jednak już rozpoznała, że on jest tutaj.

Potem zanurzyła się w wodzie. Las rozbrzmiał jej śmiechem, a przecież w jego snach nigdy nie śmiała

się na głos. Uśmiechała się tylko czasami, zwykle do swego brata wojownika albo do rodziców. Teraz

jej nieoczekiwany głośny śmiech był dla niego zbawieniem. Poruszył go, zachwycił, dzięki czemu zapomniał o żądzy. Chociaż wcale nie zaczął pragnąć jej mniej.

Jego wargi drżały, miał wielką ochotę też się roześmiać. Elphame powinna śmiać się jak najczęściej.

Tak bardzo chciał widzieć ją szczęśliwą. On mógłby uczynić ją szczęśliwą. Gdyby tylko udało się znaleźć jakiś sposób, żeby...

Przepowiednia. Prześladowała go, dręczyła. Przepowiednia, którą miał spełnić on, Lochlan, a potem dalej z tym żyć. Jak?!

Jeśli nie spełni Przepowiedni, jego ludzie będą skazani na życie w bólu, męce i szaleństwie. Nie!

Nawet nie chciał

myśleć o tym, co się stanie, jeśli mu się nie powiedzie. Wiara matki w Eponę była tak głęboka. Do dziś miał przed oczami jej uduchowioną twarz, kiedy odprawiała święte obrzędy, kiedy uczyła syna, jak

żyć w wierze. Jej wiara była niezachwiana, dzięki temu przeżyła brutalny gwałt, dzięki temu ledwo żywa, tuż po porodzie, zebrała pozostałe kobiety, żeby wspólnie stworzyć dom dla nowo narodzonych

dzieci - hybryd. Te kobiety, uprowadzone przez demony, czyli najeźdźców, Fomorian, miały posłużyć jako inkubatory, ponieważ Fomorianki z niewyjaśnionych powodów nagle stały się bezpłodne. A kobiety rodzaju ludzkiego można było zapłodnić i zagwarantować sobie nowe pokolenie Fomorian.

Te kobiety miały nie przeżyć porodu, ale stał się cud. Matka Lochlana oraz kilkanaście innych kobiet przeżyły. Bogini ich nie opuściła. Ileż to razy Lochlan słyszał z ust matki te słowa? Chyba tyle samo, ile razy słyszał z jej ust Przepowiednię.

Matka... Nagle poczuł przyływ nowych sił. Trudno. Przywiodły go tu sny o Elphame, jest tutaj i będzie musiał jakoś przejść przez labirynt komplikacji, związanych z Elphame. Zamknął oczy i oparł się całym ciałem o gruby pień. On i Elphame... W gruncie rzeczy bardzo podobni. Oboje stanowili połączenie dwóch ras.

Kobięcy śmiech, dobiegający znad jeziora, chłodny wiatr, przesycony zapachami, budziły w nim wspomnienia. Przed oczyma pojawił się obraz matki, nachylonej nad strumieniem, w którym prała ich

bardzo skromne ubrania. Zawsze pracowała tak ciężko i za grosze, a Lochlan zachował w pamięci przede wszystkim jej pogodną twarz, jej słodki śmiech.

- Jesteś całym moim szczęściem - powtarzała mu nieustannie. - I to ty pewnego dnia poprowadzisz takich

jak ty z powrotem do Partholonu. Znajdziecie swoje szczęście, uwolnicie się od bólu, od szaleństwa.

Matka była po prostu idealistką. Wierzyła głęboko, że Bogini wysłucha jej modlitw, że jej syn spełni Przepowiednię. Lochlan bardzo szybko przestał przekonywać ją, że wcale tak nie musi być. Bo ona

chciała wierzyć, że to, co w nich ludzkie, jest silniejsze niż mroczne impulsy we krwi odziedziczonej po Fomorianach. Wierzyła, że dobro pokona zło, pokona szaleństwo.

- We mnie na pewno tak - szepnęła. Chciał to usłyszeć, wtedy brzmiało to bardziej przekonująco. -

Jestem bardziej człowiekiem niż demonem. Mój ojciec posiadał moją matkę siłą, zapłodnił ją, ale jego

rasa, rasa demonów, została pokonana przez wojska Partholonu. Podobnie jak miłość mojej matki pokonała ból i okropności podczas moich narodzin.

Zdawał sobie sprawę, jak nierozsądne jest teraz rozpamiętywanie przeszłości, a zwłaszcza myślenie o

tych, co zostali na Pustkowiu. Powinien panować nad swoimi myślami - skupić się całkowicie na zadaniu, które teraz go czeka. Bo już w głowie odzywał się znajomy, świdrujący ból. Ostrzeżenie. Jak

zwykle powiedział sobie, że to nic, że wytrzyma. Ten ból przecież to jego stary przyjaciel, nie wolno dopuścić, by odszedł. Oznaczałoby to, że czarna krew ojca w końcu zwyciężyła.

Otworzył oczy i przykucnął, by móc znowu obserwować Elphame. Trzy młode kobiety, żartując i poszturchując się, wyszły z wody i dygocząc z zimna pobiegły do swoich ubrań.

Elphame była znów tak blisko. Lochlan czuł, jak krew w jego żyłach przyspiesza. Usta poruszyły się w bezgłośnej modlitwie. Proszę, Epono, pomóż mi znaleźć drogę, bym mógł spełnić Przepowiednię, nie wyrządzając El-

phame krzywdy. Modlił się żarliwie do Bogini, do swojej matki, modlił się z poczuciem winy, świadomy, że to, o co prosi, stałoby się czyjś kosztem. Ale znów doleciał do jego uszu śmiech Elphame, znów musiał walczyć ze sprzecznościami w swoim sercu.

Swoją modlitwę zakończył słowami:

- Daj mi szansę zdobycia jej.

Gdyby mógł porozmawiać z Elphame. W cztery oczy. W końcu nie jest to takie niemożliwe. W swoich snach widywał często, jak Elphame biega. Zawsze biega sama. A on jest cierpliwy. Czekał na

nią ponad sto lat, może poczekać jeszcze te parę dni.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Cuchulainn właśnie siodłał swego wałacha, żeby jechać po Elphame, kiedy przed gospodą „Pod klaczą” pojawiła się cała trójka. Oczywiście, że miał zamiar od razu powiedzieć siostrze parę słów do słuchu, przede wszystkim, co on myśli o lekceważeniu pewnych zasad. Ale natychmiast wywietrzało

mu to z głowy, kiedy spojrzał na roześmiane, rozgadane młode kobiety. Trzy, a jedną nich była jego siostra, zwykle stroniąca od ludzi. Teraz wyglądała na szczęśliwą!

Była to pierwsza niespodzianka. Druga to widok małej, pokrytej bliznami Uzdrowicielki na grzbiecie Łowczyni. Jechała na kobiecie centaurze! Centaury, oczywiście, wozily czasami ludzi, ale bardzo rzadko, tylko w wyjątkowych sytuacjach. Szlachetna rasa centaurów nie została przecież stworzona do dźwigania ciężarów. A tymczasem Łowczyni wdzięcznie przyklusowała przed gospodę, dźwigając na swym lśniącym grzbiecie istotę rodzaju ludzkiego, bardzo niewielką i wyraźnie spłoszoną. Cuchulainn był pewien, że gdyby zobaczyły to wojownicze centaury ze Stada Dhianna, z którego pochodziła Brighid, dostałyby zbiorowej apopleksji.

Jemu, oczywiście, zachciało się śmiać. Pomyślał też, czy on przypadkiem nie pomylił się co do Łowczyni, czy nie przesadza z tą swoją czujnością.

- El!

Pomachał ręką, Elphame też pomachała i skinęła na swoje przyjaciółki, żeby szły za nią.

- Przepraszam, Cu - powiedziała lekko zadyszany głosem, podchodząc do brata. - Zamierzałyśmy pojawić się tu o wiele wcześniej, ale po drodze natrafiłyśmy na cudowne jezioro... no i... sam rozumiesz.

Wzruszyła lekko ramionami i wycisnęła jeszcze troszkę wody ze swoich mokrych włosów. A

Cuchulainn na moment zaniemówił z wrażenia. Jego siostra kąpała się razem z innymi kobietami?!

Spojrzał na Łowczynię, spojrzał na Uzdrowicielkę. Obie mokre. Mokre wszystkie trzy i wszystkie

trzy bardzo z siebie zadowolone.

- To moja wina - oznajmia Łowczyni, spoglądając prowokująco na Cuchulainna. - Byłam pewna, że pokoje kąpielowe w Loth Tor są za małe, żeby pomieścić centaura, dlatego...

- Dlatego to ja zaproponowałam kąpiel w jeziorze

- przerwała jej Brenna cichym, nieśmiałym głosem.

- Elphame przez cały czas nas popędzała.

- Rozumiem... - mruknął Cuchulainn, drapiąc się po

brodzie. I rzeczywiście zrozumiał. Dziewczyny stanęły za Elphame murem, niech Epona im pobłogosławi.

Na twarzy Cu pojawił się uśmiech. Uśmiech Cuchulainna, zniewalający.

- Znakiem tego powinienem częściej penetrować okoliczne jeziora.

Za co siostra oczywiście od razu go obsztorcowwała.

- Och, Cu! Jesteś okropny!

- Przecież na ciebie bym się nie gapił, dziewczyno!

- odciął się, znakomicie naśladowując miejscową wymowę.

Elphame była pewna, że w tym momencie zbladła. Cu powiedział to z takim samym zaśpiewem jak MacCallan, identycznie, i w pamięci Elphame natychmiast ożyło wspomnienie o spotkaniu ze zjawą, duchem ich przodka. O spotkaniu tym powinna powiedzieć bratu, a ona jeszcze tego nie zrobiła...

- Gdzie będziemy jeść, Cu? - spytała szybko.

- Na dworze. Wynieśli stoły, stoją za gospodą. - Cu, uśmiechając się pod nosem, spojrzał na Łowczynię.

- W środku nie wszyscy mogliby się pomieścić... Brighid sarknęła gniewnie, Brenna zakaszłała, wyraźnie tłumiąc śmiech.

- Dziewczęta, idźcie już i siadajcie do stołu - powiedziała Elphame. - Przyjdę za chwilę, chcę zamienić z bratem kilka słów.

- Dobrze. Zajmiemy ci miejsce - oznajmiła Brighid, po czym, zrobiwszy króciutką, ale bardzo wymowną przerwę, dodała nieco chłodniej: - I dla twojego brata.

- To może ja już zsiądę.

Brenna zaczęła ostrożnie przekładać prawą nogę przez grzbiet Łowczyni. Było jasne, że mała Uzdrowicielka nie jest doświadczonym jeźdźcem. Na pewno upadłaby na ziemię, gdyby nie czyjeś silne ramię. Odwróciła głowę, pewna, że pomoc zawdzięcza Elphame. I spojrzała prosto w szmaragdowe oczy Cuchulainna.

- Czy pozwoli pani sobie pomóc?

- Ja... ja... - wyjąkała speszona i zamilkła. W pierwszym odruchu chciała przede wszystkim odwrócić twarz, by szpecące blizny były niewidoczne. Ale zaraz potem pomyślała, że nie będzie chować twarzy. Przez cały dzień pracowała razem z Cuchulainnem, miał okazję obejrzeć jej twarz bardzo dokładnie. Po co więc teraz te ceregiele?

- Dziękuję, będę bardzo wdzięczna - odparła, równie uprzejmie i gładko, choć nie przyszło jej to łatwo.

Silne ręce Cuchulainna wzięły Brennę pod boki i uniosły. Była taka lekka, miał wrażenie, że kości tej drobnej istoty wypełnione są powietrzem. Jej mokre włosy pachniały deszczem i mokrą trawą.

Postawił ją ostrożnie na ziemi i skłonił się, jak to on, bardzo wytwornie, ale Brenna nie patrzyła na niego. Od razu razem z Łowczynią ruszyły na tyły gospody, Cuchulainn usłyszał jeszcze tylko słodki głos Brenny:

- Przepraszam, Brighid. Na pewno było ci niewygodnie. Wiem, że jestem bardzo kiepskim jeźdźcem...

- A ty, co tak się gapisz? - spytała kochana siostra, waląc go po ramieniu.

Cu, nadal pełen zdumienia, potrząsnął bezradnie głową i wypowiedział pierwszą racjonalną myśl, jak

przyszła mu do głowy:

- Centaur Dhianna z jeźdźcem na grzbiecie? Człowiekiem? Kobieta?

Elphame uniosła znacząco brwi.

- A tak!

- A czy przypadkiem jacyś Fomorianie nie deptali wam po piętach?

- Nie zauważyłam. Zawsze jednak możesz tam wrócić

i sprawdzić. Nie martw się, zajmę ci miejsce przy stole - odparła Elphame niewinnym głosem, a

widząc głupią minę brata, zaśmiała się. - Cu, po prostu dzięki temu dotarliśmy tu o wiele szybciej.

Brenna jest taka mała, nie była w stanie dotrzymać nam kroku. A spiesziliśmy się, skoro, jak

wiadomo, trafił mi się nadzwyczaj denerwujący młodszy brat, który pilnuje mnie jak niańka. Dlatego

Brighid zaproponowała, że podwiezie Brennę. Na pewno było jej tam wygodniej, niż gdybym niosła

ją na barana.

- Dziwne. Bo, jak wiadomo, centaur Dhianna zdecydowanie woli, żeby rodzaj ludzki chodził o

własnych siłach, po ziemi.

A on znów to samo. Elphame czuła, jak narasta w niej

gniew.

- Gdyby Brighid była typowym centaurem Dhianna, nie byłoby jej wśród nas, nie sądzisz? Nie

uprzedzaj się do niej. Daj jej szansę. Ona jest moją przyjaciółką.

Moją przyjaciółką! Cuchulainn nigdy w życiu jeszcze nie słyszał tych słów z ust swojej siostry. To, że w końcu usłyszał, zakrawało na cud i jego nieufność wobec Brighid nagle wydała mu się absolutnie

nie na miejscu. A on sam ograniczony i małostkowy.

- Przepraszam, El - powiedział miękko, obejmując ją ramieniem.

- To co? Dasz jej szansę? - spytała z nadzieją w głosie.

- Oczywiście. Może niepotrzebnie jej się czepiam, ale to dlatego, że miałem wtedy to Przeczucie,

którego, szczerze mówiąc, tak do końca nie rozumiem. Dlatego dmucham na zimne. Poza tym te

zmiany, jakie zachodzą w tobie, trochę zbijają mnie z tropu.



- Zmiany? We mnie? O czym ty mówisz?

- Przede wszystkim o tym, że obrałaś dobrą drogę, El. Ty należysz do zamku MacCallana, każdy kamień tutaj

cieszy się twoją obecnością. A ty rozkwitasz. Śmiejesz się w obecności innych ludzi, nie tylko w gronie najbliższych. Nawiązałaś przyjaźń.

Ciemne oczy El rozbliły.

- Tak. Mam przyjaciółki - oświadczyła, niemal uroczyście.

- A ja... rzeczywiście, chyba trochę przesadzam z tą troską o ciebie - przyznał Cu. - Ale za dużo nasłuchałem się w dzieciństwie różnych historii o duchach i o miejscach przeklętych, nawiedzanych przez duchy pomordowanych.

Opowieści o duchach, jakie serwuje się dzieciom? Elphame wpatrywała się w brata, w jego pogodną,

otwartą twarz. Wyraz tej twarzy przekazywał jeszcze bardziej dobitnie niż słowa to, co Cu chciał jej powiedzieć. On naprawdę uważał, że zamek MacCallana to miejsce, gdzie Elphame powinna być. W zamku nawiedzonym przez ducha... Elphame przekonała się przecież o tym naocznie. Co będzie, jeśli ona teraz powie mu, że istotnie spotkała się z duchem jednego z zamordowanych MacCallanów, duchem samego Przywódcy Klanu? Co będzie? Nietrudno zgadnąć. Cu nie ufał światu duchów, unikał go jak ognia. Zawsze tak było, mimo że sam został obdarzony mocą nadnaturalną. Jeśli El opowie mu o wizycie ducha, Cu niewątpliwie stanie się jeszcze bardziej opiekuńczy. Będzie chodził za nią jak cień.

A poza tym ona nie rozumiała, dlaczego MacCallan ukazał się właśnie jej. Niewątpliwie był jej przychylny. Był wyjątkowo życzliwy i uprzejmy, jak za życia, takim przecież zachował się w pamięci ludzi. Nazwał ją Przywódczynią Klanu MacCallanów. Co jednak naprawdę znaczyła ta wizyta? Nie wiadomo. W każdym razie Elphame zdecydowała, że jeszcze nie opowie o niej bratu.

Na pewno nie dziś. Odczeka, aż bardziej tu się zadomowią, może też w międzyczasie dowie się,

dla czego duch ukazał się właśnie jej. Może zresztą duch więcej już jej się nie ukáže, dlatego lepiej odczekać, zamiast niepotrzebnie niepokoić brata.

- El! - Cu szturchnął ją lekko w bok. - Czy ty mnie słuchasz? Obiecuję, że popuszczę ci cugli.

- Słyszałam, słyszałam. Zaniemówiłam z wrażenia, bo tak otwarcie przyznałeś się do swoich błędów.

Moje szczęście nie miałyby granic, gdybyś jeszcze do tego przestał uganiać się kobietami, ustatkował się, został ojcem gromadki dzieci...

- El! Jakbym słyszał naszą Matkę!

- O, nie! Nie strasz mnie! - El uśmiechnęła się. - Chodźmy już jeść.

- W towarzystwie twoich przyjaciółek?

- A tak! W towarzystwie moich przyjaciółek!

- Tu gwiazdy świecą zdecydowanie mocniej niż nad Świątynią Epony - stwierdziła Elphame.

- Racja - przytaknął Cu. - A to dlatego, że Loth Tor nie jest tak oświetlone, jak świątynia i miasto.

- Szkoda, że nie widzieliście gwiazd nad Równiną Centaurów - wtrąciła Brighid. - Czasami świecą bardziej niż ogień.

- Nigdy nie byłam na Równinie Centaurów - odezwała się Brenna sennym głosem. - Na pewno jest tam bardzo pięknie...

- Tak. Musisz kiedyś tam przyjechać. Wielkie otwarte przestrzenie, można biec i biec, całymi dniami.

W oczach Cu zapaliły się złośliwe iskierki. Otwierał już usta, ale Elphame szybko pokręciła głową, nakazując mu milczenie. I westchnęła. Dlaczego ta biedna Łowczym

tak go irytuje? Wystarczy, że powie słowo, a on już się jeży. Co innego Brenna, wobec niej jest zawsze bardzo uprzejmy. Chyba ją polubił...

Ułożyła się wygodniej w swoim śpiworze, rozłożonym między dwoma konarami starego dębu i

wpatrując się w usiane gwiazdami niebo, słuchała, jak Brighid opowiada Brennie o Równinie

Centaurów. Byli w Loth Tor, ona i Cu nocowali na polance pod starymi dębami, które zdołały się

oprzeć inwazji sosen. Trochę oddaleni od reszty ludzi, ale w Loth Tor. Tego wieczoru Elphame jakoś

nie czuła potrzeby całkowitego odseparowania się od pozostałych osób, jak poprzedniej nocy.

Wspólny wieczorny posiłek był bardzo przyjemny, między innymi dlatego, że Brenna i Brighid

wybrały dla nich miejsca wokół jednego z ognisk, które rozpalono za gospodą. Większość centaurów,

mężczyzn i kobiet, zasiadła za długimi drewnianymi stołami, rozmawiali, śmiali się i zawierali

znajomości. Kiedy pojawiła się Elphame z bratem, mężczyźni i centaury wstali i wszyscy skłonili się

przed boginią. Elphame stężała, jak zawsze, gdy okazywano jej cześć. Ale na szczęście zaraz potem

wydarzyło się coś bardzo miłego. Wynne na widok Elphame po prostu zaczęła do niej machać i

zawołała: - Witaj, Elphame!

Elphame poczuła się tak, jakby ktoś posmarował jej serce masłem, tym bardziej że kilka osób, za

przykładem Wynne, też zwróciło się do niej po imieniu. Ta miła atmosfera utrzymała się do końca

wspólnego posiłku. Żaden wieśniak nie klękał przed boginią, nie prosił jej o błogosławieństwo. Poza

tym, szczerze mówiąc, największą uwagę zwracała na siebie Brighid. Mnóstwo centaurów nagle

zapragnęło porozmawiać z Cuchulainnem, tylko dlatego, że chcieli, by przedstawił ich Łow-

czyni. Elphame z wielkim zainteresowaniem obserwowała rozwój wydarzeń. Oni pchali się do

Brighid, a ona zachowywała się jak wzór kobiecej powściągliwości. Była uprzejma dla każdego z

potencjalnych zalotników, nie okazując jednak najmniejszego zainteresowania. Oni natomiast byli nią

wyraźnie zauroczeni. Nie tylko oni, Elphame zauważyła, że również wielu mężczyzn popatrywało na

urodziwą Łowczynię. Cu, kiedy przedstawił już Brighid kilku centaurów, półgębkiem poinformował

El, że ta Brighid to Lodowata Księżniczka. Elphame odmruknęła wówczas, że takie właśnie kobiety

mają największe wzięcie.

A teraz, kiedy leżała już w swoim śpiworze, Cu, siedzący koło ogniska, znów odezwał się

półgębkiem:

- El, co ty masz taki głupi uśmiech na twarzy...

- Wcale nie głupi. To uśmiech zadowolenia.

- Niech będzie. Ale lepiej już się nie uśmiechaj, tylko śpij. Twoje przyjaciółki wreszcie przestały gadać.

Elphame spojrzała na dwie ciemne postacie swoich przyjaciółek, już milczące i nieruchome. Na pewno zasnęły. Poczowała, jak jej powieki też robią się bardzo ciężkie.

- A ty nie idziesz spać, Cu? - spytała sennym głosem.

- Za chwilę, siostró moja!

Dorzucił do ognia i usiadł pod drzewem, opierając się plecami o pień. Widział, jak powieki siostry opadły, usłyszał głęboki, miarowy oddech. Zasnęła. Cu spojrzał na jej przyjaciółki. Obie chyba też już spały snem sprawiedliwych. Mała Uzdrowicielka na boku, plecami do Cu. Tego wieczoru Cu zadbał,

żeby Uzdrowicielka nie była narażona na spojrzenia ciekawskich ani na żadne pytania. Po prostu posadził ją koło siebie. Ta delikatna, tak skrzywdzona przez los dziewczyna zaczynała w nim budzić instynkt opiekuńczy. Dziwne, ale wytłumaczył to sobie bardzo logicznie. Brenna jest dla jego siostry ważną osobą, nic dziwnego, że Cu też się o nią troszczy. Tym bardziej, że jest wojownikiem, a wojownik każdego potrzebującego otacza opieką.

A ten potrzebujący, dokładniej ta potrzebująca dodatkowo bardzo ładnie pachnie. Przypomnił sobie ten świeży zapach trawy i deszczu, jaki poczuł, kiedy pomagał Brennie zsiąść z grzbietu kobiety centaury i przez krótką chwilę trzymał ją w ramionach.

Nagle drgnął, kiedy kątem oka zobaczył szeroko otwarte oczy Łowczyni. O spojrzeniu znaczącym, tak znaczącym, że Cu wojownik zarumienił się.

- Stanę pierwsza na warcie - powiedziała. - Obudzę cię, kiedy księżyc będzie w połowie drogi po niebie.

Nie czekając na jego odpowiedź, wstała i znikła między drzewami, srebrzysta, jak nimfa leśna.

Cuchulainn słyszał przytłumiony przez mech odgłos jej kroków, kiedy zaczęła powoli obchodzić kołem ich obozowisko.

- Głupia Księżniczka Lodowata - wymamrotał Cu pod nosem. - Niech sobie pilnuje! Chce mi się

przypodobać, a ja i tak się nie złamię.

Ułożył się na swoim posłaniu na ziemi, starając się, żeby było chociaż w miarę wygodnie. Nic z tych rzeczy, nie ma to jednak jak wygodne łóżko! Zamknął oczy, pomyślał sobie o łóżku, o tym, że Łowczyni jest okropnie irytująca, a przed nimi tyle jeszcze roboty. Myślał o wszystkim i o niczym, byle tylko nie myśleć o eterycznej Uzdrowicielce z zeszpeconą twarzą, dziewczynie o łagodnym, melodyjnym głosie, pachnącej jak deszcz i młoda trawa...

Sen objął Elphame czule, jak kochający rodzic, przeno-

sząc ją w inny świat, świat marzeń sennych. Śniło jej się, że biegnie przez las, wśród starych dębów.

Jednakowych, wszystkie wyglądały dokładnie jak stary dąb, pod którym ułożyła się do snu. Była noc,

na niebie księżyc, jaśniejący jak pochodnia zrobiona ze śniegu i ognia. W lesie z tego snu ziemia

między drzewami była nadzwyczaj gładka, nie było żadnych dołków, żadnych wystających korzeni, o

które mogła zahaczyć kopytem. Biegła, oddychając głęboko, miarowo, wyrzucając przed siebie swoje

długie, umięśnione nogi. Coraz szybciej, tak szybko, że wiatr smagał ją po twarzy, a mijane drzewa

zlewały się ze sobą.

Uwielbiała biegać. Ten sen przypominał, że już od dawna nie oddawała się temu zajęciu - od dnia

wyjazdu ze Świątyni Epony. Tyle czasu minęło, a ty nic? - karciła ją podświadomość. Choć ona

przecież teraz biegła. We śnie.

Biegła w górę, po leśnym zboczu. Nagle drzewa rozstały się i znalazła się na polance, spowitej w

mgłę. Ciężko dysząc, przystanęła, wśród tej gęstej, szarej mgły. Odruchowo dmuchnęła na nią i nagle

w szarości pojawiły się czerwone cętki.

Ten kolor wzywał ją.

Czerwone cętki fruwały, wirowały, układając się we wzór przypominający Elphame jeden z

labiryntów z krzewów ostrokrzewu koło Świątyni Epony. Uśmiechnęła się do siebie. Że też to właśnie

musiało jej się przypomnieć... Rozłożyła szeroko ręce, rozpostarła palce i zaczęła powoli obracać się w kółko. A szara mgła w czerwone cętki pieściła jej ciało.

Teraz nagie.

- Elphame...

Głos nieznanego mężczyzny. Unosił się wokół niej, szybując w szarej mgle.

- Chodź do mnie, Elphame...

Dźwięk tego głosu, obcego przecież, zamiast wzbudzać lęk, poruszył coś w niej, w środku. Nagle

zrobiło jej się ciepło, za chwilę gorąco. Czowała, jak wilgoć szkarłatnej mgły głaszcze ją i wnika w nią, budząc odczucia, które jak dotąd mogła sobie tylko wyobrazić.

Mgła gęstniała, im bardziej gęstniała, tym gorętsze było pragnienie Elphame.

- Tak... tak... - szeptał kusząco męski głos - pozwól mi kochać ciebie...

Coś zaczęło owijać się wokół niej, jak cieniutka pajęczyna. W miejscu, gdzie dotknęła, ciało Elphame

ożywało... Ale nie, to nie była pajęczyna, tylko skrzydła. Była otulona skrzydłami.

- On ma skrzydła! - powiedziała na głos, otwierając oczy. Obudzona własnym głosem.

W ciemnym lesie koło zamku MacCallana Lochlan usiadł nagle, wyrwany ze snu i natychmiast zdał sobie sprawę, że jego ciało płonie. Z pożądania. Po tym śnie, kiedy śnił, że jest z Elphame. Śnie, w którym Elphame po raz pierwszy wyczuwała jego obecność.

Wyskoczył z jaskini, swojej kryjówki, i rozłożywszy drżące skrzydła, rozpoczął długą, mozolną wspinaczkę po skalistym zboczu. Żeby ochłonać, stłumić w sobie to gorące pożądanie.

Jego umysł też płonął. Świdrujący ból rozsadzał czaszkę, ale on konsekwentnie piął się w górę, póki pot nie zaczął zalewać mu oczu i nie zabrakło mu tchu.

Żył tak długo. Sto dwadzieścia pięć lat. Przeklęta długowieczność odziedziczona po ojcu Fomorianie.

I nie wiadomo, jak długo jeszcze będzie bić jego serce, jak długo czarna krew ojca będzie krążyć w jego ciele, rozsiewając szaleństwo. Jak długo jeszcze będzie z nim walczyć...

Poddaj się, syczał ból. Przestań walczyć, pozwól, by ogarnęło cię szaleństwo, a będziesz upajał się siłą, jaka tobie jest dana.

Lochlan zacisnął zęby. Ból ustąpi, jeśli podda się mrocznemu dziedzictwu. Nic już w nim nie będzie z

istoty ludzkiej, stanie się wyłącznie przedstawicielem rasy swego ojca. Czymś nie lepszym od wścieklej bestii albo demona. Oba określenia były trafne.

A on chciał być czymś więcej. Chciał tego i dla siebie, i dla swoich ludzi.

Elphame...

Jej imię było jak balsam na jego duszę...

Spotkali się we śnie - był tego pewien. Elphame słyszała jego głos, czuła, jak otula ją skrzydłami, jak ją pieści. Rozpoznała go. Nie do końca, ale jedną rzecz już wiedziała. Słyszał przecież, jak

powiedziała:

- On ma skrzydła!

Jej głos nadal dźwięczał w uszach. Budził radość i nadzieję. Sprawiał, że ból stawał się łatwiejszy do zniesienia.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Okruchy tego snu towarzyszyły jej przez cały ranek, a nawet jeszcze po południu Elphame przyłapywała się na tym, że nagle, tracąc poczucie rzeczywistości, zaczynała wpatrywać się w dal. I przypominać sobie pieszczoty zabarwionej szkarłatem mgły. Śniła na jawie, na ziemię sprowadzał ją zwykle głos któregoś z robotników. Jak teraz, kiedy nagle do jej uszu dotarły czyjeś słowa:

- Moim zdaniem tak to właśnie wygląda, milady.

- Przepraszam, myślami byłam gdzie indziej. A więc, czy da się to naprawić? - spytała, zła na siebie, że znów miała głowę w chmurach. Choć przecież był to tylko sen, czy nie głupio tak tym się przejmować?

- Jak powiedziałem, milady, roboty będzie sporo, ale myślę, że spróbować warto.

Miody, barczysty mężczyzna o dużych spracowanych rękach i ogorzałej twarzy nie odrywał swoich

brązowych oczu od fontanny.

- Najpierw trzeba odetkać główną studnię w zamku, już zajęliśmy się tym. Kiedy ją odetkamy, woda popłynie i do kuchni, i do fontanny. Chyba, że rury są nie w porządku, trzeba będzie je sprawdzić.

- Dobrze. Dziękuję.

Mężczyzna skłonił się i odszedł, a Elphame spojrzała na rzeźbę pięknej młodej dziewczyny, tak do niej podobnej. Basen został już oczyszczony, pozostało tylko doprowadzenie do porządku rzeźby, co wzięła na siebie Elphame. Danann zalecił użyć piasku, wody z mydłem i szczotki ryżowej, czyli tę samą metodę, jaką stosowało kilka kobiet, które stały na szczycie naprędcie wzniesionego rusztowania

i czyściły kolumny wokół dziedzińca. Pracowały z zapalem, jednocześnie usta im się nie zamykały. Z dachu dobiegał łomot, jako że rozpoczęto już jego naprawę. Jednym słowem, zamkowy dziedziniec tętnił życiem.

- Mam na twoim punkcie prawdziwą obsesję - szepnęła cicho Elphame do jasnej, kremowej twarzy z marmuru, z której usunięto już brud. - Może z tego powodu zaniedbuję coś innego, bardzo istotnego, ale trudno. Nie wiem, dlaczego, ale ty jesteś dla mnie najważniejsza...

- Bardzo dobrze, że milady rozmawia z kamieniem. Elphame drgnęła. Nie słyszała, kiedy Danann podszedł

do niej, zrobił to bezszelestnie jak Łowczyni. Elphame nie potrafiła ocenić, które z nich jest w tym lepsze, wiadomo było tylko, że pod tym względem oboje jednakowo działają jej na nerwy.

Dotknęła lekko marmurowego policzka rzeźby i zwróciła się twarzą do starego centaura.

- Do niej wcale nie jest trudno przemawiać. Wygląda przecież jak żywa. W tej fontannie w ogóle coś jest, jak i w całym dziedzińcu. Coś, co musi być bardzo ważne dla mnie. Zdaję sobie sprawę, że powinnam zająć się jeszcze czymś innym, ale ciągnie mnie tutaj, do serca tego zamku. Czuję, że nie zaznam spokoju, dopóki tutaj właśnie nie powróci życie.

- Serce... powróci życie... - powtórzył z wolna stary Danann. - Ciekawe. Kiedy mówi się o budowie



nowego domu czy odbudowie starego, raczej nie używa się słów, które zwykle stosuje się w odniesieniu do istot żywych, oddychających. Czy milady może mi zdradzić, dlaczego to robi?

Spojrzenie Elphame powróciło do twarzy jej przodkini.

- To proste. Dla mnie ten zamek to też istota żywa, a nie stos kamieni i przegniłych desek.

Pomyślała, że może warto temu staremu centaurowi opowiedzieć o spotkaniu z duchem MacCallana.

Powstrzymała się jednak, przez lojalność wobec brata. On bezwzględnie powinien być pierwszą osobą, która się o tym dowie.

- Rozumiem, Bogini. Jesteś związana z tym zamkiem.

- Tak. Dla mnie to coś nowego. Nigdy dotąd nie czułam się tak związana z jakimś miejscem.

- To dlatego, Bogini, że zanim tu przybyłaś, byłaś zbyt zajęta swoim młodym życiem, by poczuć magię, która cię otacza.

- Czyli jestem głupia? Płytką?

Wypadło to trochę szorstko. Stary Danann uśmiechnął się.

- Wcale nie, Bogini. Większość ludzi w Partholonie

żyje dniem dzisiejszym, a ty nie. Nie należysz do tej większości. Jesteś inna.

Bogini... Elphame nie znosiła, kiedy ktoś tak się do niej zwracał. Ale w ustach Mistrza Kamieniarza nie drażniło, nie brzmiało jak tytuł, raczej jak wyraz wielkiego oddania. Co powiedzieć teraz staremu człowiekowi? Z tym miała nie lada kłopot. Od dawien dawna Elphame miała dwa najgorętsze pragnienia. Być podobną do pozostałych ludzi w Partholonie, jednocześnie jednak obdarzoną jakimś rodzajem magii. Niestety, po tym, co powiedział Danann, nasuwał się tylko jeden wniosek. Jedno wy-

klucza drugie.

Elphame westchnęła.

- Trudno to zrozumieć.

- Tak. Tym, którzy zetknęli się już ze światem, często trudno to pojąć - powiedział Danann, po czym

zamilkł i zaczął z wielką uwagą przyglądać się częściowo już odnowionej rzeźbie.

- Ale ja chciałabym wiedzieć więcej - powiedziała Elphame, bojąc się, że stary centaur nie zamierza już powiedzieć niczego więcej. - Nauczysz mnie, Danannie?

- Nauczysz? - Danann spojrział na nią. - A w Świątyni Muzy nie nauczyli cię, jak otworzyć się na duchy

ziemi?

- Nie.

- Ale ja nie jestem nauczycielem ani szamanem. Nie potrafię uczyć, posiadam tylko dar słyszenia duchów ziemi, szczególnie tych, które mieszkają w kamieniu.

Na twarzy Elphame już było widać rozczarowanie, choć centaur jeszcze nie skończył.

- Nie potrafię instruować, mogę tylko posłużyć jako przewodnik.

- Och, Danannie... - Rozpromieniona Elphame odruchowo wzięła w dłonie obie sękatę, spracowane ręce

Dananna i mocno je ścisnęła. - Dziękuję, bardzo ci dziękuję.

- Trudno odmówić tak zachwycającej uczennicy! - powiedział Danann szarmancko. - A więc... może zrobisz sobie przerwę w pracy. Przejdziemy się trochę. Moje stare kości sztywnieją, kiedy za długo stoję w jednym miejscu.

- Naturalnie! A dokąd pójdziemy?

- Tego jeszcze nie wiem. Pozwól, Bogini, żeby duchy cię poprowadziły. Pójdziemy za nimi.

Elphame na moment sposepniała. Mają ją poprowadzić duchy? Czy to w ogóle możliwe? Chyba tak, bo Mistrz Kamieniarz patrzył na nią spokojnym, jasnym wzrokiem, jakby nie miał najmniejszych wątpliwości, że duchy zawołają Elphame po imieniu i podpowiedzą jej, w którą stronę ma iść. Skoro tak, nie ma co się wahać. Elphame skupiła się więc na otaczających ją kamieniach. I nic. Owszem, czuła w sobie błogi spokój i zadowolenie, ale tak było od pierwszej chwili jej pobytu na zamku MacCallana. Teraz jednak nie usłyszała żadnego głosu, wzywającego do udania się w tę czy tamtą

stronę.

- Ja nie potrafię...

- Bo za bardzo się starasz, Bogini - stwierdził Danann spokojnym głosem. - Nic na siłę. Po prostu otwórz się na głos duchów i idź. One cię poprowadzą, ale tylko wtedy, gdy nie będziesz natarczywa i nie będziesz próbowała niczego na nich wymusić.

- Mam się otworzyć? - spytała Elphame. Czuła się teraz jak skończony głupek, na szczęście stary centaur nie okazał zniecierpliwienia, tylko przekazał następną instrukcję.

- Trzy razy głęboki wdech i przestań myśleć.

Elphame, wyjątkowo chętna uczennica, zrobiła trzykrotnie głęboki, oczyszczający wdech i postarała się o pustkę w swojej głowie. Kazała tylko swoim nogom iść

i razem z centaurem wyszła z dziedzińca. Najpierw skierowała swoje kroki do zamkowych kuchni, ale

kiedy dotarła do korytarza przy wielkiej sali zamkowej, coś jej podpowiedziało, że powinna teraz skręcić w prawo, oddalać się od tych rejonów zamku, gdzie są ludzie, gdzie słyhać krzątanie i gwar.

Z tyłu, tuż za sobą usłyszała cichy głos Dananna:

- Pamiętaj, że cały świat dookoła nas ma duszę. Wszystko, od kamieni w murach twego zamku począwszy po wody morza, które jest od nas tak daleko. Cała ziemia ma duszę i wszystko na niej.

Dusza to życie, to nabieranie powietrza. A często czekanie na kogoś, kto potrafi uspokoić twój umysł do takiego stopnia, że usłyszysz w nim wiele, wiele głosów.

Elphame szła tam, dokąd prowadziła ją jakaś wewnętrzna, milcząca siła. Wyszła z wielkiej sali zamkowej przez gotyckie odrzwia na wewnętrzny dziedziniec, o wiele mniejszy od głównego dziedzińca, na którym stała fontanna. Przystanęła i rozejrzała się z ciekawością dookoła. Nie przypominała sobie, żeby byli tu podczas krótkiego obchodu po zamku tuż po przyjeździe. Na tym dziedzińcu też w górze widać było niebo, ale nie dlatego, że dach spłonął. Ten dziedziniec nie był

zadaszony, nie miał też posadzki, tylko dywan ze zdziczałej trawy, wysokiej prawie do kolan. Było tu kilka wejść, między innymi strome kamienne schody, prowadzące na górę, gdzie, jak zdołała dostrzec z dołu, był wielki pokój z niskim sufitem, z którego zapewne kiedyś wychodziło się na dach zamku i ganek dla straży na zamkowych murach - zanim pożar nie zniszczył zamku. Teraz była to jedna wielka ruina. Elphame domyślała się, że w tej sali kwaterowali wojownicy. Ci, którzy tu mieszkali, bronili zamku i tu zakończyli życie...

Coś przyciągało wzrok Elphame do kamiennych schodów. Nogi same ją poniosły w tamtą stronę. Czyżby wzywały ją duchy kamienia, z którego zbudowane są te schody? Może i tak. Szła, trawa cicho szeleściła pod jej kopytami.

Na kilka kroków przed schodami przystanęła, czując, jak nagle ogarnia ją wielki smutek. Tak wielki, przytłaczający, że w jej oczach zakręciły się łzy. Na szczęście był z nią Danann, jego obecność była jej teraz ogromnie potrzebna.

- Oddychaj, Elphame - powiedział półgłosem, pojawiając się u jej boku. - Świat natury to świat żywy,

świat mocy, przekazu, porad i mądrości. Wcale nie chce cię skrzywdzić, lecz próbuje z tobą porozmawiać. Uspokój swój umysł i słuchaj.

Elphame po raz kolejny nabrała głęboko powietrza, kiedy robiła wydech, niepokój znikł. Wytężyła słuch.

- Chodźcie tu, tchórze przeklęte!

Ten głos rozpoznała od razu, słyszała go przecież poprzedniego dnia, wieczorem. Teraz też usłyszała, to był ten krzyk. Mały dziedziniec zakołysał się, nagle przed jej oczami zrobiło się bardzo jasno, jakby ktoś nagle zapalił pochodnię. I w tej jasności zaczęły przesuwać się obrazy przeszłości.

Przed kamiennymi schodami stał MacCallan, otoczony przez ludzi. Nie, nie ludzi, lecz przerażające uskrzydłone istoty. Krew tryskała z otwartych ran na ramionach MacCallana, na jego rękach, ale ręce te nadal dzierżyły miecz. Obracały nim, wymachiwały na wszystkie strony. U jego stóp leżało dwóch napastników, bez głów. Ofiary jego siły. Uskrzydleni napastnicy, wydając groźne dźwięki, otaczali

go, zachowując bezpieczną odległość. Stali tam, gdzie jego miecz nie mógł ich dosięgnąć.

- Chodźcie tu, tchórze przeklęte!

Po raz drugi wykrzyczał swoje wyzwanie. A uskrzydłonych napastników wokół niego było coraz więcej, już dwudziestu, stali z rozłożonymi skrzydłami, ich zakrwawione usta wykrzywione były w szyderczym uśmiechu.

Elphame słyszała swój przyspieszony, głośny oddech, słyszała, jak jej serce zaczyna bić jak oszalałe. Napastnicy zacieśniali krąg, zbliżając się nieuchronnie do MacCal-lana. Ale on był nieugięty, nieulękły. Jego ruchy były pewne, spokojne. Miecz przeciął powietrze jeszcze trzykrotnie, trzech napastników, jeden pod drugim, upadło na ziemię. Ale dłużej nie udało ich się powstrzymać. Dopadli go. Dopadły go ich kły. Zaczął walczyć pięściami, ociekającymi krwią. Tyle krwi...

Nawet kiedy padł na kolana, nie wydał z siebie ani jednego krzyku. Nadal walczył zaciekle, ale

Elphame nie była już w stanie dalej patrzeć. Zdawała sobie sprawę, że to zwidy przeszłości. Krwawej,

okrutnej, ale przeszłości. Ta przeszłość jednak przed jej oczami wydawała się taka rzeczywista.

Przecież wczoraj wieczorem rozmawiała z MacCallanem, zapamiętała jego lekko zachrypnięty, miły głos, jego ciepłe spojrzenie...

Kiedy padał na kolana, ona, łkając, zakryła twarz rękami i też padła na kolana.

W chwili, gdy jej kolana dotknęły zielonej trawy, odgłosy walki ucichły. Usłyszała cichy głos Dananna, który przywracał ją rzeczywistości.

- Nie bez powodu byłaś świadkiem wydarzeń z przeszłości, Bogini. Zachowaj spokój, słuchaj dalej. Nie pozwól, żeby duchy przemawiały nadaremnie.

Elphame, próbując uspokoić swoje rozdygotane ciało, opuściła ręce, odsłaniając twarz. Otworzyła oczy. Wiosenny dzień był taki piękny. Dziedziniec zalany słońcem,

żadnych duchów przeszłości, walczących do ostatniej kropli krwi. Otarła ręką oczy, starając się zebrać myśli. Ale przed oczami nadal miała obraz szlachetnego Przywódcy Klanu. Tylko to, żadnej

racjonalnej myśli czy wniosku. Może więc niepotrzebnie widziała jego śmierć? Niepotrzebnie, bo jest

głupia, niedoświadczona i nie potrafi zrozumieć przesłania świata duchów.

Zawstydzona, zagryzła wargi i opuściła głowę. Wśród trawy i chwastów coś błysnęło w słońcu. Co to

jest? Elphame, wstrzymując oddech, nachyliła się i odszukała w trawie niewielki, metalowy przedmiot. Okrągłą broszę, zaśnieżoną, oblepioną ziemią, ale i tak nic nie zdołało zatrzeć piękna wizerunku wspinającej się klaczy na srebrnym polu.

- Brosza MacCallana - powiedział Danann, pochylając się, żeby przyjrzeć się znalezisku z bliska. -

Dlatego duchy przyprowadziły cię tutaj. Chciały, żebyś to znalazła. Strzeż tej broszy jak największego skarbu. Sam Mac-Callan ci ją podarował.

Palce Elphame ostrożnie musnęły srebrny krążek, w uszach zadźwięczały słowa MacCallana.

- Kiedyś byłem Przywódcą Klanu, dziewczyno. Teraz jesteś nim ty!

Wyglądało na to, że duch MacCallana naprawdę witają tu z radością, wyczuwała to w ciepłe srebrnej

broszy, którą bezwiednie wciąż obracała w palcach, kiedy razem z Danannem wracali na główny dziedziniec. Danann się nie spieszył, szedł powoli, Elphame dostosowała do niego swój krok. Stary centaur wyraźnie chciał, żeby otrząsnęła się po mocnych przeżyciach. Odezwał się dopiero tuż przed wejściem na tętniący życiem dziedziniec.

- Na pewno nie było to dla ciebie łatwe przeżycie, Bogini.

Elphame spojrzała na broszę. Nie, nie było łatwe. Ona nadal nie mogła dojść do siebie.

- Dlatego teraz - ciągnął centaur - musisz się wzmocnić. Zjeść coś, napić się. Odwiedziłaś świat duchów, teraz musisz mocno odczuć, że wróciłaś do siebie, do świata żywych, a najlepszym sposobem jest napełnienie żołądka.

- Dobrze... Ale to było straszne... - szepnęła Elphame zdławionym głosem. - Widziałam, jak umiera.

- To było ponad sto lat temu. Postaraj się zapomnieć, co było straszne i ciesz się darem, jaki

otrzymałaś.

Elphame jednak zdecydowanie wolałaby zostać obdarowana bez oglądania, jak Przywódca Klanu MacCallanów zostaje zamordowany przez demony. Stary centaur, jakby odgadując jej myśli, uśmiechnął się i poklepał ją po ramieniu.

- Nie bez powodu widziałas jego śmierć. Po jakimś czasie to zrozumiesz, teraz ciesz się darem. A ja już się pożegnam. Przywieziono kamienie, muszę dopilnować wyładunku.

- Dziękuję, Danannie, że zechciałeś mnie tylu nowych rzeczy nauczyć.

- Nie nauczyłem, tylko pokierowałem tobą, Bogini. A na koniec dam ci jeszcze jedną radę. Dziś wieczorem koniecznie zrób coś, co sprawi ci wielką przyjemność. Ci, którzy słuchają duchów, zbyt często zapominają o swoim własnym życiu. Pamiętaj, że wszędzie są duchy, w ziemi i na ziemi, ale to

wcale nie znaczy, że ziemia jest jednym wielkim grobowcem. Ciesz się pełnią życia, Bogini, a nie obrazami śmierci.

Stary centaur skłonił się i odszedł.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- To znaczy, gdzie ją znalazłaś? - dopytywał się Cuchulainn, oglądając z wielkim zaciekawieniem broszę z wizerunkiem wspinającej się klaczy, herbem Klanu MacCallanów.

- Przed kamiennymi schodami, które moim zdaniem prowadzą do dawnej kwatery wojowników.

O swojej wizji, która doprowadziła ją do broszy, El nie powiedziała bratu. Dlaczego? Tego właściwie

sama nie wiedziała, choć na pewno jednym z powodów był fakt, że patrzenie na śmierć przywódcy Klanu MacCallanów było dla niej wyjątkowo mocnym, bardzo osobistym przeżyciem. Czymś, co związało ją bardzo mocno z przeszłością

tego zamku. Poza tym, choć swego brata darzyła wielką siostrzaną miłością i była wobec niego bardzo

lojalna - tak samo jak on wobec niej - różniła się od niego bardzo, chociażby właśnie w kwestii

duchów. Elphame szanowała przeszłość, w końcu nawiązała kontakt ze światem duchów, a Cuchulainn, wojownik, wcale o tym nie marzył. Zył tu i teraz. Do wszystkiego, czego nie rozumiał, czego nie mógł pokonać pięściami i orężem, podchodził bardzo nieufnie. Gdyby El powiedziała mu o swojej wizji, zacząłby wszystko analizować, dokładnie, aż do znudzenia, albo w ogóle uznałby to za niemożliwe. Wcale nie miała ochoty tego wszystkiego wysłuchiwać, przynajmniej teraz, kiedy ona tak do końca jeszcze się z tego nie otrząsnęła. W rezultacie Cuchulainn jeszcze nie wiedział ani o wizji, ani o spotkaniu siostry z duchem MacCallana.

- Popatrz, Cu, jak tu już się zmieniło. Wspaniale, prawda? - spytała, pragnąc odwrócić uwagę brata od broszy. Chociaż jej słowa zachwyty były absolutnie szczerze.

O zmierzchu ona i Cu spotkali się, żeby razem sprawdzić, jak postępuje robota. El była bardzo zadowolona, kiedy przekonała się, że tereny na południe od zamku zostały już prawie całkowicie uprzątnięte. Cuchulainn zapewnił ją, że następnego dnia wieczorem mogą już tam rozłożyć się obozem, a nie koczować w Loth Tor.

Wielkie kolumny, otaczające główny dziedziniec, zostały już do połowy oczyszczone. Górna połowa, pokryta zawilym ornamentem, odzyskała już kremowy kolor i stanowiła wielki kontrast z dolną połową, jeszcze nie oczyszczoną. Szczególne zainteresowanie starymi kolumnami wykazywała Brenna, to ona nadzorowała kobiety, które je czyściły. Elphame i Cuchulainn nie mogli się nachwalić wykonanej roboty, a mała Uzdrowicielka promieniała z zadowolenia.

Teraz rodzeństwo stało w korytarzu, tuż przed wejściem do kuchni, która w ciągu tych dwóch dni zmieniła się nie do poznania.

- O, jak to miło, że milady zajrzała do nas! - Wynne podeszła do Elphame i dygnęła, zerkając jednocześnie na przystojnego brata bogini. - Ciebie też miło powitać, wojowniku!

Cu, wiadomo, od razu przeszedł metamorfozę. Troskliwy brat znikł, pojawił się uwodziciel.

- Spotkanie tak pięknej damy jest zawsze ogromną przyjemnością, Wynne... - zaczął, ale Elphame, z obawy, że flirt się przeciągnie, bez żadnych ceregieli przerwała bratu:



- Nie do wiary, ile zrobiono w tak krótkim czasie. To zupełnie inna kuchnia!

Wielkie paleniska i piece kuchenne, po usunięciu dzikich lokatorów, wyszorowano, skruszałe kamienie zastąpiono nowymi. Teraz kobiety szorowały z zapalem ściany w szafach i szafkach, imponującej wielkości stół na środku i kamienną posadzkę.

- Wynne! Mamy już wodę! - zawołała jedna z pomocnic i natychmiast przystąpiła do demonstracji.

Zacząła pompować z zapalem, a wszyscy patrzyli jak zafascynowani, kiedy do marmurowego zlewu najpierw leci woda mętna, stopniowo jaśnieje i wreszcie popłynęła struga klarownej, czyściutkiej wody.

- Milady! Jutro wieczorem będzie prawdziwa uczta, a wszystko, co podamy na stół, będzie przyrządzone tutaj, w kuchniach zamku MacCallana! - oznajmiła z dumą Wynne.

- Cudownie, Wynne. Jestem bardzo szczęśliwa.

Ładniutka kucharka uśmiechnęła się z zadowoleniem, dygnęła i wróciła do swoich obowiązków. A rodzeństwo opuściło kuchnię i skierowało się ku frontowi zamku.

- Wygląda na to, że nasza Łowczyni zaczęła zarabiać na swoje utrzymanie! - rzucił zjadliwie Cu. Czyli niestety, Brighid nadal nie była jego ulubienicą.

- Owszem - przytaknęła Elphame. - Powiedziała, że nie możemy ludzi z Loth Tor pozbawiać wszystkich ich zapasów i dziś po południu wyruszyła na polowanie.

Cuchulainn tylko chrząknął.

- Cu, dlaczego ty nadal nie możesz przekonać się do Brighid? Dla mnie jest to bardzo dziwne, przecież przepadasz za pięknymi istotami płci żeńskiej! A ona jest taka piękna.

- Owszem, niebrzydka. Wie o tym i dlatego jest taka zuchwała! Poza tym ja nadal jej nie ufam!

- Przede wszystkim, mój drogi, nie podoba ci się, że ona nie robi do ciebie słodkich oczu!

Cu wzruszył ramionami, ale niespodziewanie przyznał siostrze rację.

- Może coś w tym jest. Bo dla mnie to bardzo nietypowa sytuacja.

Poruszył zabawnie brwiami. Elphame roześmiała się.

- Ale dajmy już spokój Łowczyni - powiedział Cuchulainn. - Pogadajmy o tej broszy MacCallana.

Opowiedz mi dokładnie, jakim cudem stałaś się jej właścicielką.

Na szczęście nie musiała niczego opowiadać, ponieważ wchodzili już na główny dziedziniec, a tam powitał ich podekscytowany głos Brenny:

- Elphame, Elphame! Spójrz na swoją fontannę!

- Cu! Ona działa! - zawołała z zachwytem El. Chwyciła brata za rękę i pociągnęła go na środek dziedzińca,

gdzie stała grupka kobiet i mężczyzn, podziwiająca fontannę. Z dzbana Rhiannon z cichym szmerem wypływała woda i zaczynała napełniać basen. Jeszcze mętna, powoli jednak stawała się coraz bardziej

klarowna, aż zaiskrzyła się w słońcu.

- Wspaniale, El - powiedział Cuchulainn. Objął siostrę ramieniem i uściskał, jak brat.

- Ja też tak uważam - powiedziała uśmiechnięta od ucha do ucha Brenna, pojawiając się u boku Elphame.

A Elphame nie powiedziała nic, tak bardzo była wzruszona. Przez tyle lat bardzo boleśnie odczuwała brak konkretnego celu w życiu, a tu nagle jej marzenia się spełniają. Aż bała się w to uwierzyć - bała się, że rzuci jakiś urok i okaże się, że wszystko zniknie, jak mgła.

Sen, mgła... Nagle w pamięci ożył tamten sen. Przed oczyma pojawiła się tamta szkarłatna mgła, w głowie lekko się jej zakreśliło. Poczuli się bardzo podobnie jak wtedy, kiedy miała wizję o śmierci MacCallana. Szybko więc potrząsnęła głową, żeby pozbyć się tego obrazu, tego dziwnego oszołomienia w głowie. Czuli na sobie pełen niepokoju wzrok brata, dlatego starała się na niego nie patrzeć.

- Myślę, że na dziś wystarczy - oznajmił nagle Cuchulainn i wydał polecenie jednemu z mężczyzn: - Dermot, przekaż wszystkim, że pora już wracać do Loth Tor.

- Tak, milordzie. - Dermot skwapliwie kiwnął głową.

Po chwili kobiety i mężczyźni, pracujący na dziedzińcu, przerwali robotę. Kubły i miotły poustawiali w jednym miejscu, porozwieszali szmaty na rusztowaniu, żeby przez noc wyschły, i poszli sobie. Kolo

fontanny została tylko Elphame, Cu i Uzdrowicielka.

- El, jak ty się czujesz? - spytał Cuchulainn. Elphame nagle odzyskała głos.

- Ja? Znakomicie!

- Ale jesteś blada - powiedziała Uzdrowicielka, wpatrując się w nią z wielką uwagą.

A Elphame, nie patrząc ani na brata, ani na Uzdrowicielkę, wyznała im:

- Przeżywam to, po prostu. Moje marzenia się spełniają, nic dziwnego, że staję się trochę...

sentymentalna.

Cuchulainn chrząknął.

- Ile ty masz lat, siostrze? Mówisz jak małe dziewczątko.

Jego żarcik dobrze wpłynął na Elphame.

- A czy ja nie jestem małe dziewczątko? - zapytała z przekornym uśmiechem.

Brenna nie dała się jednak zwieść uśmiechowi i żarcikom.

- Elphame, myślę, że twój brat ma rację. Na dziś wystarczy. Teraz powinnaś porządnie się najeść i wyspać, zebrać siły przed jutrzejszym dniem. Zaparzę ci specjalną herbatę, po której się odprężysz, poza tym ona uśmierza ból w mięśniach...

- A mnie nic nie... ojej!

El jęknęła cicho, kiedy Brenna stuknęła ją żartobliwie w łopatkę, po czym stwierdziła z satysfakcją:

- A jednak. Cuchulainn zaśmiał się.

- Ty się lepiej jej nie sprzeciwiaj! - poradził siostrze. - Ona bardzo przypomina naszą Matkę.

- Dla ciebie też zaparzę herbatkę - powiedziała Brenna ostrym głosem.

- A do jakiego stopnia będzie obrzydliwa? - spytał. Podobało mu się, że Brenna rozmawia z nim swobodnie, tak jak z jego siostrą. Wcale nie pochyla głowy, nie szepcze czegoś tam do swojego

ramienia.

- Jestem Uzdrowicielką, a nie kucharką!

Brenna spojrzała na Cuchulainna karcąco i nagle uświadomiła sobie, że przekomarza się z przystojnym wojownikiem. Natychmiast poczuła na policzkach zdradliwe ciepło. Zarumieniła się, a w

jej przypadku rumieniec pojawiał się tylko na jednym, zdrowym policzku, na drugim trwały różowe blizny i to wszystko razem było straszne.

- Pójdę już - bąknęła. - Ja... muszę narwać ziół. Opuściła głowę i wyszła szybko z dziedzińca.

Cuchulainn odprowadził ją wzrokiem.

- El, dlaczego ona tak dziwnie się zachowuje?

- Nie udawaj, że nie wiesz.

- Chodzi ci, oczywiście, o te blizny? Trudno, są. Ja, kiedy patrzę na nią, wcale nie czuję odrazy. Bo niby dlaczego?

- Ale na tobie, Cu, świat się nie kończy. Brenna nie zwierzała mi się, domyślam się jednak, że wielu ludzi traktowało ją okropnie. Podejrzewam, że wiele przykrości doznała ze strony mężczyzn, zwłaszcza przystojnych.

- Niech no tylko ktokolwiek tu spróbuje, a będzie miał ze mną do czynienia! - oświadczył Cuchulainn zapalczywie. - Mężczyźni już o tym wiedzą.

- Naprawdę?

- Oczywiście! Ona jest twoją przyjaciółką i wszyscy mają ją szanować - powiedział, cały czas spoglądając tam, gdzie znikła Brenna.

Elphame nigdy dotąd nie widziała, żeby brat reagował tak gwałtownie w przypadku kobiety spoza rodzinnego grona. Czyżby zaczynało mu zależeć na Brennie? Jak to możliwe?

Jak to możliwe... Elphame poczuła, że ze wstydu cała w środku płonie. Jak mogła tak pomyśleć!

Oczywiście, że

jest to możliwe. Cuchulainnowi może zależeć na Brennie. Cuchulainn jest przystojny, hojnie

obdarowany przez naturę, ale wcale nie jest człowiekiem płytkim i lekkomyślnym, mającym innych za nic. A Brenna jest niedużą, bardzo ładną osobką, której zdarzyło się mieć kilka blizn. Elphame była pewna, że jej brat, patrząc na Brennę, dostrzeże coś więcej oprócz tych blizn. Uśmiechnęła się do

niego ciepłutko.

- Dzięki, że o się o nią troszczysz, Cu.

- Nie musisz mi dziękować. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej!

Słowa siostry trochę zbiły go z tropu, dlatego zabrzmiało to ostrzej niżby sobie tego życzył. Dlatego uśmiechnął się do siostry przepraszająco i powiedział:

- Chodźmy, El. Brenna czeka z tą herbatą, na pewno będzie się niepokoić, że tak długo nie przychodzimy.

Brat i siostra, oboje zajęci swoimi własnymi myślami, w milczeniu przeszli przez dziedziniec i przez puste odrzwia w wewnętrznych murach zamkowych. Potem, idąc przez bramę zamkową, dołączyli do strumienia robotników, nadciągających z różnych miejsc w zamku. Wszyscy z wielkim szacunkiem skłaniali głowę przed Elphame i jej bratem. Ale szacunek szacunkiem, dla Elphame najistotniejsze było to, że kilku z nich, witając ją, zwróciło się do niej po imieniu.

- Żelazo na nową bramę mają przywieźć jeszcze przed nowiem - powiedział Cu, kiedy wychodzili z zamku.

- To dobrze.

Elphame przystanąła i obejrzała się.

- Wystarczy, że spojrzysz na ten zamek, a już czujesz się szczęśliwa, prawda, El? - spytał Cuchulainn.

W jego głosie słychać było śmiech.

- Tak-odparła.- Z tym, że jest jeszcze coś innego, co mnie uszczęśliwia.

- Co?

- Bieganie! Przecież wiesz! A ja po wyjeździe ze świątyni jeszcze ani razu sobie nie pobiegałam! Cu,

ja już nie wytrzymam, muszę dziś sobie trochę pobiegać. Zaraz!

- El, nie znasz tej okolicy! Jeśli koniecznie musisz to zrobić, pobiegaj sobie drogą z zamku do wioski.

El pokręciła przecząco głową. Drogą? Nigdy. Tam w każdej chwili ktoś może ją zobaczyć. Ona jest taka szczęśliwa, że ludzie tutaj zaczynają ją akceptować, ale jeśli ktokolwiek zobaczy, jaką prędkość potrafi rozwinąć Elphame, wszyscy bez wyjątku będą uważać ją tylko za boginię.

Elphame spojrzała w lewo, spojrzała w prawo i uśmiechnęła się.

- Już wiem! Pobiegnę sobie po klifie. Las kończy się kilka metrów od brzegu, poza tym tu brzeg jest prosty, bez żadnych zatoczek, będę więc dobrze widziała, co mam przed sobą. Jedyne, na co będę musiała uważać, to kamienie.

- Nie podoba mi się pomysł, El, że będziesz poza zamkiem, sama. Wezmę konia i pojedę za tobą.

- Cuchulainnie, czy to przypadkiem nie ty mówiłaś mi wczoraj wieczorem, że koniec z obsesją na temat mojego bezpieczeństwa? - powiedziała ostro, starając się stłumić w sobie poczucie winy. Kłóci

się z nim, a w końcu to ona przecież nie jest wobec niego w porządku, skoro tyle przed nim zataiła. -

Mam przy sobie twój sztylet. Może to cię uspokoi. Poza tym jest jeszcze jasno. Obiecuję, że przed zachodem słońca będę już w Loth Tor, delektując się herbatką Brenny.

- Ale i tak to mi się nie podoba.

- Boisz się, że zabłądzę?

- Po prostu mi się to nie podoba.

- Cu, nie zachowuj się jak Mama. Cu sposepniał.

- No dobrze. Twoje szczęście, że nie jestem naszą Matką!

Elphame uśmiechnęła się szeroko. Cuchulainn westchnął. Głęboko.

- Ale pamiętaj, przed zachodem słońca masz być z powrotem. Masz już siedzieć koło mnie i pić herbatkę naszej Uzdrowicielki, a nie stać gdzieś tam na klifie i zastanawiać się, w którą stronę pobiec...

- Dobrze, dobrze! - przerwała niecierpliwie. Ucisnęła go, cmoknęła w policzek. Odbiegając, rzuciła jeszcze przez ramię: - Kiedy mnie nie będzie, pilnuj Brenny! Jak oka w głowie!

Zaśmiała się i przyspieszyła, żeby wiatr połknął odpowiedź Cuchulainna, zanim dotrze do jej uszu.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Elphame obiegła z jednej strony zamek MacCallana, zbudowany na kawałku twardego gruntu, wystającym wysoko ponad linią brzegową Morza B'an i pobiegła dalej brzegiem klifu, na północ. Tu, podobnie jak na południe od zamku, las dochodził prawie do brzegu. Zamek MacCallana stał więc na swego rodzaju wyspie, z jednej strony miał morze, a z trzech stron las. Stał tam, dumny, samotny i milczący.

Do czasu! Elphame uśmiechnęła się do wiatru, kiedy pomyślała, że kiedyś słyhać tam będzie radosne

głosy ludzi krzątających się wśród starych murów. Ludzi wykuwających tu swój los.

Jej ludzi. W jej zamku.

Kiedy była pewna, że nikt z zamku już jej nie zobaczy, przystanęła. Odwinęła z bioder spódnice,

powiesiła ją na jednym z głazów i zabrała się za rozgrzewkę. Zrobiła kilka ćwiczeń rozciągających, by rozgrzać mięśnie nóg, mocno i z lubością wciągając przy tym w płuca pachnące solą morską

powietrze. W dole fale uderzały miarowo o podnóża przybrzeżnych skał. Słońce chyliło się ku szafirowi morza, niebo na zachodzie zaczynało pokrywać się wspaniałym rumieńcem wieczoru.

Jak tu pięknie... Elphame nie mogła się po prostu nadziwić - jak to było możliwe, że tak długo mieszkała gdzie indziej i nie widziała tego piękna?

Z rozciągniętymi mięśniami, rozgrzana, od razu pomknęła jak strzała. Biegła brzegiem klifu, bardzo szybko, ale z głową. Musiała przecież poznać wszystkie niespodzianki, jakie szykowała ta ziemia

biegacze. A było tu całkiem inaczej niż na łąkach i polach koło Świątyni Epony. Musiała omijać okrągłe głazy, przeskakiwać przez kamienie, ale te dodatkowe ćwiczenia oznaczały dodatkową

przyjemność. Po prawej stronie ciągnął się las, po lewej szumiało morze. A przed nią wąska wstążka

ładu, jakby stworzona właśnie dla niej.

Nachyliła się jeszcze bardziej do przodu i przyspieszyła. Jaki ten Danann mądry! Kazał jej koniecznie zrobić sobie jakąś przyjemność. I rzeczywiście, kiedy jej kopyta, miarowo uderzając o ziemię,

wystukiwały znajomy rytm, czuła, jak znika napięcie kilku ostatnich dni. Kiedy poczuła znajome

pieczenie w mięśniach, poczuła się jeszcze lepiej, przyspieszyła jeszcze bardziej, czerpiąc garściami z ogromnego zapasu swoich sił.

Przed sobą zobaczyła szeroki strumień, wypływający z lasu. Docierał do brzegu urwiska i wspaniałą kaskadą

białej wody opadał do morza. Elphame na moment zwolniła, podejmując w duchu decyzję.

Zadecydowała na „tak” i skręciła w las. Kochała morze, kochała szum fal, ale ten las po prostu ją do siebie zapraszał.

Biegła wzdłuż strumienia, po ziemi porośniętej młodym mchem, zasłanym grubą warstwą sosnowych igieł. Chrzęściły cichutko pod kopytami Elphame wybijającymi pełen satysfakcji rytm, kiedy

zagłębiała się coraz bardziej w las. Coraz bardziej gęsty, drzewa coraz wyższe. Stare sosny były tak wysokie, że ich dolne gałęzie zaczynały się dopiero na wysokości głowy rosnącego mężczyzny.

Ogromne drzewa oszałamiały ją i zachwycaly. Były o wiele piękniejsze niż starannie pielęgnowane wierzby i klony, rosnące wokół świątyni jej Matki. Tym sosnom tutaj nikt nie przeszkadzał, same nadawały sobie kształt. Piękne i nieujarzmione. Jak wszystko tu, gdzie Elphame znalazła wreszcie swoje miejsce na ziemi. Po raz pierwszy w życiu. Czuła się wolna, szczęśliwa, od tego wszystkiego aż

trochę zakręciło jej się w głowie...

Nie zauważyła jaru. Było za późno, żeby się zatrzymać. Ziemia nagle rozstała się przed Elphame, runęła w dół, rozpaczliwie młóćąc rękoma powietrze, żeby choć w minimalnym stopniu złapać równowagę. Spadała w dół, koziołkując. Nagle poczuła w boku ostry, przeszywający ból.

Instynktownie skuliła się, próbując osłonić urażone miejsce. Wtedy coś uderzyło ją w ramię, potem w



głowę. Potem pochłonęła ją ciemność.

Lochlan wyczuł, że Elphame upadła. Polował - głód był jedyną siłą, która odciągała go od nieustannego czuwania przy zamku. Niedaleko jego kryjówki przeszedł jelonek. Lochlan poszedł za nim, zabił jedną strzałą, po czym zabrał się do krwawego dzieła oprawiania zwierzyny. Robił to szybko, sprawnie, pewien, że zdąży wrócić pod zamek, żeby zobaczyć, jak Elphame po zachodzie słońca wychodzi przez zamkową bramę. Może znów pójdzie wykąpać się w jezioru? Skrzydła Lochlana natychmiast zadrżały. Nakazał im spokój, ale w głowie już odzywał się uporczywy ból.

Ten sen z ubiegłej nocy, przesycony namiętnością, nosił ze sobą przez cały długi dzień. Był zły na siebie. Przecież Elphame nie jest tylko obiektem pożądania, który chce się zdobyć i wykorzystać. Elphame, dziewczyna, która śni mu się od lat. Z tych snów dowiedział się, że Elphame jest miła, często zamyślona, zbyt często smutna. Elphame to Elphame, coś więcej niż ponętna, piękna istota płci żeńskiej z krwi i kości.

Z krwi... Jego skrzydła zadrżały ponownie.

Zaraz potem poczuł przeszywający ból w boku, coś uderzyło w ramię i w prawą skroń. Na moment zrobiło mu się słabo. Nóż, którym oprawiał jelonka, wysunął mu się z rąk. Złapał się za bok...

I już wiedział.

- Elphame!

Zawołał ją, nie dbając o to, że ktoś niepowołany może go usłyszeć. Wyczuwał przecież, że stało się coś strasznego. Elphame na pewno jest ranna, potrzebuje go. Dlatego przede wszystkim starał się zwalczyć panikę i pomyśleć jasno. Gdzie ona teraz może być? Jak do niej dotrzeć?

Wycisz się, posłuchaj swego serca. Ono ci podpowie.

Głos, bardzo podobny do głosu jego matki, odbił się echem w jego głowie. Jednocześnie czuł ból, ból

ran Elphame. Czy to znak, że ogarnia go szaleństwo? Nieważne. Niech ogarnia, jeśli zaprowadzi go

do

niej. Jeśli ją odnajdzie. Przecież to ta myśl, tylko ta, przywiodła

go do Partholonu. Odnaleźć w ruinach starego zamku dziewczynę, którą znał od chwili jej narodzin,

patrzył, jak rośnie i dorasta. Dziewczynę, która jest jego przeznaczeniem. Wierzył w to głęboko.

Posłuchał serca. Podsunęło odpowiedź. Rozłożył skrzydła, dzięki którym mógł biec w ten wyjątkowy

sposób, odziedziczony po ojcu. Szybując tuż nad ziemią. I pobiegł na północ.

Elphame, w chwili, gdy odzyskała przytomność, usłyszała dobiegający z oddali grzmot. I pomyślała,

że z nią jest bardzo źle. Próbowwała ostrożnie przekręcić głowę, żeby oderwać twarz od ziemi, ale nie

mogła. Przeszywający ból w prawej skroni był tak straszny, że omal nie zadławiła się własnym

oddechem.

Odchrząknęła i w boku poczuła ogień.

Krzywiąc się z bólu, powoli uniosła powieki. W rozsadzanej bólem półprzytomnej głowie plątanina

myśli, przede wszystkim pytanie - co się stało? Całym ciałem wstrząsnął dreszcz, w boku znów

poczuła ogień. Obraz świata zamazywał się przed oczami, za wszelką cenę starała się jednak nie tracić przytomności. I dlaczego tak jej zimno? Dlaczego nogi są skostniałe, bez czucia. Sparaliżowało ją?!

Szybko spojrzała w dół. Tors wykrzywiony był w nienaturalny sposób, plecy wparte w brzeg

strumienia, zarośniętego mchem. Od pasa w dół była w wodzie. W wodzie strumienia, wzdłuż którego

biegła...

Biegła, tak. Pamięć wróciła. Biegła, bardzo szybko. Chwila nieuwagi i wpadła do jaru.

Cuchulainn ją zabije.

Ostrożnie wyciągnęła ręce przed siebie. Ból przeszył ramię. Skrzywiła się, ale konsekwentnie

wyciągała ręce, okropnie teraz drżące, żeby dotknąć nóg. Na szczęście

palce nie wymacały żadnych niebezpiecznych wypukłości na pokrytej sierścią nodze, świadczących o

złamaniu. Znów wstrząsnął nią dreszcz, znów w boku odezwał się ból. Spojrzała tam. Ubranie w tym

miejscu było rozerwane, przesiąknięte krwią. Rozchyliła wystrzępiony materiał i natychmiast odwróciła wzrok. Długa rana, biegnąca od pasa w górę, wyglądała koszmarnie. Elphame nigdy nie była szczególnie wrażliwa na widok krwi, ale nigdy dotąd nie widziała tyle krwi. Swojej własnej. Zaciskając z bólu zęby przesunęła się kawałeczek dalej. Próbowwała wstać, wydostać się ze strumienia,

ale znów świat przed oczami stał się niewyraźny, zamazany. Czowała, że słabnie. Ciężko dysząc, osunęła

się z powrotem na brzeg. W głowie łupało, z prawej strony. Ostrożnie dotknęła bolącego miejsca i spojrzała na rękę. Była lepka, czerwona od krwi.

Wtedy usłyszała te dziwne dźwięki, jakieś pochrząkiwania, sapanie. Spojrzała na zbocze jaru po drugiej stronie strumienia. Nie było tak strome, jak zbocze tutaj, drzewa rosły tam już na samym brzegu, zasłanym kamieniami obrosłymi brązowymi porostami. Zamrugła oczami i wytrzymała wzrok, próbując cokolwiek dojrzeć między drzewami. Bez skutku. A po niebie przetoczył się grzmot. Spojrzała w górę. Robiło się ciemno, nie była w stanie jednak stwierdzić, czy dlatego, że dzień miał się ku końcowi, czy dlatego, że nadchodziła burza.

Usłyszała trzask gałązek. Zaszleściło, jakby ktoś nadchodził. Ktoś duży, ciężki, poruszający się jednak bardzo zręcznie i szybko. Czyżby to Cu, który uznał, że nieobecność siostry trwa stanowczo zbyt długo?

Jakoś nie chciało jej się w to wierzyć, ale zawołała, niegłośno, bardzo ostrożnie:

- Cuchulainn? To ty?

Na moment zrobiło się cicho, potem znów pochrząkiwanie, tupanie, szelest. To coś wyraźnie zbliżało

się do niej. Było już bardzo blisko. Elphame najpierw zobaczyła między liśćmi czerwone oczy, zaraz potem spośród drzew wyskoczyła bestia.

Ogromny dzik, wytarzany w błocie, wyglądał przerażająco. Był ogromny, z korpusem wielkości korpusu dorosłego człowieka. Z pyska wystawały olbrzymie, wygięte w łuk kły.

Zwietrzył Elphame. Odłonił górną wargę i warknął, wypływając fontannę cuchnącej śliny. Małe oczka jarzyły się złym blaskiem.

Pochylił głowę, szykując się do ataku. Przerazona Elphame podciągnęła szybko swoje odrętwiałe z zimna nogi, teraz ciężkie jak ołów. Jakimś cudem, wpierając się w brzeg strumienia, udało jej się wstać. Rozdygotane ręce sięgnęły do pochwy po sztylet, ale to się jej nie udało. Sztylet upadł na ziemię.

Dzik ruszył do ataku.

Elphame, zaciskając zęby, starała się rozpaczliwie odepchnąć od brzegu. Nadaremnie. Zdawała sobie

sprawę, że nie ma żadnych szans, że umrze. Dlatego zaczęła żarliwie się modlić:

- Epono, błagam, pomóż mi być dzielną...

- Nie! - Ktoś to krzyknął groźnym, chrapliwym głosem i wyskoczył spośród drzew za plecami

Elphame. Ktoś ze... skrzydłami.

Rzucił się na atakującego dzika. Dzik zachwiał się, przewrócił, ale z przerażającą szybkością poderwał się z ziemi. Teraz skoncentrowany już nie na Elphame. Miał przed sobą nowego wroga, z wielkimi, rozłożonymi skrzydłami, który przykucnął przed nim. W wyciągniętym ręku trzymał zakrwawiony krótki miecz.

Elphame osunęła się na brzeg. Miała wrażenie, jakby cała jej dotychczasowa rzeczywistość rozpadła się na kawałeczki, wrzucając ją poza zasłonę, zakrywającą jakiś inny, obcy świat. Tylko tak mogła sobie to wytłumaczyć, ponieważ zdrowy rozsądek absolutnie zaprzeczał istnieniu uskrzydłonej istoty w rzeczywistości, jaką знаła.

Dzik zaatakował. Uskrzydłona istota odskoczyła na bok, wbijając miecz w umięśniony zad. Dzik, rozjuszony, ryknął z bólu, zakręcił się w kółko i znów zaatakował. Ale uskrzydłona istota znów była szybsza i zraniła go po raz drugi.

Dzik, z pianą na pysku, rzucił się po raz trzeci, próbując przyprzeć wroga do brzegu. Uskrzydłona

istota, wydawszy z siebie przerażający syk, wskoczyła mu na grzbiet, ręka z mieczem wyprysnęła do przodu. Dzik kwiknął przeraźliwie, potężne ciało, już bezwładne, opadło ciężko do strumienia. Z poderżniętego gardła tryskała krew.

Uskrzydłona istota wstała z pleców martwego dzika i chwiejnym krokiem zaczęła zbliżać się do Elphame.

- Nie! - krzyknęła przerażona. - Nie podchodź! Uskrzydłona istota zatrzymała się natychmiast, jakby natrafiła na ścianę ze szkła. Istota niewątpliwie rodzaju męskiego.

Elphame wpatrywała się w jego ręce, trzymające miecz. I ręce, i miecz ociekały krwią. Wzrok uskrzydłonego mężczyzny podążył za jej spojrzeniem. Natychmiast upuścił miecz i rozłożył ręce.

- Nie zrobię ci nic złego - powiedział, ciężko dysząc. Wyraźnie starał się przemawiać jak najłagodniej do drżącej ze strachu Elphame.

- Tyle... tyle krwi... - szepnęła zdrtwiałymi wargami. Lochlan doskonale wiedział, że jest cały zbryzgany

krwią dzika. Zapach krwi drażnił jego zmysły. W śliskiej

czerwieni na rękach wyczuwał ducha zabitego zwierzęcia, ducha nadal silnego, nadal gniewnego. A to

budziło w Lochlanie barbarzyńskie instynkty, burzyło w nim jego własną krew. Budziło demona, żądnego krwi innych. Demona, który chciał zatopić kły w szyi dzika i sycić się jego krwią.

Te bestialskie instynkty Lochlan musiał pokonać w sobie jak najprędzej. Jedynym sposobem było zmycie z siebie krwi zabitego zwierzęcia. Nachylił się więc szybko, zanurzył ręce w wodzie strumienia i zmył z nich krew dzika. Kiedy to zrobił, wyprostował się i ponownie rozłożył przed Elphame ręce, ociekające już nie krwią, lecz wodą.

- Nie ma już krwi - powiedział, już całkowicie panując nad sobą, zdolny przemówić do niej bardzo łagodnie, tak jak do dziecka.

Spojrzenie Elphame najpierw przemknęło po jego rękach, jakby sprawdzając, czy rzeczywiście nie ma

tam już śladów krwi. Potem zaczęło dokładnie studiować jego ciało, z tak ogromną ciekawością, że brakowało jej tchu. Co niewątpliwie było następstwem szoku, osłabienia z powodu utraty krwi, a przede wszystkim wyrazem największego niedowierzania.

Tak, to był mężczyzna. Mężczyzna ze skrzydłami, bardzo wysoki, na pewno wyższy od niej o kilkanaście centymetrów. Kolor włosów niezwykle. Żółty? Nie, złocisty, jakby promienie porannego słońca. Włosy odgarnięte w tył, na pewno związane i na pewno długie, o czym świadczyły długie pasma, które uwolniły się podczas walki z dzikiem i teraz opadały na ramiona. Rysy twarzy wyrzeźbione po mistrzowsku, kości policzkowe osadzone wysoko. Oczy, teraz wpatrzone w nią, trochę skośne. Szare jak stop cyny z ołowiem.

Coraz bardziej ją zachwycił. Był piękny. Wysoki, szczupły, o długich rękach i nogach. Cera bardzo jasna, ale absolutnie nie ziemista czy chorobliwie blada. Po prostu jasna, aż za jasna dla istoty śmiertelnej. Ubrany był w koszulę z grubego płótna. Elphame, patrząc na nią, raptem pomyślała, że koszula ta nadaje się już tylko do prania. Spodnie brązowe, skórzane. Stopy białe. Stopy jakiegoś takie dziwne, ale Elphame nie mogła im się przyjrzeć dokładnie, ponieważ uskrzydłony człowiek stał w wodzie.

Przeniosła spojrzenie na skrzydła. Teraz złożone równiutko, dokładnie przylegały do jego pleców, ich

wielkość jednak nadal była imponująca. Skrzydła o rozpiętości co najmniej trzech metrów, widziała je

przecież rozłożone podczas walki z dzikiem, kiedy ten człowiek - nie człowiek wyglądał jak gigantyczny ptak drapieżny. Na skrzydłach nie było piór, tylko skórzasta błona, sprawiająca wrażenie bardzo miękkiej. Błona pokryta była delikatnym meshem, od spodu bardzo jasnym, jak skóra i włosy, a z wierzchu o wiele ciemniejsza, w tym samym odcieniu szarości co oczy.

- Kim jesteś?

To pytanie, oczywiście, miało zostać wypowiedziane normalnym głosem. Była przerażona, że z jej ust

wydobył się tylko cichutki, trwożliwy szept.

- Lochlan. Tak mnie nazywają. Nie bój się, nie zrobię ci żadnej krzywdy. Nigdy bym ci tego nie zrobił

- odparł, spoglądając na nią z niepokojem. Była przecież ranna, krew ciekła z głowy i z boku. Wargi miała sine, twarz śmiertelnie bladą. - Elphame, czy pozwolisz sobie pomóc?

Jej ciemne oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Wyglądała teraz jak wystraszone leśne zwierzątko.

- Skąd znasz moje imię?

- Znam je od zawsze, Elphame - odparł, robiąc pierwszy, ostrożny krok w jej stronę.

- Od zawsze? Nie rozumiem... Czy to wszystko dzieje się naprawdę? A może ja już umarłam?

Zrobił kolejne dwa kroki i stanął tuż przed nią.

- Nie. Przysięgam, Elphame, że to wszystko dzieje się naprawdę. Ty żyjesz. Wcale nie umarłaś. -

Uśmiechnął się, niezwykle ciepło. - Ale rozumiem, co teraz czujesz, Elphame. Bo to jest prawie jak we śnie.

Powoli wyciągnął przed siebie rękę, jakby chciał dotknąć Elphame. Wystraszona, drgnęła. Szybko cofnął rękę, uśmiech znikł.

- Tu jest mokro i zimno - powiedział po chwili. - Wiem, że nie chcesz, żebym cię dotykał, ale koniecznie trzeba cię stąd zabrać.

Niepokoił się o nią naprawdę. Nie udawał, ten fakt docierał to niej, mimo że straszliwy, przejmujący ból prawie zwałdnął ją już całkowicie.

- Ja... chyba nie dam rady iść - powiedziała nieswoim głosem.

Lochlan ponownie się uśmiechnął, odsłaniając biel błyszczących, ostrych zębów.

- Zaniosę cię.

Czyli to jednak sen. Bez wątplenia. Wszystko, co teraz się dzieje, jest kolejnym snem, tak samo nieprawdopodobnie realistycznym jak sen ubiegłej nocy. Jeszcze chwila, a Elphame obudzi się, zobaczy Cuchulainna dorzucającego do ognia. Oczywiście, zaraz zacznie marudzić, że spała za

krótko. Będzie też kłamał w żywe oczy, mówiąc, że on spał przez cały czas. Kiedy wiadomo, że nie zmrużył oka, tylko czuwał przy siostrze.

A więc, jeśli to sen... Przecież to cudowne... być niesioną we śnie przez pięknego uskrzydłonego mężczyznę... Mimo że to tylko sen...

- Dobrze. Zanieś mnie.

Lochlan, unikając gwałtownych ruchów, które mogłyby wystraszyć Elphame, ostrożnie przykląkł przy niej. Teraz, z bliska, widział dokładnie krew na jej skroni i krew z boku, pod żebrami. Krew kobiety, gęsta, prowokująca go swoim ostrym zapachem...

Nagle usłyszał głos matki, powtarzającej słowa Przepowiedni:

- Ocalisz swoich ludzi przed szaleństwem dzięki krwi umierającej Bogini.

Nie! Elphame nie może umrzeć. Nie tutaj. Nie teraz!

Nie wolno poddawać się mrocznym instyktom. Zaciśnął zęby i tłumiąc w sobie pragnienie jej krwi, wsunął jedną rękę pod plecy Elphame, drugą pod kolana. Na moment zawahał się. Był o wiele silniejszy niż zwyczajny człowiek, więc z niesieniem Elphame nie będzie miał żadnego problemu. Bał

się jednak, że sprawi wtedy dodatkowy ból tak ciężko rannej Elphame.

- Wybacz mi - powiedział i jednym zręcznym ruchem podniósł ją z ziemi. Elphame wydała z siebie rozpczliwy jęk, ten jęk zakłuł go prosto w serce, wiedział jednak, że musi to zrobić. Zabrać ją stąd.

Rozpostarł skrzydła, które pomagały mu utrzymać równowagę i starając się robić to jak najostrożniej, poniósł ją w górę, po stromym zboczu jaru. Jak najostrożniej i jak najszybciej.

Niebo przecięła błyskawica, po chwili zagrzmiało. Wiatr znad morza gnał nad ląd ołowiane chmury.

Nadciągała burza. Gdzie schronić się z Elphame? Najlepiej byłoby zanieść ją do jaskini, do swojej kryjówki. Ale to za daleko, a krwawiące obficie rany Elphame trzeba opatrzyć jak najszybciej.

Lochlan, już zrozpaczony, rozejrzał się dookoła. Wszędzie wysokie sosny, baldachim z ich gałęzi w jakimś stopniu osłoni ich przed deszczem.



Dobre i to. Wszedł między drzewa i po chwili znalazł miejsce, które wydało mu się odpowiednie. Pod

starą sosną, tu ziemia zasłana była grubą warstwą zeschniętych igieł. Nagarnął nogą jeszcze więcej igieł, przykucnął i złożył w tym prowizorycznym gnieździe Elphame.

Oczy miała zamknięte, drżała na całym ciele. Miała na sobie tylko górną część sukni. Tors owinięty płótnem, spódnicy nie miała na sobie, biodra owinięte były drugim, mniejszym kawałkiem płótna. Na nogach, porośniętych sierścią, nie widać było żadnych śladów krwi, żadnych obrażeń. Ale wyżej, z boku pod żebrami białe płótno było porozrywane, przesiąknięte świeżą krwią.

Świeżą krwią. Jej widok budził mroczną żądzę, znów musiał toczyć walkę, znów w głowie odezwał się znajomy ból. Na moment spojrział w bok i zmobilizował całą siłę woli.

Nie wolno ulec demonom. Nie wolno posmakować jej krwi. Krwi Elphame.

Wygrał kolejną bitwę. Kiedy znów spojrział na Elphame, jego głos był bardzo spokojny, zrównoważony.

- Elphame, muszę obejrzeć twoje rany. Powieki Elphame drgnęły i odrobinę się uniosły.

- To... to nie jest sen?

- Nie, Elphame, to nie sen. Bardzo nie chcę sprawiać ci jeszcze więcej bólu, ale nie mam wyjścia.

Muszę obejrzeć twoje rany. Nie wolno z tym zwlekać.

- Dobrze... - szepnęła i zacisnęła mocno powieki.

Spokój, jak największy spokój, powtórzył sobie w duchu. Teraz nie pora na drżące ręce i spanikowane

myśli. I ani na moment nie wolno zapominać, że jest się przede wszystkim człowiekiem, a nie demonem.

Da radę.

Lochlan nabrał głęboko powietrza i ostrożnie rozsunął

porozdzierane płótno. Rana była długa, wyglądała groźnie. Rozcięta była nie tylko skóra, także

mięśnie, na szczęście jednak, kiedy przyjrzał się jej dokładniej, okazało się, że nie jest tak głęboka, jak się spodziewał. Po oględzinach zaczął jak najdelikatniej sprawdzać okolice rany. Nie wyczuł złamanych żeber, ale rana krwawiła bardzo mocno. Lochlan mocno zacisnął zęby, żeby utrzymać na wodzy demona, który zawsze się w nim budził na widok krwi. Chyba po raz pierwszy w życiu był zadowolony, kiedy w skroniach odezwał się znajomy, przeszywający ból, oznaka walki.

Obejrzał długą ranę jeszcze raz i spojrzął na głowę Elphame, gdzie z boku widać było zakrzepłą krew.

Rana na głowie wydała się o wiele groźniejsza niż rana z boku. Obie rany trzeba było jak najszybciej opatrzyć. Jak? Pomyślał chwilę i już wiedział, w końcu długie życie wiele go nauczyło. A żył już ponad sto dwadzieścia lat. Tacy jak on byli długowieczni, choć wcale nie nieśmiertelni i na pewno nie odporni na urazy, dlatego zdarzyło mu się już opatrywać niejedną ranę.

Wstał i zaczął iść z powrotem do jaru.

- Nie odchodź!

Kiedy usłyszał jej żaloszny krzyk, natychmiast znalazł się z powrotem u jej boku.

- Nigdy, najdroższa - powiedział cicho, głaszcząc ją delikatnie po policzku. W miękkiej, wilgotnej skórze Elphame wyczuwał lęk. Wystraszył ją tym czułym słowem, dlatego teraz, spokojnie, rzeczowo, już bez czułości, wyjaśnił jej, co zamierza zrobić.

- Muszę opatrzyć ci rany. Koniecznie trzeba zatamować krew. Nie odchodzę daleko, chcę tylko zejść do jaru i narwać mchu. Widziałem, że rośnie niedaleko strumienia. Wrócę za chwilę.

Elphame w milczeniu skinęła głową i skrzywiła się, na pewno poczuła przy tym ból.

Czuł na sobie jej wzrok, kiedy rozwinąwszy skrzydła, pobiegł na brzeg jaru i zsunął się w dół, do strumienia. Do miejsca, gdzie upuścił swój miecz. Podniósł go i szybko wyciął duży płat zielonego mchu. Był w sporej odległości od Elphame, ale wzrok, dzięki ojcu Fomorianowi, miał wyjątkowo bystry, widział doskonale, że Elphame nie odrywa od niego oczu.

Kiedy wrócił do niej, dostrzegł w nich wyraźną ulgę.

- Postaram się, żeby nie bolało - powiedział, przyklękając przy niej. - Koniecznie jednak trzeba

zatomować krew. Opatrzę ranę z boku. Elphame, czy ty rozumiesz, co do ciebie mówię?

Zajrzał jej w oczy z niepokojem. Elphame doznała przecież urazu głowy.

- Rozumiem - odparła z nikłym uśmiechem. - Wszystko rozumiem. Będzie bolało okropnie i tobie już z tego powodu jest przykro.

Jej śmiech i żartobliwe słowa bardzo go ucieszyły. Była to odpowiedź w stylu Elphame, znak, że z jej

głową mimo urazu wszystko jest w porządku.

- Dobrze, że rozumiesz. Twoja głowa pracuje jak należy.

- Powiedzmy - powiedziała z głębokim westchnieniem Elphame i zamknęła oczy. - Jestem gotowa.

Dziś niestety odkryłam, że nie przepadam za widokiem mojej własnej krwi.

Nie wiedziała, że pod tym względem są całkowicie zgodni. On też nie przepadał za widokiem, za zapachem jej krwi. Przede wszystkim za jej zgubnym wpływem.

Uciął pasek zielonego mchu o tej samej długości, co rana i pomyślał, że najlepiej mieć to jak najszybciej za

sobą. Ostrożnie położył mech na otwartej ranie, starając się zignorować rozpaczliwy jęk Elphame.

- Już po wszystkim - powiedział lekko drżącym głosem.

Spod przymkniętych powiek Elphame wypłynęły łzy. Po chwili otworzyła oczy i zamrugała kilkakrotnie powiekami, zanim udało jej się skupić wzrok na nim.

- Jak zimno...

Lochlan zaklął w duchu. Był głupcem. Kiedy wyczuł ból Elphame, myślał tylko o tym, żeby jak najszybciej ją odnaleźć. Zapominając, że człowiek przezorny bierze ze sobą wszystko, co może się przydać. Bukłak z wodą, noże i krzesiwo, rzecz ogromnie ważną, zostawił koło truchła jelonka. A grzmoty słyhać było coraz częściej, coraz głośniejsze, coraz bardziej groźne. Lochlan spojrzał z niepokojem w sine niebo. Elphame była zbyt słaba, żeby iść do jego kryjówki. Oczywiście, że mógł wziąć ją na ręce, ale pomysł niesienia w ulewnym deszczu zziębniętej, omdlewającej Elphame,

wcale

mu się nie podobał. Jednocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że Elphame powinna jak najszybciej się rozgrzać. Nadmierne wyziębienie ciała przy jej osłabieniu może być bardzo niebezpieczne.

Był tylko jeden sposób, żeby temu zapobiec.

- Elphame, ogrzeję cię. Tylko się nie bój, proszę. Zaufaj mi.

Spojrzała na niego półprzytomnie. Ból rozsadzał jej czaszkę, uniemożliwiając racjonalne myślenie. A któż to taki? Jego imię wyleciało jej z pamięci. Człowiek ze skrzydłami... Kim on jest? Czym on jest?

Powiedział jej już? Może i tak, ale ona zdążyła zapomnieć...

- Elphame, nic złego ci się nie stanie. Masz moje słowo. Jego głos zmusił ją, by powróciła spojrzeniem do jego

twarzy. Głos, który nagle wydał jej się znajomy. Kiedyś

go już słyszała, tylko kiedy, gdzie? Starła się skupić, przypomnieć sobie, ale uniemożliwił to

potworny ból głowy. Jedyne co do niej docierało, to świadomość, że ten człowiek ze skrzydłami

nazywa się Lochlan - już to sobie przypomniła - i niezależnie od tego, kim ów Lochlan jest, to on

uratował jej życie.

- Wierzę ci, Lochlanie.

Uśmiechnął się, odsłaniając ostre kły, ale półprzytomna Elphame była zbyt obolała, żeby odczuwać

lęk. Była tylko zaskoczona, kiedy Lochlan nagle położył się obok niej. Położył się na boku, opierając się na łokciu i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie bój się, Elphame - powiedział miękko i zaraz potem jedno z wielkich skrzydeł rozwinęło się i zaczęło wsuwać za jej plecy. Otulało ją, jak żywy koc, wsuwając się coraz dalej, aż jego nierówny brzeg złączył się z ziemią lasu.

Ciało Lochlana grzało tak przyjemnie. Po chwili przestała drżeć. Leżała nieruchomo, otulona ciepłem i zapatrzona w jego skrzydło, tuż nad nią, na wyciągnięcie ręki. Widziała jasny spód, pokryty delikatnym meszkiem, który wyglądał na bardzo mięciutki. Czowała zapach Lochlana. Pachniał sosną,

potem i czymś trudnym do określenia, czymś podobnym do zapachu butwiejących liści, co kojarzyło się z dzikością i co, ku jej zaskoczeniu, dziwnie przyjemnie pobudzało jej zmysły.

Bardzo ostrożnie, ze względu na ból, przekręciła głowę i spojrzała mu prosto w twarz, która była teraz tak blisko.

- Kim ty jesteś? - szepnęła.

A on, zapatrzony w jej ciemne oczy, odruchowo odpowiedział szczerze, tak jak podyktowało mu serce.

- Jestem kimś, kto zna ciebie od urodzenia.

Ta odpowiedź nawet dla jej przymglonego teraz umysłu nie miała żadnego sensu.

- Ale ty... ty nie jesteś człowiekiem. Nie znasz mnie.

- Znam. Znam ciebie od dnia twoich narodzin, El-phame. Od tamtego dnia przychodzisz do mnie w snach, a ja ci się przyglądam.

Sny... Oczy Elphame nagle rozszerzyły się. Przecież ona też miewa sny! Tamtej nocy śniły jej się skrzydła, które otulały ją i pieściły. A tamten głos... Tak! To był jego głos, głos, który wzywał ją przez mgłę!

- I jestem człowiekiem - powiedział cicho Lochlan. - Przede wszystkim.

- A poza tym... kim?

Lochlan, nadal wpatrując się jej w oczy, milczał. Odezwał się dopiero po chwili, już innym głosem, nieskończenie smutnym.

- Moja matka była człowiekiem. Ojciec... Fomorianinem. W moich żyłach płynie krew obu ras.

W głowie Elphame nagle zawirowało, poczuła, że znowu robi jej się zimno.

- Ale... ale to niemożliwe - wyjąkała, jej spojrzenie bezwiednie przemknęło znów ku jego skrzydłu. W

głowie odżyła straszliwa wizja szlachetnego MacCallana otoczonego przez uskrzydłone demony, łaknące jego krwi. Niemożliwe, żeby Lochlan był Fomorianinem! Ona, oczywiście, nigdy nie widziała na własne oczy Fomoria-nina, nie mogła być świadkiem okrutnej rzezi w zamku

MacCallana, ale nie na darmo wiele godzin spędzała w bibliotece matki. Wiedziała z książek, że Fomorianie to wyjątkowo niebezpieczna, okrutna, podstępna rasa, która kiedyś omal nie zniewoliła całego świata.

- Przecież Fomorianie zostali wygnani z Partholonu ponad sto lat temu!

Bardzo chciał wyjaśnić jej wszystko dokładnie, ode-gnać strach i niepewność, jakie widział w jej oczach, ale jego wyjątkowo dobry słuch wychwycił już niepokojące dźwięki. Podniósł głowę, ucho nadstawił w stronę, skąd wiał wiatr. A wiatr, oprócz odgłosów burzy, niósł odgłos końskich kopyt.

Nadjeżdżał Cuchulainn.

- Elphame, słyszę, że jada po ciebie. Nie mogę tu zostać, oni zobaczą we mnie tylko Fomorianina, a nie człowieka.

Elphame zamrugała oczami. Na moment udało jej się zapomnieć o bólu, który teraz rządził jej ciałem i skupić całkowicie na twarzy Lochlana. Fomorianin? Ona widziała tylko człowieka, pięknego i niebywale odważnego.

- Elphame, muszę odejść, ale nie opuszczam cię. Będę zawsze w pobliżu, będę czekał, kiedy wezwiesz

mnie do siebie. Rozumiesz?

- Ja... - zaczęła, ale w tym momencie w ciszy nocy rozległ się donośny głos Cuchulainna, wzywającego ją rozpaczliwie. Dlatego, jedyne co teraz mogła zrobić, to ponaglić Lochlana. - Idź już, proszę. Idź! Lochlanie, idź już!

Skrzydło uniosło się, ciepło znikło, znów była bezbronna wobec chłodu nocy. Lochlan, zanim wstał, delikatnie musnął jej policzek opuszkami palców.

- Zawołaj mnie, najdroższa, a ja na pewno się zjawię - szepnął i znikł w ciemnym lesie.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

- Cuchulainnie, tutaj! Tutaj!

Głos Brighid przebijał przez wycie wichru. Ona pierwsza, kobieta - centaur, Łowczyni,

przygalo powala do miejsca, gdzie lezala Elphame. Cuchulainn pojawil sie tuz za nia. Zeskoczyl z rozpędzonego jeszcze konia i przypadl do siostry. Zaraz potem Elphame otoczył krąg światel pochodni, zaklebiło się od jeźdźców i centaurów.

- El, nie! Proszę, nie!

Cuchulainn, klęcząc przy siostrze, zamknął jej bezwładną, zimną jak marmur dłoń w swoich rękach.

Krew - wydawało się, że Elphame cała pokryta jest krwią. Twarz była trupioblada. Gdyby powieki nie

drgnęły,

gdyby nie wyszeptała z trudem jego imienia, byłby pewien, że siostra nie żyje.

Mały, zrozpaczony chłopiec... Takim wydał się teraz Elphame. Bardzo chciała go pocieszyć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Znowu było jej zimno, czuła się okropnie słaba, jakby na widok brata całkowicie opadła z sił.

- Cuchulainnie, odsuń się!

Głos Brenny był spokojny, jednocześnie bardzo stanowczy. Wcale nie cichy i nieśmiały, jakim zwykle zwracała się do niego.

Cuchulainn spojrzal na nia półprzytomnie.

- Cuchulainnie, odsuń się! Muszę natychmiast obejrzeć twoją siostrę!

Tym razem powiedziała to głośniejszym, jeszcze bardziej zdecydowanym głosem. Wydawała rozkaz. Wojownik rozkaz natychmiast wykonał.

Brenna uklękła przy Elphame i wydała następne polecenia.

- Poświećcie tutaj. I koniecznie dajcie tu coś, czym będzie można ją przykryć.

Elphame, mrużąc oczy przed światłem pochodni, poczuła wielką ulgę, kiedy jej półnagie ciało okrywano podawanymi pospiesznie pelerynami. Pomyślała też, jakie to dziwne, że kiedy była z Lochlanem, skąpy strój wcale jej nie przeszkadzał.

Tuż nad sobą zobaczyła teraz Brennę, nakierowującą na nią światło pochodni. Świeciła teraz

Elphame

prosto w twarz.

- Elphame, kto ja jestem? - spytała Uzdrowicielka, zaglądając jej w oczy.

- Brenna - szepnęła Elphame.

- A gdzie jesteś teraz, Elphame?

- W lesie... Upadłam. Tam, w jarze...

Chciała wskazać miejsce, gdzie upadła. Poruszyła ręką, ale w ramieniu odezwał się ból. Elphame znieruchomiała, z jej ust wydobył się rozpaczliwy jęk.

Zastukały kopyta. Łowczyni, unosząc wyżej swoją pochodnię, natychmiast oddaliła się we wskazanym przez Elphame kierunku i znikła w jarze.

Pewne, choć jednocześnie bardzo delikatne ręce Brenny przesuwały się po obolałym ramieniu

Elphame, po głowie, na koniec dotknęły rany pod żebrami.

- Bardzo dobrze, że przyłożyłaś sobie mech, Elphame - powiedziała. - Gdyby nie to, straciłabyś mnóstwo krwi.

- To nie ja... - zaczęła Elphame, ale Uzdrowicielka przerwała jej.

- Nic nie mów. Oszczędzaj siły na drogę powrotną. Wypij to!

Wsunęła rękę pod głowę Elphame, uniosła ją nieco, drugą ręką podsunęła jej do ust bukłak. Elphame za-krtusiła się, ale odkaszlnęła i zaczęła pić łąpczywie. Wino z ziołami było słodkie, zimne i skuteczne. Czują, jak razem z winem wlewa w siebie siły, już było ich tyle, że dała radę wykrzesać z siebie nikły uśmiech do brata.

- Czuję się nieźle, Cu - powiedziała, życząc sobie z całego serca, żeby ten słabiutki głos nie był jej głosem.

- Wcale nie - odezwała się kategorycznym tonem Brenna. - Wcale nie czujesz się nieźle. Jeszcze nie.

Cuchulainnie, potrzebne mi są dwa paski z materiału, jednym owinę jej ramię, drugim ranę z boku.

Cu, zadowolony, że ma coś konkretnego do wykonania, szybko ściągnął koszulę i zaczął rwać cienkie



plótno na długie paski.

- Zadowolony, że ma okazję pokazać swoją klatę...

- Głos Elphame był jeszcze słaby i drżący, ale udało jej się to powiedzieć.

Otoczający ją mężczyźni i centaury zaśmiali się, śmiała się także Brenna. Natomiast twarz

Cuchulainna mieniła się. Wyraźnie próbował spiorunować siostrę wzrokiem za głupi żart, co mu absolutnie nie wychodziło, bo Cuchula-inn był teraz po prostu szczęśliwy. El przez moment bała się, że jej brat z tego szczęścia zaraz się rozplacze.

- Brawo, El - powiedziała Uzdrowicielka. - Już prawie się nie boję o tę twoją ranę w głowie. Sama głowa chyba w porządku.

Uśmiech Cu zdecydowanie się poszerzał.

- W jarze leży martwy dzik - oznajmiła Brighid, dołączając do kręgu ludzi i centaurów wokół Elphame.

- A to chyba należy do ciebie, Cuchulainnie. Wręczyła mu sztylet, ale jej wzrok utkwiony był w Elphame.

- Na Boginię! El! Dzik?!

Twarz Cuchulainna, która zaczęła odzyskiwać już normalną barwę, znów zrobiła się biała jak papier.

Na szczęście Brenna w tym momencie zaczęła ostrożnie owijać talię El prowizorycznym bandażem, dzięki czemu El nie musiała teraz tłumaczyć się bratu. Zresztą i tak nie byłaby w stanie. Tak bolało.

Zacisnęła mocno powieki, równie mocno zęby i starała się pomyśleć o czymś innym.

O kimś. O Lochlanie. To nie był sen ani przywidzenie. Widziała, jak zabijał dzika, którego przed chwilą odnalazła Brighid. Lochlan zabił bestię, potem wyniósł Elphame z jaru, do lasu. Tam opatrzył jej ranę mchem i ogrzał ją własnym ciałem. Czy powiedzieć im, że to on, Lochlan, uratował jej życie?

Lochlan powiedział, że jego ojciec był Fomorianinem.

Oni zobaczą we mnie tylko Fomorianina, nie człowieka.

Fomorianin? To słowo odbiło się echem w jej skołatanej głowie. Nie. Fomorianin - wykluczone.

Fomorianie zostali pokonani ponad sto lat temu i wypędzeni z Partholonu, kiedy to wszystkie rasy, zamieszkujące Partholon, zjednoczyły się i odniosły zwycięstwo nad hordą demonów. Pokonały ich, by nigdy już więcej nie zagrażały mieszkańcom Partholonu, zwłaszcza kobietom. A teraz... czy to możliwe, że ocalił ją właśnie Fomorianin? Nie, to nie ma najmniejszego sensu.

Ale miał skrzydła, widziała je na własne oczy. Okrył ją nimi, otulił ich ciepłem.

Nie, nie, nie. Niemożliwe, żeby to się wydarzyło naprawdę.

W zamku MacCallana spotkasz swój los. Wiem, że chodzi o twojego towarzysza życia.

Przecucie Cu. Teraz jego słowa zaszeleściły w obolałej głowie Elphame. Szalone słowa, takie dziwaczne, nie była jednak teraz w stanie ich rozpamiętywać, ponieważ jej zdolność koncentracji była

znikoma. Postanowiła odłożyć to na później, kiedy na spokojnie sobie to wszystko przemyśli i poukłada w głowie. A do tego czasu nikomu o niczym nie powie.

- Gotowe - oznajmiła Brenna, zawiązując końce prowizorycznego temblaka, przytrzymującego rękę Elphame przy piersi. Kiedy skończyła, przez baldachim z gałęzi sosny spadły pierwsze krople deszczu. - To wszystko, co mogłam zrobić. Teraz musimy zawieźć ją z powrotem do zamku.

- El...

Otworzyła oczy i zobaczyła brata, przykucniętego obok. Włosy miał już lekko wilgotne od deszczu.

Jedną fałdą kiltu zasłonił nagą pierś. Elphame pomyślała, że jej

brat teraz wygląda porywająco, jak wojownik sprzed stuleci, którego imię nosił.

- El - powtórzył i rozpostarł dłonie nad jej głową, pragnąc chronić ją przed deszczem. - Wracamy do zamku. Wiem, że dla ciebie nie będzie to łatwe...

Koło Cuchulainna pojawiła się Brighid.

- Ja ją zawiozę.

- Ale ona nie da rady sama jechać - zaprotestował Cu. - Pojedzie ze mną, na moim koniu.

- Wsiądziecie na mnie oboje. Musisz przecież ją trzymać, bardzo ostrożnie i tym przede wszystkim bę-

dziesz pochłonięty. Nie dasz rady jednocześnie kierować tym swoim wałachem półgłówkiem. Ja to co

innego. Możesz być pewien, że będę bardzo uważać. Na pewno się nie potknę, żeby nie sprawić jej dodatkowego bólu.

Cuchulainn spojrział w górę, na Łowczynię.

- Dasz radę zawieźć nas oboje?

- Oczywiście. Bez problemu.

Niebo znów gniewnie zagrzmiało, coraz więcej kropli deszczu przelatywało przez gałęzie sosny.

- Elphame powinna jak najprędzej znaleźć się w zamku - powiedziała Brenna swoim kategorycznym tonem Uzdrowicielki. - Jedźcie już. Cuchulainnie, pamiętaj, jej nie wolno teraz spać. Mów do niej, bez przerwy.

Cuchulainn skinął głową, odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy swoim ludziom.

- Angus, Brendan, podacie mi ją! Wstał i wskoczył na grzbiet Brighid.

- Teraz! Tylko ostrożnie! Ostrożnie! - huknął, kiedy z ust Elphame, podnoszonej przez obu mężczyzn, wydobył się jęk.

Wsiadanie na Brighid było dla niej męką. Starła się ułatwić zadanie obu mężczyznom, nie być jak kłoda. Ale

taka właśnie była, bezsilna, omdlewająca. Przy każdym, nawet najmniejszym ruchu czuła w boku ogień. W końcu jednak znalazła się na gładkim grzbiecie centaura, otoczona silnymi ramionami brata.

- Gotowi? - spytała Łowczyni, spoglądając na nich przez ramię.

- Tak - odparł Cuchulainn, obejmując siostrę mocniej. Łowczyni ruszyła przed siebie, łagodnym, płynnym

galopem, a w jakimś zakamarku mózgu Elphame zatliła się myśl, że prawdę mówiąc, ona powinna poczuć teraz dreszcz emocji. Przecież po raz pierwszy w życiu jedzie na centaurze. Niestety, nie

czuła żadnego podeksycytowania. Ta jazda była dla niej koszmarem. Każdy krok centaura oznaczał wstrząs

dla rozrywanego bólem ciała. W głowie łupało, żołądek był coraz cięższy. Z boku czuła ciepłą wilgoć,

znak, że krew przesiąka przez mech. Kiedy wyjechali z lasu i wracali do zamku brzegiem klifu, dokładnie tą samą drogą, którą biegła, nie miała już siły siedzieć prosto. Skuliła się, oparła całym ciałem o brata, zdając się całkowicie na niego. On miał zadbać o to, żeby nie spadła.

- Już niedaleko, El. Nie bój się, trzymam cię mocno - szeptał jej Cuchulainn wprost do ucha słowa otuchy, między jednym pytaniem a drugim. Zadawał je nieustannie, pomny polecenia Brenny. Siostra odpowiadała chaotycznie, czasami bez sensu.

- El, opowiadaj, jak będzie wyglądał twój zamek, kiedy skończymy z odbudową.

Półprzytomna El opisała jakieś pokoje, Cu po chwili zorientował się, że opowiada o ich dawnych pokojach, pokojach dzieciennych. Mówiła też o łóżku z materacem ze szpilek sosny pod baldachimem z gigantycznych skrzydeł. Czyli bez sensu, ale on nie przerywał jej,

najważniejsze przecież było, żeby mówiła i mówiła, bo nie wolno jej było zasnąć.

Rozpadało się na dobre. Deszcz zalał pochodnie, teraz drogę co jakiś czas oświetlało tylko światło błyskawic. Cuchulainn w duchu słał wielkie dzięki Brighid, że wzięła ich na swój grzbiet. Było to jedyne rozsądne rozwiązanie. Łowczyni miała rację. Gdyby jechał na swoim wałachu, nie byłby w stanie kierować koniem, trzymając jednocześnie przed sobą bezwładną, półprzytomną siostrę.

Łowczyni wkrótce wyprzedziła resztę jeźdźców, nawet centaurów, którzy dołączyli do nich, kiedy wyruszono na poszukiwanie Elphame. Determinacja Łowczyni była porażająca. W rezultacie Cuchulainn co chwilę kajał się w duchu, że był wobec niej tak niesprawiedliwy. Kiedy ogłosił, że jedzie szukać siostry, Brighid i mała Uzdrowicielka natychmiast do niego dołączyły, jako pierwsze. I tylko dzięki Brighid, która wytropiła Elphame, udało się tak prędko ją odnaleźć.

Cuchulainn przygarnął siostrę do siebie jeszcze mocniej. Teraz był już pewien, że tamto Przeczucie,

jakie miał, zanim wyruszyli w drogę do zamku MacCallana, wcale nie dotyczyło spraw sercowych Elphame ani klątwy, rzuconej na zamek. Nie chodziło o jej ukochanego, jawiącego mu się jak widmo bez twarzy, lecz o coś bardziej przyziemnego. O wypadek, w wyniku którego El odniosła tak poważne obrażenia.

Brighid zwolniła. Dojeżdżali już. Cuchulainn poczuł ogromną ulgę, kiedy w mroku zamajaczyły czarne mury zamku.

- Brighid! Biegnij do kuchni! - zawołał, starając się przekrzyczeć wicher. - Kuchnia jest w najlepszym stanie! Łowczyni skinęła głową i przekłusowała przez puste

odrzwia po bramie w zewnętrznych murach zamku. Jej kopyta zastukały po posadzce głównego dziedzińca, zalanej doszczętnie strugami ulewnego deszczu, przedostającymi się przez dziurawy dach. Kiedy mijali fontannę, niebo przecięła błyskawica, na moment oświetlając swoim niebieskawym światłem posąg w fontannie. Cuchulainn, mimo że wojownik, poczuł się nieswojo.

Dziewczyna z białego marmuru w tym niebieskawym świetle wyglądała upiornie.

Brighid zatrzymała się.

- W kuchni jest ciemno jak w grobowcu, Cuchulain-nie. Może poczekajcie tu z Elphame, a ja pobiegnę

do wozów, przyniosę krzesiwo i pochodnie.

Pomogła mu, przytrzymując razem z nim bezwładną Elphame, kiedy Cuchulainn zeskakiwał na ziemię, a potem ostrożnie zdejmował ją z grzbietu Łowczyni. Ułożył siostrę na posadzce, sam usiadł obok, pod ścianą, i ostrożnie oparł głowę siostry o swoje kolana.

- Zaraz wracam - powiedziała Brighid i rzuciwszy pełne niepokoju spojrzenie na Elphame, wybiegła z dziedzińca.

Cu poczuł, jak głowa Elphame niezacznie się poruszyła, po chwili usłyszał w ciemnościach jej słaby, cichy głos.

- Jak dobrze... Nic już mną nie trzęsie...

- Brenna zaraz tu będzie, El. Jeszcze trochę cierpliwości.

Cuchulainn bardzo chciał w jakiś sposób ulżyć teraz siostrze. Czuł się nieszczęśliwy, kompletnie bezużyteczny, bo i co mógł zrobić? Otrzeć brzegiem kiltu jej twarz i ramiona, mokre od deszczu.

Zrobił to. Co jeszcze? Powinien rozmawiać, miał przecież robić to bez przerwy, żeby Elphame nie zasnęła.

Ale o czym? Nie zdążył wymyślić kolejnego, głupawego

pytania na temat ozdabiania zamku, ponieważ Elphame zaskoczyła go, sama zadając mu pytanie.

- Dlaczego zacząłeś mnie szukać, Cu?

Spojrzał na twarz siostry majaczącą w mroku. Kiedy oświetliła ją błyskawica, zauważył szeroko otwarte oczy, wpatrzone w niego.

- Dlaczego? Po prostu doszedłem do wniosku, że za długo cię nie ma. Zaniepokoiłem się.

Po twarzy Elphame przemknął uśmiech.

- Cu! Nie kręć! Przecież ty niepokoisz się o mnie bez przerwy, od pierwszej chwili, kiedy tylko przyjechaliśmy do zamku MacCallana. Powiedz mi szczerze, dlaczego zacząłeś mnie szukać?

- Szczerze? A więc wcale nie miałem zamiaru cię szukać. Powiedziałem sobie, że niepotrzebnie wyobrażam sobie różne rzeczy i panikuję. Ale nadeszła burza i pomyślałem, że lepiej, żebyś znalazła się już pod dachem. Tak dla świętego spokoju. Wyszedłem przed zamek i zacząłem cię wypatrywać. Pomyślałem sobie też, że co tam burza. Jak wrócisz, zaproponuję ci na dokładkę jeszcze jeden bieg. Pościgamy się, stąd do Loth Tor. A ponieważ ty będziesz już trochę podmęczona, może mój wałach choć raz w życiu będzie miał szansę na zwycięstwo.

Zauważył, jak w mroku błysnęły białe zęby Elphame. Uśmiechnęła się. Cu też uśmiechnął się do siostry.

- I co było dalej, Cu?

- Stałem więc jak kołek koło bramy zamkowej i czekałem. Nagle usłyszałem jakiś hałas, dobiegający z zamku. I o ile mój niepokój o ciebie udawało mi się jakoś zlekceważyć, to tego hałasu nie można było zignorować.

- Dlaczego, Cu?

- Dlatego, że ten ktoś darł się na całe gardło. Wołał mnie po imieniu wyjątkowo głośno... - Cu potrząsnął

głową, przypominając sobie tubalny głos, dobiegający z pustego zamku. Także to, że jemu włos zjeżył się na głowie, nie co dzień przecież człowiek słyszy ducha, tak energicznie domagającego się, by człowiek zwrócił na niego uwagę. - El, niestety, muszę ci powiedzieć, że w tych pogłoskach o twoim zamku jest ziarno prawdy. Co do klątwy, to nie wiem, ale na pewno zamek ten nawiedzany jest przez duchy.

- Cu! - W świetle błyskawicy zauważył, że siostra jest bardzo tym poruszona. - Cu! A więc MacCallan

przemówił też do ciebie?! Też go zobaczyłeś?

Cuchulainn nie wierzył własnym uszom.

- El, czy ty chcesz mi powiedzieć, że on ukazał się tobie, a ty mi o tym nie powiedziałaś?!

- A więc... - Elphame ociągała się z odpowiedzią. Teraz była prawie zadowolona, że jest ranna.

Przynajmniej Cu ze względu na jej stan nie będzie za bardzo szalał. - Cu, przecież znam twoje nastawienie do świata duchów. Nie lubisz ich...

- Nie lubię! - Prawie wrzasnął. El skrzywiła się, więc zmitygował się. Zamknął na moment oczy, zrobił głęboki wdech i dokończył już normalnym głosem: - El, tu nie chodzi o to, czy ja duchy darzę sympatią, czy nie, lecz o wszystko, co wydarzyło się od chwili naszego przyjazdu do tego zamku.

Wiem, że przedtem nigdy nie odczułaś żadnego powiązania z Boginią, żadnego, nawet najlżejszego dotknięcia jej magią. A tu nagle wszystko się zmieniło. Porozumiewasz się z Epo-ną! El, tu działają jakieś siły, których my nie rozumiemy!

Elphame zrobiła ręką bliżej nieokreślony gest, próbowała też pokręcić głową, ale zabolalo i skończyło się tylko na skrzywieniu.

- Przepraszam, El... - zaszeptał brat, wyraźnie skruszony. - Nie chciałem cię zdenerwować. El, przecież ja wcale się na ciebie nie gniewam. Ja...

- Wiem, Cu - powiedziała cicho. - Nie zapominaj jednak, że ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie czuję żadnego lęku przed światem duchów i jestem przekonana, że ani MacCallan, ani Epona nie chcą, żeby

stała nam się jakaś krzywda.

- Oczywiście, że nie - powiedział Cu, brzegiem kiltu ocierając jej z twarzy krew zmieszana z kroplami deszczu. - Nie zapominaj jednak, że tak samo jak dobro istnieje też zło. Także w świecie duchów, a

tam zła nie pokonasz siłą swoich rąk.

- Wiem. Tylko poczuciem honoru, prawdą i siłą woli. Mocne słowa. Cu, spoglądając na siostrę, spowitą

w mrok, uświadomił sobie, jak bardzo się zmieniła. Czuł się z tym nieswojo, ale cóż, wiedział, że musi się pogodzić z tym, że to już nie ta sama El.

Znów rozbłysła błyskawica. W jej świetle zauważył, że Elphame uśmiecha się do niego. Jego siostra, odkąd sięgał pamięcią, to jego najlepszy, najwierniejszy przyjaciel. Czyżby nie kochał jej wystarczająco, by nie przeszkadzać jej w spotkaniu ze swoim przeznaczeniem - nawet jeśli dla niego jej przeznaczenie po części było niejasne?

- El, po prostu obiecaj mi, że jak dojdiesz już do siebie, opowiesz mi dokładnie o swoich konszachtach z duchem, było nie było, duchem naszego przodka, tym bardziej więc jest to dla mnie interesujące.

- Obiecuję, Cu - powiedziała Elphame z wyraźną ulgą. - A tak przy okazji, czy nie zauważyłeś pewnego podobieństwa między sobą a MacCallanem?

- Co?! - Cuchulainn wcale nie sprawiał wrażenia

uszcześliwionego. - A cóż to takiego jest we mnie, co kojarzy ci się ze zramolałym duchem?



- A przypomnij sobie dokładnie, co on ci powiedział.

- Dokładnie? Czekał, niech sobie przypomnę... Już wiem! - Cuchulainn zniżył głos, znakomicie

naśladowując zrzędlawy głos starego ducha: - Cuchulainnie, czy ty masz tylko mięśnie? Rusz głową! Jedź

za siostrą, dziewczyna potrzebuje cię!

Elphame, rozbawiona, zachichotała, skrzywiła się z bólu, znów zachichotała i tak na przemian, póki

na dziedzińcu nie zadudniło. Najpierw zjawiła się Brighid, za nią nadciągnęła reszta jeźdźców i

centaurów. Brenna, jak to Brenna, rozczulająco niezgrabnie zsiadła ze swego wierzchowca,

pomaszerowała do rodzeństwa i zmierzyła Cuchulainna bardzo surowym wzrokiem.

- Prosiłam, Cuchulainnie, żebyś z nią rozmawiał! A nie doprowadzał do histerycznego śmiechu!

Lochlan, wypatrując przez strugi ulewnego deszczu, obserwował całą trójkę. Widział, jak Brighid

doniosła na swoim grzbiecie bezpiecznie siostrę i brata do zamku, jak wjechała w zamkową bramę. Po

jakimś czasie do zamku wróciła grupa jeźdźców i centaurów, biorących udział w poszukiwaniu

Elphame. To byli ci, których Łowczyńni wyprzedziła z taką łatwością.

Obserwował uważnie wszystko, co działo się dalej tej ponurej nocy, do swojej kryjówki powrócił

dopiero następnego ranka, kiedy zobaczył, jak Elphame, podtrzymywana przez brata, sztywnym

krokiem wychodzi z zamku i idzie do namiotu, pospiesznie rozstawionego przez robotników już o

brzasku. Wtedy to Lochlan mimo woli uśmiechnął się. Domyślał się, że Elphame byłaby ogromnie

niezadowolona, gdyby zawieziono ją do wioski, gdzie

pielęgnowano by ją jak delikatny kwiatek. Na pewno musiała stoczyć walkę z bratem. Bystry wzrok

Lochlana odszukał twarz Cuchulainna. Minę miał wielce niezadowoloną, czyli wszystko jasne.

Wojownik wolałby, żeby jego siostra dochodziła do siebie w wiosce. Czy on nie rozumie, że jego

siostra czerpie siły z każdego kamienia w tym zamku?

Może i nie rozumie, ale nie wolno go osądzać zbyt surowo. Cuchulainn bardzo kocha swoją siostrę,

jest nadzwyczajnym bratem, robi wszystko, by uchronić ją przed złem.

Szkoda, że Cuchulainn, brat Elphame, nie jest jego sojusznikiem.

Daleko na północ od zamku MacCallana, Keir uniósł swoją jasną głowę. Jakby wietrzył, chociaż to właśnie wcale teraz nie było potrzebne. Nie chodziło przecież o odczucia fizyczne, lecz o duchową więź, tę niewidzialną nić, która leżała rozwinięta u jego stóp.

- Tak... - Jego głos był jak syk, syk triumfujący. - Lochlan poszedł tędy.

Skrzydła Fallon, stojącej obok niego, zadrżały z podniecenia. Ona też wpatrywała się w wąską ścieżkę, co jakiś czas znikającą między drzewami i zaroślami. Prowadzącą daleko w góry.

- Jesteś pewien? - spytała drżącym głosem, jakby jeszcze nie śmiała w to uwierzyć. - Przeszukaliśmy przecież przedtem całą tę okolicę i nie znaleźliśmy ani jednego śladu.

- Ale teraz go wyczuwam. Lochlan od dawna jest z dala od nas, nie jest już taki czujny. A ja nieraz mówiłem, że ta jego obsesja czyni go słabym. Mamy na to dowód. Odpręża się, pozwala myślom płynąć swobodnie.

Dlatego go wyczuwam. Ty też możesz go wyczuć, Fallon. O ile się skupisz!

Ostatnie zdanie prawie wykrzyczał, ale Fallon zmusiła się do opanowania. Nie wolno teraz było kulić

się ze strachu, bo to rozgniewałoby go jeszcze bardziej. A wybuchy gniewu Keira, jej męża, były bardzo niebezpieczne. Keir był coraz bliżej granicy, po przekroczeniu której gniew ogarniał go bez żadnego powodu. Szaleństwo w jego krwi było aż nadto wyczuwalne, czekało tylko, kiedy Keir się podda i przestanie walczyć o swoje człowieczeństwo. Da się zawładnąć całkowicie mrocznemu dziedzictwu po ojcu demonie. Obłąd czaił się w nim, Fallon widziała go w oczach Keira, jak plamy ropy na wodzie. Im dłużej nie było Lochlana, tym więcej było w nim dzikości, jakby nieobecność

Lochlana stopniowo odbierała mu tę ludzką część osobowości. I był to jeszcze jeden powód, dlaczego

z taką desperacją szukali Lochlana i Bogini z jego snów, Bogini z kopytami.

Fallon zamknęła oczy, starając się zignorować ból, atakujący jej mózg. Jednocześnie próbując poskromić swój własny gniew. Gniew na Lochlana, który uparł się, że zrobi to sam. Dlaczego? Jego wyprawa, jego poszukiwania są niezwykle ważne dla wszystkich, nie tylko dla niego. Jeden błąd - i wszyscy będą już nieodwracalnie skazani na poddanie się szaleństwu, które żyje w ich krwi. Keir chyba ma rację. Ta obsesja Lochlana na punkcie jego snów jest zbyt wielka, żeby mu ufać.

Ale to przecież Lochlan... Fallon z ogromnym wysiłkiem udało się wyciszyć niespokojne myśli. Zamknęła oczy i przywołała pod powieki obraz kojący. Szare oczy Lochlana, tak pogodne, o ciepłym, pełnym wyrozumiałości spojrzeniu.

Wyczuła go, tak jak Keir. Czyli nie było wątpliwości. Mają iść przed siebie, tą właśnie ścieżką. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do swojego towarzysza życia.

- Wyczuwam go!

Czarne oczy Keira rozbliły. Bardzo zadowolony z tego, co usłyszał, skinął głową.

- Trzeba jak najszybciej powiedzieć o tym reszcie!

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

Kiedy nad wysokimi sosnami pokazało się słońce, Brenna oznajmiła, że Elphame wolno już pospać.

- Ale przedtem wypij to - powiedziała, przytykając kubek do ust Elphame.

Herbata była gorąca i bardzo mocna. Elphame czuła smak miodu i mięty. Wypiła posłusznie i jej powieki prawie natychmiast zrobiły się nienaturalnie ciężkie. Nienaturalnie ciężkie, a to bardzo Elphame się nie spodobało.

- Nie musisz mnie niczym odurzać, Brenno - powiedziała z naciskiem. - I tak jestem wystarczająco zmęczona.

Cuchulainn zaczesał w tył grube pasmo gęsych włosów siostry, opadające na jej bladą twarz.

- Nie denerwuj się, Elphame. Brenna wie, co robi. Śpij.

Elphame na próżno starała się skupić wzrok i myśli na bracie. Pograżała się już we śnie, zdążyła

jednak jeszcze zauważyć, że Cuchulainn wygląda bardzo mizernie. Ma sińce pod oczami, a oczy smutne.

- Też powinieneś się przespać - powiedziała już sennym głosem.

- Masz rację, zaraz się położę. A ty już śpij, El. Elphame westchnęła i zamknęła oczy, zapadając w sen.

Cuchulainn opadł na krzesło, ustawione przy łóżku

siostry. Potarł skronie, pokręcił głową, żeby rozluźnić zeszywniały kark.

- Ona ma rację, ty też powinieneś odpocząć - odezwała się półgłosem Uzdrowicielka, zajęta wygładzaniem prześcieradeł wokół nieruchomej już postaci Elphame. Cuchulainn od razu zauważył, że głos Brenny znów przycichł, złagodniał, wcale nie przypominał donośnego głosu, jakim ta sama kobieta jeszcze przed chwilą wydawała wszystkim polecenia.

Siedział i patrzył, jak Brenna sprząta ze stołu różnego rodzaju zioła, z których przetem brała po szczypcie i dosypywała do herbaty dla jego siostry. Już sam fakt, że przyjaźń między El i Brenną się umacniała, sprawiał, że myślał o Uzdrowicielce z wielką życzliwością. Do tego dochodził szacunek, coraz większy, kiedy widział, jak umiejętnie Brenna zajmuje się niedomagającą El. A poza tym, szczerze mówiąc, ta niewielka osoba zaczynała go po prostu fascynować. Nieśmiała, pokrzywdzona przez los osóbką, która budziła w nim instynkt opiekuńczy, i która potrafiła również bardzo pewnym, podniesionym

głosem wydawać polecenia, czym przypominała Cu jego zawsze konkretną, bardzo racjonalną matkę. Jednym słowem, po raz pierwszy miał przyjemność poznać istotę tak złożoną.

W namiocie panował półmrok, tylko jedna świeczka migotała na stoliku koło łóżka. Jak zwykle Brenna ubrana była skromnie, zakryta aż po szyję. Cuchulainn był przyzwyczajony do widoku kobiecych piersi. Kobiety z Partholonu tradycyjnie odsłaniały tyle, na ile miały ochotę. Nawet jego siostra, która od pasa w dół zwykle bardzo starannie zasłaniała się przed oczami ciekawskich, tors często owijała przezroczystym jedwabiem, dzięki czemu niewiele z tych partii ciała pozostawało

tajemnicą. Natomiast Brenna, niewątpliwie osobowość niezwykła, zawsze wyróżniała się również strojem, wyjątkowo skromnym, zwłaszcza u tak młodej kobiety. Cu domyślał się, że Brennie zależy pewnie na ukryciu blizn, ale o tych bliznach pomyślał tylko przelotnie. Tak naprawdę miał wielką ochotę zobaczyć, co kryje się pod skromną suknią Brenny, niezależnie od tych blizn. Chciał zobaczyć ją, chciał zobaczyć kobietę.

Spojrzenie Cuchulainna spoczęło na dłoniach Brenny, ładnych, szczupłych, koloru kości słoniowej. Brenna czuła na sobie jego wzrok, pod tym względem miała przecież ogromne doświadczenie. Od tego rodzaju spojrzeń wszystko w niej się przewracało. Oczywiście, kiedy potrzebowano

Uzdrowicielki, jej blizny stawały się nieistotne. Ale kiedy leczenie obrażeń, choroba czy poród miały, Brenna z Uzdrowicielki znów zmieniała się wyłącznie w Kobietę Pokrytą Bliznami. Te spojrzenia

wcale nie były wrogie czy szydercze, nie. Chodziło o to, że ludzie widzieli tylko blizny, nic poza tym.

Nie dostrzegali w niej człowieka, nie dostrzegali kobiety. Zwłaszcza tacy piękni

mężczyźni jak Cuchulainn. Oni widzieli tylko spustoszenie na jej ciele, jakiego dokonał ogień.

Cuchulainn był wobec niej bardzo miły. Brenna, oczywiście, nie miała żadnych złudzeń. Brat był

bardzo oddany siostrze, którą leczyła. Stąd jego życzliwość. Taka była naga prawda, a przekonać się o tym było bardzo łatwo, wystarczy teraz na niego spojrzeć...

Westchnęła, ale podniosła głowę znad ziół i napotkała wzrok Cuchulainna. Zwykle w takich sytuacjach odruchowo przekręcała głowę, kryjąc zeszpeconą połowę twarzy, albo pochylała głowę, chowając się za swoimi włosami. Teraz było to niemożliwe. Cuchulainn siedział bardzo blisko, a poza

tym ona, zanim zaczęła zmieniać opatrunki na ranach Elphame, odgarnęła włosy w tył. Twarz miała więc całkowicie odsłoniętą, jej blizny były doskonale widoczne.

Była pewna, że Cuchulainn patrzy na nią tak jak wszyscy, zafascynowany, a jednocześnie z odrazą. A

Cuchulainn czuł, że po prostu się rumieni. Brenna spojrzała na niego w chwili, kiedy gapił się na nią, jak jakiś rozpalony młodzik. Zakłopotany, potarł ręką twarz i zerwał się z krzesła.

- Spać, no tak - wymamrotał, czując się jak skończony głupek. - Powiniennem się przespać.

Brenna nie odzywała się, tylko patrzyła na niego swoim jasnym, otwartym spojrzeniem. On patrzył na nią i jakoś wcale nie chciało mu się przestać patrzeć w jej łagodne, brązowe oczy.

- Będę czuwać przy Elphame - powiedziała po chwili. - Jeśli się obudzi, dam jej jeszcze tej herbaty.

Teraz powinna spać jak najdłużej.

- Ale ty... ty nie jesteś zmęczona?

Czy to jego głos? Taki niepewny? Gdzie podział się

jego słynny czar i wdzięk? I tupet? Jak tak dalej pójdzie, skończy się na tym, że rozmawiając z Brenną, będzie się jąkał i będą pocić mu się dłonie.

- Nie. Nie jestem. Spełniam swoje zadanie, zostałam obdarowana umiej ętnością opiekowania się rannymi.

- Tak, tak. Oczywiście...

Brenna przechyliła nieco głowę, spojrzała na niego uważniej. Co się dzieje? Czyżby Cuchulainn nie wierzył w jej umiejętności?

- Możesz mi zaufać, Cuchulainnie. Zaskoczenie w jego oczach na pewno nie było udawane.

- Ależ ja ci ufam, Brenno! - Odchrząknął, wyraźnie zakłopotany. - Pójdę już. Zdrzemnę się, ale tylko chwilę. Wrócę tu niebawem.

Wstał, podszedł do płachty u wejścia do namiotu i odsuwając ją na bok, spojrzał jeszcze raz przez ramię na Brennę.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek ci się odwdzięczę za to, co robisz dla mojej siostry. Dziękuję ci, Brenno.

Uśmiechnął się i pochyliwszy głowę, wyszedł z namiotu.

Brenna przez dłuższą jeszcze chwilę stała nieruchomo, zastanawiając się nad nietypowym zachowaniem zwykle tak pewnego siebie wojownika. Chociaż nietrudno było to wytłumaczyć.

Cuchulainn, wstrząśnięty wypadkiem Elphame, nie jest teraz sobą. Może i tak, ale co oznaczał ten dziwny wyraz twarzy, kiedy patrzył na nią, na Brennę? Potem wyraźnie się zarumienił. Dlaczego?

Nagle Brenna poczuła, że jej policzki wyraźnie robią się cieplejsze. Nie, nie, to niemożliwe!

Niemożliwe, żeby Cuchulainn przyglądał jej się w taki sposób, w jaki mężczyźni przyglądają się kobietom! Niemożliwe, a oczy

błyszczały mu, bo się podziękował, wracali przecież do zamku w ulewnym deszczu. Dlatego też jego policzki pokrył rumieniec. Kiedy wróci, po tej drzemce, trzeba będzie zainteresować się stanem zdrowia wojownika.

Usiadła wygodnie na krześle, na którym przed chwilą siedział Cuchulainn. Pochyliła się, chwyciła za pasek swojej torby - torby Uzdrowicielki - i przysunęła ją do siebie. Zaczęła w niej szperać, po chwili wyjęła z niej kartkę papieru i węgiel do rysowania. Miała za sobą długi, męczący dzień, a przed sobą

długie godziny czuwania. Czas szybciej minie, jeśli będzie miała zajęcie. Nie pozwoli jej zasnąć, poza tym uspokoi, a Brenna teraz, niewiadomo dlaczego, czuła się dziwnie podenerwowana, kompletnie

wytrącona z równowagi.

Węgiel przesuwiał się po białej kartce, kreśląc miękkie, pewne linie, kiedy Brenna odpływała gdzieś myślami. Była nieświadoma, że jej ręka sama rysuje to, co podpowiada podświadomość - przystojną twarz Cuchulainna.

Elphame we śnie poczuła się kołysana, leżała w czymś bardzo miękkim, ciepłym, czymś, co rozpoznała bez trudu. To skrzydła, pomyślał jej śpiący umysł, oczywiście skrzydła Lochlana, i natychmiast przez jej uśpione ciało przebiegł bardzo przyjemny dreszcz. W tym swoim śnie czuła na sobie delikatny dotyk jego palców. Tym razem jednak Lochlan nie opatrywał jej ran, tym razem pieścił jej ciało. A w niej narastało pożądanie, już otwierała się ku niemu... gdy nagle usłyszała znajomy głos, który jak kubeł zimnej wody w jednej sekundzie ostudził jej rozpalone zmysły. Głos Matki.

- Ale ona jest ranna! Muszę do niej jechać!

- Nie, Umiłowana. Ona musi nauczyć się sama żyć, bez ciebie. Musi dorosnąć.

Elphame, całkowicie dezorientowana, próbowała otworzyć oczy, ale odurzone ziołami ciało nie

słuchało jej. Kazało zostać w mglistym królestwie snów, wśród chmur, wirujących wokół, jak jej na wpół sprecyzowane myśli. Była w stanie tak do końca zdefiniować tylko głosy. Głos Matki i ten drugi, głos innej kobiety.

- Ona jest moją córką. Muszę do niej jechać.

- Ona nie jest już dzieckiem, Umiłowana.

- Co nie znaczy, że przestała być moją córką! Matka była zirytowana, w jej przypadku to wielka rzadkość. Kłóciła się z tą drugą kobietą jak uparte dziecko.

- Oczywiście, Umiłowana. Ona zawsze będzie twoją córką, ale musi dorosnąć, stać się kobietą, zmierzyć się ze swoją przyszłością. A nie zrobi tego, jeśli ty nadal będziesz ją chronić przed przeciwnościami losu.

- Ale ona...

- Czy ty ufasz jej, Umiłowana?

Elphame we śnie wstrzymała oddech, czekając w napięciu na odpowiedź Matki.

- Tak. Ufam jej.

- W takim razie musisz dać jej wolną rękę, by mogła spotkać się ze swoim przeznaczeniem. A twoim przeznaczeniem, Umiłowana, jest ufać swojej córce. Tak samo jak mnie. Uwierzyć, że będę nad nią czuwać.

Nagle do Elphame dotarło, kim jest ta druga kobieta. Epona! Czyżby teraz słuchała rozmowy Matki z Boginią? Naprawdę, czy dalej śni?

Słyszała, jak Matka zrobiła długi, drżący wdech.

- Kiedy była malutka, łatwiej było być jej matką. Śmiech Bogini rozsypał się skrzącym srebrem po śnieżnobiałych chmurach.

- A czy mogę jej przynajmniej posłać wino, pościel

z cienkiego płótna? Przecież ona żyje tam w barbarzyńskich warunkach.



- Oczywiście, Umiłowana...

Głosy ucichły, wirujące chmury pociemniały. Usta śpiącej Elphame zadrżały, ułożyły się do uśmiechu. Cała mama! Wierzy, że dobre wino i drogie, cienkie płótno zagoi każdą ranę...

Lochlan, pogrążony we śnie, poczuł, jak dotyka go Elphame. Wyciągnął do niej rękę, też jej dotknął. Nie widział jej, ale wyczuwał pod palcami miękką, aksamitną skórę i w swoim śnie otulał Elphame skrzydłami.

Potem przestał ją wyczuwać. Poruszył się niespokojnie, na próżno starając się nie wybijać ze snu, ale zmęczenie po długim dniu wpływało negatywnie na jego koncentrację. Elphame wymykała mu się, znikająca, jak piasek wysypujący się ze zbyt luźno wpleczonego koszyka..

Obudził się i spojrział w mrok jaskini. Jego pożądanie było teraz czymś jedynym namacalnym, siłą, która rosła w nim przez ćwierćwiecze. Oddychał głęboko. Na rękach trwał zapach jej krwi. Kiedy skrzydła zaczęły drżeć z pożądania, tym razem nie próbował ich uspokoić, nie walczył z ciemnością, z

bólem, który zaczął świdrować jego mózg. Tym razem zapomniał o swoim bezwzględny panowaniu nad emocjami. Jego ciało stwardniało z pożądania. Zamknął oczy i sam dał sobie rozkosz, pieszcząc się palcami, jednocześnie przywołując pod powiekami obraz Elphame. Nie takiej, jak minionej nocy, poranionej i wystraszonej, lecz takiej, jaką widział tamtego ranka, gdy obwieszczała swoim ludziom, że zamek MacCallana jest jej zanikiem. Elphame pięknej i radosnej, emanującej siłą.

Kiedy rozkosz minęła, otworzył oczy i natychmiast wyczuł zapach krwi. Swojej krwi. Palce u jednej z

dłoni piekły. Przekręcił głowę, żeby sprawdzić, co z nimi się stało. Już wiedział. W chwili największej rozkoszy drapał paznokciami skałę tak mocno, że wyżłobił w niej krwawe ścieżki.

Skulił obolałą dłoń, skulił się cały, czując największą rozpacz. Czy kiedykolwiek będzie mu wolno z nią się kochać? Nie zauważył, że podrapał skałę. A gdyby to była Elphame? Rozorałby paznokciami jej ciało, nie zdając sobie z tego sprawy!

Elphame, która była Wcieleniem Bogini, temu nie mógł zaprzeczyć. A Przepowiednia, przekazana mu

przez matkę, głosiła, że tylko krew umierającej Bogini ocali jego i jego pobratymców od szaleństwa, mrocznego dziedzictwa po ojcach Fomorianach.

Lochlan będzie musiał ją zabić. Zabić Elphame.

Zacisnął mocno szczęki. Nie! Musi być jakaś inna droga, musi!

Epono, błagam, nie pozwól, żebym ją skrzywdził. Prędzej sam umrę!

Przekręcił się na bok, podkulił nogi i starał się odpędzić od siebie strach i osamotnienie, przywołując w pamięci spojrzenie Elphame, pełne życzliwości. Nie patrzyła na niego jak na uosobienie wszelkiego

zła. Widziała w nim człowieka, a nie Fomorianina.

Zbyt długo jest sam... Samotność doskwierała. Zamknął oczy i pomyślał o tych, którzy zostali na Pustkowie. Jak dają sobie radę? Jest początek wiosny, powinni teraz siać, sadzić, by podczas długiej zimy mieć czym napęłnić żołądki. Powinni zacząć łowić i wędzić ryby, a kiedy śnieg stopnieje, wyruszyć w

góry, żeby schwytać dzikie kozy, którymi uzupełnia się stada udomowionych

kóz. Życie na Pustkowie nie jest łatwe, trzeba wiele zrobić, by przetrwać.

Wiedział, że podczas jego nieobecności przewodzić ludźmi będzie Keir. Ambitny Keir zawsze tego pragnął, siły i władzy. Cała nadzieja w Fallon. Oby udało jej się pomóc mu rządzić mądrze i trzymać na wodzy mroczne instynkty, które w przypadku Keira zbyt często zbliżały się do niebezpiecznej granicy.

Otworzył oczy, przerażony. Co on wyrabia? Jak mógł tak się zapomnieć?! Natychmiast wyciszył swoje myśli o domu, o swoich ludziach. Pogasły, jak ogień zalany wodą. Było to konieczne, zdawał sobie przecież sprawę, jak niebezpieczne są teraz tego rodzaju rozmyślania. Psychiczna więź, jaka łączy go z jego pobratymcami, jeszcze jeden spadek po Fomorianach, była niezwykle silna.

Rozmyślanie o nich jeszcze ją umacnia, u obu stron, do tego stopnia, że może skłonić jego ludzi do wyruszenia w drogę jego śladem. Gdyby odnaleźli ścieżkę przez niedostępne Góry Trier, prowadzącą

do Partholonu, gdyby wysledzili Lochlana - byłoby to fatalne. Przez ludzi z zamku MacCallana oni,

hybrydy skrzydlatych ludzi, podobnych do Fomorian, byłiby postrzegani tylko w jeden sposób. Jako najeźdźcy. I to prawda, byłiby najeźdźcami, pomyślał z goryczą Lochlan. Przecież ich cel byłby jasny.

Pojmać Elphame i spełnić Przepowiednię.

Dlatego nie wolno o nich myśleć, tylko o Elphame. Ojej urodzie, ojej sile. O tym, że musi znaleźć się jakiś sposób, by ocalić jego ludzi. I zdobyć dla siebie Elphame.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

- To już piąty dzień! Jeśli mnie stąd nie wypuścicie, oszaleję! - perorowała Elphame, nie dopuszczając brata do głosu. - Tylko mi nie mów, że moje rany są bardzo poważne! Ja sama wiem o tym najlepiej.

W boku piecze, jakby pogryzły mnie setki mrówek, boli mnie ramię i piąty dzień z rzędu rozsadza mi głowę. Ale powtarzam, muszę wyjść z tego namiotu i pójść gdzieś dalej, a nie wysiadywać tuż przed namiotem!

Płachta u wejścia do namiotu uniosła się, do środka weszła Brenna z tacą. Na tacy leżały czyste bandaże i stał kubek z parującymi ziółkami.

- Och, nie! - jęknęła Elphame. - Nie wypiję już ani

łyka tej usypiającej trucizny. Jestem zmęczona spaniem, zmęczona leżeniem w łóżku, zmęczona tym namiotem. A przede wszystkim jestem zmęczona swoim własnym zapachem!

Brenna spojrzała na Cuchulainna. Znekany podniósł obie ręce na znak, że się poddaje i odwróciwszy się od swojej rozczochranej, sfrustrowanej siostry, zaczął wyraźnie przesuwać się ku wyjściu, mówiąc

po drodze:

- Brenno, ty jesteś Uzdrowicielką i ty podejmujesz decyzję.

Obie kobiety spojrzały na niego identycznie. Posępnie.

- I pomyśleć, że dziewczęta prawie mdleją na jego widok! - wykrzyknęła oburzona Elphame. - Bo on podobno jest taki odważny!

- Ale te dziewczęta to nie moja siostra! Moja siostra, kiedy jest chora, jest okropna! Dlatego ja

umywasz ręce i zostawiasz ją tobie, Brenno. Błagając cię o wybaczenie!

Uśmiechnął się do siostry, której oczy miały teraz błyskawice, skłonił się szarmancko Brennie, dodając jeszcze:

- Pokorny sługa...

I znikł za płachtą u wejścia namiotu.

- On nigdy nie da mi spokoju! Nigdy! Bez przerwy mnie się czepia... - zajęczała znów Elphame i z obrzydzeniem odgarnęła z czoła długie, tłuste pasmo brudnych włosów. - To straszne! Brenno, ja po prostu śmierdzę!

Po czym odruchowo podrapała się po bandażu na ranie z boku.

- Ale pod jednym względem ma rację. Zachowuję się okropnie.

Brenna uśmiechnęła się.

- Wcale nie, jesteś tylko znudzona tym leżeniem, czemu się nie dziwię. Dobrze, że się buntujesz.

Gdybyś

była potulna jak owieczka, wtedy naprawdę zacząłabym się martwić o twoją głowę.

- Dzięki... - Elphame, oczywiście, podrapała się po głowie. - Ale jakoś to za mało, żeby poprawić mi humor.

- A kąpiel? Poprawi ci humor? Oczywiście Elphame rozbłysły.

- Oczywiście! Na Boginię, kochaną i słodką! Pewnie, że poprawi!

Szybko zsunęła obie nogi z łóżka, wstała i natychmiast zakręciło jej się w głowie.

- Tylko spokojnie - powiedziała Brenna, biorąc ją szybko pod łokieć zręcznym ruchem doświadczonej

Uzdrowicielki. - Nie wolno ci robić gwałtownych ruchów. A teraz oddychaj, oddychaj głęboko.

Elphame kilkakrotnie nabrała głęboko powietrza i w głowie przestało się jej kręcić.

- Już lepiej? - spytała Brenna.

- Tak, już całkiem dobrze... - Elphame zerknęła nieśmiało na Brennę. - Ale kąpiel nadal jest

aktualna?

- Oczywiście. Dziś, ale później. Wieczorem.

- Ale...

Brenna podniosła rękę, nakazując jej milczenie.

- Później, bo przedtem będzie niespodzianka. I pamiętaj, nie wolno się kłócić ze swoją Uzdrowicielką!

- Dobrze, nie kłócę się... - Elphame zerknęła teraz na tacę, którą Brenna postawiła na stole. - Gotowa jestem wypić podwójną porcję twojej okropnej trucizny, byle szybciej znaleźć się w wodzie i wreszcie

być czysta!

Brenna zaśmiała się.

- Teraz jesteś prawie tak samo dramatyczna jak twój brat! A jeśli chodzi o te ziółka, które teraz przyniosłam, możesz wypić bez obaw. To tylko napar z kory wierzby, pomaga na ból głowy.

Elphame, czując niewysłowioną ulgę, przysiadła na brzegu łóżka, wzięła kubek i zaczęła popijać nieszkodliwą, jak się okazało, herbatkę.

- Jak wypijesz, możemy się przejść. Co ty na to? - spytała Brenna niewinnym głosem, jakby nie wiedziała, jaka będzie reakcja Elphame.

- Wyjdziemy na dwór?!

- Oczywiście! Wyjdziemy na dwór. Elphame znów łyknęła herbaty.

- Jesteś cudowna, Brenno.

- Naprawdę? Czyli już nie jestem strażnikiem więziennym, który poi cię trucizną?

- O, nie! - Elphame aż skuliła się. - Słyszałaś?

- Tak, przypadkiem. Ale... - Brenna dygnęła, jej oczy się śmiały. - Wiem, że milady starała się wyrazić jak najbardziej oględnie.

- Och, nie... - jęknęła znów Elphame, jeszcze bardziej rozpaczliwie. - Wiem, wiem, zachowuję się okropnie.

- Owszem - przytaknęła zgodnie Brenna, uśmiechając się od ucha do ucha. - Okropnie.

Elphame dopiła herbatę i wstała, powoli i ostrożnie, tak jak zaleciła Uzdrowicielka. Brenna powiesiła sobie na ramieniu torbę Uzdrowicielki i delikatnie wzięła Elphame pod rękę.

- Wolisz nie wypuszczać mnie z rąk? - spytała Elphame.

- Tak, tak wolę.

Obie zaśmiały się i powoli wyszły z namiotu. Przeszły kilka kroków, Brenna zatrzymała się i kazała

Elphame postać chwilę, żeby jej oczy przyzwyczyły się do blasku słońca. A potem poprowadziła ją

w lewo, w stronę lasu, który otaczał zamek od strony południowej.

Elphame odchrząknęła.

- Ty wiesz, Brenno, że nie lubię się skarżyć... Brwi Brenny przemieściły się nieco w górę, w milczącym sarkazmie.

- ...ale miałam cichą nadzieję, że przejdziemy się do zamku. Nie było mnie tam przez pięć dni i jestem trochę ciekawa, co się dzieje.

- Pójdiesz do zamku. Wieczorem.

- Nie teraz?

- Nie, teraz nie - oznajmiła Brenna, uśmiechając się tajemniczo. - Teraz pójdziemy do lasu.

Wydawało mi się, że lubisz las.

- Oczywiście! - zapewniła ją Elphame. Las... przecież w lesie jest on!

- To dobrze. Na skraju lasu widziałam kilka gładkich kamieni. Usiądziesz sobie wygodnie, stamtąd jest bardzo ładny widok i na zamek, i na morze. Posiedzimy sobie na słoneczku, ty odprężysz się, a ja popracuję nad wzorami gobelinów.

- Brzmi zachęcająco - powiedziała Elphame i uśmiechnęła się do Brenny, uśmiechem raczej nieobecny, ponieważ myślami była już gdzie indziej.

Idą na skraj lasu, a gdzieś w tym lesie czeka Lochlan. Czy naprawdę? Elphame chyba po raz tysięczny

przekląła swoją zawodną pamięć, która nie zarejestrowała wszystkiego. Co do jednego była pewna.

Lochlan nie jest wytworem jej wyobraźni. Istnieje. Zabił wielkiego dzika, wniósł ją po zboczu jaru i opatrzył ranę. Potem otulił swoim ciepłem. To wszystko pamiętała, choć jak przez mgłę, była przecież

wtedy wystraszona i obolała. Natomiast z ich rozmowy zapamiętała tylko fragmenty.

Powiedział jej, że zna ją ze swoich snów.

Powiedział, że będzie na nią czekał.

Przyznał się, że jego ojciec był Fomorianinem.

Fomorianin... Nagle w pamięci ożyła dramatyczna scena. Lochlan z rozłożonymi skrzydłami, jego przystojna twarz wykrzywiona, jak maska zła, w ręku krótki miecz, tym mieczem podrzyna gardło nacierającemu dzikowi...

Było piękne popołudnie, bardzo ciepłe, mimo to Elphame poczuła na plecach zimny dreszcz.

Natychmiast też poczuła na sobie wzrok Brenny. Dlatego, żeby uspić jej czujność, powiedziała szybko:

- Wszystko w porządku. Przypomniał mi się ten wypadek.

Spojrzenie Uzdrowicielki natychmiast złagodniało.

- Brigid mówiła, że to był ogromny dzik. I ty musiałaś stoczyć z nim walkę! Wolę o tym nie myśleć.

- Ja... szczerze mówiąc, chyba jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałam - odparła Elphame wymijająco,

życząc sobie z całego serca, żeby Brenna zmieniła temat.

- Dzięki Eponie przeżyłaś, Elphame. Nie chciałam wspominać o tym w obecności twojego brata, ale zauważyłam, że sypiasz bardzo niespokojnie, co wcale mnie nie dziwi. Po takich przeżyciach!

Elphame napotkała pełen współczucia wzrok Brenny i szybko odwróciła głowę. Gdyby Brenna wiedziała, że we śnie nie dręczą jej żadne koszmary, tylko...

Czuła, że oblewa się rumieńcem.

- Nie ma się czego wstydzić, Elphame - powiedziała Brenna, delikatnie ściskając ją za ramię. - Jeśli te sny cię męczą, dam ci coś mocniejszego na sen, chociaż, szczerze mówiąc, wolałabym tego nie

robić.

- I nie trzeba! - zaprotestowała Elphame, czując wyrzuty sumienia, kiedy usłyszała w głosie przyjaciółki niepokój. - Te sny wcale nie są takie straszne. - Uff! Przynajmniej to nie było kłamstwem.

Jej sny w ciągu tych

pięciu nocy wcale nie były straszne, były cudowne.

- A mój niespokojny sen spowodowany jest tym, że nie jestem przyzwyczajona do bezczynności. To się zmieni, kiedy wrócę do normalnego trybu życia.

- Wrócisz niebawem. Twoje rany goją się nadzwyczaj szybko. Co zakrawa prawie na cud.

Elphame zrobiła znaczącą minę.

- Tylko proszę, nikomu o tym nie mów!

- Oczywiście, że nie. Uzdrowicielka nikomu nie wyjawia swoich sekretów.

- Co za ulga! Sama rozumiesz, że nie chcę, żeby ludzie z powrotem zaczęli traktować mnie jak Boginię, kogoś, kogo stawia się na piedestale.

- Rozumiem, Elphame - powiedziała cicho Brenna.

- Rozumiem to doskonale. Niełatwo jest żyć, kiedy jest się innym niż wszyscy.

Tym razem Elphame nie miała żadnego problemu ze spojrzeniem Brennie prosto oczy.

- Tak. Niełatwo.

Szły dalej w stronę lasu, każda pogrążona w swoich myślach. Elphame popatrywała na prawo i na lewo, zdumiona, ile tu już zrobiono. Wykarczowano drzewa i zarośla pod murami zamku, teraz wzdłuż murów ciągnął się tylko szeroki pas starannie skoszonej trawy o szerokości kilkuset kroków, tę szerokość Cuchulainn uznał za konieczną ze względów bezpieczeństwa. Pozostawiono tylko kępy starannie przyciętych dereni przy drodze do lasu, Elphame zauważyła też, że Cu zostawił przy życiu kilkanaście krzewów jeżyn, które ze swoimi szaleńczo spletanymi pędami stanowiły wielki kontrast do uporządkowanego otoczenia. W sumie wykonano kawał dobrej roboty i zrobiono to z sercem, za



co

Cuchulainnowi i mężczyznom należała się wielka

pochwała i podziękowanie. I to Elphame miała zamiar uczynić przy pierwszej sposobności.

Rano popadało, nasycony wilgocią i ciepłem popołudniowego słońca las wyglądał przepięknie, jakby

umyla go i ogrzała sama Bogini. Ale nie weszły tam. Brenna zaprowadziła Elphame pod wysokie sosny na skraju lasu, gdzie leżał wysoki stos dużych gładkich kamieni różnej wielkości.

- Usiądź tu sobie, Elphame. O, tam. Oprzyj się wygodnie o ten duży głaz. I spójrz na zamek. Widok stąd jest przepiękny.

El, mając na uwadze nadal bardzo wrażliwą ranę z boku, siadała bardzo ostrożnie, powolutku i oparła

się

o gładki duży kamień, który okazał się wyjątkowo wygodnym oparciem. Brenna natomiast podwinęła spódnicę i ze zręcznością umykającej myszy wspięła się na jeden z największych kamieni z wystającą uniesioną krawędzią. Tam Brenna położyła swój szkicownik, prawie jak na sztalugach. Potem rozsiadła się i zaczęła szperać w swojej przepastnej torbie. Najpierw wyjęła z niej kilka węgli do rysowania, potem, po chwili zastanowienia, trochę sflaczały bukłak i rzuciła go Elphame.

- Myślę, że czujesz się już wystarczająco dobrze

i możesz wypić sobie łyczek czerwonego wina.

- Oczywiście! Wreszcie jakaś miła odmiana po twoich ziołowych herbatkach - mruknęła Elphame i zachwycona przytknęła bukłak do ust.

- Nie marudź - sarknęła Brenna. - Te herbatki pomagają ci odzyskać zdrowie. Ciesz się słońcem i podziwiaj piękny widok, a ja popracuję. Muszę coś tam poprawić, chodzi o wieżę, potem pokażę ci ten szkic.

- Dobrze. Zrobię dokładnie, co każesz.

Elphame wcale nie czuła się urażona, kiedy Brenna

tak nią dyrygowała. Przeciwnie, była z tego bardzo zadowolona, oznaczało to bowiem, że Brenna w jej towarzystwie czuje się swobodnie. Traktuje ją jak normalnego człowieka, a nie Boginię. Troszczy się o nią, bo jest jej Uzdrowicielką, czasami robi to w sposób bezceremonialny, bo jest jej przyjaciółką. Czyli jest cudownie.

Elphame wypija jeszcze jeden łyk wina i wciągnęła głęboko w płuca rześkie wiosenne powietrze, przesycone zapachem morskiej wody zmieszany z zapachem sosen. Zachwycona była także faktem, że tego ranka po raz pierwszy od pięciu dni wcale jej nie boli w boku, kiedy robi porządny wdech. Spojrzała na zamek, na widocznych z dala ludzi, krzątających się po nim jak po ulu pszczoły robotnice. Spiczasty dach na jednej z czterech wież strażniczych był już w stanie idealnym, na dwóch wieżach był w trakcie naprawiania, tak samo jak olbrzymi dach zamku. W ciągu kilku ostatnich dni Elphame obserwowała prace budowlane z daleka, leżąc na szezlongu, który Brenna pozwoliła rozstawić przed namiotem. Ale dopiero teraz, będąc tak blisko zamku, zdała sobie sprawę, ile już tam zrobiono w czasie, gdy ona leczyła swoje rany.

- Jest piękny, prawda? - powiedziała niemal z czcią.

- Tak... - mruknęła Brenna, pochłonięta szkicowaniem. Węgiel przemykał po kartce, w górę i w dół, w lewo, w prawo, w końcu przystanął. Brenna zdmuchnęła pyłek z kartki i zmrużywszy oczy, spojrzała krytycznym okiem na swoje dzieło.

- Gotowe - oznajmiła, odkładając węgiel. - Myślę, że ta wieża wygląda teraz tak, jak powinna.

Nachyliła się i podała Elphame szkicownik z grubego, szorstkiego papieru.

Na rysunku nie było zgliszcz i ruin. Brenna narysowała

zamek MacCallana w całej krasie, taki, jaki miał być po odbudowie. Potężne mury, brama z kutego żelaza, na każdej z czterech wież dumnie powiewająca chorągiew. Pomyślała nawet o tym, żeby na

każdej chorągwi widniała wspinającą się klacz - herb klanu MacCal-ianów.

- Och, Brenno! Narysowałaś to przepięknie. Jest tu wszystko, dosłownie wszystko, co sobie wymarzyłam!

Brenna aż zarumieniła się z zadowolenia.

- Po prostu bardzo dobrze opisałaś mi to słowami, Elphame.

- Nie, nie! Przede wszystkim rysujesz przepięknie, Brenno! Masz wielki talent! - zawołała zachwycona Elphame i zanim Brenna zdążyła zaprotestować, zaczęła wertować szkicownik. Było w nim wiele szkiców poszczególnych fragmentów zamku, rysunki dłoni i stopy, a potem... potem, ku wielkiemu zaskoczeniu Elphame, był już tylko Cuchulainn. Kartka po kartce.

A więc to tak... Elphame, naturalnie, zabrała się za wnikliwe studiowanie podobizn brata, wykonanych po mistrzowsku. Na każdej z nich Cu był w innej pozie i wyraźnie w innym nastroju, Brenna znakomicie potrafiła to oddać.

Na jednym ze szkiców zmęczony, wyraźnie przygnębiony Cuchulainn wyglądał tak, jakby nagle przybyło mu co najmniej dziesięć lat.

- Tak wyglądał Cu tamtego dnia, kiedy miałam wypadek - powiedziała cicho, nie mogąc oderwać oczu

od twarzy brata. Wyglądał jak żywy, a w jego spojrzeniu było tyle troski i czułości.

- On j est... on j est... j a po prostu chciałam... - Brenna, wyraźnie bardzo zmieszana, przełknęła nerwowo i dokończyła już trochę spokojniej: - Twój brat jest wyjątkowo interesującym modelem. Ma twarz o idealnych rysach, bardzo wyrazistą i taką dumną.

- O, tak. Znakomicie to uchwyciłaś, Brenno... - Elphame z trudem oderwała wzrok od wspaniałego portretu brata. - Czy mogłabyś podarować mi ten szkic? Proszę!

Brenna przechwyciła spojrzenie Elphame. Nie było w nim litości, nie było w nim żadnych wyrzutów, tylko nieklamany zachwyt.

- Naturalnie, bardzo proszę, Elphame. Wybierz sobie szkice, które ci się podobają.

- Tylko ten jeden, Brenno. Wszystkie są piękne, ale nie chcę ci ich zabierać.

Elphame, widząc spłoszony wzrok Brenny, uśmiechnęła się do niej bardzo ciepło, myśląc sobie jednocześnie, że ta dziewczyna na pewno ogromnie spodobałaby się jej matce.

Nagle usłyszały tętent końskich kopyt. Ktoś nadjeżdżał. Cuchulainn. Jakby sprowadziły go tu myślami. Brennie wystarczyło jedno spojrzenie na jego posępną twarz.

- Coś się stało? - spytała z niepokojem.

- Tak. Angus. Kiedy piłował resztki zwęglonych belek, piła wysunęła mu się z rąk. Rana wygląda paskudnie.

Nachylił się i wyciągnął rękę do Brenny. Brenna bez chwili wahania chwyciła go za rękę, Cuchulainn podciągnął ją na grzbiet konia. Usiadła za nim, a Cuchulainn spojrzał srogo na swoją siostrę.

- Masz się stąd nie ruszać. Zaraz po ciebie wrócę. Elphame machnęła niecierpliwie ręką.

- Dlaczego zaraz? Chcę tu sobie jeszcze posiedzieć. Wreszcie udało mi się wyrwać z mojego więzienia.

- Ale, jak powiedziałem, masz się stąd nie ruszać. Jeszcze jedno srogie spojrzenie, Cuchulainn spiął konia

i pognął z powrotem do zamku. El widziała, jak szczupłe ręce Brenny obejmują go kurczowo, jak jedna z rąk Cu sięga w tył i przygarnia Brennę mocniej do pleców.

A więc to tak... pomyślała Elphame. Cuchulainn i Brenna. Intuicja jej nie zawiodła. Ciekawe, czy któreś z nich zdaje sobie już z tego sprawę. Prawdopodobnie jeszcze nie. Cuchulainn, mimo swego ogromnego doświadczenia z kobietami, w kwestii miłości był tak samo niedoświadczony jak jego siostra. I on, i ona byli kompletnie na to nieprzygotowani.

- Nieprzygotowani... - szepnęła Elphame. Ona na pewno nie, a poza tym życie potrafi zaskoczyć. Na spotkanie z Lochlanem na pewno nie była przygotowana, bo i jak? A może to były tylko halucynacje?

Nie, niemożliwe, nie brakowało przecież niezbitych dowodów na istnienie Lochlana. Martwy dzik. Jej

rana opatrzona mchem... Czy on naprawdę ma skrzydła jak Fomorianin? Fomorianin... Po plecach

Elphame przebiegł zimny dreszcz. Oderwała oczy od zamku i spojrzała za siebie, na las.

Tak, ma skrzydła, ale ona nie czuła żadnego lęku. Pamiętała to doskonale. Nie bała się go. Dlaczego?

Dlatego, że jego obecność Wyczuwała jako coś, co powinno być. Do tego wniosku doszła już

wcześniej. W ciągu minionych pięciu dni miała wystarczająco dużo czasu, żeby się nad tym

zastanowić. Stąd również drugi wniosek. Czy przypadkiem ona nie wykazuje się zwyczajną głupotą,

kierując się właśnie Wycuciem, czymś, co odkryła u siebie tak niedawno?

- Lochlan... - Nie mogła się powstrzymać. Musiała to powiedzieć na głos i nagle powiał łagodny wiatr.

Na odsłoniętych rękach Elphame zakłuło leciusienko, jakby imię to, które uleciało z jej ust,

zmaterializowało się,

przycupnęło tam na chwilę, potem przechwycił je wiatr i poniósł dalej, w głąb lasu. Tam, gdzie ktoś

czekał...

Elphame energicznie potrząsnęła głową, zawstydzona swoją wybujałą wyobraźnią. Nonsens. Imię

ukochanego wcale się nie materializuje, kiedy wymówisz je na głos, nie wspominając już o tym, że

Lochlan nie jest jej ukochanym.

- Uderzyłam się w głowę, dlatego teraz wyobrażam sobie nie wiadomo co - stwierdziła na głos i

podniosła buklak do ust.

- Co takiego sobie wyobrażasz, najdroższa?

Wino było dopiero w połowie drogi przez gardło. Zaskoczona Elphame, krztusząc się i pokaszując,

spojrzała szybko na las.

Z gałęzi sosny, rosnącej nieopodal, zeskoczył mężczyzna ze skrzydłami. Jak gigantyczny ptak. I

pozostał tam, w mrocznym miejscu wśród pni i konarów. Elphame dostrzegła jednak, jak składa

skrzydła, jak na jego twarzy pojawia się nieśmiały uśmiech.

- Nie chciałem cię wystraszyć, Elphame.

- Na Boginię! Czyli ty istniejesz! - wyrzuciła z siebie gwałtownie i poczuła się bardzo głupio.

Niestety, nie zdążyła ugryźć się w język.

- Miałaś co do tego wątpliwości? Elphame skwapliwie pokiwała głową.

- Ogromne.

Lochlan zaśmiał się. Tak radośnie, zaraźliwie, że zdenerwowanie Elphame zaczynało znikać.

- Nie dziwię się - powiedział Lochlan. - Ja nie odniosłem żadnych obrażeń, a mimo to nasze spotkanie

wydawało mi się czymś nierealnym, nie z tego świata.

- Jak sen...

- Nie, najdroższa. W naszym przypadku... nie. Ty i ja śnimy inaczej, nasze sny są niezwykle...

Elphame czuła, że się rumieni, a jednocześnie, o dziwo, wcale nie miała ochoty umykać wzrokiem przed baczym spojrzeniem szarych oczu Lochlana, który teraz już cały wynurzył się spośród drzew.

Nawet z tymi skrzydłami, teraz złożonymi na plecach, poruszał się niebywale zręcznie. Elphame patrzyła jak zahipnotyzowana, przez chwilę pochłonięta tylko jego widokiem. Ale kiedy chwila minęła i jej umysł znów zaczął normalnie funkcjonować, uświadomiła sobie, że przecież ktoś może go

zobaczyć.

Podniosła rękę, dając mu znak, żeby się zatrzymał.

- Chcę, żebyś mi to wszystko wyjaśnił. Muszę wiedzieć dokładnie, kim jesteś, co się między nami dzieje. Nikt jednak... - spłoszony wzrok Elphame przemknął dookoła - ...nie powinien nas teraz widzieć. Nikomu o tobie jeszcze nie mówiłam, nawet Cuchufainnowi.

Po twarzy Lochlana przemknął cień. Był niewątpliwie rozczarowany, ale skinął głową i cofnął się do miejsca, gdzie stał przedtem, w półmrok wśród drzew na skraju lasu.

Elphame na moment zrobiło się trochę głupio, zaraz jednak poczuła coś całkiem innego. Złość. Po pięciu dniach nudy i frustracji nerwy miała w strzępach, dlatego najchętniej wykrzyczałaby mu prosto

w twarz, że widzi go po raz pierwszy w życiu - co do tego nie ma żadnych wątpliwości - i że jest on dla niej tylko i wyłącznie obcą istotą, bardzo intrygującą, owszem, ale obcą.

Złość znikła, głupie słowa uwięzły w gardle, kiedy spojrzała mu w oczy. Oczy koloru burzowych chmur. Spojrzała w nie i nagle poczuła przerażającą pewność, że zobaczyła w nich swoją przyszłość.

W pamięci ożyły słowa Cuchulainna, opowiadającego jej o swojej wizji. Powiedział, że Elphame w zamku

MacCallana spotka się ze swoim przeznaczeniem. I związane jest to z jej towarzyszem życia.

Czyżby miał to być... Lochlan?

Tak.

Co jeszcze mówił Cu? Mówił, że kiedy próbuje skupić się na szczegółach dotyczących tego mężczyzny, wszystko staje się mgliste, niejasne. Teraz wiedziała, dlaczego wizja brata była niekompletna. Ileż mądrości jest w Bogini, która nie dopuściła, by Cuchulainn w czasie swojej wizji zobaczył Lochlana dokładnie! Gdyby Cu wiedział, że przyszły mąż jego siostry jest synem Fomorianina, synem demona, to... O, nie. Elphame bała się nawet o tym pomyśleć.

- To wszystko staje się takie trudne... - powiedziała nieswoim głosem.

Lochlan uśmiechnął się.

- Moja matka powiedziałaaby, że w takim razie jest to coś, co warto zrobić.

Kiedy wspomniał o matce, w jego głosie słyhać było czułość. I to wystarczyło, żeby irytacja Elphame

znikła.

- Musiałeś bardzo ją kochać.

- Tak. Moja matka obdarzyła mnie człowieczeństwem, nauczyła mnie, co znaczy ten dar. Nigdy nie widziała we mnie monstrum, widziała tylko swego syna.

- Nie jesteś żadnym monstrum! Uśmiech Lochlana był słodko-gorzki.

- Nie, nie jestem monstrum, ale w moich żyłach płynie krew demonów i obojgu nam nie wolno o tym

zapominać.

- Powinnam się ciebie bać?

- Na to pytanie nie potrafię ci odpowiedzieć... - Ręka Lochlana uniosła się, jakby zapragnęła dotknąć Elphame. - Ale wiem, że prędzej bym umarł, niż ciebie skrzywdził.

Co robić? Umysł Elphame zmagał się teraz z jej sercem, prowadząc z nim coś w rodzaju wojny domowej. Umysł w tym momencie krzyczał głośniej. Powinna powiedzieć Lochlanowi, żeby sobie poszedł. Dać mu szansę wycofać się z honorem, zanim ona poinformuje Cuchulainna, że potomek Fomorianina przybył do Partholonu. Powinna przestać myśleć jak romantyczna idiotka, bo to wszystko jest tylko snem, ale bardzo niebezpiecznym snem...

- Jeśli naprawdę tego chcesz, odejdę, Elphame.

- Odgadujesz moje myśli?!

- Nie, tego nie potrafię. Ale czytam w twojej twarzy i oczach. Śniłem o tobie od chwili twoich narodzin, miałem więc wystarczająco dużo czasu, żeby poznać twoją mimikę, nauczyć się z wyrazu twarzy odgadywać twój nastrój.

Elphame podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy, starając się zignorować smutek, jaki tam dostrzegła. Powiedzieć mu, żeby sobie poszedł? Oczywiście, że mogłaby to zrobić. Ona, której przeznaczeniem jest być Przywódczynią Klanu MacCallana, ona, która została dotknięta mocą Bogini. Ona, która nie jest takim sobie zwyczajnym człowiekiem...

- Jak Lochlan... - odpowiedział jej cichym szeptem umysł.

Patrzyła na niego, postanawiając teraz w duchu, że postara się zobaczyć całą prawdę o istocie, która stała przed nią. Jego ciało było niewątpliwie ciałem człowieka. Był bardzo dobrze zbudowany, wysoki

i muskularny. Ale istoty ludzkie nie mają skrzydeł pokrytych meszkiem, nie mają skóry, która jaśnieje, jakby od środka była podświetlona bladym światłem. Nie przypominała sobie też, żeby kiedykolwiek widziała człowieka o takiej niezwyklej szarości oczu. Szarości chmur, niosących burzę.



Spojrzała w dół, na jego bose stopy stojące na zielonym poszyciu lasu.

- Tak, mam szpony - powiedział Lochlan, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem. Przesąpił z nogi na

nogę i lekko wzruszył ramionami. - Ja mam szpony, a ty masz kopyta. Gdybym miał możliwość wyboru, chyba bym jednak nie zdecydował się na stopy zwykłego człowieka. Jakoś nie wyobrażam sobie siebie w butach.

- Ja też nie! - Elphame, całkiem nieoczekiwanie, roześmiała się głośno. - Nigdy jeszcze nikomu o tym nie mówiłam. A nieraz myślałam sobie dokładnie to samo. Nie wyobrażasz sobie, co moja Matka potrafi wcisnąć na swoje nogi! Prawdziwe narzędzia tortur! Kiedy byłam dziewczynką, bardzo bolała

nad tym, że nie mogę nosić ani pończoszek, ani eleganckich pantofelków. Musiała zadowolić się polerowaniem moich kopytek, zawsze lśniły jak lustro. Próbowалаm jej wytłumaczyć, że dla mnie to żadna tragedia. Ja po prostu lubię swoje kopyta, ale mama chyba nigdy tak do końca z nimi się nie pogodziła.

Lochlan uśmiechnął się.

- A moja matka nakazała mi, bardzo stanowczo, regularnie obcinać szpony, bo miała dość ciągłego za-

szywania dziur w moich prześcieradłach.

Jakże łatwo z nim się rozmawiało! Wystarczyło przestać zastanawiać się, co w nim jest z człowieka, a

co nie, i po prostu rozmawiać, jak kobieta z mężczyzną. Zapomnieć, że jest inny niż zwyczajni ludzie.

Ale - na Boginię! Przecież ona też jest inna! Inna niż zwyczajny człowiek. A poza tym serce jej podpowiada, że Lochlan na pewno nie jest żadnym potworem.

Tylko... czy swemu sercu można ufać bezgranicznie?

O co spytała Epona matkę Elphame? Spytała, czy darzy

swoją córkę zaufaniem. Matka, bez chwili wahania, odpowiedziała twierdząco.

Elphame wierzyła w siebie, w słuszność swojej decyzji w sprawie podjęcia się odbudowy zamku MacCallana. Nie miała żadnych wątpliwości, że dokonała właściwego wyboru. Ale co z Lochlanem? Tu po raz drugi miała wybrać, świadoma, że ta decyzja zaważy na całym jej życiu. Ale trzeba ją podjąć, bo może nadszedł czas na dorosłość, na obdarzenie siebie samej zaufaniem.

Lochlan, czekając w półmroku wśród sosen, starał się nie okazywać po sobie, ile kosztuje go ta chwila oczekiwania na decyzję Elphame. Patrzył, jak walczy ze sobą, ze swoimi sprzecznymi emocjami.

Patrzył i milczał, bo i co mógłby jej teraz powiedzieć? Prosić, żeby go zaakceptowała? Nie miał do tego prawa, bo przecież może się zdarzyć, że nie znajdzie się inna droga do spełnienia Przepowiedni, że będzie można ją spełnić tylko za cenę krwi Elphame.

Powinien teraz odejść. Odwrócić się, zniknąć w głębi lasu i nigdy więcej już jej nie zobaczyć. Zrobić tak, nawet jeśli w ten sposób skaże swoich ludzi na obłąd. Na zawsze.

Ten demon był w nim zawsze, pływał w jego krwi. Strumienie czarnej krwi szeptały teraz-porwij ją.

Weź ją i zrób z nią wszystko, co zechcesz.

Nie! Lochlan z ulgą powitał ból, który pojawiał się zawsze, gdy udało mu się stłumić w sobie mroczne

instynkty. Ból uporczywy, który sprawiał, że jego ludzie, tracąc człowieczeństwo, powoli poddawali się szaleństwu i nieustannej żądzy krwi. Tym odznaczała się rasa Fomo-rian, rasa ich ojców. Ból był ceną, jaką płacili za dążenie do tego, by być czymś więcej niż ich ojcowie demony. Byli istotami niezwykłymi. Każdy z nich w łonie matki uległ przemianie, zamiast demonów Fomorian urodziły się istoty prawie ludzkie, ale z przeklętym dziedzictwem, zawsze obecnym, zawsze kuszącym, z którym trzeba było toczyć nieustanną walkę. Z pokusą, która rządziła ich snami o śmierci i towarzyszącym jej odurzającym zapachem krwi.

Zabicie Elphame miałoby uwolnić jego ludzi od wyniszczających ich złych mocy? Czy to możliwe, żeby Bogini tego właśnie oczekiwała od niego, od Lochlana? Nie, to nie ma najmniejszego sensu.

Musi być jakiś inny sposób na spełnienie Przepowiedni.

Elphame była tak blisko. I już nie była to niematerialna kobieta z jego snów, lecz istota z krwi i kości, żywa, oddychająca. Stała w odległości zaledwie kilku kroków od niego. Nie, teraz by nie

potrafił od niej odejść, jeszcze nie. Całe stulecie walczył z ciemnością i miałby się teraz wycofać?

Elphame powoli podniosła głowę i napotkała jego wzrok. W jej oczach była niepewność, widniały pytania, odzwierciedlające chaos, jaki panował w jej duszy, niewątpliwie taki sam, jaki zawładnął teraz jego duszą.

- Elphame, ja sam nie do końca rozumiem, co się dzieje ze mną. Wiem tylko na pewno, że moje serce, prawdopodobnie także moja dusza, są zjednoczone z twoim sercem i twoją duszą. Jeśli nie będzie cię u mego boku, nigdy nie przestanę cię pragnąć. Nigdy, do ostatniego tchu.

Pragnął jej. Elphame dopiero teraz zaczęła to sobie uświadamiać. I wprawilo ją to w zachwyty. Obok zachwyty odczuwała także lęk, chociaż jednocześnie w niej też obudziły się pragnienia. Dotknąć go, poczuć pod palcami bicie jego serca, ciepło jego ciała. On śnił o niej przez całe jej życie, ona śniła o nim zaledwie przez drobny ułamek swego życia, ale wiedziała już, że chce czegoś więcej niż ulotnych

snów i nadziei, tylko do połowy spełnionych.

Nie zastanawiając się już dłużej, zsunęła się ze swego kamiennego fotela. Spojrzała na zamek. Pełno robotników. Wszyscy zajęci pracą, nikt nie patrzy w tę stronę. I, co najważniejsze, ani śladu Cuchulainna, pędzącego na swoim wałachu. A poza tym - bez przesady. Nawet gdyby ktoś widział, jak znika w lesie, nic się nie stanie. W końcu każdy od czasu do czasu oddala się w ustronne miejsce. Odwróciła się do Lochlana i nagle zachciało jej się płakać. Był taki duży, mocny, a w tym momencie wyglądał tak bezbrinnie, tak okropnie bezbrinnie, że Elphame z żalu ścisnęło się serce.

- Elphame... - odezwał się Lochlan zdławionym głosem. - Nie powinienem tu być.

Jego słowa zadrżały w uszach Elphame, zadrżały w jej sercu. W skroniach zapulsowało, a nogi, absolutnie nie porozumiewając się z głową, ruszyły do przodu, jakby przyciągane niewidzialną siłą. Zatrzymała się przed Lochlanem na wyciągnięcie ręki. Wysoka trawa zaszeleściła, kiedy ze

zdenerwowania najpierw przestąpiła z nogi na nogę, potem wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Wcale nie chcę, żebyś odchodził. Choć nie wiem, czy powinieneś zostać, czy pójść już sobie. Nie wiem, może to po tym uderzeniu w głowę trochę ciężko mi się myśli.

Próbowała się uśmiechnąć, Lochlan też, widziała, jak kąciki jego ust drgnęły.

- I chyba jest to trochę zaraźliwe! - powiedział niby żartem, ale szare oczy spojrzały z wielką uwagą na jej ranę na głowie. - Goi się dobrze, prawda? - Potem spojrzał na jej ramię, w sumie zadowolony, że

mają jakiś bezpieczny temat do rozmowy, nie wzbudzający gwałtownych emocji. - O, widzę, że Uzdrowicielka pozwoliła ci zrezygnować już z temblaku.

- Brenna - uściśliła Elphame. Bliskość Lochlana była po prostu odurzająca, miała nadzieję, że zwyczajna rozmowa towarzyska okaże się skutecznym antidotum.

- Moja Uzdrowicielka ma na imię Brenna. Ma wyjątkowe umiejętności, a poza tym jest moją przyjaciółką.

Lochlan pokiwał głową, po czym wskazał na jej bok.

- Chciałbym zobaczyć, jak goi się ta rana. Elphame odruchowo zasłoniła ręką miejsce, gdzie pod płótnem i bandażem była rana.

- Goi się bardzo dobrze. Masz moje słowo. To ci powinno wystarczyć.

Na twarzy Lochlana pojawił się uroczy, chłopięcy uśmiech.

- Nie wstydź się. Widziałem przecież już twój goły bok!

- O, Bogini...

Bardzo chciała w tym momencie powiedzieć coś lekkiego, dowcipnego, w czym celował jej brat. Ona,

niestety, nie była w tym biegła, poza tym Lochlan nie był jedną z tych głupich dziewczyn, które czarował jej brat.

- Tak, ale było to w wyjątkowych okolicznościach. Teraz nie ma tu dzika, który przygotowuje się do ataku na mnie - powiedziała w końcu, czując się trochę dziwnie. Chciała przecież, żeby jej dotknął, a

jednocześnie wcale nie była taka pewna, czy kiedy Lochlan to zrobi, ona nie ucieknie do zamku. - A poza tym... - ciągnęła, bo z tego zdenerwowania stała się nagle wyjątkowo elokwentna - poza tym nie jestem wdzięcznym obiektem do oglądania, ani w ubraniu, ani bez. Od tamtej przygody z dzikiem ani razu się nie kąpałam.

Wreszcie udało jej się zmusić usta, żeby się w końcu zamknęły i nerwowo przeczesła palcami swoje

długie włosy. Były kompletnie bez połysku, bo beznadziejnie

brudne. Jednocześnie zaczęła odruchowo cofać się, przerażona, czy ona aby nie rozsiewa wokół siebie

zapachów, które trudno określić jako przyjemne.

Ale Lochlan nie pozwolił jej się odsunąć. Nie ruszając się z miejsca, wyciągnął dłoń i chwycił ją mocno za przegub ręki. Dokładnie w chwili, gdy zamierzała ponownie przeczesać palcami te obrzydliwie brudne włosy.

Jego ręka, ciepła, bardzo silna, zaczęła powoli przyciągać Elphame.

- A więc powiem ci, co widzę, kiedy patrzę na ciebie, Elphame. Moja matka wpajała we mnie swoją wiarę, uczyła też zasad, jakimi kierują się ludzie w Partholonie. Przekazała mi swoją miłość do jej Bogini, do Epony. Niezliczoną ilość razy słyszałem, jak błagała ją o specjalne błogosławieństwo dla mnie, dla wszystkich takich jak ja. Była bardzo związana z Boginią, od niej czerpała swoją siłę przez całe życie. Była człowiekiem głębokiej wiary. Zmarła, wierząc, że jej modlitwy zostaną wysłuchane...

Lochlan znów pociągnął Elphame za rękę, tym razem Elphame, idąc za głosem serca, wcale się nie opierała, tylko podeszła do niego bardzo blisko.

- A więc widzisz - mówił dalej Lochlan nabrzmiałym od wzruszenia głosem - według mnie, moja matka mi ciebie wymodliła. Wyszłaś do mnie z jej modlitwy i wkroczyłaś do mojego serca. Kiedy patrzę na ciebie, Elphame, widzę tylko moją miłość, trwającą tak długo, widzę spełnienie moich najgorętszych pragnień.

Bardzo delikatnie, jakby obawiał się, że Elphame znów odsunie się od niego, wyciągnął rękę i musnął

palcami jej policzek, podbródek, szyję, na koniec jego dłoń dotknęła jej ramienia.

- Boli cię jeszcze? - spytał.

- Co? - spytała półprzytomnie. Nic dziwnego, stała tak blisko niego, w kręgu ciepła, bijącego z jego ciała.

- Twoje ramię.

Lochlan widział, jak wargi Elphame rozchyliły się, oczy zwilgotniały, zrobiły się półprzytomne. Tak reagowała na jego dotyk, aż tak... Uśmiechnął się, odsłaniając siekacze, bardzo białe i bardzo ostre.

Elphame drgnęła i szybko spojrzała w bok, ale Lochlan wsunął palec pod jej brodę i zmusił, żeby z powrotem spojrzała na niego. Prosto w oczy.

- To tylko zęby, Elphame.

- Przestań w końcu ogadywać moje myśli! Specjalnie, żeby ukryć zakłopotanie, udała złość.

- Powiedziałem ci już, że tego nie potrafię.

- Ale odgadujesz wszystko z mojej twarzy!

- Nic na to nie poradzę. Twoja śliczna twarz jest wyjątkowo wyrazista.

Znów się uśmiechnął, Elphame tym razem nie spojrzała w bok. Jego zęby były niezwykle, bardzo ostre, wyglądały groźnie. Nagle przypomniały jej się fragmenty z książek historycznych z biblioteki

matki i przez jej głowę zaczęły przelatywać jedna trwożliwa myśl za drugą. Fomorianie byli

demonami... czuli niezaspokojoną żądzę krwi... zwłaszcza w okresie łączenia się w pary... karmili się krwią innych żywych istot, żeby przeżyć... polowali na ludzi...

- Czy ty... - Zamilkła, szukając odpowiednich słów, dzięki którym mogłaby sformułować pytanie jak najbardziej oględnie. Niestety, to konkretne pytanie musiało być obcesowe: - Czy ty karmisz się krwią innych?

Lochlan był wyraźnie zaskoczony.

- Nie, nie karmię się krwią innych - odparł. - Wolę gotowane posiłki. I martwe.

- W takim razie dlaczego...

Spojrzenie Elphame przemknęło po jego wargach.

- Chodzi ci o moje zęby, tak? To też spadek po ojcu. Ale jestem w wystarczającym stopniu człowiekiem, żeby nie musieć karmić się krwią innych. Jednocześnie jednak jestem Fomorianinem w wystarczającym stopniu, żeby nosić w sobie ślady ich żądz krwi.

Elphame zrobiła głęboki, drżący wdech.

- Czytałam, że Fomorianie nawzajem pili swoją krew. Lochlan westchnął.

- To prawda. Fomorianin pożył krwi swojej towarzyszkii życia, ona jego. Ta wymiana krwi pieczętowała ich związek. - Uśmiechnął się, bardzo smutno. - Na pewno wydaje ci się to straszne.

- Nie wiem - szepnęła. Jej spojrzenie znów przemknęło po jego ustach i wróciło do oczu, szarych szarością chmur. Jakby to było, gdyby... gdyby ona go teraz pocałowała?

Spytaj go... Ta myśl przemknęła jej przez głowę, jak suchy jesienny liść, pędzony przez wiatr, a zaraz potem, ku swemu największemu zdumieniu, usłyszała swój głos.

- Gdybyś mnie pocałował, czy twoje zęby poraniłyby moje wargi?

- Nie, na pewno nie - powiedział cicho.

- Powiedziałeś, że nosisz w sobie żądzę krwi. Czy chciałbyś posmakować mojej krwi?

Poprzez ich złączone ręce wyczuła dreszcz, przebiegający przez jego ciało.

Spokojnie wytrzymał jej wzrok.

- Chciałbym od ciebie bardzo wiele, Elphame. Ale niczego od ciebie nie wezmę, czego nie zechcesz mi dać sama.

- Ja... ja, szczerze mówiąc, sama nie wiem, czego chcę... Nigdy dotąd nie byłam całowana.

- Wiem.

Oczy Lochlana pociemniały

- Myślę, że... że czekałam na ciebie - dokończyła Elphame ledwo dosłyszalnym głosem.

- A ja czekałem na ciebie - odszepnął Lochlan. Głos rozsądku podpowiadał - bądź ostrożny. Nie

spiesz się, boją wystraszysz. Jest taka młoda, niedoświadczona...

Ale on musiał jej zakosztować.

Nachylił się, bardzo powoli, żeby dać Elphame możliwość odwrotu. Ale Elphame stała nieruchomo, czekając. Na jego usta.

Było całkiem inaczej niż się spodziewała. A spodziewała się, że dla kogoś, kto robi to po raz pierwszy, pocałunek będzie czymś trudnym, krępującym. Pomyliła się. Usta Lochlana, kiedy dotknęły jej ust,

były ciepłe, zdecydowane i takie zachęcające. Jej wargi pasowały do jego warg idealnie. A kiedy dotknął językiem jej języka, przestała w ogóle myśleć i całkowicie poddała się pocałunkowi.

Zamknęła oczy i całą sobą chłonęła Lochlana. Był jak las - dziki, piękny, nieujarzmiony.

Zapamiętał się w tym pocałunku, tak jak ona. Jedną rękę wsunął w jej włosy, drugą przygarnął ją do siebie. Elphame poddała się temu całkowicie, jej ręce bezwiednie objęły go za szyję, ale nawet w tej chwili uniesienia była świadoma, że coś ociera się o jej rękę. Dziwne odczucie, tak dziwne, że otworzyła oczy i odsunęła usta od ust Lochlana.

To jego skrzydła. Kiedy zaczęły się rozkładać, otarły się o jej rękę. Już rozpostarły się nad Lochlanem, teraz

spojrzenie Elphame powróciło do jego twarzy. Szare oczy aż poczerniały z pożądania.

- One odzwierciedlają moją namiętność - powiedział zachrypniętym głosem. - Nie panuję nad tym.

Nie wtedy, kiedy ty jesteś ze mną, kiedy trzymam cię w ramionach i tak bardzo cię pożadam.

- Są częścią ciebie...

- Tak. Ale tą mroczną, z którą walczę.

Wróciła spojrzeniem do skrzydeł. Rozłożonych nad nią, jakby Lochlan miał zamiar ją dokądś ponieść.

Te imponujące skrzydła od spodu miały kolor księżyca, księżycy w pełni.

- Są piękne - szepnęła.

Lochlan odrzucił głowę w tył, jakby uderzyła go w twarz.



- Nie żartuj!

- Dlaczego miałabym żartować? - W jego oczach zobaczyła ból. Speszona tym Elphame szybko opuściła ręce. - Lochlanie, czy... czy mogłabym ich dotknąć?

Na moment zaniemówił. Był w stanie tylko skinąć głową, powoli, z wielkim wysiłkiem, bo miał wrażenie jakby teraz brnął przez głęboką wodę.

Elphame bez chwili wahania podniosła rękę i dotknęła skrzydła nad jego lewym ramieniem.

- Tak... - szepnęła. - Są takie miękkie, jak myślałam.

Ostrożnie musnęła palcami kremowy meszek. Skrzydła zadrżały, wydawało się, że pęcznieją, a jednocześnie Lochlan wydał z siebie przeraźliwy jęk.

Elphame natychmiast cofnęła rękę.

- Przepraszam! Zabolało cię?

Lochlan mocno zacisnął powieki. Na jego czole pojawiły się krople potu.

- Nie! Nie! - Zabrzmiało to trochę jak śmiech, trochę jak płacz. - Nie przestawaj. Dotykaj mnie.

Dotykaj!

Wcale nie miała zamiaru przestać dotykać jego niezwykłego ciała. Mogłaby robić to bez końca.

Dlatego znów bez chwili wahania podniosła rękę i dotknęła uwodzicielskiej miękkości jego skrzydeł.

Nie zdążyła ich jednak pogłaskać, bo Lochlan nagle złapał ją za rękę.

- Ktoś idzie - szepnął. Przechylił głowę w bok, chwilę nasłuchiwał. - To kobieta centaur. Łowczyni.

- Och, nie! - jęknęła przerażona Elphame. - Uciekaj stąd, jak najprędzej! Ona nie może cię zobaczyć!

- Ale niebawem znów się zobaczymy? Czy tak, Elphame? - W głosie Lochlana słychać było rozpacz.

- Musimy się spotkać!

- Wymyślę coś, Lochlanie, na pewno znowu się spotkamy, ale teraz idź, błagam, idź! Łowczyni będzie

przekonana, że na mnie napadłeś! Nie rękę za nią!

- Idę, najdroższa. A ty pamiętaj, że zawsze czekam w pobliżu. Zawołaj mnie, a natychmiast będę przy tobie.

Nachylił się i pocałował ją jeszcze raz, przyciskając wargi do jej ust, desperacko, prawie brutalnie. Ale Elphame wcale go nie odepchnęła. Na jego namiętność odpowiedziała namiętnością z siłą większą niż

u zwyczajnego człowieka.

Musiał uruchomić całą siłę woli, żeby oderwać się od Elphame i wydawszy z siebie cichy okrzyk rozpaczy, odwrócił się i znikł. Wchłonął go las.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

Elphame drżącą ręką ocierała usta, spiesząc z powrotem na skraj lasu. Ledwo zdążyła dopaść do stosu

kamieni, usiąść i zrobić dwa głębokie wdechy, kiedy na skraju lasu pojawiła się Brighid. Biegła wdzięcznym klusem, z daleka wykrzykując słowa powitania. Elphame pomachała do niej i zmusiła się

do uśmiechu, powtarzając sobie w duchu, że nie wolno dopuścić, by ktokolwiek się zorientował, że ona przed chwilą była całowana. Nikt, także Łowczyni, chociaż w jej przypadku niebezpieczeństwo było raczej znikome. Łowczyni nie skupiała się na twarzach, interesowały ją przede wszystkim ślady...

Ślady! Mózg Elphame szarpnął się, jak spłoszony żrebak. O, Bogini! Przecież Łowczyni może natrafić na ślady Lochlana! Czują, że blednie, na pewno, skoro pogodne spojrzenie Łowczyni na jej widok uległo diametralnej zmianie.

- Cuchulainn powiedział, że mam cię przywieźć z powrotem do zamku - zakomunikowała, spoglądając na Elphame z niepokojem. - Jego zdaniem, stanowczo za długo jesteś na dworze. I ma rację, bo wyglądasz nieszczególnie.

- Nie znoszę, kiedy Cuchulainn ma rację! Specjalnie tak krzyknęła, z nadzieją, że ten mały wstrząs powstrzyma w końcu jej spojrzenie od przemykania po lesie w poszukiwaniu choćby

najmniejszego śladu obecności Lochlana.

- My wszyscy za tym nie przepadamy. Elphame, chodź już! - Brighid podała Elphame rękę i pomogła jej zsunąć się z kamienia. - A więc jak? Wskakujesz?

- Nie trzeba, dziękuję.

- Jesteś pewna? Wiesz przecież, że bardzo chętnie cię podwiozę.

- Wiem, wiem - Elphame uśmiechnęła się do strapionej Łowczyni. - Dziękuję za dobre chęci, Brighid,

ale wolę się przejść. Cała zeszywniałam od tego siedzenia na kamieniach.

Była poruszona propozycją kobiety centaura. Nie zapomniała też, jak tamtego wieczoru Brighid

wiozła ją na swym grzbiecie - ją i Cuchulainna - z lasu do zamku. Potem, w ciągu tych ostatnich pięciu dni, kiedy tylko miała wolną chwilę, zaglądała do Elphame. A czasu miała przecież niewiele, zajęta

dostarczaniem dziczyzny na stół. Obie, Brenna i Brighid, starały się bardzo, żeby Elphame jak

najlepiej zniosła swoje uwięzienie w namiocie. W rezultacie teraz Elphame poczuła się jak zdrajczynie, przecież błagała w duchu Eponę, by nie pozwoliła Brighid zauważyć śladów Lochlana.

Rozsądek jednak podpowiedział, że zamiast tym się zadręczać, lepiej miło pogawędzić z Łowczynią.

- Cieszę się, że przyszedłaś po mnie, Brighid. Zawsze miło mi cię widzieć.

- Dziękuję. A wczoraj wiele się wydarzyło. Dołączyli do nas nowi ludzie, pięciu młodych mężczyzn razem ze swoimi żonami.

- Nic o tym nie wiem! - Elphame, bardzo niezadowolona, przymrużyła oczy. - Cuchulainn nie powiedział o tym ani słowa. Oczywiście! Traktuje mnie jak kalekę!

- Twój brat może rzeczywiście jest trochę... męczący - przyznała zgodnie Brighid, uśmiechając się jednak do siostry owego brata. Bo Cuchulainn, choć potrafił zirytować, posiadał wiele zalet.

Chociażby to, że z nim nigdy nie było nudno i w jego towarzystwie można było czuć się swobodnie.

A Brighid, ogólnie rzecz biorąc, wcale nie uważała ludzi za istoty łatwe do współżycia, wykluczając oczywiście Elphame, Brennę i jeszcze kilka osób. Brighid, jak dotąd, niewiele miała z ludźmi do

czynienia, teraz miała okazję poznać ich lepiej. Pierwszą jej refleksją było stwierdzenie, że zbyt często u ludzi, niedorównujących siłą centaurom, słabość fizyczna idzie w parze ze słabym charakterem.

Poza tym zdążyła już zauważyć, że istoty ludzkie mają tendencję do sztucznego zachowania wobec przedstawicieli jej rasy. Albo przesadzają z okazywaniem akceptacji, chcą bratać się na siłę - albo nadymają się i starają się na każdym kroku okazać swoją wyższość. Brighid nie zgadzała się z radykalnymi poglądami plemienia Dhianna, głoszącymi konieczność odizolowania się od siebie poszczególnych ras, tym niemniej pod jednym względem, jej zdaniem, plemię to miało całkowitą rację. Większość istot ludzkich naprawdę trudno jest zrozumieć.

Spojrzała na Elphame, istotę, która nie była ani człowiekiem, ani centaurem, i uśmiechnęła się, widząc jej ponurą minę. Elphame, choć nie lubiła swojej odmienności, nigdy nie próbowała udawać, że jest

kimś innym niż jest. Była

urodzoną przywódczynią, dotkniętą przez Eponę. Dlatego Brighid od samego początku darzyła Elphame szacunkiem, jeszcze zanim poczuła do niej wielką sympatię.

- Jeśli czujesz się na siłach walczyć z Cuchulainnem, to znaczy, że naprawdę odzyskujesz zdrowie.

Brenna będzie szczęśliwa!

- Ale nie Cu - powiedziała Elphame z pełnym satysfakcji uśmiechem.

Do zamku wracały powoli, Lowczyni dostosowała swój chód do tempa Elphame. W pewnej chwili, zamiast podążać w stronę morza, wyraźnie zaczęła skręcać z powrotem, w stronę lasu. W głowie Elphame natychmiast rozdzwoniły się wszystkie dzwoneczki alarmowe.

- Może pójdziemy brzegiem klifu? - zaproponowała, wskazując na nabrzeżne urwisko. - Mam wielką ochotę spojrzeć na morze.

Brighid nie oponowała, kiedy jednak szły już brzegiem zdradliwego klifu, stwierdziła wręcz z niesmakiem:

- Zupełnie nie rozumiem, skąd u ciebie taki pomysł. Ja, kiedy stoję nad przepaścią, wcale nie czuję się pewnie.

- Ty?! - Elphame spojrzała na nią z niedowierzeniem.

- Nigdy bym nie podejrzewała, że kiedykolwiek tracisz pewność siebie.

Łowczyni parsknęła.

- Na pewno bym straciła, lecąc w dół! -1 żartobliwie szturchając Elphame w bok, dodała: - Ty wiesz już coś na ten temat.

- Nie da się ukryć - przyznała z westchnieniem Elphame.

- Drugi raz wolałabym czegoś takiego nie przeżywać. Przez dłuższą chwilę szły w milczeniu.

Elphame szła

sobie, bardzo zadowolona, głaszcząc źdźbła wysokiej trawy, rosnącej wzdłuż klifu, a Brighid zastanawiała się w duchu, czy nie jest to sprzyjający moment, by właśnie

teraz porozmawiać z Elphame. Ojej wypadku, a dokładniej o pewnym dowodzie, który zdumiał

Łowczynię. Elphame od dawna nie wyglądała na tak zrelaksowaną jak teraz, może więc rzeczywiście była to odpowiednia pora na poruszenie tego tematu. Brighid odchrząknęła.

- Chciałam cię o coś zapytać, Elphame, o coś, co związane jest z twoim wypadkiem. Pomyślałam sobie jednak, że może odłożę to na później, kiedy całkowicie odzyskasz zdrowie.

- Na Boginię! Brighid! Boisz się, że nie będę miała siły iść, jeśli zmusisz mnie do myślenia? A poza tym moja głowa funkcjonuje należycie. Chcesz dowodów? Mam wyrecytować ci z pamięci jakiś poemat? Może nawet dwa?

Brighid podniosła ręce, jakby broniąc się przed napaścią.

- Poemat? Błagam, nie! Wierzę ci na słowo, Bogini! Elphame spojrzała na nią ze złością.

- Wiozłaś mnie na swoim prywatnym grzbiecie! I mimo to nazywasz mnie Boginią?!

- W porządku. Nie będzie Bogini. Boginie nie są takie ciężkie! - wypaliła Brighid i przeraziła się.

Elphame na widok jej nieszczęśliwej miny wybuchnęła głośnym śmiechem i jęknęła, chwytając się za bok.

- Przestań! Nie rozśmieszaj mnie!

Ciężko dysząc, oparła się o Brighid. Ale za każdym razem, kiedy na nią spojrzała, znowu wybuchała śmiechem.

- Może przestaniesz w końcu - powiedziała Brighid z kwaśną miną. - W końcu to, co powiedziałam, wcale nie było takie śmieszne. A może ty wpadłaś w histerię?

Elphame, z trudem łapiąc powietrze, pokręciła głową.

- Chodzi o to, że powiedziałaś szczerą prawdę. Nie jestem drobniotka.

Brighid prychnęła.

- Ktoś tak ciebie nazwał?

- Oczywiście, że nie! - Elphame udało się w końcu zapanować nad głupim śmiechem i pokuśtykała przed siebie, trzymając się za obolały bok. - Dopóki nie przyjechałam do zamku MacCallana, nikt oprócz mojej rodziny nie widział we mnie nic normalnego. Zawsze byłam czymś niezwykłym, Tą, Którą Dotknęła Epona. Dlatego cudownie, że w końcu ktoś się mnie czepia i mówi, że mój tyłek jest po prostu za wielki.

- Wcale się nie czepiam twojego zadu!

- No, może wyraziłaś się oględniej, w każdym razie miło mi, że jesteś wobec mnie taka bezpośrednia.

Z tym, że w czepianiu się, jak wiadomo, najlepsza jest Brenna.

- O, tak. Ona nikomu nie popuści. Czy wiesz, że mnie też zmusiła do wypicia jej ziółek? Na wzmocnienie, żebym nie przemęczyła się podczas polowania!

- I jak? Dało się przełknąć? - spytała Elphame ze współczuciem.

Brighid skrzywiła się.

- Były obrzydliwe!

- Ale podziałyły?

- Nie mogło być inaczej.

Spojrzały na siebie z pełnym zrozumieniem i nagle oczy Elphame rozblęły.

- A może powiedzieć jej, że Cuchulainn ostatnio wygląda na przemęczonego?!

Brighid zaśmiała się.

- Świetny pomysł! I wiesz co? Ty naprawdę myślisz całkiem normalnie!

- Dzięki. Proszę, powiedz to wszystkim. Mam już po dziurki w nosie tego traktowania mnie, jak kogoś

niespełna rozumu.

- Zrobię to z największą przyjemnością.

- Dzięki. A teraz, kiedy masz już pewność, że jestem zdolna udzielić ci rozsądnej odpowiedzi, pytaj.

Bo chciałaś mnie o coś zapytać, prawda?

Rozbawienie Brighid znikło. Przez chwilę milczała, zbierając myśli, a kiedy odezwała się, jej głos zabrzmiał bardzo poważnie.

- Tamtej nocy, kiedy zabiłaś dzika w jarze, byłaś tam sama? Czy ktoś z tobą był?

- Razem ze mną? Ktoś? O co ci chodzi, Brighid? Elphame starała się ze wszystkich sił, by jej twarz była

bez wyrazu, głos spokojny.

- Chodzi o to, że znalazłam martwego dzika z poderżniętym gardłem. Leżał na środku strumienia.

Znalazłam też miejsce, gdzie ty upadłaś. I znalazłam też ślady, które na pewno nie są twoimi śladami.

- Nie są moimi? Nie rozumiem - powiedziała Elphame, czując, jak wszystko w niej zamiera.

Nienawidziła kłamstwa, nigdy w życiu nie kłamała. Dopiero teraz, po tym wypadku. I bolało ją, że swoje przyjaciółki wprowadza w błąd.

- Ja też nie rozumiem. Przyznaję, było już ciemno i zaczęło padać, deszcz zaczął rozmywać ślady, ale to, co udało mi się zobaczyć, było niezwykle. Ślady zwierzęcia, jakiego nigdy dotąd nie spotkałam.

Czy wiesz... - Brighid spojrzała na Elphame z wyraźnym niepokojem - że podobne ślady widziałam w

lesie koło zamku?

W tym momencie Elphame przede wszystkim dokonała nadludzkiego wysiłku, tłumiąc w sobie dławiący strach. Po czym najbardziej nonszalanckim głosem, na jaki było ją stać, spytała:

- A może był to jakiś wielki niedźwiedź? Przecież wiadomo, że w tych lasach od stu lat nikt nie polował, może jakieś zwierzęta rozmnożyły tu się nadmiernie.

Brighid westchnęła.

- Może i tak. Ale na pewno nie były to ślady niedźwiedzia, tylko jakiejś istoty dwunożnej. Nie chcę posuwać się za daleko, ale... ale kto wie, może do Partholonu powróciły smoki?

Zdumienie Elphame było absolutnie szczere. Nie musiała niczego udawać. Od stuleci o smokach opowiadano w bajkach, śpiewano w balladach. Jeśli nawet żyły kiedyś naprawdę, to od setek lat nikt ich nie widział.

- Myślisz, że mi się tylko coś przywidziało? - zapytała Brighid.

- Ależ skąd! Wierzę każdemu twemu słowu. Może rzeczywiście w tym lesie są smoki... - Elphame spojrzała na Brighid i uśmiechnęła się. - Tylko nie mów o tym Cuchulainnowi. Zaraz chwyci za włócznię i wybiję biedne smoki, co do nogi! A tak na serio, Brighid, proszę, obiecaj mi coś. Dzięki temu będę miała czyste sumienie.

Łowczyni uniosła pytająco brew.

- Bez względu na to, co to była za istota, nie trop jej. Daj sobie z tym spokój, przynajmniej odczekaj do chwili, gdy w zamku zacznie toczyć się normalne życie i będziesz mogła skrzyknąć sobie do pomocy

inne Łowczynie.

Elphame czuła, jak każde jej słowo wypala na niej piętno zdrajczyni, najgorszej z najgorszych. W tym momencie zdradzała i Lochlana, i swoją przyjaciółkę. Nie wiedziała jednak, co innego powiedzieć albo co zrobić.

Brighid wzruszyła lekko ramionami.



- Jak sobie życzysz, Elphame. Ja i tak mam pełne ręce roboty. Zdobywać pożywienie dla coraz większej hordy!

Poszły dalej brzegiem klifu, obie pogrążone w milczeniu, obie pochłonięte tą samą myślą. O śladach szponów w lesie.

## **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

- Ei! Tutaj!

Cuchulainn, stojąc koło zamkowej bramy, machał ręką, przyzywając do siebie siostrę i Łowczynię.

Elphame, choć zmartwiona, że ten niedługi przecież spacer okazał się dla niej tak męczący, zmusiła się do uśmiechu. Jednocześnie wyprostowała się, wcale się przy tym nie krzywiąc - mimo że prawa ręka natychmiast przypomniwała, że wcale jeszcze nie jest zdrowa.

Kiedy razem z Brigid podeszła do brata, z zamku wybiegła Brenna, ocierająca ręce o spryskany krwią fartuch. Na widok Elphame i Brigid wydała z siebie radosny okrzyk, kiedy jednak podeszła wystarczająco

blisko, by dokładnie widzieć swoją podopieczną, natychmiast z przyjaciółki przeistoczyła się w zatroskaną Uzdrowicielkę.

- Jak z ręką robotnika? Mam nadzieję, że rana nie jest poważna? - spytała Elphame.

- Dojdzie do siebie. Ale w przyszłości, kiedy będzie zajęty piłowaniem, powinien powstrzymać się od machania do ładnych dziewcząt - odparła Brenna, spoglądając spod przymrużonych powiek na bladą, ściągniętą twarz Elphame.

- Nie wiem, czy nie pospieszyliśmy się z tą niespodzianką dla ciebie - powiedziała surowym głosem i nie zważając na protesty Elphame, odsłoniła jej bok, żeby sprawdzić opatrunek na ranie.

- Jak z nią? Może kazać przynieść tu szezlong? - spytał Cuchulainn, spoglądając ponad ramieniem Brenny.

- Nie! Ona nie potrzebuje szezlongu! - Elphame, obciągając suknię, spojrzała na nich ze złością. - Ona potrzebuje kąpieli, czegoś porządnego do zjedzenia, a nie tylko cienkiej zupki. Poza tym chwili samotności!

Kąciki ust Brenny drgnęły, na jej twarzy pojawił się rozbrajający, krzywy uśmiech.

- W takim razie będziesz bardzo zadowolona z niespodzianki.

- Niespodzianka?! A cóż to niby za niespodzianka, jeśli wolno spytać?!

Elphame całą siłą woli powstrzymywała się, żeby nie zazgrzytać zębami. Cała ta trójka zdecydowanie

zaczynała jej działać na nerwy. Bo ona nie potrzebuje żadnych głupich niespodzianek, tylko kąpieli, porządnego posiłku i chwili samotności, żeby mogła spokojnie to i owo przemyśleć sobie i wyciszyć się. Bo mocnych przeżyć jakoś ostatnio jej nie brakowało.

- Chodź ze mną, siostró - powiedział Cuchulainn i uśmiechając się tajemniczo, wziął ją pod rękę i poprowadził przez bramę.

- Elphame! Jak to dobrze, że milady doszła już do siebie!

El spojrzała w górę, skąd dobiegł męski głos. A dobiegł z zamkowego muru, dokładniej z niedawno odbudowanego ganku dla straży zamkowej. Pomachała do mężczyzny, odnajdując w pamięci jego imię.

- Dziękuję, Brendan!

Kiedy przechodziła przez puste odrzwia w murze wewnętrznym, jeszcze kilku robotników powitało ją

radosnym okrzykiem. Każdemu z nich miło podziękowała, a kiedy weszła już do zamku, na główny dziedziniec, stanęła jak wryta. Porażona, ile zrobiono tutaj w ciągu zaledwie pięciu dni.

Zamek wyglądał jak nowy. Woda w fontannie szemrała i gulgotała, ktoś przyniósł z lasu dorodne krzewinki wrzosów, które posadzono w glinianych dzbanach i ustawiono wokół dziewczyny z marmuru. Do nowych uchwytów na ścianach i kolumnach powkładano płonące pochodnie, lśniąca posadzka była czyścusiętka, bez jednej plamki. Piękna, jakby całe stulecie zaniedbania nie zaszkodziło jej urodzie. Przeciwnie, wpłynęło na nią wielce korzystnie.

- Och, Cu! Te kolumny!

Podeksytowana, ścisnęła go za ramię, wbijając wzrok w największą kolumnę na środku dziedzińca, która stała tam jak żołnierz na warcie. Dumna i czujna. I pieczołowicie odnowiona. Rozedrgane światło pochodni głąskało kunsztowny ornament z przeplecionych węzłów i powtarzających się motywów - kwiatów, ptaków i wspinającej się klaczy.

Ta kolumna po prostu nuciła sobie z zadowolenia, tę samą radosną melodię, jaką wyśpiewywała teraz

dusza Elphame. Elphame wcale nie musiała dotykać kolumny, by to Wyczuć, ale podeszła, pragnąc nawiązać z nią głębszą więź. Jednocześnie jednak poczuła na sobie wzrok co najmniej tuzina par oczu,

a to przypomniało jej, że nie jest tu sama. Dlatego zacisnęła dłonie w pięści i przycisnęła do boków.

Nie, nie ma sensu robić z siebie teraz przedstawienia przed tak liczną publicznością.

O kamienną posadzkę mocno zastukały czyjeś kopyta. Z grupki robotników w pobliżu fontanny wysunął się Danann.

- Kamień cię wzywa, Elphame. Masz rzadki dar, nie wahaj się z odpowiedzią.

Stary centaur powiedział to półgłosem, ale jego słowa i tak słychać było na całym, coraz bardziej zatłoczonym dziedzińcu.

Elphame spojrzała spłoszonym wzrokiem na centaura, potem omiotła spojrzeniem cały dziedziniec.

- Nie rozpraszaaj się - powiedział Danann, teraz bardzo cicho, wprost do jej ucha. - Kiedy kamień przemawia do ciebie, możesz zrobić tylko jedno. Odpowiedzieć mu.

- Wyszło to trochę szorstko, dlatego uśmiechnął się.

- Zamek MacCallana jest twoim przeznaczeniem, Bogini. Wzywał cię, kiedy byłaś daleko, wzywał przez długi, długi czas. Teraz musisz mu odpowiedzieć. Niech mu odpowie twoja dusza i twoje ciało.

Elphame z przejęcia oblizwała wargi i przełknęła z wielkim trudem. Słowa Dananna miały sens, była przecież związana z tym zamkiem - z jego murami, ścianami, posadzkami, kolumnami. I z duchami przeszłości. Pragnęła tego związku, pragnęła z całego serca.

Jeszcze jedno spojrzenie na Dananna.

Danann skinął głową zachęcająco.

Skupiła się i przyłożyła dłonie do centralnej kolumny. Pod jej palcami stary kamień natychmiast zaczął się nagrzewać, mięknać. Był coraz cieplejszy, ciepło przenikało do rąk Elphame i rozchodziło się po całym ciele. Jednocześnie w jej głowie rozległ się radosny okrzyk.

- Wiara i wierność!

Serce Elphame aż podskoczyło, kiedy usłyszała tak dobrze znane jej słowa. To było zawołanie Klanu Mac-Callanów, teraz wykrzykiwane przez kamienie mocnym, zdecydowanym głosem. Głosem zwycięzców. Elphame też krzyknęła, choć cichutko, czując się teraz bezgranicznie szczęśliwa. Jednocześnie kątem oka zauważyła, że brat chciał do niej podejść, ale Dannan powstrzymał go.

- Twojej siostrze nie stanie się nic złego - powiedział półgłosem, kładąc swoją starą pomarszczoną dłoń o sękatych palcach na ramieniu Cu. - Ona czerpie siłę z tych kamieni.

Słowa starego Mistrza Kamieniarza Elphame słyszała jak przez mgłę, ale ich treść dotarła do jej świadomości. Czy naprawdę można czerpać siłę z tych kamieni? Przedziwna myśl. Czyżby istotnie było to możliwe?

Kiedy zastanawiała się nad tym, nagle w fali ciepła, zalewającej jej ciało, nastąpiła wyraźna zmiana. Jakby kamień usłyszał jej wątpliwości. Pod palcami znów zaczęło się robić zdecydowanie cieplej, prawie gorąco i nagle Elphame poczuła wielki przyływ energii. Jak u nurka, który po długim pobycie

pod wodą wynurza się na powierzchnię, ledwo żywy, ale wystarczy, że zaczerpnie powietrza i wstępują w niego nowe siły. On odżywał po łyku powietrza, Elphame czerpała siłę z kamienia. Ból w

jej ramieniu i boku wyraźnie złagodniał, ból głowy, prawdziwa udreka od pięciu dni, ustąpił całkowicie.

Zamknęła oczy, zrobiła kilka głębokich, oczyszczających oddechów i tak jak przed kilkoma dniami nauczył ją Danann, skupiła się, całą sobą wsłuchując się w kamień. Żywy kamień.

Dziękuję, szepnęła bezgłośnie. Nie wiem, dlaczego to właśnie mnie pozwalasz cieszyć się tym magicznym darem. Nie wiem. Ale jestem ci za niego nieskończenie wdzięczna.

Duch centralnej kolumny zamku odpowiedział. Tym razem nie były to fragmentaryczne odczucia, przekazywane El, lecz coś więcej.

Słowa.

- Długo czekaliśmy na powrót Przywódcy Klanu MacCallanów, długo czekaliśmy, by znów w tych murach zatętniło życie. Cieszymy się, Bogini, że przyjechałaś, by wziąć to, co twoje, co należy ci się z racji urodzenia.

Nagle wszystkie zmysły Elphame wyostrzyły się w stopniu wprost nieprawdopodobnym, budzącym lęk. Był to moment, kiedy jej duch jednoczył się z duchami kamienia. Chwila wstrząsająca,

oszałamiająca, przeżywała to przecież po raz pierwszy. Czuła, że chłonie jeszcze więcej energii, nieprawdopodobne jej ilości, a potem poczuła, że już stało się. Ona i zamek byli jednością, jedną żywą tkanką, mieli wspólną krew. Mury zamkowe były jej skórą, jej kończyny wieżami i częściowo odnowionymi komnatami i salami. A jej kręgosłup był kolumną centralną. Czuła w sobie każdy zakamarek, każdą najmniejszą wnękę zamku.

Zamek. Jej nowy dom. Myślała o nim ze wzruszeniem, czułe myśli przepływały przez fundamenty starej budowli, niosły ze sobą obietnicę nowego życia w starej siedzibie Klanu MacCallanów.

Cuchulainn stał nieruchomo i patrzył, jak Świat Du-

chów zawładnął jego siostrą. Ciężka dłoń Dananna nadal spoczywała na jego ramieniu, palce miał zaciśnięte, jakby stary centaur doskonale wiedział, że Cuchulainnowi niełatwo jest pozwolić siostrze wejść do świata, z którym on, Cuchulainn, nie chciał mieć do czynienia.

Ale nawet on, Cuchulainn, musiał przyznać, że to, co się teraz dzieje z Elphame, jest fascynujące.

Jeszcze przed chwilą zmęczona, zdenerwowana uległa na oczach brata transformacji. Kiedy zjednoczyła się z duchami, zmęczenie znikło, dotąd blade policzki pokrył zdrowy rumieniec, nawet włosy uniosły się lekko wokół jej głowy. Teraz Elphame emanowała siłą, siłą tego starego zamku.

Po raz pierwszy w życiu Cuchulainn zobaczył, jak w jego siostrze ożywa Bogini. Przez chwilę Elphame wydała mu się całkowicie obcą osobą, budzącą lęk. Wiedział jednak, że stało się to, czego Elphame zawsze pragnęła z całego serca. Porozumienie ze Światem Duchów. Jej życzenie spełniło się. On, brat, powinien się cieszyć, że w końcu Elphame spotkała się ze swoim przeznaczeniem. A tymczasem czuł wielkie przygnębienie, tak samo wielkie jak jego lęk.

Oderwał oczy od Elphame, spojrzął dookoła, na ludzi i na centaury. Wielu z nich złożyło ręce jak do modlitwy, dwie kobiety padły na kolana. Na wszystkich twarzach wypisany był strach i miłość, to samo, co on czuł do swojej niezwykłej, dotkniętej przez Boginię siostry. Ci ludzie tutaj pójdą za Elphame wszędzie. On, Cuchulainn, też skoczy za nią w ogień.

W tym momencie Elphame odrzuciła głowę w tył i z jej ust wydobył się okrzyk, bardzo mocny, bo

spotęgowany przez siłę duchów zamku MacCallana.

- Wiara i wierność!

- Wiara i wierność!

Cuchulainn odruchowo powtórzył stare zawołanie członków Klanu MacCallanów, którym zagrzewali się do walki. Okrzyk podjęli wszyscy. Jeden i potężny, bo z wielu gardeł, odbił się szerokim echem wśród starych murów z żywego kamienia. Odbił się echem w zasłuchanym lesie.

- Wiara i wierność!

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY**

Elphame, pocierając dyskretnie ręce, w których nadal czuła lekkie mrowienie, rozejrzała się dookoła.

Była szczęśliwa, że nawiązała więź z duchami kamienia. Radość ją rozpierała, radość tak wielka, że stanie bez ruchu w tym momencie było ponad jej siły - choć właśnie teraz czuła się wyjątkowo silna.

Silna, radosna, pełna nadziei. Jednocześnie jednak jej niespokojny wzrok przemykał po twarzach otaczających ją ludzi, bardzo niespokojny, nie była przecież pewna ich reakcji na to, co zobaczyli przed chwilą. Owszem, razem z nią wzniesli okrzyk. Ulegli magii podniosłej chwili. Ale co będzie dalej? Czy uznają ją jako Przywódczynię Klanu, czy będą od niej stronić, bać się jej? Albo - jeszcze gorzej - zaczną oddawać jej cześć?

Pierwsza odezwała się Meara, specjalistka od domowych porządków. Dygnęła przed Elphame, uśmiechnęła się i w jej rumianych policzkach pojawiły się urocze dołeczki.

- To ja nadzorowałam czyszczenie kolumn... - zaczęła cichym, nieśmiałym głosem, bardzo szybko

jednak zapanowała nad swoim zdenerwowaniem. - A tę największą czyściłam osobiście! - oznajmiła z

dumą, spoglądając na ogromną kolumnę niemal z czułością. - Ja nie potrafię tak jak ty porozumiewać się z duchami kamienia, ale potrafię je wyczuć, przysięgam. Wyczuwam ich siłę i zadowolenie z naszej obecności w zamku... - Meara impulsywnie wyciągnęła rękę i lekko uściśniła dłoń Elphame -

Miałś rację. To nasz wspólny dom.

Elphame uśmiechnęła się tylko. Ze wzruszenia nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. A obok Meary pojawił się jakiś młody mężczyzna. Skłonił się przed Elphame, a Elphame pomyślała, że to chyba jeden z mężczyzn, którzy tamtej nocy, po wypadku, sadzali ją na grzbiecie Brighid. Chciała mu przypomnieć o tym, podziękować, ale młody człowiek ją ubiegł. Padł przed nią dramatycznie na kolana i przemówił z żarliwością młodości.

- Nigdy nie miałem takiego miejsca, które mógłbym nazwać swoim domem. Jestem najmłodszym synem, przez całe moje dotychczasowe życie czułem się kimś w rodzaju gościa. Myślę, że wielu z nas

tutaj przeżywało coś podobnego... - na moment zamilkł, przemykając wzrokiem dookoła, po twarzach ludzi i centaurów. Kilku z nich pokiwało głowami, słychać było słowa potwierdzenia. - Ale mam to już za sobą. Nie urodziłem się jako członek Klanu MacCallanów, ale kiedy pracowałem przy odbudowie muru, też wyczułem w tych kamieniach dziwne przyciąganie. Po raz pierwszy w życiu mam wrażenie, że pasuję do tego miejsca. Jakby ten zamek miał swoje fundamenty też i we mnie. Jeśli ty, Przywódczyni Klanu MacCallanów, przyjmiesz mnie do swego klanu, złożę ci przysięgę na wierność i z dumą będę nosił szlachetne nazwisko klanu aż do mojej śmierci, i potem, jeśli taka będzie wola Epony.

- Ja też! - krzyknął jakiś mężczyzna, stojący na prawo od Elphame i też padł na kolana.

- Ija!

Elphame z ogromnym wzruszeniem patrzyła, jak wszyscy zgromadzeni na zamkowym dziedzińcu, i ludzie i centaury, z dumną Łowczynią z plemienia Dhianna włącznie, padają na kolana. Wszyscy, oprócz Cuchulainna i Dananna.

A potem Cuchulainn podszedł do siostry.

- Ja, oczywiście, należę już do Klanu MacCallanów - powiedział, przyklękając na jedno kolano. - Ale



dzisiaj przylączę się do innych i też przysięgam ci wierność, mojej siostrze i Przywódczyni mojego Klanu.

Po Cuchulainnie głos zabrał stary Danann.

- Dziesiątki lat temu przysięgałem na wierność Świątyni Epony, a są to więzy, których nie mogę zerwać. Chciałbym jednak niniejszym potwierdzić, że jesteś prawowitą dziedziczką Klanu MacCallanów, a ja byłem świadkiem, jak członkowie Klanu dzisiaj składali ci przysięgę na wierność. Powiedział to i skłonił się szarmancko przed Elphame.

- Dziękuję, Danannie. Bądź więc także świadkiem mojego oświadczenia. Jako Przywódczyni Klanu przyjmuję przysięgę od każdego obecnego tu dzisiaj człowieka i centaura - oznajmiła Elphame jasnym, dźwięcznym głosem, mocnym siłą zamku MacCallana, choć jednocześnie bliska była uronienia kilku łez, naturalnie łez szczęścia. - I stwierdzam, że wiąże ich wierność wobec siebie i ze sobą, tak jak wiązała naszych przodków.

Elphame podniosła obie ręce i zaintonowała nieśmiertelne słowa wiązania członków klanu z ich przywódcą:

- Poprzez głęboki spokój przepływającego powietrza wiąże was ze sobą.

Poprzez głęboki spokój domowego ogniska

wiąże was ze sobą.

Poprzez głęboki spokój płynącej fali

wiąże was ze sobą.

Poprzez głęboki spokój cichej ziemi

wiąże was ze sobą.

Poprzez te cztery żywioły ja, Przywódczyni Klanu MacCallana, wiąże was ze sobą, a duch naszego klanu pieczętuje naszą więź. Jak zostało powiedziane, tak zostanie uczynione.

Powstań, Klanie MacCallanów!

Nowo powstały klan z radosnymi okrzykami zerwał się na równe nogi. Elphame, dyskretnie ocierając

łzy szczęścia, patrzyła, jak członkowie klanu składają sobie nawzajem gratulacje. Nagle, nie wiadomo

skąd, pojawiły się bukłaki, powitane entuzjastycznie. Zaczęły krążyć z rąk do rąk, wszyscy wznosili toast za pomyślność Klanu MacCal-łanów.

- Dobra robota, siostrze moja - szepnął jej Cu do ucha i serdecznie ją uściśnął.

- Mam wrażenie, że żyję we śnie, Cu...

Sen... To słowo natychmiast obudziło w niej wspomnienie, wspomnienie zrodziło pragnienie, nagle i zaskakujące. Jakżeby chciała, żeby teraz obok niej stał Lochlan... Czy złożyłby jej przysięgę na wierność? Jeśli tak, co na to Cuchulainn? Czy Lochlan mógłby stać się jednym z nich? Czy Cu zobaczyłby w nim kogoś więcej,

nie tylko odwiecznego wroga, czy Lochlan jednak byłby dla niego wyłącznie zagrożeniem, kimś, kto wbije się klinem między nią a jej klan?

- Cu! Oni należą do mnie!

- Tak. My wszyscy, El, należymy do ciebie - powiedział wojownik, uśmiechając się do siostry.

Któryś z mężczyzn wyjął flet i zaczął grać skoczną melodię. Niebawem zawtórował drugi flet, chwilę potem lira. Elphame uśmiechnęła się, bardzo zadowolona. Chciała tańczyć, śpiewać, radować się całą

noc, nie zdążyła jednak złapać Cu za rękę i pociągnąć do tańca, poczuła bowiem na ramieniu czyjąś ciężką dłoń. Odwróciła się i spojrzała prosto w mądre oczy Dananna.

- Siła, którą zaczerpnęłaś od kamieni, Bogini, wkrótce zniknie. To było tylko chwilowe, uważaj na siebie.

Cuchulainn, jak zawsze bardzo troskliwy, szybko wziął siostrę pod ramię, jednocześnie szukając wzrokiem kogoś w tłumie. Wreszcie wypatrzył. Ciemną głowę Brenny, pochyloną, gęste włosy zasłaniały oszpeconą połowę twarzy. Stała obok Łowczyni. Musiała poczuć na sobie wzrok

Cuchulainna, bo poderwała głowę i skinęła nią skwapliwie, dając znać, że już do nich idzie. Ruszyła w ich stronę, za nią Łowczyni.

Cu, usatysfakcjonowany, odwrócił się do siostry.

- Widzę po twoich oczach, siostrze moja, że teraz płąsy ci w głowie. Zastanów się jednak, czy warto zaciągnąć mnie do tańca. Chyba że naprawdę chcesz zemdleć na oczach wszystkich!

- Jesteś bardzo blada! - zawołała Brenna, pojawiając się nagle obok Elphame. - Jak głowa? Boli?

- A bo co? - rzuciła zuchwale Przywódczyni Klanu. - Jeśli boli, zaraz każesz mi wypić jakieś ziółka?

- Oczywiście!

- W takim razie oświadczam, że moja głowa ma się doskonale - oznajmiła Elphame i natychmiast skrzywiła się, czując bolesne ukłucie w skroni.

Brenna zaśmiała się.

- Nie umiesz kłamać, Elphame.

- A ja myślę, że najwyższy czas wystąpić z naszą niespodzianką - powiedział Danann i cała pozostała trójka, Cuchulainn, Brighid i Brenna, rozpromieniona, jak jeden mąż pokiwała głową.

- Klanie MacCallanów! - zawołał Cu. Radosny gwar natychmiast ucichł. - Wasza przywódczyni oddali się teraz do swoich pokoi, żeby odświeżyć się i wypocząć przed wieczorną ucztą!

Elphame, całkowicie dezorientowana, zmarszczyła brwi. Do jej pokoi? Co on wygaduje? Chyba chodziło mu o namiot?

Rozbawione spojrzenia, radosne pokrzykiwania i życzenia miłego wypoczynku świadczyły, że cały ten tłum jest we wszystko wtajemniczony. A więc cóż ten Cu wymyślił? Na pewno jakąś prowizorkę w obrębie zamkowych murów. Ten pomysł podobał jej się, bez względu na to, czy będą to luksusy, czy coś bardzo prymitywnego.

Uśmiechnęła się, pomachała wszystkim, a Cu, za którym podążały Brenna i Brighid, poprowadził ją zamkowym korytarzem, oświetlonym jasno pochodniami. Korytarz skręcał w prawo. Elphame szła, rozglądając się z wielką ciekawością. W tej części zamku były pomieszczenia dla służby, El bywała

tu

rzadko, najbardziej była przecież przejęta odnawianiem zamkowych kuchni, dziedzińców i wielkich sal, czyli pomieszczeń przeznaczonych dla wszystkich mieszkańców zanku. Oczywiście, jej sercu najbliższe było serce zamku, czyli główny dziedziniec z fontanną.

- Dokąd mnie prowadzicie?

Cuchulainn uśmiechnął się tylko enigmatycznie. Elphame westchnęła. Za dobrze znała swego brata.

Ta konkretnie mina oznaczała, że teraz nic nie da się z niego wyciągnąć.

- Ale ty jesteś uparty, Cu. Osioł, osioł... - mruknęła.

- Zawsze taki byłeś!

Z tyłu usłyszała ciche prychnięcie, potem komentarz Brighid.

- Wiadomo, rodzeństwo! Brenna zachichotała.

Elphame gniewnie spojrzała przez ramię na swoje obie przyjaciółki.

- Jestem najstarsza z rodzeństwa, chyba mam prawo wymagać!

Teraz prychnął cicho Cuchulainn.

Po lewej stronie pojawił się mały korytarzyk. Kiedy weszli tam, okazało się, że korytarzyk ten jest ślepy zaułkiem. Na jego końcu znajdowały się masywne sosnowe drzwi, na których wyrzeźbiono herb MacCallanów

- wspinającą się klacz. Po obu stronach drzwi płonęły jasno pochodnie, w ich blasku starannie wypolerowana powierzchnia drzwi lśniła jak lustro.

Elphame musnęła palcami kunsztownie wyrzeźbioną klacz.

- Piękna! Trudno uwierzyć, że ogień ją oszczędził.

- Nie oszczędził. To nowe drzwi. A klacz wyrzeźbił Danann. Powiedział, że na drzwiach, prowadzących do pokoi Przywódczyni Klanu, może być tylko herb Klanu.

- Pokoje Przywódczyni... - powtórzyła z wolna Elphame. Te słowa dla niej były nieskończenie

magiczne.

- Tak - potwierdził Cuchulainn. - To prezent od członków twojego klanu.

Otworzył drzwi. Pierwsze, co zobaczyła Elphame, to światło. Jasne światło, złociste. Przez wąskie okna w dwóch ścianach wpadało co prawda szarzejące już światło dnia, ale w tym pokoju wcale nie było szaro. Zapalono już pochodnie na ścianach i świece w wysokich, metalowych kandelabrach, w ogromnym kominku wesoło trzaskał ogień. Umeblowanie było raczej skromne. Prosty sosnowy stół, kilka krzeseł, toaletka, nad którą wisiało duże lustro w ozdobnej ramie, no i łóżko. Wielkie, przykryte pięknie haftowaną narzutą w znajomy wzór - przeplecione węzły. W nogach łóżka ustawiono połączony szezlong.

Elphame podeszła do łóżka i pogłaskała narzutę, pod którą pęczniała mięciutka puchowa kołdra.

- To na pewno sprawka Mamy - powiedziała, uśmiechając się do brata. - Pościel, szezlong, lustro...

- Zgadłaś. Dziś rano przyjechał wyładowany wóz. Nasza zapobiegliwa Matka pomyślała nawet o kilku beczułkach najlepszego wina i o tym. - Wskazał na połączony szezlong i kryształowe lustro w wyjątkowo ozdobnej ramie.

Elphame czuła, jak zaczyna ogarniać ją śmiech.

- Mama najlepiej wie, bez czego człowiek nie może się obejść.

Przypomniała sobie, jak w jej śnie matka pytała Eponę: „Czy mogę jej przynajmniej posłać wino, pościel z cienkiego płótna? Przecież ona żyje tam w barbarzyńskich warunkach". I dopięła swego!

Epona łaskawie zezwoliła posłać córce kilka niezbędnych rzeczy, jak szezlong i lustro. Elphame w swoim śnie podsłuchiwała rozmowę matki z Boginią. Dlaczego? Bo Bogini miała taki kaprys? Może, w każdym razie dzięki temu Elphame dowiedziała się, że matka ufa jej, a Bogini czuwa nad nią.

Nagle w jej głowie odezwał się głos, prawie tak bliski, tak znajomy jak głos matki. Mimo że słyszała go tylko raz.

- Jak mogłaś kiedykolwiek w to wątpić, Umiłowana? Głos Epony! Głos Bogini! A to oznacza, że

Elphame

należy do Bogini. Należy do Niej, choć inaczej niż jej matka. Należy do Niej w jedyny, niepowtarzalny sposób, tak samo niezwykły, jak niezwykle jest ciało Elphame.

Wreszcie poczuła, jak cała się odprężyła. Jak po długim, długim czasie, teraz dopiero, dokładnie w tym momencie stało się coś niezmiernie ważnego. Zaakceptowała siebie taką, jaką jest.

Drżącą ręką pogłaskała jeszcze raz miękką kołdrę, śląc w duchu Bogini najgorętsze podziękowania.

Cuchulainn uśmiechnął się triumfująco do Brenny i Brighid.

- Mówiłem wam, że zaniemówi z wrażenia!

- Miałaś rację - powiedziała Brenna, uśmiechając się do niego przez łzy. - Pokażmy jej teraz resztę.

- Coś jeszcze? - spytała zdziwiona Elphame.

Trzy głowy zgodnie wykonały ruch, oznaczający przytaknięcie, a Elphame pomyślała, że Cu, Brenna i Brighid wyglądają jak trójka zachwyconych dzieciaków. Teraz najmniejsze z nich, czyli Brenna, wzięło Elphame za rękę i podprowadziło do niewielkich gotyckich odrzwi w rogu pokoju, dokładnie tam, gdzie stykały się dwie ściany.

Było to wejście do okrągłej wieży, na którą wchodziło się po stromych, kręconych kamiennych schodach, przyklejonych do grubej ściany. Elphame przechyliła głowę na bok, spojrzała w górę i zauważyła na końcu schodów coś w rodzaju podestu.

- Pamiętasz, dziś rano kończyłam szkic zamku - powiedziała Brenna. - Poprawiałam wieżę, bo w ostatnich dniach została całkowicie odbudowana. To jest właśnie ta wieża, Elphame. Wszyscy chcieliśmy najpierw odbudować

wieżę Przywódcy Klanu, teraz, wyrażając się ściślej, Przywódczyni Klanu.

- Wszyscy tego chcieli, absolutnie wszyscy - potwierdziła Brighid.

- Trochę tu jeszcze pusto - dodał Cuchulainn - ale z czasem sama sobie wszystko urządzisz.

Poustawiasz książki i tak dalej. W każdym razie to są twoje pokoje w zamku, twoja wieża.

- Ja... - Elphame, jako że gardło miała ściśnięte ze wzruszenia, najpierw musiała odchrząknąć. - Ja nie mogę się doczekać, kiedy wejdem do wieży.

Zrobiła krok do przodu, ale Brenna złapała ją za rękę. Brenna, już nie przyjaciółka, lecz surowa, nieustępliwa Uzdrowicielka.

- Nie, Elphame. Moim zdaniem, to wcale nie jest dobry pomysł. Oczywiście, jestem świadoma, że właśnie złożyłam ci przysięgę na wierność, ale jeśli chodzi o twoje zdrowie, ja decyduję, nie ty.

Zamiast wycieczki po tych schodach powinnaś odpocząć i coś zjeść.

Zanim Elphame zdążyła zaprotestować, włączył się Cu:

- Ta wieża stoi tu ponad sto lat, może poczekać na ciebie jeszcze jeden dzień.

- A poza tym wydawało mi się, że marzysz o kąpeli - dodała Brenna, i oczy Elphame rozbłysły.

- Jeśli rzeczywiście wyczarujecie tu za chwilę wannę i będę mogła się wykapać, obiecuję, że chwilowo zapomnę o wieży. Na pewno do jutra rana.

- A po co wanna! - Brighid zaśmiała się, Cu i Brenna zawtórowali. - Porafimy naszej przywódczyni zapewnić lepsze warunki do kąpeli. Proszę za mną, milady.

Łowczyni machnęła swoim wspaniałym ogonem blond i doprowadziła Elphame do wielkiego kominka, a dokładniej do wielkiej dziury w ścianie tuż obok kominka, której Elphame przedtem nie zauważyła. Wyglądała niesamowicie, jakby jakaś gigantyczna ręka rozpruła tu ścianę.

Elphame patrzyła zaintrygowana, jak Brighid wchodzi w mroczną czeluść. Po chwili do jej uszu dobiegł przytłumiony głos.

- Bądźcie ostrożni! Od tej pary jest tu bardzo ślisko! Nogi mi się rozjeżdżają!

Elphame zrobiła ostrożny krok i wstąpiła w mrok, gdzie napotkała... schody. Szerokie schody, oświetlone światłem pochodni, wetkniętych w uchwyty na ścianie. Prowadziły w dół i skręcały w lewo. Brighid była już prawie na samym dole.

- Śmiało, Elphame! - zawołał Cuchulainn, widząc, że siostra się waha. - Schodź, nie bój się, na pewno będziesz zachwycona.

Elphame zeszła po schodach bardzo ostrożnie, skręciła w lewo, zeszła jeszcze po kilku stopniach i

znalazła się w małym pomieszczeniu, podobnym do jaskini, na środku której był basenik, mały, ale głęboki, otulony kłębam gorącej pary. Wodę do baseniku dostarczał mały wodospad, bardzo niespieszny, leniwie spływający po jednej ze ścian. W posadzce na drugim krańcu pomieszczenia Elphame zauważyła wyżłobiony w kamieniach odpływ dla wody, stało tam też kilka piecyków koksowych, załadowanych teraz gładkimi okrągłymi kamieniami. Czyli wiadomo, rozgrzane kamienie wkłada się do baseniku, dzięki temu woda w nim jest gorąca.

- Kobiety naznosiły ci mydeł i różnych olejków - powiedziała Brighid, wskazując na imponującą kolekcję słoików i buteleczek ustawionych koło baseniku. - Każda z nas przyniosła swoje ulubione. - Brighid nachyliła się i popukała w duży słoik. - Ja, oczywiście, polecam kamień mydlany.

Brenna wskazała na jedną z butelek.

- A ja wybrałam olejek z rumiankiem, bardzo go lubię. Zawsze przynosi ulgę. Nie zapomnij posmarować nim swego boku. I pamiętaj, Elphame, nie wolno ci za długo siedzieć w wodzie.

- Bądź spokojna, Brenno. Nie będę przesadzać.

- A ja nie przyniosłem ci żadnego olejku ani mydła - powiedział brat z uśmiechem. - Ale oczarowałem

właścicielkę gospody w Loth Tor do tego stopnia, że podarowała kilka ręczników.

Elphame aż westchnęła.

- Czyli jest cudownie...

- Jeszcze nie! - zawołała Brighid, wycofując się już w stronę schodów. - Cudownie będzie, kiedy my już sobie stąd pójdziemy i nikt podczas kąpieli nie będzie cię dręczył sprawdzaniem pulsu i pytaniem, czy jeszcze oddychasz!

Brenna spiorunowała ją wzrokiem, ale nie protestowała, kiedy Łowczyni chwyciła ją za ramiona i popchnęła w stronę schodów. A potem spojrzała na Cuchulainna.

- Twoja siostra potrafi się sama umyć.

- Nie wątpię... - mruknął Cuchulainn, wstępując na schody.



- Dzięki, Brighid - powiedziała Elphame. - Jesteś prawdziwą przyjaciółką.

- Dla naszej Przywódczyni Klanu wszystko! - powiedziała Brighid, puszczając do niej oko. - Aha, i jeszcze jedno. Dziś wieczorem zaplanowaliśmy prawdziwą ucztę z okazji twojego powrotu do zdrowia. Dla ciebie zarezerwowane jest specjalne danie, bo udało mi się upolować coś specjalnego. Dla ciebie.

- Dla mnie? A co to takiego?

- Dzik!

Elphame, nie zwracając uwagi na tępy ból w skroni, odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła głośnym śmiechem.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

Elphame przyłożyła rękę do chorego boku i oddychała głęboko, starając się uspokoić rozszalałe serce.

Brenna, jak zwykle, miała rację. Wspinaczka po stromych, kręconych schodach była jeszcze ponad siły Elphame, ale, niestety, nie była w stanie oprzeć się pokusie. Koniecznie jeszcze tego dnia musiała wejść na słynną Wieżę Przywódcy Klanu - swoją wieżę, co oczywiście przypłaciła zadyszką i tępym

bólem w całym ciele. Ale poza tym, choć trochę zmęczona, trochę przejeżdżona, czuła się znakomicie.

Długie moczenie się w wodzie - głowę myła trzy razy - było tym, czego potrzebowała najbardziej.

Chociaż nie,

w tym samym stopniu łaknęła posiłku. I dostała! Pieczonego dzika! Podczas uczy-wspaniałej, naprawdę będzie co wspominać - wszyscy zasiedli za nowymi stołami o rozmiarach dostosowanych zarówno do rozmiarów człowieka, jak i centaurów. Wszyscy ucztowali. W oknach wielkiej sali zanikowej nie było jeszcze szyb, ściany były jeszcze osmalone, gobeliny dopiero tkano, ale wszyscy byli razem i już wyczuwało się silną więź między członkami klanu. Elphame z jednej strony miała za sąsiadkę Brennę, obok której siedziała Brighid. Z drugiej strony siedział Cuchlainn, dalej stary Danann, a wszędzie dookoła członkowie klanu. Jedli, pili i weselili się, jak to podczas uczy

przystało.

Było tak radośnie, że Elphame bardzo szybko zapomniała o swoim ciągle jeszcze obolałym ciele.

O czymś innym jednak nie mogła zapomnieć. Raczej o kimś - o Lochlanie.

To dlatego co jakiś czas spoglądała w dal niewidzącym wzrokiem i podczas rozmowy przy stole traciła wątek. Nikt się temu nie dziwił, choć nikt nie znał prawdziwego powodu jej zamyślenia.

Tłumaczono to osłabieniem. Niemożliwe, żeby Przywódczyni po tak ciężkich obrażeniach całkowicie odzyskała siły, na to jeszcze stanowczo za wcześnie.

Najchętniej siedziałaby tak całą noc, otoczona swoim klanem i zagłębiona we własnych myślach.

Niestety Brenna nalegała, by Elphame udała się już na spoczynek. Nawet groziła, że jeśli będzie oporna, zaparzy jej ziółek.

Kiedy Elphame opuszczała salę zamkową, zewsząd życzo jej dobrej nocy i pięknych snów. Ze spełnieniem tych życzeń był jednak pewien kłopot. Bo choć w swoim pokoju miała warunki dalekie od barbarzyńskich, choć nikt tu nie zakłócał jej spokoju, a zmęczone, osłabione ciało pragnęło łóżka - jedna jego część, czyli głowa, wcale nie miała ochoty na odpoczynek. Za dużo było w niej niespokojnych myśli.

Miała swój dom, miała swój klan. Brakowało tylko towarzysza życia.

Męża. Czy Lochlan istniał naprawdę? Teraz, kiedy wchodziła po kręconych schodach na Wieżę Przywódcy Klanu, miała mnóstwo wątpliwości. Wtedy, w lesie, kiedy patrzyła Lochlanowi prosto w oczy, wszystko wydawało się jasne i proste. W szarych oczach Lochlana widziała swoją przyszłość.

Ale teraz, mocno osadzona w swojej rzeczywistości, nie miała już żadnej pewności, tylko moc pytań.

Tak bardzo chciała znów z nim się spotkać, porozmawiać, pobyc z nim, żeby poznać go lepiej. On, jak

się wydawało, znał ją bardzo dobrze. Doskonale wyczuwał jej nastroje, jakby całe dotychczasowe życie spędzili razem. Ale dla niej Lochlan był tajemniczą, uskrzydloną istotą, z którą wspólna przyszłość była niemożliwa. Członkowie klanu nie byliby w stanie pojąć, dlaczego właśnie on

miałby

być jej mężem. Trudno im się dziwić, skoro dla niej samej było to raczej niepojęte.

Zanim doszła do szczytu schodów, już poczuła na twarzy powiew wiatru, niosącego ze sobą zapachy lasu. Do zapachu świeżo ciętego drewna, unoszącego się nad reperowanym dachem, dołączył zapach żywych drzew. Zapach lasu. Elphame odruchowo wciągnęła go mocno w płuca. Przecież ten zapach przypominał jej Lochlana...

Schody skończyły się i Elphame stanęła na posadzce pokoju na szczycie Wieży Przywódcy Klanu.

Sama wieża była o wiele większa niż myślała, idealnie okrągła, okna dookoła wąziutkie, bardzo wysokie, czyli nie okna, a otwory strzelnicze, rozmieszczone w jednakowej odległości od siebie. Na ścianach pochodnie, ale niezapalone, pod

ścianą kominek, też ciemny, bez ognia. Mrok wieży rozjaśniało tylko mdłe światło księżyca, dokładniej - półksiężyca.

Elphame powoli obróciła się dookoła, przyglądając się wszystkiemu bardzo uważnie. Jedno z okien wydało jej się zdecydowanie większe od pozostałych. Kiedy podeszła bliżej, zorientowała się, że to nie okno, lecz wyjście na mały balkon. Wyszła tam, odruchowo spojrzała najpierw w górę, w niebo, a

potem przed siebie. Widziała stąd front zamku, dalej las, od strony wschodniej. Bezkresne morze sosen, teraz wzburzone, szarpane porywistym wiatrem.

Nagle serce Elphame zabiło szybciej i jeszcze bardziej wyężyła wzrok. Czyżby tam, wśród ciemnych konarów, widać było zarys skrzydeł?

Niemożliwe, to tylko złudzenie...

Westchnęła i spojrzała w dół, na zamek. Przez szpary w nieskończonym dachu sączyło się światło, nadal słychać było muzykę, ale członkowie klanu powoli zaczęli opuszczać zamek. Ludzie i centaury, bardzo często pary, wychodzili z zamku i kierowali się w stronę namiotów, porozstawianych

przed zamkowymi murami. Cuchulainn twierdził, że kiedy miną dwie pełnie księżyca, większość członków klanu będzie już zakwaterowana w samym zamku.

Elphme bardzo się z tego cieszyła, chciała mieć już swoich ludzi blisko siebie, w swoich czterech ścianach.

Oparła rękę o kamienną balustradę. Prawie od razu poczuła delikatne mrowienie, zaraz potem ciepło.

Duch zamku dawał znać o sobie. Zamek MacCallana czuł dokładnie to samo, co Elphame. Bardzo chciał znów ożyć - a przecież tętniący życiem zamek MacCallana był największym marzeniem Elphame.

Nagły wiatr przyniósł odgłos czyichś kroków. Spojrzała w dół i zobaczyła, że przez zamkową bramę pozbawioną drzwi wybiega jakaś bardzo nieduża kobieta. Jej twarzy Elphame nie mogła dojrzeć, ale światło pochodni, umocowanej tuż koło bramy, dokładnie oświetliło postać. Była to Brenna.

Wybiegła z bramy i nagle znieruchomiła, jakby musiała zaczerpnąć powietrza. Potem nagle skuliła się, oparła plecami o zamkowy mur i zasłoniła rękoma twarz. Nawet z tej odległości Elphame widziała, jak plecy małej Uzdrowicielki drżą.

Brenna płakała! Dlaczego?! Co się stało?!

Wystraszona i zmartwiona Elphame ledwo zdążyła sformułować tę myśl, kiedy poczuła, jak jej ręka, oparta o balustradę, znów zaczyna wyczuwać ciepło i znów jej umysł nawiązuje łączność z kamieniem, podobnie jak wtedy przy kolumnie centralnej.

Umysł Elphame sformułował pytanie, pytanie przemyka jak błyskawica przez szkielet zamku. I widać to. Elphame aż krzyknęła cicho, kiedy z jej ciała nagle wysunęła się złocista nitka i pobiegła dalej, jakby ktoś rozwijał ją z kłębka. Pobiegła po kamiennych ścianach, prosto do miejsca, w którym mała Uzdrowicielka wspierała się plecami o zamkowy mur.

Rozpacz... samotność... tęsknota... Strzępki rozdzierających serce uczuć wróciły po nitce do kłębka.

Do Elphame, która przerażona bolesnymi emocjami Brenny, odruchowo zaczęła oddalać się psychicznie od kamienia, rozluźniać więź. Natychmiast jednak pojawił się wstyd. Z powodu swego

chórzostwa. Jak można odwracać się teraz od Brenny? Chować głowę w piasek? Brenna cierpi, ktoś ją zranił. Trzeba pomóc przyjaciółce - ona na pewno zrobiłaby to dla Elphame.

Zacisnęła zęby, zrobiła głęboki wdech i skupiła się, jak najbardziej, wpatrzona w drżące od płaczu plecy przyjaciółki. Poczła w sercu ból, nie swój ból. To bolało serce Brenny. Następne odczucie była to już emocja wyłącznie Elphame. Gniew. Kiedy Elphame wychodziła z sali zamkowej, Brighid i Brenna, obie uśmiechnięte, zajęte były rozmową. A potem coś się stało, ktoś bardzo zranił Brennę. Kto? Na Boginię! A gdzie podziewał się wtedy Cuchulainn?!

Krew zawrzała w rozjuszonych Elphame, gniew jak roztopiony ołów wlał się w kamień i złocista nie nagle zmieniła kolor. Na szkarłatny.

Brenna poderwała głowę. Jej plecy przestały drżeć. Elphame widziała, jak Uzdrowicielka otarła dłonią twarz, oderwała się od muru i wyprostowała. Odwróciła się, spojrzała w stronę zamku, jakby zastanawiała się, czy tam nie wrócić. Ale ponownie odwróciła się i ruszyła przed siebie zdecydowanym krokiem. Po chwili jej drobna postać znikła w mroku między namiotami.

Dokładnie w chwili, gdy Elphame straciła ją z oczu, z zamku wybiegł jakiś mężczyzna. Światło pochodni nie było potrzebne, Elphame od razu rozpoznała postać tak znajomą jak jej własna.

Cuchulainn. Przystanął i przez chwilę wpatrywał się w ciemności otaczające zamek. Do uszu Elphame, mimo dzielącej ich odległości, doleciało siarczyste przekleństwo. Zaklął dwukrotnie, po czym ruszył w stronę namiotów.

- Niestety, nie mamy żadnego wpływu na to, w kim lokujemy swoje uczucia. A szkoda, bo gdybyśmy mieli możliwość wyboru, byłoby nam o wiele łatwiej.

Głos ducha, niski, lekko zachrypnięty, z charakterystycznym miejscowym akcentem, dobiegał gdzieś z bardzo niedaleka. Zaskoczona Elphame odruchowo cofnęła się i natychmiast chwyciła za bok.

- Uważaj na ranę, dziewczyno. Jeszcze nie jesteś całkowicie zdrowa.

- Oczywiście, że nie jestem! - wydyszała Elphame. - A ty tak mnie wystraszyłeś, że omal nie spadłam z wieży.

Zaśmiał się.

- Nie chciałem cię wystraszyć. Ale zapomniałem się, kiedy zobaczyłem chłopaka. Tego... - Duch wskazał brodą w stronę, w którą poszedł Cuchulainn. - Ten głupkowaty młodzik ma naprawdę ciężki orzech do zgryzienia.

Wzruszył szerokimi ramionami, a Elphame na moment zaniemówiła. Bo duch w tym momencie był ludzako podobny do owego młodzika, czyli Cuchulainna.

- Ale nic na to nie poradzisz - powiedział dalej. - Miłość z każdego robi głupka. Ale mała Uzdrawicielka mnie martwi. Jeśli nie będzie potrafiła zaufać, nie potrafi też pokochać. - Nagle oderwał wzrok od namiotów i spojrzał przenikliwie na Elphame. - A co ty o tym myślisz, dziewczyno?

Elphame, trochę zbita z tropu jego pytaniem, milczała.

- Nie potrafisz odpowiedzieć? Tylko nie mów, że jesteś tak samo nierozgarnięta jak twój brat!

- Cuchulainn nie jest głupi - powiedziała, czując się nagle urażona. - Owszem, jest uparty, ale też bardzo lojalny. A w historii jestem niezła, wiem, że te dwie cechy ma wspólne z tobą.

MacCallan zaśmiał się tubalnie i oparł o balustradę.

- Nie mylisz się, dziewczyno! Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Jestem tego świadoma. A ty nie zapominaj, że rozmawiasz z Przywódczynią Klanu. Żadna przywódczyni nie lubi, kiedy traktuje się ją protekcyjnie!

- rzuciła porywczo Elphame. Wyprostowała się, skrzyżowała ramiona i zmierzyła płonącym wzrokiem starego ducha. A stary duch pokiwał głową z wyraźną aprobatą.

- Słusznie, że mi o tym przypominasz, dziewczyno. Masz charakter, a to bardzo mi się podoba.

Pozwól więc, że nieco inaczej sformułuję moje pytanie. Czy jako Przywódczyni Klanu aprobujesz związek swego brata z małą Uzdrawicielką?

- Tak. Myślę, że byłby to dobry związek. MacCallan pokiwał głową.

- Ja też tak myślę. Ale to nie wszystko, o co chciałem cię zapytać.

- Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

- A to, czy ty wierzysz, że miłość może istnieć bez wzajemnego zaufania. I zanim sierść ci się zjeży, pomyśl, że to nie jest banalne pytanie i każdy Przywódca Klanu powinien je rozważyć.

Elphame spokojnie wytrzymała jego wzrok. Ciekawe, ile ten duch już widział? Czyjego domeną jest wyłącznie zamek, czy obserwuje również, co dzieje się w pobliżu zamku. Czy to możliwe, żeby wiedział o Lochlanie? Elphame zadrżała. Tyle już ukrywała przed bratem, przed swoim klanem. A przed duchami przecież nic nie ukryjesz... One chyba wszystko widzą...

- W sprawach sercowych mam niewielkie doświadczenie - powiedziała. - Ale znam siebie. Nie sądzę,

żebym mogła pokochać kogoś, komu nie ufam.

- Mówisz rozsądnie, dziewczyno. Przypominasz swoją prababkę. Bądź zawsze taka mądra. Nie szafuj swoim sercem, oddaj je temu, któremu zaufasz, a będziesz silnym Przywódcą Klanu i lojalną małżonką.

- Ale skąd człowiek ma wiedzieć, czy może komuś zaufać? Skąd ma to wiedzieć, jeśli w grę wchodzi również

uczucie i... pożądanie - policzki Elphame oblały się rumieńcem, ale brnęła dalej. - Potrafię ocenić czyjś charakter, ale kiedy to robię, nie kieruję się sercem, tylko rozumem. Serca w to nie włączam, bo przy jego udziale człowiek może wszystko widzieć opacznie.

- I tak jest, dziewczyno. - Duch splótł palce u rąk i przekrzywił lekko głowę, przyglądając jej się z wielką uwagą. - A skąd wiedziałaś, że musisz przyjechać tutaj, żeby odbudować zamek MacCallana?

- Po prostu czułam, że powinnam to zrobić - odparła, spoglądając przelotnie na cichy już, uśpiony zamek. - Nie, to było coś więcej. Odkąd sięgnę pamięcią, zawsze intrygowały mnie opowieści o zamku

MacCallana. Ten zamek zawsze mnie wzywał do siebie. Wiem, że gdybym tu nie przyjechała, nigdy w życiu nie zaznałabym spokoju.

MacCallan pokiwał głową.

- Z miłością jest podobnie. Nigdzie nie zaznasz spokoju, tylko u boku tego, którego sobie wybrałaś.

Przekonasz się sama.

- Czyli twierdzisz, że należy zaufać swemu sercu?

- Nie sercu, dziewczyno! - odezwał się duch szorstkim głosem. - Nie bądź głupia! To nie twoje serce doprowadziło do tego, że jesteś Przywódczynią Klanu MacCallanów. Miałaś to we krwi, w swojej duszy. I słuchaj, co one ci podpowiadają, a nie coś tak płochego jak serce!

Elphame westchnęła. Ten, kto twierdzi, że rozmowa z duchem będzie pouczającym doświadczeniem, chyba się myli. Ona ma słuchać swojej krwi i swojej duszy? Nie miała pojęcia, co to może oznaczać.

- Cieszę się, że nosisz mój podarek.

Duch wskazał przezroczystym palcem na broszę, spinającą na ramieniu jasny materiał w kolorze szafranu, którym owinięty był tors Elphame.

Elphame musnęła palcami broszę.

- Dla mnie to bardzo ważne, że mi ją podarowałeś - powiedziała i nagle posmutniała, bo w pamięci ożyło wspomnienie śmierci MacCallana. - Wolałabym jednak wtedy nie oglądać, jak umierasz. To było...

Odchrząknęła. Rozmawiali ze sobą dopiero drugi raz, a ona już chyba przywiązała się do tego starego

ducha. Więzy krwi? Być może. A raczej na pewno. Czowała się związana z MacCallanem więzami krwi,

tak jak czowała się związana z fundamentami tego zamku.

- To było straszne. Oglądanie, jak umierasz. To było bardzo... trudne.

MacCallan przechwycił jej wzrok.

- Trudne, powiadasz? No cóż... Tego, co nie jest trudne, nie warto robić.

Te słowa wstrząsnęły Elphame. Jak to możliwe, że duch jej przodka mówi coś, co bardzo przypomina



słowa wypowiedziane przez istotę mającą w sobie krew demonicznych Fomorian?

Istotę... serce buntowało się, że jej umysł tak go już zasufladkował.

Nagle duch zadrżał. Zachwiał się i zaczął znikać.

- Odchodzisz już? - spytała z żalem. - Ale nie na zawsze?

- Nie, dziewczyno. Zawsze jestem tam, gdzie mnie potrzebują.

Znikł, a Elphame ruszyła w bardzo ostrożną i powolną drogę powrotną po kręconych schodach.

MacCallan miał rację, wcale nie była jeszcze zdrowa. Ale działało się również i coś bardzo pozytywnego. Wysilek, jaki włożyła we wspinaczkę na wieżę i drogę powrotną podziałał na nią jak cieszące się złą sławą ziółka Brenny. Kiedy opadła na swoje nowe łóżko, natychmiast zasnęła jak kamień.

Śniło jej się, że idzie przez zamek MacCallana, przywrócony już do dawnej świetności. Ściany zawieszane były barwnymi gobelinami. W fazowanym szkle odbijało się światło setek świec w żyrandolach, zwisających pod dachem w idealnym stanie. Weszła na główny dziedziniec. Masywne kolumny stały jak milczący obrońcy. Uśmiechając się, podeszła do szemrzącej fontanny, spojrzała na posąg i zamarła. Posąg w fontannie nie przedstawiał już podobizny jej przodkini, Rhiannon, jako mło-

dej dziewczyny. Zastąpiony został inną rzeźbą. Na środku basenu fontanny stała Elphame naturalnej wielkości, cała pokryta otwartymi ranami, z których tryskała krew. Wokół basenu tłoczyły się uskrzydłone istoty o opalizującej skórze, które w ciszy nabierały dłońmi wodę z basenu, zmieszaną z krwią, i piły ją łapczywie. Ale to nie one, ani krew płynąca z marmurowego ciała, przykuły uwagę Elphame, lecz twarz posągu. Jej twarz, twarz Elphame. Wśród tej krwi i chaosu twarz posągu była bardzo pogodna, prawie radosna.

Ta twarz przyciągała Elphame. Zaczęła podchodzić do posągu, była coraz bliżej, kiedy jedno krótkie słowo przerwało jej sen.

- Nie!

To był przeraźliwy krzyk Lochlana. Elphame, wyrwana ze snu, przez długi czas rzucała się po łóżku, póki zmęczenie nie wzięło góry. Zasnęła ponownie, tym razem nie miała żadnych snów.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

Cuchulainn nie miał pojęcia, jak to mogło się stać. Wszystko przecież szło tak dobrze, zdarzały się nawet chwile, kiedy wydawało się, że Brenna w jego towarzystwie czuje się tak samo swobodnie jak w towarzystwie jego siostry. A on bardzo się starał, żeby tak właśnie było.

Pomasował sobie sztywny kark i wypił kolejny długi łyk z na wpół już opróżnionego bukłaka. Potem przez chwilę bawił się bezmyślnie małymi naczynkami z ziołami i listeczkami herbaty, które stały na stoliku. Zostawiła je tam Brenna. Musiała o nich zapomnieć, kiedy w wielkim pośpiechu przenosili rzeczy Elphame z namiotu do jej nowych pokoi w zamku. Cuchulainn próbował namówić Brennę, żeby zajęła namiot po Elphame, ale Brenna nie dała się przekonać. Twierdziła, że to on powinien zamieszkać w tym namiocie.

- Bo ona lubi swój namiot, wiadomo, dlaczego - mruzczał ze złością Cuchulainn. - Lubi go, bo jest na uboczu, z dala od innych namiotów. A ona lubi być sama.

Jego zdaniem, Brenna stanowczo za dużo czasu spędzała w samotności. Chyba że ktoś zachorował albo był ranny, wtedy zjawiała się natychmiast. Brenna po metamorfozie. Dziewczyna, która jednym spojrzeniem potrafiła komenderować całą armią.

A przynajmniej sercem pewnego wojownika.

Cuchulainn aż sapnął, żeby wydyszeć swoją frustrację. Nigdy dotąd nie było mu tak ciężko, tak trudno. Kiedy zapragnął jakiejś kobiety, ta kobieta sama do niego przychodziła. Wystarczyło, że się do niej uśmiechnął, rzucił jakiś żart, cieplejsze słowo i już była jego. Ale nie Brenna. Oczywiście od samego początku wiedział, że z nią będzie inaczej, przede wszystkim dlatego, że Brenna nie miała żadnego doświadczenia. Cuchulainn zwykle nie zwracał uwagi na dziewice, chyba że podczas święta Bogini. Ale to był wyjątkowy czas, kiedy duch Bogini łączył się z duszami dziewcząt, kierował ich ciałem, wlewał w dziewczęta spokój i łagodność.

Brenna była dziewicą, ale do niej miał całkiem inny stosunek niż do innych dziewczyn. Jej niewinność go urzekła. W rezultacie myślał o Brennie bez przerwy.

Wziął jeszcze jeden długi łyk z bukłaka.

Był wobec niej bardzo ostrożny, oswajał ją, jakby była płochliwym ptakiem, którego chciał zwabić do

siebie, skusić, by usiadł mu na rękę. Jej reakcje doprowadzały go do rozpacz. Im więcej poświęcał jej uwagi, tym bardziej stroniła od niego. A kiedy wcale nie próbował jej oczarować, na przykład gdy razem urządzali pokój dla Elphame albo kiedy wiozł ją do rannego robotnika,

wtedy rozmawiała z nim swobodnie. Jakby zapomniała, kim on jest. Co wcale mu nie pochlebiało.

Próbował ją zrozumieć. Trudno było się nie domyślić, że Brenna odseparowuje się od ludzi z

powodu swoich blizn. Elphame mówiła Cuchulainnowi, że te blizny, bardzo rozległe, nie tylko szpecą

jej ciało. Zraniły też jej duszę. A Cuchulainn miał już serdecznie dość tego całego problemu, problemu tych przeklętych blizn.

- Przecież ja ich w ogóle nie widzę! - warknął. Mógł sobie na to pozwolić, był przecież sam. O, właśnie - sam. Jak Brenna.

- Ale kiedy mam jej o tym powiedzieć, skoro ona ode mnie ucieka?

Kiedy ma jej powiedzieć, że jej twarz jest dla niego po prostu twarzą, częścią jej ciała, a jej blizny po prostu tam są, jak oczy, włosy i cała reszta. I nie ma się już nad czym zastanawiać.

To właśnie chciał jej powiedzieć. Tak to sobie wymyślił. Co za ironia losu! On, Cuchulainn,

zastanawiał się, co powie kobiecie! Zawsze wobec kobiet taki złotousty, pewien, że czaruje je przede

wszystkim swoją elokwencją, a nie twarzą czy umięśnionym ciałem. Jego zdaniem, najkrótszą drogą

do ciała kobiety było uwiedzenie jej umysłu. Kobieta zawsze oczekuje niepodzielnej uwagi ze strony

mężczyzny. Chce być traktowana z szacunkiem, chce, żeby mężczyzna skupił się wyłącznie na niej i

odgadywał wszystkie jej pragnienia. Cuchulainn w tej grze był mistrzem.

Teraz grał w coś całkiem innego. Teraz miał obsesję na punkcie kobiety, której jego elokwencja wcale

nie imponowała, a w jego towarzystwie czuła się swobodnie

tylko wtedy, kiedy nie było warunków, żeby on skupił się wyłącznie na niej. Kiedy praktycznie ze sobą nie rozmawiali.

- Na Boginię! I co ja mam teraz zrobić?!

Wstał, chciał pochodzić trochę po namiocie, ale ziemia pod jego nogami wydała mu się nagle niestabilna, usiadł więc z powrotem i zadowolił się bębnieniem palcami o stół.

Jest skończonym głupkiem. Najlepszym dowodem na to był dzisiejszy wieczór. Na początku wszystko było po jego myśli. Brenna zaskoczyła go, bardzo przyjemnie, kiedy zgodziła się usiąść razem z nimi przy głównym stole. On, naiwny, pomyślał wtedy, że może jest to wreszcie pierwszy krok w dobrym kierunku, potem jednak dotarło do niego, że usiadła tam tylko dlatego, by mieć na oku swoją czcigodną podopieczną, czyli El-phame. Ale potem wszyscy składali przysięgę na wierność i ta podniosła chwila napawała Cuchulainna optymizmem.

Poza tym, jak przypominał sobie teraz mgliście, wlał w siebie bardzo dużo wina. Naprawdę spore ilości. Kiedy jego siostra, zgodnie z zaleceniem Uzdrowicielki, opuściła salę zamkową i udała się na spoczynek, zaczęło się muzykowanie. Kiedy do grajków dołączył jeden z robotników z bębenkiem i zaczął głośno wybijać rytm, ludzie poderwali się do tańca. Poodsuwano stoły, utworzono pary i zaczęły się pląsy. Cuchulainn, zaczerwieniony i podekscytowany od mocnego trunku, myślał tylko o jednym. Jak bardzo chciałby zatańczyć z Brenną.

Swoje zamiary postanowił wprowadzić w czyn. Wstał

i podszedł do Brenny, zajętej rozmową z Łowczynią. Skłonił się przed Brenną najpiękniej jak potrafił

i spytał, czy skłonna jest ofiarować mu ten taniec.

Widział jak połowa jej twarzy, oszczędzona przez blizny, robi się biała jak ściana, po czym Brenna zrobiła to, czego on nienawidził. Pochyliła głowę i schował się za tym swoim murem z czarnych włosów.

- Nie, ja nie umiem tańczyć - wyszeptała tym swoim drżącym, załamującym się głosem, który zawsze słyszał, gdy zwracała się do niego. Zawsze, ale tym razem, kiedy to usłyszał, poczuł wielką złość.

- Nie umiesz tańczyć? Ty? Kobieta, która potrafi zaszyć ranę, nastawić złamaną rękę i odebrać poród, ty nie potrafisz tańczyć?

Wcale nie chciał, żeby zabrzmiało to aż tak zjadliwie, naprawdę. Ale tak właśnie zabrzmiało. Brenna podniosła głowę, poprzez welon z włosów dojrzał w jej oczach gniewne błyski. Pomyślał, że dobre i to. Przynajmniej coś innego, niż jej wieczna bojaźliwość i uciekanie od niego.

- Bo miałam możliwość nauczyć się tego wszystkiego, o czym wspomniałeś. Ale nie tańca, nigdy nie było ku temu sposobności.

- No to teraz jest!

Tak powiedział. Teraz, kiedy przypominał sobie swoje głupie zachowanie, swoją durną odzywkę, aż cały kurczył się w sobie. On przecież był pewny swego, dlatego władczo wyciągnął po Brennę rękę, nie przejmując się tym, że wszyscy zamilkli i patrzą się na nich.

Splószone spojrzenie Brenny przemknęło dookoła, jak u ptaka, rwącego się do ucieczki.

- Nie. Ja... nie potrafię - powiedziała cicho.

- Przecież to tylko taniec, Brenno. Nie proszę cię o rękę.

Czyli znów palnął i zaśmiał się głupkowato, przerażony, że już bardziej idiotycznie nie mógł się zachować.

- Ależ mnie przecież nigdy by do głowy nie przyszło...

- wyjąkała Brenna, równie przerażona i wtedy rozległ się jasny, dźwięczny głos Brighid.

- A ja wiem, w czym problem. Cuchulainn nigdy dotąd nie usłyszał z ust kobiety tego króciutkiego

wyrazu „nie”. Prawdopodobnie nie wie, co ten wyraz znaczy.

Wszyscy zaśmiali się, a Cuchulainn kątem oka zobaczył Wynne, wysuwającą się do przodu. Podeszła do niego, kołysząc biodrami i potrząsając wspaniałą grzywą rudych loków.

- Uzdrowicielka ma rację, Cuchulainnie - powiedziała, składając dłoń w jego dłoni, wyciągniętą ku Brennie.

- Może powinieneś po prostu zatańczyć z dziewczyną, która miała sposobność nauczyć się tańczyć i na pewno nie powie ci „nie”.

Zewsząd rozległy się radosne, zachęcające okrzyki i Wynne pociągnęła za sobą Cuchulainna na środek sali, do tańczących. Tam puściła jego rękę i lekkim, wdzięcznym tanecznym krokiem obeszła go dookoła. Cu złapał rytm, wybijany na bębenku i teraz on obszedł Wynne dookoła, naśladowując jej zręczne ruchy. Potem znów Wynne. Wyginała się, ocierała się o niego kusząco swoim ponętym ciałem i Cuchulainn wśród oparów wina, wydobywających się z jego własnych ust, wychwycił zapach

Wynne. Pachniała świeżym chlebem, przyprawami i kobietą, jednak ta wonna mieszanka zamiast go skusić, przypomniała tylko, że to nie tak miało być. Nie tak, bo Wynne nie pachniała świeżo skoszoną trawą i wiosennym deszczem. Nie była Brenną.

Nie przerywając tańca, spojrzął przez ramię, na stół. Zobaczył wlepione w niego oczy Brighid, o spojrzeniu bardzo nieprzychylnym. A miejsce obok Brighid było puste. I wtedy to wszystko w nim w środku jakby się oberwało. Rzucił bardzo rozczarowanej Wynne słowa przeprosin i wyszedł z kręgu tańczących. W tym momencie przyświecał mu tylko jeden, jedyny cel. Odnaleźć Brennę. Co jej powie? Co do tego nie miał jeszcze żadnego pomysłu, wiedział tylko, że koniecznie musi ją odnaleźć.

Nie było jej w sali zamkowej ani na głównym dziedzińcu. Na moment więc przerwał jakiejś parze słodką chwilę uścisków za kolumną centralną, pytając o Brennę. Dwa lekko zadyszane głosy wysapały, że Uzdrowicielka właśnie przed chwilą wybiegła przez zamkową bramę.

Pobiegł. Próbował ją dogonić, zanim schroni się w swoim namiocie. Nie udało się. Stał potem koło tego namiotu. Widział w środku niedużą postać, podświetloną światłem jednej świeczki. Gdyby to była inna kobieta, wszedłby tam teraz, przeprosił i nazwał siebie głupcem, otumanionym przez wino i żądzę. A potem by się z nią kochał.

Ale to nie była jakaś inna kobieta, tylko Brenna.

Wrócił więc do swojego namiotu i do bukłaka. Pił i pił, powtarzając sobie co chwilę na głos, że jest skończonym durniem. Urzniętym durniem.

Kiedy zapadał w pijacki sen, ostatnią jego myślą było twarde postanowienie, że jutro musi wszystko z

Brenną wyjaśnić. Co jej powie? Co do tego nadal nie miał żadnego pomysłu.

Brenna przed zaśnięciem zawsze rozmawiała z Eponą. Nie nazywała tego modlitwą, nie prosiła o nic,

po prostu mówiła do Bogini. Jak do swojej przyjaciółki, mówiła przecież do niej już tyle lat, a zaczęła zaraz po tym wielkim nieszczęściu, jakie ją spotkało. Dziesięcioletnia Brenna wiedziała, że na tak

straszne oparzenia nie ma ratunku. Była pewna, że umrze. Bolało ją tak straszliwie, że nawet do głowy jej nie przyszło prosić Eponę o ratowanie jej życia. Prosiła tylko o ulżenie w cierpieniu. Rozmawiała z Boginią przez wiele godzin, pewna, że i tak wkrótce spotka się z nią w świecie duchów. A potem, kiedy nie udało jej się umrzeć, czym zadziwiła wszystkich, nie zaprzestała swoich rozmów z Eponą. Stało się to codziennym rytuałem, uspokajającym i umysł i ciało.

Tego wieczoru bardzo tego potrzebowała. Ukojenia.

Drżącymi od tłumionego gniewu rękami zapaliła garstkę suszonych ziół i wciągając mocno w nozdrza znajomy zapach lawendy, przysiadła na ziemi przed swoim prowizorycznym ołtarzykiem. Kiedy starała się uspokoić wzburzone myśli, zanim przemówi do Bogini, palce odruchowo zaczęły dotykać jej ukochanych skarbów. Tym razem jednak jakoś wcale nie dawały radości. Ani turkus koloru morza,

ani malutki łeb klaczy, który sama wyrzeźbiła w miękkim drewnie. Ani perła w kształcie łezki, ani

pióro ptaka o tej samej, nadzwyczajnej barwie, co turkus. Niebieskozielonej... jak kolor jego oczu.

Brenna, bardzo niezadowolona, zamknęła oczy i skarciła siebie w duchu. Przestań w końcu o nim myśleć, dziewczyno. Przestań, przestań... Ale jej umysł, zwykle zdyscyplinowany, kierujący się logiką, wcale nie chciał jej posłuchać.

Znów poczuła gniew. To dobrze, łatwiej wtedy znieść rozpacz i samotność.

Jak mogła być tak naiwna! Kiedy przed laty pogodziła się ze swoim życiem, była pewna, że na zawsze

zawarła pokój z samą sobą. Była Uzdrowicielką i będzie nią zawsze, nigdy nie pozna radości posiadania męża i własnych dzieci, ale jej życie - które miało już się zakończyć przed dziesięcioma laty - zawsze będzie miało sens, bo

podjęła walkę z czymś, czego doświadczyła na sobie. Podjęła walkę z bólem, z cierpieniem.

Co się z nią teraz dzieje? Dlaczego jej zazwyczaj tak pogodne wnętrze przypomina wzburzone morze?

Bezwiednie dotknęła swego prawego policzka, wyczuwając pod palcami śliską nierówną powierzchnię blizny. Czy ona kiedykolwiek przedtem myślała o miłości? Tak. Przed wieloma laty, kiedy po raz pierwszy miała miesięczną przypadłość. Kiedy przeistaczała się w kobietę, myślała często, jak mogłoby wyglądać jej życie, gdyby była o jeden krok dalej od paleniska. Gdyby matka wiedziała, że w wiadrze jest nie woda, lecz olej. Gdyby matka poczekała, by przekonać się, że jej córka przeżyła. Gdyby ojciec potrafił poradzić sobie ze swoim życiem...

Dziesięć lat temu, z okładem. Dziś nagle wszystko ożyło w pamięci.... Ona od dawna nie pozwalała sobie na roztrząsanie różnych „gdyby”. Zwykle starała się być ponad to, myśleć chłodno, logicznie, a w tęsknocie za czymś, co niemożliwe, nie ma przecież żadnej logiki. Ale dziś... Dlaczego? Dlaczego nagle obudziły się w niej pragnienia, które zmieniły się w popiół w tamtym innym życiu? Dlaczego odrodziły się w czyimś uroczym, chłopięcym uśmiechu i turkusowych oczach?

Turkusowych. Palec Brenny musnął kamień. Ręce nadal drżały, dlatego splotła palce i złożyła je na podołku. Na moment odwróciła wzrok od ołtarzyka. Tego wieczoru nie czuła tu obecności Bogini.



Tego wieczoru był tu wszechobecny Cuchulainn.

Zrobiła głęboki wdech, wciągając w płuca lawendowy zapach kadzidełka i zmusiła się do skupienia na

Eponie. Na szczęście, w głowie zaczęło się przejaśniać, napięcie zniknęło. Zrobiła jeszcze jeden głęboki wdech i tak jak to miała we zwyczaju, po prostu zaczęła mówić do Bogini.

Chociaż tego wieczoru mówiła innym głosem niż zwykle. Twardym.

- Czuję, że dobrze zrobiłam, składając wraz z innymi przysięgę. Należę teraz do Klanu MacCallanów,

który zawsze był ci bliski. To poczucie przynależności... - Brenna zamilkła na moment, zaciskając palce tak mocno, że skóra na kostkach zbieleła - jest czymś, czego nie miałam przez tyle lat.

Zapomniałam już, ile daje radości. Dziękuję ci, Epono, że pozwoliłaś, bym znów miała dom.

Kiedy wypowiadała to na głos, w głowie formułowały się już nowe myśli, jakby głośnie słowa podsuwały nowe części układanki. W pewnym momencie oczy Brenny rozszerzyły się, jakby nagle coś zrozumiała, a gniew, jeszcze tłący się gdzieś w niej, zaczął definitywnie zniknąć.

- Może to właśnie pokusa przynależności do drugiego człowieka sprawiła, że zaczęłam błądzić myślami - powiedziała, uśmiechając się smutno. - Jak dziecko! Pozwoliłam, by słodkie marzenia zachwiały zdrowym rozsądkiem. Słodkie marzenia związane z pewną przystojną męską twarzą...

Westchnęła. Tego tematu nie da się uniknąć, na pewno nie w rozmowie z Eponą, która znała ją tak dobrze. Palce Brenny musnęły turkusowe pióro.

- Tu chodzi nie tylko o to, że jest przystojny, Epono. W jego oczach zobaczyłam życzliwość, dlatego zapomniałam, że on może czuć do mnie tylko litość, nic więcej. Na pewno nigdy mnie nie pokocha. -

Brenna nieznacznie potrząsnęła głową, jej głos znów stwardniał. - Niektórzy uważają, że dobrze, jak ktoś okaże ci litość, bo znaczy to, że temu komuś na tobie zależy. Nieprawda. To jest jak z

kandyzowanym owocem. Z wierzchu słodczy, a w środku owoc może być już zepsuty. Ale życie zmywa fałszywą

słodycz, ukazując nagą prawdę... Dziś... dziś tak się stało. On wymyślił sobie, że zlituje się nad pokrytą bliznami Uzdrowicielką i zatańczy z nią. Jak zwykle, piękny mężczyzna myśli tylko o sobie, nie zastanawia się, co czuje drugi człowiek. Och, jaka ja byłam nierozsądna. Bo ja... ja zaczynałam wierzyć, że on...

Głos Brenny zamierał. Jak mogła uwierzyć, że jemu zaczyna na niej zależeć? Jak mogła?

Po co te pytania, skoro zna już odpowiedź. Uwierzyła, bo jej się wydawało, że coś dostrzegła w jego przepięknych oczach o kolorze turkusowego kamienia i pióra egzotycznego ptaka. Te oczy patrzyły na nią z...

- Nie! Nie! Koniec z bezsensownymi mrzonkami, które tylko rozdrapują stare rany.

Znów budził się w niej gniew. Powitała go z ulgą. Gniew stłumi przecież rozpacz...

Uklękała. Nachyliła się nad tłącą się lawendą i machając ręką, nakierowała pachnący dym na siebie, żeby owionął całe jej ciało. Powtórzyła to jeszcze dwukrotnie, potem wzięła do ręki małą rzeźbę, łeb klaczy, i zacisnąwszy ją mocno w dłoni, przyłożyła do serca.

- Wielka Bogini Epono, po raz pierwszy od wielu lat, jakie spędziłyśmy razem, zwracam się do ciebie

z prośbą. Błagam, spraw, by spokój znów zagościł w moim sercu i w mojej duszy. Błagam ciebie, wzywając, jako moich orędowników cztery żywioły. Powietrze, które jest tchnieniem życia. Ogień, który płonie z niezachwianą wiernością. Wodę, która obmywa i odnawia. Ziemię, która daje dostatek.

Po wypowiedzeniu tych słów nie poczuła wokół siebie magicznego wirowania powietrza, ale mała

drewniana figurka, którą ścisnęła w dłoni, rozgrzana teraz, nagle zrobiła się prawie gorąca. Brenna czuła, jak to ciepło

stłumi w niej resztki gniewu. Zamknęła oczy i westchnęła, bardzo smutno. Owszem, gniew znikł, jakby ktoś posmarował balsamem jej duszę, ale balsam ten tylko uśmierza ból. Nie leczy. Ona sama musi dojść do ładu ze sobą. Wlać w siebie spokój - sposób jest bardzo prosty. Powinna unikać

Cuchulainna,

a z tym nie będzie kłopotu. Zanim wyszła z zamkowej sali, zdążyła jeszcze zobaczyć Wynne kuszącą Cuchulainna w tańcu, i Cuchulainna podejmującego uwodzicielski taniec. Piękna kucharka na pewno zadba teraz, by Cuchulainn był bardzo zajęty.

Kiedy zasypiała, starała się nie zważać, że serce bardzo boli, już na samą myśl o tym, że Cuchulainn może być z inną kobietą...

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

Największa przyjemność, to obudzić się w swoim pokoju, słysząc przytłumione głosy mężczyzn, którzy już zabrali się do roboty. Elphame, prawie w siódmym niebie, przeciągnęła się powoli, żeby sprawdzić, jak zareaguje na to poszkodowane ramię i bok. Wypadło nieźle, przystąpiła więc do drugiej próby. Potarła długi strup pod żebrami. Zamiast ostrego bólu poczuła swędzenie. Ten kawałek

ciała już nie był obolały, lecz odrętwiały.

Zadowolona z oględzin, pomyślała sobie, że chyba nie okaże się osobą zbyt zdemoralizowaną, zaczynając dzień od wymoczenia się w swojej prywatnej wannie.

Uśmiechnęła się. Na pewno nie, jeśli moczenie nie będzie trwało zbyt długo. Wskoczyła z łóżka jak z procy i pobiegła do wejścia jej prywatnego pokoju kąpielowego. Na schodach jednak zwolniła.

Wolała nawet nie myśleć, jak by zareagował Cuchulainn na jej kolejny, niebezpieczny upadek.

Dlatego schodziła bardzo powoli, dla lepszego utrzymania równowagi jedną rękę trzymając przy ścianie.

Palce Elphame powoli przesuwały się po kamiennym murze. Natychmiast wyczuła więź z duchem zamku. Powiedział - to twój dom. Zamek MacCallana jest twoim domem.

Tak. Ona należała do tego zamku. Czy kiedykolwiek w życiu była tak bezgranicznie szczęśliwa?

Nigdy. Owszem, przed przybyciem do zamku MacCallana wcale nie czuła się nieszczęśliwa. Do pełni

szczęścia jednak zawsze jej czegoś brakowało. Jej nowy dom pod pewnym szczególnym względem był jeszcze pusty. Brakowało w nim pewnej osoby...

Lochlana.

Musi się znaleźć jakiś sposób, żeby z nim się spotkać potajemnie. Pobyć z nim razem, bo tylko wtedy będzie mogła się upewnić, czy... Jak to powiedział MacCallan? Upewnić się, czy spokój znajdzie tylko u jego boku. Tego wybranego.

Ale co potem? Czoło Elphame przecięła pionowa kreska, tylko na moment, do podjęcia szybkiej decyzji, że pomyśli o tym, kiedy... kiedy do tego dojdzie. Kiedy będzie już u jego boku. A dochodzić do tego będzie stopniowo, teraz więc należy skupić się na pierwszym kroku, potem na kolejnych.

A więc krok pierwszy. W swoim pokoju zainstalowała się już na dobre, ma zagwarantowaną większą prywat-

ność. Czy możliwe będzie wymknąć się nocą z zamku, by odszukać Lochlana?

Nagle kamienie pod jej palcami, przyłożonymi do ściany, wyraźnie zaczęły się nagrzewać, w palcach poczuła znajome mrowienie, coraz intensywniejsze. Zaintrygowana tym, zeszła na dół, do pokoju kąpielowego i zatrzymała się, zwracając się twarzą do grubej ściany z kamienia. Przycisnęła obie dłonie do ich lekko chropowatej powierzchni, skóry tego zamku, i ostrożnie powtórzyła głośno swoją ostatnią myśl:

- Czy możliwe będzie wyniknąć się nocą z zamku, by odszukać Lochlana?

A potem, podobnie jak poprzedniego wieczoru, patrzyła zafascynowana, jak z niewidzialnego kłębka pod jej palcami zaczyna rozwijać się drżąca złocista nić, z szybkością błyskawicy przemyka po ścianach wokół pokoju i zatrzymuje się przy okrągłym oszlifowanym kamieniu, umieszczonym w przeciwległej ścianie.

Elphame, nie odrywając palców od ściany, żeby nie przerwać więzi z kamieniem, podążyła w ślad za pulsującą nicią. Obeszła pokój i zatrzymała się przed oszlifowanym kamieniem, znajdującym się

dokładnie na wysokości jej oczu, w miejscu, dokąd nie docierało światło pochodni. Błyszczał w czarnej ścianie jak wielkie, otwarte oko. Elphame, przesuając dalej palcami po złocistej nitce, dotarła do niego i przykryła go dłonią. Od razu zaczął się nagrzewać. Jego powierzchnia była bardzo gładka, całkiem inna niż szorstka powierzchnia kamiennych ścian zamku. Wystawał nieznacznie ze ściany, jak gigantyczny guzik.

Elphame ostrożnie przesunęła palcami wokół kamiennego guzika. Nie był przymocowany do ściany, był po prostu w nią włożony.

Jak klucz?

Nacisnęła kamienny guzik i nagle część ściany, o rozmiarach drzwi, wyraźnie się poruszyła.

Poruszyła się i wydawszy cichy dźwięk, jakby wypuszczała z płuc powietrze, otworzyła się jak drzwi,

ukazując zdumionym oczom Elphame wejście do mrocznego, cuchnącego stę-chlizną lochu.

- Elphame! - dobiegł z góry donośny głos Brenny. - Jesteś tam na dole?

Elphame natychmiast chwyciła za kamienne drzwi, próbując je zamknąć. Ale drzwi ani drgnęły.

- Tak, jestem tu! - krzyknęła przez ramię. - Już do ciebie idę! Już idę!

Odszukała szybko błyszczący kamienny guzik i nacisnęła. Kamienne drzwi prawie bezszelestnie powróciły na swoje miejsce.

- Nie do wiary... - mruknęła i popędziła na górę, żeby przywitać się z Uzdrowicielką, postanawiając w duchu, że później, kiedy będzie już sama i pewna, że nikt jej nie przeszkodzi, zajmie się dokładniej swoim nowym odkryciem.

- Dzień dobry! - przywitała ją Brenna energicznym głosem, absolutnie nie pasującym do ciemnych sińców pod oczami.

- Dzień dobry, Brenno. Wyglądasz na zmęczoną. Źle spałaś tej nocy? - spytała Elphame. Na odpowiedź musiała trochę poczekać. Brenna, zajęta przestawianiem czegoś na tacy, którą postawiła na stoliku, dopiero po chwili machnęła lekceważąco ręką.

- Nic mi nie jest! Lepiej ty mi powiedz, jak spałaś po tak męczącym dniu.

Przysiadła przy Elphame i zaglądając jej w oczy, jedną ręką sprawdziła puls, drugą ranę na głowie i ramię.

- Wyglądasz dziś nieźle - orzekła. - Sprawdźmy jeszcze ranę w boku.

Elphame posłusznie podciągnęła koszulę nocną i patrzyła, jak przyjaciółka kiwa głową, wyraźnie zadowolona z postępów w gojeniu, po czym delikatnie wciera w strup jakąś maść. Brenna wyglądała na zmęczoną, zmęczoną i przygnębioną. Skąd ten smutek? Co takiego się stało?

Trzeba koniecznie się tego dowiedzieć.

- Bardzo żałowałam, że wczoraj musiałam wyjść tak wcześnie - zaczęła ostrożnie, wpatrując się w Brennę. - Wspaniała uczta, wszyscy byli tacy rozbawieni...

Brenna mruknęła tylko coś pod nosem. Niby z aprobatą, ale Elphame zauważyła, że zaraz potem Uzdrowicielka mocno zacisnęła usta.

- Brenno, a jak było po moim wyjściu? Nic specjalnego się nie wydarzyło?

- Nie. Po prostu muzyka i tańce, ja zresztą też niebawem wyszłam.

Elphame szybko zrobiła odpowiednio zdziwioną minę.

- Naprawdę? A to niespodzianka! Kiedy wychodziłam, wydawało mi się, że spędzasz czas bardzo przyjemnie. Myliłam się?

- Nie... To znaczy, tak! Bawiłam się bardzo dobrze, ale zrobiło się późno. Poczułam się zmęczona i postanowiłam iść już spać.

Całe to oświadczenie wcale nie zabrzmiało szczerze. Brenna wyraźnie unikała spojrzenia Elphame, była podejrzanie blada, a w oczach było tyle smutku, że przez głowę Elphame przemknęła pewna myśl, może trochę dziwaczna. Jaka szkoda, że Brenna nie jest z kamienia. Wystarczyłoby położyć na niej dłoń, żeby odczytać jej myśli.

Też pomysł! Chociaż... chociaż mała Uzdrowicielka ma wiele wspólnego z kamieniem. Z pozoru

chłodna,

zawsze opanowana, a w środku kłębek emocji. Wystarczy wspomnieć to, co Elphame wczoraj widziała z Wieży Przywódcy Klanu. Łkającą Brennę... Jak ją zmusić do zwierzeń?

Zaufanie. To podstawa. Zwierzamy się komuś, komu ufamy, a ufamy tym, którzy wobec nas są szczerzy, mówią prawdę. I to trzeba teraz zrobić. Powiedzieć prawdę, udowadniając tym Brennie, że jest się osobą godną zaufania.

- Wczoraj wieczorem weszłam na Wieżę Przywódcy Klanu - wyznała.

Brenna, zajęta raną, poderwała głowę.

- Nie powinnaś była tego robić - powiedziała surowym głosem. - Mimo że czujesz się już o wiele lepiej, nie wolno ci szarżować.

- Przecież wiem! - rzuciła niecierpliwie Elphame.

- Uważam na siebie!

- Ale przesadziłaś. Całe szczęście, że nic ci się nie stało. - Brenna skończyła smarować maścią ranę i ostrożnie obciągnęła koszulę nocną Elphame. - Ale dziś rano nie zalecam moczenia się w prywatnym jeziorku...

Elphame spojrzała na Brennę ze złością, Brenna uśmiechnęła się. Jak to Brenna, rozczulająco krzywo.

- Dopiero wieczorem. I pamiętaj, że po kąpieli trzeba starannie osuszyć ranę i posmarować maścią.  
A

teraz...

- Brenna wytarła ręce w fartuch, wstała i podeszła do stolika. - Zaparzyłam ci dobrej, mocnej herbatki ziołowej. Przyniosłam też śniadanie. To bardzo ważne, żebyś dzień zaczęła od solidnego śniadania.

- Dobrze. Wypiję te twoje obrzydliwe ziółka, jeśli zostaniesz i zjesz razem ze mną.

- Dziękuję... - Brenna sprawiała wrażenie miło zaskoczonej. - I mam nadzieję, że moje obrzydliwe ziółka

dziś będą ci smakować. Dodałam owoc róży i sporo miodu.

- Rozpieszczasz mnie - mruknęła Elphame, spoglądając na czajniczek jednak podejrziwie.

- Dla Przywódczyni naszego Klanu wszystko! - wyrecytowała Brenna i dygnęła, uśmiechając się przy tym promiennie.

Elphame też uśmiechnęła się, zadowolona, że jest na dobrej drodze. W tak miłej atmosferze Brenna być może otworzy się przed nią szybciej, niż myślała. W końcu długie godziny, jakie spędzały teraz razem scementowały ich przyjaźń. A Brenna była nadzwyczajna. Zajmowała się istotą, która w połowie była człowiekiem, w połowie centaurem i nie było dla niej to czymś nadzwyczajnym. Poza tym nigdy przed Elphame nie chowała swojej twarzy. Od samego początku Elphame i Brenna czuły się w swoim towarzystwie doskonale, a przedtem Elphame tak swobodnie czuła się tylko w towarzystwie swoich najbliższych.

A poza tym było oczywiste, że między Brenną a Cuchulainnem rodzi się uczucie. Na pewno, choć być może ani ona, ani on, nie zdają sobie jeszcze z tego sprawy. Dlatego Elphame, chociażby przez lojalność wobec swego brata, powinna dojść, co tak gnębi Brennę.

Odczekała, aż Brenna naleje herbaty, Elphame i sobie, i potem, kiedy pogryzały już pyszne paszteciki z mięsem i żółtym serem, odezwała się niby mimochodem:

- Widok z tej wieży jest niezwykły.

- Wiem - mruknęła Brenna i przełknęła to, co miała w ustach. - Dla naszej Brighid schody na tę wieżę są niestety za wąskie. Dlatego nalegała, żebym weszła tam sama, a potem musiałam jej wszystko dokładnie opowiedzieć. Co stamtąd widać i jak daleko...

Elphame pokiwała głową, starając się opanować swoją niecierpliwość i nie przejść za wcześnie do meritum sprawy.

- A zauważyłaś, Brenno, że z tego balkoniku na wieży widać dokładnie bramę do zaniku?

- Oczywiście. Prawdopodobnie to właśnie było zamysłem budowniczych. Przywódca klanu, nie zauważony przez nikogo, mógł zobaczyć, kto wchodzi i wychodzi z jego zaniku.



- Masz rację - Elphame odchrząknęła. - Wczoraj wieczorem właśnie to robiłam.

- Naprawdę? - Brenna spojrzała na nią niewinnym wzrokiem. - Zobaczyłaś coś interesującego?

Elphame spokojnie wytrzymała wzrok przyjaciółki, po ułamku sekundy dostrzegając w jej oczach błysk niepokoju.

- Widziałam ciebie, Brenno - powiedziała Elphame cicho. - Byłaś bardzo zdenerwowana.

- Ja... ja po prostu... byłam bardzo zmęczona - wyjąkała Brenna.

- Nie. To było coś więcej, Brenno. Ktoś musiał zrobić ci wielką przykrość... - Elphame, pokonując w sobie lęk przed dotykaniem innych, lęk, który nosiła w sobie po bardzo gorzkim doświadczeniu w dzieciństwie, wyciągnęła rękę i przykryła swoją dłonią małą silną dłoń Brenny. - Czy zaufasz mi i powiesz, co się stało?

Oczy Brenny zalśniły od łez.

- Ależ ja ci ufam, Elphame. Jesteśmy przecież przyjaciółkami! Aleja... ja po prostu czuję teraz, że jestem taka głupia, tak strasznie głupia...

- Ty? - Elphame lekko uścisnęła jej palce. - Brenno, przypominam, że to nie ty spadłaś do jaru i uderzyłaś się w głowę!

Brenna westchnęła.

- A jednak... W jakimś sensie też upadłam... Niestety, w tym momencie do pokoju wkroczył Cuchulainn.

- Obudź się wreszcie, siostrze! Nie możesz całego dnia spędzić...

Urwał, kiedy zauważył Brennę. A Brenna, mieniając się na twarzy, spojrzała na niego spłoszonym wzrokiem, szybko zabrała swoją rękę i pochyliła głowę, kryjąc twarz za welonem czarnych włosów.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś, Brenno - powiedział Cuchulainn. - Przepraszam, wszedłem bez pukania. Nie chciałem wam przeszkadzać.

Elphame spojrzała przez ramię na brata. Jej brat, rostry mężczyzna, wielki wojownik, wyglądał jak

skruszony chłopiec. Niemal żałośnie. A Brenna? Wzrok Brenny konsekwentnie wbity był w stół.

Czyli to sprawka Cu! Elphame była wstrząśnięta, bo wszystko było dla niej już jasne. To Cu zrobił wczoraj wieczorem jakąś przykrość Brennie. W związku z tym czeka go dziś bardzo poważna rozmowa ze starszą siostrą. MacCallan o Cu wcale nie wyrażał się pochlebnie, i jak widać, miał całkowitą rację.

- Cu, powinieneś nauczyć się pukać do drzwi - powiedziała surowym tonem. - Ale skoro już tu jesteś, siadaj. Brenna przyniosła śniadanie. Jest tyle tego, że starczy dla całej trójki. Siadaj. Mimo twoich barbarzyńskich obyczajów, zapraszamy cię do stołu.

W tym momencie Brenna zerwała się z krzesła, tak gwałtownie, że omal go nie przewróciła.

- Pójdę już. Muszę obejrzeć ranę na rękę u jednego z robotników. Trzeba zmienić opatrunek - wyrzuciła z siebie jednym tchem i natychmiast skierowała się ku drzwiom.

- Brenno, zostań, proszę - zawołała za nią Elphame.

- Nic się przecież nie stanie, jeśli przedtem zjesz z nami śniadanie!

- Nie, nie. Muszę iść - odparła Brenna, już w progu.

- Przyjdę do ciebie po kolacji, by obejrzeć twoje rany. Pamiętaj, Elphame, masz uważać na siebie. Nie wolno ci się przemęczać.

Uciekła.

Cu stał nieruchomo, jak wrośnięty w ziemię, i wpatrywał się w drzwi, za którymi znikła

Uzdrowicielka.

- Cu! - zawołała siostra. - Co tak stoisz jak posąg? Biegnij za nią! Wczoraj nie udało ci się jej dogonić.

Może dziś ci się uda!

Cu spojrzał na nią półprzytomnie.

- Skąd wiesz?

- Później pogadamy. Teraz leć!

Skinął głową i od progu posłał ręką siostrze pocałunek. I uśmiech.

- Dzięki, siostrze moja!

Znikł za progiem, a siostra wymruczała pod nosem:

- Biegnij, biegnij! Miejmy nadzieję, że uda ci się nie tylko ją dogonić, ale i naprawić to, coś zepsuł. Ty zapalona głowo!

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

- Brenno! Zaczekaj!

Cuchulainn biegł długim zamkowym korytarzem. Brenna, kiedy usłyszała jego wołanie, w pierwszej chwili miała zamiar po prostu uciec. Była już prawie na końcu korytarza, mogła pobiec dalej, do któregoś z zamkowych pomieszczeń, gdzie kręciło się wielu ludzi. Co byłoby bardzo nierozsądne. Zanosilo się przecież na konfrontację z Cuchulainnem, a konfrontacja przy świadkach pogorszyłaby tylko sytuację. A tu, w tym korytarzu, przynajmniej nie było żywej duszy.

Brenna stanęła. Odwróciła się do Cuchulainna i odruchowo zaczęła pochylać głowę, by ukryć zeszpeconą twarz. Nagle jednak poczuła gniew i ten gniew, tak jak poprzedniego dnia, kazał jej poderwać głowę. Stanąć twarzą w twarz.

- Chciałem prosić cię o wybaczenie za moje wczorajsze zachowanie.

- Nie musisz mnie za nic przepraszać! - Brenna podniosła rękę, żeby uprzedzić jego protesty, a Cuchulainn, ku jej największemu zdumieniu, chwycił ją za rękę i... złożył na jej dłoni pocałunek.

- Oczywiście, że tak. Za dużo wypilem wina i zaszumiało mi w głowie, dlatego zachowałem się po gru-biańsku. Proszę, wybac mi.

Nie puszczał jej ręki, mało tego, jego kciuk pieszczotliwie przesunął się po jej dłoni, dokładnie w miejscu, które przed sekundą dotknął wargami.

Brenna zamarła. Pocałować kobietę w rękę to w końcu nic takiego, mężczyźni robią to bardzo często, rzecz jednak w tym, że Brenny nikt dotąd w rękę nie pocałował. Ani na powitanie, ani w zalotach.

Nigdy...

W oczach Brenny nagle zakręciły się łzy.

- Cuchulainnie, proszę, nigdy więcej tego nie rób. Nie dotykaj mnie.

- Dlaczego, Brenno? - spytał miękko.

Co mu powiedzieć? Prawdę? Nie dotykaj mnie, bo za bardzo tego chcę? Albo - nie dotykaj mnie, bo jesteś w moim sercu raną, która nigdy się nie zagoi...

Oczywiście, że tego mu nie powiedziała. Gdyby to zrobiła, cała chyba rozpadłaby się na miliony kawałeczków i nigdy by już siebie nie odzyskała w całości. Dlatego świadomie z powrotem

przywołała swój gniew. Powrócił, gdy w pamięci przywołała obraz Wynne i jej zmysłowego tańca.

- Bo na pewno nie spodoba to się Wynne! - wyrzuciła

z siebie, wyszarpując rękę z jego dłoni. - I mnie też nie! Ale przyjmuję twoje przeprosiny. Wiem, że nie chciałeś zrobić mi przykrości i nie musiałeś mnie przeproszać. Dla mnie jest to poniżające!

Odwróciła się, teraz pragnąc tylko ucieczki. Ale Cuchulainn złapał ją za rękę.

- Poczekaj! Ja...

Brenna spojrzała gniewnie na jego palce zaciśnięte wokół jej nadgarstka. Puścił ją natychmiast.

- Nie będę cię już dotykał, Brenno, obiecuję. Ale pozwól sobie coś wyjaśnić.

- Niczego nie trzeba wyjaśniać!

- Trzeba!

Powiedział to stanowczo za głośno. Po prostu huknął, co jemu samemu bardzo się nie spodobało. Zły na siebie, przeczesał nerwowo włosy ręką, starając się za wszelką cenę opanować.

- Trzeba - powtórzył już normalnym, uprzejmym tonem. - Po pierwsze, chcę, żebyś wiedziała, że Wynne mnie nie interesuje.

- To nie moja sprawa - powiedziała szybko Brenna.

- Brenno, proszę, daj mi się wypowiedzieć. Brenna wzruszyła lekko ramionami, udając, że jest jej wszystko jedno. Skoro już tak bardzo chcesz, to mów.

- Wczoraj wieczorem byłem pijany w sztok. To jedyne moje usprawiedliwienie, oczywiście, załosne. Ale chcę, żebyś wiedziała, że zwykle nie nadużywam trunków. Ale ta uroczystość przedtem, składanie przysięgi, była tak podniosła. Byłem poruszony, w rezultacie wypilem za dużo... - Cuchulainn nabrał głęboko powietrza i zajrzał w ciemne oczy Brenny. - Kiedy zaczęli grać, w mojej otumanionej winem głowie była tylko jedna myśl. Taniec z tobą. Ale ty odmówiłaś, czym kompletnie zabiłaś mnie z tropu. Myślałem, że ci się podobam. A poza tym, choć niełatwo mi się do tego przyznać,

Łowczym miała rację. Nie jestem przyzwyczajony, żeby kobieta, która mi się podoba, odmawiała mi czegokolwiek. Dlatego zareagowałem jak rozpuszczony młodzik z urażoną dumą. A powinienem był... - urwał. W wyrazistych oczach Cuchulainna zapaliły się wesołe iskierki. - Powinienem był usiąść koło ciebie, wyszeptać do ucha kilka miłych słówek i powiedzieć, że bardzo chcę nauczyć cię tańczyć, ale... na osobności.

W tym momencie Brenna nagle przypomniała sobie, że człowiek jednak powinien oddychać.

- Kiedy wybiegłaś z sali zamkowej, poszedłem za tobą. Chciałem porozmawiać. Brenno, ja nie chcę Wynne. Chcę ciebie.

Brenna czuła, że jej zeszpecona twarz płonie rumieńcem. Gniew odezwał się ze zdwojoną siłą.

- Jak możesz być tak okrutny?!

- Okrutny? Czy to okrutne, że chcę ciebie?

- Tak! Bo to tylko głupi kaprys. Naigrywasz się ze mnie!

- Brenno, obrażasz mnie!

- Ja? Ja obrażam ciebie?! Przede wszystkim, ty jak zwykle uważasz, że wszystko kręci się wokół ciebie! Ty wypileś za dużo, ty myślałeś tylko o tym, czego ty chcesz. Ty powinieneś zrobić to czy tamto. Czy ty nigdy nie zastanawiasz się, co czują inni?

- Oczywiście! Ja...

- Ja i ja! Słuchasz tylko siebie! - Była tak wzburzona, chyba jak nigdy dotąd. Bała się, że serce zaraz

wyskoczy jej z piersi. - A co ze mną?! Czy kiedykolwiek pomyślałeś, że może ja nie chcę być zabawką

pięknego Cuchulainna? Może ja ciebie nie chcę? Cuchulainnie, jesteś moim

przyjacielem i bratem Przywódczyni Klanu, jesteś dzielnym wojownikiem. Zawsze będę darzyć cię szacunkiem, na jaki zasługujesz. I tak, jak wszystkim członkom klanu, jeśli kiedykolwiek zostaniesz ranny, zaszyję ranę. Jeśli zachorujesz, uczynię wszystko, żebyś wyzdrowiał. Ale twoją igraszką nie będę!

Tym razem, kiedy odwróciła się i szybkim gniewnym krokiem ruszyła przed siebie korytarzem, nie zatrzymywał jej. Stał nieruchomo, póki nie usłyszał z drugiego końca korytarza głosu siostry.

- Cu!

Odwrócił się dopiero wtedy, kiedy siostra zatrzymała się obok niego. Odwrócił się i spojrzał na nią dziwnie pustym wzrokiem.

- Cu, chodź ze mną. Musimy porozmawiać. Skinął głową i bez słowa poszedł za Elphame do jej pokoju. Elphame nigdy jeszcze nie widziała, żeby Cu poruszał się tak dziwnie, tak ciężko. Zwykle paradował dumnie, teraz przygarbił się, jakby niósł na plecach wielki ciężar. Nagle przypomniała sobie słowa MacCallana. Powiedział: „Twój brat ma twarde orzech do zgryzienia”. Stary przebiegły duch jak zwykle miał rację.

- Siadaj! - powiedziała, wskazując na krzesło. Zamknęła starannie drzwi i naląła bratu herbaty. -

Wypij. Koniecznie. Brenna powiedziała, że to dobra, mocna herbata.

Cuchulainn zaśmiał się niewesoło i przysiadł na krześle.

- Gdyby Brenna wiedziała, że to ja będę pił tę herbatkę, byłaby dobra, mocna i trująca.

- Nie bądź śmieszny, Cuchulainnie. Brenna jest od tego, żeby nas leczyć, a nie odebrać nam życie.

Gdyby wiedziała, że będziesz pił tę herbatkę, postarałaby się po prostu, żeby miała paskudny smak.

- Ona mnie nienawidzi, El.

- Nie sądzę. Ale o tym nie będziemy teraz rozmawiać. Cuchulainnie... - Elphame odchrząknęła. - Jako

Przywódczyni Klanu MacCallanów mam obowiązek zapytać cię, jakie są twoje zamiary wobec Brenny.

Cuchulainn, zaskoczony, aż zamrugał oczami.

- Moje zamiary?!

- Tak.

Elphame, wyraźnie nie panując nad swoim zdenerwowaniem, zaczęła przechadzać się przed stolikiem. Dwa kroki w przód, dwa kroki w tył.

- Cuchulainnie! Nie udawaj głupiego! Wiesz bardzo dobrze, o co mi chodzi. Przypadkiem usłyszałam waszą rozmowę. Wybacz, ale słyszałam, jak powiedziałeś Brennie, że jej chcesz. Słyszałam, jak zareagowała. Moim zdaniem, słusznie. Aleja za dobrze ciebie znam, wiem, że powiedziałeś jej prawdę. Jedno tylko mnie zastanawia. Mówisz, że jej chcesz, dziewczyny, która już ci czegoś odmówiła. A ty nie przywykłeś do tego. Czy dlatego chcesz ją zdobyć? Na tym polega ta gra?

Cuchulainn przymrużył oczy.

- Nie gram w żadną grę z Brenną.

- Miło to usłyszeć. A więc dlaczego jej chcesz? Z litości, żeby biedna, okaleczona dziewczyna w końcu coś przeżyła? Czy z ciekawości, bo chcesz zobaczyć ją całą, żeby przekonać się, jak rozległe są te blizny?

- Elphame!

Rąbnął pięścią w stół. Filiżanki na stole podskoczyły, Elphame też.

- Elphame! Gdybyś nie była moją siostrą, wbiłbym ci te słowa z powrotem do gardła!

A Elphame, wzięwszy się pod boki, uśmiechnęła się do brata. Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- No to już wiem. Jesteś w niej zakochany!

Cuchulainn szarpnął się w tył, jakby dała mu w twarz.

- Zakochany? Nie. Ja...

- Wielki Cuchulainn wstydzi się do tego przyznać? Bo ona jest za brzydka?

- Elphame... - Głos Cuchulainna stał się niebezpiecznie cichy. - Jeśli nie przestaniesz tak o niej mówić, przysięgam, że...

Przerwał mu głośny śmiech Elphame.

- Dobrze już, dobrze! Teraz wiem, że nie uważasz jej za brzydką.

Oczy Cuchulainna miotają błyskawice.

- Ona? Brzydka? Ona jest piękna!

- A blizny?

- A co tam blizny! Po prostu je ma. Na Boginię! Nie mogę uwierzyć, że ty wygadujesz takie rzeczy.

Myślałem, że jesteś jej przyjaciółką!

Śmiech Elphame ucichł. Siostra spojrzała na brata bardzo ciepło.

- Jest moją przyjaciółką. Właśnie dlatego chciałam się upewnić, jakie masz wobec niej zamiary, Cu.

Nie mogłam uwierzyć, że chcesz się z nią tylko zabawić. Byłam pewna, że jest inaczej, ale chciałam usłyszeć to z twoich ust.

Cuchulainn rozejrzał się po pokoju.

- El, ale my jesteśmy tu sami, prawda?

- Oczywiście! - Elphame wzniosła oczy ku niebu. - Miałaś rację, za mądry to on nie jest!

Cu spojrzał na nią ze złością.

- Znów rozmawiasz z tym stetryczalym duchem?

- Tak, ale teraz to nieistotne. Wracamy do ciebie. A więc kochasz się w Brennie?

Cuchulainn skinął głową i zaczął wpatrywać się w swoją filiżankę.

- Ona jest na ciebie trochę zła?

- Powiedzmy...

- Za słabo powiedziane?

- Tak. Myślę, że ona mnie nienawidzi, El.

- Nonsens! Posłuchaj. - Elphame przysunęła sobie krzesło bliżej brata i usiadła. - Wczoraj



wieczorem

weszłam na wieżę Przywódcy Klanu.

- El! Miałaś tego nie robić! Brenna wciąż powtarza, że masz uważać na siebie.

- Tak, tak. Dostałam już od niej za swoje... - przerwała niecierpliwie Elphame. - Posłuchaj lepiej, co tam z góry zobaczyłam. Widziałam, jak Brenna wychodziła z zamku. Płakała. Cu! Tak bardzo płakała, że musiała oprzeć się o mur!

- Płakała przeze mnie, El. To ja doprowadziłem ją do łez. Co nie znaczy, że ona mnie kocha, tylko to, że ja jestem nieczułym egoistą. Za takiego zresztą uważa mnie Brenna.

Elphame pokręciła głową.

- Nie, Cu, jest inaczej. Kiedy Brenna oparła się o mur, ja miałam ręce oparte o kamienną balustradę i duch zamku jakimś sposobem połączył mnie z Brenną. Przez jedną chwilę czułam to samo, co ona.

Rozpacz, ból, samotność. Cu! To, co wydarzyło się w sali zamkowej, złamało jej serce!

Cuchulainn jęknął i ukrył twarz w dłoniach. El nachyliła się do brata i ścisnęła go za ramię.

- Cu, możesz to wszystko naprawić. Okaż jej swoją miłość, postaraj się, żeby zaczęła ci ufać.

Brat spojrział na nią przez palce.

- A jak ja mam to zrobić? Jak?!

- A tego to ja już nie wiem - odparła z uśmiechem siostra.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

Elphame przeciągnęła się i dyskretnie poruszyła swoim obolałym ramieniem, starając się nie pokazać po sobie, że coś tam jeszcze może ją boleć. Miała przecież zadanie do wykonania. Usadzono ją na świeżo skopanej ziemi, między dwoma rzędami czegoś, co kiedyś miało być rzędami rosnącej bujnie mięty. Tak przynajmniej zapewniała ją Wynne. Elphame nie znała się na ziołach, w ogóle nie znała się

na ogrodnictwie. Dla niej ten stary ogród, usytuowany w pobliżu kuchni, wyglądał po prostu jak kawałek ziemi, gdzie panował kompletny chaos. Sadzonki, wsadzone i jeszcze niewsadzone, tu dołek, tam kupka ziemi, a tam chwasty. Ale pomocnice kuchenne Wynne

były w tym biegle, wystarczyło posłuchać, jak rozmawiają o gatunkach ziół. Wiedziały doskonale, gdzie i co posadzić, co wypielic. Natomiast Elphame, szczerze mówiąc, wolałaby teraz skrobać kamienne ściany w wielkiej sali zamkowej. Taki zresztą miała zamiar, niestety zanim zdążyła się za to zabrać, Brenna podniosła wielki raban. Jak to Brenna, pomyślała ze złością Elphame, przyklepując ziemię wokół małej sadzonki mięty. Uzdrowicielka kategorycznie zabroniła jej robić cokolwiek, chyba że coś naprawdę tak mało wyczerpującego, jak to, co Elphame robiła teraz. Siedziała sobie wygodnie na ziemi i wsadzała do niej maciupeńkie roślinki.

W sumie więc nie ma się na co uskarżać. Najważniejsze przecież, że udało jej się uniknąć leżenia na nienawidzonym szezlongu, poza tym pogoda była piękna. Ciepło, leciutki wietrzyk przywiewał między zamkowe mury zapach kwiatów i morza. Słońce grzało w twarz, a odgłosy krzątania członków klanu wlewały w serce spokój. A poza tym po jakimś czasie doszła do wniosku, że grzebanie w żyznej ziemi MacCallanów bardzo jej się podoba.

Przeciągnęła się jeszcze raz, pokręciła głową, żeby rozluźnić zeszywniały kark. Kiedy spoglądała do góry, widziała mężczyzn, pracujących bardzo ciężko przy odbudowie zrujnowanych całkowicie kwater dla wojowników. Wejście do tych kwater usytuowane było w pobliżu tylnych drzwi do kuchni

i to, zdaniem Elphame, miało swój głęboki sens. Wojownicy, jak wiadomo, są zawsze głodni.

Przynajmniej Cuchulainn. Jemu zawsze chciało się jeść.

Znajoma wysoka postać w kilcie podeszła do robotników. Zaczęła wydawać polecenia, sprawdzać postępy w robocie. El obserwowała brata z wielką uwagą. Był

naburmuszony, głos zdecydowanie ostrzejszy niż zwykle. No cóż... Elphame z trudem powstrzymała uśmiech. Biedny, zmalretowany Cuchulainn! Ale jest nadzieja. Jej brat, uparty jak osioł, kiedy czegoś chciał, nie ustępował. Brenna nie zdaje sobie sprawy, co ją czeka. Jaka szykuje się bitwa, żeby

załamać jej linię obrony. Elphame z całego serca życzyła bratu zwycięstwa. On i Brenna tak do siebie

pasowali. Przez moment Elphame zastanawiała się nawet, czy do bitwy nie włączyć matki. Etain,

gdyby dowiedziała się, że jej ukochany synek oddał swoje serce, czyli jest nadzieja na wnuki, byłaby w tej walce wspaniałą sojuszniczką.

Szybko jednak zrezygnowała z tego pomysłu. Cuchulainn powinien wziąć swoje sprawy w swoje ręce

i zdobyć Brennę. Duch starego MacCallana co prawda nie był pewien, czy Uzdrowicielka kiedykolwiek zaufa komuś do takiego stopnia, żeby go pokochać, Elphame jednak bardziej wierzyła w swoją przyjaciółkę. Tak samo wierzyła w uwodzicielskie zdolności swojego brata.

Wzięła następną sadzonkę mięty i zaczęła kopać dołek. Cuchulainn, Brenna... A co z Elphame? Co z jej sercem? Co z jej ukochanym? Lochlan... Zadrżała, kiedy przypomniła sobie, jak Lochlan zareagował na jej dotyk. Jego skrzydła...

- Masz rumieńce, Elphame. Może powinnaś trochę odpocząć.

Elphame drgnęła, zaskoczona, i osłaniając ręką oczy przed słońcem spojrzała w górę, na Brighid i Brennę.

- A mnie się wydaje, że nie mam rumieńców. Czuję się znakomicie - powiedziała i wstała, z nadzieją,

że robi to wystarczająco zwawo, by zadowolić Uzdrowicielkę.

- Według mnie, wygląda bardzo dobrze - orzekła Brighid.

Elphame najchętniej by ją teraz ucałowała. Brenna zmrużyła oczy.

- Elphame, a czy ty się nie....

- Nie! Nie przemęczam się. Wsadzam tylko do ziemi maciupkie gałązeczki!

- Czyli sadzonki mięty! - zawołała Wynne, wkraczająca do ogrodu. Kucharka szybko zlustrowała wzrokiem rządek posadzonych sadzonek, dzieło Elphame, i pokiwała z aprobatą głową. - Bardzo dobrze. Wykonałaś kawał dobrej roboty.

- A widzicie? - Elphame uśmiechnęła się do swoich przyjaciółek triumfująco. - To dowód, że czuję się

już naprawdę znakomicie!

Brenna jednak miała jeszcze pewne wątpliwości.

- W każdym razie pamiętaj, Elphame, nie spiesz się z robotą. I jak tylko ręka zacznie cię boleć, odpocznij.

Uśmiechnęła się do swojej podopiecznej, której absolutnie nie wolno było spuszczać z oka. Rany goiły się bardzo szybko, ale nie był to jeszcze stan idealny, a Elphame rozpierała energia. Była przyzwyczajona, że jej ciało jest mocniejsze i sprawniejsze niż ciało człowieka. Nie rozumiała, że nawet jej siły są ograniczone.

Brenna zerknęła na Wynne, która podeszła, by omówić z Elphame i Brighid jadłospis. Kucharka była piękną, pełną kobietą. Raczej niemożliwe, żeby Cuchulainn jej nie pożądał, tak samo niemożliwe jak to, że mógłby pożądać Brenny. U schyłku dnia gniew Brenny przycichł, ale tlił się jeszcze. Stąd pytanie - dlaczego on z takim uporem powtarzał, że chce jej? Brenny?

Zagryzła wargi, przypominając sobie swoje ostre słowa. Wcale nie uważała, że Cuchulainn jest egoistyczny i okrutny. Wymknęło jej się to, bo była całkowicie wytrącona z równowagi jego deklaracją o tym, że jej pożąda. Wytrącona z równowagi jego dotykiem, jego bliskością...

- Dobry wieczór!

Niski głos Cuchualinna brzmiał nienaturalnie radośnie. Przez cały dzień był niespokojny, poirytowany, na dekarzy wydierał się jak nienormalny. W końcu postanowił odszukać siostrę, która też, jak Brenna, jest młodą kobietą i na pewno podpowie mu, co powiedzieć Brennie, żeby naprawić to, co zepsuł przez swoją głupotę. Jedna z kobiet powiedziała mu, że Elphame jest w ogrodzie koło kuchni. Poszedł tam, pełen determinacji, niestety, jak się okazało, w tym ogrodzie, a właściwie ogródku, zastał Elphame w asyście kobiet, między innymi Brenny, i cały jego misterny plan spalił na panewce. Nie było możliwości rozmowy z siostrą w cztery oczy, czyli będzie musiał zdobyć się na odwagę i działać samodzielnie, kierując się swoim sercem.

Elphame na jego widok posłała mu ciepłutki, siostrzany uśmiech.

- Założę się, że nie miałeś pojęcia, że znam się na pracach ogrodniczych.

Mimo ponurego nastroju nie mógł się do niej nie uśmiechnąć.

- Nie znasz się, siostrzynie - powiedział, delikatnie ścierając palcem z jej policzka ciemną smugę ziemi.

- Nieprawda, wojowniku - zagruchała słodko Wynne. - Nasza Przywódczyni ma wiele ukrytych talentów.

Cuchulainn spojrzał na nią tylko przelotnie. Odszukał spojrzeniem milczącą Uzdrowicielkę i uśmiechnął się teraz do niej, najpiękniej i najcieplej jak potrafił.

- Może i masz rację, Wynne - powiedział, wpatrując się w Brennę. - Moja siostra potrafi zaskoczyć.

Ale nie

tylko ona. Inni też. Zaskakują, co człowieka zaciekawia i chciałby wiedzieć jeszcze więcej.

Brenna również wpatrywała się w niego, nie wierząc własnym oczom. On, wojownik, patrzył na nią, patrzył na nią tak szczególnie i to przy świadkach! Przesłanie w jego spojrzeniu było jednoznaczne.

Ogłaszał wszem i wobec, że jest zainteresowany Brenną. Stała więc nieruchomo, jak wrośnięta w ziemię, nie wiedząc właściwie, co ona w tym momencie ma zrobić. Uciekać czy stać, a Cuchula-inn niech dalej tak patrzy na nią.

I niech rzeczywiście tak będzie. Tak jak mówi jego spojrzenie.

Patrzył. Dalej na nią patrzył, właśnie tak.

- Cu, potrzebujesz czegoś? - spytała Elphame.

- Tak - odparł, nie odrywając swego turkusowego spojrzenia od Brenny. - Potrzebuję czegoś i chyba to

już znalazłem, siostrzynie moja.

Brenna zrobiła głęboki wydech, czując, że nietknięta połowa jej twarzy oblewa się rumieńcem.

Szybko odwróciła głowę.

- Przepraszam, Elphame, ale ja... ja mam coś pilnego do zrobienia.

Dygnęła i szybkim krokiem wyszła z ogródka.

- A więc to tak... - szepnęła Wynne. Cuchulainn, odprowadzając wzrokiem Brennę, mruknął:

- Właśnie tak.

Wynne spojrzała na niego przeciągle i odrzuciwszy swoją rudą grzywę w tył, wyszła z ogródka.

- Cu, nie zachowałeś się naj zręczniejszy - powiedziała z przyganą w głosie Elphame, wycierając o uda brudne ręce. - Brenna jest bardzo nieśmiała, dobrze o tym wiesz. Obawiam się, że zamiast zdobywać jej względy, wzbudzasz w niej coraz większy lęk.

- Chcę, żeby wiedziała, że myślę o niej poważnie. Brighid cicho prychnęła.

- Chcesz coś powiedzieć? - spytał Cuchulainn, obracając się ku niej.

Łowczyni wzruszyła swoimi krągłymi ramionami.

- Nic. Oprócz króciutkiej uwagi, że zachowujesz się jak buhaj w okresie rozplodowym. Jeszcze chwila, a zaczniesz znaczyć swój teren w wiadomy sposób.

Elphame, widząc, że w jej bracie zaczyna się gotować, pospieszyła z interwencją.

- Uspokójcie się. Albo idźcie dokończyć dyskusję za murami zamku! Albo nie. Macie natychmiast iść na polowanie. Oboje. Wyładować się. I... Brighid, dlaczego ty na każdym kroku starasz się zrazić do siebie Cuchulain-na? A ty, Cuchulainnie... ty rzeczywiście powinieneś zachowywać się powściągliwie, bo inaczej jeszcze bardziej sobie zaszkodzisz.

Łowczyni znów prychnęła. Elphame spiorunowała ją wzrokiem. Brighid westchnęła.

- Dobrze. Idziemy, wojowniku. Przekonajmy się, czy potrafisz ustrzelić jelenia.

Cuchulainn spojrzał na nią posepnie. Wcale nie miał zamiaru opuszczać zamku. Chciał odszukać Brennę i...

- Już was nie ma! Ruszajcie się! - zawołała Elphame i chwyciwszy jedno i drugie za ramię, pociągnęła

ich ku wyjściu. - Wynne właśnie mi mówiła, że dziczyzny nigdy nie będzie dosyć. Spotykamy się przy obiedzie. Żegnam!

Wypchnęła ich za furtkę, nie zwracając uwagi na mroczne spojrzenie brata. Wreszcie poszli.  
Elphame

westchnęła i znów przysiadła wśród sadzonek mięty, zastanawiając się w duchu, czy nie warto po prostu walnąć czymś Cuchulainna w głowę. Brenna jako Uzdrowicielka musiałaby się wtedy nim zająć. Takie rozwiązanie, choć nie najprostsze, byłoby niewątpliwie najlepsze.

- Byłby jeszcze gorszym pacjentem niż ja - mruknęła pod nosem. - W końcu Brenna podała mu trujące ziółka i nikt nie miałby do niej o to pretensji.

Cuchulainn musiał przyznać, że pomysł Elphame był niezły. Dobrze, że na jakiś czas opuścił zamek.

Ochłonął, w głowie mu się przejaśniło, a Łowczyni okazała się wspaniałą Łowczynią. Cuchulainn miał ojca centaura, siła i zręczność centaurów nie zadziwiła go, ale Brighid potrafiła się skradać jak nikt, jakby miała jakieś nadprzyrodzone zdolności.

- Tędy - szepnęła. Cuchulainn podążył za nią, do strumyka płynącego przez łąkę. Koło strumyka stał jeleń. Właśnie pochylał łeb, żeby napić się wody.

Cuchulainn skinął głową i jak najciszej zsunął się ze swojego wałacha. Włożył strzałę do łuku, podkradł się bliżej i przykucnął za przewalonym drzewem. Nagle powiał wiatr. Cuchulainn zaniepokoił się. Wiatr co prawda wiał teraz w jego stronę, ale w każdej chwili mógł zmienić kierunek

i powiać w kierunku odwrotnym.

Nagle poczuł smród rozkładającego się truchła, gdzieś w pobliżu. Rozejrzał się, przestąpił przez konary powalonego drzewa i trafił nogą w sam środek rozkładających się szczątków.

Zaklął i odruchowo się cofnął. Gwałtowny ruch spłoszył jelenia. Zwierzę poderwało łeb i z rozdętymi

chrapami umknęło w las.

- Cuchulainnie, co ty... - zaczęła zirytowana Brighid, podchodząc do niego, zamilkła jednak, kiedy znalazła się po drugiej stronie powalonego drzewa.

- Wilk - poinformował ją Cuchulainn, wycierając but

o mech. - Wybacz, że spłoszyłem jelenia. Ale nagle...

- skrzywił się, wskazując na padlinę - wlałem w to, co wcale nie wygląda i nie pachnie przyjemnie.

Brighid przyglądała się uważnie padlinie.

- To wilczyca - powiedziała po chwili. - Nadziała się na konar.

- Dziwne. Koniecznie musiał skakać przez to drzewo?

- Musiała - poprawiła go Łowczyni. - To wilczyca. Miała młode, spójrz na jej sutki.

Cuchulainn, wystarczająco zaintrygowany, żeby zignorować smród, podszedł bliżej do martwego zwierzęcia.

- Widziałam to kilka razy - powiedziała Łowczyni.

- Samotna wilczyca, która dopiero co urodziła młode. Rozpaczliwie potrzebuje jedzenia. Goni za swoją zdobyczą z taką desperacją, że nie zwraca już uwagi na nic. Ta wilczyca pędziła na pewno z ogromną szybkością. Przeskakiwała przez ten pień i nadziała się na gałąź. Widzisz?

Cuchulainn przykucnął przy zwierzęciu i zobaczył. Ostra gałąź przebiła wilczycy pierś.

- Ale dlaczego polowała sama? Wilki przecież żyją w stadzie.

- Oczywiście. Ale spójrz na nią, jest niewielka, nie powinna być kryta. Stado rzadko dopuszcza, by taki słaby okaz miał potomstwo. Podejrzewam, że dominujące wilczyce wygoniły ją ze stada... -

Łowczyni nachyliła się, wyczytując z ciała zwierzęcia jego historię. - Nie, podejrzewam, że chciały ją zagryźć. Spójrz, ile ma blizn, na głowie, na szyi. Miała umrzeć, ale jakimś cudem przetrwała.

Pokryta bliznami. Miała umrzeć. Cuchulainn zacisnął szczęki.

Nagle wstał i zwrócił się twarzą do Łowczyni.

- Jak myślisz, jak długo ona tu leży?

Brighid wzruszyła ramionami.

- Bo ja wierri... Ze dwa dni, nie dłużej.

- Czyli nie za długo...



- Nie za długo na co?

- Trzeba je odnaleźć. Może któreś z nich jeszcze żyje. Odwrócił się i szybkim krokiem ruszył do swojego

wałacha.

- Cuchulainnie! Na Boginię, o czym ty mówisz? Cu zręcznie wskoczył na swojego wierzchowca.

- O tym, że masz okazję udowodnić, że rzeczywiście jesteś tak znakomitą Łowczynią, za jaką cię uważam.

Głowa Łowczyni uniosła się nieco wyżej.

- A jak mam to udowodnić?

- Chcę, żebyś odnalazła jej młode.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY**

Wieczorny posiłek był wyjątkowo smaczny. Elphame, mimo że zaczynała ją zastanawiać przedłużająca się nieobecność brata i Łowczyni, spokojnie popijała swoje wino, gawędząc z Danannem. W końcu nie jest niańką brata. Cuchulainn potrafi sam zatroszczyć się o siebie - tak samo jak Brighid.

Ale zaraz... przecież gdzieś tam w lesie jest Lochlan!

Elphame wyprawiła brata i Łowczynię na polowanie, by oboje ochłonęli po wybuchu emocji, zwłaszcza brat, poza tym miała nadzieję, że podczas wspólnych łowów w końcu przekonają się do siebie. Niestety, na śmierć zapomniała o Lochlanie! Co będzie, jeśli Łowczyni

natrafi na więcej tych „niezwykłych” śladów? Nie tylko Łowczyni, ale także Cuchulainn?

Mimo narastającego niepokoju starała się bardzo, by uśmiech nie schodził jej z twarzy i okazywała uprzejme zainteresowanie tym, co mówił stary Mistrz Kamieniarz. W pewnej chwili zwróciła się do Brenny, próbując wciągnąć ją do rozmowy, ale Uzdrowicielka tego wieczoru była wyjątkowo nierozmowna. Siedziała osowiała, wpatrzona w swój talerz, co jakiś czas tylko zerkała znad niego

trwożliwie, gdy w sali pojawiała się nowa osoba.

Chyba jednak ten pomysł z polowaniem nie był najlepszy. Cuchulainn powinien był zostać w zamku, prosto z tego ogródka pobiec za Brenną. Ale cóż... stało się. Elphame westchnęła i zabrała się za dolewanie sobie wina, gdy niespodzianie stukot kopyt obwieścił powrót Łowczyni. Pojawiła się w sali

z dziwnym półuśmiechem na twarzy, a przechwyciwszy spojrzenie Elphame, mrugnęła do niej, zaraz potem do sali wpadł Cuchulainn.

- Brenno! Chodź! - zawołał od progu. - Jesteś potrzebna!

Elphame widziała, jak Uzdrowicielka, słysząc głos Cuchulainna, drgnęła nerwowo, kiedy jednak spojrzała na jego zaaferowaną twarz, natychmiast przeszła swoją metamorfozę. Nieśmiała dziewczyna poszła w zapomnienie, z krzesła zerwała się energiczna, pewna siebie Uzdrowicielka.

- Co się stało? Gdzie się zraniłeś?

Serce Elphame, mimo że wesołe mrugnięcie Uzdrowicielki powinno dać jej do myślenia, natychmiast zabiło szybciej. Przerazona, że Cu jest ranny, zerwała się też z krzesła i pobiegła za Brenną. Wszyscy umilkli, słychać było tylko głos Brenny.

- Cuchulainnie, siadaj tutaj! - Dała znak ręką dwóm

robotnikom, żeby zwolnili miejsca na pobliskiej ławie i kładąc Cu rękę na ramieniu, zmusiła go, żeby usiadł. - Nie widzę krwi. Spadłeś z konia? - Brenna spojrzała na Brigid. - Co mu się stało?

Próbowała sprawdzić Cuchulainnowi puls, ale on przytrzymał jej rękę.

- Nie chodzi o mnie, Brenno, tylko o nią. Odsunął na bok swoją koszulę i wyjął stamtąd małą kulkę z szarego futra.

- Żarty sobie ze mnie stroisz, Cuchulainnie? - spytała lodowatym głosem Brenna, próbując odsunąć się od niego, ale Cuchulainn nie puszczał jej ręki.

- Ojej! Przecież to... - Elphame szybko nachyliła się ponad ramieniem przyjaciółki, żeby lepiej przyjrzeć się szarej kulce. - Żyje?!

- Ledwo dyszy - powiedział Cuchulainn i odwrócił się do Brenny. - Nie żartuję, Brenno. To wilczątko.

Chciałem prosić, żebyś pomogła ją uratować.

- A gdzie matka? - spytała Brenna. Udało jej się oswobodzić rękę, ale nie odeszła. Przeciwnie, przysunęła się bliżej i zaczęła z wielką uwagą przyglądać się zwierzątku.

- Nie żyje. Tak samo jak rodzeństwo tej małej.

- Ty zabiłeś jej matkę?! - spytała Brenna surowym głosem.

Brighid zaśmiała się.

- On? On dziś w lesie nie stanowił żadnego zagrożenia. Dla nikogo! Za każdym razem chybiał celu - powiedziała, nie zważając na pełne złości spojrzenie Cuchulainna. - Wilczycę znaleźliśmy martwą.

Cuchulainn prosił mnie, żebyś wytropiła, gdzie miała swoją norę.

Elphame ostrożnie dotknęła brudnej szarej sierści zwierzątka, niewiele większego niż dłoń

Cuchulainna.

Oczy miało zamknięte, nos suchy, gdyby nie zaskomlało cichutko, można by pomyśleć, że nie żyje.

- Jest bardzo słaba, odwodniona. Prawdopodobnie od dwóch dni nic nie jadła - powiedziała Brenna i

ostrożnie wsunęła palec do pyszczka. Wilczątko natychmiast zaczęło ssać.

- To dobry znak, że mała ma jeszcze ochotę ssać

- orzekła Brenna. - Trzeba poić ją mlekiem, bardzo często, ale i tak nie wiadomo, czy przeżyje.

Choćbyś bardzo się starał, Cuchulainnie.

- Ja? Myślałem, że ty...

Zamilkł, ponieważ Brenna nagle podejrzenie zmrużyła oczy. A Elphame, na widok nieszczęśliwej miny brata, roześmiała się na głos.

- No cóż, drogi braciszku! W końcu to ty sprawiłeś sobie szczeniaczka!

- Żadnego szczeniaczka - burknął. - To wilczątko!

- Zanieś swoje wilczątko do kuchni - poleciła Brenna.

- Trzeba poprosić Wynne o kawałek płótna, jakim owija się ser. Pokażę ci, jak zrobić ze ściereczki coś w rodzaju sutka, żeby mała miała z czego ssać.

Brenna - jak widać, też bardzo przejęta, niezależnie od uprzedniego mrużenia oczu - pierwsza ruszyła w stronę kuchni. Cuchulainn wsunął z powrotem wilczątko za pazuchę i poszedł za Brenną, odprowadzany rozbawionymi spojrzeniami i śmiechem biesiadników.

- Wilczątko! - Teraz Elphame mrugnęła wesoło do Brighid. - W sumie może niezły pomysł. Groźny wojownik ratuje bezbronne maleństwo przed niechybną śmiercią. Dobry sposób, żeby przypodobać się dziewczynie.

- Owszem - przytaknęła Łowczyni. - Tylko że Brenna nie jest taką sobie zwyczajną dziewczyną.

- Otóż to!

- Ona ssie! - W głosie Cuchulainna słychać było wielką ulgę.

Siedział przy stole w namiocie, który przedtem zajmowała siostra, a teraz mieszkał tu on. Był zadowolony, że jego plan choć częściowo już się powiódł. Brenna była w jego namiocie. W kuchni byli bardzo krótko. Wynne wygoniła ich stamtąd, krzycząc za nimi, że jedyne zwierzęta, jakie mają prawo tu przebywać, to istoty martwe, gotowe do wrzucenia do garnka. I tym sposobem znaleźli się tutaj, w namiocie. Cuchulainn siedział na krześle, na kolanach miał rozłożony koc, tam usadził wilczątko. Ściereczka chytrze udająca sutek wilczycy została nasączona mlekiem, ale wilczątko na początku wcale nie chciało ssać, tylko skomlało żałośnie. Jakby jednak chciało umrzeć.

- Tylko ostrożnie, Cuchulainnie. To nie jest walka, w której za wszelką cenę musisz zwyciężyć - ostrzegła go Brenna. - Ona bardzo już się nacierpiała. Musisz ją przekonać, że nic jej teraz nie grozi, wtedy zacznie ssać.

Cuchulainn więc głaskał i głaskał, przemawiał czule, w końcu wilczątko dało się ubłagać i przypięło się do szmatki z mlekiem.

Cuchulainn rozpromienił się.

- Widzisz? Udało się. Pije jak smok!

Brenna z trudem powstrzymała uśmiech. Rozczochrany, pachnący mlekiem i brudnym wilczątkiem wojownik był po prostu rozczulający, chyba jeszcze nigdy nie podobał jej się jak teraz.

- Bardzo dobrze, Cuchulainnie. Ale nie rób sobie jeszcze zbyt wielkich nadziei. Sytuacja nadal jest bardzo poważna.

Cuchulainn sposepniał. Podrapał pieszczotliwie karczek wilczątka, wilczątko zaskomlało i zaczęło ssać z jeszcze większą energią.

- A widzisz? Ona ma serce wojownika - powiedział żarliwie zachwycony Cuchulainn. - Nie umiera, chociaż inni giną. Walczy i na pewno przeżyje.

Kąciki ust Brenny jednak drgnęły, choć odezwała się chłodno i rzeczowo, jak Uzdrowicielka:

- Może i masz rację, ale przed tobą długa, niełatwa noc. Tu stoi mleko. Jest tego dużo, wystarczy na całą noc. Masz też czystą ściereczkę. Oczywiście, bierzesz ją ze sobą do łóżka. Przytul ją do siebie, mała nie może się wyiębić. Jak będzie głodna, na pewno cię obudzi. Jutro rano zajrzę do was.

- Jutro? - Cu, zaskoczony, wyraźnie chciał złapać ją za rękę, niestety, obie ręce miał zajęte. - Chyba nie zostawisz mnie teraz samego!

- Oczywiście, że tak. Chyba nie spodziewałeś się, że zostanę tu z tobą przez całą noc!

Nie pochyliła głowy, nie ukryła twarzy za włosami, ale głos jej złagodniał, przycichł, bardziej przypominał głos Brenny, nie Uzdrowicielki.

- Nie ze mną, tylko z nami! - poprawił szybko Cuchulainn. - Z nami!

- Czyli spodziewasz się, że to stworzenie potraktuję jak chorego człowieka? - spytała, natychmiast powracając do rzeczowego tonu Uzdrowicielki.

Cu skinął głową, wyglądało na to, że poczuł ulgę.

- W takim razie jako Uzdrowicielka uważam, że z czystym sumieniem mogę odejść od chorej.

Zostawiam ją przecież w najlepszych rękach jej... przybranego ojca. Jutro rano zajrzę do was.

Dobranoc, Cuchulainnie... - Brenna, unosząc płachtę u wejścia namiotu, zatrzymała się jeszcze na

moment. - Aha, i mimo że mała nie pachnie różami, dziś jej nie kąp. Byłby to zbyt wielki szok dla wycieńczonego organizmu. Możesz wykapać ją jutro.

O ile przeżyje. Poza tym przyszykuj sobie jakieś mokre szmatki. Mała, wiadomo, po jedzeniu robi to i owo, będziesz musiał ją oporządzić, jak to zwykle robi wilczyca. Matka!

Brenna uśmiechnęła się, odwróciła i wyszła z namiotu.

Cuchulainn zacisnął zęby.

Wilczątko zaskomlało i trąciło go noskiem w rękę, dopraszając się o mleko.

- Już, już. Zaraz dostaniesz! - Przesunął wilczątko trochę na bok i zajął się przygotowywaniem nowej porcji mleka, dalej przemawiając do małej: - Niestety, poszła. Ale uśmiechnęła się do nas. Widziałaś?

To dobry znak. Jeszcze chwila i będzie musiała przyznać, że nas bardzo lubi...

Mówił i mówił do swojej maleńkiej słuchaczki, nie pachnącej różami, bo to bardzo ważne - powiedzieć na głos. Przełożyć na dźwięki swoją determinację. Powiesz - a stanie się prawdą. Taką przynajmniej Cuchulainn miał nadzieję.

Elphame w końcu mogła nacieszyć się samotnością. Wiedziała, że Cuchulainn, zajęty swoją maleńką podopieczną, nie będzie miał teraz czasu dla siostry - chociaż to jego osoba w jakiś sposób opóźniła nadejście słodkiej chwili samotności. Przedtem Brighid koniecznie chciała odprowadzić Elphame do jej pokoju, nawet asystowała jej podczas kąpieli. Po to, by opowiedzieć szczegółowo o wszystkich porażkach łowieckich Cuchulainna tego dnia. Po prostu musiała się wygadać.

Elphame uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie tyrady Brighid, kończąc jednocześnie nakładanie kiltu w jasnoniebiesko-zieloną kratę klanu MacCallanów.

- Dzięki, Mamo - szepnęła, spinając pled na ramieniu

broszą MacCallana. Ręka bezwiednie pogłaskała pled z materiału w najlepszym gatunku, jeden z licznych darów, jakie przywieziono poprzedniego dnia ze świątyni Epony. Szczerze mówiąc, Elphame specjalnie nie zależało na pościeli z najcieńszego płótna i innych zbytkownych

przedmiotach, zdaniem matki niezbędnymi. Ale ten dar, kilt i pled w kratę MacCallanów był po prostu

bezcenny.

Kiedy skończyła się ubierać, podeszła do gotyckich drzwi, za którymi były schody, prowadzące do pokoju kąpielowego Elphame. Gdzie znajdowały się również ukryte drzwi do lochu.

Zeszła po schodach. Jej palce, tak jak poprzednim razem, przesuwają się po ścianie, głaszcząc kamień - ciało zamku, jej nowego domu. Po drodze przeżyła króciusięnką chwilę zwątpienia. Czy ona wie, co robi?

Elphame zrobiła głęboki wdech. Oczywiście, że wie. Doskonale.

Pokaż mi ukryte drzwi.

Natychmiast poczuła znajome mrowienie w palcach, potem ciepło i z palców zaczęła się wysuwać złocista nić. Zajaśniała i pobiegła w dół, znacząc swoją ścieżkę po ścianie. Zatrzymała się na środku ukrytych drzwi. Elphame z bijącym sercem podążała za nitką. Doszła do ukrytych drzwi, wyjęła z uchwytu jedną z zapalonych pochodni i nacisnęła wystający ze ściany okrągły oszlifowany kamień.

Tym razem drzwi otwarły się bezszelestnie, jakby czekając na nią, wstrzymywały oddech.

Uniosła wysoko pochodnię i spojrzała w ciemny, wąski loch o wilgotnych ścianach, pokrytych srebrzystymi pajęczynami. Kiedy pomyślała o przemykających pająkach, zadrżała. Nierówny, chropowaty sufit był tu bardzo nisko i okropnie cuchnęło stęchlizną. Elphame przycisnęła mocno rękę do ściany, wyczuwając pod zimną powierzchnią

puls zamku. Kamień powoli zaczął nagrzewać się pod jej ręką i poczuła wielką ulgę, kiedy ukazała się

złocista nić i zaczęła pełznąć po ścianie. Bardzo szybko jej początek wkrótce znikł z oczu Elphame, ale to nie był powód do niepokoju. Czowała się dalej z nią połączona, jakby drugi koniec nici był w niej, pulsował w jej żyłach.

Była też pewna, że tam, gdzie skończy się kamienny loch, zacznie się las. Wystarczy tylko wejść w tę ciemną czeluść... Szybko, żeby uprzedzić ewentualne wątpliwości i strach, wkroczyła w mrok lochu i

ruszyła do przodu po zaskakująco równej posadzce. Nie było żadnych zakrętów, nie szła ani w górę, ani w dół, tylko prosto przed siebie i chociaż było zimno i cuchnęło stęchlizną, loch emanował spokojem i siłą. Cichy stukot kopyt, tak znajomy, też uspokajał. Szła, rozmyślając o MacCallanach, którzy od pokoleń zamieszkiwali ten zamek. Ileż to razy któryś z jej przodków przemierzał ten loch? Ile razy loch był miejscem schadzek kochanków?

Schadzki. Serce Elphame zabiło szybciej.

- Epono, pomóż mi zrobić to, co powinnam zrobić - powiedziała na głos i nagle poczuła się nieswojo.

Miała bowiem wrażenie, że jej głos dziwnie zawirował wokół niej. Naprawdę dziwnie. Przez moment

zastanawiała się, czy nie wezwać ducha ostatniego Przywódcy Klanu, jego towarzystwo na pewno dodałoby jej odwagi. Ale zrezygnowała. Teraz przecież to ona była Przywódczynią Klanu i powinna postępować tak, jak przywódca. Sama podejmować decyzje, a jeśli trzeba - sama wykonać to, co postanowiła.

W drżącym świetle pochodni ukazał się wylot lochu. U wylotu było kilka kamiennych stopni, prowadzących w górę, między chaszczę i splątane korzenie. Elphame wsunęła pochodnię w uchwyt na

ścianie i zgięta wpół,

zaczęła posuwać się do przodu, odgarniając na bok chaszczę i zeschnięte liście, blokujące wyjście - i nagle, przy niewielkim wysiłku z jej strony, wynurzyła się z lochu, jak korek wyskakujący z wody.

Chwilę stała w miejscu, żeby wzrok przyzwyczał się do ciemności. Tę chwilę wykorzystała też na wyjęcie z włosów kilku zeschniętych liści. Była w lesie, na pewno w sporej odległości od zamku, nie

widziała przecież żadnych świateł. Ale słyszała bardzo wyraźnie, jak morskie fale biją o brzeg, czyli była blisko morza.

Odwróciła się, spojrzała na wejście do lochu i aż potrzęsnęła głową ze zdumienia. Stąd wyglądał po prostu jak jeszcze jedna dziura w ziemi, jakich w lesie nie brakowało. Znakomicie dopasowany do otoczenia, trzeba naprawdę być bardzo ostrożną i uważną, żeby potem nie mieć kłopotu z jego



odnalezieniem.

Rozejrzała się dookoła, starając się zobaczyć cokolwiek w spowitym w mrok lesie. Może powinna poczekać, aż księżyc wzejdzie wyżej i będzie jaśniej? Może, ale przecież ona i tak nie wie, w którą stronę spoglądać. Nie ma pojęcia, gdzie może być Lochlan.

Przyszedł, kiedy napadł na nią dzik. Przyszedł też wczoraj. Była wtedy sama. Skąd o tym wiedział?

Ciekawe... Elphame zmrużyła oczy, zastanawiając się w duchu, co robić. Po pierwszym jej spotkaniu z Lochlanem trudno jej było uwierzyć, że spotkała go naprawdę, że on istnieje. Ale wczoraj... wczoraj wystarczyło, że wypowiedziała jego imię na głos, a on się pojawił. I nie miała już żadnych wątpliwości. On istniał naprawdę.

Powiedział też: Zawołaj mnie, najdroższa. Zawsze będę w pobliżu.

Elphame nieznacznie wzruszyła ramionami. Nie bę-

dzie przecież przeszukiwać całego lasu. Wychodzi na to, że trzeba go będzie po prostu zawołać.

Odchrząknęła i czując się trochę głupio - nie, bardziej niż trochę głupio - ostrożnie wypowiedziała jego imię na głos.

- Lochlan...

Prawie szeptem, czyli wiadomo, nikt nie usłyszy. Zebrała się więc w sobie i zawołała:

- Lochlan!

Nagle poczuła na skórze dziwne ukłucia, jakby coś ją otoczyło, otuliło, jakaś niewidzialna siła. Wiatr pochwyił echo tego słowa, poniósł między konary sosen. Lochlan... Lochlan... Lochlan... niosło się coraz dalej, coraz dalej, aż ucichło. Znikło jak mgła, którą ucałowało słońce.

- Jakieś czary...

Wargi Elphame poruszyły się, ale te wyrazy nie uleciały z jej ust. Zbyt była poruszona. Bo to na pewno nie kwestia wyobraźni czy skutki uderzenia w głowę.

Imię Lochlana było magiczne.

Jeszcze go nie widziała, a już czuła jego obecność. Wyczuwała poprzez swoją krew, podobnie jak

poprzez kamień wyczuwała puls zamku MacCallana.

- Lochlanie!

Zawołała jeszcze raz, zachwycona, że znów obudziła magię, znów wiatr pochwycił jego imię.

Ale nie poniósł dalej, tylko kazał zatańczyć wokół Elphame.

- Jestem tu, najdroższa.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY**

Wyszedł z mroku, ze skrzydłami złożonymi równo na plecach. Jego skóra i włosy zdawały się przyciągać poświatę wschodzącego księżyca. Malowała je srebrzyście, podkreślając wypukłości i płaszczyzny postaci, zarys aksamitnej ciemności skrzydeł. Srebrzysta postać zbliżała się do Elphame bezszelestnie, szybującym krokiem, charakterystycznym dla rasy Fomorian. Niezwykłym, ale Elphame nie ruszyła się z miejsca, nie drgnęła, nie cofnęła się. Nie okazała lęku, mimo to Lochlan nie podszedł zbyt blisko. Zatrzymał się w odległości na wyciągnięcie ręki.

- Czuję, że jesteś bardzo blisko, Elphame. Choć trudno mi było w to uwierzyć.

- Słyszałeś, jak cię wołałam?

- Tak. Wiatr przyniósł twój głos. Poszedłem więc tam, skąd wiał wiatr.

Elphame czuła, że jest coraz bardziej zdenerwowana. Policzki stawały się coraz cieplejsze, dowód na

to, że na jej twarz wypływa rumieniec. I nie wiedziała, co zrobić z rękami.

- Może pójdziemy się przejść? - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

- To będzie dla mnie zaszczyt.

Wyciągnął rękę, ale Elphame nie podała mu swojej. Zawahała się. W świetle księżyca ręka Lochlana wyglądała upiornie.

- Elphame, przecież już cię dotykałem, a ty mnie. Oderwała wzrok od jego ręki i zajrzała mu w oczy.

A potem powoli splotła swoje palce z jego palcami. Jego skóra była ciepła, a tam, gdzie ich nadgarstki się ocierały, wyczuwała miarowy puls.

- Za tymi drzewami są już skały nabrzeżnie - powiedział, wskazując ponad jej ramieniem. - Tam na

pewno będzie jaśniej.

Elphame, nie odzywając się ani słowem, skinęła głową. Teraz, kiedy Lochlan był już razem z nią, straciła całą pewność siebie. Do tego stopnia, że jej nogi nie dawały się zmusić do chodzenia - po prostu stała, z dłonią schowaną w dłoni Lochlana i patrzyła na niego.

Białe zęby Lochlana błysnęły w porywającym uśmiechu, szare oczy roziskrzyły się.

- Idziemy? A może chcesz pobiegać?

Jego uśmiech i słowa sprawiły, że skrępowanie Elphame wreszcie znikło.

- Pobiec? Nie w nocy i nie przez las. Idziemy! - zakomenderowała.

Trzymając się za ręce, ruszyli przed siebie, przez las.

- Dostałam niezłą nauczkę. Jeszcze jeden upadek i Cuchulainn zacznie chodzić za mną krok w krok.

Ani na minutę nie spuści mnie z oka. W obecnej sytuacji będzie to nie tylko dla mnie fatalne. Dla niego też.

- Domyślam się, że jest bardzo zajęty przy odbudowie zamku. Trudno byłoby mu się rozdzielić...

- To też. Ale przede wszystkim to Cuchulainn zakochał się!

- A... rozumiem - Lochlan sprawiał wrażenie zaskoczonego. Chwilę pomilczał, a potem, nieśpiesznie kreśląc kciukiem kółeczka na jej dłoni, dodał: - A miłość, jak wiemy, to sprawa dość skomplikowana...

- A skąd ty to wiesz? - spytała, czując, że od tych kółeczek, rysowanych na jej dłoni, cała drży.

Wyszli już z lasu. Księżyc bawił się śpiącym morzem, malując go na srebrzyście i na biało. W oddali widać było zamek MacCallana, częściowo zasłonięty przez drzewa.

Lochlan zwrócił się twarzą do Elphame.

- Skąd wiem, że miłość to sprawa skomplikowana? Ano... wiem.

Była usidlona jego spojrzeniem, spojrzeniem oczu wypełnionych tajemnicą i uwodzicielską pokusą poznania tego, co jeszcze nieznanne. Patrzyła w te oczy, nagle czując lęk. Jeśli pokocha Lochlana,

będzie zgubiona. Zatraci się, zmieni na zawsze, a wcale nie była pewna, czy jest gotowa wyrzec się siebie dla mężczyzny - zwłaszcza takiego, który jest tak inny, tak niepodobny do kogokolwiek, kogo znała.

Ostrożnie wysunęła dłoń z jego dłoni i szybkim krokiem zaczęła iść w stronę jednego z dużych kamieni, jakimi zasłane było nabrzeżne urwisko. Lochlan szedł za nią. Elphame usiadła na kamieniu, milcząca, starając się w swojej głowie wprowadzić jaki taki porządek.

- Lochlanie... - odezwała się po chwili, wpatrując się w srebrzone księżycem morze. - Powiedz mi, jak to możliwe, że ty istniejesz.

Lochlan zdawał sobie sprawę, że to, co teraz jej powie, może wpłynąć decydująco na dalsze ich relacje. Dlatego najpierw, zanim otworzył usta, pomodlił się w duchu, prosząc Eponę o pomoc.

- Dlaczego istnieję? Prawdę mówiąc, sam tego do końca nie wiem. Wiem natomiast, tak samo jak ty, co doprowadziło do Wielkiej Wojny. Ponad sto lat temu rasę Fomorian dotknął kataklizm. Fomorianki

z niewyjaśnionego powodu zaczęły wymierać. Nieraz zastanawiałem się, czy taka nie była wola Epony, która chciała, by rasa demonów wyginęła. Z drugiej jednak strony, jeśli istotnie tak było, to dlaczego Epona pozwoliła, żeby doszło do wojny?

Elphame, nadal wpatrując się w morze, odpowiedziała słowami, które wielokrotnie słyszała z ust matki.

- Epona pozwala ludziom dokonywać własnych wyborów. Wcale nie chce, żebyśmy byli jej niewolnikami. Chce, żebyśmy byli silnymi, rozumnymi istotami o szerokich horyzontach. Ta swoboda jednak oznacza również możliwość popełniania błędów, a błędy bardzo często prowadzą do zła.

Gdyby wojownicy w Warowni nie zaniedbali swoich obowiązków, Fomorianie nie wdarliby się do Partholonu i nie zaczęli uprowadzać kobiet.

- Ale tak się stało. Fomorianie zaczęli uprowadzać kobiety, w ten sposób chcieli zapobiec wymieraniu

swojej rasy. I udało im się, bo okazało się, że domieszka ludzkiej krwi wcale nie osłabia demona.

Rasa odrodziła się, urosła w siłę do takiego stopnia, że Fomorianie byli w stanie dokonać najazdu na

Partholon. Do czasów mojej matki żadna kobieta nie przeżyła porodu dziecka, którego ojcem

był Fomorianin. Moja matka była młoda, silna, zawsze jednak twierdziła, że jej siły fizyczne odegrały tu niewielką rolę. Najistotniejsze było to, że we mnie, w dziecku, które urodziła, więcej było z

człowieka niż Fomorianina. Matka została uprowadzona przez Fomorian wraz z dużą grupą kobiet.

Zostały zgwałcone, żeby zaszły z nimi w ciążę, co dla tych kobiet oznaczało wyrok śmierci. Dziecko było tak duże, że podczas porodu rozrywało ciało matki. - Lochlan referował to beznamiętnym tonem.

Tę historię przecież słyszał z ust matki niezliczoną ilość razy. - Dla Fomorian te kobiety były po prostu czymś w rodzaju inkubatora. Sposobem na odradzanie się ich rasy. Szczególnie zależało im na tym,

żeby rodziły się hybrydy płci żeńskiej, które tym bardziej mogły do tego się przyczynić. Ale potrzebne było każde dziecko... Kiedy Partholon zjednoczył się i szala zwycięstwa przeważyła na jego korzyść,

Fomorianie próbowali uciec w Góry Tier. Niektórym to się udało. Zaszli się w górach, podzielili się

między sobą uprowadzonymi kobietami i postanowili po prostu przeczekać, aż urodzą się owe dzieci i

będzie możliwość odrodzenia rasy. Ale Bogini miała wobec nich inne plany. Demony zaczęły

chorować, na tę samą chorobę, która zdziesiątkowała ich wojsko. Byli coraz słabsi i wtedy moja

ciążarna matka zaczęła namawiać inne kobiety do buntu. Skrzyknęły się i uciekły Fomorianom.

Zamierzały przejść przez góry i wrócić do Partholonu, do swoich domów i tu, otoczone miłością

najbliższych, postanowiły czekać na nieuniknioną śmierć podczas porodu. Stało się jednak inaczej.

Zanim dotarły do Partholonu, kobiety zaczęły rodzić. Moja matka pierwsza. I wcale podczas porodu nie umarła...

Elphame oderwała wzrok od morza. Teraz patrzyła na Lochlana. Jego twarz mieniła się.

- Potem poród mutanta przeżyła jeszcze jedna kobieta, i jeszcze jedna...

Mutant? W sercu Elphame zakłulo.

- Nie jesteś mutantem, Lochlanie.

- Jestem, Elphame. Jestem przecież i demonem, i człowiekiem.

- A ja, Lochlanie, jestem i centaurem, i człowiekiem. Czy też jestem mutantem?

- Ty? Ty jesteś nadzwyczajna. Elphame wytrzymała jego wzrok.

- Nie tylko ja....

Lochlan uśmiechnął się niewesoło i dalej opowiadał historię swego życia.

- Przeżyła prawie połowa kobiet. Moja matka tłumaczyła to w jeden tylko sposób. Widziała w tym palec Bogini. Matka ten palec widziała zawsze, kiedy nie знаła odpowiedzi na jakieś pytanie. W każdym razie nagle utworzyła się grupa młodych kobiet, każda z dzieckiem ze skrzydłami... - Głos Lochlana, wyraz jego twarzy wyraźnie złagodniały. - Każda pełna miłości do swego maleństwa.

Wiedziały jednak, że z takimi dziećmi nie mogą wrócić do Partholonu, a o porzuceniu dzieci w ogóle nie było mowy. Powędrowały więc przez góry w drugą stronę, na Pustkowie. Życie tam jest niezwykle

ciężkie. Nasze matki bardzo tęskniły za Partholonem, nigdy jednak go już nie zobaczyły. My, dzieci, przeżyliśmy wszystkie. Rozwijaliśmy się prawidłowo, a nasze matki wychowywały nas na istoty cywilizowane. Na ludzi.

- To było sto lat temu...

Te słowa zabrzmiały jak westchnienie. Jakże trudno było w to uwierzyć, kiedy stał obok niej, uskrzydłony, żywy, oddychający.

- Przyznaję, że to dość długo. - Lochlan rozłożył

bezradnie ręce, jakby sam nie wiedział, co począć ze swoją długowiecznością. - Żadna z naszych matek nie miała zbyt wielkiej wiedzy o rasie Fomorian. Ale najprawdopodobniej dzięki tej rasie my, dzieci, dojrzewaliśmy bardzo szybko i jesteśmy wyjątkowo odporni. Domieszka czarnej krwi chroni nas też przed starzeniem się.

Elphame wyczerpała pamięć, starając się przypomnieć sobie, co wyczytała o Fomorianach w bogatym

księgozbiornie matki.

- Czytałam, że Fomorianie mają awersję do dziennego światła. A Ciebie przecież widuję za dnia i odnoszę wrażenie, że takie światło Ci nie przeszkadza.

- Nie. Ale lepiej czuję się w nocy, wtedy widzę lepiej niż w dzień i wszystkie zmysły mam bardzo wyostrzone.

Rozłożył szeroko ręce i rozpostarł palce. Elphame pomyślała, że teraz Lochlan wygląda jak uskrzydłony duch szamana, szykujący się do wywołania magii Bogini.

- Nocne niebo wzywa mnie!

- Potrafisz latać?

Opuścił ręce i uśmiechnął się.

- Moim zdaniem, to nie jest latanie, raczej szybowanie. Kiedy niesie Cię wiatr... Może pewnego dnia Ci pokażę.

Szybować, w jego objęciach... Elphame na moment aż zabrakło tchu.

- Nie, to wszystko wydaje się nierealne - powiedziała. - Ty też wydajesz się nierealny...

Lochlan podszedł do niej bliżej. Wziął w palce jedno z gęstych pasm jej włosów, puścił. Włosy jak czarny wodospad opadły na jej ramię.

- Miałem kiedyś sen, Elphame, którego nigdy nie zapomnę. Nawet gdybym miał żyć całą wieczność.

W tym śnie patrzyłem na narodziny dziecka zrodzonego

z kobiety i centaura. Kiedy centaur podniósł dziecko wysoko i ogłosił, że narodziła się Bogini,

wiedziałem, że to dziecko nieodwracalnie zmieni moje życie. Dla mnie zawsze byłaś realna, Elphame,

a całe moje pozostałe życie wydaje mi się tylko snem. Ty jesteś moim przeznaczeniem.

- Lochlanie - Elphame westchnęła, bardzo poruszona jego wyznaniem. - Ja... ja sama nie wiem, co mam teraz zrobić.

- A nie możesz po prostu zrobić to, co zrobiła moja matka? Po prostu pozwól sobie pokochać mnie!

Wszystko w niej, serce, dusza, krew w żyłach, krzyczało - tak! Możesz to zrobić! Ale zdrowy rozsądek i głęboko zakorzeniony lęk przed Fomorianami ostrzegały, że należy być ostrożną.

- Ja nie mogę sobie na to pozwolić, Lochlanie. Nie jestem zwyczajną młodą dziewczyną, noszę nazwisko MacCallan. Moi ludzie złożyli mi przysięgę na wierność. Teraz na pierwszym miejscu stawiam swój klan, dopiero potem siebie.

Twarz Lochlana rozjaśnił pogodny uśmiech.

- W takim razie zapytaj mnie, jak nazywała się moja matka.

- Twoja matka? Dobrze. A więc pytam. Jak nazywała się twoja matka?

- Morrigan. Takie imię wybrał kochający ojciec, imię legendarnej królowej duchów. Mieszkała w zamku swego klanu, starej siedzibie przodków. Przywódcą klanu był jej brat, najstarszy z kilkorga rodzeństwa. Matka po ukończeniu nauki w Świątyni Muzy wybrała się w podróż za morze, po powrocie miała wyjść za mąż, daty ślubu jeszcze nie wyznaczono. Ten ślub zresztą nigdy się nie odbył...

- Ponieważ na zamek MacCallana napadli Fomorianie i uprowadzili twoją matkę - dokończyła Elphame, nagle czując nadnaturalne ukłucia na swojej skórze. - Jej brat to był MacCallan, przywódca klanu.

Lochlan z szumem skrzydeł padł przed nią na kolana. Wyciągnął z pochwy krótki miecz i złożył go u jej stóp.

- W moich żyłach płynie dużo krwi klanu MacCallanów, dlatego występuję o prawo do noszenia tego nazwiska i składam ci przysięgę na wierność. Przysięgam, że od tej chwili będę ci wierny aż do śmierci i po śmierci, jeśli z woli Epony będę egzystował dalej.

Elphame patrzyła na klęczącego przed nią Lochlana, spowitego w chłodną poświatę księżyca. Patrzyła

w jego oczy, w szarość, w której odbijało się teraz coś, co mogła zdefiniować tylko w jeden sposób.

Jako swoją przyszłość. I zaakceptować ją, bo Lochlan miał rację, we wszystkim miał rację.



Wyczuwał

prawidłowo. Nie potrafiła tego wyjaśnić w sposób racjonalny, ale tak po prostu było. To u boku Lochlana znajdowała spokój.

Zsunęła się z głazu i opadła na kolana przed Lochlanem.

- Zatrzymaj go - powiedziała, wręczając mu z powrotem miecz. - Możesz go potrzebować, kiedy będziesz bronił Przywódczyni Klanu.

- Przyjmujesz mnie do klanu?

Elphame niemal z czią dotknęła jego policzka.

- Tak. Przyjmuję cię, Lochlanie, do Klanu MacCal-lanów. Masz do tego prawo z racji urodzenia.

Na twarzy Lochlana widać było wyraźną ulgę. Skłonił głowę i szepnął cicho:

- Dziękuję, Epono.

Kiedy wymawiał imię Bogini, Elphame nagle ponownie poczuła przyływ sił nadnaturalnych, podsuwających

jej Przeczucie. Przerazające obrazy, przerażająco realistyczne. Lochlan na klęczkach, jak teraz, ale skuty łańcuchami, zakrwawiony... uwięziony... umierający...

Jej umysł natychmiast zaprotestował, usuwając sprzed oczu przerażającą wizję. O, nie! Ona nie pozwoli zniszczyć Lochlana. Nigdy!

Wizja sprawiła, że natychmiast podjęła decyzję. Wiedziała już, co ma zrobić. Jeśli go zaakceptuje, jeśli pokocha, zmieni jego przyszłość. Nigdy nie dojdzie do tego, co przed chwilą zobaczyła oczyma duszy. Matka Lochlana swoją miłością pokonywała domieszkę czarnej krwi u Lochlana. Elphame swoją miłością będzie bronić go przed nienawiścią świata.

- Lochlanie, powiedziałeś mi, że jestem twoim przeznaczeniem.

- Tak. Kocham cię, Elphame.

- A więc podajmy sobie ręce, Lochlanie, zostanmy mężem i żoną.

Lochlan gwałtownie nabrał powietrza. Była to jedyna oznaka, jak bardzo jest zaskoczony tym, co pro-

ponowała Elphame. Zgodnie z obyczajem kobieta i mężczyzna mogli złożyć sobie przysięgę małżeńską dokładnie na rok. Po upływie tego czasu para decydowała, czy kontynuuje związek, czy się rozstaje, nie obwiniając się z tego powodu nawzajem. Takie małżeństwo było umową wiążącą, zawieraną przez dwoje ludzi, świadkiem była Epona. Dlatego związek ten uważany był za święty i w ciągu roku nie wolno było go zerwać.

- Tak! - zawołał Lochlan, chwytając w ręce obie jej dłonie. - Tak, chcę tego!

A krwawa Przepowiednia i cały ten świat niech będzie przeklęty! - dodał w duchu i natychmiast, żeby

uprzędzić

ewentualne wątpliwości Elphame, zaczął wypowiadać nieśmiertelne słowa przysięgi, których wyuczyła go matka. A matkę jej matka, też wyuczona przez swoją matkę.

- Ja, Lochlan, syn Morrigan MacCallan, dziś, tego dnia, biorę sobie ciebie, Elphame, córkę Etain, za żonę na rok. Będę chronić cię przed ogniem, nawet gdyby słońce spadło na ziemię, przed wodą, nawet

gdyby morze wystąpiło z brzegów i przed ziemią, nawet gdyby wstrząsnęło nią całą. Będę szanować twoje imię jak swoje własne.

Potem przysięgę złożyła Elphame, w pełni przekonana, że wstępuje na właściwą drogę - na drogę, którą dostrzegła w oczach Lochlana. Drogę, którą przepowiedział jej brat.

- Ja, Elphame, przywódczyni klanu MacCallanów, dziś, tego dnia, biorę sobie ciebie, Lochlanie, za męża na rok. Nic nas nie rozdzieli, żaden ogień ani płomień, jezioro, morze ani góry potężne. Będę szanować twoje imię jak swoje własne.

- Jak zostało powiedziane... - powiedział Lochlan.

- Tak będzie uczynione - dokończyła obrzędu Elphame.

Potem złączyli się w pocałunku, którym rozpoczęli ostrożne i czułe konsumowanie swego

małżeństwa. Elphame oparła się o swego męża, mąż objął ją bardzo mocno, jego wargi były miękkie, o wiele bardziej miękkie niż reszta jego ciała. Elphame znów chłonęła jego zapach, zapach lasu, dzikości, zapach mężczyzny. Był cudowną oazą w jej życiu, w którym, jak przypuszczała, miało zawsze brakować mężowskiej miłości.

Teraz miała męża. Należał do niej, ona należała do niego.

Dla jej wyostrzonych już zmysłów szelest jego drżących skrzydeł był najbardziej uwodzicielską muzyką.

- Twoje skrzydła... - szepnęła - są jak żywy aksamit. Chciałabym owinać się nimi, chciałabym, żebyś mnie stąd poniósł...

Dotknęła pokrytego kremowym meszkiem spodu skrzydeł. Lochlan jęknął, zadrżał konwulsyjnie i zamknął oczy. Elphame cofnęła rękę i dotknęła jego twarzy.

Powoli otworzył oczy.

- Powiedziałeś, Lochlanie, że widzisz mnie w swoich snach od dnia moich narodzin, musisz więc wiedzieć, że w sprawach miłosnych nie mam żadnego doświadczenia. Nie zamykaj się przede mną, ja

przecież nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego to robisz. Musisz mną pokierować. Teraz, kiedy dotykam twoich skrzydeł, mam wrażenie, że sprawiam ci ból, a wczoraj prosiłeś, żebym nie przestawała cię dotykać. Nie rozumiem tego, a chciałabym to robić, bardzo... Pomóż mi to zrozumieć, mój mężu.

Czułe słowa wstrząsnęły nim, w tym momencie odczuł bardzo mocno fakt, że należą teraz do siebie.

Był jej mężem, ona jego żoną. Zdobywając Elphame, odnalazł swoje miejsce na ziemi. Nikt i nic nie zdoła ich rozłączyć.

- Moje skrzydła, Elphame, stanowią przedłużenie moich najgłębszych emocji. Mam je dzięki krwi po ojcu. Reagują żywiołowo, nie zawsze łatwo je opanować. Kiedy dotykasz ich, jest tak, jakbyś dotykała

tego, co we mnie najbardziej niegodziwe.

- Czy to, że mnie pożadasz, jest niegodziwe?

- Nie! Oczywiście, że nie! Ale kiedy budzisz we mnie pożądanie, budzą się we mnie również mroczne

instynkty. I to może okazać się bardzo niebezpieczne.

Żądzy krwi Fomorian... Lochlan sam przecież przyznał się, że drzemie w nim żądza jej krwi, krwi

Elphame. Spojrzała, bardzo spokojnie w jego smutne teraz, pełne

lęku oczy. Nie zobaczyła tam żadnego demona, tylko mężczyznę, który został stworzony, by być jej mężem.

- Wierzę, Lochlanie, że twoja miłość do mnie jest silniejsza niż ten demon w tobie.

Miał na sobie zwyczajną koszulę z niefarbowanego płótna. Elphame, rozwiązując troczki przy jego

koszuli, patrzyła Lochlanowi prosto w oczy. Kiedy rozwiązała, Lochlan szarpnął za płótno,

odsłaniając swoją pierś. A jej na moment aż zabrakło tchu na widok tak pięknego, mocnego ciała.

Powoli rozpięła swoją broszę Przywódczyni Klanu, zdjęła pled i kilt, ściągnęła przez głowę bluzkę z

cienkiego batystu. Chłodne powietrze wiosennej nocy dotknęło jej nagiej skóry, wysyłając przez

rozkoszny dreszcz.

Lochlan stał nieruchomo. Tylko jego skrzydła drżały.

Przytuliła się do niego, przyciskając piersi do jego szerokiej klatki i wyciągnęła rękę ponad jego

ramieniem, żeby pogłaskać skrzydło. Jej palce zaczęły delikatnie pieścić miękkość, która przywodziła

jej na myśl aksamit. Lochlan drgnął. Objął ją mocno ramionami, ich usta złączyły się w gorącym

pocałunku, a palce Elphame przesunęły się teraz po jego plecach. Odnalazły tam miejsce, gdzie

wyrastały skrzydła, i tam przeniosły swoją pieśczętę.

Lochlan gwałtownym ruchem porwał ją na ręce i położył na miękkim łożu z trawy i pledu

MacCallana. Przykucnął obok, skrzydła miał rozłożone, za wszelką cenę starał się opanować swoje

rozbuchane emocje. A Elphame wyciągnęła rękę, pragnąc przede wszystkim poczuć na sobie ciężar jego ciała.

Lochlan, ciężko dysząc, chwycił ją za rękę.

- Powoli, najdroższa. Pozwól, że cię obejrzę. Chcę poznać twoje cudowne ciało.

Jęknęła, kiedy dotknął jej stwardniałego sutka.

- Tak... - Jego głos był zachrypnięty od pożądania. - Wzywasz mnie, jak syrena. Pójdę wszędzie za tym głosem, nawet gdyby czekała mnie tam śmierć... - Jego palec przesunął się delikatnie wzdłuż gojącej się już bliznie po ranie pod żebrami. - Nikt nigdy już cię nie skrzywdzi, Elphame. Będę cię bronił do ostatniej kropli krwi.

Nigdy do tego nie dojdzie, wszystko będzie dobrze, klan musi go zaakceptować... Przez głowę Elphame przemknęło kilka żarliwych myśli, potem wszystkie uleciały jej z głowy, kiedy ciepłe palce Lochlana przesunęły się w dół, do miejsca, gdzie jej ciało zaczynała pokrywać miękka kasztanowata sierść.

- Jesteś taką nieprawdopodobną miękkością - szepnął zachrypniętym głosem, pieszcząc jej udo. - Miękkość połączona z siłą. Przez te wszystkie lata zastanawiałem się, jak by to było, gdybym cię dotykał, a ty mnie. Nigdy nie wierzyłem, że kiedykolwiek będę to robił. Ale w końcu znalazłem drogę do ciebie...

Palce Lochlana wsunęły się między uda Elphame, dotknęły miejsca najbardziej intymnego. Elphame niespokojnie poruszyła biodrami, a skrzydła Lochlana ożyły. Zaczęły pulsować, czarna krew ojca zawrzała w jego żyłach. Podsunęła mu na moment obraz przerażający. Zobaczył, jak bierze Elphame siłą, jak jednocześnie pije jej krew, usłyszał jej rozpaczliwy krzyk...

Nie! Racjonalny umysł buntował się przeciw takiej wizji.

Lochlan szybko odsunął się od Elphame. Usiadł na trawie i ciężko dysząc, objął rękami głowę, rozsadaną przez ból. Elphame uklękła przy Lochlanie, zaczęła głaskać go po ramieniu, szeptać do

ucha słowa pociechy. Kiedy jego skrzydła zaczęły się składać, ostrożnie oderwała mu ręce od głowy, odsłaniając twarz.

- Czego ty się boisz, Lochlanie? Dlaczego odsunąłeś się ode mnie?

Spojrzał w jej oczy, o jasnym, szczerym spojrzeniu. Co zrobiłaby Elphame, gdyby wiedziała, że przyszedł do niej, podążając nie tylko za głosem serca, lecz także z powodu poznania złowrogiej

Przepowiedni, która domaga się jej krwi? Czy fakt, że jednak zdecydował się oszukać swoich ludzi i nie spełnić Przepowiedni, miałby dla niej jakieś znaczenie?

- Porozmawiaj ze mną, Lochlanie. A może żałujesz, że zawarliśmy małżeństwo?

- Nie! Nigdy! Ale to ty powinnaś żałować! Jestem demonem, ledwo panuję nad sobą, nad swoimi mrocznymi instynktami! Nie potrafię kochać się z tobą bez przemocy i krwi. To rozpala moją żądzę!

Rozumiesz? Co z tego, że cię kocham i pożądam, kiedy moje mroczne dziedzictwo każe mi jednocześnie krzywdzić cię, szarpać, zadawać ból, posmakować twojej krwi!

Elphame czuła, jak narasta w niej lęk, starała się jednak ze wszystkich sił pokonać strach, świadoma, że jej reakcja teraz zaważy na ich przyszłości. Sama wybrała sobie Lochlana. A kiedy się kocha kogoś, darzy się go zaufaniem. Gdyby Lochlan nie był jej wart, gdyby nie był godzien jej zaufania - czy

przeżywałby teraz taką udrękę? Na pewno nie. Gdyby naprawdę był demonem, nie walczyłby o zachowanie swojego człowieczeństwa. Wyrzekłby się swojej ludzkiej duszy na rzecz ciemności.

Elphame wierzyła w niego. Musiała wierzyć.

- Czyli, kiedy chcesz kochać się ze mną, od razu myślisz o przemocy, Lochlanie?

- Tak - odparł załamującym się głosem. - Nie potrafię się od tego powstrzymać.

Elphame wstała. Lochlan zamarł, pewien, że Elphame chce odejść.

- W takim razie to ja będę kochać się z tobą, Lochlanie - powiedziała i zamiast odwrócić się do niego plecami i odejść, podeszła do niego i zręcznie usiadła mu na kolanach. Zaczęła go całować, pieścić

jego skrzydła, które natychmiast zaczęły pulsować, nabrzmiewając pożądaniem.

- Elphame, ty nie wiesz...

- Cii...

Przycisnęła palec do jego ust, palce drugiej ręki zręcznie rozwiązały troczki przy jego spodniach.

Wstrzymał oddech, kiedy siadała na nim, kiedy zaczęła poruszać się rytmicznie, prowadząc ich oboje ku największej rozkoszy. Pobudzone skrzydła rozłożyły się, zasłaniając niebo, zasłaniając las. Teraz istniał dla niej tylko on. Lochlan, jej mąż.

Wracali w milczeniu. Niebo zaczynało się już przejaśniać, Elphame trudno było uwierzyć, że minęła prawie cała noc. Wydawało jej się, że w ramionach męża spędziła tylko krótką chwilę. Króciusięnką...

Palce Elphame bezwiednie zacisnęły się mocniej wokół dłoni Lochlana. Lochlan uśmiechnął się.

Przycisnął jej dłoń do swoich ust, po czym po raz kolejny zadał sakramentalne pytanie.

- Jesteś pewna, że nie zrobiłem ci krzywdy?

- Całkowicie pewna i wreszcie przestań mnie o to pytać. Nie jestem delikatnym, mdlejącym na zawołanie dziewczątkiem. - Kąciaki ust Elphame drgnęły. - Ja już w ogóle nie jestem dziewczątkiem!

- Dla mnie stał się prawdziwy cud. Nie wierzyłem, że kiedykolwiek będę w stanie opanować...

Zamilkł i zacisnął mocno szczęki, przypominając sobie

chwilę uniesienia, kiedy zrył rękoma ziemię wokół siebie jak kret. A mogło przecież być inaczej.

Zamiast katować ziemię i trawę, mógłby to samo robić z ciałem Elphame...

- Lochlanie! Powtarzam, nic złego się nie wydarzyło! - odezwała się Elphame stanowczym głosem, pragnąc przerwać jego chwilę udręki. A zadręczał się, miał to przecież wypisane na twarzy. -

Lochlanie... - powtórzyła łagodniej, głaszcząc go po policzku. - Czy ty nie potrafisz po prostu cieszyć się, że razem przeżyliśmy cudowne chwile?

Lochlan przystanął. Objął żonę i oparł się czołem o jej czoło.

- Wybacz, najdroższa. To te demony, co siedzą we mnie. Trudno jest tak bez przerwy z nimi walczyć.

A tej nocy, dzięki tobie, byłem tak szczęśliwy, jak nigdy dotąd.

Pocałował ją czule i poszli dalej, do miejsca, gdzie znajdowało się zamaskowane wejście do lochu.

Tam znowu przystanęli na moment.

- Elphame, pozwól mi iść ze sobą - powiedział nagle Lochlan, obejmując dłonią jej twarz. - Jesteśmy mężem i żoną, złożyłem ci przysięgę. Na pewno potrafimy im udowodnić, że moja miłość jest silniejsza niż krew mojego ojca.

Elphame przykryła jego dłoń swoją dłonią.

- Lochlanie, wybaczone, ale z tym trzeba poczekać. Nie mogę ujawnić mojego małżeństwa najpierw przed obcymi, potem dopiero powiadamiając moją rodzinę.

- Rozumiem. Tak bardzo ich kochasz?

- Kocham, ale w tym wypadku chodzi bardziej o szacunek. Wezwę tu moich rodziców i wtedy powiem im o nas. Oczywiście, przy tej rozmowie będzie obecny

i Cuchulainn. I wtedy wszyscy razem zastanowimy się, jak to obwieścić całemu Partholonowi.

Elphame mówiła to głosem bardzo pewnym, co, niestety, nie było do końca adekwatne z jej obecnym stanem ducha.

- Jak długo mam czekać? - spytał Lochlan.

- Dziś wypuszczę gołębia pocztowego. Kiedy doleci z wiadomością, Mama na pewno zadecyduje, że razem z ojcem natychmiast ruszają w drogę. Będzie zachwycona, że wreszcie została zaproszona do zamku MacCallana, przecież ona marzy tylko o tym, żeby włączyć się w ozdabianie zamku. Jestem pewna, że razem z nią przyjadą wozy załadowane różnościami, jedne piękniejsze od drugich... -

Elphame uśmiechnęła się bardzo ciepło. Ten uśmiech świadczył, jak bardzo kocha swoją matkę. A po-

tem zajrzała Lochlanowi w oczy. - Jakies siedem dni, no, może trochę dłużej.

- Skoro czekałem na ciebie tyle lat, wytrzymam jeszcze kilka dni.

Uściskała go, bardzo mocno.

- Postaram się przychodzić do ciebie co noc. Będziesz tu w pobliżu?

- Zawsze, najdroższa - powiedział, kryjąc twarz w jej włosach. - Zawsze.



Elphame z wielką niechęcią wysunęła się z jego ramion i nie oglądając się już za siebie, weszła szybko do lochu. Wyjęła z uchwytu dopalającą się już pochodnię i ruszyła w drogę powrotną mrocznym

lochem. Szła, a z każdym krokiem na duszy robiło się jej coraz ciężej. Kiedy znalazła się już w swoim łóżku, zwinięta w kłębek pod grubą, ciepłą kołdrą, nadal czuła na sobie zapach swojego męża, ten

niewidoczny ślad jego pieszczot.

Zanim zapadła w sen, zwróciła się do Bogini z krótką, ale bardzo gorącą prośbą: Błagam Epono, pomóż im zobaczyć w Lochlanie człowieka, nie demona.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY**

Brenna po raz kolejny powtórzyła sobie w duchu, że nie ma nic szczególnego w sprawdzeniu stanu nowej pacjentki tak wczesnym rankiem. Dokładniej o świcie, kiedy niebo dopiero zaczynało szarzeć, a mgła nadal jak sino-niebieska kurtyna otulała zamek. Ale to małe wilczątko miało za sobą straszne przeżycia. Lepiej więc wspomóc Cuchulainna, bo i co ten wojownik może wiedzieć o opiece nad maleńkim, tak kruchym stworzonkiem? Nic.

i ta myśl konsekwentnie spędzała sen z powiek Brenny. Oczywiście, że ta, o wilczątku, a nie o Cuchulainnie!

W namiocie panowała cisza, przez ścianę namiotu jednak prześwitywał migoczący płomyk świeczki.

Brenna uniosła płachtę, zasłaniającą wejście do namiotu.

- Cuchulainnie? Żadnej odpowiedzi.

- Cuchulainnie! - odezwała się ponownie, trochę głośniej. Tym razem wydawało jej się, że usłyszała jakiś przytłumiony dźwięk. Uniosła więc płachtę wyżej, weszła do środka i natychmiast zmarszczyła nos. Zapachy nie były upojne, ale nie to teraz było dla Brenny najistotniejsze, tylko ciemny kształt na wąskim łóżku. Cuchulainn leżał na plecach, przykryty do połowy niedbale narzuconym kocem.

Koszula rozsunała się na szerokiej piersi, zarośniętej kasztanowatymi włoskami. W blasku świecy widać je było wyraźnie. Ten widok zaintrygował Brennę, co było raczej dziwne, pamiętając, że była przecież Uzdrowicielką i nagą męską pierś zdarzyło jej się już nieraz oglądać, ale nie pierś

Cuchulainna, który poprzedniego dnia spoglądał na Brennę tak, jakby wszystkim dawał do zrozumienia, że jest zainteresowany pokrytą bliznami Uzdrowicielką, a nie piękną, chętną kucharką. Kiedy Brenna przypominała sobie o tym, jej serce natychmiast zaczynało bić dwa razy szybciej. Obok Cuchulainna coś się poruszyło, zaskomlało. Oczywiście, nie coś, tylko wilczątko. Leżało na szyi Cuchulainna, jak futrzany kołnierz, bardzo brudny. Jedna ręka Cuchulainna zwisała z łóżka, druga dłoń spoczywała na wilczątku.

Widok był rozczulający i tak zabawny, że Brenna z trudem powstrzymała śmiech. Ale uśmiechnęła się.

Na palcach podeszła do stołu, zmarszczyła czoło i znowu nos. Mokra ściereczka na stole, zachlapanym mlekiem, wcale mlekiem nie pachniała. Trudno, maleństwo musiało załatwić swoje potrzeby. Trzeba będzie tu przyjść później z kubłem wody, posprzątać... Brenna rozejrzała się dookoła. Jak to możliwe, żeby w ciągu kilku godzin jeden tylko mężczyzna i jedno tylko wilczątko narobili takiego bałaganu? A mleko całe wyszło. Ciekawe, czy dlatego, że Cuchulainn wlał je w wilczątko, czy dlatego, że porozlewane było po całym namiocie.

Brenna zerknęła na śpiącego wojownika. Nie tylko po namiocie. Wojownik też był w mleku.

Wilczątko poruszyło się, Brenna westchnęła. Trzeba iść do kuchni po dzban wody i jakieś ścierki, a przede wszystkim po mleko. Wilczątko, jak widać, absolutnie żywe, zaraz obudzi swojego przybranego rodzica. Będzie głodne. Głodne jak wilk. Brenna znów uśmiechnęła się. Przybrany rodzic też będzie głodny, też jak wilk.

Ruszyła z powrotem do wyjścia z namiotu, po drodze zbierając z ziemi brudne szmatki. Tak, przyniesie też śniadanie Cuchulainnowi. W końcu Brenna jest Uzdrowicielką klanu, nic więc dziwnego, że zatroszczy się o zdrowie brata Przywódczyni Klanu, Cuchulainna...

Spojrzenie Brenny mimo woli skierowało się w stronę łóżka.

Cuchulainn już nie spał. Patrzył na nią, a na jego twarzy błąkał się półuśmiech.

- Dzień dobry - szepnął.

Wytarła nerwowo ręce w fartuch i podeszła do niego. Jej zdecydowany krok miał pomóc ukryć zmieszanie i zignorować widok zaspanego Cuchulainna w pomiętym ubraniu, zignorować nadzwyczajny turkusowy kolor jego oczu, zignorować jego uśmiech, który zawsze ją kompletnie oszałamiał.

- Skoro już nie śpisz, Cuchulainnie, obejrzę dokładnie wilczątko i...

- Ciii... - Cuchulainn złapał ją za rękę. - Niech Fand sobie jeszcze pośpi.

- Fand? - spytała Brenna, też zniżając głos. - Jak ta królowa elfów?

Wilczątko cichutko warknęło, jakby chciało samo udzielić odpowiedzi, ale zrezygnowało. Trąciło nosem szyję Cuchulainna i znów zapadło w sen.

- Tak - zaszeptał Cuchulainn. - Fand była żoną Cuchulainna, tego legendarnego wojownika. Noszę jego imię, dlatego imię Fand wydało mi się jak najbardziej odpowiednie. Tym bardziej, że ja i ta kudłata panienska mamy już za sobą jedną wspólną noc. Upojną.

Brenna uśmiechnęła się. Palce Cuchulainna przesunęły się w dół, teraz trzymał ją za rękę.

- Czy wiesz, że przyśniłaś mi się, Brenno?

- Przestań...

Ale on nie przestał.

- Śniło mi się, że oboje jesteśmy starzy. Ty masz siwe włosy, ja chodzę przygarbiony i utykam. -

Cuchulainn uśmiechnął się szeroko. - Ty zdecydowanie wyglądałaś korzystniej. I śniło mi się, że dookoła nas było pełno naszych dzieci, wnucząt, a pod nogami plątało się co najmniej tuzin wilczątek.

A ty... - Fand znowu cichutko zawarczała. Cuchulainn stłumił śmiech i mrugnął do Brenny. - Muszę uważać. Fand jest o ciebie bardzo zazdrosna.

- Cuchulainnie, proszę, nie żartuj sobie...

Tym razem, kiedy jej przerywał, wesole iskierki w oczach zastąpił gniewny błysk.

- Żartuję, owszem, ale nie z ciebie, Brenno! Puścił jej rękę. Wziął ostrożnie wilczątko i położył na poduszce, w ciepłym jeszcze dołku, gdzie leżała jego głowa. Wstał, ponownie wziął Brennę za rękę i wy-

prowadził ją z namiotu, w ciemny i cichy poranek otulony mgłą.

- Brenno - powiedział, zniżając głos, żeby nie pobudzić robotników, śpiących w rozstawionych nieopodal namiotach - skąd u ciebie przypuszczenie, że żartuję sobie z ciebie? Dlaczego uważasz mnie za człowieka pozbawionego honoru?

- Ależ ja... ja wcale tak nie uważam - wyjąkała speszona Brenna. - Ale wtedy, jak były te tańce....

- Przecież cię przeprosiłem! - rzucił przez zaciśnięte zęby, czując, jak ogarnia go rozpacz. -

Zachowałem się po grubiańsku, wiem, ale ja zwykle tak się nie zachowuję. Jestem wojownikiem, dbam o swoje dobre imię. Znają mnie w całym Partholonie. Czy ktoś kiedyś powiedział o mnie, że jestem człowiekiem pozbawionym honoru?

- Ależ nie! Nigdy!

- Czyżby? A ty? Przecież dajesz mi jasno do zrozumienia, że gram na twoich uczuciach. A czyż nie jest to właśnie poddawanie w wątpliwość mojego poczucia honoru? - zapytał gwałtownie, z trudem zachowując resztki opanowania. - Ale ja nie będę ci niczego wyrzucał. Nie chcę cię zrażać. Na Boginię! Brenno, kiedy rozmawiam z tobą, po prostu język mi się płacze! A rzecz w tym...

- Nagle położył ręce na jej ramionach i mocno ścisnął palce, jakby chciał mieć pewność, że mu nie umknie.

- Brenno, chcę starać się o ciebie. Chciałbym oficjalnie poprosić twojego ojca o pozwolenie.

Brenna czuła, jak nagle cała drętwieje.

- Mój... mój ojciec nie żyje.

Twarz Cuchulainna wyraźnie złagodniała.

- W takim razie będę o to prosił twoją matkę...

- Ona też nie żyje. Nie mam żadnych bliskich. Cuchulainn pochylił głowę. Ile ta dziewczyna już przeszła! Ile smutku, ile bólu! Ale na tym koniec, obiecał sobie w duchu. Nie pozwoli, żeby kiedykolwiek znów musiała cierpieć.

Kiedy podnosił głowę, jego spojrzenie było jasne, rozświetlone przepęlniającym go uczuciem.

- Teraz twoją rodziną, Brenno, jest Klan MacCal-ianów. Rozmawiałem już z naszą Przywódczynią na temat moich zamiarów wobec ciebie. Elphame, jak podejrzewam, nie jest do końca przekonana, czy jestem cię wart, ale nie sądzę, żeby nie udzieliła mi pozwolenia na ubieganie się o twoje względy.

- Elphame wie? Rozmawiałeś z nią?

- Oczywiście. Jest przecież moją siostrą!

- Nie... to niemożliwe...

Brenna gwałtownie zamrugła oczami, jakby nagle miała kłopot z koncentracją. Zadrżała. Zadrżał też Cuchu-lainn, uderzony nagłą myślą. Brenna wyraźnie okazywała mu niechęć, a przyczyną tego wcale nie musiała być jej wrodzona nieśmiałość czy oszpecenie bliznami. Może on, Cuchulainn, po prostu jej się nie podoba!

- Brenno, ja nie chcę cię do niczego przymuszać, a już na pewno nie do miłości. Jeśli mnie nie chcesz, powiedz. A ja, choć będzie to dla mnie bardzo bolesne, zostawię cię w spokoju. Daję słowo.

- Miłość?! O czym ty mówisz, Cuchulainnie! Spójrz na mnie, spójrz, jaka jestem oszpecona! Nie tylko twarz! Tu też, i tu! Aż dotąd!

Ręka Brenny przesunęła się po szyi, po piersi, zatrzymała się poniżej kibici.

Cuchulainn powoli zdjął jedną rękę z ramienia Brenny i bardzo ostrożnie, prawie jej nie dotykając, powiódł palcami po tej samej drodze, drodze blizn. Potem palce powróciły do twarzy i dotknęły wypukłych blizn z prawej

strony. Brenna nie protestowała i Cuchulainn ponownie przemknął palcami wzdłuż szyi, po piersi, okrytej cienką tkaniną.

Dłoń spoczęła na wypukłości biodra.

- Uważasz, że jesteś niewarta pożądania? Jak możesz! Brenno! Kiedy patrzę na ciebie, widzę kogoś, kto potrafił się zaprzyjaźnić z moją jak dotąd całkowicie nieprzystępną siostrą! Widzę Uzdrowicielkę, która ma serce wojownika! I widzę delikatną dziewczynę, prawdziwą piękność, która zajmuje

wszystkie moje myśli każdego dnia i wypełnia je pożądaniem, a nocą wypełnia moje sny wizjami naszej wspólnej przyszłości.

- Cuchulainnie, ja już tak wiele straciłam w moim życiu... Boję się... Nie wiem, czy jestem w stanie podjąć takie ryzyko.

- Czyli o to chodzi? - W głosie Cuchulainna słychać było wielką ulgę. - A nie o to, że mnie nie chcesz?

- Oczywiście, że nie. Chcę cię, Cuchulainnie.

Nieśmiała dziewczyna znikła. Brenna te słowa wypowiedziała pewnym, mocnym głosem Uzdrowicielki. Cu uśmiechnął się i wyciągnął ręce, gotów wziąć ją w ramiona, ale powstrzymał go rozkaz.

- Nie! Jeszcze nie skończyłam. Przyznaję, że ciebie chcę, ale nie wiem, czy chcę też oddać ci moje serce. Jeśli tak się stanie, a potem cię stracę, boję się, że będzie to rana, która nigdy się nie zagoi.

Cuchulainn czuł, że wpada w panikę. Co miał teraz powiedzieć? Jakimi słowami zapewnić, że tak nigdy się nie stanie?

Nabrał głęboko powietrza i rozpostarł szeroko ręce.

- Mogę dać ci tylko moje słowo. Nic więcej nie mogę zrobić ani powiedzieć, by zapewnić cię o mojej miłości. Musisz mi uwierzyć.

Brenna, wpatrując się w wojownika, zastanawiała się nad odpowiedzią. Miała dokonać wyboru. Czy była wystarczająco silna, żeby to zrobić? Silna? Jej oczy nagle rozszerzyły się, znak, że znalazła odpowiedź. Oczywiście, że w swoją siłę mogła wierzyć. Na ślepo. Przecież z powodzeniem przeszła

już próbę ognia.

- Wybrałam, Cuchulainnie. Wierzę w ciebie - powiedziała powoli i z godnością, a zaraz potem uśmiechnęła się, jak to Brenna. Uroczo krzywo.

Cuchulainn, wydawszy z siebie radosny okrzyk, pochwycił ją w ramiona i podniósł do góry.

- Nigdy mnie nie stracisz, Brenno. Nigdy! Postawił ją z powrotem na ziemi, ale nie wypuszczał z objęć, bo w tym momencie było mu niewiarygodnie wprost dobrze. Stać tak sobie, tuląc do siebie Brennę. Nigdy dotąd żadna kobieta nie pasowała tak do jego objęć. Brenny nawet jeszcze nie pocałował, a miał wrażenie, jakby dała mu już więcej niż te wszystkie piękne, młode kobiety razem wzięte, na które dotąd tracił czas.

Kiedy plecy Brenny nagle zaczęły drżeć, przeraził się. A jednak... nie wierzyła mu. Czy ona tego nie widzi, że on nigdy, przenigdy jej nie zrani?

- Co się stało, kochanie?

Odsunął się trochę, żeby spojrzeć jej w twarz. Zamiast łez zobaczył roziskrzony wzrok. Bo to nie płacz, a bezgłośny śmiech wstrząsał ciałem Brenny.

- Och, Cu - powiedziała, teraz już śmiejąc się na głos. - Mówimy o rzeczach tak poważnych, a ty po prostu hm... pachniesz jak szczeniak!

Cuchulainn spojrział na nią z wielką urazą. Oczywiście, udawał.

- Moja Fand nie jest żadnym szczeniakiem. Moja Fand jest wilczątkiem.

I jakby na potwierdzenie tych słów z namiotu dobiegło już nie skomlenie, a bardzo młodzieńcza wersja żalosego wycia wilka do księżyca.

- Muszę cię niestety uprzedzić, Brenno, że będziesz musiała dzielić się mną z Fand - powiedział z uśmiechem Cuchulainn.

Młodzieńcze wycie zdecydowanie przybrało na sile.

- Jestem tego w pełni świadoma - powiedziała szybko Brenna. - Biegnę po mleko.

Odwróciła się, gotowa biec, ale Cuchulainn przytrzymał ją za ramię.

- Na pewno wrócisz?

Spojrzała w jego oczy, które już zawsze będą jej przypominały o ołtarzu Epony i magii drugiej szansy.

- Tak. Wrócę, Cuchulainnie.

Opuścił ręce, mogła już wybiec z namiotu, biec dalej, przed siebie, przez mgłę o świcie. I czuć na sobie jego wzrok.

- Jak najprędzej! - zawołał za nią, a w namiocie, na poparcie jego słów, po raz kolejny rozległo się żalosne wycie wilczego niemowlęcia.

Zamek pogrążony był jeszcze w ciszy i mroku. Brenna przebiegła przez wielką salę zamkową, do wejścia do kuchni, a tam natychmiast poczuła zapachy świadczące, że zamek jednak obudził się już ze snu. Kuchnia tętniła życiem, przede wszystkim pachniało tu świeżo upieczonym chlebem.

Brenna, starając się zejść z drogi zaaferowanym kobietom, wzięła dzbanek i zanurzyła w beczulce ze świeżym mlekiem.

- Dzień dobry, Uzdrowicielko! - zawołała z drugiego końca kuchni Wynne. Kilka kobiet też rzuciło Brennie słowa powitania.

- Dzień... dzień dobry - odparła Brenna nieswoim głosem. Doskonale wiedziała, że Wynne jest

urodziwą kobietą, ale teraz, kiedy Brenna spojrzała na bogactwo rudych loków wokół ślicznej twarzy,

na jej nieskazitelną cerę... Jak to mogło się stać, że Cuchulainn wolał ją, Brennę, a nie tę prześliczną, pełną wigoru kobietę?

- Niesiesz mleko dla tego zwierzaka wojownika?

- Tak!

Tym razem zabrzmiało to szorstko, Brenna bowiem nagle przypomniła sobie taniec Wynne, kiedy kusila Cuchulainna. Nie było to przyjemne, a na domiar złego czuła na sobie badawcze spojrzenie



kucharki.

- Upiekłyśmy już chleb - powiedziała Wynne. - Weź bochenek i kawał sera. Jak skończycie karmić zwierzaka, zjecie sobie razem śniadanie.

- Dziękuję - bąknęła Brenna, mając wielką ochotę jak najszybciej umknąć z kuchni, tym bardziej że obie pomocnice Wynne, te, które poprzedniego dnia były w ogródku koło kuchni, przerwały robotę i wyraźnie im się przyglądały.

- Pomogę ci - powiedziała Wynne, pojawiając się nagle koło Brenny. Pojawił się też koszyk, do którego Wynne włożyła bochenek jeszcze ciepłego chleba, kawał pachnącego żółtego sera i kilka plasterów zimnego mięsa. A potem pomknęła do spiżarni i przyniosła stamtąd bukłak z winem.

Brenna, zaskoczona, podniosła znad koszyka głowę i spojrzała prosto w szmaragdowe oczy pięknej kucharki.

- Życzę ci wiele radości, Brenno. Wojownik dobrze wybrał.

Brenna zarumieniła się, tak bardzo zaskoczona, że dopiero po dłuższej chwili udało jej się uśmiechnąć.

- Dziękuję.

Wynne mrugnęła do niej wesoło.

- My, kobiety, musimy trzymać się razem. Mam nadzieję, że jeśli kiedykolwiek zachce mi się zrobić coś głupiego, szybko zaparzysz dla mnie jakichś ziółek na rozum. A teraz już biegnij. I pamiętaj, najedz się porządnie, bo coś mi się wydaje, że siły będą ci potrzebne

Brenna, zarumieniona i uśmiechnięta, wzięła koszyk, dzbanek i wyszła z kuchni, po drodze biorąc sobie jeszcze z kosza kilka czystych ściereczek. Wychodziła z kuchni żegnana śmiechem i zarcikami rozochoconych kobiet. Nigdy w życiu by nie przypuszczała, że coś takiego będzie możliwe!

Zaakceptowano ją, traktowano bardzo życzliwie, po prostu była jedną z nich, członkinią Klanu

MacCałlanów. A Cuchulainn chciał jej, tylko jej. Czy życie może być piękniejsze? Czowała, jak zaczyna

ją rozpierać radość. Uczucie dotychczas nieznanne, a teraz, jak świeżo upierzony ptak rozpościera skrzydła i wylatuje z jakiegoś ukrytego w sercu miejsca.

Kiedy weszła do namiotu, Cuchulainn powitał ją uśmiechem nieco znużonym.

- Fand jest głodna - powiedział, wykrzywiając się zabawnie do wilczątko, które ssało jego palec i powar-kiwało, ponieważ z palca nie leciał żaden życiodajny płyn.

- Jeśli mała ma siłę złościć się na ciebie, to dobrze. Będzie żyć! - orzekła Brenna i zabrała się szybko za sporządzanie ze ściereczki surogatu matczynej sutka, wypełnionego mlekiem. Ale kiedy

wilczątko przyssało się do szmatki, nagle poczuła się skrępowana. Żałowała, że nie ma już nic więcej

do roboty, żadnej rany do opatrzenia ani złamanej ręki, którą trzeba nastawić.

- Może usiądziesz koło mnie, Brenno? - spytał

Cuchulainn, wskazując głową na miejsce obok siebie na wąskim łóżku.

Co robić? Przysiadła ostrożnie na brzegu łóżka, składając lekko drżące ręce na podołku. Na krótką

chwilę w namiocie zapadła cisza, słychać było tylko odgłosy ssania, sapania i pomrukiwania

wilczątko. Brenna popatrywała na wilczątko, popatrywała na duże dłonie Cuchulainna, które

potrafiły być zadziwiająco delikatne, kiedy prawie bez przerwy głaskały wilcze maleństwo.

- To tylko ja, Brenno - powiedział Cu tym samym łagodnym głosem, jakim przemawiał do malutkiej Fand.

- Ty? - spytała, czując się zdezorientowana.

- Tak, ja. Ten sam człowiek, któremu wydawałaś rozkazy tamtej nocy, kiedy El została ranna. Z

którym pracowałaś ramię w ramię, żeby przywrócić nasz nowy, wspólny dom do życia. To ja,

Cuchulainn, który... - Cu uśmiechnął się i przysunął się do niej bliżej, tak blisko, że ich ramiona i nogi stykały się teraz. - Zdradzę ci pewną tajemnicę. Odwagi mi nie brakuje, ale przy tobie, moja

słodka Uzdrowicielko, tracę ją całkowicie.

Brenna z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Nie wierzę.

- A jednak! W każdym razie to jest moja tajemnica, którą ci wyjawiałem. Teraz twoja kolej. Ty zdradzisz mi jakąś swoją tajemnicę.

Brenna podniosła głowę i spojrzała na niego. Jej logiczny umysł protestował, starając się chronić ją przed samą sobą. Krzyczał - nie otwieraj się przed nim, nic mu nie mów! Ale jak można nie spełnić jego prośby, kiedy patrzy się prosto w turkusowe oczy, w których tyle ciepła?

- Twoje oczy są dokładnie tego samego koloru, jak dwa dary, które dostałam od Epony - powiedziała.

Cicho

i nieśmiało, ale wcale nie kryła swojej twarzy za welonem z włosów. Dalej patrzyła mu prosto w oczy.

- Dary od Epony? A co, dokładnie?

- Turkus i pióro ze skrzydła ptaka.

Kiedy powiedziała mu o swoich skarbach, zarumieniła się, bo to wyznanie nagle wydało jej się dziecinnie śmieszne. Trywialne. Ale Cuchulainn wcale nie zaczął się z niej wyśmiewać, tylko spytał:

- Pokażesz mi kiedyś te dary?

Brenna pokiwała głową. Jak to może być, że z powodu jednego prostego pytania człowiek nagle czuje

się nieskończenie szczęśliwy?

Wilczątko zakończyło swoje łapczywe ssanie.

- Brenno, błagam - odezwał się dramatycznym głosem Cuchulainn. - Dłużej nie wytrzymam. Powiedz, że tę panienkę można już wykąpać.

Brenna spojrzała na Fand, wtuloną w Cuchulainna. Brzuszek jak bębenek, z pyszczką wyleciało parę kropelek mleka. Szara sierść nieprawdopodobnie brudna. Potem przeniosła spojrzenie na

Cuchulainna. Rozczochrany, oczy zapuchnięte, naga pierś i pomięte ubranie poplamione mlekiem i czymś jeszcze, co dowodziło, że brzuszek wilczego niemowlęcia pracuje prawidłowo.

Jednym słowem oboje, i wilczątko, i wojownik, stanowczo powinni zażyć kąpieli.

- Jako Uzdrowicielka oświadczam, że możesz wykąpać Fand. Przy okazji umyć i siebie.

- Nie zgłaszam żadnych protestów - oznajmił Cuchulainn, wyraźnie zachwycony, i wstał. Fand, zaskoczona, zawarczała cichutko. Cu, uciszając ją czułym słowem, wsunął ją sobie za pazuchę.

- O, widzę, że przyniosłaś coś do jedzenia - powiedział, spoglądając na koszyk. - Świetnie.

Odwrócił się. Podniósł wieko skrzyni, ustawionej w nogach łóżka i wyjął z niej czystą koszulę, czysty kilt i kilka płóciennych płacht. Usatysfakcjonowany, wsunął sobie to wszystko pod pachę, podniósł

koszyk z ziemi i drugą wolną rękę wyciągnął do Brenny.

- Musisz z nami iść, Brenno. Za wcześnie, żeby prosić o pomoc siostrę. Nie ukrywam, że lubię się z nią podrażnić, ale nic tak nie psuje humoru naszej El jak wyrwanie jej ze snu. A ja chcę, żeby dziś była w dobrym nastroju, ponieważ zamierzam prosić ją o pozwolenie na ubieganie się o twoje względy.

Jednym słowem, nie ma szans, żeby skorzystać z pokoju kąpielowego naszej Przywódczyni...

- Cuchulainn nagle drgnął i szybko podrapał się w głowę.

- O, nie. Czyżby pchły? - mruknął. - Brenno, musisz pokazać mi to jezioro, gdzie kąpałyście się razem, ty, El

i Brighid.

Brenna przez moment milczała, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Wierzyła, że ma w sobie dość siły, by przyjąć od losu ten cudowny dar w postaci Cuchulainna. Ale jednocześnie był w niej lęk.

Cuchulainn podszedł do niej, wziął za rękę i zmusił, by wstała.

- Boisz się być ze mną sam na sam, Brenno? Z dala od innych ludzi?

Brenna przełknęła.

- Tak - przyznała. - Boję się.

A Cuchulainn, zaglądając jej w oczy, na moment przytulił jej dłoń do swego policzka.

- Ja też, kochanie - powiedział cicho.

Jego szczere wyznanie ułatwiło podjęcie decyzji.

- A więc chodźmy - powiedziała Brenna. - Będziemy bać się razem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Mgła była bardzo gęsta, a Brenna pełna obaw, czy uda jej się odnaleźć drogę do jeziora. Kiedy jednak zauważyła przy drodze wiekową sosnę z dziwnie powykęcanyymi konarami, przypomniała sobie, że tu właśnie, koło tej sosny, razem z Elphame i Brighid weszły w las. I rzeczywiście, bo zaledwie po kilku krokach usłyszała już szmer wody opadającej z trzech wygładzonych przez upływ czasu progów skalnych.

Mgła nad potokiem i wokół jeziora była jeszcze bardziej gęsta niż przy drodze. Jakby Epona specjalnie przesłoniła ten zakątek świata, by ukryć go przed spojrzeniami ciekawskich.

- Coś mi się zdaje, że woda tu jest bardzo zimna - stwierdził Cuchulainn. Fand zaczęła popiskiwać, wiercić się, w końcu udało jej się wysunąć łepkę zza koszuli i spojrzeć dookoła jasnymi oczkami, wciągając w nozdrza świeże powietrze.

- Ta woda przede wszystkim odświeża - stwierdziła z kolei Brenna, a Cuchulainn pomyślał, że Brenna

jednak czasami zachowuje się jak jego siostra.

- No cóż... - Postawił koszyk na najbliższym kamieniu i wyciągnął zza pazuchy wilczątko. - Im szybciej będziemy mieli to za sobą, tym szybciej będziemy mogli zabrać się do jedzenia.

Podał Fand Brennie. Brenna, wyraźnie zaskoczona, przytrzymała wyrywające się, skomlące zwierzątko.

- Cuchulainnie, a nie lepiej, żebyś tyją wykapał? Ona zdecydowanie lepiej czuje się w twoich rękach.

Cuchulainn pokiwał głową i zaczął odwijać swój kilt.

- Zaraz to zrobię. Potrzyмай ją tylko, zanim się nie rozbiore.

Dopóki się nie rozbierze... Wszystkie myśli w głowie Brenny nagle zaczęły podskakiwać, jak ptaki zrywające się do lotu. Ale ta rozsądna część umysłu udzieliła reprimendy. A co ty sobie myślałaś, Brenno? Że on będzie kapał się w ubraniu?

Oczywiście, że nie. Ale rzecz w tym, że ona po prostu jakoś o tym nie pomyślała aż do tej chwili. Do chwili, w której Cuchulainn zdjął kilt, skopał buty i... I znieruchomiał na kilka sekund. Na sobie miał już tylko koszulę, długą, zakrywającą go dokładnie do miejsca, gdzie zaczynały się uda. Ta koszula była ostatnią częścią garderoby, okrywającej jego ciało.

Teraz stał i przyglądał się Brennie, a po jego twarzy błąkał się półuśmiech.

- Jeśli będziesz skrzepowana moją nagością, Brenno, zamknij oczy. Odbiorę od ciebie Fand i kiedy będę już z nią w wodzie, zawołam, że możesz już otworzyć oczy.

- Będę skrzepowana - przyznała szczerze Brenna. - Ale nie chcę zamykać oczu.

Cuchulainn uśmiechnął się, tym swoim znanym powszechnie zabójczym uśmiechem, który teraz nie schodził mu z twarzy, gdy ściągał przez głowę koszulę, odbierał z rąk Brenny wilczątko i z głośnym pluskiem wchodził do wody. Klnąc jak wszyscy diabli, bo woda rzeczywiście była lodowata.

Brenna stała i patrzyła za nim, myśląc sobie, że widok jego barczystych pleców i wąskich bioder już na zawsze będzie palić ją w oczy.

- Brenno! - zawołał, przekrzykując skomlącą, piszczącą Fand, która wyczuwała pismo nosem i wcale nie miała ochoty być zanurzana w zimnej wodzie. - Mogłabyś nakruszyć mydłanego kamienia? Tego psakudztwa samą wodą z niej nie zmyję!

Brenna skinęła głową i zabrała się do dzieła. Znalazła średniej wielkości kamień i zaczęła uderzać nim w jeden z miękkich kamieni na brzegu jeziora. Jednocześnie jej spojrzenie co chwila wędrowało ku

jezioru, cud więc, że podczas tej całej operacji udało jej się nie zmiażdżyć palców.

- Gotowe! - zawołała różnym głosem. Jakby kruszenie mydłanego kamienia dla nagiego wojownika, który niedawno zadeklarował się, że pragnie być jej ukochanym, było dla niej chlebem powszednim.

Cuchulainn, pryskając wodą na boki, podszedł do niej bliżej, z każdym krokiem ukazując coraz więcej

swego nagiego ciała. Brenna zebrała kawałeczki kamienia i podała Cuchulainnowi, starając się, żeby jej wzrok

absolutnie nie przemykał po jego nagości. Co było niewykonalne. A na domiar złego Cuchulainn stał przed nią i uśmiechał się. Stał w wodzie zaledwie do kolan. Biedne mokre wilczątko dygotało w jego

ramionach, on też dygotał. Usta miał już prawie sine, ale jego uśmiech był ciepłutki i bardzo, bardzo wesoły. Nachylił się do Brenny.

- Mam zajęte ręce. Czy możesz mi pomóc, kochanie? Brenna, mając wrażenie, że śni jej się po prostu sen,

cudowny i zarazem koszmary, posłusznie rozsypała trochę pokruszonego kamienia na mokre wilczątko. Cu zaczął je namydlać, a wzrok Brenny, mimo jej najlepszych chęci, wcale nie był utkwiony w wilczątku. Bez przerwy wracał tam, gdzie nie powinien, czyli do nagiego ciała wojownika, stojącego tuż przy Brennie. I nagle, zanim rozsądek doszedł do głosu - a przecież przez ostatnie dziesięć lat to on dyktował jej, co ma robić i jak - Brenna szybko rozprowadziła trochę skruszonego kamienia po mokrej piersi i ramionach wojownika. I zaczęła go namydlać. Bardzo ostrożnie i nieśmiało. Cuchulainn nie protestował, przeciwnie, by umożliwić jej całkowity dostęp do

jego ciała, wyciągnął przed siebie ręce, w których trzymał wijącą się jak piskorz Fand.

Kiedy Brenna nieopatrznie podniosła głowę i spojrzała mu w twarz, spytał:

- Może wykąpiesz się z nami, kochanie? Jak przytulimy się do siebie, nie będzie nam tak zimno.

Oczywiście, że chciała tego, bardzo. Ale kiedy pomyślała, że obnażając się przed nim pokaże mu swoje zeszpeczone ciało - właśnie jemu, którego piękne ciało w całości pokryte było gładką, śniadą skórą...

- Nie mogę - wyszeptwała, modląc się w duchu, żeby

teraz nie nazwał jej tchórzem i nie odwrócił się do niej plecami.

- Nie szkodzi, kochanie. Zrobimy to innym razem

- powiedział jakoś tak bardzo miękko. - Nie musimy się z niczym spieszyć. A teraz chciałbym cię jeszcze tylko prosić, żebyś namydliła mi włosy. Kiepskie będą moje zaloty, jeśli jednocześnie będą

gryzły mnie pchły.

Ukląkł, żeby Brenna mogła namydlić jego gęste włosy. W rezultacie Brenna myła jemu głowę, a on szybko mył piszczące wilczątko, przemawiając do niego na przemian albo czule, albo z wyrzutem, zarzucając mu brak dobrych manier i czarną niewdzięczność. Brenna śmiała się, starając się jednocześnie, żeby piana nie dostała się do oczu Cuchulainna. I żeby ona, Brenna, też w rezultacie nie była kompletnie mokra.

Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek przedtem było jej na duszy tak lekko. Tak radośnie.

- A teraz mała, hop do wody! - zawołał Cuchulainn i przyciskając wilczątko od piersi, dał nura na sam środek jeziorka.

Oboje, Cuchulainn i wilczątko, znikli na moment pod wodą, potem wynurzyli się z głośnym pluskiem i piskiem

- wilczątko oczywiście - wyskoczyli na brzeg i natychmiast zaczęło się błyskawiczne wycieranie się i ubieranie, którym towarzyszył radosny męski śmiech.

Taki był Cuchulainn. Pełen życia, siły i wiary, że osiągnięcie tego, co niemożliwe, jest możliwe.

Kiedy Brenna patrzyła na niego, też zaczynała w to wierzyć. Że to, co niemożliwe, może się wydarzyć. Coś takiego przecież już się wydarzyło. Cuchulainn wybrał ją, Brennę.

- Jestem głodny jak wilk-oznajmił. Szybko rozłożył na ziemi płócienną płachtę i postawił na niej koszyk.

- Siadamy, Brenno.

- Dobrze. Ty trzymaj swoje maleństwo, ja zajmę się zawartością koszyka.

Cuchulainn posłusznie odebrał wilczątko, owinięte w wilgotną płachtę, i wsunął sobie za koszulę, starając się ulokować je tam jak najwygodniej. A Brenna szybko wyjęła wszystko z koszyka i swoim najbardziej uzdrowicielskim głosem oznajmiła:

- Teraz przynajmniej masz jakie takie pojęcie, co przeżywa kobieta, kiedy nosi pod sercem dzieciątko

przez wszystkie te długie fazy księżyca.



Fand, już senna, w końcu przestała się wiercić i skomleć, i wtuliła się w Cuchulainna. Cuchulainn, zadowolony, ułożył się na boku, wyciągając swoje długie nogi.

- Dzieciątko, powiadasz? A może myślisz o własnym? Niebawem... - Cuchulainn podrapał się po brodzie. - Moja matka byłaby zachwycona.

Ręka Brenny, podającej mu właśnie kromkę chleba i kawałek sera, zawisła w powietrzu. Czuła, że się rumieni, a to doprowadzało ją do rozpacz. Rumieniła się bowiem tylko zdrowa część twarzy, co z kolei jeszcze bardziej uwypuklało jej blizny. Dlatego, mimo że już na tak długo odstąpiła od swego zwyczaju, szybko pochyliła głowę, żeby włosy jak welon zakryły coś, czego tak bardzo się wstydziła.

- O nie, Brenno! - Cuchulainn uniósł się na łokciu, wsunął palec pod jej brodę i zmusił, by uniosła twarz. - Przede mną nie będziesz się chować.

- Ale ja... to nie tak. - Głos uwiązł jej w gardle, turkusowe oczy bowiem były teraz tak blisko. Tak blisko, że musiała nabrać głęboko powietrza, postanawiając jednocześnie w duchu, że wyzna mu po prostu i nie po raz pierwszy szczerą prawdę. - Kiedy się rumienię, wyglądam okropnie!

I wtedy Cuchulainn zrobił coś nieoczekiwanego. Wcale nie zaczął jej pocieszać za pomocą jakichś frazesów w rodzaju - nie przejmuj się. Nie. Po prostu nachylił się ku Brennie i musnął wargami jej usta. Tak na początek, bo jednocześnie swoją dłoń, umiejscowioną pod podbródkiem Brenny, przesunął na jej kark i jego usta znów odszukały usta Brenny. Teraz pocałunek był żarliwy, namiętny. Fakt, że dłoń Cuchulainna spoczywała na szyi dokładnie w miejscu, gdzie były blizny, był dla Brenny w tej cudownej chwili całkowicie nieistotny. Nie myślała teraz o tym, że to niemożliwe, żeby Cuchulainn jej pożądał. Po prostu zamknęła oczy, oparła się o Cuchulainna i poddała się magii tej chwili.

Kiedy w końcu odsunęli się od siebie, obojgu brakowało tchu. Cuchulainn nie odrywał wzroku od Brenny, jego oczy błyszczały pożądaniem.

- Podoba mi się twój rumieniec - powiedział lekko zadyszczanym głosem. - Bo to dowód, że nie tylko

ja

jestem zdenerwowany.

- Ty? Nie wierzę! - zaprotestowała Brenna, tłumiąc w sobie głupi chichot.

- Brenno, obiecasz mi coś?

Skinęła głową. Oczywiście. Temu mężczyźnie mogła obiecać prawie wszystko.

- Obiecaj mi, że nigdy już nie odwrócisz się ode mnie, nie będziesz chować się przede mną. Obiecaj mi, że będziesz wierzyć we mnie. Wierzyć, że nigdy cię nie zranię.

Brenna spojrzała głęboko w turkusowe oczy, zdumiona tym, co teraz tam dostrzegła. Bezbronność.

Wtedy dotarło do niej, że to ona może go zranić, zranić odpowiedzią, jakiej udzieli mu teraz. Bo

Cuchulainn

najprawdopodobniej nigdy dotąd nie odsłaniał swego serca przed żadną kobietą. Tak jak teraz przed Brenną.

- Nie będzie to łatwe, Cuchulainnie, ale przyrzekam, że nie będę się od ciebie odwracać i chować się przed tobą.

- Dziękuję, Brenno, za twoje zaufanie. Dla mnie to dar bezcenny. I obiecuję, że nigdy nie nadużyję twojego zaufania.

Pocałował ją w policzek, ten pokryty bliznami. Brenna zamarła, a Cuchulainn, jakby całowanie

Brenny, i to w takie miejsce, było dla niego czymś, co robi każdego dnia, uśmiechnął się tylko i wyjął z jej znieruchomiałej w powietrzu ręki kromkę chleba i kawałek sera.

- Muszę coś zjeść. Niebawem mam stanąć twarzą w twarz z moją siostrą. Lepiej, żebym zrobił to z pełnym żołądkiem.

Brenna wyjęła z koszyka gruby plaster mięsa i położyła na następnej kromce chleba z serem.

- Aha... - powiedział Cuchulainn, trochę mniej już pewnym głosem. - Powinnaś o tym wiedzieć. Mam zamiar wezwać moich rodziców. Chcę, żeby cię poznali. Poradzimy sobie z tym - Cuchulainn wskazał

głową na jezioro. - Na pewno będzie to łatwiejsze niż pławienie się w lodowatej wodzie.

Serce Brenny zabiło szybciej.

- Ja... ja kiedyś widziałam twojego ojca. Jest wielkim szamanem.

- Tak, jest - przytaknął Cu, między jednym ogromnym kęsem a drugim.

- Ale nigdy nie spotkałam Umiłowanej Epony. Słyszałam, że jest bardzo piękna.

- Jest prawie tak piękna jak pewna młoda Uzdrowicielka, którą mam zamiar pojąć za żonę.

- Och...

W tym momencie Brenna miała wrażenie, jakby całe powietrze wyszło z jej płuc. Całe, a w głowie aż

zawirowało.

Cuchualinn uśmiechnął się

- Nie martw się, kochanie. Moja matka próbuje ożenić mnie od lat, to jej największe marzenie. A ciebie pokocha od razu...

Zaraz jednak, zaniepokojony nagłą bladością Brenny, spoważniał. Nachylił się i szepnął wprost do jej

ust.

- Teraz ja ci coś przyrzekam. Będzie tak, jak powiedziałem. Obiecuję, kochanie...

Cuchulainn i Brenna wracali do zamku we mgle, która tego ranka jakoś wcale nie miała ochoty

zniknąć. Szli sobie powoli, trzymając się za ręce, a Brenna myślała sobie, że w szarości tego dnia jest coś magicznego. Jakby ktoś uchylił przed Brenną bramę do świata duchów i Brenna mogła bez trudu

przemieszczać się z jednego świata do drugiego, zabierając ze sobą Cuchulainna. Wizja świata duchów wcale jej nie wystraszyła, przeciwnie, była w jakiś sposób kojąca.

Zajęta swoimi myślami nie zauważyła, jak Cuchulainn nagle zmrużył oczy i zaczął podejrzliwie spoglądać na las otulony mgłą. Bardzo podejrzliwie, bo nagle poczuł się nieswojo.

Znów Przeczucie. Złe Przeczucie, wgryzające się w umysł. Zaklął. Czy to przeklęte brzemie, rodem z

Innego Świata, nie może w końcu zostawić go w spokoju? Bo i czym tu się zamartwiać? Elphame jest w zamku, całkowicie bezpieczna. Brenna również, teraz u boku Cuchulainna. W lesie nie czai się żadne zło, czasami tylko jakiś rozjuszony dzik.

Ale on Czuł, że coś się wydarzy. To Przesłanie

wyraźnie docierało do niego z tego lasu. Podobne Przeczucie, jak przed wypadkiem Elphame. Czyżby kochana siostra znów chciała sobie pobiegać? Jeśli tak, trzeba będzie jej to wyperswadować. Jest jeszcze zbyt słaba, nie wolno jej nadużywać i tak nadwątlonych sił.

Nagle przez głowę przemknęła mu jeszcze jedna myśl. Przemknęła tak szybko, że jego umysł ledwo zdążył ją zarejestrować. Myśl - szept, przypominający, co się dzieje, kiedy ludzie odrzucają dary otrzymane od bogów.

Brenna zaśmiała się, kiedy wychodząc zza zakrętu, spłoszyli wiewiórkę. Podskoczyła, a potem po prostu na nią nakrzyczała.

- Och, ty głuptasie! Na pewno nie zrobimy ci nic złego!

Zachowuję się jak ta wiewiórka, pomyślał z niesmakiem Cuchulainn. Pozwalam, jak to małe stworzonko, żeby rządził mną strach. Zamiast cieszyć się, że obok mnie idzie ukochana kobieta, kobieta, która jest moją przyszłością, to ja obawiam się jakichś bliżej niesprecyzowanych uczuć czy przeczuc.

On, Cuchulainn, wybrał twarde stąpanie po ziemi. Magię i Świat Duchów pozostawiając swojej siostrze.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY**

Elphame przemierzyła główny dziedziniec, rozdając na prawo i na lewo uprzejme „dzień dobry” w odpowiedzi na słowa powitania ze strony robotników. Zatrzymała się przy wesoło szemrzącej fontannie i po raz kolejny obiecała sobie, że przy najbliższej okazji poleci Danannowi wyrzeźbienie kamiennej ławki. Na tej ławce siadać sobie będzie i rozkoszować się pięknem tego miejsca. Serca

zamku MacCallana.

Przez dziury w dachu wpadało światło szarego poranka, bardzo nikłe, nic jednak nie było w stanie zepsuć nastroju Elphame. Jej promienny uśmiech odzwierciedlał jej cichą radość. I podkreślał urodę.

Kilku mężczyzn,

podążających przez dziedziniec na śniadanie, na jej widok przerwało rozmowę i zaczęło gapić się na nią, dosłownie z otwartymi ustami. Elphame nie zauważyła tego, bo teraz, zanurzając czubki palców w wodzie fontanny, myślała sobie, że nawet wielogodzinne moczenie się w wodzie nie zmyje z niej śladów tej nadzwyczajnej czułości Lochlana. Śladów nocy pełnej miłości.

Lochlan... Jak bardzo chciała wykrzyczeć teraz jego imię, wykrzyczeć całemu Partholonowi, że ona kocha i jest kochana. Ze to stało się naprawdę. Epona stworzyła dla niej towarzysza życia, Elphame nie będzie musiała spędzać życia samotnie, wypełniając sobie dni gorzkimi refleksjami, kiedy porównywać będzie swoją samotność ze szczęściem i miłością innych ludzi.

Klan MacCallanów musi zaakceptować go jako jej męża. Nie, wcale nie musi. Może stać się inaczej

-  
i co wtedy będzie? Czy ona, Elphame, zdobędzie się wtedy na krok ostateczny? Zrezygnuje z przywództwa klanu i razem ze swoim ukochanym ukryje się na Pustkowiu? O, nie... Na samą tę myśl czuła zimny dreszcz. Westchnęła i przysiadła na kamiennym obrzeżu basenu fontanny, spoglądając na

marmurową dziewczynę, tak bardzo do niej podobną.

- Powiedz, co ty byś zrobiła, gdybyś była rozdarta między dwa światy? - szepnęła.

- Ej, siostró moja!

Słyszając donośny głos brata, odwróciła się, z miną raczej smętną. Którą jednak natychmiast rozjaśnił uśmiech. Cuchulainn nie był sam. Razem z nim szła Brenna. Trzymali się za ręce. Cuchulainn miał mokre włosy, a pod koszulą upchnięty tłumoczek wielkości małego wilczątka.

- Dzień dobry, Elphame - powiedziała Brenna.

Ciemny rumieniec, zabarwiający jej nietknięty przez blizny policzek świadczył, że Uzdrowicielka przeżywa teraz prawdziwą burzę uczuć. Elphame rozumiała to doskonale. Brenna, podobnie jak Elphame, nie spodziewała się, że znajdzie miłość, i to ze strony tego właśnie człowieka. Potrzebuje trochę czasu, żeby się z tym oswoić.

- Dzień dobry, Brenno! Jak miło cię widzieć! - odezwała się Elphame bardzo ciepło, spoglądając na młodą parę roziskrzonym wzrokiem. - Ale co ja widzę! Nie wiedziałam, że gustujesz w towarzystwie podejrzanych osobników i dzikich zwierząt!

- El, proszę, tylko bez głupich żartów! - zaprotestował brat. - Brenna gotowa jeszcze w to uwierzyć! Elphame uśmiechnęła się szeroko do Brenny.

- I powinna! Mówię przecież to całkiem serio! Brenna odwzajemniła uśmiech, ciemny rumieniec, oznaka zdenerwowania, jakby zaczął blednąć.

Cuchulainn odchrząknął i po raz wtóry zdumiał swoją siostrę. Puścił rękę Brenny, zrobił dwa kroki do

przodu i przyklęknął. Elphame uniosła żartobliwie brew, ale widząc poważną minę brata, nie odzywała się. Czekwała, co teraz powie Cu.

A Cu wystąpił z prośbą.

- Elphame, chciałbym ciebie, Przywódczynię Klanu MacCallanów, prosić o oficjalne pozwolenie na ubieganie się o względy twojej Uzdrowicielki, Brenny. Mam uczciwe zamiary. Pragnę się z nią

ożenić.

Elphame najchętniej wydałaby teraz okrzyk radości i wyściskała brata, ale nie mogła przecież psuć powagi chwili, wykazując się brakiem szacunku dla jego tak istotnej prośby, także dla swojej przyjaciółki, która teraz, wyraźnie pobladła, czekała w milczeniu na odpowiedź

Elphame. Na decyzję, czy Brenna zostanie zaakceptowana, czy odrzucona, raz na zawsze.

Elphame spojrzała Brennie głęboko w oczy.

- Brenno, rozumiem, że twoi rodzice nie żyją i Cuchulainn nie może prosić ich o pozwolenie na zaloty?

- Nie żyją od dziesięciu lat. Byłam ich jedynym dzieckiem.

- W takim razie, zgodnie z obyczajem, jako Przywódczyni Klanu przejmuję ich rolę. Jest to jak najbardziej właściwe. Brenno, czy jesteś skłonna przyjąć zaloty mojego brata, Cuchulainna? Zanim odpowiesz, chcę, żebyś wiedziała, że jakakolwiek będzie twoja decyzja, uznam ją za słuszną.

Nie potrzebowała patrzeć na brata. Wiedziała i tak, że teraz jego oczy ciskają błyskawice.

Ciemne oczy Brenny skierowały swoje sarnie spojrzenie na klęczącego przed nią wojownika, który wzrok miał nadal utkwiony w swojej siostrze. Jego nienaturalnie wyprostowane plecy świadczyły o wielkim zdenerwowaniu. On naprawdę się niepokoił, wcale nie był pewien, że uzyska odpowiedź twierdzącą.

Kiedy dotarło to do Brenny, wzruszyła się, tak bardzo, że musiała zamrużyć oczami, powstrzymując łzy. Spośród wszystkich kobiet na świecie Cuchulainn wybrał właśnie ją, Brennę. A teraz czeka na decyzję, czy ona chce być jego wybranką, czy nie.

- Tak - powiedziała jasnym, dźwięcznym głosem. -Przyjmuję zaloty Cuchulainna. Przyjmuję całym sercem.

- W takim razie ja, jako Przywódczyni Klanu MacCallanów, daję ci, Cuchulainnie, pozwolenie na zabieganie o względy Brenny. I chcę, byś wiedział, że jako twoja siostra jestem bardzo zadowolona z

twojego wyboru. Jestem po prostu szczęśliwa!

Elphame wstała i pod wpływem impulsu uniosła ręce i twarz ku niebu, ku nieśmiałym pierwszym promieniom słońca, przebijającym przez mgłę.

- Epono, proszę, pobłogosław tej parze!

Kiedy tylko wymówiła na głos imię Bogini, poczuła w sobie ciepło, nagły przypływ sił. Zamglone niebo wyraźnie zaczęło się przejaśniać. Radosny znak?

Nie, bo nagle... nagle obraz nieba przed oczami Elphame jakby ktoś zamazał, wszystko stało się niewyraźne, a czas - tyle, ile trzeba, by raz zaczerpnąć powietrza - stanął w miejscu. Elphame, zamiast euforii, poczuła coś całkiem innego. Smutek. Ból. Ktoś płakał.

Potrząsnęła głową. Koniec z przywidzeniem, ale na duszy pozostał smutny osad. Pozostał lęk.

Dlaczego?!

Zauważyła, że Cuchulainn przygląda jej się bardzo uważnie, dlatego szybko zebrała się w sobie i przywołując uśmiech na swojej twarzy, żartobliwie klepnęła brata po ramieniu.

- Powstań, Cu. Z całego serca popieram twój wybór. Członkowie klanu, obecni na dziedzińcu, naturalnie

obserwowali całą tę scenę. Teraz, wznosząc radosne okrzyki, otoczyli całą trójkę, życząc wiele szczęścia. W tej radosnej atmosferze Elphame udało się zapomnieć o przygnębiającej wizji, jaką miała

przed chwilą.

- El, wiesz, co to znaczy? - spytał Cu, obejmując Brennę jednym ramieniem, drugim siostrę. - Musimy wezwać naszą Matkę. Koniecznie. Nigdy nam nie wybaczy, jeśli dowie się o tym od innych, nie od nas.

Elphame uśmiechnęła się, jak zawsze, kiedy brat pozwalał sobie na szczyptę ironii wobec ich rodzicielki.

- Dobrze, wezwijmy Mamę. Ja też uważam, że najwyższy czas, by przyjechała nas tu odwiedzić.



Elphame była sama na Wieży Przywódcy Klanu. Tym razem jednak nie na balkoniku, skąd widziało się las, lecz w środku, w wieży, oparta o skrzydło jednego z wysokich i wąskich okien, przez które widać było Morze B'an. Po ustąpieniu mgły niebo wcale nie pokazało swego błękitu, szare i świetliste

było tłem dla nadciągającego sztormu. Wicher znad morza pędził nad ląd wielkie skłębione chmury, brzemienne w deszcze. Były coraz bliżej. Elphame i Cuchulainn tego ranka polecieli członkom klanu bardzo starannie posprawdzać linki przy namiotach, a kilka namiotów przenieść między zamkowe mury. Roboty przy odbudowie zamku wstrzymano, teraz wszyscy szykowali się do nadciągającego sztormu.

Niebo przecięła błyskawica, jej blask odbił się w wodzie morza. Tamta noc też taka była, noc ulewnego deszczu, grzmotów, noc naznaczona strachem i bólem. Ale też i tamtej nocy zdarzył się cud, jej pierwsze spotkanie z Lochlanem...

Wiedziała, że powinna przekląć wiosenną burzę, z jej to przecież powodu trzeba było wstrzymać roboty w zamku. A tu tymczasem, z każdą kolejną błyskawicą, z każdym kolejnym grzmotem czuła coraz większe podekscytowanie.

Pójdzie do niego, oczywiście. Poczeka tylko, aż niebo otworzy się całkowicie, zsyłając ulewny deszcz. Ulewny deszcz zaciera ślady, przez jego strugi trudno dostrzec przemykającą się postać... Nie czuła się najlepiej, kiedy oznajmiała Brennie, że ból głowy powrócił i chciałaby już udać się na spoczynek. Uzdrowicielka pocieszyła ją, że miejsca po obrażeniach zwykle bardzo mocno reagują na zmianę pogody i zaparzyła ziółka, które miały pomóc Elphame przespać i wieczór, i noc. Elphame, naturalnie, ziółek nie tknęła i wcale nie zasnęła. Ale była spokojna, że

Brenna nie zajrzy do niej wcześniej niż rano. Trudno było nie zauważyć gorących spojrzeń Cuchulainna, coś tam szeptał Brennie do ucha. Kochanków czeka upojna noc...

Jeszcze tylko siedem dni, ani dnia dłużej ukrywania się z Lochlanem. Kiedy minie siódmy dzień, Elphame wyjawii najbliższym swoją tajemnicę, z nadzieją, że zaakceptują ją, tak jak przez całe życie

akceptowali Elphame.

- Ta wieża twoim zdaniem to dobre miejsce do rozmyślań?

Tym razem zaskoczenie nagłym pojawieniem się starego ducha trwało bardzo krótko. Sekundę. Może dlatego, że Elphame miała cichą nadzieję, że duch i tym razem nie wzgardzi jej towarzystwem.

- Tak, tak sędzę. Ty też tu często przychodziłeś? Duch pokiwał głową.

- Tak. Zwłaszcza, kiedy miałem jakiś kłopot, kiedy coś nie dawało mi żyć.

- A powiedz mi, tak szczerze, zawsze chciałeś być Przywódcą Klanu MacCallanów?

Nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się, wpatrując się w Elphame.

- Tak. Zawsze tego chciałem.

- A czy ty... - Elphame na moment zawiesiła głos i odwróciła wzrok od wzburzonego morza, żeby spojrzeć duchowi prosto w oczy. - Nigdy nie miałeś ochoty stąd uciec?

- A jakże! - Duch uśmiechnął się. - Pewnie, że miałem. Nieraz.

- Ale nie zrobiłeś tego. Oczy ducha rozblęły.

- I ty tego też nie zrobisz, Elphame. Przywództwo Klanu MacCallanów masz we krwi. Taki jest twój los, a z nim się nie walczy. Ja też nie mogłem uciec przed

swoim przeznaczeniem. Elphame... - Podszedł do niej, chłodna, półprzeźroczysta ręka spoczęła na jej ramieniu. - Nie wolno ci zapominać, że z losem bywa różnie. Tak już jest. Potrafi być okrutny. Daje człowiekowi wielką radość, daje też wielki smutek.

W głowie Elphame natychmiast odżyła króciutka wizja, jaką miała tego ranka, kiedy na dziedzińcu zamkowym pojawił się Cuchulainn z Brenną. Wizja krótka, ale jakże przerażająca...

- Dziś Cuchulainn oznajmił mi, że zamierza oficjalnie zabiegać o względy Brenny i ożenić się z nią.

Brenna przyjęła go.

Stary duch pokiwał głową, ale nic nie powiedział. A Elphame przez króciutką chwilę zastanawiała się,

czy ona istotnie chce go o to właśnie zapytać. Bo i po co? Była zakochana, jej brat też. Czy nie lepiej

po prostu dać się ponieść uczuciom, pławić się w szczęściu, przynajmniej przez kilka kolejnych dni?

Niestety, wiedziała, jaka będzie jej decyzja. Nie wolno jej wybierać nieświadomości, choćby nie wiadomo jak była słodka.

- Kiedy wezwałam Eponę, by pobłogosławiła ich związek, nagle miałam dziwne przywidzenie.

- Dziwne? Elphame przełknęła.

- Tak. Dziwne i bardzo niepokojące. Usłyszałam płacz, poczułam wielki smutek. Ale to minęło bardzo

szybko.

Duch zabrał rękę z jej ramienia i skierował swe spojrzenie ku morzu.

- Czy inni też to odczuli? Ten znak?

Elphame, teraz już przerażona, pokręciła przecząco głową.

- Nie, moim zdaniem nie. Wszyscy dookoła byli tacy radośni... Cu i Brenna promienieli...

Stary duch odwrócił głowę, spojrzał na nią. Wtedy podzieliła się z nim swoją najbardziej zatrważającą myślą.

- Epona dała znak tylko mnie... Przepowiedziała, co ma się stać. Bogini przygotowuje mnie do tego.

- Bo jesteś Przywódczynią Klanu, Elphame. Kiedy nadejdzie ten czas, musisz znaleźć w sobie wiele siły.

W jego głosie słyhać było teraz znużenie i smutek. Elphame czuła, że cała lodowacieje, że słabnie.

- A więc może trzeba ich powstrzymać?! Jako Przywódczyni Klanu mam prawo zabronić tego małżeństwa!

- Nie. Losu nie oszukasz, dziewczyno, nie zmienisz. Kiedy człowiek stara się to zrobić, często sprowadza jeszcze większe nieszczęście. Ale ja znam twój ból. Miałem siostrę, śliczną młodą dziewczynę, była mi droga jak moje własne serce. Gdybym mógł oszczędzić bólu Morrigan...

Serce Elphame zabiło szybciej. Siostra MacCallana - matka Lochlana. Czy MacCallan o nim wie? Co MacCallan tak naprawdę chce jej przekazać?

Spojrzenie starego ducha znów zwróciło się ku morzu.

- Nadciąga sztorm. Przygotujcie się.

Zanim zdążyła zadać mu jeszcze jakieś pytanie, duch zaczął znikać, resztki światłości przeniknęły przez posadzkę. Duch opuścił wieżę, pozostawiając Elphame samą, z ciężarem jej cichego smutku.

Grzmiało, wreszcie deszcz zabębnił o dach, o mury zamku MacCallana. Elphame odwróciła się od okna i zaczęła powoli schodzić po kręconych schodach. Przygarbiona. W środku czuła chłód i pustkę.

Wcale nie czuła się silna, wcale nie czuła się jak Przywódczyni Klanu. Czuła się przede wszystkim jak siostra drżąca o swojego brata.

Kiedy nadejdzie ten czas, musisz znaleźć w sobie wiele siły.

Słowa ducha bez przerwy słyszała w swojej skołatanej głowie. Jakże chciała, żeby w końcu umilkły...

Wiedziała, że istnieje tylko jedno, jedyne miejsce, gdzie będzie mogła tej nocy odnaleźć spokój.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY**

Ciężkie krople deszczu spokojnie, miarowo bębniły o namiot. Brenna, popatrując, jak Cuchulainn układa napojone mlekiem wilczątko na wygodnym posłaniu, wyszykowanym przez Brennę, myślała, że jednak czuje się z tym trochę dziwnie. Kiedy raptem w jej namiocie pojawił się mężczyzna.

Dziwnie, ale absolutnie nie w sposób negatywny. Po prostu w namiocie zrobiło się jakoś inaczej.

Obecność Cuchulainna rozpraszała i cała sytuacja była taka... intymna. Ale cóż... w końcu sama go tutaj zaprosiła. Tak samo, jak z jej własnej nieprzymuszonej woli zaistniał w jej życiu.

Fand popiskiwała, skomlała, Cuchulainn głaskał ją,

drapał za uszkami, nawet zaczął coś cicho nucić. Po chwili Brenna zorientowała się, że Cu śpiewa kołysankę. Uśmiechnęła się. Ten wojownik miał w sobie niewyczerpane pokłady czułości - jeszcze

jedna cecha, jaka wyróżniała go spośród innych mężczyzn. Nikt by nie podejrzewał, że pod szorstką powierzchownością wojownika kryje się człowiek o wielkim sercu. Najlepszym na to dowodem była czułość, jaką okazywał wilczątku. I to, że pokochał Brennę.

Brenna pomodliła się w duchu do Epony, dziękując, że stworzyła takiego człowieka jak Cuchulainn.

Cuchulainn powoli wstał. Cichutko na palcach podszedł do Brenny, która przysiadła na brzegu łóżka, i pocałował ją w rękę.

- Dziękuję, że wyszykowałaś posłanie dla Fand - szepnął. - Nie ukrywam, że trochę mi się już przejadło spędzanie każdej nocy z wilczątkiem przy piersi.

Uśmiechnął się, potem rozejrzał się dookoła. W niewielkim namiocie było wyjątkowo schludnie. Łóżko było identyczne jak jego łóżko, z tym że łóżko Brenny było starannie posłane, a na środku leżała poduszczyca, wypchana pachnącymi ziołami. Brenna miała dwie skrzynie. Jedna stała w nogach łóżka, druga koło stolika i ta była otwarta. Cuchulainn zauważył, że pełna jest słoików i słoiczków, butelek i buteleczek, płóciennych pasków, zauważył też wyglądający bardzo groźnie komplet nożyków małych i większych.

- Czyli z tej to skrzyni biorą się twoje słynne ziołowe herbatki? - spytał, unosząc znacząco brew.

- Tak. Tak samo jak maści, olejki i wiele innych rzeczy, które pomagają wyzdrowieć.

- A masz tam krew smoka albo język ropuchy?

- Może bym i znalazła. A chcesz, żebym zrobiła ci z tego napar? Co wybierasz? Język ro...

- Nic! - Zaprotestował energicznie Cuchulainn. Fand poruszyła się niespokojnie, natychmiast więc znów zniżył głos. - Brenno, bardzo chciałbym zobaczyć te podarki od Epony, które, jak mówiłaś, przypominają ci moje oczy.

Brennie z wrażenia na moment zabrakło powietrza. Chociaż może i nie powinna być aż tak bardzo tym

zaskoczona, ale to dlatego, że jej w ogóle trudno było jeszcze w to wszystko uwierzyć. Jego miłość przyszła tak nieoczekiwanie. Wciąż jeszcze wydawało jej się to pięknym snem, na jawie, ale tylko snem, a wiadomo, że kiedyś człowiek musi się obudzić.

- Brenno? Jeśli czujesz się skrępowana, nie musisz mi tego pokazywać.

- Ależ dlaczego? Wcale nie czuję się skrępowana. Bardzo chętnie ci je pokażę.

Wstała, wzięła go za rękę i zaprowadziła w zaciemniony róg namiotu. Ukłękła, dając znak ręką Cuchulain-nowi, żeby zrobił to samo. Cuchulainn przykląkł na jedno kolano, a Brenna zapaliła cztery świece, ustawione w idealny kwadrat, tak, żeby wskazywały cztery strony świata.

Świeczki zamigotały, ołtarzyk Brenny ożył. Brenna wskazała na pierwszy przedmiot.

- Ten łeb klaczy wyrzeźbiłam sama, na pamiątkę pewnego snu, który w dzieciństwie miewałam bardzo często. W tym śnie ukazywała mi się zawsze piękna kobieta na pięknej klaczy. Ta kobieta miała całą głowę w niesfornych, rudych lokach... - Brenna uśmiechnęła się nieśmiało. - Skupiłam się na klaczy, dlatego twarzy tej kobiety nie przypominam sobie dokładnie. Ale na pewno była bardzo piękna.

- Czy mogę wziąć na chwilę tę figurkę do ręki? - spytał Cuchulainn.

Brenna skinęła głową.

Cuchulainn bardzo ostrożnie wziął do ręki małą figurkę i przyjrzał jej się dokładnie.

- To Wybrana Klacz. Wspaniale ją wyrzeźbiłaś. Jak żywa, i ta dumna szyja...

- Wybrana Klacz? Epony? Niemożliwe! Nie miałam pojęcia, że to właśnie ona!

Cuchulainn uśmiechnął się i lekko musnął palcami jej policzek.

- Naprawdę nie wiedziałaś? Przecież to ona. A rudowłosa kobieta na klaczy to moja Matka.

Przypomnij sobie jej oczy.

Brenna skupiła się, przywołując w pamięci sen, który w swoim pełnym bólu dzieciństwie miewała tak

często. Nie było trudno go sobie przypomnieć, zawsze przecież dawał jej tyle radości. One obie, ta kobieta i klacz, były takie piękne i szczęśliwe. Na pewno. One nie musiały przeżywać tak strasznych chwil jak mała Brenna.

Kiedy sen ożył w jej pamięci, skupiła się całkowicie na kobiecie, na jej twarzy, przede wszystkim na oczach. Nagle, ku swemu największemu zdumieniu, zobaczyła oczy tej kobiety. I zdumiała się jeszcze bardziej.

- Ona... ona miała twoje oczy!

Nie były tego samego koloru. Oczy Etain były bardziej zielone niż niebieskie, ale kształt oczu matki i syna, ich wyraz, był identyczny.

Cuchulainn uśmiechnął się.

- Moja matka powiedziałaaby raczej, że to ja mam jej oczy.

Brenna czuła, że z przejścia aż drży. Śniła o matce Cuchulainna! Tyle razy! Przecież ten sen ciągle do niej powracał!

Cuchulainn niemal z czcią odłożył figurkę na miejsce,

potem musnął palcem turkus i dotknął pióra o wspaniałej barwie.

- Miałaś rację, Brenno. Moje oczy są tego samego koloru.

Zaraz potem jego wzrok przykuła perła, perła w kształcie łzy. Spojrzał na nią i nagle zaśmiał się.

- Co się stało? - spytała speszona Brenna.

- A to, kochanie, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Śniłaś o mojej matce, na swoim ołtarzyku masz

figurkę Wybranej Klaczy. Zbierasz przedmioty w kolorze moich oczu. A teraz ta perła... - Cuchulainn

znow się zaśmiał i pogłaskał Brennę po policzku. - Mój ojciec przywiezie tu pierścionek, który

zamierzam ci dać. Ten pierścionek jest w naszej rodzinie od pokoleń. Srebrny, ozdobiony

ornamentem w kształcie listków bluszczu. Z jednym tylko kamieniem. Perłą w kształcie łzy.

Identyczną jak twoja.

- A ja moją... po prostu znalazłam - powiedziała Brenna, z trudem, bo tak wielkie wzruszenie ścisnęło ją za gardło. - Znalazłam, kiedy z dziewczynki przeistoczyłam się w kobietę. Czułam się taka samotna, taka nieszczęśliwa...

Cuchulainn objął ją ramionami i mocno przytulił do siebie.

- Nigdy więcej, Brenno, nie będziesz czuła się ani samotna, ani nieszczęśliwa. Przyrzekam ci.

Brenna, wtulona w niego, czuła jego siłę, jego miłość i czuła też, jak resztki lodowatej klatki, w której trzymała swoje serce, topnieją i kruszeją. Podniosła głowę i spojrzała prosto w turkusowe oczy

mężczyzny, któremu postanowiła zaufać i którego postanowiła pokochać.

- Czy zrobisz coś dla mnie, Cuchulainnie?

- Wszystko, kochanie.

- Kochaj się ze mną.

Cuchulainn bez słowa wstał i nie wypuszczając jej z ciepłej obręczy swoich ramion, podprowadził ją

do wąskiego, starannie posłanego łóżka.

- Zdmuchnij świeczki - zaszeptała Brenna.

- Nie... - odszepnął, obejmując dłonią jej twarz. - Brenno, przecież my spędzimy ze sobą resztę naszego życia. Chcę cię zobaczyć, zobaczyć całą...

- A może jednak zdmuchniesz chociaż jedną? Albo dwie?

Cuchulainn uśmiechnął się, pocałował ją w czoło i pomknął przez namiot, żeby zdmuchnąć świeczki.

Zapaloną zostawił tylko jedną, w szklanym kloszu, tę świeczkę postawił na stoliku koło łóżka. A

potem przez kilka chwil on i Brenna stali naprzeciwko i po prostu na siebie patrzyli.

- Jestem bardzo zdenerwowana - powiedziała cicho Brenna, ale uśmiechnęła się i delikatnie musnęła palcami policzek Cuchulainna. Cuchulainn chwycił jej rękę i przycisnął do serca. Czowała, że bije teraz bardzo szybko.

- Ja też jestem bardzo zdenerwowany, najdroższa.

- To może najpierw powinieneś mnie pocałować, wtedy już zaczniemy się... dotykać.

Cuchulainn nachylił się, Brenna skwapliwie wsunęła się w jego ramiona. Powiedziała prawdę.

Chciała tego pocałunku, chciała znaleźć się bardzo blisko Cuchulainna, poczuć emanującą z niego siłę, bo to na pewno pomoże jej do końca pokonać strach.

Pocałował ją i tak, jak podczas ich poprzednich pocałunków, gdy tylko jego usta przyłgnęły do jej warg, natychmiast zapomniwała o swoich bliznach. Teraz chłoneła tylko smak Cuchulainna, jego zapach, jego dotyk - a jej ciało w odpowiedzi zaczynało ożywać.

Oszołomiona pocałunkiem, w którymś momencie po-



czuła na sobie jego ręce, penetrujące jej ubranie. Gorące dłonie na swoich piersiach, potem na pośladkach. Jęknęła, a jej ręce bezwiednie też się poruszyły, też zaczęły poznawać. Jego ciało. Dotarły do ramienia, gdzie spięty był pled. Rozpięły go. Cuchulainn pomógł jej odwinąć kilt z jego bioder,

potem rozchylił na piersiach swoją płócienną koszulę i Brenna, tak do końca nie zdając sobie z tego sprawy, została przytulona do jego nagiego ciała. Jej ręka teraz z rozkoszą wędrowała wzdłuż jego dużego, muskularnego ciała.

Nagle Cu usiadł. Brennę ustawił przed sobą, między swoimi rozstawionymi nogami i dotknął tasiemek, które przytrzymały suknię, zakrywającą Brennę aż po szyję.

- Chcę cię zobaczyć, kochanie - powiedział, głosem zachrypniętym od namiętności. - Chcę poczuć twoje nagie ciało przy moim ciele.

Brenna, starając się opanować drżenie, zagryzła wargi i w milczeniu skinęła głową. Cuchulainn rozwiązał tasiemki przy skromnym staniku jej sukni, pomógł jej się go pozbyć, potem odwinął jej z bioder spódnicę. Brenna sama powoli zsunęła z siebie koszulę. Miękki materiał opadł na ziemię.

Brenna, mocno zaciskając powieki, znieruchomiała. A kiedy poczuła, jak palce Cuchulainna przesuwają się ostrożnie wzdłuż jej blizn, w dół twarzy, szyi, przez ramię, prawą pierś i dalej w dół, prawie do kibici - zaczęła drzeć.

- Moje kochanie... - szepnął Cuchulainn. - Żałuję, że mnie wtedy nie było przy tobie. Może mógłbym temu w jakiś sposób zapobiec, a przynajmniej pocieszyć, starać się pomniejszyć twój ból...

Nachylił się i teraz tę samą wędrowkę, co palce, podjęły usta, znacząc granicę blizn pocałunkami.

Spod zaciśniętych powiek Brenny wypłynęły łzy. Kiedy po

chwili je uniosła i spojrzała w dół, zobaczyła twarz Cuchulainna też mokrą od łez.

- Ale... ale teraz jesteś przy mnie - powiedziała z trudem.

- Tak. I będę przy tobie już na zawsze.

Razem z nim osunęła się na łóżko, upajając się cudownym doznaniem, kiedy jego naga skóra przylgnęła do jej nagiej skóry - do całego jej ciała. Upajając się świadomością, że Cuchulainn

widział

ją, ale nie odwrócił się od jej blizn. Nadal jej pożądał.

Przez całą noc Brenna miała oczy otwarte.

Zaskoczony Lochlan poderwał głowę. Nie było jeszcze ciemno, ale on już ją Wyczuwał. Wołała go, przez wiatr i deszcz. Siła jej wzywania wnikała do jego krwi, skrzydła poruszyły się, zaczęły się rozkładać, jeszcze zanim wyskoczył ze swojej ukrytej pieczary i rozpoczął swój szybujący bieg, który miał go zanieść do Elphame. Z radością powitał chłodny dotyk deszczu. Bo tak bardzo tęsknił, tak bardzo chciał objąć już Elphame, znów poczuć, jak głaszcze jego skrzydła, pieści jego ciało.

Tym razem chciał ją osiąść całkowicie. Posmakować jej krwi. Choć nie powinien, wiedział to przecież. To było z gruntu złe.

Zatrzymał się. Zrobił to na przekór mrocznym pragnieniom, dlatego w skroniach natychmiast pojawił się znajomy świdrujący ból. Musiał się opanować, nie wolno mu było iść do niej, kiedy był otulony w

mgłą namiętności i żądzы krwi. Zamknął oczy i pochylił głowę, czekając aż ból zelżeje. Przeklęty ból, który był z nim zawsze, kiedy opierał się żądaniom swojej czarnej krwi.

Kochał ją! Kochał prawdziwie, dlatego zmusił swoje

myśli, by zapomniały o ciepłe jej gładkiego ciała, a skupiły się na jej uśmiechu, na oczach. Na zaufaniu, jakim go darzyła. Została przecież jego żoną, przysięgli sobie przed Eponą...

Jego oddech powoli uspokajał się. Musi powiedzieć Elphame o Przepowiedni, może nawet dziś wieczorem. Może razem uda im się znaleźć jakiś sposób, żeby uratować jego ludzi bez składania ofiary z krwi. Ofiary, której on, jak już sobie przysięgł, nigdy nie złoży.

Podjął swój szybujący bieg. Mroczny instynkt został stłumiony. Elphame wzywała go. Odpowie na jej

wezwanie. Jako człowiek, a nie potwór.

Stała obok wejścia do ukrytego lochu. Krople deszczu spływały po jej twarzy. Pomyślał, że Elphame wygląda tak, jakby twarz miała mokrą od łez. Kiedy go zobaczyła, uśmiechnęła się, ale on i tak

wyczuwał w niej wielki smutek. Bez słowa podszedł do niej i zamknął ją w swoich ramionach. Jego rozłożone skrzydła osłaniały Elphame przed zimnym deszczem, ale ona i tak drżała.

- Chodźmy do mojej jaskini - powiedział. - To tylko jaskinia, ale jest tam sucho i ciepło.

Pocałował ją w czubek głowy, Elphame uniosła ku niemu smutną twarz. Wtedy zobaczył, że to nie tylko krople deszczu. Także łzy.

- A może pójdziemy do zamku? Dziś wieczorem chcę, żeby otaczały mnie ściany mego zamku.

Potrzebuję tego, tak samo, jak twoich ramion wokół mnie.

- Chcesz dziś wieczorem powiedzieć o nas Cuchulain-nowi, najdroższa?

Potrząsnęła gwałtownie głową. Kilkakrotnie.

- Nie, jeszcze nie! Wezwałam moich rodziców. Czekamy na ich przybycie. A Cu dziś wieczorem na pewno nie będzie nam przeszkadzał. Jest ze swoją ukochaną.

- To dlaczego jesteś taka smutna? Czy Cuchulainn źle wybrał?

- Wybrał Brennę.

- Małą Uzdrowicielkę? Myślałem, że jest ona twoją przyjaciółką.

- I jest! -powiedziała szybko Elphame. - Dziś powiedzieli mi o swojej miłości. Byłam bardzo szczęśliwa, ale jednocześnie... jednocześnie miałam wizję. Przeczuję wielki smutek.

Elphame znów zaczęła drzeć.

- Wracajmy do twojego zamku - powiedział szybko Lochlan. - Teraz potrzebujesz siły jego murów.

- I twojej, Lochlanie. Dziś ty też jesteś mi bardzo potrzebny.

Lochlan przytulił ją do siebie jeszcze mocniej.

- Jestem przy tobie, najdroższa.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY**

Kiedy Lochlan, trzymając za rękę Elphame, wchodził do sypialni Przywódcy Klanu, czuł ogromne wzruszenie.

- Moja matka też tu na pewno nieraz wchodziła - powiedział zdławionym głosem. - Zanim poznała, co

to ból i sama siebie skazała na wygnanie, w tym zamku zaznała tyle szczęścia i miłości...

- Lochlanie, nie zadręczaj się tym. Czy ty myślisz, że twoja matka choć przez chwilę żałowała, że przyszedłeś na świat?

Lochlan, starając się zapanować nad gwałtownym uczuciem nienawiści do samego siebie, zamrugał oczami i spojrzał na Elphame.

- Nie. Nigdy. Od chwili moich narodzin aż do swojej śmierci kochała mnie bardzo. Tak... bezwarunkowo, całkowicie.

Powoli się odprężył, Elphame czuła to i kiedy, rozglądając się po wielkim pokoju, znów się do niej odezwał, jego głos był już spokojny, normalny.

- Wiem, że zabrzmiało to dziwnie. Twój brat, jak zresztą cały Klan MacCallana, prawdopodobnie nigdy tego nie pojmą, ale ja, kiedy jestem tutaj, mam poczucie, jakby jakieś koło się zamknęło i znów znalazłem się we właściwym miejscu. - Uśmiechnął się, smutek znikł z jego oczu. - Moja matka byłaby bardzo szczęśliwa z tego powodu.

Elphame też się uśmiechnęła, przysunęła się do niego bliżej i oparła się o jego ramię. Lochlan objął ją jednym ciemnym skrzydłem, nachylił się i pocałował, z tak cudowną czułością, że zabrakło jej tchu.

Och, jakże ona doskonale rozumiała jego matkę! Ona, Elphame, przecież też bardzo go kochała. Też tak całkowicie, bezwarunkowo...

- A teraz opowiedz mi o tym złym Przeczuciu, które cię trapi, Elphame - powiedział, podprowadzając

ją do poślazanego szezlonga w nogach łóżka.

Skrzydła złożyły się z szelestem. Lochlan ułożył się na szezlongu. Na boku, podciągnął nogi. Elphame wsunęła się w ten przytulny kącik, twarzą zwrócona do Lochlana, plecy oparła o jego kolana.

- To stało się wtedy, kiedy Cuchulainn przyszedł prosić mnie, jako Przywódczynię Klanu, o

pozwolenie zabiegania o względy Brenny. Oczywiście, przystałam na to z największą ochotą... -

Elphame nie patrzyła na Lochlana, lecz gdzieś w dal, ponad jego ramieniem. Niewidzącym wzrokiem,

teraz zapewne przed jej oczami

przesuwały się obrazy tamtego wydarzenia. - Byłam tak szczęśliwa, tak bardzo, że pod wpływem impulsu poprosiłam Eponę o błogosławieństwo dla nich. W chwili, gdy wymawiałam imię Bogini, nagle poczułam przeogromny smutek, wyraźnie też usłyszałam czyjś płacz.

- Twoje Przeczucie wcale nie musi być związane z Cuchulainnem i Brenną. Kto wie, czy Epona nie przekazała ci wizji o tym, co stanie się, kiedy powiadomisz wszystkich o naszym małżeństwie. Może chciała cię uprzedzić, że czeka nas walka.

Elphame pokręciła przecząco głową.

- Nie. Zastanawiałam się już nad tym, ale nie. To Przeczucie na pewno dotyczyło Cu i Brenny. A poza

tym... - Elphame zrobiła głęboki wdech - poza tym chodzi jeszcze o to, co powiedział mi duch MacCallana. Powiedział, że mam zbierać siły.

- Rozmawiałaś z duchem MacCallana?!

- Tak. Nie po raz pierwszy. On zresztą ukazał się i mojemu bratu, tamtego dnia, kiedy spadłam do jaru.

Duch MacCallana kazał Cu jechać za mną.

- Mój wuj... - Lochlan potrząsnął głową. Jakby bardzo trudno mu było w to uwierzyć.

- A mój pradziadek - dodała miękko Elphame. - Loch-lanie, czy wiesz, że kiedy rozmawiałam z nim ostatnio, wspomniał o twojej matce? Była jego najmłodszą siostrą. Musiał bardzo ją kochać.

W oczach Lochlana pojawił się smutek.

- Myślisz, że mnie nienawidzi?

- Tego nie wiem - odparła szczerze. - Ale jesteś tutaj, a on wcale się nie ukazał, żeby cię stąd przepędzić. Sądzę, że to dobry znak. Przecież na pewno wie, że tu jesteś. Moim zdaniem, on wie o

wszystkim, co dzieje się w murach jego zamku.

- Może jednak powinienem stąd iść? Nie chciałbym go niepokoić.

Elphame wzięła go za rękę.

- Nie, Lochlanie. Nie odchodź. Bardzo chcę, żebyś tu był, potrzebuję cię tutaj. Nie zapominaj też, że należysz do Klanu MacCallanów. I na mocy przysięgi, i z racji więzów krwi.

- Ale teraz bardziej niż jakiegokolwiek więzy krwi niepokoi mnie twoja wizja, Elphame - powiedział Loch-lan i musnął wargami jej dłoń. - Co zamierzasz teraz zrobić?

Elphame westchnęła.

- Nie sądzę, żebym mogła cokolwiek zrobić, Lochlanie. MacCallan wyraźnie ostrzegwał mnie przed tym, co ma się stać. Przed czym dokładnie, nie wiadomo. Nie pozostaje mi nic innego, jak czekać.

Czekać i zbierać siły.

- Jesteś silna, najdroższa. Razem poczekamy na to, co nadejdzie.

Jego słowa uspokajały, choć nie powinny. Zdawała sobie z tego sprawę. Wizja nie dotyczyła

bezpośrednio Lochlana, była tego pewna, ale Lochlan i tak w jakiś sposób związany był z

nieszczęściem, które miało się stać. Wiedziała doskonale, że ich związek i dla jej rodziny, i dla jej klanu będzie czymś bardzo gorzkim, ale nie miała zamiaru odtrącać Lochlana. Przez całe swoje

dorośle życie marzyła i modliła się o męża, nie wierząc, że w końcu dostanie ten dar od losu. Teraz, kiedy go dostała, nie zrezygnuje. Nie pozwoli mu odejść.

Uścisnęła lekko palce Lochlana.

- Masz rację. Nawet największy smutek łatwiej znieść razem.

- A może Epona przepowiada, że Brenna odtrąci twojego brata? Jeśli on kochają naprawdę, byłoby to

dla

niego straszne, coś, z czego być może nigdy by się już nie otrząsnął.

- Brenna nigdy go nie odtrąci! Gdybyś ty ich dzisiaj widział... Lochlanie, oni wyglądali tak, jakby wspólnie odkryli jakąś wielką, nieprawdopodobnie radosną tajemnicę. Te ich spojrzenia, te ich czułe

gesty... Nie, Lochlanie, to niemożliwe. Brenna nigdy go nie odtrąci.

- W takim razie Eponie chyba rzeczywiście chodzi o nas. Pozostaje nam tylko czekać, aż twój brat odkryje naszą tajemnicę...

Niebo przecięła błyskawica, zaraz potem uderzył piorun, niebezpiecznie blisko. Po plecach Elphame przebiegł lodowaty dreszcz.

- Burza jest coraz bliżej - powiedziała, spoglądając z niepokojem w okno, znów na moment rozświetlone błyskawicą.

- Przyjdzie i pójdzie sobie, najdroższa.

Elphame odwróciła się od okna i spojrzała na swego męża. Tyle było w nim spokoju, tyle pewności siebie, a to dodawało otuchy. Pomyślała, że taki właśnie człowiek musi być dla swoich ludzi znakomitym przywódcą. Pomyślała tak, a jednocześnie zrobiło jej się wstyd, kiedy uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie spytała Lochlana o jego ludzi, tych, którzy zostali na Pustkowiu. Przecież Lochlan opowiadał jej, że nie tylko jego matka przeżyła poród. Także inne kobiety przeżyły, wydając na świat dziecko będące w połowie Fomorianinem.

- Lochlanie, opowiedz mi o swoich ludziach.

Twarz Lochlana nagle zmieniła się. W twarz całkowicie pozbawioną wyrazu. Milczał długo i Elphame była już pewna, że jej nie odpowie. Ale przemówił, głosem, w którym słychać było wielkie napięcie.

- Moi ludzie żyją na Pustkowiu. Życie tam jest bardzo ciężkie, ale, jak już wiesz, jesteśmy długowieczni. Niewielu z nas umiera przedwcześnie, poza tym, mimo że zaprzecza to chyba zdrowemu rozsądkowi, co roku rodzi się tam wiele dzieci.

- Rodzą się dzieci?

Lochlan uśmiechnął się bardzo smutno.

- Tak. Jesteśmy zdolni do prokreacji. Ta anomalia u Fomorianek, czyli bezpłodność w czasach mojego

ojca, nie przeszła na nasze kobiety. Jesteśmy bardzo silni i odporni, mimo naszego cierpienia.

- Cierpienia? O czym ty mówisz, Lochlanie?

- Ci spośród nas, którzy mieli matki, będące w pełni istotami rodzaju ludzkiego, są bardziej podobni do ludzi niż do demonów. Mogą spokojnie funkcjonować w dzień, światło dzienne im nie przeszkadza, promienie słońca nie parzą. Nie muszą, żeby żyć, pić cudzej krwi. I wszyscy czepiają się rozpaczliwie swojego człowieczeństwa, zwalczając w sobie mroczną część naszej osobowości, odziedziczoną po ojcach-demonach. Sama byłaś tego świadkiem, Elphame, widziałaś, jak zmagalem się z tą zmorą. Ale jeszcze nie wiesz, że walka z demonem, którego ma się we krwi, każdorazowe wybranie człowieczeństwa, a nie mrocznej ścieżki, wytyczonej przez demona, sprowadza na nas wielki ból. Ten ból, jakiego doznajemy, płacąc za nasze człowieczeństwo, jest tak wielki, że wielu z nas doprowadza do szaleństwa. A dzieci... - Lochlan sposepniał jeszcze bardziej - dzieci są w szczególnie trudnej sytuacji. Też rodzą się jako hybrydy, więcej w nich z człowieka niż demona, ale mają matki-hybrydy, które nie są w stanie pokierować nimi jak matka, będąca w pełni człowiekiem. Moja matka od dawna nie żyje, poumieraly też już wszystkie inne kobiety, które były istotami ludzkimi.

- Lochlanie! - Elphame, bardzo poruszona, wręcz przerażona tym, co usłyszała, chwyciła go za obie ręce.

- Lochlanie! Twój ludzki koniec musi tu przyjechać! Pomożemy im! Moja rodzina na pewno cię zaakceptuje. Muszą cię zaakceptować! Kiedy się przekonają, jaki jesteś dobry, kiedy dowiedzą się, że codziennie walczysz z ciemnością i pokonujesz ją, zaczną ci ufać, tak jak ja. Przekonają się, że wszystkim twoim ludziom można też zaufać!

Zabrzmiało to bardzo młodzieńczo, bardzo idealistycznie. Lochlan, zapatrzony w jej błyszczące entuzjazmem oczy, pomyślał, że może jest to odpowiedni moment, by powiedzieć jej o Przepowiedni. Wyznać, że spełnienie Przepowiedni od początku było jego życiową misją, która oznaczała wyrok na



Elphame, dlatego on, z miłości do niej, odstąpił od swojej misji. Zdecydował się nie spełnić

Przepowiedni. Zdradził swoich ludzi.

Ale nie potrafił jej tego wyznać. Za bardzo ją kochał. Ona otulała go skrzącą pajęczyną swego snu, on nie chciał się z tego snu obudzić.

- Gdyby to wszystko było takie proste... - powiedział.

- Gdyby było proste, nie warto by było tego robić

- powiedziała z uśmiechem Elphame, powtarzając słowa jego matki.

- Kocham cię, najdroższa - powiedział, biorąc ją w ramiona. - Zawsze będę cię kochał.

Elphame przytuliła się do niego, żarliwie odwzajemniając pocałunek, a kiedy usłyszała szelest jego pobudzonych skrzydeł, szepnęła mu wprost do ust:

- Zaprowadź mnie do łóżka, mój mężu.

Lochlan, wykorzystując swoją siłę i zręczność o wiele większą niż u człowieka, wstał i trzymając

Elphame w ramionach, w mgnieniu oka pokonał odległość, dzielącą

ich od łóżka. Prawie równie szybko ich mokre od deszczu ubrania utworzyły niedbały stos materiału u

ich stóp. Naga Elphame wsunęła się do pościeli z najcieńszego płótna, na Elphame ułożył się nagi

Lochlan z rozłożonymi skrzydłami, jak ogromny ptak drapieżny. Oparty na łokciach, dzięki czemu

Elphame prawie nie czuła ciężaru jego ciała.

Złączyli się w pocałunku. Nagle Elphame zauważyła, jak palce u rąk Lochlana wczepiają się w grubą

kołdrę. Cały drży. Kiedy zaczęła całować go bardziej żarliwie, nie zareagował. Wyraźnie starał się zapanować nad swoją namiętnością.

- Lochlanie, jesteś moim mężem. Boisz się kochać ze mną?

- Nie! Tego się nie boję! - krzyknął, głosem zachrypniętym od pożądania i rozpacz. - Boję się ciebie skrzywdzić! - Jęknął i oparł się czołem o jej czoło. - Elphame, moje ręce zmieniają się w szpony. Moje pożądanie zmienia się w żądzę krwi. Nie mogę się z tobą kochać, nie bojąc się o ciebie.

Te słowa poruszyły w Elphame jakąś ukrytą strunę, wcale nie czułą, lecz taką, która wznieca płomień.

A płomień zmienia się w ogień.

Budził się w niej gniew, gniew bogini.

- Obrażasz mnie, Lochlanie.

Poderwał głowę, spojrzał na nią ze zdumieniem. A Elphame odepchnęła się od niego. Z siłą, która sprawiła, że zdumienie w jego oczach było jeszcze większe.

Nachyliła się i powoli, z rozmysłem pogłaskała spód jego skrzydeł. Oddech Lochlana zmienił się w jęk.

- Przecież widzisz, że nie drzę ze strachu, kiedy mnie dotykasz, kiedy pieścisz mnie, Lochlanie.

Zapomniałeś, że jestem czymś więcej niż człowiek? Jestem od niego silniejsza, szybsza...

Znów pogłaskała jego skrzydła. Lochlan znów jęknął, ugryzła go wtedy w ramię, zostawiając na jasnej skórze czerwony ślad, jak piętno.

- Niektórzy twierdzą nawet, że jestem Boginią. Więc proszę, traktuj mnie odpowiednio...

Chwyliła zębami jego dolną wargę i pociągnęła. Oczy Lochlana rozbłysły ciemnym światłem, zaiskrzyły się w odpowiedzi na jej pożądanie. Elphame ani na chwilę nie zapomniała o jego żądzy krwi, do której się przyznał. Nie miała zamiaru padać jej ofiarą, albo sama jej ulec, nie, ale już w samej myśli o tym, że Lochlan mógłby zatopić swoje zęby w jej ciele, było coś erotycznego, coś niebywale

pociągającego, tak samo w tej aurze wokół niego, aurze ledwo powstrzymanej agresji. Była wręcz namacalna, ale wcale jej to nie przerażało. Przeciwnie - pociągało. Była jego żoną, nie odczuwała tego jako dewiacji.

Po prostu w końcu doszła, jak ma wyglądać ich związek.

- Kochaj mnie, Lochlanie - odezwała się słodkim, uwodzicielskim głosem. - Kochaj mnie. Niczego nie

przerwę, nie ucieknę od ciebie...

Lochlan w odpowiedzi pocałował ją tak namiętnie, że znów wgniótł ją w łóżko. Ona na jego wybuch namiętności zareagowała z podobną siłą, pieszcząc go i drażniąc rękoma i ustami. Kiedy złączyli się,

wygięła się prowokująco w łuk, a Lochlan chwycił jej ręce, wyciągnął je ponad jej głowę i ciężko dysząc, zbliżył swoją głowę do jej głowy. I głosem trudnym do rozpoznania wyszeptał jej wprost do ucha mroczne słowa.

- Sama nie wiesz, o co prosisz.

- Powiedziałałam, że ufam ci, Lochlanie. A ja nie rzucam słów na wiatr.

Uniosła nieco głowę i znów ugryzła go w ramię, tym

razem o wiele mocniej, cały czas prowokująco poruszając swoim ciałem.

Lochlan warknął cicho, ostre jak sztylety zęby wbiły się w jej szyję. W pierwszej chwili poczuła ból, zaraz jednak potem przepotężne erotyczne doznanie, biorące początek w jej szyi, zalało całe ciało.

Zanurzyła się w tej fali. Fali rozkoszy, kiedy Lochlan, składając w niej swoje nasienie, pił jej krew.

Nagle z okrzykiem pełnym rozpaczycy stoczył się z jej ciała. Zdezorientowana Elphame uniosła się na

łokciu. Lochlan stał obok łóżka i wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami. Na wargach miał

krew, mała purpurowa kropelka spłynęła z kącika ust na brodę.

Palce Elphame odruchowo dotknęły szyi i wyczuły tam dwie małe, wilgotne ranki.

Uśmiechnęła się.

- Wszystko dobrze, Lochlanie - powiedziała lekko drżącym głosem. - Nie zrobiłeś mi nic złego.

Lochlan otarł dłonią usta. Spojrzał na dłoń, umazaną teraz krwią.

- Nie! - zawołał załamującym się głosem i zaczął cofać się, gwałtownie potrząsając głową. - Nie!  
Tak

nie może być! Nie pozwolę, żeby było właśnie tak!

Elphame usiadła na łóżku, starając się pokonać nagły zawrót głowy.

- Lochlanie, co się z tobą dzieje? Spójrz na mnie. Nic złego mi nie zrobiłeś!

- Nie! Tak nie może być! Nie!

Rozłożył skrzydła i z nieprawdopodobną szybkością, odziedziczoną po rasie swojego ojca, przemknął

przez pokój, ku wejściu do pokoju kąpielowego, skąd wchodziło się do lochu.

- Lochlanie! Lochlanie!

Elphame, krzycząc rozpaczliwie, wyskoczyła z łóżka. Ale Lochlan już odszedł, jeszcze tylko przez chwilę do jej uszu dobiegał przytłumiony głos.

- Nie idź za mną! Zostań!

Ucichł. Elphame padła na kolana i zalała się łzami.

Lochlan wybiegł z lochu i pognął prosto przed siebie. Było mu wszystko jedno, dokąd biegnie.

Nieważne, byle jak najprędzej znaleźć się jak najdalej od zamku. Biegł wśród nieprzeniknionych ciemności, ale dzięki temu, że wzrok miał nadzwyczajny, bez większego wysiłku kluczył między drzewami. Deszcz chłostał jego nagie ciało. Był z tego zadowolony. Poza tym - było to naprawdę nic w porównaniu z tym, co działo się teraz w jego sercu. Był zdruzgotany. Był udręczony, swoją udrękę wykrzykiwał w noc, głuchą na jego rozpacz.

Nadal czuł w ustach smak krwi Elphame. Nadal słyszał swój szept, kiedy wyznawał jej wszystko...

Nie miał racji. I on, i wszyscy jego ludzie mylili się. Przepowiednia była prawdziwa - ocalić ich może tylko śmierć Bogini. Ale tu nie chodziło o ofiarę z krwi, lecz o śmierć fizyczną. Teraz Lochlan to

wiedział, bo kiedy napił się krwi Elphame, z jej krwią wniknęła w niego mądrość Bogini, jej niepodważalna wiedza. Krew Elphame ich nie zbawi. Będą ocaleni, jeśli ona, Elphame, wchłonie w siebie jego krew. Krew Lochlana. Wchłonie w siebie mrok, wchłonie w siebie ich szaleństwo.

Będzie to gorsze niż śmierć. Jeśli Elphame napije się jego krwi, wniknie w nią zło i będzie musiała z tym żyć. Żyć bardzo długo, ogarnięta szaleństwem, jak każda istota, w której żyłach płynie krew

Fomorian, rasy demonów. Lochlan wiedział aż za dobrze, przez co będzie musiała przejść, kiedy czarna krew wniknie w jej ciało. Czym się stanie.

Nie, on nie mógł skazywać jej na całe stulecia udręki. Nie mógł, nawet jeśli w ten sposób odbierał swoim ludziom szansę na ocalenie ich człowieczeństwa.

Nie wolno mu już nigdy więcej zbliżyć się do Elphame. Nikomu też spośród jego ludzi nie wolno odkryć ścieżki prowadzącej przez strome, urwiste Góry Trier do bujnych sosnowych lasów

Partholonu i do zamku MacCallana. Lochlan ma obowiązek dopilnować, by zamek jego klanu, zamek, w którym mieszka jego ukochana, był bezpieczny.

Jego ręce pracowały zgodnym rytmem z wyjątkowo silnymi nogami. Serce waliło jak młot. Coraz dalej i dalej... Jak najszybciej, żeby nie usłyszeć magicznego dźwięku jej wołania, nie czuć jej obecności, bo to rozdziera serce.

Biegł w górę zbocza. Coraz wyżej, w mięśniach zaczynało palić od wysiłku. Nagle w świetle błyskawic poprzez strugi deszczu dojrzał na sąsiednim grzbiecie górskim niewyraźny zarys jakichś postaci. Straszliwe przeczucie kazało zwolnić, poczekać, aż następna błyskawica znów na chwilę rozjaśni mrok. Wtedy będzie mógł mieć całkowitą pewność.

Kiedy następna błyskawica przecięła niebo, nie miał już żadnych wątpliwości. Na pobliskim grzbiecie górskim zobaczył cztery uskrzydłone postacie.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI**

Szybowali na swoich skrzydłach koloru burzowej chmury, posuwając się w dół zbocza. Lochlan stał i

czekał, aż znajdą się blisko niego. Stał wyprostowany, nagi, emanujący siłą. Wprawdzie on i jego

ludzie nie posiadali zdolności stricte telepatycznych, ich mroczne dziedzictwo obdarzyło ich jednak

niezwykle silną intuicją, a jemu teraz absolutnie nie wolno było dopuścić, by ta czwórka zorientowała się, co dzieje się w jego duszy. Jaki panuje tam zamęt. Dlatego otulił ją szczelnie tym swoim psychi-cznym płaszczem, płaszczem dowódcy, który zawsze nosił z taką swobodą. Otulił wszystko, i swój

umysł, i serce, nakazując im spokój.

Kiedy zbliżyli się, zobaczył cztery zszokowane twarze, bez wątpienia z powodu jego nagości. Cała czwórka z szacunkiem pochyliła głowy. Pierwszy naturalnie odezwał się Keir, zuchwały, jak typowy pół-Fomorianin.

- Co się stało, Lochlanie?

- Nie witacie się, nie wyjaśnacie, skąd żeście się tu wzięli, a mimo to uzurpujesz sobie prawo do

zadawania mi pytań? - warknął Lochlan przez zaciśnięte zęby.

W oczach Keira błysnęło niebezpiecznie, ale nie wytrzymał wzroku Lochlana. Opuścił głowę.

- Słusznie udzieliłeś mi reprimendy, Lochlanie - powiedział, choć w jego głosie niewiele było skruchy. - Witaj, Lochlanie. Wielka to radość widzieć ciebie.

Trzy towarzyszące mu istoty ponownie pochyliły głowy i jak echo powtórzyły słowa powitania.

- A dla mnie nie! - warknął Lochlan. - Miało was tu nie być!

Keir ze świstem nabrał powietrza, nie zdążył jednak niczego powiedzieć, ponieważ ubiegła go uskrzydłona kobieta. Wsunęła się o krok do przodu i dygnęła przed Lochlanem.

Od bardzo dawna nie ma cię z nami, Lochlanie. Zaczęliśmy się martwić, czy nie przytrafiło ci się coś złego.

Głos Fallon, tak znajomy i słodki, na wzburzony, obolały mózg Lochlana podziałał jak balsam. Ale tylko na króciutką chwilę.

- Przeczucie cię nie myliło, Fallon. Los nie okazał się łaskawy.

- Nie znalazłeś Bogini z kopytami? - spytał Keir. Spojrzenie Lochlana było lodowate.

- Znalazłem ją, owszem, ale miałem okazję przekonać się, że to nie jest ta Bogini, o której głosi Przepowiednia.

Cztery uskrzydłone istoty poruszyły się niespokojnie.

- A skąd wiesz, że masz rację, Lochlanie? - spytał Keir.

- A stąd, że ona jest hybrydą! Połączeniem dwóch ras, czyli niczym się od nas nie różni! A więc nie może być Boginią!

Fallon jęknęła.

- Nie, to niemożliwe!

- Ale nie tracę nadziei! - powiedział Lochlan, głośniejszym głosem, żeby przekrzyczeć wiatr. - Mam nowy plan!

Niebo znów przecięła błyskawica. Deszcz był coraz bardziej ulewny.

- Musimy tak tu stać? - spytała Fallon. - Lochlanie, nie znasz tu jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy się schronić? Może masz gdzieś w pobliżu jakąś kryjówkę?

Lochlan miał teraz największą ochotę po prostu ryknąć na nich. Że on nie ma tu żadnej kryjówki, a oni jeszcze tej nocy mają wrócić tam, skąd przyszli. Zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli zaczną ich stąd przepędzać, wyda im się to podejrzane. Będą pewni, że coś przed nimi ukrywa i za wszelką cenę będą

chcieli dojść, co.

- Dobrze. Zaprowadzę was do mojej kryjówki. Idźcie za mną szybko i zachowujcie się bardzo cicho.

Odwrocił się, chciał ruszyć przed siebie, ale Fallon zatrzymała go, kładąc miękką dłoń na jego ramieniu.

- Lochlanie, jak ty się miewasz? Dlaczego biegasz nago podczas burzy?

Lochlan spojrzał na Fallon, na jej męża, na dwie pozostałe osoby. Wszyscy przyglądali mu się podejrzliwie. Było oczywiste, że teraz cała czwórka zastanawia się w duchu, czy Lochlana nie ogarnęło już szaleństwo, które po każdego z nich wyciąga swoje szpony.

Niech się zastanawiają. W tym konkretnym momencie Lochlanowi było wszystko jedno, co myślą jego pobratymcy. Teraz liczył się tylko fakt, że jego własny świat

legł w gruzach. Sen się skończył, a on nie był pewien, czy będzie w stanie znieść światło dnia.

- Czy żadne z was nigdy nie miało ochoty pobiegać sobie nago podczas burzy? - spytał, szczerząc do nich zęby w wymuszonym uśmiechu.

Rozłożył skrzydła i pobiegł przed siebie, od razu jak najszybciej, wiedząc, że będą musieli porządnie się namęczyć, żeby za nim nadążyć.

Jaskinia, w której ukrywał się Lochlan, była spora, miejsca starczyło dla wszystkich. Lochlan ubrał się szybko i powymmował swoje skromne zapasy żywności, żeby podzielić się z nieoczekiwanymi i jak

najmniej pożądanymi gośćmi. Potem zaczął rozpalać ognisko. Robił to bardzo rzadko, ale teraz, nocą, podczas burzy i ulewnego deszczu niebezpieczeństwo, że ktoś odkryje jego jaskinię, było naprawdę niewielkie.

Był na siebie wściekły. Powinien był wyczuć ich obecność, wyczuć, że wkroczyli do Partholonu. A tak się nie stało. Bo głowę miał zajętą tylko Elphame...

Keir, trzeba przyznać, bardzo dobrze dobrał sobie współtowarzyszy. Fallon, oczywiście, zawsze była

z nim razem. Ale chodziło o bliźniaków, Currana i Nevina. Oni zawsze byli wierni jednej idei - spełnieniu Przepowiedni. Za wszelką cenę. Lochlan na miejscu Keira też by właśnie tę parę zabrał ze sobą, by zrealizować plan. Bo to on, Keir, wszystko zaplanował, Lochlan nie miał żadnych wątpliwości. Keir chciał mieć całkowitą pewność, że Lochlan sprowadzi do nich boginię z kopytami, ich żywą ofiarę.

- Opowiedz nam o niej - zaczął Nevin, a Curran, jak zwykle, podjął wątek, rozpoczęty przez brata.

- I skąd u ciebie ta pewność, że to nie ona? Lochlan odpowiadał powoli, starannie dobierając słowa. Świadomy, że to, co powie, może ocalić Elphame albo wydać na nią wyrok.

- Obserwowałem ją bardzo długo. Ona nie jest Boginią, lecz zwyczajną młodą kobietą, której ciało z jakichś tam powodów ma cechy ludzkie, po matce, i cechy centaura, po ojcu. Wcale nie jest przywódczynią duchową Partholończyków, nie odprawia żadnych obrzędów ku czci Epony. Jest tylko Przywódczynią Klanu. Nie jest żadną Boginią, bo nie ma w sobie boskiej mocy.

- Tego nie możesz wiedzieć - powiedział Keir, spokojnie, ale mrużąc niebezpiecznie oczy.

- A właśnie, że wiem, bez żadnych wątpliwości. Poznałem jej krew.

- Co?! Jak?!

- Dlaczego?!

- Jakim prawem?!

Lochlan podniósł rękę, żeby ich uciszyć. I jak dzikie zwierzę w klatce, zaczął niespokojnym krokiem przemierzać niewielką jaskinię.

- Znalazłem ją na dnie jaru. Wpadła tam, doznała poważnych obrażeń, zaraz potem zaatakował ją dzik.



Zabiłem dziką, a ją zaniósłem w bezpieczne miejsce. Krwawiła, miałem więc wtedy możliwość wyczytać z jej krwi, że jest istotą ludzką, a nie Boginią. Od zwyczajnych ludzi różni się tylko pod względem budowy fizycznej. Jest odmieńcem, po prostu zmutowanym człowiekiem.

- Czy to znaczy, że ujawniłeś się przed nią?! - zawołała Fallon, wlepiając w niego pełne największego zdumienia oczy. - Widziała cię?

- Tak. Ale po upadku straciła przytomność, potem ocknęła się, ale była oszołomiona, bardzo obolała.

Myślała, że jej się tylko przywidziałem. Jestem tego pewien.

- Ale przecież to o niej śniłeś przez tyle lat! - rzucił

Keir napastliwym tonem. - A teraz raptem twierdzisz, że to nie ona jest boginią, o której mówi

Przepowiednia. Dlaczego?

Na to pytanie Lochlan tylko czekał. Z udzieleniem odpowiedzi nie miał żadnego problemu.

- Moje sny o niej to tylko wizje, podsuwane przez czarną krew. Żeby mnie dręczyć, kazać mi przez blisko ćwierć wieku karmić się czymś, co okazało się tylko ułudą.

- Lochlanie... - odezwała się Fallon. - Powiedziałeś, że nie tracisz nadziei i masz jakiś plan. Co więc teraz mamy zrobić?

Lochlan spojrzał na Fallon, piękną uskrzydloną kobietę, z którą w wieku dziecięcym łączyły go wspólne zabawy, a w wieku dorosłym serdeczna przyjaźń. Bardzo jasne, proste włosy Fallon, długie do pasa, zdążyły już wyschnąć przy ognisku. Opadały teraz na plecy jak gruba zasłona. Rysy twarzy Fallon były nadzwyczaj delikatne, oczy, niby niebieskie, były nieprawdopodobnie jasne. Wydawało się, że nie mają żadnego koloru.

Czuł się podle, że to jej właśnie musi skłamać, że musi okłamać ich wszystkich. Ale nie mógł przecież zdradzić Elphame. Swojej żony.

- Od dawna obserwuję zamek, obserwuję kobietę, która zamiast stóp ma kopyta. W tym czasie zdarzyło mi się niejedno podsłuchać. Ludzie często tu wspominają

o Świątyni Muzy.

Curran i Nevin jak jeden mąż pokiwali głowami

i odezwali się jednocześnie.

- Nasza matka tam pobierała nauki.

- Moja matka też - powiedział Lochlan. - Jak wiele innych naszych matek. Pamiętacie, czego nas uczyły? Świątynia Muzy to miejsce, gdzie pobiera się nauki wyższe, gdzie wszystkie nauczycielki są Wcieleniami

Bogini, każda z nich jest też stającą po ziemi przedstawicielką jednej z dziewięciu Muz.

- Sądzisz, że w Przepowiedni chodzi o którąś z tych nauczycielek? - spytał Keir powoli.

Lochlan spojrzał mu prosto w oczy.

- Mówię tylko, że teoretycznie może chodzić o każdą z nich. Pomyślcie! Odpowiedź jest prosta. Ja na pewno doszedłbym do tego już wiele lat temu, gdyby nie te sny. Dręczyły mnie tak długo, że mój umysł nie był już w stanie dostrzec czegoś, co jest oczywiste. Przepowiednia wcale nie mówi, że ocali nas krew umierającej Bogini z kopytami. Mówi tylko, że ocali nas krew Bogini. Jakiegokolwiek!

- Czyli trzeba iść do Świątyni Muzy - zaczął Nevin, a Curran dokończył: - i porwać jakąś boginię.

Lochlan energicznie pokręcił głową.

- Spokojnie. Jak niby mamy to zrobić? Łudzisz się, że uda nam się to zrobić po kryjomu? Nikt nas nie dostrzeże?

- A może już czas, żeby nas dostrzegli! - rzucił zapalczywie Keir. - Może powinno to się stać już wiele lat temu!

- Czyli dokładnie, co?! - spytał groźnym głosem Lochlan. - Najazd na Partholon?

- Chcę tylko, żebyśmy odzyskali należne nam miejsce w Partholonie!

- Tak? - Lochlan prychnął. - Jako armia uskrzydłych demonów!

- Nie jesteśmy demonami! - krzyknęła Fallon.

- A jak myślisz, czym dla nich będziemy, jeśli napadniemy na Partholon i uprowadzimy jedną z bogiń, żeby złożyć ją w ofierze?! Jeśli dopuścimy, by rządziła nami tylko czarna krew, nasza walka z mrocznym dziedzictwem pójdzie na marne. Skończymy jako Fomorianie! Będziemy mieli w sobie

tylę z człowieka, co oni!

- W takim razie, co proponujesz? - spytał Keir, już spokojniej.

- Wracajcie do domu, na Pustkowie. Jesteście tam potrzebni. A do Świątyni Muzy pójdę sam. Wrócę na Pustkowie dopiero wtedy, kiedy będę miał Boginię. Jej krew usunie z naszej krwi mroczne dziedzictwo i wtedy pojawimy się w Partholonie, nie jako najeźdźcy, lecz w zamiarach pokojowych.

I nikt w całym Partholonie nigdy się nie dowie, że ceną za nasze ocalenie była krew jednego z nich.

- W tym jest... jakiś sens - stwierdzili bliźniacy, sprawiedliwie dzieląc tę wypowiedź na pół.

Lochlan podszedł do wejścia do jaskini i spojrzał na deszcz. Wydawało się, że jego pobratymcy zaakceptowali jego koncepcję i jego półprawdy. Ale na uczucie ulgi było jeszcze za wcześnie. Na to będzie można sobie pozwolić dopiero wtedy, kiedy ta czwórka z powrotem znajdzie się na Pustkowie

i Elphame będzie już bezpieczna.

Keir zaklął cicho i oparł się plecami o kamienną ścianę jaskini. Fallon, spojrzawszy na męża przelotnie, ale czujnie, podeszła do Lochlana.

- Nadal ją kochasz, mój przyjacielu? - spytała miękko. A Lochlanowi po raz kolejny przyszło posmakować

goryczy kłamstwa.

- Nie! Nigdy jej nie kochałem. To wszystko było iluzją.

- I tak jest lepiej. Teraz możesz sobie spośród nas wybrać towarzyszkę życia.

Lochlan skinął głową. Tylko on wiedział, ile go to kosztowało.

- Lochlanie... - zaczęła znów Fallon, spoglądając na niego z niepokojem. - Wydajesz mi się jakiś taki inny...

- Bo istotnie za długo byłem z dala od was - odparł, zmuszając się do uśmiechu. - Odpocznijcie teraz.

Jutro o świcie wyruszycie w drogę powrotną. Stąd do zamku niedaleko, a w zamku pełno robotników,

ludzi i centaurów. Nie możecie tu zostać.

- Będzie tak, jak powiedziałeś.

Fallon z szacunkiem pochyliła przed nim głowę i wróciła do swego męża.

Po chwili Lochlan, dalej zapatrzony w strugi ulewnego deszczu, usłyszał, jak jego goście zaczęli szykować się do snu. Wtedy poczuł, jak bardzo on sam jest zmęczony. Wiedział jednak, że nie wolno mu spać. Jeśli zaśnie, będzie miał sen, a we śnie przyjdzie do niego Elphame. A on dzisiejszej nocy by tego nie zniósł.

Cicho wysunął się z jaskini. Już nie grzmiało, nie błyskało, tylko deszcz padał i padał. Wspiął się na występ skalny nad jaskinią, przysiadł tam i patrzył w dół, na ziemię, które dla niego stały się już jego domem. Ziemię MacCallanów. Wzywały go do siebie, ale on już nigdy nie odpowie na ich wezwanie,

bez względu na to, co podpowie mu serce lub czego zażąda jego krew. Nie odpowie, nawet jeśli Elphame będzie przekonana, że ją zdradził.

Musi stąd odejść.

Pojedzie do Świątyni Muzy, tak jak obiecał swoim ludziom. Choć wiedział, że jest to bezcelowe. O

tym, czy Przepowiednię można spełnić, składając ofiarę nie z Bogini, lecz jej wcielenia, wielokrotnie rozmawiał ze swoją matką. Żadne z nich nie uważało tego za słuszne. Matka zresztą zawsze była

pewna, że Lochlanowi zostanie podsunięty jakiś klucz do rozwiązania tego dylematu. Zapewne Epona

wyśle do niego kobietę, dotkniętą przez Boginię, kobietę, której zadaniem będzie spełnienie

Przepowiedni.

Tak się stało. Epona wysłała do niego Elphame.

I co on ma teraz zrobić?! Uprowadzić ze Świątyni Muzy Wcielenie Bogini, niewinną kobietę, na

pewną

śmierć? Czy nie oznaczałoby to, że karmi tym ciemność w sobie, że oddala się coraz bardziej od

człowieczeństwa?!

Zacisnął szczęki. Trudno. Zrobi to, jeśli dzięki temu ocali Elphame. Niewiele jest rzeczy, których by nie zrobił dla ocalenia Elphame. Gotów jest nawet ją porzucić.

Nie. Urowadzenie Wcielenia Bogini wcale nie ocali Elphame. Po jakimś czasie jego ludzie zorientują się, że ofiara z Wcielenia Bogini wcale nie spełniła Przepowiedni. A przedtem przecież przez lata wierzyli, że za ich szaleństwo odpowiedzialna jest Bogini z kopytami, która prześladowa go w snach. I do tej wiary powrócą.

Koło się zamknie... Co robić? Ma walczyć ze swoimi ludźmi, żeby ocalić Elphame?!

Lochlan ukrył twarz w dłoniach i zrobił coś, czego nie robił od dnia śmierci swojej matki.

Zapłakał.

Fallon wtuliła się w Keira, w ciepły kokon jego rozłożonych skrzydeł.

- Twój przyjaciel kłamie - szepnął cicho Keir wprost do jej ucha.

Drgnęła i natychmiast odsunęła się trochę od niego, by móc spojrzeć mu w twarz.

- O co ci chodzi, Keir?

- Kłamie... - wysyczał. - Nawet przez deszcz i pot wyczuwam na nim jej zapach. On poznał nie tylko jej krew, on kochał się z nią.

Fallon milczała, spojrzała mu tylko głęboko w oczy. Ona niczego nie wyczuła, ale Keir miał nieprawdopodobny węch. Udało mu się nawet kilkakrotnie pokonać pod tym względem Lochlana, kiedy współzawodniczyli ze sobą w tropieniu.

- Pomyśl o tym, co widziałaś dziś w jego oczach

- szeptał Keir - i zrozumiesz, że mam rację. Tylko Bogini z kopytami może spełnić Przepowiednię, ale

Lochlan chce, żeby żyła. Chce ją mieć dla siebie.

Fallon zamknęła oczy, oparła głowę o pierś męża i zrobiła, co kazał. Co ona dziś widziała w oczach

Lochlana? Rozpacz i udrękę. Uczucia, które go nie opuszczą. Bo to samo będzie czuł szlachetny

Lochlan, kiedy wybierając życie swojej wysnionej ukochanej, wyda wyrok na swoich pobratymców.

Keir miał rację. Fallon czuła, jak budzi się w niej gniew.

**ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI**

Wczesnym porankiem słońce, zaglądające przez wysokie wąskie okna w pokoju Przywódczyni Klanu, zaświeciło prosto w twarz budzącej się Elphame. Zamrugła i usiadła na łóżku. Zrobiła to chyba zbyt gwałtownie, bo cały pokój się zakołysał, stwierdziła, że czuje się po prostu źle. Głowa ciężka, w gardle okropnie sucho, wargi spieczone. Jakby poprzedniego dnia wieczorem wypłała za dużo wina, a przecież wina nawet nie tknęła. Co się więc z nią dzieje?

Potarła ręką swędzący okropnie kark. Palce natrafiły na strupki. Na dwóch małych, gojących już się rankach. Lochlan...

W pamięci natychmiast ożyła miniona noc.

Zostawił ją.

Elphame natychmiast zaczęła głęboko oddychać. Głęboko i miarowo, powtarzając sobie w duchu, że nie, nie będzie znowu płakać, tylko pomyśli. Odtworzy sobie w pamięci bardzo dokładnie wszystkie wypadki poprzedniego dnia, zastanowi się. Musi przecież istnieć jakiś racjonalny powód, dlaczego Lochlan tak właśnie się zachował.

Na początku wszystko było dobrze. Lochlan rozwiewał jej obawy co do przyszłości Cuchulainna.

Obiecał jej, że cokolwiek przyniesie przyszłość, razem stawią temu czoło. Kochał się z nią.

Posmakował jej krwi. Potem gwałtownie odsunął się od Elphame. Co wtedy powiedział?

„Nie! Tak nie może być! Nie pozwolę!”

O co mu chodziło? Kiedy pił jej krew, ona najpierw poczuła przedziwną euforię, potem oszołomienie,

jakby podano jej wyjątkowo mocne ziółka na sen. Nadal zresztą tak się czuła, ale to wcale nie było

takie straszne... Palce Elphame ponownie odszukały ranki na karku, w pamięci znów ożyła tamta

chwila, kiedy poczuła na szyi zęby Lochlana. Pił jej krew, ona w tym czasie miała zdumiewające

doznania erotyczne, przepływające przez jej ciało.

Wiedziała, że Lochlan przez całe życie walczy z mrocznym dziedzictwem po ojcu, a zeszłej nocy

wyznał jej, że ta walka doprowadza jego ludzi do szaleństwa. Zadrżała, kiedy przypomniła sobie,

ile

było smutku w jego głosie, gdy wspomniał o dzieciach...

Może w tym właśnie tkwi klucz do wytłumaczenia, dlaczego od niej odszedł? Fakt, że zakosztował jej

krwi, to dla niego największa klęska. Poddał się. Przegrał bitwę z tym, czego w sobie najbardziej nienawidził. Czy to znaczy, że jej osoba już na zawsze kojarzyć mu się będzie z tym właśnie uczuciem

- nienawiścią do samego siebie?

Nie! Jakoś trudno było jej w to uwierzyć. A poza tym - Lochlan to jej mąż. Przysięgał przed Eponą, że będzie ją kochać. Tamtej nocy, kiedy przysięgali sobie, postanowiła mu zaufać. Oboje już wtedy wiedzieli, że ich wspólna droga wcale nie będzie łatwa. Ale Elphame nie miała zamiaru drzeć przed pierwszą przeszkodą, jaka pojawiła się na tej drodze.

Powiedział, żeby nie szła za nim. Zrobiła, jak kazał, a teraz będzie czekać, nie tracąc wiary w Lochlana, w siebie, w ich miłość. Dopóki Lochlan nie powróci, skupi się na odbudowie swojego zanku i kierowaniu swoim klanem. Bo ona jest w trochę innej sytuacji niż przeciętna młoda kobieta. Jest Przywódczynią Klanu, a klanowi niepotrzebna taka przywódczyni, która chodzi jak błędna i zapłakuje się z powodu utraconej miłości.

Czy straciła go? Na samą tę myśl Elphame poczuła lodowaty dreszcz, dlatego czym prędzej odpędziła

ją od siebie i próbując choć w pewnym stopniu odzyskać poczucie normalności, podeszła do toaletki, na której stał dzbanek z wodą i filiżanka.

Jej ręce przestały drzeć, kiedy kończyła pić trzecią filiżankę.

Spojrzała na łóżko, na ich ubrania na podłodze, rzucone tam w pośpiechu i nagle uświadomiła sobie, że Lochlan wybiegł stąd nagi. Serce ścisnęło się jej z rozpacz. Dlaczego, Lochlanie! Dlaczego?!

Normalność. Wykąpie się, zje śniadanie, a potem rzuci w wir pracy. Minęło już sporo czasu, kiedy to po raz ostatni zażądała od swojego ciała, by zajęło się ciężką pracą fizyczną. Dziś użyje swej siły,

większej niż u przeciętnego człowieka, siły, z której była tak dumna. Musi się zmęczyć, musi się umęczyć, żeby jej ciało przestało tak rozpaczliwie tęsknić za pieszczotami Lochlana.

Nadal półprzytomna, jakby miała wysoką gorączkę, zeszła na dół, do swego pokoju kąpielowego.

Drzwi do lochu były uchylone, zamknęła je więc, starając się w tym momencie absolutnie o niczym nie myśleć. Potem szybko się wykąpała, nadal bez żadnych rozmyślań, z głową idealnie pustą zmyła z siebie zapach Lochlana.

Wróciła do swojej sypialni. Nałożyła skromną bluzkę z białego płótna i kilt w barwach swego klanu.

Starannie spięła na ramieniu pled broszą MacCallana. Stała przed łóżkiem, spojrzała na skłębioną pościel i jej serce znowu ścisnęło się z żalu.

Ktoś zastukał w drewniane drzwi, dwa razy. Elphame, zaskoczona, na moment zamarła, ale kiedy ten ktoś zastukał powtórnie, bardziej natarczywie, ożyła i błyskawicznie zgarnęła nogą porozrzucane ubranie pod łóżko.

Drzwi otworzyły się powoli, od progu dobiegł łagodny, ostrożny głos Brenny.

- Elphame?

- Wejdz, Brenno - powiedziała Elphame, przywołując na swoją stężałą twarz uśmiech. - Dzień dobry!

Kiedy mała Uzdrawicielka weszła do pokoju, Elphame pomyślała, że cała radość, jaka znikła z jej serca, umiejscowiła się teraz w sercu Brenny. Brenna zwykle zbierała włosy i przerzucała przez

ramię, dzięki temu, kiedy pochylała głowę, opadały jak kurtyna, zasłaniając blizny. Teraz włosy

Brenny były po prostu w nieładzie, opadały na plecy, na ramiona, gdzie chciały, nie zasłaniając

promiennej twarzy. Do pokoju weszła lekkim krokiem, prawie w podskokach. Nawet suknia Benny

wyglądała jakoś inaczej. Elphame doszła, dlaczego. Suknia ta sama, ale nie jest zasznurowana aż pod brodę.

- Miłość ci służy, Brenno.



- Cuchulainn mi służy - wypaliła Brenna, natychmiast

oblewając się rumieńcem. Ale wcale nie umknęła wzrokiem przed otwartym spojrzeniem przyjaciółki.

Ale ta jej przyjaciółka wcale się teraz nie popisała.

- Miło widzieć, że to jego skakanie z kwiatka na kwiatka na coś się przydało!

I natychmiast, przerażona, odruchowo zasłoniła ręką usta. Jak mogła coś takiego powiedzieć!

Wykazać się takim brakiem wrażliwości!

- Brenno, przepraszam! Powiedziałam coś okropnego! Radosny śmiech Brenny wypełnił pokój.

- To nic okropnego! To prawda. Wcale się nie spodziewałam, że Cuchulainn to niedoświadczona męska dziewczina! - powiedziała, dodając konspiracyjnym szeptem: - Dziś w nocy przynajmniej jedno z

nas znało się na rzeczy... - A potem zachichotała. - I bardzo dobrze! Nie mogę zmienić przeszłości twego brata. I niby dlaczego miałabym tego chcieć? Życie go ukształtowało, a ja kocham go takim, jakim jest! Och, Elphame!

Brenna chwyciła Elphame za rękę i dała upust swojej największej radości.

- Jestem taka szczęśliwa! Tak niewyobrażalnie szczęśliwa! Nigdy dotąd nie ośmieliłam się nawet marzyć, że pokocha mnie mężczyzna, jakikolwiek mężczyzna, a co dopiero taki jak Cuchulainn!

Gdyby moje serce miało przestać bić teraz, dokładnie w tej sekundzie, umrę szczęśliwa i spełniona!

Elphame, zachwycona, uśmiechnęła się do niej. Szczęście Brenny było jak balsam na jej poranione serce. Przypominało, że miłość istnieje, że szczęśliwe zakończenie miłosnych perypetii absolutnie jest możliwe.

- Twemu sercu, Brenno, niestety, nie wolno przestać bić, dopóki nie dasz mi co najmniej tuzina bratanic i bratanków, żebym miała kogo rozpieszczać!

Brenna, z miną wielce zatroskaną, popukała się po brodzie.

- Tuzin wszystkich, czy po tuzinie każdego rodzaju?

- Pozwólmy, że na to pytanie odpowie moja Matka. Aha, i przygotuj się psychicznie na to, że Wcielenie Bogini Epony, czyli moja kochana Matka, będzie nalegać na jak najszybszy termin ślubu, mimo że potem szlochać będzie od początku do końca uroczystości. I pamiętaj, że wszelkimi przygotowaniem do ślubu zajmie się osobiście, bo tego sobie Mama nie odmówi.

Róż na policzkach Brenny stał się o ton jaśniejszy.

- Ale... ale Cu mówił, że ona mnie polubi.

- Polubi?! Brenno, za dobrze znam swoją Matkę. Ona ciebie pokocha od razu, jak własne dziecko! O nic się nie martw, lepiej mi powiedz, gdzie podziewa się mój brat? Nadal w pościeli?

- Nie. Poszedł do wielkiej sali zamkowej, a ja przyszedłam do ciebie, zobaczyć, jak się czujesz - poinformowała Brenna, natychmiast z drżącej kochanki przeistaczając się w Uzdrowicielkę. - Jesteś blada,

Elphame. Źle spałaś?

- Spałam bardzo dobrze. A jestem blada prawdopodobnie dlatego, że spędzam za dużo czasu w czterech ścianach. Chodźmy na śniadanie, Brenno. Po śniadaniu zamierzam łyknąć trochę świeżego powietrza.

Energicznym krokiem ruszyła do drzwi i nagle zamarła. Kiedy usłyszała pytanie Brenny.

- A co ty tam masz na szyi?

Elphame musnęła dwa strupki na szyi i lekceważąco wzruszyła ramionami.

- Och, musiałam się zadrapać.

- To wygląda raczej na ślady po ugryzieniu.

- Tak myślisz? Może ugryzł mnie jakiś pająk. Jeszcze

jeden dowód, że nasz nowy dom nie jest doprowadzony do idealnego porządku.

- Trzeba powiedzieć Mearze, żeby sprawdziła, czy w twoim pokoju nie ma pajęczyn.

Elphame wydała z siebie dźwięk, oznaczający pełną aprobatę, po czym szybko zmieniła temat.

- Jak miewa się wilczątko mojego brata? Brenna wywróciła oczami.

- Czy wiesz, że nazwał je Fand?

- Fand?! Nie mów!

Elphame czuła namacalnie, jak bąbelki radosnego śmiechu wyskakują jej z piersi. Kiedy razem z przyjaciółką zaśmiewały się do rozpuku, ten okropny supeł w środku zaczynał się sam rozplątywać.

Na duszy zrobiło się

o wiele lżej. Śmiejąc się i pogadując, przemaszerowały przez piękny główny dziedziniec i weszły do wielkiej sali zamkowej, gdzie zebrał się już cały klan na śniadanie. Przywódczynię powitano z szacunkiem, ale wyczuwało się też i wielką serdeczność. I jakby mało było jeszcze powodów do zadowolenia, kochany brat na widok Brenny wstał, objął ją i na oczach wszystkich wycisnął na jej policzku głośnego całusa.

Była Przywódczynią wspaniałego klanu. Jeśli Lochlan zrezygnował z ich miłości, ona i tak przetrwa.

Więcej. Będzie żyć pełną piersią, rozkwitać. Będzie spędzać swoje dni otoczona miłością i

szacunkiem swoich ludzi. A pewnego dnia, być może, opowie swoim bratanicom

i bratankom bajkę o uskrzydłonej istocie - mężczyźnie

- i o pewnej Bogini, która - na bardzo krótki czas

- obdarzyła tę istotę miłością.

Elphame uśmiechnęła się na widok wilczątko, podskakującego niezdarnie koło nóg Cuchulainna.

Trudno

było uwierzyć, że tłuściutka, rozbrykana Fand jest tym samym zabiedzonym wilczątkiem, które przed kilkoma dniami Cu na wpół żywe wyciągnął z nory.

- El, jesteś pewna, że dasz radę?

- Znowu zaczynasz, Cu? Słyszałeś przecież, co powiedziała Brenna. Mogę wracać do pracy. A ta konkretnie praca to coś, czego mi dziś potrzeba.

- Ścinanie drzew? Koniecznie to? Ciekawe. A dlaczego nie miałabyś zająć się...

- Czymś lżejszym, tak? - przerwała mu niecierpliwie Elphame. - Nie, stanowczo odmawiam.

Powiedz

Sam, Cu, czy po tak długim okresie bezczynności też nie wolałbyś rozgrzać sobie trochę mięśni?

- Byłaś ranna, El...

- Nieważne. Odpowiadaj. Co byś wolał? Westchnienie Lochlana przeszło w śmiech.

- Wiadomo, co. Rozgrzać mięśnie.

Co Elphame skwitowała przede wszystkim szerokim uśmiechem.

- A widzisz!

Robotnicy byli zaskoczeni, ale też i bardzo przejęci, kiedy usłyszeli, że razem z nimi pracować będzie Przywódczyni Klanu. Chwycili za swoje siekiery i różnym krokiem podążyli za Cuchulainnem i

Elphame przed zamkowe mury, gdzie Cuchulainn przystąpił do wydawania dyspozycji.

- Teren wokół zamku jest już doprowadzony do porządku, pomyślałem sobie jednak, że warto wyciąć jeszcze drzewa na skraju lasu, w ten sposób odsunie się las od zamku jeszcze o kilka kroków. Ze względów bezpieczeństwa, a poza tym dekarze wciąż wołają o drewno. Czyli będzie podwójna korzyść...

Miał zamiar przystąpić teraz do udzielenia szczegóło-

wych instrukcji, kiedy nagle poczuł coś dziwnego. Jakieś mrowienie, w lewym boku. Spojrzał więc w

lewo i głos uwiązał mu w gardle. Z lewej strony stała jego siostra, to od niej biło to dziwne ciepło.

Zadrzał. Znów był bowiem świadkiem, jak w Elphame ożywa moc Bogini.

Elphame patrzyła do góry, ponad korony drzew, na niebo zdumiewająco niebieskie. Takie, jakie może

być tylko wiosennego poranka, kiedy całą minioną noc padał deszcz. Słońce słało swoje złociste pióropusze na morze sosen, wysyłało ciepło i blask starym murom zamku MacCallana. A ciało

Elphame chłonęło promienie słońca, zachłannie, jak pełen miłości dotyk długo nieobecnego rodzica.

Czuła, jak wypełnia ją moc Bogini.

- Epona dotknęła tego dnia - powiedziała głosem pełnym powagi. - Podziękujmy Bogini za Jej obecność i poprośmy o błogosławieństwo dla naszego klanu.

Kiedy uniosła twarz jeszcze wyżej, ku ciepłym promieniom porannego słońca, usłyszała za sobą szmer. Wszyscy mężczyźni, jeden po drugim, zaczęli klękać. Zerknęła w prawo. Cuchlainn też padł na kolana. Uklękli wszyscy, okazując szacunek, nikt jednak nie pochylił głowy, tylko za przykładem Elphame wszyscy zwrócili twarze ku słońcu. I tak należało zrobić, Elphame po prostu to Wyczuwała. Uniosła wysoko ręce, wzywając Eponę. Jej moc czuła już, czuła, jak płąsa wokół jej uniesionych rąk.

- O, wielka Bogini Epono, dziś czujemy twoją wszechpotężną obecność

i prosimy, by duch Twój przepłynął przez nasz klan. Tu, w tym miejscu, wstąpiliśmy na nową drogę i z Twoją boską pomocą będziemy dalej starali się tchnąć nowe życie w zamek MacCallana, stare gniazdo przodków, których krew zawsze była Ci droga.

Dziękujemy Ci i prosimy Cię o błogosławieństwo

w łagodnym wietrze, wiejącym z daleka,

w ciepłe i jasności, które przychodzą do nas z daleka,

w zimnych wodach mórz i rzek,

w dalekich łąkach i dzikich ostępach.

Jesteśmy zaszczytzeni obecnością Twego ducha

wśród nas.

Chwalmy Eponę!

Wszyscy podjęli okrzyk. Słowa „Chwalmy Eponę” odbiły się echem od starych murów zamku i wróciły, pełne miłości i magii, żeby towarzyszyć im tego ranka. Słowa, które mieli nieść w sercu przez całe życie.

Uskrzydłona istota, ukryta wśród drzew pobliskiego lasu, przyglądała im się bardzo bacznie. Lochlan okłamał ich, miała na to przecież niezbity dowód. Widziała Boginię z kopytami, przed murami zamku,

otoczoną przez swoich ludzi. Ci ludzie uklękli, uznając jej moc. Potem Bogini z kopytami pojaśniała, kiedy Epona wypełniała ją sobą, kiedy prosiła Eponę o błogosławieństwo. Za pomocą prostych słów, jakby nie musiała bardzo prosić. Bo nie musiała, sama była przecież żywą oddychającą Boginią. Przez głowę uskrzydłonej istoty przepływały teraz mroczne myśli, których wcale nie starała się odpędzić. Bogini z kopytami... Bez niej nie opuszczą Partholonu, od tego przecież zależy dalsza egzystencja ludzi na Pustkowiu. Trzeba wywabić ją spoza chroniących ją murów zamku, uprowadzić do lasu... Na Lochlana nie ma co liczyć, muszą zrobić to sami.

W mroku umysłu uskrzydłonej istoty zaczęła formować się myśl, krwawa myśl, zrodzona z szaleństwa.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY**

Kiedy słońce było już wysoko na niebie, a ból w mięśniach Elphame przeszedł w powolne, dające wielką satysfakcję pieczenie, pojawiła się Brenna z koszykiem w ręku. Cuchulainn natychmiast chwycił ją w objęcia i uraczył słodkim pocałunkiem.

- Och, och! - Brenna krzywiła się, udając wielce niezadowoloną, choć oczy jej się śmiały, ale tylko do chwili, kiedy to obudziła się w niej surowa Uzdrowicielka. - Oboje jesteście mokrzy od potu!

Elphame?!

- Absolutnie nie przesadzam! - zapewniła ją natychmiast Elphame. - Czuję się znakomicie!

W tym momencie Fand, która uciniała sobie drzemkę

w cieniu pobliskiej sosny, obudziła się i popiskując radośnie, podbiegła niezgrabnym, szczenięcym galopem do Brenny.

- Brudas jesteś okropny, ale wyglądasz, malutka, już całkiem inaczej. Serce rośnie, kiedy człowiek na ciebie patrzy! - powiedziała czule Brenna. Pogłaskała wilczka i spojrzała na swego ukochanego. Jej uśmiech stał jeszcze cieplejszy, jeszcze bardziej promienny. - Mam koszyk pełen smakołyków.

Chcesz, żebym się z tobą podzieliła?

Elphame ze wzruszeniem patrzyła, jak Brenna flirtuje z jej bratem. Jak ona go kochała! Miłość, jaką

obdarzył ją Cuchulainn, zawładnęła nią całkowicie, jakby Brenna narodziła się na nowo. Tak jak zamek MacCallan.

- Chcę, dziewczyno. Pewnie, że chcę - powiedział Cuchulainn, mała Fand zaszczekała radośnie, a Brenna dodała uprzejmie:

- Nasza Przywódczyni Klanu oczywiście też jest zaproszona.

- Dziękuję - powiedziała równie uprzejmie Przywódczyni Klanu. - Z miłą chęcią towarzyszyłabym wam, ale mam coś bardzo pilnego do zrobienia. Widzieliście dziś rano, jak przy śniadaniu Wynne odciągnęła mnie na bok? - Cuchulainn i Brenna zgodnie pokiwali głowami. - Musimy odbyć naradę.

Na temat jadłospisu i konieczności przydzielenia jeszcze kilku osób do pracy w kuchni. Nie będzie łatwo... - Elphame wydała z siebie głębokie, przesadne westchnienie, tak naprawdę bardzo jednak zadowolona z takiego obrotu sprawy. Wynne naprawdę prosiła ją o pomoc i dzięki temu Elphame bez żadnego kręcenia mogła zostawić świeżo upieczonych kochanków samych.

Cuchulainn uśmiechnął się do Brenny, zabawnie poruszając brwiami.

- A więc będziemy tylko we dwoje... - Fand zaskowyczała, wojownik szybko podniósł ją z ziemi, usadził na rękę i zaczął drapać pod bródką. - Przepraszam, malutka. Oczywiście, będziemy tylko we troje.

Brenna zmarszczyła brwi.

- Cuchulainnie, jeśli zamierzasz dotykać jeszcze czegokolwiek oprócz tej dzikiej bestii, musisz się koniecznie umyć.

Cuchulainn nachylił się ku niej.

- Oczywiście. Idziemy nad nasze jeziorko - powiedział półgłosem, podając jej wilczątka. - Idźcie już tam. Ja i El skończymy jeszcze robotę przy tym drzewie i pędzę do was. - Cuchulainn jeszcze bardziej

zniżył głos, prawie do szeptu i niby trwożliwie zerknął na siostrę. - Nie mów tylko naszej

Przywódczyni, że dziś po południu zamierzam oddać się słodkiej beczynności...

- Ach ty leniu! - krzyknęła Elphame, szturchając go żartobliwie w żebro. - Jesteś okropny, Cu!

- Pewnie! - poparła ją z entuzjazmem Brenna, przyciskając wijące się wilczątko do piersi. - Ale ja i tak na niego poczekam nad jeziorkiem!

Rzuciła ukochanemu jeszcze jedno roziskrzone spojrzenie i pomknęła ku drodze.

Cu odprowadzał ją wzrokiem, uśmiechając się w tym momencie, zdaniem siostry, jak skończony głupek.

- Nie zasługujesz na nią, Cu - powiedziała, potrząsając bezradnie głową.

- Masz rację, siostrze! - stwierdził radosnym głosem. - Ale mimo to ona darzy mnie gorącą, szczerą miłością! Zabieramy się do roboty. Migiem, bo zamierzam resztę tego popołudnia spędzić w jej objęciach!

Oboje odwrócili się z powrotem do grubej sosny, którą właśnie wycinali.

- Od samego początku mówiłam, że ona ciebie kocha - mruknęła Elphame.

Cuchulainn roześmiał się serdecznie.

- Masz rację, siostrze moja! I w tym przypadku, wyobraź sobie, jestem z tego ogromnie zadowolony.

Elphame, też roześmiana, podniosła głowę, żeby spojrzeć na brata i nagle uśmiech znikł z jej twarzy, a po plecach przebiegł zimny dreszcz. Daleko na niebie, dokładnie ponad ramieniem Cuchulainna, zobaczyła nagle pojedynczą ciemną chmurę, która przesłoniła jasność słońca.

Jedna jedyna chmura. Prawie czarna. Znak?

- Co się stało, Elphame? - spytał Cuchulainn. Zamrugła oczami. Chmura znikła. Może w ogóle jej tam nie było? Jasne ciepło dnia znów wlało się w jej duszę, zimny dreszcz, który czuła przed sekundą, wydal się czymś nieważnym. Był i już go nie ma.

- El?

Potrząsnęła głową i mocniej chwyciła za pień drzewa.

- Och, nic! Jak zwykle, zaczęłam błędzić myślami. Pospieszmy się, Brenna nie powinna za długo na ciebie czekać. A poza tym w pewnej kwestii zgadzam się z nią całkowicie. Stanowczo powinieneś się



wykąpać.

Zaśmiała się i mierząc wzrokiem spoconego brata, znacząco zmarszczyła nos.

Brenna czuła się taka lekka, taka szczęśliwa. I taka bardzo, bardzo piękna. Szła przed siebie rączym krokiem, wywijając koszykiem, rzeczywiście pełnym smakołyków. Bo i cóż może być lepszego od świeżo upieczonego chleba? A poza tym był tam kawał pachnącego sera, ugotowane na twardo jajka przepiórki i płaty wędzonki. Nawet bukłak z najlepszym winem od matki Cu.

Zeszła z drogi i uśmiechnęła się, widząc, jak wszędzie zrobiło się już zielono. Małe purpurowe kwiatki pojawiły się dosłownie z dnia na dzień, tak samo te żółtawe roślinki, tworzące ładne owalne kępki, które wyglądały jak odwrócone do góry dnem koszycki. Cały las wyglądał tak, jakby ubrał się

ładnie właśnie dla niej, dla Brenny. Ta głupia romantyczna myśl sprawiła, że uśmiech Brenny poszerzał.

Usłyszała skomlenie Fand. Szybko odwróciła się i spojrzała między drzewa. Wilczątko siedziało na środku drogi i patrzyło żałośnie na Brennę.

- Chodź, malutka, chodź! - zawołała Brenna. - Zobacz, tam już jest ta stara wielka sosna. Do jeziora już niedaleko.

Fand nie ruszała się z miejsca. Brenna cmoknęła.

- Chodź, malutka, chodź. Wzięłam ze sobą ściereczkę, i mam dla ciebie mleczko. Napijesz się, potem rozłożę kocyk i pośpisz sobie, dopóki on do nas nie przyjdzie!

Naturalnie, wilczątko nie rozumiało ani słowa, ale słyszało przecież jej łagodny, przekonywający głos. Poklepała się kilka razy po udzie, dalej przemawiając czule i w końcu Fand podniosła swój okrągły tyłeczek i weszła za nią w las.

- Dobra dziewczynka! - pochwaliła Brenna. - Cu będzie dumny z ciebie.

Cała uwaga Brenny skupiona była na wilczątku, dlatego nie zauważyła, kiedy spoza pobliskiej sosny wysunął się jakiś cień i zaczął iść za nią.

Kiedy słyhać już było melodyjny dźwięk opadającej wody, Fand nagle warknęła.

- Fand? Co się stało, malutka?

Pierwszą reakcją Brenny był śmiech. Bo sierść na

karczku małej Fand stanęła jak szczotka. Wilczątko odsłoniło swoje mleczaki i cofało się powoli w stronę Brenny. Wyglądało rozkosznie bezbronne. Kulka pokryta szarym futrem, udająca dorosłego wilka, a bardziej przypominająca jeża.

Nagle kątem oka wychwyciła coś ciemnego, jakiś cień. Fand warczała coraz głośniej. Brenna odwróciła głowę, jej kolejny wydech zmienił się w cichy okrzyk.

Och...

Uskrzydłona istota była bardzo piękna. Brenna zauważyła niezwykle kolor oczu, gibką postać. Jakby na chłodno wychwytywała symptomy nowej, nieznannej choroby. Nie wpadła w panikę, nie walczyła, kiedy uskrzydłona postać z szybkością na pewno nieosiągalną dla człowieka przypadła do niej.

Jej szpony w porannym słońcu błyszczały groźnie.

- Robię to tylko dlatego, że on mnie do tego zmusił. To jest jedyna droga.

Głos uskrzydłonej istoty był zaskakująco łagodny, melodyjny.

W oczach tej istoty Brenna zobaczyła swoją śmierć. Mimo to nie mogła zmusić swego ciała do jakiegokolwiek ruchu. Spojrzenie niezwykle jasnych oczu, w których widziała swoje przeznaczenie, sparaliżowało ją. Ciało, nie umysł. Umysł był nadal sprawny. Pierwsza była myśl, jakie to wszystko jest nieprawdopodobne. Kiedyś przeżyła dzień ognia i największego bólu. Ból towarzyszył jej od samego początku, a teraz wszystko zaczyna się tak delikatnie. Uskrzydłona istota, trzymając ją przy sobie bardzo blisko, nachyliła głowę nad tą stroną szyi, na której nie było blizn. Brenna poczuła, jak zęby skrzydlatej istoty wbijają się w jej miękką skórę. Kiedy przebiły skórę, poczuła nagle przedziwną euforię i nie mogła powstrzymać się od cichego jęku. Potem były inne wrażenia. Zrobiło jej się bardzo gorąco, coś ciągnęło ją,

ciągnęło, w tym samym miejscu na szyi, gdzie wbiły się zęby uskrzydłonej istoty, chwilę potem, już jak przez mgłę, choć wyraźnie, usłyszała odgłos rozrywanego ciała.

Zamknęła oczy i pomyślała o Cuchulainnie. Pomodliła się - Epono, błagam, pomóż mu, nie pozwól, żeby na zbyt długi czas pogrążył się w żałobie. Potem miała wrażenie, jakby czas stanął w miejscu. Wtedy, gdy odmawiała ostatnią modlitwę. Dziękuję ci, Bogini, że pozwoliłaś mi poznać miłość. Ktoś dał mi ją, zanim poznałam, co to umieranie.

Odczucie, że skrzydlata istota wyciąga coś z jej szyi było coraz silniejsze. Słyszała swój oddech, bardzo szybki, bardzo głośny. Nogi pod nią się ugięły, ale uskrzydłone stworzenie, dalej pijąc z niej krew, trzymało ją mocno. W jakiejś okrutnej parodii uścisku kochanków. Świat pod zamkniętymi powiekami Brenny ze szkarłatnego zmienił się w czarny, ale zanim nadszedł ból, a potem śmierć, poczuła też, jak unosi się, oddziela od swego bezwładnego ciała, jak do jej duszy wlewa się błogi spokój.

Spokój ramion Epony, otwartych na jej powitanie.

- Myślę, że Kathryn byłaby najlepszym nabytkiem do kuchni - powiedziała Wynne, zgarniając z twarzy jeden z niesfornych loków. Elphame odpowiedziała po krótkiej chwili, najpierw musiała przeżuć i przełknąć kolejny kęs smacznego gulaszu z dziczyzny, który Wynne podała na stół w południe.

- Zgadzam się z tobą, Wynne. Podobno Kathryn wcale nie ukrywa, że doświadczenie ma niewielkie, ale jest

młoda, pełna zapału. Na pewno wszystkiego bardzo szybko się nauczy.

- Ale Meara będzie zła, że zabieram jedną z jej dziewczyn do sprzątanania.

- A na to jest sposób... - Elphame uśmiechnęła się, przywołując w pamięci obraz pulchnej, choć i bardzo apetycznej gospodyni. - Ugotuj Mearze coś bardzo dobrego, tylko dla niej, dając jej do zrozumienia, że nie chcesz z nią wojować.

Wynne pokiwała głową.

- Świetny pomysł. Najlepiej coś słodkiego. Elphame zaśmiała się.

- Tego czegoś słodkiego całe mnóstwo!

Nagle śmiech Elphame ucichł, usłyszała bowiem coś, jakiś głos, który natychmiast zwrócił jej uwagę.

Co to było dokładnie, tego w pierwszej chwili nie potrafiła sprecyzować. Dopóki nie usłyszała wyraźnie silnego głosu Dananna.

- Elphame! Elphame!

Wołał ją ponurym głosem, który nie wróżył nic dobrego. Natychmiast wybiegła z wielkiej sali, na dziedziniec, na który właśnie wbiegał, stukając kopytami stary centaur.

- Elphame, brat cię wzywa! - rzucił tylko, odwrócił się i pobiegł z powrotem do zamkowej bramy.

Elphame popędziła za nim. A tam, przed bramą, panował zamęt. Mężczyźni gorączkowo siodłali konie, z lasu wybiegały centaury. Zewsząd słyhać było nawoływania. Wzywano Brighid.

Wśród tego chaosu Cuchulainn, nieruchomy jak posąg. Obok jeden z mężczyzn siodłał mu konia.

Cuchulainn, blady jak ściana, tulił do piersi zbryzgane krwią wilczątko.

Elphame popędziła do brata.

- Brenna - powiedział krótko.

- Ale co się stało?! Gdzie ona jest?!

Elphame spojrzała szybko na wilczątko. Całe we krwi, ale na ciele nie widać żadnej rany. To nie jest krew wilka.

- Znalazłem Fand w lesie niedaleko jeziora. Brenny nie było. Zacząłem ją wołać, potem szukać.

Znalazłem ślady, bardzo dziwne. Nie potrafię powiedzieć, czyje... - Cu mówił szybko, krótkimi, urywanymi zdaniami, jakby wyartykułowanie ich przychodziło mu z wielkim trudem. - Wróciłem więc po Brighid. I po to.

Ręka Cu dotknęła dużego miecza, przytroczonego do pleców.

Elphame znów poczuła przerażający dreszcz, tak samo lodowaty, jak tego dnia o poranku. Dreszcz, a potem lodowata dłoń objęła jej serce.

Po trawiastej ziemi zadudniły kopyta.

- Co się stało? Co? - wołała z daleka zadyszana Łowczyni.

- Ktoś napadł na Brennę. - Cuchulainn podał wilczątko mężczyźnie, który skończył siodłać jego konia i wskoczył na swojego wałacha. - Koło tego jeziora, w którym kąpałyście się we trójkę. Nie potrafię

rozpoznać śladów.

- Pokażesz mi.

Cuchulainn nakierował wałacha na drogę i z miejsca ruszył galopem. Reszta ludzi za nim. Elphame biegła obok brata, starając się za wszelką cenę nic nie myśleć, nie włączać wyobraźni.

Kiedy dojechali do starej, ogromnej sosny, Cuchulainn zjechał z drogi i zeskoczył z konia. Przeszedł kilka kroków, nagle stanął i nachylił się nad porzuconym w trawie koszykiem.

- Tutaj.

W tym miejscu leśne kwiatki były stratowane, jasnozielone listki splamione krwią.

Brighid dała znak ręką, żeby wszyscy się zatrzymali i ona też pochyliła się nad ziemią. Elphame widziała, jak twarz Brighid tężeje. Na moment Brighid poderwała głowę, przechwyciła wzrok

Przywódczyni Klanu, po czym znów wbiła swój bystry wzrok w leśną murawę.

- Idźcie za mną! - powiedziała po chwili. Ruszyła przodem, za nią Cuchulainn i Elphame, za nimi reszta ludzi i centaurów. Brighid szybko oddaliła się od jeziora. Wróciła do drogi, przekroczyła ją, z powrotem weszła w las i nagle gwałtownie skręciła na północ.

Elphame podbiegła do niej.

- Brighid, zobaczyłaś coś?!

- Nie. Ale to coś niesie Brennę.

Elphame, coraz bardziej przerażona, cofnęła się z powrotem do brata. Oboje, porozumiewając się bez

słów, odsunęli się od siebie i ustawili tak, żeby osłaniać Brighid z dwóch stron. Brighid początkowo

bardzo pewnie podążała przed siebie, ale teren zaczął się zmieniać. Już nie las, a skaliste grzbiety, poprzecinane strumykami i rozpadlinami, Łowczyni zaczęła zwalniać, aż w końcu zatrzymała się.

- Zgubiłam ślad! - zawołała. - Ten ktoś porusza się w przedziwny sposób, nigdy czegoś takiego nie tropiłam. Ma niesamowicie długi krok, prawie tak długi, jakby frunął.

Cuchulainn puścił wodze konia i szybko podszedł do Łowczyni.

- Nie! Nie możesz zgubić śladu! On ma Brennę!

- Przecież wiem! - krzyknęła z rozpaczą. - Oddałabym wszystko, żeby było inaczej! Ale jak ja mam tropić kogoś, kto praktycznie porusza się w powietrzu!

Cuchulainn cofnął się gwałtownie, prawie jakby go uderzyła.

- Jeśli nie możesz jej wytropić, to jak my ją odnajdziemy?

- Przeczeszemy las! - zawołała Elphame i natychmiast przystąpiła do działania, rzucając jednemu z mężczyzn rozkaz: - Jedź do Loth Tor i zwołaj ludzi z wioski. Niech wezmą pochodnie. Jedź,

człowieku! Pospiesz się! - krzyknęła, kiedy zaskoczony mężczyzna nie ruszał się z miejsca, tylko

gapił się na nią. Potem odwróciła się do Łowczyni i swego brata. - Zaczniście już przeczesywać las, ja wracam do zamku, zwołam cały klan. Spadniemy na ten las jak szarańcza. Znajdziemy Brennę.

Objęła mocno brata, i pognęła z powrotem przez las. Na początku skupiła się całkowicie na biegu, starając się rozwinąć jak największą szybkość na nierównym skalistym terenie. Ale w miarę, jak zbliżała się do zamku, jej niespokojne myśli, dotychczas trzymane na wodzy, zaczęły dochodzić do głosu.

Te ślady na pewno są śladami potomka Fomorianina. Rozpoznała je od razu, Brighid wcale nie musiała spoglądać na nią znacząco. Lochlan?! Nie, tej myśli starała się do siebie nie dopuszczać.

Lochlan? Nie, to niemożliwe!

A może... Lochlan?

Ręce pracowały zgodnym rytmem z nogami, rozgrzane mięśnie zaczynały piec, w chwili gdy w jej głowie zakłębiło się. Jej umysł gorączkowo wyszukiwał słowa i obrazy, tworząc z nich upiorny

*tableau* potępienia. W pamięci ożył widok kłów Lochlana, błyszczących w słońcu, ożyły jego słowa:

„Mam w sobie krew rasy demonów, obojgu nam nie wolno o tym zapomnieć”.

Małe strupki na szyi Elphame zaczęły parzyć.

Napił się jej krwi. Czyżby potem ogarnęło go szaleństwo? Dlatego wtedy od niej uciekł? Zmusił się, żeby być od niej jak najdalej, kiedy ostatecznie straci władzę nad samym sobą?

A teraz Brenna płaci za milczenie Elphame, za jej decyzję o obdarzeniu zaufaniem istoty, która po części jest demonem.

Nie! - krzyczało jej serce. On jest moim mężem, jego nadejście przepowiedział mi brat. Lochlan nie może być tym monstrum. Owszem, te ślady są śladami kogoś, kto ma w sobie krew Fomorian, ale ma ją w sobie nie tylko Lochlan. Są jeszcze inni, tacy sami jak on, którzy walczą z szaleństwem, w jakie chce ich wciągnąć ich czarna krew. I to może być właśnie ktoś spośród tych pozostałych. Przyszedł tu, za Lochlanem, i w końcu poddał się mrocznym instynktom.

Ona musi to wiedzieć. Mieć pewność. To jedyna droga.

Zatrzymała się na skraju lasu, otaczającego jej ukochany zamek. Stała ukryta wśród sosen i zwróciła się twarzą na północ - tam, skąd przyszedł do Partholonu Lochlan. Podniosła ręce i rzuciła na wiatr:

- Lochlanie... Przyjdź...

Imię ukochanego zajaśniało w magicznej mgiełce przed jej oczami, potem powiał wiatr, porwał je. Na

moment pochyliła głowę, czując nagle cały ciężar swej decyzji, przygniatający jej duszę.

Poderwała głowę i weszła w las.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY**

- Rozstawcie się co dziesięć kroków, tylko dziesięć, nie możemy się za bardzo od siebie oddalać.

Niebawem zresztą będzie nas więcej, kiedy dołączy reszta klanu i ludzie z wioski. Pamiętajcie, naszym zadaniem jest znaleźć jakikolwiek ślad tej istoty, musimy się zorientować, w jakim kierunku podąża, gdzie trzeba dalej szukać... - wyjaśniała Brighid, przemykając wzrokiem po twarzach otaczających ją mężczyzn i centaurów. - Posuwamy się do przodu w szeregu. Idziemy powoli, ja narzucam tempo. Ślady, których szukamy, są niespotykane. Wyraźne. Ślady po szponach, które wryły

się w ziemię. Duże ślady, większe niż ślad kopyta centaury.

Mężczyźni i centaury bez zbędnych komentarzy szybko ustawili się w szereg. Cuchulainn obok Łowczyńi.

- Gdzie jesteś, ty kreaturo?

Jego cichy głos słycać było doskonale w nienaturalnie cichym lesie.

Spojrzenie Brighid przemknęło po drzewach dookoła. Przypomniała sobie, jak nad jeziorkiem, kiedy natrafili na ślady, razem z Przywódczynią Klanu wymieniły spojrzenia. Spojrzenie Elphame dla

Brighid było wiele mówiące. Elphame znała te ślady, były identyczne jak tamte w jarze. Ale Elphame,

nie wiadomo dlaczego, sprawiała wrażenie, jakby nie dopuszczała tej myśli do siebie. I co teraz

Brighid miała zrobić? Powiedzieć Cuchulainnowi, że ona i Elphame wiedziały już wcześniej, że w lesie czatuje jakaś uskrzydłona istota, ale postanowiły to zignorować?

Brighid, pocierając ręką czoło, jakby w ten sposób mogła zetrzeć z siebie swoje zmieszanie, postanowiła przekazać wojownikowi chociaż część prawdy.

- Nie wiem, Cuchulainnie. Nigdy dotąd nie widziałam istoty, która pozostawiałaby takie ślady.

- A to ona ją zabiła, tak? - spytał drewnianym głosem, pozbawionym jakichkolwiek emocji. Ale oczy błagały Brighid, by zaprzeczyła.

- Wiemy tylko tyle, że dokądś poniosła Bremerę. Ślady krwi były tylko tam, koło jeziorka, skąd została uprowadzona, dalej już nie. Poza tym koło jeziorka tych śladów było niewiele, a to oznacza, że Brenna nie wykrwawiła się na śmierć.

Oboje przemilczeli to, co oczywiste. Jest mnóstwo sposobów, żeby bez wykrwawiania się na śmierć stracić życie. Brighid, nie mogąc już dłużej patrzeć w pełne udręki oczy Cuchulainna, odwróciła się i spojrzała jeszcze

raz na mężczyzn i centaurów, sprawdzając, czy ustawili się zgodnie z poleceniem. W szeregu, po obu stronach Łowczyńi, rozstawieni co dziesięć kroków. Tak było, podniosła więc rękę, żeby ściągnąć na siebie ich uwagę i skinęła głową.



- Zaczynamy! - zawołała.

Wszyscy, jak jeden mąż, ruszyli przed siebie. Szli powoli, w tempie narzuconym przez Brighid. A Cuchulainn miał wrażenie, jakby czas również mijał w innym, narzuconym sobie tempie. Co oczywiście, jak podpowiadał jego zwykle bardzo trzeźwy umysł, było tylko złudzeniem. Czas mijał z tą samą prędkością, co zawsze. Wydłużające się cienie drzew świadczyły, że dzień ma się ku końcowi, ale Cuchulainnowi wydawało się, że dosłownie przed chwilą trzymał w spoconych objęciach roześmianą Brennę. Potem patrzył za nią, jak biegnie do drogi i dalej, żeby czekać na niego w umówionym miejscu.

I w tym jego trzeźwym umyśle nadal trwało Przeczucie, jakie miał poprzedniego dnia, kiedy razem z Brenną wracali z jeziora. Złe Przeczucie, ostrzeżenie, które on zlekceważył. Tak jak w przeszłości wielokrotnie lekceważył przesłania, przekazywane mu przez Świat Duchów.

Teraz przeklinał siebie, swoją głupotę. Wszystko, co działo się teraz, działo się z jego winy. Gdyby nie odtrącał Świata Duchów, byłby na coś takiego przygotowany. Nie spuściłby oka z Brenny. A tak...

Nagle do uszu dotarł jakiś odgłos, z oddali, który sprawił, że włos zjeżył mu się na głowie. Usłyszał to z tyłu, za sobą. Było to coś więcej niż Przeczucie, niż czyjś dotyk. Była w tym siła magii, żywej magii, niesionej przez wiatr.

- Zaczekajcie! - krzyknął.

Brighid natychmiast podniosła rękę. Wszyscy stanęli, a Cuchulainn skupił się, skupił o wiele bardziej niż wtedy, gdy człowiek nadstawia uszu. Skupił się całym sobą, jeszcze bardziej wyostrajając wszystkie swoje już i tak nadnaturalnie wyostrome zmysły, dotychczas tak lekceważone.

Usłyszał. Wyraźny, wręcz namacalny dźwięk, jakiś szelest na skalistym zboczu. Ten dźwięk nagle stał się słyszalny, i ucichł, tak samo nagle, jak zniknęło Przeczucie. Cuchulainn westchnął, przeklinając w duchu swój brak umiejętności. W porozumiewaniu się ze Światem Duchów był jak niemowlę w świecie dorosłych. Przygnębiony swoją gorzką porażką, miał już zamiar dać Brighid znak, żeby ruszali do przodu, kiedy nagle znów coś Wyczuł.

To była nagła świadomość, że odpowiedź jest tam, po drugiej stronie górskiego grzbietu.

Podniósł rękę i wskazał na stok.

- Tam. Tam coś jest.

Poprowadzili razem, wojownik i Łowczyńni. Wspięli się po zboczu na szczyt górskiego grzbietu, gdzie, ku ich zaskoczeniu, nie zobaczyli gęstego lasu, tylko porośniętą bujną trawą polanę, ukrytą wśród wiekowych, rozłożystych dębów. Była to prawdziwa rzadkość w lesie koło zamku MacCallana

zdominowanym przez sosny.

Między drzewami po przeciwległej stronie polany coś się poruszyło. Cuchulainn wbił tam wzrok.

Jeszcze sekunda i spośród drzew wyszła na polanę uskrzydłona postać, trzymająca na rękach bezwładne ciało Brenny.

Fomorianin! W chwili, gdy umysł Cuchulainna zarejestrował tę informację, natychmiast świadomość podsunęła drugą. Fomorianin to potwór. A czas znów zmienił tempo. Nabral przeogromnej prędkości,

wszystkie ruchy, wszystkie dźwięki wydawały się teraz niewyraźne, nierealne.

Uskrzydłona istota zatrzymała się i spojrzała Cuchula-innowi prosto w oczy. Satysfakcjonujący odgłos cięciwy, wypuszczającej strzałę z łuku Brighid odpowiedział jak echo na inny odgłos, groźny brzęk miecza, wyciąganego z pochwy. Uskrzydłona istota uskoczyła w bok, ale strzała i tak aż po pióra wbiła się w jego ramię. Cuchulainn zauważył, że potwór stara się trzymać Brennę bardzo ostrożnie. Tak przynajmniej się wydawało. Jakby w jakimś kompletnie już pokręconym zakamarku jego mózgu tliła się myśl, że temu ciału już nic złego nie powinno się przytrafić.

- Brenna! - Cuchulainn z wyciągniętym przed siebie mieczem zaczął biec przez łąkę.

Uskrzydłona istota nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Nie poruszyła się, nie próbowała uciec ani przybrać postawy obronnej. Tylko jej skrzydła poruszały się. Szeleściły i rozkładały się, ale spojrzenie oczu szarych jak morze podczas sztormu było nieruchome.

Cuchulainn, podchodząc do uskrzydłonej istoty, wyczuwał za sobą obecność Brighid i reszty ludzi i

centaurów. Podchodził, starając się nie patrzeć na Brennę, nie widzieć, jak jest blada i nieruchoma.

Ta uskrzydłona istota to był on, ktoś w rodzaju mężczyzny. Na pewno. Kiedy Cuchulainn zbliżył się na odległość wyciągniętej ręki, przemówił:

- Za późno. Ona już nie żyła.

Głos był niski, mocny, słycać w nim było wielki smutek, co Cuchulainn odczuł jak uderzenie pięścią.

Miecz wojownika dotknął szyi uskrzydłonego mężczyzny.

- Puść ją i spotkaj się ze swoim przeznaczeniem. Mężczyzna ze skrzydłami przykląkł i bardzo ostrożnie,

co było widać wyraźnie, złożył nieruchome ciało Brenny

na zielonej trawie. Kiedy wstał, wszyscy natychmiast rzucili się do niego, ale znieruchomieli, słysząc rozkaz Cuchulainna.

- Nie! On jest mój! Ja go zabiję!

Zamachnął się. Ale dosłownie w ostatniej sekundzie, zanim miecz opadł na szyję, mężczyzna ze

skrzydłami ponownie przemówił. Zawołał. Tylko jedno słowo, a wystarczyło, żeby miecz w rękę

Cuchulainna zadrżał i zamiast w szyję trafił w skrzydło. Rozerwał je, ostrze cięło ramię, przebite już strzałą, i tylko drasnęło szyję.

- Elphame!

To imię wydawało się teraz być czymś żywym. Zawirowało w powietrzu wokół nich i jak modlitwa uleciało ku niebu.

Ostrze miecza Cuchulainna dotknęło gardła mężczyzny ze skrzydłami.

- Jak śmiesz wymawiać imię mojej siostry! Lochlan, klęcząc na jednym kolanie, próbował ręką

zatomować krew, płynącą z rany na ramieniu. Rozerwane skrzydło zwisało bezbronne nad

przesiąkniętą krwią ziemią. Ale spojrzenie szarych oczu nadal było nieruchome, głos silny i pewny siebie.

- Wymówiłem imię Przywódczyni Klanu z racji więzów krwi i na mocy złożonej przeze mnie

przysięgi. Jako członek tego klanu mam prawo domagać się, by wysłuchała mojej petycji. Tylko ona może zdecydować o moim losie.

- Ty nie należysz do klanu MacCallanów! - warknął Cuchulainn.

Lochlan z wielkim trudem wstał i przez zaciśnięte z bólu zęby wypowiedział swoje oświadczenie mocnym głosem, wypełniającym całą polanę wśród wiekowych dębów.

- Moją matką była Morrigan, najmłodsza siostra MacCallana, który rządził tymi ziemiami. Dziś w obecności świadków domagam się moich praw, należnych mi z racji urodzenia. Tylko Przywódczyni Klanu MacCallanów może mi ich odmówić!

Zapadła cisza, po chwili ciszę zmaćił donośny głos Brighid.

- Cuchulainnie, zaprowadź go do swojej siostry! Ona, tak samo jak ty, bardzo kochała Brennę.

Elphame na pewno z wielką przyjemnością będzie patrzeć, jak wypatroszymy tę bestię!

Bestię.... Cuchulainn, słuchając, co mówi Brighid, patrzył na uskrzydloną istotę. Skrzydła, szpony i zęby świadczyły, że niewątpliwie jest to Fomorianin, ale nawet teraz, w gniewie i rozpacz, Cuchulainn dostrzegał w rysach twarzy wyraźne oznaki, że jest to również człowiek.

Cuchulainn dostrzegał w rysach twarzy wyraźne oznaki, że jest to również człowiek.

- Zwiążcie mu ręce i przywiążcie do mojego siodła. Jeśli nie da rady iść do Przywódczyni Klanu MacCallanów, zaciągnę go do niej.

Kiedy wiązano nie stawiającego oporu Lochlana, Cuchulainn ukląkł koło Brenny. Była taka blada.

Dotknął jej twarzy. Zimna, strasznie zimna, a wyglądała tak spokojnie, jakby po prostu zasnęła. Tylko jej szyja... Ten potwór wyrwał z niej kawałek ciała wielkości pięści... Cuchulainn czuł, jak do jego

umysłu wnika nieuchronnie przerażająca świadomość jej śmierci. Wnika do jego duszy, do jego serca.

- Dajcie mi tu kawałek materiału! - krzyknął, nie odrywając oczu od jej słodkiej, teraz tak nieruchomej twarzy.

Prawie natychmiast w jego rękę znalazł się kawałek jedwabiu, oderwany od podszewki kamizelki

Brighid. Tym jedwabiem starannie przewiązał szyję Brenny. Nie

chciał, żeby ktokolwiek oglądał, jakiego dokonano tu spustoszenia. Potem nachylił się i pocałował

zimne usta.

- Zabieram cię do domu, kochanie... - szepnął.

Brighid przytrzymała jego konia, kiedy wskakiwał na siodło, potem ostrożnie podała mu Brennę.

Cuchulainn, jedną ręką tuląc do siebie ukochaną, ścisnął boki konia łydkami, żeby ruszył od razu wolnym galopem. I miał trochę smutnej satysfakcji, kiedy słyszał, jak monstrum ze skrzydłami potyka się, upada i szoruje ciałem o ziemię. Dopiero po jakimś czasie udaje mu się stanąć na nogach.

Niech cierpi. Niech cierpi, tak jak cierpiała Brenna.

Brenna... Cuchulainn mocniej przygarnął do siebie zimne, bezwładne ciało ukochanej, starając się nie myśleć o tym, co naprawdę oznacza jej śmierć. O tym, że Brenny już nie ma. Utracił ją na zawsze.

Nigdy już więcej nie dotknie go, tak delikatnie, nigdy więcej nie zobaczy w jej uśmiechu tego zdumienia, z którym poznawała nowy, nieznany sobie świat. Świat miłości, przynależności do innego człowieka, który dopiero się przed nią otwierał.

Nie, nie mógł teraz o tym myśleć. Teraz był w stanie pomyśleć tylko o dwóch rzeczach. Zawieźć Brennę do domu. I przekonać się na własne oczy, że jej morderca już nie oddycha.

Cały klan, zgromadzony przed zamkowymi murami, czekał w milczeniu, aż zapłoną wszystkie pochodnie. Elphame stała na uboczu. Czowała na skórze dotyk chłodnego, przenikliwego wiatru, niosącego ze sobą prawie bezgłośnie echo tego właśnie krzyku.

Jedno słowo. Jej imię.

Zadrzała. Słońce, teraz w szkarłatach, zaczynało zachodzić po swojej drodze wiodącej w dół, do morza. Nawet niebo skąpane było we krwi...

- Wszystko gotowe - powiedział Danann. Elphame odwróciła się, żeby spojrzeć na swoich ludzi.

Odruchowo spojrzała też wyżej, na balkon na Wieży Przywódcy Klanu. Słońce na chwilę oświetliło zwiewną, przezroczystą postać. Stary duch podniósł rękę w milczącym pozdrowieniu. Elphame zamrugała oczami, stary duch znikł.

Odwróciła głowę, kierując znów spojrzenie na skupioną, posepną grupę mężczyzn i centaurów.

- Jest jeszcze jasno, możemy śmiało starać się dotrzeć tam jak najprędzej. Trzymajcie się razem, nie rozpraszajcie się. Cuchulainn i reszta są niedaleko stąd. Kiedy dołączymy do nich, Brighid powie, co macie robić.

Wszyscy pokiwali głowami. Elphame, usatysfakcjonowana, odwróciła się ponownie, by stanąć na czele i poprowadzić swój klan na północ. Zanim jednak zdążyła zrobić pierwszy krok, na skraju lasu nagle między drzewami zabłysło światło. Pochodnie. Najpierw spośród sosen ukazała się Brighid.

Potem Cuchulainn. Serce Elphame na moment przestało bić, usta poruszyły się w bezgłośnym, pełnym przerażenia krzyku.

Nie!

Cuchulainn trzymał przy sobie nieruchomą Brennę. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz, żeby już wiedzieć. Brenna nie żyje.

A potem, przez mgłę rozpaczy, Elphame zobaczyła, że Cuchulainn ciągnie coś za swoim wałachem.

To coś potknęło się i upadło, kiedy Cuchulainn ścisnął konia łydkami. Koń zagalopował i szybko dobiegł do Elphame. Cuchulainn gwałtownie ściągnął wodze, osadzając konia w miejscu.

Zakrwawiona istota przetoczyła się, teraz leżała nieruchomo w odległości kilku kroków od Elphame i

całego Klanu MacCallanów.

W pierwszej chwili Elphame zobaczyła tylko skrzydła, długie ręce i nogi, zbryzgane szkarłatem. Na moment pozwoliła swemu sercu uwierzyć, że to nie on. Wierzyło, dopóki Lochlan z wielkim wysiłkiem nie podniósł się na kolana.

- Elphame, nie zdążyłem - wychrypiał. - Za późno dowiedziałem się, co oni zamierzają zrobić.

Wybacz mi.

Słyszała za sobą okrzyki zaskoczenia i pełne strachu. Słowo „Fomorianin” kładło się na zamkowych ziemiach szeptem, jak klątwa, zbyt straszna, żeby wymówić ją głośno. Czuła, że klan jest

wstrząśnięty, przerażony, ale nie odwróciła oczu od Lochlana. Patrzyła na niego, nie na swego brata, nie na zamordowaną przyjaciółkę, nie na Łowczynię, której znaczący wzrok czuła na sobie przez cały czas.

- Kto ją zabił?

Odpowiedział, wśród tej nagłej ciszy, jaka zapadła po pytaniu Elphame.

- Przyszło tu za mną czworo moich ludzi. Kazałem im wracać na Pustkowie i tam czekać na mnie.

Myślałem, że odeszli, dali mi słowo, że opuszczą Partholon. Ale oni nie odeszli. Zrobili coś innego.

Zabili Brennę.

- Elphame! - ryknął Cuchulainn. - Ty znasz tego potwora!

Elphame spojrzała w pełne bólu oczy brata.

- Tak, znam. Złożył mi przysięgę na wierność...

- przez zebranych przeszedł groźny pomruk, coraz głośniejszy. Elphame dokończyła więc jeszcze głośniej:

- Miał do tego prawo! Jego matką była Morrigan, rodzona siostra MacCallana. Została uprowadzona przez Fomorian i zgwałcona. Przeżyła narodziny dziecka, ona i wiele innych kobiet, uprowadzonych przez Fomorian...

Cuchulainn, trzymając w objęciach martwą Brennę,

powoli zsunął się z siodła. Podeszedł do siostry i stanął przed nią twarzą w twarz. Dzieliło ich tylko ciało jego martwej ukochanej.

- Jak możesz opowiadać takie rzeczy o tym potworze, który zabił Brennę!

- On nie jest potworem, Cuchulainnie. To mój mąż. Złożyliśmy sobie małżeńską przysięgę, na rok.

Jest moim towarzyszem życia, którego mi przepowiedziałeś. On jest moim przeznaczeniem.

Zewsząd rozległy się pełne niedowierzania okrzyki. Elphame nie odrywała oczu od brata.

Cuchulainn,

gwałtownie potrząsając głową, zaczął się cofać. Podeszła bliżej, wyciągnęła do niego rękę, ale on

wzdrygnął się.

- Na Boginię! To niemożliwe! Niemożliwe! - wyrzucił z siebie głuchym głosem. I wtedy znów przemówił Lochlan, z trudem powstając z klęczek. Jego ręce, związane, zakrwawione, napinały się pod sznurem.

- Cuchulainnie, idź na północ, tam, gdzie mnie znalazłeś. Znajdziesz tam też tych, którzy popełnili tę okrutną zbrodnię. Nie odeszli daleko.

Głowa wojownika błyskawicznie odwróciła się w jego stronę.

- A dlaczego mają tam niby jeszcze być, ty potworze? Może zastawiłeś na nas jakąś pułapkę, a oni tylko tam czekają, żebyśmy w nią wpadli?

- Oni nie mogą z tobą walczyć, nie mogą od ciebie uciec. Porwałem im skrzydła. Są zdani na twoją łaskę i niełaskę, tak jak ja.

Porwał im skrzydła... Jeszcze jeden wstrząs dla mózgu Elphame, odrętwiałego już z bólu. Bo ileż ten mózg może jeszcze znieść? Ile serce?! Brenna została zamordowana. Lochlan pojmany. Jej związek z Lochlanem ujawniony, jej brat patrzy na nią tak, jakby nie była już jego siostrą.

A teraz Lochlan powiedział, że porwał swoim ludziom skrzydła - to nadzwyczaj wrażliwe przedłużenie duszy.

Nic nie powstrzymałoby jej teraz od głośnego krzyku, wyrazu największej udręki. Nic - gdyby nie brosza MacCallana, spinająca jej pled. Jej ciężar czuła na swoim ramieniu, ciężar odpowiedzialności.

Znów głos Cuchulainna.

- Gdybyś był na mojej łasce i niełasce, ty kreaturo, dawno byś już nie oddychał!

Reakcję Elphame podpowiedziała jej krew, krew MacCallanów.

Wyprostowała się, uniosła wysoko głowę i spokojnie spojrzała w płonące oczy brata.

- Masz słuszość, Cuchulainnie - odezwała się twardym głosem. - On nie jest na twojej łasce i niełasce. Tylko na mojej. Ja, Przywódczyni Klanu MacCallanów, zdecyduję o jego losie. Ty dobierz



sobie ludzi i centaurów i ruszajcie w drogę. Brighid - spojrzenie Elphame przemknęło ku Łowczyni - idź z nimi. Wytropcie te okrutne hybrydy Fomorian, które zamordowały Brennę.

Brighid skłoniła głowę, gotowa spełnić rozkaz przywódczyni. Elphame spojrzała ponownie na brata.

- Ruszajcie! Przyprawdźcie ich tu, żebyśmy mogli ich osądzić!

Znów podeszła do niego. Cuchulainn tym razem nie wzdrygnął się, twarz jednak nadal miał stężoną.

Elphame wyciągnęła ku niemu obie ręce.

- Wezmę Brennę. Brenna wróciła do domu. Cuchulainn drgnął. Wahał się, po chwili jednak złożył

Brennę w ramionach siostry i nie odrywając od niej oczu, wskazał brodą na Lochlana.

- Co masz zamiar z nim zrobić? - spytał bezbarwnym

głosem. Martwym głosem, tak samo martwym jak jego serce.

- Jest moim więźniem. I będzie nim, dopóki nie zostanie osądzony.

Cuchulainn przymrużył oczy.

- Dopilnuj, żeby wam się nie wymknął.

- A ty dopilnuj, żebyście tych pozostałych przyprawdźli tu żywych - odparła Elphame.

Cuchulainn złożył jej ukłon, bardzo sztywny, jakby byli sobie kompletnie obcy, odwrócił się i

odwiązał od siodła koniec sznura, którym przywiązano Lochlana.

- Pilnujcie go dobrze! - krzyknął, rzucając sznur mężczyźnie, stojącemu najbliżej. Spiał konia, koń z miejsca ruszył galopem. Brighid dobiegła do Cuchulainna, za nią grupa mężczyzn i centaurów.

Wszyscy ruszyli w las.

Elphame wiedziała doskonale, co musi teraz zrobić. Musi wydać rozkaz, choć serce w piersi miało teraz ciężar ołowiu.

Owiany legendą zamek MacCallana nie krył w sobie ani cuchnącego stęchlizną lochu ani chronionych kratami izb. Kiedy któryś z członków klanu popełnił przestępstwo, sądzono go natychmiast i zgodnie z wolą Przywódcy Klanu albo odbierano mu życie, albo skazywano na wygnanie. Klan, którego zawołanie brzmiało „Wiara i wierność” nie tolerował tych, którzy złamali przysięgę.

Przywódczyni Klanu wydała rozkaz:

- On jest moim więźniem. Zabierz go na dziedziniec i przywiąż do którejś z kolumn. Czekamy na powrót Cuchulainna.

Mężczyzna, trzymający w ręku sznur, szarpnął nim gwałtownie. Reakcja Elphame była natychmiastowa, głos bardzo ostry.

- Uznałam jego prawo przynależności do klanu i ode-

brałam od niego przysięgę. Masz go traktować należycie! Rozumiesz!

Mężczyzna szybko spojrzął w bok. Płonący wzrok Elphame przekazywał bowiem bardzo wyraźnie, że

jest ona czymś więcej niż Przywódczynią Klanu. Była dotknięta przez Eponę, a wcale niełatwo wzbudzić w Bogini gniew.

Kiedy grupa mężczyzn wraz z więźniem znikła w głębi zamku, do Elphame podszedł Danann.

- Wezmę naszą małą Uzdrowicielkę, Bogini - powiedział cicho, nieswoim głosem i gniew Elphame natychmiast znikł. Teraz czuła tylko ból, rozpacz i ogromną, ogromną bezradność.

- Ona... ona jest bardzo lekka... - szepnęła.

- Tak. Mała, ale wielka. Siłą ducha, który zamieszkiwał to drobne ciało.

- I serce, przede wszystkim serce - wychlipała zalana łzami Wynne, pojawiając się obok centaura.

- Była wielka jej życzliwością dla ludzi - powiedziała cicho Meara, zbliżając się do nich. Ona też, jak Wynne, nie wstydziła się łez. - Będziemy zaszczycone, jeśli pozwolisz nam pomóc sobie przy

ostatnim namaszczeniu Brenny.

Elphame powoli przeniosła spojrzenie ze starego centaura na dwie młode kobiety. Nie stroniły od niej, nie zarzucały, że stanęła w obronie potwora. Nadal były jej wierne, swojej Przywódczyni Klanu.

Elphame z trudem powstrzymywała łzy. Z trudem, lecz skutecznie. Silna przywódczyni to silny klan.

Nie będzie płakać.

- Przyjmuję waszą pomoc. Chodźcie ze mną do namiotu Brenny.

Mała smutna procesja przeszła między porozstawianymi na południe od zamku namiotami, podążając do

tymczasowego domu Brenny. Niedaleko wejścia do namiotu siedziało wilczątko. Elphame całkiem zapomniała o Fand, ktoś jednak o nie się zatroszczył. Przyproceedził tutaj i przywiązał do jednego z dziesięciu palików namiotu.

Na ich widok wilczątko zaczęło skakać, merdać ogonkiem, im bliżej jednak była Elphame ze swoim ciężarem, tym niniejsza była radość zwierzątka. Stuliło uszy, podwinęło pod siebie ogonek i skomlać żałośnie, przypadło do ziemi.

Elphame wkroczyła do namiotu i złożyła Brennę na starannie zasłanym łóżku. Rozpoczęto ostatnie namaszczenie, w ciszy zmierzchu, rozdieranej żałosnym wyciem Fand.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY**

Elphame stała w mrocznym zaułku, skąd widziała i dziedziniec, i wielką salę zamkową. To, co miała teraz przed oczami, co w uszach było takie... makabryczne - było przede wszystkim nierealne. Blask płonących pochodni, rozjaśniających wielką salę zamkową, za stołami członkowie klanu kończący jeść wieczorny posiłek. Cichy szmer rozmów, zmieszany z pluskiem wody w fontannie. Znajome dźwięki w zamku pod koniec dnia. Normalność - gdyby nie zapach olejków na palcach Elphame, którymi namaszczała swoją przyjaciółkę. Normalność - gdyby na dziedzińcu zamkowym nie wystawiono straży, pilnie strzegącej Lochlana.

Ręce i nogi Lochlana zakute były w żelazne kajdany, przyczepione do ciężkich łańcuchów, łańcuchy starannie owinięte wokół wielkiej kolumny centralnej zamku. Loch-lan, poobijany i posiniaczony, siedział pod kolumną, wpar-ty w nią plecami. Oczy miał zamknięte. Z lewego ramienia wystawała strzała, tkwiąca w nim aż po pióra. Tuż nad piórami widać było krwawą ranę, z boku porwana koszula

też była cała we krwi. Ale serce Elphame cierpiało najbardziej, kiedy patrzyła na lewe skrzydło, rozdarte prawie na całej długości. Prawe skrzydło, nietknięte, było złożone i przylegało ściśle do

pleców, lewe, tylko częściowo rozłożone, zwisało, już bez życia. Jak u umierającego ptaka...

Elphame szybko zrobiła kilka głębokich wdechów, starając się jednocześnie nie zwracać uwagi na to,

że wciąga do płuc mocny, nadzwyczaj słodki zapach olejków pogrzebowych. W skroniach pulsowało.

O ile byłoby łatwiej, gdyby nie była Przywódczynią Klanu. Tylko zrozpaczoną żoną. Mogłaby podbiec do Lochlana, domagać się, by go rozkuli. Wykrzyczeć strażnikom, że Lochlan nie jest demonem, że to nie on zabił Brennę!

Ale była Przywódczynią. Miała uosabiać siłę i sprawiedliwość, nie histerię czy łyzy. Nie mogła ocalić

Lochlana. Musiał zrobić to sam. Albo udowodni swoją niewinność, albo Elphame będzie musiała wymierzyć mu karę, jak w przypadku każdego członka klanu. Dopóki jednak nie zostanie osądzony, jak każdy członek klanu jest więźniem Przywódczyni.

Elphame poprawiła na ramieniu pasek dużej skórzanej torby - ileż to razy widziała, jak robiła to Brenna... - i wkroczyła w jasność migoczących świateł pochodni. Jej kopyta zastukały w gładką, marmurową posadzkę. Podeszła do dwóch uzbrojonych strażników. Skłonili się przed nią, ona ich pozdrowiła, przywołując w pamięci ich imiona.

- Brendan, Duncan, witajcie! Lochlan podniósł głowę.

- Jeden z was niech idzie do kuchni. Wynne na pewno ugotowała już zupę. Trzeba przynieść trochę zupy, a oprócz tego bukłak z mocnym czerwonym winem.

Brendan skłonił się jeszcze raz i oddalił, żeby wykonać polecenie. Elphame przechwyciła spojrzenie Duncana.

- Chcę porozmawiać z Lochlanem w cztery oczy. Duncan wyraźnie wahał się, ale tylko przez moment i odszedł, co prawda krokiem bardzo niespiesznym. Ustawił się koło fonatny, wystarczająco daleko, by nie słyszeć jej rozmowy z Lochlanem, jednocześnie jednak wystarczająco blisko, by w razie potrzeby móc szybko znaleźć się z powrotem przy Przywódczyni.

- Lochlanie, czy twoje rany są bardzo groźne? - spytała.

Lochlan w pierwszej chwili nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko w nią, jednocześnie potrząsając głową. Elphame poczuła dławiący strach. Czyżby Lochlan uległ jednak temu szaleństwu, czyżby...

Po chwili przemówił, bardzo powoli, bardzo wyraźnie wymawiając każde słowo.

- Ja nie zabiłem Brenny.

Elphame bez słowa przykucnęła przy nim i otworzyła torbę Brenny, by wyszukać w niej maść, którą Brenna zwykle stosowała na rany, także płócienne paski do przewiązania ran.

Łańcuchy zabrzęczały. Lochlan chwycił Elphame za nadgarstek. Duncan natychmiast wyciągnął miecz i zrobił krok w ich stronę, ale Elphame szybko dała mu ręką znak, żeby się zatrzymał.

- Czy wierzysz mi, Elphame? - spytał zachrypniętym głosem Lochlan. - Muszę to wiedzieć.

Elphame spojrzała w jego szare oczy i milczała. Przerazona, bo nagle okazało się, że na to pytanie nie potrafi odpowiedzieć.

Nagle usłyszała spokojny, beznamiętny głos Dananna.

- Duchy kamienia mogą ci powiedzieć, Bogini. Wysunęła rękę z palców Lochlana, odwróciła się i stanęła twarzą w twarz ze starym centaurem. On też rozsiewał wokół siebie zapach olejków do ostatniego namaszczenia. Elphame nie wiedziała, które olejki wybrać, Brenna miała przecież ich tyle, a Elphame nigdy dotąd nie widziała, jak szykuje się ciało po śmierci. Danann jej pomógł. Bardzo starannie, z wielką powagą wybrał odpowiednie olejki i podpowiedział Elphame, co należy z nimi zrobić. Czym zasłużył sobie na jej dozgonną wdzięczność. Nigdy o tym nie zapomni, tak samo jak na zawsze wryło jej się głęboko w pamięć to, co czuła wtedy pod palcami. Skórę martwej przyjaciółki, luźną, bez życia, tak przerażająco zimną...

Teraz, po tylu bolesnych wydarzeniach tego dnia, pobrużdżona twarz starego centaura była po prostu smutna, ale oczy, jak zawsze, pełne mądrości i życzliwości.

Podszedł bliżej i zaczął się badawczo przyglądać Lochlanowi, otwarcie, wcale się z tym nie kryjąc. Po chwili skierował spojrzenie z powrotem na Elphame.

- Zapytaj ducha wielkiej kolumny. Dzięki niemu poznasz prawdę.

Oczy Elphame rozszerzyły się ze zdumienia. Że też ta właśnie myśl nie przyszła jej do głowy! Stary Mistrz Kamieniarz miał rację. Przecież ona posiada ten cudowny dar, możliwość nieomylnego stwierdzenia, czy Lochlan miał jakikolwiek udział w śmierci Brenny.

Łańcuchy znów zabrzęczały, kiedy Lochlan z wielkim trudem podniósł się z posadzki.

- O co chodzi temu centaurowi? - wychrypiał, głosem nabrzmiętym od bólu.

- Lochlanie, chodzi o ducha kamienia, z którego zrobiono tę kolumnę. Mogę się z nim porozumiewać.

Dzięki temu duchowi mogę wejrzeć w ciebie i przekonać się, czy skrzywdziłeś Brennę, czy nie.

Powieki Lochlana opadły. Elphame była przekonana, że Lochlan z bólu i wyczerpania traci przytomność, ale po sekundzie powieki uniosły się, odsłaniając szare oczy, teraz nieskończenie smutne. Tak samo jak słowa.

- Powinnaś sama to wiedzieć, a nie prosić o pomoc duchy tego zamku, Elphame.

- Mówisz, że nie powinna? A więc posłuchaj... - odezwał się Danann tonem nauczyciela, karcącego niesfornego ucznia. - Twoja żona jest nie tylko twoją żoną, która zwykle darzy męża największym zaufaniem. Tak się składa, że jest również Przywódczynią Klanu. Jej nie wolno się mylić.

Z twarzy Lochlana, kiedy słuchał Dananna, znikł smutek, znikły wszystkie emocje. Pozostało tylko wielkie znużenie.

- Ma pan rację, że pan mnie karci, Mistrzu Centaurze - powiedział. - Kiedy składałem jej przysięgę małżeńską, wiedziałem dobrze, kim ona jest. Nie powinienem spodziewać się, że nagle stanie się kimś

innym, kimś mniej znaczącym. - Podniósł głowę i spojrzał na swoją żonę i swego przywódcę. -  
Spytaj

duchów, Elphame, żebyś jako Przywódczyni Klanu MacCallanów miała spokojne sumienie.

Elphame stanęła tuż przed potężną kolumną, wyciągnęła rękę i położyła dłoń na pokrytym płaskorzeźbą

kamieniu tuż nad plecami opartego o kolumnę Lochlana. Odczekała, aż chropowata powierzchnia pod jej dłonią zacznie się nagrzewać, znak, że duch kamienia budzi się, reagując na jej dotyk. Kiedy tak się stało, spojrzała na Lochlana, prosto w jego oczy, i przemówiła:

- Muszę wiedzieć, czy Lochlan jest winien śmierci Brenny.

Pod jej dłonią zrobiło się jeszcze cieplej, gorąco, jakby nagrany kamień topniał. W chwili, gdy jej duch łączył się z duchem wielkiej kolumny, miała wrażenie, jakby część jej świadomości wydostawała się z niej, opuszczała jej głowę tak, jak długo wstrzymywane powietrze wypuszczane jest z płuc. Przemknęła przez szyję, rękę i wniknęła w kamienną kolumnę. A stamtąd przeniknęła do Lochlana.

Lochlan, kiedy poczuł falę ciepła, nacierającą na jego poobijane ciało, zrobił bardzo głęboki wdech i nie odrywając oczu od Elphame, powtórzył jej to, co powiedział przed chwilą.

- Ja nie zabiłem Brenny.

A Elphame nagle poczuła, jak zaczynają targać nią różne emocje. Wstrząsały nią, jedna po drugiej, każda stanowiła dowód, że Lochlan powiedział prawdę.

Najpierw przerażenie, gniew i rozpacz - kiedy zobaczył, co stało się z Brenną. Potem usłyszał wołanie Elphame. Wzywała go, a w nim był już tylko smutek i rezygnacja. Odpowiedział na jej wezwanie,

choć świadomy, że tym prawdopodobnie przypieczętuje swój los.

Jej serce miało rację. Lochlan nie był winien śmierci Brenny. Jego wina polegała tylko na tym, że ją znalazł. Elphame miała teraz ochotę i płakać i radować się, jednak jako Przywódczyni Klanu nie mogła tego zrobić.

Tego nie, ale dzięki magicznej mocy, jaką posiadała, mogła zrobić coś innego.

- Wybacz, że zwątpiłam - wyszeptała prawie bezgłośnie. Pochyliła głowę i skupiła się całkowicie na wysyłaniu ze swojego ciała uzdrawiającego ciepła, które przepływało teraz przez kamień, serce tego zamku, i wnikało w poranione ciało jej męża.

Słyszała, jak głośno nabrał powietrza, a ponieważ teraz, w tym momencie, łączyła ich ze sobą

magiczna więź, w jej głowie odbiła się echem jego myśl.

- Nie mam ci co wybaczać, najdroższa... Nagle poczuła na ramieniu ciężką dłoń Dananna.

- Wystarczy, Bogini. Być może, sama będziesz wkrótce potrzebowała swojej siły.

Elphame niechętnie oderwała dłoń od żywego kamienia. W uszach szumiało, ręce wydawały się nienaturalnie ciężkie.

- Przynies Przywódczyni trochę wina! - zawołał stary centaur do Duncana. - Przynies też ciepłej wody

i czyste płótno, trzeba opatrzyć rany Lochlana!

Duncan nie ruszał się z miejsca, stary centaur dodał więc burkliwie:

- Może i nie jestem już młodzikiem, ale na pewno potrafię obronić Elphame przed kimś, kto jest ledwo

żywy.

- Idź, Duncanie - odezwała się słabym głosem Elphame i Duncan z posępną miną podążył, zgodnie z poleceniem centaury, w stronę kuchni.

- Usiądź, Bogini. Odpocznij - powiedział Danann. Elphame nie protestowała. Usiadła na marmurowej

posadzce, blisko Lochlana. Lochlan uśmiechnął się do niej z wyraźnym wysiłkiem i nadal wpierając się w kolumnę, osunął się w dół i usiadł koło Elphame. Wyglądał nadal bardzo źle, ale oddychał już lżej, trupioblade policzki zaczęły odzyskiwać normalną barwę.

- On nie zabił Brenny - powiedziała do Dananna.

- Oczywiście, że nie - burknął stary centaur, zajęty szukaniem czegoś w torbie Uzdrowicielki.

- Co?! - krzyknął Lochlan. - A więc ty od początku nie wierzyłeś, że ja ją zabiłem?!

Jedna z krzaczastych brwi Dananna powędrowała nieco wyżej.

- Oczywiście - powtórzył. - Od początku. Nasza Elphame jest za mądra, żeby brać sobie za męża jakiegoś potwora!

- To dlaczego kazałeś mi się spytać ducha kolumny? - spytała zdezorientowana Elphame.



- Przecież wiesz, Bogini, dlaczego - powiedział Danann.

Nie zdążyła otworzyć ust, bo odpowiedział za nią Lochlan.

- Musiałaś mieć całkowitą pewność. Nie tylko w sercu, także w duszy.

- Ale teraz... - Stary centaur spojrzał przenikliwie na Lochlana, potem na Elphame. - Zdajecie sobie sprawę, że ta prawda, niestety, może wcale nie wpłynąć na przebieg wypadków?

Lochlan oparł się ciężko o kolumnę. Jakby siły, które przekazała mu Elphame, nagle uległy wyczerpaniu.

- Ja jestem pewny tylko jednego - powiedział. - Mam już serdecznie dość tego ukrywania się. Niech Partholon w końcu dowie się o moim istnieniu. A co będzie potem? Wszystko w rękach Epony.

- No cóż... skoro chcesz zmierzyć się z całym Part-holonem, proponuję, że przedtem trochę cię umyjemy i opatrzymy twoje rany - oznajmił Danann i w tym momencie, jak na zawołanie, pojawił się koło nich Dun-

can. Bukłak z winem miał przerzucony przez ramię, niósł też małą miskę, dzbanek z wodą i kilka kawałków czystego płótna.

Danann, odebrawszy od niego dzbanek i płótno, dał znak ręką, żeby wino Duncan podał Elphame.

Elphame odebrała bukłak i strażnik odszedł na swoje miejsce koło fontanny.

- Napij się. Porządnie - poradził centaur Elphame.

Elphame nie oponowała. Przeciwnie. Ochoczo wykonała jego polecenie. Kiedy napiła się ożywczego trunku, szum w uszach znikł, siły zaczęły powracać.

Zadowolona, przykucnęła przy Lochlanie i przytknęła bukłak do jego ust, powtarzając dokładnie słowa starego centaura.

- Napij się. Porządnie.

Lochlan pił łapczywie, a Elphame miała teraz możliwość spojrzeć z bliska na jego rany.

- Strzałę trzeba wyjąć - powiedział Danann, jakby odgadując jej myśli. - Ranę na ramieniu

prawdopodobnie trzeba było zaszyć, ale wcześniej, teraz bolałoby go tak bardzo, że chyba nie warto tego robić.

Elphame skwapliwie pokiwała głową. Nie, wcale nie paliła się do zaszywania rany Lochlanowi.

- Zdejmij mu koszulę i obmyj go, na tyle, ile można - mówił dalej Danann. - Kiedy wyjmemy strzałę, ranę po niej trzeba będzie przypalić. Pójdę do namiotu Brenny i postaram się odnaleźć żelazny pręt, którego używała do tego celu. Trzeba będzie go rozgrzać...

Ścisnął lekko Elphame za ramię i odszedł, zostawiając ją sam na sam z Lochlanem.

Lochlan trzymał bukłak, Elphame, mając teraz wolne ręce, nalała wody do miski i namoczyła w niej kawałek płótna. Cały czas czując na sobie wzrok Lochlana.

- Nie w taki sposób zamierzałem przedstawić się klanowi - odezwał się po chwili cichym głosem.

- Na pewno nie - powiedziała równie cicho Elphame, myśląc o martwej, bezwładnej Brennie.

Jej palce, którymi zaczęła rozwiązywać tasiemki przy zaplamionej krwią koszuli Lochlana, nagle zadrżały. - Och, Lochlanie, wszystko poszło nie tak, tyle zła...

Lochlan przykrył dłonią jej dłoń.

- Ale nie nasza miłość, najdroższa. Dobrze, że nam się przydarzyła. Cokolwiek się stanie, nie żałuję ani jednej chwili z tobą, najdroższa.

- Milady, przyniosłem bulion.

Słyszając głos Brendana, Elphame poderwała głowę. Brendan przez chwilę wpatrywał się w złączone ręce, jej i Lochlana. Potem spojrzał na Lochlana. Lochlan, spokojnie cofając swoją dłoń, równie spokojnie wytrzymał jego wzrok.

- Daj mi swój nóż - powiedziała Elphame. Brendan wyraźnie chciał zadać jakieś pytanie, ale zmilczał. Podał nóż i patrzył, jak Elphame rozcina zakrwawioną koszulę Lochlana. Elphame rozsunała koszulę i oddała nóż Brendanowi, który z wielką ciekawością przyglądał się szerokiej piersi Lochlana i olbrzymim skrzydłom, wyrastającym z jego pleców.

- Lochlanie, wypijesz teraz ten bulion, czy poczekasz, aż...

Zamilkła, jej spłoszony wzrok przemknął po ramieniu, w którym tkwiła strzała.

- Teraz wypiję - powiedział Lochlan i delikatnie pogłaskał ją po policzku. - Z tego, co mówił centaur, wynika, że dobrze się teraz trochę wzmocnić.

Elphame, nie patrząc na Brendana, wyciągnęła rękę i mężczyzna bez słowa podał jej parujący kubek.

Lochlan

szybko wypił bulion, po czym skinął głową i Elphame zabrała się za przemywanie ran swego męża.

Świadoma, jak straszny ból go czeka.

Lochlan zamknął oczy i oparł się mocno plecami o kamienną kolumnę. Kiedy podnosił bukłak do ust, jego ręka lekko drżała.

Stukot kopyt oznajmił powrót Dananna. Kiedy przyklękał obok Lochlana, w starych kolanach chrupnęło. A w starych rękach centaur trzymał groźnie wyglądające nożyce.

- Najpierw muszę odciąć pióra. Przetnę strzałę tu, w tym miej scu... Potem liczę do trzech i wyciągam strzałę. A potem będzie moment najmniej przyjemny. - Centaur spojrzał na mężczyznę, stojącego

obok. - Brendanie, żelazo do przypalania jest w kuchni, w palenisku. Kiedy będę wyjmować już strzałę, masz natychmiast po nie pobiec.

- Czyli rzeczywiście nie będzie przyjemnie - stwierdził z sarkazmem Lochlan.

Danann uśmiechnął się.

- Na pewno nie dotyczy to przynoszenia żelaza. Lochlan niespodziewanie zaśmiał się, jego plecy za-  
drżały. Zaśmiał się i skrzywił z bólu.

- Zaczynajmy, Mistrzu Centaurze!

- Trzymaj pióra - powiedział Danann do Elphame.

Elphame, łapiąc za koniec strzały, wydała sobie w duchu szybki rozkaz. Zapomnij, że to Lochlan.

Teraz jest to dla ciebie całkiem obcy człowiek, któremu chcesz pomóc. Obcy... a jeszcze nie tak dawno opierała się o to właśnie ramię...

Nożyce szczęknęły, zamykając się na pręcie.

- Teraz pochyl się do przodu - polecił Danann. Elphame pomyślała, że Lochlan wcale się nie pochylił,

tylko zgiął się wpół. Rozerwane skrzydło zakrywało mu plecy. Elphame dotknęła skrzydła. Lochlan jęknął. Ale ona musiała to przecież zrobić. Jak najostrożniej zebrała skrzydło rękami i uniosła, odsłaniając zakrwawiony grot.

Sękate palce centaura mocno chwyciły za grot, drugą rękę wparł w plecy Lochlana.

- Na trzy! - powiedział. - Raz, dwa, trzy!

Mięśnie starego Mistrza Kamieniarza napięły się. Jednym zręcznym ruchem wyciągnął strzałę i natychmiast przycisnął do rany płótno, próbując zatamować szkarłatną rzekę krwi.

- Szybko! Przynies żelazo! - zawołała Elphame. Brendan już wybiegał z dziedzińca.

Lochlan z głową opartą na prawym rękę, leżał na marmurowej posadzce. Nieruchomo. Elphame pogłaskała go po włosach, czuła, że Lochlan drży.

- Już prawie koniec - powiedziała, starając się ze wszystkich sił, żeby jej głos się nie załamał.

Na dziedziniec wbiegł Brendan, trzymając przed sobą żelazny pręt o długości ręki mężczyzny.

Zaokrąglony koniec pręta jarzył się złowrogo. W ślad za Brendanem na dziedzińcu pojawiło się jeszcze kilka osób. Ustawili się za nim, popatrując trwożliwie na nieruchomego Lochlana.

Danann dał znak Brendanowi, żeby podał pręt.

- Lochlanie... - Głos starego centaura był bardzo spokojny. - Kiedy będę zamykał ranę, nie wolno ci się poruszyć. Czy chcesz, żeby cię przytrzymać?

Lochlan powoli odwrócił głowę, tak, że mógł spojrzeć na Elphame.

- Wystarczy mi... ona. - Wyciągnął rękę do Elphame. Palce Elphame kurczowo zacisnęły się na jego dłoni.

- Zbierz siły! — zawołał Danann, wbijając rozpalone żelazo w krwawą ranę.

W tym samym momencie rozległ się krzyk. Krzyk Elphame. Ciało Lochlana naprężyło się z bólu, swąd przypalanego ciała unosił się wokół nich jak odurzająca mgła. Oczy Lochlana nie odrywały się

do Elphame. Nie wydał żadnego dźwięku. Kiedy Danann w końcu wysunął z rany rozpalone żelazo i zaczął nakładać na ranę balsam, dopiero wtedy Lochlan zamknął oczy i ukrył twarz na swoim ramieniu. Nadal trzymając rękę Elphame.

- Elphame? Przyniosłam to dla niego.

Elphame spojrzała na Mearę. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest zalana łzami. Płacze.

Gospodyni przykucnęła i położyła na posadzce, tuż obok Lochlana, złożony w kostkę koc.

- Dziękuję - szepnęła Elphame.

Meara wycofała się, przed Elphame pojawiła się Kathryn, od niedawna pracująca w kuchni.

- Wynne kazała przynieść jeszcze bulionu. I gulasz dla milady.

Kathryn dygnęła, też przykucnęła i postawiła na posadzce koło Elphame tacę, na której stał kubek z gorącym bulionem i miseczka z gulaszem.

Z grupki osób, przyglądającej się bolesnej operacji, wysunęła się kolejna kobieta. Podeszła do

Elphame i uśmiechając się nieśmiało, zarzuciła na ramiona przywódczyni klanu wełniany szal.

- Wieczór jest chłodny, milady - powiedziała śpiewnie, co świadczyło, że jest jedną z miejscowych.

-

Trzeba dbać o zdrowie, milady.

Elphame, niezdolna teraz wymówić choć słowa, uśmiechnęła się z wdzięcznością. Jej załzawione

spojrzenie przemknęło po twarzach trzech kobiet, skupionych, zatroskanych, bez śladu odrazy.

- O, tak! Zdrowie najważniejsze, milady! - zawołał

jakiś mężczyzna, którego Elphame rozpoznała jako Angusa. Swoim okrzykiem przerwał pełną

skrępowania ciszę. Kilku mężczyzn podeszło do Elphame, zagadnęło ją półgłosem, popatrując

jednocześnie z nieskrywaną ciekawością na mężczyznę ze skrzydłami, któremu wystarczyło

dotknięcie przywódczyni ich klanu, by przejść zwycięsko przez tak morderczą próbę.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY**

Noc mijała powoli. Kiedy Danann i Elphame kończyli opatrywanie ran, Lochlan prawie się nie

odzywał. Wypił drugi kubek bulionu, po czym owinięty w koc od Meary oparł się o kolumnę i wydawało się, że zasnął.

Elphame nie chciała odejść od ukochanego, świadoma jednak, że jest nie tylko żoną, a także Przywódczynią Klanu, postanowiła, że teraz, kiedy Lochlan śpi, pójdzie do wielkiej sali zamkowej. Do członków swojego klanu.

Poszła tam. Przeszła przez salę, uśmiechnęła się do kilku osób, kilka osób zagadnęła, przede wszystkim jednak zależało jej, by członkowie klanu czuli jej obecność, swojej Przywódczyni.

Łzy Elphame już obeschły. Zanim przyszła do tej sali, przyczesła się, przebrała w czysty pled, spięty broszą przodków, broszą MacCallanów. Rozmawiano głównie

o zamku, o tym, co jeszcze jest tu do zrobienia. Nikt nie wspomniał o uskrzydłonym mężczyźnie, przykutym łańcuchami na głównym dziedzińcu. Ale wyczuwało się ogólną atmosferę wyczekiwania.

Co chwilę, nawet przy najłżejszym powiewie wiatru, głaszczącego grube zamkowe mury, spoglądano ukradkiem w stronę zamkowej bramy. Nikomu do głowy nie przychodziło udać się na spoczynek w wygodnym namiocie, chociaż wiele głów, zmorzonych sennością, opadało na piersi, po czym podrywało nagle i właściciel głowy rozglądał się dookoła półprzytomnym wzrokiem.

Wszyscy czekali, a godziny mijały. Wynne razem ze swoimi pomocnicami roznosiła kubki z mocną, czarną kawą i napełniała żołądki gęstym gulaszem.

Kiedy czerń nocy przeszła w miękką szarość świtu Elphame poszła na główny dziedziniec, żeby sprawdzić, jak czuje się Lochlan. Ktoś przyniósł krzesła dla Brendana

i Duncana, którzy nie zgodzili się, by ktoś inny pilnował uskrzydłonego więźnia. Obaj siedzieli bardzo blisko Lochlana, obaj pochłonięci rozmową z Lochlanem. W rezultacie Elphame, ogromnie zaskoczona, starała się podchodzić do nich jak najciszej, nadstawiając ucha.

- Sto dwadzieścia pięć lat, powiadasz? - Brendan z niedowierzaniem pokręcił głową. - Nie wyobrażam

sobie, żeby można było żyć tak długo. Przecież ty nawet nie wyglądasz na rówieśnika Dananna!

Elphame uśmiechnęła się, śmiech dźwięczał też w głosie Lochlana.

- I co z tego! Chciałbym być tak mądry i doświadczony jak on! Pod tym względem nie mam co się z nim równać.

- Nikt z nas nie może z nim się równać - stwierdził Duncan. - A wiesz... - Duncan na moment zamilkł, jakby szukał w głowie odpowiednich słów. - Widziałem, jak nasza przywódczyni prosiła ducha kamienia, żeby powiedział prawdę o tobie. Gdybyś był winien śmierci malej Uzdrowicielki, nie ukryłoby się to. On, ten duch, powiedziałby jej o tym.

- Nie zabiłem Brenny. Ale wyznam wam szczerze, że poczucie winy zabiorę ze sobą do grobu. Powiniennem był temu zapobiec! - powiedział Lochlan.

- Los potrafi być okrutny - stwierdził sentencjonalnie Brendan, Duncan pokiwał głową. - Oj, tak, tak...

- Panowie strażnicy, zbliża się ranek! - odezwała się dźwięcznym głosem Elphame, wstępując w krąg światła pochodni. - Wynne przygotowała dla was gorący posiłek. Zwalniam was na jakiś czas z posterunku.

Tym razem obaj strażnicy bez ociągania powstali ze swoich krzeseł, skłonili się przed swoją przywódczynią i w milczeniu opuścili dziedziniec. A Elphame, kiedy znalazła się z Lochlanem sam na

na sam, nagle, ku swemu przerażeniu, stwierdziła, że tak naprawdę nie wie, co ma mu teraz powiedzieć.

W rezultacie, żeby czymś się zająć, zaczęła robić porządek. Przykryła słoik z balsamem pokrywką, potem zaczęła zwijać i układać w schludny stosik płócienne bandaże, które nie zostały wykorzystane.

- Usiądź przy mnie na chwilę, najdroższa.

Ręce Elphame znieruchomiały. Podniosła głowę i spojrzała w szare wyraziste oczy Lochlana, pod którymi widniały teraz ciemne sińce. Był przeraźliwie blady, koc zsunął się z ramienia, owiniętego białym płóciennym bandażem. Na bieli purpurowa plama, z której sączyła się różowa wstążka krwi. Ale, jak zauważyła z wielką ulgą, siedział już pewniej, wyprostowany, choć nadal oparty plecami o twardą kolumnę, jakby kolumna ta, tak jak przedtem Elphame, dodawała mu siłę.

- Och, Lochlanie... - Elphame, wzdychając głęboko, przysiadła obok niego na marmurowej posadzce.

- Jak trudno jest podejmować decyzje - powiedziała żalosnym głosem. - Jak trudno pogodzić to, kim jestem, z tym, co czuję!

Łańcuchy zabrzęczały. Lochlan wziął Elphame za rękę.

- Wszystko, co robisz, Elphame, jest słuszne. Oni są wierni tobie. Nie musisz się martwić, że stracisz swój klan.

- A ciebie? Czy nie powinnam się martwić, że stracę ciebie?

- Mnie nie możesz stracić, najdroższa.

- A co będzie, jeśli Cuchulainn nie odnajdzie twoich ludzi? Albo pozabija ich i nie będą mogli zeznawać? Albo przyprowadzi ich tu żywych, a oni skłamią? Lochlanie, przecież nikt z całego klanu, oprócz Dananna i mnie, nie potrafi wyczuć prawdy za pośrednictwem duchów kamienia! Co będzie, jeśli obwinia ciebie? Cuchulainn będzie chciał cię zabić! Jeśli uda mi się go powstrzymać i tak będę musiała skazać cię na wygnanie! Rozumiesz?!

- Rozumiem, Elphame. Zrobisz to, co musisz zrobić. Ale ani śmierć, ani wygnanie nie zabije mojej miłości do ciebie. Poza tym, nie zapominaj, że wszystko w rękach Epony. A ja wierzę w Boginię, tak, jak przedtem wierzyła moja matka.

Elphame bezradnie potrząsnęła głową.

- Ja niestety, nie posiadam tak głębokiej wiary jak ty. Lochlan uśmiechnął się.

- Czy naprawdę, najdroższa? Zostałaś dotknięta przez Boginię jeszcze zanim się urodziłaś! Może powinnaś po prostu bardziej zaufać sobie, żeby usłyszeć Jej głos?

Elphame podniosła jego rękę i przytuliła się policzkiem do ciepła jego dłoni.

- Jesteś pewien, że nie jesteś tak mądry jak Danann?

- Absolutnie pewien - odparł, głaszcząc ją po policzku. Elphame nachyliła się i pocałowała go delikatnie. Skrzydła mimo woli poruszyły się, Lochlan nie dał rady stłumić jęku. Elphame, bardzo zaniepokojona, szybko odsunęła się od niego i odruchowo podniosła rękę, żeby dotknąć poranionego



skrzydła. Na szczęście, w porę się powstrzymała, nie chciała przecież sprawiać mu więcej bólu.

- Skrzydło się zagoi, Elphame - powiedział Lochlan, próbując ją pocieszyć, choć sam mówił zachrypniętym, słabym głosem. - Gdybym był słabeuszem, nie przeżyłbym na Pustkowiu i łatwo byłoby mnie złamać.

- Ale to twoje skrzydło!

- Zagoi się - powtórzył z uśmiechem. - Usiądź przy mnie bliżej, najdroższa. Nie bój się mnie dotknąć.

Ale Elphame nie zdążyła ani przysunąć się do niego, ani dotknąć. Przeciwnie, odsunęła się od niego dalej, słysząc stukot wielu, wielu kopyt. Wstała i z bijącym sercem czekała na chwilę, kiedy stanie twarzą w twarz z Cuchulainnem i z mrocznymi wieściami, które zapewne przywiózł ze sobą.

Kiedy brat wjechał na dziedziniec, prawie go nie poznała. Był spryskany krwią i błotem, tak samo jak

jasnozłocista Brighid, która pojawiła się obok niego. Ale nie o to chodziło, o to błoto i krew. Przede wszystkim zmieniona była twarz, po walce i z wyczerpania. Stężała, nieruchoma jak maska, twarz

obcego człowieka. Za wojownikiem i Łowczynią tłoczyli się mężczyźni na koniach i centaury. Wśród

jeźdźców Elphame rozpoznała kilku miejscowych z Loth Tor. Ktoś krzyknął głośno, że

już przyjechali i cały klan, czekający w wielkiej sali, wyległ na dziedziniec.

Cuchulainn zatrzymał konia, zeskoczył na ziemię i odwinął gruby sznur, który był owinięty wokół

łęku jego siodła. Podchodząc do Elphame, nie wypuszczał tego sznura z rąk, ciągnąc za sobą to, co

było przywiązane na jego drugim końcu. Elphame wstrzymała oddech, po chwili zrobiła głośny

wydech, czego nie było słychać, bowiem wszyscy, jak jeden mąż wydali z siebie głośny okrzyk, kiedy

w kręgu światła pojawiły się uskrzydłone postacie. Elphame usłyszała szcęk łańcucha. To pewnie

Lochlan próbował wstać. Ale nie obejrzała się, bo jak wszyscy, nie była w stanie oderwać oczu od

skrzydlatych jeńców, pojmanych przez jej brata.

Było ich czworo, trzech mężczyzn i jedna kobieta. Każdy z nich miał skrępowane ręce przed sobą,

koniec sznura najpierw owinięty był wokół szyi, potem krępował ręce następnego jeńca. W ten

sposób, jeśli jeden z jeńców upadł i pociągnął go koń Cuchulainna, naprężony sznur przyduszał pozostałych jeńców. Wszyscy byli brudni, podrapani, pokaleczeni, ale to nie na widok tych ran w sercu Elphame zakłuło. Zakłuło, kiedy zobaczyła skrzydła. Kiedyś wielkie i dumne, teraz zakrwawione strzępki zwisające z cienkich kości. Tyle pozostało z dowodu ich siły, danej im przez czarną krew.

One nigdy się nie zagoją, uzmysłowiła sobie Elphame z wielkim żalem.

- Byli tam, gdzie on powiedział - poinformował ją Cuchulainn nieswoim głosem, teraz tak samo dla niej obcy jak jego twarz. - Niełatwo było ich schwytać, ale ze zbrodniarzami zawsze tak jest.

Pociągnął mocno za sznur. Mężczyzna, stojący najbliżej niego, bliźniaczo podobny do mężczyzny, z którym

był związany, potknął się i upadł, pociągając za sobą pozostałych jeńców.

Łańcuchy zabrzęczały. Lochlan wysunął się do przodu jak najdalej, na całą ich długość.

- Pokonałeś ich już, Cuchulainnie. Nie musisz ich torturować.

Wzrok Cuchulainna zapłonął.

- Oni zamordowali Brennę!

- Nie oni. Ja ją zabiłam.

Oczy wszystkich zwróciły się ku kobiecie ze skrzydłami. Na jej ciele widać było najmniej ran, nawet skrzydła były mniej poszarpane niż skrzydła mężczyzn. Kiedy mówiła, starała się trzymać prosto, skrzydła mieć złożone na plecach. Swoje srebrzyste włosy odrzuciła w tył, oczy koloru lodu spoglądały z pogardą na otaczających ją ludzi i centaurów. Elphame, spoglądając na nią, pomyślała, że ta istota jest po prostu zatrwazająco piękna, tą urodą płonąca, jak niebezpieczny biały płomień.

- Nie odzywaj się, Fallon - syknął jasnowłosy mężczyzna, stojący obok niej, ale ona, nie zwracając na niego uwagi, wbiła swój lodowaty wzrok w Lochlana.

- Czas milczenia minął, prawda?

- Fallon, dlaczego... - zaczął Lochlan, ale zamilkł, kiedy Elphame dotknęła jego ręki.

Na pięknej twarzy Fallon pojawił się szyderczy uśmiezek.

- Oczywiście! Nie odzywaj się, Lochlanie, dopóki ona ci na to nie pozwoli! Jesteś w jej rękach tylko marionetką!

Szyderczy uśmiech i te słowa wzbudziły w Elphame wielki gniew. Jej głos teraz był w tym samym stopniu lodowaty, co lodowate oczy kobiety ze skrzydłami.

- Uważaj na słowa. Jestem Przywódczynią Klanu MacCallanów i to ja decyduję o twoim losie.

Kobieta ze skrzydłami znów rozciągnęła usta w uśmiechu, złym uśmiechu, wręcz okrutnym, i Elphame nie miała już żadnych wątpliwości, że stoi teraz twarzą w twarz z szaleństwem.

- Moja zmarła przed wieloma laty matka, która była człowiekiem, ucieszyłaby się teraz bardzo, że w końcu pojęłam, na czym polega ironia - wysyczała kobieta ze skrzydłami. - Dziś rzeczywiście ty decydujesz o moim losie, Bogini, choć, skoro już o losie mowa, to do dnia dzisiejszego twój los był przesądzony. Miał się dopełnić w chwili, gdy miałaś być złożona w ofierze...

- Zamilcz, Fallon! - ryknął Lochlan, starając się przekrzyczeć gniewne głosy, dobiegające teraz zewsząd. Klan burzył się, groźenie Przywódczyni nikomu nie mogło ujść bezkarnie.

Elphame podniosła rękę, nakazując wszystkim ciszę i zaczęła podchodzić do Fallon. U boku Elphame natychmiast pojawił się Cuchulainn. Kiedy oboje podchodzili do uskrzydłonej kobiety, mężczyzna obok niej poruszył się niespokojnie. Elphame słyszała pobrzękiwanie łańcuchów Lochlana, ale zignorowała to, tak samo jak gniew, emanujący z jej brata. Jej uwaga była teraz całkowicie skupiona na Fallon.

- Wytłumacz się!

Fallon uniosła wyżej głowę.

- Spytaj swojego ukochanego, jaki był prawdziwy powód jego przybycia do Partholonu. Przybył tu nie

dlatego, że marzył o tobie od chwili twoich narodzin. To coś więcej, o wiele więcej! Ale może ty już się tego domyślasz!

Znów rozległy się gniewne, podniesione głosy członków klanu, znów Elphame podniosła rękę, nakazując ciszę i teraz ona przemówiła:

- Masz na rękach krew niewinnej kobiety, sama się do tego przyznałaś. I masz jeszcze czelność stać tu, w sercu mojego zamku, i wypluwać z siebie jakieś półprawdy i zagadki!

Gniew pulsował w całym ciele Elphame, przybierał na sile. Czarne gęste włosy, nagle tracąc cały ciężar, zaczęły powiewać wokół głowy, wydając ciche trzaski. Głos Elphame, teraz o wielkiej mocy spotęgowanej przez magię, zażądał powtórnie:

- Wytłumacz się!

Oczy Fallon rozszerzyły się na widok tak oczywistego dowodu mocy Bogini, ale wcale nie spokorniała. Wydawało się, że widok ten tylko podsycy jej szaleństwo.

Teraz swój wzrok, płonący łód, skierowała na Lochlana.

- A więc w końcu dopadły cię twoje własne kłamstwa! Rozpoznałeś w niej Boginię, ale z powodu tej

swojej obsesji postanowiłeś zatrzymać ją tylko dla siebie! Tylko ty napiłeś się jej krwi, tylko z ciebie zostało zdjęte przekleństwo! A co z nami? Nas masz już za nic?!

- Fallon, zabiłaś człowieka. Popadasz w szaleństwo, twoje słowa nie mają już żadnego znaczenia - powiedział Lochlan, ale Elphame zauważyła, że po jego twarzy przemknął cień. Wyrzuty sumienia?

Czyli jednak czuł się winny?

Nie miała czasu nad tym się zastanowić, bo w tym momencie rozległ się mocny głos Cuchulainna.

- Ten jeden raz zgadzam się z człowiekiem ze skrzydłami. Słowa tej kobiety nie mają żadnego znaczenia. Ta kobieta zabiła Brennę, ta kobieta musi umrzeć.

- Nie! - krzyknął z rozpaczą mężczyzna, stojący obok Fallon. - Ona zrobiła to tylko po to, by ocalić naszych ludzi! Lochlan, nasz przywódca, zawiódł nas! Odmówił

złożenia w ofierze Bogini z kopytami, wtedy Fallon uznała, że nie ma wyboru.

Gniewny okrzyk Cuchulainna odbił się echem w gniewnych okrzykach członków klanu. Szczęknięty miecze, kilku mężczyzn rzuciło się do przodu, jakby zamierzali wszystkie te uskrzydłone kreatury

posiekać na kawałki.

- Cisza! - Głos Elphame, znów o niespotykanej sile, przetoczył się przez całą salę i zamknął wszystkim usta, kazał wszystkim znieruchomieć.

W tej ciszy, wypełnionej mocą Bogini, nagle rozległ się szyderczy śmiech Fallon.

- Myślałam się, Bogini. Ty, tak wszechmocna, nie wiedziałaś jednak o niczym. Nie miałaś pojęcia, że Lochlan odszukał cię, by spełnić Przepowiednię. Uwierzyłaś w jego przesłodzone słowa o miłości. Łańcuchy znów zabrzęczały.

- Sama nie wiesz, co mówisz! - krzyknął Lochlan, ale Fallon dalej zionęła jadem.

- To twoja wina, Lochlanie, że tamta kobieta straciła życie! Gdybyś spełnił Przepowiednię, nie musiałabym jej zabijać! Bo to był jedyny sposób, żeby wywabić twoją ukochaną z jej fortecy! - Znów śmiech obłąkanej istoty wypełnił dziedziniec, na chwilę, bo nagle ucichł, z twarzy Fallon znikło szaleństwo, jasne oczy, pozbawione koloru zalśniły od łez. - A ty... ty zdradziłeś nas, w taki podły, nieodwracalny sposób! - zawołała, dotykając długimi, szczupłymi palcami brzegu porwanego skrzydła. Jakby jeszcze nie wierzyła, że to zmaltretowane skrzydło należy do niej. - Och, Keir! Co on nam zrobił! Co on nam zrobił... - Wybuchnęła płaczem.

Mężczyzna stojący obok niej objął ją ramieniem, a Elphame odwróciła się do nich plecami.

Specjalnie, czując się tak, jakby przekroczyła już granicę swojej

wytrzymałości. Był już gniew, zaskoczenie, lęk. Teraz nie czuła nic, tylko dziwne odrętwienie, kiedy zwracała się do Lochlana:

- Powiedz mi, co to za Przepowiednia.

Lochlan nabrał głęboko powietrza. Mimo że przykuty łańcuchami, ranny i poobijany, stał wysoki i dumny. Wyglądał raczej jak uskrzydłony bóg, a nie więzień. Kiedy przemówił, jego mocny, niski głos rozbrzmiewał po całym zamku, hipnotyzując cały zebrany klan.

Ale on widział tylko Elphame.

- Jak wiesz, moją matką była Morrigan, najmłodsza siostra MacCallana, który był ostatnim przywódcą

tego klanu. Jak wiele kobiet z rodu MacCallanów, moja matka została dotknięta przez Eponę.

Przekazała mi głęboką wiarę, tak samo jak Przepowiednię, którą, jak przysięgała, Epona wyszeptała jej we śnie. Przepowiednia mówi o tym, że nasi ludzie będą ocaleni przez krew umierającej Bogini.

Zamilkł, ale wydawało się, że jego słowa, wcale nie ulotne jak słowa, zmaterializowały się i dalej istnieją, unosząc się w powietrzu wokół niego. Co przypominało Elphame, jak to było z jego

imieniem. Kiedy wołała go, miała też wrażenie, że jego imię magicznym sposobem staje się realne.

- Bogini obiecała matce, że to ja będę tym, który spełni Przepowiednię. Matka wierzyła w to głęboko,

umierała, wierząc, że pewnego dnia dzięki mnie obietnica Epony się spełni. Kiedy zacząłem śnić o dziecku dotkniętym przez Eponę, dziecku zrodzonym z człowieka i centaury, wiedziałem, że modlitwy matki zostały wysłuchane.

Uśmiech rozjaśnił twarz Lochlana, szare oczy, wpatrzone w Elphame, rozbłyły szarym blaskiem. Na jedną chwilę zasłuchany tłum przestał istnieć.

Byli tylko oni, Lochlan i Elphame.

- Myślę, że pokochałem cię, kiedy byłaś jeszcze dzieckiem. Kiedy przeistoczyłaś się w piękną, młodą kobietę, zakochałem się. A kiedy zobaczyłem, jak przemawiasz do swoich ludzi przed zrujnowaną bramą zamku MacCallana, przysięgłem sobie, że zrobię wszystko, żeby włos nie spadł ci z głowy.

Wszystko, nawet jeśli ceną za to będzie skazanie moich ludzi na wieczne wygnanie i obłąd.

- A więc to byłeś ty! - odezwała się niespodzianie Brighid. - Ty uratowałeś Elphame, kiedy spadła do

jaru!

- Tak - potwierdziła Elphame, nie odrywając oczu od Lochlana. - Gdyby Lochlan nie zabił dzika, na pewno bym zginęła.

- Ale ja jednego nie rozumiem... - Głos Brighid ginął w ogólnej wrzawie i okrzykach zdumienia. -

Czemu ma służyć ta Przepowiednia? Jeśli nie są naszymi wrogami, jeśli wcale nie zamierzają śladem

ojców wszczytać z nami wojny, to dlaczego po prostu nie przybędą do Partholonu w zamiarach pokojowych? Dlaczego uważają, że muszą złożyć w ofierze życie Elphame?

- Dlatego, że popadają w obłąd - powiedziała Elphame, nagle wszystko pojmując. - Ciemność, jaką mają w swojej krwi, chce, żeby poddali się jej całkowicie. Walczą z tym, im bardziej walczą, tym większy odczuwają ból. Czasami obłąd zwycięża... - Elphame wskazała na Fallon, nadal przytuloną do swego męża, i mówiła dalej, spokojnym głosem, przemykając spojrzeniem po twarzach zebranych ludzi. - Na Pustkowiu rodzą się dzieci, dzieci, które też mają w sobie krew człowieka, z wieloma z nas na pewno łączy je pokrewieństwo. Te dzieci są w najtrudniejszej sytuacji. Nie mają matek, które są tylko człowiekiem, nie ma więc kto uczyć ich człowieczeństwa.

Cuchulainn uśmiechnął się szyderczo.

- Czyli wierzą, że Epona życzy sobie ofiary z Elphame, wtedy jej krew wymaże z nich szaleństwo?

Dla mnie cała ta Przepowiednia to jakiś obłąd!

- Może i częściowo masz rację, Cuchulainnie - powiedział Lochlan. - Bo ja doszedłem do wniosku, że

przez dziesiątki lat źle rozumieliśmy tę Przepowiednię.

Poszarpane skrzydła zaszeleściły. Fallon jednym gwałtownym ruchem wyrwała się z objęć męża, wypluwając z siebie jedno słowo:

- Kłamiesz!

- Nie - powiedział po prostu Lochlan. - Posmakowałem jej krwi. Wyczytałem w niej prawdę.

W pełnej zdumienia ciszy, jaka teraz zapadła, palce Elphame bezwiednie dotknęły dwóch strupków na szyi.

- Co on powiedział? - Te słowa wypowiedziane zostały głosem cichym, z wielkim trudem, jakby

Cuchulainn całym sobą opierał się przed ich wypowiedzeniem. Ale powiedział, cicho, i choć z trudem, w jego głosie była już groźba.

Elphame spokojnie stawiała czoło gniewu brata.

- Lochlan jest moim mężem. Złożyliśmy sobie przysięgę, nasze małżeństwo zostało skonsumowane.

Lochlan posmakował mojej krwi, co jest częścią obrzędu małżeńskiego zespolenia.

Cuchulainn patrzył na siostrę, jakby jej nie poznawał. Elphame wołała odwrócić wzrok. Już teraz, zanim straci odwagę.

- I co powiedziała ci moja krew, Lochlanie? - spytała, szczęśliwa, że jej spokojny głos nie zdradza, co dzieje się teraz w jej duszy.

- Przepowiednia mówi, że będziemy uratowani przez krew umierającej Bogini. Ale Przepowiednia wcale nie

mówi o śmierci fizycznej, o złożeniu krwawej ofiary. W Przepowiedni chodzi o coś innego. Chodzi o to, żeby czarna krew naszych ojców dostała się do twojego ciała, zmieszała się z twoją krwią, a potem zastąpiła ją całkowicie. Kiedy to się stanie - a może, bo jesteś dotknięta przez Boginię - przejmiesz na siebie szaleństwo naszych ojców. Ty jedna będziesz toczyć walkę, jaką teraz codziennie toczą moi

ludzie, żeby wytrwać przy człowieczeństwie... - Lochlan zamilkł na chwilę, sam przerażony tym, co teraz mówi - my pozbedziemy się oblędu, ale dla ciebie będzie to gorsze niż śmierć. Będzie to śmierć twojego człowieczeństwa.

- Nigdy! - warknął Cuchulainn. Nie tylko on. Wśród członków klanu znowu zawrzało, a Elphame stała

nieruchomo, wpatrzona w swego męża. Kiedy patrzyli sobie w oczy, w pamięci Elphame po raz kolejny odżył widok przerażonej twarzy Lochlana, gdy po wypiciu jej krwi uciekł od niej. Była pewna, całym sercem i całą duszą, że jej mąż powiedział teraz prawdę, tylko prawdę i nadeszła pora dokonać wyboru. Natychmiast.

Uczyliła to. Wybrała. Zaakceptowała swój wybór i szybko odwróciła twarz od Lochlana, żeby nie mógł wyczytać z jej oczu, jaką decyzję podjęła.

Podniosła rękę, nakazując ciszę.

- Wyrok zapadł.



W tym momencie nie była ani siostrą, ani żoną. Była tylko Przywódczynią Klanu MacCallanów. Jej słowa rozbrzmiewały po całym zamku, zamienionym w słuch.

- Cuchulainnie, poniosłeś wielką stratę. Tak samo wielką poniósł nasz klan. Należy się zadośćuczynienie.

Odwróciła się od brata i stanęła twarzą w twarz z Fallon.

- Zabrałaś życie niewinnej istocie. Za to zostanie odebrane życie tobie.

Cuchulainn natychmiast ruszył ku kobiecie ze skrzydłami. W ręku Cuchulainna był miecz, gotów zadać śmiertelny cios.

- Nie! - krzyknął przeraźliwie Keir.

- Nie możesz jej ocalić. Możesz tylko umrzeć razem z nią.

W głosie Cuchulainna była tylko śmierć.

Fallon, nie zważając na rozpaczliwy krzyk męża, wysunęła się do przodu, jakby spieszyło jej się na spotkanie z mieczem wojownika.

- W takim razie zabij mnie. Pokaż, jakim jesteś barbarzyńcą, ty... człowieku! - powiedziała wyniośle.

Jeden ruch ręki i brudna, poszarpana suknia opadła na ziemię, odsłaniając jasne ciało. Szczupła dłoń

Fallon zsunęła się niżej i pogłaskała wypukły brzuch.

- Wiedz o tym, że zabijając mnie, zabijasz też moje nienarodzone dziecko.

Elphame nie musiała wydawać rozkazu, żeby brat się zatrzymał. Miecz Cuchulainna, uniesiony, by zabić, zadrżał i powoli opadł. Ostrze dotknęło marmurowej posadzki. Pełne bólu i cierpienia oczy

Cuchulainna spojrzały na siostrę.

- Brenna nazwałaby to zemstą, a nie sprawiedliwością, gdyby w zamian za jej śmierć zginęło niewinne

dziecko. Ja... ja może i bym to zrobił, ale Brenna by mi tego nigdy nie przebaczyła. Jej duch będzie mnie za to prześladował.

- Zgadzam się z tobą, Cuchulainnie - powiedziała Elphame twardym głosem. - Ktoś jednak musi

zapłacić za śmierć Brenny.

- Fallon jest moją żoną. Dziecko jest moje. Weźcie moje życie - wyrzucił z siebie Keir. Krzywiąc się z bólu, pochylił się, żeby zebrać z posadzki ubranie

i podał je żonie. Fallon nie odezwała się, ale Elphame pomyślała, że to, co dostrzegła teraz w oczach kobiety ze skrzydłami na pewno nie było nienawiścią ani obłędem.

- Czy wiedziałeś, że Fallon zamierza zabić Brennę? - spytała Keira.

- Nie, Bogini - odparł, spoglądając jej prosto w oczy. W jego głosie słychać było wielką gorycz. -

Przybyliśmy tutaj, żeby spełnić Przepowiednię, a nie dokonywać rzezi niewinątek. Niezależnie od tego, co o nas myślą ludzie, na pewno jesteśmy inni niż nasi ojcowie.

- To nie twoja wina, Keir, że twoją żoną zawładnęło szaleństwo. Nie jesteś winien śmierci Brenny -

powiedziała Elphame, po czym bardzo powoli, z godnością odwróciła się, żeby stanąć twarzą w twarz

z Lochlanem. Szmer rozmów ucichł, w ciszy, jaka teraz zapadła, słowa Lochlana zabrzmiały bardzo mocno, zdecydowanie.

- Keir nie jest winien śmierci Brenny. Ale ja jestem. Jestem przywódcą moich ludzi. Jestem także tym, który ich zdradził.

- Mądre słowa, mój mężu.

Mężu... W ciszy, wręcz ogłuszającej, słowo to zaistniało tylko przez moment. Ledwo wypowiedziane,

ledwo odbiło się echem, zbyt kruche, żeby istnieć dalej, skryształizowało się i rozpadło na tysiące kawałeczków.

Elphame pewnym ruchem wyciągnęła rękę po miecz Cuchulainna. Brat bez słowa wsunął jej w dłoń rękojeść. Elphame zacisnęła na rękojeści palce i powoli, równym krokiem podeszła do stojącego nieruchomo Lochlana. Zatrzymała się, bardzo blisko niego, w takiej jednak odległości, żeby łańcuch nie pozwolił mu jej dotknąć.

Lochlan, nie zwracając uwagi na tłum ludzi, powiedział jej to, co dyktowało mu serce.

- Kiedy składaliśmy sobie przysięgę, powiedziałem

ci, że pójde za tobą wszędzie, nawet gdyby miało to prowadzić do mojej śmierci. Nie żałuję tej przysięgi, tak jak nie żałuję naszej miłości. Kiedy odpowiedziałem na twoje wezwanie i przyniosłem ciało Brenny, wiedziałem, że oznacza to kres mojego życia. Pogodziłem się z tym. Tak samo teraz uznaję słuszność twojej decyzji, każdej decyzji.

Uśmiechnął się, bez cienia goryczy. Tym uśmiechem przekazując jej całą swoją miłość.

A Elphame, zamiast zadać mu cios, odwzajemniła uśmiech.

- Kiedyś powiedziałaś mi, Lochlanie, że usłyszę głos Epony, jeśli bardziej zaufam sobie. Miałaś rację.

W końcu uwierzyłam w siebie na tyle, że usłyszałam Jej głos. Ja zaufałam sobie, teraz ty musisz mi też zaufać.

- Ufam ci, najdroższa - powiedział i rozpostarł szeroko ręce, żeby bez trudu zadała mu śmiertelny cios.

- To dobrze, bo niebawem będzie mi to bardzo potrzebne...

Elphame odwróciła głowę, odszukała spojrzeniem brata.

- Wybacz, Cuchulainnie.

Nabrała głęboko powietrza dodającego sił i w tym momencie w oczach Cuchuainna pojawiło się przerażenie, zrozumiał bowiem, co zamierza uczynić jego siostra.

- Powstrzymajcie ją! - krzyknął rozpaczliwie, rzucając się do niej. Prawie jednocześnie rozległ się krzyk Lochlana, który szarpiąc łańcuchami jak szalony, próbował sięgnąć ukochanej.

Ale Elphame była szybsza niż wszyscy. Ostre jak brzytwa ostrze miecza przesunęło się od nadgarstka po łokieć, pozostawiając po sobie długie, śmiertelnie

głębokie cięcie. Potem pospiesznie, bojąc się, że Cuchula-inn dobiegnie do niej, przełożyła miecz do drugiej ręki, żeby dokończyć to, co zaczęła. Ale zaczynała już słabnąć, palce nie były w stanie uchwycić mocno za rękojeść. Płacząc w duchu z powodu swojej bezsilności, błagała

o jeszcze trochę czasu. Kamień, na którym stała, usłyszał jej bezgłośnie błaganie i przekazał je komuś.

Ten ktoś przybył. Przez szkarłatną mgłę Elphame zobaczyła, jak u jej boku materializuje się duch

MacCallana.

- Jestem tu, dziewczyno. - Duch podniósł swoją jaśniejącą rękę i nagle wokół Elphame wyrósł mur. Półprzezroczysty mur, wzniesiony z magicznych sił. Krąg mocy, który powstrzymał nadbiegającego Cuchulainna. - Nie, Cuchulainnie! - przemówił duch metalicznym głosem, jakby wydobywał się z dzwonu żałobnego. - Nie możesz zmienić przeznaczenia Przywódczyni Klanu MacCallanów. To ona dokonuje wyboru, nie ty.

Ale Cuchulainn go nie słuchał i waląc pięściami w niewidzialną barierę mocy duchów, krzyczał rozpaczliwie:

- Elphame! Nie rób tego! Elphame!

Elphame, starając się pokonać zawroty głowy, z trudem przełożyła miecz do lewej ręki, zalanej krwią.

Zacisnęła zęby i nie zważając na ból, przycisnęła ostrze miecza do nietkniętego nadgarstka prawej dłoni. Przesunęła ostrze po żyłę biegnącej do łokcia i wtedy dopiero miecz wysunął jej się z rąk. Z głośnym brzękiem upadł na marmurową posadzkę, a Elphame czuła, jak ciepła krew wypływa jej z ciała, obmywając jej ręce i nogi.

Powoli, jakby poruszała się we śnie, podniosła głowę

i poprzez krąg mocy ducha swego przodka, którego wezwała, spojrzała na Lochlana. Płakał, dalej walcząc zaciekle i nadaremnie z łańcuchem.

W głowie Elphame powstał szum, prawie nie słyszała swojego własnego głosu.

- Uratuj mnie, a ja uratuję ciebie, Lochlanie. Wypowiedzenie tych kilku słów kosztowało ją zbyt wiele wysiłku. Cały świat przed jej oczami zaczął szarzeć, sił ubywało. Powoli osunęła się na kolana, w uszach zadźwięczał znów metaliczny głos ducha, zwracającego się do Lochlana.

- Ty sam wiesz, co masz zrobić, mój siostrzeńcze. Duch znikł, znikł krąg mocy. Cuchulainn z rozpaczliwym okrzykiem dopadł do siostry i porwał ją w ramiona.

- Cuchulainnie! Przyprowadź ją do mnie! Szybko! Zanim zemdleje! - zawołał Lochlan.

Rozwścieczone oczy Cuchulainna odszukały twarz Lochlana.

- Zaufaj mi! Zaufaj, Cuchulainnie!

Wojownik nie wahał się już ani sekundy dłużej. Natychmiast zaczął ciągnąć siostrę do Lochlana, pomagało mu w tym wiele silnych rąk członków klanu, podążających razem z nim coraz szerszym szlakiem z krwi Przywódczyni Klanu.

Lochlan opadł na kolana, jego ramiona zamknęły się wokół bezwładnego ciała Elphame.

- Miecz! Dajcie mi miecz!

Natychmiast wsunięto mu do ręki zakrwawioną rękojeść. Lochlan błyskawicznym ruchem przeciął ostrzem skórę na piersi, tuż nad sercem i odrzucił miecz od siebie, ze wstrętem, jakby był to jakiś natrętny owad. Objął dłońmi głowę Elphame i przycisnął jej zimne wargi do rany na swojej piersi.

- Pij, najdroższa, pij! - powiedział błagalnym głosem, ale Elphame nie poruszyła się, nie odpowiadała.

Oczy nadal miała zamknięte.

— Pij, Elphame! - zawołał załamującym się głosem. - Zrobiłem to, o co prosiłaś! Teraz jedyną szansą,

żebyś przeżyła, jest spełnienie Przepowiedni. Pij!

Czuł, jak zimne wargi Elphame przy jego piersi poruszyły się. Zaraz potem Elphame, krztusząc się, przełknęła. Jej powieki uniosły się, spod powiek wypłynęły łzy, skrzące się na różowo. Usta znów przywarły do rany.

Wchłaniała krew demonów. Najpierw czuła w ustach tylko metaliczny smak krwi, potem ciepło, potem żar. Krew była tak gorąca, jakby piła z rzeki wypływającej z wulkanu. Ale nie mogła oderwać się od rany, a po chwili sama już nie chciała. Gorąca krew uwodziła ją, wypełniała jej ciało i pieściła jej duszę hipnotyzującą mroczną siłą. Wnikało w nią całe szaleństwo rasy Fomorian.

Już nie krwawiła. Rany na rękach wyschły, zamknęły się same. W głowie pojawiły się dziwne, nieznane dotąd myśli.

Krew... nigdy nie będzie miała jej dość... może wypić wszystko, nie zostawić w nim ani kropelki...

może stworzyć swoją własną armię... ona, na wpół demon, na wpół bogini... ale najpierw musi zabić Lochlana... zdrajcę...

Zabić Lochlana? Swojego męża?

Przez mgłę szeptów demonów przebiła się świadomość, jej własna świadomość. Elphame z cichym okrzykiem oderwała wargi od piersi Lochlana i na czworakach zaczęła odsuwać się od niego, czując, jak narasta w niej paniczny strach. Nagle uzmysłowiła sobie, że ta purpurowa kałuża na posadzce i purpura na jej ciele to jej własna krew.

Jej krew? Nie, to już nie jest jej krew. Krew w jej żyłach nieodwołalnie zmieszała się z krwią demonów.

Teraz ona jest demonem... Nie ma wyboru. Musi to zaakceptować, musi dalej z tym żyć...

- Elphame... - wydyszał Lochlan, blady jak ściana,

osuwając się na posadzkę - nie słuchaj tych złych, podstępnych szeptów. Walcz z nimi, walcz!

A wokół Elphame wirowały upiorne dźwięki śmiechu szalonej Fallon.

- Elphame? - Cuchulainn, rozpostarłszy ramiona, podszedł powoli do siostry i zaczął błagać ją załamującym się głosem. - Chodź do mnie, Elphame! Nie możesz mnie tak zostawić, siostro! Nie możesz! Ja tego nie przeżyję.

Elphame, nadal na czworakach, zadrżała, słysząc czułe słowa od osoby tak bliskiej. Cuchulainn był zrozpaczony, a do rozpacz doprowadziła go ciemność, ten mrok, który ona zaakceptowała. Do którego ona sama teraz należała. Słyszała przecież te głosy, wijące się w niej, kłębiące, jak tysiące czarnych owadów trzepoczących pod jej skórą.

Tak... Tak... wyczuwasz nas... słyszysz nas... teraz my jesteśmy tobą...

- Nie jestem już twoją siostrą. Nie możesz mi pomóc. Nie poznawała swojego głosu. Brzmiał teraz całkiem

inaczej. Nie rozpoznawała twarzy otaczających ją ludzi, teraz w nią wpatrzonych. Z jej myśli, wspomnień pozostały już tylko strzępki, wszystko wymykało się, tonęło w pulsującym w niej

strumieniu ciemności. Czują się jak w potrzasku.

Przerażona, spojrzała za siebie i nagle napotkała wzrok pochylonego nad nią starego centaury.

- Wezwij duchy kamienia - powiedział. - One ci pomogą.

Elphame gwałtownie pokręciła głową. Nie. Duchy na pewno nie odpowiedzą na jej wezwanie. Była sama, zagubiona w szaleństwie, jakie przeniknęło do jej krwi, szaleństwie, które wymazywało z niej całą jej dotychczasową rzeczywistość.

- Bądź spokojna, Umiłowana. Ja nigdy cię nie opuszczę. Nie bój się...

Spokojny, chłodny kobiecy głos przemknął przez jej głowę. Tego głosu Elphame uczepiła się kurczowo, jak umierająca dusza tchnienia życia.

- Epono...

Kiedy wymówiła imię Bogini, poczuła, jak całe jej ciało zadrżało, jak przez jej obolały umysł przemknęła myśl, bardziej ulotna niż mgła. Przemknęła, ale Elphame zdołała pojąć jej sens. I chwyciła się tego siłą całego człowieczeństwa, jakie pozostało jeszcze w jej duszy.

Musi zaufać sobie.

Walcząc z przerażeniem i ciemnością, z trudem podniosła się z posadzki i chwiejnym krokiem ruszyła

przed siebie, przez rozstępujący się przed nią tłum ludzi i centaurów. Podeszła do fontanny na środku wielkiego dziedzińca, zatrzymała się i spojrzała w twarz dziewczyny z marmuru, swojej przodkini.

Wtedy dotknął jej pierwszy promień porannego słońca. Dotknął jej, potem jak delikatna, czuła dłoń ów promień odnalazł broszę MacCallanów na jej ramieniu. Rozbłysła, i w jej blasku Elphame odnalazła to, czego szukała. Swoje dziedzictwo. Wiarę i wierność. Siłę miłości triumfującej. Coś, czego ciemne moce nie są w stanie sobie przywłaszczyć.

Budził się nowy dzień, zwiastun nadziei. Elphame była w pełni świadoma, kim naprawdę jest. Ta świadomość sprawiła, że ciemne moce, które spodziewały się, że okradną ją z siły, jaką daje miłość Bogini, musiały się wycofać. Niechętnie, wily się i pokrzykiwały, zmuszone jednak były ustąpić przed

oślepiającym blaskiem zaufania i odwagi.

Złe szepty rozpierzchły się jak umykające pająki. Były już tylko mglistym wspomnieniem.

Elphame, jakby budząc się z długiego snu, powoli podniosła zakrwawione ręce, żeby strumień chłodnej, czystej wody z fontanny zmył krew z jej rąk. Patrzyła, jak zabarwiona na różowo woda spływa do basenu, wiruje przez moment, róż staje się coraz jaśniejszy, prawie niewidoczny, kiedy woda spływa z basenu.

Kiedy ręce Elphame były już czyste, odrzuciła w tył głowę i teraz wykapała twarz w jasnym świetle poranka, danego przez Eponę. A w piersi dojrzał krzyk, dojrzał jak dziecko w łonie. Dojrzał i z gardła Elphame wydobył się radosny okrzyk, odbijając się echem wśród ścian starego zamku.

Pierwszy zawtórował jej brat, potem mąż. Potem cały jej klan.

- WIARA I WIERNOŚĆ!

- WIARA I WIERNOŚĆ!

- WIARA I WIERNOŚĆ!

Elphame, uśmiechając się triumfująco, osunęła się na marmurową posadzkę, witając z ulgą błogi spokój, jaki daje nieświadomość.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY**

Do snu Elphame przyszedł głos, słodki jak zapach wiciokrzewu, niesiony przez wiatr. Głos matki.

- Wołałabym, żeby to wszystko było dla niej choć trochę łatwiejsze.

- Wiem, Umiłowana. - Tym razem Elphame od razu rozpoznała głos Epony. - Ja także życzyłabym sobie, żeby została jej darowana ta udreka. Ale droga twojej córki nigdy nie była łatwa. Teraz widzisz, że trudności, jakie pokonywała przedtem, przygotowały ją do stawienia czoła swemu przeznaczeniu.

- Ale dobrze się sprawiła, prawda?

- Bardzo dobrze. Jestem z niej dumna.

Serce Elphame, zachwycone pochwałą, zabiło szybciej i mocniej.



- Jej droga nadal będzie trudna - mówiła Bogini. - Większość klanu z miłości do Elphame zaakceptuje

Lochlana i jego ludzi, niełatwo jednak będzie zdobyć akceptację reszty Partholonu.

Matka Elphame westchnęła.

- Czy pozwolisz mi teraz pojechać do niej? Chciałabym przynajmniej sformalizować ich związek, niech to nie będzie przysięga tylko na rok. A Cuchulainn... - w głosie matki słychać było teraz wielki smutek - potrzebuje teraz matki.

- Jedź do nich. Ale nie zdziw się, kiedy przekonasz się, że ból twego syna jest zbyt wielki, by mogła uśmierzyć go matka.

Odpowiedź matki nie dotarła do uszu Elphame. Sen odchodził, Elphame budziła się, powracając do rzeczywistości. Jej budzące się zmysły zasygnalizowały, że jej ciało leży wygodnie w pościeli z cieniutkiego płótna. A przed zamkniętymi powiekami migocze jakieś światło.

Powieki Elphame zadrżały i uniosły się.

Pierwszą myślą po obudzeniu było stwierdzenie, że to chyba noc, bo jedynymi źródłami światła w pokoju był blask świec w wielkim, żelaznym kandelabrze i blask ognia, wesoło trzaskającego w kominku. Potem zaczęła się zastanawiać, jak długo spała. Może długo, może to jednak już ranek...

Kątem oka dojrzała jakąś postać. Odwróciła głowę i zobaczyła Lochlana. Siedział na krześle koło łóżka, głowę miał opuszczoną. Spał. A Elphame patrzyła na niego i patrzyła, ciesząc nim swoje oczy.

Był co prawda poobijany, ranny, ale na twarzy nie było już tej okropnej,

porcelanowej bladości, jak wtedy, kiedy osuwał się na posadzkę, zaplamioną krwią Elphame...

Pamięć ożyła. Na moment wszystko w Elphame skurczyło się z panicznego strachu, cała zamieniła się w słuch, czekając na złowrogie szepty o śmierci, o szaleństwie. Na głos złych mocy, wydobywający się z jej skażonej krwi.

Ale nie usłyszała żadnego głosu. Może tylko jakiś cichy szmer, jakby coś poruszyło się, coś ukrytego w niej głęboko, jak prawie już zapomniany sen. A dzięki intuicji, zrodzonej z dotknięcia przez

Boginię, pojęła, że chociaż nosi już w sobie szaleństwo, to miłość, zaufanie i wiara zawsze pokonają

dziedzictwo zła.

Głos Epony musnął jej umysł.

- Musisz być zawsze czujna, Umiłowana. Tak długo, jak długo będziesz oddychać. Ale pamiętaj, zawsze będę przy tobie. Jesteś dotknięta przez Boginię...

Musiała mimo woli wydać z siebie jakiś dźwięk, bo Lochlan nagle otworzył oczy i wyciągnął do niej rękę, wołając jednocześnie.

- Cuchulainnie!

Natychmiast koło łóżka Elphame pojawił się jej brat z ciemnymi sińcami pod oczami i zarostem na zwykle gładko wygolonych policzkach. Wyglądał tak, jakby nagle przybyło mu wiele, wiele lat.

- Wyglądasz okropnie - powiedziała Elphame. Śmiesznym głosem, podobnym do rechotu. Na mizernej twarzy Cuchulainna pojawił się uśmiech, a śmiech Lochlana przypominał szloch.

Elphame spojrzała jeszcze raz, na nich obu, na męża i na brata. Zanim ponownie otworzyła usta, na wszelki wypadek odchrząknęła, ale niestety, jej głos nadal trudno było nazwać jasnym i dźwięcznym.

- A więc tak... żaden z was nie jest przykuty łańcuchem,

nie widzę świeżych ran. Czy wobec tego wolno mi przypuszczać, że obaj uczyście się właśnie, jak wytrzymać ze sobą?

- Ona... ona nie popadła w obłęd... - Lochlan nagle zakrył dłonią usta, po jego policzkach spłynęły łzy.

- Mówiłem ci, że tak się nie stanie - powiedział Cuchulainn. Jego oczy też lśniły podejrzeniem.

- A ona doskonale słyszy, co mówicie. Obaj! - wykrzyknęła zdesperowana Elphame.

- Witaj, siostrze, z powrotem na tym świecie - powiedział Cu.

- Jak długo spałam?

- Pięć dni i pięć nocy - powiedział Lochlan.

- Aż tyle?! Nic dziwnego, że jestem taka głodna. Uśmiech Cuchulainna był tak szeroki, że zdawał się wykraczać poza twarz.

- Wynne będzie zachwycona! - zawołał i pobiegł do drzwi.

- Cu, poczekaj!

Lochlan, domyślając się, że rodzeństwo chce sobie coś przekazać, wstał, pocałował Elphame delikatnie w rękę i wycofał się w głąb pokoju. Miejsce na krześle zajął Cuchulainn.

Elphame usiadła na łóżku i wzięła brata za rękę.

- Chcę ci coś powiedzieć, Cu. Chodzi o Lochlana.

- Elphame, nie musisz mi już niczego wyjaśniać.

- Muszę. Chcę, żebyś wiedział, że chciałam ci o nim powiedzieć już wtedy, kiedy spotkałam go po raz

pierwszy. Ale po prostu nie wiedziałam, jak to zrobić. Nie chciałam też, żebyś dowiedział się o tym od osób trzecich i pomyślał, że kocham cię za mało i za mało ufam, żeby ci to wyznać. A to nie tak. Wcale nie zwątpiłam w ciebie, Cuchulainnie, tylko w siebie. Nie potrafiłam znaleźć

odpowiednich słów, a poza tym byłeś już tak bardzo zakochany w Brennie.

Cuchulainn zacisnął mocno zęby i szybko spojrzał w bok.

- Nie winię ani ciebie, ani Lochlana za śmierć Brenny. Nawet nie winię Fallon. Obłąd to nie jej wina.

- Cu, spójrz na mnie.

Spojrzał. W jego oczach dostrzegła bezmiar rozpacz, zrozumiała też, że powiedział prawdę. On nie obwiniał ich o śmierć Brenny - obwiniał samego siebie.

- Cu... - zaczęła, ale brat gwałtownie wysunął rękę z jej dłoni i wstał, tak szybko, że omal nie wywrócił

krzesła.

- Nie mogę o tym rozmawiać, El - powiedział nieswoim głosem i wstał. W progu rzucił tylko przez ramię: - Przyniosę ci coś do jedzenia.

Drzwi trzasnęły. Znak, że Cuchulainn ze swoją rozpaczą odgradza się od siostry.

- On nie zgadza się, żeby spalić ją na stosie pogrzebowym - powiedział półgłosem Lochlan, przysiada-

jąc na brzegu łóżka. - Powiedział, że ogień już raz ją skrzywdził i to wystarczy.

- Och, Cu... -jęknęła Elphame, wpatrując się w zamknięte drzwi.

- Dlatego Mistrz Centaur zrobił dla Brenny grobowiec. Na grobowcu wyrzeźbił Brennę. Dziś rano Cuchulainn złożył Brennę w grobowcu na wieczny odpoczynek.

- A gdzie... gdzie jest ten grobowiec? - wyszeptała Elphame, ocierając łzy.

- Tam, gdzie stał jej namiot. Teraz jest tam grobowiec, w którym Cu złożył swoje serce.

- Powinnam była być przy nim. Na pewno mnie potrzebował.

- Ty przede wszystkim musisz dojść do siebie, El-phame. I za nic siebie nie obwiniaj. Twój brat mówił

szczerze. On nie obarcza winą ani ciebie, ani mnie, ani nawet moich ludzi. W ciągu kilku tych ostatnich dni, kiedy zastępował cię, wykazał się wielką szlachetnością.

- A Fallon, Keir i tych dwóch pozostałych... co z nimi?

- Cuchulainn kazał uwięzić Fallon w Warowni. Czeka tam na narodziny dziecka i twoją decyzję, jaką karę poniesie za zbrodnię, jaką popełniła. Razem z Fallon jest Keir, z własnej woli. Chce być u boku żony. Curran i Nevin zostali tutaj i leczą swoje rany.

- A to szaleństwo... naprawdę minęło?

- Tak - potwierdził Lochlan, takim tonem, jakby jemu samemu jeszcze trudno było uwierzyć, że stał się cud.

- Nie ma go ani we mnie, ani w reszcie moich ludzi. Spełniłaś Przepowiednię, Elphame, uratowałaś ich...

- Lochlan delikatnie pogłaskał Elphame po policzku.

- Ale ty... jak z tobą, najdroższa? Czy czujesz na swoich barkach to brzemień?

Spojrzenie Elphame na moment stało się nieobecne, kiedy skupiła się, starając się jak najgłębiej

wejrzeć w siebie. Wyczuła tam coś, coś mrocznego. Poruszyło się, ale bardzo nieznacznie, na bardzo krótko, jak powierzchnia wody, na którą ktoś dmuchnął.

- Jest we mnie, Lochlanie. Zostało pokonane, ale nie unicestwione. Mam jednak słowo Epony, że wygram każdą kolejną bitwę. Ale Bogini ostrzegła mnie, że nawet po kolejnym zwycięstwie mam nie tracić czujności.

Elphame zadrżała, Lochlan mocniej ścisnął jej rękę.

- Zawsze wygrasz, Elphame. Zawsze! - zapewnił ją gorąco. - Razem nie pozwolimy, żeby to szaleństwo pokonało ciebie.

Elphame czuła, jak wnika w nią jasna moc jego wielkiej miłości, wypełnia jej serce i zmusza mrok do

ustąpienia.

Zrobiła głęboki wdech. Pełen satysfakcji.

- Trzeba wezwać tu resztę twoich ludzi, Lochlanie. Wszystkich, razem z dziećmi.

Lochlan mocno objął ją ramionami, jego uzdrawiające skrzydła otuliły Elphame swoim ciepłem.

- Zrobimy tak, najdroższa. Zrobimy!

Na porannym niebie pojawiały się pierwsze ostrożne smugi ciemnego różu i fioletu. Elphame stała przed marmurowym grobowcem. Podobizna Brenny była przepiękna, mała Uzdrowicielka wyglądała tak, jakby zasnęła i jakimś cudownym sposobem przemieniła się w marmur. Była łudząco podobna, z jedną tylko różnicą. Twarz Brenny była gładka, bez blizn.

- Wcale go o to nie prosiłem. Mnie zresztą nie przyszłoby to do głowy - powiedział Cuchulainn zdławionym głosem, pojawiając się u boku siostry. Podszedł do grobowca i w ramionach dziewczyny

z marmuru złożył całe naręczce polnych kwiatów. Turkusowych. - Kiedy spytałem Dananna, dlaczego nie wyrzeźbił blizn, powiedział mi, że po prostu wyrzeźbił Brennę taką, jaką zapamiętał...

Elphame z czułością pogłaskała prawy policzek Brenny, gładki teraz, bez żadnej skazy.

- To dobrze. Brenna na pewno byłaby zadowolona, że taką właśnie ją pamiętamy - powiedziała cichym, nabrzmiałym od wzruszenia głosem i spojrzawszy na brata, wzięła go za rękę. - Cu, ja bardzo

nie chcę, żebyś wyjeżdżał.

- Muszę, Elphame. Tutaj... - Cu spojrział przez ramię na zamek, z którego dobiegały już odgłosy porannej krzątania - tutaj wszystko mi ją przypomina. Każdy zapach, każdy dźwięk zdaje się powtarzać jej imię...

- Jego pełne rozpaczycy spojrzenie spotkało się ze smutkiem oczu Elphame. - Nie, to wcale nie znaczy, że chcę o niej zapomnieć. Muszę po prostu nauczyć się dalej żyć, bez niej. Ze świadomością, że ją straciłem. A tutaj nie dam rady się tego nauczyć.

Ścisnął lekko jej dłoń i puścił. Elphame rozumiała go, oczywiście, tak przecież nakazywał rozsądek.

Ale serce Elphame bolało na myśl, że Cuchulainn nie będzie już w zamku MacCallana.

- Będzie mi ciebie brak, Cuchulainnie - powiedziała miękko Brighid, która właśnie pojawiła się obok

grobowca Brenny. Chyba chciała się pożegnać, bo szybko podeszła do wojownika i uścisnęła go za ramię, tak jak to pozdrawiają się wojownicy. Cuchulainn w odpowiedzi ścisnął ramię Brighid. Uścisk

jego palców był mocny, ramię Brighid pod jego palcami gładkie i ciepłe.

- Myliłem się co do ciebie, Brighid Dhianna. Jesteś wiernym przyjacielem.

- Dziękuję - odparła Brighid, uśmiechając się smutno.

- Może kiedyś wybierzemy się razem na polowanie? Nagle wszyscy spojrzeli na ziemię. Coś w trawie

sapnęło, po chwili spoza wysokiej kępy wyskoczyła tłuściutka Fand, podbiegła do Brighid i wbiła zęby w jej kopyto.

- O, nie! - zawołała Łowczyni. - Muszę uzupełnić moją propozycję. Wybierzemy się kiedyś razem na polowanie pod warunkiem, że wszystko, co przyniesiesz z lasu, nie będzie już oddychać!

Cuchulainn poklepał się po udzie. Wilczątko od razu podskoczyło do niego i zaczęło się łąsić.

- Przepraszam, Brighid - powiedział Cuchulainn. - Obiecuję, że kiedy następnym razem spotkasz się z Fand, mała na pewno będzie miała lepsze maniery.

- Wszyscy rodzice tak mówią - mruknęła Brighid i ruszyła z powrotem do zamku.

Brat i siostra zostali sami. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, potem Elphame nagle znalazła się w ramionach brata. Ścisnęła go z całej siły, kryjąc twarz na tak znajomym ramieniu.

- A nie możesz poczekać na Mamę? - spytała, połykając łzy. - Posłaniec mówił, że mają przed sobą już

tylko jeden dzień drogi.

Cuchulainn poklepał ją czule po plecach.

- Mama zrozumie mnie.

- Nie sądzę, Cu. Będzie szalała.

Cu zaśmiał się, a Elphame poczuła bolesne ukłucie w sercu. Jakże inny był teraz śmiech Cuchulainna!

Cuchulainn w niczym teraz nie przypominał dawnego beztroskiego brata.

- Masz rację, El, ale krótko. Będzie przecież zaabsorbowana tobą i Lochlanem.

Delikatnie wysunął się z jej objęć i ucałował ją w oba policzki.

- A ja muszę zrobić tak, jak postanowiłem. Odwrócił się, zarzucił wodze na szyję swego wałacha i zręcznie wskoczył na jego grzbiet.

Natychmiast w trawie rozległo się żalosne skomlenie. Elphame nachyliła się szybko po wilczątko i podała je bratu.

- Kocham cię, siostró moja - powiedział Cu, kierując konia na północ. Koń pobiegł kłusem. Elphame patrzyła,

jak do Cuchulainna dołącza dwójka jeźdźców, niezwykłych, bo ze skrzydłami. Curran i Nevin,

czekający cierpliwie na Cuchulainna przy zamkowej bramie. Ich rany jeszcze nie zagoiły się, tak samo

skrzydła, ale obaj nie wyobrażali sobie, żeby teraz nie mieli towarzyszyć Cuchulainnowi, który jechał

na Pustkowie, żeby sprowadzić do Partholonu dzieci kobiet, które kiedyś dobrowolnie skazały się na wygnanie.

Elphame odprowadzała ich wzrokiem dopóki nie znikli za drzewami. Miała poczucie, jakby wraz z Cuchulain-nem odchodziła od niej cała jej przeszłość, jakby brat zabierał z sobą najpiękniejsze dni jej młodości. Co dalej będzie z Cuchulainnem? Czy już na zawsze pozostanie potrząskaną skorupką siebie samego? Czy uleczy zranione serce?

Jakie to gorzkie... Cuchulainn musi uleczyć się sam, bez swojej małej Uzdrowicielki...

Przez ostatnie dni Elphame wyczuwała, jak duszę jej brata wypełnia coraz większa pustka. Czowała się nieszczęśliwa i kompletnie bezradna. Czy Cuchulainn odnajdzie bez Brenny swoje szczęście? Tego Elphame nie mogła wiedzieć, mogła tylko współczuć bratu, rozumieć jego ból. Ona przecież przeżyła tego namiastkę, w tej strasznej chwili, kiedy była pewna, że straciła Lochlana. Wiedziała, że będzie żyć dalej i bez swego towarzysza życia, tak jak Cu musi żyć teraz bez Brenny. Ale czy bez Lochlana znalazłaby po raz drugi swoje szczęście? Czy Cuchulain-nowi los podsunie jeszcze taką możliwość? Epono, błagam, strzeż go, pozwól, by bezpiecznie wrócił do domu. I pomóż mu znów być szczęśliwym...

Serce Elphame już tęskniło, już brakowało jej obecności Cuchulainna. Wracała do zamku bardzo powoli, jej nogi teraz były ciężkie jak ołów. Plecy drżały od płaczu.

Nagle poczuła na sobie wzrok Lochlana. Poczuła tak mocno, jakby dotykał jej w pieszczocie.

Podniosła w górę załzawione oczy i w blasku poranka, danego przez Eponę, zobaczyła na balkonie Wieży Przywódcy Klanu uskrzydloną postać. Z tak daleka nie widziała dobrze jego twarzy, ale czuły gest zauważyła. Dotknął swego serca, potem ust i posłał jej ręką pocałunek.

Z Cuchulainnem łączyła ją wspólna przeszłość, ale jej przyszłość to był Lochlan i Klan MacCallanów.

Będą musieli zmierzyć się z całym krajem, z ludźmi, którzy nie będą im ufać i osądzą ich bardzo surowo. Niełatwo będzie przekonać Partholon, ale dzięki błogosławieństwu Epony zmierzą się z tą przyszłością razem, ramię w ramię.

Przywódczyni Klanu MacCallanów otarła łzy, wyprostowała się i szybkim, zdecydowanym krokiem



pospieszyła do swego męża, by u jego boku rozpocząć nowy dzień.